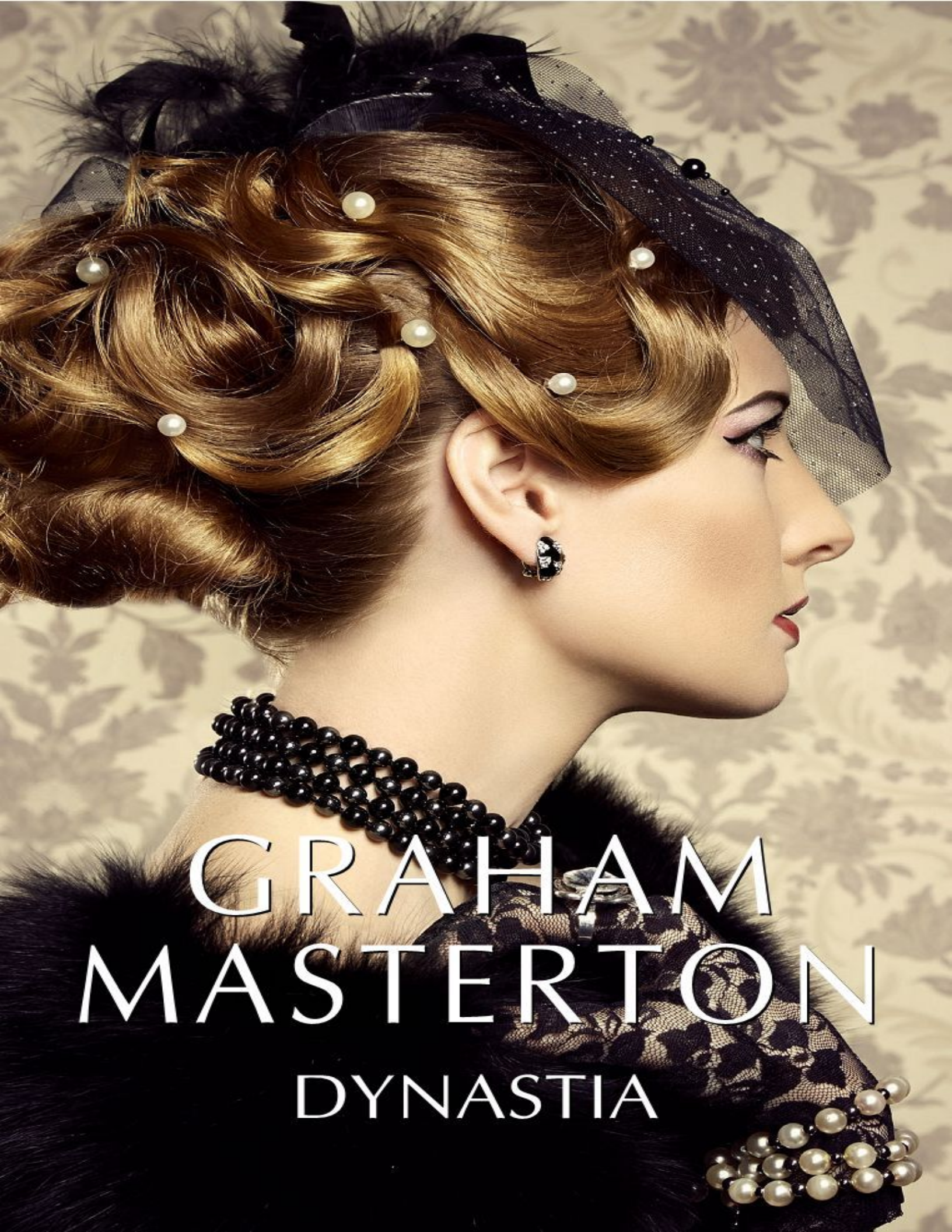
GRAHAM
MASTERTON
DYNASTIA

O książce

Jeśli ktoś myśli, że o SEKSIE, WŁADZY I PIENIĄDZACH napisano już wszystko, powinien przeczytać tę książkę!

PASJONUJĄCA SAGA RODZINNA OBEJMUJĄCA
LOSY
TRZECH POKOLEŃ

JOHANN CORNELIUS
Holenderski emigrant, który na początku XX wieku stworzył w Stanach Zjednoczonych imperium przemysłowe. Kiedy zaczynał, nie miał nic. Gdy umierał, należał do niego całkiem spory kawałek Ameryki.

BEATRICE
Jedyna kobieta, którą naprawdę kochał.

RODERICK i HOPE

Drugie, zdegenerowane pokolenie rodu Corneliusów, bawiące się pieniędzmi jak dzieci zabawkami.

ALLY

Produkt epoki hipisowskiej. Megabogata dziewczyna, która zamienia swoją złotą klatkę na narkotykowe marzenie.

„DYNASTIA” POKAZUJE NAGĄ PRAWDĘ O TYM, JAK TO JEST BYĆ BOGATYM

GRAHAM MASTERTON

DYNASTIA

Z angielskiego przełożył
PAWEŁ KOROMBEL

GRAHAM MASTERTON

Popularny angielski pisarz. Urodził się w 1946 r. w Edynburgu. Po ukończeniu studiów pracował jako redaktor w miesięcznikach, m.in. „Mayfair” i w angielskim wydaniu „Penthouse’a”. Autor licznych horrorów, romansów, powieści obyczajowych, thrillerów oraz poradników seksuologicznych. Zdobył Edgar Allan Poe Award, Prix Julia Verlanger i był nominowany do Bram Stoker Award. Debiutował w 1976 r. horrorem **Manitou** (zekranizowanym z Tonym Curtisem w roli głównej). Jego dorobek literacki obejmuje ponad 80 książek – powieści i zbiorów opowiadań – o całkowitym nakładzie przekraczającym 20 milionów egzemplarzy, z czego ponad dwa miliony kupili polscy czytelnicy.

www.grahammasterton.co.uk / www.grahammasterton.blox.pl

Tego autora

Sagi historyczne

WŁADCY PRZESTWORZY
IMPERIUM
DYNASTIA

Rook

ROOK
KŁY I PAZURY
STRACH
DEMON ZIMNA
SYRENA
CIEMNIA
ZŁODZIEJ DUSZ
OGRÓD ZŁA

Manitou

MANITOU
ZEMSTA MANITOU
DUCH ZAGŁADY
KREW MANITOU
ARMAGEDON

Wojownicy Nocy

ŚMIERTELNE SNY
POWRÓT WOJOWNIKÓW NOCY
DZIEWIĄTY KOSZMAR

Katie Maguire

UPADŁE ANIOŁY
CZERWONE ŚWIATŁO HAŃBY

Inne tytuły

STUDNIE PIEKIEŁ
ANIOŁ JESSIKI
STRAŻNICY PIEKŁA
DEMONY NORMANDII
ŚWIĘTY TERROR
SZARY DIABEŁ
ZWIERCIADŁO PIEKIEŁ

ZJAWA
BEZSENNI
CZARNY ANIOŁ
STRACH MA WIELE TWARZY
SFINKS
WYZNAWCY PŁOMIENIA
WENDIGO
OKRUCHY STRACHU
CIAŁO I KREW
DRAPIEŻCY
WALHALLA
PIĄTA CZAROWNICA
MUZYKA Z ZAŚWIATÓW
BŁYSKAWICA
DUCH OGNIA
ZAKLĘCI
ŚPIĄCZKA
SUSZA
SZKARŁATNA WDOWA

Tytuł oryginału:
RICH

Copyright © Graham Masterton 1979
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Paweł Korombel 2015

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Zdjęcie na okładce: Oleg Gekman/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-248-2

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDZRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, 88em

Spis treści

1900
1902
1903
1909
1921
1927
1934
1937
1938
1940
1945
1954
1967
1976
1976

Dla mojej ukochanej żony Wiescki
i dla Marty'ego Ashera
z serdecznymi podziękowaniami

1900

KRONIKA WYDARZEŃ TOWARZYSKICH

HUCZNE GARDEN PARTY

ZEBRANO PONAD TRZYSTA DOLARÓW DLA CHORYCH DZIECI

W ostatnią sobotę pan Frank Edmunds z Broughton wydał wspaniałe przyjęcie na świeżym powietrzu, na którym bawiło się dwustu pięćdziesięciu najwybitniejszych obywateli miasta i zaproszonych gości. Zebrano trzysta pięćdziesiąt dolarów i dwadzieścia trzy centy na potrzeby chorych dzieci z miasta i okolic.

Wśród obecnych zauważono pana J. Corneliusa, który niedawno przybył

z Nowego Jorku i rozważa otwarcie w naszych stronach interesu.

„The Broughton Sentinel”
14 sierpnia 1900 r.

Był to jeden z tych dni, podczas których upał napływa duszącymi falami, i wystarczyło minąć próg domu, przejść kilka kroków Main Street, idąc po worek fasoli lub torebkę sody kuchennej do składu towarów mieszanych czy trochę dalej do kramu rybnego na rogu Galveston Street, a ubranie zaczynało parzyć, kleić się do ciała i uciskać, buty uwierać i w głowie pojawiała się wizja gazowanego napoju z gałkami lodów i syropem albo cytrynowego sorbetu, smakowanego łyżeczka po łyżeczce przy zacienionym stoliku w Raju Lodowym Howarda.

Nigdy jednak nie widziano tu lodziarza o tym nazwisku. Lokal prowadziła drobna i ruchliwa jak ptaszek wdowa Grey. Odziana w wykrochmalony biały fartuch, uwijała się za

marmurowym blatem, serwując lodowe desery i mleczne koktajle w salaterkach i szklankach o grubych ściankach. Służyła też radami – bez względu na to, czy były komuś potrzebne, czy też nie. Wierzyła niezłomnie, że życiowe porady są nieodłącznym, wliczonym w cenę dodatkiem do lodowych deserów.

Kiedy tamtego sierpniowego popołudnia Janet weszła do środka, lokal był zatłoczony, a w chłodnym blasku przefiltrowanego przez szyby słońca krążył leniwie ciepły wir rozmów. Pani Grey kładła właśnie ostatnią, siódmą warstwę na lodowym torcie truskawkowym, rozmawiając z potężnie zbudowanym, spoconym mężczyzną w wytartej niebieskiej kurtce i połatanych spodniach.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, młody człowieku – perorowała, zwieńczając tort wisienką – powinieneś śmigać na północ i znaleźć sobie zatrudnienie w fabryce. Słyszałam, że oferują tam stałe zajęcie, a zarobek jest wyższy niż gdzie indziej. Tu nic takiego nie znajdziesz, zawsze tak było i będzie.

Rozmówca pani Grey zdawał się jej nie słuchać. Grubymi, tępo zakończonymi palcami robotnika kreślił niewidzialne wzory na zimnym kontuarze.

– W dzisiejszych czasach musisz się znać na rzeczy, jak chcesz do czegoś dojść – mówiła wdowa. – Kiedyś wystarczało mieć krzepę i umieć machać łopatą i kilofem. Ale w dzisiejszych czasach, jak się nie znasz na rzeczy, możesz skończyć żywot tak samo, jak przyszedłeś na świat, goły i wesoły.

Kartka kalendarza wiszącego na ścianie obitej sosnowymi deskami szeleściła w ciepłym powiewie wpływającym przez drzwi cukierni. Był trzynasty sierpnia 1900 roku.

– Janet, przeczucie mi mówi, że znów przyszłaś sobie pofolgować na koszt swojej pani – stwierdziła pani Grey.

To był ich stały żart, ale spocony olbrzym przy kontuarze najwyraźniej się na nim nie poznał, bo obejrzał się i posłał Janet karcące spojrzenie, jakby była niegrzecznym pudelkiem.

Pani Grey uspokajającym gestem położyła mu rękę na ramieniu.

– To przez ten upał. No i nasza lodziarnia wypada w połowie drogi do sklepu. Nie dziwota, że niejedną pannę służącą skusi, żeby do nas wstąpić – wyjaśniła.

Janet uśmiechnęła się do niej.

– I to jaki upał, pani Grey. Chyba uratowałyby mnie tylko lody z czarnej porzeczki

z wisienkami, polane syropem. Myślałam, że się rozpłynę, jak tu szłam. Przysięgam.

– Takie młódki jak ty w ogóle nie powinny czuć gorąca – powiedziała pani Grey, skrobiąc łopatką zlodowaciały sorbet. W lokalu rozeszła się smakowita ostra woń czarnej porzeczki. – Zawsze powiadam: noście grubszą bieliznę.

Gdy tak mełła językiem, potężnie zbudowany nieznajomy nie spuszczał wzroku z Janet. Kiedy dziewczyna się zorientowała, że jest obiektem obserwacji, zaczerwieniła się i spuściła wzrok. Był zwykłym pracownikiem fizycznym, a jej pani surowo przestrzegała ją przed „narzucaniem się chłopakom od rzeźnika i innym prostakom". Słysząc te przestrogi, Janet zawsze zżymała się w duchu, że pani traktuje ją jak przymilną psinę, łaszącą się do byle przechodnia.

Miała osiemnaście lat i służyła u państwa Mullinerów, którzy mieszkali przy Beaumont Street. Domy stały tam w sporych odstępach od siebie, były pomalowane na biało, otoczone palmami i akacjami i spowite cienistymi pnączami. Z powodu białych płotków, starannie przystrzyżonych trawników i eleganckich panienek spacerujących po nich jak młode klaczki na wybiegu mieszkańcy dalej położonej dzielnicy dworcowej nadali temu kwartałowi

nazwę „Wyścigi”. Chociaż pani Mulliner była mężatką, należała do klaczek cieszących się największym zainteresowaniem gapiów i plotkarzy. Kilka razy w roku jeździła do Houston, przywożąc modne łaszki, na które wydawała mnóstwo pieniędzy. Janet słyszała, że w ostatnim sezonie tylko za jedną sukienkę wybuliła dwadzieścia dolarów! Jednak wszystko wskazywało na to, że pan Mulliner nie przejmuje się ekstrawagancjami żony. Był od niej o dobre dziesięć lat starszy, miał siwawe bokobrody i pewnie uważał, że taka piękna towarzyszka życia zasługuje na dużą część jego zarobków. Prowadził wziętą kancelarię adwokacką przy Piątej Ulicy, w dzielnicy handlowej, i uchodził za bardzo zamożnego człowieka.

Praca u Mullinerów stanowiła dla Janet źródło satysfakcji i dumy. Była niską dziewczyną, miała zaledwie pięć stóp i cztery cale nawet w ciężkich, podbitych żabkami bucikach, a jej pulchne kształty prowokowały gości państwa do serdecznych uścisków, zwłaszcza po trzeciej kolejce brandy. Miała kasztanowe włosy, unoszące się niesfornymi chmurkami pod szerokim słomianym kapeluszem, piegowate policzki, uroczo rozchylone różowe wargi, a szeroko otwarte oczy o szarych cętkowanych

źrenicach nadawały jej twarzy wyraz nieustannego zdziwienia. Kremowa perkalowa spódniczka i szyta na niemiecką modłę lniana różowa bluzka podkreślały krągłość jej bioder i piersi, prowokując malarzy pokojowych do gwizdów, gdy mijała ich energicznym krokiem, a starsi panowie unosili binokle, odprowadzając ją długim, pełnym uznania spojrzeniem.

Jednak potężny typ siedzący w Raju Lodowym Howarda nie ograniczył się do jednego spojrzenia. Bezwstydnie wybałuszał na Janet blade ślepia, jakby nie dopięła bluzki albo miała plamkę sadzy na czubku nosa. Wyglądał jak Holender: miał czerwoną twarz i odstające uszy grubości sporych plastrów boczku oraz mięsiste wargi. Jego rzednące na ciemieniu włosy były koloru słomy. Ale mimo wyraźnego braku ogłady pociągał siłą i męskością. Sprawiał wrażenie mężczyzny, który potrafi wybawić dziewczynę z kłopotów, unosząc jednym palcem jej ugrzęzły w błocie powozik.

Nie odezwał się ani słowem, gdy wdowa Grey polała syropem sorbet Janet, ozdobiła go wisienkami, po czym włożyła do salaterki łyżeczkę z długą rączką i przesunęła całość po ladzie. Janet otworzyła portmonetkę i położyła na ladzie pięć centów, a pani Grey wysunęła

z brzękiem szufladę kasy, wrzuciła do niej zapłatę i wydała resztę.

– Nie grzeb się z tym, panno Janet, bo jeszcze spotka cię bura, kiedy wrócisz do swoich chlebodawców. Dziękuj Bogu, że nie pracujesz u mnie, bo już dawno pogoniłabym cię kijem od miotły.

Janet posłała jej spłoszony uśmieszek i udała się ze swoimi lodami do jedynego wolnego stolika. Wolała oddalić się od barczystego robociarza, który niechybnie tylko czyhał na to, aby ją zaczepić. Skulona nad salaterką, zaczęła szybko dziobać lody. Prysł miły nastrój, którym zwykle się rozkoszowała w Raju Lodowym Howarda. Nawet nie śmiała podnieść wzroku, podejrzewając, że natrętny osobnik nadal się na nią gapi.

Przy sąsiednim stoliku siedzieli dwaj znani jej młodzi sprzedawcy. Pracowali w składzie towarowym pana Okrama przy Ósmej Ulicy. Początkowo rozmawiali o wędkowaniu w Harness Creek, ale po chwili zaczęli wymieniać pieprzne uwagi na jej temat. Zwykle z humorem traktowała tego rodzaju żarciki, czasem nawet pozwalając sobie na niewinny flirt, ale dzisiaj nie miała ochoty na podobne zaczepki.

– Jedno musisz przyznać – powiedział pierwszy subiekt, rudzielec w przyciasnym brązowym garniturku. – Umie się ubrać, chociaż zasuwa w kuchni.

– Umie się ubrać? – powtórzył drugi, kędzierzawy brunecik o ramionach obsypanych gęstym łupieżem. – Jest śliczna jak obrazek, żaden gość by się jej nie oparł.

Janet wstała, nie kończąc lodów i mówiąc sobie w duchu, że zachowuje się jak poważna, dorosła osoba. Tylko dzieci i psy wylizują talerze po jedzeniu. Odsunęła wiklinowe krzesło, wzięła swoją torbę na zakupy i ruszyła do wyjścia. Podejrzewając, że rumiany robotnik nadal nie spuszcza z niej oczu, nawet nie pożegnała się z panią Grey, ale powiedziała sobie, że wdowa pewnie i tak jest zbyt zajęta nakładaniem lodów dla kolejnych klientów, aby zauważyć jej dygnięcie.

Za progiem ugodził ją żar i blask bijący z nieba jak z otwartego pieca.

Chłopy są gorsze niż bezpańskie psy, tylko jedno im w głowie, pomyślała. Co za dzikusy! Kiedy tylko zobaczą ładną dziewczynę, zaczynają się zachowywać jak wygłodniałe zwierzaki. Traktują kobietę jak kawałek surowego mięsa.

Przecięła Main Street przy skrzyżowaniu z Dziesiątą Ulicą i weszła w cień drewnianych budynków. Idąc, stukała obcasami bucików o deski chodnika i szeleściła długą sukienką. Mijający ją na rowerze posłaniec zagwizdał, ale zadarła podbródek i zignorowała go. Zdecydowała, że nie chce mieć nic wspólnego z mężczyznami. Niech się na nią gapią, niech się ślinią, nie może im tego zabronić. Ale niech nie oczekują od niej, że gestem czy choćby jednym słowem zachęci ich do czegoś więcej.

Idąc, przeglądała się w szybach wystawowych i widziała w nich śliczną dziewczynę w wysokim słomkowym kapeluszu i wykrochmalonej różowej bluzce. Wyprostowała się, przydając sobie nieco wzrostu, i podała do przodu biust. Tego roku modne były obfite krągłości i Janet była bardzo dumna ze swojej figury.

Przystanęła na rogu Dziewiątej Ulicy, przepuszczając szybki konny powozik, po czym zeszła na spieczoną słońcem ulicę. Kiedy zrobiła kilka kroków, poczuła, że czyjaś silna ręka chwyta ją za ramię. Poderwała głowę.

– Och! – krzyknęła.

Był to barczysty mężczyzna z lodziarni. Ten prostacki brutal miał czelność iść za nią! Wyrwała się z uścisku i wrzasnęła piskliwie:

– Trzymaj łapy przy sobie, ty prostacki brutalu!

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę.

– Daj spokój – powiedział. – Lepiej przejdźmy na drugą stronę, bo jeszcze mnie potrąci któryś z tych kmiotków na rowerach.

Janet zadarła nos, uniosła spódnicę i zdecydowanym krokiem przecięła ulicę, nie rozglądając się na boki. Kiedy weszła na chodnik, zamierzała iść dalej, ale natręt znów chwycił ją za ramię i odwrócił ku sobie.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła. – Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju i nie przestaniesz mi się narzucać, zacznę wzywać pomocy!

Zagrodził jej drogę.

– Posłuchaj… – powiedział spokojnym, pojednawczym tonem. – Nie zmuszam cię do niczego. Ale już cię gdzieś spotkałem i kiedy zobaczyłem cię w lodziarni, zachodziłem w głowę, gdzie to było.

Janet odwróciła głowę, udając obrażoną, lecz tak naprawdę skręcało ją z ciekawości. Gdzie ten mężczyzna mógł ją wcześniej spotkać?

– Będę wdzięczna, jeśli pozwoli mi pan przejść – powiedziała lekko drżącym głosem.

Odstąpił w bok.

– Nie zatrzymuję szanownej pani – odparł.

Popatrzyła na niego, zupełnie nie wiedząc, jak powinna się zachować. Stał na chodniku z szelmowskim błyskiem w oczach, wyginając w uśmiechu grube wargi.

– Hm… dziękuję – mruknęła.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Wygładziła spódnicę i poprawiła torbę na ramieniu. Ależ ten człowiek był irytujący! Najpierw zachowywał się po prostacku i nie chciał pilnować swego nosa, a teraz, kiedy się okazało, że prawdopodobnie wcale nie jest prostakiem, pilnował go aż za bardzo.

– Pewnie nie powie mi pan, gdzie mnie pan widział – rzuciła tak wyniosłym tonem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć.

Wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Nie zamierzam cię prześladować – odparł.

– Ale nie powie mi pan tego?

– Nie, chyba że sama będziesz chciała to usłyszeć.

– Nie przypominam sobie, żebym gdzieś pana widziała – powiedziała.

Delikatnie ujął ją pod ramię.

– Powiem ci, gdzie to było, ale nie stójmy tutaj. Wiem, że masz sprawunki do załatwienia.

Janet czuła się zażenowana, idąc środkiem miasta w towarzystwie tego czerwonolicego

wielkoluda w roboczym ubraniu, ale próbowała nie dać tego po sobie poznać. Pani Mulliner zdarzało się czasem iść na kolację w towarzystwie jakiegoś roztrzęsionego dziadygi, a skoro pani Mulliner godnie potrafiła znieść tak niedobrane towarzystwo, ona też powinna dać sobie radę.

– Pracujesz dla Beatrice Mulliner, prawda? – zapytał mężczyzna. – Widziałem cię w sobotę po południu na garden party u Franka Edmundsa, ale może się mylę…

Janet spłonęła rumieńcem, chociaż nie było ku temu żadnego powodu. No, może poza tym, że nieznajomy nie powiedział „pani Mulliner”, lecz „Beatrice Mulliner”.

– Zgadza się – odparła. – Jestem pokojówką u państwa Mullinerów, ale nie mogę powiedzieć, żebym widziała pana u nich na garden party.

Roześmiał się.

– No cóż… nie byłem w tym stroju. Kiedy idę na garden party, nie ubieram się jak do roboty.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– Znaczy się… był pan tam jako gość?

Zatrzymał się.

– Można by tak powiedzieć. Prawdę mówiąc, przyszedłem bez zaproszenia. Jedzenie było całkiem, całkiem, ale rozmowa nudna jak flaki

z olejem. Tak czy siak, chyba będę musiał się z tym pogodzić, skoro chcę wejść do tutejszego towarzystwa. Czy ten jegomość z bokobrodami to naprawdę małżonek pani Mulliner?

Janet z trudem powstrzymała uśmiech.

– Tak, mój pan jest starszy od pani o dobrych kilka lat. Prowadzi firmę adwokacką przy Piątej. To bardzo miły dżentelmen.

– Tak, pewnie… – mruknął nieznajomy. – Nie mówię, że nie.

Janet przez chwilę mu się przyglądała. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który wzbudziłby w niej równie wielką ciekawość. Wiedziała, że musi wracać, bo inaczej spóźni się na pranie, ale zwlekała – bardzo chciała się dowiedzieć, kim jest ten człowiek i dlaczego się tak ekscentrycznie zachowuje. Czemu mężczyzna, który zjawia się niezaproszony na przyjęciu, chodzi po Main Street ubrany jak zwykły robociarz? Był brzydki, ale jednocześnie dziwnie pociągający, biła od niego jakaś wewnętrzna siła, jakby miał przed sobą wyraźnie określony cel, który koniecznie musiał osiągnąć.

Przejechał ręką po rzedniejących jasnych włosach i popatrzył na nią.

– Zastanawiam się, czy nie mogłabyś dla mnie czegoś zrobić – powiedział.

– To zależy co.

– Hm… jestem w tym mieście od kilku dni i rozglądam się. Doszedłem do wniosku, że to dobre miejsce do otwarcia interesu, i dlatego się do ciebie zwracam.

Janet nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

– Na pewno nikt nie będzie panu w tym przeszkadzał.

Przesunął się w bok, przepuszczając chłopca ze sklepu spożywczego, który taskał worek ziemniaków.

– Wiem o tym – odparł. – Ale by otworzyć interes, potrzeba czegoś więcej niż tylko wyrozumiałości bliźnich. Nie obejdę się bez pomocy. Powinienem wiedzieć, co dzieje się w Broughton, i to zarówno w świecie interesów, jak i w kręgach towarzyskich. Muszę działać szybko i na pewniaka. I tu właśnie liczę na ciebie.

– Ale co ja bym miała zrobić? – spytała zdziwiona Janet. – Niewiele mogę. Jestem tylko służącą.

Uśmiechnął się.

– Mogłabyś rozpuścić tutaj trochę plotek o mnie. To wcale nie takie trudne. Możesz powiedzieć swojej pani, że jeden ważny gość, który nazywa się Johann Cornelius i przyjechał z Nowego Jorku, zamierza otworzyć w mieście

interes. To wystarczy. Nic więcej nie musisz mówić. Niebawem każdy będzie chciał wiedzieć, kim jestem i gdzie można mnie znaleźć.

– To wszystko? Wystarczy powiedzieć, że przyjechał do nas pan Cornelius i zamierza otworzyć interes?

Kiwnął głową.

– To wszystko.

Zapanowała niezręczna cisza. Janet zastanawiała się, czy pan Cornelius da jej parę groszy, ale on tylko się uśmiechał i ani myślał sięgnąć do kieszeni. Było oczywiste, że spodziewa się przysługi gratis.

– Niech pan nie myśli, że jestem nieżyczliwa, panie Cornelius, ale darmowe przysługi oddaje się przyjaciołom – wycedziła.

Uśmiechnął się.

– Nie jesteś moją przyjaciółką?

– Znam pana dopiero od pięciu minut! Przyjaźń jest jak kojący cień drzewa, panie Cornelius, ale jaki cień może dać mała gałązka?

– Wobec tego zostańmy przyjaciółmi – powiedział. – Jeśli będziesz miała w tym tygodniu wychodne, wezmę cię do wesołego miasteczka na błoniach.

Pokręciła głową.

– Panie Cornelius… musi pan dać mi trochę czasu, żebym to rozważyła. Poza tym mam już… wielbiciela.

Gdy pocałował ją w rękę, rozejrzała się nerwowo, sprawdzając, czy nie zauważył tego ktoś znajomy.

– Na pewno każdy mężczyzna, który cię pozna, zostaje twoim wielbicielem – powiedział. – Kiedy się zdecydujesz, zostaw mi wiadomość w lodziarni. Na razie mam robotę do wykonania… ty zresztą też. Poznanie ciebie było wielką przyjemnością i z góry cieszę się na nasze następne spotkanie.

Uśmiechnął się do niej, po czym szybko odszedł chodnikiem i po chwili zniknął za rogiem Ósmej. Janet patrzyła za nim przez dobrą chwilę, po czym ruszyła do sklepu żelaznego Scully'ego.

– Coś cię gnębi? – spytał Scully, wyłaniając się z mrocznych, pachnących mydłem głębin sklepu.

Pokręciła głową.

– Nie jestem pewna, panie Scully – odparła cicho. – Myślę, że właśnie poznałam kogoś bardzo dziwnego. Dziwnego albo niegodziwego. A może i dziwnego, i niegodziwego. Mam nadzieję, że nigdy się nie przekonam, jak jest naprawdę.

♦ ♦ ♦

W porze lunchu zgrzany i głodny Johann Cornelius wszedł do jadłodajni Parsonsa przy Drugiej Ulicy, w biedniejszej, pokrytej liszajami obłażących tynków części dzielnicy handlowej, i usiadł przy małym stoliku nad białą miską z soloną wołowiną i kluskami, osiem centów za porcję.

Jadłodajnia Parsonsa była lokalem dla robotników i w przeciwieństwie do śródmiejskiej restauracji dla zamożnych, gdzie podczas południowego posiłku zawsze było tłoczno i gwarnie, panowała w niej przygnębiająca cisza. Zmęczeni i wygłodniali najemni robotnicy garbili się nad talerzami, nabierając zniszczonymi łyżkami twarde kluchy i łamiąc czerstwy czarny chleb.

Johann zakosztował już takiego życia. Start od zera w Nowym Świecie nie miał w sobie niczego romantycznego ani podniecającego. Przeciwnie, był bardzo bolesny i zniechęcający. Tego dnia – trzynastego sierpnia 1900 roku – Johann Cornelius kończył dwadzieścia siedem lat, ale traktował ten dzień jak jeden z wielu, pozbawiony wszelkiego znaczenia. Aby dożyć następnych urodzin, najpierw musiał jakoś

przetrwać, ale przecież Pan znał cały przebieg jego życia i on sam nie bardzo mógł to zmienić. Musiał założyć firmę i zarobić pieniądze. Bóg pomaga ludziom, którzy sami sobie pomagają.

Przebywał w Ameryce od ponad dwóch lat. Prawie nie myślał o rodzinie, a jeśli już sobie na to pozwalał, nachodziły go jedynie fragmenty wspomnień. Jako chłopiec zawsze pasjonował się inżynierią; jego ciekawość budził każdy skomplikowany mechanizm, którego działanie opierało się na matematyce. Jego ojciec, hodowca bydła w holenderskim Amersfoort, musiał pracować przez wiele lat, aby zapewnić synowi edukację, i Johann został inżynierem. Tego samego roku, w którym ukończył studia, ojciec z niewiadomego powodu dostał udaru, gdy pędził krowy z pastwiska do obory. Johann zrezygnował wtedy z robienia wielkiej kariery i wrócił na ojcowiznę, by opiekować się matką, niedołężnym ojcem i sześciorgiem młodszego rodzeństwa.

Nikt nie wiedział, co tak naprawdę czuł. Nikt nie wiedział, że kiedy przez wszystkie tamte lata oporządzał bydło, dręczyła go straszliwa, dojmująca frustracja i gorycz. Żałował utraconej szansy, która okazała się tylko pięknie opakowanym pudełkiem, kryjącym nędzarskie

szmaciane rękawiczki. Pewnego dnia w 1897 roku wziął od matki drugie śniadanie, pajdę czarnego chleba z serem, i ruszył przed siebie grząską ścieżką. Nigdy więcej nie pokazał się w domu. W snach nawiedzała go zmęczona, pospolita twarz matki, podrygujący, sparaliżowany ojciec, ale za dnia zasłaniał te pełne poczucia winy wizje kolorowymi obrazkami Holandii z czerwonymi chodnikami, biało-czarnymi krowami i pięknym błękitnym niebem, po którym przemykały pierzaste baranki.

Wybłagał miejsce w wozie u dostawcy serów, jadącego do ’s-Gravenhage. Stamtąd na piechotę dotarł do Scheveningen. Ostatnie guldeny wydał na przeprawę do Anglii. Znał tylko dwa angielskie słowa: „tak” i „tolerancja” – to ostatnie jedynie w technicznym znaczeniu, niemające żadnego związku z wolnością religijną, której brak wygnał z ojczyzny tylu Holendrów. Znalazł zatrudnienie jako ślusarz mechanik w Balham, na przedmieściu Londynu. Nocą wracał do zawilgłego pokoju, cuchnącego brudną pościelą i gazem ulatniającym się z nieszczelnych rur. Z Londynu najlepiej zapamiętał deszcz spływający z szarych dachówek, pożółkłe,

zadymione niebo i rozpaczliwe poczucie, że jego życie już zawsze będzie tak wyglądać.

Pewnego deszczowego listopadowego wieczoru w 1897 roku zobaczył w witrynie zakładu szewskiego przy Garratt Lane plakat reklamujący przewozy do Nowego Jorku. Na pięknej akwaforcie parowiec linii White Star trzepotał wimplami, śmiało tnąc gładkie fale w drodze do Nowego Świata. Statek wypływał z Liverpoolu w każdą środę. Najtańsze miejsce na pokładzie kosztowało cztery funty. Johann wrócił do domu i otworzywszy puszkę z pieniędzmi, doliczył się nieco ponad jednej czwartej tej sumy, dwudziestu pięciu szylingów.

Przez cały grudzień, styczeń i luty – podczas kąśliwej, obfitującej w gęste śniegi londyńskiej zimy, pod niekończącym się niebem barwy ołowiu – głodził się, oszczędzając na bilet. Boże Narodzenie 1897 roku spędził samotnie w swoim wynajętym pokoju nad talerzem wodnistej owsianki. W walentynki wrzucił do puszki ostatnie brakujące trzy pensy i następnego dnia poszedł do kasy linii okrętowych, by kupić bilet.

Statek z proporczykiem Poczty Królewskiej, sunący dumnie po gładkich wodach, okazał się jedynie wytworem artystycznej wyobraźni. Na chłostanym falami Atlantyku Johann kulił się pod

mokrym kocem, słuchając rozpaczliwego płaczu chorych dzieci, kaszlu starców i dudnienia silników, które bez wytchnienia wiozły ich ku nieznanemu przeznaczeniu. Czuł się zniechęcony i osamotniony. Wieczorami nieustannie się modlił.

Wraz z setkami innych emigrantów przeszedł odprawę na Ellis Island. Pierwszego dnia w Nowym Jorku padało od brzasku do zmroku i Johann przemókł do suchej nitki. Po pewnym czasie i pokonaniu wielu mil znalazł pracę w centrum, w Zakładach Mechanicznych Nathaniela, małej firmie produkującej układy hamulcowe do lokomotyw. Właściciel firmy, niemiecki imigrant o przylizanych włosach, noszący szkła połówki i kanarkowe kamizelki, z czasem polubił nowego pracownika i zdradził mu kilka tajemnic prowadzenia takiego interesu jak jego.

– Nieważne, czy jesteś dobry, możesz być nawet geniuszem – mówił, upychając w fajce z morskiej pianki śmierdzący tytoń. – Kiedy masz zakład mechaniczny, musisz wbić ludziom do głowy, że bez ciebie nie dadzą sobie rady. Jeśli ci się to uda, jesteś w domu. No i musisz poszukać sobie przyjaciół. Nieważne, że będzie ci się robiło niedobrze na ich widok. W tym kraju tylko

przyjaciel poda człowiekowi pomocną dłoń, obcy najwyżej poczęstuje cię kułakiem, a tu zawsze będziesz miał więcej wrogów niż przyjaciół.

Johann posłusznie kiwał głową i uczył się. Wieczorami, gdy jego szef szedł do domu, wyciągał księgi rachunkowe i ślęczał nad nimi godzinami, dopóki nie poznał struktury finansowej zakładu Nathaniela jak wzoru tapety na ścianie przy łóżku. Dokładnie poznał koszty robocizny i ceny stali – sprężyn, śrub, nitów i części zamiennych.

O dziewiątej wieczorem, po skończeniu pracy, szedł do szkoły wieczorowej przy Bowery i uczył się języka angielskiego u tłustej starej panny, Holenderki z pochodzenia, noszącej czarne flanelowe sukienki i czarne kapelusze z woalką. W weekendy pakował do papierowej torebki kilka kromek chleba z kiełbasą i chodził po ulicach Nowego Jorku, chłonąc widoki i odgłosy miasta. Zwiedził Battery Park i getto; przepychał się wśród barwnych tłumów przy Grand Street i mieszał z Włochami bawiącymi się na Chatham Square. Chodził po zamożnych dzielnicach mieszkalnych i przystawał przed wspaniałymi rezydencjami amerykańskich bogaczy. Pewnego razu pod numerem 26 przy Broadwayu zobaczył samego Johna D. Rockefellera. Milioner miał

gęste bokobrody i był ubrany w nieskazitelny ciemny żakiet. Johanna najbardziej zdziwiło, że ten nieprawdopodobnie bogaty człowiek ledwo dorównywał mu wzrostem – a może nawet był nieco niższy.

Podczas miesięcy spędzonych w Nowym Jorku usilnie starał się zdusić w sobie nostalgię za Holandią, ale zdarzało mu się przesiedzieć letni wieczór w Van Cortlandt Park, wspominając kraj i rodzinę. Odwiedził też holenderski cmentarz na Staten Island. Uczynił to bez żadnego wyraźnego powodu, chodził jedynie między grobami i szeptem odczytywał napisy na kamiennych płytach.

Czuł się rozpaczliwie samotny, ale wiedział, że samotność jest immanentną częścią jego przeznaczenia. Będąc sam, mógł ciężej i dłużej pracować. Wkrótce zaprzyjaźnił się z dwoma kolegami z zakładu – młodym Irlandczykiem, Dannym O'Sullivanem, i żydowskim jąkałą, Irą Greenbaumem. Czasem wychodzili razem na miasto i zjadali lunch w porcie. Dwukrotnie umówił się z poznaną w szkole wieczorowej pulchną młodą Włoszką. Za pierwszym razem poszli na koncert operetkowy na Broadwayu, za drugim zabrała go do siebie, na Washington Street, i przedstawiła rodzicom. Nakarmili go

gołąbkami z jagnięciną i napoili muszkatelem, po czym, ku jego bezbrzeżnemu zdumieniu, pogratulowali mu bliskiego małżeństwa z ich córką. Po tym wydarzeniu przez dwa tygodnie nie zaglądał do szkoły, a kiedy w końcu zdobył się na odwagę i przyszedł na zajęcia, dziewczyny już na nich nie było.

Na początku lata 1900 roku zarabiał sześć dolarów i trzydzieści pięć centów tygodniowo i pewnego czerwcowego przedpołudnia stary Nathaniel dał mu do zrozumienia, że czeka go awans. Podczas weekendu wybrał się na spacer Piątą Aleją i przez całe popołudnie wałęsał się między drogimi powozami z woźnicami w cylindrach, damami w futrach, piórach i brylantach oraz paniczykami w wykrochmalonych białych koszulach i robionych na miarę butach. Potem usiadł na jednej z kamiennych ławek stojących przed biblioteką przy Czterdziestej Drugiej Ulicy. Gołębie kręciły mu się między nogami, a on wygrzebywał z kieszeni twarde herbatniki i jadł je, oddając okruszki ptakom. Właśnie wtedy postanowił, że zostanie bogaty.

Zaoszczędził u Nathaniela wystarczająco dużo pieniędzy, aby stać go było na dwa ważne wydatki – kupił bilet na parowiec płynący do

teksańskiego Galveston, po czym z wózka przy East Side wybrał używany garnitur i koszulę. Zaraz potem spakował swoją zniszczoną brązową walizkę i opuścił Nowy Jork, nie zostawiając żadnej wiadomości i z nikim się nie żegnając.

Kiedy tego dnia siedział w jadłodajni Parsonsa w Broughton, był tak samo biedny jak wcześniej, jednak teraz miał przed sobą jasno określony cel. Zresztą był to nie tylko cel, ale również sposób na dalsze życie. Granica między bogatymi i biednymi była dla niego oczywista i nie miała żadnego związku z ciężką pracą ani ze szczęściem. Żeby być bogatym, trzeba było urodzić się bogatym. Jeszcze nikt bez grosza przy duszy nie dorobił się fortuny. Bogactwo się osiąga, mądrze używając posiadanych pieniędzy, wielkie zasoby tworzy się z mniejszych. Kiedy tylko zgromadzisz tyle dolarów, że masz ich dość, aby nie wydać wszystkiego na dach nad głową, ubranie oraz miskę solonej wołowiny z kluskami, dysponujesz środkami umożliwiającymi wydostanie się z biedy i osiągnięcie zamożności. Dla finansisty pieniądz jest takim samym niezbędnym narzędziem jak dla cieśli młotek.

Jego problem polegał na tym, że nie miał pieniędzy. Podczas wielomiesięcznej pracy

w Nowym Jorku zaoszczędził jedynie tyle, że wystarczyło na podróż, i teraz miał w kieszeni tylko dziesięć dolarów, które musiały zapewnić mu jedzenie oraz utrzymanie przynajmniej przez miesiąc. Doszedł do wniosku, że z braku prawdziwych pieniędzy musi posłużyć się wyimaginowanymi. Stworzy pozory zamożności i posługując się iluzją dostatku, osiągnie prawdziwy dostatek. Właśnie dlatego – mimo braku zaproszenia – w starannie wyprasowanym garniturze i wykrochmalonej koszuli poszedł na sobotnie przyjęcie dla miejscowej socjety i starał się zawrzeć znajomość z każdym, kto choć trochę liczył się w Broughton.

Uznał, że Mullinerowie to dobra znajomość.

Siedzący obok niego człowiek o spoconej twarzy, robotnik kolejowy układający tory, wpatrywał się chciwie w jego kawałek chleba. Niewątpliwie miał nadzieję, że jego sąsiad najadł się już do syta i coś zostawi. Johann uniósł głowę i napotkał jego wzrok. Mężczyzna nie odwrócił głowy. Miał zapadnięte policzki i chude, pokryte bliznami palce.

Johann powoli wsunął do ust kromkę i demonstracyjnie odgryzł kęs. Tamten obserwował każdy ruch jego szczęk, jakby liczył na to, że Johann rozmyśli się w połowie

przeżuwania i zostawi mu resztę. Dopiero kiedy ostatni kawałek chleba zniknął, opuścił oczy i z powrotem zabrał się do swojego chudego kapuśniaku.

Johann uważał, że nikt, kto rozdaje centy, nie zarobi nawet jednego dolara. Wyczytał gdzieś, że gdyby najbogatszy człowiek w Ameryce postawił wszystkim w kraju stek na kolację, tego samego wieczoru zostałby bankrutem. Zarabianie pieniędzy i puszczanie ich w ruch było na dłuższą metę o wiele pożyteczniejszą i bardziej dobroczynną działalnością niż ich rozdawanie. I chociaż robotnik kolejowy patrzył na niego z urazą, Johann wiedział, że Pan go rozumie i stoi po jego stronie.

Następnego ranka włożył na siebie swoje najlepsze ubranie i wyszedł z pensjonatu, w którym się zatrzymał. Dom był czysty i odeskowany, ale biedny. Stał na rogu Lubbock Street, obok zagród dla krów. Broughton wzbogaciło się na handlu i transporcie bydła, ale teraz były tu również zakłady metalowe produkujące kuchenki oraz firma rusznikarska T.F. Puseya. Johann przeprowadził już rozpoznanie, przechadzając się w robotniczym ubraniu przy bramach obu fabryczek i wyrabiając sobie opinię na temat

wytwarzanych artykułów oraz mocy produkcyjnej zakładów i ich potrzeb.

Denerwował się i pocił. Na Szóstej Ulicy zatrzymał się, wyjął z kieszeni pogniecioną białą chusteczkę do nosa i wytarł nią ręce. Potem skręcił w Piątą i skierował się do siedziby Broughton National Bank, okazałego budynku stojącego po północnej stronie ulicy. Pchnął mahoniowe wahadłowe drzwi prowadzące do wykładanego marmurem wnętrza i podszedł do wysokiego kontuaru.

– Tak? – odezwał się kancelista w okularach.

– Jestem umówiony z panem Greavesem – oznajmił Johann. – Nazywam się Cornelius. Johann Cornelius.

– Tak, proszę pana – odparł urzędnik, po czym podszedł do drzwi gabinetu dyrektora i zapukał.

Pan Greaves był wysokim, chudym, nerwowym człowiekiem. Co chwila zdejmował i zakładał okulary, wyjmował zegarek, unosił kopertę i zamykał ją z trzaskiem, przeczesywał ręką swoje rzadkie siwe włosy, pokasływał, zakładał nogę na nogę, po czym z powrotem stawiał ją na podłodze.

Zaprosił Johanna do środka, wskazał mu fotel i usiadł za swoim wielkim biurkiem z blatem obitym skórą.

– Hm, panie Cornelius, słyszałem o panu… – zagaił, wiercąc się w fotelu.

Johann uniósł brwi. Najwyraźniej w tak małej mieścinie wieści rozchodziły się bardzo szybko. Skromnie opuścił wzrok i spytał:

– Mam nadzieję, że dobre rzeczy, panie Greaves?

Bankowiec się uśmiechnął.

– Oczywiście, panie Cornelius. Oczywiście.

Johann odpowiedział mu uśmiechem. Zdawał sobie sprawę z tego, że siedzi zbyt sztywno i kurczowo zaciska palce na rondzie czarnego melonika. Ale wiedział też, że ta rozmowa może zadecydować o tym, czy uda mu się przekroczyć granicę między bogactwem i ubóstwem. Wiele lat później powiedział jednemu ze swoich dzieci: „To był wóz albo przewóz, jedna z tych chwil, kiedy wiesz, że grasz o całe swoje życie, i musisz walczyć do upadłego”.

Spróbował się rozluźnić. Czując pod palcami twarde rondo kapelusza, powiedział cicho:

– Jestem inżynierem.

Greaves znów się uśmiechnął.

– Tak, wiem o tym.

– Rozważam otwarcie w Broughton własnego interesu. Przyjechałem z Nowego Jorku. Byłem tam wspólnikiem w firmie produkującej układy

hamulcowe i dowiedziałem się, że w Teksasie brakuje inżynierów, więc przyjechałem tutaj.

– Rozumiem – mruknął Greaves, choć ton jego głosu wcale nie wskazywał, że cokolwiek rozumie.

– Słyszałem, że Teksas rośnie jak na drożdżach. Macie tu bydło, ropę naftową i bardzo potrzebujecie transportu…

– Owszem – potwierdził bankier.

Założył nogę na nogę, ale zaraz zmienił zdanie i postawił ją z powrotem na podłodze. Popatrzył niecierpliwie na Johanna, jakby nie mógł się doczekać chwili, kiedy jego gość wyjaśni, z czym przyszedł, i zostawi go w spokoju.

– No i… że tak powiem… – wydukał Johann, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Greaves wiercił się w fotelu, a im bardziej się wiercił, tym trudniej było Johannowi się wysłowić. Nagle to, z czym tu przyszedł, wydało mu się tak niedorzeczne, że miał ochotę przeprosić, pożegnać się i wycofać rakiem.

Nie mógł tego jednak zrobić, bo straciłby twarz.

– No i… więc myślę, że w Broughton bardzo przydałyby się zakłady naprawcze…

– Zakłady naprawcze? – powtórzył Greaves.

– Tak… to znaczy zakłady mechaniczne… myślę, że te wszystkie maszyny… lokomotywy, tokarki, silniki parowe i tak dalej… często się psują, więc trzeba je naprawiać.

Zamilkł, targany coraz większymi wątpliwościami. Grał o pieniądze, jakich nie widział przez całe swoje dotychczasowe życie, a nawet nie potrafił sklecić prostego zdania. Był tak rozgorączkowany i spocony, że gabinet bankiera wydał mu się nagle pozbawiony powietrza i klaustrofobiczny jak zatrzaśnięty sejf.

Greaves otworzył dużą srebrną papierośnicę, podsunął mu ją i spytał:

– Papieroska?

Johann odmownie pokręcił głową.

– Więc… myślę, że…

Greaves, zapalił papierosa i wydmuchał dym.

– Tak, panie Cornelius?

Zapach dymu tytoniowego sprawił, że Johann spocił się jeszcze bardziej. Pomyślał, że musi natychmiast wyjść – nie tylko z gabinetu, ale także z budynku – i stanąć na ulicy, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Weź się w garść, nakazał sobie, wpatrując się w denko swojego kapelusza. Weź się w garść i powiedz mu, czego chcesz. Jeśli teraz ci się nie uda, to nigdy.

– Jestem przekonany, że Broughton bardzo potrzebuje takich zakładów – powiedział powoli. – I dlatego chciałbym je tu zbudować. Spędziłem w mieście kilka dni, zajrzałem do fabryk, przepytałem paru agentów handlu nieruchomościami i doszedłem do wniosku, że cała rzecz jest realna. Nie tylko realna, ale także bardzo zyskowna.

Abstrakcyjne, wyuczone w szkole wieczorowej pojęcia gładko spływały z jego ust.

Greaves wygodnie rozparł się w fotelu, paląc papierosa. Mimo że był rozluźniony, nie mógł usiedzieć spokojnie. Nieustannie przekładał papierosa z ręki do ręki i obracał go w palcach, co jakiś czas zaciągając się dymem.

Johann nadal siedział sztywno, trzymając stopy razem. Jego wypolerowane buty stały równo obok siebie jak w niewidzialnym pudełku.

– No tak… – mruknął w końcu Greaves. – Ile chce pan pożyczyć?

Johann nerwowo oblizał wargi. Przez chwilę wydawało mu się, że stanie się cud i naprawdę dostanie to, czego chciał. Zaraz jednak uświadomił sobie, że choć pożyczanie pieniędzy to zajęcie dyrektora banku, pytanie, ile chciałby pożyczyć, niekoniecznie oznaczało, że bankowiec

pochwala jego pomysł i uważa go za wiarygodnego.

– Około… dziesięciu tysięcy dolarów.

– Około dziesięciu tysięcy dolarów? Rozumiem. Plus minus ile więcej?

Johann uśmiechnął się niepewnie.

– Plus minus pięć centów więcej.

Bankier wybuchnął śmiechem i śmiał się, dopóki jego śmiech nie zamienił się w charkot, a charkot w duszący kaszel.

– Przepraszam – powiedział, ocierając usta zieloną chustką do nosa. – Nie powinienem tyle palić.

Johann wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że to szkodzi na serce – rzekł. Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Wszystko, co robi dyrektor banku, szkodzi na serce – zauważył Greaves. – Lekarz stwierdził, że powinienem pojechać na pół roku nad morze, żeby podreperować zdrowie. Powiedział, że nie wolno mi pić ani palić i każdego ranka powinienem chodzić wokół trawnika… żeby go cholera. Gdybym go posłuchał, po trzech dniach leżałbym w grobie. Sześć razy dziennie łykam nitroglicerynę, cztery razy dziennie pepsynę, a i tak czuję się jak zbity pies.

Johann uśmiechnął się uprzejmie.

– Więc… jeśli chodzi o te dziesięć tysięcy dolarów…

Greaves znów założył nogę na nogę i z powagą pokiwał głową.

– Hm… – mruknął. – Dziesięć tysięcy dolarów to bardzo dużo pieniędzy. Zakładam, że ma pan jakiś plan tej swojej inwestycji. Zestawienie finansowe, koszty robocizny i materiałów, wysokość zatrudnienia… tego rodzaju rzeczy.

Johann sięgnął do kieszeni. Z kupionej wczorajszego popołudnia czystej grubej koperty wyjął kartki zestawień finansowych, które przygotował w Nowym Jorku, wzorując się na księgach Nathaniela. Przesunął je po blacie biurka i Greaves w milczeniu przeglądał je przez pięć minut, lekko marszcząc kościste czoło i muskając czubkami palców brzegi kartek.

Johann rozluźnił się trochę i rozejrzał po gabinecie. W kącie rozpierał się misternie zdobiony sześćsetfuntowy sejf Fireking, na którym stała sepiowa fotografia pani Greaves. Drugi kąt zajmowała wysoka szafka na akta. Na szufladach były przylepione schludnie wypisane etykiety z nazwami miejscowych firm. Kiedy otrzymasz tu szufladę, oznacza to, że jesteś godny zaufania, pomyślał. Masz pieniądze. Zrobiłeś pierwszy krok na drodze do majątku. Siedząc

przed Greavesem, czuł się jak nędzarz, imigrant bez centa przy duszy. Nie posiadał nic poza nędznym, używanym ubraniem, które miał na grzbiecie. Jeszcze nie wiedział, jak smakuje prawdziwe bogactwo, ale z pewnością dobrze poznał smak biedy. Na chwilę przymknął oczy i złożył ręce, modląc się do Boga o pokierowanie jego krokami.

Rozległ się szelest kartek.

– Panie Cornelius… – zaczął Greaves.

Johann szybko otworzył oczy.

– To zestawienie sprawia znakomite wrażenie. Od lat nie widziałem równie przekonującego planu inwestycji. Zwykle mam do czynienia z ludźmi, którzy przynoszą mi kilka liczb nagryzmolonych na starej torebce po cukrze i oczekują, że na tej podstawie pożyczę im pieniądze.

Zachichotał i Johann również się cicho zaśmiał. Był spięty jak kot, który podkrada się do dwa razy większego od niego ptaka.

– Mówi pan, że rozmawiał z agentem handlu nieruchomościami? – spytał Greaves.

Johann kiwnął głową.

– Przy Czwartej Ulicy stoi pusty magazyn, który akurat by mi pasował – odparł. –

Obejrzałem go wczoraj. Chcą za niego trzy dolary dziewiętnaście centów tygodniowo.

Bankier zaciągnął się papierosem.

– Hm, myślę, że można by nieco zbić ten czynsz… Czwarta to nie aleja milionerów.

– Może i tak, ale biegnie w pobliżu parowozowni i fabryk, a to się liczy.

Greaves popatrzył na niego uważnie.

– Rozumiem. A co z zabezpieczeniem?

To był krytyczny moment. Johann poczuł, że brakuje mu tchu w piersiach, i nie potrafił wykrztusić niczego sensownego.

– Mam nadzieję, że nie mówimy o niezabezpieczonej pożyczce – powiedział Greaves i znowu zachichotał, jakby pomysł niezabezpieczonej pożyczki był zabawniejszy od wszystkich komiksów razem wziętych.

Johann wybąkał cichym, łamiącym się głosem:

– Panie Greaves, zdaję sobie sprawę, że pewnie oczekuję zbyt wiele, ale jeśli mam być do końca szczery, to cóż… jestem zmuszony prosić pana o dziesięć tysięcy dolarów bez zabezpieczenia.

Zapadła cisza.

Bankier wpatrywał się w niego przez chwilę, po czym pokręcił głową.

– Panie Cornelius, bardzo mi przykro…

– Niech pan nie mówi, że jest panu przykro – przerwał mu Johann. – Proszę tylko wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.

Greaves westchnął.

– Oczywiście, że pana wysłucham. Jednak chyba pan wie, że w żadnym wypadku nie możemy pożyczać pieniędzy bez gwarancji. Oczywiście jesteśmy gotowi podjąć pewne ryzyko, ale jeśli dałbym panu pieniądze wyłącznie na słowo, zaraz inni zgłosiliby się z podobnym żądaniem, i jak by to się skończyło? Gdybym byle komu udzielał pożyczek, wkrótce miałbym pusty sejf.

– Ja nie jestem „byle kto” – oświadczył Johann.

Greaves się uśmiechnął.

– Wiem. Na pewno nie jest pan byle kim we własnych oczach i zapewniam pana, że w moich również nie. Jednak z żalem muszę stwierdzić, że w oczach rady nadzorczej banku jest pan byle kim. Nawet nie ma pan u nas rachunku.

Johann wyjął swoje ostatnie dziesięć dolarów, dziesięć wygniecionych jednodolarowych banknotów, i położył je na blacie biurka.

– Jeśli zgłasza pan takie zastrzeżenie, w takim razie otwieram rachunek.

Greaves pokręcił głową.

– To nie zastrzeżenie. Słyszałem o panu pozytywne opinie od paru ludzi w tym mieście. Jestem przekonany, że nie brak panu znaczących środków. Ale dziesięć tysięcy dolarów…

Johann położył rękę na okrytym skórą blacie biurka.

– Panie Greaves, jeśli pożyczy mi pan dziesięć tysięcy dolarów, nigdy w życiu pan tego nie pożałuje.

– Z całym szacunkiem, panie Cornelius, jeśli pożyczę panu dziesięć tysięcy dolarów bez zabezpieczenia i rada nadzorcza mojego banku się o tym dowie, mogę nawet nie dożyć chwili, w której mógłbym tego pożałować.

– Przyniosę panu list – dodał Johann.

– Jaki list?

– Od wszystkich ludzi w Broughton, którzy chcą korzystać z usług moich zakładów naprawczych. Jest wśród nich wielu biznesmenów. Z pewnością chętnie udzielą gwarancji na pańską pożyczkę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Greaves kręcił młynka palcami i rozważał to, co właśnie usłyszał.

– Myślę, że przecenia pan biznesmenów z Broughton, panie Cornelius – powiedział po chwili. – To banda sukinsynów bez serca.

♦ ♦ ♦

Tydzień później Johann szedł Beaumont Street ze zwieszoną głową – jak człowiek, który idzie załatwić pogrzeb swojej matki. Zrobiło się chłodniej i znad oceanu napływało świeże powietrze. Liście palm szeleściły cicho, kwiaty na rabatkach drżały. Johann miał na sobie ten sam ciemny garnitur, który włożył, gdy udawał się do banku, oraz ten sam melonik, a jego czarne buty znów były wyszczotkowane do połysku.

Kiedy doszedł do numeru 15, zatrzymał się. Był to wolno stojący dom z drewnianymi kolumienkami i cienistą werandą, otoczony drzewami i pomalowanym na biało płotem. Spowijał go ciężki zapach kwiatów, a z liściastej gęstwiny ogrodu dobiegał głos murzyńskiej służącej, śpiewającej *Szybką Ellę*. Johann podszedł do furtki, patrząc na ścieżkę prowadzącą do imponujących drzwi frontowych, i ponownie poczuł ostre ukłucie niepewności i niepokoju.

Nadstawcie uszu, a wnet się dowiecie,
Co dnia tamtego spotkało Szybką Ellę…

Otworzył furtkę i ruszył dalej. Z kieszonki na piersiach wyjął czystą, białą wizytówkę i pociągnął za sznur lśniącego dzwonka z brązu. Z głębi domu dobiegło stłumione „ding-dong”. Johann stał na werandzie, przestępując z nogi na nogę, stukając wizytówką w dłoń i czekając, aż ktoś otworzy drzwi. Na balustradzie werandy obok niego usiadł mały ptaszek, zaświergotał i odleciał.

Murzynka śpiewała:

Do miasta Ella poszła, miłości skosztować,
Posłuchajta teraz, co Bill Morton zmalował…

Czarne drzwi uchyliły się nieco i wyjrzała z nich biała pokojówka.

– Tak? – zapytała.

– Ja… ja z wizytą do państwa Mullinerów.

Służąca szerzej uchyliła drzwi. Była drobną dziewczyną w koronkowym fartuszku.

– Pana Mullinera nie ma w domu, a pani właśnie odpoczywa.

Johann odchrząknął.

– W takim razie zostawię tylko wizytówkę.

Podał ją pokojówce. Zamówił pięćdziesiąt sztuk w nadziei, że przydadzą mu powagi.

Wykaligrafowano na nich: „Johann Cornelius, przemysłowiec”.

Pokojówka wzięła wizytówkę i przeczytała ją.

– Dobrze, proszę pana – powiedziała. – Dopilnuję, żeby pan Mulliner ją otrzymał. Miłego dnia, proszę pana.

– Ja również życzę miłego dnia – odparł Johann.

Drzwi się zamknęły i został na werandzie sam. Wrócił ścieżką do furtki, nadal zwieszając głowę. Wyglądał jak człowiek, który mimo usilnych starań w końcu zaczyna zdawać sobie sprawę, że jego czas się kończy i wielka szansa, na którą tak bardzo liczył, może się nigdy nie pojawić. Dwa lata pracy w Nowym Jorku obudziły w nim nadzieję na nowe życie i wiarę, że może wreszcie uda mu się stworzyć podstawy fortuny. Teraz jednak, mając w kieszeni tylko trzy dolary i siedemdziesiąt pięć centów, musiał wrócić do pracy za dniówkę, która zaspokoiłaby jego najbardziej podstawowe potrzeby – głód, pragnienie i dach nad głową. Ale skoro taka właśnie była wola Boga, nie mógł się jej sprzeciwiać.

Nie był zbyt skomplikowanym człowiekiem, jednak czasami trudno mu było siebie zrozumieć. Był jednocześnie nieśmiały i uparty; ambitny

i ostrożny, agresywny i bojaźliwy. Wierzył we własne siły, ale dopuszczał też możliwość interwencji Boga w swoje sprawy. Nigdy się nie oszczędzał i nie czuł zbytniego współczucia dla swoich bliźnich. Urzekały go wizje ogromnych bogactw, luksusów i przywilejów, które mogło zapewnić bogactwo, choć nawet się nie zastanowił, czy jeżdżenie eleganckimi powozami, picie doskonałych win i jedzenie wykwintnych potraw będzie mu sprawiać przyjemność, czy też nie. Nie miał żadnego wykształcenia w dziedzinie sztuki lub muzyki i bardzo niewiele wiedział na temat historii czy kultury. Potrafił odróżnić ładną melodię od marnej i wiedział, że należy nosić czystą koszulę, jednak na tym jego ogłada się kończyła. Kiedy się z nim rozmawiało, czuło się płonącą w nim nieugiętą wiarę, ale po chwili budziło się pytanie: w co ten człowiek tak naprawdę wierzy?

Stał na rogu ulicy, pomiędzy ocienionymi, pokrytymi starannie przystrzyżonymi trawnikami posesjami Wyścigów, dzielnicy zamieszkanej przez najznakomitszych obywateli Broughton, i usiłował podjąć decyzję, co dalej. Ostatnie cztery dni strawił na rozmowach z kierownikami fabryk i dyrektorami linii kolejowych, ale wszędzie odprawiono go

z kwitkiem. Nie chodziło o to, że jego pomysł otwarcia zakładów naprawczych nie wzbudził zainteresowania, jednak nikt z miejscowych biznesmenów nie dysponował wolnymi środkami, a gdyby nawet tak było, z pewnością wolałby je przeznaczyć na swoje własne przedsiębiorstwa.

Rusznikarz Pusey pogładził rude bokobrody, pokręcił głową i powiedział:

– Gdybym miał próbować tu szczęścia z dziesięcioma tysiącami dolarów, prędzej bym wsiadł na parowiec kursujący po Missisipi i postawił wszystko przy stole do faraona.

Johann podjął ostatnią próbę – zaczął szukać znajomości wśród socjety Broughton, rozpaczliwie wierząc, że w końcu ktoś zamożny podżyruje mu pożyczkę.

Kiedy miał już przejść na drugą stronę ulicy, usłyszał piskliwy głos, wykrzykujący jego nazwisko. Odwrócił się i zobaczył służącą spod numeru 15. Biegła w jego stronę, unosząc spódnicę i machając wizytówką.

– Panie Cornelius! Panie Cornelius!

Po chwili dopadła go zdyszana i zaczerwieniona.

– Panie Cornelius… Dałam pańską wizytówkę pani Mulliner i zapytała, czy nie zechciałby pan

wypić z nią przedpołudniowej kawy.

Johann uniósł brwi.

– Kawy… teraz?

– Tak, proszę pana. Powiedziała, że sprawi jej pan straszny zawód, jeśli pan nie przyjdzie.

– W takim razie chyba nie wolno mi jej zawieść – odparł Johann. – Chyba jednak mówiłaś, że właśnie zażywa odpoczynku.

– Zażywała, proszę pana – odparła służąca. – Ale kiedy się dowiedziała, kto przyszedł z wizytą, zmieniła zdanie i zdecydowała, że napije się z panem kawy.

– Bardzo mi to pochlebia – powiedział Johann, wracając ze służącą do domu. – Naprawdę.

Wnętrze rezydencji Mullinerów był ciemne, zatęchłe i urządzone w przeładowanym późnowiktoriańskim stylu. Potężny dębowy kredens z ozdobnymi nogami, rzeźbieniami na froncie i mosiężnymi uchwytami w kształcie muszli przytłaczał przedpokój. W rogu stał stojak na parasole wykonany ze słoniowej nogi, a obok niego krzesło. Na ścianach wisiały ponure sztychy przedstawiające kanadyjskie lasy oraz olejny obraz ukazujący łosia z anatomicznym defektem karku.

Służąca zaprowadziła Johanna do saloniku i kazała mu czekać. Wyjaśniła, że pani Mulliner

„właśnie się robi” i zaraz zejdzie.

Jeśli przedpokój miał robić wrażenie na gościach, to zadaniem salonu było rzucenie ich na kolana. Okna ozdobiono ciężkimi zasłonami w kolorze burgunda, za którymi wisiały firanki w wielkie nieregularne oka. Ponaszywane na nich koronkowe kosze z różyczkami przepuszczały niewiele światła. Półkę na okapie kominka przykrywała serweta z zielonego aksamitu w wodne lilie, obszyta jedwabnymi frędzelkami. Stały na niej dagerotypy, gliniane figurki, donice z zielistkami, przyciski do papieru, tykające i dzwoniące zegary, srebrny kandelabr i najrozmaitsze pamiątki. Pięcioczęściowy zestaw mebli salonowych – kanapa, trzy fotele i bujak – był utrzymany w groteskowo ponurym neogotyckim stylu i obity szkarłatnym aksamitem. Stanowił torturę dla oczu – i prawdopodobnie także dla ciała. Ściany pokrywały tapety w brązowe roślinne wzory, na których wisiały liczne szkice, rysunki i wyszywanki. Najwyraźniej pani Mulliner sądziła, że nie tylko posiada talenty dekoratorskie, ale jest także bardzo biegła w posługiwaniu się igłą i nićmi.

Przechadzając się po salonie, Johann miał wrażenie, że brodzi między podstawkami,

doniczkami z aspidistrami, stoliczkami, cokolikami i serwantkami z porcelaną cumującymi wśród zalewu śmiecia uwielbianego przez teksańską klasę średnią. W powietrzu wisiała dusząca woń trociczek i Johann natychmiast poczuł, że brakuje mu powietrza.

Czekał pięć minut, chodząc po tureckim dywanie, zanim Beatrice Mulliner zamaszyście odsunęła portiery i wkroczyła do salonu.

– Witam, panie Cornelius – przywitała go z westchnieniem, jakby był dawno niewidzianym przyjacielem domu. Uniosła wysoko dłoń, podając mu ją do pocałowania. – Jak to wspaniale, że przyszedł pan do mnie z wizytą.

Johann dotknął ustami brylantów i szafirów pani domu, jednocześnie usiłując się ukłonić.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Mulliner. Po prostu przechodziłem obok, to wszystko. Poznałem panią i pani małżonka na przyjęciu u państwa Edmundsów, więc chciałem złożyć wyrazy szacunku.

– Szacunku? – powtórzyła Beatrice Mulliner, trzepocząc rzęsami. – Jest pan cudowny. Proszę, może zechce pan usiąść? Wiele słyszałam o panu i wprost nie mogę się doczekać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

Usiedli – Johann na kanapie, sztywny jak deska, a Beatrice Mulliner wdzięcznie upozowana na pobliskim fotelu.

– Lubi pan tort orzechowy? – spytała prowokacyjnym, zmysłowym tonem. – Ja uwielbiam. Mogłabym go jeść aż do pęknięcia, ale muszę uważać na figurę. Nie wolno mi sobie za bardzo folgować.

Johann stwierdził, że Beatrice Mulliner ma znakomitą figurę. Była drobną brunetką o delikatnych, proporcjonalnych rysach twarzy i bardzo dużych, nieco kocich oczach o długich rzęsach. Jej usta wydawały się trochę rozmyte, ale długa, kremowobiała szyja, ozdobiona lśniącym naszyjnikiem z siedmiu sznurów dżetów, wynagradzała to z naddatkiem. Miała na sobie domową kaszmirową suknię koloru bladego błękitu z szerokim, wykończonym koronką kołnierzem, długimi rękawami i koronkowymi mankietami. Sznurowanie gorsu z przodu sięgało do nasady szyi, a na plecach zbiegało do szczupłej talii. Spod rąbka sukni wystawały błękitnoszare jedwabne pantofelki.

Było w Beatrice Mulliner coś, co bardzo pociągało Johanna i jednocześnie przyprawiało go o głęboki niepokój. Z jednej strony godna szacunku zamożna dama z dobrego towarzystwa,

z drugiej niezwykle atrakcyjna i przemawiająca do męskich zmysłów osóbka. Kto w zapadłym teksańskim miasteczku spodziewałby się takiej kobiety, mającej za męża noszącego bokobrody ramola, starszego od niej o dziesięć lat? Nie ulegało wątpliwości, że Beatrice Mulliner jest zagadką – choć czy była to zagadka, którą mężczyzna może rozwiązać, nie łamiąc przy tym przykazań Pana Boga, stanowiło zupełnie osobną kwestię.

Służąca przyniosła kawę i tort orzechowy na porcelanie w różyczki, którą postawiła na niskim stoliczku. Pani Mulliner sama zabrała się do nalewania kawy. Johann, który po osobie z dobrego towarzystwa spodziewał się rygorystycznego przestrzegania zasad etykiety, był tym nieco skonsternowany.

– Ma pani piękny dom, pani Mulliner – powiedział sztywno.

Uśmiechnęła się do niego i zauważył, że ma szparki między zębami.

– Nie powinieneś mówić do mnie „pani”. To takie oficjalne… Znajomi mówią mi „Bea”, kiedy są w uczuciowym nastroju.

– No tak… – mruknął, biorąc talerzyk z kawałkiem tortu i stawiając go sobie na kolanie. Swobodne zachowanie gospodyni

sprawiało, że sam czuł się okropnie niezgrabny i nieokrzesany.

– Ale na moim firmamencie próżno by wypatrywać gwiazdy uczucia, wyobrażasz to sobie? – dodała Beatrice. – Czy uwierzyłbyś, Johannie, że można pragnąć miłości równie mocno jak tortu orzechowego?

Johann miał pełne usta i kiedy próbował coś odpowiedzieć, prychnął na podołek okruchami tortu.

– Nie mam pojęcia – wymamrotał, oblewając się rumieńcem.

Beatrice westchnęła.

– Wierzę, że miłość jest pokarmem, Johannie. Nie przeszkadza ci, że zwracam się do ciebie po imieniu, prawda? Wierzę, że miłość jest w takim samym stopniu pokarmem jak wołowina i jarmuż.

– Przepraszam… – wybąkał. – Nie bardzo rozumiem.

Pokręciła głową. Jej zaczesane do góry włosy, wyszczotkowane i upięte, lśniły w łagodnym słonecznym blasku, wpadającym przez ozdobne koronkowe firanki.

– Nieważne. To jedna z tych rzeczy, które nie mają szczególnego znaczenia. Widzisz, Liddy nie przepada za rozmowami o miłości, więc nie

pozostaje mi nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry.

– Liddy?

– Och… to mój mąż. Mówię do niego Liddy, ale naprawdę ma na imię Lidmore. Czy to nie dziwne? Wyobrażasz sobie, że jego rodzice byli Irlandczykami? Ci ludzie są zdolni do wszystkiego. Czy wiesz, że Liddy śpiewa przez sen?

Johann upił łyczek kawy.

– To rzeczywiście niezwykłe – mruknął.

– Ma słabość do popularnych piosenek – dodała Beatrice. – Pewnej nocy, po proszonej kolacji u Greavesów, zaczął śpiewać *I'm Old, But I'm Awfully Tough*. Uwierzyłbyś? Spał przy tym tak głęboko, że kiedy opowiedziałam mu o tym rano, okazało się, że niczego nie pamięta.

Johann odstawił filiżankę z kawą.

– Pani Mulliner… Beatrice… mam wrażenie, że żartujesz sobie ze mnie.

Uśmiechnęła się.

– Może trochę, ale to tak miło mieć męskie towarzystwo… To znaczy towarzystwo prawdziwego mężczyzny. Czasem daję się wtedy ponieść emocjom.

– Niezbyt dobrze się orientuję, co może interesować damy. Tak się składa, że zawsze

musiałem mieć inne rzeczy na względzie.

Jego wyznanie zaintrygowało Beatrice.

– Doprawdy? Na Boga! Co może być ważniejsze od tego?

Johann spuścił oczy.

Beatrice pochyliła się i położyła mu rękę na dłoni.

– Janet, moja pokojówka, powiedziała mi, że napastowałeś ją na ulicy. Podobno byłeś ubrany jak robotnik. Była bardzo oburzona… zwłaszcza kiedy nie chciałeś jej zapłacić za rozgłoszenie twojej ploteczki.

Uniósł głowę.

– Opowiedziała ci o tym?

– Ależ oczywiście. Janet zdarza się popełnić takie czy inne głupstewko i zawsze okropnie się grzebie, ale całkiem dobrze się dogadujemy, naturalnie w granicach tego, co wypada pani i służącej. Ona nawet nie wie, jak bardzo się cieszę, że mnie o wszystkim informuje. Widzisz, lubię wiedzieć, co się dzieje.

Johann odstawił talerzyk na stolik.

– I do jakich wniosków doszłaś? – spytał. – To znaczy… kiedy Janet ci o tym powiedziała?

– Nie doszłam do żadnych wniosków poza jednym: że wszystko, co ludzie mówią na twój temat, wymyka się jakimkolwiek wnioskom –

odparła. – Obserwuję cię, od kiedy pojawiłeś się niezaproszony na garden party u Edmundsów. Nie obraź się, ale sądzę, że dziwna z ciebie figura.

Uśmiechnął się lekko.

– Myślę, że prawda na twój temat może mieć dwa oblicza – dodała Beatrice, nadal dotykając jego dłoni.

– Och… Jakie?

– Myślę, że albo jesteś bardzo bogaty i zjawiłeś się w Broughton, żeby nas olśnić i wstrząsnąć nami, albo…

– Albo co? – spytał lekko schrypniętym głosem.

– Albo… jesteś biedny jak mysz kościelna – odparła cicho.

Zapadło długie milczenie. Beatrice świdrowała go wzrokiem, a on patrzył na talerzyk z resztkami tortu orzechowego. Zegary na półce kominkowej zaczęły wybijać jedenastą. W końcu Johann powiedział:

– Twój mąż jest bardzo zamożnym człowiekiem…

– I co z tego? Jest zamożny, ale nic poza tym.

– Nic poza tym?

Beatrice obróciła pierścionek na palcu.

– Biedny Liddy… zamożność to jego jedyny tytuł do chwały.

Johann odchrząknął.

– Wolałbym raczej nie…

– Wiem, że wolałbyś raczej nie – przerwała mu Beatrice. – Wszyscy woleliby raczej nie. Liddy to słodki, godny szacunku dżentelmen. Jest filarem socjety Broughton i w Święto Dziękczynienia wszyscy się za niego modlimy. Każdy wolałby nic nie mówić o Liddym, bo Liddy to święty.

– Słyszę w twoim głosie gorycz. Skąd to przygnębienie?

Beatrice się roześmiała.

– Drogi Johannie, dobra materialne to nie lekarstwo na uczuciowe ubóstwo. Spójrz na ten pokój. Wspaniały, nieprawdaż? W tym domu są najlepsze rzeczy, jakie można kupić za pieniądze. A teraz jeszcze kupujemy pojazd, który nie potrzebuje koni, żeby jeździć. Ale brak tu tego, bez czego miłość umiera.

– Beatrice, nie sądzę… – zaczął Johann.

Westchnęła.

– Wiem. Znów paplę o miłości. Pewnie uważasz, że jestem straszną nudziarą. Chciałeś rozmawiać o pieniądzach, zgadza się? Pieniądze są o wiele bardziej fascynujące niż miłość.

– Po prostu chciałem się dowiedzieć, czy Liddy… twój mąż… byłby zainteresowany pewną

inwestycją.

– Inwestycją? – powtórzyła zdziwiona Beatrice.

– Właśnie. Zamierzam otworzyć w Broughton zakłady naprawcze i rozglądam się za inwestorami.

– Chcesz jeszcze kawy?

– Słucham?

– Czy chcesz jeszcze kawy?

Uniósł filiżankę.

– Tak, poproszę. Widzisz, zastanawiałem się, czy twój mąż…

Pokręciła głową.

– Liddy nie jest zainteresowany inwestycjami. Nie jest zainteresowany niczym. Możesz spróbować go przekonać do swojego pomysłu, jednak nie sądzę, żeby ci się to udało. Zabierzesz Janet do wesołego miasteczka?

Johann przyglądał się jej, gdy nalewała mu kawy. Zaczęły ogarniać go podejrzenia co do prawdziwych motywów, które nią kierowały, kiedy go do siebie zaprosiła. Wyraźnie bawiła się z nim w kotka i myszkę, ale nie miał doświadczenia z kobietami i nie potrafił odgadnąć, dokąd prowadzą tego rodzaju igraszki.

Zamieszał kawę srebrną łyżeczką, nie odpowiadając na pytanie Beatrice.

– Janet mówiła, że obiecałeś ją tam zabrać – powiedziała. – Miało to być czymś w rodzaju nagrody za wyrobienie ci w naszym mieście dobrej reputacji.

– No cóż… – zaczął Johann.

– Czemu chcesz, żeby wyrobiono ci tutaj dobrą reputację? – przerwała mu. – Czy dlatego, żebyśmy uwierzyli w coś, co jest prawdą, czy może dlatego, żebyśmy uwierzyli w coś, co nią nie jest? Mów, jestem bardzo ciekawa.

Johann odchrząknął i opuścił głowę. Znowu poczuł się jak uczniak. Doskonale wiedział, co chce osiągnąć, i nie brakowało mu determinacji, jednak musiał się jeszcze wiele nauczyć o prowadzeniu interesów i zawiłych towarzyskich manewrach. Beatrice najwyraźniej dobrze wiedziała, dokąd prowadzi ta rozmowa, wiedziała, czemu służy to przepytywanie; ale Johann nie miał o tym pojęcia i dawał się jej wodzić za nos, licząc na to, że wyczuje pułapkę, która na pewno na niego czekała.

– Jestem biznesmenem – odparł powoli. – Każdy biznesmen chce mieć dobrą reputację. Wiesz, jak to mówią: „Z łóżka prosto do roboty, najpierw reklama, potem poty”.

Beatrice roześmiała się, a potem popatrzyła na niego z poważnym wyrazem twarzy, szeroko

otwierając swoje kocie oczy. Wiedziała, że tak wygląda najkorzystniej, i Johann znowu poczuł przypływ zdradliwej namiętności. Nie ulegało wątpliwości, że Beatrice Mulliner jest bardzo niepokojącą kobietą – zarówno pod względem powierzchowności, jak i tego, co się kryło pod nią.

– Johannie, czy wierzysz w świętość związku małżeńskiego? – spytała uwodzicielskim głosem.

Zmarszczył czoło.

– Nie rozumiem…

Pochyliła się ku niemu.

– Czy sądzisz, że to właściwe, aby zamężne kobiety czasem pozwalały sobie na uciechy ze swoimi wielbicielami?

– No… to zależy.

– W moim życiu nie ma miłości, Johannie. Liddy to dobry i uczciwy mężczyzna i wspaniale się mną opiekuje… pod każdym względem oprócz jednego.

– Pani Mulliner, myślę, że ta rozmowa zbacza na niebezpieczny grunt.

Ponownie szeroko otworzyła oczy.

– Niebezpieczny? We mnie nie ma niczego niebezpiecznego, mój drogi. I nic niebezpiecznego nie może wydarzyć się w tym

domu. To ze wszech miar bezpieczny i godny szacunku dom.

Johann nic na to nie odpowiedział. Im dłużej rozmawiał z Beatrice, tym większy niepokój go ogarniał. Czuł, że śmiało mógłby ją pocałować. Czuł, że śmiało mógłby zrobić coś więcej. Ale wiedział, że to pokusa, którą Pan celowo umieścił na jego ścieżce, i gdyby jej uległ, zostałby potępiony. Mimo to musiał dyskretnie zasłonić podołek spodkiem z filiżanką.

Beatrice wstała i podeszła do okna. Wątłe promienie słońca rzucały na jej policzki wzorki w kształcie koszyczków róż.

– Będę z tobą szczera, Johannie. Jestem samotną kobietą, która pragnie czułości. Kiedy ujrzałam cię po raz pierwszy, od razu wiedziałam, że jesteś silnym i czułym mężczyzną. Piłeś szampana u Edmundsów i stałeś w cieniu wielkiego starego drzewa w głębi trawnika. To drzewo było silne i ty byłeś silny. Porównywałam cię z tym drzewem i myślę, że wtedy w jakiś sposób zakochałam się w tobie. Nie jesteś chłoptasiem, prawda, Johannie?

Zaprzeczył ledwie dostrzegalnym ruchem głowy.

– Nie mam czasu dla chłoptasiów – dodała Beatrice. – Lubię mężczyzn wyciosanych

z kamienia, zdecydowanych i wytrwałych. „Wyciosany” to bardzo dobre słowo. Cenię szorstkich mężczyzn, ambitnych i silnych, mężczyzn o dużych rękach, szerokich torsach i udach twardych jak skała. Tylko tacy mężczyźni mogą liczyć na moje uznanie.

Johann pociągnął łyczek kawy.

– A Liddy? – spytał cicho.

– Liddy? – powtórzyła. Odeszła od okna i oparła się o fotel, ze smutkiem spoglądając na Johanna. – Liddy to bogaty, uprzejmy, kulturalny, wykształcony i powszechnie szanowany pierdziel. Wyszłam za niego, kiedy miałam siedemnaście lat. Moi rodzice mieszkali w Galveston, a Liddy przyjechał tam na proces. Ponieważ proces się przedłużał, nie mógł od razu wyjechać. Któregoś dnia zobaczył mnie na ulicy, dowiedział się, gdzie mieszkam, i złożył nam wizytę. Rodzice byli w siódmym niebie, bo uważali mnie za trudną dziewczynę i zawsze powtarzali, że źle skończę. W ich życiu nie było miejsca na żadne namiętności. Byli ograniczeni i płytcy, a moje życie z nimi sprowadzało się do nieustannych kłótni. Pewnie byłam tak samo zadowolona, że mogę od nich odejść, jak oni, że w końcu mogą się mnie pozbyć. Nigdy nie kochałam Liddy’ego. Po trzech miesiącach

wzięliśmy ślub i przywiózł mnie tutaj, do Broughton. Od tamtej pory żyję w tej nędznej mieścinie. Jestem młoda, piękna, elegancko ubrana, bogata i nieszczęśliwa. Wyobrażasz sobie, Johannie, jak bardzo jestem znudzona i samotna? Tkwię tu prawie od dziesięciu lat i nic się nie wydarzyło. Minęła niemal cała dekada i nie pozostał po niej żaden ślad!

– Nie masz dzieci? – spytał Johann. Czuł się okropnie niezręcznie.

Beatrice zamknęła oczy.

– W noc poślubną Liddy oświadczył, że nie wierzy w cielesne przyjemności i ma nadzieję, że się z nim zgadzam w tym względzie. Według niego kobieta powinna wrócić do niebios równie nieskalana jak wtedy, gdy je opuszczała. Nigdy nie poznałam mojego małżonka pod względem fizycznym, Johannie. Całą rozkosz, jakiej kiedykolwiek zakosztowałam, zawdzięczam swoim wielbicielom. Kochankom, jeśli wolisz słowo, którym tak chętnie żywi się miejscowa plotka.

Johann poczuł uścisk w piersiach, ale próbował zachować spokój. Ta piękna kobieta o uwodzicielskim głosie i jej prowokacyjne perfumy wzbudzały w nim namiętności, jakich do tej pory nie zaznał.

– Beatrice… – wymamrotał. – Czuję, że powinienem wyjść.

Uśmiechnęła się.

– Jeśli chcesz iść, proszę bardzo. Ale wiem, że jeszcze tu wrócisz.

Wstał, strzepując ze swoich najlepszych spodni okruszki ciasta.

– Wydaje mi się, że wiem, co chcesz zasugerować – powiedział. – Ale nie może być o tym mowy. W każdym razie dziękuję ci za kawę.

Zastąpiła mu drogę, opierając ręce na biodrach.

– Co chciałam zasugerować? – spytała zmysłowym głosem.

– Trochę trudno mi…

– Co takiego zamierzałeś powiedzieć? Ani się waż wychodzić, dopóki się nie wytłumaczysz.

Johann odwrócił się od niej.

– Beatrice… pani Mulliner… myślę, że ta rozmowa nie ma sensu. Naprawdę lepiej będzie, jeśli…

W tym momencie usłyszał szelest materiału, odwrócił się z powrotem do Beatrice i urwał w pół zdania. Z otwartymi ustami wyglądał jak zaskoczony morświn.

Beatrice Mulliner stała przy niskim stoliku, wysoko zadzierając suknię. Nie miała pod nią niczego oprócz aksamitnych pantofli. Jej białe nogi były szczupłe i kształtne, a między udami rysowała się ciemna trójkątna smuga. Tylko tyle zobaczył Johann, zanim ponownie się odwrócił, zakrywając ręką oczy.

– Pani Mulliner, proszę opuścić suknię – powiedział.

Nie zrobiła tego, ale podeszła bliżej, nadal wysoko unosząc suknię, i zatrzymała się w odległości kilku cali od niego. Czuł zapach jej perfum i ciepło ciała. Nie miał pojęcia, co robić.

– Johannie… – szepnęła. – Spójrz na mnie. Czy wyglądam jak kobieta, która powinna żyć samotnie?

Nic na to nie odpowiedział. Zacisnął powieki i zaczął się żarliwie modlić, prosząc Boga, aby wymazał z jego głowy wizerunek nagiej Beatrice Mulliner.

– Johannie, spodobałeś mi się już w chwili, kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam – mówiła dalej. – Wiedziałam, że jesteś dla mnie stworzony. Proszę, powiedz, że ci się podobam. Nie więcej nie musisz mówić.

– Pani Mulliner…

Zapadło milczenie. Po chwili Beatrice opuściła suknię i wygładziła ją.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Ale nie myśl, że mi się tak łatwo wywiniesz.

Pewny, że znowu wygląda przyzwoicie, odwrócił się do niej.

– Nie rozumiem, o co chodzi, pani Mulliner, ale to nie w porządku – wymamrotał. – To takie… niezwyczajne.

Beatrice usiadła. Johann był zdumiony jej rzeczowym zachowaniem się po tym, jak dopiero co obnażyła przed nim najintymniejsze części swojego ciała. Nalała sobie kolejną filiżankę kawy i ukroiła kawałek tortu.

– Oczywiście, że niezwyczajne – potwierdziła, nie odwracając do niego głowy. – Cały problem z Broughton polega na tym, że jest takie zwyczajne. Liddy jest zwyczajny, ten dom jest zwyczajny, moje życie jest zwyczajne. I wygląda na to, że ty też. Czy miałeś kiedyś romans, Johannie?

Pokręcił głową.

– Hm… powinieneś spróbować – stwierdziła. – Gdyby była w tobie choć odrobina namiętności, rzuciłbyś mnie teraz na dywan i posiadł. Czy szokuje cię, że to mówię?

Kiwnął głową.

– Chyba tak. Zawsze starałem się żyć według chrześcijańskich zasad.

Wzruszyła ramionami.

– No cóż, jeśli szokuje cię moje zachowanie, to zupełnie nie wiem, co mogłabym zrobić, żeby zmienić twoje zapatrywania. Ale musisz wiedzieć, Johannie, że szczęście ma wiele imion. Bóg nie stworzył nas po to, byśmy wiedli bezwartościowe, samotne i pełne frustracji życie.

– Twoje życie wcale nie jest bezwartościowe. Pomyśl, ile znaczysz dla Liddy'ego.

Roześmiała się.

– Wiem, ile znaczę dla Liddy'ego. Mój małżonek ma bzika na punkcie posiadania. Jestem dla niego białą lilią, jego jedyną wyśnioną żoną. Umarłby beze mnie.

– Czy on wie? To znaczy o… twoich wielbicielach?

Zaprzeczyła.

– Nawet gdyby to tylko podejrzewał, serce by mu pękło.

Johann przez chwilę milczał, po czym oświadczył:

– Beatrice, jesteś piękną, niezwykłą kobietą. Wstrząsnęłaś mną i wyprowadziłaś mnie z równowagi, ale nie chcę, abyś myślała, że z powodu tego, co się dzisiaj wydarzyło, mam

o tobie gorsze mniemanie. Wiem, jak bardzo musisz cierpieć, ale mam nadzieję, że Bóg da ci siłę, która pomoże się z tym uporać.

Nic na to nie odpowiedziała.

– Jesteś wspaniałą kobietą, Beatrice – dodał łagodnie.

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, nie był to jednak radosny uśmiech.

– Wielu mężczyzn mi to mówiło, Johannie.

Wzruszył ramionami.

– Tak przypuszczałem. Ale nie czuję się obrażony i mam nadzieję, że będziemy mogli kontynuować naszą znajomość.

– Na odległość?

Pokiwał głową.

– Myślę, że tak będzie lepiej.

– Johannie, ile potrzebujesz? – zapytała nieoczekiwanie.

– O co ci chodzi?

– Niedawno jedliśmy kolację z Greavesami – powiedziała z powagą. – Kiedy wspomniałam o tobie panu Greavesowi, wyjaśnił mi, że chcesz założyć w Broughton zakłady naprawcze. Prosiłeś go o pieniądze, prawda?

– No i? – spytał.

– No i… czy byłoby impertynencją z mojej strony, gdybym spytała, ile potrzebujesz?

Ponownie usiadł na kanapie.

– Chyba mnie przejrzałaś – stwierdził. – Nie jestem bogaty. A nawet gorzej, jestem bardzo biedny. Chciałem, żeby Janet rozpuściła o mnie plotki, bo miałem nadzieję, że dorobię się pieniędzy i poważania. Pochodzę z biednej holenderskiej rodziny i nie mam żadnych znajomości, przyjaciół ani pieniędzy. Owszem, próbowałem pożyczyć dziesięć tysięcy dolarów od Greavesa, żeby otworzyć zakłady mechaniczne. Ale jak do tej pory nie mogę znaleźć nikogo, kto podżyrowałby pożyczkę, więc wygląda na to, że nigdy nie dostanę tych pieniędzy.

Beatrice przez chwilę przyglądała mu się w zamyśleniu.

– Wiedziałam, że nie jesteś bogaty – powiedziała w końcu. – Dlatego pewnie wydajesz mi się taki pociągający. Inni może tego nie dostrzegają, ale ja tak. Bogaci nie noszą kołnierzyków i mankietów za siedem centów, nie jedzą też ciastek z kremem palcami. Przyglądałam ci się na garden party, pamiętasz? Tym się je ciasto – dodała, podnosząc ze stolika mały srebrny widelczyk o szeroko rozstawionych zębach.

Johann wpatrywał się w niego i czuł się tą demonstracją bardziej przybity niż czymkolwiek, co do tej pory usłyszał od Beatrice Mulliner.

– Rozumiem – mruknął.

– Zostaw Liddy'ego mnie – powiedziała. – W każdym razie jeśli chodzi o inwestowanie. Jeśli będziesz dla mnie dobry, Johannie, na pewno uda mi się przekonać męża, aby udzielił ci pomocy.

– Dobry?

Uśmiechnęła się blado.

– Zgadza się, dobry. Nadal chcesz zabrać Janet do wesołego miasteczka?

Wstał z kanapy.

– Chyba lepiej już pójdę – stwierdził. – Naprawdę lepiej będzie, jeśli sobie pójdę.

Nadal się do niego uśmiechała.

– Pamiętaj o tym, co ci powiedziałam… Przysługa za przysługę.

Poprosił o kapelusz i czekał na niego sztywny i milczący, a Beatrice Mulliner pozostała w fotelu. Starał się zatrzeć w pamięci obraz jej nagiego ciała.

Kiedy przyniesiono mu jego melonik, pożegnał się. Beatrice bez słowa podała mu rękę do pocałunku.

♦ ♦ ♦

Janet czekała na niego przy furtce. Na jej widok uchylił kapelusza.

– Jutro mam wychodne – oznajmiła. – A pan zaprosił mnie do wesołego miasteczka.

Pomyślał o trzech dolarach i siedemdziesięciu pięciu centach, które mu pozostały. Uśmiechnął się jednak i powiedział:

– W porządku. Spotkajmy się na błoniach o trzeciej. Włóż najbardziej kolorową sukienkę, jaką masz. Wydaje mi się, że powinniśmy coś uczcić.

Janet popatrzyła na niego z ciekawością.

– Co takiego?

Nałożył melonik i poprawił go.

– Albo triumf, albo zupełną klapę – odparł cicho.

♦ ♦ ♦

Biura kancelarii Belliveau, Jackson, Strich i Mulliner przy Piątej Ulicy wyglądały imponująco. Nad drewnianym portykiem, przed mahoniowymi wahadłowymi drzwiami z lśniącymi mosiężnymi okuciami wisiał czarny szyld ze złotym napisem. Kiedy Johann pchnął

drzwi i wszedł do środka, zamknęły się za nim z cichym świstem. Właśnie minęła pora lunchu i całe Broughton drzemało teraz w gorącym popołudniowym słońcu. Za biurkiem recepcji nad biuletynem dla grających na wyścigach konnych kiwał się młody aplikant z zielonym daszkiem nad czołem. Pod sufitem zajadle bzyczały muchy.

Johann nacisnął dzwonek na blacie. Aplikant zamrugał i przesunął daszek na czubek głowy.

– Tak, proszę pana?

Johann zdjął melonik i otarł chusteczką spocone czoło.

– Chciałbym spotkać się z panem Mullinerem, jeśli jest w biurze.

Aplikant wstał i obciągnął fantazyjną kamizelkę.

– Myślę, że jeszcze je lunch, proszę pana. Ale jeśli to pilne, znajdzie go pan w restauracji Cade'a przy Szóstej.

– Dziękuję – odparł Johann. – Sądzę, że dość pilne.

Wrócił na oślepiające południowe słońce. Broughton zawsze było senne o tej porze dnia i na ulicach nic się nie poruszało poza konną platformą i dręczonym przez muchy kundlem. Johann skręcił w lewo, doszedł do Szóstej

i pięćdziesiąt jardów dalej, po prawej stronie, zobaczył mleczne szyby restauracji.

Lokal Cade'a należał do bardzo szanowanych w Broughton. Miał świeżo pomalowany zielono-złoty front, a w oknach wisiały grube zielone zasłony. Był stałym miejscem spotkań adwokatów, właścicieli nieruchomości, kupców i hodowców bydła. Kiedy Johann wszedł do środka, większość stolików nakrytych serwetami w zieloną kratę była zajęta. Siedzący przy nich mężczyźni o bujnych wąsach dopalali cygara i kończyli kawę. W powietrzu wisiała woń steków i smażonych ziemniaków.

Do Johanna podszedł łysy kelner w długim białym fartuchu i zapytał:

– Życzy pan sobie stolik? W głębi mamy jednomiejscowy.

Johan pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Szukam pana Mullinera. W kancelarii powiedziano mi, że na pewno go tu znajdę.

Kelner przytaknął.

– Pewnie, jest tam razem z panem Croxtonem. Podać coś panu?

– Nie teraz – odparł Johann.

To, co miał w kieszeni, nie starczyłoby nawet na herbatę w tym lokalu. Przeszedł między

stolikami do męża Beatrice, zatrzymał się i odchrząknął.

Mulliner, wysoki, chudy mężczyzna o gęstych siwiejących bokobrodach, długim haczykowatym nosie, blisko osadzonych oczach i rzednących włosach, był pochłonięty rozmową z Croxtonem. Johann patrzył na niego, na sterczące mu z uszu włosy i pomarszczone ciało i zastanawiał się, jak Beatrice mogła wyjść za tego człowieka – nawet za cenę wyrwania się z rodzinnego domu. Miał czterdziestkę, ale wyglądał o dziesięć lat starzej, wydawał się raczej jej ojcem albo wujem, a nie mężem. Johann usilnie odpychał od siebie obraz tego człowieka i Beatrice leżących razem w łóżku i mało brakowało, a odmówiłby modlitwę dziękczynną za seksualną wstrzemięźliwość Liddy'ego. Wierzył w Boga i instytucję małżeństwa, ale wierzył też, że powinno być zarezerwowane dla ludzi dobranych fizycznie i emocjonalnie, inaczej nic dobrego nie mogło z niego wyniknąć. Małżeństwo Mullinerów było tego najlepszym przykładem.

– Powiedziałem mu – mówił z naciskiem prawnik – że jeśli spróbuje wytoczyć mi proces, przedstawię przeciwko niemu takie dowody, że się nie pozbiera. Zgodził się na osiemset dolarów i pozostawił całą sprawę otwartą.

Croxton, pogodny tęgawy Teksańczyk w muszce i przepoconej lnianej marynarce, pokiwał głową.

– Myślę, że postąpiłeś, jak należy, Lidmore. Zawsze mówiłem, że ten facet jest mocny tylko w gębie i brak mu ikry.

Johann znów odchrząknął, tym razem nieco głośniej, i Mulliner odwrócił się w jego stronę. Okolona bokobrodami twarz, którą Johann zobaczył przed sobą, była twarzą twardego, szczwanego i nieustępliwego adwokata, co jeszcze powiększyło jego niepewność i zdenerwowanie.

– Życzy pan sobie czegoś? – spytał Mulliner. – Czy tylko kurz drapie pana w gardło?

Croxton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ja zawsze biorę krople miętowe – powiedział. – Krople miętowe i do tego miarka żytniówki. Kaszel wprawdzie nie przechodzi, ale zawsze jest mi wtedy weselej.

Johann uśmiechnął się z trudem.

– Nie zamierzałem przeszkadzać panu w lunchu, panie Mulliner, jednak mam z panem coś ważnego do omówienia.

Adwokat wzruszył ramionami.

– Czy to pilne? Obiecałem panu Croxtonowi ten lunch wieki temu.

– Zabiorę panu tylko chwilę – zapewnił go Johann. – Myślę, że powinien pan się z tym jak najszybciej zapoznać.

Mulliner zmarszczył brwi.

– Zapoznać? Z czym? Chyba nie stało się nic złego w domu, hę?

– Och, nie… nic z tych rzeczy. Sądzę jednak, że musimy porozmawiać. Tak byłoby najlepiej dla wszystkich.

– Lidmore, jeśli chcesz pogadać na osobności z tym dżentelmenem, klapnę sobie przy stoliku obok – wtrącił Croxton. – Nie ma sprawy.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony – powiedział Johann.

Mulliner westchnął.

– Niech będzie, jeśli to rzeczywiście tylko chwila. Ale kiedy przyniosą jambalayę, będzie pan musiał skończyć, bo jestem wściekle głodny.

Croxton przesiadł się do stolika obok i Johann zajął jego miejsce.

– Jedź pan z tym koksem – ponaglił go Mulliner.

Johann odkaszlnął.

– Chodzi o interes, proszę pana. Nazywam się Johann Cornelius i jestem inżynierem. Może pamięta mnie pan z garden party u Edmundsów…

Mulliner kiwnął głową.

– Przypominam sobie pańską twarz. Mów pan dalej.

– Przyjechałem do Broughton, żeby służyć pomocą tutejszym fabrykom. Chcę otworzyć tu mechaniczne zakłady naprawcze. Znam się na naprawach urządzeń mechanicznych, testowaniu nowego sprzętu i wykonywaniu różnych nietypowych zleceń. W tej chwili Pusey, Welward i ludzie z parowozowni muszą wysyłać zepsute tokarki i inne maszyny do Austin albo nawet do Houston. Mogę wykonywać tego rodzaju naprawy tutaj, na miejscu, i oszczędzić im sporo czasu i pieniędzy.

Mulliner pociągnął nosem i pogładził bokobrody.

– Rozumiem, ale co to ma wspólnego ze mną?

Johann przygryzł wargę.

– To nieco delikatna sprawa, proszę pana. Widzi pan, dzisiaj przed południem zajrzałem do pana do domu, żeby zostawić wizytówkę. Miałem nadzieję, że kiedyś uda mi się pana odwiedzić i przedyskutować sprawę inwestycji w te zakłady naprawcze.

– Tak?

– No cóż, brak mi kapitału potrzebnego do ich otwarcia i miałem nadzieję, że kilku lokalnych

biznesmenów byłoby zainteresowanych dorzuceniem się do tego interesu. W tym także pan.

– Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza – stwierdził Mulliner.

– Chodzi o inwestycję, proszę pana – wyjaśnił Johann. – Szukam ludzi, którzy chcieliby mi pomóc wystartować. Ludzi z pieniędzmi.

Obok stolika przeszedł kelner, niosąc cynową tacę z kreolskimi kiełbaskami i pieczonymi gołębiami. Kiedy do Johanna dotarła smakowita woń potraw, poczuł bolesne ssanie w żołądku. Zjadł dziś tylko śniadanie, na które składały się pierogi z mięsem niewiadomego pochodzenia, i nie miał co marzyć o kolacji, jeśli szybko nie zadba o swoją przyszłość.

– Z pieniędzmi? O jakiej kwocie mowa? – spytał Mulliner.

– No… około dziesięciu tysięcy dolarów.

Mulliner sapnął głośno.

– Dziesięć tysięcy? To mnóstwo pieniędzy. Nie znajdzie pan tutaj zbyt wielu ludzi z taką sumą. Większość z nich już zainwestowała wszystkie wolne środki.

– Bank na pewno ma dziesięć tysięcy – zauważył Johann.

Mulliner kiwnął głową.

– Jasne, że ma. Jeśli przedstawi się należyte zabezpieczenia, można pożyczyć, ile dusza zapragnie.

– W tym problem…

– Jaki problem?

– Nie mam zabezpieczenia, więc szukam ludzi, którzy by podżyrowali mi pożyczkę.

– To dlatego pan do mnie przyszedł? Chce pan gwarancji na dziesięć tysięcy dolarów?

Johann pokręcił głową.

– Niezupełnie. Chodzi o pańską żonę.

Mulliner zmrużył oczy.

– Moją żonę? A co ona ma z tym wspólnego? – zapytał.

Johann poczuł, że się czerwieni. Ale lepiej było powiedzieć Mullinerowi prawdę i zapobiec wszelkim późniejszym kłopotom, które mogły skrępować mu ręce, niż dać się wciągnąć Beatrice Mulliner w pułapkę.

– Pańska żona… zaprosiła mnie dziś przed południem na kawę – zaczął. – Przyjąłem zaproszenie i… zapoznałem ją z moimi planami.

– I co? – naciskał Mulliner, nasrożony i napięty.

– I sądzę, że wpadła w trochę przesadny entuzjazm. Przypuszczam, że może zechcieć

próbować pana przekonać do zainwestowania w mój pomysł.

Mulliner zacisnął wargi.

– Rozumiem…

Johann sięgnął po chusteczkę i otarł spocone czoło.

– Chcę, żeby pan wiedział, że nie zrobiłem niczego, co mogłoby wywołać jej zainteresowanie – dodał drżącym głosem. – Innymi słowy, nie chciałbym, żebym pomyślał pan sobie coś złego.

Mulliner zaczął bawić się sztućcami. Potem ustawił w rządku obok swojego nakrycia solniczkę i pieprzniczkę, rozdzieliwszy je buteleczką z sosem. Przez cały czas nie odrywał oczu od twarzy Johanna, który siedział sztywno wyprostowany i nadrabiał miną.

– Moja żona, panie Cornelius, to kobieta, której czasem przytrafiają się wybuchy entuzjazmu – powiedział w końcu takim tonem, jakby mówił o czyrakach na karku. – Kiedy wbije sobie coś do głowy, paple o tym przez całe dnie, a potem nagle zapomina o całej sprawie. Jest jeszcze młoda i brak jej stałości umysłu. Tak samo zachowuje się wobec ludzi. Gdy poczuje do kogoś upodobanie, przez jakiś czas poświęca mu całą swoją energię, ale wkrótce porzuca go dla nowo poznanej osoby.

Pogładził bokobrody takim gestem, jakby głaskał nielubianego kota.

– Doceniam pańskie przejęcie się ekscytacją mojej małżonki, niech pan się jednak nie trudzi. Muszę pana również uprzedzić, że nie jestem człowiekiem skłonnym do spekulacji i nawet nie zamierzam się zastanawiać nad podżyrowaniem pańskiej pożyczki, choćby moja małżonka miała nadal tryskać entuzjazmem dla pana inwestycji.

Johann nerwowo przełknął ślinę.

– Rozumiem – powiedział. – Po prostu uważałem za właściwe powiadomienie pana o tej sprawie.

Mulliner kiwnął głową i Johann pomyślał, że wygląda jak wypchany cap w szklanej gablocie. Po chwili pojawił się łysy kelner z jambalayą i plackami kukurydzianymi, więc Johann nie miał wyjścia, musiał się wynosić.

– Mimo wszystko życzę panu powodzenia – dodał Mulliner, gdy Johann wkładał melonik.

– Dziękuję – odparł Johann. – Mam nadzieję, że zanadto nie przeszkodziłem w lunchu.

Wyszedł z zatłoczonej restauracji i znalazł się na ulicy, zanim upojne wonie szynek, pomidorów i krewetek doprowadziły go do skrętu kiszek.

♦ ♦ ♦

Tamtej nocy, leżąc na wąskim żelaznym łóżku pod skośnym dachem pensjonatu, słyszał w oddali dzwoniącą lokomotywę, czekającą na doczepienie składu towarowego. Światła kolejowych latarń kręciły się i wirowały na ścianie, a Johann czuł zmęczenie i pustkę.

Marzenie o bogactwie żyje w każdym człowieku, ale w przypadku Johanna Corneliusa było to coś więcej niż zwykłe marzenie. Bogactwo było dla niego niezbędnym warunkiem do dalszego życia. Leżąc w pocerowanej, wyblakłej nocnej koszuli na nędznym łóżku, wyszeptał krótką modlitwę, prosząc Boga o pokierowanie nim i wyrażając nadzieję, że Pan nie uzna go za impertynenta.

Mimo iż dotarł do samej krawędzi ruiny finansowej, nie wiedzieć czemu żywił większą nadzieję na sukces niż kiedykolwiek do tej pory. Być może taki kryzys był mu potrzebny, aby popchnąć go do następnego śmiałego kroku. Po chwili zasnął i śniło mu się, że wszedł w posiadanie akcji i obligacji o wielkiej wartości, niestety wkrótce się przekonał, że to tylko ulotki reklamujące wydawane bez recepty lekarstwa.

Obudził się i leżał prawie przez godzinę, rozmyślając o Beatrice Mulliner. Spotkanie z tą kobietą bardzo go poruszyło i teraz wciąż miał przed oczami ten sam absurdalny obraz: Lidmore i Beatrice leżący razem w łóżku nie dalej niż pół mili od jego pensjonatu. Cap i bogini. Zamknął oczy, ale zanim zasnął, jeszcze przez jakiś czas prześladowała go wizja nagich ud Beatrice.

♦ ♦ ♦

Następny dzień był szary i burzowy. Tumany kurzu wzbijały się w powietrze i siekły przechodniów po twarzach. Konie uwiązane przed sklepami przy Main Street nie chciały spokojnie stać w miejscu, strzelając kopytami. Johann szedł chodnikiem Siódmą Ulicą, zastanawiając się, czy nie powinien zainwestować dziesięciu dolarów w parasol. Oprócz niego każdy się w niego uzbroił, a wszystkie mijające go powozy miały postawione czarne budy.

Idąc przewiewaną wiatrem ulicą, przytrzymywał ręką kapelusz. Gdy minął Raj Lodowy Howarda, skierował się ku błoniom. Była to porośnięta krzakami łąka na obrzeżach

Broughton, otoczona targanymi wichrem drzewami. Jak głosiły afisze, Wesołe Miasteczko Barneta i Shentona miało w tym miejscu gościć przez dwa tygodnie.

Kiedy Johann dotarł na błonia, były niemal zupełnie wyludnione. Wozy z różnymi atrakcjami były otwarte, jednak robotnicy gasili już lampiony, zabezpieczali namioty przed burzą i okrywali brezentem wysypane trocinami areny, na których tańczyły tresowane psy. Z zachodu szła wichura, a niebo było koloru stali.

Johann szedł porośniętą kępkami trawy łąką, szukając wzrokiem Janet. Obiecała, że będzie na niego czekać o trzeciej, ale zegar na ratuszu wskazywał, że jest już pięć minut później. W powietrzu unosił się ciężki zapach kiełbasek i smażonej cebuli, przypominający Johannowi, że od wczorajszego ranka nic nie jadł. Przy wstrząsanych wiatrem kramach i wozach kręciło się jeszcze kilka par, ale wiatr odstraszył większość ludzi.

Zajrzał za atrapę pływającego po Missisipi parowca, zerknął do namiotu bokserów, w którym dwóch tłustych, łysych pięściarzy siedziało przy piwie, a potem przeszedł wzdłuż szeregu strzelnic i wozów, w których rzucało się krążkami do celu. Pilnowały ich młode Cyganki,

pokrzykujące coś do siebie po rumuńsku. Obszedł cały lunapark, jednak Janet nigdzie nie było. Może przestraszyła się burzowej pogody albo pani nie pozwoliła jej wyjść? W końcu pogodził się z myślą, że czeka go kolejne nudne samotne popołudnie, i ruszył do wyjścia.

W tym momencie w stojącym nieopodal namiocie uniosła się wąska, pomalowana w paski markiza i na zewnątrz wyszła jakaś kobieta. Johann rzucił na nią okiem, po czym zatrzymał się i przyjrzał dokładniej. Kobieta miała na sobie krótki brązowy żakiecik z aksamitnym kołnierzem i długą spódnicę tego samego koloru, obszytą sznurkowym haftem. Zaczesane do góry ciemne włosy przykrywał elegancki turban z piórkami.

Była to Beatrice Mulliner. Uśmiechnęła się i pomachała mu.

Johann stał bez ruchu, gdy szła w jego stronę. W wyjściowym stroju wyglądała jeszcze atrakcyjniej niż w domowej sukni. Nie była umalowana, jedynie musnęła różem powieki. Szła powoli, wdzięcznie kołysząc spódnicą i każdym ruchem udowadniając, że jest pierwszą klaczką z Wyścigów.

– Witaj, Johannie – powiedziała, podając mu dłoń w kremowej rękawiczce. – Co za niezwykły

przypadek.

Uchylił kapelusza.

– Tak – odparł. – Czy Janet też ma przyjść, czy jesteś tu zamiast niej?

Pokręciła głową.

– Janet nie najlepiej się czuje i przesyła szczere wyrazy żalu. Pomyślałam, że byłoby okrucieństwem skazywać cię na samotność w wesołym miasteczku. Wybacz, że kazałam ci czekać, ale musiałam sprawdzić, jak wygląda moja przyszłość. Ta wróżka jest naprawdę niezwykła.

Wzięła go pod ramię i ruszyli w stronę drogi. Johann zachowywał się tak stosownie, jak to tylko było możliwe. Trzymał przedramię Beatrice Mulliner jak bułkę paryską.

– Wiesz, co powiedziała? – zapytała Beatrice.

– Kto?

– Wróżka, mój drogi! Powiedziała, że dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień i że wszyscy, którzy są mi drodzy, też mogą zostać przeze mnie uszczęśliwieni.

– Ach tak.

Zatrzymała się i popatrzyła na niego.

– Johannie… Odnoszę wrażenie, że jesteś niezadowolony.

Odchrząknął.

– Tak, chyba jestem niezadowolony – przyznał.

– Nie cieszy cię moje towarzystwo? Nie jest ci równie miłe jak towarzystwo Janet?

– Ależ oczywiście, że jest – odparł, kiwając głową.

– Wobec tego o co chodzi? Obawiasz się, że może padać? Masz tylko jedną parę skarpetek? Twoje akcje spadły?

Spuścił wzrok.

– Mam dwie pary skarpetek i nie mam akcji – mruknął. – Obawiam się jednak, że chcesz mnie wykorzystać dla swojej przyjemności.

Otworzyła szeroko swoje kocie oczy.

– Jak możesz mówić coś podobnego!

Ruszyli przed siebie i po chwili Johann powiedział:

– Wczoraj spotkałem się z twoim małżonkiem.

– Tak, wiem o tym.

– Wiesz?

– Oczywiście. Chyba nie myślisz, że Liddy zrezygnuje z postawienia mnie w krzyżowym ogniu pytań na temat każdego mężczyzny, wobec którego okażę choćby cień entuzjazmu? Był mocno rozdrażniony i powiedział, że nie powinnam zapraszać na kawę samotnego

mężczyzny, nie postarawszy się najpierw o przyzwoitkę.

Johann nic na to nie odpowiedział. Dotarli do skraju błoń i weszli do miasta. Za ich plecami zabrzęczały organy parowe i ruszyła karuzela z czerwono-złotymi konikami. Siedział na niej tylko jeden poważny mały chłopiec w marynarskim ubranku. Jego opiekunka, skrzywiona niewiasta w szarych flanelach, patrzyła na niego z taką samą powagą, z jaką jej podopieczny wirował na karuzeli. Widząc ich, Johann zadał sobie pytanie, dlaczego ludzie zawsze tak serio traktują swoje przyjemności. Ale przyjemności Beatrice Mulliner z pewnością były sprawą poważną – w każdym znaczeniu tego słowa.

– Wiesz co? – zagadnęła jego towarzyszka, unosząc spódnicę, aby się nie zakurzyła. – Jesteś pierwszym mężczyzną, o którym mogę powiedzieć, że jego sytuacja finansowa nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

– A zwykle ma?

Roześmiała się.

– Oczywiście, że ma, mój drogi! Biedaków nie stać nawet na przybory toaletowe, poza tym nie są takimi dobrymi kochankami jak bogaci. Biedak każdego wieczoru wraca do domu

wyczerpany po całodziennym trudzie i nawet jeśli poczuje miłosną potrzebę, zaspokaja ją najszybciej, jak to możliwe. Natomiast bogacz nigdy się nie spieszy i lubi się zabawić w drodze do celu, dzięki czemu jest bardziej wyrafinowanym kochankiem.

– Jesteś bardzo bezpośrednia – zauważył Johann. – A przecież ledwie cię znam.

Znowu się roześmiała.

– Czy koniecznie trzeba kogoś znać, aby poczuć do niego słabość?

– Myślę, że tak. Czy to deszcz? Chyba powinniśmy się pospieszyć.

– Wiedziałam, że będziesz się martwił pogodą – oznajmiła.

– Nie martwię się pogodą, lecz tym, co mogą pomyśleć ludzie. Co mąż ci wczoraj powiedział?

– Kazał mi bardziej dbać o dyskrecję, inaczej ludzie pomyślą, że zachowuję się nieskromnie. Liddy to pruderyjna stara baba, więc nie powinieneś się nim przejmować. Ani tym, co ludzie pomyślą. To pierwsza lekcja osiągania sukcesu. A przecież chcesz osiągnąć sukces, prawda?

– Chyba tak. Ale to zależy od ceny.

Spojrzała na niego.

– Sukces nie ma ceny dla tego, kto naprawdę chce go osiągnąć. Powinieneś zrozumieć, że osiąganie sukcesu to pogrążanie innych.

Kiedy skręcili w Main Street, Johann zaczął się denerwować, że zostaną zauważeni przez znajomych Lidmore'a Mullinera albo przez niego samego. Jeśli nie chciał pożegnać się z szansą zdobycia dziesięciu tysięcy dolarów, nie mógł sprowokować nawet uniesienia brwi przez tutejszych mieszkańców czy choćby najbardziej niewinnej plotki. W takiej mieścinie jak Broughton niemile widziany przybysz mógł liczyć tylko na nieprzejednaną wrogość i uprzykrzanie życia na każdym kroku.

– Beatrice, odprowadzę cię teraz do domu, ale chyba lepiej będzie, jeśli nigdy więcej nie spotkamy się na osobności – oświadczył.

– Johannie, jesteś dla mnie dzisiaj bardzo okrutny – powiedziała, po czym uśmiechnęła się do mijanej znajomej i zawołała: – Witam, pani Westmore!

– To żenujące – mruknął Johann. – A jeśli twój mąż się o tym dowie?

Beatrice skinęła głową innej znajomej.

– Nie przejmuj się Liddym. Dobrze wiem, jak sobie dawać z nim radę, nawet wtedy, gdy jest naprawdę wściekły. Więcej odwagi, mój drogi.

Jeśli zamierzasz zdobyć fortunę, powinieneś rozpętać tu małe piekiełko. Taka jest moja rada.

Johann nie wiedział, co na to powinien odpowiedzieć. Uważał, że postępuje wyjątkowo grzesznie i skandalicznie. Miał jednak nadzieję, że Bóg wybaczy mu to rozwiązłe zachowanie, i nawet próbował modlić się po drodze.

– Johannie, wydaje mi się, że wcale mnie nie słuchasz – odezwała się Beatrice.

– Oczywiście, że słucham. Tylko po prostu jestem… bardzo przejęty.

– Przejęty? A może przestraszony? Boisz się mnie? Zabawianie dam nie jest twoją mocną stroną. Wiedziałeś o tym?

– Nie potrafię być bawidamkiem.

– Ależ z ciebie oferma! Ja chyba naprawdę budzę w tobie lęk… Ale może czujesz także coś więcej? Uniesienie? Odwagę albo szaleństwo?

Johann coraz bardziej się pocił.

– Wydaje mi się, że nie powinniśmy w ten sposób rozmawiać, Beatrice.

– Nie lubisz rozmawiać o swoich namiętnościach, Johannie? Musisz o nich rozmawiać, bo się w tobie gotują! Czemu nie dasz im dojść do głosu, nie uwolnisz ich?

– Beatrice, proszę, nie dręcz mnie… – wymamrotał.

Dotarli do rogu Beaumont. Pierwsze krople deszczu zabębniły o liście drzew rosnących na rozległych trawnikach Wyścigów.

Johann ujął Beatrice za ręce i powiedział:

– Muszę cię tutaj opuścić, bo inaczej nic dobrego z tego nie wyniknie.

Gdy stała na ulicy, unosząc ku niemu swoje kocie oczy, była taka piękna i zgrabna w świetnie skrojonym żakiecie, że nie potrafił wydusić z siebie nic więcej. Nie przywykł do takich sytuacji, więc emocje targały nim jak burza piaskowa, niepohamowane i zupełnie nieoczekiwane. Miał łzy w oczach, choć nie potrafiłby wytłumaczyć, czemu się tam pojawiły.

– Będę o tobie myślała jak o jednej z tych niezwykłych możliwości, które nigdy się nie ziściły – oświadczyła Beatrice. – Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Jesteś mężczyzną, który nie zna nawet połowy swojego potencjału. Walczysz o dziesięć tysięcy dolarów, a powinieneś myśleć o milionach. Jest w tobie wielka siła i determinacja, ale w tej chwili brak ci odwagi. Cała twoja energia idzie na marne, ponieważ starasz się żyć wedle zasad innych ludzi. Wiem, o czym mówię, Johannie, bo ze mną jest tak

samo. Nie jestem wolną, szaloną kobietą, za jaką mnie uważasz. Tkwię w pułapce tego miasta, ograniczona tak samo jak ty.

Pokręcił głową.

– Beatrice…

– Wiem, że nie masz pieniędzy i musisz od czegoś zacząć – przerwała mu. – Mamy ze sobą więcej wspólnego, niż którykolwiek z tutejszych nudnych i zacnych obywateli potrafiłby sobie wyobrazić. Na Boga, nienawidzę tego miasta! Najchętniej zrównałabym je z ziemią.

– Chyba lepiej się pożegnajmy – powiedział.

– A musimy? – spytała, zaraz jednak cofnęła ręce i dodała: – Wiem, że musimy.

Uniosła się na palce i pocałowała go w policzek. Pachniała heliotropem, a gładkość jej skóry pamiętał przez wiele następnych dni.

– Zamierzam wyświadczyć ci przysługę – oznajmiła.

– Przysługę? – powtórzył ze zdziwieniem.

– Jak wszystkie przysługi, będzie obciążona pewnym warunkiem – dodała. – Widzisz, musisz się nauczyć, że nikt nie robi nic za darmo.

Johann zdjął kapelusz. Wiatr unosił i opuszczał jego rzedniejące włosy jak ramię semafora.

– O co chodzi? Co to za przysługa?

Uśmiechnęła się.

– Dowiesz się tego później. Ale pod warunkiem że mnie nie odtrącisz.

– Nie rozumiem…

– Mój warunek jest taki, że nigdy mnie nie odtrącisz, jeśli przyjdę do ciebie.

Johann poczuł się jak wtedy, gdy w Nowym Jorku dentysta podał mu przed wyrwaniem chorego zęba chloroform.

– Dobrze – powiedział w końcu schrypniętym głosem.

Ale nadal niczego nie pojmował.

Beatrice popatrzyła na niego ze smutkiem, po czym odwróciła się i ruszyła w dół Beaumont. Johann odprowadzał ją wzrokiem aż do furtki pod numerem 15. Nie obejrzała się ani nie pomachała mu ręką. Uświadomił sobie, że nawet się z nim nie pożegnała.

Stał przez dłuższą chwilę na chodniku, po czym włożył kapelusz i wrócił do pensjonatu.

Tego wieczoru miał jeszcze dość pieniędzy, aby pozwolić sobie na talerz wieprzowiny zapiekanej z jabłkami. Jadł bardzo powoli, najdłużej jak się dało, a potem wylizał do czysta nóż i widelec.

♦ ♦ ♦

Do jego numeru zastukał roznoszący listy wyrostek i wszedł do środka. Johann pakował właśnie białą garniturową koszulę i kołnierzyki do sponiewieranej brązowej walizki. Był bardzo niezdarny, gdy chodziło o składanie ubrań, które zawsze wystawały z walizki, przypominając przepaski biodrowe niedomytych Kiowa.

– Wiadomość dla pana Corneliusa – oznajmił posłaniec.

– To do mnie – powiedział Johann.

Wyrostek wręczył mu długą białą kopertę zapieczętowaną czerwonym woskiem.

– Od kogo?

– Nie wiem – odparł posłaniec. – Należy się ćwierć dolca.

Johann spojrzał na niego. Wyrostek opierał się o framugę drzwi, najwyraźniej czekając na pieniądze.

– Przykro mi, ale nie mam tyle. Kiedy się stąd wyprowadzę, chyba będę musiał zamieszkać w jakiejś norze.

Posłaniec zmarszczył nos.

– Nie wierzysz w wolną przedsiębiorczość? – spytał falsetem.

– Oczywiście, że wierzę – odparł Johann. – I właśnie dlatego nie zamierzam ci za nią płacić.

– No to pięknie – burknął posłaniec i wyszedł, tak mocno trzaskając drzwiami, że z futryny posypał się gipsowy pył.

Johann podszedł do okna, gdzie było lepsze światło, i rozerwał pieczęć. Otworzył kopertę i wyjął z niej oficjalnie wyglądający, choć napisany ręcznie list z nagłówkiem: „Kancelaria adwokacka Belliveau, Jackson, Strich i Mulliner”. Piszący bazgrał jak kura pazurem, znęcając się nad piórem i papierem.

Szanowny Panie!

Doniesiono mi, że czynił Pan mojej małżonce awanse o charakterze uważanym za niegodny w powszechnie szanowanych kręgach. Rozmawiałem o tym z żoną i odnoszę wrażenie, iż dolał Pan oliwy do ognia, wzbudzając w niej jeszcze większe zainteresowanie swoją osobą. Uważam, iż przez wzgląd na dobre imię mojej małżonki, dobre imię mojej firmy i rodziny powinien Pan natychmiast opuścić Broughton. Aby umożliwić to Panu bez wzniecania zbędnego zamieszania, rozmawiałem już z panem Greavesem, dyrektorem Broughton National Bank, i poinformowałem go, iż jestem gotów podżyrować Pańską pożyczkę w kwocie dziesięciu tysięcy dolarów zgodnie z wymogami prawa stanowego i federalnego.

Nie muszę chyba dodawać, iż czynię to pod przymusem, wybierając mniejsze zło. Zachował się Pan jak człowiek bez charakteru i awanturnik. Moja żona pragnie, abym przekazał Panu, iż nie żywi wobec niego żadnych uczuć poza obrzydzeniem i żalem i ma nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiała oglądać Pana na oczy.

Niżej widniał podpis: „Lidmore Mulliner”, nagryzmolony z takim gniewem, że prawdopodobnie piszący złamał przy tym stalówkę.

Johann jeszcze raz przeczytał list i odłożył go na zieloną drewnianą komódkę. Za oknem blade słońce oświetlało ciągnącą wagony z bydłem lokomotywę i lśniło na rozjazdach. Kiedy lokomotywa już dawno oddaliła się na północny zachód, wciąż jeszcze słychać było stukot kół wagonów na torach. Między płotami i słupami telegraficznymi unosiły się strzępki pary wodnej i dymu, przyklejając się do brudnych desek i niestrzyżonej trawy.

Johann stał długo milczący i nieruchomy, a potem wrócił do składania koszuli, starając się robić to najlepiej, jak potrafił. W miejscach, które zmoczył łzami, zrobiły się plamy, ale obiecał sobie, że już nigdy więcej nic nie zmusi go do płaczu.

1902

EXCELSIOR
Ulubiony hotel Jaśnie Pań i Panów

oferuje

WSZYSTKIE
wygody
czystą pościel, gorącą wodę
sedesy ze spłukiwaniem

oraz

NASZĄ SPECJALNOŚĆ
Stek z dwoma jajkami
na śniadanie
tak jak lubisz

Słońce dopiero co wstało nad rozległą, smaganą wiatrem prerią. Automobil przeciął zryty koleinami szlak przecinający ranczo Granta i pyrkocząc, skierował się na zachód, pozostawiając smugę ochrowego kurzu przy pompie i drewnianych barakach, w których mieszkali meksykańscy robotnicy. Był marzec, szósta rano, i chociaż wiał suchy, ciepły wiatr, mężczyzna prowadzący automobil miał na sobie długi biały płaszcz, wełniany szal oraz gogle, a jego dłonie ściskające poziomo osadzoną kierownicę okrywały wielkie rękawice z brązowej skóry. Wyjechał z Edgar w stanie Teksas, kiedy jeszcze było ciemno, i zamierzał dotrzeć do Amarero na śniadanie, co oznaczało, że przebył już piętnaście mil.

Samochód skrzypiał i trzeszczał, ale jakoś dawał sobie radę. Był to new orleans o mocy 15 KM, rocznik 1901, kupiony w Galveston za sto dolarów od dyrektora angielskiej firmy przewozowej, która splajtowała. Kierowca wyregulował silnik, wypucował mosiężne reflektory i pomalował obdrapaną maskę; natarł także pastą do siodeł naszywane guzikami skórzane fotele i wyważył eleganckie szprychowe koła z wąskimi białymi oponami trzydziestocalowej średnicy. Pierwszy raz wybrał się w dłuższą trasę i chociaż jego pośladki mocno ucierpiały na wyboistych teksańskich drogach, zbyt słabo chronione piórowymi resorami, czuł się jak zmotoryzowana Nemezis nacierająca na konne powozy, które niebawem miały odejść w przeszłość.

Kiedy przejeżdżał przez ranczo Granta, stadko kur rozpierzchło się na wszystkie strony, przeraźliwie gdacząc. Z oddali przyglądało mu się stado wychudłego bydła o zmierzwionej przez wiatr sierści.

Terkot silnika wznosił się i opadał nad prerią.

Gdy piekielna machina wyłoniła się zza rogu i w tumanach kurzu przetoczyła się przez podwórze, dwaj Meksykanie w wypłowiałych drelichach, wlokący się do warzywnika pani

Grant, który mieli wyplewić, padli na kolana. Klęczeli prawie przez pięć minut, wpatrzeni w horyzont, za którym zniknął samochód, jakby to sam Jezus przemknął obok nich, zapominając powiedzieć *buenos dias*.

Ale otoczony chmurą pyłu i piasku automobilista czuł się wspaniale. Lubił zaskakiwać ludzi i był znany w całej okolicy. Najpierw zaskoczył Edgar, gdy dwa lata temu pojawił się tam znikąd i otworzył najlepiej zaopatrzone mechaniczne zakłady naprawcze w promieniu setek mil. Zaskoczył także Perrot Oil-Rig Company, niemrawą i źle zarządzaną firmę naftową, wykupując 40 procent jej akcji i 43 procent obligacji, a potem całkowicie przejmując nad nią kontrolę. Zaskoczył również właścicielkę pensjonatu, w którym się zatrzymał, starą Ottilie Hermann, kupując za półtora tysiąca dolarów jej rozsypującą się drewnianą budę, odmalowując ją na czerwono i wyposażając w toalety ze spłuczkami, a potem wynajmując pokoje za pięciokrotnie wyższe stawki. Jeszcze bardziej zaskoczył wszystkich, chadzając w każdą niedzielę do kościoła – nie raz, ale trzy razy – i modląc się żarliwie w swojej ławce. Nie pił też whisky, nie zalecał się do żadnej z miejscowych dziewcząt, choć niektóre z nich

były bardzo ładne i wszystkie dziwiło jego zachowanie. W Edgar mówiono, że czeka go wspaniała przyszłość, choć nikt nie wiedział, jak ta przyszłość miałaby wyglądać. Oczywiście mieszkańcy miasta nie mieli pojęcia, że robił interesy, opierając się na naukowych metodach, i choć wierzył w szczęście i przypadek, przede wszystkim wierzył w metodę i determinację – w to, że każdy człowiek stosujący właściwą metodę i wykazujący się wystarczającą determinacją zdobędzie pieniądze. Było to równie nieuniknione jak fakt, że każdy młodzieniec odwiedzający prowadzony przez Nelly Jones dom uciech przy Amarillo Street w Edgar wyniesie z niego przerażający ładunek wszy łonowych.

Zatrudniał dwóch inżynierów, Sama Chiversa i Jacka Beaka, trzech mechaników, sprzątacza oraz konserwatora maszyn, ciemnoskórego Winstona, ale nie miał przyjaciół, a w towarzystwie okazywał powściągliwość. Oczywiście był zapraszany przez wszystkich najzamożniejszych obywateli miasta, jednak podczas konkursów na najlepsze i najciekawsze dania, na regionalnych fetach, parafialnych herbatkach i spotkaniach dla panów trzymał się z boku. Gdyby nie był najszybszym

i najsprawniejszym dostawcą urządzeń wiertniczych, suwaków Corlissa, dynam, lamp Neurnsta i teodolitów oraz gdyby nie naprawiał sprzętu wiertniczego lepiej niż ktokolwiek inny w całym Teksasie, prawdopodobnie nikt by go nigdzie nie zaprosił.

Tego ciepłego marcowego poranka przecinał prerię pod pustym niebem, zostawiając za sobą kurz i muchy. Wśród rozległych pustych przestrzeni czuł się samotnym wybrańcem. Kiwając się na boki i podskakując na koleinach, głębokim, lekko schrypniętym głosem, którego nikt nigdy nie słyszał, śpiewał *Where the Sweet Magnolias Bloom*.

Tymczasem na horyzoncie wyrosły wielkie cumulusy, przypominające ogromne zamkowe wieże, tarasy i zwodzone mosty.

Oczy piekły go od kurzu, a ręce bolały od długiego ściskania kierownicy, ale czuł w sobie siłę, która sprawiała, że śpiewał coraz głośniej.

Automobil przez cztery godziny podskakiwał w kurzu i spiekocie, zanim w oddali pojawiło się Amarero – skupisko nędznych drewnianych domów, sklepów i hotelików – otoczone ze wszystkich stron szybami naftowymi. Z odległości kilku mil wyglądały jak maszty jakiejś niezwykłej flotylli zakotwiczonej na

prerii. Niebo zasnuwał oleisty czarny dym i Johann, wysiadając z automobilu na niskim, zniszczonym erozją wzgórzu, poczuł, że znów znalazł się w krainie poszukiwaczy ropy naftowej.

Wyjął chusteczkę i otarł twarz z kurzu i potu. Praca nafciarzy z Amarero fascynowała go, odkąd w zeszłym roku przyjechał do tego miasta po raz pierwszy, wioząc konną platformą naprawioną pompę obrotową. Amarero było ciężko doświadczonym przez los miasteczkiem, zamieszkanym głównie przez nafciarzy, panienki lekkich obyczajów i sklepikarzy. Ten przekładaniec uzupełniali lekarz i zdziwaczały pastor, uważający się za świętego Sebastiana. Do jesieni 1901 roku Amarero było tylko stacją przeładunkową, na którą trafiało bydło z zachodniego Teksasu, odbierane kilka razy w roku przez pociągi towarowe z Broughton i znad Zatoki Meksykańskiej. Miało salę aukcyjną, pensjonat, jadłodajnię oferującą wieprzowinę i fasolę lub parówki i fasolę (frytki w cenie dania) oraz stację kolejową, na której znajdowało się kilka byle jak skleconych zagród dla bydła.

Potem jednak w miasteczku pojawił się Kyle Lennox, poszukiwacz ropy naftowej – mężczyzna

o reputacji awanturnika, noszący wielkie czarne bokobrody i wystrojony w brokatową kamizelkę. Miał nieprzyjemny zwyczaj wyjmowania sobie przy pokerze sztucznej szczęki. Przez cztery lub pięć miesięcy robił w okolicy wiercenia, co wieczór zalewając się do nieprzytomności i romansując z wdową po licytatorze, mieszkającą we własnym domu stojącym po północno-zachodniej stronie Main Street.

Pewnego październikowego ranka wiertło Kyle'a Lennoxa cudownym zrządzeniem losu natrafiło na średniej wielkości złoże ropy, nad którym później wyrósł szyb Amarero Numer Jeden, dający trzydzieści pięć tysięcy baryłek dziennie. Jedynym problemem było to, że teren odwiertu należał do wdowy. W trosce o swoje interesy Lennox natychmiast popędził na Main Street, wpadł do domu wdowy i w zalanych ropą drelichach padł przed nią na kolana na dywanie w kwiatki i ptaszki, prosząc ją o rękę. Został zbesztany za wnoszenie brudu do domu, ale kiedy obiecał wdowie tyle dywanów, ile zapragnie, usłyszał „tak".

Odkrycie ropy naftowej zmieniło Amarero w jeden dzień.

Kyle Lennox i jego żona – nadal nazywana przez niego wdową – sprzedali Amarero Numer

Jeden Jimmy’emu Makepiece’owi, młodemu biznesmenowi z Houston, który wraz z grupą nowojorskich inwestorów założył firmę Amarero Oil. Lennox w charakterze premii otrzymał dywidendę, sporą pensję i stołek prezesa zarządu, co wprawdzie nie dawało mu prawa podejmowania decyzji, ale było wygodnym rozwiązaniem, gdyż od tej pory skazywało go na siedzenie w Amarero, zapewniając tym samym swobodę ruchów nowemu właścicielowi szybu.

Z grzbietu wzgórza widać już było dwupiętrowy neogotycki dom Lennoxa, stojący ćwierć mili od miasteczka. Jego dachówki migotały w słońcu poranka.

Johann wjechał na Main Street terkoczącym automobilem, zatrzymał się pod budynkiem z napisem „Hotel Excelsior – Smaczne Jedzenie i Czyste Łóżka”, zaciągnął hamulec i zgasił silnik. Wokół panowała duszna, upalna cisza, przerywana jedynie cykaniem stygnącego silnika i świstem wiatru kołyszącego hotelowym szyldem. Johann zdjął rękawice i zakurzone gogle, po czym rozpiął płaszcz.

Obok niego zatrzymał się starzec o sumiastych siwych wąsach, w zakurzonych spodniach i wytartym meloniku. Palił fajkę o misternie rzeźbionym cybuchu.

– Jak leci? – spytał, nie wyjmując fajki z ust.

– Tak sobie – odparł Johann, uśmiechając się ze zdawkową uprzejmością.

Jego policzki były zaczerwienione od słońca, a rzadkie jasne włosy kleiły się od lawendowej pomady pod panamą z zieloną taśmą. Poza płaszczem miał na sobie lniany garnitur, zieloną muszkę i świeżą perkalową koszulę.

Starzec obejrzał samochód.

– Pewnie szukasz Johna Kummera – mruknął.

Johann nic na to nie odpowiedział. Sięgnął na tylną kanapę i wziął z niej teczkę ze sztucznej skóry aligatora.

– Oczywiście nie ty pierwszy – mówił dalej starzec. – Ma na kopy wierzycieli. Ze spożywczego za to, co zjadł; z odzieżowego za ubrania robocze, z drugiego odzieżowego za zwykłe ubrania, a ze sklepu z towarami żelaznymi za gwoździe i Bóg wie co jeszcze. Tam na górze też sobie nabrał kredytu.

Johann odwrócił się i popatrzył na Excelsior, drewniane, pomalowane na zielono-złoto szkaradzieństwo. Na balkonie pierwszego piętra, chroniąc się przed słońcem pod parasolem, stała młoda prostytutka o kręconych rudych włosach, w czarnym gorsecie, który więcej odsłaniał, niż skrywał. Skinęła na Johanna, ale odwrócił się.

– Wiesz, gdzie go znaleźć? – spytał starego.

Mężczyzna zakaszlał.

– Kiedyś byłem zwiadowcą u Roberta E. Lee… – zaczął.

Johann spojrzał na niego.

– Tak samo jak każdy stary bajarz po tej stronie Brazos – uciął. – Jest przy stanowisku wiertniczym czy może poszedł do miasta?

Starzec zdjął melonik i wyprostował denko.

– Przydałoby się coś na ząb – stwierdził.

– Dam ci ćwierć dolara, żebyś sobie podjadł, jeśli mi powiesz, gdzie jest Kummer – obiecał Johann. – Ale najpierw gadaj.

Starzec przez chwilę rozważał tę propozycję. Najwyraźniej nigdzie mu się nie spieszyło.

Kummer był jednym z wielu poszukiwaczy ropy naftowej, którym się w Amarero nie poszczęściło. Był winien Johannowi siedemset trzydzieści dwa dolary i osiem centów za naprawy, silniki i części zamienne i jego dzisiejsza wyprawa do miasteczka miała na celu egzekucję długu.

– A gdyby tak coś na ząb i na przepłukanie gardła? – zapytał w końcu starzec.

– Na samo jedzenie – odparł Johann. – I to dopiero wtedy, jak mi powiesz.

Starzec wzruszył ramionami.

– Dawniej, kiedy ludzie w moim wieku wspominali wojnę, było nie do pomyślenia, żeby ktokolwiek tak ich zbywał. Wystarczyło napomknąć, że się widziało Roberta E. Lee. A mnie spotkało jeszcze większe szczęście, bo nie tylko go widziałem, ale także dotknąłem jego munduru. Było to w Pensylwanii. Dotknąłem jego kurtki i powiedziałem: „Niech Bóg pana błogosławi, generale”, a on odwrócił do mnie tę swoją brodatą gębę i wiesz, co mi odpowiedział?

– Nie, nie wiem – mruknął Johann.

– Rzekł: „Cholera, zabieraj te brudne paluchy od mojego munduru!”. I to było wszystko. Dlatego od tamtej pory nie darzę specjalnym szacunkiem wielkich generałów, bo wbrew temu, co ludzie sądzą, nigdy nie wygłaszają pięknych mów.

Johann pochylił się i położył rękę na jego ramieniu.

– Może byś mi jednak powiedział, gdzie jest John Kummer, hę?

Starzec kiwnął głową.

– Mógłbyś spróbować go poszukać przy stanowisku wiertniczym.

– A jeśli go tam nie będzie?

– Wtedy mógłbyś spróbować w kościele. Może się modli, żeby Bóg spuścił na niego deszcz

pieniędzy.

Johann czekał na ciąg dalszy.

Starzec westchnął.

– Gdyby ci się chciało, mógłbyś też spróbować pod numerem dwadzieścia sześć w Excelsiorze… może znalazłbyś tam faceta, który prawie się już spakował i ma zamiar nawiać z miasta razem ze swoją pochodzącą z Abilene ukochaną, niejaką Dolly Jarvis, dziwką, która wstąpiła na drogę poprawy moralnej.

Johann klepnął starca po ramieniu, sięgnął do kieszonki kamizelki, wyjął ćwierć dolara i wcisnął go do pomarszczonej, zniszczonej dłoni. Potem poprawił muszkę, zabrał teczkę i ruszył w stronę hotelu.

Obok niego znajdowała się otwarta remiza strażacka, w której naczelnik straży w samym podkoszulku i spodniach na szelkach polerował pompę parową. Pocił się tak obficie, że jego pomarszczona czerwona twarz wyglądała, jakby była obsypana kryształami górskimi. W remizie było wściekle gorąco. Pompa parowa przez cały czas musiała być podłączona do bojlera w piwnicy, ale dopiero w razie alarmu naczelnik wrzucał do pieca pompy świecę zapalającą.

Johann przystanął na chwilę, przyglądając się jego pracy. Z remizy buchał żar jak z poczekalni

piekła. Gorące powietrze cuchnęło końmi, pastą do polerowania mosiądzu, parą i płonącym węglem. Naczelnik straży podszedł do drzwi, wycierając ręce w szmatę i podziwiając swoją pracę.

– Cześć – mruknął, rzuciwszy okiem na przybysza.

Johann kiwnął głową.

– Jak się masz, przyjacielu. Robota w gorącu, nie ma co…

– Właśnie.

Johann z szacunkiem obszedł błyszczącą pompę parową. Na każdym uchwycie, wsporniku i rurze widział swoją zniekształconą twarz, a na lśniącej szkarłatnej farbie powykrzywiane odbicie całej postaci.

– Sam ją polerujesz? – spytał naczelnika straży.

– Jasne.

– To okropna strata czasu. Gdyby do robienia pomp używano mniej mosiądzu, a więcej stali, nie trzeba by ich było ciągle polerować, zgadza się? I ten twój hełm… Wcale nie musi być miedziany. W Nowym Jorku strażacy noszą hełmy z czarnej skóry.

Naczelnik popatrzył na Johanna z takim wyrazem twarzy, jakby wziął do ust łyk kawy,

która okazała się okropną lurą, i teraz nie bardzo wie, co z tym fantem począć.

– Chłopie, niemiedziowany wóz strażacki to nie wóz strażacki. A jeśli chodzi o czas, mam przynajmniej zajęcie, kiedy niczego nie gaszę. Życie strażaka to nie tylko gaszenie kominów, w których zapaliły się sadze, i zalewanie wodą przegrzewających się maszyn w różnych warsztatach. Nie, panie szanowny! Zawsze wbijali mi do głowy, że remiza na glanc to strażacki szpan. To się tak samo liczy.

Johann poczuł się niemal zażenowany swoją nieznajomością etyki pogromców pożarów.

– Przepraszam – mruknął. – Nie znam się na pożarnictwie.

Naczelnik powiesił ścierkę na haku. Miał pomarszczoną twarz i duży brzuch, przypominał zawziętego starego indora.

– No cóż, przyjacielu, gdybyś tu trochę pobył, wiele byś się nauczył, jeśli chodzi o pożary – stwierdził.

– Dlaczego?

– Ha! Te wszystkie domy to śmiertelne pułapki. Wystarczy, że pierwszy lepszy nafciarz zaśnie z fają w pysku, i zanim zdążysz splunąć, masz już upieczoną całą rodzinkę.

– To brzmi dość groźnie.

– Właśnie dlatego pilnuję, żeby do tego nie doszło. Oczywiście kiedy nie poleruję.

Johann wyszedł na ulicę i mrużąc oczy, spojrzał na Excelsior.

– Ten dom obok też pewnie nie daje ci spać spokojnie – zauważył.

Strażak właśnie wydmuchiwał nos.

– Który?

– Excelsior.

– Och, ten! Ta buda to prawdziwy plac zabaw szatana. Tego roku mieliśmy tam już trzy pożary, w tym jeden naprawdę duży. Gość z Amarero Dwa zabawiał się z damulką, kotłowali się w pościeli i dziwka kopnęła lampę naftową przy łóżku. Nafta wylała się facetowi na plecy i zapalił się jak pochodnia! Przez kilka dni cuchnęło tam, jakby szlag trafił patelnię schaboszczaków.

Johann otarł grzbietem ręki pot z czoła.

– Gdybym przebywał w tym hotelu i właśnie wybuchłby tam pożar, którędy powinienem z niego nawiewać? – spytał.

Naczelnik straży wyszedł na ulicę i zbielałym od pasty polerskiej palcem wskazał balkon drugiego piętra.

– Tamtędy – odparł. – Ten balkon sięga na tył budynku i dochodzi do żelaznych schodów

przeciwpożarowych, które kupili po rozbiórce starego hotelu Grand w Dallas.

Johann kiwnął głową.

– Dziękuję – powiedział. – I życzę powodzenia przy pożarach.

– Nie wejdziesz na jednego? – spytał naczelnik. – Albo na winko imbirowe, jeśli jesteś abstynentem.

– Dziękuję, ale nie – odparł Johann. – Mam pewną sprawę do załatwienia.

Skierował się do hotelu. Frontowe drzwi z mahoniu i witrażowego szkła były uchylone i zablokowane, aby do środka wpadło choć trochę powiewu. W mrocznym holu Johann dostrzegł aspidistry w wielkich donicach, pluszowe czerwone kanapy i kilku dobrze ubranych mężczyzn, palących cygara i rozmawiających z ożywieniem. Za długim marmurowym blatem, zajmującym całą ścianę po prawej stronie, siedział recepcjonista w szarym uniformie ozdobionym złoconym szamerunkiem, z wybrylantynowanym wąsikiem, i dłubał w nosie. Johann ruszył w jego stronę, ale recepcjonista nawet na niego nie spojrzał. Johann nacisnął dzwonek.

– Kiedy już przestaniesz szukać ropy naftowej w nosie, może zechcesz mnie łaskawie obsłużyć –

powiedział głośno.

Recepcjonista odwrócił się i zmierzył go wzrokiem.

– Dobra, szefie… Nie ma się co ciskać – mruknął. – O co chodzi?

– Co oferujecie?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– To zależy od tego, czy pan zostaje, czy tylko jest przejazdem, czy życzy pan sobie na śniadanie bekon i kawusię ze śmietanką, no i kiedy ostatni raz posmakował pan przyjemności z damą. Skąd pan przybywa?

– Z Edgar.

– Czym pan przyjechał?

– Automobilem.

– No cóż, w takim razie chyba nie będzie pan tak napalony na kobietę jak ci, co przygalopowali tu konno z Abilene.

Johann oparł się łokciem na blacie i dał recepcjoniście znak, żeby się pochylił. Kiedy tamten to zrobił, powiedział:

– Jednodolarówka powiada, że szukam Johna Kummera.

Recepcjonista przez jakieś pół minuty wpatrywał się w niego bez słowa, a potem rzekł:

– Pięciodolarówka już powiedziała, że go nie ma.

Johann wyprostował się i kiwnął głową.

– W porządku. Ale postaraj się, żeby się dowiedział, że zajrzał tu z wizytą Johann Cornelius i że dłużej nie sprolonguje mu długu.

– Nie podbije pan stawki?

– Czemu miałbym ją podbijać? Wcześniej czy później go złapię.

Recepcjonista przyjrzał się muskularnym ramionom Johanna i jego twarzy, na której malował się wyraz determinacji.

– Tak, chyba go pan złapie – stwierdził, po czym spytał: – Podejrzewam, że nie zainteresuję pana naszym ostatnim nabytkiem?

– To znaczy czym?

Recepcjonista złożył w kółko kciuk i palec wskazujący i cmoknął.

– Sam smak… Mulatka z Piedras Negras, jedna czwarta krwi murzyńskiej. Ma dwanaście lat i aż się pali, żeby nauczyć się wszystkiego, co tylko klientowi wpadnie do głowy. Biała, niezapisana karta, że tak powiem.

Johann popatrzył na niego, ale nic nie odpowiedział. Gdyby policzek pod lewym okiem nie zadrgał mu nerwowo, można by sądzić, że w ogóle tego nie usłyszał.

– Oto i ona – dodał recepcjonista, opierając się łokciami na marmurowym kontuarze

i wskazując w głąb holu.

Johann się odwrócił.

Siedziała w słabym świetle, które wpadało przez mrożone szkło, dochodząc do pluszowych kanap. Litery „Ex” z napisu „Excelsior” wymalowanego na zabrudzonym szkle kładły się cieniem na jej miękkim ciemnoskórym policzku. W holu znajdowała się jeszcze jedna dziewczyna – tleniona blondynka z odrostami i trądzikowymi bliznami na policzku – ale Mulatka siedziała sama, wpatrzona w płytki podłogi, jakby czekała na pociąg, który spóźniał się wiele godzin. Była bardzo piękna, miała długie ciemne rzęsy i pełne, zmysłowe usta. Ubrała się absurdalnie przyzwoicie w ściąganą w pasie tasiemkami suknię z japońskiego jedwabiu barwy miedzi, z rękawami do łokci i kołnierzykiem obszytym koronką valenciennes. Ciemne włosy zaczesała do góry i związała brązowymi wstążkami, zostawiając luźne pukle przy uszach. Nie podniosła głowy, gdy Johann się odwrócił, ale zdawała sobie sprawę, że jest obiektem obserwacji, bo przysunęła do twarzy biały jedwabny wachlarzyk i nieśmiało zerkała znad niego.

Johann z powrotem odwrócił się do recepcjonisty.

– Ta dziewczyna, która tam siedzi? Jest…

Mężczyzna przygładził wąsiki.

– Owszem. Ma dwanaście lat, jest czyściutka jak łza i gotowa na wszystko, jeśli chce pan wiedzieć.

Johann poczuł w brzuchu jakieś dziwne drżenie – nigdy do tej pory niczego podobnego nie doświadczył. Uświadomił sobie też nagle, że brakuje mu powietrza. Znów popatrzył na dziewczynę, jednocześnie zafascynowany i przerażony. Była niezwykle piękna, niezwykle młoda i sprawiała wrażenie tak niewinnej, iż ogarnął go dziwny niepokój na myśl, że jest zwyczajną kurwą, dostępną dla każdego cuchnącego nafciarza mogącego wyłożyć stosowną sumę na kontuar recepcjonisty. Dlaczego musiała to robić? Wydawała się taka delikatna i niezepsuta. Powinna pracować u modystki albo pobierać nauki w szkole. Sprawiało jej to przyjemność czy był to jedyny sposób zarabiania pieniędzy, jaki znała? Emanował z niej taki spokój i pewność siebie, jakby pochodziła z dobrej rodziny.

– No i co? – spytał recepcjonista, bębniąc palcami w otwartą księgę gości. – Co to będzie? Pół godziny dwa dolary pięćdziesiąt. Cała noc osiem.

– Nie po to tu przyjechałem – odparł Johann. – Muszę rozmówić się z Johnem Kummerem. Powiedz mu tylko, że jestem w mieście. Jeśli chce, mogę na niego zaczekać w automobilu.

– W automobilu? To ci dopiero! Sam bym się chętnie zajął ściąganiem długów.

Johann zignorował go i odwrócił się, zamierzając wyjść na ulicę. Jednak gdy dotarł do drzwi, nie mógł się powstrzymać, aby po raz ostatni nie spojrzeć na śliczną Mulatkę, która nadal siedziała w bladych promieniach słońca. Zauważyła, że na nią patrzy, i tym razem nie skryła twarzy za wachlarzem, ale odpowiedziała mu śmiałym spojrzeniem.

Wyszedł na chodnik i odetchnął głęboko. Poprawił kapelusz, po czym powoli obszedł hotel, dochodząc do podwórza i zaułka, na który wychodziła kuchnia. Na długich sznurach suszyła się tu hotelowa pościel, z której jeszcze kapała woda. Drzwi kuchni były otwarte i Johann słyszał grzechot garnków na piecu. Przechodząc obok nich, dostrzegł czarną podkuchenną obracającą rączkę miksera do ciasta chlebowego. Śpiewała piosenkę unionistów z czasów wojny domowej.

Sprawdził czas na kieszonkowym zegarku. Zbliżała się dziesiąta. Zakładał, że kiedy już

znajdzie Johna Kummera, zje późne śniadanie, a potem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, odbierze od niego wszystko, co tamten jest mu winien. Mrużąc oczy, rozglądał się po nędznym zapleczu Excelsiora i po chwili dostrzegł ozdobne schody ewakuacyjne schodzące na podwórko.

Kummer okazał się bardziej przewidywalny, niż Johann się spodziewał. W takich właśnie chwilach jak ta wiedział bez cienia wątpliwości, że swoje powodzenie w interesach zawdzięcza prostemu podejściu do życia – to ono sprawia, że milionerzy są milionerami. Podczas gdy inni wciąż się w coś wplątywali, Johann Cornelius zawsze wybierał najmniej skomplikowaną drogę do celu. Może był prostakiem, ale dzięki temu osiągnął sukces. Wiedział, że subtelność to cecha, na którą mogą sobie pozwolić tylko ci, którym nie przeszkadza bieda.

Pocąc się w słońcu, stał na tyłach hotelu i patrzył, jak John Kummer szybko schodzi z balkonu ubrany w tanią letnią marynarkę i spodnie w kratę, z włosiankowym kapeluszem na głowie. Na ramieniu niósł wypchany wór podróżny. Za nim człapała ruda dziewucha w czerwonej falbaniastej sukni. Była rozczochrana i miała wielki nochal. Trzymała w ręku wielką, znoszoną aksamitną torbę,

prawdopodobnie zawierającą cały jej dobytek. Johann doszedł do wniosku, że to Dolly Jarvis.

Po chwili John Kummer zlazł na dół, podzwaniając obcasami butów na żelaznych stopniach schodów ewakuacyjnych. Za nim zeszła Dolly Jarvis. Przedarli się przez wiszące na sznurach mokre prześcieradła i wbiegli do zaułka, przez cały czas oglądając się za siebie. Najwyraźniej obawiali się, że Johann Cornelius już odkrył, że ich pokój jest pusty, i depcze im po piętach.

Johann stał w zaułku z rękami w kieszeniach spodni i Kummer omal na niego nie wpadł.

– Cześć, John! – przywitał go Johann. – Cieszę się, że tak szybko się uwinąłeś.

Kummer miał wyłupiaste oczy, opadające wąsy i wielkie uszy. Kiedy zobaczył Johanna, był tak zaskoczony, że znieruchomiał, jakby bawił się w posągi na urodzinowym przyjęciu. Oszołomiona Dolly Jarvis patrzyła to na niego, to na Johanna.

– Myślałem o tym, żeby zjeść śniadanie – powiedział spokojnie Johann. – Przyjechałem dziś rano z Edgar i od wczorajszej kolacji nie miałem jeszcze nic w ustach. Przyłączysz się do mnie?

Kummer nerwowo oblizał wargi.

– To bardzo miło z pańskiej strony, panie Cornelius – powiedział z wyraźnym akcentem z Minnesoty. – Ale niedługo jest pociąg z Broughton i chcę go złapać.

Johann znów wyjął zegarek.

– Wedle rozkładu pociąg z Broughton przyjeżdża dopiero po trzeciej. Pięć godzin to chyba wystarczająco dużo czasu na śniadanie, nie sądzisz? – spytał.

– John, czy ten gość to Cornelius? – wtrąciła się Dolly. – To on? Jeśli tak, powiedz mu, żeby zjeżdżał!

Kummer poklepał ją po ramieniu i uśmiechnął się blado.

– W porządku, Dolly. Pan Cornelius to bardzo wyrozumiały człowiek.

Johann kiwnął głową.

– Jestem znany z wyrozumiałości – potwierdził.

– No to czemu nas pan zatrzymujesz? – spytała dziewczyna. – Zależy nam na tym, żeby złapać ten pociąg, a przedtem musimy jeszcze załatwić dużo różnych spraw. Jak nie masz pan czegoś ważnego do powiedzenia, to nie stój na drodze i pozwól nam zająć się swoimi sprawami.

Johann poprawił panamę i oświadczył:

– Nie mogę pozwolić ci odjechać bez zapłaty, John.

– Zapłaty? – powtórzył Kummer.

– Właśnie. Ta zapłata to siedemset trzydzieści dwa dolary i osiem centów. Tyle kosztowała naprawa urządzeń wiertniczych, dwa czterosuwowe silniki benzynowe i wszystko, co władowałeś w ten swój nędzny odwiert. Za żadną z tych rzeczy nigdy mi nie zapłaciłeś.

John Kummer spochmurniał.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś uiścił tę sumę, zanim wsiądziesz do pociągu – mówił dalej Johann. – Broughton jest daleko, a Meksyk jeszcze dalej.

– Kto panu powiedział, że się tam wybieramy? – spytała Dolly Jarvis.

– Szanowna pani, to najlepsze miejsce dla każdego, kto jest winien siedemset trzydzieści dwa dolary i osiem centów i nie ma z czego spłacić tego długu – odparł Johann, uchylając kapelusza.

– No dobra, Cornelius – warknął nagle Kummer. – Dość tego. Zjeżdżaj nam z drogi.

– Nie odejdę bez zapłaty, John – oświadczył Johann.

– Zapłacę ci w przyszłym tygodniu. Tylko zejdź mi z drogi, to wszystko.

Tego rodzaju kłótnie zawsze przebiegały według podobnego wzoru, ale Johann ani myślał się go trzymać. Nie czekając na dalsze prowokacje Kummera, podszedł do niego i z całej siły walnął go w zęby. Nafciarz przewrócił się jak szmaciana lalka. Wstrząśnięta Dolly Jarvis uniosła ręce i zapiszczała cicho:

– Och! Zabiłeś go!

Johann obejrzał swoje krwawiące kłykcie.

– W żadnym wypadku – odparł.

Po chwili Kummer usiadł i splunął na ziemię krwią, pozbywając się przy tym trzech wybitych zębów.

– O kurwa… – zaklął.

Johann przykucnął obok niego i powiedział z naciskiem:

– John, zaprosiłem cię na śniadanie i radzę ci skorzystać z mojego zaproszenia. Jeśli nie masz pieniędzy, żeby mi zapłacić, musimy załatwić to inaczej. Poza tym chyba dobrze by było, gdybyś przepłukał usta wodą z lodem.

– Och, mój Boże… – jęknęła Dolly Jarvis. – Aleś ty brutalny. Słyszysz mnie? Jesteś brutalem!

Johann odwrócił się i popatrzył na nią.

– Mogę być brutalem, szanowna pani, ale za to ty jesteś nierządnicą. Chyba lepiej zarabiać

pieniądze na uczciwej brutalności niż na sprzedajnej miłości.

– John, walnij go! – wrzasnęła dziewczyna, wskazując brudną białą rękawiczką Johanna.

Kummer otarł usta i krzywiąc się z bólu, podniósł się z ziemi.

– Walnij go! – powtórzyła ze złością Dolly Jarvis. – Śmiało!

Nafciarz pokręcił głową.

– Daj spokój. Jeśli spróbuję to zrobić, oderwie mi łeb. Nie zamierzam się o to dopraszać.

– Co z ciebie za facet? – prychnęła Dolly. – Tchórz cię obleciał czy co?

– Myślę, że John ma rację, panno Jarvis – powiedział Johann. – Zamierzam wydostać od niego moją zapłatę, nawet gdybym musiał go ugotować i przerobić na szare mydło. Poza tym mam w automobilu rewolwer Iver Johnson i jeśli będzie trzeba, zrobię z niego użytek. Może cudza własność nie znaczy zbyt wiele w Minnesocie, ale tu, w Teksasie, chroni ją prawo. A tutejsi mieszkańcy, bez względu na to, co sobie o mnie myślą, uznali mnie za Teksańczyka.

– Jesteś na to dość wielki i dość durny – skwitowała tę deklarację Dolly.

Przestali się przerzucać słowami i ruszyli do jadłodajni o nazwie Salon Lunchowy Amarero.

Znajdowała się po drugiej stronie ulicy, niedaleko miejsca, w którym Johann zostawił swój automobil, otoczony teraz przez kilkunastu nieletnich obdartusów, wśród których był mężczyzna w kraciastej koszuli i czarnych spodniach rangersa, wyglądający na miejscowego idiotę.

O tej porze w jadłodajni było cicho i pusto. Niewielka, pomalowana na biało salka kiedyś służyła do sprzedaży paszy dla koni oraz innych gospodarskich zwierząt. Stojące w niej stoliki i wiklinowe krzesła również były białe. W wysokiej witrynie cukierniczej po jednej stronie leżały ciasta i krakersy, a po drugiej ustawiono kunsztowną piramidę słoików wypełnionych melasą.

Kiedy usiedli przy stoliku, zza lady wyszła potężna kobieta o ramionach jak szynki z Kentucky, niosąc szklanki z wodą, i postawiła je przed nimi. W kącie siedział chudy mężczyzna w meloniku i siorbał kawę ze spodeczka.

Kummer najwyraźniej nie miał apetytu, ale Dolly Jarvis zamówiła zapiekankę z puszkowaną wołowiną i fasolą – doświadczenie ją nauczyło, że jeśli nie wsuniesz darmowego śniadania, być może przyjdzie ci się modlić o kolację. Johann zamówił dla siebie naleśniki, bekon, parówki,

sadzone jajka, zapiekankę, syrop klonowy i śmietanę. Jego upodobania kulinarne były równie proste i bezpretensjonalne jak techniki biznesowe, co jednak wcale nie ograniczało jego ogromnego apetytu.

Kummer, blady i posiniaczony, wyglądał jeszcze gorzej niż wcześniej w bezbarwnym świetle jadłodajni, przefiltrowanym przez kremową farbę sięgającą do połowy okien. Pociągał wodę z lodem i krzywił się z bólu. Dolly westchnęła ciężko, założyła nogę na nogę i popatrzyła na niego takim wzrokiem, jakby znowu chciała powiedzieć, że mógłby chociaż spróbować walnąć Corneliusa.

Kiedy czekali na jedzenie, Johann postawił na krześle teczkę ze sztucznej skóry aligatora i otworzył ją.

– John, oto propozycja, którą chciałbym ci przedstawić – oświadczył. – Możesz ją przyjąć lub odrzucić, ale jeśli ją odrzucisz, trafisz prosto do biura szeryfa, który każe cię wtrącić do więzienia za nieuczciwość i wyłudzanie pieniędzy.

Kummer uśmiechnął się krzywo.

– Cieszę się, że mam jakiś wybór – mruknął.

Dolly ponownie westchnęła.

– Chodzi o twoje sto sześć akrów przy Sweetwater Trail – dodał Johann. – Wszedłeś

w ich posiadanie legalnie, chociaż obiło mi się o uszy, że kiedyś ta ziemia należała do Indian i nie zapłaciłeś im za nią tyle, ile była warta.

Kummer pokręcił głową.

– Zapłaciłem dwa dolary za akr. Indianie wzięli forsę, a skoro ją wzięli, to ich problem, nie mój.

Johann wzruszył ramionami.

– Nie interesuje mnie twoja miłość bliźniego, ale to, jak zamierzasz mnie spłacić. Myślę, że najlepiej byłoby, gdybyś dał mi te sto sześć akrów. Obliczyłem, że ziemia kosztowałaby mnie wtedy sześć dolarów i dziewięćdziesiąt centów za akr, a do wież wiertniczych, silników i innych urządzeń i tak mam prawo. Kiedy spojrzysz na to w ten sposób, zobaczysz, że zarobiłeś cztery dolary i dziewięćdziesiąt centów na każdym akrze, co daje w sumie pięćset dziewiętnaście dolarów i czterdzieści centów.

Kummer odstawił szklankę z wodą. Sprawiał wrażenie nieco otumanionego.

– Mówi pan, że zarobiłem pięćset dziewiętnaście dolarów?

– Zgadza się.

– W takim razie dlaczego mam zostać bez ziemi, urządzeń i gotówki? Jeśli zarobiłem

pięćset dziewiętnaście dolarów, to gdzie one są, hę? Nie mam pięciuset dziewiętnastu dolarów.

– Ani czterdziestu centów – dodał Johann.

Dolly popatrzyła na niego ostro.

– Co to za rachunki? – syknęła. – Z ciebie jest pierwszej wody oszust, Cornelius!

Johann nawet na nią nie spojrzał. Kiedy potężnie zbudowana kobieta o muskularnych ramionach przyniosła im zamówione jedzenie oraz placki z dodatkiem sody oczyszczonej i sałatkę pomidorową, sięgnął po sztućce i powiedział beznamiętnym, spokojnym głosem:

– Twój wybór, John. Jeśli dasz mi ziemię, wyjedziesz z Amarero jako wolny człowiek. Inaczej czeka cię więzienie, gdy tylko skończysz śniadanie.

Kummer spochmurniał.

– A co z innymi moimi wierzycielami? – spytał. – Co oni powiedzą? Może spłacę pana, panie Cornelius, ale jestem jeszcze winny za jedzenie, ubranie i narzędzia, których używałem, oraz mnóstwo innych rzeczy.

Johann włożył do ust kawałek naleśnika i pół parówki.

– Nie musisz się tym przejmować – powiedział. – Obejdź ludzi, którym jesteś winien

pieniądze, i powiedz im, żeby przyszli do mnie, a ja spłacę ich co do centa.

Dolly, która tak zaciekle dziobała widelcem zapiekankę, jakby spodziewała się znaleźć w niej naszyjnik z brylantami, na chwilę przestała jeść i popatrzyła na niego podejrzliwie.

– Spłacisz wszystkie jego długi?

– Owszem.

– Ile one wynoszą, John?

– Och, nie wiem dokładnie. Czterysta dolarów, może pięćset.

Dolly otarła usta i znowu popatrzyła na Johanna, a on uśmiechnął się do niej jak człowiek, który w niedzielne popołudnia dla rozrywki jeździ tramwajem i uśmiecha się do swoich towarzyszy podróży.

– Ale z ciebie wąż – wycedziła. – Jesteś najpodlejszym, najwredniejszym i najbardziej jadowitym wężem, jaki się narodził od początku świata.

Kummer zmarszczył brwi.

– Daj spokój, Dolly. Pan Cornelius złożył mi ofertę, dzięki której wykaraskamy się z kłopotów. Nie niszcz *entente cordiale*, którą tu nawiązaliśmy, dobrze?

Dziewczyna odepchnęła do połowy opróżniony talerz.

– Czy ty naprawdę jesteś taki tępy, Johnie Kummer, że nie zdajesz sobie sprawy z tego, o co chodzi temu człowiekowi? – spytała. – Nie widzisz, co on knuje? Nie rozumiesz, że popełniasz wielki błąd?

Kummer podrapał się po głowie. Dolly cmoknęła z irytacją i znów odwróciła się do Johanna.

– Wiesz coś, czego John nie wie, no nie, Cornelius? – spytała. – Wiesz, że tam, przy Sweetwater Trail, jest ropa. To, że John jej nie znalazł, jeszcze wcale nie świadczy o tym, że jej tam nie ma. Kiedy tylko wsiądziemy do pociągu, pobiegniesz tam z kilofem i łopatą i zarobisz tyle pieniędzy, że te czterysta czy pięćset dolców nie będzie przy nich nic warte.

Johann starannie zebrał chlebem żółtko z talerza.

– Powinna pani zajmować się interesami, panno Jarvis – stwierdził.

– Przecież się nimi zajmuję – warknęła Dolly.

Nie spodobało się to Kummerowi.

– Mówiłaś, że dasz sobie z tym spokój – powiedział.

Dolly odwróciła się do niego.

– Jak mogę dać sobie z tym spokój, kiedy włóczę się z takim głupkiem bez centa przy duszy

jak ty? Pierwszy raz w życiu udało ci się coś zarobić, ale natychmiast wszystko roztrwoniłeś. A jakby tego było mało, to jeszcze musisz oddać odwiert, żeby ratować skórę! Ty durny matole!

Johann skończył jeść i poprosił o kawę.

– Może pani krzyczeć i wydzierać się, ile dusza zapragnie, panno Jarvis – powiedział spokojnie – ale gdyby zatrzymała pani tę ziemię, nie znalazłaby pani tam ropy… nawet gdyby wiedziała pani, gdzie jej szukać. Chyba pani nie myśli, że jestem taki głupi, żeby wam zdradzić, co wiem, gdybym sądził, że moglibyście sami tam wiercić? Lubię załatwiać wszystkie sprawy prosto, uczciwie i bez owijania w bawełnę, więc mówię wyraźnie, że zabieram ziemię za dług, a jeśli nie zostanie spłacony, postaram się, żeby pani przyjaciel spędził resztę życia, tłukąc kamienie na drodze.

– To beznadziejne, Dolly – mruknął Kummer. – Muszę mu oddać tę ziemię. Słuchaj pan, Cornelius, mam tu papiery. Przy następnej przecznicy jest adwokat, możemy u niego spisać umowę.

– Ty nędzny robaku! – syknęła Dolly.

Kummer odwrócił się do niej i walnął pięścią w stół.

– Nie nazywaj mnie robakiem, farbowana dziwko! Robię to, bo nie mam wyboru! Skoro jesteś taka odważna, czemu nie wrócisz do Abilene i nie padniesz plackiem przed człowiekiem, który wyłożył za ciebie kaucję, żebyś nie wylądowała w ciupie?

– Och, pocałuj mnie gdzieś! – krzyknęła Dolly.

Johann Cornelius wstał, zdjął kapelusz z wieszaka na ścianie i przysunął krzesło do stolika.

– Dziękuję za śniadanie, panno Dolly – powiedział. – Szczodrobliwa z ciebie niewiasta.

Dolly popatrzyła na puste talerze i filiżanki, a potem na Johanna.

– Co ty gadasz? – wymamrotała. – Myślałam, że to na twój koszt, nie na mój!

– Czasem lepiej wykosztować się na śniadanie, niż zastać na swoim progu łowcę nagród, który poluje na dziesięć procent twojej kaucji – odparł.

Dolly otworzyła torebkę, wyjęła z niej dolara i położyła go na stole.

– Kiedy moja nauczycielka ze szkółki niedzielnej przyłapała mnie w krzakach ze spuszczonymi majtkami i bandą mikrusów, która nie mogła napatrzeć się do syta, stwierdziła, że jestem pozbawiona wszelkich zasad moralnych – powiedziała. – Dopóki nie poznałam pana,

Cornelius, wierzyłam, że miała rację. Ale teraz wiem już, że są ludzie, którzy mają nie więcej zasad niż ten stół, i dreszcz mnie przechodzi.

Johann nie od razu jej odpowiedział. Skłonił się kobiecie za kontuarem i poprowadził Dolly oraz Kummera do drzwi. Kiedy wyszli na ulicę, przez chwilę stał na trotuarze, mrużąc oczy w słońcu.

– Niewiele pani wie na ten temat, panno Jarvis – powiedział, odprowadzając wzrokiem konny powozik, którym jechała groźnie wyglądająca niewiasta w staromodnym czepcu i sukience w kwiatowy wzór. – Zasady moralne to sposób przewidywania boskiej sprawiedliwości na ziemi w nadziei, że kiedy w końcu nadejdzie dzień sądu, nasze serca i sprawy będą w porządku. Moje życie jest w o wiele większej zgodzie z zasadami moralnymi niż pani, bo mam ważniejsze zadania do wykonania. Ale pewnego dnia będzie mogła pani z przyjemnością pomyśleć, że zafundowała mi śniadanie.

Dolly obrzuciła go długim, pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Miejmy to już za sobą – warknęła. – Im szybciej świątobliwy Cornelius nas opuści, tym lepiej.

– Adwokat jest parę domów dalej – powiedział Kummer.

Johann kiwnął głową.

– Jeśli tak bardzo zależy wam na tym, żeby się mnie pozbyć, to chodźmy.

Dolly ruszyła przodem razem z Kummerem, jej zapinane na guziczki buty rytmicznie stukały w deski chodnika. W pewnym momencie odwróciła się i z ironicznym uśmieszkiem popatrzyła na Johanna.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia nasz Pan zrobi mi tę przyjemność i przyśle cię do mnie jako klienta, a wtedy ugryzę cię tam, gdzie najbardziej boli – oświadczyła. – Potem już nigdy nie zapomnisz Dolly Jarvis.

– Nie powinnaś tak mówić – zganił ją Johann. – Denerwujesz tym tylko naszego wspólnego przyjaciela. A człowiek nie powinien być zdenerwowany, gdy podpisuje akt rezygnacji ze swoich praw. Kiedy jest zdenerwowany, pióro skacze mu w ręce, więc taki akt będzie też świadectwem, że czuje się winny i boi się konsekwencji.

♦ ♦ ♦

O trzeciej po południu odprowadził Dolly Jarvis i Johna Kummera do jadącego na południe pociągu i zatknąwszy kciuki za pas, stał przy torach, dopóki lokomotywa i trzy wagony nie zniknęły w oddali, pozostawiając za sobą czarne kłęby dymu, które powędrowały na zachód, unosząc się coraz wyżej i otwierając jak pióropusze zaprzęgu karawaniarza.

Zaraz potem opuścił stację kolejową Amarero ze świeżo odmalowaną nastawnią i nową jasnobrązową kasą i wrócił do swojego automobilu. Wyjął korbę, zapalił silnik, wsiadł do pojazdu i pojechał obejrzeć swoją nową nieruchomość.

Droga zajęła mu dwadzieścia minut. Sweetwater Trail było pozostałością po szlakach przegonu bydła, miejscem, które pozwoliło hodowcom wzbogacić się w czasach przed silnikami pożerającymi smary i benzynę. Johann zatrzymał samochód na wzgórzu niedaleko wyrastającej z prerii samotnej płaskiej skały i siedział w nim przez długą chwilę, przyglądając się porośniętej krzakami piaszczystej równinie. Stojąca nieopodal duża tablica głosiła optymistycznie: „Kummer 1”. Było bardzo gorąco. Na horyzoncie wisiało tylko kilka chmur, a ciepły wiaterek ledwie dyszał, w ogóle nie

łagodząc upału. Johann zdjął panamę i przetarł chusteczką potnik.

Kilkaset jardów dalej znajdował się szyb wiertniczy Kummera, milczący i opuszczony. Wieża, szopa z blaszanym kominem, wóz ze złamanym kołem, plątanina lin, wielokrążków i różnych narzędzi. Tylko jaszczurki przemykały w słońcu, obserwując siedzącego w samochodzie człowieka ślepkami jak paciorki.

Tego dnia Johann miał tylko jedno do zrobienia. Wysiadł z wozu i podszedł do tablicy z optymistycznym napisem „Kummer 1”. Zaczął nią poruszać, aż w końcu upadła na ziemię z głośnym plaśnięciem. Potem wrócił do automobilu i wyjął z niego biało-czarną tablicę, którą przygotował trzy dni wcześniej. Wśród porzuconych narzędzi znalazł młotek i kilka stóp od odwiertu wbił w ziemię nową tablicę. Widniał na niej napis: „Cornelius Oil”.

Otarł rękawem czoło, zamachnął się młotkiem i rzucił go. Wirując wokół własnej osi, młotek zatoczył płaską parabolę i z głuchym brzękiem uderzył w szopę.

Johann wiedział, że jest tu ropa. Wybór najlepszego miejsca miał mu jeszcze zabrać nieco czasu, ale przeprowadził już tyle próbnych wierceń wokół Sweetwater i Amarero, że był

pewien, iż pod ziemią jest więcej czarnego złota, niż przypuszczał Kyle Lennox i inni poszukiwacze ropy. Johann wierzył w naukę, nie uznawał zgadywanek, choć to właśnie dzięki nim w tej części prerii wyrosło „Amarero 1” i większość innych szybów. Podczas każdego przyjazdu do Amarero spędzał kilka godzin z sejsmografem, wykonując niewielkie odstrzały i zapisując wyniki w specjalnym zeszycie – tym samym, w którym podczas pracy w Nowym Jorku zapisywał wszystko, czego nauczył się z lektur ksiąg handlowych Nathaniela. Nie widział potrzeby kupowania nowego zeszytu, dopóki nie zużyje tego. Kosztował go dwa centy.

Metody poszukiwań ropy naftowej poznawał prawie przez dwa lata – od przybycia do Edgar. Każdego wieczoru zamykał się w swoim starym czerwonym domu przy Grange Street, zapalał małą lampkę i ślęczał nad grubymi podręcznikami geologii sprowadzanymi z Europy przez księgarnię Kernbauma. Dowiedział się z nich, że obecność ropy często sygnalizują podziemne wysady solne, które mogą powstawać w dwojaki sposób. Amerykańscy geolodzy uważali, że tworzyły się one pod wpływem ruchów tektonicznych wyciskających sól ze słupów solnych, pozostałości dawnych gorących

źródeł, natomiast według europejskich źródeł powodem pojawiania się poduszek soli był napór wierzchnich warstw skalnych. To dzięki tym lekturom Johann się dowiedział, jakich formacji geologicznych powinien szukać oraz jak korzystać z sejsmografu, wagi sprężynowej i grawimetru podczas badania struktury skał. W końcu osiągnął taką wiedzę, że potrafił z dużą dokładnością wskazywać roponośne tereny.

Pięć miesięcy temu, podczas swojej ostatniej wyprawy do Amarero, zrobił próbne odstrzały przy Sweetwater. Już wtedy podejrzewał, że Kummer jest w kłopotach finansowych, więc zainteresował się jego ziemią, widząc w niej nie tylko źródło ropy naftowej, ale także zabezpieczenie długu. Nie miał pojęcia, jak bogate może być złoże, nie wiedział też jeszcze, gdzie powinien zacząć wiercenia, jednak był przekonany, że ropa musi tam być. Sto sześć akrów to ponad cztery miliony stóp kwadratowych, ale Kummer wiercił wszędzie, tylko nie tam, gdzie należało.

Stał przez chwilę z rękami wspartymi na bokach, patrząc na spieczoną piaszczystą równinę. Tu był jego eden, miejsce, dzięki któremu miał szansę zdobycia prawdziwych pieniędzy. Kopnął ziemię jak człowiek kopiący

koło swojego powozu, aby sprawdzić, czy dobrze trzyma się ośki. Przepełniało go zadowolenie i spokój. To nie szczęśliwy przypadek sprawił, że wszedł w posiadanie tego spłachetka ziemi – była to kulminacja wielu lat planowania, nauki i ciężkiej pracy, wsparta dziesięcioma tysiącami dolarów wypłaconymi mu przez Mullinera w zamian za wyjazd z Broughton i obietnicę, że nigdy tam nie wróci.

Wrócił do automobilu, włączył silnik i wycofał się w górę stoku, do skały. Tam się zatrzymał i po raz ostatni z satysfakcją popatrzył na nową tablicę z napisem „Cornelius Oil". Potem wrzucił bieg i ruszył na północ, pozostawiając za sobą kłęby kurzu.

Na początku wcale nie zamierzał wracać do Amarero. Dwie czy trzy mile od miasta droga prowadząca na północ rozwidlała się i jedna jej odnoga biegła na wschód. Nieopodal wzgórza, na którym Johann siedział tego poranka, patrząc na Amarero, łączyła się z drogą do Edgar. Ten skrót oszczędziłby mu dobrych dwóch mil jazdy, ale kiedy dotarł do rozwidlenia, nadal kierował się na północ, mimo uporczywego głosu w głowie, który mu powtarzał: „Co ty wyczyniasz? Co ty wyczyniasz?".

Kiedy automobil podskakiwał na nierównej drodze, Johann przekonywał siebie, że musi jechać do Amarero, aby uzupełnić paliwo. Co prawda był przekonany, że ma dość benzyny na powrót do domu, ale z automobilami nigdy nic nie wiadomo – często zachowywały się kapryśnie. Przecież nie będzie nocował na prerii.

Dopiero gdy wjechał na Main Street, przyznał się przed samym sobą, co tak naprawdę skłoniło go do powrotu. Był jednak zupełnie bezradny, nie potrafił zmienić biegu wydarzeń, chociaż wystarczyło zawrócić i pojechać do domu. Zwykle czuł się panem swojego losu, ale gdy chodziło o kobiety, tracił nad nim kontrolę, ster wyślizgiwał mu się z rąk jak lina ratunkowa z dłoni pływaka walczącego z przełomami rzeki Kolorado i unosił go prąd.

Zajechał prosto przed hotel Excelsior, jednak nie wyłączył silnika. Wszedł przez ozdobne szklane drzwi, zdjął kapelusz i podszedł do kontuaru pod ścianą. Recepcjonista czytał teraz „The Broughton Sentinel” i dłubał w nosie jeszcze zacieklej niż poprzednio. Mulatka zniknęła, pluszowe kanapy były puste. W brązowej onyksowej popielniczce żarzył się jeszcze niedopałek czyjegoś cygara, niebieski dym wił się

we wpadającym przez okna blasku późnego popołudnia.

Johann nacisnął dzwonek i recepcjonista uniósł głowę.

– Och, wrócił pan – mruknął.

Johann czuł, że się poci i coraz bardziej traci pewność siebie. Zupełnie nie wiedział, jak zacząć. Mężczyzna za kontuarem czekał niecierpliwie, kręcąc wybrylantynowany wąsik i mrugając z denerwującą regularnością.

– Pomyślałem sobie, że może moglibyśmy omówić pewną sprawę… – wydukał w końcu Johann.

Kiedy recepcjonista uniósł brwi, dodał szybko:

– Miałbym dla ciebie propozycję… ale oczywiście tylko pod warunkiem, że odpowiadałaby romantycznie osobie, której dotyczy.

– Romantycznie? – powtórzył pytająco recepcjonista.

Johann kiwnął głową.

– Nie potrafię tego inaczej określić.

– Rozumiem – mruknął tamten.

Johann nerwowo miętosił rondo swojej panamy.

– Oczywiście wiem, że może się to okazać niemożliwe – dodał. – Nie mam w zwyczaju

odwiedzać tego rodzaju przybytków i nie znam tutejszych zwyczajów. To może być poza dyskusją.

– Ma pan rację – przyznał recepcjonista.

Johann przełknął ślinę.

– Może się jednak okazać, że osoba, której ta sprawa dotyczy, ustosunkuje się do niej przychylnie i uzna ją za satysfakcjonujące rozwiązanie.

Mężczyzna za kontuarem podłubał w kąciku oka, po czym uważnie obejrzał to, co tam znalazł.

– Wydaje mi się, że ma pan na myśli jakąś damę – odezwał się.

Johann dalej miętosił panamę.

– Tak, damę. Taką… młodą Mulatkę, która była tu wcześniej.

Recepcjonista odwrócił się na krześle i popatrzył na ścienny zegar, który miał za sobą.

– Obawiam się, że zjawia się pan zbyt późno.

– Zbyt późno? Czy to znaczy, że jest już…

– Wyszła na obiad. Ale wróci niebawem.

– Chcę ją kupić – oświadczył Johann.

Recepcjonista pociągnął nosem.

– W porządku. Na jak długo?

Johann pochylił się nad kontuarem recepcji i powiedział:

– Nie rozumiemy się. Nie chcę jej tylko na pół godziny.

– Doskonale – odparł tamten. – Osiem dolarów za noc.

– Niezupełnie o to mi chodziło.

Recepcjonista uniósł pióro nad księgą gości.

– Mogę ją panu zaoferować za siedem pięćdziesiąt za noc, ale niżej nie zejdę. Ani centa.

– Nie rozumiemy się – powtórzył Johann, rumieniąc się. – Nie chcę jej kupić tylko na jedną noc. Chcę ją całkiem wykupić.

Mężczyzna odłożył pióro.

– Innymi słowy, chce ją pan zarezerwować na każdą noc? Na trzysta sześćdziesiąt pięć nocy w roku? To będzie pana sporo kosztować. Nie jestem pewien, czy jest tyle warta. Wie pan, ma dopiero dwanaście lat i brakuje jej doświadczenia. No i jest niezbyt przy kości.

– Cóż, spodziewam się, że z czasem stanie się bardziej przy kości – odparł Johann, uśmiechając się z zażenowaniem. – Ale wciąż nie rozumie pan, o co mi chodzi. Chcę ją nabyć tylko dla siebie. Chcę ją ze sobą zabrać, żeby ze mną zamieszkała.

Recepcjonista spojrzał na niego jak na człowieka niespełna rozumu i Johann pomyślał, że prawdopodobnie ma rację. Czuł jednak taki

przymus, że był całkowicie bezbronny. Młodziutka Mulatka poruszyła go do głębi i musiał ją mieć. Nie wiedział, czy chodzi mu o ratowanie nieszczęsnej przed nikczemnym losem, czy sam chce zaspokoić swoje cielesne żądze. Zastanowi się nad tym później. W tej chwili liczyło się tylko to, żeby zabrać ją z tego okropnego miejsca.

– Ta dziewczyna należy do pana Kyle'a Lennoxa… tak samo jak cały hotel i większa część tego miasta – oświadczył recepcjonista. – Nie uwierzę, żeby pan Lennox zamierzał pozbyć się którejkolwiek ze swoich dziewczyn. Za nic w to nie uwierzę.

– Więc nie załatwisz ze mną tej sprawy? – spytał Johann.

– Nie wydaje mi się, abym mógł to zrobić.

– W takim razie sam pójdę porozmawiać z panem Kyle'em Lennoxem. Nie wiesz przypadkiem, czy jest dzisiaj w mieście?

Recepcjonista kiwnął głową i zamknął księgę gości.

– Pan Lennox zawsze jest w mieście. Ale niech mi pan wierzy, nie sądzę, żeby był gotów sprzedać którąś ze swoich dziewczyn.

– To już moja sprawa – burknął Johann. – A dziewczynie powiedz, żeby na mnie zaczekała,

niech nie idzie z innymi klientami. Wrócę za pół godziny.

– W porządku – odparł recepcjonista.

Johann wyszedł z hotelu i wsiadł do automobilu. Ochłodziło się i słońce było już tak nisko, że jego tarcza dotykała sklepu żelaznego po przeciwnej stronie hotelu. Na piętrze ktoś grał na trąbce. Zakurzoną ulicę pocięły cienie. Po chwili przejechał nią powozik, parsknął koń i zadzwoniła uzda. W powietrzu unosił się suchy, aromatyczny zapach prerii zmieszany z wonią smażonej karkówki i fasoli.

Automobil Johanna strzelił gaźnikiem i z terkotem ruszył ulicą. Johann minął stajnie i sklepy na północy miasta, po czym wjechał na ubity preriowy szlak prowadzący do posiadłości Lennoxa.

Była to imponująca pseudogotycka rezydencja o osobliwych proporcjach, którą Lennox zamówił na podstawie obrazka w czasopiśmie. Stolarz z Amarero bardzo się starał, jednak ponieważ wcześniej stawiał wieże wiertnicze, a nie eleganckie domy mieszkalne, powstała niezwykle dziwaczna budowla. Wszystkie okna sprawiały wrażenie krzywych, drzwi były żałośnie wąskie, a rzeźbienia i dekoracje wyglądały jak wystrugane kozikiem przez chłopca. Na

otoczonym równym zielonym płotkiem frontowym podwórzu rosło tylko kilka gęstych karłowatych krzaczków.

Johann zgasił silnik, wysiadł z pojazdu i podszedł do frontowej furtki. Zanim ruszył wysypaną czerwonym ceglanym tłuczniem ścieżką, stał przez chwilę, rozważając ryzyko, jakie podejmuje. Był dobrze znany w tych okolicach i szanowany. Nie przejmował się wprawdzie za bardzo opiniami ludzi, jednak na razie jego przedsięwzięcia biznesowe w zbyt dużym stopniu zależały od aprobaty miejscowych, aby mógł robić, co mu się żywnie podoba. Gdyby się rozeszło, co dzisiaj zrobił, a takie ryzyko zawsze istniało, jego pozycja w Edgar raczej by na tym nie zyskała. Kiedy już trafi na ropę, będzie mu to całkiem obojętne, ale dziś wieczorem musiał zadbać o dyskrecję.

Zmrużył oczy w gasnącym słońcu. Problem w tym, że nie miał wyboru. Wystarczyło, że spojrzał na tę dziewczynę, i od razu wiedział, że musi ją mieć. Nie było dla niego odwrotu.

Pokonał ścieżkę, wspiął się po dwóch drewnianych stopniach prowadzących na werandę i zapukał do wąskich drzwi koloru spopielałej purpury. Ze środka dobiegło szczekanie i tupot kroków.

Drzwi otworzył sam gospodarz. Johann widział jego ferrotypowe fotografie w „The Amarero Citizen”, ale nigdy nie spotkał go osobiście. Lennox sprawiał wrażenie starszego i grubszego niż na zdjęciach – tłusty, rozpustny mężczyzna w purpurowym jedwabnym szlafroku, o szerokiej spoconej twarzy i długich sumiastych wąsach. Palił cygaro, popijał burbona z kryształowej szklanki i patrzył na Johanna tak, jakby się go spodziewał, ale nie był pewien, czy stojący na progu mężczyzna nie jest wytworem jego wyobraźni.

– Witam, panie Cornelius – powiedział zaflegmionym głosem. – To wspaniale, że przybył pan z wizytą.

Johann zdjął kapelusz.

– Zadzwonili do pana z hotelu, prawda? Widziałem przy domu druty telefoniczne i spodziewałem się tego.

– Owszem, zadzwonili – odparł Lennox. – Ale i tak bym pana poznał. Jest pan dość znaną osobą w tych stronach.

– Mogę wejść? – spytał Johann.

Lennox szerzej uchylił drzwi, wpuszczając gościa do środka. Mijając gospodarza, Johann poczuł od niego alkohol i anchois. Kiedy witając się, Lennox z żartobliwą sztywnością skłonił

głowę, Johann zauważył, że jego czarne włosy są przy skórze zupełnie siwe – najwyraźniej je farbował.

W ciemnawym holu wejściowym unosił się zapach pleśni, jakby nigdy nie wpuszczano tu światła ani świeżego powietrza. Na ścianach wisiały późnowiktoriańskie oleje, portrety kobiet o szerokich biodrach i obfitych piersiach. Było tu niewiele mebli, ale przytłaczały swoimi rozmiarami. Na dywanie w róże, obok stojaka na parasole, leżał rozwalony owczarek niemiecki z poszarpanym uchem. Chociaż poziom opadów w Amarero zwykle nie przekraczał czterech cali rocznie, w stojaku było pełno parasoli ze złotymi i srebrnymi rączkami. Najwyraźniej Lennox, przeglądając czasopisma dla socjety, zauważył, że w domach najznakomitszych obywateli nigdy nie brakuje parasoli, toteż uznał, że w jego rezydencji również powinno ich być co najmniej dziesięć.

– Bardzo żałuję, ale wdowa właśnie odpoczywa – wyjaśnił, podążając chwiejnym krokiem za Johannem, który kierował się w stronę salonu. – Nie jest już taka młoda i często miewa migreny. Wykombinowała sobie, że najlepszym sposobem na to paskudztwo jest

wylegiwanie się z nasmarowaną kremem twarzą w łóżku.

– Przykro mi – powiedział uprzejmie Johann, rozglądając się po pokoju.

– A mnie ani trochę – odparł Lennox. – Mogę sobie przynajmniej w spokoju poczytać francuskie magazyny. Ma pan ochotę przepłukać sobie gardło?

– Nie, dziękuję.

– Cygaro? Mam akurat kubańskie. Mój stary kumpel od pokerka przywozi mi je czasem prosto z Hawany.

– Nie, nie. Nie palę.

Lennox usiadł na wielkim, obitym czerwonym pluszem bujanym fotelu z poręczami imitującymi łabędzie szyje. Cały salon urządzony był w podobnym stylu. Stały w nim ogromne, źle dobrane fotele oraz masywna dębowa kanapa i gigantyczna sofa. Na ścianach pozawieszano rozmaite obrazy i grawerunki, a na podłodze leżał ciemnobrązowy dywan w kwiaty i zamki.

– No proszę – sapnął Lennox i skrzyżował grube nogi, demonstrując plamy tłuszczu na szarych spodniach. – Nie pije pan, nie pali… Ale za to pewnie często chodzi pan do kościoła, prawda?

Johann przysiadł na brzegu kanapy. Położył kapelusz na kolanie i nic na to nie odpowiedział. Lennox przyglądał mu się, wypuszczając w powietrze obłoczki cygarowego dymu.

– Jak taki z pana święty, to co pan robi dla frajdy? – spytał po chwili.

Johann odchrząknął.

– Skoro do pana zatelefonowano, Lennox, z pewnością powiedziano też panu, jakie mam zamiary. Chcę, żeby nasza rozmowa trwała jak najkrócej i była tak przyzwoita, jak to tylko możliwe.

– Jak pan sobie życzy.

– Dowiedziałem się, że zatrudnia pan w Excelsiorze młodą Mulatkę. Chciałbym zatrudnić ją u siebie, na stałe, jako gosposię i towarzyszkę życia. Oczywiście wszystko zależy od jej akceptacji i od ceny, którą zechce pan wyznaczyć.

Gospodarz popatrzył na niego z rozbawieniem.

– Niczego jej u mnie nie zabraknie – dodał Johann. – Zapewnię jej dach nad głową, strawę i dalszą edukację.

– Rozumiem… – mruknął Lennox.

– Mogę dobrze zapłacić. Mam nadzieję, że osiągniemy porozumienie i zawrzemy

dżentelmeńską umowę korzystną dla wszystkich zainteresowanych.

Lennox pociągnął łyk burbona i rozparł się w fotelu, kołysząc się na wykończonych lwimi łapami biegunach. Wyglądał, jakby propozycja Johanna Corneliusa bardzo go rozbawiła.

– Panie Cornelius, wydaje mi się, że nie pojmuje pan istoty fachu tej dziewczyny – powiedział. – Mówi się, że kurewstwo to najwspanialszy biznes na świecie. Masz coś, sprzedajesz to, ale chociaż sprzedałeś, masz dalej i znów sprzedajesz. Carina to nie kostka mydła do prania ani pół funta sera. Może mi przynosić pieniądze przez następne dwadzieścia, trzydzieści lat, aż osiwieje, wypadną jej zęby i aż do śmierci będzie się musiała rypać z mułami w cyrku, żeby móc sobie kupić coś do jedzenia za te kilka centów, które jej skapną. Tak to jest i zawsze tak będzie.

– Ile spodziewa się pan na niej zarobić przez całe jej życie? – spytał Johann.

Kyle Lennox wyczuł napięcie w jego głosie i spoważniał.

– Dwadzieścia dolarów za wieczór przez trzysta sześćdziesiąt pięć wieczorów to siedem tysięcy trzysta dolarów. Siedem tysięcy trzysta dolarów przez dwadzieścia lat daje sto

czterdzieści sześć tysięcy dolarów. Sam pan widzi, że ta dziewczyna to mała kopalnia złota.

– Niech mi pan nie mówi, że chce za nią sto czterdzieści sześć tysięcy dolarów.

– Sprzedam ją panu jak przyjacielowi. Może ją pan mieć za sto czterdzieści.

Johann spuścił wzrok.

– To poza dyskusją – stwierdził.

Lennox się roześmiał.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, panie Cornelius. Po prostu nie stać pana na nią.

– Mógłbym płacić w ratach.

– W takim razie dam ją panu w ratach. Najpierw na kilka minut każdego tygodnia, a na pełny zegar dopiero wtedy, gdy zapłaci mi pan całą sumę. Panie Cornelius, to jedyne uczciwe postawienie sprawy.

Johann przez chwilę w milczeniu pocierał podbródek, po czym wstał.

– Nie sądzę, abyśmy mogli ubić interes, panie Lennox – oświadczył. – Wybaczy pan, że zająłem mu czas.

Gospodarz wzruszył ramionami.

– Skoro nie może pan zgodzić się na moją cenę, to trudno.

– Odprowadzi mnie pan?

Lennox nie odpowiedział. Zaciągał się cygarem, marszcząc brwi jak człowiek, który mimo trzech ćwiartek burbona usiłuje rozwiązać jakąś skomplikowaną sprawę.

– Odprowadzi mnie pan? – powtórzył Johann.

– Zaczekaj pan chwilę – rzekł gospodarz, zatrzymując go machnięciem ręki. – A gdybyśmy spróbowali załatwić to inaczej? Załóżmy, że da mi pan dziesięć procent tego, co pan znajdzie na działce Kummera przy Sweetwater Trail…

– I wtedy oddałby mi pan tę dziewczynę?

– Jasne – odparł Lennox.

Johann przyjrzał mu się uważnie. Było w tym człowieku coś ropuszego, co jednocześnie budziło obrzydzenie i fascynację. Jeśli można o kimś powiedzieć, że ma charakter wypisany na twarzy, to tym kimś na pewno był magnat naftowy z Amarero. Ale Johann już odkrył, że w Teksasie ukrywanie swojej prawdziwej natury nic nie daje, więc skoro Kyle Lennox zamierzał prowadzić swoje interesy po ropuszemu, lepiej mu to wychodziło, gdy wyglądał jak ropucha.

– Myśli pan, że tam jest ropa? – spytał.

– Nie mam co do tego wątpliwości – odparł Lennox. – Gdyby jej tam nie było, czy zależałoby panu tak bardzo na tej ziemi?

Johann wbił wzrok w podłogę.

– Może zamierzam hodować tam krowy.

– W Sweetwater? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Czym by się pan tam żywił? Jaszczurkami pod beszamelem i sokiem z kaktusa na deser?

Johann nadal nie podnosił oczu.

– Może myślałem o otwarciu w Sweetwater nowych warsztatów mechanicznych?

– Jasne – mruknął Lennox. – Tyle że nie szuka się ziemi pod budowę warsztatów mechanicznych, używając lasek dynamitu i sejsmografu. Kiedy szukasz czegoś z dynamitem i sejsmografem, wiadomo, że szukasz ropy.

Johann zamyślony podszedł do okna. Ta strona domu wychodziła na zachód i widać było pomarańczowe słońce opadające ku horyzontowi w poświacie ciemnogranatowego zmierzchu. Na tle jego tarczy wyraźnie rysowała się sylwetka chudego Murzyna, ogrodnika Lennoxa, okopującego motyką wyschnięte grządki brokułów. Johann odwrócił wzrok od okna i popatrzył na stojący obok niego rzeźbiony stoliczek. Leżał na nim egzemplarz „La Vie Parisienne” z rysunkiem ładnej dziewczyny, uśmiechającej się do dwóch motyli, które usiadły na jej piersiach.

– Osiem procent – powiedział cicho, ale zdecydowanie.

Lennox pokręcił głową.

– Dziewięć – odparł.

Johann odszedł od okna, wrócił na brzeg kanapy, spojrzał Lennoxowi w oczy i powiedział spokojnie:

– Panie Lennox, skoro przedkłada pan pieniądze nad dobro pańskich dziewcząt i jest pan przekonany, że przy Sweetwater Trail znajdę ropę, na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, że osiem procent to więcej niż hojna zapłata.

– Osiem i pół? – spróbował jeszcze Lennox.

Johann usiadł wygodniej, wciąż patrząc mu w oczy. Lennox przez dłuższą chwilę wytrzymywał to spojrzenie, mrugając powiekami, a potem zdjął nogę z nogi i powiedział:

– W porządku. Niech będzie osiem procent.

Johann wyciągnął do niego rękę.

– Przybijmy na zgodę, panie Lennox. Chciałbym jednak…

– Chce mi pan zaproponować siedem i pół procent? – zapytał Lennox.

– Nie, cena jest ustalona. Chcę tylko powiedzieć, że to prywatna umowa między ludźmi honoru. Jeśli szepnie pan o tym komuś

choćby słówkiem, wrócę tu i nie będę wtedy w najlepszym nastroju.

– Ma pan dość osobliwy sposób załatwiania interesów, panie Cornelius. Może jednak łyka czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję. Prosiłbym tylko, aby zadzwonił pan do Excelsioru i powiedział, żeby dziewczyna się przygotowała. Zabiorę ją, wracając do Edgar.

Lennox odstawił szklaneczkę i wyszedł do holu, gdzie na ścianie wisiał telefon w bogato zdobionej mahoniowej skrzyneczce. Sięgnął po słuchawkę i zaczął wydawać instrukcje. Robił to bardzo cicho, aby jego słowa nie dotarły na piętro, do pokoju wdowy. Johann usłyszał tylko, jak mówi:

– Zgadza się, kufer, pudła na kapelusze i wszystkie inne rzeczy. W dziesięć minut.

Wrócił do salonu i przez chwilę stał z cygarem w ustach i rękami w kieszeniach szlafroka, patrząc na Johanna takim wzrokiem, jakby nie bardzo wiedział, z kim ma do czynienia.

– W takim razie żegnam pana – powiedział Johann i włożył panamę.

Lennox się uśmiechnął.

– Chętnie bym się dowiedział, co zamierza pan uczynić z naszą małą Cariną – stwierdził. –

W przypadku mężczyzny pańskiego pokroju to trochę… niezwykłe. Musi pan wiedzieć, że tutejszemu księżulkowi, ojcu Pankhurstowi, zdarzyło się kilka dziwnych numerów. Może to właśnie przez lata abstynencji seksualnej.

– Panie Lennox, to, co zrobię z Cariną, nie jest już pańską sprawą. Dobiliśmy targu.

– W porządku – mruknął Lennox. – Ale może pan być pewien, że nasza dziewczyneczka zrobi wszystko, co tylko pan jej każe. Nawet gdyby kazał pan jej otworzyć te śliczne usteczka, żeby…

– Powiedziałem już, że to nie pański interes! – warknął Johann.

– Dobra, dobra, bez urazy – mruknął uspokajająco Lennox i uniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Przepraszam. Powinienem bardziej nad sobą panować. Lepiej już pojadę.

Razem dotarli do drzwi frontowych. Gdy Johann wyszedł na dwór, owionęło go ciepłe powietrze wieczoru. Gospodarz stał przy poręczy werandy, wciągając w płuca zapach kurzu.

– Nie mogę powiedzieć, żebym przepadał za tutejszym świeżym powietrzem – stwierdził. – Słyszałem, że umysł od niego gnije.

Johann podszedł do furtki i otworzył ją.

– W takim razie do widzenia – powiedział.

Lennox pomachał mu ręką.

– Do widzenia, panie Cornelius. Przyjemnie się z panem handlowało. Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony z nabytego towaru, i jestem przekonany, że sam też będę się cieszył z moich ośmiu procent.

– Na pewno obaj będziemy zadowoleni – odparł Johann i szybko ruszył do swojego automobilu.

Kiedy wchodził na stopień i siadał w fotelu kierowcy, coś kazało mu oderwać wzrok od purpurowej postaci Kyle'a Lennoxa i podnieść go ku koronkowej firance, która poruszyła się w oknie na piętrze. Przez kilka sekund widział bladą twarz patrzącą na niego zza szyby, po czym firanka opadła. Popatrzył na Lennoxa, który nadal uśmiechał się szeroko i machał ręką. Pomyślał, że skoro Lennox skazał się na życie z tą próżną kobietą smarującą się kremem i całymi dniami wylegującą się w łóżku, jego rozwiązłość i żądza pieniędzy musiały przekraczać wszystko, co sam kiedykolwiek czuł. Miał tylko nadzieję, że nie jest kolejnym Kyle'em Lennoxem na dorobku. Nawet nie uniósł ręki, aby odpowiedzieć na pożegnanie, tylko szybko włączył silnik i ruszył do centrum Amarero, czując słońce na prawym policzku i pierwszy chłód wieczoru na lewym.

♦ ♦ ♦

Kiedy jego new orleans z dygotem zatrzymał się przed sklepem z towarami żelaznymi, wysiadł z auta. Właściciel składu, wysoki młodzieniec o ponurym wyrazie twarzy, mający na sobie brązowy fartuch sklepikarza i noszący sumiaste, zalatujące szuwaksem wąsy, wyszedł na zewnątrz, wycierając ręce. Stał w milczeniu, patrząc na samochód, a potem spojrzał na Johanna, ale się do niego nie odezwał. Za jego plecami w szybie sklepu odbijało się blade wieczorne niebo, a na wystawie wirowała i podskakiwała metka na duńskiej motyce.

– Masz benzynę? – spytał Johann.

Właściciel sklepu kiwnął głową.

– Pewnie. Mam też dobry ser, właśnie przywieziono mi go z wybrzeża.

– Nie, dziękuję, potrzebuję tylko benzyny.

– W porządku – odparł młody człowiek i wrócił do sklepu.

Czekając na niego, Johann niecierpliwie chodził tam i z powrotem po chodniku, co chwila spoglądając na zegarek.

Po chwili sklepikarz wrócił z czerwonym emaliowanym baniakiem i mosiężnym lejkiem.

Johann odkręcił zawór baku i młody człowiek zaczął wlewać paliwo.

– Na tych drogach pewnie strasznie trzęsie – powiedział.

– Słucham? – zapytał wyrwany z zamyślenia Johann.

– Strasznie trzęsie – powtórzył tamten.

Johann popatrzył na niego, marszcząc brwi.

– Ach tak. Trzęsie, ale nie jest taki zły.

Sklepikarz wskazał głową na północny zachód.

– Jeden z chłopaków starego Jacka Hultona miał taki. Nie wiem, jakiej był marki. Ale kiedy go pierwszy raz wyprowadził, wpadł do rowu i nadwerężył sobie kark. Nie zabił się, ale od tamtej pory musieli go wozić w wiklinowym fotelu i karmić owsianką.

Johann uśmiechnął się z roztargnieniem. Benzyna gulgotała i pluskała w baku, a jej opary tańczyły w ciemniejącym wieczornym powietrzu.

– Widziałem też, jak jeden gość z Broughton zginął przez własny wóz. Dostał się pod koła – dodał sklepikarz.

– Ile to potrwa? – spytał niecierpliwie Johann. – Muszę się z kimś pilnie spotkać.

Młody człowiek wzruszył ramionami.

– Chciał pan, żeby napełnić bak, no nie? Muszę lać wolno, bo to paliwo jest wyskokowe.

– Wybuchowe, nie wyskokowe.

– Jasne. Na pewno nie chce pan trochę sera?

Johann pokręcił głową.

– Napełnij zbiornik i zaraz jadę.

W końcu sklepikarz opróżnił baniak, strząsnął ostatnie krople i zakręcił bak.

– Gotowe, proszę pana. Z czubem. Tylko niech pan uważa, żeby nie skończył pan jak tamten gość z Broughton. Dał się zgnieść jak wesz.

Johann zapłacił mu, usiadł z powrotem za kierownicą, po czym sprawdził zapłon i gaz. Patrząc na niego, młody człowiek dodał:

– To tylko świadczy o tym, że Bóg może powalić każdego. Bez względu na to, czy jesteś sklepikarzem, durnym chłopem czy adwokatem.

Johann uniósł głowę.

– Adwokatem? Skąd ci to przyszło do głowy?

Sklepikarz zamrugał.

– Ten gość w Broughton, co to go rozgniotło na miazgę, był adwokatem – odparł po chwili. – Przynajmniej tak napisali w „Sentinelu”.

– Masz tę gazetę?

– Hm… pewnie tak. W sklepie.

– Przyniesiesz mi?

Sklepikarz zniknął za progiem, schylając głowę, żeby nie zawadzić o tarki do sera czy gałki muszkatołowej i sita do mąki marki Hunter's Old Reliable, którymi obwiesił framugę drzwi. Po chwili wrócił z wygniecionym numerem „The Broughton Sentinel", na którym prawdopodobnie pastowano buty, i podał go Johnowi. Wskazał mu artykuł na pierwszej stronie i odszedł parę kroków na bok.

Przez chwilę na ulicy słychać było tylko szelest poruszanej wiatrem gazety.

Nagłówki głosiły: „Adwokat z Broughton zabity w tragicznym wypadku automobilowym", „Zmiażdżony na śmierć przez własny pojazd".

Śmiertelną ofiarą tego wypadku był Lidmore Mulliner. Zgodnie z tym, co podawała gazeta, posługując się bardzo kwiecistym i melodramatycznym stylem, Mulliner zabrał żonę, panią Beatrice Mulliner, na pierwszą przejażdżkę swoim nowym automobilem marki Pierce-Arrow, który właśnie mu dostarczono. Na końcu Beaumont pojazd się zatrzymał, więc Mulliner wysiadł z niego, aby go ponownie zapalić. Kiedy udało mu się to zrobić, ręczny hamulec puścił, automobil ruszył przed siebie, przewrócił Mullinera i prawym przednim kołem zmiażdżył mu tors. Zanim trzej przechodzący

nieopodal mężczyźni zdołali podźwignąć samochód, aby uwolnić leżącego pod nim Mullinera, adwokat wyzionął ducha, nawet nie zdążywszy podać kombinacji do swojego biurowego sejfu.

Johann odłożył gazetę. Na jego twarzy nie widać było żadnych emocji, ale wiedział, że wydarzyło się coś bardzo ważnego – czuł się, jakby kalendarz zgubił cały plik kartek, a ziemia poruszyła się pod jego stopami.

Oddał sklepikarzowi gazetę. W zbierających się w głębi ulicy cieniach widział otwarte drzwi hotelu Excelsior i po chwili zobaczył wychodzącą z nich drobną postać.

– Dziękuję. Doceniam twoją uprzejmość – powiedział do młodego człowieka, po czym włączył silnik i ruszył.

Właściciel sklepu żelaznego długo stał nieruchomo na ulicy i odprowadzał wzrokiem pojazd Johanna, zanim wrócił do swojego pachnącego mydłem i skórą składu, aby zapalić lampy.

♦ ♦ ♦

Dziewczyna czekała na Johanna na stopniach hotelu. Miała na sobie tę samą brązową sukienką

z japońskiego jedwabiu co poprzednio, tyle że tym razem narzuciła na ramiona lekką jasnobrązową pelerynkę, ozdobioną ciemniejszymi lamówkami, a głowę przykryła brązowym włóczkowym beretem z koronkami. Przy jej nogach stały dwa pudła na kapelusze i niewielki kufer z lipowego drewna. W gasnącym świetle wydawała się jeszcze młodsza i szczuplejsza, niż utrwaliło się to w pamięci Johanna. Kiedy okrążył róg i nacisnął hamulce, a ona odwróciła do niego swoją piękną, niewinną twarzyczkę, znowu poczuł, że brakuje mu powietrza.

Wysiadł z samochodu. Był masywny i wysoki, a ona nawet w welwetowo-skórzanych wysokich trzewikach miała zaledwie kilka cali ponad pięć stóp. Wyciągnął swoją wielką dłoń i powiedział najłagodniej, jak potrafił:

– Carino, jestem Johann Cornelius.

Kiwnęła głową.

– To twoje pudła? Twój kufer? – zapytał.

Znów kiwnęła głową.

Wziął jej bagaże i umieścił je obok swojej teczki na tylnej kanapie, po czym pomógł jej zająć miejsce na przednim siedzeniu. Skromnie złożyła ręce na podołku.

Usiadł obok niej i zwolnił ręczny hamulec.

– Nie boisz się, prawda? – zapytał. – Ta maszyna hałasuje jak diabli i jeśli się do niej nie przywykło, potrafi nieźle wytrząść. Ale nie zrobi ci krzywdy.

Carina spojrzała na niego i prawie niedostrzegalnie skłoniła głowę na znak, że go zrozumiała.

– Wobec tego jedźmy – powiedział, zwiększając moc silnika i włączając bieg.

Kiedy już miał ruszyć, w drzwiach hotelu pojawił się recepcjonista, machając jakąś kartką. Johann znów wrzucił luz i odwrócił się na siedzeniu. Recepcjonista zszedł po schodach, uśmiechając się szyderczo, i podał mu złożoną kartkę.

– Co to? – spytał Johann.

– Niech pan sam zobaczy – odparł recepcjonista i dodał: – Do widzenia, Carino. Baw się dobrze!

Johann zdjął rękawice i rozłożył kartkę. Był to rachunek z nagłówkiem: „Excelsior, Ulubiony Hotel Jaśnie Panów i Pań, Doskonałe Potrawy i Telefon, Main Street 27, Amarero”. Dalej było napisane: „Za dziewczynę 8% dochodów z nafty z działki Sweetwater Trail, z podziękowaniami”.

Kiedy Johann to czytał, po raz pierwszy w życiu poczuł, że wystąpił przeciwko Bogu.

Schował rachunek do kieszeni i odjechał.

♦ ♦ ♦

Jazda przez prerię trwała wiele godzin. Księżyc jeszcze nie wzeszedł i drogę oświetlały jedynie lampy automobilu, który podskakiwał i skrzypiał na spieczonych słońcem bydlęcych szlakach. Dusił ich kurz, więc Carina zdjęła beret i owinęła głowę szalem. Nadal milczała, nie odezwała się do Johanna ani słowem, odkąd zabrał ją sprzed hotelu.

Czasem widzieli przed sobą światła osad i rancz, mrugające na prerii jak światła statków na morzu; w górze migotało rozgwieżdżone nocne niebo, a z oddali niosło się szczekanie psów. Wiatr był teraz chłodniejszy, lecz nadal łagodny.

Johann odchrząknął, pozbywając się kurzu z gardła.

– Nocą człowiek czuje się tu bardzo samotny, prawda?

Carina nic na to nie odpowiedziała. Światło lamp odbijało się w jej wielkich oczach i Johann widział, że nie śpi, ale nawet nie odwróciła głowy ani nie kiwnęła nią na znak, że go słyszała.

Po jakimś czasie powiedział:

– Dowiedziałem się dzisiaj, że umarł człowiek, którego odejście mogło mieć dla mnie wielkie znaczenie, gdyby wydarzyło się to nieco wcześniej. Myślałem też o tym, jaką straszną samotność musi oznaczać śmierć. Myślałem…

Urwał, bo wydawało mu się, że Carina nawet go nie słucha. Mimo to po chwili dodał:

– Myślałem, że trzeba chwytać szansę, kiedy tylko się nadarzy. Szansę na to, by nie być samemu.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć, więc zamilkł.

Nad horyzontem pojawił się łuk światła – właśnie wschodził księżyc.

♦ ♦ ♦

Kiedy dojeżdżali do Edgar, Carina niespodziewanie położyła rękę na udzie Johanna. Nie był to zmysłowy gest, raczej szukanie oparcia i towarzystwa. Odwrócił głowę i zobaczył, że oczy dziewczyny są pełne łez. Szal częściowo zakrywał jej twarz, więc dopiero teraz zdał sobie sprawę, że jej długie milczenie wcale nie świadczyło o wrogości wobec niego czy wyniosłości. Miała dopiero dwanaście lat i nagle została wyekspediowana gdzieś z wielkim,

prawie trzydziestoletnim mechanikiem. Chociaż była prostytutką, gotową dogadzać mężczyznom w każdy możliwy sposób, nie miała przyjaciół, nie wiedziała nic o życiu ani nie miała pojęcia, czego od niej oczekiwano.

– Czy to był ktoś, kogo kochałeś? – spytała.

Delikatnie uścisnął jej rękę.

– Nie. Spotkałem go tylko raz i nie znałem dobrze. To nic ważnego. Ale jego śmierć bardzo mnie zaskoczyła.

– Pomyślałam… – zaczęła i urwała.

– Co pomyślałaś?

– Kiedy pojechałeś do Kyle'a Lennoxa i kupiłeś mnie od niego, pomyślałam, że jeszcze nigdy nikogo nie kochałeś. Ale kochałeś, prawda?

– Co ty wiesz o miłości… – mruknął.

– Niewiele – przyznała.

Jechali przez chwilę w milczeniu, a potem Johann zapytał:

– Byłaś zaskoczona, kiedy się dowiedziałaś, co zrobiłem?

– Trochę. Ale bardziej byłam przestraszona, bo niektórzy mężczyźni są dziwni.

– Poznałaś… wielu mężczyzn? *Muchos hombres?*

Kiwnęła głową.

Mimo pustki, którą poczuł w duszy w tym momencie, zdobył się na uśmiech.

– No cóż, do tej pory z tego żyłaś – stwierdził.

– Nie podoba ci się to?

– Tego nie powiedziałem. Stwierdziłem tylko, że do tej pory z tego żyłaś.

Opuściła szal na ramiona i wiatr zaczął owiewać jej ciemne, zaczesane do góry włosy.

– Ale jesteś zazdrosny, prawda? Chcesz, żeby wszystko było twoje, żeby należało do ciebie. Wolisz nie myśleć, że byłam z innymi mężczyznami.

– Tego też nie powiedziałem.

– Nie musisz. Mam oczy.

– Teraz to już bez znaczenia – odparł Johann. – To już przeszłość. Trzeba o tym zapomnieć.

– Nie potrafię o tym zapomnieć – powiedziała Carina. – Nie potrafię zapomnieć tych wszystkich mężczyzn, z którymi byłam.

– Będziesz musiała.

– Dlaczego? Bo ty też mnie chcesz? – zapytała. – Kupiłeś moje ciało, to wszystko. Nie kupiłeś tego, co jest tutaj – dodała i poklepała się po głowie.

Popatrzył na nią dzikim wzrokiem.

– Cholera, przecież to dla twojego dobra! Im szybciej… wyrzucisz te sprawy z pamięci…

– Tym bardziej będziesz zadowolony?

Znów na nią spojrzał i nagle uświadomił sobie, że dziewczyna się z nim drażni. Zaczął się śmiać i po chwili Carina również się roześmiała. Johann śmiał się tak bardzo, że omal nie wjechał w krzaki na poboczu drogi.

– Musisz powstrzymać się od okazywania zazdrości, jeśli chcesz, żebym z tobą była – powiedziała, ściskając go za ramię. – Nie mogę zmienić tego, co się wydarzyło. Nic nie może zmienić tego, że wszyscy tamci mężczyźni włazili we mnie.

– Ilu ich było? – spytał. – Pięćdziesięciu, stu?

Pogładziła go po podbródku.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytała.

– Ja tylko…

Uniosła rękę, zamykając mu usta, po czym powiedziała cicho:

– Nie przejmuj się tym. Skoro mnie kupiłeś, nauczę się, jak cię kochać.

Johann jechał w milczeniu, czasem się odwracając, by popatrzeć na delikatny profil Cariny, jej miękkie rozchylone usta i błyszczące oczy. Czuł strach, jakby zszedł z prostej ścieżki, którą mu wyznaczył Bóg, i pofolgował własnym namiętnościom. Wiedział, że kupując Carinę, popełnił grzech, chociaż nie był do końca pewien,

przeciwko jakiemu przykazaniu zgrzeszył. Nie czuł wobec niej pożądania, nawet nie pragnął jej dotykać. Chciał tylko mieć ją u siebie, w swoim domu, bo była pięknym stworzeniem. Wiedział, że kiedyś zapłaci za nieposłuszeństwo, którego dopuścił się tego dnia, ale jego pragnienie posiadania Cariny było tak silne, że nawet nie pomyślał o tym, by zawrócić do Amarero, odwieźć ją razem z jej rzeczami do Excelsioru i zapomnieć, że kiedykolwiek ją widział.

– Nie wiem, czy potrafię sprawić, że będziesz mogła mnie pokochać – mruknął. – Zaznałem w życiu bardzo niewiele miłości, więc pewnie nie uda mi się jej ciebie nauczyć. Ale mogę nauczyć cię przyjaźni.

Pogładziła go po ręce.

– Oboje nie wiemy, jak kochać, więc oboje spróbujmy się tego nauczyć.

– Jesteś bardzo młoda – powiedział.

– Młoda? – powtórzyła zdziwiona. – W przyszłym tygodniu będę miała trzynaście lat!

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

– To bardzo niewiele. Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Kiedyś byłam dzieckiem – odparła. – Byłam dzieckiem, gdy zaczęłam. Miałam dziesięć lat i niewiele wiedziałam o mężczyznach. Ale teraz

wiem znacznie więcej. Wiem, którzy są draniami, a którzy nie.

– Obawiam się, że życie jest bardziej skomplikowane – powiedział.

– Tak myślisz? Ja nie. Jeśli potrafisz poznać na pierwszy rzut oka, czy mężczyzna to drań, wystarczy ci to za całą wiedzę o życiu.

– A ja? Jestem draniem?

Przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego.

– Tak. Jesteś największym draniem ze wszystkich.

Roześmiał się.

– Czemu tak mówisz?

– Bo zawsze dostajesz to, czego pragniesz, i zawsze zdobywasz to bardzo tanio. Przeważnie za nic.

– Ciebie nie dostałem za nic.

– Mogę spytać, ile za mnie zapłaciłeś?

– Oczywiście, że możesz. Dałem Kyle'owi Lennoxowi osiem procent dochodów z ropy, która jest na stu akrach przy Sweetwater Trail.

– A ile to jest?

– To zależy… Może być tego tyle, że Lennox zostanie bogaczem, a może nie być nic. Dopóki nie postawię tam szybu, nie będę tego wiedział.

– I dasz mu za mnie tyle pieniędzy?

– Taka była umowa.

Opuściła głowę.

– Nie przypuszczam, żebym była warta fortunę.

Johann poczuł zażenowanie.

– Na początku chciał dziesięć, ale zbiłem cenę.

– Cóż, taki właśnie jesteś. W końcu się przekonasz, że dostałeś mnie za nic. Nie… zresztą nieważne. Taki po prostu jesteś. Myślę, że któregoś dnia będziesz bardzo bogaty.

– Miejmy nadzieję. Patrz, to już światła Edgar. Zaraz zobaczymy, co myślisz o mieszkaniu przyszłego bogacza.

Przytuliła się do niego, a on przez wzgląd na swoją reputację cieszył się, że ulice Edgar są niemal zupełnie puste i że latarnie na rogach ulic dają zbyt mało światła, aby ten, kto uchylił firankę, sprawdzając, co to za cholerny terkot o tak późnej porze, mógł rozpoznać jadących.

Zatrzymał się przy Grange Street, obok białego płotu okalającego wielki czerwony dom z białymi okiennicami, i sięgnąwszy do kieszonki kamizelki, wyjął klucz do drzwi frontowych. Kiedy doszli do werandy, podekscytowana Carina odwróciła się i uśmiechnęła do niego, a on poczuł się jeszcze bardziej winny.

♦ ♦ ♦

Jako właściciel domu zajmował całe drugie piętro, które obejmowało salon, jadalnię, zwykle pełniącą funkcję gabinetu, kuchnię, łazienkę oraz główną sypialnię i mniejszą, połączoną z gotycką wieżyczką w północno-zachodnim rogu domu.

Carina pierwsza pokonała schody, niosąc pudła z kapeluszami, a Johann szedł za nią z kufrem i teczką.

Znajdujące się na podeście drzwi prowadziły do zatłoczonego korytarzyka z brzydką, pomalowaną tanią farbą szafką z mnóstwem wieszaków na ubrania w środku. Johann odstawił bagaże i wprowadził Carinę do salonu. Pozapalał lampy, otworzył dwa szerokie okna i chociaż zwykle tego nie robił, zasunął czerwone aksamitne zasłony.

Co takiego mógłby robić w swoim domu purytański mechanik, że wzbudzałoby to zainteresowanie przechodniów?

Na podłodze z ciemnego dębu leżały czerwonobrązowe dywany, kupione okazyjnie od wędrownego sprzedawcy. Ściany pokrywały tapety w zielone *fleur-de-lis*, na których wisiały oprawione w czarne ramki sepiowe fotografie przedstawiające holenderskie krajobrazy. Wszystkie meble były solidnymi, funkcjonalnymi sprzętami człowieka interesu. Johann kupił je na

aukcji u handlarza bydłem. Brzydkie skórzane fotele, ogromne biurko z szufladami o mosiężnych uchwytach, brązowa pluszowa kanapa z wysokim oparciem i inne elementy wyposażenia, bardziej pasujące do biura niż do prywatnego domu, jak na przykład drewniany obrotowy fotel i lakierowana szafka na akta.

Rozglądając się po mieszkaniu, Carina dostrzegła po drugiej stronie korytarza małą jadalnię. Na stole piętrzył się stos książek o mechanice, a na kredensie leżał na gazecie pokryty smarem tłok silnika parowego.

– Może najpierw idź do wanny – zaproponował Johann. – Weź sobie długą, przyjemną kąpiel i obmyj się z kurzu. Przykro mi, że nie mam perfumowanego mydła, tylko zwykłe, ale dam ci czysty ręcznik. Możesz też wziąć mój płaszcz kąpielowy. Wisi na drzwiach łazienki.

Kiedy zapalał cylindryczny benzynowy bojler stojący przy drzwiach łazienki, Carina poszła do małej sypialni i zaczęła rozpakowywać swój kufer. Na wyposażenie pokoiku składało się wąskie mosiężne łóżko, pachnąca naftaliną lakierowana szafa i sznurkowy bieżnik. Nad łóżkiem wisiała reprodukcja przedstawiająca Loch Lomond, największe jezioro Wielkiej

Brytanii. Carina wyjęła z kufra pół tuzina jedwabnych sukienek i buty. Miała wiele par pończoch i kilka halek, ale ani jednej pary majtek. Nigdy nie używała dolnej bielizny. Na parapecie okna położyła tanią szczotkę do włosów, grzebień i wyblakłą fotografię, przedstawiającą mrużącą oczy w ostrym słońcu Meksykankę.

Johann zapukał do drzwi i powiedział:

– Woda jest już gorąca, Carino.

Podreptała boso do łazienki, ale zostawiła uchylone drzwi, co trochę zaniepokoiło Johanna. Poszedł do kuchni i włożył do pieca kolby kukurydziane, które chciał podać na kolację. Prowadził kawalerskie gospodarstwo, jednak robił niezłe jajka na bekonie, miał też w domu chleb i świeże masło, które wyjął z małej lodówki.

Kiedy kolby się upiekły, zadźwięczał dzwonek w korytarzu. Johann wytarł ręce w szorstki ręcznik, podszedł do drzwi i otworzył je.

– Tak? – zapytał.

Na podeście przed wejściem stała kobieta w dużym czarnym kapeluszu z woalką i czarnym letnim płaszczu.

Johann usiłował dojrzeć coś pod woalką, ale nie udało mu się to.

– Tak? – powtórzył.

Kobieta się nie odezwała. W swoim czarnym stroju wyglądała jak gość zza grobu.

– Nie znam pani – powiedział Johann. – Chodzi o mieszkanie?

Zaprzeczyła lekkim ruchem głowy.

– Nie poznajesz mnie, Johannie? – zapytała. – Jestem Beatrice.

Nie mówiąc nic więcej, weszła do środka i skierowała się w stronę salonu. Johann zamknął drzwi i szybko ruszył za nią.

Stojąc w ciepłym świetle lampy, zdjęła kapelusz i skórzane rękawiczki, a potem odwróciła się do Johanna. Chociaż wydawała się nieco starsza i sprawiała wrażenie zmęczonej, nadal była tą samą szczupłą Beatrice o pięknych kocich oczach i zmysłowych ustach. Nawet używała tych samych perfum co wtedy, gdy widział się z nią po raz ostatni, w wesołym miasteczku w Broughton. Delikatny i nostalgiczny heliotrop.

Zatrzymał się w progu, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Wydawało mu się, że zamiast torsu ma rozrywany ciśnieniem kocioł parowy, i z trudem oddychał.

Beatrice wyciągnęła do niego ręce.

– Jak dobrze znowu cię widzieć, Johannie – powiedziała. – Wspaniale wyglądasz.

– Witaj, Beatrice – wymamrotał.

Podeszła do niego, ujęła go za przeguby i pocałowała w policzek. Poczuł jej ciepłe, wilgotne usta na skórze, ale miał zupełnie sparaliżowane szczęki, jakby przeleżał całą noc w lodówce.

– Zatrzymałam się u starej znajomej Liddy'ego trzy ulice stąd – dodała Beatrice. – Znasz panią Elvirę Russell? Jest taka kochana. Przyjechałam tu wczoraj. Pani Russell powiedziała, że powinnam zaczekać do jutra, jednak musiałam cię natychmiast zobaczyć. Naprawdę wyglądasz kwitnąco!

– Po prostu przyszły dla mnie lepsze czasy – odparł słabym głosem.

– Pomyślałam, że byłoby cudownie mieć cię obok siebie podczas żałoby. Potrzebuję twojej siły, Johannie, tak jak ty kiedyś potrzebowałeś mojej. A kiedy po roku zdejmę żałobę…

Drzwi zaskrzypiały lekko. Johann uniósł głowę i obejrzał się.

Beatrice również popatrzyła w tamtą stronę.

Do salonu weszła Carina. Była zupełnie naga. Miała szczupłe ciało, ciemną skórę, drobne piersi o brązowych sutkach i wąskie biodra, a w

spojeniu ud widać było dopiero cień zarostu. Posklejane, ociekające wodą włosy opadały jej na ramiona. Talię opinał złoty łańcuszek.

– Proszę pana… – wybąkała, wyraźnie speszona obecnością Beatrice. – Proszę pana… Chyba mam ciotkę.

1903

CORNELIUS – MECHANIKA
Edgar w stanie Teksas

Dostawa i naprawy maszyn rolniczych,
sprzętu do poszukiwania i wydobywania
ropy naftowej
oraz urządzeń do budowy torów
kolejowych

Właściciel: J. Cornelius

Johann przeciął Main Street nerwowym, sztywnym krokiem mężczyzny, który zbyt wcześnie wyszedł na spotkanie i teraz musi stępić każdą długą, wlokącą się w nieskończoność minutę chropawą krawędzią swojej niecierpliwości. Zatrzymał się przy narożnym sklepiku i wszedł do mrocznego wnętrza. Przy ladzie ze słodyczami, pełnej jabłek w lukrze i cukierków, na których można było połamać sobie zęby, zapłacił dwa centy za rożek fiołkowych pastylek na świeży oddech. Gdy wrócił na chodnik, natychmiast rozwinął papierowy rożek i wsunął do ust jedną pastylkę.

Kiedy ruszył dalej Kearney Street, kurz pokrył noski jego lśniących butów. Był bardzo elegancko ubrany: miał na sobie popielaty garnitur z lekkiej

wełny i szarobłękitny melonik. Pachniał wodą kolońską i opierał się na lasce. Kilku okolicznych mieszkańców, mijając go, powiedziało: „Jak się pan miewa, panie Cornelius?” – ale inni tylko wymruczeli przywitanie kącikiem ust. Wszyscy jednak przystawali i odprowadzali go wzrokiem. W końcu był najbogatszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli.

Na rogu Kearney Johann uchylił kapelusza przed panną Beckinsale, nauczycielką z miejskiej szkółki, bladą młodą niewiastą zawsze noszącą spódnice w biało-czarną kratę i szerokie kapelusze.

– Prezentuje się pan jeszcze wytworniej niż zwykle, panie Cornelius – powiedziała. – Wygląda na to, że życie jest dla pana bardzo łaskawe.

Uśmiechnął się.

– Chciałbym, aby miłość była dla mnie równie łaskawa.

Panna Beckinsale westchnęła.

– Wie pan, co napisał lord Byron? *Miłość mężczyźnie nie jest życiem całym, dla kobiet miłość – jedyne istnienie*[1].

Johann pokiwał głową.

– Może powinienem to zapamiętać – stwierdził i ponownie uchylił kapelusza.

Panna Beckinsale przez chwilę mu się przyglądała. Była bezbarwna jak klamerka do bielizny, na której ktoś namalował twarz. W końcu westchnęła głośno i udała się w swoją drogę.

Johann ruszył dalej. Rozmowa z nauczycielką bardzo go poruszyła, ale nie było to niemiłe uczucie. Bogacił się i coraz lepiej radził sobie z ludźmi i prowadzeniem interesów, co dowodziło, że coraz lepiej panuje nad swoim losem. Dzięki temu stał się bardziej interesujący – mimo iż nadal często reagował zbyt gwałtownie i prezentował się raczej topornie niż wdzięcznie.

Ulicą przeturlał się ciągnięty przez konie wózek wiozący do Mesquite Ranch worki z kaszą kukurydzianą.

Johann włożył do ust kolejną pastylkę.

Beatrice czekała na niego na rogu Kearney i Maple Street, wyliczywszy sobie co do sekundy wyjście na promenadę. Jak zawsze była ubrana na czarno, a jej bladą twarz chroniła przed słońcem popielata parasolka. Na widok Johanna uśmiechnęła się i uniosła dłoń, aby mógł przycisnąć usta do czarnej bawełnianej rękawiczki.

Szli pod ramię do Main Street, gdzie w westybulu Superioru, jedynego hotelu

w Edgar, mieli wypić popołudniową herbatę. Był to ich rytuał, odprawiany kilka razy w tygodniu podczas długiej, niezwykle przyzwoitej żałoby Beatrice. Być może jej namiętności były skandaliczne, jeśli oceniać je wedle standardów zachodniego Teksasu, ale nigdy ich nie ujawniała. Będąc jeszcze żoną Lidmore'a, dbała o pozory nawet podczas swoich najbardziej namiętnych romansów. W Edgar, mieścinie znacznie mniejszej od Broughton, musiała jeszcze bardziej pilnować przestrzegania reguł postępowania, jakie narzucał Kościół.
W przypadku przyjaźni z Johannem oznaczało to trzymanie się ściśle określonych ram, przynajmniej w okresie żałoby. Johann nie widział potrzeby takiego opóźniania zalotów, ale zdawał sobie sprawę z tego, że Beatrice, jako kobieta o wysokiej pozycji społecznej, musi podporządkować się zasadom obowiązującym wśród elity Edgar. Tak więc chociaż zasygnalizowała damskiemu towarzystwu, że zna Johanna od lat i pozostaje pod jego opieką, zamieszkała u wdowy Elviry Russell. Wdowa mieszkała przy Kearney, od dawna przyjaźniła się z siostrą Liddy'ego i przechowywała niezliczone albumy z sepiowymi zdjęciami Lidmore'a, wówczas pełnego powagi młodzieńca.

Kiedy przecinali plac, kierując się w stronę drewnianego kolumnowego frontonu Superioru, niemal ze wszystkich stron dobiegały ich uprzejme pozdrowienia.

Po chwili Johann otworzył wahadłowe drzwi i weszli do środka.

Superior w Edgar przypominał Excelsior w Amarero jak gąbka kaktus. Miał trzeszczącą, pokrytą dywanami podłogę, las aspidistr w donicach ustawionych na postumentach, wysoką mahoniową recepcję i sufitowy wentylator, który obracał się niestrudzenie nie wiadomo po co. Cały budynek pachniał kostką farmera, glicerynowym antyseptycznym mydłem Garlanda, i Johann często narzekał, że nawet podawana tam herbata ma mydlany smak.

Minęli szklane drzwi, prowadzące do hotelowego westybulu, w którym najszacowniejsze damy Edgar już siedziały na wiklinowych krzesłach, chrupiąc cynamonowe herbatniczki z orzechami. Kelnerka w długiej czarnej spódnicy okrytej białym fartuchem zaprowadziła ich do stolika przy wychodzącym na północ oknie, z dala od słońca.

– I jak, miałeś udany dzień? – zapytała Beatrice, kładąc torebkę na podłodze.

Johann wzruszył ramionami.

– Za kilka dni mam spotkanie z pewnym człowiekiem. To Phil McKeogh, który robił inwentaryzację, oceniał, ile wart jest cały mój majątek. Szyby, zakłady, ziemia. Stwierdził, że same moje ruchomości są w tej chwili warte ponad pół miliona dolarów.

– Och, mój drogi! – zawołała Beatrice. – Czy to znaczy, że możesz być milionerem?

Johann strzepnął serwetkę.

– Przypuszczam, że tak.

– Nie wydajesz się tym za bardzo rozemocjonowany.

– Czemu miałbym być rozemocjonowany? Taki właśnie cel sobie postawiłem.

Beatrice ujęła jego leżącą na stoliku rękę.

– Przecież to wspaniała wiadomość!

Opuścił oczy.

– Pewnie tak.

– Och, mój drogi – zaszemrała tak cicho, że nawet czujne uszy siedzącej obok pani Dunphy nie zdołały dosłyszeć tych czułych słów. – Taka jestem rada. Tak bardzo rada. Wiedziałam, że masz w sobie nadzwyczajny potencjał.

Popatrzył na nią. Na jej twarzy malowała się tkliwość i łagodność, ale dostrzegł na niej również jakieś niepojęte, dziwne zdystansowanie.

– Milionerzy zawsze osiągają to, czego chcą – mruknął.

Beatrice nic na to nie odpowiedziała. Jej milczenie nie mogło pozostać niezauważone i siedząca nieopodal pani Whitehead, niezwykle ciekawska niewiasta o profilu Geronima i potężnym ciele rozpychającym lawendową satynową suknię, odwróciła się na krześle i popatrzyła na nich. Johann obrzucił ją niechętnym spojrzeniem i uśmiechnął się cierpko. Szybko odwróciła się z powrotem.

– Muszę przyznać, że byłeś bardzo cierpliwy – pochwaliła go Beatrice. – Podziwiam cię za to.

– To już ponad rok – rzekł. – Poza tym sama mi powiedziałaś, że Lidmore nie wypełniał małżeńskich obowiązków.

Z roztargnieniem kiwnęła głową.

– Tak, wiem.

– Skoro tak, czemu nie zakończysz żałoby? – zapytał Johann. – Kocham cię, Beatrice, dobrze o tym wiesz. I mam nadzieję, że ty również mnie kochasz. Przecież przyjechałaś tu, żeby być blisko mnie, prawda? Wystarczy, że powiesz słowo, a natychmiast weźmiemy ślub i będziesz mogła ze mną zamieszkać.

Spojrzała na niego. Za oknem przejechał powóz. Johann zauważył, że zbliża się do nich

kelnerka z pełną tacą i odchrząknął.

– Jeśli się zgodzisz, od razu zajmę się szukaniem rezydencji dla nas albo każę zbudować nową. Ale musisz powiedzieć „tak”.

Kelnerka postawiła na stoliku filiżanki, tackę z ciastkami, cienko krojony chleb i masło. Beatrice nalała herbatę i odstawiła dzbanek w różyczki na porcelanową podstawkę.

– Nie chciałabym pochopnie podejmować decyzji – powiedziała, nie patrząc na Johanna. – Jestem przecież przewodniczącą Kółka Miłośniczek Sztuki.

– Co ma Kółko Miłośniczek Sztuki do naszego ślubu?

Przyłożyła palec do ust.

– Proszę cię, mój drogi… Nie tak głośno. Nie cierpię plotek.

– Co ma Kółko Miłośniczek Sztuki do nas? – powtórzył zirytowany Johann. – Nie chcę żenić się z kółkiem, do cholery. Chcę ożenić się z tobą.

Musnęła czubkami palców cienkie brwi. Zrobiła to takim ruchem, jakby dokuczał jej lekki ból głowy.

– Nie jestem pewna…

– Kochasz mnie, prawda? Wciąż mnie kochasz?

Uśmiechnęła się do niego czule.

– Myślę, że po prostu się boję – odparła.

– Boisz się? Czego się boisz?

– Powtórnego zamęścia. Zamknięcia w klatce. Nie chcę być szpaczkiem w wiklinowym koszyku.

Johann zamieszał herbatę i stuknął łyżeczką o brzeg filiżanki.

– Nie możesz wiecznie trwać w żałobie – rzekł.

– Wiem. Ale nie chcę się spieszyć. Proszę cię, nie ponaglaj mnie.

– To nie jest ponaglanie. Czekam już ponad rok.

Odwróciła głowę. Johann siedział bez ruchu i przyglądał się jej. Blade światło zacienionego okna kładło się na wysokim, wypukłym czole Beatrice, na jej długich wygiętych rzęsach i idealnych krzywiznach warg. Na szyi miała czarną aksamitkę, spiętą osadzonym w srebrze kwiatem hebanu.

– Kocham cię – powiedział.

Opuściła głowę i w jej oczach nagle pojawiły się łzy.

– Dlaczego płaczesz, Beatrice? – zapytał.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej czarno obrębioną chusteczkę.

– To po prostu kurz – odparła.

– Nieprawda, to musi być coś.

– Sama nie wiem… – szepnęła. – Chyba jestem śmieszna.

– Nigdy nie jesteś śmieszna.

Otarła oczy.

– Och, jestem. Każdemu zdarza się być śmiesznym.

– Nie tobie.

Popatrzyła na niego załzawionymi oczami i uśmiechnęła się smutno.

– Potrzebuję czasu, to wszystko – powiedziała.

– Czasu na co? Na dalszą żałobę?

– Nie, żałobę po moim mężu mam już za sobą. Ale wciąż nie jestem pewna samej siebie. Kiedy Liddy umarł, myślałam, że wszystkie moje problemy się skończyły, jednak już po kilku tygodniach uświadomiłam sobie, że dopiero się zaczynają. Nie można rozwiązać żadnego problemu, usuwając jego przyczynę. Wszyscy mamy jakieś problemy, Johannie, i nie uwolnimy się od nich, dopóki ich nie rozwiążemy. Liddy umarł, ale teraz jesteś ty. To jeden z powodów, które mnie wstrzymują przed podjęciem decyzji. Nie zniosłabym, gdybyś stał się drugim Liddym.

Johann z całej siły wparł palce w brzeg stolika, jakby zamierzał go od siebie odepchnąć.

– Chcesz, żebym ci to udowodnił? – zapytał.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Co udowodnił?

– Że nie jestem taki jak Liddy.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Oczywiście, że rozumiesz. Pamiętasz tamten dzień, w którym zaprosiłaś mnie do swojego domu?

Znowu przyłożyła dłoń do czoła.

– To było coś innego – powiedziała szybko.

– Coś innego? Czy myślisz, że tamten obraz nie wypalił się w moich oczach na zawsze? Gdybyś w nie spojrzała, zobaczyłabyś, że nadal tam tkwi.

– Johannie, chyba zaraz zemdleję… – wyszeptała.

Chwycił ją za przegub. Zapalczywość tego gestu nie uszła uwagi pani Whitehead.

– Kocham cię i uwielbiam, Beatrice – szepnął. – I bardzo potrzebuję. Nie rozumiesz, że pragnę cię posiąść?

Zamrugała i popatrzyła na niego jak kobieta, która dopiero co została uratowana przed utonięciem w miejskiej sadzawce.

– Myślę, że to dla mnie zbyt wiele, Johannie. Może właśnie o to chodzi. Masz w sobie tak wiele… energii. I składasz ją u moich stóp, jakby nic nie znaczyła. Nie jestem pewna, czy potrafię

dać sobie z tym radę. Wszyscy moi kochankowie przed tobą byli niedojrzałymi chłopcami.

Uwolnił jej przegub.

– Nie jestem twoim kochankiem – powiedział. – Choć bardzo pragnę nim być.

Sięgnęła po herbatnik i położyła go na swoim talerzyku, ale chyba nawet nie zamierzała go spróbować. W hotelowym westybulu było bardzo cicho i Johann się zastanawiał, czy nie rozmawiali zbyt głośno. Na ścianie naprzeciwko ich stolika wisiała reprodukcja przedstawiająca „Mud Diggera", lokomotywę Winana z 1844 roku. Johann poczuł dziwną tęsknotę za Nowym Jorkiem, wzburzenie – i jednocześnie lęk. Kochał i czcił Beatrice, i sama myśl, że ona może go nie kochać, że może mu się wymykać, oddalać od niego z każdym miesiącem, odbierała niemal całą wartość jego milionerstwu.

♦ ♦ ♦

Dwa dni później wieczorem zamknął za sobą zielono-złote drzwi swojego zakładu, poszedł do narożnego sklepiku i na stojąco wypił szklankę zimnej lemoniady. Gdy opuścił sklepik, zamiast skręcić w prawo, do siebie, ruszył dalej Mountolive Street. Domy w tej okolicy były

mniejsze niż w centrum, ale bardziej zadbane i ogrodzone malowanymi na biało płotkami.

Po kilkunastu krokach przystanął i rozejrzał się. Kiedy stwierdził, że w pobliżu nikogo nie ma, otworzył furtkę ogródka przed czystym parterowym domkiem i podszedł do frontowych drzwi ukrytych w cieniu wąskiej werandy. Sięgnął do górnej kieszonki swojej brązowej marynarki, wyjął z niej klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka.

Carina czekała na niego w wytapetowanym na szmaragdowo saloniku, wypełnionym bibelotami, które zgromadziła w ciągu ostatnich miesięcy, już jako protegowana Johanna. Były to kasety z motylami i ćmami z Ameryki Południowej, wypchane ptaszki pod zakurzonymi szklanymi kloszami, reprodukcje ponurych obrazów przedstawiających portugalskie miasteczka i brzydkie porcelanowe talerze z poobijanymi brzegami. Dla Cariny wszystko, co wyglądało egzotycznie i kolorowo, było skarbem. Johann często narzekał, że jej domek bardziej przypomina salę aukcyjną niż mieszkanie młodej dziewczyny.

Kiedy wszedł, siedziała na małym giętym fotelu. Miała włosy spięte kryształową klamerką i była ubrana w różową taftową suknię. Jej

owalna twarz tchnęła mistycznym pięknem, a uniesione ku Johannowi ciemne oczy były tak hipnotyzujące, że przez długą chwilę stał w milczeniu przy drzwiach i uśmiechał się do niej.

Na parapecie kominka zadzwonił porcelanowy zegar, którego prawie nie było widać za owocami i cherubinkami.

– Spodziewałam się ciebie o siódmej – powiedziała Carina z powagą bardzo młodej osoby.

– Tak, wiem – odparł, kładąc kapelusz na stojącym pod ścianą stoliku, obok kolekcji żabek i koników z muszelek. – Miałem późne zamówienie dotyczące szybu Amarero i muszę tam jechać w przyszłym tygodniu.

Wstała z szelestem halek i podeszła do niego. Pochylił się, aby mogła pocałować go w policzek.

– Masz ochotę czegoś się napić? – zapytał. – Przyniosłem butelkę porto.

Uśmiechnęła się.

– Dobrze, napiję się.

W milczeniu podszedł do narożnej szafki i wyjął z niej dwa kryształowe kieliszki. Odkorkował butelkę i napełnił kieliszki, po czym wrócił do Cariny i usiadł obok niej przy ceglanym kominku.

– Za co wypijemy? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może za przyjaźń?

– Czemu nie za interesy? – spytała. – Przecież kochasz swoje interesy.

– W tej chwili moje interesy same dbają o siebie. A ja kocham też ciebie.

– Nie tak, jak przystało – odparła, uśmiechając się smutno.

– Właśnie tak, jak przystało.

Opuściła wzrok na pierścionki z ametystami i krwawnikami, które nosiła na szczupłych, delikatnych palcach.

– Nie jak mąż – dodała cicho.

Usiadł wygodniej, podciągając nogawki spodni, aby nie wypychały się na kolanach. Sączył wino i popatrywał na Carinę z troską. Większość jego znajomych w kręgach towarzyskich i biznesowych byłaby zdumiona, widząc go teraz. Beatrice okazywał uwielbienie. Tylko Carinę darzył prostymi, nieskomplikowanymi uczuciami.

Obracając kieliszek w palcach, powiedział:

– Lubię myśleć, że wybawiłem cię od czegoś bardzo złego. Nie mogę traktować cię tak samo jak ludzie, przed którymi cię uratowałem.

– Nigdy nie myślałeś o tym, żeby się ze mną kochać?

Odwrócił wzrok.

– Kochanie… kochanie się… nie zawsze musi boleć – powiedziała tak cicho, że w pierwszej chwili jej nie zrozumiał.

Odchrząknął.

– Wiem. Ale niezależnie od tego, co myśli większość ludzi, mężczyzna może chcieć od takiej młodej dziewczyny jak ty czegoś innego poza fizycznym kontaktem. Kupiłem cię, Carino, ale w dniu, w którym cię tu przywiozłem, dałem ci ciebie samą w prezencie. Nie jesteś moją własnością. Proszę cię tylko, abyś pozwoliła mi być twoim przyjacielem.

– Przecież jesteś moim przyjacielem – odparła, delikatnie głaszcząc go po ręce.

Milczał przez chwilę, po czym wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, oglądając dziwaczne przyciski do papieru i kolorowe pocztówki, które Carina porozkładała na półkach i stolikach.

– Może cię oszukuję i może oszukuję sam siebie – powiedział w końcu ze ściśniętym gardłem. – Może kiedy cię kupowałem, próbowałem sobie udowodnić, że wszystko można kupić. Szyb naftowy, automobil albo dziewczynę. Nie będę udawał, że pieniądze nie są

dla mnie ważne i że nie chcę władzy ani luksusu, które można za nie mieć. Kiedy przyjechałem do Teksasu, poszedłem żebrać do banku, prosić o dziesięć tysięcy dolarów, ale odmówiono mi. W ubiegłym tygodniu dyrektor tego samego banku przyszedł do mnie i spytał, czy nie zechciałbym zdeponować u niego części moich funduszy.

– I co mu powiedziałeś? Coś niemiłego?

– Nie, przypomniałem mu tylko, co mi kiedyś powiedział: że nigdy nie będzie ani moim dłużnikiem, ani wierzycielem. A potem przypadkowo, choć może niezupełnie przypadkowo, nadepnąłem mu na nogę.

Carina się roześmiała.

– Przy tobie czuję się bezpieczna – stwierdziła.

Pokręcił głową.

– Żadne z nas nie jest tak naprawdę bezpieczne. Ale pieniądze mogą nas uchronić przed niektórymi rzeczami, takimi jak głód albo poniżenie.

Zapadał zmrok i ciemna sylwetka Cariny stała się jednym z ziarnistych cieni w przeładowanym meblami salonie. Johann miał dziwne uczucie, że kiedy za jakiś czas będzie wspominał ten dzień i tę chwilę, będzie o tym myślał ze smutkiem.

– Tak bardzo boisz się Beatrice? – spytała.

– Nie wiem. Może wcale nie chodzi o Beatrice. Może chodzi tylko o to, co sam czuję. Kiedy jesteśmy razem, wydaje mi się, że zachowuję się jak idiota.

Odstawiła kieliszek, odwróciła się w fotelu i popatrzyła na niego z łagodnym, czułym uśmiechem. Niezależnie od wszystkich swoich życiowych doświadczeń nadal była bardzo młoda, prostolinijna i naiwna, ale lata sprzedawania się dla zaspokojenia cuchnących zjełczałym tłuszczem starych mężczyzn przydały ostrości jej spojrzeniu i uświadomiły absurdalność ludzkiego losu. Każdego wieczoru, kiedy upał już zelżał, jeździła po mieście dwukółką, niezmiennie spokojna i skupiona, delektując się każdym wyszeptanym słowem, każdym obrotem głowy i każdym karcącym skrzywieniem ust. Wszyscy wiedzieli, że z Johannem łączy ją jakaś więź, ale nie potrafili dojść jej istoty. Czasami zatrzymywała się w cukierni i jadła miętowe lody, co również wyprowadzało z równowagi miejski ludek. Kiedy spotykała się z Johannem po jego powrocie z pracy, opowiadała mu o wszystkim, co ją rozbawiło, opisując tak zjadliwym językiem najznamienitszych obywateli Edgar, że dusił się ze śmiechu.

Uwielbiał jej towarzystwo tak samo, jak niektórzy uwielbiają towarzystwo swoich szkolnych kompanów, ale tu chodziło o coś więcej – Carina była dla niego jak młodsza siostra. Uwolniła w nim zdolność wyrażania emocji, którą z trudem utrzymywał w ryzach. Nie pragnął uprawiać z nią seksu, bo odarłoby ją to z magicznego uroku. Gdyby ją stracił, straciłby najdroższą istotę. Więcej ze swoich uczuć do Cariny nie rozumiał i nie chciał rozumieć.

Chociaż Edgar było miasteczkiem, w którym plotki fruwały szybciej niż łupiny fasoli na skrzydłach wrześniowego wiatru, regularne odwiedziny Johanna przy Mountolive szczęśliwie umknęły uwadze Beatrice. Oczywiście wiedziała o istnieniu Cariny, ale wiedziała tylko tyle, że jest sierotą po meksykańskim poszukiwaczu ropy, który został zmiażdżony zawaloną wieżą wiertniczą i wymógł na Johannie przysięgę, że zaopiekuje się Cariną. Takie wytłumaczenie przedstawił Beatrice, kiedy się pojawiła w jego domu i zastała w nim nagą Carinę („biedne dziecko, brudne i okropnie zaniedbane”), i nadal się nim posługiwał, od czasu do czasu dodając jakiś szczegół. Nie było też nic dziwnego w tym, że Beatrice nie miała pojęcia o konspiracyjnych szeptach i uniesieniach brwi towarzyszących

Carinie podczas jej przejażdżek dwukółką. Damom z Edgar w takim samym stopniu zależało na jej dobrym mniemaniu o nich, jak jej zależało na ich dobrym mniemaniu o niej – nie wspominając już o tym, że drżały ze strachu na myśl, co mógłby im zrobić Johann Cornelius, gdyby powiedziały o swoich podejrzeniach Beatrice. Prezentował ten rodzaj samczej bezwzględności, który sprawiał, że kiedy o nim myślały, trzęsły się, dygotały i żałowały, że są już mężatkami.

– Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego się jej boisz – powiedziała Carina. – Przecież ty nikogo się nie boisz… Za to wszyscy boją się ciebie.

Johann pociągnął kolejny łyk wina.

– Jest piękną kobietą – dodała Carina. – Ale nigdy nie da ci szczęścia, prawda? I sama też nie będzie z tobą szczęśliwa, bo nie kocha cię naprawdę. Nie tak jak ja.

– Tak uważasz? – spytał Johann, odwracając się do niej.

– Gdybym była na jej miejscu i kochała cię tak mocno, jak podobno kocha cię ta kobieta, już dawno zrzuciłabym żałobę. Pokazałabym ci wszystkie sztuczki, jakich nauczyłam się przy mężczyznach, i uczyniła cię szczęśliwszym, niż

mógłbyś sobie wymarzyć. Słyszałeś kiedyś o sztuczce zwanej pazurem Mohawka?

– Carino! – upomniał ją Johann.

– Przecież to prawda – odparła. – Skoro nie chce skończyć żałoby, to znaczy, że cię nie kocha.

Johann zdmuchnął kurz ze szklanego wieka leżącej obok niego kasety.

– Jest trochę przestraszona, to wszystko. Dlatego nie może się zdecydować.

– Ale jak może cię kochać, skoro tak podle cię traktuje?

– Wcale nie traktuje mnie podle. Po prostu nie wie, co robić.

Carina uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie kocha cię, Johannie. Któregoś dnia będziesz musiał spojrzeć prawdzie w twarz.

Odwrócił głowę. Podejrzewał, że Carina ma rację, jednak nie chciał tej prawdy przyjąć do wiadomości. Jak wszyscy, którzy kochają, ale sami nie są kochani, wolał zakładać, iż Beatrice jest po prostu nieśmiała, niepewna swoich uczuć albo może śmierć Liddy'ego wstrząsnęła nią bardziej, niż to okazuje.

– Carino…

Podeszła do niego i ujęła go za ramię. Przycisnął palce do czoła i musiał odchrząknąć, zanim znów się odezwał.

– Już raz doprowadziła mnie do łez – przyznał. – Mam nadzieję, że nigdy więcej z jej powodu nie zapłaczę.

– Nie jesteś z drewna i żelaza – szepnęła Carina. – Jesteś z ciała i krwi, jak wszyscy inni. Nie możesz doprowadzać się do takiego stanu.

Popatrzył na nią, a potem złożył delikatny pocałunek na jej owiniętych wokół głowy warkoczach.

– Żeby być bogatym, muszę być z drewna i żelaza. Ci z ciała i krwi rodzą się, żyją i umierają w biedzie.

Pogładziła go po policzku.

– Zostaniesz dzisiaj na noc? – spytała.

W półmroku salonu widział łzę na jej twarzy, lśniącą jak odbicie gwiazdy w ciemnej toni morskiej zatoki. Pocałowała go w policzek.

Odstawił pusty kieliszek i odpowiedział tak cicho, że początkowo nie była pewna, czy w ogóle się odezwał:

– Nie.

♦ ♦ ♦

Następnego ranka włożył niebieski wełniany garnitur i melonik, po czym poszedł się ogolić do Tatuma. To była jego jedyna ekstrawagancja,

jedyny luksus. Leżał w wielkim, obitym skórą fotelu ze stalowymi poręczami i nogami, a Jack Tatum mydlił jego blond szczecinę pędzlem z bobrowego włosia i golił go składaną brzytwą marki George Wostenholm's Original and True o obustronnym ostrzu. Wiele lat później często wspominał ten zakład fryzjerski: ostrą woń alkoholu, w którym Tatum trzymał w nocy swoją sztuczną szczękę, szczęk nożyczek, mdły zapach spienionego mydła i poranne słońce padające na lustro i kalendarz „Colette" od Browna i Bigelowa. Codzienne golenie się u fryzjera było jego pierwszą demonstracją zamożności. Po Jacku Tatumie nic, na co wydawał pieniądze, nie miało tego samego posmaku sukcesu.

Przeszedł Congress Street i wrócił do swojego zakładu. Był to narożny budynek z pomalowanymi na zielono futrynami okiennymi i tabliczką ze złotymi literami układającymi się w napis „Cornelius – Mechanika". Kiedy otworzył drzwi, zabrzęczał dzwonek i wyszedł do niego Sam Chivers w zatłuszczonym brązowym fartuchu, łysy, ale z bokobrodami, w połówkowych okularach zsuniętych na czubek zaczerwienionego nosa.

– Witaj, Sam – powiedział Johann.

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł po zniszczonych deskach do kontuaru, zdejmując po drodze marynarkę. Sam podniósł klapę, przepuszczając go do środka, i Johann znalazł się w biurze, skąd przechodziło się do magazynów i warsztatów. Słychać było dzwoniące o metal młoty, a kiedy Johann spojrzał przez szklane przepierzenie, zobaczył, że prace przy ostatnich urządzeniach wydobywczych są znacznie zaawansowane.

Phil McKeogh, księgowy, czekał już na niego. Był to chudy młody mężczyzna o wybrylantynowanych włosach. Trzymał na podołku teczkę z dokumentami jak uwielbianego spaniela.

– Wcześnie wstałeś – powiedział Johann. – Zawsze myślałem, że księgowi śpią do zachodu słońca.

– Będziesz zadowolony, że tak długo nie spałem – odparł McKeogh. – W nocy skończyłem cię podliczać.

Sam powinien wrócić do warsztatu, ale wiedział, jak ważne były te obliczenia, więc ociągał się, patrząc wyczekująco na szefa.

Johann usiadł przy biurku. Stał na nim kalendarz w mosiężnej oprawie, wskazujący wczorajszą datę, i kubek z ołówkami. Położył

swoje wielkie dłonie na pokrytym skórzaną podkładką blacie i zapytał:

– No i co?

McKeogh wyszczerzył w uśmiechu zęby, otworzył teczkę i wręczył mu plik obliczeń.

– Gratulacje – powiedział. – Jesteś milionerem.

Johann zaczął je przeglądać. Była to wyczekiwana od dawna chwila, przez wiele miesięcy ciężkiej pracy i niepowodzeń. Czuł słuszność obranej drogi, czuł, że postępował i postępuje właściwie i że Bóg o tym wie.

– To dzięki temu odwiertowi po wschodniej stronie działki – wyjaśnił McKeogh. – W dwa miesiące dał więcej ropy niż pozostałe w pół roku. Przydadzą się nowe zbiorniki.

Johann uśmiechnął się szeroko.

– Udało się, Sam – powiedział. – Dopięliśmy swego.

– Bardzo się cieszę, że ci się udało.

– Wypijmy po kropelce – zaproponował Johann.

– Ja dziękuję – odparł McKeogh. – Do południa muszę jeszcze przejrzeć księgi starego Sharpa i coś mi mówi, że będę się musiał nad nimi napocić.

Wymienili uściski dłoni i księgowy wyszedł. Johann podszedł do lakierowanej biurowej

szafki, wyjął z niej butelkę brandy i trzy szklaneczki.

– Zawołaj Jacka, dobrze? – zwrócił się do Sama Chiversa. – Myślę, że on też powinien poświętować.

Inżynier wytarł ręce w fartuch.

– Jesteś szczęśliwy? – spytał.

Johann napełnił ostatnią szklaneczkę i zdziwiony podniósł głowę.

– Czemu miałbym nie być szczęśliwy?

– Nie wiem. Ostatnio bywałeś okropnie ponury. Ludzie zaczynają pytać, jak długo ta twoja wdowa zamierza nosić żałobę.

Johann uniósł brwi.

– Więc o to chodzi…

Sam był trochę zakłopotany.

– Nie lubię wściubiać nosa w cudze sprawy, sam wiesz. Ale pracujemy razem nie od wczoraj i czasem się zastanawiam, czy nie powinieneś zrzucić tego, co masz na wątrobie. Wiesz, że jestem twoim przyjacielem i możesz się przede mną wygadać.

Zapanowała niezręczna cisza. W końcu Johann powiedział:

– Tak, Sam, wiem.

Inżynier przysiadł na krawędzi biurka. Sięgnął po swoją szklaneczkę, ale jej nie opróżnił.

– Teraz jesteś bogaty, Johannie – stwierdził. – Możesz podróżować, gdzie chcesz, spotykać się z każdą kobietą, z którą chcesz. Cackanie się z wdową nie wydaje mi się zbyt sensowne.

– Ja ją kocham – odparł Johann.

Sam pokręcił głową.

– Może i tak. Ale czy ona cię kocha?

Johann wstał zza biurka i podszedł do szyby oddzielającej biuro od warsztatów. Przez chwilę patrzył, jak Jack Beak, chudy, żylasty mężczyzna o sumiastych wąsach, obrabia młotem poprzecznicę.

– Gdzieś w jej sercu jest miłość – powiedział. – Wiem, że jest. Ale ona jest boginią.

– Żadna kobieta nie jest boginią, przyjacielu – odparł Sam.

Johann odwrócił się do niego.

– Ona jest. Ma umysł mężczyzny, a przy tym jest bardzo piękną kobietą. Ale czasem śmiertelnie mnie przeraża. Nie wiem, co do niej czuję, nienawiść czy uwielbienie. Ale trafiła mnie dokładnie w sam środek serca. Nic na to nie poradzę.

Sam odstawił szklaneczkę z brandy.

– To nie mój interes, Johannie, ale wydaje mi się, że gonisz za cieniem, za czymś, czego w ogóle nie ma.

– Może masz rację.

Inżynier wyjął z kieszeni fartucha fajkę z korzenia wrzośca, nabił ją ciemnym tytoniem i przypalił zapałką potartą o szybę.

– Wziąłeś ją do wyrka? – spytał cicho.

Johann pokręcił głową.

– Nie zgodziłaby się na to. Najpierw musi zakończyć żałobę.

– No dobrze, a czy nie myślisz, że warto byłoby ją sprawdzić? Mój kuzyn z Nowego Jorku bardzo długo kręcił się wokół jednej pani i trzeba było dopiero, by schlał się w urodziny Waszyngtona i zawlókł ją do wyrka, żeby w ogóle się dowiedział, że bardzo długo nie kosztowała tych uciech i boi się ich jak diabeł święconej wody.

– Nie jestem pijakiem – burknął Johann. – Kieliszek brandy to dla mnie dość.

– Ja tylko chcę ci pomóc, Johannie. Czasem my, stare pierniki, trzeźwiej patrzymy na życie niż wy, młodzi. Jest czas na dobre maniery i jest czas, żeby zrobić to, na co ma się ochotę.

– Sam, ty po prostu nie znasz Beatrice. Nie znasz jej.

– Wszystkie baby są takie same. Tylko mężczyźni, którym odebrało rozum, myślą inaczej.

– Przestań, na litość boską!

Sam wzruszył ramionami i włożył fajkę do ust, ale zaraz ją wyjął i powiedział:

– Jeszcze słówko w tym temacie… Gdybyś chciał wpaść któregoś wieczoru do pani Mulliner i spędzić z nią godzinkę albo dwie sam na sam, mogę zaprosić starą Russell na koncert skrzypcowy. Zawsze patrzyła na mnie przychylnym wzrokiem, więc tyle mógłbym dla ciebie zrobić.

Johann uniósł swoją szklaneczkę.

– To się nazywa poświęcenie, wiesz? – dodał Sam. – Nie palę się do wyjścia z panią Russell bardziej niż do wyjścia z wyłysiałą orlicą. Mam to zrobić?

Zapadła długa cisza. W końcu Johann powiedział:

– Nie wiem, Sam. Nie wydaje mi się.

Inżynier wsadził kciuki w kieszenie fartucha.

– No dobrze. Ale moja oferta jest wciąż aktualna.

– Teraz muszę zająć się firmą – odparł Johann. – Chyba czas pojechać do Nowego Jorku.

– Do Nowego Jorku? A co z interesami na miejscu?

– Szybami z powodzeniem może zająć się Slobodien.

– A zakład?

Johann zmarszczył brwi i rozejrzał się.

– Chyba dasz radę zarządzać nim przez kilka miesięcy, prawda? Ty i Jack. Gdybyś miał kłopoty z księgami, zawsze możesz zadzwonić do Phila.

– Nie bardzo rozumiem, dlaczego musisz wyjechać… Właśnie teraz, kiedy wszystko idzie jak z płatka?

Johann wstał.

– To bardzo proste. Mam milion dolarów i muszę zacząć z niego korzystać. Jeśli stoisz w miejscu, rdzewiejesz. Chcę iść do przodu i zarabiać jeszcze więcej. Chcę wejść w ubezpieczenia, transport morski, może kupię także akcje kolei. Chcę też wynegocjować lepsze ceny za oczyszczanie mojej ropy naftowej. Chcę się dowiedzieć, co się dzieje na Wall Street. Chcę przestać być bogatym prostakiem i zacząć być prawdziwym biznesmenem.

– A co z Beatrice?

– Nie wiem – odparł Johann. – Może zechce mi towarzyszyć. Może zaczeka na mnie tutaj. Kilka miesięcy beze mnie pewnie pomoże jej podjąć decyzję.

– Naprawdę tak myślisz?

Johann wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co myślę. Ale nie mogę wciąż tańczyć na smyczy jej żałobnych koronek.

Inżynier pochylił się nad biurkiem.

– Słuchaj, Johann, pozwól mi namówić starą Russell, żeby wypuściła się ze mną na miasto. A kiedy już będziesz sam na sam z Beatrice, wykorzystaj sposobność. Zaatakuj, zanim wyjedziesz do Nowego Jorku.

– To nie takie proste…

Sam pokręcił głową.

– Wiem, co myślisz. Myślisz, że nie rozumiem, jaka ona jest, i że w ogóle niczego nie rozumiem. Ale wcześniej czy później będziesz musiał poczynić jakieś kroki, Johannie. Nie możesz przeczekać całego życia.

Johann przesunął palcem po brzegach dokumentu, który obwieszczał, że jest milionerem, i powiedział:

– Lepiej zawołaj Jacka. Niech też uczci ten dzień, zanim wszystko wypijemy.

♦ ♦ ♦

Następnego wieczoru, w czwartek, siedział przy biurku aż do zmroku. Na koniec napisał długi odręczny listu do zarządu Amarero Oil znajdującego się w Nowym Jorku. Od kiedy trafił

na ropę przy Sweetwater Trail, jego stosunki z Amarero Oil były bardzo kordialne i konstruktywne. Jeśli wymagały tego okoliczności, pożyczał im swój sprzęt i był w dobrych relacjach z ich robotnikami i brygadzistami, ale rzadko robił z nimi interesy. Całą swoją ropę sprzedawał Colton Oil, ponieważ dawali lepsze ceny. Był jednak biznesmenem, który umie patrzeć daleko w przyszłość, i wiedział, że któregoś dnia taka firma jak Amarero Oil może mu być potrzebna i będzie chciał ją kupić, toteż wolał mieć z nią dobre stosunki.

Napisany przez niego list dotyczył Kyle'a Lennoxa i był utrzymany w przyjacielskim tonie, maskującym prawdziwe zamierzenia Johanna. Teraz, gdy jego majątek był wart ponad milion dolarów i kiedy Jerry Slobodien poinformował go, że osiem szybów przy Sweetwater Trail daje dziennie dwadzieścia pięć tysięcy baryłek, osiem procent Lennoxa stało się małą fortuną. Nie chodziło o to, iż pożałował wydatków, które poniósł na Carinę – uznał po prostu, że wszystko ma swoje granice, zwłaszcza gdy w grę wchodziła taka ropucha jak Kyle Lennox. Tak więc zapoznawszy się z obliczeniami McKeogha, postanowił pozbyć się tej ropuchy.

Chwalił menedżerskie zdolności Lennoxa, chociaż doskonale wiedział, że w Amarero Oil uważa się go za szuję. Nazywał Lennoxa „prawym i rzetelnym człowiekiem” i podkreślał, że jest „wart każdej ceny”. Potem jakby mimochodem zapytał, czy Amarero Oil nie zechciałoby przekazać kontraktu Lennoxa Cornelius Oil, dzięki czemu zapewniłoby mu usługi „prawdziwego weterana pól naftowych”.

Zapieczętował list, zaadresował go, po czym włożył marynarkę. Wiedział, że Amarero Oil mu nie odmówi, i nucił pod nosem, gdy gasił lampy na biurku. Kiedy tylko będzie miał kontrakt Lennoxa w sejfie, wszystko przyjmie zupełnie inny obrót. Osiem procent Lennoxa natychmiast zostanie anulowane, a jeśli Lennox się poskarży… no cóż, sędziowie sądów apelacyjnych nie przejmowali się zbytnio pracownikami, którzy narzekali na pracodawców, zwłaszcza jeśli byli tak bogaci i wpływowi jak Johann.

Wyszedł z biura i zamknął drzwi na klucz. Na ciemnej ulicy wiał chłodny wieczorny wiatr, w oddali wyły zdziczałe psy. Kiedy się odwrócił, zamierzając odejść, zobaczył swojego inżyniera Sama Chiversa, który palił fajkę, opierając się o słupek werandy.

– Witaj, Sam. Nie widziałem cię.

– Dopiero co przyszedłem.

– Czemu nie wejdziesz do środka? Zostało trochę brandy z wczoraj.

Sam podszedł bliżej i światło z górnego okna padło na czesany welurowy kapelusz i elegancki bladoniebieski garnitur, który Johann widział po raz pierwszy. Spowijała go mocna woń lawendy.

– Trochę się wstydziłem – mruknął.

Johann się uśmiechnął.

– Wyglądasz, jakbyś wybierał się na pogrzeb do Meksyku.

– Zamierzam zabrać starą Russell na wieczorny spacer.

– Myślałem, że miałeś zabrać ją na koncert.

Sam ugniótł kciukiem tytoń w fajce. Uwiązany naprzeciwko koń niespokojnie rzucił łbem.

– Koncert będzie dopiero w przyszły wtorek. Pomyślałem, że dobrze byłoby zorganizować coś trochę wcześniej.

– Nie mam zamiaru tam iść – odparł Johann. – Spaceruj sobie z panią Russell, aż ci nogi odpadną. Nie mogę przedstawić Beatrice żadnej propozycji, dopóki nie zakończy żałoby.

Sam westchnął.

– Johannie, głąb kapuściany z ciebie, a nie milioner. Nie przyszło ci do głowy, że ta twoja Beatrice nie może się doczekać, kiedy

zdobędziesz się na odwagę i zedrzesz z niej te żałobne koronki? Ona chce, żebyś je zdarł, Johannie. O niczym innym nie marzy. Jeśli tego nie zrobisz, nie poczuje, że była goniona i złapana. A kobiety nie wyobrażają sobie życia bez gonienia i łapania.

Johann nabrał głęboko powietrza i powiedział:

– Zaniosę ten list do banku, a potem idę do Walsha na kolację. Po kolacji zamierzam wrócić do domu, położyć się do łóżka i tak długo przeglądać analizy krakingu, aż oczy mi się same zamkną.

Sam chwycił go za ramię. W cieniu ronda kapelusza widać było jedynie błysk jego oczu. Milczał przez chwilę, nie bardzo wiedząc, w jaki sposób nakłonić Johanna, aby spróbował szczęścia u Beatrice, ale w końcu zapytał sucho:

– Ile ty masz lat, Johannie?

– Trzydzieści. O co chodzi?

– Tylko pytam. Ale wiesz, trzydzieści lat to raczej późny wiek na stan bezżenny. Co się stanie z twoimi wszystkimi pieniędzmi, jeśli odejdziesz z tego padołu bezpotomnie?

– Wcale nie planuję odejścia z tego padołu.

– Nikt nie planuje.

– Nawet jeśli tak się stanie, to przecież nie będę się wtedy martwił pieniędzmi, prawda? Będę trupem.

Sam znowu westchnął.

– Co mam zrobić, żeby cię przekonać?

– Mój drogi, dziś wieczorem nie zamierzam spotykać się z Beatrice. To moje ostatnie słowo.

– Pozwolisz, żebym nadaremno spędził cały wieczór z Elvirą Russell? Już jej obiecałem. Nie mogę się teraz wycofać.

– Nie idę do Beatrice.

– Boisz się?

– Może.

Sam przesunął kapelusz na czubek głowy.

– Wobec tego może chociaż odprowadzisz mnie do Elviry Russell? Skóra mi cierpnie na karku, kiedy pomyślę, że mam stanąć przed tą starą wroną.

Johann przez chwilę mu się przyglądał, po czym kiwnął głową.

– W porządku. Ale następnym razem mnie zapytaj, zanim zachce ci się wyciągać z domu starsze panie.

Zeszli z werandy i przecięli ulicę w chłodnym blasku młodziutkiego księżyca. Powietrze pachniało kiełbaskami, kurzem i mimozą. Ktoś grał na pianinie *My Love from Level-land*,

w pokoju na piętrze sąsiedniego budynku piekliła się para kochanków.

– Teraz to miasto jest dla ciebie za małe – powiedział Sam, gdy szli ramię w ramię Kearney Street. – Chyba masz rację, myśląc o Nowym Jorku.

Johann popatrzył na oświetloną werandę piętrowego domu Elviry Russell.

– Nie chodzi tylko o Nowy Jork – mruknął. – Chodzi o cały świat.

Podeszli do frontowych drzwi i Sam pociągnął za sznurek dzwonka.

– Zastanawiałem się, czy nie zabrać starej Russell do kościoła. Słyszałem, że dziś jest próba chóru.

– Zabieraj ją sobie, gdzie chcesz.

Usłyszeli kroki i po chwili w drzwiach pojawiła się pani Russell. Była wysoką kobietą o szerokich ramionach, a jej zapinana na guziki suknia układała się na płaskim jak deska torsie niczym brezent na starej armatniej lawecie. Miała twarz wielkości bizoniego pyska, a jej włosy były posplatane w cienkie siwoszare warkoczyki owinięte wokół głowy. Na widok Sama rozchyliła usta w wyrazie niedorzecznej zalotności.

– Sam Chivers! I do tego przed czasem. I pan też, panie Cornelius! Nie wiedziałam, że zamierza pan się do nas przyłączyć.

Johann odchrząknął.

– Bo nie zamierzam. Po prostu przeszedłem się z Samem.

– Pójdę po szal – oznajmiła pani Russell. – Zechciej wejść do środka, Samie Chivers. To potrwa tylko chwilkę.

– Dobranoc, Sam – powiedział Johann. – Dobranoc, pani Russell.

Kiedy się odwracał, usłyszał wołanie Beatrice:

– Johann! Czy to Johann?

Popatrzył na Sama, który po chwili wahania odparł:

– Zgadza się, pani Mulliner, to on. Właśnie odchodzi.

Beatrice przeszła oświetlonym korytarzem i zatrzymała się przy drzwiach. Miała na sobie prostą suknię z brązowej bawełny, która przypomniała Johannowi sukienkę, jaką miała na sobie Carina w dzień ich pierwszego spotkania. W blasku naftowych lamp wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

– Nie odchodź – poprosiła. – Może masz ochotę na kieliszek sherry?

Pani Russell układała na ramionach szal z frędzelkami i przypinała kapelusz.

– Jeśli pan Cornelius zostaje, Beatrice, to ja też muszę zostać, a muszę powiedzieć, że wcale mi się to nie uśmiecha – oświadczyła. – Cały dzień czekałam na spacer z panem Chiversem.

– Pan Cornelius może zostać na pięć minut, ciociu Elviro. Jestem dorosłą kobietą.

– Twoja kuzynka Coreen też tak mówiła, dopóki nie zaczęli jej napastować handlarze ryb.

Beatrice się uśmiechnęła.

– Ciociu, w tej okolicy nie ma handlarzy ryb.

– No dobrze, ale tylko na pięć minut. Nie chcę, żeby na mój dom spadło odium skandalu.

Johann stał z kapeluszem w ręce, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć.

– Właściwie mam trochę zaległej roboty… – powiedział.

– Pięć minut cię nie zbawi – odparła Beatrice. – Wejdź i daj mi swój kapelusz.

Kiedy mijał Sama, inżynier ścisnął go za ramię. Johann zatrzymał się w pół kroku, ale po chwili ruszył za Beatrice do saloniku. Musiał być zamknięty przez cały dzień, bo panowała w nim nieprzyjemna duchota.

Beatrice usiadła na skórzanej sofce i powiedziała:

– Sherry jest w karafce po lewej. Dla mnie tylko kropelkę.

Johann otworzył szafkę, wyjął dwa kieliszki i napełnił je winem.

– Myślałam o tobie dzisiaj – powiedziała Beatrice.

Odwrócił się i popatrzył na nią.

– Och, tak? – bąknął.

Uśmiechnęła się.

– Myślałam o tym, jak pojawiłeś się w moim życiu, szukając pomocy, i o tym, jak potem ja pojawiłam się w twoim, szukając u ciebie pomocy. Życie zawsze dąży do równowagi, nie sądzisz?

Johann podał Beatrice kieliszek. Za ich plecami trzasnęły drzwi – to Chivers i pani Russell wyszli na spacer i próbę chóru. Johann zastanawiał się, jak długo pozostaną poza domem. Odchrząknął i przycupnął na brzegu sofki.

– Wypijmy za twój milion – zaproponowała Beatrice, unosząc kieliszek.

– I za ciebie – dodał Johann, unosząc swój.

Wypili i wymienili pełne zażenowania uśmiechy.

– Jakoś dziwne czuję się bez ciotki – oznajmiła Beatrice. – Przywykłam, że wciąż wisi nade mną.

Wiesz, jest bardzo zasadnicza. Czasem się zastanawiam, co pomyślałaby sobie o wszystkich moich wcześniejszych wyskokach.

– Czy ta brązowa suknia oznacza, że wreszcie skończyłaś żałobę?

Beatrice popatrzyła na swoją sukienkę i pokręciła głową.

– Nie, po prostu wszystkie moje czarne suknie są dziś w praniu.

Johann opuścił wzrok na kieliszek.

– Czemu nie weźmiesz tego pod rozwagę? – spytał.

– Czego?

– Dobrze wiesz, co mam na myśli. Zakończenia żałoby.

– Przecież ci powiedziałam, że nie jestem jeszcze gotowa.

Johann podniósł wzrok.

– Muszę wyjechać do Nowego Jorku – powiedział.

Spojrzała na niego.

– Do Nowego Jorku?

– Nie mogę na zawsze pozostać w Edgar. Biznes to coś więcej niż wydobywanie ropy i naprawianie zepsutych kompresorów.

– Hm… – mruknęła Beatrice. Sprawiała wrażenie lekko wytrąconej z równowagi. – Chyba

masz rację.

Odstawiła kieliszek i wstała, wygładzając suknię. Podeszła do kominka i spojrzała w wiszące nad nim lustro. Zobaczyła w nim twarz kobiety, która prawdopodobnie urodziła się zbyt piękna – przynajmniej jak na życie, które przyszło jej wieść. Siedziała w obskurnym saloniku z bogatym, ale trochę nieporadnym mężczyzną i nic lepszego jej już w życiu nie czekało. Kiedy to sobie uświadomiła, ogarnęła ją litość nad samą sobą. Spojrzała w dół i zobaczyła, że nieustannie obraca na palcu ślubną obrączkę.

– No cóż, w końcu pewnie się do tego przyzwyczaję – rzekła.

– Do czego?

Odwróciła się i uśmiechnęła z trudem.

– Do życia w zapomnianej przez Boga mieścinie w zachodnim Teksasie, do samotnych podwieczorków i rozważania, czy życie kiedykolwiek miało mi coś więcej do zaoferowania.

– Beatrice… życie ma ci do zaoferowania mnóstwo rzeczy.

Uniosła ręce.

– Jesteś mężczyzną – powiedziała z goryczą. – Mężczyzna jest wolny. Może jechać, gdzie chce, robić, co chce. Może chodzić do barów i pić. Może

jeździć automobilem i głośno przeklinać. Może głosować. Ale co może kobieta, nawet jeśli nie brak jej odwagi? We wszystkim musi polegać na mężu. Nawet gdy chce go zdradzić, potrzebuje pieniędzy.

Johann potarł podbródek. Nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

Beatrice podeszła do niego, wyciągnęła ręce i dodała nieco łagodniejszym tonem:

– Nie zamierzam cię ranić, Johannie. Wiesz o tym, prawda? Ale nie jestem już pewna moich uczuć. Twoja praca i pieniądze tak wiele dla ciebie znaczą. Kiedy jestem z tobą, czuję, że twoje myśli zawsze są gdzieś indziej, zawsze przy interesach, zawsze przy sposobach, które pomogą ci zarobić więcej pieniędzy. Jeśli mamy wieść wspólne życie, jeśli mam z tobą żyć, muszę wiedzieć, że nie zamkniesz mnie samej w domu, rozpaczliwie wypatrującej miłości, podczas gdy sam będziesz jeździł do Nowego Jorku, Waszyngtonu i San Francisco, goniąc za zyskiem i zapominając o żonie. Tak właśnie było z Lidmore'em. Zostawiał mnie i szedł do pracy. Nie rozumiesz, że kobieta tylko wtedy może być wolna, kiedy ma przy sobie małżonka?

Johann odchrząknął.

– Nie sądzisz, że mógłbym dać ci szczęście?

– Johannie… ja muszę mieć pewność. Muszę wiedzieć, że nie będziesz mnie traktował jak Liddy. Muszę wierzyć, że bez względu na to, co się wydarzy, twoje uczucie wobec mnie będzie zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze.

Patrzył na nią, zupełnie zbity z tropu. Nie rozumiał jej. Przyjechała do Edgar, aby mogli być bliżej siebie podczas żałoby i aby kiedyś wzięli ślub. Tymczasem ona wciąż przedłużała żałobę i w końcu zaczął myśleć, że pozostaje mu tylko zarabianie pieniędzy i czekanie. Ale gdy powiedział jej, że wybiera się do Nowego Jorku, chyba zmieniła zdanie i była gotowa przedstawić mu warunki zamążpójścia.

Nie wiedział jednak wszystkiego. Beatrice bardzo się bała. Odsuwała dzień zakończenia żałoby nie dlatego, że w ogóle bała się małżeństwa, ale dlatego, że bała się małżeństwa z Johannem. Był teraz zupełnie innym mężczyzną, w niczym nie przypominał tamtego biednego młodzieńca, którego kiedyś kokietowała w swoim salonie. Od tamtej pory zbił fortunę i nauczył się posługiwać pieniędzmi, stał się bystrzejszy, szybciej myślący i mądrzejszy. Kiedyś potrafiła go kontrolować, ale teraz to on sprawiał wrażenie, że mógłby to samo zrobić z nią – i pewnie zrobiłby, gdyby

uświadomił sobie, jak bardzo osłabł wpływ, jaki na niego miała. Wiedziała, że nadal ją uwielbia, nadal kocha, ale podejrzewała, że kiedy tylko pozna nowojorską socjetę i wielkie bogactwo, prawdopodobnie utraci go na zawsze.

Myśli tego rodzaju nie pozwalały jej spać. Gdyby Johann zostawił ją w Edgar, byłaby skazana na miejscowe nadęte, prostackie środowisko, pozbawiona opiekuna i towarzysza życia. Ale gdyby wyszła za Johanna i pojechała razem z nim do Nowego Jorku, jej wyrobienie towarzyskie, tak podziwiane przez panie z Edgar, okazałoby się beznadziejnie parweniuszowskie w porównaniu z manierami wielkomiejskich dam. Wiedziała, że nie potrafiłaby opanować strachu przed upokorzeniem, strachu niemal dorównującego obawie przed utratą Johanna.

– Muszę czuć, że jestem otoczona opieką przez męża – powiedziała. – Muszę mieć bezpieczny dom i wiedzieć, że nie zostawisz mnie w nim samej, kiedy wyjedziesz w interesach. Nie chcę być pogrzebana za życia, bo mój mąż poświęci się wydobywaniu ropy naftowej, kompresorom czy innym interesom. Jeśli mamy wziąć ślub, muszę cię zawsze mieć przy boku i chcę, żebyś się o mnie troszczył.

Johann ujął ją za rękę.

– Czy do tej pory nie byłem troskliwy?

– Troszczysz się też o swoje interesy.

– Który mężczyzna tego nie robi?

Uśmiechnęła się smutno.

– Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedziałam ci, że pragnę uczucia. Jestem uczuciową kobietą, Johannie. Ale uczciwa kobieta nie może szukać uczucia w taki sposób, jak może to czynić mężczyzna, dlatego muszę mieć pewność, że zbudujesz dla nas obojga dom i zawsze będziesz się o mnie troszczył. Bardziej niż o wszystko inne. Chcesz, żebym była ci wierna, prawda?

– Oczywiście.

– Ale to oznacza, że chcę, abyś ty był także wierny mnie.

– Będę. Przysięgam.

Usiadła obok niego na skórzanej sofce, ujęła go za ręce i pocałowała lekko w czubek nosa.

– Więc nie pojedziesz do Nowego Jorku?

Zmrużył oczy.

– Muszę tam jechać.

– Nawet gdyby to oznaczało, że się nie pobierzemy?

– Nie rozumiem…

– Johannie, musi tak być! Przez całe życie byłam źle traktowana. Nigdy nie byłam otoczona

miłością! Muszę być kochana, Johannie, przez wszystkie godziny, minuty i sekundy mojego życia! Jeśli chcesz mnie poślubić, jeśli chcesz, żebym zdjęła żałobę, musisz mi obiecać, że zawsze będziesz mnie kochał!

Nic na to nie odpowiedział. Słyszał bicie swojego serca, mocne i powolne. Mosiężny zegar na kominku zazgrzytał cicho i zaczął wydzwaniać jakąś skomplikowaną melodię.

– Jeśli chcesz, możesz mnie pocałować – wyszeptała Beatrice.

Zamrugał i popatrzył na nią.

– Chcesz, żebym dała ci dowód uczucia? – spytała cichym głosem. – Obawiasz się, że twoja miłość jest nieodwzajemniona?

– Nie wiem – odparł. – Zachowujesz się, jakbyś nie była sobą. Najpierw nie można cię namówić, żebyś w ogóle porozmawiała o małżeństwie, a teraz na nie nalegasz.

– Może w końcu uświadomiłam sobie, jaki skarb wymyka mi się z rąk. Może się wreszcie zdecydowałam.

– Na co?

– Na ciebie. Może doszłam do wniosku, że to ty jesteś mężczyzną, jakiego mi potrzeba.

– Nie rozumiem, dlaczego nagle…

Roześmiała się.

– Czy to ważne? Czy oprócz nas jest coś ważniejszego?

– No… chyba niektóre rzeczy tak.

Przysunęła się do niego i jego serce znowu przyspieszyło. Jej perfumy, uderzający do głowy zapach heliotropu, nie pozwalały mu myśleć. Jej ciało promieniowało ciepłem przez bawełnianą suknię, którą miała na sobie, i zupełnie nieoczekiwanie Johann poczuł wzbierającą w nim namiętność.

– Nie pojedziesz, prawda? – zapytała szeptem.

– Beatrice, nie możesz powstrzymać biegu rzeki. Muszę jechać do Nowego Jorku, muszę. Takie jest moje życie. Taki jestem.

Objęła go za szyję i nagle zabrakło mu powietrza.

– Nie kochasz mnie? – drażniła się z nim. – Powiedziałeś przecież, że mnie uwielbiasz.

– Mój Boże, ależ tak.

– Więc powiedz, że nie pojedziesz. Powiedz, że mnie poślubisz i zostaniesz ze mną na zawsze. Obiecaj mi choć tyle.

– Beatrice…

– Nie kochasz mnie?

– Bardziej niż życie. Nie wierzysz mi?

Pocałowała go, najpierw w policzek, a potem w usta. Jej wargi były niewiarygodnie miękkie

i pociągające, przypominały słodki owoc. Czuł napór jej ciężkich piersi, naprężonych pod gorsetem, i coraz większą twardość między udami.

Bał się, że pożądanie zawładnie nim bez reszty, więc odsunął się od Beatrice. Miał potargane włosy i czuł się, jakby się wydobywał spod lawiny.

– A twoja żałoba? – wysapał. – Co z twoją żałobą?

– Skończyła się – odparła. – Wystarczy, jeśli obiecasz, że mnie poślubisz i zostaniesz ze mną na zawsze.

Kiedy pogładziła twarde, napięte miejsce na jego podołku, Johann zadrżał.

– Och, mój ukochany – wyszeptała, znów go obejmując i liżąc mu ucho. – Wystarczy, że tylko obiecasz.

– Beatrice, to jest…

Zacisnął mocno powieki. Rozrywało go takie pożądanie i lęk, że ledwie mógł mówić.

– Obiecaj – powtórzyła cicho. – Proszę, obiecaj.

Otworzył oczy.

– Prosisz o wszystko – powiedział łamiącym się głosem. – Kocham cię, Beatrice. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo cię kocham, ale prosisz o wszystko.

Przysunęła się jeszcze bliżej.

– Och, obiecaj – błagała.

Gładziła jego udo, dotykając najtwardszej i najwrażliwszej części jego ciała. Zaczerpnął powietrza i uniósł głowę.

– Popatrz… – powiedziała i sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni jego marynarki, wyjęła z niej brązowy skórzany portfel. Sama mu go dała na ostatnie Boże Narodzenie i kazała napełnić pieniędzmi. Otworzyła go i wyjęła całą jego zawartość, kilkaset dolarów w jednodolarówkach, piątkach, dziesiątkach i dwudziestkach. Wstała, ściskając pieniądze w ręce, i zapytała: – Czy tego pragniesz zamiast mnie? Nie masz już dość? Przecież jesteś milionerem! Masz szyby naftowe! Jeśli zostaniesz tutaj, w Edgar, jeśli mnie poślubisz, będziesz mógł mieć i pieniądze, i mnie!

Z błyszczącymi oczami wyrzuciła pieniądze w powietrze i salon wypełniły fruwające banknoty. Kiedy opadły na dywan, uniosła suknię i usiadła między nimi.

Johann patrzył na nią z fascynacją. Jej długie, kształtne nogi w czarnych jedwabnych pończochach były teraz całkowicie odsłonięte. Wyżej widział czarne podwiązki i brzeg obszytego koronką gorsetu. Nie nosiła

pantalonów i na tle gładkiego dywanu widział niewyraźny zarys ciemnego, poskręcanego owłosienia w złączeniu ud.

Uśmiechnęła się do niego.

– Och, Johannie. Nie zmieniaj niczego. Bądźmy tacy, jacy byliśmy tego dnia, kiedy zjawiłeś się tu po raz pierwszy, by wypić razem ze mną kawę. Jedliśmy wtedy tort orzechowy, pamiętasz?

Wstał. Serce waliło mu jak młotem. Zerwał z siebie marynarkę, a potem jeszcze szybciej rozpiął kamizelkę i spinki mankietów. Kiedy to robił, Beatrice położyła się wśród rozrzuconych banknotów i zapraszająco wyciągnęła do niego ramiona. Dygotał, myśląc o tym, co za chwilę nastąpi, i znowu zrobiło mu się gorąco. Miał wrażenie, że całkowicie stracił nad sobą panowanie i zachowuje się jak sztywna, podrygująca kukła. Mając na sobie tylko obcisłą bawełnianą bieliznę, z rozpiętym rozporkiem i obnażonym czerwonym członkiem, ukląkł na szeleszczących dolarach i wielkimi rękoma rozwarł szerzej obleczone w jedwab uda Beatrice.

– Weź mnie… – wyszeptała. – Miałam ich tylu, Johannie, ale żaden nie był taki jak ty. Weź mnie szybko…

Pochylił się nad nią, dysząc z napięcia i namiętności, i dotknął purpurowym czubkiem członka jej wilgotnych czarnych kędziorów. Przyciągnęła go do siebie i pocałowało dziko, gwałtownie, jakby chciała go pogryźć.

– Obiecaj… – wymruczała, zanim wbił się w nią pierwszy raz. – Obiecaj, że zostaniesz. Obiecaj, że będziesz mnie kochał i nigdy ode mnie nie odejdziesz. Obiecaj, że nie pojedziesz do Nowego Jorku.

Johann mocno zaciskał powieki. Miał wrażenie, że jest bliżej Beatrice, niż kiedykolwiek wydawało mu się to możliwe, i jednocześnie tysiąc mil dalej. Kochał ją tak bardzo, że ledwo mógł zaczerpnąć oddechu.

– Obiecaj! – powtórzyła.

Jęknął, a potem wymamrotał:

– Obiecuję…

Otwarła się pod nim, a on wepchnął się w nią tak gwałtownie, że aż podskoczyła.

Było to krótkie, chciwe i tak przemożne, że oboje zaczęli krzyczeć, ogarnięci pożądaniem. Jednodolarówki, piątki, dziesiątki i dwudziestki fruwały wokół nich, gdy Johann parł i parł, odrzucając od siebie wszystko, co od tak dawna zalegało w jego umyśle, odrzucając świat, który groził, że go zmiażdży.

Beatrice zawyła jak samica kojota i przejechała mu paznokciami po plecach pod bawełnianym podkoszulkiem. Ból doprowadził go do gwałtownego wytrysku, który sprawił, że poczuł się, jakby wirował wokół odległych gwiazd.

Kiedy doszedł do siebie, Beatrice leżała obok niego, całując go i mówiąc:

– Obiecałeś. Och, jaki jesteś piękny… Obiecałeś.

Johann czuł się oszołomiony, wzruszony i obmyty falami miłości. Trzymał Beatrice w ramionach, głaszcząc jej delikatną twarz, i całował ją z czułością, szepcząc chrapliwie:

– Kocham cię, Beatrice. Mój Boże, kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić.

Jej rzęsy były wilgotne od łez. Oddawała mu pocałunki tak lekko, że czuł się, jakby na jego wargach przysiadał motyl. Na jej czole widniała zmarszczka niepokoju. Była zaróżowiona z podniecenia i wysiłku, ale bez względu na to, co kryło się w przyszłości, wiedziała, że nigdy nie zdoła wytłumaczyć Johannowi, czym dla niej było obcowanie z mężczyzną po tak długim okresie abstynencji.

– Lepiej się ubierzmy – powiedziała cicho. – Zaraz wróci ciotka Elvira.

Pocałował ją i przytulił do piersi.

– Już myślałem, że to się nigdy nie wydarzy – wyznał.

Beatrice siedziała na podłodze, a on zaczął zbierać swoją garderobę i pieniądze. Kiedy już się ubrał i przed lustrem na kominku zawiązywał muszkę, Beatrice powiedziała:

– Jutro ogłoszę, że skończyłam żałobę i jesteśmy narzeczeństwem. A potem możemy poszukać miejsca pod budowę naszego domu.

Odwrócił się, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi.

– To na pewno ciotka. Może zapomniała klucza? Szybko, Johannie, wpuść ją. Ja w tym czasie zapnę suknię.

Podszedł do frontowych drzwi i otworzył je. Na werandzie, w słabym świetle otoczonej ćmami lampy stał posłaniec Western Union. Miał potargane jasne włosy i przekrzywione okulary. Podał Johannowi kopertę i oświadczył:

– Telegram, proszę pana, z Nowego Orleanu. Zaadresowany do pani Mulliner.

Johann zmarszczył brwi i sięgnął do kieszonki kamizelki po pięciocentówkę. Nie wiedział, że Beatrice zna kogokolwiek w Nowym Orleanie, zwłaszcza kogoś, kto mógłby wysłać jej telegram.

Posłaniec dodał:

– Jej siostra zmarła. Na suchoty. Przysyłają tu jej siostrzeńca, żeby zamieszkał z nią na stałe w Edgar.

Beatrice wyszła na korytarz i zapytała:

– Kto to, Johannie? Co się stało?

Odwrócił się i wręczył jej telegram.

– Zanim to otworzysz, chcę, żebyś wiedziała, że cię bardzo kocham – powiedział.

♦ ♦ ♦

Chłopiec stał na peronie stacji kolejowej Broughton. Miał na sobie jasnobrązową dwurzędową marynarkę, obcisłe spodnie i wypucowane do połysku buty. Z kieszonki na piersiach sterczała czysta biała chusteczka. Wokół niego kładły się długie cienie jesiennego popołudnia. Obok stała tania kartonowa walizka z metalowym zamkiem. Przyczepiona była do niej karteczka z takim samym adresem jak ten, który widniał na tabliczce wiszącej na szyi chłopca. Pociąg już odjechał, dzwoniąc i sapiąc, i zniknął za zakrętem przy wyblakłym od słońca płocie i torach manewrowo-postojowych składów towarowych. W czasie dwóch godzin, które chłopiec spędził na czekaniu, kolor nieba przeszedł od błękitu do ciemnego indygo.

Z dworcowego budynku wyszedł kolejarz będący jednocześnie naczelnikiem stacji, bileterem oraz sprzątaczem peronów i dworca, rudawy mężczyzna w czapce z daszkiem, z dużym kolejarskim zegarkiem w dłoni. Powoli podszedł do chłopca i zatrzymał się kilka jardów od niego, gwiżdżąc przez szparę w zębach *Who Put the Overalls in Mrs Murphy's Chowder?*

– Twoi starzy przyjdą cię zabrać? – zapytał. – Wygląda na to, że czekasz tu już Bóg wie jak długo.

Chłopiec popatrzył na niego. Był to blady, poważny dziewięciolatek o niebieskich oczach. Zanim odpowiedział, grzecznie uniósł czapkę. Sprawiał wrażenie zmęczonego i spragnionego.

– Przyjedzie po mnie znajomy, proszę pana – odparł. – Automobilem. To nowy absztyfikant mojej ciotki – dodał.

Naczelnik przez chwilę kiwał się na piętach. Miał w domu matkę, zgrzybiałą staruszkę, która lubiła raczyć każdego anegdotkami o wędrownych sprzedawcach pianin.

– A więc to tak… – mruknął. – No to możesz postawić swoje gacie przeciwko pryzmie śniegu, że twój znajomy miał awarię. Jestem kolejarzem i nie wierzę w podróżowanie automobilami. Mój ojciec w pionierskich czasach był kolejarzem na

liniach Texas Pacific i zawsze mówił, że gdyby ludzie mieli podróżować, dokąd by chcieli, to Bóg wszędzie położyłby tory.

– Nowy absztyfikant ciotki to pan Cornelius, proszę pana – dodał chłopiec.

Kolejarz popatrzył na niego, a potem powiedział:

– Chodź ze mną.

Wziął walizkę chłopca, na wypadek gdyby ktoś miał na nią chrapkę, choć było to raczej nieprawdopodobne, gdyż znajdowały się w niej tylko czyste podkoszulki i książka, którą ojciec chłopca dał mu kilka lat temu. Opowiadała o wyczynach sławnych *desperados* z Zachodu.

Kolejarz pchnął drzwi swojego ciasnego, zakurzonego kantorka. Stało w nim biurko z żaluzjowym zamknięciem, a na ścianach wisiały zwijające się listy przewozowe i rozkłady jazdy. Wśród nich wisiał też brzydki zegar kolejowy, odmierzający czas tak niechętnie, że chłopiec pomyślał, iż pewnie wkrótce się zatrzyma, ale zegar wcale nie zamierzał tego zrobić.

– Siadaj – powiedział kolejarz.

Przy biurku stała skrzynia z częściami zamiennymi do maszynerii szybów naftowych i chłopiec usadowił się na niej. Kolejarz zaczął

przeszukiwać szuflady i w końcu z jednej z nich wyciągnął pudełko wiekowych orzeszków ziemnych w lukrze. Poczęstował nimi swojego gościa, ale chłopiec podziękował, więc sam się do nich zabrał. Kiedy mówił, gmerał małym palcem między zębami, wydłubując klejące się okruchy.

– Widzi mi się, że twoja ciotka to pani Beatrice Mulliner, wdowa – mruknął.

– Tak – potwierdził chłopiec.

Naczelnik stacji pochylił się i przeczytał na głos tabliczkę wiszącą na jego szyi:

– „Pan Daniel Forster, siostrzeniec pani Beatrice Mulliner, Kearney Street, Edgar, stan Teksas. Zostanie odebrany”.

– Czy coś się stało? – zapytał chłopiec. – Wydarzyło się coś?

Kolejarz usiadł na obrotowym krześle.

– Nic szczególnego, panie Danielu Forster. Ale sądzę, że jesteś dość dorosły, aby wiedzieć, co tutejsi ludzi myślą o panu Corneliusie, nowym absztyfikancie twojej ciotki, i dobrze będzie, jeśli zachowasz to sobie w pamięci.

Chłopiec nagle pomyślał o swojej matce i chociaż przez cały czas słuchał rudego naczelnika stacji, poczuł nieprzyjemną kluchę w gardle. Po dwóch godzinach czekania na peronie zaczął tęsknić za mlekiem, które zawsze

dostawał na podwieczorek, i bardzo mu brakowało cichego domku z ogrodem na eleganckich przedmieściach Nowego Orleanu. Gdyby przymknął oczy, na pewno zobaczyłby niebieski obrus w kratkę, przy którym zawsze siadał i wypijał kubek mleka, zanim wybiegł na dwór pobawić się jeszcze przed pójściem spać.

– Nie myśl, że jestem złośliwy, ale chodzi o to, że sprawiasz miłe wrażenie – dodał kolejarz. – Jesteś dobrym chłopcem i zasługujesz na to, żeby wiedzieć o niektórych sprawach. Możesz mi wierzyć, Johann Cornelius to twardy człowiek, twardy jak skała, twardy jak kowadło. Jest bogaty jak diabli, ale z tego, co słyszałem, wzbogacił się bardziej dzięki oszustwom niż ciężkiej pracy, a każdego, kto staje mu na drodze, miażdży i odrzuca jak chwast. Słyszałem o nim różne opowieści i myślę, że wyświadczysz przysługę sobie i pani Mulliner, jeśli będziesz trzymał ucho przy szynach.

– Ale nic się nie stało, prawda? – spytał znowu chłopiec.

Naczelnik stacji cmoknął, pozbywając się kawałka orzeszka spomiędzy zębów.

– Nic bardzo poważnego, jednak sam musisz się o tym przekonać. Teraz jesteś ostrzeżony i nie dasz się niczym zaskoczyć. A jeśli kiedyś będziesz

miał taką potrzebę, napisz list do Jacka Beaka. To mój stary kumpel na kolei w Santa Fe. Jack już się postara, żebym go dostał.

– Nie bardzo rozumiem, przed czym pan mnie ostrzega – powiedział chłopiec, przygryzając wargę. – Obawiam się, że nie całkiem to pojmuję.

Kolejarz pochylił się i położył mu rękę na ramieniu.

– Panie Danielu Forster, jeszcze minie szmat czasu, zanim dorośniesz, a ja będę ci mógł wszystko opowiedzieć. Ale trzymaj ucho przy szynach, wtedy będziesz gotów, kiedy pociąg nadjedzie.

Niemal w tej samej chwili usłyszeli natarczywe trąbienie klaksonu. Naczelnik stacji wstał.

– To na pewno on. Jesteś gotowy?

– Trochę się boję – przyznał chłopiec.

– Nie ma takiej potrzeby – uspokoił go kolejarz i wręczył mu gwizdek. – Masz, weź go. Trzymaj go przy sobie i w razie podbramkowej sytuacji dmuchaj w niego ile sił.

Był to prawdziwy kolejarski gwizdek, metalowy, z mosiężną opaską, zawieszony na zielonym plecionym sznurku. Daniel przyjął go z pewnym wahaniem i włożył do kieszeni marynarki.

– Dziękuję panu bardzo – powiedział. – Doceniam pańską szczodrobliwość.

Naczelnik stacji żartobliwie trzepnął go w głowę.

– Idź już. I nie zapomnij o swojej walizce. A jak będzie ci ciężko na sercu, wspomnij swojego starego przyjaciela i wpadnij tu do mnie. Nazywam się K. Jones, jestem naczelnikiem stacji.

Daniel z powagą uścisnął mu rękę, wziął swoją walizkę i wyszedł na zewnątrz. Na placu stał automobil z silnikiem pracującym na jałowym biegu. Za kierownicą siedział Johann w białym szoferskim płaszczu, ukrywając oczy za małymi ciemnymi goglami. Po ostrzeżeniach Jonesa nowy absztyfikant ciotki wydał się Danielowi dziwaczny jak ogr, a to, że siedział bez słowa, podczas gdy on z trudem ładował walizkę na tylną kanapę, wcale nie dodało mu odwagi.

Wdrapał się na fotel pasażera i usadowił na nim. Naczelnik stacji stał w drzwiach kantorka. Trzymał ręce w kieszeniach, gwizdał swoją ulubioną melodię i patrzył na automobil.

– Wiesz, kim jestem?

– Tak, proszę pana – odparł cicho Daniel.

– Co powiedziałeś?

– Powiedziałem: „Tak, proszę pana”.

Johann przez chwilę mu się przyglądał.

– Skoro wiesz, kim jestem, to czemu nie uchyliłeś czapki? – dodał.

Chłopiec poczerwieniał i szybko zerwał czapkę z głowy.

– Przepraszam, proszę pana.

Johann uśmiechnął się do niego.

– Nie musisz przepraszać – odparł. – Uczono mnie uchylać czapki, gdy byłem chłopcem, i dostawałem po łbie, jeśli o tym zapominałem. Kiedy jesteś mały, ale masz dobre maniery, nie zginiesz w świecie dorosłych.

Daniel był kompletnie oszołomiony. Zanim jednak zdążył zastanowić się nad tymi słowami, Johann krzyknął: „Trzymaj się mocno!” – po czym zwolnił hamulec, włączył bieg i przy wtórze trzech strzałów z gaźnika opuścił plac przed dworcem.

Jechał bardzo szybko i automobil podskakiwał jak igielnica na maszynie do szycia na koleinach spalonych słońcem dróg Broughton. Daniel nigdy wcześniej nie podróżował takim pojazdem, więc był przerażony hałasem i straszliwym pędem. Johann pochylał się nad czteroszprychową kierownicą, jakby musiał złożyć się w scyzoryk, by nadać automobilowi odpowiednią prędkość.

– To najszybszy pojazd w okolicy! – zawołał, gdy z łoskotem okrążyli róg Main Street. – Jak ci się podoba?

Pobladły Daniel tylko wytrzeszczał na niego oczy i próbował się uśmiechnąć.

Przejechali przez centrum miasteczka, obok lodziarni, domów, sklepów i stajni, a potem skierowali się na północ. Jechali przez płaskie rolnicze tereny pod niebem koloru chemicznego ołówka. Daniel musiał mrużyć oczy, żeby nie łzawiły od piasku i kurzu unoszącego się z drogi, i cały czas trzymał chusteczkę przy twarzy.

– Nie ma to jak wsiąść do automobilu i przewietrzyć sobie głowę! – krzyknął Johann. – Żadne ponuractwo cię nie dopadnie!

Daniel nie wiedział, co na to odpowiedzieć i czy w ogóle oczekiwano od niego odpowiedzi. Niezależnie od tego, co Jones powiedział mu o nowym absztyfikancie ciotki, Johann Cornelius wydał mu się całkiem sympatyczny. To, czy naprawdę był twardy jak skała, było zupełnie inną sprawą, ale Daniel był już w takim wieku, że wiedział, iż mężczyzna może być twardy jak skała wobec swoich wspólników w interesach i jednocześnie grzeczny i miły wobec innych ludzi.

– Odnoszę wrażenie, że Teksas to bardzo dzika kraina – zauważył chłopiec. – Czy tu nadal są jacyś *desperados*?

Johann wybuchnął śmiechem.

– Tu zawsze są *desperados*, ale nie wszyscy noszą rewolwery – odparł.

Daniel spodziewał się, że powie coś jeszcze albo wyjaśni, co miał na myśli, ale wyglądało na to, iż temat został wyczerpany.

W milczeniu przejechali jeszcze kilka mil owiewanego wiatrem płaskowyżu. Wątła fioletowa smuga na horyzoncie nieśmiało sugerowała, że w oddali mogą być góry. W pewnym momencie Johann niespodziewanie sięgnął do kieszeni i podał Danielowi owinięty w pergamin pakunek.

– Kanapki z wołowiną – powiedział. – Zrobiła je dla ciebie twoja ciotka.

Chłopiec przyjął je z wdzięcznością i rozwinął pergamin.

– Ma pan ochotę, proszę pana? – spytał grzecznie.

Chociaż Johann prawie się nie odzywał i mówił raczej zagadkami, to kiedy już zdecydował się otworzyć usta, dał się lubić. Jechał na cały gaz, nigdzie się nie zatrzymując, i tryskał energią.

– Dziękuję – odparł, po czym wziął kanapkę i wpakował ją sobie do ust, nadal się nie zatrzymując. Daniel ugryzł swoją, robiąc w niej równiutki półokrąg. – To miejsce będzie dla ciebie dobre, wiesz? – mówił dalej z pełnymi ustami Johann. – Jest całkiem dzikie, a ty tego właśnie potrzebujesz. Zostaw za sobą przeszłość i rozpocznij nowe życie.

Zanim chłopiec się odezwał, przełknął ugryziony kęs – tak jak uczyła go mama. Wydało mu się dziwne, że Johann tak ostro zbeształ go za to, że nie uchylił czapki, i jednocześnie sam mówił z pełnymi ustami.

– Naczelnik stacji twierdzi, że jest pan twardy jak skała – oznajmił.

Johann odwrócił się i popatrzył na niego przez gogle.

– Tak właśnie powiedział? Słowo w słowo?

– Tak, proszę pana. „Twardy jak skała”. I dodał, że pan oszukał ludzi.

– Oszukałem ludzi? To znaczy, że co zrobiłem?

Daniel się zafrasował. Nie był pewien, czy powinien zdradzać Jonesa. Kolejarz okazał mu zaufanie. Ale z drugiej strony Johann był absztyfikantem Beatrice, prawda? I jeśli ciotka go lubiła i on sam wyczuwał, że to miły facet, co to mogło zaszkodzić? Może Jones posprzeczał się

z Johannem Corneliusem i żywił do niego urazę? Z kolejarzami nigdy nic nie wiadomo.

– Nie jestem pewien – odparł z wahaniem. – Nie wytłumaczył, o co mu chodzi.

Johann jeszcze przez chwilę mu się przyglądał, po czym znów skoncentrował się na prowadzeniu automobilu. Ostatnie promienie słońca dotknęły gogli i zamigotały w nich, jakby oczy Johanna były ognistymi lancami.

– Hm, pewnie mówi prawdę – mruknął w końcu.

Daniel ugryzł następny kęs, po czym szybko odłożył kanapkę i złapał się siedzenia. Automobil trząsł się i podskakiwał na wypalonych słońcem śladach bydlęcych kopyt.

– To ziemia twardych ludzi – powiedział Johann. – Przybyli tutaj, kiedy była tu tylko preria. Są dumni ze swojej twardości i jeśli chcesz ich pokonać, musisz być jeszcze twardszy. Postanowiłem, że dorobię się tu fortuny, Danielu, i dlatego jestem taki, jaki jestem. – Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Gdy przypłynąłem do Ameryki, nie miałem nikogo ani niczego. Byłem wtedy w gorszej sytuacji niż ty teraz, bo nie miałem nawet ciotki ani znajomych. Kiedy jesteś samotny, musisz ufać tylko sobie i nie wolno ci nikomu pokazywać, że jesteś zraniony,

zawiedziony czy zły… albo nawet szczęśliwy, jeśli w ogóle czasem zdarza ci się bywać szczęśliwym. Jeżeli choć raz pokażesz ludziom, co czujesz, wykorzystają twoją słabość przeciwko tobie i zanim się obejrzysz, znów wylądujesz na dnie.

Daniel miał wrażenie, że rozumie, o czym Johann mówi. Chętnie posłuchałby więcej, ale wyglądało na to, że Johann nie ma już nic do dodania, więc przez kilka następnych mil siedzieli obok siebie w milczeniu.

– Czy ciotka Beatrice ma się dobrze, proszę pana? – spytał w końcu chłopiec.

Johann popatrzył na niego. Myślał o Carinie.

– Smutno jej z powodu śmierci twojej matki, ale poza tym ma się dobrze – odparł.

– Czy jest pańskim dobrym przyjacielem? Bardzo dobrym przyjacielem?

Johann wyjął chusteczkę i wysmarkał kurz.

– Prawdę mówiąc, mieliśmy się pobrać – powiedział, pociągając nosem.

– Mieliście? To znaczy, że się nie pobierzecie?

– Nie jestem tego taki pewny. Do tej pory nie mogliśmy, bo opłakiwała twojego wuja, Lidmore’a. A teraz opłakuje twoją matkę, więc znowu trzeba będzie wszystko przełożyć. Pewnie kiedyś się pobierzemy. Twoja ciotka to bardzo atrakcyjna i uparta dama.

– Nie znam zbyt dobrze ciotki Beatrice, proszę pana. Przyjechała do nas tylko raz, kiedy byłem małym dzieckiem.

Johann pokiwał głową.

– Teraz ją poznasz. To prawdziwa dama, zapewniam cię.

– Wygląda na to, że pan naprawdę ją lubi – stwierdził z powagą Daniel.

Tym razem Johann się nie odwrócił. Siedział zgięty nad kierownicą, wbijając wzrok w odległy, okrywany coraz szczelniejszym mrokiem horyzont.

– Chyba masz rację – mruknął.

Zanim dojechali do Edgar, zapadła niemal całkowita ciemność. Miasteczko wydało się Danielowi bardzo nędzne i podupadłe, przywykł do pięknych ogrodów i eleganckich bram z kutego żelaza w Nowym Orleanie. Na rogu ulicy stało kilku obdartych włóczęgów. Kiedy zobaczyli Johanna w białym płaszczu i goglach, odwrócili się i gapili na niego, dopóki nie zniknął im z oczu. Daniel obejrzał się na nich i z zaskoczeniem stwierdził, że wcale nie byli przyjaźnie nastawieni. Pomyślał, że może Johann był wobec nich twardy jak skała i czuli do niego urazę.

Skręcili na rynku i powoli jechali Kearney Street.

Daniel patrzył na rząd zniszczonych, obitych szalówką domków i chciało mu się płakać.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Johann. – To ten dom po lewej ze światłem na werandzie – dodał i jeszcze bardziej zwolnił.

Kiedy podjechali bliżej i zatrzymali się, zobaczyli stojący z boku domu automobil. Był to biały daimler-benz, bardzo zakurzony, jakby przybył z daleka. Johann wysiadł z new orleansa, zdjął gogle i popatrzył na biały automobil twardym wzrokiem.

Po chwili otworzyły się frontowe drzwi domu i wyszły z niego Beatrice i pani Russell. Beatrice zawołała:

– Danielu, mój biedny chłopcze! – i zeszła z werandy, wyciągając do niego ramiona.

Miała na sobie czarną wieczorową suknię z muślinu, ozdobioną szerokimi spiczastymi epoletami. Ciemne włosy jak zwykle upięła do góry, a gdy Daniel znalazł się przed werandą i poczuł zapach jej perfum, bardzo podobnych do tych, których używała jego matka, rozpłakał się i kurczowo objął ją w pasie.

Johann stał nieco dalej, trzymając tanią walizkę Daniela i wciąż przyglądając się daimlerowi-benzowi.

– Ma pan gościa, panie Cornelius! – zawołała pani Russell. – Próbował poczekać na pana w pańskim domu, ale ponieważ długo pana nie było, jeden z lokatorów skierował go tutaj.

Johann podszedł do werandy, strzepując kurz z płaszcza. Beatrice uśmiechnęła się, uniosła głowę i lekko pocałowała go w policzek.

– To pan Lennox z Amarero – wyjaśniła. – Nie wiem, czego chce. Powiedział, że musi z tobą bezzwłocznie pomówić.

– Tak – odparł Johann.

Beatrice zmarszczyła brwi, gdy ją mijał, wchodząc do domu. Postawił walizkę Daniela w korytarzu i ruszył do salonu.

Kyle Lennox siedział na kanapie, trzymając w dłoni kieliszek sherry. Był spocony i zaczerwieniony. Najwyraźniej sporo już wypił. Johann zatrzymał się i stał przez chwilę w milczeniu, a Lennox przyglądał mu się z niepewną miną.

– Czego chcesz? – zapytał Johann, zrzucając płaszcz.

Kyle Lennox uśmiechnął się szeroko i rozsiadł wygodniej. Był jeszcze bardziej rozczochrany niż podczas ich poprzedniego spotkania. Miał na sobie mocno pobrudzoną jedzeniem pikowaną

kamizelkę z zielonego jedwabiu, a wypomadowane włosy kleiły mu się do czaszki.

– Wycieczka z Amarero to ciężka jazda, panie Cornelius – powiedział. – Masa kurzu, masa much. To jedna z tych podróży, które odbywasz tylko wtedy, kiedy musisz.

– Naprawdę? – mruknął z rezerwą Johann.

Lennox uniósł kieliszek, wychylił go jednym haustem, po czym otarł usta rękawem.

– Miłe winko – stwierdził. – Wdówki zawsze mają miłe winko. Mówię to z własnego doświadczenia.

Johann nie ruszał się z miejsca, wbijając swoje bladoniebieskie oczy w świecącą potem twarz siedzącego na kanapie mężczyzny.

Lennox pociągnął nosem.

– Chyba coś się popsuło – powiedział, splatając palce z żałobą za paznokciami i kręcąc kciukami młynka. – Wie pan, co się popsuło?

Johann niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Kiedy mówię, że się popsuło, to tak naprawdę mówię: zgubiło – dodał Lennox, wyjmując cygaro. – Wygląda na to, że się zgubiło. Nie krowa ani dziewczyna, ale zapłata. Zapłata w wysokości ośmiu procent, która, jak to zostało między nami ustalone, była regularnie składana w moim banku. Aż do teraz.

Johann uniósł brwi.

– I przyjechałeś tu z Amarero, żeby mi to powiedzieć?

Lennox pociągnął się za ucho.

– W normalnych okolicznościach nie jechałbym, w żadnym wypadku. Ale do moich uszu dotarły plotki…

– Zawsze mówię, że ludzie, którzy słuchają plotek, dostają to, na co zasłużyli – stwierdził zimno Johann.

Nafciarz wzruszył ramionami.

– Może ma pan rację. Ale może zasługuję na to, żeby się dowiedzieć, żeś pan załatwił mój kontrakt i wykiwał mnie na naszej umowie, zanim stało się to plotką.

Do salonu weszła Beatrice.

– Może napije się pan jeszcze, panie Lennox? – zaproponowała. – A ty, Johannie?

– Czy Daniel dobrze się czuje? – zapytał Johann.

– Och, myślę, że tak. Jest tylko bardzo zmęczony i wyczerpany nerwowo. Ciotka Elvira szykuje mu w kuchni jajka na szynce. Biedne dziecko. On i Sally byli ze sobą bardzo związani. Płakać mi się chce, kiedy o nim pomyślę.

– Pan Lennox nie będzie nic więcej pił, bo właśnie wychodzi – oświadczył Johann.

Lennox uniósł swój pusty kieliszek.

– Przeciwnie, chętnie sobie jeszcze golnę. Nie zamierzałem od razu wracać.

– To, co zamierzałeś, to jedno, a co zrobisz, to drugie.

Beatrice z niepokojem popatrzyła na Johanna.

– Czy coś się wydarzyło? – spytała. – Pokłóciliście się?

Johann pokręcił głową.

– Pan Lennox wyjeżdża, to wszystko. Zaraz.

Lennox uśmiechnął się krzywo, ale nie ruszył się z kanapy.

– Mamy jeszcze do ustalenia sprawę ośmiu procent. Nie wyjadę, dopóki jej nie załatwię. Muszę mieć pański podpis na zobowiązaniu, że nigdy więcej nie zaniedba pan przesłania czeku. Nie wiem, co pan zrobił z moim kontraktem, panie Cornelius, ale w Stanie Samotnej Gwiazdy obowiązuje prawo i to prawo powiada, że człowiek ma otrzymać zwrot tego, co mu się należy.

Johann nic na to nie odpowiedział. Beatrice nigdy nie widziała, by patrzył na kogoś tak groźnie, i niemal sama się go bała. Jednak najwyraźniej nie robiło to żadnego wrażenia na Kyle’u Lennoxie. Nadal siedział na kanapie, dłubiąc w zębach i przyglądając się Johannowi

jak ropucha, która patrzy na pumę i mówi: „Możesz mnie zeżreć, ale utknę ci w gardle”.

– Osiem procent to wcale nie tak dużo – wtrąciła pojednawczo Beatrice.

Lennox obrzucił ją szyderczym spojrzeniem.

– Osiem procent z miliona dolarów to osiemdziesiąt tysięcy – warknął. – A jeśli wam się wydaje, że osiemdziesiąt tysięcy dolarów to wcale nie tak dużo, pewnie jesteście mi winni znacznie więcej.

Beatrice odwróciła się do Johanna, ale on nie odrywał wzroku od Lennoxa, chociaż ujął ją za przegub i ścisnął uspokajająco.

– Pan Lennox ma rację – powiedział cicho. – Ale bez względu na to, czy się do tych osiemdziesięciu tysięcy dolarów przyznajemy, czy nie, to i tak nie dostanie żadnych pieniędzy.

Lennox wsadził cygaro do ust, wyjął zapałkę i zapalił ją o podeszwę buta. Kiedy przypalał cygaro, przyglądał się Johannowi przez kłęby sinego dymu.

Johann znów miał dziwne wrażenie, że to los decyduje za nich, co mają zrobić. Wiedział, że to, co się wkrótce wydarzy, jest równie nieuniknione jak kupno Cariny, i będzie to krytyczny moment jego kariery.

– Zapomniało się, co? – wycedził Lennox. – Zapomniało się, za co zapłacono te osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

– Sugeruję, żebyś stąd wyszedł, zanim dopuścisz się jeszcze większej obrazy tej damy.

– Obrazy? Pan mi mówisz o obrazie? A czy ta dama wie, jaką przysługę panu wyświadczyłem za te pieniądze?

Johann czuł, że jego serce bije tak mocno, że zaczyna mu brakować powietrza. Kochał Beatrice bardziej niż kiedykolwiek, ale mógł zrobić tylko jedno – nie patrzeć na dywan, na którym posiadł ją po raz pierwszy i jedyny. Ściskał jej przegub z taką siłą, że sprawiał jej ból, a kiedy w końcu wyrwała się z jego uścisku, ogarnęło go potworne, przerażające przeczucie, że dotykał jej po raz ostatni.

– Przysługę? Jaką przysługę? – spytała Lennoxa. – O czym pan mówi? Na Boga, jakiej przysługi mógłby oczekiwać od pana mój przyjaciel?

Lennox wstał. Dopiero wtedy uświadomili sobie, jak bardzo jest pijany. Pochylił się w stronę Beatrice i upierścienionymi palcami zaczesał do tyłu tłuste włosy.

– Proszę spytać o to pana Corneliusa. Jest narzeczonym szanownej pani, chyba że plotka

kłamie. A narzeczony z pewnością nie powinien mieć tajemnic przed damą swego serca.

Beatrice popatrzyła na Johanna.

– Co to znaczy? – zapytała. – Co to za przysługa?

– To była drobna prywatna sprawa – odparł Johann. – Pan Lennox po zastanowieniu się postanowił wstrzymać się od mówienia o niej.

– Johannie, muszę to wiedzieć – upierała się Beatrice. – Nie powinniśmy niczego przed sobą ukrywać, skoro zamierzamy…

– To sprawa pozbawiona znaczenia – odparł Johann. – Teraz, Lennox, możesz już wyjść. A jak mówię „teraz”, to znaczy teraz.

Lennox roześmiał się i zakaszlał chrapliwie.

– O nie… Nie pozbędzie się mnie pan tak łatwo. Albo dostanę podpisane zobowiązanie, albo nie ruszę się stąd nawet na krok.

– Jesteś teraz moim pracownikiem, nie zapominaj o tym. I nie dostaniesz nawet złamanego centa. Wynocha, zanim cię wyrzucę.

Lennox sięgnął po karafkę z sherry i nalał sobie następny kieliszek. Ręce tak mu się trzęsły, że Beatrice bała się, iż rozbije oba naczynia. Uniósł kieliszek, pogardliwe wznosząc toast na cześć Johanna, po czym opróżnił go jednym łykiem.

– Nie zostawia mi pan dużego wyboru, panie Cornelius. A właściwie żadnego wyboru. Próbowałem trzymać się reguł, próbowałem grać fair, ale skoro pan nie dotrzymujesz swojej części umowy, ja również nie muszę dotrzymywać swojej.

– To jakiś absurd! – krzyknęła Beatrice. – Na czym polegała ta przysługa?

Lennox odkaszlnął, pociągnął nosem i wyszczerzył w uśmiechu wszystkie zęby.

– Skoro nie zapłacono mi za trzymanie języka za zębami, chyba może się pani tego dowiedzieć. Ta przysługa, jeśli można to nazwać przysługą…

Johann głęboko zaczerpnął powietrza.

– Lennox! – syknął ostrzegawczo.

Ale Kyle Lennox był zbyt pijany whisky, sherry i mrożącym krew w żyłach poczuciem, że drażni najbogatszego człowieka w powiecie Broughton.

– Tą przysługą była dziewczyna – oświadczył, uśmiechając się krzywo.

Beatrice zmarszczyła brwi i zamrugała.

– Młoda Mulatka z Piedras Negras – mówił dalej Lennox. – Przysłano mi ją do roboty do mojego hotelu, do Excelsioru. Jest zwykłą prostytutką. To tylko materac, jeśli mnie pani

rozumie, służący do zaspokojenia najniższych instynktów nafciarzy z Amarero.

Zapadło milczenie, ciężkie jak zakurzone welurowe zasłony.

– Podobno miała trzynaście lat, kiedy do mnie przyjechała, ale Meksykańce znają się na liczeniu jak kura na pieprzu – dodał Lennox. – Widziałem ją na własne oczy i miała wtedy najwyżej jedenaście czy dwanaście lat.

Zerknął na Johanna i posłał mu złośliwy uśmieszek, ale widać było, że się trochę boi. Twarz Johanna była sztywna od hamowanej wściekłości i Lennox był pewien, że zaraz oberwie.

Nagle jednak jakimś dziwnym sposobem atmosfera w pokoju się zmieniła. Kiedy obaj mężczyźni spojrzeli w stronę drzwi, zobaczyli stojącego w nich Daniela. Był blady i miał na sobie tylko koszulę i krótkie spodenki.

Popatrzył kolejno na wszystkich obecnych w salonie, po czym oznajmił cienkim, cichym głosikiem:

– Ciotka Elvira przysyła mnie, żebym powiedział „dobranoc”.

– Dobranoc, Danielu – odparła szybko Beatrice. – Zaraz przyjdę na górę, żeby utulić cię do snu. Tylko muszę…

Lennox pijackim gestem uniósł palec.

– Miała tylko jedenaście albo dwanaście lat… – powtórzył bełkotliwie. – Miała tylko jedenaście albo dwanaście…

– Lennox! – warknął Johann.

Wyciągnął ręce, chcąc złapać go za klapy, jednak nafciarz był tak pijany, że upadł bokiem na kanapę, po czym ześlizgnął się z niej na podłogę.

Beatrice opiekuńczym gestem przyciągnęła Daniela do siebie i krzyknęła:

– Johann! Nie!

Ale Johann nie zdołał dosięgnąć Lennoxa, który chwiejnie dźwignął się na kolana i wrzasnął:

– Kupił ją! Za osiem procent swojej ropy! Taka to była przysługa! Kupił tę dziewczynę i umieścił tu, w Edgar! Dał jej dom i eleganckie suknie! I używa sobie z nią noc w noc, tak jak do tego przywykła!

Johann zawarczał jak wściekły pies, zrobił krok do przodu, chwycił Lennoxa za kamizelkę i cisnął nim o kominek, a potem złapał go za ramię i uderzył tak mocno w usta, że kiedy oderwał pięść, trysnęła z nich krew i poleciały zęby. Lennox wycharczał: „Grrrhg…” i upadł na wznak, jednak Johann był tak wściekły, że wcale

nie zamierzał na tym poprzestać. Poderwał tamtego do góry i znów uderzył go w twarz, łamiąc mu szczękę. Potem cisnął Lennoxa na przeszkloną szafkę i wśród brzęku rozbijanych filiżanek zaczął kopać go w krocze.

– Nie! Nie! Johann! Nie! – krzyczała Beatrice.

Przerażony Daniel łkał rozpaczliwie.

Ale furia, poczucie winy i żal bez reszty zawładnęły Johannem. Nic już do niego nie docierało, nic nie mogło go powstrzymać. Stał nad Lennoxem, który skulił się przed fotelem, uniósł nogę w bucie z cielęcej skóry i całym ciężarem ciała nastąpił tamtemu na nos. Rozległ się trzask przypominający pękanie nogi kurczaka i zwróconą ku górze twarz Lennoxa pokryła ciemna pajęczyna strumyków krwi.

Johann się odwrócił. Beatrice stała kilka kroków dalej, ze zgrozą unosząc ręce, a Daniel chował się w jej suknię.

– Widzisz tego człowieka? – zapytał Johann. – Widzisz tę mierzwę u moich stóp?

– Mój Boże, na pewno go zabiłeś… – wyszeptała Beatrice. – Och, mój Boże…

– Zabiłem go? – syknął. – A nawet jeśli tak, to co?

– Powiedział… powiedział, że kupiłeś tę dziewczynę…

– Tak!

– Johannie…

– Chcesz wiedzieć, czy to prawda? O to ci chodzi?

– Johannie, musisz się uspokoić. Johannie, proszę…

– Chcesz wiedzieć, czy to prawda? Chcesz wiedzieć, czy cię oszukałem? Nie wierzysz, że jestem człowiekiem honoru? O to ci chodzi?

– Johannie, nie!

Odwrócił się, nadal ciężko dysząc. Przez chwilę patrzył na zasłaną szklanymi odłamkami podłogę, a potem spojrzał na swoje spuchnięte kłykcie.

– To prawda – powiedział cicho. – Ta dziewczyna nazywa się Carina i kupiłem ją od Lennoxa za osiem procent udziału w ropie wydobywanej przy Sweetwater Trail. Wcale nie jest córką meksykańskiego robotnika, jak ci mówiłem. Wymyśliłem tę historyjkę tylko po to, żebyś łatwiej pogodziła się z jej obecnością.

Zapadła paraliżująca cisza.

– I używasz sobie z nią, jak powiedział pan Lennox? – spytała po długiej chwili Beatrice. – To dlatego ją kupiłeś? Żeby sobie z nią używać?

Lennox zagulgotał.

– Kupiłem ją, bo potrzebowałem uczucia – odparł Johann. – A także dlatego, że jest bardzo piękna i nie mogłem znieść myśli, że spędzi całe życie w zapchlonym hotelu, noc po nocy napastowana przez robotników z pól naftowych, starzejąc się przedwcześnie. Kupiłem ją, bo… – Urwał, szukając słów, którymi mógłby opisać Beatrice smutne, mistyczne wzruszenia, jakich doznawał dzięki Carinie. Ale potrafił tylko powiedzieć: – Kupiłem ją, bo chciałem ją mieć jak rzecz.

– Więc jest twoją kochanką?

Pokręcił głową.

– Nie jest twoją kochanką?

Popatrzył na nią.

– Nigdy jej nie dotknąłem – odparł.

Beatrice miała twarz białą jak alabastrowa rzeźba.

– Mój Boże… – szepnęła, uniosła ramię do czoła i w szeleście czarnego jedwabiu upadła na brzydki dywan.

Wstrząśnięty Daniel runął na kolana i zaczął klepać ciotkę po policzkach, na próżno usiłując ją ocucić.

Johann kilka razy odetchnął głęboko, podszedł do nich i łagodnie odsunął chłopca na bok.

– Nie żyje – szlochał Daniel. – Ona nie żyje!

– Żyje – uspokoił go Johann. – Po prostu nie mogła tego dłużej wytrzymać i zemdlała.

Daniel nieoczekiwanie wyjął kolejowy gwizdek i zagwizdał przeraźliwie. Johann popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Po co to było? – zapytał.

– Jest podbramkowa sytuacja – oświadczył Daniel. – Naczelnik stacji powiedział mi, żebym gwizdał w razie podbramkowej sytuacji.

Johann przeniósł spojrzenie na nieprzytomną Beatrice.

– Nie sądzę, aby jakikolwiek gwizdek tu pomógł – powiedział tak cicho, że Daniel ledwo go usłyszał.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się pani Russell. Miała papiloty we włosach. Ogarnęła spojrzeniem swój zrujnowany salon, Beatrice i Lennoxa, po czym wyszeptała:

– O mój Boże… Co się stało?

Johann wstał.

– Nic takiego. Małe trzęsienie ziemi spowodowałoby znacznie większe szkody. Ale lepiej niech pani wezwie lekarza.

♦ ♦ ♦

Poczekał na lekarza i stał bezużytecznie obok, gdy ten badał nos Lennoxa i wreszcie oznajmił, że jest złamany. Pani Russell biegała jak fryga w górę i w dół schodów, przynosząc gorące kompresy i sole trzeźwiące dla Beatrice. W końcu o dziesiątej wieczorem dała mu do zrozumienia, iż chyba nadużył gościnności, więc poszukał swojego kapelusza i wyszedł.

Zajechał pod domek Cariny i zatrzymał się. Wszystkie światła były zgaszone, więc pomyślał, że dziewczyna pewnie poszła już spać. Rozpaczliwie pragnął z kimś porozmawiać, ale nie chciał jej budzić. Siedział w zgaszonym samochodzie w chłodną teksańską noc i słuchał preriowego wiatru. Silnik automobilu cykał i potrzaskiwał, oddając ciepło.

Wiedział, że wyrządził Beatrice krzywdę. To był cud, że tak długo niczego się nie domyśliła. Nikt w Edgar nie miał odwagi powiedzieć nic na ten temat, ale Johann dobrze wiedział, że Beatrice nie zniesie litości i szyderstwa, które będzie wyczuwać za każdym uśmiechem.

Nie płakał. Obiecał sobie wcześniej, że już nigdy więcej nie będzie płakał. Czuł się jednak tak zdruzgotany i poniżony, że nie mógł powstrzymać zdławionego szlochu, i każdy, kto przechodziłby tamtędy w tym momencie,

domyśliłby się, że Johann Cornelius został głęboko zraniony.

♦ ♦ ♦

Następnego popołudnia, w piątek tuż po lunchu, wybrał się do pani Russell. Włożył zwykły niebieski garnitur i niebieski kapelusz. Niósł obwiązane żółtą wstążeczką pudełko kandyzowanych owoców. Był trochę zaskoczony, nie widząc dailmera-benza Lennoxa przed domem, ale uznał, że jego ropuchowaty adwersarz odjechał do Amarero i swojej wyblakłej żony.

Pani Russell nie była zachwycona jego widokiem. Zagrodziła mu drogę i zapytała:

– Tak?

Johann odchrząknął.

– Jeśli to możliwe, chciałbym się spotkać z Beatrice. Wydaje mi się, że powinienem ją przeprosić. I panią również.

– Nie ma jej.

– Na pewno? To dla mnie bardzo ważne. Ubiegłego wieczoru zaszło nieporozumienie, które chciałbym wyjaśnić.

– Może tak, ale jej nie ma.

Johann wyciągnął rękę, podając pani Russell słodycze.

– W takim razie może mogłaby pani przekazać jej to pudełko?

Gospodyni nawet nie drgnęła.

– Proszę – powiedział Johann.

– To na nic – odparła pani Russell. – Wyjechała na dobre.

– Na dobre? Co pani chce przez to powiedzieć?

– Wyjechała dziś rano z panem Lennoxem. Kazała panu powiedzieć, że nie chce tu zostawać na pośmiewisko. Zamierza spędzić jakiś czas u państwa Lennoxów w Amarero, a potem zabierze małego Daniela nad zatokę i nigdy więcej nie zobaczy pan ich na oczy.

Johann popatrzył na nią ze zgrozą.

– Wyjechała razem z Lennoxem? – powtórzył.

– Właśnie. Pan Lennox zaofiarował się, że zaopiekuje się nią i Danielem, a potem zawiezie ich do domu.

– Kiedy wyjechali?

– Godzinę temu. Nie złapie ich pan.

Johann stał nieruchomo na werandzie. Jak Beatrice mogła go porzucić, nie pozostawiając listu czy wiadomości? Jak mogła go zostawić dla Lennoxa? Popatrzył ponurym wzrokiem na

pudełko z kandyzowanymi owocami. Nawet nie dała mu czasu na wyjaśnienie.

– Wobec tego może zapłacę pani za połamaną szafkę – powiedział.

Pani Russell pokręciła głową.

– Nie musi się pan trudzić.

– Przecież narobiłem szkód na jakieś dziesięć dolarów.

– Owszem, ale dziś rano znalazłam dwadzieścia dolarów pod kanapą i od razu się domyśliłam, do kogo te pieniądze należą i w jaki sposób się tam znalazły. Tak więc wyszłam na swoje.

Johann przygryzł wargę. Za jego plecami był jasny, przejrzysty dzień, a niebo było tak niebieskie, jak tylko można było sobie wymarzyć. Odwrócił się i bez słowa wrócił do swojego automobilu.

♦ ♦ ♦

Piątkowe popołudnie nie było dobrą porą na podróż do Amarero. Tego dnia Amarero Oil Company i Cornelius Oil Company płaciły pracownikom, tak więc wszyscy ci, którzy nie poszli do baru Cudowny Łoś, aby patrzeć na swoje pijane gęby znikające w mrocznych,

otaczających bar lustrach niczym niedoświetlone fotografie dawno zapomnianych postaci, udawali się do Excelsioru. Piątkowy wieczór był porą awantur, bójek, pożarów i różnych dziwnych wypadków, które przytrafiały się wielu nafciarzom. Kiedyś pewien urodzony w Oklahomie poszukiwacz wyskoczył z piętra składu towarów żelaznych Red Star Ironmongery, aby przywitać się ze starym kumplem z pól naftowych, który właśnie przechodził chodnikiem, nadział się na stojące na dole trzy mopy i wyzionął ducha na miejscu.

Ale Beatrice tak bardzo się zawzięła, że tylko ci, którzy sami doznali wielkiego upokorzenia, mogliby to zrozumieć. Siłą wsadziła Kyle'a Lennoxa za kierownicę, nie przejmując się jego zabandażowanym nosem, i przez cały dzień z Danielem przy boku siedziała wyprostowana na tylnym siedzeniu daimlera-benza, gdy pokonywali niekończące się mile pokrytej kurzem prerii między Edgar i Amarero.

Był to dzień upału, much i kurzu. Zjedli usmażone przez panią Russell kurczęta i opróżnili kamionkową butelkę z letnią lemoniadą. Lennox miał w podróżnym worku dwie ćwiartki burbona i w miarę jak tabletki przeciwbólowe przestawały działać, coraz

częściej zaglądał najpierw do jednej, a potem do drugiej. Zanim w oddali pojawiło się Amarero pod rozdętym, czerwonym słońcem, spuchniętym od tygodniowego świecenia, Lennox się rozśpiewał. Biały daimler-benz podrygiwał i skakał z jednej strony drogi na drugą, a jego kierowca zawodził wysokim, nosowym głosem *I'm Wearing My Heart Away for You*.

Beatrice potrząsała nim, próbując doprowadzić go do jakiegoś przyzwoitego stanu, ale gdy słońce opadło za dalekie niskie wzgórza, ledwie potrafił utrzymać nawet ślimacze tempo i silnik automobilu co chwila gasł. W końcu pół mili przed rozpadającymi się szopami i stajniami, które otaczały Amarero, auto skręciło w płytki wąwóz i zatrzymało się na powalonym pniu wielkiego jałowca, a Lennox padł twarzą na kierownicę i zaczął głośno chrapać. Z jego otwartych ust wypływała długa strużka krwistej śliny.

Beatrice wstała. Wiatr targał koronkami jej kapelusza.

– Musimy go tu zostawić – oświadczyła. – Żal mi biedaka, ale sam doprowadził się do tego stanu. Zawsze możemy kogoś po niego wysłać.

– Dokąd pójdziemy? – spytał Daniel.

Beatrice wysiadła z automobilu, unosząc suknię, aby nie zahaczyć nią o dźwignię ręcznego hamulca.

– Podaj walizki – poleciła Danielowi. – Przejdziemy do stacji kolejowej i zapytamy o jakiś przyzwoity nocleg.

Wieczór zamieniał się już w noc, kiedy w końcu ruszyli zakurzonym szlakiem do Amarero. Gdy Beatrice się odwróciła, ledwie mogła rozróżnić biały kształt pojazdu Lennoxa, jednak bez trudu dostrzegła, że jego właściciel ani drgnął.

Przed sobą w żałobnej czerni nocy na prerii widzieli światła Excelsioru i baru, słyszeli krzyki, wrzaski i huk rewolwerowych wystrzałów. Była to zwyczajna piątkowa noc w Amarero, ale Beatrice poczuła, że ogarnia ją strach, bo nawet w zwyczajną piątkową noc w Amarero często dochodziło do burd. Mocniej ścisnęła rękę Daniela i usiłowała nie dopuszczać do świadomości lęku, choć z oddalonych indiańskich szałasów dobiegały przeraźliwe krzyki jakiejś kobiety.

– Możemy iść trochę wolniej? – spytał chłopiec. – Bolą mnie już nogi.

Beatrice na chwilę zwolniła, ale wkrótce niepokój wziął górę i znowu przyspieszyła.

Chcąc dotrzeć do Main Street, musieli pokonać mroczny labirynt uliczek między starymi szopami i zniszczonymi stajniami. Koślawe okna i drzwi trzeszczały pod naporem wiatru, uderzając o ściany, a pobielałe od słońca płoty sterczały w ciemnościach jak kości martwych zwierząt. Beatrice tak mocno ścisnęła rękę Daniela, że pisnął z bólu, i szczelniej otuliła się szalem, jakby mogło ją to uchronić przed zagrożeniami, które czyhały w nocy.

Czuła potem – niezależnie od tego, jakie to „potem” było – że sama ściągnęła na siebie nieszczęście, ulegając panicznemu przerażeniu. Zastanawiała się, czy jej strach wydzielał zapach, który wyczuli tamci mężczyźni, albo może świecił w ciemności. Ale prawdopodobnie skazała się na to po prostu dlatego, że uciekła przed Johannem Corneliusem.

Zapamiętała z tamtych chwil bardzo niewiele. Obok starych stajni sterczała banda pijanych mężczyzn w kraciastych koszulach i roboczych spodniach, popychając się nawzajem, rechocząc głośno i puszczając w krąg butelkę. Widziała błyski szkła i słyszała chlupot, gdy podnosili flaszkę do okolonych zarostem ust. Pamiętała, że postanowiła ich minąć, nie patrząc na nich i nie odzywając się. Było ich dziesięciu czy jedenastu

i sprawiali wrażenie niezłych zbirów. Jeden z nich zawodził wrzaskliwie prostacką śpiewkę o wierceniu nafty. W powietrzu rozchodził się smród taniego tytoniu fajkowego.

Kiedy Beatrice i Daniel mijali ich szybko, któryś z robotników zawołał:

– Hola!

Beatrice jeszcze bardziej przyspieszyła, ciągnąc Daniela za sobą.

– Hola, paniusiu! – wrzasnął ponownie ten sam mężczyzna.

Beatrice zadarła czarną jedwabną suknię i ile sił w nogach popędziła zakurzoną drogą. Daniel biegł obok niej, ciężko dysząc.

Myślała, że uda im się uciec, ale mimo że mężczyźni byli pijani, okazali się szybsi. Słyszała, że biegną za nią, i niemal w tej samej chwili, gdy dobiegała do romboidalnej plamy światła padającej z okien baru na ulicę, została złapana za suknię i upadła na drogę, przeraźliwie krzycząc i tłukąc pięściami. W oknach baru pojawiły się ciekawe czerwone gęby, jednak nikt nie próbował wyjść, by jej pomóc. „Zostawcie mnie, na miłość boską!” – krzyczała, ale dwaj spoceni, cuchnący alkoholem robotnicy poderwali ją z ziemi i zanieśli z powrotem w ciemność. Bezradny Daniel, popłakując

i pojękując, biegał wokół nich i kopał ich po nogach. W końcu jeden z robotników, czarnobrody typ w wyliniałej czapce z bobra, odwrócił się i jak pająk ruszył na ugiętych nogach w jego stronę.

– Puśćcie ją! – szlochał chłopiec. – Puśćcie ją! Nie jest wasza.

Mężczyzna potrząsnął nim mocno i warknął:

– Nigdy nie mówiliśmy, że jest nasza! Chcemy tylko ją sobie na chwilkę wypożyczyć!

Daniel kopnął go w goleń spiczastym czubkiem buta, a robotnik tak mocno zdzielił go kułakiem, że chłopiec fiknął kozła w tył, rozrywając sobie spodenki na kawałku drutu kolczastego.

Śmiejąc się i śpiewając, banda pijanych mężczyzn zaniosła swoją zdobycz w cienie za zniszczonymi stajniami. Beatrice piszczała przeraźliwie, błagając o litość w imię swoich patronów, świętej Agnieszki i świętego Bartłomieja, ale robotnicy tylko jeszcze głośniej rechotali.

W końcu Daniel jakoś się pozbierał i rozmazując łzy na policzkach, pokuśtykał do szopy, do której zabrano jego ciotkę. Chociaż mężczyźni zachowywali się bardzo głośno, starał się iść jak najciszej. Obszedł stajnię i znalazł się

w wąskim, zarośniętym chwastami przejściu. Coś gwałtownie poruszyło się w cieniach – szczur preriowy albo obudzona jaszczurka – i chłopca oblał zimny pot. Ale przez szpary w wyschniętych deskach widział promień latarki Ever Ready, słyszał rechoty mężczyzn oraz coraz rozpaczliwsze błagania Beatrice o litość. Ignorując strach przed niewidzialnymi nocnymi stworami, podszedł do chwiejnej ściany starej stajni i przyłożył oko do dziury po sęku.

Scena, którą zobaczył w słabym blasku elektrycznej latarki, była tak niezwykła, że znieruchomiał. Ale to przede wszystkim kolory miał zapamiętać przez wiele następnych lat, jakby ujrzał obraz Rembrandta, lekcję anatomii namalowaną podczas mrocznej nocy w teksańskim naftowym miasteczku z początków dwudziestego wieku. Nie rozumiał tego, co widział, ponieważ był niewinnym chłopcem i więcej rozumiał z lekcji katechizmu niż z zachowań królików, gdy drżały im ogony. Mimo to był niejasno świadomy ponurego zbezczeszczenia, które odbywało się przed jego oczami, i stał nieruchomo jak głaz, a z oczu ciurkiem ciekły mu łzy.

Widział, jak uniesiono nogi ciotki w lśniących pończochach z szarego jedwabiu i rozłożono je

szeroko. Widział ciemny zarys jej włosów łonowych i jakby lśniącą szkarłatną ranę między nimi. Czarną suknię zebrano na brzuchu leżącej, więc nie widział jej twarzy. Robotnicy przywiązali ją postrzępioną liną do starego kuchennego stołu i zebrali się wokół niej. Na ich brodatych, spoconych gębach malował się wyraz dziwnie łagodnej ciekawości. Butelka krążyła z rąk do rąk, a oni rozpinali ciężkie pasy i opuszczali spodnie do kolan. Potem stawali między rozchylonymi udami Beatrice i Daniel przez dziurę po sęku widział ich wielkie owłosione pośladki podrygujące w przód i w tył. Przypominało mu to drewnianą małpkę, którą dała mu matka, kiedy był małym chłopcem – ona też w podobny sposób podskakiwała na sznurku. Beatrice początkowo modliła się cicho, ale kiedy czwarty albo piąty robotnik stanął między jej nogami, jęczała już tylko od czasu do czasu. Latarka była skierowana na jej czerwoną, lśniącą ranę, odsłanianą między kolejnymi podrygami, i Daniel zobaczył, że pokrywa ją galaretowata biel.

Trwało to kilka godzin i mężczyźni zachowywali się, jakby znajdowali się w piwnym namiocie wesołego miasteczka. Otwierali kolejne butelki whisky i śpiewali; jeden z nich wyjął

drumlę i zagrał kilka nut popularnej melodii. Od czasu do czasu któryś z nich wracał do Beatrice i znów stawał między jej nogami, chociaż w miarę upływu czasu ich podrygiwania stawały się coraz mniej energiczne i czasem rezygnowali. Daniel kilka razy usłyszał, jak Beatrice mówi:

– Błagam, jestem wdową…

Ale oni tylko się śmiali i odpowiadali:

– To doskonale, szanowna pani. Małżonek nie będzie miał nic przeciwko, prawda?

Przed północą byli już tak pijani, że dwaj czy trzej z nich stracili przytomność i padli na ziemię. Jeden zaczął gwałtownie wymiotować, więc pozostali zdecydowali się wrócić do Excelsioru, aby zabawić się z tamtejszymi dziewczynami.

Daniel słyszał ich oddalające się, chwiejne kroki i po półgodzinie był już pewien, że odeszli na dobre. Dopiero wtedy odstąpił od dziury w ścianie. Nie był skłonny do nienawiści czy choćby tylko niechęci wobec bliźnich. Mimo że miał dopiero dziewięć lat, poznał litość i potrafił wybaczać, być może na skutek śmiertelnej choroby swojej matki. Za to, co się wydarzyło, winił nie tyle robotników, co Johanna, który pozwolił, by bezbronna wdowa i mały chłopiec trafili w dzień wypłaty do takiego miejsca. To

właśnie on był sprawcą całego zła, które się wydarzyło.

Usłyszał, że Beatrice oddycha, więc szarpnął deskę, która odeszła od reszty, skrzypiąc zardzewiałymi gwoździami. Przecisnął się przez szczelinę i na palcach podszedł do ciotki, odwracając oczy od zadartej sukni i smug krwawego śluzu na rozłożonych udach.

Ujął ją za rękę.

– Beatrice, to ja, Daniel – szepnął.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Stajnię rozjaśniało blade światło wschodzącego księżyca i Beatrice nie bardzo wiedziała, czy widzi żywą postać, czy zjawę.

– Daniel? – wymamrotała.

Zaczął szarpać koniec liny, którą ją skrępowano, i po jakimś czasie zdołał ją na tyle rozluźnić, że Beatrice mogła się uwolnić. Wsparta na ramieniu siostrzeńca, podniosła się z kuchennego stołu i stanęła w mrocznej stajni, oddychając ciężko. Kleiste pokłosie gwałtu spływało jej po nogach i zbierało jej się na wymioty, ale uniosła głowę i drżącym, ochrypłym głosem powiedziała do chłopca:

– Musisz znaleźć szeryfa.

♦ ♦ ♦

W Nowym Jorku w bogato urządzonej palarni dużego kamiennego domu wychodzącego na East River siedzieli dwaj mężczyźni pochyleni nad stolikiem. Rozmawiali ze sobą ledwo słyszalnym szeptem. Ogromne pomieszczenie zalewało pomarańczowe popołudniowe światło. Jedną ścianę zasłaniał regał wypełniony zielono-szkarłatnymi, oprawionymi w skórę księgami. Wszystkie miały złocone tłoczenia na grzbietach. Nieopodal stał globus w kardanowym zawieszeniu z mahoniu. Mężczyźni siedzieli bardzo blisko siebie, mimo że w palarni oprócz nich nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać. Jeden z nich miał okrągłą głowę i pokrytą plamami twarz, która zdradzała nieumiarkowanie w spożywaniu brandy. Był to Percy F. Colton, potentat naftowy. Jego interlokutorem o niemodnie przyciętych wąsach, ubranym w jasnopopielaty garnitur był Arnie Styvers, uniewinniony zaledwie tydzień temu od zarzutu zamordowania Ireny Womack, polskiej aktorki. Jego kumple nadali mu ksywkę „Szpara”, ponieważ kiedy mówił, niemal nie poruszał rozchylonymi ustami.

Ci dwaj mężczyźni nieczęsto się spotykali. Colton wolał nie afiszować się z tą znajomością, poza tym mieli dość posłańców, aby utrzymywać

niemal codzienny kontakt bez konieczności spotykania się osobiście.

Podczas rozmowy Styvers oglądał swoje wypielęgnowane paznokcie. Rzadko podnosił wzrok na Coltona.

– Rozmawiałem dzisiaj z Jimmym Makepiece'em – powiedział cicho milioner.

– I co?

– Wszystko wskazuje na to, że Amarero kwitnie.

Styvers przetarł paznokcie o klapę marynarki. Nie odzywał się, wiedział, że Colton ma jeszcze coś w zanadrzu.

– Wygląda na to, że nasz jedyny problem to Cornelius Oil. Słyszałeś o nich?

– Nie.

Colton sięgnął po leżącą na pokrytym skórą stoliku ręcznie rzeźbioną fajkę z morskiej pianki i wsadził ją między zęby. Jeszcze nie zdecydował, czy ją zapali teraz, czy później.

– Cornelius Oil wydobywa dziennie dwadzieścia pięć tysięcy baryłek, a może nawet więcej – powiedział. – Ciągną z tego samego złoża co Amarero Jeden. Podobno doskonale im idzie.

– Kto nimi rządzi?

– Niejaki Johann Cornelius, jeden z tych zawziętych emigrantów. Dzierżawi lub wykupuje

działki, na których inni poszukiwacze połamali zęby. Potrafi ruszyć głową i używa całej masy fikuśnych narzędzi. Znajduje ropę tam, gdzie inni natrafili tylko na pieski preriowe.

– Przejmujesz się tym?

Colton wzruszył ramionami.

– Nie na serio, bo Cornelius nie ma rafinerii. Sprzedaje nam całe wydobycie. Jeśli zacznie zadzierać nosa albo za bardzo mu się poszczęści, możemy po prostu powiedzieć, że jest nam bardzo przykro, i nie będziemy więcej kupować od niego ropy. Ale raczej pozwolę mu działać. Niech wierci, póki mu fortuna sprzyja. W każdej chwili możemy mu odmówić dalszych zakupów.

– To brzmi sensownie.

Colton wyjął z ust fajkę i rozsiadł się wygodniej.

– Wiesz, jak to się nazywa? Planowanie perspektywiczne.

Styvers z roztargnieniem pokiwał głową.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Milioner wyjął z kieszonki kamizelki złoty scyzoryk i zaczął czyścić nim cybuch fajki.

– W tej chwili niczego – odparł. – Właśnie na tym polega istota planowania perspektywicznego.

– Mówisz, jakbyś coś miał w rękawie.

Colton zachichotał.

– Chyba nie powinienem ci tego mówić…

– To coś bardzo nieprzyzwoitego?

– Wystarczająco nieprzyzwoitego.

Styvers czekał, aż Colton mu wyjaśni, o co chodzi. Był cierpliwym człowiekiem. Na rzece zabuczała syrena statku.

– Znasz Kyle’a Lennoxa, prawda? – spytał po chwili milioner.

– Pewnie. Wielkie bokobrody, kamizelki w złym guście. Zaczynał wiele lat temu przy Hester, od gry w trzy karty. Potem pojechał na Zachód i grał w kasynach na parostatkach. Jest kierownikiem u Jimmy’ego, w Amarero, zgadza się?

– Owszem. Właśnie dlatego cała ta sprawa jest taka zabawna…

– Mów dalej – ponaglił go Styvers.

Colton konspiracyjnie pochylił się w jego stronę.

– Lennox sprzedał Corneliusowi dwunastoletnią dziewczynę.

Styvers zamrugał, ale nie wydawał się szczególnie zaskoczony tą informacją. Nie należał do nowojorczyków, których łatwo czymś zaszokować.

Colton ponownie poprawił się na fotelu.

– Nie wiadomo czemu Cornelius upodobał sobie tę małą z burdelu Lennoxa i ubił z nim interes. Polegał on na tym, że Cornelius wziął dziewczynę, odstępując za nią Lennoxowi osiem procent swoich dochodów brutto.

Styvers podniósł wzrok.

– Osiem procent z dwudziestu pięciu tysięcy baryłek dziennie? Za dwunastoletnią srajdę?

– Nie nasza sprawa, dlaczego to zrobił, ale możemy skorzystać z informacji, że to zrobił – odparł Colton. – Wygląda na to, że Corneliusa bardzo sparło, jeśli chodzi o tę młodą damę, i był gotów za nią płacić. Kiedy ropa trysnęła na całego, jego księgowi napisali do nas list, z którego wynikało, że Cornelius chce nam zabrać Kyle'a Lennoxa, by wykorzystać jego menedżerskie umiejętności dla siebie. Oczywiście zrobił to, zanim dowiedzieliśmy się o dziewczynie.

Styvers chrząknął z rozbawieniem.

– Biedny stary Kyle… Więc daliście go Corneliusowi?

– Oczywiście! Lennox to tylko zapijaczony głąb. Byliśmy zadowoleni, że wreszcie zniknie nam z oczu.

Styvers z jeszcze większą uwagą przyjrzał się swoim paznokciom.

– Ale to nie wszystko, prawda?

Colton wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Och, nie, to nie wszystko. Kiedy Lennox się dowiedział, jak Cornelius go załatwił, złożył mu wizytę i zaprotestował, a wtedy Cornelius złamał mu nos i cztery żebra.

– Słyszałem, że tam, na Zachodzie, ludzie są bardzo brutalni – mruknął Styvers.

– Czekaj, jest coś jeszcze… Cornelius miał wtedy przy sobie narzeczoną i jej siostrzeńca, chłopca w wieku ośmiu czy dziewięciu lat. Byli tak poruszeni jego zachowaniem, że postanowili wyjechać z Edgar i udać się razem z Lennoxem do Amarero. W drodze osaczyła ich banda hołoty i narzeczona Corneliusa została zgwałcona. I to nie jeden raz, ale dwadzieścia razy, na oczach chłopca. Tak przynajmniej donosi mi Jimmy. Nie wydaje ci się, że to bardzo poruszające?

Styvers nie wydawał się szczególnie poruszony.

– No cóż… Gdzie mam wysłać kwiaty?

Colton klepnął się w głowę.

– Musisz myśleć, Arnie. Myśleć! I musisz wiedzieć, że Johann Cornelius ma na oku kolejne trzy działki, dwie do dzierżawy, jedną do wykupu. Jak tylko trafi na ropę, będzie miał

dziennie trzydzieści do czterdziestu tysięcy baryłek do oczyszczenia.

– A to więcej, niż możesz od niego przyjąć, tak?

– Więcej, niż mogę albo zechcę.

– Co masz na myśli?

Colton otworzył szufladę biurka i wyjął z niej słoik holenderskiego tytoniu.

– Mam na myśli to, że cały surowiec, którego Cornelius nie może dać do oczyszczenia, musi gdzieś magazynować. To bardzo kosztowne, nawet jeśli uda ci się znaleźć odpowiednie zbiorniki. Poza tym ropa musi być przetransportowana z szybu do zbiornika, a to również jest kosztowne. I przez cały czas jej magazynowania nie masz z niej więcej pieniędzy, niż gdyby nadal leżała pod ziemią, więc tracisz płynność i bankrutujesz.

Styvers zastanawiał się przez chwilę.

– No dobrze, ale przecież Cornelius też musi o tym wiedzieć – zauważył. – I musi mieć na to jakiś sposób.

Colton uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ma do wyboru kilka rozwiązań, Arnie. Może nam sprzedać swój interes za rozsądną cenę i za te pieniądze założyć nowy biznes. Może też magazynować ropę, mając nadzieję, że w końcu

zmienimy zdanie albo zgodzi się ją przyjąć Shell czy ktoś inny. Może też zrobić to, co robi teraz, czyli spróbować namówić rafinerię Houston-West, żeby weszli z nim w spółkę. Jak donosi mi Jimmy, właśnie jedzie do Nowego Jorku na rozmowy z głównymi udziałowcami.

– Houston-West? Co to za ludzie?

– Kiedyś byli udziałowcami Schmettens Oil. Schmettens splajtowało, ale niewielka grupa inwestorów lokująca w produktach naftowych wykupiła zakłady Houston-West.

– Trochę się pogubiłem – przyznał Styvers. – Co to wszystko ma wspólnego ze złamanym nosem Lennoxa i zgwałceniem narzeczonej Corneliusa?

Colton podskoczył na fotelu jak dyrygent dający znak orkiestrze do rozpoczęcia ostatniej części *VII symfonii* Beethovena.

– Och, ma bardzo wiele wspólnego. Otóż musisz wiedzieć, że ta mała grupa inwestorów, która kupiła Houston-West, to sami kwakrzy. Gdyby kiedykolwiek się dowiedzieli, że robią interesy z osobnikiem napastującym dwunastoletnią dziewczynkę albo potworem, który pozwolił, żeby niewinna kobieta wpadła w łapy bandy pijanych gwałcicieli, natychmiast zakończyliby z nim interesy. Kiedy Cornelius się

tu zjawi, postaram się go dyskretnie poinformować, że wiemy o wszystkich jego wyskokach i najmądrzej zrobi, zapominając o Houston-West i nawiązując z nami przyjacielskie porozumienie.

Styvers przesunął paznokciami po złoconym liściastym szlaczku na krawędzi stolika.

– Przyjacielskie, co?

– Oczywiście! Myślisz, że chciałbym zniechęcić do nas takiego utalentowanego poszukiwacza jak on? Zaproponuję mu, aby kontynuował w Colton Oil to, co robi do tej pory, opłacany w wysokości pięciuset dolarów miesięcznie.

– To całkiem przyzwoite pieniądze – stwierdził Styvers. – Chyba że sam masz szyby naftowe. Myślisz, że się zgodzi?

– Tu się zaczyna twoja rola. Cornelius ma jeden słaby punkt… swoją dziewczynkę. Kiedy przyjadą razem do Nowego Jorku, chcę, żebyś ją porwał i trzymał tak długo, aż Johann Cornelius przystanie na nasze warunki.

– A jeśli mimo to nie zechce z wami rozmawiać?

– Musi.

– Wcale nie. I co wtedy?

– East River jest głęboka i szeroka.

Styvers przez chwilę się nie odzywał, po czym wstał z krzesła i przystawił je do stolika. Był drobnym mężczyzną, sprawiającym wrażenie zawsze zmęczonego, jakby codziennie musiał do późna ślęczeć nad księgami rachunkowymi, aby móc posyłać swoją utalentowaną małą córeczkę do szkółki baletowej. Prowadził piętnaście szulerni z wyszynkiem w samym tylko Nowym Jorku i trzy burdele. Często jadał kolację z burmistrzem i od czasu do czasu wyprawiał się na ryby w towarzystwie komendanta policji. Krążyły plotki o kilku morderstwach, postrzeleniach lub utopieniach będących ponoć „robótkami Styversa", ale jak do tej pory sędziowie okazywali wyrozumiałość człowiekowi, który zrobił tak wiele dobrego dla nowojorskiego handlu i zawsze miał nieskazitelnie czyste paznokcie.

– Trzymaj rękę na pulsie – powiedział do Coltona. – A kiedy Cornelius się pojawi, resztę zostaw mnie.

– Mam jeszcze trochę tego dobrego koniaku… może wypijesz łyczek? – zaproponował milioner.

Styvers pokręcił głową.

– Zachowaj go dla siebie, Percy. Najsprytniejszy drań zasługuje na najlepszy napitek.

♦ ♦ ♦

Johann i Carina mieli zamówione pokoje w starym hotelu Plaza przy Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Kiedy przyjechali na miejsce i stali z kuframi u stóp schodów, czekając na obsługę, byli poważni i milczący. Nie odzywali się do siebie, każde z nich było pogrążone w innych, przeznaczonych tylko dla niego myślach. Zarezerwowali osobne, chociaż przylegające do siebie pokoje jako pan i panna Cornelius. Nie wyglądali jak ojciec i córka, ale nie wyglądali też jak prostytutka i jej klient.

Johann miał na sobie lekki jasnopopielaty płaszcz z czarnymi aksamitnymi wyłogami i popielaty kapelusz. Wspierał się na czarnej lasce i nosił biało-czarne buty z noskami w szpic. Carina miała na głowie ozdobiony prostą plecionką i dżetami czarny turban, a jej twarz osłaniała czarna woalka. W prostym czarnym płaszczyku prezentowała się wyrafinowanie i jednocześnie skromnie. Na otoczenie spoglądali obojętnie, jak bliscy sobie ludzie czekający w holu nieznanego hotelu.

Po zainstalowaniu się w zarezerwowanych pokojach zasiedli do kolacji, zamawiając ostrygi i filety z przepiórek w restauracji U Eduarda,

modnym lokalu, który Johann minął pewnego razu, kiedy pracował u Nathaniela. Obsługujący ich kelnerzy mieli białe, wykrochmalone gorsy. Carina prawie się nie odzywała, jedząc swoją jagodową bombę lodową w ekstatycznym skupieniu. Obok aspidistr stał długowłosy siwy skrzypek i piłował Mozarta jak pomocnik rzeźnika szynkę. Siedzący przy następnym stoliku rudowłosy mężczyzna w wysokim białym kołnierzyku mówił:

– Ta Hetty Green to największe skąpiradło na kuli ziemskiej. Największe! Niektórzy mówią, że ma więcej gotówki niż J.P. Morgan, a chodzi ubrana jak żebraczka i targuje się o szesnaście centów, gdy kupuje parę butów.

Jego towarzyszka, elegancko ubrana młoda dama z wielkim nosem, położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Wiem, kochanie. Ale czy nie byłoby cudowne, gdyby nas też było stać na takie skąpstwo?

Johann słuchał i obserwował wszystkich, uśmiechając się do siebie. Wrócił do Nowego Jorku, jednak teraz jego sytuacja była zupełnie inna i chciał poznać nazwiska, koneksje i ceny. Chciał odkryć, kto ma władzę, a kto nie. Chciał się dowiedzieć, kogo można wysadzić z siodła,

a kogo nie. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że w mieście Cabotów, Coltonów, Rockefellerów i Vanderbiltów jego milion dolarów to bardzo niewiele. Hetty Green, mimo jej chciwości i wiekowych czarnych sukienek, które nosiła dzień po dniu i rok po roku, oceniano na sto milionów. J.P. Morgana z jego namiętnością do jachtów i europejskich dzieł sztuki wprawdzie oceniano niżej, ale był wart co najmniej sześćdziesiąt osiem milionów. Johann zdawał sobie sprawę ze swojej nieokiełznanej ambicji, aby stać się bogatym, jednak wiedział również, że czterysta najbogatszych i najbardziej wpływowych nowojorskich rodzin zdominowało cały rynek i potrzeba mu czegoś więcej niż zapału i determinacji, aby wedrzeć się za ufortyfikowane mury wielkich trustów, monopoli i ustalanych pod stołem cen.

Za oknem restauracji klekotały powozy, które wydawały się świecić w odbiciach płomieni flambirowanych potraw. W powietrzu unosił się aromat cygar, grillowanych homarów i benedyktynki, który Johann z rozkoszą wciągał w płuca.

– Uwielbiam Nowy Jork – powiedziała Carina. – Czuję się tu naprawdę szczęśliwa.

Johann nie mógł powiedzieć tego samego o sobie, ale za to czuł wzmożony napływ energii. W Teksasie było wiele dni, gdy rozpacz czaiła się za progiem. Dni, podczas których wiatr niósł tylko kurz, a on sam był bez pieniędzy i bez pracy. Ale teraz czuł, że prawdziwe bogactwo jest tuż-tuż, w zasięgu jego ręki. Postawił nowe szyby naftowe i zarobił mnóstwo pieniędzy, a kiedy w następnym tygodniu podpisze umowę z Houston-West, będzie mógł przejąć kolejne działki i złoża ropy naftowej. Kiedy to zrobi, dolary spadną na niego zamiecią jak śnieg na poszukiwacza złota nad Jukonem.

Wyciągnął rękę nad wykrochmalonym obrusem i ujął Carinę za przegub.

– Cieszę się, że jesteś szczęśliwa – powiedział. – Ale czasem wydajesz mi się smutna.

– Tak – przyznała.

Nie zapytał jej, dlaczego tak często bywa smutna, bo znał powody tego smutku. Sięgnął po szklankę wody mineralnej i pił ją powoli, przyglądając się oświetlonej stolikową lampą twarzy Cariny.

– Czy kiedyś będziemy tacy eleganccy jak ci państwo tutaj? – zapytała Carina.

Uśmiechnął się, a ona powiedziała z niepokojem:

– Spróbujesz mnie pokochać, prawda? Wystarczy, jeśli tylko obiecasz, że spróbujesz.

Otarł serwetką pot z czoła i poprosił o rachunek. Ostrygi, smażony filet z przepiórki, lody, woda mineralna i kawa kosztowały dwanaście dolarów i sześć centów. Było to więcej, niż Carina dostawała za oddawanie się pijanym nafciarzom.

Wstali i z godnością przeszli między stolikami z rozmawiającymi i śmiejącymi się ludźmi. Dochodziło już wpół do dziewiątej i Carina była zaskoczona, że tylu nowojorczyków nie śpi o tak późnej porze. Kelner pobiegł za nimi, wołając:

– *Monsieur, le pour-boire!*

Johann spojrzał na niego i zmarszczył brwi.

– O co chodzi?

– Napiwek, *monsieur*. Nie zostawił pan napiwku.

Johann popatrzył na podsuniętą srebrną tackę. Goście siedzący przy najbliższych stolikach zauważyli, co się dzieje, i przyglądali się im z rozbawieniem.

– Taki jest zwyczaj, *monsieur* – dodał kelner.

Johann sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął portfel. Odpiął pasek i z namaszczeniem wyciągnął jednodolarowy banknot. Trzymając go

w dwóch palcach, pomachał nim przed nosem kelnera.

– Ten dolar nie został zarobiony żebraniną – oświadczył. – I nie zostanie wydany na żebraka.

Wsunął banknot z powrotem do portfela, ujął Carinę pod ramię i wyszedł z sali restauracyjnej, kierując się do szatni po kapelusz i płaszcz. Za plecami usłyszał pomruki zdumienia i śmiechy, ale nie zwracał na nie uwagi. Nikt nie zasługuje na nic za darmo. Kiedyś, trzy lata temu, w jadłodajni Parsonsa w Broughton odmówił chleba robotnikowi kolejowemu i z pewnością nie zamierzał sprzeniewierzyć się teraz swoim zasadom, rozdając pieniądze.

Kiedy wychodzili na zewnątrz, podbiegł do nich kierownik sali, korpulentny łysy Ormianin, i złapał Johanna za ramię.

– Proszę pana, raczy pan wybaczyć…

Johann odwrócił się do niego. Widząc nieprzejednany wyraz jego twarzy, kierownik sali prawdopodobnie zdał sobie sprawę, że znacznie lepiej by było, gdyby puścił ramię gościa. Powiedział cienkim głosem:

– Proszę pana, z żalem informuję, że nie jest pan tu mile widziany.

Johann przyglądał mu się przez długą chwilę, po czym zapytał:

– Jak się nazywa ten lokal?

– U Eduarda, proszę pana.

Johann kiwnął głową.

– Doskonale. Prawdopodobnie kupię go w najbliższej przyszłości, a wtedy wyrzucę cię na zbity pysk.

Kierownik sali roześmiał się wyniośle.

– Puste groźby nas nie martwią, proszę pana. Oczekujemy, że dżentelmen będzie się zachowywał, jak przystało dżentelmenowi. A teraz proszę wyjść.

Johann wyprowadził Carinę na dwór, zatrzymał dorożkę i wrócili słabo oświetlonymi ulicami do hotelu. W połowie drogi Carina spytała:

– Co zrobisz z tą restauracją?

Johann popatrzył na nią.

– Naprawdę pomyślałaś, że ją kupię?

– Tak.

Uścisnął jej rękę i roześmiał się.

– Masz rację – rzekł. – Prawdopodobnie to zrobię.

Pocałowała go w policzek.

W tamtym momencie nie poświęcił temu gestowi żadnej myśli, poza tym, że wydał mu się miły i czuły, ale jak wiele rzeczy, którym nie poświęcamy zbyt dużo uwagi, kiedy się

wydarzają, miał być ostatni. Carina nigdy więcej nie miała go pocałować – ani on jej.

W świetle, które od czasu do czasu padało na twarz dziewczyny, widział, jak uśmiecha się do siebie. Po chwili zaczął mżyć deszcz.

Był trzeci piątek października 1903 roku.

♦ ♦ ♦

Porwali ją sprawnie i umiejętnie.

W pierwszym zabarwionym szarością świetle poranka rozległo się pukanie do drzwi Johanna i wszedł boy, niosąc na tacy zapieczętowaną kopertę. Johann, rozchełstany i w złym nastroju, wziął ją i rozerwał.

Boy czekał na napiwek.

Johann powoli przeczytał list, po czym szybko podszedł do drzwi łączących jego pokój z pokojem Cariny i załomotał w nie.

– Muszę już iść, proszę pana – powiedział boy.

Johann nie zwrócił na niego uwagi. Znów załomotał do drzwi i krzyknął:

– Carina!

Nie było odpowiedzi. Johann przeciął z powrotem pokój i szarpnięciem otworzył drzwi szafy. Hotelowy boy nerwowo przestępował z nogi na nogę. Miał ochotę wyjść stąd jak

najszybciej, lecz nie przywykł do tego, by odprawiano go bez napiwku. Odchrząknął, choć wcale nie było to potrzebne.

Johann odwrócił się do niego i warknął:

– Wynoś się, do cholery!

Boy był mu za to niemal wdzięczny. Wyszedł na palcach i zamknął drzwi, a Johann zerwał z siebie nocną koszulę i włożył czarne spodnie. Był zły i przestraszony, ale na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji. Zapiął spodnie, poszedł do łazienki i odkręcił kurki, przygotowując się do golenia. Nie zamierzał stawiać czoła szantażystom nieogolony i w brudnym kołnierzyku. Spienił mydło w porcelanowej miseczce w różyczki i zaczął nakładać je na policzki pędzlem z borsuczej sierści.

List, który otrzymał, był napisany na maszynie na welinowym papierze. „Twoja dama jest z nami bezpieczna. Masz udać się do hotelu Waldorff, gdzie spotka się z Tobą nasz przedstawiciel i rozpocznie negocjacje. Przyjdź o ósmej. Nie informuj policji”.

Popatrzył na swoją czerwoną namydloną twarz w zaparowanym lustrze. Powiedział głośno do siebie: „Zachowaj spokój” – ale nie mógł się uspokoić. Potrafił tylko stłumić strach

i zapanować nad drżeniem rąk, kiedy się golił. Przypuszczał, że Carina jest bezpieczna, bo jeśli porywaczom zależało na jego pieniądzach, nie mogliby na nie liczyć, gdyby ją skrzywdzili. Była jednak dla niego taka cenna, tak bardzo był z nią związany, że czuł się, jakby całe jego emocjonalne życie legło w gruzach.

Carina i uczucie, którym tak hojnie go obdarzała, były jego jedyną przepustką do świata miłości i dobroci. Opuszczony przez Beatrice i pozbawiony towarzystwa Cariny, czuł się bardzo samotny i czerpał energię jedynie z poczucia historycznej misji, którą w swoim mniemaniu miał do spełnienia. I chociaż temu finansowemu półbogowi bardzo trudno byłoby się do tego przyznać, zakosztował wielu pustych, samotnych godzin, podczas których poczucie historycznej misji stanowiło jedynie zimny substytut kipiącej radością życia towarzyszki.

Kiedy brzytwa wycinała w mydlanej pianie geometryczne wzory, myślał również o Beatrice. Może tamtej straszliwej nocy w Edgar powinien być łagodniejszy. Może powinien opanować swoją gwałtowność albo spróbować jakoś się wytłumaczyć. Zdawał sobie sprawę, że nadal ją kocha, ale już nie był pewien, czy mógłby ją poślubić. Była kobietą o dziwnej magnetycznej

sile. Może gdyby mu wybaczyła i nauczyła się go kochać, zaznaliby szczęścia; a może czekałyby ich kłótnie i walki, aż w końcu zdecydowaliby się na rozwód lub dalsze wspólne życie w lodowatym milczeniu. Zastanawiał się, gdzie jest w tej chwili i co robi. Z Edgar wyjechał w sobotę wczesnym rankiem, zabierając ze sobą Carinę, i udał się prosto do Broughton, aby zdążyć na południowy pociąg jadący na wschód. Nie wiedział o gwałcie i nie miał pojęcia o tym, że informacje o jego prywatnych sprawach wyprzedziły ich przybycie do Nowego Jorku.

Ubrał się, włożył do kieszeni list i wyszedł z pokoju. Kiedy szedł holem, boy, który obudził go rano, zagwizdał obraźliwie, ale szef zmiany natychmiast przywołał go do porządku.

Dotarł do Waldorffa przed ósmą i wszedł do środka sztywno wyprostowany. Mimo wczesnej pory w holu tłoczyło się kilkudziesięciu elegancko ubranych dżentelmenów. Konwersowali ze sobą z wielkim przejęciem i wydawało się, iż zebrali się tutaj w jednym celu. Johann trzymał się od nich z daleka i powoli okrążał hol, wypatrując nadawcy anonimowego listu.

Kiedy poczuł, że ktoś trąca go w łokieć, wiedział, że tamten go znalazł. Nie odwrócił się,

jedynie powiedział cicho:

– Mam nadzieję, że wiesz, iż ryzykujesz głowę.

Równie cichy i opanowany głos odparł:

– Nikt tu nie chce ryzykować niczyjej głowy. Ani twojej, ani dziewczyny.

– Chcesz rozmawiać tutaj? – spytał Johann.

– Trudno o lepsze miejsce – odpowiedział głos. – Akurat odbywa się tu coroczne spotkanie numizmatyków. W tym tłumie nikt nie zauważy, że interesuje nas coś zupełnie innego.

Johann odchrząknął.

– Czy to szantaż?

Głos zachichotał.

– W żadnym wypadku. Chyba że każdy biznes jest dla ciebie czymś w rodzaju szantażu.

Kiedy Johann w końcu się odwrócił, zobaczył przed sobą Arniego Styversa, „Szparę”. W wygniecionej, zbyt obszernej marynarce wyglądał jak gangster.

– Zamierzasz strugać bohatera czy możemy porozmawiać? – zapytał Styvers. – To zależy tylko od ciebie.

– Czego chcesz? – spytał Johann.

Styvers wykrzywił usta w uśmiechu, nie rozchylając warg, i Johann uznał, że prawdopodobnie ma zepsute zęby. W jego krawacie tkwiła szpilka z brylantem warta

prawdopodobnie osiem lub dziewięć tysięcy dolarów, a może nawet więcej, ale na tym człowieku wszystko wydawało się tańsze niż w rzeczywistości.

– Usiądźmy – zaproponował.

Wskazał obite brokatową tapicerką krzesła, stojące po obu stronach palmy w donicy. Usiadł na jednym z nich i czekał, aż Johann zajmie miejsce na drugim.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest dziewczyna – oświadczył Johann, nadal stojąc.

Styvers spuścił wzrok i zaczął oglądać swoje paznokcie.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, to chyba oczywiste. Jeśli zgodzisz się na nasze warunki, dostaniesz ją z powrotem całą i zdrową. Jeśli nie, będziemy musieli inaczej uporać się z tym fantem… Rozumiesz, o czym mówię? Fachowiec nigdy nie zostawia po sobie śladów.

– Zabijesz ją?

– Tego nie powiedziałem.

– Ale właśnie to miałeś na myśli, prawda?

Styvers wzruszył ramionami.

– No dobra – mruknął Johann. – Mów, z czym przyszedłeś.

– Wolałbym, żebyś usiadł – odparł Styvers.

Johann skrzywił się, ale usiadł.

– Chodzi o współpracę finansową – wyjaśnił Styvers. – Kiedy się zastanowisz, sam stwierdzisz, że nasz plan trzyma się kupy i nie ma się co na niego wypinać. Muszę tylko mieć twoją zgodę.

– Na czym polega ten wasz plan?

– Jeden mój znajomy dowiedział się, że przyjechałeś pogadać z ludźmi z Houston-West. Ponoć w Teksasie trafiasz na ropę prawie wszędzie, gdzie zaparkujesz automobil, ale potrzebujesz rafinerii.

– I co z tego?

Styvers wzruszył ramionami.

– To bardzo proste. Ludzie z Houston-West są kwakrami i nie za bardzo im się uśmiecha robienie interesów z ludźmi, którzy prowadzą się niemoralnie albo skandalicznie. Jeśli będziesz próbował z nimi rozmawiać, prawdopodobnie dowiedzą się o dziewczynie… no i o gwałcie.

Johann wbił w niego wzrok.

– O gwałcie? O czym ty mówisz? O jakim gwałcie?

Styvers uśmiechnął się ironicznie.

– Dobrze wiesz, o jakim gwałcie mówię.

Johann wstał.

– Dziewczyna to jedna sprawa, ale żadnego gwałtu nigdy nie było – oświadczył.

Dwaj numizmatycy w okularach odwrócili się i popatrzyli na nich zdziwieni.

– Lepiej mów szybko, co masz do powiedzenia, bo inaczej rozwalę ci łeb – syknął Johann.

Styvers zaczął wydłubywać małym palcem woskowinę z ucha.

– Nie radziłbym. Nie wszyscy zebrani tu ludzie zajmują się kolekcjonowaniem monet. Paru pracuje dla mnie i kiedy trzeba, umieją celnie strzelić.

Johann odwrócił się i potoczył wściekłym wzrokiem po zgromadzonych w holu mężczyznach. Nie potrafił ocenić, czy Styvers mówi prawdę, czy nie. Ale prawdopodobnie nie kłamał. Człowiek, który porwał mu dziewczynę sprzed nosa, z pewnością zadbał o ochronę. Zaczerpnął głęboko powietrza i znowu usiadł.

– Wiem, o co ci chodzi z dziewczyną – powiedział cicho. – Ale nie rozumiem, co ma do tego gwałt.

Styvers przyjrzał się opuszce swojego palca.

– Może moje informacje są nieprawdziwe – mruknął. – Ale z tego, co słyszałem, znokautowałeś Kyle’a Lennoxa, a potem banda nafciarzy dopadła na ulicy twoją wybrankę serca i zgwałciła ją dwadzieścia razy.

Johann poszarzał na twarzy.

– Zgwałcono Beatrice? – jęknął.

– Dwadzieścia razy, tak mówią – odparł Styvers. – Tuż po tym, jak zmaglowałeś Lennoxa.

Johann opuścił głowę.

– Nie wiedziałem… – wyszeptał.

Styvers zaczął sobie czyścić drugie ucho.

– Smutna sprawa. Ale bez względu na to, czy o tym wiedziałeś, czy nie, Houston-West to się na pewno nie spodoba.

– Powiecie im o tym?

– Jeśli będziemy musieli.

– A jaka jest inna możliwość?

Styvers się uśmiechnął.

– Myślę, że jest naprawdę bardzo atrakcyjna: sprzedasz Cornelius Oil za przystępną cenę dobremu staremu Percy'emu F. Coltonowi i zostawisz mu wszystkie swoje troski i zmartwienia.

Johann wsadził ręce do kieszeni.

– A więc to Percy Colton…

– On tylko chce zrobić ci przysługę – odparł Styvers. – Wie, że znalazłeś tyle ropy, że nie masz pojęcia, co z nią począć, więc rozglądasz się za kimś, kto uwolniłby cię od tego kłopotu.

Johann kiwnął głową.

– Ile mi zostało? – spytał.

– Czego?

– Chyba Colton nie myśli, że od razu się zdecyduję, prawda? Potrzebuję kilku godzin do namysłu.

Styvers wyjął kieszonkowy zegarek.

– Wiesz, że mamy tę twoją dziewczynę – przypomniał Johannowi. – Jeśli zamarudzisz, przerobimy ją na kaszankę.

– Proszę tylko o parę godzin.

Styvers zastanawiał się przez chwilę.

– W porządku – powiedział w końcu. – Punkt jedenasta zadzwoń pod ten numer i podaj odpowiedź. Jak będzie „tak”, natychmiast dostajesz z powrotem dziewczynę. Jak „nie”, przerabiamy ją na kaszankę.

– Rozumiem – odparł Johann.

Wstał i nie oglądając się na Styversa, przeszedł sztywno wyprostowany między numizmatykami, z wyrazem twarzy człowieka, którego spotkał straszliwy cios, mogący go zniszczyć. Na dworze wiał nieprzyjemny, zacinający wiatr. Stojący na skrzyżowaniu gazeciarz usiłował jednocześnie ratować swój fruwający afisz i czapkę. Johann zignorował portiera, który wybiegł za nim, chcąc przywołać dla niego dorożkę, i ruszył w stronę parku, wbijając ręce w kieszenie płaszcza.

♦ ♦ ♦

Podczas trzech godzin zwłoki zrobił trzy rzeczy. Wysłał telegram do pani Russell na jej adres w Edgar, błagając Beatrice o wiadomość, czy jest bezpieczna. Potem wysłał telegram do Sama Chiversa, pytając go, co się dzieje w zakładach. Następnie wyjął z walizki rewolwer marki Iver Johnson, załadował go i włożył do szuflady w szafce nocnej, po czym zatelefonował na najbliższy posterunek policji, składając doniesienie, iż jego adoptowana córka, Mulatka, nie wróciła ze spaceru po parku i jest bardzo zaniepokojony. Dyżurny policjant powiedział mu, aby był dobrej myśli i zadzwonił jeszcze raz, gdyby nie wróciła do popołudnia. Johann poszedł do holenderskiego kościoła przy Czterdziestej Czwartej Ulicy i przez dziesięć minut modlił się w milczeniu. O jedenastej zadzwonił pod numer wskazany przez Arniego Styversa i powiedział, że potrzebuje trochę więcej czasu. Głos po drugiej stronie słuchawki dał mu jeszcze dwie godziny na zastanowienie się, a potem połączenie zostało przerwane.

♦ ♦ ♦

Nigdy nie odkrył, co tak naprawdę się wydarzyło, chociaż trzy lata później nadal płacił prywatnym detektywom, którzy badali tę sprawę. Kiedy tylko dziesięć minut dzieliło go od chwili, w której byłby zmuszony zatelefonować i poddać się Styversowi, zadzwonił funkcjonariusz policji i powiedział, że chyba znaleziono jego adoptowaną córkę. Niestety, znaleziona dziewczyna była martwa. Johannowi zaschło w gardle i usiadł na krawędzi łóżka jak człowiek, który właśnie obudził się z koszmaru, aby się przekonać, iż rzeczywistość jest jeszcze gorsza. Wyglądało na to, że Carina (jeśli to naprawdę była ona) wypadła lub wyskoczyła z okna piątego piętra domu przy Pięćdziesiątej Piątej, dwie bramy od hotelu Gotham. Z parapetu szesnastego piętra tego samego hotelu wiele lat później, w 1938 roku, rzucił się pewien młody człowiek, John Warde. Adoptowana córka Johanna miała połamane żebra, które przebiły jej płuca, i zmarła w drodze do szpitala. Policja składa wyrazy współczucia. Żydowski pediatra, który próbował ją ratować, gdy leżała na chodniku, poinformował policję, że powiedziała dwie rzeczy: że im uciekła (jeśli byli jacyś „oni”) i że powinna pozostać tam, gdzie było jej miejsce.

Johann słuchał tych słów, przyciskając ręce do piersi, sparaliżowany bólem.

Długo nie mógł dojść do siebie. Niemal przez godzinę stał nieruchomo w oknie. Kiedy wreszcie spojrzał na zegarek, uświadomił sobie, że czas się ruszyć. Dopiero na długim, wyłożonym dywanem korytarzu uświadomił sobie, przed czym uratowała go Carina – czy to umierając przypadkowo, czy też świadomie składając z siebie ofiarę. Bez niej Colton nie miał żadnego dowodu jego niegodnego zachowania się i nawet gdyby wiadomości o Beatrice były prawdziwe, nie wystarczyłyby, aby go zniszczyć.

♦ ♦ ♦

Jak się tego spodziewał, nikt nie zawiadomił zarządu Houston-West. Biuro firmy było wykończone ciemną boazerią i postarzałe twarze jego rozmówców prawie niknęły w mroku październikowego przedpołudnia. Stojący w głębi pokoju zegar z tarczą z brązu dzwonił co pół godziny i za każdym razem musieli przerywać rozmowę, dopóki nie ucichł.

Johann siedział u szczytu ciężkiego stołu z rozłożonymi przed sobą dokumentami i planami, wyjaśniając swoje operacje. Po trzech

godzinach dokładnych analiz harmonogramów zarząd nieformalnie zgodził się na współpracę, która miała polegać na oczyszczaniu surowej ropy Johanna z pól przy Sweetwater, Emmett Heights i z zachodniego Amarero. Na koniec podano mu dłonie, stare i suche.

♦ ♦ ♦

W pomalowanym na oliwkową zieleń prosektorium panował chłód. Johann nie spędził w nim wiele czasu. Niemiecki student w białym kitlu zsunął okrywające Carinę prześcieradło i Johann od razu ją zidentyfikował. Zdumiał się, widząc spokojny wyraz jej twarzy. Student powiedział, że upadek z wysoka to całkiem łagodna śmierć w porównaniu, na przykład, ze spaleniem czy zmiażdżeniem. Prawdopodobnie ofiara doznała tak ciężkiego wstrząsu mózgu, że nie czuła żadnego bólu.

Johann pomyślał o Carinie siedzącej obok niego w automobilu, o jej pięknej twarzyczce obramowanej szalem. Tu, w prosektorium, już nie była taka piękna; ale czy sprawiło to jej życie z nim, czy upadek z okna domu przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy – nie wiedział.

Na dworze, w nieprzyjemnym wietrze, przepytał go policjant. Na szczęście mógł dokładnie opisać, co robił w chwili śmierci Cariny, i miał na to dowody w postaci rachunków za telefony z Plazy. Funkcjonariusz wyjął stępiony ołówek, sporządził notatki, po czym pozwolił mu odejść.

Johann udał się prosto do hotelu i spakował swoje rzeczy.

Kiedy zapiął walizki, ukląkł przy łóżku i odmówił krótką modlitwę za Carinę. Powiedział, że bardzo ją kocha i oddaje jej duszę Panu. Odmówił też modlitwę za Beatrice, wyrażając nadzieję, że jest bezpieczna i może kiedyś mu wybaczy. Zanim po raz ostatni wyszedł z pokoju, rozejrzał się jeszcze, upewniając się, czy niczego nie zostawił. Na łazienkowej półeczce obok lustra leżała jedna z zapinek do włosów Cariny. Miała kształt motyla. W pierwszym odruchu Johann schował ją do kieszeni, ale po chwili zmienił zdanie i odłożył zapinkę na półkę. Pomyślał, że może znajdzie ją jakaś młoda kobieta i będzie nosić, nie mając pojęcia, że należała do dziewczyny, która uświadomiła mu, że czasem w miłości jest więcej magii, niż człowiek potrafi znieść.

1909

CORNELIUS OIL
WYKŁADA
DWA MILIONY
ZA EAST INDIANA CHEMICAL

„Okazyjna cena”

P.K. Lomas, nasz korespondent
gospodarczy, donosi:

Cornelius Oil, bogaty, dynamicznie rozwijający się koncern z Teksasu, zapłacił blisko dwa miliony w akcjach i obligacjach za zakłady chemiczne East Indiana Chemical Corporation. Cornelius Oil zamierza znacznie powiększyć produkcję azotanów i fosfatów.

Pan Johann Cornelius, milioner i właściciel Cornelius Oil, powiedział naszemu korespondentowi, że cena, która zapłacił za East Indiana, „należała do okazyjnych”.

„Indianapolis Star & Citizen”
9 lutego 1909 r.

Spacerowali po lesie prawie przez całe przedpołudnie i w końcu, gdy słońce przestało grzać, wrócili do domu okrężną drogą, przez rozległą dziką łąkę, nad którą fruwał puch z dmuchawców. Minęli skrzypiącą żelazną furtkę i weszli do ogrodzonego murem warzywnego ogródka. Szli po wypłowiałych ceglanych ścieżkach, trzymając się za ręce i rozmawiając cichymi, przepełnionymi uczuciem głosami. Czerwcowy wietrzyk szeleścił w liściach dojrzewającej kukurydzy i letnich dyni, wokół fasoli i słodkich pomidorów tańczyły motyle, a rozmaryn, tymianek i estragon falowały na grządkach jak rzędy ogarniętych entuzjazmem miłośników opery w prywatnej loży.

Dotarli do cieplarnianej przybudówki, w której blade polskie pomidory pęczniały za zaparowanym szkłem. Dziewczyna rozłożyła spódnicę i usiadła na niskim murku, a on stanął opiekuńczo obok niej i wyjąwszy z kieszeni lnianej marynarki fajkę, zaczął ją nabijać tytoniem.

– Dzięki tobie jestem taka szczęśliwa, Jack… Ledwo mogę uwierzyć, że to prawda.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Ellie…

Nie musiał nic więcej mówić, bo wiedziała z absolutną pewnością, że czuje to samo co ona. Świadczyły o tym zielone plamy na kolanach jego spodni – zaledwie trzy godziny temu ukląkł na porośniętym mchem podłożu lasu otaczającego dom jej rodziców, ujął ją za rękę, pocałował i poprosił, aby została jego żoną. Od tamtej chwili spacerowali i rozmawiali o miłości, o finansach i o tym, gdzie będą mieszkać, a dzień otulał ich cieniami jak zadowolony rodzic ramionami.

Teraz w warzywniku, kilkaset jardów od pomalowanego na biało farmerskiego domu, w którym dziewczyna mieszkała przez całe życie, rozkoszowali się wspaniałym rudawym wieczornym światłem, które przybiera taką niezwykłą barwę w niewielu miejscach poza

hrabstwem Williamsburg w Karolinie Południowej. Ćwierkały ptaki, brzęczały pszczoły, a szczęście obojga młodych ludzi było tak pełne, że czasem rozmawiali ze sobą, mając łzy w oczach, a czasem ze śmiechem. Raz nawet, na stoku wzgórza, który opadał na wschód, w stronę posiadłości sąsiadów, odtańczyli zaimprowizowanego walca. Kołowali bez końca, aż w końcu bez tchu upadli na rozkołysaną trawę.

Jack wyjął zapałki i zapalił fajkę. Po chwili w powietrzu rozszedł się zapach bałkańskiego tytoniu, który zmieszał się z aromatem młodych róż. Pyknąwszy kilka razy, młody mężczyzna postawił nogę na murku, wsparł łokieć na kolanie, wyjął fajkę z ust i czule spojrzał na siedzącą obok dziewczynę.

– Chciałbym, abyś była szczęśliwa – powiedział. – Kiedy ty będziesz szczęśliwa, ja również będę szczęśliwy, więc myślę, że to tylko egoizm z mojej strony.

– Och, daj spokój. W tobie nie ma ani krzty egoizmu.

Pochylił się i łagodnie, opiekuńczo pocałował ją w czoło, ledwie je muskając.

– Jestem pewien mojej miłości do ciebie, Ellie, i wiem, że zawsze będę cię kochał. Gdybym

sądził, że nasza miłość kiedyś skwaśnieje jak miłość wielu innych ludzi, że będziemy się kiedyś sprzeczać i w końcu zaczniemy wydrapywać sobie oczy, w jednej chwili zabrałbym kapelusz, odwrócił się na pięcie i tyle byś mnie widziała.

– Jack… – szepnęła. – Nikt nie przeszkodzi naszej miłości.

Uśmiechnął się do niej, przepełniony zadowoleniem i szczęściem. Siedząc na murku, wyglądała uroczo i jednocześnie poważnie w swoim fartuszku w niebieską kratkę i z taką samą kokardą w zaczesanych do góry kasztanowych włosach. Musiał pogładzić ją po policzku, aby się przekonać, że jest prawdziwa i że naprawdę jest jego.

Była najmłodszą i najpiękniejszą z czterech córek Earle'a Jacksona, a to oznaczało, że psuto ją przez całe życie, ale to psucie wcale jej nie zepsuło, i jak pan Jackson zwykł mówić cichym głosem, aby nie słyszała: „Zawsze oddaje po dwakroć to, co dostała". Była drobną dziewczyną o okrągłej, jeszcze dziecinnej twarzy i wielkich, szarych, rozmarzonych oczach. Ale mimo łagodnego wyglądu zdumiewała pewnością siebie i opanowaniem, jej głos zawsze brzmiał stanowczo, a opinie, które wygłaszała, mogły wywołać sceptyczne uniesienia brwi; gdy

mężczyzna rozmawiał z Ellie Jackson, wiedział, że nie rozmawia z dzieckiem, ale z dojrzałą kobietą. Może w wieku dziewiętnastu lat była nad wiek rozwinięta. Może prowadziła swoją kasztankę nieco zbyt pretensjonalnie i może jej francuski, którego nauczyła ją guwernantka, był nieco zbyt kwiecisty. Ale rodzina Jacksonów szczyciła się zarówno szlachectwem, jak i szlachetnością charakteru, a ich zamożność i pozycja były tak ugruntowane w Karolinie Południowej, że nie musieli traktować swoich bliźnich z wyniosłością i pogardą. Może nie byli tak bogaci jak dawniej, kiedy dziadek Earle'a Jacksona wysyłał na wzgórza Fortuny tylu niewolników, że gość przybyły w odwiedziny mógł pomyśleć, że zbiera się tu nie bawełnę, lecz czarną wełnę, i może życie na Południu utraciło nieco elegancji, gdy przyszedł nowy wiek i automobil skrócił wiejskie drogi.

Ale latem 1909 roku czas nadal płynął spokojnie, domy farmerów otaczały równiutko przystrzyżone trawniki i często wydawano przyjęcia, podczas których panie ochraniały twarze parasolkami, a po jeziorze pływały płaskodenne łódki.

– Lepiej już chodźmy – powiedział Jack, otwierając kopertę zegarka. – Twoja matka

prosiła, żebyśmy pokazali się na podwieczorku.

– Podwieczorek z weselnym tortem?

Pocałował ją.

– Już wkrótce. A potem będziesz żoną Jacka Fielda i sama będziesz wydawać podwieczorki.

– Podwieczorki? Będę wydawać bale, każdego wieczoru. Żeby pokazać ludziom, jaka jestem szczęśliwa.

– Nie, za moje zarobki nie ma mowy o wydawaniu balów. Chyba że najpierw twój ojciec zrobi mnie wspólnikiem.

– Najwyższy czas, żeby to zrobił – stwierdziła Ellie. – Przecież wykonujesz teraz bardzo ważną pracę.

– Obrona dzierżawcy oskarżonego o kradzież dwustu główek kapusty to nie sprawa, którą sędziowie Sądu Najwyższego suszyliby sobie głowy.

– Tak, ale jedziesz na Rhode Island, złożyć to powództwo w imieniu Husmana i Welcha.

– Wolałbym nie jechać. Będę za tobą tęsknić.

Popatrzyła na niego z czułością.

– A ja za tobą. Ale kiedyś zostaniesz wielkim, sławnym adwokatem i wtedy nie będziemy żałować tych chwil rozłąki.

Ujął jej dłoń, opuścili warzywnik i przecięli trawnik, kierując się w stronę tylnej werandy.

Fortunę, rodzinny dom Jacksonów, ocieniały wiązy, ale zachodzące słońce oświetlało postacie matki, ojca i sióstr Ellie, którzy siedzieli na werandzie, podziwiając ogród. W białych letnich strojach i białych kapeluszach wyglądali jak eleganckie towarzystwo siedzące na pokładzie jachtu. Ellie pomachała rodzinie, a ojciec odpowiedział jej gestem dłoni.

Earle Jackson początkowo zachowywał pewną rezerwę wobec Jacka. Chłopak wydawał się zdecydowany i energiczny, ale często działał na łapu-capu, bez zastanowienia. Niewątpliwie był bardzo przystojny. Wysoki, o falujących kasztanowych włosach, ładnie zarysowanym prostym nosie i ciemnych oczach, z których rzadko znikała iskierka rozbawienia. Ojciec wysłał go na Uniwersytet Harvarda, skąd wrócił na Południe z dyplomem prawnika i reputacją kawalarza. Ale kiedy Jack i Ellie wymienili pierwsze spojrzenia na wieczorku tanecznym u Annette, siostry Ellie, konserwatywny pan Jackson nieco się zaniepokoił, gdyż Jack nie ukrywał, iż zamierza otworzyć praktykę na Zachodzie, w Teksasie lub Oklahomie, mateczniku wielkich firm naftowych. Często mawiał z głębokim przekonaniem: „Jeśli statek

biznesu ma płynąć na fali ropy naftowej, łódź adwokatury biznesu musi płynąć obok niego”.

Jackson nie odmawiał słuszności tym twierdzeniom, ale ponieważ Ellie robiła do młodego Jacka Fielda słodkie oczy, obawiał się, że chłopak poprosi o jej rękę. Wiedział, że nie znajdzie w sobie sił, aby odmówić czegokolwiek swojej ukochanej maleńkiej Ellie, jednak nie potrafił znieść myśli, że jego córka zostanie skazana na życie w jakimś teksańskim miasteczku zamieszkanym przez pastuchów albo w jednej z bud poszukiwaczy ropy naftowej na czerwonych piaskach Oklahomy. Podobnie myślała pani Jackson, która co prawda z sympatią obserwowała rozwój młodzieńczego uczucia, ale wiedziała też, jak ważne dla Ellie będzie zajęcie należnego jej miejsca w socjecie Karoliny Południowej.

Tak więc dzisiejszym oświadczynom młodego człowieka towarzyszyło trochę ostrożnych manewrów. Jackson zaprosił ojca Jacka, Duncana P. Fielda, szanowanego adwokata z Kingstree, na lunch do ekskluzywnego klubu, aby omówić z nim małżeńskie plany dzieci. W klubie, nad solą w sosie marguery à la Brylantowy Jim, pan Jackson wysunął sugestię, że skoro Jack zamierza poślubić Ellie, lepiej zrobiłby, pozostając na razie

w Karolinie, tym bardziej że częścią posagu Ellie miał być cały prawniczy interes jej ojca, który zamierzał przekazać kancelarii Field, Field i Sobers w Kingstree.

Duncan P. Field nie chciał sprzedawać syna ze szkodą dla niego, ale sam również był zdania, iż Jack powinien zdobyć prawnicze doświadczenie w Karolinie, zanim spróbuje wypłynąć na burzliwe wody sporów prawnych na polach naftowych. Poza tym było jeszcze coś, o czym rzadko mówił – jego bolesny, męczeński związek z matką Jacka, która zmarła na zapalenie opłucnej, gdy chłopiec miał dziesięć lat. Pragnął, aby jego syn miał radośniejsze życie, a wiedział, że Ellie może mu dać szczęście.

Kiedy młodzi szli do domu trawnikiem, Jackson wstał z werandowego fotela i uniósł kieliszek szampana.

– Piję za wasze powodzenie – oświadczył. – Matka Ellie pewnie poszłaby w moje ślady, ale uważa, że już dość się postarała w tym względzie.

Pani Jackson, wytworna, prosta jak trzcina dama w letniej białej sukience zapinanej z przodu na guziczki i gustownie ozdobionym białymi różami kapeluszu, roześmiała się i pokiwała głową. Akceptowała Jacka. Był bardzo przystojny i swobodny w obejściu, poza tym palił

fajkę, a pani Jackson zawsze uważała, że w paleniu fajki jest coś nieodparcie męskiego.

– Siadajcie, siadajcie – zaprosił Jackson młodych do stołu. – Są zapiekane jabłka z cynamonem, herbatniczki w czekoladzie oraz ciasteczka imbirowe.

Stolik na werandzie przykryto białym koronkowym obrusem. Stały na nim eleganckie tacki ze słodyczami, georgiański srebrny serwis herbaciany oraz wielka, zielona, spocona butelka bollingera w srebrnym kubełku z lodem. Przy stoliku siedziały jeszcze Annette i Esther, najstarsza z czterech sióstr Ellie. Esther doglądała syna Christophera, który leżał na trzech poduszkach, chroniony przed okruchami ogromną białą serwetą i białym pajacykiem z niedźwiadkiem polarnym na brzuszku. Wszyscy byli podnieceni i zarumienieni, wszyscy pili szampana i Jack przyłapał się na tym, że poruszony śmiechem i zalotnym podziwem pani Jackson i jej córek paple trzy po trzy.

– Kiedy Earle przyszedł prosić o moją rękę – powiedziała z eleganckim południowym akcentem pani Jackson – tato powiedział mu: „A nie mógłbyś zamiast niej wziąć Alexandry? Ta to mi dopiero działa na nerwy”.

Wszyscy zaczęli się śmiać. Siedzieli pod chłodnym dachem werandy osłoniętej liśćmi kwitnącego powojnika, pili herbatę darjeeling i rozmawiali. Tego rodzaju rodzinna atmosfera była dla Jacka czymś zupełnie nowym i początkowo był ostrożny i pełen rezerwy, ale wkrótce poczuł się tak dobrze w kręgu Jacksonów, jakby spędził w nim większość życia.

Earle Jackson wstał. Nie był wysoki, miał zaledwie pięć stóp i dziewięć cali. Zmierzwił czuprynę wnuka, którego usta po zjedzeniu czekoladowego herbatnika były ciemnobrązowe jak usta murzyńskiego śpiewaka, i oświadczył cichym, przepojonym radością głosem:

– Chcę teraz wznieść toast za nas wszystkich. Jesteśmy dziś naprawdę szczęśliwi z powodu zaręczyn Ellie i Jacka. Wiem, że Jack chciał wybrać się na Zachód i zbić fortunę na polach naftowych, ale myślę, że zdał sobie sprawę, że pozostając tutaj, w Karolinie, będzie mógł lepiej przygotować się do wyzwań, jakie napotka na swojej drodze. Moim zdaniem jednym z najlepszych kroków, jakie poczynił w ramach tych przygotowań… a jestem tu raczej nieobiektywny… było oświadczenie się naszej córce. Ellie, podobnie jak Annette, Esther i Caroline, została wychowana tak, aby czerpać

z życia pełnymi garściami i oddawać całe serce wszystkiemu, co czyni. Cóż, z radością widzę, że w końcu oddała serce temu młodemu człowiekowi, z którego wszyscy możemy być dumni. Życzę im obojgu wiele szczęścia.

Jack wstał, trochę zamroczony szampanem i zarumieniony.

– Bardzo dziękuję panu za te słowa – powiedział. – Zrobię, co będę mógł, aby nie sprawić panu zawodu. Okazaliście mi dobroć, która przewyższa wszystko, czego ktokolwiek mógłby się spodziewać. Kocham Ellie i zamierzam zrobić, co w mojej mocy, aby ją uszczęśliwić, i mam nadzieję, że uszczęśliwiając ją, uszczęśliwię również pana.

Kiedy usiadł, Ellie go pocałowała i znów wszyscy się śmiali i klaskali, a Jack może po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że jest naprawdę szczęśliwy.

– Wobec tego musimy ustalić datę – stwierdziła pani Jackson. – Oczywiście gdzieś na wiosnę.

– I listę gości! – zawołała Annette. – Musimy ustalić listę gości. Mój Boże, to będą całe tłumy!

– A co z tortem? – spytała Esther. – Ile ma być warstw? Dużo dzieci chcielibyście mieć?

Ellie zaróżowiła się aż po dekolt.

– Jeszcze nie myśleliśmy o dzieciach – odparła. – Jack powiedział, że mu wystarczy, jeśli urodzą się zdrowe i będą miały wszystkie paluszki.

Pozostali na werandzie, dopóki nie zrobiło się chłodno. Wtedy panie poszły się przebrać do kolacji, a Jackson i Jack przeszli do palarni, stanęli przy wysokim oknie wychodzącym na drzewa i pola plantacji i zaczęli rozmawiać.

– A więc jutro wyruszasz na Rhode Island – zagadnął Jacka przyszły teść.

– Zgadza się, proszę pana. To nietypowa rozprawa. Jeden z naszych najstarszych klientów ma problem z wykupem ziemi. Dostał zakaz sądowy. Duża sprawa. No, w każdym razie dla mnie.

Jackson odkaszlnął.

– To dobrze, bo nabierzesz doświadczenia. Zawsze z przyjemnością patrzę, jak energiczny młody człowiek idzie do przodu. Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się, czy nie mógłbym cię czymś obciążyć, kiedy będziesz w tamtych stronach. Mam trochę wartościowych przedmiotów, biżuterii, obrazów i tym podobnych rzeczy, które odziedziczyłem po matce, gdy zmarła w zeszłym roku. Zamierzałem je zabrać do Nowego Jorku na aukcję, ale nie

miałem okazji i sprawy tak się układają, że przez jakiś czas nic mi się nie nadarzy. Wiesz, brak ludzi, szczególnie na roli. Może gdybyś skończył na Rhode Island, wpadłbyś na kilka dni do Nowego Jorku i w moim imieniu wystawił te rzeczy na aukcji? Oczywiście pokrywam wszystkie wydatki.

Jack był nieco zakłopotany. Nie miał żadnych ważnych zobowiązań na resztę wakacji, jednak poza tym, że zamierzał spędzać z Ellie tak dużo czasu, jak to tylko będzie możliwe, obiecał kumplowi z college'u, który pracował w Columbii, wędkowanie nad jeziorem Marion.

– Hm, nie jestem pewien, czy mi się to uda – powiedział.

Jackson wzruszył ramionami.

– Skoro nie jesteś pewien, to trudno. Ale byłoby mi na rękę, gdyby ktoś mnie odciążył. Dopilnowanie sprzedaży tych błyskotek to tylko kwestia kilku dni. Mógłbyś się zatrzymać u Forbesów, moich przyjaciół. Spodobaliby ci się. Mieszkają w Ritzu-Carltonie przy Czterdziestej Szóstej Ulicy.

Jack musiał przyznać, że propozycja ojca Ellie wygląda interesująco. W Nowym Jorku był tylko dwa razy – jako mały chłopiec i jako student – a wizja pobytu w Ritzu i obejrzenia miasta bez

wydawania centa z własnej kieszeni była diablo kusząca. Tym bardziej że alternatywą miało być łowienie ryb w towarzystwie Olivera Talmadge'a, może i zabawnego chłopa, gdy nie było nic lepszego do roboty niż ślęczenie w dziurawej łajbie i czekanie, aż jakiś pstrąg zlituje się nad przynętą, bo Talmadge potrafił ćwierkać jak ptak, ryczeć jak łoś i buczeć jak prezydent Taft, ale kiedy już pojawiało się coś lepszego do roboty, okazywał się plagą, która nie umiała grzecznie wyparować we właściwej chwili. Oczywiście będzie tęsknił za Ellie, ale Earle Jackson okazał mu tak wielką szczodrobliwość i przyjaźń, że byłoby nieuprzejmością nie pójść mu na rękę.

– Musiałbym poprzekładać to i owo, ale sądzę, że to się da zrobić – odparł. – Z przyjemnością pojadę.

Jackson się rozjaśnił.

– Hm, miło mi – powiedział. – Nie uśmiecha mi się oddawanie tych kosztowności w ręce pocztowców czy kolejarzy, poza tym potrzebuję kogoś, kto osobiście zabrałby je do Parke-Berneta. A że mam piękną zakładniczkę, czekającą tu na ciebie, jestem pewien, że nie uciekniesz z nimi w siną dal.

Jack uśmiechnął się szeroko.

– Prędzej postradam zmysły, niż ucieknę od Ellie.

Kominkowy zegar z rzeźbieniami w brązie zaczął wybijać godzinę siódmą, zgrzytając do wtóru ostrych uderzeń gongu.

– Co powiesz na burbona przed kolacją? – zapytał Jackson. – Mam własną mieszankę z Kentucky. Jeśli do tej pory nic ci nie dało rady, teraz będziesz musiał się poddać.

♦ ♦ ♦

Tamtego wieczoru, po sutej kolacji składającej się z zupy żółwiowej, tostów z musem szynkowym, młodej indyczki w sosie bordelaise i sorbetu pomarańczowego, a także po wielu, wielu wybuchach śmiechu i butelkach szampana Jack i Ellie pili kawę na werandzie, mając za sobą rodziców Ellie, siedzących w dyskretnym oddaleniu, i słuchając lirycznego szelestu drzew oraz odległej muzyki skrzypiec dobiegającej z budynków dla służby znajdujących się po drugiej stronie stajni.

Ellie w wieczorowej sukni, koronkach na błękitnym jedwabiu, siedziała prosto jak jej matka, a Jack pykał fajkę i przyglądał się narzeczonej z tajoną rozkoszą świeżo

zakochanego mężczyzny. Podziwiał jej błyszczące, szeroko rozwarte oczy, łagodny garbek nosa i lekko rozchylone usta. Światło werandowej lampy odbijało się od brylancików i szafirów jej zaręczynowego pierścionka, rozpalając błyski niebieskiego ognia na spoczywającej na podołku dłoni.

– Boisz się? – spytała.

– Czego miałbym się bać?

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Ćmy trzepoczące skrzydełkami wokół lampy rzucały cieniste wzory na jej policzki.

– Dorosłości. Tego, że będziemy zdani na własne siły.

– Nie sądzę. Od dawna jestem zdany na własne siły.

– Ja się trochę boję bycia kobietą.

– Nie ma się czego bać. Poza tym będziesz miała męża, który się tobą zaopiekuje.

Uśmiechnęła się.

– Nie chcę, żebyś się mną za bardzo opiekował. To też jedna z rzeczy, których się boję. Wydaje mi się, że w dzisiejszych czasach kobieta powinna być bardziej niezależna. Wiesz, nie jesteśmy woskowymi laleczkami, które owija się w bibułkę i trzyma w domu. Myślę, że kobiety powinny starać się dorównać swoim mężom.

Jack zrobił powątpiewającą minę.

– Chyba nie masz na myśli pracy? Nie chciałbym, żeby moja żona pracowała.

– Oczywiście, że nie. Ale jestem pewna, że mogę sobie znaleźć wiele ciekawych i dochodowych zajęć. Otrzymałam staranne wykształcenie. Potrafię hodować konie, kwiaty i nawet sterować łódką.

– Zaraz powiesz, że chcesz głosować.

– Nie byłabym zaskoczona, gdyby do tego doszło. Założę się, że więcej wiem o polityce niż większość mężczyzn. Mam swoje zainteresowania, Jack, i chcę być taką kobietą, z którą można rozmawiać i którą można szanować równie mocno, jak kochać.

Ubił tytoń w fajce.

– Kochałbym cię nawet wtedy, gdybyś nie umiała rozmawiać.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, jakby dotykała czegoś rzadkiego i cennego. Owinęła kosmyk jego włosów wokół palca.

– Ale nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli spróbuję mieć własne zdanie? To oczywiście wcale nie znaczy, że będę cię mniej kochać czy słuchać. Ale mama i papa zawsze nam mówili, że należy mieć własne opinie i trzeba samodzielnie myśleć.

Ujął ją za przegub, pochylił się i delikatnie pocałował w usta.

– Bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie, masz być zawsze sobą, moja droga Ellie – odparł. – Chcę się z tobą ożenić, bo kocham cię taką, jaka jesteś, i jeśli będziesz miała swoje zdanie, czy to na temat amerykańskiej polityki na Karaibach, czy na temat koloru wyprawki dla dziecka, wszystko, co powiesz, będzie równie mile widziane w naszym domu jak ty.

Rozsiadł się wygodniej w wiklinowym fotelu i popatrzył na nią ciepło.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się niedawno, co będziesz robić przez cały dzień, kiedy weźmiemy ślub i gdy będę wychodził do pracy. Pamiętam matkę siedzącą cały dzień w podomce, czytającą książki i jedzącą cukierki, znudzoną i rozdrażnioną jak mysz uwięziona w klatce. Gdy ojciec wracał do domu, zawsze wylewało się z niej całe nagromadzone znudzenie i napięcie, bo była zbyt leniwa, żeby wstać i zrobić coś interesującego.

Urwał i popatrzył na nią niepewnie. Nie chciał wyrażać się źle o swojej zmarłej matce, ale trudno mu było wytłumaczyć narzeczonej, jaki jest i co czuje, nie wspominając o niej.

– Kocham cię, Ellie – powiedział cicho. – Jeśli będziesz chciała hodować konie czy kwiaty albo nawet wspinać się po górach, pomogę ci. Chcę wiedzieć, że jesteś szczęśliwa i robisz to, co chcesz. Nie mogę obiecać, że nigdy nie będę o ciebie zazdrosny ani że nie będę opiekuńczy. Obiecuję jednak, że nie będę próbował trzymać cię pod kloszem ani nie będę narzucał ci stylu życia, który mógłby ci nie odpowiadać.

Pocałowała go szybko i zerknęła przez ramię, aby się upewnić, czy rodzice tego nie widzieli.

– A co zrobisz, jeśli będę bardzo niesforna i niegrzeczna?

– Niezależne dziewczyny nie są niesforne.

– Och, czasem są. Ale to, że się ma własne zdanie, wcale nie znaczy, że czasem nie chce się być traktowaną jak bezbronna kobietka.

Uśmiechnął się szeroko.

– No cóż… jeśli będziesz niesforna… zasłużysz na reprymendę.

Zachichotała.

– Co będzie, jak po tej reprymendzie nadal będę niesforna?

Udał, że się zastanawia, a potem cmoknął ja w czubek nosa i oświadczył:

– Wtedy będę zmuszony sprawić ci lanie.

Kokieteryjnie opuściła powieki.

– Żeby na nie zasłużyć, będę musiała być często niesforna, prawda? Wtedy, gdy już porozmawiamy o twojej pracy, sytuacji politycznej i kolorze wyprawki dla dziecka…

Przez długą chwilę spoglądali na siebie bez słowa, a potem wybuchnęli śmiechem tak głośnym i tak długim, że łzy stanęły im w oczach. Pan Jackson, nie znając przyczyny ich wesołości, ale ucieszony ich rozbawieniem, uśmiechnięty odwrócił się do żony, jakby chciał powiedzieć: „Patrz, jakie nasze dzieci są szczęśliwe! To także nasza zasługa”.

♦ ♦ ♦

Johann Cornelius wyszedł na pokład zaraz po tym, jak parowiec minął Shutes Folly Island w porcie Charleston i skierował się na otwarte morze. Stał przez chwilę, trzymając się lakierowanej poręczy, chłodna atlantycka bryza mierzwiła mu włosy, gdy przyglądał się migocącemu na wodzie słońcu popołudnia i znikającemu powoli w oddali zarośniętemu drzewami brzegowi James Island. Z boku parowca podskakiwał na falach mały holownik, gwiżdżąc i wypuszczając białe obłoczki pary, które pofrunęły w stronę lądu. Wokół krążyły

i nurkowały mewy. Johann wyjął zieloną chusteczkę i dokładnie wysiąkał nos.

Chociaż podróż koleją byłaby szybsza, wolał drogę morską. Miał dwie kajuty pierwszej klasy wyposażone w biurko i wygodne łóżko i utrzymywał łączność z lądem za pośrednictwem telegrafu. Poza przystankiem w Charlestonie, gdzie *Galveston Bay* uzupełniał zapas węgla, cały czas znajdowali się na otwartym morzu, dzięki czemu Johann był poza zasięgiem różnych natrętów, darmozjadów i mających ochotę ciągać go po sądach konkurentów. Towarzyszom podróży wydawał się skwaśniałym bogatym ekscentrykiem zabijającym czas pływaniem na małym przybrzeżnym parowcu. Gdy zapytywano go, dlaczego spędza tak wiele godzin zamknięty w kabinie, zawsze odpowiadał tylko: „Kanasta”, jakby to wszystko tłumaczyło. Ale gdy podróżował do Nowego Jorku, jego kabiny były kwaterą główną całego Cornelius Oil. Siedząc przy wielkim mahoniowym biurku oświetlonym lampami z zielonymi abażurami, obok sepiowej fotografii smutnej damy w boa, dniem i nocą pociągał za sznurki, które biegły do pól naftowych w Teksasie, Oklahomie i Kalifornii, towarzystw ubezpieczeniowych w Nowym Jorku,

zakładów chemicznych w Indianie i Illinois oraz do gabinetów polityków w Waszyngtonie. Wielu republikańskich senatorów i kongresmenów z zainteresowaniem śledziło jego stały marsz w górę, chociaż nie podobał się Rockefellerom, a J.P. Morgan oświadczył: „Gdybym miał wybór między bytem lub niebytem Johanna Corneliusa na tej ziemi, nawet po kilku godzinach wszechstronnego rozważania tych dwóch możliwości trudno by mi było znaleźć jakiś argument przemawiający za pierwszą z nich”.

Johann żył między wielkim białym domem przy lepszym końcu Washington Avenue w Houston i siedmiopokojowym apartamentem w świeżo zbudowanym nowojorskim hotelu Plaza, z którego coraz bardziej chciał się wynieść, po części dlatego, że kosztowało go to sto dolarów dziennie, nawet kiedy tam nie przebywał, a po części dlatego, że tuż obok niego mieszkała Clara Bell Walsh, wdowa po Juliusie Walshu, królu maszyn do pisania, posiadaczka sfory psów różnych ras, które nieustannie szczekały. Obejrzał już nawet kilka willi w dzielnicy rezydencjalnej i spodobał mu się jeden z domów na obmywanej falami Hudsonu wyspie Lynwood.

Podczas tamtych lat przed pierwszą wojną światową ci, którzy go znali, widzieli, że jest

bardziej zamknięty w sobie niż kiedykolwiek przedtem i potem. Tylko dwaj ludzie mieli z nim bliższy kontakt. Pierwszym z nich był Jerry Slobodien, szef wydobycia, zawodowy nafciarz o chudej, jakby rzeźbionej twarzy, zawsze pokrytej wczorajszym zarostem, mający słabość do sygnetów z rubinami i rzemykowych krawatów. Drugim – osobisty służący Johanna, Carl, wiecznie zafrasowany bladolicy Szwed, który spędzał cały wolny czas na pokładzie z komiksem o parce niesfornych dzieciaków, *Katzenjammer Kids*, odczytując głośno fragmenty, które mu się najbardziej podobały, takie jak: „I nagle – biw-baw! – i znów biw-baw, a sir Reginald Wienerschnitzel zdoczył się w bagno i znig raz na zawrze”.

Skryte życie Johanna było przedmiotem licznych spekulacji na Wall Street. Wielu ludzi uważało go za ekscentryka, który na śniadanie je kaczeńce, śpi we fraku i nigdy do niczego nie dojdzie. Prawdopodobnie najbliżej prawdy był J. Paul Getty, gdy stwierdził, że Johann Cornelius w ogóle nie ma czasu na życie towarzyskie, bo musi się zajmować swoimi interesami.

Jego szyby dawały dziennie miliony baryłek w Sweetwater, Muskogee, Seal Beach i Checotah, fabryki azotowe w Gary, Peorii i Normal

produkowały tony nawozów i materiałów wybuchowych, a klienci firm ubezpieczeniowych wpłacali codziennie tysiące dolarów – i musiał tego wszystkiego dopilnować. Prowadzenie wielomilionowego interesu, który niezwykle szybko się rozwijał, było bardzo absorbujące, zwłaszcza że Johann nikomu nie lubił przekazywać odpowiedzialności. Tkwił przy biurku niemal przez osiemnaście godzin dziennie i mimo to pozostawiał niedokończoną pracę, niepodpisane dokumenty i nieprzeczytane kontrakty. Kładł się do łóżka szarym świtem, kompletnie wyczerpany, ale mimo to czytał dokumenty, póki oczy same mu się nie zamknęły. Kiedy każdego ranka odchodził od oprawionego w skorupę żółwia lustra, przy którym się golił, nadal prześladował go widok własnej twarzy o przekrwionych oczach, pobrużdżonej i zmęczonej. Nie skończył jeszcze trzydziestego szóstego roku życia, ale wyglądał jak pięćdziesięciolatek.

Jednak to nie sama praca tak bardzo oddalała go od innych ludzi. Nikt się nie spodziewał, by kiedykolwiek powiedział coś na ten temat, ale stewardzi z *Galveston Bay* czasem zastawali go półleżącego w skórzanym fotelu, gryzącego paznokieć kciuka i wpatrującego się w fotografię

stojącą na biurku. Kiedyś jeden z kelnerów zdobył się na odwagę (po pięciu czystych burbonach i zakładzie o sześć dolarów) i spytał, kim jest dama ze zdjęcia. Johann spojrzał na niego niewidzącym wzrokiem i wymamrotał tylko: „Spytaj o to Lennoxa”. Ponieważ jednak kelner nie miał pojęcia, kim jest Lennox, tożsamość pięknej, choć smutnej kobiety z fotografii pozostała tajemnicą.

Johann lubił od czasu do czasu wychodzić na pokład, by zaczerpnąć powietrza, zwłaszcza gdy ziemia była w zasięgu wzroku. Stwarzało mu to również możliwość obserwacji towarzyszy podróży, których zwykle było niewielu. Rzadko się odzywał, ale lubił przyglądać się ludziom; byli to różni wracający do domu kombinatorzy z Północy, którzy nie odnieśli sukcesu na uprzemysłowionym Południu, wdowy, które pochowały małżonków z dala od rodzinnych stron i wracały do domów, niewykwalifikowani robotnicy, bezrobotni marynarze i hipochondrycy w zbyt luźnych ubraniach, którzy z niewiadomych przyczyn uważali, że podróż morska wzdłuż wybrzeża może być korzystna dla ich zdrowia.

Jednak gdy Johann tego dnia stał przy relingu, jego uwagę zwrócił młody mężczyzna, który

wcale nie wyglądał na bezrobotnego marynarza ani niewykwalifikowanego robotnika. Był wysoki, bardzo przystojny i tryskał zdrowiem, jakby życie jeszcze go nie nadkruszyło, żadne nieszczęście nie pokiereszowało. Miał wyrazisty, ostry profil i pewnie jeszcze nie używał brzytwy częściej niż dwa razy w tygodniu. Było w nim coś, co wzbudziło ciekawość Johanna, więc zaczął mu się przyglądać, wciskając ręce w kieszenie płaszcza z grubej, szorstkiej wełny i łzawiąc od wiatru.

Po chwili chłopak odwrócił się od relingu i przeszedł po pokładzie, przecinając rzucany przez komin cień, w którym stał Johann.

– Nie musisz się martwić – odezwał się Johann. – Nie będzie zbytnio rzucało.

Młody człowiek zaczerwienił się lekko i uchylił kapelusza.

– Już pływałem po morzu, proszę pana – odparł. – Nie sądzę, aby kilka bryzgów fal napędziło mi pietra.

Johann przez chwilę mu się przyglądał, po czym spytał:

– Więc nie boisz się morza?

– Nie, proszę pana.

Znów zapadła cisza. Morska bryza śpiewała w olinowaniu nad głową Johanna.

– Wybacz, że to powiem, ale wyglądasz, jakbyś zostawił za sobą coś bardzo ważnego.

– Naprawdę tak wyglądam? – zdziwił się chłopak.

– Właśnie. Zdradza to twoja postawa. Widzisz, często pływam i wiem, kiedy ktoś zostawia na lądzie coś bardzo ważnego.

Młody człowiek przeczesał ręką włosy.

– Jest pan bardzo spostrzegawczą osobą.

Johann wzruszył ramionami.

– Znam wielu takich, którzy by się z tobą nie zgodzili.

Młodzieniec odwrócił się i spojrzał w kierunku Charlestonu.

– Prawdę mówiąc, zostawiłem na lądzie narzeczoną. Ale tylko na kilka dni. Płynę do Nowej Anglii, a potem do Nowego Jorku.

– Pociągiem wróciłbyś szybciej.

– Wiem, proszę pana. Jednak mój przyszły teść uważa, że na tej trasie nie należy ufać pociągom.

Johann popatrzył na jasnoturkusowe morze.

– Twój teść prawdopodobnie ma rację. Pociągi rzeczywiście nie są godne zaufania… Jeden pociąg odjeżdża, a drugi przyjeżdża. Z pierwszym szczęście odchodzi, z drugim przybywa żal.

Młodzieniec najwyraźniej nie zrozumiał tego, co usłyszał, bo tylko uprzejmie się uśmiechnął.

– Zechce mi pan wybaczyć – powiedział. – Schodzę do swojej kabiny.

Johann położył mu dłoń na ramieniu.

– Na samotne przesiadywanie w kabinie będzie jeszcze czas. Chodź, napijmy się. Jeśli jesteś zaręczony, może wypadałoby to uczcić.

Młody człowiek popatrzył na niego z wahaniem.

– Wybaczy pan, ale nie ma pojęcia, kim pan jest.

Johann uśmiechnął się lekko.

– Być może byłoby lepiej, gdyby tak pozostało. Ale nazywam się Johann Cornelius i jestem właścicielem szybów naftowych.

Młodzieniec wyciągnął rękę. Uścisk jego dłoni był równie stanowczy jak on sam.

– Chyba o panu słyszałem i bardzo miło mi pana poznać. Jack Field, adwokat.

Johann uniósł brwi.

– Przyjemnie mi to słyszeć. Bóg broni tych, którzy się bronią sami. Chodźmy, tu niedaleko jest bar. Errol potrafi zrobić najlepszego nowoorleańskiego sazeraca, jakiego kiedykolwiek próbowałeś. Tak mi przynajmniej powiedziano.

Jack uśmiechnął się niepewnie, gdy potężnie zbudowany, wyglądający jak Holender mężczyzna w granatowym płaszczu z grubej wełny pociągnął go w stronę podwójnych lakierowanych drzwi prowadzących do restauracji i baru. Drugie pomieszczenie było niewielkie – sześć stóp polerowanego czerwonego marmuru z dwoma mosiężnymi, latarniowymi kinkietami, których wsporniki imitowały kiście winogron. Za barem stał Errol. Miał skwaszoną minę, wypomadowane, sterczące do góry wąsy i śnieżnobiałą kurtkę barmańską. Był dumą małego parowca, chociaż stał się nią tylko na skutek pewnego nieprzyjemnego epizodu sprzed kilku lat w barze Bank Exchange Saloon w San Francisco. Gdyby nie to, dalej robiłby drinki razem ze sławnym Duncanem Nicolsem. Teraz włóczył się w górę i w dół wybrzeża, przyrządzając drinki szczurom lądowym – ludziom, którzy zwykle przy pierwszej większej fali pozbywali się ich, wymiotując za reling.

Usiedli na obitych skórą wysokich stołkach. Errol nalał Johannowi małą brandy i przesunął kieliszek po blacie, po czym spojrzał na Jacka i rzekł:

– Jeśli się nie mylę, szanowny pan preferuje burbona.

Jack zerknął na Johanna, którego zaczerwieniona od wiatru twarz pozostała bez wyrazu.

– Owszem – odparł. – Old Fashioned[2] proszę.

Errol sporządził drinka tak błyskawicznie, jakby miał osiem par rąk. Postawił szklaneczkę na barze i oświadczył:

– To najlepszy Old Fashioned, jakiego pan kiedykolwiek próbował, bo w jego skład wchodzi Pendennis Club z Louisville w Kentucky, a właśnie tam stworzono Old Fashioned. Jeśli kiedyś będzie pan miał ochotę na dobrze skomponowanego drinka, zapraszam. W żadnym innym lokalu niczego takiego panu nie podadzą.

Johann skrzywił się lekko.

– Każdy barman wierzy, że jest najlepszym barmanem na świecie, ale Errol prawdopodobnie rzeczywiście jest najlepszy.

Jack miał na końcu języka pytanie: „To co, do diabła, robi na tej łajbie?”, ale uszanował fakt, że większość stałych pasażerów *Galveston Bay* i jej załoga mają przeszłość, o której chcieliby zapomnieć, i teraźniejszość, której raczej woleliby nie spoglądać w oczy, więc tylko się uśmiechnął i wzniósł toast:

– Za przyjemną podróż.

Errol zaczął polerować shaker śnieżnobiałą ścierką.

– Podobno ma o nas zahaczyć huragan z Cape Hatteras, więc może nie być zbyt przyjemnie.

Johann uniósł kieliszek.

– W takim razie warto wypić za to, żeby o nas nie zahaczył. Za bezproblemową podróż.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, po czym Jack powiedział:

– Mam wrażenie, że pan często tu pływa.

– Zdecydowanie za często – odparł Johann. – Kilka razy w roku. Gdyby nie to, że lubię sam rzucić okiem na moje interesy w Teksasie i w Nowym Jorku, za nic w świecie nie wsiadłbym na tę łajbę.

– To zupełnie tak samo jak ja – mruknął Errol, ale gdy popatrzyli na niego, był bardzo zajęty nalewaniem schłodzonego soku cytrynowego do karafki i nawet nie podniósł głowy.

– Pańskie nazwisko wiele znaczy w przemyśle naftowym – zauważył Jack.

– Chyba tak – przyznał Johann. – W naftowym i chemicznym.

– Sam próbuję wejść w przemysł naftowy – dodał Jack. – Wie pan, chodzi mi o spory prawne dotyczące pól naftowych. Mam wrażenie, że pod

tym względem jest tam wiele do zrobienia i dobry, rozważny adwokat mógłby zarobić sporo pieniędzy.

Johann przez chwilę wpatrywał się w niego bladymi, pozbawionymi wyrazu oczami i Jack poczuł się ważony i oceniany niczym worek cukru.

– Ma pan wielu adwokatów, panie Cornelius? – spytał.

– Więcej, niżbym chciał – odparł Johann. – W tej chwili korzystam z usług dwóch znanych kancelarii. McErrow i Johnson w Teksasie oraz Orris i Nussbaum w Nowym Jorku.

– Słyszałem o Orrisie i Nussbaumie. Cieszą się znakomitą renomą.

– Starają się – mruknął Johann.

Nie spieszył się, był ciekaw, co ten młody człowiek jeszcze powie. Miał wrażenie, że Jack Field jest kimś wyjątkowym, że wsiadł na pokład tego parowca, ponieważ tak chciało przeznaczenie. Zawsze był przekonany, że życiem ludzi rządzi przeznaczenie, i właśnie dlatego zagadnął Jacka Fielda, kiedy go ujrzał na pokładzie. Zwykle nie zagadywał ludzi podczas podróży i bardzo rzadko zaglądał do baru. Ale dzisiejszy dzień wydał mu się inny niż zwykle,

a Jack Field innym człowiekiem niż pozostali pasażerowie.

– Osobiście jestem zdania, że prawnicy obsługujący przemysł muszą działać tak samo jak jego inni pracownicy – powiedział Jack.

– To znaczy?

– Gdybym reprezentował firmę naftową, pojechałbym najpierw na pola naftowe i od podstaw nauczył się nafciarstwa. Obejrzałbym główne etapy wydobycia i dalszą drogę surowca, zapoznałbym się z problemami, jakie pojawiają się przy wierceniu, pompowaniu, magazynowaniu i rafinowaniu, więc stając przed sądem, zawsze wiedziałbym, o czym mówię. Jest zbyt wielu adwokatów, którzy reprezentują swoich klientów, nie mając pojęcia, na czym polega ich praca. Domyślam się, że nafciarstwo to twardy, wymagający znajomości techniki zawód, toteż potrzebuje twardych i obeznanych z techniką adwokatów.

Johann pociągnął łyk drinka i przesunął językiem po wargach.

– Wygląda na to, że masz bardzo zdecydowane poglądy na ten temat – zauważył.

– No cóż, adwokaci muszą mieć zdecydowane poglądy.

Errol postawił przed nimi miseczkę z herbatniczkami sezamowymi. Johann sięgnął po jednego i ostrożnie go ugryzł. Przez cały czas nie odrywał wzroku od Jacka.

– Skoro masz wyrobione poglądy na temat tego, jak powinien pracować adwokat z branży naftowej, to co tu robisz? Rozmawiałeś już z kimś? Z Shellem? Standard Oil? Czemu nie ze mną?

Jack się uśmiechnął.

– Hm, to długa opowieść. Ale chodzi tu przede wszystkim o moje narzeczeństwo.

– Mimo to opowiedz mi.

Początkowo Jack nie chciał mówić o Ellie ani o zastrzeżeniach pana Jacksona, uzależniającego zgodę na ślub od jego pozostania w Karolinie Południowej. Obawiał się, że słysząc tego rodzaju wyjaśnienie, jego nowy znajomy uzna, iż ma do czynienia z maminsynkiem. Ale po zastanowieniu uznał, że skoro podjął taką, nie inną decyzję, musi umieć ją obronić. Być może Johann Cornelius zrozumie jego wybór.

– Wydaje mi się, że problem polega na tym, że spotkałem na swojej drodze miłość – powiedział. – To nie zakochanie się czy zauroczenie, ale prawdziwa miłość. Moje uczucie jest tak silne, że mógłbym je oddestylować, wlać do butelki

i postawić na półce. Przypuszczam, że taka miłość zdarza się raz w życiu. Pola naftowe zawsze mogą na mnie poczekać.

Johann słuchał go, przeciągając ręką po swoich rzednących wypomadowanych włosach.

– Jeszcze jednego drinka, proszę pana? – spytał Errol.

Johann pokręcił głową i popatrzył na młodego mężczyznę.

– Podjąłeś niewłaściwą decyzję – stwierdził.

Jack poczerwieniał.

– Nie sądzę, żebym wybierając Ellie na żonę, podjął niewłaściwą decyzję, proszę pana. To piękna i inteligentna dziewczyna. I bardzo niezależna, co raczej rzadko się zdarza.

– Nie miałem na myśli twojej narzeczonej – odparł Johann. – Na pewno jest piękna i inteligentna, gdyż inaczej byś jej nie pokochał. Nie ujmuję jej niczego i jestem pewien, że to urocze stworzenie. Ale krytykuję twoją decyzję. Żadna kobieta, choćby najwspanialsza, nie zastąpi ci zawodowych możliwości, które tak lekko odrzucasz.

Jack odstawił swoją szklaneczkę i Errol zrobił mu kolejny koktajl.

– Chyba niezbyt mi się podoba pański sposób mówienia o tej sprawie. Przecież pan mnie

prawie nie zna.

– Znam cię lepiej, niż myślisz, mój chłopcze, bo znam samego siebie. Znam się również na nafcie. Możliwości w przemyśle naftowym nie będą wiecznie takie same. To biznes, którym rządzi zasada: kto pierwszy, ten lepszy. Za kilka lat wielcy gracze rozgrabią wszystko, co jest do rozgrabienia. Jeśli chcesz pracować w nafcie, musisz zacząć już teraz, bo inaczej będziesz adwokatem w Karolinie Południowej do końca twoich dni.

Jack upił łyk drinka.

– Może ma pan rację, ale przynajmniej będę szczęśliwy – powiedział.

– Daj spokój, wiesz, że mam rację, i wiesz też, że nie będziesz długo szczęśliwy – odparł Johann. – Może rodzina twojej narzeczonej przekonała cię, że życie w Kingstree w Karolinie jest wspaniałe, ale gdzie tu wyzwanie i duże pieniądze? To, co mi mówiłeś o adwokatach od nafty, było niegłupie. Jeśli sam do tego doszedłeś, masz nie lada łeb i potrafisz dostrzec biznesowe możliwości tam, gdzie się nadarzają. Naprawdę myślisz, że będziesz zadowolony, przemierzając przez resztę życia chodniki Kingstree, uchylając kapelusza przed starszymi paniami i narzekając, że kurz niszczy twoje aksamitne kołnierzyki?

– Czy pan wie, jak to jest kochać kogoś tak bardzo, jak ja kocham Ellie? – spytał Jack.

Po chwili milczenia Johann zaprzeczył ruchem głowy i powiedział cicho:

– Chyba nie. Ale czy ty wiesz, jak to jest być bogatym?

– Tak, wiem, jak to jest żyć dostatnio.

– Nie chodzi o dostatnie życie, ale o bycie bogatym. Kiedy jesteś bogaty, jesteś… jesteś… – Johann urwał, uniósł rękę i zacisnął dłoń w pięść, jakby miętosił w niej banknoty.

Trudno mu było opisać, czym dla niego jest bogactwo, zwłaszcza komuś, kto właśnie zrezygnował z niego na rzecz małżeństwa. Widział, że Jack patrzy na niego wyczekująco ciemnymi oczami, jednak zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby opisał mu, jak naprawdę wygląda jego niepohamowana żądza pieniędzy, chłopak nie tylko by go nie zrozumiał, ale prawdopodobnie byłby wstrząśnięty. Któregoś dnia może pojmie, co Johann chciał mu powiedzieć, jednak nie teraz.

– …jesteś uzależniony – dokończył.

Jack jeszcze przez chwilę mu się przyglądał. Johann nie potrafił określić, czy chłopak się go boi, czy też nie; ale gdy Jack w końcu się odezwał, Johann doszedł do wniosku, że jednak nie.

Podobało mu się to. Chłopak był młody i niedoświadczony, ale nie wstydził się do tego przyznać. Johann nie znosił nieopierzonych zarozumialców.

– W takim razie najwyraźniej nie jestem uzależniony – stwierdził Jack. – A w każdym razie nie całkiem.

– Nikt nie może być uzależniony na pół gwizdka, Jack. Nie wtedy, gdy w grę wchodzą pieniądze.

– Och, myślę, że tacy ludzie się zdarzają, panie Cornelius. Myślę też, że jest wielu takich, którzy prędzej zaryzykowaliby na pół gwizdka niż na cały gaz.

Johann wysączył swojego drinka do dna.

– Co masz na myśli, mówiąc o pójściu „na cały gaz”? – zapytał.

– Rezygnację z małżeństwa z Ellie. W moim przypadku byłoby to pójście na cały gaz. Rezygnacja z religii na rzecz pieniędzy też byłaby pójściem na cały gaz. Albo zamordowanie dla pieniędzy.

– Więc według ciebie zabijanie dla pieniędzy jest niewłaściwe?

Jack zmarszczył brwi.

– Nie tylko według mnie, panie Cornelius. Jestem przekonany, że tak samo myśli większość

cywilizowanych ludzi.

– Doprawdy?

W tym momencie Errol oświadczył zupełnie ni w pięć, ni w dziewięć:

– Duncan Nicols tak robił poncz Pisco, że czy to było w tysiąc osiemset osiemdziesiątym, czy w tysiąc dziewięćset trzecim, za cholerę nie poczułbyś różnicy.

– To chyba więcej mówi o gustach klientów Nicolsa niż o jego umiejętności robienia drinków – mruknął Johann i dodał: – Byłbym rad, gdybyś zamknął gębę, Errol.

– Nie rozumiem, jak można usprawiedliwiać morderstwo dla pieniędzy – powiedział Jack.

Johann potarł czoło.

– Nie rozumiesz tego?

– Nie, proszę pana. Nie mogę.

– Hm, pozwól, że przedstawię to w następujący sposób… Załóżmy, że popełniłem morderstwo dla pieniędzy. Jak broniłbyś mnie wtedy przed sądem?

Jack wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, skoro nie znam okoliczności.

– Powiedzmy, że w pogoni za pieniędzmi dopuszczam się zaniedbania, doprowadzając w ten sposób do śmierci kobiety. Jaką linię

obrony zastosujesz? Jakie argumenty przedstawisz, aby przekonać ławę przysięgłych, że zrobiłem to w interesie Ameryki?

Jack wyjął z kieszeni fajkę i w zamyśleniu zaczął głaskać cybuch.

– Nie wydaje mi się, aby sala sądowa była właściwym miejscem do powoływania się na takie abstrakcyjne pojęcia jak „dobro ogółu” i „najlepsze postępowanie ze względu na okoliczności”. Widzi pan, tak naprawdę liczy się pozyskanie sympatii przysięgłych, ale wielu znakomitych prawników nie zdaje sobie sprawy z tego, że ława składa się z przeciętnych obywateli, którzy nie zawsze wiedzą, o co toczy się gra.

– Mów dalej – mruknął Johann.

Jack Field wzruszył ramionami.

– Cóż, dopiero zaczynam karierę. Nie jestem nawet wspólnikiem w kancelarii. Ale byłem na wielu rozprawach, na których gwiazdy palestry wygłaszały mowy poświęcone subtelnym zagadnieniom prawnym, powołując się na różnego rodzaju precedensy. Sędziowie przysięgli słuchali tego jak stado baranów, rozdziawiając gęby i najwyraźniej ani w ząb nie rozumiejąc, co do nich mówiono.

– A co ty byś zrobił? – spytał Johann.

Jack właśnie wsadził fajkę do ust i zaczął szukać tytoniu. Wyjął fajkę i powiedział:

– Odwołałbym się do rzeczy, które przysięgli potrafiliby zrozumieć. Ściągnąłbym starych żołnierzy i kazał im zeznać, że pokrył pan koszty ich leczenia w szpitalu. Sprowadziłbym burmistrza, by oświadczył, że zawsze służył pan społeczności miasta. Powołałbym też na świadków uczciwie wyglądających robotników, którzy potwierdziliby, że był pan dobrym szefem i pożyczał im pieniądze, kiedy było ciężko. I oczywiście sprowadziłbym wdowę po człowieku, który stracił życie, pracując dla pana, i kazał jej opowiedzieć, jak pan się nią opiekował. Dopiero potem wezwałbym kogoś z pańskiej firmy, by wyjaśnił, czemu nie zadbał pan o tamtą kobietę, zajmując się zamiast tego zarabianiem pieniędzy.

Johann pokręcił głową.

– Jak na tak młodego człowieka, sprawiasz wrażenie niezłego cynika.

– Wcale nie jestem cynikiem – odparł Jack. – Nie próbowałbym zwieść ławy ani bronić czegoś, czego nie da się obronić. Wytłumaczyłbym tylko przysięgłym, dlaczego zachował się pan tak, a nie inaczej, ale tłumaczyłbym im to, odwołując się do codziennego życia, nie do pojęć prawnych.

Wierzę w siłę prostych słów, panie Cornelius, to wszystko.

– Rozumiem. A co ty sam myślisz o takim przestępstwie? Czy uważasz, że dobro przemysłu i kraju może usprawiedliwić zaniedbanie prowadzące do czyjejś śmierci?

Jack znieruchomiał i na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia.

– Pyta pan, czy wierzę, że zarabianie pieniędzy dla dobra kraju może być wystarczającym uzasadnieniem zaniechania, skutkującego czyjąś śmiercią?

– Właśnie. Dokładnie o to pytam.

Jack powoli nabijał fajkę, grając na zwłokę, bo miał wrażenie, że chodzi tu nie tylko o rozwiązanie teoretycznego zagadnienia. Nie był niewrażliwy na aurę, jaką wytwarzali inni ludzie, a Johann Cornelius wytwarzał wokół siebie pole grawitacyjne, które nieubłaganie przyciągało do niego wszystkich i wszystko, co nie było przyśrubowane do podłogi lub pokładu.

Z restauracji, w której dwaj czarni stewardzi zaczęli przygotowywać nakrycia do lunchu, dobiegało dzwonienie srebra, gdyż statek przewalał się na boki i huśtał w górę i w dół. Przez czerwony dywan, którym pokryta była podłoga, dochodziło miarowe dudnienie

silników, a w powietrzu unosił się zapach kremu z zielonego groszku.

Jack przyglądał się Johannowi Corneliusowi i zastanawiał, co powinien powiedzieć.

– Myślę, że musiałbym lepiej pana poznać, aby szczerze odpowiedzieć na to pytanie – odparł w końcu.

– Ale z pewnością masz jakąś opinię na ten temat.

– Cóż mogę powiedzieć? Może jest pan świętym, a może kobieta, o której mowa, sama była sobie winna. Jednak równie dobrze może pan być draniem, który doprowadził ją do śmierci swoją bezdusznością.

Przez chwilę myślał, że wyprowadził Johanna Corneliusa z równowagi, ale jego towarzysz tylko lekko kiwnął głową, po czym odwrócił się do Errola i powiedział:

– Nalej mi jeszcze jednego drinka, Errol. Być może ja także mam coś do świętowania.

Jack wyczuł nieznaczną zmianę w jego zachowaniu. Wyglądało na to, że odpytywanie wreszcie się skończyło i Johann zamierza podsumować jego wystąpienie. Ale to, co usłyszał, sprawiło, że włosy zjeżyły mu się na karku, a biały gumowy kołnierzyk zaczął go nieprzyjemnie uciskać.

– Sądzę, że nasze dzisiejsze spotkanie to nie tylko szczęśliwy zbieg okoliczności – rzekł Johann. – Jestem przekonany, że właśnie dziś miało miejsce jedno z tych zrządzeń losu, które decydują o naszym życiu. Ty i ja, Jack, jesteśmy powołani do wielkich rzeczy.

– Słucham?

Johann położył grube palce na jego ramieniu.

– Kiedy się poznaliśmy, świętowałeś zaręczyny. Myślę, że gdy zejdziesz na ląd w Nowym Jorku, będziesz miał znacznie więcej do świętowania. Chcę, żebyś pracował dla mnie w Teksasie i Oklahomie, na polach naftowych.

Jack popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Obawiam się, że nie rozumiem…

Johann sięgnął po kieliszek.

– Potrzebuję młodego prawnika, który może zająć się biznesem naftowym i wkrótce stanie się najlepszym adwokatem w tej branży, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Potrzebuję człowieka, który zna się na ropie naftowej i krakingu, na pokładach soli i piasku, i jednocześnie chcę, żeby umiał postawić na swoim w sądzie. Innymi słowy, potrzebuję ciebie, Jack.

– Panie Cornelius, zna mnie pan dopiero od kilkunastu minut.

– Gdybym nie potrafił ocenić człowieka w kilkanaście minut, nie miałbym szans na polach naftowych.

– Obawiam się, że to nie wchodzi w grę…

– Czyż nie tego chciałeś?

– Tak, ale jeśli wyjadę do pracy w Teksasie, nie będę mógł się ożenić z Ellie. Przecież to właśnie dla niej postanowiłem zostać w Karolinie.

Johann popatrzył na niego.

Statek unosił się i opadał na falach Atlantyku. W głębi sali restauracyjnej otworzyły się drzwi pokładowe i do środka weszło kilkoro pasażerów w grubych wełnianych kurtkach. Jeden z nich zapytał:

– Macie kotlety jagnięce, prawda? A steki z polędwicy?

– Powinieneś już się nauczyć, Jack, że w życiu nie ma niczego, czego nie dałoby się załatwić – powiedział Johann.

– Co pan ma na myśli? Że mógłby pan załatwić, abym wziął ślub z Ellie i pracował w Teksasie?

– Dlaczego nie?

– Dlatego że pan Jackson wyraźnie powiedział „nie”. Nie chce, żeby jego córka zaczynała swoje małżeńskie życie w jakimś miasteczku nafciarzy.

Johann popatrzył na mosiężną poręcz otaczającą bar i lśniącą miedzianą spluwaczkę.

– I ty się z nim zgadzasz?

Jack spojrzał na niego.

– Chyba tak – odparł ostrożnie.

– Więc zgadzasz się czy nie? Wydajesz się pewny swoich sądów w kwestiach prawnych… Czy naprawdę uważasz, że pan Jackson powinien mieć tak wiele do powiedzenia w sprawie twojej kariery i twojej przyszłości?

– Kocham Ellie i bardzo szanuję jej rodzinę. Między mną i panem Jacksonem nie ma żadnych rozbieżności, zapewniam pana. Jesteśmy przyjaciółmi.

– Przyjaciółmi? Co to za przyjaciel, który nie pozwala ci wyjechać i zrobić kariery w szerokim świecie tylko dlatego, że nie chce, aby jego córka otarła się o paru prostaków? Życie w miastach przy polach naftowych jest twarde, jednak nie będziesz tam przecież spędzał całego swojego czasu. Przeważnie będziesz siedział w eleganckim gabinecie, przy którym gabinet pana Jacksona wyda ci się nędzną komórką.

Jack wiedział, że Johann go prowokuje, ale nie potrafił się powstrzymać przed wysłuchiwaniem tych prowokacji. Wstał i powiedział

z największym opanowaniem, na jakie potrafił się zdobyć:

– Panie Cornelius, mówimy o moim przyszłym teściu.

Johann kiwnął głową.

– Wiem. I podziwiam cię za to, że tak dzielnie go bronisz. Nie ma jednak racji, chociaż być może jest szlachetnym i dobrym człowiekiem. Skoro zgadza się, żeby jego córka wyszła za ciebie, powinien zaakceptować także to, że staniesz się jej mężem i panem. Jeśli zapragniesz zabrać ją do Teksasu, Oklahomy czy nawet na Księżyc, to takie jest twoje prawo i jemu nic do tego.

– Panie Cornelius, nie zamierzam występować przeciwko moim teściom. Zresztą dałem już słowo panu Jacksonowi.

Johann uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: „No cóż, na to nie ma rady”, i wypił resztę drinka. W tej samej chwili w barze pojawił się Jerry Slobodien w czarnym żakiecie z aksamitnym kołnierzem i rzemykowym krawacie z diamentowym guzem. Ciemne włosy, dość długie jak na 1909 rok, opadały mu na kark falami błyszczącymi od niedźwiedziego sadła.

– To mój kierownik wydobycia, pan Slobodien – przedstawił go Johann Jackowi. – Może zjadłbyś z nami lunch i jeszcze porozmawiamy?

Jack się zawahał. Niezdecydowanie bulgotało w nim jak kociołek tłustej potrawki. Gdyby nie Ellie, natychmiast przyjąłby ofertę Corneliusa. Ale ponieważ dał słowo honoru, że pozostanie w Karolinie Południowej, musiał go dotrzymać.

– Dobrze, zjem z panem lunch – powiedział. – Ale uprzedzam pana, że nie zmienię zdania.

– W porządku – odparł Johann. – Ludzie, którzy zbyt szybko zmieniają zdanie, równie szybko zmieniają je po raz drugi, a ja cenię oddanie jednej sprawie.

Weszli do sali jadalnej, pomalowanego na bladokremowo obszernego pomieszczenia z dwunastoma okrągłymi stolikami przykrytymi białymi obrusami. Kilkunastu podróżnych siorbało krem z groszku. Za oknami unosiło się i opadało szare morze, z którego ostatnie mewy wyławiały odpadki. Przy jednym z pustych stolików pojawił się steward i odstawił krzesła. Usiedli naprzeciwko siebie, uśmiechając się sztywno, a drugi steward przyniósł im menu. Tego dnia oprócz zupy serwowano kotlety cielęce i ciasto z tropikalnymi owocami.

– Zwykle jadam lunch w swojej kabinie – powiedział Johann. – Kucharz jest Chińczykiem, ale czasem udaje mi się go namówić, żeby zrobił coś jadalnego, na przykład grzanki z serem.

– Chyba daruję sobie zupę – mruknął Jerry Slobodien, zerkając na siedzących obok biesiadników. – Za dużo hałasu przy jej jedzeniu.

Jeden z siedzących przy sąsiednim stoliku gości, poczciwie wyglądający okularnik w zielonym tweedowym garniturze i kanarkowej muszce, wytarł usta serwetką i spojrzał na niego groźnie. Kierownik wydobycia nie pozostał mu dłużny i okularnik szybko wrócił do swojej zupy, kurcząc się jak przestraszony żółw.

Slobodien sięgnął do górnej kieszeni żakietu i wyciągnął z niej zmiętą kartkę papieru.

– Panie Cornelius, właśnie dostaliśmy wiadomość od Orrisa i Nussbauma. Wygląda na to, że mamy zakaz wiercenia w Sapulpa Bluffs.

– Zakaz? Dlaczego?

– Pan Spizak jeszcze tego nie wie. Dowiedział się o tym zakazie, kiedy próbował uzgodnić szczegóły dzierżawy. Reprezentant naszego przeciwnika przekonał sąd okręgowy, że powinien wstrzymać wiercenia do czasu wyjaśnienia wszystkich spornych kwestii.

Johann przygryzł wargę.

– To śmieszne. Wydzierżawiliśmy tę ziemię od Kościoła baptystów. Mamy też prawo do ropy i kopalin występujących na tym terenie. A żadnych spornych kwestii nie było.

– Człowiek, który doprowadził do wydania zakazu wiercenia, upiera się, że wszystkie prawa do ziemi w Sapulpa Bluffs nadal należą do plemienia Seminoli, i nawet sprowadził jakiegoś wodza Wewokę z Boggy Depot w stanie Oklahoma, którego prawa rzekomo naruszyliśmy.

Do ich stolika podszedł kelner z notatnikiem i ołówkiem i spytał:

– Co będzie, panowie? Nasze dzisiejsze kotlety to czysta ekstaza.

– Czysta ekstaza? Gdzieś ty się tak nauczył obracać ozorem? – spytał z irytacją Slobodien.

– Na tym parowcu, od pana Abrahama Ruefa. Kiedyś płynął z nami. Prawdziwy dżentelmen, chociaż Żyd.

– A ty pewnie nawet nie jesteś białym człowiekiem, Dudley. Przynoś, co masz, bo jesteśmy głodni.

– Już się robi, proszę pana.

– Dodaj do tego butelkę czerwonego wina, które pija kapitan, i trzy kieliszki.

– Dwa – poprawił go Johann. – Dość już dziś wypiłem.

– Tak jest, proszę pana.

Jack, który do tej pory się nie odzywał, rozłożył serwetkę i powiedział:

– Wie pan, można byłoby spróbować to obejść…

Johann czujnie podniósł głowę.

– Co obejść? Masz na myśli ten zakaz wierceń w Sapulpa Bluffs?

– Właśnie. Jednym z moim przedmiotów na Harvardzie było prawo hipoteczne i prawo własności gruntu.

– I co?

Jack zarumienił się lekko.

– Musiałbym to jeszcze sprawdzić, ale o ile dobrze pamiętam, w tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku Seminole podpisali z rządem Stanów Zjednoczonych porozumienie, na mocy którego wszystkie kopaliny znajdujące się w ich ziemi przeszły na własność stanu Oklahoma.

Johann popatrzył na Slobodiena.

– Nie lubię zgadywać, jednak wygląda mi na to, że ten „wódz Wewoka” to prawdopodobnie ktoś podstawiony. Komuś musiało zależeć na tym, żeby opóźnić pańskie wiercenia – dodał Jack.

Johann milczał przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– To brzmi sensownie. Colton i Moffat również byli zainteresowani Sapulpa Bluffs. Ale co

możemy zrobić? Jest wyrok sądowy.

– Myślę, że to nie ma znaczenia – odparł Jack. – Nawet jeśli wódz Wewoka naprawdę istnieje, nie może sobie rościć żadnych praw do pańskiej ropy. Bez trudu moglibyśmy podważyć ten zakaz.

Johann rozparł się na krześle, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Wiesz co, Jack? Marnowałeś się w tej Karolinie. Naprawdę. Będzie z ciebie najlepszy adwokat od nafty, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. Co o tym myślisz, Jerry?

Slobodien zapalił cienkie cygaro z czarnego tytoniu.

– To mi wygląda na dobre wieści.

– Musiałbym sprawdzić parę rzeczy – mruknął z powątpiewaniem Jack. – Możliwe, że ta umowa z Indianami do tej pory została unieważniona.

– Nie ma takiej możliwości – odparł Johann. – Jeśli kiedykolwiek oddamy coś Indianom, stanie się to dopiero wtedy, gdy wydrapiemy bogactwa tego kraju do samego jądra Ziemi. Na pewno sobie z tym poradzisz, Jack. Masz w sobie bojowego ducha.

Jack bawił się nożem.

– Pańskie słowa bardzo mi pochlebiają, panie Cornelius. Ale już wyjaśniłem moją sytuację i nie

mogę ani nie chcę zmieniać swojej decyzji.

Johann przygładził swoje rzadkie jasne włosy.

– Myślisz, że próbuję odwieść cię od tego, co jest twoim zdaniem słuszne?

– Nie, proszę pana. Wiem, że pańska oferta jest uczciwa, i wierzę, że mógłbym być dobrym adwokatem w naftowym biznesie… i prawdopodobnie nim będę, kiedy nadejdzie właściwy czas. Jednak dałem słowo panu Jacksonowi, a Ellie znaczy dla mnie więcej niż jakakolwiek kariera.

– Twoja miłość do narzeczonej jest godna podziwu – stwierdził Johann. – Gdyby twoje ambicje były równie silne…

– Ellie jest najpiękniejszym stworzeniem na ziemi, panie Cornelius.

– To subiektywna ocena.

– Miłość zawsze jest subiektywna, podobnie jak honor.

Pojawił się Dudley z kremem z groszku. Kiedy Johann sięgnął po łyżkę i zaczął jeść, Jack popatrzył na niego ze zdziwieniem. Slobodien, paląc cygaretkę, przyglądał się młodemu prawnikowi.

Jack złożył ręce, zamknął oczy i powiedział cicho:

– Dziękuję Ci, Panie, za ten pokarm i napoje, które będziemy spożywać. Amen.

Gdy otworzył oczy, zobaczył, że Johann przestał jeść i wbił w niego spojrzenie, zupa kapała mu z łyżki na talerz. Przy stoliku zapanowało niezręczne milczenie.

Statek skrzypiał i przetaczał się z boku na bok, wibracja silników wstrząsała podłogą, a noże współbiesiadników zgrzytały na talerzach, gdy próbowali pokroić jagnięce kotleciki, równie twarde jak porcelana, na której je podano.

– Teraz już możesz jeść? – spytał z ironią Johann.

– Oczywiście, proszę pana – odparł Jack.

Johann odłożył łyżkę i otarł usta serwetką.

– Nie myśl, że jestem niereligijny, Jack, ale nigdy nie dziękuję Bogu za to, co jem. Całe jedzenie, które trafia do mojego żołądka, zdobywam sam, dzięki mojej ciężkiej pracy. Nie zawdzięczam go wspaniałomyślności naszego Pana.

Jack nic na to nie odpowiedział. Nie potrafił rozgryźć Johanna Corneliusa i ta świadomość wyprowadzała go z równowagi. Nie tylko pokład statku co chwila uciekał mu spod stóp, tracił też coraz częściej pewność siebie.

– Sądzę, że szybko znajdziemy wspólny język, Jack – dodał po chwili Johann. – Co o tym myślisz, Jerry?

Slobodien odłożył cygaretkę na popielniczkę i mrugnął do ładnej młodej kobiety w welurowym czepku, która dopiero co zeszła z pokładu. Prawdopodobnie była guwernantką, płynącą z rodzinnego domu do Nowego Jorku.

– Pewnie, że znajdziecie – powiedział Slobodien. – To tylko kwestia dogadania się. Czyż nie tak, panie Field?

Jack z zakłopotaniem pokręcił głową.

– Nie sądzę, abym mógł się z tym zgodzić – odparł cicho i nie potrafił zrozumieć, czemu uśmiechy, które wymienili Cornelius i Slobodien, wyrażają tak wielką pewność siebie.

♦ ♦ ♦

Następnego dnia tuż przed świtem parowiec *Galveston Bay* wpłynął na wzburzone fale sześć mil od Cape Hatteras. W Karolinie Południowej Ellie przed zaśnięciem słyszała deszcz lekko stukający o szyby, ale na trasie *Galveston Bay* niosący deszcz wiatr miał siłę huraganu i pokonał już południową Florydę. Miotał koronami palm i przyginał je do ziemi, zrywał

dachy i ciskał łodziami rybackimi tak gwałtownie, że ich burty ociekały pianą jak pyski wściekłych psów. Nad Atlantykiem zakręcił na wschód, obwieszczając swoje przybycie chorągwiami ciemnoszarych chmur. Miał jeszcze dość sił, aby podnieść na ocenie trzydziestostopowe fale. Przeganiał *Galveston Bay* po ogromnych zielonoszarych wodnych stokach i spychał w wiry rozpylonej piany. Silniki statku rzęziły i stękały, a grodzie jęczały jak starcy w szponach nocnych koszmarów.

Podczas sztormu Johann Cornelius siedział przy swoim biurku w słabym świetle lampy, pochylony nad długim raportem o składzie geologicznym nowych roponośnych działek w Kalifornii. Slobodien był z nim przez jakiś czas, a potem wyszedł do baru, by wypalić cygaretkę i zabawić się udręką innych pasażerów *Galveston Bay*. Większość porannej kawy i solonego śledzia już dawno zniknęła za relingiem i teraz zmaltretowani podróżni siedzieli na pokładzie spacerowym otuleni kraciastymi kocami, w milczeniu modląc się do bogów równowagi żołądkowej, aby wybawili ich od mdłości.

Jack Field, który nie jadł zbyt obfitego śniadania, wyglądał nieco lepiej niż reszta. Paląc fajkę przy oknie prawej burty, patrzył, jak morze

wokół nich unosi się i opada. Slobodien podszedł do niego i oparł się plecami o otaczającą bar poręcz.

– Nieźle dmucha – stwierdził Jack.

Slobodien wzruszył ramionami.

– To ogon huraganu, nie ma się czym podniecać. Bywaliśmy już z panem Corneliusem w gorszych opałach.

– Cieszę się jednak, że nie skusiłem się na bekon.

Kierownik wydobycia się roześmiał.

Statek zrobił zwrot, na moment znieruchomiał, po czym opadł dwadzieścia stóp niżej. Deszcz zacinał o okna i mimo grubego szkła Jack słyszał wiatr wyjący w olinowaniu. Głęboko z trzewi statku dobiegł nagle jakiś hurgot, jakby do piwnicy zsypywano bryły węgla. Jack z niepokojem spojrzał na Slobodiena, ale ten albo niczego nie usłyszał, albo nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Pan Cornelius bardzo żałuje, że nie zmieniłeś zdania – powiedział.

– Naprawdę? Myślałem, że tylko stroi sobie ze mnie żarty.

Slobodien pokręcił głową.

– Pan Cornelius nigdy nie stroi sobie żartów. Znam go od dobrych paru lat i jeszcze nigdy nie

widziałem, żeby stroił sobie żarty.

Jack mocno złapał się poręczy, z trudem utrzymując równowagę na jeżdżącym w górę i w dół pokładzie. Zaczął żałować, że zapalił fajkę, ale gaszenie jej na oczach Slobodiena i reszty cierpiących na chorobę morską pasażerów byłoby zgłoszeniem akcesu do gromady szczurów lądowych. W jego gardle urosła bańka powietrza smakująca kawą i bałkańskim tytoniem, jednak zepchnął ją z powrotem do żołądka i zdołał się uśmiechnąć.

– Może pan Cornelius nie ma poczucia humoru?

– Oczywiście, że ma. Ale kiedy się go słucha, niełatwo zrozumieć, o co chodzi. Bawi go cały ten kram.

– Nie rozumiem… Jaki kram?

– Życie i sprawiedliwość.

Jack wetknął fajkę między lakierowaną poręcz i okno baru.

– Chce pan powiedzieć, że pan Cornelius lubi, kiedy ludzie dostają to, na co zasłużyli?

– Zgadza się.

– A czy pomyślał kiedyś, że on też pewnego dnia może dostać to, na co zasłużył?

Slobodien wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Jeśli Johann Cornelius kiedykolwiek dostanie to, na co zasłużył, będzie to oznaczało tylko tyle, że zabrakło ludzi, których mógłby kupić.

– Przecież to nigdy nie nastąpi. Nie wszyscy są przekupni.

Slobodien wzruszył ramionami.

– W takim razie nie dostanie tego, na co zasłużył.

Jacka zaniepokoiła ta rozmowa, bo wyczuwał, co Jerry Slobodien chce mu powiedzieć. Nie był tylko pewien, czy jego rozmówca zachęca go do zmiany zdania na temat pracy u Johanna, czy też próbuje go ostrzec przed jej podejmowaniem.

Parowiec *Galveston Bay* zadygotał jak lokomotywa walcząca o utrzymanie równowagi na torach.

– Gdybym nie poznał Ellie, uważałbym pracę u pana Corneliusa za wielki przywilej – powiedział Jack. – Ale obawiam się, że nie przekona mnie do zmiany zdania. Szanuję go, jednak szanuję również mojego przyszłego teścia, więc nie zmienię decyzji.

– Cóż, to twoja broszka – mruknął Slobodien.

W tej samej chwili *Galveston Bay* nagle stanął dęba. Butelki i szklanki pospadały z półek

i roztrzaskały się na podłodze baru. Pasażerowie zrzucili koce z kolan, krzycząc:

– Co się dzieje?! Steward, co się dzieje?!

Statek opadł i zakołysał się na boki. Jack z hukiem wylądował na oknie, a potem rzuciło go w drugą stronę. Zobaczył, że jego fajka turla się po dywanie dwadzieścia stóp dalej. Nad pokładem wyrosły ogromne wieże piany. Jak okiem sięgnąć, cały ocean był jednym wielkim zielonym górotworem falującym pod czarnym niebem.

Rozległ się dzwonek alarmowy.

– Toniemy! – krzyknął Jack. – Mój Boże, myśli pan, że toniemy?

Slobodien wysunął swoją pajęczą nogę i przydeptał cygaretkę.

– To byłoby zbyt piękne. Myślę, że po prostu próbują nas przestraszyć i wymusić podwójną stawkę za przewóz.

Dzwonek alarmowy nadal szalał, a statek kiwał się między falami z mdlącą bezcelowością. Dziewczyna w welurowym czepku zwymiotowała na wzorzysty dywan.

– No to ją mamy z głowy – rzucił Slobodien. – Nie znoszę bab, które nie umieją utrzymać śniadania w żołądku.

– Powinniśmy biec do łodzi ratunkowych! – zawołał Jack.

– Myślisz, że łódź ratunkowa będzie lepsza niż ta balia?

– Do cholery, panie Slobodien, ten statek to trumna!

W tym momencie jeden z oficerów, tłusty Latynos w wełnianym podkoszulku, ale w mundurowych spodniach i czapce ze złotym otokiem, trzymając megafon, przebiegł zygzakiem przez przechylony na bok salon. Złapał się jednego z mahoniowych filarów i zawołał donośnym głosem:

– Panie i panowie! Kapitan mówi, że przemieścił się ładunek, więc mamy poważny przechył! Musimy natychmiast wsiąść do łodzi ratunkowych! Panie przodem!

– Co z moimi rzeczami?! – krzyknął jeden z pasażerów. – I wszystkimi papierami?

– Przykro mi, nie ma czasu!

– Ale tam zostało trzynaście tysięcy dolarów! To owoc pracy pięciu lat!

– Przykro mi. Kapitan mówi, że trzeba się spieszyć, bo ładunek coraz bardziej się przemieszcza i statek w każdej chwili może się przewrócić!

– Gdzie Carl? – zapytał Slobodien. – Musimy ostrzec pana Corneliusa.

Jack złapał go za ramię.

– Niech pan odszuka Carla, a ja pójdę do pana Corneliusa. I tak muszę zejść pod pokład, bo w kabinie mam puzdro, którego nie mogę zostawić.

– Słyszałeś, co ten człowiek powiedział? – warknął Slobodien. – Nie ma czasu! Ostrzeż pana Corneliusa i wracaj!

Galveston Bay zaskrzypiał alarmująco i zanurkował. Wszystkie światła przygasły, przybierając chorobliwie żółty odcień. Za pokrytymi skorupą soli oknami ukazał się szary klif, przysuwający się coraz bliżej. Statek znieruchomiał, przygotowując się na przyjęcie setek ton morskiej wody, które się nad nim unosiły.

Jack pokonał szaleńczo pochylony salon i dotarł do głównych schodów. Z wiszących po ich obu stronach oprawionych w rzeźbione ramki sztychów uśmiechała się do niego łagodnie Lily Langtry. Trzymając się mosiężnej poręczy, Jack krok po kroku szedł w dół, rzucany na boki przez przechyły statku. Czerwony wzorzysty dywan na niższym poziomie cały był zalany wodą.

Za plecami usłyszał krzyk Slobodiena:

– Carl! Carl! Musimy się stąd wynosić!

Statek zakołysał się jeszcze mocnej i Jack poleciał w dół. Toczył się po schodach, nabijając sobie na krawędziach stopni siniaki na plecach, i w końcu wylądował na czworakach w gulgoczącym strumieniu sunącym po dywanie. Kaszlący i obolały, zebrał siły i ruszył do korytarza pierwszej klasy, w którym znajdowały się obie kabiny Corneliusa. Spływająca mu z nosa krew mieszała się ze ściekającą po twarzy wodą morską, a na jego czole pojawiła się czerwona pręga, kiedy uderzył nim o mosiężną lampę. Wiedział jednak, że nie może dopuścić do utonięcia Corneliusa, nie mógł też stracić rodzinnej biżuterii Jacksonów. Przechyły statku miotały nim od ściany do ściany, ale jakoś zdołał pokonać kilkanaście stóp korytarza.

Nagle parowiec stanął bokiem do fali i potężny podmuch huraganu przechylił go tak mocno, że Jack zaczął sunąć po mokrej mahoniowej boazerii. Złapał klamkę jakichś drzwi i trzymał się jej mocno. Statek coraz gwałtowniej dygotał i trzeszczał, a przez otwory drzwiowe i luki wdzierały się do niego tysiące galonów wody.

Po chwili parowiec znów przetoczył się z boku na bok i Jack zobaczył, że drzwi znajdującej się kilka jardów dalej kabiny otworzyły się z trzaskiem, uderzając o ścianę. Zaraz potem ukazał się w nich Johann Cornelius. Wygrzebywał się z kabiny, jakby wstawał z trumny. Kiedy wydostał się na korytarz, zaczął na czworakach pełznąć w stronę Jacka. Statek przez cały czas tak rozpaczliwie się miotał, że milioner w żaden sposób nie mógł dźwignąć się na nogi.

– Panie Cornelius! – krzyknął Jack. – Statek się przewraca! Musimy wszyscy wsiąść do łodzi ratunkowych!

– Idź przodem! – odkrzyknął Johann. – A ja za tobą!

– Najpierw muszę dostać się do mojej kabiny!

– Nie bądź głupi! Ten cholerny statek lada chwila się rozleci!

– Nie mogę zostawić biżuterii! To cały majątek rodziny Ellie!

W końcu przemoknięty Johann dotarł do Jacka. Abażur przewracającej się lampy rozciął mu twarz, ale nie osłabiło to jego determinacji. Kiedy statek znowu runął w dolinę między falami, udało mu się wstać. Pochylił się i wyciągnął dłoń do Jacka.

– Dawaj, pomogę ci stąd wyjść!

– Nie mogę! – zaprotestował Jack. – Powierzono mi cenną biżuterię! Nie mogę jej tu zostawić!

Johann szorstkim gestem poderwał go w górę. Jack złapał się mosiężnej poręczy biegnącej wzdłuż korytarza, walcząc o zachowanie równowagi.

– Muszę po nią iść! – krzyknął.

Johann bezceremonialnie pchnął go w kierunku schodów.

– Nie spieraj się ze mną! Pal licho cholerne szkiełka! Wyłożę za nie z własnej kieszeni! Dostaniesz tyle, ile są warte! Co do centa! A teraz chodźmy, do cholery, inaczej utoniemy!

Zobaczyli, że na dół z trudem schodzą dwaj marynarze, by poszukać pasażerów, którym nie udało się wydostać na pokład. Johann i Jack ruszyli w ich stronę, na wpół idąc, na wpół pełznąc w spadających na nich kaskadach wody. Johann przez cały czas popychał Jacka i w końcu dobrnęli do marynarzy.

– Szybko na pokład! – polecił im jeden z nich. – Najszybciej jak się da!

Jack się zawahał i znowu chciał zawrócić, ale Johann pchnął go mocno i powiedział:

– Wyłożę za ciebie! W górę!

Szalupa ratunkowa już wisiała nad pokładem. Zacinał deszcz, wył wiatr. W łodzi siedzieli przerażeni pasażerowie i marynarze, zaledwie dwadzieścia trzy osoby. Ich twarze straciły barwę, przypominali galerię wyblakłych portretów. Johann i Jack z pomocą innych wdrapali się po śliskiej burcie i usiedli obok Carla, ściskającego w dłoni mokry komiks. Wokół nich, jak okiem sięgnąć, rozciągało się pokryte grzywiastymi falami morze. Jack nie wierzył, że kiedykolwiek zdołają je pokonać i dotrzeć do lądu.

Gdy szalupa zjeżdżała obok zardzewiałego, pochylonego boku statku, kołowroty żurawików dzwoniły na wietrze. W końcu fale uderzyły o kil łodzi, pochwyciły ją i odciągnęły od *Galveston Bay*, a potem znów pchnęły na statek. Jack złapał się wąskiej ławki i zaciskając kurczowo powieki, modlił się w duchu, by Bóg pozwolił mu jeszcze ujrzeć Ellie.

Kiedy ostatni marynarze ześlizgnęli się po linach windy i zeskoczyli na pokład szalupy, odepchnięto ją wiosłami od kadłuba *Galveston Bay*. Łódź natychmiast wpadła w zielonoszare kaniony, ale jej pasażerowie byli zbyt przerażeni, aby wzywać pomocy, śpiewać psalmy czy robić

cokolwiek innego. Z całej siły trzymali się ławek, modląc się, by huragan wreszcie zelżał.

Galveston Bay szybko opadał w głąb Atlantyku. Jack jeszcze przez chwilę widział jego czarny, opleciony wodorostami ster i zwrócone w stronę ciemnego nieba mosiężne śruby, a potem pozostał tylko ocean, wiatr i szare chmury płynące nad ich głowami na wschód.

♦ ♦ ♦

Siedzieli w mrocznym hotelowym salonie pod starym obrazem przedstawiającym fregatę *Merrimack*, namalowanym jeszcze przed przerobieniem jej na pancernik. Za ogrodami i równymi rządkami palm widać było szeroki pas Hampton Roads, a jeszcze dalej flagi powiewające na budynku należącym do Newport News. Zamówili brandy i pili ją z milczącym zadowoleniem mężczyzn, którzy wiedzą, że świat jest ich znakomicie zarządzaną domeną, a życie zawsze będzie równie stabilne jak obecnie. Popołudnie było nieco wietrzne, ale wszystkie okna zamknięto i w salonie panowała cisza.

– Obawiam się, że nie mogę pozostać tu zbyt długo – odezwał się w końcu Earle Jackson. – Wracamy do Charlestonu pociągiem o trzeciej.

– Rozumiem – odparł Johann, ubrany w pożyczony, źle dopasowany garnitur. – Ja też wyjeżdżam o czwartej pociągiem pocztowym do Nowego Jorku. Jak się miewa Jack?

– Lekarz powiedział, że miał dużo szczęścia. Mogło się to skończyć znacznie gorzej, na przykład pęknięciem czaszki. Rano czuł się całkiem dobrze i był w doskonałym humorze. Dziękuję Bogu, że nic wam się nie stało. Żeby pan widział twarz mojej córki, kiedy dowiedzieliśmy się o zatonięciu statku…

– Jack to świetny gość. Nie tylko sprytny jak na swój wiek, ale i bardzo sympatyczny. Pańska córka to szczęściara – stwierdził Johann. – Myślę, że ta przygoda na dobre wyleczyła mnie z morskich wypraw. Mój kierownik wydobycia przekonywał mnie przez całe przedpołudnie, że powinienem kupić pociąg. Być może to niegłupi pomysł.

Jackson kiwnął głową, ale nic na to nie odpowiedział. Zapadło nieco krępujące milczenie. W oddali widzieli okręty stojące na kotwicy i las przyginanych wiatrem masztów łodzi żaglowych.

– Tak naprawdę przyjechałem tu po to, żeby panu podziękować – powiedział po chwili Jackson.

Johann popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Podziękować? Za co?

– Za uratowanie Jacka. Twierdzi, że to pan go uratował. Był gotów iść po moje rodzinne klejnoty, ale podobno pan wypchnął go na pokład.

Johann odchrząknął.

– Na moim miejscu każdy zrobiłby to samo. A tak przy okazji: obiecałem mu, że zapłacę za te klejnoty. Musi mi pan powiedzieć, ile mniej więcej były warte.

Jackson pokręcił głową.

– Nie chcę o tym słyszeć. Życie Jacka jest więcej warte dla mojej rodziny niż wszystkie klejnoty czy obrazy, które miał ze sobą. Dla mnie też. Ellie poczuła taką ulgę… Muszę przyznać, że ja też byłem bardzo poruszony.

– Ellie to pańska córka? Ta, która ma wyjść za Jacka?

– Powiedział panu o tym?

– Owszem. Ucięliśmy sobie małą pogawędkę, zanim Pan Bóg postanowił zatopić ten statek. Ale ja naprawdę obiecałem Jackowi, że zapłacę za te kosztowności… Jeśli poda pan cenę, natychmiast każę przesłać moim bankierom potwierdzony czek. Jutro rano będzie u pana.

Jackson opuścił wzrok na kaszmirowy dywan.

– Wolałbym, żeby pan tego nie robił – powiedział cicho. – To naprawdę niepotrzebne. Powierzyłem Jackowi tylko parę sztuk biżuterii należącej kiedyś do mojej matki.

– Była ubezpieczona?

– Oczywiście, choć podejrzewam, że dostanę za nią znacznie mniej, niż otrzymałbym na aukcji. Ale to i tak całkiem przyzwoita sumka.

– Cóż, skoro taka jest pańska decyzja… – mruknął Johann. – Jeśli jednak chce pan rekompensaty, jestem gotów dotrzymać słowa, które dałem Jackowi.

– Dziękuję, ale to niepotrzebne – powtórzył Jackson i dodał: – Chciałbym jednak panu coś ofiarować. Jako wyraz wdzięczności za uratowanie narzeczonego mojej córki.

Johann przez chwilę przyglądał mu się uważnie zmrużonymi oczami. Earle Jackson sprawiał wrażenie zdenerwowanego, niemal wytrąconego z równowagi, co musiało wydawać się zastanawiające u człowieka, który przyszedł na spotkanie, by wyrazić wdzięczność za uratowanie przyszłego zięcia. Dziwne zachowanie Jacksona intrygowało Johanna, ale zamierzał je wykorzystać, nawet nie znając jego powodu. Przypomniał sobie, jak kilka lat temu udało mu się wymóc na pewnym Kalifornijczyku

śmiesznie niską cenę za prawo do wierceń i wydobywania ropy na jego ziemi tylko dlatego, że tamten podświadomie bał się, iż może zostać wyprowadzony w pole.

– Doszedłem do wniosku, że najlepiej byłoby sprezentować panu konia – podjął Jackson. – Mam na swojej plantacji jedną z najlepszych stadnin w Karolinie Południowej. Myślałem o konkretnym koniu. To kasztan, roczniak. Nazywa się Błyskawica Charleston.

Johann pociągał brandy, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Po chwili podniósł się z fotela, podszedł do kominka i zaczął przyglądać się *Merrimackowi*.

W końcu odwrócił się i powiedział:

– Czuję się bardzo pochlebiony, panie Jackson, ale obawiam się, że koń na nic mi się nie przyda. Rzadko miewam czas dla siebie, a jeśli już tak się zdarzy, nadrabiam zaległości w śnie. Jestem człowiekiem interesu. Mój żywioł to papier, atrament, księgi rachunkowe i pieniądze. Zupełnie nie wiedziałbym, co począć z koniem.

Earle Jackson sprawiał wrażenie nieco urażonego.

– Miałem nadzieję, że może to się panu spodoba… – mruknął.

Johann uśmiechnął się lekko.

– Ależ tak – odparł. – Myślę jednak, że lepiej będzie, jeśli zatrzyma pan tego konia i zrobi z niego właściwy użytek, zamiast go dawać mnie. Nie chciałbym, żeby się zastał i został przerobiony na kabanosy.

– No cóż, obawiam się, że nie mam panu niczego innego do ofiarowania – stwierdził Jackson i westchnął. – Proponowanie panu pieniędzy chyba nie byłoby najlepszym pomysłem.

– Ma pan rację – potwierdził Johann, nadal się uśmiechając.

Znowu zapadła niezręczna cisza. Jackson siedział w fotelu z pochyloną głową, a Johann stał nad nim, uśmiechając się szeroko. W końcu Jackson sięgnął po swój kieliszek z brandy i wychylił go do dna.

– Jest jedna rzecz… – powiedział po chwili Johann.

– Tak?

– Nie chcę, żeby pan mnie źle zrozumiał. Nie próbuję wtrącać się w pańskie życie ani ingerować w życie pańskiej rodziny. Ale tak się składa, że ma pan ostatnie słowo względem czegoś, a raczej kogoś, czyje usługi mogłyby mi być bardziej niż przydatne.

Jackson popatrzył na niego z niepokojem.

Johann usiadł, nie przestając się uśmiechać.

– Uważam, że pański przyszły zięć, Jack Field, ma wszystkie cechy, jakich szukałbym u prawnika zajmującego się sprawami dotyczącymi wydobycia i obróbki ropy. Ma też bardzo radykalne poglądy na temat przemysłu naftowego, zysków, jakie ten przemysł daje, i jeszcze bardziej interesujące spojrzenie na etykę przemysłu, prawa i biznesu. Poza tym jest młody i energiczny, więc myślę, że doskonale by sobie poradził w tym biznesie.

– Jack zobowiązał się praktykować w kancelarii swojego ojca w Kingstree. Musi się jeszcze wiele nauczyć.

Johann przestał się uśmiechać. Miał pokerową twarz.

– Czy to znaczy, że pan uważa, że Jack nie potrafiłby się przestawić na kwestie prawne dotyczące przemysłu naftowego?

– Nie, ale zarówno jego ojciec, jak i ja sądzimy, że powinien jeszcze pozostać w ojczystym stanie.

– No dobrze, a co o tym myśli Jack?

– Odnoszę wrażenie, że zgadza się z nami. Nikt go przecież nie zmuszał do pozostania w Karolinie.

– A Ellie?

Zadając kolejne pytania, Johann uważnie obserwował swojego rozmówcę. Gdy zagadnął go o córkę, natychmiast zauważył, że to słaby punkt starszego pana. Jackson drgnął, jakby Johann znienacka klepnął go w policzek, i mocno zacisnął usta.

– Miejsce Ellie jest w społeczności Karoliny Południowej – powiedział w końcu cicho. – Nawet jako mężatka powinna mieszkać w pobliżu matki i ojca. Wiem, że pan się dorobił na nafcie, panie Cornelius, i nie chcę, aby zabrzmiało to obraźliwie, ale dla mojej córki nie ma miejsca wśród poszukiwaczy nafty, w jakimś miasteczku na granicy Dzikiego Zachodu, które wyrosło wczoraj z niczego.

– Wygląda na to, że nie ma pan ochoty wypuszczać Ellie spod swoich skrzydeł – zauważył Johann. – Większość rodziców dałaby rocznego kasztanka i worek obroku, żeby tylko ich córki wreszcie wyfrunęły w świat.

Jackson odwrócił wzrok.

– To prawda, panie Cornelius, nie chciałbym zbyt szybko rozstawać się z Ellie. Jest niezwykłą dziewczyną i bardzo przypomina mi moją żonę z lat jej młodości.

Johann wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rozumiem. Ale nie sądzę, aby miał pan powody do niepokoju. Wie pan, te miasteczka, które wczoraj wyrosły z niczego, to nie tylko błoto i whisky, a poszukiwacze nafty potrafią być zupełnie sympatyczni, kiedy się ich bliżej pozna. Niektórzy z nich potrafią nawet w całkiem cywilizowany sposób spędzać wolny czas.

– Nie zamierzałem pana urazić, ale jeśli Jack i Ellie mają wziąć ślub, może się to stać tylko pod warunkiem, że Jack pozostanie w Karolinie, skończy praktykę w kancelarii ojca i zostanie jego wspólnikiem.

Johann uniósł brwi.

– Więc roczny kasztanek albo nic?

– Obawiam się, że tak. Ale będę bardzo rad, jeśli go pan przyjmie.

Johann przez chwilę milczał, a potem odstawił kieliszek, splótł palce i powiedział:

– Kiedyś, dawno temu, też chciałem mieć kogoś na własność.

– Nie rozumiem…

– To była dziewczyna – wyjaśnił Johann. – Młodsza od Ellie, ale również bardzo piękna. I podobnie jak pan chciałem mieć to całe piękno tylko dla siebie. Kupiłem tę dziewczynę, bo w tamtych czasach i w tamtym miejscu można było jeszcze robić takie rzeczy. Trzymałem ją pod

kloszem jak rzadkiego motyla albo ptaka. Darzyłem ją miłością, której nikt nie rozumiał… Myślę jednak, że pan by ją zrozumiał, panie Jackson, bo wydaje mi się, że darzy pan swoją córkę podobną miłością. Nie haniebną, ale za to bardzo zachłanną.

Jackson zmarszczył brwi.

– Nie próbuje pan chyba zasugerować…

Johann uniósł rękę.

– Niczego nie próbuję sugerować, panie Jackson. Chcę tylko powiedzieć, że piękne młode dziewczyny potrafią doprowadzić mężczyzn do zachowań, jakich być może powinni unikać. Nawet córki. A może przede wszystkim córki. – Opuścił wzrok. – Niestety, wiem z doświadczenia, że piękno jest niezwykle kruche i nie można umieścić go pod kloszem. Można za nim wzdychać, można za nim tęsknić, ale nie można go mieć na własność. Nigdy, przenigdy. Próbowałem i skończyło się to tym, że je zmiażdżyłem.

– Co pan ma na myśli?

Johann pokręcił głową. Kiedy wspominał Carinę, nadal czuł ból w piersiach, mimo że upłynęło już tyle lat. Powiedział ze ściśniętym gardłem:

– To, że ta dziewczyna umarła. Przeze mnie. A mnie nawet nie było przy niej w godzinie jej śmierci.

Zaskoczony Jackson zamrugał.

– Współczuję panu. Ale obawiam się, że moja sytuacja jest zupełnie inna. Po prostu chcę chronić moją córkę i Jacka.

– Chronić przed czym? – spytał Johann. – Przed doświadczeniem? Przed wietrzną ospą, zepsutym jedzeniem czy podróżowaniem pociągami linii Southern Pacific? Przed życiem? Nie zdoła pan nikogo ochronić przed nim samym, panie Jackson.

– Nie zamierzam. Po prostu wierzę, że będzie mądrzej, jeśli Jack trochę zaczeka.

– Wobec tego jest pan w błędzie. Jack Field osiągnął już stosowny wiek, ma odpowiednie wykształcenie i bardzo chce wejść w naftowy biznes. Jeśli pozwoli mi pan go zaangażować w Teksasie i zgodzi się na zawarcie małżeństwa z pańską córką, zrobi pan przysługę nie tylko jemu, ale także Ellie. Jeżeli Jack zajmie się sprawami związanymi z naftą, wkrótce stanie się zamożnym człowiekiem. Natomiast w Karolinie Południowej do końca życia będzie bronił złodziei krów, a Ellie do końca życie będzie żoną obrońcy złodziei krów.

Earle Jackson miał taki wyraz twarzy, jakby wskoczył w szorstkie tweedowe spodnie, zapomniawszy o założeniu kalesonów.

– Nie chcę się z panem kłócić – powiedział. – Przyszedłem panu podziękować i chyba jasno wyraziłem, co czuję. Jeśli nie ma pan ochoty przyjąć ode mnie konia, to trudno. Nie mogę panu zaoferować nic innego.

– W porządku – odparł Johann. – Ale proszę się zastanowić nad tym, co panu powiedziałem. I jeszcze jedno: niech pan spyta Jacka i Ellie, co oni o tym myślą. A potem niech pan sam pomyśli. Jak długo może pan trzymać swoją córkę w zamknięciu, panie Jackson? Kiedyś będzie pan musiał ją wypuścić. To nie ptak ani motyl, ale młoda kobieta mająca prawo do własnego życia.

Przez chwilę sądził, że starszy pan straci nad sobą panowanie i powie mu, żeby przestał się wtrącać w nie swoje sprawy. Ale Jacksona zaprzątały już myśli związane z osobami, które były dla niego znacznie ważniejsze niż Johann Cornelius – przede wszystkim z Ellie – i podniósł się z fotela jak tragarz, który po krótkim odpoczynku musi znów dźwignąć swój ciężki ładunek.

– Przemyślę to, panie Cornelius – powiedział. – A kiedy podejmę decyzję, przekażę panu

odpowiedź przez któregoś z moich przyjaciół w Nowym Jorku. Czy to pana zadowala?

– Zadowala – odparł Johann.

Przez okno widział Jacka i Ellie przechadzających się między drzewami hotelowego ogrodu. Ellie osłaniała twarz parasolką w rozchodzące się promieniście paski, a Jack miał na sobie brązowy garnitur, równie niedopasowany jak ubranie Johanna. Na pokładzie *Galveston Bay* Jack powiedział, iż kocha Ellie tak bardzo, że Johann nigdy nie będzie w stanie zrozumieć siły tej miłości – ale teraz parowiec spoczywał na dnie Atlantyku, a deklaracje miłości rzadko bywają uwieczniane na płótnach i wieszane nad kominkami.

Patrząc na dwoje młodych, Johann uśmiechnął się i pomachał do nich.

Jackson odstawił kieliszek i zamknął za sobą drzwi.

♦ ♦ ♦

Gdy Johann wrócił z długiego spotkania z Du Pontem, dziewczyna czekała na niego w holu hotelu Plaza. Nieoczekiwany letni deszczyk zmoczył chodniki i hotel był pełen mokrych parasoli i ludzi czekających na taksówki. Johann

przeciął wzorzysty dywan, podszedł do pomalowanej złotą farbą kraty windy i stał cierpliwie, gdy pomagano leciwej damie w futrze wyjść z kabiny.

Dziewczyna siedziała na jednym z dwóch eleganckich foteli jakieś dziesięć stóp od miejsca, w którym znajdował się Johann, i wcale nie zamierzała się z niego podnosić. Kiedy go zobaczyła, spytała głośno:

– Czy pan Cornelius?

Johann odwrócił się do niej.

– Życzy pani sobie ode mnie czegoś? – spytał.

– Czy mam przyjemność z panem Corneliusem?

– Zgadza się – odparł.

Była drobna, bardzo ładna i miała na sobie drogi letni płaszcz z beżowej wełny. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście czy dziewiętnaście lat. Johann uświadomił sobie nagle, że dziewczyna spodziewa się, iż do niej podejdzie.

Zbliżył się powolnym, równym krokiem, ujął dłoń w dobranej pod kolor płaszcza beżowej rękawiczce i ucałował ją.

– O co chodzi? – spytał z chłodnym uśmiechem.

– Mam dla pana wiadomość – wyjaśniła. – Nazywam się Hester Forbes, mój ojciec jest

przyjacielem pana Earle’a Jacksona z Karoliny Południowej.

– Rozumiem.

– Chyba nie bardzo. Ojciec zamierzał osobiście przekazać panu tę wiadomość, ale musiał jechać do lekarza po swoje pigułki nasercowe.

– Słucham?

– Czyż choroba serca to nie ryzyko zawodowe biznesmenów?

Johann popatrzył na nią z rozbawieniem.

– Pewnie tak – odparł.

– I tak miałam wyjść do miasta, więc powiedziałam ojcu, że dostarczę wiadomość. Brzmi „Teksas okay”. Wie pan, o co chodzi?

Johann kiwnął głową.

– Tak mi się wydaje.

– Cieszę się, bo dla mnie brzmi to zupełnie niezrozumiale. Zaprosi mnie pan na herbatę, skoro już tu jestem?

– Żałuję, ale nie dysponuję wolnym czasem, panno Forbes. Za kwadrans mam spotkanie.

Zrobiła smutną minkę.

– Trudno, ale miło było pana poznać. Tato powiedział, że dorobił się pan pieniędzy ciężką pracą. Milionerzy przeważnie są malutcy. Pan jest bardzo duży jak na milionera, wie pan?

Johann się uśmiechnął.

– Nie wiedziałem, że są dane statystyczne systematyzujące zamożność wedle wzrostu.

– Oczywiście, że są. Dane statystyczne wszystko systematyzują. A przy okazji, jaką religię pan wyznaje? Nie jest pan przypadkiem żydem?

– Należę do Wolnego Kościoła Holenderskiego. Czemu pani o to pyta?

Hester wyjęła z torebki mały notatnik z okładkami z macicy perłowej i coś w nim zapisała.

– To nic ważnego – odparła. – Po prostu wpisuję dane.

– Dotyczące kawalerów do wzięcia?

Uniosła głowę i zaczerwieniła się lekko.

– Skąd pan wie?

Ujął jej rękę i uścisnął ją.

– Jest pani panną do wzięcia, a każda amerykańska panna do wzięcia rozgląda się za milionerem do wzięcia.

– Nie zamierzałam proponować panu małżeństwa! – prychnęła. – Poza tym to nie pora na irlandzkie oświadczyny.

Johann przytrzymał jej rękę trochę dłużej, zanim ją puścił. Uniósł kapelusz.

– Dzięki Ci, Panie, za Twe drobne łaski – powiedział.

♦ ♦ ♦

Kiedy następnego ranka podszedł do recepcji, wraz ze zwykłą pocztą podano mu długą białą kopertę ostemplowaną „Boston, Massachusetts” z dopiskiem: „Do rąk własnych”. Pozostałe listy włożył do kieszeni, ale wiadomość z Bostonu chciał przeczytać najpierw, więc jej nie chował, tylko trzymał w ręku. Gdy wszedł do sali jadalnej i usiadł przy tym samym stoliku co zwykle, pod wychodzącym na park oknem, położył list obok przypraw.

Nie miał nikogo znajomego w Bostonie. Nie prowadził tam żadnych interesów. Również pismo na kopercie – równe, kaligraficzne, skreślone ciemnoniebieskim atramentem – nie było mu znane.

Kiedy kelner przyjął zamówienie i przyniósł kawę, dwa jajka w koszulkach oraz boczek i grzankę, zabrał się do jedzenia.

W końcu sięgnął po kopertę i rozciął ją nożem do masła. W środku były dwie białe kartki eleganckiego papieru, wypełnione tym samym równym pismem co na kopercie. Sięgnął po kawę i zaczął czytać.

Po pierwszych trzech linijkach odstawił filiżankę na spodeczek, położył list na stole

i wygładził go, jakby chciał wymazać jego treść. Kiedy kelner przyniósł następną kawę, nawet tego nie zauważył.

List brzmiał:

Drogi Panie Cornelius

Minęło sześć lat, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, ale przez cały czas śledziłem w gazetach rozwój Pańskiej kariery. Obawiam się, że muszę przekazać Panu gorzkie i smutne wieści. Mogę tylko mieć nadzieję, że przyjmie je Pan ze stosownym żalem z powodu tego, do czego Pan doprowadził swymi okrutnymi czynami.

Ostatniego dnia kwietnia pani Beatrice Mulliner została znaleziona martwa w sypialni swojego mieszkania w Roseland, w parafii Tangipahoa, w stanie Luizjana. Ukryła się tam, nie mogąc znieść wstydu i pohańbienia, jakie stały się jej udziałem w Edgar. Miała nadzieję, że zacznie od nowa i odbuduje szacunek do samej siebie, ale najwyraźniej przerosło to jej możliwości. Odebrała sobie życie, podcinając żyły i szyję brzytwą, co sprawiło, że w ciągu paru minut wykrwawiła się na śmierć.

Piszę do Pana, ponieważ upoważnia mnie do tego list pożegnalny pozostawiony przez panią Mulliner. Napisała w nim, że odbiera sobie życie, gdyż napaść, jakiej dokonali na nią robotnicy z Pańskiej firmy,

przyniosła jej większy ból i pohańbienie, niż jej dusza mogła znieść, chociaż nadal kocha Pana w sposób, którego nigdy nie zdoła Pan pojąć. Próbowała stworzyć związek z pewnym praktykującym w Roseland okulistą, ale gdy zaproponował jej małżeństwo, obrzydzenie, jakie budziła w niej własna przeszłość, nie pozwoliło jej przyjąć oświadczyn. Doprowadzona do rozpaczy ponurą wizją samotnej przyszłości, zdecydowała się odebrać sobie życie.

W swoim liście wysunęła pewną sugestię – mam nadzieję, że nie uzna jej Pan za impertynencję z mojej strony, ale za ostatnie życzenie damy, która Pana kochała i z powodu tej miłości umarła. Prosiła, aby przez wzgląd na jej pamięć i traktując to jako pokutę za cierpienia, na które Pan ją skazał, wypłacał mi Pan regularną pensję i wręczył listy polecające do prezesów linii kolejowych, którzy Pańskim zdaniem najlepiej pomogliby mi w dalszej karierze.

Zaznaczyła, że nie wolno mi przedstawiać tego żądania w postaci groźby, ale sądzę, że powinien Pan rozważyć swoje możliwości w środowiskach rządowych, towarzyskich i przemysłowych, zanim mi Pan odmówi, gdyż mam jej odręczny list, relacjonujący szczegółowo Pańskie zachowanie w Edgar i gdzie indziej, a także listę świadków, mogących potwierdzić prawdziwość tej relacji.

Przez cały czas jestem dostępny pod adresem umieszczonym na kopercie. Mam nadzieję, że Bóg pomoże Panu znaleźć spokój i ulży Pańskiemu poczuciu winy.

Pozdrawiam,
Daniel Forster

Gdy Johann odkładał list, cały dygotał. Było mu zimno, miał mdłości i zupełnie opuściły go siły. Do tej pory miał nadzieję, że Beatrice nadal go kocha i żyje gdzieś bezpiecznie. Wiele razy śnił, że spotyka ją w jakichś ogrodach, na dworcach kolejowych lub w innych dziwnych miejscach. Nawet teraz czuł ją przy sobie – ciepłą zjawę, niemal tak rzeczywistą, że mógłby pogładzić ją po włosach i uściskać.

Kelner, który z przewieszoną przez ramię serwetką podszedł do stolika, niosąc jajka i bekon, cierpliwie czekał, aż Johann złoży list.

– Proszę pana… – odezwał się w końcu.

Johann podniósł głowę. Był blady jak kreda.

– Dobrze się pan czuje? – spytał kelner. – Może woli pan zjeść śniadanie nieco później?

Johann jakimś cudem znalazł w sobie siły, aby się wyprostować. Uśmiechnął się z trudem.

– Nie – odparł. – To nic takiego. Po prostu chyba właśnie odkryłem, że zawsze trzeba płacić

za swoje błędy.

– Święta prawda, proszę pana – zgodził się z nim kelner i zapytał: – Czy podać panu świeży pieprz?

1921

Ameryka obecnie nie potrzebuje heroicznych wyczynów, ale leczenia ran; nie nadzwyczajności, ale normalności; nie rewolucji, ale odbudowy; nie chirurga, ale opiekuńczego ojca.

Warren G. Harding, Boston, 1921 r.

Była to pierwsza od dziewięciu tygodni wolna sobota Jacka Fielda, więc zabrał swojego syna Randy’ego do parku Riverside. Trochę pograli w piłkę, po czym włożyli kurtki i usiedli na ławce, jedząc z papierowego rożka gorące kasztany i przyglądając się pociągom towarowym linii N.Y. Central, które hałaśliwie jeździły nieustannie tam i z powrotem, otoczone warkoczami białego dymu. Jack rozkoszował się otaczającym go hałasem i ruchem. Z większości przyjeżdżających składów dochodziło gdakanie, gęganie i muczenie – to zwierzęta z Zachodu jechały na rzeź w szlachtuzach Manhattanu. Z dodge’ów, maxwellów i briscoe’ów przejeżdżających Riverside Drive dobiegało trąbienie i popiskiwanie klaksonów, a z nabrzeża

przy Sto Dwudziestej Dziewiątej Ulicy dolatywało buczenie promów.

Był jasny, rześki listopadowy dzień pod czystym, błękitnym niebem 1921 roku – tego samego roku, w którym Jack Dempsey znokautował Georgesa Carpentiera w Boyle's Thirty Acres w Jersey, Babe Ruth podwyższył swój rekord home runów do pięćdziesięciu dziewięciu w sezonie, a jedna ze ślicznotek zażywających kąpieli na Washington's Potomac Beach wywołała skandal, publicznie rolując pończochy poniżej kolan. Ale dla Jacka Fielda był to przede wszystkim rok, w którym na prezydenta zaprzysiężono Warrena Gamaliela Hardinga.

Za kilka dni, dziewiętnastego listopada, miało upłynąć dwanaście lat pracy Jacka dla Cornelius Oil. Był teraz właścicielem apartamentu z pięcioma sypialniami przy południowej stronie Central Parku, urządzonego ze smakiem i obwieszonego obrazami Sisleya i Degasa; miał też kolonialny dom z siedmioma sypialniami w New Hampshire, otoczony dwustoma akrami lasów i pastwisk.

Pieniądze zapewniły Jackowi i Ellie Fieldom nie tylko futra, służbę i automobile, ale także spokój i zadowolenie, pozwalając im

rozkoszować się rodzinnym szczęściem. Ellie nadal lubiła piec ciasta i przygotowywać kolacje (jej indyk w brzoskwiniowym czatni rozpływał się w ustach), a Jack wczesną jesienią zawsze zabierał Randy'ego nad jeziora New Hampshire. Liście opadały z drzew, w spokojnych wodach odbijały się dalekie szczyty White Mountains, a oni wędkowali, rozmawiali i jedli na ostrym świeżym powietrzu kurczaki na zimno i racuchy. Podczas tych wypraw Jack w ogóle nie myślał o Johannie Corneliusie, nafcie czy fosfatach.

Ostatnio tych dni wolności nie było tak wiele, zwłaszcza odkąd ceny ropy naftowej spadły i Harding został prezydentem, ale bliskość ojca i syna wcale na tym nie ucierpiała. Nadal spędzali ze sobą dużo czasu i teraz też Jack siedział na ławce w parku Riverside, z dumą i miłością patrząc na dziewięcioletniego Randy'ego. Takie chwile upewniały go, że wciąż należy do rodziny – nawet po dziewięciu tygodniach nieprzerwanych negocjacji prowadzonych w zadymionych hotelach i gabinetach.

Niewiele się zmienił podczas ostatnich dwunastu lat. Lepiej się odżywiał, więc nabrał trochę ciała, ale nadal miał ten sam ostry profil i kasztanowe falujące włosy, które kiedyś

uwiodły Ellie. Nosił dobrze uszytą, luźno przewiązaną kaszmirową kurtkę i ciemnobrązowy garnitur z Savile Row w Londynie, ale nigdy nie pamiętał o wystawianiu butów do wypastowania i nadal nie udawało mu się porządnie zawiązać krawata. Randy odziedziczył po nim falującą czuprynę, jednak jego twarz miała delikatniejsze rysy, które przypominały mu Ellie. Gdy obejmował szczupły przegub syna, zawsze zdumiewała go jego kruchość.

Nie wiedział, kim zostanie Randy, kiedy dorośnie, ale gdy patrzył na swój czarny odkryty samochód stojący przy krawężniku i pucowany przez O'Harę, ubranego w czarny uniform szofera, modlił się w duchu, aby nie dał się wrobić w biznes, w którym siedział jego ojciec.

Rzeką przepłynął obwieszony proporczykami prom, co przywołało w pamięci Jacka niepokojące wspomnienie parowca *Galveston Bay*, w 1909 roku wypływającego z portu w Charlestonie. Randy, który właśnie zdzierał paznokciami łupinę z kasztana, popatrzył na niego z lekkim niepokojem i zapytał:

– Nie będziesz teraz drzemał, prawda?

Jack zamrugał i uśmiechnął się do niego.

– Nie drzemię, tylko myślę – odparł.

Chłopiec miał na sobie granatową kurtkę, szare podkolanówki i szary tweedowy kaszkiet. Strącił z kolan łupiny kasztana, zmarszczył brwi i znowu spojrzał na ojca.

– Chyba nie myślałeś o niczym okropnym?

– Czemu o to pytasz?

– Bo miałeś okropną minę.

– Tak? Chyba po prostu jestem przepracowany.

Randy odgryzł kawałek kasztana i zaczął go żuć. Obok nich przejechała brązowa węglarka P&P Railroad, dzwoniąc na rozjazdach.

– Zawsze będziesz musiał tak ciężko pracować? Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byliśmy nad jeziorami.

Jack ze znużeniem potarł twarz.

– Moje życie trochę się zmieniło – odparł. – Zajmowanie się biznesem naftowym staje się coraz bardziej czasochłonne, więc ja też muszę więcej pracować. Czy pokazywałem ci kiedyś umowy dotyczące przemysłu naftowego? Niektóre są grube jak słownik Webstera. Różnią się od niego tylko tym, że znaczenie użytych w nich słów nie jest wytłumaczone.

– Mama uważa, że powinieneś wziąć urlop – oświadczył Randy.

Jack uśmiechnął się i czułym gestem poprawił chłopcu czapkę.

– Wiem, że tak uważa. Ja też tak uważam. Kiedy tylko uporam się z najważniejszymi sprawami i wyprowadzę je na prostą, pojedziemy w góry i poszusujemy na nartach. A teraz co byś powiedział na podwieczorek w Claremont?

– O tak, chętnie coś zjem – odparł Randy, ale zaraz znowu zmarszczył brwi i zapytał: – Czy chodzi o prezydenta?

– O prezydenta? – powtórzył zdziwiony Jack.

– Słyszałem, jak rozmawiałeś z panem Corneliusem przez telefon. Nie chciałem podsłuchiwać, ale nie dało się tego nie słyszeć. Powiedziałeś wtedy, że prezydent jest głupi jak but.

Jack z zaskoczeniem popatrzył na syna. Trudno mu było uwierzyć, że zaledwie kilka lat temu ten poważnie wyglądający chłopiec leżał w kołysce w ich domu w Tulsie, ssąc gumowego króliczka i przyglądając się firankom w oknie dziecinnego pokoju, falującym w porannym wietrze.

– Kiedy tak powiedziałem? – zapytał.

– Nie pamiętam dokładnie. Chyba w zeszłym tygodniu. Czy rzeczywiście prezydent jest głupi

jak but?

W tym momencie po torach z hałasem przejechała lokomotywa, ciągnąc wagony Pacific Fruit Express, wagony bydlęce z Chicago oraz kilka wagonów oznaczonych starymi symbolami Chesapeake & Ohio oraz Erie Lackawanna.

Kiedy pociąg się oddalił, Jack powiedział:

– Hm… Myślę, że jest dość bystry, bo potrafił sprawić, że ludzie go wybrali, i wie, co robić, żeby go lubili. Dobrze się prezentuje, umie znaleźć się w towarzystwie i wysławia się, jak należy.

– Ale jest głupi jak but?

Jack uśmiechnął się lekko.

– Ujmijmy to tak… Kiedy pan Cornelius i ja przyjechaliśmy ostatnim razem do Waszyngtonu, by porozmawiać o rezerwach naftowych marynarki wojennej, zaproszono nas do Białego Domu na spotkanie z panem Hardingiem i naprawdę miło nam się gawędziło. Rozmawialiśmy o teatrze, sporcie i psie pana Hardinga, Laddie Boy. Prezydent opowiedział też kilka dowcipów. Nie można go nie lubić.

– Więc co z nim jest nie tak?

– No cóż, może jest sympatycznym facetem, ale prezydent z niego żaden – odparł Jack. – Prezydenta powinno być stać na coś więcej niż

miłe pogaduszki i zabawianie gości w Białym Domu. Mam wrażenie, że pan Harding nie zna się na niczym, a kiedy wysłuchasz wszystkich jego dowcipów, nagle widzisz, że nawet nie ma własnego zdania. Według mnie w Waszyngtonie o wszystkim decydują jego starzy kumple z Ohio, a to naprawdę bystrzaki. Pan Cornelius mówi, że to krętacze pierwszej wody.

Randy oblizał spierzchnięte na chłodzie wargi.

– Czy to znaczy, że kłamią? – spytał.

Jack pokręcił głową.

– Może nie dosłownie, ale zawsze są gotowi na jakiś „mały interesik” albo „propozycję interesu”, a to zwykle oznacza, że pieniądze, które należą się komuś innemu, trafiają do ich kieszeni.

– To rozbójnicy! Czy to rozbójnicy, ojcze?

Jack wyjął etui z cygarami. Po latach pracy na stanowisku dyrektora prawnego Cornelius Oil, po niezliczonych konferencjach i zjazdach, na których trzeba było używać takich zawoalowanych pojęć jak „perswazja” zamiast „nacisk” albo „najlepsze rozwiązanie” zamiast „przekierowanie funduszy”, po raz pierwszy usłyszał, jak ktoś otwarcie mówi to, co sam zawsze czuł. Doskonale wiedział, że obraca się między krwiożerczymi tygrysami w garniturach.

Obciął cygaro i poszukał zapalniczki. Nadal wolał fajkę, ale pracował tak intensywnie, że nie miał czasu na długie nabijanie i niekończące się rozpalanie fajki.

– Tak naprawdę nie można nazwać ich rozbójnikami, Randy – odparł. – Ale chyba dałoby się ich nazwać kombinatorami. Wykorzystują każdą okazję, jaka im się nadarzy, a kiedy już wbiją w coś zęby, nie puszczą. Obracam się w świecie, którym rządzą twarde reguły, to wszystko.

Randy popatrzył na niego. Bardzo współczuł ojcu, ale zupełnie nie wiedział, jak mu to powiedzieć.

– Ojcze… jesteś smutny?

– Smutny? – powtórzył Jack. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Randy przez chwilę szukał odpowiednich słów, ale w końcu się poddał.

– Nie wiem, ojcze – odparł. – Po prostu myślę, że jesteś smutny.

– Cóż, chyba tak, ale przede wszystkim jestem zmęczony. Przez dwa i pół miesiąca negocjowałem z rządem, a to bardzo wyczerpujące zajęcie, wierz mi.

Randy zaczął machać nogami. Po chwili wskazał palcem rzekę i zawołał:

– Patrz, prom! Ma proporczyk i balony!

Mimo zimnego wiatru statek był pełen ludzi i dobiegały z niego stłumione dźwięki *My Rambling Rose*. Z biało-czarnego komina promu unosił się brązowawy dym, a na otwartym pokładzie rufowym tańczono, śpiewno i śmiano się głośno. Jack nie byłby wcale zaskoczony, gdyby pito tam również piwo, chociaż przepływająca obok promu policyjna motorówka nie miała zamiaru się zatrzymywać.

– Wspaniale się bawią, prawda? – powiedział do syna. – Może któregoś dnia powinniśmy popłynąć do Palisades i pogrillować na plaży.

Randy bez słowa kiwnął głową. Był już spokojny, najwyraźniej ufał ojcu i uwierzył w jego uspokajające zapewnienia. Tak powinno być, pomyślał Jack, ale zrobiło mu się wstyd. Syn wyczuł jego smutek, a on go zbył, wygłaszając jakieś banały, dobre dla podwładnych w pracy.

– Randy… – zaczął.

– Tak, ojcze?

Jack usiadł okrakiem na ławce i popatrzył mu w oczy.

– Randy, czy jeżeli ci coś powiem, obiecasz, że zachowasz to dla siebie? To coś ważnego, coś mającego związek z tym, że jestem smutny

i zmęczony. Ale to musi pozostać tajemnicą. Przysięgnij.

Chłopiec podniósł wzrok. Kiedy Jack zobaczył jego twarz, zadał sobie pytanie, jak w ogóle mógł go prosić, żeby przysięgał, że dotrzyma tajemnicy. To przecież twój syn, skarcił się w duchu. Nie Warren Harding ani Johann Cornelius, ani też Albert B. Fall, tylko twój własny syn, Randy Field.

– Przysięgam, ojcze.

Jack odchrząknął.

– To ma związek z ludźmi, którzy pracują dla rządu. Powiedziałeś, że to rozbójnicy. Przez ostatnie dwa i pół miesiąca zajmowałem się jednym z ich „interesików”, który ubijali z panem Corneliusem, i wierz mi, była to jedna z najbardziej cwanych robótek, jakie kiedykolwiek widziałem. Moim zadaniem było sporządzenie takiej umowy, żeby wszystko było w porządku pod względem prawnym albo przynajmniej sprawiało takie wrażenie.

Na promie rozległ się głośny gwizdek i z pokładu pofrunęła w niebo chmura czerwonych baloników, niesiona wieczorną bryzą. Zaraz potem rozległy się wiwaty, niemal całkowicie stłumione przez odległość i uliczny szum.

– Kiedy podpiszemy tę umowę, wielu ludzi zarobi na tym mnóstwo pieniędzy, między innymi ja – mówił dalej Jack. – Mogę dostać za to sześćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Jednak chyba powinienem zadać sobie pytanie, czy ja i pozostali zasługujemy na te pieniądze, czy tak naprawdę nie zabieramy ich innym ludziom.

Randy nie odzywał się, ale patrzył na ojca i wiedział, że jest nieszczęśliwy. Do tej pory nieszczęście nie oznaczało dla niego nic poważniejszego od odpadającego koła samochodziku na pedały, odmowy dokładki ciasta owocowego po kolacji, a może także dnia, kiedy dziadek musiał położyć się w trumnie, żeby spotkać się z Bogiem. Jednak dzisiaj zobaczył zupełnie inny rodzaj nieszczęścia.

Był to ból dorosłego mężczyzny (choć trudno byłoby stwierdzić, czy mały chłopiec mógł go rozpoznać), który po ponad dziesięciu latach ciężkiej pracy uświadomił sobie nagle, że wybrał złą drogę i powinien poświęcić się czemuś zupełnie innemu – czemuś, co pozwoliłoby mu w spokoju ducha dotrzeć do progu wieku średniego. Jack Field przekonał się właśnie, że źle zainwestował swoją lojalność i że Johann

Cornelius jest ostatnim człowiekiem na ziemi, z którym powinien się sprzymierzyć.

Po drugiej stronie ulicy załopotała na wietrze flaga i zatrąbił samochód.

Jack łagodnie ujął syna pod brodę i popatrzył w jego jasne oczy.

– Randy, masz dopiero dziewięć lat, ale chcę, żebyś dobrze zrozumiał to, co ci teraz powiem, bo w swoim własnym życiu możesz napotkać podobne problemy – powiedział. – Będziesz musiał wtedy zdecydować, jaką drogę wybrać: tę najbardziej właściwą czy najłatwiejszą. Być może kiedy się rozejrzysz, powiesz: „Hm, chciałbym być bogaty, ale nie za cenę, którą musiałbym za to bogactwo zapłacić”.

Chłopiec kiwnął głową. Jack nie był pewien, czy syn naprawdę pojmuje jego słowa, ale nie zamierzał przestać mówić. Poza żoną nie było nikogo, z kim mógłby porozmawiać, jednak Ellie miała teraz dość zmartwień z powodu choroby Margaret, swojej matki, która leżała w szpitalu w Charlestonie, cierpiąc na porażenie nerwu kulszowego.

– Wiele lat temu, jeszcze przed twoim urodzeniem, kiedy dopiero zaczynałem w Cornelius Oil, pan Cornelius poprosił mnie, abym załatwił prawa do eksploatacji pewnego

skrawka ziemi w Oklahomie – powiedział. – Były to piękne tereny, same lasy i pola położone nad rzeką Kiamichi w hrabstwie Pushmataha. Pan Cornelius przeprowadził tam badania i stwierdził, że na głębokości sześciuset stóp znajdują się bogate złoża ropy naftowej. – Cygaro Jacka przygasło, więc kilka razy zaciągnął się mocniej, aby je rozżarzyć. – Kiedy jednak zdobyliśmy te prawa i przystąpiliśmy do budowy szybów, lokalne władze zablokowały dalsze prace, powołując się na ustawę dotyczącą ochrony środowiska. Zamierzano przeznaczyć te ziemie pod park publiczny i rezerwat przyrody. Odwołaliśmy się od tego zakazu, ale najwyższy sąd stanowy utrzymał go w mocy. Sędziowie uznali i… myślę, że po części słusznie… – że miasteczko naftowe w samym środku takiego pięknego miejsca bardzo je zeszpeci. Szyby, ropociągi, zbiorniki i baraki z nieheblowanych sosnowych desek trudno nazwać ładnymi elementami widokowymi.

– I co się działo dalej? – spytał Randy, obejmując podciągnięte kolana jak młody Walter Raleigh słuchający na plaży opowieści wilka morskiego.

Jack widział, że chłopiec czuje się zaszczycony jego zaufaniem w tak ważnej sprawie.

– Do czasu zaprzysiężenia prezydenta Hardinga nic – odparł. – Każdego roku próbowałem doprowadzić do zmiany lub odwołania wyroku sądu, ale bez skutku. Zresztą nie tylko lokalne władze nie chciały dopuścić do wierceń. W Waszyngtonie, w administracji Woodrowa Wilsona było wielu ludzi, którzy nie lubili pana Corneliusa, więc zadbali o to, żeby nas zablokować.

Przyjechała lokomotywa parowa 4-8-2, zatrzymała się na chwilę pod semaforem i powoli ruszyła, sapiąc, pobrzękując i buchając parą.

– Jednak kiedy zaprzysiężono pana Hardinga, wszystko uległo zmianie – mówił Jack. – Widzisz, pan Wilson zawsze był bardzo samotny. Spotkałem się z nim zaledwie kilka razy, ale wiem, że był chory i zmęczony. Uważał, że wszyscy moglibyśmy żyć w pokojowym, idealnym świecie, gdybyśmy wystarczająco ciężko pracowali. Mimo to zawsze utrudniał życie biznesmenom i przysparzał im więcej trosk, niż na to zasługiwali. Ale Warren Harding… hm, Warren Harding to zupełnie inny człowiek. Twierdzi, że zrobi, co w jego mocy, aby pomóc amerykańskim przedsiębiorcom. Teraz on i biznesmeni poklepują się po plecach, a rząd

naprawdę bardzo się stara, żeby wszystko hulało jak ta lala.

Randy zdjął kaszkiet i podrapał się po głowie.

– To niedobrze? – spytał. – Nie chcesz, żeby wszystko hulało jak ta lala?

– Hm, niektórym z nas to się podoba – odparł Jack. – Ale, jak już wcześniej mówiłem, wszystko zależy od tego, jakie okażą się koszty tego układu i czy nasze postępowanie będzie właściwe. Ktoś kiedyś powiedział, że prezydent Harding to chodząca dobroć i szczerość, ale według mnie to tylko pozory. W ostatnim czasie rozmawiałem z niektórymi ludźmi z jego najbliższego otoczenia, i uwierz mi, daleko im do dobroci i szczerości.

Kiedy to mówił, przypomniał sobie uśmiechniętą twarz Alberta B. Falla, sekretarza spraw wewnętrznych, pochyloną nad wypolerowanym stołem z orzecha. Odbijała się w błyszczącym blacie, tworząc dwie bliźniacze teatralne maski – tragedii i komedii.

– Niebawem po tym, jak w maju spotkałem się z panem Hardingiem – dodał po chwili milczenia – sekretarz spraw wewnętrznych wezwał mnie do siebie i zasugerował, że powinniśmy jak najszybciej podjąć rozmowy o ziemi nad Kiamichi. Właśnie tym się ostatnio zajmowałem.

– No i co? Pozwolą wam wiercić w tamtym miejscu? – spytał Randy.

– Tak, ale tylko pod warunkiem, że my też coś dla nich zrobimy.

– I dlatego jesteś smutny?

– Po części. W zamian za pozwolenie na wiercenia musimy zapłacić albo pożyczyć panu Fallowi bardzo dużą sumę pieniędzy.

Randy z powrotem włożył kaszkiet.

– Czy to źle, ojcze?

Jack kiwnął głową.

– Tak, źle. Urzędnik rządowy powinien reprezentować interesy całego narodu, a jeśli bierze pieniądze za to, że reprezentuje interesy jednej osoby, sprzeczne z interesami innych ludzi, nie postępuje właściwie. Rozumiesz?

– Nawet jeśli to będziesz ty?

– Zwłaszcza wtedy, jeśli to będę ja. Dlatego że powinienem być mądrzejszy od innych.

– Chyba pojmuję, co masz na myśli – stwierdził Randy.

Jack objął go ramieniem.

– To nie ma w tej chwili znaczenia. Pewnego dnia przypomnisz sobie tę rozmowę i wtedy zrozumiesz, przed jakim wyborem stanąłem.

Z pobliskiej budowy doleciał do nich odgłos syreny i Jack nagle uświadomił sobie, że jest

bardzo zimno. Słońce ukryło się w niskim zwale fioletoworóżowych chmur nad Weehawken, a rzeka Hudson była purpurowopopielata i niespokojna.

Wstał i wyciągnął rękę do syna.

– Pora na podwieczorek, Randy. Mam ochotę na ciepłe bułeczki z rodzynkami.

Ruszyli trawnikiem do samochodu. Na ich widok szofer po raz ostatni chuchnął na lśniącą karoserię i obciągnął kurtkę. Za jego plecami gasnące słońce zamieniło grobowiec Granta w estradę greckiego teatru, kremowo-różową jak migdałowe drażetki.

– Jedziemy do Claremont – zarządził Jack. – A potem wracamy do domu.

Wiatr rozwiewał marchewkowe włosy O'Hary, gdy z czapką pod pachą otwierał im drzwi samochodu. Zajęli miejsca na skórzanej tylnej kanapie.

– Można powiedzieć, że jest rześkawo, proszę pana – zauważył szofer.

Grubym kraciastym kocem przykrył kolana ojca i syna, po czym zamknął drzwi i usiadł za kierownicą. Zawsze wyrażał się eufemistycznie, jakby się obawiał, że nawet najbardziej niewinna uwaga może być wykorzystana przeciwko niemu. Kiedyś oberwanie chmury nazwał

„przyrostem wilgotności”, a najśmieszniejsze przedstawienia czy piosenki były według niego tylko „zabawne”.

Do Claremont było niezbyt daleko, ale Randy niedawno przechodził grypę i Jack wiedział, że w domu czekałaby go burza, gdyby chłopiec wrócił z zatkanym nosem. Gdy ulokowali się na kanapie pojazdu, zaczął się zastanawiać, jakie byłoby ich życie bez ciepłych automobili z szoferem, bez ogrzewanych parą apartamentów, futer i dobrego jedzenia. Kiedy już zakosztowało się zakupów diamentów u Cartiera i Van Cleefa, kolacji w najlepszych restauracjach i spotkań towarzyskich w gronie najbardziej znanych nowojorskich osobistości, czy można było się zadowolić zakupami w byle jakich sklepikach, kupowaniem tanich ubrań i jeżdżeniem razem z pospólstwem trolejbusami?

– Brakowałoby ci tego wszystkiego, gdybyśmy nie mogli tak żyć? – spytał syna. – Szofera, który wszędzie cię wozi, jedzenia, które lubisz, i zawsze ciepłego domu?

Chłopiec popatrzył na niego ze zdziwieniem. Kiedy nie odpowiedział, ale po prostu zaprzeczył ruchem głowy, Jack uświadomił sobie, że jego pytanie było dla niego zupełnie pozbawione sensu. Mimo całej swojej powagi Randy nie

potrafił zrozumieć, że można prowadzić życie pozbawione luksusu i że mali obszarpańcy tańczący i grający na fujarkach na Broadwayu przed tekturowymi obrazkami przedstawiającymi Carltona i Rialto to prawdziwi chłopcy, tacy jak on. Kiedy O'Hara wystawił rękę i ruszył od krawężnika, Jack usiadł wygodniej, mając poczucie, że jego życie przypomina niebezpieczną farsę i że maski, które nakłada, zamiast ukrywać, tylko zdradzają jego prawdziwe uczucia. Wcześniej czy później Johann Cornelius go przejrzy i przestanie wierzyć w jego lojalność. A jeśli Albert B. Fall przyprze go do muru w sprawie dotyczącej Kiamichi, nastąpi to raczej wcześniej niż później. Decydujące spotkanie miało się odbyć siedemnastego listopada w hotelu Vanderbilt, za kilka dni. Fall obiecał, że wtedy „wszystko się wyjaśni", i Jack musiał szybko zdecydować, czy zdoła to „wszystko" przełknąć, czy też nie.

Kiedy dojechali do Claremont, O'Hara otworzył przed nimi drzwi i wysiedli. W restauracji kelner wskazał im stolik pod oknem. Zajęli miejsca i patrzyli na rzekę, pociemniałą teraz i poznaczoną światłami wybrzeża Jersey. Przepływający prom pozostawił na wodzie ślad w kształcie litery V. Światła

jadących Riverside Drive automobili mijały ich jak rozżarzone paciorki.

Jack zamówił koktajl mleczny, dzbanek herbaty i gorące bułeczki. Czekając na powrót kelnera, uśmiechał się do siedzącego naprzeciwko syna i żałował, że nie potrafi bez popadania w sentymentalizm czy ckliwość powiedzieć mu, jak bardzo go kocha. Chciał jednak przygotować go jakoś do zmian, jakie ich być może czekały.

– Możliwe, że będziemy musieli wyjechać z Nowego Jorku – powiedział. – To zależy od dalszych wydarzeń związanych z tą umową w sprawie wierceń.

– Będę musiał opuścić szkołę? – spytał Randy.

– Obawiam się, że tak, bo prawdopodobnie stracę pracę.

– Zawsze będziesz mógł dostać inną.

– Na przykład jaką?

– Mógłbyś prowadzić pociąg.

Jack odchylił głowę i roześmiał się.

– Tak, pewnie mógłbym prowadzić pociąg.

Kiedy kelner przyniósł zamówienie, posmarowali masłem bułeczki i przez chwilę jedli w milczeniu.

– W następnym tygodniu podejmę decyzję, czy mam się trzymać posady w Cornelius Oil, czy

wybrać inną drogę – dodał Jack. – To niełatwy wybór, bo bardzo kocham ciebie i twoją matkę i zawsze chciałem wam dawać wszystko, co najlepsze.

– Wiem, ojcze – odparł Randy z ustami pełnymi bułeczki.

– Co wiesz?

– Że zawsze dajesz nam wszystko, co najlepsze. Jak dzisiaj. Jest naprawdę fajowo.

Jack popatrzył na niego i nagle zabrakło mu słów, więc posmarował masłem następną bułkę i zaczął ją jeść, czując kluchę w gardle. Przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu w Oklahomie J. Paul Getty, kiedy jeden z ich odwiertów przedwcześnie wysechł. Nalał sobie wtedy whisky, wypił ją, a potem rozejrzał się wokół i stwierdził: „Nigdy nie powinieneś przejmować się biedą. Raz na jakiś czas dobrze jest pobiedować. Byron powiedział kiedyś, że nic tak nie popycha do prawdy jak przeciwności losu, a prawda, Jacku Field, jest o wiele cenniejsza od ropy”.

Położył rękę na dłoni syna.

– Co byś powiedział na to, żebyśmy pojechali jutro rano na ryby? – spytał cicho. – Tylko ty i ja?

Spojrzenie, jakie posłał mu Randy, sprawiło, że musiał wyjąć chusteczkę i wytrzeć oczy,

a potem skłamać, że kawałek ciepłej bułki wpadł mu nie w tę dziurkę, co trzeba.

♦ ♦ ♦

Ellie siedziała na sofie, trzymając nogi na podnóżku i czytając *Po tej stronie raju*, gdy drzwi wejściowe się otworzyły i do holu wpadli Jack i Randy, zasapani po obowiązkowym wyścigu, który mieszkająca w apartamencie naprzeciwko pani Vandersteen nazywała „zawodami słoni".

Odłożyła książkę na stoliczek i podeszła do męża i syna, by ich powitać. Jack usiłował trafić kapeluszem w wieszak, a Randy biegał po holu z twarzą zasłoniętą szalikiem, bo teraz był Bandytą w Masce. Ellie oparła się o futrynę drzwi i przyglądała im się z pobłażliwym uśmiechem.

– Witaj, kochanie – powiedział Jack. – Wspaniale się bawiliśmy. Naprawdę wspaniale.

Pokręciła głową.

– Nigdy nie zrozumiem, jakim cudem udaje się wam takie proste czynności jak wieszanie czapek i kurtek zamienić w występ cyrkowy.

Pocałowała męża, a potem pomogła Randy'emu rozwiązać sznurowadła.

– Masz ochotę na koktajl, Jack? – spytała. – A ty, synku, co powiesz na szklankę gorącego

mleka ze słodem? Jesteś cały przemarznięty.

– Czy Ethel jest w domu? – spytał Jack.

– Pozwoliłam jej wcześniej wyjść. Do Bronxu długo się jedzie.

– W takim razie ja przygotuję mleko dla Randy'ego – oświadczył Jack, rozcierając zgrabiałe dłonie i wchodząc do salonu. – Robię najlepsze mleko ze słodem po tej stronie Gór Skalistych, prawda, wspólniku?

– Tak jest, szefie! – przytaknął Randy, zdejmując podkolanówki.

– A ja chętnie wychylę Old Fashioned – powiedział Jack, biorąc Ellie za rękę, całując ją i uśmiechając się.

Ich mieszkanie znajdowało się na ósmym piętrze i wychodziło na Pięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. Przez rozsunięte zasłony widać było w dole migoczące światła automobili i powozów oraz zimowe drzewa Central Parku pełne pozwijanych rdzawych liści. Było to obszerne, ciepłe mieszkanie, z podłogami pokrytymi miękkimi, wyciszającymi hałasy dywanami i pięknymi wiktoriańskimi meblami, tapicerowanymi ciemnobrązowym atłasem. W salonie wisiał kryształowy żyrandol, atłasowe zasłony miały barwę koniczynowego miodu, a ściany zdobiły ołówkowe i atramentowe szkice

Kandinskiego i Modiglianiego oraz dzieła angielskich i francuskich impresjonistów. Pod wychodzącym na Piątą Aleję i hotel Sherry-Netherland oknem stał fortepian Ellie, dostarczony z Karoliny Południowej jeszcze przed ich przyjazdem do Nowego Jorku.

Jack poszedł do pomalowanej na kremowo i bladozielono kuchni i wyjął z lodówki mleko. Obok stała maszyna do mycia naczyń, którą ich gosposia czciła jak polinezyjskiego boga. Kiedy Jack nalewał mleka do rondelka, Ellie poinformowała go:

– Znowu dzwonił Albert Fall.

– Mówił, o co chodzi?

– Powiedział, że to nic pilnego. Chciał się tylko upewnić, czy będziesz mógł zjawić się w poniedziałek. Chyba zamierza jeszcze raz przejrzeć ten kontrakt w sprawie Kiamichi.

– Jeszcze raz? Ślęczeliśmy nad nim dwa miesiące.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, o co dokładnie chodzi, zadzwoń do niego.

Jack postawił mleko na ogniu.

– Wolałbym nie dzwonić. Chcę sobie zrobić weekendowe wakacje i nawet sam Johann Cornelius nie zmusiłby mnie teraz do rozstania się z rodziną. Gdzie cukier?

– Tam gdzie zawsze. Mówisz o Johannie, jakby był twoim panem i władcą.

– Musisz przyznać, że ma odpowiednie inicjały. Podoba ci się książka?

Do kuchni wszedł Randy, niosąc nakręcaną lokomotywkę.

– Przepraszam, ojcze, ale chyba sprężyna się zepsuła – powiedział.

Jack przykucnął i zaczął oglądać jasnoniebieski cynowy pojazd. Kilka razy przekręcił kluczyk, ale choć z wnętrza zabawki dobiegały trzaski, koła ani drgnęły.

– Jack! – zawołała Ellie. – Mleko wykipi!

Szybko zgasił ogień pod rondelkiem i przelał mleko do nowego elektrycznego blendera.

– Nie martw się, Randy. Jeśli nie uda się nam wprawić w ruch tego starego rupiecia, kupię ci nową lokomotywkę.

Chłopiec zerknął na matkę i wrócił spojrzeniem do ojca.

– Myślisz, że będzie nas na nią stać? – spytał.

Ellie ze zdziwieniem popatrzyła na Jacka.

– Stać? – powtórzyła. – Na pociąg za dwa dolary? Oczywiście!

– Nie chcę nowego, jeżeli nas nie stać – oświadczył Randy. – Mogę przecież popychać wagoniki.

Matka zmierzwiła mu włosy.

– Kochanie, nie będziesz musiał popychać wagoników. Kiedy tylko w poniedziałek otworzą sklepy, kupimy ci nowy pociąg. Proszę, to twoje mleko. Zabierz je do siebie i wypij. Ethel zostawiła ci kolację w piekarniku. Będzie gotowa za pół godziny.

Jack zgasił światło i oboje wrócili do salonu. Ellie podeszła do barku i przyrządziła Old Fashioned, a Jack usiadł w przepaścistym pikowanym fotelu i sięgnął po fajkę i zapałki.

– Co to za pomysł, że nas na coś nie stać? – spytała Ellie. – Czemu Randy doszedł do takiego wniosku?

Jack wzruszył ramionami.

– To nic takiego – mruknął.

– Nieprawda, musiałeś mu coś powiedzieć. Nigdy wcześniej nie martwił się domowym budżetem.

Jack roztarł w dłoniach grudkę tytoniu.

– Powiedziałem mu tylko, że nie powinien uważać naszego bogactwa za coś oczywistego.

Ellie podeszła do niego z drinkiem.

– Dlaczego nie powinien uważać go za coś oczywistego? – spytała. – Przecież mu nie grozi, że będzie jadł spleśniały chleb i stary tłuszcz

spod pieczeni, prawda? Pewne rzeczy musi uważać za oczywiste.

– Nie o to mi chodziło. Ale ta sprawa z Fallem robi się mocno niewyraźna.

– Niewyraźna? Co chcesz przez to powiedzieć?

Jack uśmiechnął się z trudem.

– To naprawdę nie powód do zmartwień.

Ellie zmarszczyła brwi i przyklękła obok niego. Uświadomił sobie, że nie ukryje przed nią swoich problemów. Otoczona kosmykami rdzawych kędziorów twarz jego żony jak zawsze była łagodna, ale jej szare jak łupkowe skały oczy patrzyły na niego z lekkim niepokojem – najwyraźniej wyczuła, że nie chce się z nią podzielić jakimiś nieprzyjemnymi wiadomościami. Odwrócił wzrok. Zawsze czuł zakłopotanie, kiedy próbował coś przed nią ukryć. Próbując zyskać na czasie, odegrał długą scenę nabijania fajki wirginijskim tytoniem. Ellie zawsze ceniła bezpośredniość i prawdomówność i nie było dnia, żeby nie próbowała dowieść swojej niezależności, ignorując ironiczne uśmiechy ich znajomych płci męskiej i dezaprobatę przyjaciółek. Kiedy Jack starał się chronić ją przed prawdą, tak jak to robił w tej chwili, czuł się, jakby dopuszczał się wobec niej zdrady. Teraz, gdy skończyła trzydzieści lat,

a kobiety od ponad roku miały prawa wyborcze, stała się jeszcze bardziej pewna siebie. Gdy pewnego razu podczas kolacji dyskutowała z Corneliusem, ten w pewnym momencie oblał się szkarłatem i po chwili wyszedł pod byle pretekstem. Grover Whalen, wytworny młody człowiek, który wydał w Nowym Jorku wiele powitalnych przyjęć dla różnych sław i powracających z wojny żołnierzy, usłyszał od niej, że fetowanym przez niego osobistościom musiało się wydawać, iż utonęły podczas rejsu przez Atlantyk i są przyjmowane w Pandemonium[3]. Jednak przy całej swojej asertywności Ellie wciąż była wdzięczną, słodką istotą i gdy siedziała obok niego w krótkiej luźnej podomce z czerwonego jedwabiu, budziła w nim przyjemny niepokój nie tylko swoją siłą, ale i kobiecością.

– Jest jeszcze za wcześnie, aby cokolwiek było wiadomo na pewno – powiedział. – Ale czuję, że zostałem wmanewrowany w bardzo trudną sytuację. W tym tygodniu Fall ujawni, co dla nas upichcił, i będzie oczekiwał, że spróbuję tego dania razem z innymi.

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli – powiedziała.

Popatrzył na nią.

– To proste. Albert Fall zamierza przepchnąć pozwolenie, które otworzy Cornelius Oil możliwość wierceń nad Kiamichi, ale zrobi to tylko wtedy, jeśli nie zostanie pominięty przy podziale zysków.

– Chodzi mu o łapówkę?

– W gruncie rzeczy tak, ale to trochę bardziej skomplikowane. Nie życzy sobie, żeby pieniądze pochodziły z funduszy firmy i zostały przekazane oficjalną drogą. Chce, żebyśmy mu je dostarczyli, posługując się jakimś nowym sposobem, który sam wymyślił i o którym ma nas powiadomić w hotelu Vanderbilt. Ma to mu pozwolić wziąć pieniądze, w żaden sposób go nie obciążając.

Słuchając męża, Ellie odgarnęła mu z czoła włosy takim gestem, jakby dotykała czegoś niezwykle cennego i kruchego.

– Znasz mnie – mówił dalej Jack. – Wiesz, że nie mam nic przeciwko temu, żeby użyć zachęty tam, gdzie bez niej się nie obejdzie. W interesach zawsze trzeba gdzieś wcisnąć parę dolarów, jeśli chcesz, żeby ludzie zrobili ci jakąś przysługę. Ale tu chodzi o coś znacznie gorszego niż łapówka, to mi wygląda na grubszy szwindel.

Ellie położyła dłoń na jego ręce. Oprócz brylantowo-szafirowego zaręczynowego

pierścionka nosiła szeroką złotą obrączkę ślubną ze splecionymi literami J i E.

– Co się stanie, jeśli się nie zgodzisz? Co będzie, jak go nie przekupisz?

– Cornelius Oil nie będzie mogło wiercić nad Kiamichi, a ja stracę pracę.

– Johann na pewno by cię nie wyrzucił. Nie po tylu latach.

Jack kciukiem ugniótł tytoń w fajce.

– Wyrzucił już Jerry'ego Slobodiena, pamiętasz? A Jerry pracował z nim znacznie dłużej niż ja.

– Ale był wiecznie pijany.

– Nie dlatego wyleciał. Johann zwolnił go, bo Jerry wstrzymał wydobycie przy Sweetwater, żeby ratować zakleszczonego w odwiercie osiołka. Johann stracił wtedy osiem tysięcy baryłek ropy. Ma gdzieś moralność i skrupuły. Dla niego to sprawy bez znaczenia. Ale jeśli przez kogoś straci pieniądze, koniec z nim. Natychmiast wylatuje na bruk.

Ellie ścisnęła dłoń Jacka i popatrzyła na niego z niepokojem.

– I to właśnie cię czeka?

Jack odstawił drinka.

– Nie wiem. Wszystko zależy od tego, co Fall każe nam zrobić.

– Przecież już wcześniej byłeś uwikłany w jakieś mętne interesy. Myślałam, że jeśli chcesz pracować w tej branży, jesteś na to skazany. Pamiętasz chyba tamtą okropną sprawę z tym pośrednikiem, Sinclairem, którego wysłałeś do Waszyngtonu, prawda? Nie zwolniono cię wtedy. Czemu teraz miałoby być inaczej?

Jack wzruszył ramionami.

– Nie wiem. W tym wszystkim najbardziej szokuje mnie to, że rząd nie tylko otwarcie popiera ludzi, którzy robią interesy bez oglądania się na prawo i uczciwość, ale także próbuje uszczknąć coś z tego dla siebie. Nie jestem idealistą, wiesz o tym. I nie jestem niewiniątkiem. Gdyby mój ojciec zobaczył kilka umów, które przepchnąłem za prezydentury Woodrowa Wilsona, włosy stanęłyby mu dęba na głowie. Ale gdzieś powinna być granica i wierzę, że nasz rząd w gruncie rzeczy jest uczciwy. – Przez chwilę milczał, po czym dodał: – Przyznaję, chyba zbyt często szedłem na skróty. W końcu jednak przychodzi chwila, kiedy uświadamiasz sobie, że nawet wszystkie dolary świata nie zwrócą ci utraconej wierności własnym przekonaniom.

Ellie wstała. Nadal była jego śliczną filigranową Ellie, chociaż jej ciało nabrało

typowych dla kobiet po trzydziestce okrągłości.

– Nie chciałem ci o tym mówić, dopóki nie nabrałem pewności – powiedział po chwili. – Jednak sądząc po zachowaniu Falla w ostatnich tygodniach… no cóż, jestem pewien, że przygotował mi twardy orzech do zgryzienia.

– Chyba lepiej by było, gdybyś mi powiedział – stwierdziła.

Przetarł powieki.

– Masz rację. Ale twoja matka…

– Moja matka to moja matka i nikt jej nie zastąpi. A ty jesteś moim mężem.

– Jak ona się miewa?

– Doktor Shura powiedział, że czuje się już znacznie lepiej.

– To dobre wieści. Przynajmniej jedna rzecz się układa.

– Nie będziemy musieli się stąd wyprowadzać, prawda? – spytała.

Popatrzył na nią.

– Nie wiem. Na pewno nie od razu. Ale jeśli będę musiał odejść z Cornelius Oil i zacznę działać sam, bardzo uszczupli to nasz kapitał. Będziemy musieli zrezygnować z limuzyny z szoferem i wystawnych przyjęć. Jestem bogatym człowiekiem, chyba bogatszym niż Johann Cornelius, kiedy go poznałem. Ale mogę

pozostać bogaty tylko wtedy, kiedy moje pieniądze będą przynosić zyski, a to oznacza konieczność ciągłego inwestowania i znacznie większe ryzyko finansowe. Nasz rachunek bankowy, pozbawiony dwustu tysięcy dolarów regularnych corocznych wpływów, przestanie przynosić zysk.

Ellie pomyślała o cynowej lokomotywie Randy'ego.

– Zegarki czasem się psują, ale pociągi wciąż jeżdżą – zauważyła.

Jack się uśmiechnął.

– Randy powiedział, że mógłbym pracować na kolei.

– Może to nie taki zły pomysł. Kilka tygodni temu poznałam młodego Daniela Forstera. To wschodząca gwiazda spółki kolejowej P and P Railroad. Mówił mi, że potrzebują prawników i inżynierów.

Jack westchnął.

– Już czuję się jak bezrobotny włóczęga.

– Zawsze mógłbyś otworzyć prywatną praktykę, tak jak planowałeś w młodości.

– Za wcześnie, by o tym myśleć – odparł ze znużeniem. – Jeśli uda mi się znaleźć jakiś sposób rozwiązania tego problemu, na pewno go wykorzystam.

– Ale nie wierzysz, że to się uda, prawda?

Zacisnął ręce na poręczach fotela jak pasażer kolejki górskiej na Coney Island.

– Nie, nie wierzę – przyznał.

Uśmiechnęła się, ale nie był to radosny uśmiech.

– Cóż, wygląda na to, że będziemy musieli zacząć oszczędzać – powiedziała z lekkim westchnieniem.

– Będzie ci tego bardzo brakowało? Nowego Jorku?

Kiwnęła głową.

– Jestem tu bardzo szczęśliwa, Jack. Wydaje mi się, że to jedyne miasto w naszym kraju, w którym kobieta może robić to, co jej się podoba i jak jej się podoba. Poza Nowym Jorkiem nikt by tego nie tolerował. No i te wszystkie przyjęcia, bale i kolacje… Teatrów także będzie mi brakowało.

Opuścił wzrok. Kiedy popatrzył na swoje nogi, nagle wydało mu się, że należą do kogoś innego.

– Zawsze mógłbym pójść na rękę Fallowi – mruknął.

Odwróciła się do niego.

– I wrócić do domu pozbawiony czci i honoru? Dla wygodnego życia, przyjęć i tańców? Nie pozwoliłabym ci na to!

Podeszła, usiadła mu na kolanach i pocałowała go w czoło, a potem, patrząc mu w oczy, powiedziała cicho:

– Wyszłam za ciebie, bo byłeś bez skazy jak Abraham Lincoln i przystojny jak Rudolph Valentino, no i okazałeś się lepszym prawnikiem niż Arthur Garfield Hays i Clarence Darrow razem wzięci. Nie zawiedź mnie, idąc na rękę kombinatorom pokroju Falla.

Pokręcił głową.

– Będzie ci brakowało biżuterii, prawda? I nowych futer każdej jesieni.

Położyła mu palec na ustach.

– Kocham cię – szepnęła. – Tylko to się liczy.

Choć nie chciał pokazać, jak bardzo jest zmartwiony, w jego oczach pojawiły się łzy. Otarła je i przytuliła go do siebie, mówiąc:

– Nigdy nie przejmuj się pieniędzmi, kochanie. Nawet gdybym miała mieszkać w drewnianej chacie w górach i co wieczór przygotowywać kukurydzę z fasolą, a w sobotę pieczeń z szopa, i tak byłabym szczęśliwa, jeśli miałabym przy sobie ciebie i Randy'ego. Nauczyłabym się nawet pędzić bimber z jabłek.

Roześmiał się przez łzy.

– Moja żona bimbrowniczką…

Pogładziła go po czole, pocałowała jeszcze raz i powiedziała:

– Nie doceniasz mnie. Kocham cię i chcę dzielić z tobą nie tylko dobre czasy, ale i złe. Jeśli będziemy musieli suszyć spodnie na sznurku za domem, to trudno. Przynajmniej pozostaniemy uczciwi.

– Zaczynam się zastanawiać, co jest uczciwe, a co nie.

Pokręciła głową.

– Wiesz, co jest uczciwe. Ty jesteś uczciwy. Zawsze starasz się postępować uczciwie, pozwalasz sobie na szachrajstwa tylko wtedy, kiedy to nie może nikomu zaszkodzić. Tylko przy krzyżówkach zawsze szachrujesz…

Sięgnął po zapałki.

– Skoro do tej pory nie szachrowałem, to może wreszcie powinienem zacząć?

Wyjęła mu fajkę z ust.

– Nie pal teraz. Chodź do łóżka.

– A Randy?

Uśmiechnęła się i pociągnęła go za ramię.

– Randy bawi się swoimi żołnierzykami. To trochę potrwa.

– Ellie, przychodzę do domu i mówię ci, że moja kariera wisi na włosku, a ty chcesz iść ze mną do łóżka?

– Nie bądź taki staroświecki! Nie sądzisz, że to najlepsze lekarstwo na zmartwienia?

– Pewnie tak, ale…

Wyciągnęła go z fotela.

– No to chodź.

Idąc obok siebie korytarzem, zerknęli przez szparę w drzwiach do pokoju Randy'ego. Mleko pokrył już pomarszczony kożuch. Chłopczyk klęczał na podłodze, ustawiając czwórkami ołowiane żołnierzyki. Jack objął ramieniem Ellie i szepnął:

– Wydaje mi się, że to bitwa pod Bull Run. Powinna potrwać jeszcze pół godziny.

W milczeniu przeszli do sypialni i zamknęli za sobą drzwi na klucz. Pośrodku pokoju stało wielkie, szerokie łoże z kolumienkami, nad którymi niczym namiot Maurów rozpięty był kremowy jedwabny baldachim. Podłogę pokrywał gruby, biały, miękki dywan, a na wszystkich ścianach wisiały duże lustra; odbite w nich twarze Jacka i Ellie przypominały stare portrety.

Zza okna dobiegał stłumiony warkot taksówek, które z włączonymi silnikami czekały na klientów pod Savoy-Plaza, oraz powolny stukot kopyt koni ciągnących lekkie dwukołowe powozy. W sąsiednim apartamencie ktoś puścił

płytę *I'm Always Chasing Rainbows*. Ale Jack i Ellie znajdowali się już w sferze ciszy, pochłonięci swoją miłością. Kiedy zaczęli całować się w świetle nocnej lampy przykrytej abażurem, wyglądali jak para nowożeńców.

Jack pocałował Ellie w czoło, oczy i usta. Trzymał ją blisko siebie i czuł przez cienki, śliski jedwab podomki ciepłą skórę żony. Widział jej rozchylone wilgotne wargi, białe zęby i koniuszek różowego języka.

– Jak to się dzieje, że zawsze czuję się, jakby to był nasz pierwszy raz? – spytał.

Pogłaskała go po policzku.

– Dlatego że zawsze jest pierwszy raz. I dlatego że pierwszy raz jest zawsze najlepszy.

– Myślisz, że jestem szalony, prawda?

– Czemu miałabym tak myśleć?

– Nie wiem. Po raz pierwszy mamy rząd, który wyłazi ze skóry, żeby nam pomóc. A ja, cholera, przejmuję się zasadami.

Przesunęła palcem po jego ustach. Jej szare oczy wpatrywały się w przyszłość, a może w przeszłość.

– Byłbyś szczęśliwy, gdybyś poszedł na rękę Fallowi? – spytała.

Pokręcił głową.

Przez chwilę mu się przyglądała, przechylając głowę na bok, a potem się uśmiechnęła.

– W takim razie czym się martwisz, do diabła?

Mieszkający za ścianą meloman puścił *Smiles*, więc Jack wziął Ellie za rękę i zaczął z nią tańczyć fokstrota wokół pokoju, nucąc fałszywie. Okrążyli łóżko i padli na białą brokatową kapę. Jack leżał na plecach, a Ellie usiadła na nim i całowała go po twarzy.

– Według Freuda wszystko ma związek z seksem – powiedziała ze śmiechem. – Może brak ci elastyczności w pracy, bo jesteś taki sztywny w domu.

Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym zaczęli się śmiać. Znowu się całowali, na początku pieszczotliwie, a potem coraz namiętniej. Jack poczuł, że z kącika ust Ellie wypływa ciepła ślina. Dotknął odsłoniętego uda żony i zaczął pieścić jej jędrne pośladki.

Nawet się nie rozebrali. Kochali się w słabym, rozmytym świetle, które zamieniało ich w postacie z plakatu reklamowego linii transatlantyckiej White Star, w dobiegających zza ściany dźwiękach muzyki, w powietrzu przesyconym zapachem perfum. Ellie pochylała się nad Jackiem, a on leżał pod nią ze ściągniętą twarzą, napinając wszystkie mięśnie. Czasem,

gdy się kochali, szeptali lub krzyczeli, ale tego wieczoru prawie się nie odzywali – to, co czuli, nie potrzebowało dźwięków ani słów.

Wiadomość, którą Jack przed paroma minutami przekazał Ellie, nie wywołała w niej strachu, choć się tego spodziewał. Zamiast narzekać lub się nad nim użalać, przywróciła mu wiarę w siebie, wiarę we własną uczciwość i samodyscyplinę – wartości, które tak łatwo mógł zaprzepaścić, pracując dla Cornelius Oil.

Twardość, którą Ellie wewnątrz siebie czuła, była nie tylko doznaniem fizycznym. Była to twardość mężczyzny, który potrafił działać jak mężczyzna. Gdy Jack zaczął zbliżać się do orgazmu, ścisnął ją za przeguby – z taką siłą, że zabolało. Ale bardzo pragnęła jedności z nim, całkowitego zespolenia, więc przyciskała się do niego coraz mocniej, a on każdym pchnięciem przybliżał ją do spełnienia. W końcu poczuła, że zalewa ją fala dziwnej, bolesnej rozkoszy, i jej oczy wypełniły się łzami.

Przez kilka oszałamiających minut byli jednością. Nie wiedziała, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego. Wydawało jej się, że on jest nią, a ona nim, i że mogłaby spędzić resztę życia w rozkosznym niebycie, z jego penisem ukrytym w jej wnętrzu i jego jądrami między udami. Ale

jej pole widzenia pociemniało nagle – jakby spoglądała w czarne wnętrze aparatu fotograficznego i nacisnęła migawkę – i wiedziała, że to prawie już, za ułamek sekundy. Gdy nadal rozpaczliwie starała się utrzymać bliskość, Jack wbił paznokcie w jej biodra, wyszeptał chrapliwie: „Ellie, och, Ellie…” – i wytrysnął w niej trzykrotnie.

Minęła długa chwila, zanim otworzyli oczy, a kiedy to zrobili, czuli się, jakby wrócili do domu po kilkumiesięcznej zagranicznej podróży. Leżeli przytuleni do siebie, całując się, głaszcząc i rozmawiając cicho. Mówili o Randym, o zimowych wakacjach na Florydzie i o Corneliusie.

– Myślisz, że Johann naprawdę kocha Hester? – spytała Ellie. – Często mam wrażenie, że są bardzo daleko od siebie. Nie tak jak my.

Jack owinął wokół palca kosmyk jej włosów.

– Trudno powiedzieć. W każdym razie to nie nasz interes.

Ellie wsparła się na łokciu.

– Ale wiesz, co myślą o tym Kubcekowie, prawda?

– Nie, nie wiem. Co myślą Kubcekowie?

– Pani Kubcek jest pewna, że Johann ma inną kobietę, którą gdzieś ukrywa.

Jack pokręcił głową.

– On nie ma czasu na takie rzeczy. Zresztą sądzę, że nie kocha nikogo ani niczego poza samym sobą. No i pieniędzmi.

– Może przeżył namiętny romans, kiedy był młodszy.

– Jasne. I może dałoby się jeździć automobilem napędzanym masłem orzechowym.

Ellie złapała poduszkę i walnęła go nią.

– Nigdy nie bierzesz niczego poważnie! – zawołała.

Uścisnął ją i pocałował.

– Johanna Corneliusa biorę bardzo poważnie – odparł. – Gdyby nie on, znalazłbym się w gorszym położeniu, niż gdybym był bez pracy i bez pieniędzy.

– W gorszym położeniu niż bez pracy? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Trudno to wyjaśnić. Johann należy do ludzi, którzy potrafią wydobyć ze swoich współpracowników nie tylko to, co najlepsze, ale także to, co najgorsze. Przy nim czujesz, że stać cię na wszystko, że możesz zbić fortunę i podbić cały świat. Jednak czujesz też, że jeśli chcesz to osiągnąć, musisz zaprzedać duszę. Myślę, że Johann dobrze wie, co to jest moralność, choć niektórym się wydaje, że jest inaczej. Ale chyba

uważa, że jeśli ktoś zamierza być bogaty i chce zachować to bogactwo, musi zmienić swoje wyobrażenia o moralności w taki sposób, aby służyły jego finansowym ambicjom. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Ellie usiadła.

Jack mówił dalej, ale nie mógł oderwać wzroku od jej piersi, oświetlonych miękkim blaskiem lampy.

– Przy Johannie zaczynasz pojmować, że nie ma nic świętego i nie do zniszczenia… to znaczy, jeśli naprawdę chcesz być bogaty. Może masz rację, może rzeczywiście w młodości przeżył namiętny romans. Ale jeśli tak, ukrył go pod dziesięcioma tonami betonu. Lubi Hester, to oczywiste, jednak zawsze miałem wrażenie, że ożenił się z nią tylko po to, aby urodziła mu następców, prowadziła dom i towarzyszyła mu podczas oficjalnych kolacji. Do niczego więcej nie jest mu potrzebna.

Ellie przytuliła się do niego.

– Skąd mam wiedzieć, że ty nie ożeniłeś się ze mną z tego samego powodu?

W tym momencie zadzwonił telefon. Jack pocałował żonę i powiedział:

– To proste. Gdybym ożenił się z tobą tylko dlatego, wyskoczyłbym teraz z łóżka i podniósł

słuchawkę.

Delikatnie położył ją z powrotem na poduszce, pochylił się nad nią i szepnął:

– Moja kochana Ellie…

♦ ♦ ♦

Rankiem siedemnastego listopada 1921 roku wziął taksówkę i pojechał na Wall Street, na rozmowę z Johannem Corneliusem. Później był umówiony w hotelu Vanderbilt. Miało to być spotkanie, które Albert Fall określił jako „zasadnicze i przełomowe”. Miał na sobie brązowy tweedowy płaszcz i brązowy kapelusz z szeroką opaską. Jego przystojna twarz była bardzo blada i aż prosiła się o kilka tygodni słonecznych wakacji.

Johann siedział za biurkiem w wyłożonym ciemną dębową boazerią gabinecie. Miał ponurą minę. Od jakiegoś czasu zajmował się przygotowywaniem nowych obligacji, ale ludzie Morgana, z którymi współpracował, kręcili nosami na warunki emisji i żądali podwyższenia dywidendy. Przywitał Jacka ostrym: „O której to godzinie się przychodzi?” – i wrócił do przekładania papierów.

– Jest dopiero ósma – odparł zdziwiony Jack. – Spodziewałeś się mnie wcześniej?

Johann nic na to nie odpowiedział. Miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę ze stojącym kołnierzykiem. Na ścianie za nim wisiała fotografia teksańskiego miasteczka Amarero, obecnie jednego z najbardziej uprzemysłowionych ośrodków naftowych w całym stanie, dysponującego zbiornikami do magazynowania ropy i urządzeniami do krakingu. Na parapecie stała w dużej donicy jakaś rozrośnięta roślina.

W końcu Johann podniósł wzrok.

– Jestem przekonany, że Fall dziś z czymś wyskoczy – mruknął. – Mam tu wszystkie dokumenty dotyczące Kiamichi, gdybyś chciał je przejrzeć. – Stuknął złotym mechanicznym ołówkiem w zieloną skórę na biurku i dodał z rozdrażnieniem: – Szkoda, że tego całego cholernego budynku nie wysadzili bolszewicy.

– Masz na myśli Budynek Morgana[4]? – spytał Jack. – Robią ci kłopoty z emisją akcji Seal Beach?

– A jest coś, z czym nie robią kłopotów? – prychnął Johann.

Jack usiadł naprzeciwko niego w wygodnym fotelu klubowym. Nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego Johann nie pozostawi jemu i innym

pracownikom działów prawnego i finansowego spraw dotyczących emisji akcji i obligacji. Miał kilku przyjaciół u Morgana, był również w dobrych stosunkach z Williamem H. Remickiem, prezesem giełdy, i mógłby przeprowadzić emisję Seal Beach znacznie szybciej i bardziej dyplomatycznymi sposobami, niż robił to Johann. Zgromadzenie siedemdziesięciu milionów dolarów na sfinansowanie programu ekspansji Cornelius Oil było skomplikowanym rebusem i wymagało nie tylko wyczucia czasu, ale i subtelności. Może jedyna różnica między Johannem a jego pracownikami polegała na tym, że mimo całej swojej szorstkości potrafił lepiej rekomendować swoje propozycje finansowe niż którykolwiek z jego ludzi, ale też prawdą było to, co powiedział młody zastępca Jacka, Nathan Frank: „Kiedy Johann Cornelius proponuje ci zakup swoich obligacji, to tak, jakby twój rabin proponował ci kupno biletów na potańcówkę B’nai B’rith. Po prostu nie możesz odmówić”.

– Wkrótce otrzeźwieją – powiedział Jack. – Muszą tylko poczuć, jacy są wspaniałomyślni.

– Do cholery, mam wrażenie, że wszędzie wokół nas jest mnóstwo wspaniałomyślności, a niewiele inwestycji z głową. Spróbuję jeszcze

raz z Western Banks, skoro Morgan nie chce ruszyć tyłka.

Jack wzruszył ramionami.

– Twoja decyzja. Ale to spotkanie w hotelu Vanderbilt jest nieco bardziej naglące.

– Kto ma na nim być?

– Na pewno Harry Sinclair i James O'Neil. Od dawna trzymają sztamę z Fallem.

– Ktoś ze Standard też będzie?

– Pewnie Bob Stewart.

Johann przetarł kłykciami oczy.

– Nie wydaje ci się, że Albert zakłada towarzystwo wzajemnej pomocy? Cała ta banda, która w zeszłym roku zdrowo potrząsnęła kiesą dla Hardinga i Coolidge'a, próbuje się teraz odkuć.

– Myślę, że chodzi o coś więcej. Fall za bardzo interesuje się naftą, żeby to było normalne.

– Nie ma niczego nienormalnego w interesowaniu się naftą.

Jack postukał palcem w plik dokumentów obwiązanych czerwoną wstążeczką.

– To zależy od tego, czyja jest ta nafta i jaką postać przybiera to zainteresowanie. Na przykład przypuśćmy, że rozmawiamy o rezerwach nafty przeznaczonych dla marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych…

– No dobrze, przypuśćmy. Marynarka ma trzy rezerwowe pola naftowe, Buena Vista i Elk Hills w Kalifornii oraz Teapot Dome w Wyoming. I co z tego?

Jack opuścił wzrok na swoje buty. Zapomniał kazać je wypastować i nie był z tego zadowolony.

– Hm… pozwól, że ujmę to w ten sposób: kto według ciebie powinien zarządzać rezerwami naftowymi marynarki wojennej?

– Żarty sobie ze mnie stroisz?

– Bynajmniej. Spodziewałbyś się pewnie, że będą się znajdowały pod zarządem sekretarza marynarki wojennej, prawda?

Johann nic na to nie odpowiedział – ale wystarczyło spojrzeć na jego zaciętą, wykrzywioną twarz, by się zorientować, co o tym myśli. Jego mina ostrzegała Jacka Fielda, że musi trzymać się faktów, bo popuszczanie wodzy wyobraźni może go sporo kosztować. W wieku czterdziestu ośmiu lat Johann stał się szorstki, agresywny i twardy jak granit. Jack, podobnie jak każdy pracownik Cornelius Oil i związanych z firmą macierzystą spółek, wiele razy poranił sobie ręce o ten granit i wiedział, jak bardzo nieustępliwy jest ich szef.

– W maju prezydent Harding odebrał marynarce wojennej nadzór nad rezerwami

naftowymi i przekazał je sekretarzowi spraw wewnętrznych. Ale nikt nie wie, dlaczego to zrobił.

Johann uniósł brwi.

– Więc nafta jest teraz pod zarządem Alberta Falla… serdecznego druha każdego nafciarza, tak?

Jack się skrzywił.

– Druha niektórych nafciarzy, ale nie naszego. Sądzę, że nadal żywi do ciebie urazę za twoją postawę podczas kampanii wyborczej. A także za to, co powiedziałeś o Hughesie: że to baran w baraniej skórze.

– Wolę być apolityczny – oświadczył Johann, z upodobaniem smakując słowo „apolityczny”. – Nie lubię, kiedy mój biznes jest zależny od politycznych prądów.

– No cóż, bez względu na to, co Albert Fall czuł kiedyś wobec ciebie, najwyraźniej chce puścić w niepamięć dawne urazy. Ze wszystkich naszych rozmów na temat Kiamichi wynika, że zamierza być dla nas miły, jeśli my będziemy mili dla niego. A to, jak bardzo chce być miły i co mamy zrobić w zamian, jeszcze się zobaczy.

Johann wstał z fotela i podszedł do okna. Za brudną, spłukiwaną deszczem szybą widać było róg Budynku Morgana i korynckie głowice

kolumn giełdy. Budynek Morgana nadal był podziobany obciążnikami okiennymi, które uszkodziły go podczas zeszłorocznego zamachu anarchistów.

– Albert rozgrywa jakąś grę – powiedział. – Jak myślisz, co to może być?

Jack wyjął z teczki raport sporządzony gęstym maszynowym pismem.

– Kazałem moim ludziom przyjrzeć się tym rezerwom. Pola naftowe marynarki zamknięto w tysiąc dziewięćset dziewiątym, by chronić zapasy na wypadek wojny. Jednak kilka firm naftowych, w tym także nasza, uzyskało prawo do wydobywania ropy na obrzeżach pól państwowych, przede wszystkim wokół Elk Hills, więc prawdopodobnie wydobywamy ropę, która wypływa ze złóż należących do marynarki wojennej.

Johann odwrócił się i założył ręce za plecami.

– A cóż to za problem? Mogli przecież wywiercić na granicy swoich pól szyby kompensujące, żeby zneutralizować drenaż. Tak jak my.

– Oni też to robią, ale chodzi o coś innego. Armia staje się coraz bardziej nerwowa, bo zanosi się na wojnę z Japonią. Nie chcą trzymać zapasów ropy naftowej w ziemi, chcą ją mieć na

powierzchni, żeby w każdej chwili mieć do niej dostęp. A to oznacza, że Fall prawdopodobnie poprosi prywatne firmy o jej wydobycie, zatrzymując jego część jako zapłatę za spełnienie żądań marynarki.

Johann zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– Więc Albert trzyma łapę na co najmniej trzech tłustych kąskach?

– Właśnie.

– I zbiera wokół siebie wdzięcznych dyrektorów firm naftowych, a Elk Hills, Teapot Dome i Buena Vista to nagroda dla tego, którego wdzięczność okaże się najhojniejsza?

– Zgadza się.

Johann postukał się ołówkiem po zębach.

– No dobrze, więc co chcesz zrobić, kiedy Albert wyłoży kawę na ławę? – spytał.

Jack wyjął chusteczkę i otarł nią czoło. Miał wrażenie, że w gabinecie Johanna jest okropnie gorąco.

– Właśnie w tej sprawie do ciebie przyszedłem – odparł. – Muszę wiedzieć, jaką linię ty zamierzasz przyjąć.

Johann popatrzył na niego.

– Jesteś moim doradcą prawnym – przypomniał mu. – I to ty mi powinieneś

powiedzieć, co mam zrobić.

– Nie mogę… przynajmniej dopóki się nie dowiem, o co chodzi Fallowi. Ale muszę wiedzieć, do jakiego stopnia chcesz pójść mu na rękę.

– Chodzi ci o to, czy zależy mi na dzierżawie Teapot Dome i Elk Hills?

– Tak.

Johann kiwnął głową.

– Oczywiście, że mi zależy. To bardzo bogate roponośne tereny – odparł.

– I aby je zdobyć, gotów jesteś zaangażować się w jakieś działania na pograniczu prawa?

Johann odchylił się w fotelu.

– Czy Albert kiedykolwiek zaproponował coś nielegalnego?

– Cóż… wciąż mówi o „obustronnie korzystnych interesach”, ale nigdy nie wyjaśnił, na czym miałyby one polegać, a to mi się nie podoba.

– Więc nie zamierzasz pójść na żaden niezgodny z prawem układ?

– Nie.

– Sądzę, że Albert nie będzie próbował sugerować niczego nielegalnego… przynajmniej na razie Ale decyzja należy do ciebie. Ty jesteś prawnikiem od tego biznesu i polegam na twojej ocenie sytuacji. Pojedziesz tam dzisiaj

i zorientujesz się, o co chodzi. Tylko pamiętaj, że twoja decyzja ma służyć interesom Cornelius Oil.

– A gdyby Fall zażądał natychmiastowej odpowiedzi?

– Wtedy mu ją dasz. Ale ma być właściwa.

Jack pokręcił głową.

– A jaka jest ta właściwa? – zapytał.

Johann rozparł się w fotelu, zmrużył oczy i przez chwilę przyglądał się Jackowi.

– Taka, z którą możesz tu wrócić i dostać za nią podwyżkę.

– A niewłaściwa?

Johann pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Z zasady nie używam gróźb – powiedział. – To przypomina ludziom, gdzie jest ich miejsce, i ogranicza wydajność.

Jack opuścił wzrok na dokumenty, które trzymał na kolanach, i zaczął je przerzucać.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Przyjść do ciebie, kiedy będzie po wszystkim?

Johann spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami.

– Nie. Po południu wyjeżdżam z biura, mam spotkanie z ludźmi Fishmana. Spotkajmy się punkt piąta w Gotham.

Jack wstał. Czuł się, jakby wysyłano go na wojnę z jakimiś mitycznymi potworami,

uzbrojonego jedynie w „Wall Street Journal” zwinięty w rulonik. Odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu odwrócił się i z pochyloną głową wyszedł z biura. Sekretarka Johanna zawołała za nim:

– Pański kapelusz, panie Field! Pański kapelusz!

♦ ♦ ♦

Po południu do gabinetu Johanna zaczęło wślizgiwać się blade słońce. Odłożył ołówek i znów podszedł do okna. Z jakiegoś niewiadomego powodu ostatnio był niespokojny i nie miał najlepszego nastroju. Nie chodziło tylko o to, że jego biznes przechodził trudny okres, że rynek był tak rozhuśtany, iż jednego dnia chciało mu się skakać do góry z radości, a drugiego rzucić z mostu. Przede wszystkim dotyczyło to jego samego, miało osobisty charakter – było to poczucie, że stracił kontrolę nad swoim życiem.

Jego małżeństwo z Hester Forbes Cornelius trwało już niemal dziesięć lat, za kilka dni wypadała rocznica. Pomyślał, że mógłby kupić żonie dziesięć pięknych brylantów, aby upamiętnić tę okazję. Był zadowolony ze swojego

małżeństwa i dumny z trójki dzieci, ale kiedy po pracy jechał do domu, rozmowa z Hester, kolacja, a nawet spanie z nią wydawały mu się dziwnie nieważną częścią życia. Koiła jego skołatane nerwy, prowadziła dom, dbała o to, aby chodzili na odpowiednie przyjęcia, na których bywały odpowiednie osoby. Znała się na francuskich impresjonistach, Mozarcie i gustach bywalców operowych. Wyposażyła dom bogato i ze smakiem, który wzbudził podziw czytelników „Ladies' Home Journal". Znała wielu dyplomatów i ludzi z towarzystwa i z taką samą pewnością siebie mówiła o *Historii świata* H.G. Wellsa, tegorocznym bestsellerze, jak o sztuce, edukacji czy biznesie. Jednak mimo to małżeństwo Johanna przypominało teatr cieni; było doznaniem przyjemnym i przynoszącym ukojenie, ale jednocześnie nigdy w pełni nieprzeżywanym. Gdy mówił o sobie i Hester, miał wrażenie, że mówi o jakichś swoich dobrych znajomych. I wcale nie chodziło o to, że nie darzył Hester uczuciem. Była śliczna, mądra i w jakiś niepojęty sposób sprawiała, że czuł się jednocześnie bardzo męski i wyrobiony kulturalnie. W jej towarzystwie był pewniejszy siebie i sympatyczniejszy. Mimo to podejrzewał, że jego prawdziwe życie skończyło się

kilkanaście lat temu, gdy porzuciła go Beatrice, a Carina wypadła z okna piątego piętra budynku przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Wydawało mu się, że każdy dzień jego małżeństwa, płodzenia i wychowywania dzieci jest odgrywany przez dobrze opłacanego aktora, który wygląda i mówi dokładnie tak samo jak Johann Cornelius, podczas gdy prawdziwy Johann Cornelius cały czas tkwi w roku 1903 i siedzi w jakiejś pustej poczekalni, mając nadzieję, że czas i przeznaczenie okażą się tylko snem albo pomyłką kalendarza, że za chwilę drzwi się otworzą i stanie w nich Beatrice.

Nigdy nie potrafił określić siły swojego uczucia do niej. Był gotów przyznać, że jej obraz utrwalony w jego pamięci jest tylko romantycznym wyobrażeniem, któremu prawdziwa Beatrice nigdy nie dorównywała, ale jakie to miało znaczenie, skoro dała mu szczęście?

Kiedy stał przy oknie, patrząc na słońce za szarymi listopadowymi chmurami, zastanawiał się, czy to nie jego nienasycony głód pieniędzy i władzy był odpowiedzialny za to, co przydarzyło się Beatrice i Carinie.

W tym momencie zadzwonił telefon, więc podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

– Panie Cornelius, przyszła pańska żona – poinformowała go sekretarka. – Chce wiedzieć, czy znajdzie pan dla niej pięć minut.

Popatrzył na biurko. Leżały na nim stosy dokumentów do podpisania i dwa grube pliki analiz płynności akcji, które powinien przejrzeć. Mimo to powiedział:

– Dobrze, proszę ją wpuścić.

Po chwili Hester weszła do gabinetu. Miała na sobie luźno przewiązaną kurtkę z wielbłądziej wełny i kloszowy kapelusik. Podeszła do Johanna, pocałowała go, rozsiewając wokół zapach Chanel, i postawiła na fotelu swoją dużą czerwono-czarną torebkę z wężowej skórki.

– Byłam na zakupach – oświadczyła. – Pomyślałam, że wpadnę i spytam cię, co mam przygotować na kolację. Daugherty'owie przyjdą do nas dopiero przed dziewiątą.

– Przygotuj, co chcesz. Mal chyba lubi homara.

Hester zapisała to sobie w swoim notatniku.

– No dobrze, homar… I może antrykot. Wydajesz się bardzo zamyślony.

– Słucham?

– Powiedziałam, że wydajesz się zamyślony.

– Po prostu zastanawiałem się nad czymś.

Hester popatrzyła na niego i przysiadła na brzegu biurka. Fizycznie nie pasowali do siebie.

On był ogromny i potężnie umięśniony, ona szczupła i drobna. Miała śliczną trójkątną twarzyczkę, smukłą szyję i króciutko obcięte włosy. Jej wielkie piwne oczy przyciągały uwagę i na proszonych kolacjach goście wpatrywali się w nie jak zahipnotyzowani, dopóki nie odwróciła wzroku; dopiero wtedy zaczynali się zastanawiać, o czym mówiła.

Była starszą córką państwa Forbes z Wakefield w stanie Massachusetts i najbardziej pożądaną partią w Nowym Jorku. Jej ojciec, jowialny mężczyzna o szkockich korzeniach, zbił małą fortunę na opatentowanych przez siebie maszynach do kolorowego druku i chociaż mieszkał na Manhattanie, prowadził farmę w Wakefield. Był na tyle zamożny, że mógł posłać Hester do prywatnego college'u, a potem na uczelnię w Zurychu.

Do jej drugiego (i decydującego, choć całkiem przypadkowego) spotkania z przyszłym mężem doszło latem 1910 roku. Pewnego dnia Johann trafił na przyjęcie weekendowe w Norwalk w stanie Connecticut, w posiadłości Lathama T. Jolleya, miliardera z Minnesoty, właściciela wielu szybów i kopalń. Gdyby mu nie zależało na wartym osiemnaście milionów dolarów kontrakcie, który niebawem miał podpisać

z Jolleyem, na pewno by się tam nie pojawił. Ale ponieważ mu na nim zależało, spędził cały weekend w ponurym domu miliardera, pijąc zbyt dużo brandy i wmawiając sobie, że wypełnia swój obowiązek.

Natknął się na Hester w bibliotece. Spała w wielkim skórzanym fotelu, najwyraźniej zmęczona gorącym popołudniem. Ten zbieg okoliczności tak bardzo go zaintrygował, że usiadł naprzeciwko i zaczął się jej przyglądać. Wyglądała prześlicznie w letniej różowej sukience, z zaplecionymi w warkocze, wysoko upiętymi włosami. W padających ze świetlika ukośnych promieniach słońca tańczyły pyłki kurzu. Po chwili się przebudziła. Doskonale pamiętał jej ówczesne słowa:

– Och! Nie wie pan, że tylko małżonkom wolno przyglądać się śpiącym kobietom?

Ona miała dziewiętnaście lat, on był bogaty, poza tym w niczym nie przypominał nowojorskich chłopców. W sprawach biznesowych był szczery i bezpośredni, wiedział, czego chce, natomiast w innych sprawach okazywał dziwną skrytość. Nigdy nie mówił o swoim pochodzeniu ani o kobietach, które musiał spotkać w przeszłości, ale była pewna, że

z czasem wyciągnie z niego wszystko na ten temat.

Być może zakochali się w sobie – przynajmniej tak to wyglądało.

Były koncerty, na których Hester siedziała z błyszczącymi oczami, a Johann tkwił obok niej, tak sztywny, że mógłby reklamować krochmal. Były weekendy w Wakefield i teraz Hester często przeglądała albumy pełne sepiowych fotografii, na których Johann w podkoszulku stał na płaskodennej łódce i odpychał się żerdzią od dna lub siedział po turecku na trawie, mrużąc oczy w słońcu i jedząc kanapkę.

W każdym razie tak wyglądały zaloty i małżeństwo wydawało się nieuchronne. Nie było między nimi zbyt wiele namiętności, ale wydawało się właściwe, by dobry smak poślubił pieniądze – tworząc stadło, oboje mogli na tym skorzystać. Był więc pokazowy ślub w Nowym Jorku, z deszczem konfetti i fałszującym organistą, który był przekonany, że wystarczy grać bardzo głośno, żeby muzyka się podobała. Potem, gdy już siedzieli w powozie, Johann pocałował Hester i powiedział: „Będziesz wspaniałą żoną”. Miał rację, była nią. Objęła rządy we wszystkich jego posiadłościach, ale najwięcej uwagi poświęcała rezydencji na

Lynwood. Z niezwykłym jak na swój młody wiek poczuciem realizmu uznała, że ma szczęście. Choć mąż nie okazał się tygrysem, była przynajmniej bogata.

Ich życie seksualne było pełne uprzejmości i pruderyjnej skromności. Jednak w roku 1911 nie było to niczym niezwykłym i całkowicie wystarczyło do wyprodukowania Rodericka, Johna i Hope. Roderick miał teraz siedem lat, uczęszczał do prywatnej szkoły i nie bardzo szło mu na wychowaniu fizycznym. John był pełnym powagi czterolatkiem, a Hope – upartą dwulatką, całą w falbankach i kokardkach.

– Mogę się spóźnić wieczorem – powiedział Johann. – Mam spotkanie z ludźmi Fishmana.

– To dlatego jesteś taki zamyślony?

– Raczej nie. Myślałem o nas.

Hester ze zdziwieniem uniosła brwi.

– O nas? Co masz na myśli?

– Ciebie i mnie.

– Mam nadzieję, że nie chodziło ci po głowie nic złego – powiedziała, po czym wyjęła z torby notatnik i zaczęła się zastanawiać, jakie wina kazać przynieść tego wieczoru z piwnicy. W końcu postawiła znaczek przy Pouilly-Fuissé.

Johann wzruszył ramionami.

– Chyba próbowałem się zorientować, czy stworzyliśmy dobre małżeństwo.

Hester odłożyła notatnik.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi… Oczywiście, że stworzyliśmy dobre małżeństwo. I nadal tworzymy.

Podszedł do niej.

– Ale czy jesteś szczęśliwa? – spytał. – Nie myślisz czasem, że nie dość cię kocham?

– Oczywiście, że tak nie myślę – odparła. – Skąd takie przypuszczenie, na Boga?

– Nie wiem. Po prostu zacząłem się zastanawiać, czy cię nie zaniedbuję.

– Wcale mnie nie zaniedbujesz. Która kobieta ma choćby połowę tego co ja?

Usiadł w fotelu.

– Nie to miałem na myśli. Chodziło mi o miłość. Czasem czuję, że nie poświęcam ci dość uwagi. Takiej jak powinienem.

– Mój drogi, jeśli chodzi ci o łóżko…

– Nie mam na myśli łóżka. Czasem czuję, że coś nas od siebie oddziela… jakby szyba albo zasunięte żaluzje… i że widzimy tylko swoje kontury.

Hester nic z tego nie pojmowała. Johann nieczęsto mówił o swoich uczuciach, a kiedy już

to robił, w ogóle go nie rozumiała. Uśmiechnęła się niepewnie.

– Hm… – mruknęła.

Johann wsparł głowę na ręce.

– Może za długo tkwię w tym gabinecie. Dostaję od tego kręćka.

– Powinieneś pojechać gdzieś na urlop.

– Dokąd? I co miałbym na tym urlopie robić? Nie przepadam za pływaniem. Ostatni statek, na który wsiadłem, parowiec *Galveston Bay*, zatonął pode mną.

Hester popatrzyła na niego.

– Mógłbyś latać.

– Latać? Żartujesz chyba.

– Nie, wcale nie. Myślę, że już czas, abyś miał swój samolot.

Johann uniósł głowę.

– Słucham?

– Powiedziałam: „Myślę, że już czas, abyś miał swój samolot”.

– Na co mi samolot? Co jest nie tak z pociągami?

– Po prostu są zbyt powolne. Samolot na pewno byłby dla ciebie bardziej odpowiedni. Mógłbyś zaraz po pracy przylatywać na Lynwood. Zajęłoby ci to tylko pół godziny.

– Hester…

Uśmiechnęła się.

– To naprawdę ma sens, Johannie. Mógłbyś się dostać na wieś dziesięć razy szybciej.

Johann skrzywił się lekko.

– Sam nie wiem… Słyszałem, że ludzie dostają w samolotach mdłości.

Pokręciła głową.

– To nieprawda. Gdybyś spróbował, przekonałbyś się, że mam rację.

– Pewnie tak, ale…

– Czy nie miałam racji, kiedy cię namawiałam, żebyś przejął Haymann Drugs po tym skandalu z dotacjami? Czy nie miałam racji, że powinieneś kupić *Kronprinza* od marynarki? I czy nie miałam racji z Knut Insurance?

Johann się uśmiechnął.

– Znakomicie – powiedział cicho. – Mam żonę, która zawsze ma rację. Może powinienem odejść na emeryturę i powierzyć jej cały interes?

Hester popatrzyła na niego niepewnie. Nie była pewna, czy z niej nie żartuje.

– Nie mam twojej siły i twojej determinacji – odparła po chwili.

– Ależ masz – mruknął.

Cmoknęła go w policzek, zarzuciła torebkę na ramię i ruszyła do drzwi. Kiedy już miała wyjść, odwróciła się i spytała:

– Johannie… nie stało się nic złego?

Pokręcił głową.

– Nie. Chyba po prostu potrzebuję odpoczynku.

– Wobec tego zacznę szukać odpowiedniego samolotu. Może Curtiss mi coś podsunie, może Ford. Będziesz mógł go sobie dać na prezent urodzinowy.

– W porządku – odparł.

Wyszła, machając po drodze recepcjoniście, i zjechała windą na poziom ulicy, na której czekała na nią czarna limuzyna Johanna i szofer Carl – ten sam Carl, który był razem z Johannem i Jackiem Fieldem na parowcu *Galveston Bay*.

Dopiero kiedy szofer zamknął za nią drzwi i samochód odbił od krawężnika, pozwoliła sobie na westchnienie. Gdy patrzyła na przemykające za oknem zatłoczone ulice Nowego Jorku, na jej twarzy malował się ból.

♦ ♦ ♦

Jack Field opuścił hotel Vanderbilt i mimo zimna poszedł do Gotham. Chroniąc się przed nocnym wiatrem, podniósł kołnierz tweedowego płaszcza. Na ulicach panował ruch, nowojorczycy wracali z pracy do domu. Chodniki były pełne

młodych stenotypistek wychodzących z biur; większość z nich miała na sobie modne krótkie sukienki i kurtki oraz wełniane rękawiczki i długie szaliki. Na rogach ulic stali sprzedawcy gorących kasztanów i obwarzanków, przytupując i rozgarniając dymiące węgle. W powietrzu unosił się ostry zapach zimy.

Jack dotarł do Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i wszedł po frontowych stopniach hotelu Gotham. Zaledwie dwadzieścia stóp od tego miejsca w 1903 roku leżała na chodniku umierająca Carina, która na zawsze miała pozostać czternastoletnią dziewczyną. Jack pchnął ozdobne szklane drzwi, przeciął westybul i podszedł do kontuaru recepcji.

– Jest pan Cornelius? – spytał. – Powiedz mu, że chce się z nim zobaczyć Jack Field.

Recepcjonista zadzwonił do apartamentu Johanna.

– Może pan jechać na górę – powiedział po chwili.

W windzie Jack przyjrzał się odbiciu swojej twarzy w lustrze. Już wcześniej zdecydował, jak powinien postąpić, ale z ciekawością obserwował siebie w trakcie realizacji tego postanowienia. Twarz odbita w szybach wystawowych, pojawiająca się w oknach przejeżdżających

taksówek i widziana w lustrze windy hotelu Gotham była twarzą mężczyzny, który przed wielu laty uświadomił sobie, że biznes wcale nie jest historyczną misją, jak twierdził doktor Cadman, i że biznesmen nie ma większego prawa uważać się za wybrane naczynie Pana niż ktokolwiek inny, bez względu na to, ile miejsc pracy stworzył i ile premii wypłacił.

Jack nie był bolszewikiem i nigdy nie mógłby nim być, jednak to, co dzisiaj usłyszał w hotelu Vanderbilt, wystarczyło, aby doszedł do wniosku, że nie może w tym wszystkim brać udziału. Jeżeli miałoby to oznaczać utratę posady w Cornelius Oil, mógł zacząć pracować jako specjalista od spraw karnych, prawa rodzinnego lub w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Ale nawet gdyby nie znalazł żadnego zajęcia pozwalającego zarabiać na życie, wolał żebrać na Bowery, niż przyjąć propozycję, z którą tego dnia wystąpił Albert Fall.

Kiedy kabina się zatrzymała, wysiadł z windy i ruszył przegrzanym korytarzem do apartamentu Johanna. Po chwili nacisnął dzwonek.

Johann osobiście otworzył mu drzwi. Miał na sobie ciemnozielony szlafrok, świecił gołymi łydkami i roztaczał wokół siebie zapach mydła.

– Nie przeszkadzam? – zapytał Jack.

Johann zamknął za nim drzwi.

– Oczywiście, że nie. Wybacz mój strój, ale kiedy skończyłem spotkanie z ludźmi Fishmana, poczułem, że muszę wziąć kąpiel. Chcesz drinka? Wyglądasz, jakbyś wyszedł z lodówki.

– Old Fashioned dobrze by mi zrobił.

– Czuj się jak u siebie w domu – powiedział Johann. – Barek jest tam – dodał.

Podszedł do szerokiej welurowej kanapy i usiadł na niej. Jack zdjął szalik i płaszcz, po czym oparł teczkę o fotel i podszedł do barku.

Apartament był dyskretnie oświetlony i wyciszony, podłogę pokrywały grube brązowe dywany, a w oknach wisiały ciężkie story. W stalowej popielniczce leżały niedopałki cygar.

– Jak poszło? – zapytał Johann, gdy Jack robił sobie drinka.

Jack dolał do szklaneczki angostury. W lustrze, które wisiało nad barkiem, widział połowę swojej twarzy i białe, porośnięte jasnymi włosami łydki Johanna.

– Pewnie zaraz mi powiesz, że mam opuścić firmę – stwierdził.

Johann wyprostował się i sięgnął po brandy.

– Nie mówię ludziom, żeby opuścili firmę, dopóki nie mam ku temu dobrego powodu.

Przecież wiesz o tym.

– A co z Jerrym Slobodienem? – spytał Jack.

Johann rzucił mu ostre spojrzenie, ale tylko wzruszył ramionami.

– Jerry to wyjątkowy przypadek. Oszukiwał mnie przez lata. Poza tym wcale mu nie zależało na tej pracy.

Jack odwrócił się w jego stronę.

– Całkiem możliwe – mruknął.

Johann nie spuszczał z niego wzroku.

– Czemu po prostu nie powiesz, co takiego zrobiłeś, że mógłbym cię wywalić?

Jack usiadł w jednym z szerokich, miękkich foteli i rozluźnił krawat.

– Nie, lepiej nic nie mów – powstrzymał go Johann. – Powiedziałeś Albertowi „nie”, prawda? Albert zaproponował ci Teapot Dome, a ty odmówiłeś.

– Nie do końca tak to wyglądało, ale prawie – przyznał Jack.

Johann pociągnął łyk brandy.

– W takim razie mi powiedz.

Jack kiwnął głową.

– Chyba czułem, co się święci… Sęk w tym, że Fall nigdy nie ufał nam tak jak Sinclairowi, O’Neilowi i wszystkim innym. Jesteśmy zbyt daleko od polityki, prawda?

Johann uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

Jack odstawił swoją szklaneczkę.

– Z tego, co zrozumiałem, chodzi o taki układ… – zaczął. – Humphreys zgodziło się sprzedać pole Mexia, trzydzieści trzy miliony trzysta trzydzieści trzy tysiące baryłek, dolar pięćdziesiąt za baryłkę.

Johann zmarszczył brwi.

– I co w tym złego?

– Nic. Tyle że tej ropy nie sprzedaje Sinclair Consolidated ani Prairie, ale Continental Trading Company of Canada.

– Komu?

– Też o to zapytałem. Ale zaczekaj, to jeszcze nie wszystko… Continental Trading Company of Canada sprzedaje dalej tę samą naftę Sinclair Consolidated i Prairie Oil, jednak już po dolarze siedemdziesiąt pięć za baryłkę, zarabiając dwadzieścia pięć centów na każdej z nich.

Johann zesztywniał.

– A dwadzieścia pięć centów razy trzydzieści trzy miliony to ile? – zapytał.

– Albert Fall wyręczył nas w rachunkach. Ponad osiem milionów dolarów. Po odjęciu prowizji i smarowania.

Johann powoli pokiwał głową.

– Rozumiem. Chodzi o to, żeby nikt nie skojarzył, kim mogą być większościowi akcjonariusze Continental Trading Company of Canada.

Jack zakaszlał i pomyślał, że się zaziębił, idąc tu z Vanderbilta.

– Masz rację – przyznał. – To Bob Stewart, Harry Blackmer, Harry Sinclair i Jimmy O'Neil. I my, jeśli nam to pasuje. Są gotowi rozdzielić pieniądze między pięciu wspólników, a to szybki zysk, żywa gotówka, której nie trzeba zgłaszać zarządowi ani akcjonariuszom. Wszystko będzie wypłacone w bonach pożyczki wojennej.

– Ale co ma do tego Fall?

Jack wyjął chusteczkę i wysiąkał nos.

– I właśnie tu dochodzimy do sedna sprawy. Ten z nas, który okaże się na tyle szczodrobliwy, że przekaże te bony panu Fallowi, zostanie przez niego wskazany, gdy dojdzie do przekazywania dzierżawy Teapot Dome i Elk Hills. Fall może okazać się jeszcze łaskawszy, jeśli parę bonów zostanie przekazanych Willowi Haysowi. Wygląda na to, że Narodowy Komitet Republikański tonie po szyję w długach po kampanii Hardinga i Coolidge'a.

– I zamierzają spłacić ten dług bonami pożyczki wojennej?!

Jack pokręcił głową.

– Oczywiście, że nie. Namówią kilku zamożniejszych kumpli, żeby wpłacili na fundusz kampanii wyborczej, i w zamian dadzą im pod stołem bony pożyczki wojennej. Hokus-pokus! Tak właśnie pierze się brudne bony.

– A co z Kiamichi? – spytał Johann.

Jack wzruszył ramionami.

– Na Kiamichi będzie można wiercić tylko wtedy, jeśli uśmiechniemy się, do kogo trzeba.

– I co? Uśmiechnąłeś się, do kogo trzeba, w naszym imieniu?

Jack nic na to nie odpowiedział. Czuł, że jest cały rozpalony, jakby miał wysoką gorączkę. Z ulicy dobiegało wycie policyjnej syreny.

Johann długo siedział w milczeniu, obracając kieliszek w palcach. Jack przyglądał mu się, pociągał swojego drinka i pocił się.

– Chcesz odejść z Cornelius Oil? – spytał w końcu Johann.

Jack uniósł brwi.

– Oczywiście, że nie.

– Powiedz prawdę.

Po chwili milczenia Jack kiwnął głową.

– Cóż… chyba myślałem o tym od dawna.

– Wiem.

– Wiesz?

Johann wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że wiem. Jesteś jednym z moich najbliższych współpracowników, a ja nie lubię przekazywać nikomu odpowiedzialności. Myślisz, że chodzę z zamkniętymi oczami? Podobno mam skórę jak nosorożec i zęby jak aligator, ale to nie do końca prawda. Jestem bogiem w mojej firmie, więc muszę wiedzieć, co się w niej dzieje. Wiem o wszystkim i wszystkich, wiem nawet, co czują zatrudniani przeze mnie ludzie.

– Skoro wiedziałeś, to dlaczego… – zaczął Jack.

Johann uciszył go machnięciem ręki.

– Jesteś jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek miałem. Jesteś utalentowanym prawnikiem, doskonałym biznesmenem i sympatycznym facetem. Chciałem zatrzymać cię tak długo, jak się da, i dlatego nie zadałem ci tego pytania wcześniej. Wiedziałem, że nie jesteś szczęśliwy, ale potrzebowałem twoich umiejętności, więc musiałem cię przekonać, że nie powinieneś odchodzić. Podobno nazywa się to inteligentnym wykorzystywaniem dostępnych zasobów… – Odstawił kieliszek i dodał: – Kiedy tylko się zorientowałem, że nie jesteś zadowolony, podwyższyłem ci pensję, pamiętasz? To nie była łapówka, Jack, ale coś

w rodzaju rekompensaty za wykonywanie roboty, której nie lubiłeś.

Jack uniósł ręce.

– To brzmi, jakbyś rzeczywiście zamierzał mnie wywalić.

Johann uśmiechnął się krzywo.

– Zrobię to, jeśli w ten sposób zdołam choć trochę poprawić ci humor.

– Powiedziałem „nie” Fallowi i Sinclairowi. Powiedziałem im, że nie ma takiej możliwości, żebyśmy my, Cornelius Oil, weszli w coś takiego. To całkiem wystarczający powód, żeby wykopać mnie za drzwi, prawda?

Johann wstał. W przyciemnionym świetle lamp jego twarz była prawie niewidoczna.

– Czy uważałeś, że „nie” jest właściwą odpowiedzią? – spytał.

– Tak. Inaczej nie powiedziałbym tego.

– Dlaczego tak uważałeś?

– Cóż… tak naprawdę nie widzę w tym żadnego zysku. Jedna piąta z ośmiu milionów dolarów to milion sześćset tysięcy, a otrzymamy je tylko wtedy, jeśli cały interes wypali. Poza tym, skoro oczekuje się od nas, że przekażemy te pieniądze Haysowi i Fallowi w zamian za dzierżawy Teapot Dome i Kiamichi, wszystko to nie ma sensu. Przynajmniej w naszym

przypadku. Jeśli wyłożymy pieniądze na łapówki, narazimy się na mniejsze ryzyko. Cholera, w tej administracji jest za dużo kombinatorów i starych kumpli z dawnych czasów. Aż trzeszczy w niej od korupcji i prędzej czy później wszystko wyjdzie na jaw, a kiedy do tego dojdzie, nie chciałbym widzieć Cornelius Oil w samym środku tej cholernej hecy.

Johann wysłuchał tego i powoli pokiwał głową.

– Gdyby Diogenes spotkał ciebie, mógłby dać sobie spokój z szukaniem uczciwego faceta – powiedział najłagodniejszym tonem, jakiego kiedykolwiek użył wobec swoich współpracowników. Kiedy Jack nic na to nie odpowiedział, dodał: – Podjąłeś właściwą decyzję z właściwych powodów. Martwiłem się, że możesz wykonać zły ruch, bo myślisz, że chcę zdobyć Teapot Dome i Elk Hills za wszelką cenę. Ale nie zrobiłeś niczego niewłaściwego. Postąpiłeś słusznie. Wkrótce ten rząd wpieprzy się po szyję w bagno i jeśli będziemy mieli czyste ręce, senat policzy nam to za plus. Poza tym żadne stracone sprawy nigdy nie są do końca stracone.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Jack.

– Nadstaw uszu – odparł Johann i sięgnął po słuchawkę. Po chwili milczenia powiedział: – Moira? Połącz mnie z Albertem Fallem. Chyba jest teraz u Mellonów.

Przez jakieś pięć minut żaden z nich się nie odzywał. Johann czekał, aż jego asystentka znajdzie sekretarza spraw wewnętrznych. W końcu rzucił do słuchawki:

– Albert? Tu Johann. Byłem prawie pewien, że będziesz u Mellonów.

Jack usłyszał cichy, niewyraźny głos dobiegający z drugiej strony linii.

– Albercie, właśnie rozmawiałem z Jackiem Fieldem – oświadczył po chwili Johann. – Tak, zgadza się. Wiem, że jesteś zawiedziony, ale czasem tak wychodzi. Nie. Szanuję jego decyzję. No cóż, przykro mi. – Słuchając Falla, Johann sunął palcami po stoliku, a potem powiedział: – Tak, w gruncie rzeczy chodzi mi o Kiamichi. Tak, zgadza się. Widzisz, sęk w tym, Albercie, że bardzo mi zależy, aby moi ludzie mogli zacząć tam wiercić. Hm, wiem, że zawsze jest coś za coś, i właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Wiem, że się nie włączamy, ale chodzi o to, co robicie z Continental Trading Company… rozumiem, że to akcja, którą wolelibyście przeprowadzić po cichu, zgadza się?

Popatrzył na Jacka, puścił do niego oko i mówił dalej:

– Możemy milczeć jak grób, ale tylko pod warunkiem, że zrobisz dla nas coś w zamian. Nie, Albercie, nie mów tak… Co ty opowiadasz? Nie, to prosty układ. My nie puścimy pary z gęby na temat Continental Trading Company, a ty pomożesz nam trochę w Oklahomie. Co w tym takiego strasznego? W porządku. Tak, wiem. Ale senator Walsh mógłby się tym zainteresować, prawda? Tak. Nie, tylko o to proszę. Tak. W porządku. Wobec tego zadzwoń jutro. Zgadza się. Ale, Albercie… postaraj się, żeby odpowiedź była pozytywna. W porządku. Dobranoc.

Kiedy odłożył słuchawkę, był wyraźnie rozbawiony. Podszedł do Jacka, trzymając ręce w kieszeniach szlafroka i uśmiechając się szeroko.

– Masz tupet – stwierdził Jack.

Johann wzruszył ramionami.

– To jedyny sposób, żeby coś osiągnąć.

– No dobrze, więc co mam teraz robić? – spytał Jack. – Przyjechałem tu, myśląc, że zostanę wyrzucony, a teraz wygląda na to, że zostaję.

Johann potarł podbródek.

– Nie zostałeś wyrzucony, ale może to najodpowiedniejsza chwila, żebyś wypisał się

z tego interesu. Jeśli ta robota nie sprawia ci przyjemności, nie ma sensu, żebyś w niej tkwił do końca życia.

Jack odchrząknął. Zupełnie nie wiedział, co powiedzieć.

Johann przysiadł obok niego na krawędzi stolika i położył wielką łapę na jego ramieniu.

– Odwaliłeś dziś kawał dobrej roboty, a ja doceniam dobrą robotę – oświadczył. – Zapłacę ci za nią i dam skromny prezent pożegnalny, dzięki któremu będziesz mógł rozkręcić taki interes prawniczy, na jaki będziesz miał ochotę.

Wstał i podszedł do zarzuconego listami, dokumentami i biuletynami giełdowymi biurka. Otworzył książeczkę czekową, odkręcił pióro i wypisał czek. Machając nim, aby atrament szybciej wysechł, podszedł do Jacka i podał mu go.

Jack nie zamierzał patrzeć, na jaką sumę opiewa czek, przynajmniej nie w obecności Johanna, ale nie zdołał się opanować i zerknął na blankiet.

– To dziesięć tysięcy dolarów – powiedział Johann. – Nie fortuna, ale kiedyś ktoś dał mi tyle samo na początek. Nie mogłem cię wypuścić z mniejszą kwotą. Ani z większą.

– Dziękuję ci – odparł Jack. – Dziesięć tysięcy dolarów to dużo. Jeśli ty potrafiłeś zrobić z nich milion, ja chyba też potrafię.

– Będzie mi ciebie brak. Chcę, żebyśmy pozostali przyjaciółmi.

– Ja też bym tego chciał. Ostatnio niezbyt się między nami układało.

– O tym porozmawiamy kiedy indziej – oświadczył Johann. – Powinieneś teraz wrócić do domu, do Ellie. Paskudnie wyglądasz, chyba dopadło cię przeziębienie.

Jack wstał, wziął płaszcz i teczkę. Czuł, że powinien jeszcze coś powiedzieć, nawet jeśli byłoby to tylko „do widzenia”. Podszedł do Johanna i uścisnął mu dłoń.

– Nie zapomnę tego, co się dziś wydarzyło – powiedział lekko schrypniętym głosem.

Może rzeczywiście zaczynało go brać przeziębienie.

– Ale nigdy nikomu o tym nie mów – mruknął Johann. – Bo jeśli to zrobisz, wsadzę ci szyb naftowy tam, gdzie będzie najbardziej bolało.

♦ ♦ ♦

Wracając do domu, Jack zatrzymał się dwa razy. Najpierw wszedł do greckiego sklepu przy

Trzeciej Alei, jedynego, jaki udało mu się znaleźć, i kupił w nim czerwoną dziecięcą lokomotywkę. Potem na następnym rogu kupił gorącego bajgla, którego zjadł po drodze do Central Parku.

Była zimna listopadowa noc 1921 roku i lodowaty wiatr wyciskał łzy z oczu.

1927

Czy czasem po wyjściu gości zdarza ci się żałować, że ich zaprosiłeś? Już nigdy nie będziesz musiał się tak czuć! Oto wspaniały *Savoir-vivre* na każdą okazję! Od tej pory zawsze będziesz wiedział, co masz zrobić, powiedzieć, napisać czy włożyć na siebie! Przy każdej okazji!

Reklama z 1927 r.

Wydawało się, że lato w tym małym zakątku Pensylwanii zawsze przychodzi bardzo wcześnie. Kiedy w Johnstown, Altoonie i innych miejscowościach natura spłacała jeszcze długi zimie, a drzewa nadal były nagie, w dolinach Robinstown pojawiły się już lepkie świeże pąki, a po niebie przetaczały się chmury zwiastujące lato.

Tego marcowego dnia 1927 roku przed świtem spadło trochę deszczu, ale wkrótce wyszło słońce i w kałużach odbiło się niebo przypominające rozbite kawałki niebieskiej porcelany. Pachniało świeżą trawą, a do pajęczyn rozpiętych między konarami drzew przylgnęły kropelki rosy. Cienie cumulusów przepływały

leniwie po wzgórzach, które chroniły Robinstown przed ostrymi północnymi wiatrami oraz wzbraniały wstępu obcym i sprzedającym szczotki komiwojażerom.

Martin Levon, właściciel sklepu, wynosił właśnie ze swojego pick-upa beczki fasoli i worki czerwonych ziemniaków. Brązowy, terkoczący gruchot podjechał wolno Main Street, rozbryzgując kałuże i błoto, i zatrzymał się obok sklepu.

– Cześć, Martin – powiedział kierowca.

Levon, który właśnie stawiał beczkę fasoli pod odeskowaną ścianą sklepu, odparł:

– Cześć, Grover.

Grover Bean wysiadł z samochodu i kulejąc, przeszedł na chodnik. Należał do najbardziej poważanych ludzi w miasteczku, gdyż był właścicielem większości pastwisk na północ od rzeki Asquahanna (oraz posiadaczem praw do wszelkich kopalin, które mogłyby się tam znajdować), a od 1922 roku jego stado mlecznych krów wygrywało wszystkie nagrody na wiejskich konkursach. Był szczupły, wysoki i miał długą, ponurą twarz, którą w tej chwili ocieniał szerokoskrzydły kapelusz.

Martin zakończył wyładunek i zatrzasnął tylną klapę pick-upa. Grover usiadł przed

sklepem na jednym ze starych kuchennych stołków wystawionych na zewnątrz i zapalił cygaretkę.

– Zapowiada się piękny wiosenny dzionek – mruknął, opierając się o ścianę. – Myślę, że przyda nam się taka pogoda.

Martin wytarł nos rękawem koszuli i usiadł obok niego.

– Pewnie tak, ale wolałbym, żeby było mokro niż sucho. W deszczowe dni ludzie dłużej siedzą w sklepie i więcej kupują.

Siedzieli przez kilka minut, paląc i chwaląc dzień. W Robinstown nie wypadało od razu wykładać kawy na ławę. Jego niewielka społeczność (trzystu pięćdziesięciu mieszkańców) miała swoje zwyczaje. Najpierw należało porozmawiać o rodzinie, broń Boże nie poruszając przy tym sprawy, z którą się przyszło, i dopiero po jakimś czasie można było przejść do rzeczy.

– Wczoraj wieczorem czytałem, że będą mogli przesyłać falami radiowymi ruchome obrazy, tak jak głos przez radio. Podobno już niedługo mają wypróbować tę sztuczkę, może nawet jeszcze tego roku. Nazywają to „telewizją”. To bardzo interesujące, no nie?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie widzę niczego przydatnego w tym wynalazku. Kiedy słyszę, jak ktoś gra na banjo, po co mam go jeszcze oglądać?

– Tu chodzi o coś więcej – odparł Grover. – Będziesz miał wtedy sport w swoim domu, w czasie meczu. I będziesz mógł zobaczyć przemawiającego prezydenta, kiedy on będzie w Waszyngtonie, a ty u siebie w chałupie.

Martin podrapał się po głowie.

– Teraz widzę, że to zupełnie na nic. Nie dość, że musimy znosić Coolidge'a w Białym Domu, to jeszcze mam go oglądać u siebie?

Grover, zdeklarowany wyznawca republikańskiej „normalności", który kiedyś otrzymał zaproszenie na lunch prezydencki połączony ze zbieraniem datków (Calvin Coolidge się na nim nie pokazał, bo podobno miał grypę), zaczął się śmiać.

– Ciebie nie da się omotać, Martin. Ani radiem, ani telewizją, ani żadnymi innymi sztuczkami. Twardy z ciebie facet!

Martin ponownie przypalił gasnącego papierosa i zgasił zapałkę, po czym spojrzał na Grovera, jakby wyczuwał, że farmer ma coś ważnego do powiedzenia.

– Nieczęsto szafujesz komplementami – mruknął.

Grover spoważniał i twarz mu się wygładziła, jakby ktoś obciągnął pofałdowany obrus.

– Zgadza się – przyznał. – Ale też nieczęsto mamy szansę się dorobić.

Martin nic na to nie odpowiedział, czekał na ciąg dalszy. Miał mnóstwo czasu, cały dzień, całe jutro i całe pojutrze, więc nie było sensu naciskać. Grover Bean chciał mu powiedzieć, coś ważnego, a ponieważ był dżentelmenem, zamierzał to powiedzieć jak dżentelmenowi przystało.

– W zeszłym miesiącu dostałem list – zaczął po chwili farmer. – Z Pittsburgha, z farbiarni Kruyper Dye Works. Całkowicie oficjalny, z firmowym nagłówkiem i tak dalej. Wygląda na to, że zamierzają zbudować w Robinstown fabrykę i chcą wykorzystać wodę z Asquahanny. Doprowadzą linię kolejową, zbudują domy dla pracowników i nasze miasteczko wreszcie zacznie się rozwijać.

Martin wlepił w niego wzrok.

– Chcą zbudować fabrykę? Tu, w Robinstown?

– Właśnie. Zamierzają kupić Slope Meadow, South Hill i kilka starych pastwisk, na których już nie wypasamy, i mówią, że stworzą nowe miejsca pracy i będziemy mieli w Robinstown boom.

Martin zmarszczył brwi.

– Ale co z tutejszymi farmerami? Co się z nimi stanie? To moi stali klienci, Grover, i nawet gdybym zdobył nowych, nie chcę, żeby moich starych znajomych puszczono z torbami. Niech szlag trafi farbiarnię.

Grover pokręcił głową.

– Nic nie rozumiesz… Fabryka zostanie wybudowana przy zakolu rzeki. Domy robotników będą za lasem i nawet ich nie zobaczysz na oczy. To wszystko powstanie na mojej ziemi, której większość leży odłogiem, bo to same lasy i szczyt Rabbit Ridge. Jego zbocza są tak strome, że bydło nie może się tam paść, chyba że wtaskasz je na plecach. Nic mi po tej ziemi.

Martin wstał i podszedł do krawędzi chodnika. Osłonił oczy przed słońcem i popatrzył na dolinę Asquahanna, na jej krawędzie porośnięte kwitnącymi drzewami i niewielkie skupisko krytych szalówką domków.

– Na pewno rozruszałoby to Robinstown… znaczy, tutejszy biznes – mruknął. – Znaczy, chodzi mi o tych wszystkich ludzi, którzy mieszkają tu na stałe i przychodzą do mnie każdego dnia po zakupy.

– Ta twoja stara kasa dzwoniłaby wtedy bez wytchnienia – powiedział z entuzjazmem Grover.

– Mógłbyś szybko stać się zamożnym człowiekiem, gdybyś się naprawdę postarał.

– Nie będą mieli własnego sklepu?

– Mogę kazać im obiecać, że go nie postawią. Jeszcze niczego nie podpisałem. Najpierw chciałem wiedzieć, co ludzie na to wszystko powiedzą.

Martin odwrócił się i rzekł:

– No to każ im to obiecać. Żadnego nowego sklepu, i niech sobie tu przyjeżdżają i budują sto albo nawet dwieście farbiarni!

Grover się roześmiał.

– Cieszę się, że ten pomysł ci się spodobał, Martin. Na pewno wielu mieszkańców naszego miasteczka będzie kręcić nosem.

Martin wyszczerzył zęby.

– W każdym miejscu znajdą się ludzie, którzy myślą jak przed wiekami. Chyba powinniśmy oblać tę farbiarnię. Zapraszam do środka, mam na zapleczu kilka flaszek dobrego trunku.

Grover pokręcił głową.

– O tej porze wolę mieć jasną głowę. Poza tym lada chwila mogą się tu zjawić ludzie z Kruypera, by obgadać kupno ziemi, więc chciałbym być trzeźwy.

Martin popatrzył na niego.

– Chyba masz rację – przyznał.

Odchrząknął, przestąpił z nogi na nogę i po chwili milczenia bąknął:

– Pewnie dają dobrą cenę…

Grover wzruszył ramionami.

– Wszyscy w całym powiecie będą chcieli się dowiedzieć, ile ludzie Kruypera dali staremu Beanowi za ziemię pod farbiarnię… Dlatego powiem głośno i wyraźnie, żeby nie było plotek i przesady: chcą cały ten teren i zamierzają wyłożyć dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Martin zagwizdał.

– Ćwierć miliona baksów! Chcą zapłacić ćwierć miliona dolarów za Rabbit Ridge, Slope Meadow i kilka skrawków ziemi porośniętej krzakami? Chyba musieli zwariować!

– Nie rozpędzaj się – powiedział Grover, unosząc rękę. – To dobra, żyzna ziemia, a jeśli nie będą potrzebowali jakiegoś kawałka pod farbiarnię, mogą go wykorzystać na pastwisko albo pod zasiewy.

– Sam powiedziałeś, że Rabbit Ridge nie nadaje się na wypas. Tobie nie uśmiechało się targać tam krów na plecach, a myślisz, że im będzie się to uśmiechać?

Grover się skrzywił.

– Skąd mam wiedzieć? Chcą tę górę, więc może mają swoje sposoby.

– Ćwierć miliona dolarów… – powtórzył lekko schrypniętym głosem Martin i przysiadł na baryłce z fasolą. – Nigdy w życiu nie widziałem tylu pieniędzy. Wiesz co, Grover, zawsze wiedziałem, że jesteś kimś, i miałem absolutną rację. Musisz koniecznie wypić ze mną łyczka… nie, co ja mówię, nie łyczka, ale łyka!

Grover Bean, zadowolony z wiadomości, które przyniósł, a także z wizji czekającego go bogactwa, w końcu uległ. Martin poszedł po bimber, który trzymał w skrzynce stojącego zegara, i krzyknął do swojej żony Katherine, żeby przyniosła szklanki. Trzeba było oblać dobre wieści – nieważne, przed południem czy później. Zapowiadało się, że wkrótce będą mieli w sklepie więcej klientów niż pies pcheł na grzbiecie i wszyscy się wzbogacą.

Siedzieli przy beczułce na werandzie i Martin polewał im szczodrze bimberku. Śmiali się, palili papierosy i każdy, kto obok nich przechodził, dowiadywał się nowin. Zgodnie z przepowiednią Grovera niektórzy członkowie społeczności Robinstown nie byli uradowani tymi wiadomościami, ale większość uznała, że budowa farbiarni zapewni im finansowe bezpieczeństwo – a w tych czasach o takie zabezpieczenie nie było łatwo.

Kiedy minęła jedenasta, w miasteczku pojawiły się trzy wielkie czarne limuzyny. Lśniły w słońcu, jadąc powoli wyboistą drogą prowadzącą od rzeki. Niemal bezgłośnie podpełzły Main Street do sklepu i zatrzymały się przed nim.

– To mi wygląda na kondukt pogrzebowy – stwierdził Martin i zarechotał.

Ale Grover Bean zachował powagę.

– Może to ludzie od Kruypera?

Zasłony w oknach domu starego Johnsona, mieszkającego po drugiej stronie ulicy, wyraźnie zafalowały, a George Purvis, strażnik ładu w miasteczku, telefonista i kierownik kasy oszczędnościowej w jednej osobie, spragniony sensacji, zjawił się przed sklepem w kraciastej koszuli, z szelkami na wierzchu i nastroszonymi rudymi wąsami.

Limuzyny miały przyciemnione szyby i nie można było zobaczyć, kto w nich siedzi. Przez chwilę stały nieruchome jak groźne zjawy z innej planety, a potem wyszli z nich szoferzy, by otworzyć tylne drzwi pasażerom.

Z pierwszego samochodu wysiadł młody człowiek w eleganckim szarym garniturze, w okularach bez oprawek i z teczką w ręce. Wyglądał jak młody prawnik, któremu się

powiodło, a fakt, że nie przeszkadzało mu brodzenie w gęstym czarnym błocie Main Street w Robinstown, prawdopodobnie świadczył o tym, że dysponował wystarczającą ilością pieniędzy, aby stać go było na więcej niż jedną parę butów. Podszedł do sklepu i uchylił kapelusza. „Zupełnie jakby chciał nam zaśpiewać piosenkę”, jak później skomentował to Martin.

– Czy któryś z panów to Grover Bean?

Farmer zerwał się, omal nie przewracając szklanki z bimbrem. Jego długa, psia twarz była czerwieńsza niż zwykle. Zanim podał rękę, wytarł ją o spodnie.

– To ja, proszę pana. Miło mi pana poznać.

– Dzień dobry panu – powiedział z uśmiechem młodzieniec w szarym garniturze. Miał dziwnie cierpki uśmiech. – Nazywam się Oswald Stone i reprezentuję Kruyper Dye Works. Otrzymał pan mój list dotyczący finalnych negocjacji w sprawie sprzedaży pańskiej ziemi, prawda?

– Tak, proszę pana, otrzymałem – odparł lekko drżącym głosem Grover, co mocno zaniepokoiło Martina, któremu dwie i pół szklaneczki bimbru bardzo wyostrzyły percepcję.

– Szczegóły możemy omówić potem – rzekł Oswald Stone. – Na osobności.

– Dobrze, proszę pana – zgodził się Grover i przedstawił pozostałych: – To Martin Levon, właściciel tutejszego sklepu, a to George Purvis, nasz policjant i jednocześnie kierownik Asquahanna Savings Bank.

– Miło nam – powiedzieli obaj obywatele Robinstown, ale nie wyciągnęli do przedstawiciela Kruyper Dye Works dłoni.

Oswald Stone wszedł na chodnik i otrząsnął błoto z butów. Zauważył stojące na beczce częściowo opróżnione szklanki gorzałki, ale nic nie powiedział. Odwrócił się i popatrzył na miasteczko i dolinę takim wzrokiem, jakby zamierzał przemienić całe to miejsce w ośrodek wypoczynkowy.

– To bardzo ładna miejscowość – stwierdził. – Naprawdę ładna.

George Purvis pokiwał swoją wielką głową i powiedział:

– I chcemy, żeby taka została.

Stone się uśmiechnął.

– Oczywiście. Jeśli w ogóle zamierzamy tu coś zmienić, będą to jedynie pewne ulepszenia. Chcielibyśmy dodać temu miejscu więcej wigoru.

– A my może nie chcemy tu więcej wigoru? – burknął Purvis. – A może wolimy, żeby wszystko zostało tak, jak jest?

– W takim razie musicie to załatwić z panem Beanem – odparł Stone. – Pan Bean zaproponował nam kupno ziemi i ma do tego prawo. Nikt nie może mieć o to do niego pretensji.

Purvis przez chwilę patrzył na niego, a potem odwrócił się i popatrzył na Grovera Beana, ale farmer wytrzymał jego wzrok tylko przez chwilę.

– Myślę, że jeśli człowiek sprzedaje swoją ziemię, to jego prywatna sprawa – oświadczył Purvis. – Ale jeśli ta ziemia ma być użyta do czegoś, co sprawi, że cała okolica się od tego zatrzęsie, to jest też sprawa okolicznych mieszkańców.

Martin Levon podrapał się po głowie.

– Wszystko to pięknie, George, ale musisz też myśleć o handlu – powiedział łagodnie. – W całym Robinstown od wojny nikt się nie wzbogacił, a ostatnio ceny wszystkich produktów mleczarskich lecą w dół z każdym dniem… więc może wypadałoby coś zrobić. Jedno jest pewne: praca na roli nie ma przyszłości.

Purvis splunął na drogę.

– To bzdura. Jak długo ludzie będą potrzebowali jedzenia, tak długo będą rolnicy. Mamy teraz nadwyżkę ziarna, masła i więcej mięsa, niż Calvin Coolidge da sobie radę wsadzić

do ust na jeden raz. Ale słyszałem, że w Kongresie jest przygotowywana ustawa, dzięki której nadwyżki będzie można sprzedać po niższych cenach za granicę, i wtedy się zobaczy, czy praca na roli ma przyszłość, czy nie. Jeśli w Robinstown zostanie wybudowana fabryka, wkrótce czarny dym zacznie dusić wasze bydło, a farba zatruwać rzekę i niedługo gorzko pożałujecie, żeście do tego dopuścili.

Oswald Stone nie wydawał się poruszony tym przemówieniem. Skinął na jednego z szoferów, którzy stali przy limuzynach, i kiedy mężczyzna do niego podszedł, szepnął mu coś do ucha.

Szofer kiwnął głową i ostrożnie ruszył do drugiego samochodu, starając się nie ubłocić swoich lśniących brązowych butów.

– Chciałbym, żeby pan kogoś poznał – powiedział Stone do Purvisa. – Może jeśli z panem porozmawia, zmieni pan zdanie.

Purvis pokręcił głową.

– Tylko jedna rzecz zmieni moje zdanie: koniec świata. Kiedy ten dzień nadejdzie, możecie sobie nastawiać tu tyle farbiarni, ile chcecie.

Szofer otworzył tylne drzwi limuzyny. Mężczyzna, który z niej wysiadł, był wysoki i mocno zbudowany. Kiedy się wyprostował,

Martin Levon natychmiast go rozpoznał. Przybysz miał na sobie alpakowy płaszcz i szary kapelusz osłaniający szeroką, mocno zaczerwienioną twarz. Szedł w ich stronę z pochyloną głową, wsparty na czarnej lasce. Gdy znalazł się na chodniku, podniósł wzrok, zdjął szaroniebieską giemzową rękawiczkę i wyciągnął mięsistą rękę o tępo zakończonych palcach. Purvis uścisnął ją pierwszy i skrzywił się boleśnie, bo mężczyzna miał uścisk jak imadło, a na palcach trzy grube złote pierścionki.

– Nazywam się Johann Cornelius – oznajmił przybysz, patrząc na zgromadzonych przed sklepem mieszkańców Robinstown. – Jestem właścicielem Kruyper Dye Works.

Oswald Stone przygładził włosy.

– Pan Cornelius z przyjemnością odpowie na wszystkie pytania. Chyba pan miał jakieś pytanie, czyż nie tak, panie Purvis?

Przy Johannie George Purvis nagle wydał się wszystkim mały i niepozorny. Jego rozpięta pod szyją koszula była spłowiała i połatana, a koszula Johanna nienagannie biała, ze stojącym kołnierzykiem i eleganckim krawatem.

Mimo to nie zapomniał języka w gębie. Spojrzał wyzywająco na Johanna i oświadczył:

– Nie mam żadnych pytań, panie Cornelius. Mam same obiekcje. Skusił pan Grovera Beana wielkimi pieniędzmi i teraz jest gotów sprzedać panu ziemię na cel, który wcale nie przysłuży się tej miejscowości. Przynajmniej ja tak to widzę.

Johann popatrzył na niego.

– Czemu pan uważa, że zakłady farbiarskie nie przysłużą się tej miejscowości?

George Purvis odkaszlnął.

– Nie jestem bogatym człowiekiem, panie Cornelius, ale spędziłem w Robinstown większość swojego życia i wiem, co mu się przysłuży, a co nie. Kiedy Kongres przyjmie ustawę, że można sprzedawać nadwyżki żywności za granicę, ta okolica powoli powróci do życia. Dlatego nie chcemy tu żadnych fabryk, trucia naszej rzeki i wyrzucania nas z naszej ziemi.

Twarz Johanna pozostała bez wyrazu.

– Naprawdę myślisz, że Kongres przepchnie tę ustawę wbrew prezydentowi?

George popatrzył na niego.

– A jaki ma wybór?

Johann wzruszył ramionami.

– Obawiam się, że ma wybór, i założę się z tobą o pięćset dolarów, że wkrótce zawetuje tę ustawę.

– Daj pan spokój – prychnął George. – Nie ma wyboru.

Johann pokręcił głową.

– Nie, przyjacielu, to wy nie macie wyboru. Ten kraj pociągnie was w przyszłość, czy wam to się podoba, czy nie. Staniecie się częścią tego, co stanowi o wielkości Ameryki, a wielkość Ameryki nie ma żadnego związku z kłótliwymi farmerami, uchwałami antytrustowymi i rozlazłymi naprawiaczami gospodarki.

Ujął Purvisa za ramię i zatoczył krąg ręką, wskazując dolinę, okoliczne lasy i majaczące w oddali kontury Rabbit Ridge.

– Co tam widzisz? – zapytał. – Co widzisz, kiedy patrzysz na tę dolinę?

George nie miał odwagi strząsnąć z ramienia dłoni Johanna Corneliusa.

– Widzę drzewa – bąknął. – Drzewa i… pastwiska.

– I co jeszcze?

George zmrużył oczy.

– Nie wiem. Chmury?

Johann puścił go.

– Widzisz drzewa, pastwiska i chmury?

– No… chyba tak – mruknął George, rozcierając ramię.

Johann pokiwał głową.

– Ja też to widzę, panie Purvis, ale poza tym widzę coś jeszcze. Widzę rzekę, a kiedy widzę rzekę, widzę energię i wodę potrzebną do działania fabryki. Ta energia i woda są za darmo, a to oznacza oszczędności i większy zysk. Widzę też coś innego… coś, co sprawi, że to miasteczko będzie coraz bogatsze. Panie Purvis, to jest Ameryka, kraina nieograniczonych możliwości. Czy kiedyś myślał pan o tym, żeby stać się bogatym?

George Purvis otworzył usta, ale natychmiast zamknął je z powrotem. Martin Levon i Oswald Stone patrzyli na niego, a on zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Dawniej często marzył o bogactwie i kupieniu sobie automobilu. Ale to były głupie mrzonki i kiedy się zestarzał, wywietrzały mu z głowy. Wiedział, że nie dla niego wielkie pieniądze i musi zadowolić się małym, zatęchłym biurem, czarnym cylindrycznym piecykiem i niebieskim dzbankiem do robienia kawy.

– No dobrze – powiedział w końcu Johann Cornelius, uśmiechając się do niego. – Myślę, że już czas sfinalizować tę transakcję. Ma pan ochotę na przejażdżkę, Bean? Moglibyśmy podczas niej omówić szczegóły i mielibyśmy to z głowy.

Grover Bean obciągnął marynarkę, kiwnął głową i ruszył w stronę długich czarnych samochodów Corneliusa. Ale zanim wsiadł do jednego z nich, odwrócił się do Purvisa, który wbijał wzrok w chodnik, oszołomiony i bezradny jak pastor, który zastanawia się, jakim cudem jego wiara splątała się z egoistycznymi ludzkimi pragnieniami i światowymi zawiłościami, i poczuł, że powinien coś powiedzieć, nieważne co, choćby to było tylko: „Wybacz”.

W limuzynie pachniało skórą i brandy. Przyciemnione okna sprawiały, że było w niej mroczno jak w karawanie, i nie rozpoznawało się twarzy siedzących w środku ludzi. Jeden z nich otworzył teczkę i rozległ się szelest dokumentów. Po chwili drzwi się zamknęły, odcinając Grovera od zewnętrznego świata.

– Proszę siadać – powiedział do niego Johann Cornelius, rozkładając straponten. – Niech pan czuje się jak u siebie.

Farmer usiadł, nerwowo przygryzając wargę.

Johann szybko przekartkował kontrakt, po czym podniósł głowę.

– Mam nadzieję, że nie ma tu niczego, co budziłoby pański sprzeciw.

Grover odchrząknął.

– Hm… jest problem ogrodzenia od południa, poza tym poproszono mnie, żebym dodał do umowy to i owo na korzyść ludzi z miasteczka.

– Jakie to i owo?

– Chciałem sobie zastrzec, żeby wszyscy robotnicy farbiarni zaopatrywali się w miejscowym sklepie, żeby nie zakładał pan konkurencyjnego sklepu firmowego. Chcę też zaznaczyć, że rzeka nie może być zatruwana przez barwniki, bo poniżej jesionowego zagajnika korzystają z niej dwa stada krów.

Johann przewracał kartki kontraktu, aż trafił na właściwą. Przeczytał ją i znowu popatrzył na Grovera.

– Takie właśnie są pańskie zastrzeżenia?

– Tak, proszę pana.

Johann westchnął i potarł czoło. Stone, który siedział obok niego, rozpoznał w tym geście oznaki zniecierpliwienia i uśmiechnął się lekko.

– Panie Bean, oferujemy panu za tę ziemię dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów – powiedział po chwili Johann. – Czy to nie dosyć?

Grover znów spojrzał na Stone’a, a potem na drugiego pomocnika Corneliusa, siedzącego w najciemniejszym kącie limuzyny.

– Dosyć – przyznał. – Zgodziliśmy się co do tego.

– Wobec tego proszę wziąć pieniądze i niech pan nie próbuje narzucać mi żadnych śmiesznych warunków, bo kiedy sporządzam kontrakt, zawsze brzmi on prosto i jasno. Nie ma w nim żadnych zawiłości ani dziwnych klauzul. Albo sprzedaje mi pan tę ziemię, albo nie sprzedaje. Pański wybór.

Grover przełknął ślinę. Do głowy by mu nie przyszło, że Johann postawi go przed takim wyborem. Rozpaczliwie potrzebował pieniędzy, bo jego farma miała za sobą trzy złe lata i siedział po uszy w długach. Nie mógł pozwolić, aby banki zajęły mu ziemię pod zastaw pożyczek. Jedynym sposobem zdobycia pieniędzy była sprzedaż części gruntów.

– No… – zaczął niepewnie.

– Co „no”? – spytał ostro Johann. – Sprzedaje mi pan tę ziemię czy nie?

Grover uniósł głowę.

– Tak, proszę pana, sprzedaję – odparł.

– Właśnie to chciałem usłyszeć – stwierdził Johann. – Oswald, podaj panu Beanowi pióro i niech podpisze się nad kropkowaną linią.

Podsunięto Groverowi kontrakt pod nos, a potem Oswald Stone wręczył mu pióro. Grover trzymał je przez chwilę w powietrzu, udając, że po raz ostatni przegląda kontrakt, chociaż litery

pływały mu przed oczami. Mężczyźni siedzący w samochodzie czekali na niego cierpliwie, a kiedy w końcu złożył podpis czarnym wodnistym atramentem, Oswald Stone sięgnął po dokument i zapytał:

– Zadowolony?

Grover kiwnął głową, nie podnosząc wzroku.

– Tak, proszę pana.

Stone sięgnął do swojej teczki.

– Oto pański czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, jak było umówione.

Grover wziął czek, nawet na niego nie patrząc. Wsadził go do kieszeni marynarki i wymamrotał:

– Dziękuję.

Kiedy chciał otworzyć drzwi limuzyny, Johann Cornelius złapał go za ramię.

– Wolałbym, żeby pan sprawdził czek – oświadczył.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł Grover Bean. – Ufam panu.

– Musi pan – upierał się Johann. – Nie chciałbym, żeby pan myślał, że został wywiedziony w pole czy zmylony. Niech pan się upewni, że wszystko jest w porządku.

Grover wyjął czek i przyjrzał mu się uważnie.

– Wygląda, jak trzeba, dziękuję – powiedział.

– To doskonale – odparł Johann. – Dziękuję panu za życzliwość i niech pan wspomina mnie z uśmiechem, bez względu na to, co się wydarzy. W tych czasach ludzie zbyt rzadko się uśmiechają.

– Pewnie tak… – mruknął niepewnie Grover, gdy wychodził z auta.

♦ ♦ ♦

Johann wraz ze swoją asystą pojechał z powrotem przez pensylwańskie wzgórza do Altoony, gdzie na nierównym, pokrytym stokrotkami polu czekał na nich samolot Ford Tri-Motor. Była czwarta po południu. Kiedy znaleźli się na pokładzie maszyny, jej silniki ożyły, mierzwiąc trawę i płosząc stado trznadli.

Wnętrze srebrnego samolotu przypominało niewielki gabinet. Stało w nim pięć wyłożonych poduszkami wiklinowych foteli, jeden dla Johanna i cztery dla pozostałych pasażerów. Ściany wyłożono orzechowym fornirem, a stojący pod jedną z nich barek miał ozdobne szklane drzwiczki. Biurko Johanna było bardzo skromne i prawie puste. Wszystko, co się na nim znajdowało – papier, pióra i atrament – było zabezpieczone mosiężnymi klipsami,

uniemożliwiającymi zsunięcie się na podłogę. Podczas lotu powrotnego na Lynwood Johann miał pracować nad skomplikowanym transferem akcji uprzywilejowanych i jego sekretarz, Henry B. Keith, ponury młody człowiek w źle wyprasowanym lnianym garniturze, towarzyszący mu we wszystkich podróżach, już przygotował mu materiały.

Kiedy sekretarz rozmawiał z pilotem, Murzyn Lester, osobisty służący Johanna, przygotowywał lunch. Wyjął z koszy porcelanowe słoiki i szykował wędzonego łososia łowionego u wybrzeży Nowej Szkocji, świeże szparagi na zimno, kruchą pekińską sałatę i brzoskwinie oraz białe wino.

Oswald Stone popatrzył na zegarek i powiedział:

– Pozostał jeszcze jeden problem…

– Jaki? – zdziwił się Johann. – Mówiłeś, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

– To stara sprawa. Chodzi o linię kolejową.

Johann wyjął z kieszeni złoty automatyczny ołówek.

– Chyba ci mówiłem, żebyś to załatwił – mruknął.

– Próbowałem. Wczoraj spędziłem cały dzień z McFarlane’em, ale wciąż mają jakieś

zastrzeżenia. Próbowałem się dowiedzieć, o co im chodzi, jednak podczas negocjacji ich zarząd był cały czas wrogo do nas nastawiony i nadal nie chce dać nam żadnych gwarancji.

– Nie przeniesiemy ani jednego kosza ziemi, dopóki nie dostaniemy tych gwarancji, rozumiesz?

– Tak, proszę pana, rozumiem. Ale to nie będzie łatwe.

Johann był niemal całkowicie pochłonięty liczbowymi zestawieniami opcji akcyjnych, które miał przed sobą, i prawie go nie słuchał. Oswald musiał zdzierać sobie gardło, by przekrzyczeć warkot silników samolotu i brzęczenie porcelany.

– Wydaje mi się, że ta linia kolejowa wolałaby, żebyśmy w ogóle nie wystartowali z tą operacją.

Johann postawił znak zapytania na liście holdingów naftowych.

– Dlaczego tak uważasz? – spytał.

– Słucham?

– Dlaczego tak sądzisz? Czemu woleliby, żebyśmy nie wystartowali z tą operacją? I dlaczego nie potrafisz przeprowadzić takiej prostej sprawy jak zawarcie umowy z P and P Railroad?

– Wygląda na to, że ci ludzie mają jakiś interes w tym, żeby kontrolować naszą operację w Robinstown – odparł Oswald. – Miesiącami wykłócają się o koszty i wielkość frachtu i nadal nie zdołaliśmy ustalić struktury przewozowej.

– Czemu nie mówisz ludzkim językiem? – ofuknął go Johann. – Chodzi ci o to, że chcą zbyt dużo pieniędzy za przewożenie naszego produktu?

– Właśnie. I nie zejdą z ceny. Wciąż żądają trzydziestu dolarów za dwa tysiące funtów cargo.

– Czy oni myślą, że prowadzimy kolejowy fundusz charytatywny?

– Rozmawiałem z nimi wielokrotnie, proszę pana, ale nie chcą ustąpić. Oświadczyli, że to ich ostatnie słowo.

Johann odsunął biuletyn giełdowy i w zamyśleniu zaczął skubać swoje grube czerwone wargi. Jego rzadkie włosy kleiły się do czaszki, posmarowane brylantyną i rozdzielone pośrodku jak grzywa konika na biegunach.

– Trzydzieści dolarów? Czemu tak dużo?

– Nie wiem, proszę pana – odparł Oswald. – Chyba wzięli tę cenę z sufitu.

Johann kiwnął głową.

– Pewnie tak. Ale czemu to robią? Można to wytłumaczyć tylko tym, że tak naprawdę nie

chcą wziąć tej roboty, a jeśli już, to na wyjątkowych warunkach. Czemu P and P Railroad nie chce wozić naszego produktu z Robinstown?

– Może w ogóle nie chcą, żebyśmy zaczęli tam działać?

– Ale dlaczego? Myślałem, że już wszystkich przekonaliśmy.

Oswald wstał. Żegnając się z Johannem na pokładzie samolotu, zawsze się obawiał, że nie zdąży wyjść i trafi do jakiegoś paskudnego miejsca, którego wolałby nie oglądać na oczy. W dodatku jego żona Janina miała przygotować dziś na kolację jedno z jego ulubionych dań, szynkę z kluseczkami i musem jabłkowym, więc bardzo chciał jak najszybciej znaleźć się w domu.

– Myślałem, że jeśli nie zmuszę P and P, żeby trochę zaniżyli cenę…

– Trochę? Mają ją zaniżyć o połowę! I na tych samych warunkach!

– Spróbuję, proszę pana. Ale jeśli nie ustąpią, moglibyśmy dyskretnie zatrudnić kilku detektywów. Niby wszyscy mówią, co myślą, jednak najwyraźniej ktoś coś ukrywa. Musimy się dowiedzieć, kto to taki.

Johann odchylił się w skrzypiącym wiklinowym fotelu.

– Hm… – mruknął. – Ile mamy akcji P and P?

– Trochę poniżej dziewięciu procent, proszę pana.

– Kto jest większościowym udziałowcem?

– Jakiś holding z siedzibą w New Jersey. Nazywa się… o, już mam… TransMechanic.

Johann zapisał tę nazwę.

– W porządku, zostaw tę sprawę mnie – powiedział. – Na razie naciskaj ich dalej. Daj im dobę na podjęcie decyzji i jeżeli nie obniżą stawek o połowę, weź dobrego detektywa i każ mu powęszyć wśród członków zarządu. Nie pozwolę, żeby jakaś banda niedorobionych Holendrów opróżniała mi kieszenie. I jeszcze coś… Wyślij kogoś do Robinstown i każ mu przypilnować tego Purvisa. Niech sprawdzi, czy nie da się go trochę zmiękczyć. Kiedy to wszystko nabierze kształtów, nie chciałbym, żebyśmy mieli złą prasę. Nie chcę powtórki masakry w Ludlow[5].

– Proszę pana, naprawdę nie sądzę…

– Zrób to, Oswald, dobra? Zmiękcz go. Będziemy mieli dość problemów bez bolszewików jego pokroju, kiedy się dowiedzą, że ta farbiarnia wcale nie jest farbiarnią.

– Dobrze, proszę pana, zrobię, jak pan każe. Jak tylko dowiem się czegoś, zatelegrafuję na wyspę.

Do kabiny wrócił Henry Keith i oznajmił, że są gotowi do startu.

Oswald chciał powiedzieć Johannowi, że robi tu wspaniałą robotę, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Wziął dokumenty i teczkę, po czym zszedł po aluminiowej drabince na trawę, przytrzymując kapelusz.

Zamknięto drzwi samolotu, który ustawił się pod wiatr. Blade popołudniowe słońce zamieniło śmigła w wirujące promienie światła. W powietrzu rozeszła się woń paliwa lotniczego. Kiedy maszyna nabierała prędkości, Oswald stał na polu, machając ręką, choć i tak był pewien, że Johann mu nie odpowie. Jego szef był praktycznym draniem i nie marnowałby energii ani czasu na takie gesty. Był pierwszym milionerem, dla którego Oswald pracował, i chociaż cieszył go prestiż, którego cząstka na niego spadała, i zarabiał o wiele więcej niż kiedykolwiek wcześniej, żądania Johanna czasem spychały go na takie dno poniżenia, że po powrocie do swojego domu na przedmieściu w lepszej części Pittsburgha płakał z upokorzenia na ramieniu swojej żony.

Samolot przyspieszył i po chwili uniósł ogon ponad trawę. Kiedy znalazł się w powietrzu, z rykiem przechylił się na bok i zaczął wspinać

coraz wyżej, kierując się na zachód. Wyglądał jak gęś wdrapująca się po oblodzonym stoku. Oswald jeszcze przez chwilę odprowadzał go wzrokiem, a gdy odgłos silników niemal całkowicie się rozpłynął, wrócił do samochodu.

Na wysokości dwóch i pół tysiąca stóp Johann pił schłodzone meursault i jadł mocno przyprawionego łososia w plastrach. Siedzący naprzeciwko niego Henry Keith poprzestał na kanapce z wołowiną na zimno – nie dlatego, że Johann nie miał ochoty podzielić się z nim łososiem, ale dlatego, że Henry zawsze czuł się nieswojo, jedząc lunch wraz ze swoim małomównym pryncypałem. Johann otwierał usta jedynie po to, aby rozmawiać o interesach, i nie widział potrzeby dbania o to, aby inni czuli się w jego towarzystwie swobodnie. Efekt tego był taki, że goście, których podejmował na kolacjach lub domowych przyjęciach, przeważnie siedzieli w milczeniu. Kiedy Hester spytała go, czemu nie stara się podjąć rozmowy, odparł burkliwie: „Cały świat mówi tylko o jednym… o pieniądzach”.

Ale Henry wiedział, że Johann wcale nie jest tak niewrażliwy, jak można byłoby sądzić po jego zachowaniu. John D. Rockefeller młodszy nazwał go „facetem, który twardo stąpa nogami po ziemi,

ale nosi głowę w chmurach”, a kiedy w 1925 roku Andrew Mellon spotkał go po raz pierwszy na przyjęciu u Herberta Hoovera, stwierdził, że „chodzi jak błędny, jak ofiara wypadku samochodowego”. W 1927 roku dorównywał już bogactwem Irénée Du Pont i był znaczącą figurą w świecie polityki. Miał banki i fabryki chemiczne, a jego opinie ukazywały się regularnie w trzech kontrolowanych przez niego gazetach wydawanych na Południu. Wszedł również w transport lotniczy, a pozycja przewodniczącego Federalnej Komisji do spraw Ograniczeń Eksportowych dawała mu możliwość wpływania na rynki zagraniczne, zwłaszcza niemiecki, i faworyzowania własnych korporacji. Jednak jako człowiek prywatny budził niepokój niemal każdego, kto się z nim zetknął. Wyczuwało się w nim ogromne napięcie, jakby chciał ukryć ból, strach czy gniew, od których nie potrafił się uwolnić.

Gdy samolot znalazł się nad granicą stanu Nowy Jork, Johann przerwał pracę i wyjrzał przez prostokątne okienko. Słońce chowało się właśnie za wieczornymi chmurami. Lubił latanie, ponieważ dawało mu poczucie władzy i mógł się spokojnie zastanowić nad tym, co jeszcze ma do zrobienia. Mógł przy tym oglądać niekończące się

uprawne pola i drogi Ameryki, niknące w łagodnym zmierzchu zachodu, i wsłuchiwać się w poszum chłodnego wieczornego wiatru omiatającego skrzydła samolotu.

Widząc, że szef wygląda przez okno, Henry Keith odchrząknął i powiedział:

– Wspaniały widok, prawda, panie Cornelius?

Johann usiadł wygodnie i popatrzył na niego.

– Tak, wspaniały – odparł.

Henry również usiadł.

– Skończył pan przeglądać akcje firm naftowych, panie Cornelius? – zapytał. – Jeśli tak, to porównam je z wykresem dziennym.

– Prawie skończyłem – odparł z roztargnieniem Johann.

Opuścił głowę i bawił się ołówkiem, jakby coś go dręczyło. Henry Keith nigdy nie widział go tak pogrążonego w myślach.

– Panie Cornelius… czy coś jest nie tak, jak powinno?

Johann nadal bawił się ołówkiem.

– Sam nie wiem – mruknął. – Zastanawiałem się nad tym interesem w Robinstown…

– Myśli pan o P and P? – zapytał Keith. – Oswald na pewno to załatwi. Jest jeszcze trochę zielony, ale wie, czego pan chce.

Johann pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Chcę po prostu wiedzieć, dlaczego ci ludzie tak się zachowują. Ktoś próbuje podłożyć nam nogę i chciałbym wiedzieć, kto to taki.

– TransMechanic?

– Może. Czy wiemy, co to za jedni?

– Słyszałem o nich co nieco – odparł Henry. – To holding mający kilka różnych firm przemysłu maszynowego i transportu kolejowego, ale musiałbym pokopać głębiej, żeby się dowiedzieć, kto tam naprawdę rządzi.

Johann kiwnął głową. Wlecieli właśnie w strzępiaste chmury i musiał przytrzymać stojący na stoliku kieliszek wina.

– A co myślisz o Robinstown? – spytał po chwili.

Keith popatrzył na niego ze zdziwieniem, bo Johann rzadko pytał go o zdanie. Może zawiniło meursault, a może był zmęczony, w każdym razie sprawiał wrażenie pogrążonego w jakichś ponurych myślach. Henry usiadł w wiklinowym fotelu i usiłował sklecić jakąś sensowną i skromną odpowiedź.

– Myślę, że to dobry kierunek. Dzięki temu wejdziemy na nowe pole działania… To ekscytujący początek… Chcę powiedzieć, że dla

nas wszystkich… i w ogóle… to bardzo podniecające.

Johann potarł oczy.

– Wiem, że to podniecające, Henry – mruknął. – Perspektywa dużego zysku zawsze jest podniecająca. Ale chcę wiedzieć, co o tym myślisz. Czy sądzisz, że to niesmacznie? Albo niemoralne?

Henry zmrużył oczy. Był krótkowidzem, ale sądził, że w okularach przypomina Dwighta Morrowa, więc wolał mrużyć oczy.

– Nie wiesz, co to znaczy „niemoralne”? – zapytał Johann.

– Pewnie, że wiem – odparł Henry z nieszczęśliwą miną. – Tylko nie rozumiem, jak to określenie ma się do Robinstown.

Johann wpatrywał się w niego niemal przez minutę, po czym powiedział:

– Henry, jesteś doskonałym sekretarzem… Ostrzysz ołówki, napełniasz kałamarz, utrzymujesz wszystko w należytym porządku. Umiesz przekazywać moje polecenia i nie popełniasz błędów.

– Dziękuję panu – odparł Henry.

Johann pokręcił głową.

– Twój problem polega na tym, że nigdy nie zrozumiesz, jak działa władza, a jeśli tego nie

zrozumiesz, nie zrozumiesz też, jak działają pieniądze. Te dwie rzeczy są nierozerwalnie ze sobą związane. Jeśli masz pieniądze, ale lekceważysz władzę, którą ci dają, stracisz je. To tak samo pewne, jak fakt, że we wrześniu liście spadną z drzew. Używanie władzy jest jedynym zabezpieczeniem przed kradzieżą, oszustwem, przejęciem, inflacją i gospodarczym upadkiem.

– Panie Cornelius, nie wiedziałem, że uważa pan moją pracę za tak bardzo niezadowalającą… – wymamrotał Henry.

– To nie twoja praca jest niezadowalająca, ale twoja dusza. Masz niezadowalającą duszę. Może nawet jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale teraz grasz w pierwszej lidze, a w niej nie ma miejsca dla człowieka, który nie ma zadowalającej duszy.

– Nie rozumiem… – bąknął oszołomiony Henry.

Zimne powietrze wdzierało się do samolotu, ale i tak zaczął się pocić i przez chwilę rozważał, czy szef po prostu nie wywala go na zbity pysk.

Johann wysączył wino, otarł usta serwetką z cieniutkiego irlandzkiego lnu i dał znak Lesterowi, by zabrał talerze.

– Chyba nie zaprzeczysz, że większość ludzi uważa mnie za tyrana – powiedział powoli.

– Och, proszę pana, nigdy nie…

Johann przerwał mu machnięciem ręki.

– Daj spokój, Henry, nie bądź takim cholernym lizodupem. Cały świat, w tym także moja żona, myśli, że jestem tyranem, i tak powinno być. Ale nikt nie wie, że jestem tylko w połowie takim tyranem, jakim mógłbym być. Dlaczego? Dlatego że władza jest narzędziem, które wymaga ostrożności i poczucia odpowiedzialności, inaczej może walnąć cię w oko. Ludzie posiadający władzę zawsze używają jej z umiarem. Tak postępuje młody Rockefeller i Mellon. Władza jest skuteczna tylko wtedy, gdy używasz jej rzadko i przy jej stosowaniu przestrzegasz pewnych zasad. Im rzadziej ją stosujesz, im bardziej szanujesz moralność i zasady, tym silniejszy się stajesz. Gdybym użył tej władzy wobec ciebie… ciebie osobiście… mógłbym cię zniszczyć. Ale jaki z tego byłby pożytek? O wiele korzystniej będzie, jeśli użyję tylko ułamka mojej władzy i każę ci dla mnie pracować.

Henry podrapał się po głowie.

– Pan wybaczy, ale wciąż nie kojarzę, jak to się ma do Robinstown…

Johann popatrzył na niego.

– Oszukaliśmy pana Beana – powiedział. – Uwierzył, że sprzedaje nam ziemię pod budowę farbiarni. Budowa takiej fabryki nie zostałaby przyjęta przez mieszkańców Robinstown z radością, ale jakoś by to przełknęli. Ale czy to moralne, że kupujemy ziemię pod farbiarnię, wykorzystując na ten cel federalne fundusze, podczas gdy naszym prawdziwym zamiarem jest wydobywanie węgla? Wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy ogołoci się tamtejsze wzgórza i pastwiska z gleby, dojdzie do pustynnienia całej okolicy i za pięć lat nawet stonka się tam nie pożywi, a co dopiero krowa.

Henry nerwowo przełknął ślinę.

– Rozumiem – powiedział w końcu, kiwając głową. – Rozumiem.

– No dobrze, ale co o tym sądzisz?

Henry opuścił wzrok na swoje kolana, na których leżał stos dokumentów.

– Myślę, że w tym szczególnym przypadku moralność nie wchodzi w grę. Oczywiście jest bardzo ważna, ale przecież to, co pan robi, będzie służyło ludziom, i to właśnie jest moralne, prawda? Będzie węgiel i praca dla setek ludzi, a przy tych nędznych cenach, jakie dają za gospodarstwa rolne, kopalnia musi być więcej warta niż ziemia pod uprawy. Poza tym sam pan

powiedział, że tych ludzi trzeba pociągnąć w przyszłość…

Johann słuchał tego z zamkniętymi oczami. Czuł się jak starzec. Serce biło mu wolniej, a głowa bolała go niemal bez przerwy, gdy myślał o swoich inwestycjach.

Henry wysiąkał nos w chusteczkę, zerkając nerwowo za okno. Samolot podskakiwał między chmurami.

– Jeśli pan pozwoli, mam jedno pytanie…

– Proszę, mów – zachęcił go Johann.

– Chciałbym wiedzieć, co pan myśli o Robinstown. Czy pan uważa to za moralne? Proszę wybaczyć, jeśli zabrzmiało to impertynencko, ale sam pan powiedział…

Johann roześmiał się, ale na jego twarzy nie było rozbawienia.

– Henry, nie zrozumiałeś ani jednego słowa z tego, co mówiłem – stwierdził.

– Tak?

– Ja również urodziłem się na wsi, w rodzinie farmera, który hodował krowy, tak samo jak tamci ludzie z Robinstown. Mój ojciec umarł na wylew. Praca na roli to ciężka i źle płatna robota, i do tego bardzo niewdzięczna. Ale górnictwo wcale nie jest lepsze. Może więcej zarabiają, ale ich praca też jest bardzo ciężka. Umierają młodo

od pylicy albo podczas zawałów i zalań chodników.

– Kiedy pana słucham, wychodzi na to, że każda praca jest tak samo paskudna.

– Bo jest, Henry. A my siedzimy sobie tutaj wygodnie i mówimy tym wszystkim nieszczęśnikom, co mają robić. Ale nawet to potrafi być piekłem. Życie to wypadek, Henry. Poważny wypadek, w którym giną ludzie. Jedyne, co jest moralne w tej umowie sprzedaży ziemi w Robinstown, to fakt, że ten wypadek nie jest aż taki zły, jak mógłby być.

Siedzieli i w milczeniu patrzyli na siebie w półmroku kabiny. Zamigotały lampy z brązu, imitujące olimpijskie znicze.

– Za chwilę zacznie mocno bujać, proszę pana! – krzyknął pilot. – Radziłbym nie wstawać z foteli!

Johann wyjrzał przez okno. Niebo miało zielonoczarną barwę, o szyby bębnił deszcz, a z wnętrza maszyny dolatywały niepokojące jęki i zgrzyty, jakby silniki mieliły grysik kukurydziany i okruchy szkła.

Samolot zakołysał się i opadł kilkadziesiąt stóp niżej. Ołówki stoczyły się z blatu biurka Johanna i upadły na podłogę. Silniki pracowały

na najwyższych obrotach, a maszyną miotała rozwścieczona wichura.

Johann zacisnął ręce na poręczach fotela.

– Lester! – zawołał.

Murzyn wyszedł z ogona samolotu. Sprawiał wrażenie przestraszonego, ale bardzo się starał tego nie okazywać. Nikt nie okazywał żadnych emocji w obecności Johanna i jego rodziny.

– Tak, proszę pana?

– Zasłoń okna. Nie zamierzamy przez nie teraz wyglądać.

– Oczywiście, proszę pana.

Trzymając się mosiężnych uchwytów na ścianach, obszedł kołyszącą się kabinę i ściągnął zasłonki z brązowego aksamitu.

Przelot przez burzę trwał dwadzieścia minut i dopiero kiedy znaleźli się nad Lynwood, zostawili za sobą chmury. Keith był blady jak płótno i w ogóle się nie odzywał. Przy zasłoniętych oknach czuł się jak w zamurowanej celi, jakby zakryto mu oczy i kazano przebiec przez nieznane, zalewane ulewą miasto. Johann pochylił się nad blatem biurka i sprawdzał kolumny cyfr, upewniając się, czy negocjacje w sprawie emisji obligacji są należycie przygotowane.

Mrugając światłami pozycyjnymi, samolot sunął w stronę rzeki Hudston. Nocne niebo było już spokojne. Niedaleko gęsto zalesionego zachodniego wybrzeża rzeki widać było ciemny, gruszkowaty kształt wyspy Lynwood. Kiedy ją okrążali, Keith zobaczył wielki dom i otaczające go ogrody.

Rząd białych świateł wskazywał miejsce lądowania i pilot, sprowadzając maszynę na dół, skierował się na wiatr. Uderzyli twardo w podłoże, przejechali kilkadziesiąt metrów, po czym silniki strzeliły kilka razy i zgasły.

Johann sztywno wstał z fotela i przeciągnął się, prostując plecy. Lester przyniósł mu kapelusz i płaszcz, a Keith zebrał dokumenty z blatu biurka.

Kiedy wstał, chcąc porozmawiać z pilotem, Johann zatrzymał go.

– Nigdy nie wolno mylić moralności z przeznaczeniem – powiedział. – Jedno nie ma żadnego związku z drugim. Jeśli to zrozumiesz, może przestaniesz bać się latać.

Henry zamrugał.

– Tak, proszę pana – odparł i dodał szybko: – Zapamiętam to sobie.

Wszedł do kokpitu, aby sprawdzić, ile paliwa zużyli podczas powrotnego lotu, i nie zobaczył

wyszczerzonych w uśmiechu zębów Johanna Corneliusa.

♦ ♦ ♦

Hester siedziała w pokoju do robótek ręcznych, gdy usłyszała krążący nad wyspą samolot. Na chwilę uniosła głowę, upewniając się, że to Johann, a nie samolot pocztowy czy ktoś lecący do Pocantico – Rockefellerowie albo ich goście. Po chwili znowu zajęła się szydełkowaniem, uśmiechając się do siebie.

Nie była szczególną miłośniczką szydełkowania, ale właśnie to sprawiło, że uczyniła z tego zajęcia narzuconą samej sobie pokutę. Nanosiła na bogato zdobioną poduszkę wzór składający się z różyczek, liści i niezapominajek. Jeśli nie liczyć godziny szydełkowania w pokoju robótek ręcznych, spędzała bardzo mało czasu samotnie, jednak nie wiedzieć czemu uważała tę niemiłą czynność za bardzo ważną.

Być może było to związane z jej wiekiem. W sierpniu miała ukończyć trzydziesty szósty rok życia, a żoną Johanna była od szesnastu lat.

Kiedy usłyszała, że tri-motor wylądował, odłożyła robótkę i wezwała srebrnym

dzwoneczkiem swoją osobistą pokojówkę. Marise, młoda Francuzka z włosami uczesanymi w kok i „buźką w ciup”, jak mawiał Johann, weszła do pokoju. Podobnie jak reszta służby, miała na sobie popielaty uniform z białymi koronkowymi mankietami i takim samym kołnierzykiem.

– Paliłaś – stwierdziła Hester.

– *Pardonnez-moi, madame?*

– Marise, nie udawaj. Paliłaś papierosa, czuję to nawet stąd. Ile razy mam ci powtarzać, że młode damy nie palą papierosów i że nie życzę sobie tego?

Pokojówka podeszła do niej, aby pomóc jej zwinąć szpulki z jedwabnymi nićmi i pozbierać igły.

– Przepraszam, proszę pani.

– Musisz się bardziej postarać. Przysięgnij mi na wszystkie świętości, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Marise zapięła koszyczek do robótek na złocone zatrzaski i odstawiła go.

– Przysięgam na wszystkie świętości, proszę pani.

Hester wstała. Była drobna, ale przy Marise wydawała się jeszcze drobniejsza, wyglądała jak nakręcana laleczka na kasetce na biżuterię.

Miała na sobie bladozieloną koktajlową sukienkę ozdobioną długimi jedwabnym frędzlami i sznur indonezyjskich pereł.

– Słyszałaś samolot? – zapytała.

– Tak, proszę pani.

– Przywitam się z panem Corneliusem w porannym saloniku, a potem przebiorę się do kolacji. Chyba włożę perłową suknię, a do tego pawią broszkę i bransoletkę z brylantami, którą miałam na sobie w zeszłym tygodniu w Newport.

– Oczywiście, proszę pani. Zaraz wszystko przygotuję.

– Dobrze. Stainer jest gdzieś w pobliżu?

– Wydaje mi się, że właśnie podaje koniak panu Corneliusowi.

– Kiedy będzie wolny, każ mu nakryć do kolacji w oranżerii.

– Dobrze, proszę pani.

Hester wyszła z pokoju, przecięła kwadratowy centralny hol, stukając żółtymi pantofelkami na wypolerowanej mozaikowej podłodze, i weszła do porannego salonu wyłożonego starymi tureckimi dywanami. Był to wysoki prostokątny pokój z widokiem na ogrodowy stok, widoczny z przeszklonych tarasowych drzwi. Wieczorem zaciągano rdzawe zasłony, a jeśli było zimno, tak jak tego dnia, rozpalano ogień w wiktoriańskim

kominku. Na ścianach barwy wiosennych pierwiosnków wisiały obrazy przedstawiające indiańskie osady i purytańskie wioski z początków Ameryki oraz dwa kubistyczne dzieła Georges'a Braque'a.

Usiadła na foteliku przy kominku. Obok niej kamerdyner postawił srebrną tackę z brandy, lodem i wodą sodową, którą jak zwykle przygotował na przybycie Johanna.

Po chwili usłyszała głosy w korytarzu i drzwi się otworzyły. Do saloniku wszedł Johann, ze śmiechem wspominając burzę, przez którą lecieli, oraz natrząsając się z Henry'ego Keitha i jego lęków. Sekretarz wszedł zaraz po nim. Był żółty na twarzy i nadawał się tylko do łóżka.

– Jak się miewasz, moja droga? – spytał Johann, pochylając się nad Hester i całując ją w czoło. – Wpadliśmy w potężne wyładowania elektryczne i biedny Henry szykował się już na spotkanie z naszym Stwórcą.

Hester uniosła brwi.

– Sądzę, że wszyscy powinniśmy być gotowi na spotkanie ze Stwórcą – odparła. – Nie znamy dnia ani godziny.

– Ale Henry nie jest gotowy! – zawołał ze śmiechem Johann. – Ma na sumieniu wiele

grzeszków, z których musi się wyspowiadać, zanim przekroczy bramę świętego Piotra!

– Pamiętaj o tym, że jest twoim sekretarzem – powiedziała Hester.

Johann usiadł i nagle cały dobry humor go opuścił. Henry przysiadł na drugim fotelu, patrząc błagalnie na Hester. Przywykła do tego. Ponieważ była dużo młodsza od Johanna, mężczyźni, którzy pracowali w imperium Corneliusa, często szukali u niej współczucia i pomocy. Dopiero gdy otworzyli się przed nią, jak to zdarzało się większości z nich, uświadamiali sobie, że otacza ją skorupa niemal tak samo twarda jak pancerz Johanna. Nigdy nie zdradziła nikomu zwierzeń pracowników, nawet Johannowi, ale zawsze była lojalna wobec męża.

Johann rozwiązał sznurówki swoich czarnych oksfordów. Stainer, angielski kamerdyner ze srebrnymi bokobrodami, o policzkach pokrytych krwistymi, plackowatymi rumieńcami, skrzypiąc wieczorowymi butami ozdobionymi kokardami, podszedł do nich, by nalać panu domu brandy.

– Telefonował pan Lindbergh i prosił, aby do niego oddzwonić – poinformował Johanna.

– Czego chciał?

– Odniosłem wrażenie, że szuka wsparcia finansowego dla jakiegoś awionistycznego

przedsięwzięcia, ale nic więcej nie potrafię powiedzieć.

Johann sięgnął po szklaneczkę i pociągnął łyk brandy.

– Chyba słyszałem o tym Lindberghu – mruknął. – Ale nie pamiętam, przy jakiej okazji.

– Czy mam do niego zadzwonić? – spytał Henry.

Johann pokręcił głową.

– W tej chwili przede wszystkim zależy mi na zakończeniu sprawy Robinstown. Nie daje mi to spokoju.

– Myślałam, że sprawa Robinstown jest zapięta na ostatni guzik – powiedziała zdziwiona Hester.

– Bo powinna być zapięta – odparł Johann, opadając na oparcie wielkiego, obitego aksamitem chesterfielda. – Wywarto presję na odpowiednich ludzi. Posmarowano odpowiednie ręce. Mam jednak wrażenie, że ktoś wsadza nam kij w szprychy i robi to z osobistych pobudek.

Henry wzruszył ramionami.

– Możemy się łatwo dowiedzieć, kto to taki. Wystarczy sprawdzić u Grossmitha.

– Nie chcę tego robić, chyba że nie będzie innego wyjścia – odparł Johann. – W tej chwili

najbardziej zależy mi na dowiedzeniu się czegoś o firmie TransMechanic.

– Mogę to zaraz zrobić, proszę pana. Wystarczy zadzwonić do biura.

Johann milczał przez chwilę, po czym kiwnął głową.

– W porządku, Henry, to dobry pomysł. Niech sprawdzą każdego pośrednika tak daleko, jak się da. Nie wykonam żadnego ruchu, dopóki się nie dowiem, kto jest przeciwko mnie.

– Oczywiście, proszę pana – odparł Henry.

Sprawiał wrażenie zadowolonego, że może czmychnąć, pozostawiając małżonków samych.

– Czy mówiłam ci, że John jest w domu? – spytała Hester.

– W domu? – powtórzył zdziwiony Johann. – Co takiego zmalował, wagarów mu się zachciało?

– Mają w szkole hiszpankę. Jeden z młodszych chłopców zmarł z tego powodu i odesłali wszystkie dzieci do domów.

Johann pociągnął kolejny łyk brandy.

– Ale co będzie robił? Nie może pętać się bezczynnie przez pół roku. Co powiesz na wynajęcie prywatnych nauczycieli?

– Myślałam, że sam mógłbyś się tym zająć – odparła Hester.

– Czym?

– Prywatnym nauczaniem. Zabierzesz go ze sobą do firmy, pokażesz, jak pracujesz. Sądzę, że to doskonała okazja.

– A ja myślę, że trzeba pogonić tę szkółkę.

Hester wstała i podeszła do okna. Rozsunęła zasłony i przez chwilę patrzyła na ciemny ogród i odległe refleksy światła na rzece. Blade odbicie jej sylwetki w szybie wisiało w nocnym powietrzu jak czekająca na wpuszczenie do realnego świata zjawa.

– Wiesz przecież, że John cię uwielbia – powiedziała.

Johann skrzywił się lekko.

– I bardzo szanuje – dodała Hester. – Zawsze cię broni, kiedy się z nim drażnią w szkole.

– Czemu mieliby się z nim drażnić?

– To chyba oczywiste. Jest Johnem Corneliusem, prawda? Jest bogaty i sławny, a jego ojciec to znany wszystkim finansowy tyran.

Johann zaśmiał się kwaśno.

Hester podeszła do niego i usiadła na poręczy fotela. Jej mąż sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego i wyglądał, jakby przez kilka tygodni przybyło mu parę lat, ale musiała z nim porozmawiać.

– Nie możesz być w pełni głową rodziny, jeśli nie będziesz poświęcał trochę więcej czasu dzieciom – oznajmiła. – Kiedy chłopcy dorosną, powinni znać swoje miejsce w Cornelius Oil, żeby ci pomóc. Jeśli nie znajdziesz dla nich czasu teraz, potem będziesz musiał poświęcić im trzy razy więcej czasu.

Popatrzył na nią.

– To moi synowie – odparł. – Mają mój rozum i moją siłę. Skoro mnie udało się zbić fortunę bez pomocy ojca, czemu miałbym ich rozpieszczać?

– Och, Johannie, wcale nie mówię o rozpieszczaniu. Ale czasy się zmieniły. Teraz nikt nie może zbić fortuny tak jak ty. Nie ma ziemi i nie ma ropy, nie ma też tylu legalnych możliwości. Sam o tym dobrze wiesz.

Johann utkwił wzrok w ogniu.

– W roku, w którym się pobraliśmy, Sąd Najwyższy rozwiązał Standard Oil New Jersey. Ale nie pamiętam, żeby ktoś mówił, że zarabianie pieniędzy jest nielegalne. Nie przejmuj się, John i Roderick będą umieli zarabiać pieniądze bez pomocy tatusia, który by ich prowadził za rączkę.

– Mylisz się, Johannie – odparła Hester. – Rozmawiałeś z nimi ostatnio?

– Oczywiście, że nie. Przecież byli w szkole.

– Więc czas, żebyś z nimi porozmawiał. Nawet nie wiesz, jacy oni są.

Johann zamrugał.

– Przecież są tacy sami jak ja!

Pokręciła głową.

– Nie są tacy sami jak ty. Roderick nie ma nawet połowy twojej siły i nigdy nie będzie umiał być bezwzględny. John ma trochę więcej energii od niego, ale nie interesuje się biznesem. Lubi pływanie, jazdę konną i inne tego typu zajęcia, no i książki. A co do Hope… hm, cóż, Hope jest bardzo uparta i nieposłuszna. Często się zastanawiam, kim będzie, kiedy dorośnie.

– Dlaczego mi to mówisz? – spytał Johann. – Minie jeszcze wiele lat, zanim dzieci zrozumieją, na czym polega biznes.

Hester w milczeniu bawiła się perłami.

– Przylatuję do domu i nagle wszyscy mnie oskarżają, że jestem złym ojcem – mruknął Johann. – O co chodzi?

– O to, że dziś po południu rozmawiałam z Johnem. W ogóle nie zdajesz sobie sprawy, jak wygląda sytuacja. John chce poznać swojego ojca, chce cię zrozumieć, chce być z tobą blisko. Jesteś dla niego tajemniczym nieznajomym, który czasem go pyta, co słychać w szkole, i to wszystko.

Zegar nad kominkiem wybił siódmą.

– Idź i porozmawiaj z nim, Johannie – powiedziała Hester. – Teraz, przed kolacją. Pokaż mu, że ci na nim zależy.

Johann popatrzył na nią.

– W porządku – odparł. – Skoro myślisz, że to niezbędne…

Opróżnił kieliszek, odstawił go na tackę i wstał.

♦ ♦ ♦

John siedział w dziecięcej bibliotece, czytając książkę o wyścigach samochodowych. Miał dziesięć lat i nosił brązowe sztruksowe ubranko – długą, luźną bluzę i szerokie spodenki do kolan. Kiedy Johann wszedł do pokoju, natychmiast się zerwał.

– Och! Dobry wieczór, proszę ojca!

– Witaj, John – powiedział Johann i przez chwilę spacerował po bibliotece, przyglądając się stojącym na półkach książkom.

John stał wyprostowany i nerwowo oblizywał wargi. Johann sięgnął po ilustrowaną książkę, którą syn czytał.

– Podobają ci się samochody?

– Tak, proszę ojca. Podobają.

– Hm, rozumiem.

Johann pochodził jeszcze trochę po pokoju, po czym przysiadł na brzegu szkolnej ławki Hope.

– Usiądź, John.

Chłopiec usiadł.

Johann odchrząknął i przez chwilę patrzył na niego, zastanawiając się, co powinien mu powiedzieć. Ten ostrzyżony na jeża chłopiec w brązowym ubranku, choć był jego synem, nie tylko wcale go nie przypominał, ale był także całkowicie odrębną osobą. Tak przynajmniej twierdziła Hester. W jakiś irracjonalny sposób odebrał to jako niewdzięczność ze strony syna, dowód braku szacunku.

– Twoja matka i ja myślimy, że powinniśmy porozmawiać – oświadczył i odchrząknął. – Twoja matka uważa, że chciałbyś mnie trochę lepiej poznać i dowiedzieć się, jak zarabiam na życie.

– Tak, proszę ojca – odparł cichutko John.

– Co powiedziałeś? – spytał Johann.

– Tak, proszę ojca. Chciałbym się tego dowiedzieć.

Johann poklepał syna po głowie.

– Lubisz szkołę? – spytał.

– Tak, proszę ojca.

– A z czego jesteś najlepszy?

– Ze śpiewu, proszę ojca.

Johann się zachmurzył.

– Ze śpiewu?

– Tak, proszę ojca. Jestem prymusem.

– Jesteś prymusem ze śpiewu?

– Tak, proszę ojca.

Johann westchnął.

– To chyba dobrze, ale powiedz mi, jaki jest pożytek ze śpiewania?

John opuścił powieki.

– Nie wiem, proszę ojca.

– Nie wiesz? Na pewno włożyłeś sporo pracy w swoje prymusostwo i nie wiesz, jaki jest z niego pożytek?

– Nie wiem, proszę ojca.

Johann wstał z ławki i znowu zaczął przechadzać się po bibliotece. Nie był w tym pokoju od kilku lat i czuł się w nim trochę niezręcznie. Ale to, co powiedziała Hester, bardzo mu doskwierało. Czuł, że musi coś z tym zrobić, lecz zupełnie nie wiedział, jak ma rozmawiać ze swoim synem.

– Za progiem tego domu jest wielki, wrogi świat – zaczął łagodnie.

Chłopiec przygryzł wargę i kiwnął głową, zerkając na ciemne okno biblioteki, jakby

spodziewał się zobaczyć za nim coś przerażającego.

– To wielki, wrogi świat – powtórzył Johann. – Musisz być przygotowany do zmierzenia się z nim. Powinieneś być silny i musisz znać się na tym, co robisz. To jedyny sposób, żeby przetrwać. Rozumiesz mnie? Musisz być twardy!

– Tak, proszę ojca.

Johann przez chwilę patrzył na niego, po czym spytał:

– A jak u ciebie z matematyką? Dobrze?

Johan znowu opuścił powieki.

– Całkiem dobrze, proszę ojca.

– „Całkiem dobrze” to jak dobrze? Które masz miejsce?

– Dziesiąte, proszę ojca.

– A ilu jest chłopców w klasie?

– Dziesięciu, proszę ojca.

Johann z irytacją zaczął stukać podeszwą w podłogę. Czemu ten chłopak jest taki głupi? Ma mądrą matkę i ojca, który jest geniuszem finansowym, więc dlaczego się tak głupio zachowuje? Poczuł, że ogarnia go gniew, ale udało mu się nad nim zapanować.

– Dziesiąty na dziesięciu to nie jest „całkiem dobrze”, John – powiedział spokojnie. – To katastrofa.

– Tak, proszę ojca.

– Hm… Skoro nie jesteś dobry z matematyki, to z czego? Oczywiście poza śpiewem. W tej twojej zakutej pałce muszą kryć się jakieś zdolności.

– Z wypracowań, proszę ojca.

– To znaczy z pisania? Dobrze piszesz?

– Tak, proszę ojca. Byłem drugi z wypracowania. Dostałem dwie złote gwiazdki.

– No, to już coś. A o czym pisałeś?

– „O moim ojcu”. Wszyscy pisaliśmy o swoich ojcach.

Johann pochylił się nad synem.

– Napisałeś wypracowanie o mnie?

– Wszyscy pisaliśmy, proszę ojca. To było wypracowanie „O moim ojcu”.

– Mogę je zobaczyć?

Chłopiec podszedł do małego brązowego tornistra, otworzył go i wręczył ojcu pojedynczą poliniowaną kartkę, pokrytą okrągłym ołówkowym pismem.

Mój ojciec jest bardzo bogaty i jest miliarderem z Cornelius Oil. Jest bardzo stary i nie ma dużo włosów. Lubię, jak wyjeżdża, bo wtedy mama pozwala nam jeść w oranżerii i czasem jemy gołembie.

Mój ojciec jest sórowy i musimy robić wszystko, co nam każe. Chciałbym mu kupić na urodziny ładną perukę, bo chociaż jest sórowy, to go kocham, bo to mój ojciec. Ma samolot. Nazywa się Ford Tri-Motor.

Johann przeczytał wypracowanie dwa razy, odłożył je na brzeg stolika i przez długą chwilę patrzył na nie w milczeniu. John stał, trzymając ręce za plecami, i czekał na ocenę. Wydawało się, że czas się zatrzymał.

W końcu Johann przełknął ślinę i spytał sztywno:

– Naprawdę tak czujesz?

Chłopiec nie zrozumiał, o co mu chodzi, ale kiwnął głową.

Johann się odwrócił. Nie wiedział, dlaczego wypracowanie syna tak bardzo go poruszyło. Wyjął chusteczkę i wysiąkał nos. Po raz pierwszy od lat był bliski płaczu.

– Podobało się ojcu? – spytał John. – Kiedy pisałem, że ojciec ma mało włosów, nie chciałem…

Johann potrząsnął głową.

– Podoba mi się – odparł lekko schrypniętym głosem. – Napisz coś więcej, kiedy będziesz miał czas. Chciałbym, żebyś był najlepszy w klasie.

Zmierzwił włosy syna, odwrócił się i wyszedł z biblioteki, zamykając za sobą drzwi.

♦ ♦ ♦

Na korytarzu czekał na niego Henry Keith.

– Poszło łatwiej, niż się spodziewałem – oświadczył.

Johann, nadal pogrążony w myślach, popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Co poszło łatwiej?

– Dotarcie do właścicieli akcji, proszę pana. Posadziłem przy tym naszych pracowników i poszczęściło się im.

– Tak?

Henry spojrzał na trzymaną w ręku listę.

– Wielu akcjonariuszy TransMechanic to małe prywatne spółki. Ale pakiet kontrolny w P and P Railroad ma spółka z Delaware, BM Industries.

– Kto nią zarządza?

– BM Industries kontroluje jeden człowiek. Nazywa się Daniel Forster.

Johann zatrzymał się w pół kroku.

Odwrócił się do Keitha.

– Jesteś tego pewien?

Henry popatrzył na niego.

– Tak, proszę pana. Przejrzeliśmy piętnaście różnych…

Johann opuścił wzrok na podłogę.

– Panie Cornelius, czy coś się stało?

Johann pokręcił głową.

– Nie – odparł ostro. – Nic się nie stało. Muszę porozmawiać z żoną.

♦ ♦ ♦

Trzy dni później Grover Bean wyszedł ze swojego pomalowanego na czerwono domu i postanowił przejść się łąką, która dochodziła do rzeki Asquahanna. Chciał sprawdzić, jak mają się jego młode czarno-białe fryzy. Trochę się ochłodziło, więc włożył kurtkę z grubego tweedu w zielone ciapki i owinął szyję włóczkowym szalikiem. Nad Rabbit Ridge wzeszło właśnie słońce i jego promienie przeświecały przez gałęzie drzew. Kiedy Grover szedł po trawie, w powietrzu unosiły się obłoczki jego oddechu.

Od domu do głównej bramy prowadziła wijąca się polna droga. Gdy Grover znalazł się w jej najwyższym punkcie, widział prawie całą dolinę. Na gałęziach drzew świergotały ptaki, a przesuwające się po niebie pierzaste obłoki ciągnęły za sobą białe grzywy. Grover

pogwizdywał fałszywie, powtarzając kilka taktów, które odbijały się echem od jesionowych zagajników.

Niewiele brakowało, a w ogóle nie zauważyłby samochodu Purvisa. Właśnie zaczął schodzić z górki i nagle z trawy wyskoczył zając. Grover wdrapał się nieco wyżej, chcąc zobaczyć jego kryjówkę. W tym samym momencie na przedniej szybie starego briscoe George'a Purvisa błysnęło słońce. Grover przystanął i mrużąc oczy, popatrzył w dół. Samochód stał na drodze bokiem, z otwartymi drzwiami.

Grover szybko przebiegł po zmierzwionej trawie. Nie widział wnętrza samochodu, bo światło odbijało się od szkła, ale gdy podszedł bliżej, dostrzegł, że w środku siedzi George Purvis. Podszedł jeszcze bliżej i zawołał:

– George!

Podeszwy jego butów trzeszczały na popiele, który zimą wysypał na drogę, aby jego gruchot nie ugrzązł w błocie. Kiedy znalazł się przy drzwiach, zobaczył na popękanych skórzanych siedzeniach krew. Było jej tak dużo, że ściekała z przednich foteli, tworząc na drodze rdzawą kałużę.

Grover nie miał ochoty oglądać trupa George'a Purvisa. Poszedł do sklepu Martina

Levona i stamtąd zadzwonił do biura szeryfa hrabstwa Asquahanna. Martin stał obok, ocierając w ścierkę umączone ręce.

W końcu Grover odwiesił słuchawkę.

– Szeryf tu przyjedzie? – spytał Martin.

– Musi – odparł farmer. – Ale dotrze tu dopiero za godzinę. Tymczasem mamy niczego nie dotykać.

– Wcale nie zamierzałem – odparł Martin. – Nie znoszę widoku krwi.

– Ja też nie – powiedział Grover.

Wyszedł na chodnik przed sklepem i wciągnął w płuca zimne poranne powietrze. Martin ruszył za nim, nadal wycierając ręce.

– Jak myślisz, kto mógł to zrobić? – spytał. – Nie wydaje ci się, że to robota tych ludzi od farbiarni? Mogli go załatwić, żeby im nie bruździł.

Grover zacisnął ręce w pięści i popatrzył na pokrytą błotem ulicę.

– Nie wiem, Martin. Zaczynam żałować, że w ogóle sprzedałem tę ziemię. Tylko sprowadziła nieszczęście.

Martin się skrzywił.

– Chyba można tak powiedzieć. A jak mawiał mój dziadunio, z nieszczęściami jest to

nieszczęście, że rodzą jeszcze większe nieszczęścia.

Grover popatrzył na niego.

– Pamiętam twojego dziadunia – mruknął.

♦ ♦ ♦

Kiedy Daniel Forster mył ręce w toalecie klubu absolwentów Harvarda przy Zachodniej Czterdziestej Czwartej Ulicy w Nowym Jorku, wszedł do niej Walter Grossmith, absolwent z 1907 roku. Stanął przy umywalce obok Forstera, zdjął marynarkę i rozpiął spinki koszuli. Odbicia obu mężczyzna widniały w lustrach nad umywalkami – odbicia dwóch gładko ogolonych ludzi sukcesu, którzy zbliżali się do wieku średniego, czerpiąc pewność siebie z sowitych wynagrodzeń i znajomości wśród ludzi z towarzystwa.

Grossmith namydlił ręce i zaczął je myć.

– Przepraszam pana, ale czy my się przypadkiem nie znamy? – spytał.

Forster przestał wycierać ręce i popatrzył na niego ze zdziwieniem. Miał mnóstwo znajomych i krewnych, ale twarz tego mężczyzny nie kojarzyła mu się z żadnym imieniem czy nazwiskiem.

– Wiem – powiedział nagle Grossmith. – Daniel Forster, facet od kolei, prawda? Proszę mnie poprawić, jeśli nie mam racji.

– Tak – potwierdził Forster. – Ma pan rację.

– Jestem Walter Grossmith, pracuję dla Departamentu Handlu. Proszę wybaczyć, że nie podaję dłoni, ale są mokre.

– Miło mi pana poznać – odparł Forster.

– Nie zdawałem sobie sprawy, ile trzeba energii, żeby kierować linią kolejową, dopóki nie wybrałem się w objazd pociągiem Union Pacific – perorował dalej Grossmith. – To było niesamowite. I bardzo ciekawe. Zobaczyłem cały ten kram od kuchni, czyszczenie kotłów, układanie rozkładów jazdy…

– Tak – mruknął Forster i odwrócił się do służącego, który pomagał mu włożyć marynarkę.

– Ale przecież pan raczej nie zajmuje się takimi dyrdymałami, prawda? – mówił dalej Grossmith. – Steruje pan tym wszystkim zza biurka, zgadza się?

Forster przygładził włosy szczotką.

– Zgadza się – odparł. – Mam też inne zajęcia.

– Mój dziadek pracował na kolei w latach siedemdziesiątych. Sadzał mnie na kolanie i opowiadał o tamtych czasach. Często musieli

zwalniać albo się zatrzymywać, bo bizony blokowały tory.

Forster popatrzył niecierpliwie na zegarek.

– A wiedział pan, że August Busch kazał zainstalować pipę z piwem w każdym przedziale swojego prywatnego wagonu? – spytał Grossmith, mydląc energicznie ręce. – No i popatrz pan, w dzisiejszych czasach już tego nie ma. Co komu przeszkadzały stare prywatne wagony z lat dziewięćdziesiątych?

Forster wzruszył ramionami.

– Wciąż jest ich kilka. Od Pullmana zawsze może pan wynająć prywatny wagon.

– A ile by coś takiego kosztowało? – zapytał Grossmith.

– Hm, trudno powiedzieć – odparł z rozdrażnieniem Forster. – Musiałby pan zapłacić za wynajęcie wagonu oraz za osiemnaście biletów pierwszej klasy, bo właśnie tylu pasażerów się w nim mieści. Zależy też, jak daleko chce pan jechać i którymi liniami. A teraz pan wybaczy…

– Nie myślałem o tym, żeby jechać w jakieś konkretne miejsce – przerwał mu Grossmith. – Po prostu się zastanawiałem, czy takie rzeczy nadal są możliwe.

Daniel Forster znów spojrzał na zegarek.

– Oczywiście, że możliwe – odparł. – Ale teraz naprawdę muszę już iść.

Walter Grossmith otrząsnął z wody ręce i odwrócił się do niego, więc Forster znów znieruchomiał. W zachowaniu tego mężczyzny było coś przykuwającego uwagę – sprawiał wrażenie, że działa według jakiegoś planu. Dan Forster zawsze wyczuwał takie rzeczy i wiele razy mu to pomogło. Gdy wchodził na zebranie zarządu linii kolejowych, zawsze instynktownie wiedział, kiedy zapowiada się ciężka walka o władzę. Nigdy nie opuszczała go świadomość, że Johann Cornelius nieustannie czai się za jego plecami, gotów odebrać mu wszystko, co dał. Oczywiście z procentem.

Miał trzydzieści trzy lata i mówił z południowym akcentem. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o inteligentnej twarzy i niebieskich oczach, które Betty, jego żonie, przypominały Toma Mixa. Chociaż nosił eleganckie ciemne garnitury z kamizelkami i śnieżnobiałe koszule z wywiniętymi kołnierzykami, wielu jego znajomych uważało, że wyglądałby znacznie lepiej w stroju do jazdy konnej i dużym białym kapeluszu.

– Panie Grossmith, miło mi było pana poznać, ale mam teraz lunch z moimi wspólnikami

i naprawdę muszę już iść – powiedział. – Może kiedy indziej uda się nam porozmawiać o kolejach, jeśli jest pan tu stałym gościem.

Grossmith wytarł ręce. Był niskim czterdziestolatkiem o pucołowatej twarzy z kartoflanym nosem, przypominał Hueya Longa.

– W porządku – odparł i po chwili dodał: – Czy wyświadczyłby mi pan pewną przysługę?

– Jaką mianowicie?

– Proszę mi powiedzieć, co pan myśli o rabatach na przewóz węgla koleją?

Daniel Forster wzruszył ramionami.

– Przewóz węgla koleją? Rabatów udziela się tylko w przypadku dużych, regularnych przewozów, na przykład dla Standard Oil i innych spółek. Ale najpierw musiałby pan porozmawiać z jednym z naszych menedżerów od przewozów cargo.

Grossmith włożył marynarkę, przejechał szczotką po swoich krótkich kręconych włosach, ujął nowego znajomego pod rękę jak starego przyjaciela i wyszedł z nim do holu klubu. Daniel Forster był zbyt uprzejmy, by uwolnić się z uścisku, ale czuł się nieco zażenowany.

– Zastanawiam się, czemu jedni dostają preferencyjne stawki, a inni są wycinani –

powiedział Grossmith. – Dlaczego nie stosuje się tej samej zasady wobec wszystkich?

– Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie, nie znając szczegółów – odparł zirytowany Forster. – Niech pan posłucha, naprawdę musi pan…

– Och, kogo ja widzę! – zawołał wesoło Grossmith na widok małego człowieczka z zadbanym wąsikiem, ubranego w garnitur z tenisu. – Przecież to mój stary kumpel!

Puścił ramię Forstera i wyciągnął rękę.

– Cześć, Walterze.

Wymienili uścisk dłoni.

– To Dan Forster. Znasz Dana Forstera, faceta od kolei? – zapytał Walter Grossmith.

Mały człowieczek uściskał rękę Forstera, który uśmiechnął się uprzejmie.

W tym samym momencie stojący w najciemniejszym zakątku holu mężczyzna uniósł ukryty pod połą płaszcza aparat fotograficzny i zrobił im zdjęcie, błyskając fleszem. Zaraz potem szybko wyszedł z klubu i zniknął na ulicy.

– Co to było, do diabła? – zapytał Dan Forster. – Co się tu wyprawia?

Mały człowieczek zniknął równie szybko jak fotograf. Grossmith ujął Forstera za ramię

i powiedział cichym głosem:

– Bardzo nam przykro z powodu tego, co się stało, ale wygląda na to, że popełnił pan bardzo głupi błąd.

– Błąd? Jaki błąd? Słuchaj pan… co to było?

– Niech się pan uspokoi, panie Forster. Nie ma powodu do zdenerwowania.

– O czym pan mówi, do cholery? Nie można robić ludziom zdjęć bez pozwolenia! Każę pana wyrzucić z klubu i wpisać na czarną listę!

– Panie Forster, proszę się uspokoić – uciszył go Grossmith. – Przecież to nie ja zrobiłem panu zdjęcie, prawda?

Forster złapał go za połę marynarki i przyciągnął do siebie. Kilku członków klubu odwróciło się i popatrzyło na nich ze zdziwieniem.

– Jeśli mi zaraz nie wyjaśnisz, co się tu wyprawia, rozwalę ci łeb – syknął Forster. – Gadaj!

Grossmith nawet na niego nie spojrzał.

– Popełnił pan głupi błąd, panie Forster. Pamięta pan ten stary skandal w Union Pacific związany z Crédit Mobilier? To może być tak samo nieprzyjemne jak tamto. Albo nawet dwa razy bardziej nieprzyjemne.

Forster poczerwieniał z gniewu.

– Kto to był? – spytał. – Ten twój kumpel? Kto to był?

– Mój kumpel? – powtórzył Grossmith. – Nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy w życiu nie widziałem tego faceta, chyba że w gazetach.

– Podałeś mu rękę! Tylko dlatego zrobiłem to samo!

Grossmith oderwał jego palce od klapy swojej marynarki.

– Nie, panie Forster, myli się pan. Wcale nie podałem mu ręki. Czemu miałbym podawać rękę takiemu typowi? Jestem wpływowym człowiekiem i muszę dbać o swoją reputację. Nie mogę podawać ręki takiemu facetowi, zwłaszcza tutaj. Co by na to powiedzieli ludzie?

Forster wziął głęboki oddech.

– Znakomicie – wycedził. – Wszystko zaczyna do siebie pasować. Powiedz mi tylko, kto to był, żebym wiedział, z czym będę musiał się zmierzyć.

Grossmith znów ujął go pod ramię i zaprowadził do sali restauracyjnej. Minęli paru znajomych Forstera, którzy rzucili: „Cześć, jak się masz, Dan!”.

Daniel Forster uśmiechnął się do nich ze skrępowaniem i skinął głową.

– Wszystko może się odbyć bezboleśnie. Musi pan tylko okazać odrobinę wyczucia i rozsądku – poradził mu Grossmith.

– Słucham – warknął Forster.

– A więc tak… Wygląda na to, że razem z P and P Railroad miesza pan trochę szyki Kruyper Dye Works w Robinstown, w Pensylwanii.

Forster zatrzymał się i popatrzył na niego. Wiedział już, co go czeka. Było to tak oczywiste, jakby stał na drodze lokomotywy P & P wyjeżdżającej zza Pensylwańskiej Podkowy, zakrętu w górach Allegheny, i w żaden sposób nie mógł zejść jej z drogi.

Grossmith mówił dalej:

– W pewnych kręgach na pewno by doceniono pańską dobrą wolę, gdyby pogadał pan po cichu z ludźmi od przewozów cargo w P and P i przekonał ich, że powinni zastanowić się nad rabatem na produkty Kruypera. Przecież nie chcemy, żeby amerykański handel doznał jakiegoś uszczerbku. I nie chcemy stawać na drodze postępowi.

– Czy to wszystko? – spytał Forster.

Grossmith uśmiechnął się dobrodusznie.

– To by się panu podobało, prawda? Ale obawiam się, że jest coś jeszcze… Myślę, że powinien pan pozbyć się akcji TransMechanic

i przekazać je pewnemu trustowi, w dodatku powinien pan to zrobić za śmiesznie niską cenę.

– A jeśli ja wcale nie chcę się ich pozbywać?

Grossmith zachichotał.

– Forster, jesteś teraz pan jak ślimak bez skorupy. Nowojorskie piśmidła będą miały niezłą uciechę, kiedy im przekażemy pana zdjęcie z odpowiednim podpisem.

– Jakim podpisem?

– „Właściciel pensylwańskich kolei kumpluje się z gangsterem”.

Forster wysunął krzesło i usiadł. Do stolika podszedł kelner i zapytał:

– Czy mogę przyjąć zamówienie?

– Proszę Sidecar[6]. Ten pan nie zostaje.

Grossmith machnął ręką.

– Ależ zostaję, zostaję. Dwa razy to samo.

– No dobra – powiedział po chwili Forster. – Co to za gangster?

Walter Grossmith rozsiadł się wygodnie i sięgnął po papierosa. Zanim odpowiedział, przypalił go i zaciągnął się dymem.

– Facet, któremu uścisnął pan tak serdecznie dłoń w holu, to Jackie Morello. Nie jest zbyt wielką figurą wśród gangsterów, ale wszyscy nowojorscy gliniarze doskonale wiedzą, że to bliski kumpel Franka Gizziego. A Gizzi, jak pan

zapewne wie, był wplątany w sprawę nielegalnych przerzutów wysokoprocentowych alkoholi przez granicę stanu i przekupywał urzędników Baugh-Menominee Freight Corporation.

Forster wbił wzrok w podłogę.

– Mów pan dalej – mruknął.

Grossmith strzepnął popiół do popielniczki.

– A co tu dalej mówić? Pan Cornelius miał wobec pana zobowiązania z przeszłości, ale uważa, że dał już panu wszystko, o co pan prosił. Wszelkie dalsze żądania z pańskiej strony, wtrącanie się w jego życie albo interesy nie ma sensu. Radzę panu zająć się swoimi sprawami, zapomnieć o tym, co się stało, i żyć długo i szczęśliwie. Jest pan żonaty?

– Tak – odparł Forster. – Mam też dwoje dzieci.

– Doskonale – odparł Grossmith. – Bardzo lubię załatwiać interesy z ludźmi, którzy obrośli w rodzinkę. Nie trzeba im niczego mówić dwa razy.

– Czy to groźba? – zapytał Forster. – Na Boga, jeśli mi grozisz…

Walter Grossmith uspokajającym gestem położył rękę na jego ramieniu.

– Musi pan zapłacić za kłopoty, jakie sprawił panu Corneliusowi, Forster. I niech pan nie kombinuje, jak sobie odbić straty, bo to się panu nie uda. Każdy ma określoną wytrzymałość. Kiedy zaczął pan te swoje zagrywki z P and P, wytrzymałość pana Corneliusa się skończyła. No dobrze, teraz możemy sobie pogadać o kolejach i zapomnieć o wszystkich nieprzyjemnościach.

Daniel Forster wstał i popatrzył na niego z obrzydzeniem.

– Niech mnie szlag trafi, jeśli kiedykolwiek jeszcze się do ciebie odezwę, Grossmith. Niech mnie szlag, jeśli się nie postaram, żebyś dostał to, na co zasługujesz. Nieważne kiedy i nieważne jak.

Grossmith uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Może nie zasługuję na zbyt wiele, ale chyba powinienem dostać medal za takt – stwierdził.

1934

DAVID BOOKBINDER TRAFIA DO CORNELIUS OIL PO AFERZE U COLTONA

Pan David Bookbinder, prezes zarządu Colton Oil do walnego zgromadzenia akcjonariuszy dwa tygodnie temu, przeniósł swój złoty uśmiech do Cornelius Oil. Pan Johann Cornelius jest niezwykle zadowolony z pojawienia się nowego współpracownika. Dobrze poinformowane źródła donoszą, że Bookbinder, lat 47, dawniej pracujący dla Cullings Maidment Sparks, wszedł w posiadanie znacznej liczby akcji Cornelius Oil oraz otrzymał wynagrodzenie, za które każdy z ochotą

zgodziłby się ślęczeć nad kodeksami nawet przez trzy wieki.

„New York Daily Post”
17 sierpnia 1934 r.

Tego samego roku Dutch Schultz, który od dwudziestego piątego stycznia 1933 roku uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, udał się do biura komisarza policji Stanów Zjednoczonych w Albany, Lestera T. Hubbarda, i oddał się w ręce władz. W oświadczeniach dla prasy nie było jednak wzmianki, że przyjechał z wyspy Lynwood rolls-royce'em Johanna Corneliusa, nie ujawniono też, gdzie ukrywał się przez niemal dwa lata.

Był to zmierzch ery prohibicji i koniec działalności gangsterów oraz reketierów, którzy się na niej wzbogacili. Agenci federalni zastrzelili Johna Dillingera, Floyda Śliczną Buźkę, Homera van Metera i pół tuzina przestępców mniejszego kalibru. W tym samym dniu, w którym Schultz

zgłosił się na policję, Lester M. Gillis (lepiej znany jako Śliczny Nelson) został znaleziony martwy w przydrożnym rowie w Niles Center, w Chicago. W jego ciele tkwiło siedemnaście kul i wszystkie gazety pisały o „krwawych porachunkach" między gangsterami.

Komisarz Hubbard nie rozpoznał Schultza, gdy tamten przyszedł się poddać, i musiał skorzystać z pomocy adwokata bandyty, by odświeżyć sobie pamięć. Choć 1933 był zaledwie rok temu, minęła cała epoka. Teraz był rok 1934, który rozpoczął się z Mae West w filmie *Nie jestem aniołem* i Katharine Hepburn w *Małych kobietkach*. Tramwaje ustąpiły miejsca autobusom na dziewięciu nowojorskich liniach, w tym na Madison Avenue, Czwartej Ulicy i Lexington Avenue. Pani Anna Antonio, dwudziestoośmioletnia matka trójki dzieci, która zamordowała męża dla pięciu tysięcy dolarów, na jakie opiewało jego ubezpieczenie na życie, została stracona na krześle elektrycznym w Sing-Sing. „Nie boję się śmierci", powiedziała. Był to rok, który zaczął się ostrą zimą w Nowym Jorku, a latem w Oklahomie temperatura sięgała czterdziestu siedmiu stopni. Na Zachodzie tysiące ludzi zostało bez dachu nad głową i środków do życia. John Jacob Astor ożenił się z Ellen French,

policjanci ranili pięćdziesięciu strajkujących w Minneapolis, a prezydent Roosevelt popłynął na Hawaje łowić mieczniki. Huey Long[7] zażartował, że kupił sobie jedwabną koszulę z takim wysokim kołnierzykiem, że musi stawać na pniaku, żeby splunąć.

W środę dwudziestego trzeciego maja teksańscy rangersi i policjanci zastawili na obrzeżu Gibsland pułapkę na Clyde'a Barrowa i Bonnie Parker i zamienili ich w „zakrwawione strzępy mięsa".

Jakieś czterdzieści mil dalej na zachód, w Shreveport, na Jewella Road, Johann Cornelius stał tego dnia przy zgliszczach pierwszej stacji paliwowej Cornelius Oil. Popiół ubrudził jego biało-brązowe buty i mankiety kremowych lnianych spodni, ale nie zwracał na to uwagi. Stał z rękami w kieszeniach marynarki, wpatrzony w zwęglone belki i powykręcane metalowe elementy. Nieopodal, na osmalonym chodniku, Henry Keith rozmawiał z naczelnikiem straży pożarnej miasteczka.

Niebo było niemal zupełnie czyste, jedynie nad Cross Lake wisiało kilka pierzastych chmur. Chociaż dochodziło dopiero wpół do dwunastej, wszyscy wiedzieli, że zapowiada się kolejny nieznośnie gorący dzień.

Kartki księgi handlowej stacji jedna po drugiej odrywały się od spalonych okładek i przefruwały nad drogą.

– Henry – powiedział po chwili Johann.

Choć jego głos był bardzo cichy, Henry natychmiast przeszedł na palcach po sadzy i popiele i stanął obok swojego chlebodawcy, unosząc nogawki spodni kilka cali nad ziemią.

– Zmoczyłeś się? – spytał ironicznie Johann.

Henry poczerwieniał.

– Nie, proszę pana.

– Więc nie stój i nie gap się, jakbyś się zmoczył. Jeśli będziesz potrzebował paru centów na wyczyszczenie spodni, z przyjemnością ci pożyczę.

Henry opuścił spodnie.

– Dziękuję, proszę pana.

Johann przeszedł kilka kroków po pogorzelisku.

– Jak myślisz, kto to mógł być?

– Nie rozumiem, proszę pana…

Johann ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

– Kto zapalił pochodnię?

– Myśli pan, że to podpalenie?

– A ty nie?

Henry rozejrzał się niespokojnie.

– Nie jestem pewien, proszę pana.

Johann powoli pokręcił głową. Na policzku miał smugę sadzy.

– Ta stacja spłonęła, bo ktoś chciał, żeby spłonęła, Henry. Spłonęła, bo ktoś chce, żebyśmy przestali sprzedawać benzynę. Ktoś chce zatrzymać rynek benzyny dla siebie.

– Naprawdę pan tak myśli?

– Nie mówiłbym tego, gdybym naprawdę tak nie myślał. Jezu Chryste, Henry, gdybym był na miejscu tych ludzi, prawdopodobnie zrobiłbym to samo.

Henry strzepnął popiół z buta. Miał nieszczęśliwą minę.

– Mógłbym to zlecić paru detektywom, proszę pana.

Johann zmierzył go wzrokiem.

– Detektywi nam w niczym nie pomogą. Potrzebujemy kogoś z głową. Kogoś, kto zna rynek stacji benzynowych lepiej niż my. Ja się w tym zupełnie nie orientuję.

– Nie powiedziałbym tego, proszę pana.

– Jedyny sposób, żeby znaleźć się na szczycie, to dokładnie wiedzieć, na czym się znasz. Znam się na stacjach benzynowych tak samo jak na macaniu kur.

Podszedł do nich naczelnik straży pożarnej. Miał ogorzałą twarz i szczeciniaste wąsy, a na

nogach wielkie żółte kalosze.

– Panie Cornelius…

Johann popatrzył na niego.

– Przesialiśmy już większość pogorzeliska, proszę pana.

– I co znaleźliście?

– Nie ma żadnych dowodów na to, że to podpalenie, proszę pana, ale nie ma też żadnych dowodów na to, że to nie podpalenie.

– Rozumiem.

– Myśli pan, że zrobiono to celowo?

Johann trącił zgliszcza butem.

– Jestem przekonany, że zrobiono to celowo. Pozostaje tylko pytanie, kto to zrobił?

Strażak zdjął kask i grzbietem ręki otarł czoło.

– Niech pan się zastanowi, kto pana nie lubi – powiedział.

Johann pokręcił głową.

– Setki ludzi – stwierdził.

Strażak postał jeszcze przez chwilę przy zgliszczach, pociągając nosem, a potem wrócił do swojego świeżo pomalowanego plymoutha PE DeLuxe. Johann i Henry ostrożnie przeszli przez pogorzelisko. Kiedy dotarli do chodnika, Johann polecił swojemu sekretarzowi:

– Rozpuść wiadomość.

Henry obciągnął wymiętą marynarkę.

– Wiadomość, proszę pana? – powtórzył ze zdziwieniem.

– Dobrze usłyszałeś. Rozpuść wiadomość, że ten, kto miałby ochotę pomóc nam w sprawie stacji benzynowych, może spodziewać się dobrej pensji do końca życia.

Henry zapisał sobie to polecenie.

– Tak jest, proszę pana.

Johann poklepał go po plecach, zbyt mocno, aby mogło to sprawić przyjemność.

– Postaraj się dopaść tego drania, kimkolwiek jest, i postaraj się go załatwić raz na zawsze.

♦ ♦ ♦

Gdy koło ósmej jadł kolację w swoim hotelowym apartamencie w Shreveport, zadzwonił telefon. Słuchawkę podniósł Henry, bo Johann miał usta pełne terriny z kaczki. Pokój był ozdobiony żółtymi kwiatami i szkicami rozlewisk Luizjany, przedstawionych z nieco depresyjnym realizmem.

– Tak? – zapytał Henry.

Johann popił terrinę łykiem sauternes. Uznawał tylko wytrawne wina, a to było najlepsze i najwytrawniejsze, jakie mógł mu zaproponować miejscowy hotel.

– Chyba sobie żartujesz – powiedział do telefonu Henry i po chwili spytał: – Kiedy się to stało?

– Kto żartuje? – spytał ostro Johann. – Co się dzieje, do diabła?

Henry słuchał jeszcze przez chwilę, po czym zakrył ręką mikrofon słuchawki.

– To nasze biuro w Austin, proszę pana. Dostali właśnie zgłoszenie od rangersów z Teksasu i miejscowej policji, że trzy nasze stacje paliwowe poszły z dymem. W Tyler, Waco i Temple, proszę pana.

Johann odepchnął stół na kółkach i szybko podszedł do telefonu, ocierając usta serwetką. Zabrał słuchawkę Henry'emu i spytał głośno:

– Kto mówi?

– Nazywam się Irving, proszę pana – odpowiedział zdenerwowany głos po drugiej stronie linii.

– Co się dzieje, do diabła?

– Właśnie dostałem wiadomość, proszę pana. Trzy stacje benzynowe spalone, jeden człowiek z personelu zabity. Dwie osoby zostały ciężko poparzone, kiedy próbowały gasić płomienie. Strażacy mówią, że to prawie na pewno celowa robota, proszę pana.

– Jezu, to już cztery stacje w dwa dni!

Irving był załamany.

– Tak, proszę pana, zgadza się.

– Irving, na każdej stacji, którą otworzyliśmy, postawcie straż – powiedział ponuro Johann. – Strażnicy mają być uzbrojeni. Gdyby ktoś próbował jakiegoś numeru, mają strzelać. Do każdego, kto się na to poważy. Rozumie pan?

– Tak, proszę pana. Już się robi, proszę pana.

Johann odłożył słuchawkę, przetarł powieki i powiedział do Henry'ego:

– Podaj mi mapę i listę stacji.

Odsunął nakrycie, złotym piórem zaznaczył zniszczone stacje, po czym usiadł.

– Szuka pan jakiegoś powiązania? – spytał Henry.

Johann pokręcił głową.

– Ten, kto podpala nasze stacje benzynowe, nie robi tego według żadnego klucza, kolejność podpaleń jest przypadkowa. Do diabła, chciałbym wiedzieć, kto to taki.

– Rozpuszczę wiadomość, proszę pana. Może znajdzie się informator.

Johann pochylił się i ponownie spojrzał na mapę.

– Nie liczyłbym na to – mruknął. – Ten człowiek jest bardzo pewny siebie.

– Myśli pan, że spróbują z innymi stacjami? Może tylko chcą nas ostrzec?

Johann popatrzył na niego ponuro. Tego roku kończył sześćdziesiąt jeden lat i wyglądał na tyle. Miał wyraźne kurze łapki w kącikach oczu, a jego rzadkie żółtawe włosy jeszcze bardziej się przerzedziły i posiwiały. Był teraz jednym z najbardziej autokratycznych miliarderów w kraju i wciąż poszerzał swoje imperium, kupując firmy w przemyśle chemicznym, stoczniowym i innych działach gospodarki. Jego dynamicznie działające przedsiębiorstwa oplatały coraz gęstszą siecią Amerykę. Wykorzystując niedomogi gospodarki i powszechne zniechęcenie wywołane kryzysem, inwestował we wszystko, ponosząc przy tym minimalne koszty. Przed rokiem 1929 i krachem giełdowym zgromadził taki ogromny kapitał, że Cornelius Oil przetrwało najgorsze. Udało mu się to po części dzięki niechęci do wykorzystywania bardziej skomplikowanych instrumentów finansowych, a po części dzięki temu, że bardziej wierzył sobie niż innym. Niezależnie od wszystkiego zachował swój majątek, choć nieco uszczuplony, gdy tymczasem inni stracili wszystko. Kupował sieci spożywcze, stacje benzynowe, hotele i fabryki. Miał dwadzieścia

cztery stacje w Teksasie, Luizjanie, Alabamie i Missisipi. Jednak najwyraźniej ktoś zauważył, co się dzieje, i bardzo mu się to nie podobało.

Johann z wiekiem złagodniał. Nie był to już ten sam magnat przemysłowy o kamiennej twarzy, który zbudował Cornelius Oil. Nie był też tym samym człowiekiem, który kupił Robinstown, aby zedrzeć żyzną glebę i dokopać się do węgla. Nadal czuł się w pełni sił i nadal chciał rozwijać swoje imperium, ale zaczął też uświadamiać sobie cenę, jaką musiał za to płacić. Czasem godzinami siedział przy biurku, patrząc na spływający po oknach swojego gabinetu deszcz, i rozmyślał nad starą prawdą, że wszystko – ropa, pieniądze czy miłość – ma swoją cenę.

Dopiero teraz, mając blisko sześćdziesiąt jeden lat, zaczął zdawać sobie sprawę, do czego doprowadził, izolując się od ludzi. Nikogo nie potrafił obdarzyć uczuciem, nawet Hester. Po raz pierwszy od czasów Amarero poczuł rozpaczliwą potrzebę miłości. Był jak marmurowy posąg, u którego stóp składano kwiaty i ofiary. Na jego zimnych wargach składano pocałunki, ale on nie umiał odwzajemnić tych dowodów uczucia. Cóż z tego, że miał czterysta milionów dolarów, skoro czuł się tak straszliwie samotny?

– Martwi się pan? – spytał Henry.

Johann odchrząknął i pokręcił głową.

– Nie w tej chwili. Ale jeśli tak będzie dalej, chyba zacznę się martwić. Dzisiaj palą moje stacje benzynowe. Co będzie jutro? Jeśli uda im się w ten sposób przepędzić nas z detalu, wkrótce zaczną przepędzać nas z hurtu, a potem wysadzać w powietrze nasze szyby naftowe.

Henry zrobił smutną minę.

– Do cholery, czemu spuszczasz nos na kwintę?

– Myślę, że nasza sytuacja to tłumaczy, proszę pana.

– Sytuacja nigdy nie tłumaczy obnoszenia się z żałobą. Do diabła, co mamy zrobić, żeby się dowiedzieć, kto za tym stoi?

W tym momencie zadzwonił telefon. Henry zamrugał i wyprostował się. Johann rzucił mu spojrzenie mówiące: „Odbierz, pospiesz się”. Henry podniósł słuchawkę i zapytał:

– Tak?

Odpowiedziała mu cisza. Henry czuł, że ktoś jest po drugiej stronie linii, jednak ten ktoś najwyraźniej nie miał ochoty się ujawniać.

– To nie pan Cornelius, prawda? – spytał w końcu jakiś nieznajomy głos.

– Jestem jego sekretarzem. Pan Cornelius nie może teraz podejść do telefonu.

Znów przez chwilę trwała cisza.

– A czym się zajmuje? Polewa wodą z wiadra swoje stacje?

Henry zmarszczył brwi.

– Kto mówi? – warknął.

Głos odpowiedział spokojnie:

– Wkrótce się dowiesz. Przecież chcesz tego, prawda?

– Ej, ty, jak ci tam… – wycedził ze złością Henry. – Jeśli masz jakieś informacje na temat stacji, to gadaj. Tak będzie lepiej dla ciebie.

– A jeśli nie mam ochoty? – spytał głos.

Henry nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Zakrył mikrofon i szepnął do Johanna:

– To jakiś facet, który wie coś o podpalaniu naszych stacji.

– Ile chce? – spytał Johann, unosząc brew.

– Nie spytałem go o to.

– No to spytaj! Jak myślisz, po co dzwoni?

Henry Keith odsłonił słuchawkę i zapytał:

– Ile masz zamiar sobie zaśpiewać?

Zapadła kolejna cisza. W końcu głos rzekł:

– Jestem otwarty na propozycje. Spytaj pana Corneliusa, jeśli tam jest, czy pamięta obrazek Loch Lomond.

– Co? O czym ty gadasz? Nie mogę spytać o coś takiego.

– Spytaj.

Henry odłożył słuchawkę.

– Przepraszam, ale on mówi, żebym zapytał, czy pamięta pan obrazek Loch Lomond.

Johann właśnie obliczał, ile go będą kosztować cztery nowe stacje benzynowe. Wzruszył ramionami.

– Skąd, do diabła, mam to pamiętać?

Henry wrócił do telefonu.

– Przykro mi, ale nie pamięta tego obrazka. Czemu po prostu nie podasz swojego nazwiska, numeru…

– Spytaj, czy pamięta gwizdek kolejarski. Chłopca i gwizdek kolejarski.

– Proszę pana, to jakiś wariat – powiedział Keith do Corneliusa. – Teraz chce wiedzieć, czy pamięta pan gwizdek kolejarski. Czy mam mu powiedzieć…

Kiedy Johann podniósł głowę znad map i dokumentów, jego twarz wyglądała jak szara, zmięta płachta wyjęta z pralki.

– Gwizdek kolejarski? – powtórzył szeptem.

Henry kiwnął głową. Johann wstał, przeszedł przez pokój, wyjął słuchawkę z ręki sekretarza i powiedział prawie niesłyszalnym głosem:

– Halo?

Głos po drugiej stronie linii zawołał z wyraźną satysfakcją:

– Ach! Więc pamięta pan!

– I co z tego? – spytał Johann.

– Nic specjalnego. Ale chyba warto byłoby się spotkać. Powiem panu, gdzie ma pan przyjść.

– Spotkajmy się u mnie w hotelu. Shreveport Inn, pokój pięćset jeden.

– Nie. Ludzie, którzy sprawiają panu kłopoty, wiedzą, gdzie pan jest. Dzisiaj był pan na Jewella Road, oglądał swoją spaloną stację.

– Oczywiście, że tam byłem, do cholery. Każdy głupi by się tego domyślił.

– To nie ma znaczenia – odparł głos. – Nie zamierzam spotykać się z panem w Shreveport Inn. Przy głównym wejściu do parku Querbes jest ławeczka. Spotkam się tam z panem jutro o dziesiątej rano. Chcę, żeby był pan sam.

Johann przez chwilę tarł czoło, po czym spytał:

– Jak pana poznam?

Głos odparł:

– Ja pana poznam. Jest takie stare łotewskie przysłowie: „Przyjaźń zbliża, małżeństwo jeszcze bardziej, ale wspólny sekret jest jak braterstwo krwi”.

Po tych słowach połączenie zostało przerwane. Johann przez chwilę trzymał słuchawkę, a potem ostrożnie odłożył ją na tani lakierowany stolik, jakby była cennym rodzinnym klejnotem.

– Dobrze się pan czuje? – spytał zaniepokojony Henry.

♦ ♦ ♦

Hester pozostała na wyspie. Podczas weekendu wypadały urodziny Hope i w sobotę miała pojawić się cała czereda jej szkolnych kolegów i koleżanek, aby uczcić tę okazję ponczem z szampana i potańcówką na molo. Roderick był w college'u, ale John zwolnił się na tydzień ze szkoły i Stainer, który miał siostrę blisko New Platz, przywiózł go do domu kasztanowym studebakerem, kupionym przez Johanna dla służby.

John skończył już siedemnaście lat i był w doskonałej formie fizycznej. Przykładał się teraz bardziej do nauki, ale najlepsze wyniki osiągał w biegach sztafetowych i rzucie oszczepem. Kiedy przyjeżdżał na wyspę, zawsze spędzał trochę czasu na wiosłowaniu. W dniu, w którym Johann oglądał spaloną stację

benzynową w Shreveport, płynął rzeką, pracując długimi, miarowymi pociągnięciami wioseł. Hester i Hope stały na pomoście, przyglądając mu się ciekawie. Było dość wietrznie i Hester musiała przytrzymywać swój szeroki słomiany kapelusz ozdobiony długą szarfą z niebieskiego szyfonu. Drugą dłoń opierała na ramieniu córki.

– Świetnie wiosłuje, prawda? – spytała retorycznie.

Niedawno skończyła czterdzieści dwa lata i jej uroda zaczynała powoli przygasać jak kwiat ściśnięty kartkami Biblii, lecz nadal miała mnóstwo wdzięku, którym kiedyś uwiodła Johanna. Córka nie mogła się pochwalić nawet połową urody matki, ale osiągnęła już wiek, w którym dziewczętom zaokrąglają się biodra i powiększają piersi. Włosy opadały jej płasko na czoło i wyglądały, jakby były mokre. Wciąż się rumieniła i już bywała niedysponowana.

– Mam nadzieję, że jego koledzy szkolni nie sądzą, że się popisuje – powiedziała.

Hester pomachała Johnowi, gdy przepływał obok nich. Powierzchnia rzeki migotała jak młotkowane szkło. Pióra wioseł rozcinały odbijające się w wodzie światło po obu stronach łodzi. John nie mógł pomachać w odpowiedzi, ale posłał matce i siostrze szeroki uśmiech.

– Chłopcy lubią się popisywać – stwierdziła Hester. – Taką już mają naturę.

– Ale tato się nie popisuje.

– Kochanie, jest mężczyzną, a nie chłopcem. Poza tym nie musi się popisywać.

– Wróci na moje urodziny?

– Nie wiem – odparła Hester. – Miał kłopoty na Południu. Zadzwonił do mnie rano i powiedział, że stacja benzynowa w Shreveport została spalona do fundamentów.

– Bardzo chciałabym, żeby wrócił. Mam dla niego prezent. Sama go zrobiłam.

John prawie zniknął im z oczu, zasłonięty pochylonym drzewem, którego gałęzie wisiały nad wodą. Najwyraźniej zamierzał opłynąć hangar dla łodzi i przybić do brzegu, więc Hester łagodnie popchnęła Hope w górę stoku, w stronę domu. Było tu cieplej niż przy samej rzece. Stare drzewa szeleściły i tańczyły na wietrze.

– Kochasz ojca, Hope? – spytała Hester.

Dziewczynka zatrzymała się i ze zdziwieniem popatrzyła na matkę.

– Oczywiście. Przecież to mój ojciec. Zrobiłam dla niego ogrzewacz do stóp, żeby go wkładał w samolocie. Z jego inicjałami.

Hester sprawiała wrażenie zamyślonej i nieco smutnej. Szarfa na jej kapeluszu unosiła się

w podmuchach wiatru i opadała.

– Nigdy nie używa niczego, co mu zrobiłaś – powiedziała. – Czemu zrobiłaś mu ogrzewacz?

Hope ogarnęła włosy z czoła.

– Nie wiem. Może któregoś dnia mu się przyda.

– On nie jest sentymentalny, Hope. Nawet w stosunkach z własną rodziną. Wielu ludzi tego nie rozumie.

– Ale nas kocha, prawda?

Hester uśmiechnęła się lekko.

– Oczywiście, że tak. Tylko po prostu nie umie tego okazywać.

Szły dalej starannie wygrabioną żwirową ścieżką. Kiedy znalazły się poza linią drzew, obejrzały się. John właśnie wyciągał łódkę z wody.

– Czasem mi się wydaje, że tato ciągle się czymś martwi – wyznała Hope.

Ta sama myśl prześladowała Hester od dnia ślubu, ale nawet po dwudziestu trzech latach małżeństwa nadal nie wiedziała, co trapi Johanna.

– Och, kochanie, na pewno nie – odparła i machnięciem ręki dała znak Johnowi, by się pospieszył i przyłączył do nich.

Kiedy się z nimi zrównał, był zadyszany i spocony. Wytarł twarz ręcznikiem, który zabrał ze sobą na łódź.

– Byłeś wspaniały, John – pochwaliła go Hester. – Jeszcze nigdy tak dobrze nie wiosłowałeś.

Wydawał się zadowolony.

– Mam nadzieję, że w tym roku wezmą mnie do osady. Ale są strasznie wybredni. Nawet Laurence'owi nie udało się do nich wepchnąć, a sama wiesz, jaki jest dobry.

– Wiem także, ile zarabia jego ojciec.

John wszedł za matką i siostrą do centralnego holu, wyłożonego marmurową mozaiką. Jego tenisówki piszczały na kamieniu.

– Tato wraca dziś wieczorem? – spytał.

– Nie, za kilka dni, kochanie. Może przyjedzie na weekend, jeśli uda mu się wyrwać.

John przetarł ręcznikiem kark.

– W takim razie może mogłabyś mi poświęcić pół godziny wieczorem? Chyba powinienem z tobą coś obgadać.

Hope zerknęła na Hester, ale twarz matki nie zmieniła wyrazu. John rzadko zwierzał się rodzicom. Od czasu do czasu przebąkiwał, że chciałby studiować prawo albo zamierza wejść do szkolnej reprezentacji w pływaniu. Wydawało

się, że interesuje go tylko sport, jazz i samochody wyścigowe. Hester podejrzewała, że otwiera się tylko przed szkolnymi kolegami. Wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Ojciec zawsze wbijał mu do głowy, że jeśli mężczyzna chce dać sobie radę, musi ukrywać przed innymi swoje uczucia. Kiedy John chciał okazać mu miłość, odpowiadały mu jedynie chłodne uśmiechy, więc w końcu uznał, iż w stosunkach z rodziną to jedyne właściwe zachowanie.

– Mam teraz trochę wolnego czasu – powiedziała Hester. – Może porozmawiamy w pokoju do robótek ręcznych? Hope, zobaczymy się później. Wyjeżdżasz dziś wieczorem, by zobaczyć się z Sally, czy zostajesz? Na kolację jest łosoś, jak mi się zdaje.

– Zostaję – odparła dziewczynka i poszła się przebrać.

Hester ujęła umięśnione ramię syna i weszła razem z nim do pokoju robótek ręcznych. Zamknęła drzwi i wskazała jeden z eleganckich fotelików.

– Jestem trochę spocony, więc lepiej postoję – powiedział John.

– Jak sobie życzysz – odparła Hester.

Usiadła wyprostowana, trzymając łokcie przy bokach, na swoim ulubionym twardo

tapicerowanym krześle. Obok stało krosienko z niemal wykończoną poszewką na poduszkę, pokrytą wyhaftowanymi azaliami.

– Nie wpakowałeś się w żaden kłopot? – spytała syna.

Nie odpowiedział od razu. Podszedł do okna i wyjrzał na tyły domu. Po trawnikach przechadzały się pawie, rozkładając ogony, a obok nich ogrodnik wtykał w ziemię jakieś sadzonki.

– To trochę trudno wytłumaczyć – zaczął. – Trudno znaleźć odpowiednie słowa.

– Spróbuj.

– Wydaje mi się, że tego rodzaju rzeczy facet powinien obgadać z ojcem.

– Tak?

– Oczywiście zrobiłbym to, ale ojciec tak rzadko przebywa w domu… a poza tym nie sądzę, żeby… nie chciałbym, żeby to zabrzmiało nieuprzejmie…

Hester zdjęła luźną nitkę z krosienka.

– Chyba wiem, co chcesz powiedzieć – odezwała się.

John uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Skoro wiesz, co chcę powiedzieć…

– Czy to ma związek z seksem? – spytała Hester.

John poczerwieniał. Nie spodziewał się, że matka mogłaby użyć tego słowa. Przez chwilę mamrotał coś pod nosem i w końcu wykrztusił:

– Poniekąd.

Hester wyciągnęła rękę.

– Podejdź do mnie, synu.

John z ociąganiem zrobił dwa kroki i położył spoconą rękę na suchej, pokrytej niemal niewidoczną siateczką zmarszczek dłoni swojej drobnej, eleganckiej matki. Na palcach miała pierścionki ze szmaragdami i brylantami, za które można byłoby kupić połowę przecznicy na Manhattanie.

– John, na swój sposób kocham twojego ojca, ale ten sposób jest nie do przyjęcia przez nikogo poza mną samą – powiedziała. – Nigdy nie usłyszysz ode mnie, że jest nieczuły, bezwzględny czy okrutny, choć popełniał nieczułe, bezwzględne i okrutne czyny. Jednak jestem jego żoną od tak dawna, że wiem, że jest tak samo zdolny do miłości i szczęścia jak my wszyscy, tylko z jakiegoś powodu, może z wielu różnych powodów, nie pozwolił, aby miłość i szczęście miały do niego dostęp.

John odsunął fotel i usiadł na nim. Przewiesił ręcznik przez oparcie i popatrzył na matkę.

– Bardzo go kochasz, prawda? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Tak, bardzo.

– Ja też bardzo kocham Hazel.

– Hazel? – zdziwiła się Hester. – Nie przypominam sobie, żebyś wcześniej mówił o jakiejś Hazel.

John uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Faktycznie nie mówiłem. Poznałem ją w Poughkeepsie. Któregoś wieczoru poszedłem z Jimem Walachem do kina i wtedy ją poznałem.

– To znaczy jak? – spytała Hester.

– No, poszliśmy na komedię, a potem do cukierni na wodę sodową. Hazel pracuje tam przy saturatorze.

Hester w milczeniu wpatrywała się w syna, jakby nie mogła uwierzyć własnym uszom. John z zakłopotaniem poszurał tenisówkami po podłodze i dodał:

– Jest naprawdę śliczna, mamuś. I pochodzi z dobrej rodziny. Jej ojciec sprzedaje ubezpieczenia. Pewnie naszemu tacie też sprzedał. Większość agentów je sprzedaje.

– Próbujesz mi powiedzieć, że zakochałeś się w jakimś zerze zza lady?

– Mamuś, ona wcale nie jest zerem – zaprotestował John. – Nie powinnaś jej tak nazywać.

– A jak mam ją nazywać? I na litość boską, nie używaj takich dziwnych określeń. Nie jestem „mamuś” i nigdy nie będę.

– Przepraszam, matko. Ale Hazel to bardzo miła dziewczyna. Kilka razy spotkaliśmy się podczas weekendów i możesz mi wierzyć, jest naprawdę bystra i inteligentna. Pracuje przy saturatorze tylko po to, żeby sobie dorobić. Uczy się.

Hester podniosła się z krzesła i podeszła do przeszklonej biblioteczki. John widział jej niewyraźną, odbitą w szybie twarz. Wyglądała jak twarz młodej dziewczyny.

– Wiem, co czasem o nas myślisz, o twoim ojcu i mnie. Wiem, że wolisz zwierzać się komuś obcemu niż nam. Ale czy nie sądzisz, że nie tylko my jesteśmy odpowiedzialni za ten stan rzeczy?

Kiedy się odwróciła i spojrzała na niego, uświadomił sobie, że bardzo ją rozgniewał.

– Twój ojciec osiągnął wszystko. Zbudował swoje ogromne imperium biznesowe z niczego. W całych Stanach Zjednoczonych nie ma nikogo, kto nie znałby naszego nazwiska i nie wiedziałby, czym twój ojciec się zajmuje. W mojej rodzinie było wielu znakomitych przodków. Twój ojciec i ja przekazaliśmy naszym dzieciom najlepsze geny arystokracji

i przemysłu. Roderick, Hope i ty powinniście być elitą Ameryki.

– Mamuś, cała amerykańska demokracja zasadza się na idei równości. Dlatego tacie się udało i dlatego mnie się uda. Hazel jest mi równa, a ja jestem równy jej. Co więcej, Hazel jest równa także tobie!

Hester zamachnęła się i uderzyła go w policzek.

– Jak śmiesz! – krzyknęła. – Jak śmiesz mówić jednym tchem o swojej matce i jakiejś zwykłej pracującej dziewczynie!

John nic na to nie odpowiedział. Uderzenie nie było bolesne, ale całkowicie go zaskoczyło. Nigdy wcześniej nie widział matki tak rozgniewanej, więc zupełnie nie wiedział, co powiedzieć ani jak wytłumaczyć, co czuje. Hester stała przy stoliku do robótek, jakby to była ambona, z której zamierzała wygłosić kazanie.

– Myślałam, że wychowaliśmy cię, jak należy. Wiem, że miałeś problemy z twoim ojcem, ale myślałam, że jesteś inteligentny, chłonny i otwarty. Tymczasem widzę, że zupełnie nie rozumiesz swojej pozycji i swojej odpowiedzialności. Nie wiesz, jakie obowiązki cię czekają, kiedy osiągniesz dojrzałość. Jak możesz mówić, że ta dziewczyna jest nam równa?

Naprawdę wierzysz, że ten ogrodnik za oknem jest ci równy i kiedykolwiek zasłuży na twój szacunek, nie robiąc nic innego poza grzebaniem w ziemi?

– Mamuś…

Hester pokręciła głową, dając mu do zrozumienia, że nie zamierza go więcej słuchać.

– Wszyscy jesteśmy równi w oczach Boga, ale nie w oczach społeczeństwa – oświadczyła. – Równie dobrze mógłbyś spotykać się z czarnuchą.

John grzbietem ręki otarł pot z górnej wargi.

– Cóż… tak właśnie jest, mamuś – powiedział cicho. – Spotykam się z Murzynką.

– Co takiego? – spytała ze zdumieniem Hester.

John odchrząknął.

– Hazel jest kolorowa – wyjaśnił.

Przez chwilę panowała paraliżująca cisza, a potem Hester odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się głośno. Kiedy John zobaczył złoty mostek matki, odwrócił głowę.

– Ty błaźnie! – zawołała ze śmiechem. – Ty i te twoje dowcipy! Powinnam była się zorientować, gdy tylko powiedziałeś, że byłeś w kinie na komedii! Tak mi przykro, że straciłam nad sobą panowanie! Tylko zrobiłam z siebie idiotkę!

John również uśmiechnął się nerwowo. To ostatecznie upewniło Hester, że syn żartował.

– Ze mnie możesz sobie żartować – dodała, wyjmując tackę z jedwabnymi nićmi i kładąc ją na stoliku – ale twój ojciec może pomyśleć, że to prawda. Nie ma takiego samego poczucia humoru jak ja.

John powiedział cichym, zduszonym głosem:

– Matko, to prawda.

Hester usiadła i zaczęła nawlekać błyszczące niebieskie i zielone nici na igły.

– Tak, kochanie. Zostaniesz na kolacji? Wiesz, na moment doprowadziłeś mnie do prawdziwej wściekłości… – Uśmiechnęła się i odłożyła robótkę, aby położyć rękę na ramieniu syna. – Ależ z ciebie żartowniś! Pamiętasz, jak kiedyś włożyłeś biednej Hope glisty do kaloszy?

John poczuł, że nie może wykrztusić z siebie ani słowa. Brakowało mu powietrza i czuł, że jeśli natychmiast nie weźmie się w garść, może się rozpłakać.

– Matko, musisz zrozumieć, że to prawda – wymamrotał. – Hazel naprawdę jest kolorowa, to wcale nie żart. Kochamy się.

Hester jeszcze się uśmiechała, ale rozbawienie zaczęło znikać z jej twarzy.

– Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz? – spytała zimno. – Jeśli naprawdę nie żartujesz, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

– Matko, nic na to nie poradzę. Kocham Hazel.

– Przecież nie można kochać kolorowych. To śmieszne. Nikt nie kocha kolorowych.

– Matko, ja naprawdę ją kocham! Chcemy się pobrać!

Hester z rozdrażnieniem pokręciła głową.

– John, masz dopiero siedemnaście lat i jesteś synem Johanna Corneliusa. Jesteś za młody na to, żeby poślubić jakąkolwiek dziewczynę, a już na pewno nie poślubisz Murzynki, która obsługuje saturator! Musisz jej powiedzieć, że między wami skończone. Im szybciej to zrobisz, tym lepiej. Nie ma mowy o żadnym ślubie. Co za absurdalny pomysł!

Oczy Johna wypełniły się łzami. Czuł się, jakby wydarto mu wnętrzności.

– Nie możesz nas powstrzymać! – krzyknął. – Już się zdecydowaliśmy!

– Oczywiście, że mogę! Jesteś o wiele za młody na małżeństwo, i tyle. Poza tym nie życzę sobie synowej czarnuchy. Pomyśl, jakie to byłoby żenujące!

John kopnął krosienko. Upadło na bok i nitki się splątały.

– Przestań nazywać ją czarnuchą! – wrzasnął.

Hester wstała i popatrzyła na niego z wściekłością.

– Ty żałosny smarkaczu! – warknęła. – Ty głupi, bezmyślny chłopaku! Co ty, na Boga, próbujesz udowodnić?

John ukląkł i zebrał szpulki, a potem postawił krosienko. Nie patrzył na matkę i nie odpowiedział na jej pytanie.

– Przepraszam – mruknął tylko. – Nie sądziłem, że tak bardzo się rozzłościsz.

– Nie sądziłeś, że się rozzłoszczę? A jak miałam zareagować? Podziękować Bogu, że mój najmłodszy syn spotyka się z kolorową dziewczyną? Nie rozumiem, jak w ogóle możesz ją całować. Bo całowaliście się, prawda?

– Tak.

– Na samą myśl o tym dostaję dreszczy! Musisz natychmiast jej powiedzieć, że z nią zrywasz, rozumiesz?

– Nie mogę, matko.

– Możesz i powiesz.

– To nie takie proste.

– A czemuż to, łaskawco?

– Hazel nosi pod sercem moje dziecko. Jest w ciąży.

Tym razem Hester od razu mu uwierzyła. Patrzyła na syna, na jego przepoconą sportową koszulkę i zdarte białe tenisówki. Widziała, jaki jest młody. Uniosła rękę i łagodnie pogładziła jego potargane włosy. John nie rozumiał, dlaczego tak złagodniała. Przez chwilę myślał, że zamierza ustąpić i pozwoli mu ożenić się z Hazel.

– Matko… – szepnął.

Hester powoli pokręciła głową.

– Mój biedny chłopcze – powiedziała ledwie słyszalnym głosem, po czym odwróciła się, podeszła do telefonu i uniosła słuchawkę. – Stainer, połącz mnie z doktorem Nashem.

– Z Nashem? – zdziwił się John. – Co doktor Nash może mieć z tym wspólnego?

– Usiądź, John – poleciła mu matka.

Wzięła krzesło, podeszła z nim do syna i usiadła przy nim.

– Musisz mi powiedzieć, gdzie mieszka Hazel – oświadczyła. – Pod jakim adresem. W Poughkeepsie czy gdzieś bliżej?

– W Poughkeepsie, ale…

– Znasz nazwę ulicy i numer domu?

– Oczywiście, ale…

– Przestań, John. Bez względu na to, co powiesz, jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Tak będzie lepiej dla Hazel i dla ciebie.

– Hazel jest tutaj, mamuś. To znaczy w Lynwood, w hotelu Lakeshore. Powiedziałem jej, żeby tu przyjechała, kiedy wyjaśnię tobie albo tacie, co się stało, żeby może…

– Żeby może co?

Chłopak otarł łzy.

– No wiesz… żeby się z tobą spotkała.

Hester zaśmiała się pogardliwie.

– Nie, mój drogi, nie wiem. Jak mogłeś wpaść na taki idiotyczny pomysł? Doprawdy, John, spodziewałam się po tobie czegoś lepszego.

– Ale ona czeka, mamuś. I nosi moje dziecko.

Hester uniosła ręce.

– To absolutnie poza dyskusją: nie urodzi twojego dziecka. Właśnie dlatego telefonowałam do doktora Nasha. Znasz numer jej pokoju?

John popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Matko, to przecież moje dziecko! – zawołał. – To człowiek! Człowiek, którego oboje z Hazel stworzyliśmy!

– Mówisz do kobiety, która urodziła troje dzieci – odparła Hester. – Dziecko nie jest człowiekiem, dopóki się nie urodzi, zresztą nawet wtedy potrafi być utrapieniem, a nie błogosławieństwem. Twoja kolorowa przyjaciółka jest po prostu w ciąży, i tyle. Doktor Nash zrobi wszystko, co w jego mocy, aby

zakończyć jej ciążę tak bezboleśnie i szybko, jak to tylko możliwe. O, dzwoni telefon! To pewnie doktor Nash.

– Matko, nie możesz tego zrobić! – oświadczył John.

Hester podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Mogę i z pewnością zrobię – odparła.

John słuchał w milczeniu, gdy mówiła do telefonu:

– Doktor Nash? Tu Hester Cornelius. Chcę pana prosić o przysługę i zachowanie tej sprawy w sekrecie.

Zaczęła wyjaśniać, co się wydarzyło, ale John już tego nie słuchał. Opuścił pokój i ruszył w stronę schodów. Usiadł obok kamiennego lwa i patrzył na trawę mierzwioną majowym wietrzykiem oraz rozmigotane fale rzeki Hudson. Nie płakał, siedział tylko, opierając podbródek na rękach, a popołudnie powoli mijało.

Zgodnie z poleceniem Hester nikt go nie niepokoił. Wiedziała, że syn wkrótce się otrząśnie.

♦ ♦ ♦

O godzinie dziesiątej następnego przedpołudnia Johann Cornelius i Henry Keith siedzieli na zielonej ławce przy południowym wejściu do parku Querbes w Shreveport. Johann miał na sobie brązowy letni garnitur z tenisu w jasne prążki i brązowy filcowy kapelusz. Henry jak zwykle wyglądał, jakby spędził noc w przedziale bagażowym pick-upa. Niebo było zachmurzone, ale na zachodzie zaczynało się przejaśniać. Johann z każdą chwilą był coraz bardziej rozdrażniony i niespokojny.

– Powiedział, że będzie o dziesiątej, prawda? – mruknął, otwierając kopertę złotego kieszonkowego zegarka.

– Tak powiedział, proszę pana.

– Skoro tak, to czemu, do diabła, nie może być punktualny? Co on sobie myśli? Czas to pieniądz.

Czekali jeszcze przez dziesięć minut i kiedy Johann zamierzał już zrezygnować ze spotkania i wrócić do hotelu, furtka parku otworzyła się ze skrzypnięciem i pojawił się w niej pulchny mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny garnitur, z brązowym kapeluszem na głowie. Gdy podszedł do nich, Johann zauważył, że ma gładką, różową, pozbawioną wyrazu twarz i błyszczące, blisko siebie osadzone oczy. Wyglądał jak ubrane w garnitur niemowlę

i pachniał drogą wodą kolońską. Jego nos przypominał wielkiego nagiego ślimaka odpoczywającego w trakcie powolnej podróży w górę twarzy. Nogi i stopy mężczyzny były drobne jak kończyny lalki. Zatrzymał się przed nimi, stuknął wypolerowanymi obcasami i powiedział:

– Proszę mi wybaczyć spóźnienie. Niełatwo jest się wyrwać z pracy.

Johann zmierzył go pochmurnym spojrzeniem.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że kazał mi pan czekać blisko pół godziny – powiedział chrapliwym głosem.

– Proszę mi wybaczyć – powtórzył mężczyzna.

Johann pociągnął nosem.

– Nic innego mi nie pozostaje. Siądzie pan wreszcie?

– Myślałem, że się przejdziemy. Chodzących trudniej podsłuchać. Jest takie stare polskie przysłowie: „Kukułka, co w jednym gnieździe kuka, wnet w sieć wpadnie".

– Jest takie stare teksańskie przysłowie: „Jeśli masz coś do powiedzenia, to wal" – odburknął Johann.

– W takim razie przejdźmy się – odparł mężczyzna.

Ruszyli ramię w ramię wolnym krokiem po krzyżujących się ścieżkach. Wyglądali jak dwóch starych znajomych wspominających szkolne czasy. Gorąco jeszcze bardziej się wzmogło. Po paru krokach Johann zatrzymał się i chusteczką wytarł potnik kapelusza.

– Nadal nie przedstawił mi pan swoich referencji – powiedział do mężczyzny o różowej twarzy. – Nie znam także pańskiego nazwiska, chociaż pan zna moje.

– Wobec tego zacznę od moich referencji – odparł ze spokojem nieznajomy. – Zapewniam pana, że są bardzo dobre.

– Mówił pan coś o telefonie i kolejarskim gwizdku.

– Owszem – potwierdził mężczyzna. – To mój as atutowy.

– Zna pan Daniela Forstera?

– Poznałem go przypadkiem. Przyszedł do nas po pieniądze, kiedy jego linia kolejowa cienko przędła. Opowiedział mi, jak wspaniale pan się nim opiekował.

Johann otarł pot z karku.

– Powiedział, dlaczego to robiłem?

Mężczyzna rozejrzał się po parku, mrużąc oczy w blasku słońca.

– Tak, opowiedział mi o wszystkim.

– Po co?

– Chciał pieniędzy. Wie pan, wszystko ma swoją cenę.

– Czemu pan mi to mówi? – spytał z irytacją Johann.

– Czy ja wiem? Nie muszę. Ale jeśli pan chce dowodów na to, że wiem, o czym mówię, proszę pomyśleć o Kyle'u Lennoxie i Carinie.

Johann przestał ocierać twarz i spytał:

– Co pan wie o Carinie?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Należałoby mnie raczej zapytać, co wiem o hotelu Excelsior – odparł.

Henry popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie jestem pewien, czy…

– Zaraz się wszystkiego dowiesz – uciszył go Johann. – To znaczy, jeśli ten dżentelmen będzie miał ochotę nam wyjaśnić, o co mu chodzi. A może zechciałby nam pan najpierw powiedzieć, jak się nazywa i dlaczego odgrywa takiego spryciarza?

Mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Oczywiście. Nazywam się David Bookbinder i prowadzę dział prawny Colton Oil. Mój szef to Percy F. Colton.

– Colton! – warknął Johann.

David Bookbinder uniósł brwi.

– Myślałem, że mogłoby to pana zainteresować. Zwłaszcza że ma pan ostatnio kłopoty ze stacjami benzynowymi.

– Próbuje nam pan powiedzieć, że za tymi podpaleniami stoi Percy Colton? – spytał Henry.

Bookbinder końcem laski trącił zmiętą kulkę papieru leżącą na ścieżce.

– To wydaje się logiczne, nieprawdaż? Colton ma największą sieć stacji benzynowych na południu i południowym wschodzie, chociaż nie wszystkie działają pod marką Colton Oil. Jest ich ponad pół tuzina: Texas Star, Abilene, Golden Power i inne. Co by pan zrobił, gdyby jakiś dorobkiewicz pokroju pana Corneliusa zaczął otwierać nowe i lepsze stacje benzynowe na pańskim podwórku?

Johann zatrzymał się i przez chwilę stał w cieniu drzewa, wachlując się kapeluszem.

– No dobrze, załóżmy, że to Percy Colton – mruknął. – Jaka jest pańska cena za powstrzymanie go?

David Bookbinder wzruszył ramionami.

– To nie takie proste. Chcę nie tylko pieniędzy. Chcę rządzić Cornelius Oil.

Johann parsknął śmiechem.

– To oczywiście poza dyskusją.

Bookbinder jakby nie usłyszał tych słów.

– Chcę jeden procent akcji i fotel prezesa zarządu – oświadczył.

– Chyba pan zwariował! – prychnął Johann. – Mowy nie ma. Zdaje sobie pan sprawę, ile jest wart jeden procent akcji Cornelius Oil?

Bookbinder kiwnął głową.

– Właśnie dlatego chcę tyle dostać.

Johann usiadł na pniaku.

– Co dostanę w zamian? – zapytał cicho.

– Dostanie pan bardzo dużo – odparł Bookbinder. – Dużo pan zapłaci i dużo pan dostanie.

– Co na przykład?

– Będzie pan mógł przejąć Coltonów. Poza tym czeka pana cudowny spokój… tamten dawno zapomniany gwizdek kolejowy już nigdy się nie odezwie.

Johann z powrotem włożył kapelusz.

– Myśli pan, że mi na tym zależy?

David Bookbinder pokiwał głową.

– Oczywiście, że panu zależy! Gdyby panu nie zależało, czy Daniel Forster mógłby mieć zapewniony znakomity start w biznesie kolejowym i czy co roku otrzymywałby dziesięć tysięcy dolarów od anonimowego darczyńcy? Daj pan spokój, Cornelius, rozmawiałem z Forsterem i dobrze wiem, co się działo w tysiąc dziewięćset

trzecim. To wszystko jest godne pożałowania, ale lepiej nie wracajmy do tego. Zwłaszcza że teraz ma pan mnóstwo rządowych kontraktów i zasiada pan w komisji handlu międzynarodowego. Ciekawe, co by powiedziała Pierwsza Dama Stanów Zjednoczonych, gdyby usłyszała o pewnych szczegółach z życia jednego z jej pupilków, bez którego NRA nie może się obejść?

Henry nie rozumiał z tego ani słowa i z niepokojem patrzył na Johanna, jakby się spodziewał, że jego chlebodawca zaraz mu każe wyrzucić natręta za furtkę parku. Ale Johann zachował spokój.

– Cóż… sądzę, że w życiu za wszystko trzeba płacić – powiedział cicho.

– Tak – potwierdził Bookbinder.

– Jak powstrzymamy Coltona? – spytał Johann.

Bookbinder wyjął z kieszonki na piersiach cygaro, oderwał od niego banderolę i przyciął je złotą przycinarką. Kiedy wsadził je do ust, przystąpił do szukania zapałek.

– Myślę, że zrobimy to na dwóch poziomach… Po pierwsze, damy łupnia jego stacjom, żeby wiedział, że jesteśmy gotowi do boju. Po drugie, wykupimy większość akcji Colton Oil. Jest takie

rumuńskie przysłowie: „Jeśli walczysz z kotem, nie zapominaj o pazurach”. Inaczej mówiąc, ugryziemy go z przodu i drapniemy z tyłu.

– Wydaje się pan bardzo pewny, że się na wszystko zgodzę – mruknął Johann.

– Oczywiście. A to dlatego, że ma pan ku temu kilka powodów. Po pierwsze, chce się pan odpłacić Coltonowi za próbę wykolegowania pana z kontraktu z Houston-West. Tak, wiem o tym. Wszystko jest w księgach firmy. Naturalnie trzeba umieć czytać między wierszami, ale rozmawiałem też z Arniem Styversem i zorientowałem się, co zrobili.

– A po drugie? – spytał Johann.

– Drugi powód jest jeszcze prostszy. Chce pan uciszyć Daniela Forstera. Po tamtej sprawie w Robinstown…

– Skąd pan o tym wie, do diabła?

David Bookbinder uśmiechnął się krzywo.

– Drogi panie, nie tylko o tym wiem, ale też sam za tym stoję. Kiedy w dwudziestym siódmym Oswald Stone usłyszał, że ma zmiękczyć pewnego uprzykrzonego faceta w dolinie Asquahanna, mógł się udać tylko do jednej osoby. Nie chcę wyjść na chwalipiętę, panie Cornelius, ale już wiele lat temu zdałem sobie sprawę z tego, że wielki biznes mógłby rozkwitać jeszcze

szybciej i skuteczniej, gdyby współpracował z ludźmi, którzy potrafią przemieniać pragnienia w rzeczywistość.

– Czy ja dobrze słyszę?

– Oczywiście. Już na początku lat dwudziestych nawiązałem osobiste kontakty z przywódcami gangów i członkami mafii. Teraz to moi bliscy znajomi. Znam większość z nich, a oni znają mnie. Pracujemy ręka w rękę i kiedy chcemy coś osiągnąć, zawsze to osiągamy. W listopadzie Colton miał strajk w Greensboro, w Karolinie Północnej. No cóż, przycisnęliśmy paru przywódców strajku oraz ich rodziny i trzy dni później było już po wszystkim. To właśnie nazywam skutecznym działaniem.

Johann zatrzymał się przy bocznym wejściu do parku i przez chwilę przyglądał się Bookbinderowi. Pulchny prawnik palił cygaro i ze spokojem czekał na jego odpowiedź. Jako przyjaciel młodych braci Riccione mógł sobie na to pozwolić.

– A jaki jest kolejny powód?

Bookbinder się uśmiechnął.

– Po prostu pan mnie potrzebuje. Rozwija się pan zbyt szybko, żeby zachować kontrolę nad wszystkimi swoimi firmami. Pochwalam pańską ekspansywność, ale wkrótce będzie pan musiał

zacząć działać ostrożniej. Potrzebna panu nie tylko rozwaga i lepsza strategia, ale także więcej przyjaciół.

– Czy to znaczy, że będziemy musieli zaprzyjaźnić się z gangsterami?

David Bookbinder pokręcił głową.

– Zostawcie to mnie. Oczywiście poznacie ich, kiedy przyjdzie na to pora. Ale najpierw pozbądźmy się Percy'ego Coltona.

– Chce pan powiedzieć, że powinniśmy podpalić jego stacje? – spytał Henry.

Bookbinder wciągnął w płuca powietrze, jakby Shreveport było letnim kurortem.

– Można by najpierw przyłożyć Coltonowi tam, gdzie on wam przyłożył – oświadczył. – Ma stację Texas Star przy Youree Drive.

– A kto ma rzucić pochodnię? – spytał sarkastycznym tonem Henry. – My? Może podłożymy mu bombę w pudełku owiniętym ozdobnym papierem?

Bookbinder zaprzeczył ruchem głowy.

– Znam Wielkiego Smoka i paru Nocnych Jastrzębi z tamtej okolicy. Z przyjemnością wam pomogą.

– Ludzie Ku-Klux-Klanu? Myślałem, że jest pan żydem.

– Jestem. Ale prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie. Ich religijne priorytety nie mają znaczenia. Poza tym stację, o której mowa, prowadzą kolorowi, a to dla KKK dodatkowy bodziec do działania. Będzie to wyglądało jak rasistowski atak, a nie porachunki biznesowe, dzięki czemu nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać pana.

Johann opuścił wzrok. Choć było jeszcze wcześnie, doskwierało mu gorąco i czuł się zmęczony. Miał wielką ochotę na brandy z wodą sodową. Oparł się o zielone ogrodzenie parku i powiedział:

– Panie Bookbinder, musi mi pan dać czas na rozważenie pańskiej propozycji. Jeden procent wartości Cornelius Oil netto to pięć milionów dolarów wedle dzisiejszych cen i nie wydaje mi się, aby nawet Rockefeller dawał takie pieniądze nieznajomym. W każdym razie nie w parku Querbes.

Bookbinder wydmuchał kłąb dymu.

– W porządku, panie Cornelius, nie naciskam. Proszę tylko pamiętać, że każdego dnia może pójść z dymem kolejna stacja, a jeśli w końcu zdecyduje się pan odrzucić moją propozycję, rozwieją się również dymy okrywające pańską przeszłość. Może na Daniela Forstera wystarczy

dziesięć tysięcy dolarów i kilka gróźb, ale nie na mnie. Jasne?

Johann kiwnął głową.

– Jasne – mruknął i po chwili dodał: – Szantaż to brzydka sprawa, nie sądzi pan? Zarówno w przypadku jednej strony, jak i drugiej.

David Bookbinder strzepnął popiół z cygara, dotykając nim szczytu ogrodzenia.

– Tak – odparł równie spokojnie jak Johann. – Mam przeczucie, że będziemy ze sobą na tyle długo, że jeszcze kilka razy uraczy mnie pan tą uwagą.

Henry zerknął na swojego szefa.

– Zadzwonię – powiedział Bookbinder i szybko wyszedł z parku, kierując się do brązowego buicka, który z włączonym silnikiem stał przy chodniku.

♦ ♦ ♦

Młoda Murzynka przesiedziała większość przedpołudnia na wyplatanym sitowiem krześle, które ustawiła przed hotelowym oknem. Odsunęła białe siatkowe firanki, aby mieć lepszy widok, a potem udrapowała je na sobie. Wyglądała teraz jak panna młoda w sukni

ślubnej i welonie. Wciąż czekała na telefoniczne wezwanie od Johna.

Nazywała się Hazel Seymour, miała szesnaście lat i była córką Charlesa Seymoura. Jego ojciec był niewolnikiem w Richmond w stanie Wirginia, gdy Charles był dzieckiem. Przypadek chciał, że należał do dziadka Edwarda Seckera, młodego człowieka, który miał się ożenić z Hope Cornelius.

Hazel uczyła się pielęgniarstwa i po ukończeniu szkoły zamierzała opiekować się umysłowo chorymi w Rockland State Hospital. Naukę opłacała, pracując wieczorami w cukierni w Poughkeepsie, w którym mieszkali jej rodzice. Zajmowali niewielki dom w uboższej części miasteczka.

Nie miała pojęcia, dlaczego pozwoliła Johnowi się do siebie zbliżyć. Może jej ostrożność została uśpiona przez zakorzeniony wśród Amerykanów pogląd, że czarni nigdy nie zakochują się w białych? Pewnego wieczoru, gdy była bardzo zmęczona i zgrzana, a jej fartuszek z wielkim cukierkiem wyszytym na piersiach kleił się od syropu i lodów, do cukierni zajrzeli dwaj biali chłopcy, John i jego kolega ze szkoły, i zacumowali na chromowanych stołkach przy kontuarze. Ale dopiero kiedy John wręczył jej

dwudziestodolarowy banknot – największy, jaki Hazel otrzymała w ciągu całego tego wieczoru – i kiedy zauważyła, że z uśmiechem obserwuje, jak dodaje malinowy syrop do mlecznego koktajlu, pomyślała sobie, że jest „jinteresujący”, jak mawiał tatko. Odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem i przez resztę wieczoru się zastanawiała, czemu to zrobiła.

Gdy o wpół do dziewiątej skończyła pracę i wyszła z cukierni, czekał na nią. Sam.

Wlókł się za nią przez cztery przecznice, zaklinając się, że ma wobec niej uczciwe zamiary. Prosił tylko o randkę i pytał, co takiego złego jest w umówieniu się na randkę. W końcu mile połechtana zgodziła się pojechać z nim na piknik w swoje jedyne wolne popołudnie, w sobotę. Oczywiście powiedziała mamie, że wychodzi spotkać się z koleżanką z sąsiedztwa, Leilą Miller. John obiecał, że zabierze ją z cukierni, nie z domu. Rozmawianie i umawianie się z białym chłopakiem sprawiało, że czuła się bardzo dziwnie, chociaż kiedy John przyjechał w sobotę pod cukiernię własnym jaskrawoczerwonym kabrioletem marki Hupmobile, który matka sprawiła mu na urodziny, i gdy Hazel zobaczyła wielki kosz z szynką, pasztetem, owocami i winem, a potem

John dał jej bukiecik kwiatków pod kolor sukienki, jej serduszko fiknęło podwójne salto. Nie wiedziała, czy ma siedzieć w aucie, zadzierając nosa jak afrykańska księżniczka, czy schować się pod deską rozdzielczą, żeby nikt jej nie zobaczył.

Był to dzień błękitnego nieba i piętrowych białych chmur. Pojechali czerwonym samochodzikiem Johna na żółte pole gorczycy. Biesiadowali jak para bogaczy, którzy przypadkiem trafili do snu zwykłego człowieka. Koło czwartej zrobiło się chłodno, a chmury zgęstniały i nabrały metalicznej barwy, więc John postawił bawełniany dach samochodu i siedzieli w zielono-żółtym półmroku, a deszcz bębnił w blachę i spływał po szybach. To właśnie wtedy po raz pierwszy się pocałowali. Potem już nie było takiej siły, która by ich rozdzieliła, i po zjedzeniu świeżych kalifornijskich brzoskwiń i szynki z Kentucky omal nie zjedli się nawzajem. Kiedy Hazel wróciła na noc do wyklejonego brązowymi brudnymi tapetami domu rodziców, w którym stały sepiowe fotografie Charlesa Seymoura w sztywnym białym kołnierzyku i meloniku, bez słowa zjadła kolację składającą się z potrawki i chleba kukurydzianego. Była grzeczna i opanowana jak zawsze, ale w środku

miała kompletny mętlik i wiedziała, że się zakochała.

Teraz cierpliwie czekała w hotelowym pokoiku na telefon od ukochanego. Spodziewała się nie tylko dziecka Johna, ale również przyjaźni jego rodziny. Początkowo kierownictwo hotelu nie chciało wynająć pokoju czarnej dziewczynie, ale trudno mu było zbyt długo opierać się żądaniom członka rodziny Corneliusów, choćby to był tylko młodszy syn. Każdy, kto miał do załatwienia jakiś interes na wyspie Lynwood, zatrzymywał się w hotelu Lakeshore, a Johann i Hester czasem tam jadali.

Tuż po drugiej, kiedy Hazel poczuła głód i zaczęła myśleć o lunchu, pod hotelem zatrzymał się srebrny samochód. Hazel wychyliła się i zobaczyła, że portier otwiera tylne drzwi samochodu i wysiada z niego John. Stał przez chwilę i słuchał kogoś, kto mówił coś do niego ze środka auta, ale w końcu kiwnął głową i wszedł po schodach do hotelu.

Hazel rozsunęła firanki i odstawiła krzesło do kąta. Nie chciała, aby John pomyślał, że przez całe przedpołudnie wpatrywała się w okno. Mógłby się zaniepokoić, a nie chciała, żeby ojciec jej dziecka się niepokoił. Zdjęła buty i usiadła na łóżku, biorąc do ręki numer „Vogue”, który kupił

jej John. Próbowała sprawiać wrażenie spokojnej, zrelaksowanej i przyzwyczajonej do życia w bogactwie. Na pierwszej stronie magazynu zobaczyła długą złotą suknię wieczorową za sto trzydzieści pięć dolarów. Było to niemal tyle samo, ile jej ojciec przynosił do domu po dwóch miesiącach ciężkiej pracy.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Kto tam? – zapytała i szybko poprawiła sobie włosy.

– To ja – powiedział John. – Mogę wejść?

– Drzwi są otwarte.

Kiedy wszedł, zauważyła, że wygląda jakoś inaczej. W Poughkeepsie zawsze tryskał energią i humorem i ubierał się po sportowemu. Teraz miał na sobie popielaty dwurzędowy garnitur, był starannie uczesany i pachniał jakąś drogą wodą kolońską. Podszedł do łóżka, pochylił się i pocałował ją. Miał to być mocny i długi pocałunek, ale zabrakło mu i mocy, i długości. John usiadł na brzegu łóżka.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Dobrze. Tęskniłam za tobą.

– Ja za tobą też. Przepraszam, że musiałaś tak długo czekać.

– W porządku. Załatwiłeś wszystko z rodzicami?

John kiwnął głową, ale nic nie powiedział.

– Załatwiłeś z rodzicami, prawda? – powtórzyła z niepokojem.

Roześmiał się głośno.

– Pewnie, że załatwiłem.

– Nie wydajesz się tego za bardzo pewny.

Znów się roześmiał.

– Jasne, że jestem pewny.

– I co powiedzieli? Co powiedziała twoja mama, kiedy jej o tym powiedziałeś? Musiała coś powiedzieć.

John ujął jej dłoń i uśmiechnął się. Wolałaby, żeby się nie uśmiechał. Zwykle robił to tylko wtedy, gdy go coś rozbawiło, a co tu było zabawnego?

– Matka była… zaskoczona, oczywiście.

– Zaskoczona czy zaszokowana?

– No, trochę zaszokowana. To przecież jej pierwszy wnuczek i wcale się go nie spodziewała!

– Pewnie nie. Ale ja się go spodziewam.

– Wiem. Teraz chcę cię zabrać do doktora Nasha. To lekarz naszej rodziny. Ma tu klinikę. Zrobi badania i upewni się, czy wszystko jest w porządku.

– Już teraz? – spytała Hazel.

John uśmiechnął się szeroko.

– Im szybciej, tym lepiej, prawda?

– John, to naprawdę bardzo miłe z twojej strony, ale wolałabym najpierw pójść na lunch. Nic nie jadłam od wczorajszej kolacji i jestem naprawdę głodna. Tak głodna, że zjadłabym całego białego człowieka.

Znów się roześmiał. Czemu on tak się śmiał i śmiał? Sprawiał wrażenie, jakby czegoś się bał albo wstydził.

– John… wszystko w porządku? – spytała. – Nie stało się nic złego?

Pokręcił głową.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – odparł. – Musimy tylko pojechać do doktora Nasha, a potem możemy skoczyć coś zjeść.

Hazel zmarszczyła brwi.

– Nie chcę jechać do doktora Nasha. Nie muszę do niego jechać. Mam swojego lekarza w Poughkeepsie. Mówił, że to szósty tydzień i wszystko jest w porządku.

John przygryzł wargę.

– Nash to najlepszy lekarz w kraju – powiedział po chwili. – Poza tym jest naprawdę miłym facetem. Sama się przekonasz, jak go poznasz.

– John…

Uścisnął mocno jej rękę.

– Hazel, zrób to dla mnie – powiedział. – Daj się zbadać Nashowi ze względu na mnie. Zrobisz to? Jest prawie druga, a ja obiecałem, że będziemy u niego dziesięć po.

Hazel wstała z łóżka i podeszła do szafy. Widziała siebie w lustrze, ciemną i wysoką. W promieniu światła za swoimi plecami widziała Johna. Pochylił głowę i złączył kolana jak człowiek czekający w celi śmierci na egzekucję.

– Coś cię gryzie – stwierdziła. – Dlaczego? Czy twoja mama była bardzo wściekła?

Podniósł wzrok i popatrzył na nią.

– Wściekła? Nic podobnego. To bardzo otwarta osoba.

– Czy się z nią spotkam? – spytała Hazel.

– Och, pewnie tak. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Tylko ci się wydaje? Mam wyjść za jej syna, a tobie tylko się wydaje, że się z nią spotkam?

– Hm, Hazel, to…

Odwróciła się do niego. W jej oczach nie było łez. Stała w półmroku, z ręką na biodrze, lekko przechyliwszy głowę na ramię. Wyglądała jak delikatne, pełne smutku postacie z obrazów

Renoira. W pokoju dominowały brązy i szarości. W głębi widać było prostokąt lustra szafy.

– Coś poszło nie tak, prawda? – spytała. – Twojej mamie wcale to się nie spodobało.

John zacisnął dłonie w pięści.

– Hazel, wszystko jest w porządku, naprawdę. Teraz musimy tylko…

Powoli pokręciła głową.

– Nie kłam, John. Zniosę od ciebie wszystko, tylko nie kłamstwa. Czemu mi nie powiesz, co się naprawdę stało? Muszę znać prawdę, choćby najgorszą.

– Miałaś o niczym nie wiedzieć… – mruknął.

Zaśmiała się miękko.

– Kiedy smoluch nie wie, to go nie boli, tak?

– Hazel…

– Przepraszam. Wiem, że nigdy w ten sposób nie myślałeś. Ale twoja mama owszem, prawda? Powinnam się była tego spodziewać. Gdybym miała choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie posunęłabym się tak daleko. Ona nie chce, żeby jej drogie, słodkie maleństwo zadawało się z kolorowymi. Mowy nie ma o tym, żeby mieć wnuczka mieszańca. Jak tu zamawiać dla jednego flaki, kiedy reszta rodziny je pasztet z gęsich wątróbek?

John wstał. Domyślała się, że kilka godzin temu płakał. Ale teraz podjął już jakąś decyzję i na pewno nie była to decyzja dobra ani dla niej, ani dla dziecka, które w niej rosło.

– Zawiodłem cię, prawda? – spytał.

Podeszła do okna, rozsunęła firanki i popatrzyła na długi srebrny samochód stojący na podjeździe.

– Oczywiście, że zawiodłeś – odparła. – Ale presja musiała być silniejsza, niż mogłeś znieść.

– Jaka presja?

– Rodziny, bogactwa. Nie mogę od ciebie oczekiwać, że w imię miłości zrezygnujesz z milionów dolarów. Zresztą tak naprawdę wcale tego nie chcesz, prawda? Gdybyś się ze mną ożenił, gdybyśmy mieli dziecko, musiałbyś przez całe życie walczyć ze snobami, którzy nie zaprosiliby cię do siebie na kolację, bo musiałbyś zabrać ze sobą swoją czarną żonę, i walkę z dzieciakami, które dręczyłyby nasze maleństwo, bo nie byłoby ani czarne, ani białe i nie wiedziałoby, gdzie przynależy. Musiałbyś walczyć ze swoją rodziną, ze swoimi pieniędzmi i samym sobą. Nie mam prawa tego od ciebie żądać. Zwykła kolorowa dziewczyna z Poughkeepsie nie jest tego warta.

Pogładził ją po ramieniu.

– Hazel, kocham cię – powiedział.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Kiedyś tak ci się wydawało. Nie kłam, John, nie warto. Widzę po twoich oczach, że się już zdecydowałeś. Nie będę cię do niczego zmuszać.

– Och, tak mi przykro… Nie wiem, co powiedzieć. Myślałem, że kiedy porozmawiam z matką, zechce nam pomóc. Myślałem, że…

Hazel puściła firankę, podeszła do szafy i wyjęła z niej walizkę. Była to nowa walizka z brązowej skóry, którą kupił dla niej John. Długo ją wybierali, bo miała to być walizka na miesiąc miodowy. Działo się to zaledwie kilka dni temu, ale teraz była to tylko nowa walizka i Hazel chyba wolałaby jej nie mieć. Zaczęła pakować tych kilka rzeczy, które miała: sukienki, szczotkę do włosów i czerwone buty.

John pozostał przy oknie, w milczeniu patrząc na otaczającą hotel zieleń. Nie rozumiał, dlaczego prawie nic nie czuje. Może już wylał za dużo łez. Ból miał się zacząć dopiero w nocy.

Hazel zatrzasnęła zamki walizki i podeszła do drzwi po wiszący na nich płaszcz.

– John… – powiedziała cicho, zakładając okrycie.

Nie odwrócił się do niej.

Podeszła bliżej i popatrzyła na niego z taką czułością i żalem, że gdyby na nią w tym momencie spojrzał, zrozumiałby ją lepiej i może dowiedziałby się też czegoś o sobie. Ale nie spuszczał wzroku z podjazdu i niecierpliwych, ledwo widocznych palców, które bębniły w szybę samochodu.

– Nie mogę powiedzieć, że nie będę smutna i nie będę za tobą tęskniła, bo bardzo cię kocham i nasze zerwanie będzie mnie strasznie bolało. Będę płakała, John, kiedy wrócę do siebie, ale nie będę płakała przed tobą. Jeśli mnie nie chcesz i nie chcesz naszego dziecka, po prostu muszę dalej żyć, jak potrafię.

– Co zamierzasz zrobić z dzieckiem? – spytał.

– A jak myślisz? Nie mogę żądać od moich rodziców, żeby się mną zajmowali, kiedy coraz bardziej będzie mi rósł brzuch, prawda?

– Jeśli to sprawa pieniędzy…

Gdy spojrzała na niego, zawstydzony opuścił głowę.

– Jeśli to sprawa pieniędzy… – spróbował znowu po chwili.

– Wstydzisz się to powiedzieć, prawda? Nie ma potrzeby. Zamierzam pozbyć się tego dziecka, a że jest tak samo twoje jak moje, będę wdzięczna za pomoc.

Odwrócił się w końcu do niej.

– Jestem pewien, że doktor Nash…

Stanowczo pokręciła głową.

– Żaden biały mężczyzna nie będzie mnie dotykał i nie usunie mojego dziecka. Bo tak właśnie planowaliście, zgadza się? Ty i twoja mamusia chcieliście zabrać mnie do tego waszego cudownego doktora Nasha i cudowny doktor Nash miał mnie przebadać, i nagle, och, Boże, co to, niespodziewane poronienie? Och, panienko Seymour, bardzo nam przykro. Daj spokój, John, uczę się na pielęgniarkę. Poza tym jestem kobietą i Murzynką. To, co zamierzałeś zrobić, było złe i okrutne, ale wiem też, dlaczego chciałeś to zrobić. Wiem, jaki straszny musi być twój ciężar.

– Ciężar? O czym ty mówisz?

– Ciężar, jaki musisz dźwigać na swoich barkach, John. Mój krzyż to kolor mojej skóry, ale twój krzyż jest cięższy od mojego. Jesteś bogaty.

John słuchał tego z zakłopotaniem. Nie rozumiał, dlaczego bogactwo miałoby być ciężarem. Pieniądze mogły wszystko, przenosiły góry. Kiedy miałeś pieniądze, mogłeś wynająć tragarza, który by poniósł twój krzyż za ciebie. Odwrócił się z powrotem do okna i poczuł w ustach smak octu.

– Zawieziesz mnie na stację? – spytała Hazel.

John spojrzał na nią.

– Nie zmienisz zdania?

– Po co? Mam stracić dziecko… co za różnica, gdzie to się stanie, w Lynwood czy w Poughkeepsie?

– Mógłbym jeszcze raz spróbować porozmawiać z matką.

Hazel uśmiechnęła się smutno.

– Nie, John. Wiesz, że to na nic. Miałam cudowny sen, który nie mógł się ziścić. Chyba wiedziałam, że to się nie może zdarzyć, od samego początku wiedziałam. Kiedyś znajdziesz sobie miłą białą dziewczynę z miłej, szanowanej rodziny, pobierzecie się i będziecie żyć w taki sposób, jak chce twoja mama.

John wziął z łóżka walizkę. Hazel otworzyła drzwi, a gdy mijał ją w drodze na korytarz, powiedziała:

– Poza tym…

Zatrzymał się i postawił walizkę.

– Co chciałaś powiedzieć? – spytał.

Pocałowała go w czoło.

– Nieważne – odparła.

– Nie… proszę cię, powiedz.

Opuściła wzrok.

– Chciałam tylko powiedzieć, że kiedy znajdę męża, który da mi dziecko, chcę, żeby zawsze stał u mego boku i opiekował się swoim dzieckiem… bez względu na wszystko.

Stali w milczeniu prawie przez minutę. W końcu John dźwignął walizkę i zszedł do czekającego na podjeździe samochodu. Kiedy Stainer otworzył mu bagażnik, włożył do niego walizkę. Nie chciał, żeby szofer go w tym wyręczył. Próbował zrozumieć, co to znaczy dźwigać ciężar. Hazel zeszła na dół, zakładając po drodze beżowe rękawiczki. Stainer otworzył przed nią tylne drzwi samochodu.

Hester siedziała z przodu. Wyglądała bardzo poważnie i elegancko w ciemnopopielatym kostiumie z brylantową broszą w klapie. Odwróciła się do Hazel.

– Żałuję, że nie zostałyśmy sobie przedstawione. Ale John opowiedział mi wszystko o tobie.

Stainer zapalił silnik i koła samochodu zazgrzytały na żwirze podjazdu. Hazel obejmowała się ramionami, jakby dokuczało jej zimno, choć w samochodzie było przynajmniej o pięć stopni za gorąco.

– Hazel chce, żeby ją zawieźć na stację – powiedział John. – Nie zamierza jechać do

doktora Nasha.

Hester odwróciła się w fotelu.

– Jesteś pewna, moja droga? Doktor Nash to jeden z najlepszych lekarzy w kraju. Z przyjemnością zapłacimy mu za ten zabieg.

Hazel pokręciła głową, w ogóle nie patrząc na kobietę, która nie chciała być jej teściową.

– Chcę tylko dostać się do domu.

– Jak sobie życzysz – odparła Hester. – Chcieliśmy ci tylko pomóc.

– Wciąż jeszcze możesz zmienić zdanie – wtrącił John.

Hazel odwróciła głowę i popatrzyła na nich.

– Pomóc? – powtórzyła z ironią. – Wy, bogaci biali ludzie, nigdy nie pomogliście nikomu poza sobą i nigdy nie pomożecie. Bliższa ciału koszula, prawda, pani Cornelius? A pani na pewno się postara, żeby zawsze była bliższa.

– Możesz sobie być gburowata, moja droga – rzuciła Hester. – Za dziesięć minut wsiądziesz do pociągu i nigdy się już nie zobaczymy.

– Czy wiecie, że jedziemy limuzyną marki Pierce-Arrow, model Silver Arrow? Zrobiono tylko pięć takich egzemplarzy na zeszłoroczną wystawę światową w Chicago – powiedział John takim tonem, jakby odczytywał etykietkę na butelce z lekarstwem. – Ma dwunastocylindrowy

silnik o mocy stu siedemdziesięciu pięciu koni i kosztuje ponad dziesięć tysięcy dolarów.

Hazel, choć powiedziała sobie, że nie będzie płakać, nie mogła powstrzymać łez. John również płakał, bo wreszcie sobie uświadomił, jak bardzo ją skrzywdził. Myślał także o swoim pierwszym dziecku, które za kilka dni będzie leżeć martwe w szpitalnym koszu na odpadki, zamiast myśleć o bogactwie, samochodach Pierce-Arrow i nudnych dniach spędzanych na wybrzeżach Hudsonu.

♦ ♦ ♦

Wielki Smok oddziału Ku-Klux-Klanu w Shreveport mieszkał w niewielkim, pomalowanym na biało domu na przedmieściu, otoczonym prostym drewnianym płotem. W oknach wisiały firanki w kwiaty, przewiązane kokardami jak w domku dla lalek. Kiedy pod dom podjechała brązowa limuzyna Davida Bookbindera, gospodarz stał przed frontowym trawnikiem z wyrazem zadowolenia na szerokiej, spalonej słońcem twarzy, która niepokojąco przypominała Johannowi twarz Kyle’a Lennoxa sprzed trzydziestu kilku lat. Miał wrażenie, że David Bookbinder celowo wybrał

tego człowieka, by przypomniał mu o jego dawnych występkach.

Gdy wysiadali z samochodu, Wielki Smok podszedł do nich, by się przywitać. Był ogromny jak szynka z medalowego knura. Miał na sobie wykrochmaloną białą koszulę, wyprasowane w kant spodnie khaki i sandały, z których wyglądały równe rządki palców, różowych jak krewetki w puszce.

– Jak się masz, David – powiedział, ściskając rękę Bookbindera. – A to twoi przyjaciele, tak?

Dzień był słoneczny i bardzo gorący. Johann założył okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz, a Keith niemal pływał w pocie.

– Johann Cornelius – przedstawił się Johann, ujmując rękę Wielkiego Smoka, po czym spytał: – Jak mam się do ciebie zwracać? Wasza Smoczość?

Wielki Smok zarechotał.

– Nie musisz. Nazywam się Chesley Crowther. Poza tym w dzisiejszych czasach lepiej nie używać nazw klanowych. Władze za nami nie przepadają. Ale zapraszam do środka. Mogę poczęstować was piwem z lodu.

Weszli do domu. Był niezbyt duży, ale bardzo czysty i urządzono go tanimi, prostymi i funkcjonalnymi meblami. W kącie mruczała

nowa lodówka. Chesley zajął się otwieraniem piwa, a Johann usiadł i rozglądał się po wnętrzu. Na ścianie wisiała makatka z napisem „Bóg Jest Biały”, a naprzeciwko niej fotografia gospodarza i dwudziestu innych rosłych obywateli Shreveport, zrobiona podczas wyprawy na ryby.

– Dawno cię tu nie było, David – powiedział z szerokim uśmiechem Chesley, wręczając im szklanki z old milwaukee. – Ale przecież nie jesteś jednym z nas.

Usiadł, pociągnął długi łyk piwa i wyprasowaną białą chusteczką otarł pianę z górnej wargi.

– David jest jedynym odstępstwem od naszych zasad – wyjaśnił Johannowi, pochylając się w jego stronę i mrugając konfidencjonalnie. – To bardzo interesujący i wpływowy facet. Jest naszym Judah Benjaminem[8].

Bookbinder spróbował piwa i odstawił je na stół.

– To kwestia wyboru priorytetów – oświadczył. – Czasem interesy biznesowe i polityczne są ważniejsze od poglądów rasowych. Uważam, że Chesley jest nieznośnym bigotem, ale on dobrze wie, co o nim myślę, i zdecydowaliśmy się od czasu do czasu ze sobą współpracować.

– Myślałem, że Ku-Klux-Klan już dawno został rozłożony na łopatki – powiedział Henry. – Przynajmniej tak mówią na północy.

Chesley Crowther roześmiał się głośno, wypił następny łyk piwa, otarł wargę i znowu się roześmiał.

– To tak, jakby powiedzieć, że Kościół jest rozłożony na łopatki – stwierdził. – Jak długo ludzie będą wierzyć w supremację białego człowieka, nie będą tolerować komunizmu, utrzymywania z naszych podatków nierobów, mieszanych małżeństw i niszczenia przez czarnuchów naszego czystego kraju, tak długo Klan będzie silny. Musimy chronić nasze dziedzictwo, Henry, i będziemy to robić, nawet gdybyśmy musieli wpakować kulę w brzuch każdemu czarnuchowi i każdemu mięczakowatemu liberałowi!

– Panie Crowther, chciałbym wiedzieć, czy potrafi pan przeprowadzić skuteczną kampanię przeciwko stacjom benzynowym Coltona – powiedział sucho Johann. – Problemy rasowe mnie nie interesują.

Chesley odwrócił się do niego.

– Nie interesują cię, co? No to pozwól, że cię o coś zapytam. A gdybyś się dowiedział, że twój

syn czy córka barłożyli się z czarnuchami, co byś czuł?

– Nie wiem. Ale nic takiego się nie wydarzyło i nie sądzę, aby miało się wydarzyć.

Chesley machnął wielką ręką.

– Jeszcze może nie, jeśli jednak nie zamknie się ust wszystkim krzykaczom, którzy próbują udowodnić, że murzyńskie masy nie stoją biologicznie niżej od białych, wkrótce te murzyńskie masy zwrócą się przeciwko nam i będą chciały się barłożyć z naszymi synami i córkami. Jak by ci się podobało mieć czarnego zięcia albo czarną synową? Jak by ci się podobało mieć półkrwi wnuka i dziedzica? Jestem dumny z tego, kim jestem, Johann, i mam nadzieję, że ty też.

David Bookbinder popatrzył na Johanna, który zadał sobie w duchu pytanie, ile ten dziwny człowiek wie o jego przeszłości. Pod jego wzrokiem czuł się bardzo nieswojo, jakby całe jego życie było sprawdzanym przez podoficera żołnierskim ekwipunkiem.

– Panie Crowther, sympatie i antypatie Klanu nie są dla mnie tajemnicą – powiedział. – Ale nie ma takiej możliwości, żeby któremuś z moich dzieci zachciało się kumać z czarnymi, a gdyby nawet do tego doszło, zrobiłbym wszystko, żeby

mu się tego szybko odechciało. Czy teraz możemy porozmawiać o interesach?

Chesley pojednawczo uniósł ręce i ulokował na krześle swój wielki zad.

– Pytasz mnie, czy mogę narobić zamieszania na stacjach Coltona w taki sposób, żeby to wyglądało jak nasz zwykły wypad?

Johann kiwnął głową.

– Obecny tu pan Bookbinder przekazał panu większość szczegółów, prawda? Chcemy, żeby stacja przy Youree Drive spłonęła do fundamentów.

Chesley podrapał się za uchem.

– To mi wygląda na łatwiznę. Ale co będzie, jeśli Dan Gibbons będzie nam robić jakieś problemy?

– Dan Gibbons to miejscowy szeryf – wyjaśnił Bookbinder. – Je nam z ręki, Chesley, nie martw się nim. Wczoraj wieczorem złożyłem mu wizytę i spodziewa się nowego samochodu. Nie zbliży się do Youree Drive, dopóki nie będziecie wystarczająco daleko.

– To brzmi całkiem rozsądnie – przyznał Chesley. – A jakie przewidujesz wynagrodzenie za taką nocną robótkę?

– Dziesięć tysięcy dolarów – odparł Johann. – Wszystko w używanych banknotach, wypłacone

zaraz po robocie.

Była to nęcąca propozycja. Klan był podzielony, słaby i rozpaczliwie potrzebował funduszy. Chesley wiedział, że kiedy nadejdzie czas wyborów nowego Wielkiego Czarodzieja, rządzącego Niewidzialnym Imperium, gotówka w banku zapewni mu przewagę nad rywalami. Uniósł szklankę i wzniósł toast:

– Za udaną robotę.

Jeszcze trochę porozmawiali i przedyskutowali szczegóły nocnego wypadu, a potem Chesley pokazał Johannowi znajdującą się na tyłach domu Pieczarę Klanową, mroczne pomieszczenie, w którym spotykali się członkowie organizacji.

W końcu Johann ze znużeniem przetarł oczy.

– Dziękuję, panie Crowther – powiedział. – Jestem przekonany, że spisze się pan na medal – dodał, po czym pożegnał się i wyszedł z domu.

♦ ♦ ♦

Następnej nocy Klan znów zaatakował w Shreveport – pierwszy raz od dziewięciu lat. Piętnastka jeźdźców w spiczastych białych kapeluszach i rozwianych białych szatach wpadła na Youree Drive, wrzeszcząc

i wymachując płonącymi pochodniami. Ulice były zupełnie puste, gdy wjechali na podjazd stacji benzynowej Texas Star, w której siedział tylko jeden kolorowy pracownik. Położywszy nogi na blacie biurka, czytał jakiś komiks i słuchał muzyki country nadawanej przez radio.

Członkowie Klanu zeskoczyli z koni i wpadli do środka. Charlie Wright był tak przerażony ich upiornym wyglądem, że się zmoczył. Upadł na kolana, a kiedy jeden z napastników uderzył go w kark kolbą strzelby, runął na podłogę, trafiając po drodze głową w krzesło i tracąc przytomność.

Rozwalono kolbami kasę i wybito wszystkie okna. Przewrócono szafki z aktami, wyciągnięto szuflady, rozrzucono papiery i kwity. Jeden z napastników przyniósł czerwony karnister napełniony benzyną z dystrybutora i rozlał ją po całym pomieszczeniu, nie zapominając o Charliem Wrighcie. Wychodząc, rzucili za sobą zapalone zapałki i benzyna natychmiast się zapaliła, liżąc wszystko pomarańczowymi płomieniami.

Kiedy trzej mężczyźni przystąpili do wznoszenia tradycyjnego krzyża, reszta dosiadła koni i otoczyła go kręgiem, strzelając w powietrze i pohukując jak sowy. Gdy krzyż stanął na placyku przed stacją, zapalono go.

W mroku nocy 1934 roku ten przerażający symbol czystości rasowej płonął równie jasno jak w dawniejszych latach.

Charliego Wrighta ocucił straszliwy ból. Potykając się, wyskoczył ze stacji. Członkowie klanu wiwatowali i wrzeszczeli, widząc wybiegającego z budynku człowieka w płomieniach. Charlie dotarł aż do dystrybutorów. Jego ubranie i włosy płonęły. Gdy upadł na ziemię, pięć przecznic dalej jego matka spojrzała na zegarek i uznała, że najwyższy czas przygrzać dla syna kolację.

Kiedy zbiorniki stacji Texas Star wybuchły, huk eksplozji słychać było w odległości czterech mil, a znajdujące się bliżej domy straciły wszystkie szyby w oknach. Mieszkająca w domku naprzeciwko stara panna uznała, że to koniec świata, więc poszła na górę i położyła się na łóżku, czekając na wielki finał. Wyrzucony przez tylną ścianę budy pies przeleciał pięćdziesiąt jardów ogrodu i wylądował na stole bibliotekarki, która samotnie spożywała kolację. Naczelnik straży pożarnej odczekał w remizie dziesięć minut, po czym wysłał wozy na miejsce eksplozji.

Członkowie Klanu, wrzeszcząc i wyjąc, przegalopowali Youree Drive. Na końcu Ockley

Drive się rozdzielili i popędzili do swoich domów. Wielki krzyż płonął przy pogorzelisku, a z zachodu dobiegało zawodzenie syren.

Johann odsunął zasłony w swoim hotelowym pokoju i słuchał nocnych hałasów. Siedział u niego David Bookbinder ze szklaneczką whisky i ostatnim cygarem. Henry rozmawiał przez telefon z Nowym Jorkiem, z menedżerami i maklerami Cornelius Oil, przygotowując plan inwestycji finansowych na następny dzień.

– Wygląda na to, że rozpaliliśmy niezłe ognisko – mruknął Johann, opuszczając zasłony.

Bookbinder pokiwał głową.

– Ogień należy zwalczać ogniem. Percy Colton musi wiedzieć, gdzie jego miejsce. Stary dziad z niego, ale twardy.

– Naprawdę pan wierzy, że się podda?

– Musi. Mamy już jedną siódmą głosów na walne zgromadzenie akcjonariuszy Coltona, a kiedy rozejdzie się wieść, że Ku-Klux-Klan niszczy jego stacje benzynowe, szybko zdobędziemy resztę głosów.

– Dziwny z pana człowiek, Bookbinder – stwierdził Johann. – Ma pan dość osobliwe metody pracy.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Czy to znaczy, że zdecydował się pan mnie zatrudnić?

Johann uniósł głowę.

– Chyba nie mam wyboru, prawda? Cholera, jak człowiek sobie pościele, tak się wyśpi, a ja pościeliłem sobie już w tysiąc dziewięćset trzecim.

Bookbinder wzruszył ramionami.

– Miło mi, że tak pan to widzi. W przeciwnym wypadku mogłoby być nieprzyjemnie. A wie pan przecież, że nie cierpię szantażu.

Johann podszedł do ściennego stolika i nalał sobie brandy. Pociągnął łyk i zamknął oczy, gdy trunek spływał mu do gardła.

– Prawie mógłbym w to uwierzyć – rzekł.

Usiadł na krześle i pochylił się, trzymając kieliszek w obu rękach.

– Chciałbym jednak, aby pan wiedział, że to nie szantaż wpłynął na moją decyzję – dodał, jakby prawnik potrzebował wytłumaczenia.

Bookbinder nic na to nie odpowiedział, tylko ściągnął wargi i wydmuchnął dym w stronę sufitu. Niebieska chmurka uniosła się w powietrze i rozpłynęła.

– Nigdy do końca nie zrozumiałem tego wszystkiego, co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset trzecim roku. Kiedy czasem wracam

pamięcią do tamtych dni, zastanawiam się, czy wtedy nie zwariowałem. Związałem się z dwunastoletnią czy trzynastoletnią dziewczyną, która obdarzyła mnie piękną przyjaźnią. Sądzę, że to ja w jakiś sposób doprowadziłem do jej śmierci. A potem straciłem miłość kobiety, która była piękniejsza, niż mógłby pan to sobie wyobrazić, i pozwoliłem, by wpadła w ręce ludzi, którzy na zawsze zniszczyli jej dumę i kobiecość. Życie zresztą też.

– Dosyć dziwnie mówi pan o miłości – zauważył Bookbinder.

Johann się skrzywił.

– Kiedy mówię „miłość”, mam na myśli poświęcenie. Nie jestem pewien, czy w ogóle wiem, co to jest miłość.

– Oczywiście, że pan wie. Jak pan myśli, dlaczego to wszystko tak się potoczyło? Pan zawsze był zakochany.

– Chce pan powiedzieć, że byłem zakochany w sobie?

Bookbinder pokręcił głową.

– Pan jest zakochany w bogactwie. Oczywiście nie znałem pana przez całe pańskie życie, ale to dla mnie oczywiste.

– W bogactwie?

Bookbinder popatrzył na niego łagodnie.

– Właśnie. To rzadka, lecz bardzo poważna choroba. Znacznie cięższa niż miłość do pieniądza.

– Bzdury.

– Wcale nie. Miłość do pieniądza to bardzo specyficzny rodzaj miłości i prawie zawsze dotyka tych, którzy nigdy nie będą bogaci. Jeśli kocha pan zapach i dotyk dziesięciodolarówek, jest pan finansowym sybarytą, ale nie miłośnikiem bogactwa. Prawdziwe bogactwo to zimna i abstrakcyjna bogini, panie Cornelius. Żeby kochać prawdziwe bogactwo, musi pan być zainspirowany ideą bogactwa. Zauważył pan, że bogaci ludzie nigdy nie noszą przy sobie pieniędzy? Czerpią przyjemność z tego, co mają w głowach, a nie w portfelach.

Johann usiadł na krześle.

– Czy miłość do bogactwa zawsze oznacza niedosyt?

– Każda miłość oznacza niedosyt – odparł Bookbinder. – Wynika to z samej jej istoty.

– Ale czemu pozwoliłem, aby Beatrice mnie zostawiła? Czemu pozwoliłem jej odejść? I Carinie? Powinienem strzec jej jak oka w głowie!

Bookbinder wstał, podszedł do popielniczki i położył na niej niedopałek cygara.

– Nie jestem psychiatrą, panie Cornelius. Nie jestem nawet rabinem. Ale uważam, że postępował pan jak każdy mężczyzna, który próbuje kontrolować obsesyjną nieodwzajemnioną miłość. Szukał pan w kobietach substytutu pańskiej miłości do bogactwa. O ileż prościej jest kochać kobietę niż bogactwo! Miłość do bogactwa to ściganie złotego mirażu, którego nie można dosięgnąć. Ale pańskie kobiety…

Johann podniósł wzrok.

– Ale pańskie kobiety – powtórzył Bookbinder – nie wystarczały panu. Brał pan od nich tyle, że doprowadził je pan do granic wytrzymałości. Myślał pan, że je kocha, jednak zostały zmielone przez młyn, który produkował pańską fortunę. To wszystko jest bardzo smutne i pewnie nie pan jest temu winien, ale sądzę, że było to nieuniknione. Jak mówią Rosjanie, „nie dziwota, że wiosną ptaki wracają”. Musiał się pan przekonać, jak mało kocha pan kobiety, żeby zdać sobie sprawę, jak bardzo kocha pan bogactwo.

Johann przez długi czas milczał. Ze zmarszczonym czołem siedział zgarbiony w fotelu, obracając w dłoni szklaneczkę. W końcu powiedział:

– Zamierzam mianować pana, Bookbinder, prezesem zarządu Cornelius Oil. Robię to pod warunkiem, że nic, co pan wie o moim życiu w Teksasie, nigdy nie zostanie nikomu wyjawione. Przekażę również panu jeden procent wartości netto Cornelius Oil. – Przerwał na chwilę, po czym podjął: – Ze względu na nasze dalsze relacje chcę, aby pan wiedział, że częściowo udało się panu mnie zaszantażować, a częściowo nie. Gdybym się zdecydował walczyć z panem, pewnie dopiąłbym swego bez względu na to, jaki skandal by pan rozpętał. Ale czuję, że współpraca z panem przyniesie mi korzyść, chociaż jaka będzie to korzyść, tego jeszcze nie jestem pewien. Myślę, że zawsze będzie mi pan przypominał, jaki naprawdę jestem, bo pan i ja nie różnimy się tak bardzo. Kiedy będę patrzeć na pana, za każdym razem zobaczę samego siebie. Sądzę, że to najlepsza kara, jaką mógłbym sobie wymierzyć.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Proszę mi wierzyć, panie Cornelius, to mądry wybór. I jeszcze jedno: czy mógłby pan wyświadczyć mi pewną przysługę?

– Jaką? Chce pan, żebym puścił spotkanie z panem w niepamięć?

– Nic z tych rzeczy. Mam przyjaciela, który ma kłopoty z federalną ławą przysięgłych[9] i rozgląda się za jakimś spokojnym miejscem pobytu. Zastanawiam się, czy nie ma pan wolnego pokoiku albo dwóch na Lynwood?

– Jak ten pański przyjaciel się nazywa?

– Och, zna go pan. Albo powinien znać. To Dutch Schultz.

Johann zakręcił brandy w swoim kieliszku. Nie był zadowolony, ale jednocześnie miał wrażenie, że wyrwano mu bolący ząb i kiedy jutro się obudzi, wreszcie nie będzie czuł bólu.

– Więc to się właśnie tak zaczyna? – zapytał cicho.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Początki nigdy nie są łatwe – stwierdził. – Czy życzy pan sobie wymienić ze mną uścisk dłoni?

Johann popatrzył na swojego nowego prezesa zarządu i pokręcił głową.

– Może kiedyś. Nie dzisiaj.

Z ulicy dobiegł sygnał karetki pogotowia. Doczesne szczątki Charlesa Wrighta jechały do miejskiej kostnicy.

♦ ♦ ♦

Percy F. Colton miał w roku 1934 prawie dziewięćdziesiąt lat. Dziennikarze z „The New York Daily Post”, którzy nigdy za nim nie przepadali, lubili go nazywać Matuzalemem Mamony. Ale choć jego okrągła twarz wyschła i zapadła się, a na wszystkich biznesowych spotkaniach towarzyszyły mu pielęgniarki, zachował reputację twardego człowieka, który zrobi wszystko dla ochrony swoich interesów. Na Wall Street sądzono, że maczał palce w podpaleniach stacji Corneliusa, mimo że nie było na to żadnych dowodów. Powszechnie uważano też, że to Johann Cornelius stoi za działaniami wymierzonymi w stacje benzynowe Coltona, przeprowadzanymi przez Ku-Klux-Klan.

Jednak nikt nie miał pojęcia, że David Bookbinder, dyrektor działu prawnego Colton Oil, działa wbrew interesom swego pryncypała, realizując skomplikowany plan, którego celem jest zniszczenie naftowego imperium Coltona.

Doszło do tego w pochmurny czwartek drugiego sierpnia 1934 roku, tego samego dnia, w którym w Niemczech zmarł marszałek Hindenburg, a do Los Angeles przyleciał z Newark pierwszy samolot transkontynentalny, wiozący czternaścioro pasażerów i załogę.

Na siedemnastym piętrze Colton Building przy Park Avenue South zebrały się setki akcjonariuszy Colton Oil. Na nadzwyczajnym walnym zgromadzeniu miano omówić wyniki sprzedaży detalicznej Texas Star i Golden Power po trwających już od trzech miesięcy podpaleniach organizowanych przez Ku-Klux-Klan. Sprawy zaszły tak daleko, że na stacjach Texas Star zatrzymywało się niewielu automobilistów, bojąc się narazić Nocnym Jastrzębiom. Sprzedaż zmalała o pięćdziesiąt osiem procent i nadal spadała.

Kiedy w długiej, wyłożonej niebieskim dywanem galerii zgromadzili się akcjonariusze, pojawił się sam Percy Colton. Przykuśtykał do stołu wsparty na laskach i wspomagany przez dwie śliczne białe pielęgniarki, których uśmiech mógł być reklamą pasty Colgate. Wszyscy zebrani podnieśli się na znak szacunku i nawet rozległy się oklaski. Stojący w głębi przy stole zarządu Bookbinder klaskał najgłośniej.

Colton usiadł i oddał laski jednej z pielęgniarek. Przez salę przebiegł szmer oczekiwania. Niektórzy rozglądali się niespokojnie, jakby wyczuwali, że wydarzy się coś niezwykłego.

Stary multimilioner uderzył młotkiem w stół.

– Rozpoczynam walne zgromadzenie.

Ostatnie rozmowy ucichły.

Colton rozejrzał się po sali załzawionymi oczami w czerwonych obwódkach.

– Zwołaliśmy nadzwyczajne zgromadzenie wszystkich akcjonariuszy Colton Oil, aby zapytać was, co sądzicie o drobnych problemach, jakie mają ostatnio nasze stacje benzynowe na południu Stanów.

– Drobne problemy? Wolne żarty! – zawołał ktoś z sali.

Krzykacza uciszono i Colton mówił dalej:

– Chcę wam powiedzieć, że chyba poradziliśmy sobie z tą zagadką. Wyglądało to na robotę Ku-Klux-Klanu, któremu nie podobało się, że zatrudniamy kolorowych. Ale przeprowadziłem śledztwo i uważam, że za te ataki należy podziękować jednemu z naszych głównych rywali z przemysłu petrochemicznego.

– I co pan zamierza z tym zrobić? – zapytał inny akcjonariusz.

– Kto pierwszy zaczął podpalenia? Chcemy to wiedzieć! – zawtórował mu jeszcze jeden.

Colton znów walnął młotkiem w stół.

– Robimy wszystko, co się da! Musicie wiedzieć, że kiedy nasza stacja ma być napadnięta, miejscowa policja i straż pożarna

dostają wcześniej w łapę, żeby udawać, że niczego nie widzą. Jednak KKK nie ma dość pieniędzy, aby uciszyć miejscowych gliniarzy, a to oznacza, że stoi za tym ktoś inny, dysponujący znacznie większymi możliwościami finansowymi.

– A wie pan, dlaczego tak się dzieje? – zapytała siedząca dość daleko kobieta. – Dlatego że pan pierwszy zaczął niszczyć ich stacje!

Rozległ się ryk poparcia i wybuchły oklaski. Siedzący w drugim rzędzie mężczyzna w granatowym garniturze i okularach wstał i uniósł rękę.

– Panie przewodniczący, zgłaszam wniosek!

Colton po raz kolejny walnął młotkiem w stół.

– Siadać! – warknął. – Możesz pan zgłaszać wnioski dopiero wtedy, gdy skończę mówić!

– Panie przewodniczący, zgłaszam natychmiastowy wniosek! To wniosek o wotum nieufności wobec przewodniczącego rady i zarządu i żądanie ich natychmiastowej rezygnacji!

Ktoś inny zerwał się z miejsca i krzyknął:

– Popieram ten wniosek!

Znowu wszyscy zaczęli krzyczeć i Colton gniewnie rozejrzał się po sali. Dopiero kiedy

trzykrotnie uderzył młotkiem, udało mu się uciszyć zgromadzonych.

– Doskonale – powiedział z irytacją. – To wbrew porządkowi obrad, ale skoro chcecie przegłosować ten wniosek, nie mam nic przeciwko temu. Miejmy już za sobą te dziecięce przepychanki i zajmijmy się poważnymi sprawami. Panie Kharmann, czy zechce pan policzyć głosy?

– Oczywiście, proszę pana.

Colton znów się rozejrzał, tym razem uważniej. Na sali oprócz sprzyjających mu ludzi znajdowało się wielu takich, co do których miał wątpliwości. Ale zauważył też sporo nowych, zupełnie nieznanych mu twarzy. Powiedział cicho:

– Kto jest za, niech podniesie rękę.

Przynajmniej połowa rąk powędrowała w górę. Uzbrojony w dwuogniskowe okulary Kharmann policzył je szybko.

– Teraz niech podniosą ręce ci, którzy są przeciw – oświadczył Colton.

Kolejne ręce powędrowały w górę. Kharmann znowu je policzył, po czym usiadł, aby obliczyć wynik. W sali panowała absolutna cisza, gdy dodawał i porównywał głosy.

Po pięciu minutach podniósł głowę. Był blady jak ściana i zanim przemówił, zdjął okulary.

– No i co? – warknął Colton. – Miejmy to już za sobą!

Kharmann pokręcił głową.

– Nie możemy, proszę pana. Wniosek przeszedł.

Colton zabrał mu kartkę sprzed nosa.

– Przeszedł? Nie bądź śmieszny, do cholery!

Popatrzył na listę głosujących akcjonariuszy i pokazał palcem jedną z najbardziej wpływowych firm – Carina Hydraulics.

– Co to? – zapytał głosem schrypniętym z wściekłości. – Co to ma być? Myślałem, że Carina Hydraulics jest związana z naszymi operacjami w Kansas! Jak mogła głosować przeciwko nam?

Członkowie zarządu popatrzyli na siebie zmieszani. Jeden z nich spytał:

– David, czy to nie ty zaaranżowałeś tę inwestycję?

Wśród zamieszania i krzyków Bookbinder wstał i zwrócił się do zgromadzonych. Uniósł rękę, prosząc o ciszę.

– Wygląda na to, że popełniłem straszliwy błąd… – zaczął.

Na sali znów podniósł się gwar.

– Proszę… dajcie mi wyjaśnić. Kiedy w czerwcu mieliśmy nową emisję akcji, odniosłem wrażenie, że Carina Hydraulics to zamożna i solidna firma, której możemy absolutnie zaufać. Zamierzaliśmy korzystać z ich magazynów i rafinerii, a oni w zamian mieli włożyć kilka milionów w nasz rozwój. Niestety…

Nie pozwolono mu dokończyć – jego głos zniknął w chórze okrzyków wyrażających oburzenie i zaskoczenie.

Ponownie uniósł rękę.

– Niestety, chociaż Carina Hydraulics jest uczciwą firmą o najwyższych standardach, trudno nazwać ją przyjazną – podjął. – Kontroluje ją Kruyper Coal, który jest niemal całkowicie zależny od Cornelius Oil.

Rozległy się okrzyki zdumienia. Dwaj reporterzy, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, wybiegli z sali, pędząc do najbliższych telefonów.

Colton sztywno podniósł się z krzesła jak pociągana za sznurki marionetka.

– Cornelius? – wysyczał. – Cornelius?

Bookbinder przybrał zawstydzony wyraz twarzy.

– Bardzo żałuję, proszę pana, ale tak jest. Obawiam się również, że Cornelius Oil ma przewagę głosów w Hulbert Aviation Fuels,

Rockaway Properties, Nash Lumber Corporation i Eastern Wave Insurance, które głosowały dzisiaj przeciwko obecnemu zarządowi.

Percy Colton opadł na krzesło. Jedna z pielęgniarek położyła mu na czole chłodną rękę o pomalowanych na czerwono paznokciach. Druga wysypała na dłoń kilka tabletek.

– Mogę winić za to tylko siebie – oznajmił Bookbinder. – To moja niestaranność i niedopatrzenie doprowadziły do tego, że tak wiele głosów wpadło w ręce głównego rywala Colton Oil. Nie przeprowadziłem należytej weryfikacji akcjonariuszy i przyjmuję pełną odpowiedzialność za to, co się dzisiaj stało. Proszę przyjąć nie tylko moje przeprosiny, ale i natychmiastową rezygnację.

Colton odepchnął rękę z tabletkami.

– Nie chcę żadnych leków. Wyprowadźcie mnie stąd natychmiast – wychrypiał. – Brakuje mi powietrza.

♦ ♦ ♦

Tego samego dnia późnym wieczorem Bookbinder przyjechał do rezydencji Johanna przy Gramercy Park. Kamerdyner Vucinzki wziął od niego miękki filcowy kapelusz i wprowadził

go do pokoju, w którym wiele lat później Roderick przeglądał wszystkie jego listy i memoranda. Johann siedział w swoim ulubionym fotelu. Rozłożywszy dokumenty, nagrywał wytyczne na dyktafon Edisona.

– Proszę siadać – powiedział. – Prawie skończyłem.

Bookbinder usiadł. Po chwili Johann zebrał papiery w nierówny stos, wyłączył dyktafon i zadzwonił po Vucinzkiego, żeby zabrał dokumenty. Potem odwrócił się do Bookbindera i zapytał:

– No i co? Po sprawie, czy tak?

Bookbinder wyjął cygaro.

– Jest pan zadowolony? – spytał z prowokacyjnym uśmieszkiem.

– Nie wiem. Myślę, że Carina w końcu została pomszczona.

– Sądzę, że wszyscy zostaliśmy pomszczeni. W każdym razie nadszedł czas, żeby stary PFC pojechał do domu opieki i zajął się wyplataniem koszyków.

Johann kiwnął głową.

– Czy pan wie, że jest pan teraz trzecim producentem paliw płynnych w Stanach Zjednoczonych? – spytał Bookbinder.

– Tak, Henry mi o tym powiedział. Spytał mnie też, czy każę panu odwołać ludzi z Klanu.

– Już to zrobiłem. Wielki Smok jest bardzo zawiedziony. Powiedział, że od lat nie mieli takiej wspaniałej rozrywki.

– Niektórzy najlepiej się bawią, ukręcając łebki kurczakom – mruknął z ironią Johann.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu – para niedobranych wspólników.

W końcu Johann podniósł głowę.

– Tak sobie myślałem… – zaczął.

Bookbinder uniósł brwi.

– Tak sobie myślałem, że skoro to tydzień zemsty, powinienem zemścić się, jak należy.

– To znaczy?

Johann wpatrywał się w jakiś niewidoczny, bardzo odległy cel.

– Przy Pięćdziesiątej Ósmej jest restauracja… Carbonnade.

– Znam ją. Kiedyś nazywała się U Eduarda.

– Właśnie. Chcę, żeby pan ją dla mnie kupił. Potem zwolni pan cały personel i zamknie lokal.

Bookbinder przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

– Domyślam się, że wiele lat temu personel Carbonnade pana obraził. Mam rację? – zapytał.

Johann nic na to nie odpowiedział.

– Niech pan zostawi tę restaurację w spokoju – dodał Bookbinder. – Kierownik i kelnerzy, którzy pracowali tam w tysiąc dziewięćset trzecim, na pewno już dawno odeszli. Poza tym lubię tam jeść, bo podają koszerną wołowinę.

Johann kiwnął głową.

– Skoro pan sobie tak życzy… Ale kiedyś doprowadzi mnie pan swoimi życzeniami do śmierci, Bookbinder.

Prawnik zabrał się do obcinania koniuszka cygara i głośny trzask, który rozległ się w ciszy, zabrzmiał, jakby ktoś odcinał taśmę filmową.

1937

CORNELIUS ZAPOWIADA WIELKIE ZMIANY W PRZEMYŚLE LOTNICZYM

„NAJWIĘKSZY SAMOLOT ŚWIATA” JUŻ W BUDOWIE

Roderick Cornelius, starszy syn miliardera Johanna Corneliusa i menedżer Cornelius Oil, ujawnił nam dziś plany budowy i eksploatacji największego i najszybszego na świecie samolotu pasażerskiego.

„Dzieło, do którego realizacji dzisiaj przystąpiliśmy, sprawi, że świat się bardzo skurczy” – powiedział na konferencji specjalistów od awiacji i korespondentów agencji prasowych w Charlestonie, w stanie Wirginia Zachodnia.

„New York Times”
wrzesień 1937 r.

W mroczne dni nowy gmach Cornelius Oil przy dolnej części Broadwayu emanował przygnębiającym dostojeństwem. Przypominał wtedy ogromnego, przesadnie wystrojonego dla uciechy swego pana garbusa, kucającego na zalanym deszczem pałacowym podwórcu. Na Wall Street nazywano go Stękającą Stodołą. Jego twórcą był pozbawiony smaku naśladowca Cassa Gilberta, projektanta Gmachu Woolwortha, ale podczas gdy Gilbert potrafił sprawić, że gotyckie wieżyczki wydawały się eteryczne i lekkie, jego naśladowcę stać było tylko na ustawienie stosu gigantycznych bloków i umieszczenie na tym wielkim, opasłym tworze tylu bezsensownych ozdóbek, ile tylko konstrukcja zdołała udźwignąć.

Patrzenie na szarobrązowe granitowe płyty elewacji mogło wprawić w ponury nastrój. Budynek miał trzydzieści pięć kondygnacji i był równie przygnębiający w środku, jak na zewnątrz. Wszystkie gabinety były wyłożone południowoamerykańskim mahoniem, podłogi pokrywała brązowa wykładzina, a gałki u drzwi i kaloryfery ozdobiono motywami w kształcie liści winorośli. Plotka głosiła, że architekt chciał wstawić okna z barwionego szkła, ale w końcu ktoś z rodziny Johanna (prawdopodobnie Hester) zaprotestował. Lauder Greenway, *arbiter elegantiarum* Nowego Jorku, nazwał ten budynek „pomnikiem na cześć wszystkiego, co można kupić za pieniądze – naprawdę wszystkiego”. A kiedy James Gamble Rogers, słynny budowniczy amerykańskich uniwersytetów, zajrzał do holu tuż po otwarciu budynku w 1936 roku i popatrzył na wykładane czarnym żyłkowanym marmurem ściany (ściągnięte z Gmachu Strausa), nazwał to miejsce „najdroższym domem pogrzebowym w historii Ameryki”.

Rodzina Corneliusów wiedziała, że ich główne biuro jest architektonicznym monstrum, ale Gmach, jak go zwykle po prostu nazywali, emanował taką potęgą, że uważali go za

doskonałą wizytówkę swojego imperium. Był świątynią ich fortuny i obrazem drogi, którą do niej doszli. Jak to ujął Johann: „Chcę, aby każdy przechodzący bankier, każdy inwestor, każdy rockefellerowski kundel zmuszony do gapienia się na mój budynek z okien Gmachu Standard Oil widział, że jesteśmy bogaci, solidni, potężni, wierni tradycji i aroganccy. Jeśli jest brzydki, to dlatego, że chcemy, aby był brzydki, i nikomu nic do tego”.

♦ ♦ ♦

Gabinet Davida Bookbindera mieścił się na najwyższym piętrze, samotne gniazdo pomiędzy najwyższymi wieżyczkami. Dziewiąty czerwca 1936 roku w Nowym Jorku był wilgotny, chmurny i duszny, ale po południu zaczął padać deszcz i odświeżył powietrze. Bookbinder siedział przy otwartych oknach i krople deszczu zmoczyły dokumenty i akta, które rozłożył na parapetach. Z przyjemnością wsłuchiwał się w szelest strumieni wody na fasadzie i wystawiał twarz na wpadające do pokoju świeże podmuchy, myśląc przy tym zgryźliwie, że kiedy ludzie z pionu rachunkowego dostaną

przeglądane przez niego papiery, mogą pomyśleć, że znajdują się na nich ślady łez.

Johann przebywał w mieście, bo właśnie trwał strajk transportowców, żądających zwiększenia stawek i skrócenia czasu pracy. Hester również pojawiła się w mieście. Miała odbyć kilka wizyt, a potem Roderick zabierał ją na *Ryszarda II* z Maurice'em Evansem. Roderick miał dwadzieścia trzy lata i skłonność do tycia. Zachowywał się ostatnio dość nerwowo, gdyż ojciec kazał mu zbadać możliwość obsługiwania linii pasażerskich przez sterowce, a tymczasem kariera tych wielkich statków powietrznych zakończyła się nagle w ubiegłym miesiącu wraz z eksplozją *Hindenburga* nad New Jersey. Krążyły plotki, że Pan American testuje loty transatlantyckie i Johann domagał się udziału Cornelius Oil w tym przedsięwzięciu. Hester uważała, że pomysł latania nad Atlantykiem jest ekscytujący, ale Roderick miał lęk wysokości. Założył się o dwadzieścia pięć dolarów ze swoją przyjaciółką Daviną Beerenberg, że Amelia Earhart nie przeleci dookoła świata, a ponieważ Davina miała bzika na punkcie samolotów, z entuzjazmem przyjęła zakład.

John był na wakacjach z przyjacielem z Harvardu. Spędzali czas na Florydzie,

odwiedzając młodych pisarzy poznanych na Key West. Potem John w ramach synowskich obowiązków miał obejrzeć pola naftowe Johanna w Teksasie. Przysłał Bookbinderowi pocztówkę ze złośliwym tekstem: „Dzisiaj po raz pierwszy jadłem ślimaka morskiego. Muszę przyznać, że bardzo przypominał mi Ciebie”.

W imperium Corneliusa interesy szły całkiem nieźle; ale kilka miesięcy temu wrażliwy nos Bookbindera zwietrzył, że na giełdzie coś się szykuje, i robił wszystko, co w jego mocy, by przygotować korporację na konieczność wprowadzenia oszczędności i możliwą recesję. Tego przedpołudnia odbył długą rozmowę telefoniczną z Daylong Oil. Wiceprezes tej firmy, Al Foretto, stwierdził, że salony są zawalone niesprzedanymi samochodami, bo ludzie nie mają środków na luksusowe artykuły.

– Trudno mi zaprzeczać temu, co o nas mówią zwolennicy Nowego Ładu – oświadczył. – Chodzi o ich pretensje wobec „sześćdziesięciu rodzin”, które windują ceny. Zaledwie wczoraj miałem u siebie delegację z fabryki krakingu. Pytali, czy mogą przedstawić swoje żale panu Corneliusowi.

– I co im odpowiedziałeś?

– Że przekażę ich prośbę tobie.

– A co oni na to?

– Wolałbym tego nie powtarzać.

– Powtórz. Nie jestem dzieckiem.

– Powiedzieli, że chcą rozmawiać z Edgarem Bergenem, a nie z Charliem McCarthym.

Bookbinder się roześmiał. Miał na tyle silną pozycję w Cornelius Oil, że mógł sobie pozwolić na rozbawienie. Rzadko słuchał radia poza informacjami pogodowymi i giełdowymi, ale słyszał o słynnym numerze z brzuchomówcą i drewnianą lalką i kiedy się dowiedział, że pracownicy Daylong Oil uważają go za tubę Johanna Corneliusa, bardzo go to rozśmieszyło.

Jednak rozbawienie nie przytłumiło jego niepokoju. Na przyjęciu w ratuszu rozmawiał już z Henrym Morgenthauem, sekretarzem skarbu, i zaprotestował przeciwko cięciom w rządowych wydatkach. Wziął go wtedy na bok i powiedział:

– Henry, kiedy człowiek balansuje na linie, może zrobić tylko krok w przód, w tył i w dół.

Morgenthau popatrzył na niego ostro.

– Za kogo ty mnie bierzesz? Za cyrkowca?

Bookbinder poklepał go po plecach i odparł:

– Może. Ale pomyśl o tym, w którą stronę lepiej zrobić ten krok, zanim będziesz musiał zejść z liny.

Około wpół do czwartej po południu znów zaczęło padać. Bookbinder wstał zza biurka

i podszedł do okna. Zobaczył pokrytą szybko przemieszczającymi się parasolami część parku Bowling Green, a kiedy spojrzał na północ, ujrzał szarą wieżę sześcioletniego Empire State Building, odbijającą blade promienie zasłoniętego chmurami słońca. Samochody trąbiły donośnie, a od wybrzeży Jersey wiał lekki wiatr.

Bookbinder wyjął z grubego skórzanego etui cygaro i zerwał z niego banderolę.

Kilka tygodni temu, w połowie maja, świętował swoją pięćdziesiątą rocznicę urodzin. Na Lynwood urządzono przyjęcie z szampanem, a ponieważ była to też trzecia rocznica jego związku z Corneliusami, Hester wręczyła mu dodatkowy prezent, złoty wizytownik wyłożony lazurytem i ozdobiony tworzącymi cyfrę „3” rubinami. Kiedy przed ubezpieczeniem oddał go do wyceny, usłyszał, że jest wart dwieście piętnaście tysięcy dolarów.

Johann burczał, że taki prezent to wyrzucanie pieniędzy, ale nie trwało to długo. Po trzech latach pracy z Bookbinderem przyznawał w duchu, że niezależnie od tego, co ich ze sobą połączyło, Bookbinder potrafi po mistrzowsku zarządzać jego imperium i jest wyjątkowo skuteczny, gdy trzeba przyprzeć do muru

jakiegoś źle do nich usposobionego senatora czy biznesmena. Niemal żałował, że w czasach Alberta Falla i Teapot Dome nie miał przy sobie jego zamiast Fielda.

W ciągu trzech lat Bookbinder uzyskał większe dochody niż przez całe swoje dotychczasowe życie. Johann często powtarzał, że chociaż ma swoje wady, przynajmniej więcej robi, niż gada.

Zarabiał teraz ponad półtora miliona dolarów rocznie, a płacił mniejsze podatki niż górnik w Pensylwanii. Nigdy jednak nie zapomniał o swoich początkach.

Niespodziewanie otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Johann. Bookbinder się nie odwrócił. Wiedział, że to pryncypał, bo nikt inny nie śmiałby wejść bez pukania. Wyjął obcinarkę i uciął kapturek jednego z aromatycznych kubańskich cygar.

Johann cisnął na biurko czarny filcowy kapelusz z podwiniętym rondem i przez chwilę stał bez ruchu w szarym letnim płaszczu. Poruszał szczęką, jakby miał coś w ustach i nie potrafił się zdecydować, czy to wypluć, czy połknąć.

– Davidzie – powiedział chrapliwie, podchodząc do Bookbindera i przysuwając sobie

fotel. – Czy myślisz, że się starzeję?

Bookbinder pozostał przy oknie.

– Jest takie przysłowie, ale nie pamiętam, jak dokładnie brzmi… – zaczął.

Oparty ramieniem o biurko Johann westchnął i opuścił wzrok na klepki podłogi.

– W każdym razie sprowadza się do pytania, czy lepiej jest być bogatym, czy mądrym – mówił dalej Bookbinder, odwracając się i sięgając do ciasnej kieszeni kamizelki po zapalniczkę.

Johann podniósł wzrok. Bookbinder zapalił cygaro i stał na tle okna. W kłębach dymu wyglądał jak świeżo przybyły z piekieł Mefistofeles.

– Pewnie masz na to pytanie jakąś sprytną odpowiedź – mruknął Johann.

Bookbinder skrzywił się lekko.

– Odpowiedź nie jest sprytna, ale prawdziwa. Według niej lepiej jest być bogatym, bo mądry człowiek zwykle dożywa swoich dni na progu bogatego.

Johann nie był w nastroju do wysłuchiwania tych ludowych mądrości.

– Być może to przysłowie było prawdziwe, kiedy je wymyślono, ale z pewnością przestało być prawdziwe dzisiaj – stwierdził ponuro. – Może Roosevelt miał rację.

– Roosevelt? – zdumiał się Bookbinder.

– A tak, do cholery. Jeśli sędzia Sądu Najwyższego musi odejść z urzędu, gdy skończy siedemdziesiąt lat, bo jest za stary, co ma robić cała reszta ludzi, kiedy im stuknie sześćdziesiąt pięć? Jestem stary, Davidzie, stary i zmęczony. Jestem zmęczony prowadzeniem Cornelius Oil i samym sobą. Nie obchodzi mnie, czy jestem bogaty, czy mądry. Jestem wykończony.

Bookbinder obszedł biurko i usiadł za nim. Splótł tłuste różowe palce, które wyglądały jak wiązka parówek, i z powagą popatrzył na Johanna.

– Co w tym dziwnego? – spytał. – Miałeś dziś ciężki dzień.

– Ciężki? – prychnął Johann. – Ci ludzie ze związku transportowców to zakute łby! Cały dzień gadałem z tak zwaną komórką związkową numer osiemset osiemnasty i nie ustąpili nawet o włos. Zarabiają dwadzieścia pięć dolców tygodniowo, więcej niż ktokolwiek inny w całym kraju, a teraz zachciało im się trzydziestu siedmiu. Inaczej palcem nie kiwną.

– Byli tam dziennikarze?

– Oczywiście, że byli.

– Może powinienem pojechać tam zamiast ciebie. Nie daję im tak często okazji do cytowania

jak ty. Mam nadzieję, że nie powiedziałeś niczego, co mogli uznać za godne uwiecznienia.

Johann z rozdrażnieniem obciągnął płaszcz.

– Myślę, że siedzę w biznesie na tyle długo, że mogę mówić, co chcę i komu chcę, Davidzie. Nie zrobiłem nic złego, nazwałem tylko ich związki chciwą bandą szczurów, żerującą na uczciwym kapitalizmie.

Bookbinder zaciągnął się cygarem.

– Mam nadzieję, że żartujesz… – mruknął.

– Oczywiście, że żartuję. Ale nie będę więcej tego znosił. Chcę wysłać tam jutro rano Freda Durhama i zaczniemy rozmowy o zwolnieniach. Nie zamierzam ulegać szantażowi, Davidzie, to moje ostatnie słowo.

Bookbinder nie potrafił się powstrzymać i uśmiechnął się lekko.

– Nie zapominaj, czemu tu jestem, Johannie.

Johann nic na to nie odpowiedział. Przez chwilę siedział w milczeniu, przygryzając wargę, po czym zapytał:

– Masz tu kawę?

– Pewnie. A może masz ochotę na bajgla?

– Dlaczego nie? Nie jadłem nic od śniadania. To był mój najcięższy dzień od pięciu lat. Teraz możemy się spodziewać, że związkowcy z CIO

zrobią nam taki sam strajk jak chłopaki z General Motors.

Bookbinder wzruszył ramionami.

– Nie przejmuję się tym. Na każdego z General Motors wypada jeden z U.S. Steel. I na każdego zatrudnionego dzisiaj jutro będzie przypadało dwóch bezrobotnych. Tak wygląda dzisiejszy rynek, Johannie. Kolejna recesja jest nieunikniona, nie ma przed nią ucieczki. Za dwa lata CIO będzie tylko odległym niemiłym wspomnieniem. – Przejrzał leżące na parapecie rozliczenia. – Nie mówię, że następne lata będą łatwe. Ale obciąłem już produkcję i jestem gotów zwalniać pracowników. Wynegocjowałem budowę kilku fabryk za granicą i myślę, że powinniśmy przetrwać tę burzę bez wielkich strat kapitału.

– Podpisałeś kontrakt z Niemcami?

– Oczywiście. Dwa statki opon do ciężarówek już płyną do Hamburga. Kontrakt z Mercedesem-Benzem nie jest jeszcze dopracowany, ale wygląda bardzo dobrze.

Do gabinetu weszła Stephanie, dzwoniąc tacą, na której stał srebrny dzbanek, porcelana Spode'a i tacka posmarowanych masłem bajgli, przykryta śnieżnobiałą serwetką. Nalała kawę, zerkając na Johanna, jakby ją dziwiło, że

multimilioner może jeść coś tak zwyczajnego jak bajgle. Kiedy wyszła, Johann stwierdził:

– Widzę, że zysk jest dla ciebie ważniejszy od honoru.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Bookbinder, choć dobrze wiedział, co Johann miał na myśli.

Johann upił łyk kawy.

– Twój dobroczyńca, pan Rothschild, raczej by się nie ucieszył, gdyby się dowiedział, że robisz interesy z Herr Hitlerem.

– Nie ja jeden, Johannie – odparł Bookbinder. – Na Wall Street pływa stado rekinów, dla których najważniejsze są zestawienia rachunkowe. Hitler to liczący się klient na rynku urządzeń inżynieryjnych, opon i innych artykułów tego rodzaju. On potrzebuje towarów, a my pieniędzy. Ocean Atlantycki jest wystarczająco wielki, abyśmy nie musieli oglądać diabła, gdyby trzeba było zacząć z nim rozmawiać.

– Tylko ci się tak wydaje. Któregoś dnia przyleci tu swoimi zeppelinami i pstryknie ci fotkę przez okno w gabinecie.

– Myślę, że niełatwo zapomni o *Hindenburgu* – mruknął Bookbinder, unosząc brwi.

Siedzieli przez chwilę bez słowa, popijając kawę. Telefon milczał, bo Bookbinder zapowiedział, że podczas spotkań z Wszechmogącym nie wolno nikogo z nim łączyć ani wpuszczać do gabinetu. Deszcz stukał o szyby, a wiatr szeleścił luźnymi kartkami na biurku. Równie dobrze mogliby siedzieć w jakimś wyłożonym miękkimi dywanami statku, odizolowani od całego świata.

Tymczasem w Nowym Jorku kończył się kolejny deszczowy letni dzień.

– Wiesz co? Chyba powinniśmy kiedyś usiąść i zastanowić się, co nas łączy – powiedział w końcu Johann, trąc oczy.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Mamy romans. Nie wiedziałeś o tym?

– Romans! – prychnął Johann. – Też coś!

Bookbinder przez chwilę wydmuchiwał obłoczki dymu i nad czymś się zastanawiał, po czym stwierdził:

– Wiele wspaniałych przyjaźni zaczęło się podobnie jak nasza znajomość. Wiele trwałych przyjaźni. Przetrwały, bo nie było w nich iluzji.

– Mógłbym cię zrujnować – wycedził Johann.

Bookbinder pokiwał głową.

– Oczywiście, że mógłbyś. Ale po co? Być może niektóre dramatyczne gesty są warte swojej ceny,

ale ten do nich nie należy. Dlatego uważam, że łączy nas coś w rodzaju romansu. Jesteśmy dwoma duszyczkami, które wierzą we wrodzoną cnotę kapitału i płyną tunelem miłości do bogactwa. Musimy ufać jeden drugiemu jak dwoje zakochanych.

Johann strącił z płaszcza okruchy bajgla.

– Czemu zawsze musisz trzymać otwarte okno? – spytał z irytacją. – Pamiętaj o tym, co przydarzyło się Jean Harlow. Dostała grypy zimą i po tygodniu umarła.

– Płakałbyś na moim pogrzebie? – spytał Bookbinder.

– Tak samo jak ty na moim – odparł Johann.

Rozległo się stukanie do drzwi i Stephanie wprowadziła żonę Johanna. Hester miała dziś na sobie szaroniebieską spódnicę w białe prążki, kremową jedwabną bluzkę i czarną szydełkową kamizelkę. Włosy ułożyła w delikatne fale i przykryła je małym szaroniebieskim toczkiem z woalką, ozdobionym piórkiem z brylancikami. Nie lubiła szerokoskrzydłych kapeluszy, bo ukrywały jej piękne oczy.

Panowie wstali i Johann podsunął żonie fotel, a Bookbinder podszedł do okna i zamknął je.

– Jak związki? – spytała Hester, otwierając swój notatnik. – Podwieczorek był upiorny,

mówię wam!

Johann odchrząknął.

– Skoro się upierasz, że musisz chodzić na herbatki do tych smoczyc, to powinnaś je jakoś znosić. David i ja spędziliśmy popołudnie…

– Romansując? – podsunął Bookbinder.

Johann popatrzył na niego, mrużąc oczy, i oblizał wargi.

– Zgadza się – potwierdził. – Romansowaliśmy.

– Rozumiem – odparła Hester. – Jeśli nie zajmujecie się niczym innym, to może zabiorę męża do domu. Musimy się przebrać, bo koło siódmej przyjeżdża Roddy, a oficjalna kolacja zaczyna się pół godziny później.

Johann ponuro kiwnął głową.

– To kolacja dla przedstawicieli Republikańskiego Klubu Finansowego – wyjaśnił Bookbinderowi. – Mam na niej mówić o problemach związanych z cięciami zasiłków. Ale po dzisiejszej zabawie w kotka i myszkę z CIO zaczynam się zastanawiać, czy warto się męczyć z tymi zasiłkami. Amerykański robotnik potrzebuje kopa w siedzenie, a nie zasiłku.

– Czy Hope już wróciła z Connecticut? – spytał Bookbinder.

– Owszem – odparł Johann. – Nie zauważyłeś, że wyglądam jak z krzyża zdjęty?

Bookbinder pochylił się nad biurkiem. Nie patrząc na Johanna ani na Hester, zapytał:

– Nadal macie z nią kłopoty?

Hester nie miała zbytniej ochoty zwierzać się Bookbinderowi na temat córki. Jej stosunki z najbliższym współpracownikiem męża były uprzejme, ale sztywne. Wyczuwało się, że gdyby ich finansowe losy nie były tak mocno splecione, prawdopodobnie najchętniej mijaliby się bez słowa, jak dwoje nieznajomych. Hester uważała Bookbindera za żydowskiego gangstera i kiedyś nawet powiedziała to na głos, budząc irytację Johanna. Bookbinder w jej obecności był cichy, ostrożny i nigdy nie rozmawiał o interesach. Nie był pewien, czy Hester wie, w jakich okolicznościach objął zarząd Cornelius Oil, ale nie zamierzał zdradzać żadnych związanych z tym szczegółów.

Zresztą to Johann powiedział mu o Hope, więc Hester nie musiała podejmować tego tematu. Wolałaby, aby mąż nie opowiadał o swoim życiu prywatnym innym ludziom – zwłaszcza takiemu człowiekowi.

– Jestem za stary na ojca, wiem o tym – mruknął Johann. – Hope ma osiemnaście lat, a ja

prawie sześćdziesiąt cztery. Może nie rozumiem młodszego pokolenia i w tym cały problem. Ale ona jest strasznie rozhukana i nieposłuszna. Jak to możliwe, że wychowuje się dziewczynę w dobrym domu, podsuwając jej wszystko pod nos, dbając o naukę i dyscyplinę, a ona jest taka krnąbrna i rozhukana!

Bookbinder wyjął z kieszeni wielką białą chusteczkę do nosa i wysmarkał się głośno.

– Naprawdę jest taka rozhukana? – spytał po chwili.

– Przez całe zimowe wakacje włóczyła się z Johnem Rooseveltem i Johnem Draytonem – wtrąciła Hester. – Sam wiesz, do jakich wygłupów ci chłopcy są zdolni. Ale teraz jest jeszcze gorzej.

– Gorzej? – prychnął Johann. – Nosi krótkie spódniczki, czesze się jak Jean Arthur i pali… Niech to szlag. Nie zdziwiłbym się, gdyby nosiła ze sobą manierkę z czymś mocniejszym i pociągała z niej co chwila.

– Próbowałeś przemówić jej do rozumu? – spytał Bookbinder.

– Próbowałbym, gdybym potrafił zrozumieć choć słowo z tego, co paple! Ciągle mówi tylko o „boogie-woogie”, „klawych kumplach” i o tym, że wszystko ją „bierze”. Wychodzi każdego

wieczoru i okropnie szasta pieniędzmi… czterysta, czasem pięćset dolarów na tydzień. Spędzają cały czas na rozbijaniu się sportowymi samochodami, potańcówkach i Bóg wie na czym jeszcze. A przy okazji, może wiesz, co to takiego „jazzamator”?

– Amator jazzu, chłopak, który lubi swingującą muzykę – wyjaśniła Hester. – Myślałam, że nawet ty na to wpadniesz.

– Nie chcę na nic wpadać – odparł z rozdrażnieniem Johann. – Chcę rozmawiać z córką po ludzku, nie w jakimś obcym języku, o którym nikt nie słyszał. To rozhukana, krnąbrna dziewczyna, Davidzie. Jestem dla niej przeżytkiem, człowiekiem z dawnych czasów.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Możemy przecież obciąć jej tygodniówkę – zasugerował. – Trudno wywijać na parkiecie, jeśli się nie ma czym zapłacić za wstęp do lokalu.

– To na nic – stwierdziła Hester. – Większość jej kolegów to bogaci ludzie. Pożyczą jej pieniądze… a nawet dadzą.

– Rozumiem – mruknął Bookbinder i odłożył cygaro do popielniczki.

– Jest rozhukana i krnąbrna – powtórzył Johann. – Bogu dziękować, że w gazetach nie ma jeszcze żadnych plotek na jej temat, ale jeśli dalej

będzie się tak zachowywać, wcześniej czy później się pojawią.

Bookbinder przez chwilę wpatrywał się w blat biurka.

– Naprawdę myślisz, że jest po prostu rozhukana i krnąbrna? – zapytał. – To chyba jedyna osoba na świecie, która ci się postawiła i której się to upiekło.

Johann popatrzył na niego ze złością.

– Będę udawał, że tego nie słyszałem, Davidzie.

Bookbinder wzruszył ramionami.

– W porządku, Johannie. Ty będziesz udawał, że tego nie słyszałeś, a ja będę udawał, że nie słyszałem o tysiąc dziewięćset trzecim.

Zapadło dziwne milczenie, którego Hester nie potrafiła zrozumieć. Deszcz przestał padać, ale na zachodzie znowu zaczęły gromadzić się ponure chmury. Hester spojrzała na obu mężczyzn i powiedziała:

– O tysiąc dziewięćset trzecim? Co takiego wyjątkowego wydarzyło się w tysiąc dziewięćset trzecim?

Johann wstał z fotela i otulił się płaszczem.

– To tylko żart – wyjaśnił chrapliwym głosem. – Tysiąc dziewięćset trzeci to żart.

Bookbinder uśmiechnął się do Hester, kiwnął głową i znów się uśmiechnął, jakby rzeczywiście mieli na myśli jakiś żart.

♦ ♦ ♦

Wyboistymi wiejskimi drogami pędziły trzy samochody, podskakując, kołysząc się i rozcinając światłami reflektorów ciepłą letnią noc. Wrzaski i śmiechy siedzących w nich dziewczyn i chłopców niosły się daleko w ciemność, gdy auta zygzakiem sunęły od pobocza do pobocza. Ktoś usiłował zagrać na klarnecie *Don't Be That Way*, ale nie bardzo mu się to udawało.

Zanim wozy dotarły do skrzyżowania, niemal zrównały się ze sobą, zajmując całą drogę. Młodzi ludzie darli się i krzyczeli do siebie, pokonując łącznik z drogą międzystanową.

– Dalej, Eddie!

– Och, ale mnie to bierze! Serio mnie bierze!

Przez chwilę dwa sportowe wozy uderzały o siebie, zgrzytając stopniami, ale kiedy przemknęły przez główną drogę, trąbiąc jak szalone, połknęła je ciemność po drugiej stronie skrzyżowania.

Jechali jeszcze przez dziesięć minut, stopniowo wytracając prędkość, a kiedy dotarli do niewielkiego zakrętu, zgasili silniki. Wszyscy się śmiali i żartowali, a ktoś zawołał:

– Usiadłem na kapeluszu! Widzieliście? Cholera, usiadłem na kapeluszu!

Rozmawiając i pokrzykując, wysiedli z samochodów. Jeden z chłopców, mający na sobie spodnie od smokingu, ale w samej koszuli, próbował otworzyć butelkę burbona.

– Rany, gdyby matka mogła mnie teraz zobaczyć! – zawołała jedna z dziewczyn i zachichotała. – Dostałaby fioła! Mówię wam, fioła!

– Gdyby twoja mama się tu pokazała, niech się do mnie zgłosi – powiedział chłopak otwierający burbona. – To fajna babka! – dodał i również zachichotał.

Wszyscy roześmieli się głośno.

Po chwili butelka została otwarta i wszyscy rozsiedli się na stopniach samochodów oraz na kocach. Chłopcy mieli na sobie smokingi, a dziewczęta wieczorowe sukienki. Palili old goldy i przekazywali sobie butelkę burbona. Nad czarną szeleszczącą koronką gałęzi drzew wisiało ciemnogranatowe niebo. Wiał lekki wilgotny wietrzyk. Gdzieś daleko, od strony

Danbury, dobiegało wycie silnika motocyklowego. Papierosy pomarańczowo jarzyły się w mroku, a chłopak z klarnetem powtarzał w kółko pierwsze takty *Begin the Béguine*.

– Wiesz, co jest z tobą nie tak, Mel? – zapytała jedna z dziewczyn. – Potrafisz tylko zacząć béguine'a. Czemu go nigdy nie skończysz?

– Odwal się, Virginio – burknął Mel. – Któregoś dnia wystąpię na scenie razem z Artiem Shawem, zobaczysz!

– A co tam będziesz robił? Podawał mu płaszcz?

Hope Cornelius siedziała na stopniu czerwonego kabrioletu marki Chrysler, który należał do Eddiego Kaisera, i śmiała się razem z innymi. Tego wieczoru czuła się naprawdę szampańsko. Wiedziała, że w obcisłej wieczorowej sukience z białego jedwabiu, z głębokim dekoltem obszytym białymi piórami wygląda nie na osiemnaście, lecz na dwadzieścia lat. Butelka jeszcze do niej nie dotarła, ale zaciągała się głęboko papierosem. Nałożyła czerwoną szminkę na usta i dużo tuszu na rzęsy, a wyskubane brwi tak wymodelowała, że tworzyły dwa cieniutkie półksiężyce. Swoje falujące kasztanowe włosy schowała pod białym

wieczorowym kapeluszem. Poza pierścionkami nosiła tylko dużą broszkę z rubinów i ametystów w kształcie motyla.

Siedzący obok niej Eddie Kaiser również zaciągał się głęboko i wydmuchiwał dym nosem. Był to korpulentny chłopak w opiętym smokingu i biało-czarnych butach.

Odwrócił się do Hope i uśmiechnął do niej szeroko. Jego krótkie, sterczące na skroniach włosy były pociągnięte brylantyną i rozdzielone przedziałkiem na środku głowy.

– Fajnie, co? – zapytał.

Hope zaciągnęła się papierosem.

– Może być – odparła. – Jak ktoś lubi siedzieć w krzakach w mokrą noc i pociągać whisky z flaszki…

– Ja lubię – przyznał Eddie.

Właśnie skończył siedemnaście lat i za cztery lata miał odziedziczyć ponad cztery miliony dolarów za patenty farmaceutyczne ojca. W liceum nazywano go „Pigułą”.

– Chciałabym kiedyś zrobić coś oryginalnego – powiedziała Hope. – Zawsze robimy to samo. Przyjęcia, tańce, nocne kluby. W kółko jedno i to samo. Chciałabym zrobić coś szalonego, ale jednocześnie takiego, żeby miało jakieś znaczenie.

– Ja też chciałbym zrobić coś szalonego – wtrącił z entuzjazmem John Deerman.

– Przecież to, co w tej chwili robimy, jest szalone – stwierdził Mel Herbert i po chwili spytał niepewnie: – A może nie?

Hope popatrzyła na otaczające ją młode, dobrze odżywione twarze. Tych kilkunastu dzieciaków było więcej wartych niż rezerwa kapitałowa niejednego małego kraju, a mimo to siedzieli w mokrą czerwcową noc wśród mokrych krzaków na jakimś pustkowiu, popijając burbona i zastanawiając się, co ze sobą zrobić.

– Jeśli myślisz, że to jest szalone, lepiej jedź do domu i zagraj ze swoją matką w madżonga – powiedziała Hope. – Na pewno będzie to bardziej ekscytujące.

– Może pojechalibyśmy do domu twojego taty, na Lynwood? – zaproponowała Hope jedna z dziewcząt. – Moglibyśmy zagrać w rozbieranego pokera.

– Przecież to okropnie głupie – sprzeciwił się Eddie.

– Mówisz, że głupie, bo nie umiesz grać w pokera.

– Umiem! Ale i tak myślę, że to głupie. Kiedy chcę rozebrać cizię, nie muszę grać w jakąś

głupią grę.

– No to czemu tego nie zrobisz, mądralo? – zapytał Philip Strachan. – Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek rozebrał jakąś cizię.

– A ty rozebrałeś? – odgryzł się Eddie. – Znalazł się Casanova kampusu.

– Hej, któregoś dnia słyszałem, jak mój tato opowiadał świński kawał – powiedział John Deerman, podając Hope burbona. – Jest świński, ale naprawdę fajny.

– Nie mam ochoty słuchać żadnych kawałów w twoim wykonaniu – oświadczyła Virginia. – Potrafisz skopać nawet najlepszy.

Hope pociągnęła burbona i podała butelkę dalej.

– J.D. jest dokładnie taki sam jak jego ojciec – stwierdziła. – A ojciec J.D. jest taki, jak wszyscy nasi ojcowie. To pokolenie bankrutów.

– Mój ojciec nie jest bankrutem – zaprotestowała Cicely Schweizmann, poprawiając narzucony na ramiona żakiet z wielbłądziej wełny. – Jest po prostu bogaty, to jego największy problem.

Była ładną brunetką o obfitym biuście. Philip Strachan powiedział o niej kiedyś: „Bóg pomyślał, że bogate dziewczyny są zawsze nieszczęśliwe, więc dał jej coś ekstra, żeby to wyrównać”.

– Właśnie to mam na myśli, Cicely – odparła Hope. – Wszyscy nasi rodzice są bogaci, ale pod względem umysłowym to bankruci. Nie mają o niczym pojęcia. Nasz kraj ma za sobą osiem lat biedy i wyrzeczeń, a oni nadal rozmawiają o związkach zawodowych i robotnikach w taki sposób, jakby to byli jacyś awanturnicy.

– Mówisz jak John L. Lewis – stwierdził Eddie.

– Chyba raczej jak ten od *Gron gniewu* – poprawił go Kenny Thursgood.

– Nie obchodzi mnie, kogo przypominam swoim gadaniem – odparła Hope. – Jak myślicie, czemu siedzimy na tym pustkowiu, pijąc burbona? Bo nie chcemy siedzieć w domu, słuchając naszych nadętych rodziców, serwujących nam swoje zwykłe, oderwane od rzeczywistości bzdury o dzisiejszym świecie i o tym, jak pomagają nim rządzić.

– Nie sądzę, aby mój ojciec gadał bzdury, które nie mają żadnego związku z rzeczywistością – wtrącił Mel Herbert. – Jest nadęty, to prawda, ale twardo stąpa po ziemi. Inaczej nigdy nie dorobiłby się majątku. To samo dotyczy waszych rodziców. Musicie im przyznać, że dobrze wiedzą, jak zarabiać pieniądze.

– To ich jedyna wiedza – powiedziała Hope. – Ale czy wiecie, jak ciężko pracują ludzie, którzy

dla nich te pieniądze zarabiają? Czy wiecie, ile kosztuje jeden kęs pasztetu z gęsich wątróbek, który pakujecie do tych waszych tłustych gąb? Nie czytacie gazet? Nie czytacie o strajkach i biedocie z Oklahomy?

– Och, daj spokój, Hope – obruszył się Strachan. – Najlepsza rzecz, jaką nasi rodzice mogą zrobić dla tego kraju, to zarabiać pieniądze. Wiesz o tym tak samo dobrze jak my. Gdyby twój ojczulek nie miał tych swoich szybów naftowych pompujących pieniążki w płynie, jakieś pół miliona ludzi byłoby bez pracy. Czym jest koszt jednego kęsa pasztetu z gęsich wątróbek w porównaniu z tym, co twój ojciec daje temu krajowi, wzmacniając i rozwijając jego gospodarkę?

– Ale CIO…

– Daj spokój z CIO. To wywrotowa, komunistyczna grupa, która robi, co może, żeby zaszkodzić Ameryce. Ale to się jej nie uda!

– Hej, słuchajcie! – zawołał Deerman. – Chodzi wam o polityczną dyskusję czy o to, żeby zrobić coś szalonego? Hope, sama mówiłaś, że chcesz zrobić coś oryginalnego.

– No właśnie – poparła go Cicely. – Nie zmienimy biegu historii, siedząc tutaj i gadając.

Hope wstała i wygładziła sukienkę.

– W porządku – powiedziała szelmowskim tonem. – Mam pewien pomysł.

– Podpalimy stację benzynową? – spytał Thursgood. – Philipowi na pewno by się to spodobało.

– Nie – osadziła go Hope. – Chciałabym zrobić coś szalonego, ale chciałabym, żeby to było szaleństwo w jakimś celu.

– Zamordujmy Roosevelta – zaproponował Deerman.

– To żaden cel – odparła Hope. – Gdybyśmy mieli kogoś zamordować, najlepiej byłoby wykończyć Hearsta albo kogoś takiego jak on.

– Na litość boską, Hope… – jęknął Kaiser. – Jak mielibyśmy to zrobić? I po co?

– Wcale nie chodzi mi o to, żeby wykańczać Hearsta – powiedziała Hope. – Musimy zrobić coś inteligentnego. To powinno wyglądać jak kawał. Ale jednocześnie musimy się postarać, żeby to było wypięcie się na coś, w co wierzą nasi rodzice. Rozumiecie?

– Mój ojciec wierzy, że nic nie robi mu tak dobrze, jak jajka na miękko na śniadanie – oświadczył Thursgood. – Chcesz, żebyśmy się wypięli na jajka na miękko?

– Nie bądź dziecinny. To ma być coś, co nimi naprawdę wstrząśnie. Cios w porządek klasowy.

– W porządek klasowy? Nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Ale to właśnie zrobimy. Wrócimy na główną drogę i będziemy nią jeździć, aż znajdziemy autostopowicza. A może zatrzymamy się przy barze i poszukamy jakiegoś kierowcy ciężarówki albo zwykłego włóczęgi. To musi być ktoś, kto wygląda naprawdę biednie. Weźmiemy go do samochodu, zabierzemy do Royale Country Club i potraktujemy jak honorowego gościa. Zamówimy nasz stały stolik, postawimy mu dobrą kolację i wszyscy kelnerzy będą musieli giąć się przed nim w pas i biegać wokół niego tak samo, jak biegają wokół nas.

– I co potem? – zapytał Strachan.

– Nic – odparła Hope. – Wyobrażacie sobie minę Hugona, gdy wejdziemy z naszym gościem do środka? Wyobrażacie sobie tych wszystkich nadętych palantów, którzy tam jedzą, kiedy zobaczą, że jakiś obdartus siorbie zupę prosto z talerza? Czy nie sądzicie, że to będzie piękne?

W mroku polany popatrzyli po sobie, a potem wrócili wzrokiem do Hope.

– Czy to ma być salwa na chwałę socjalizmu? – spytał Strachan.

– A masz jakiś lepszy pomysł? – odparowała Hope.

– No nie, nie mam. Ale nie wydaje mi się, żeby to była salwa na chwałę socjalizmu. Myślałem, że socjaliści siedzą w fabrykach czy coś w tym rodzaju. Nie wyobrażam sobie przewodniczącego jakiegokolwiek związku zawodowego proponującego swoim kolegom pójście na kolację do Royale Country Club.

– Co się z wami dzieje? – prychnęła Hope. – Nie widzicie, co można osiągnąć taką akcją? Każdy, kto nas zna, pomyśli tylko, że to nasz kolejny wyskok. Ale robotnicy, socjaliści, na pewno zrozumieją, o co nam chodziło. Będziemy obalać system krok po kroku i pokazywać, że nie jesteśmy taką nadętą konserwą jak nasi rodzice.

Deerman podrapał się po głowie.

– Myślę, że to zabawny pomysł – mruknął. – Tylko zupełnie nie kojarzę, jaki to ma związek z socjalizmem. Ale popieram go, bo wydaje mi się śmieszny.

– Skoro go popierasz, to już dobrze – uznała Hope. – Może zrozumiesz, o co w nim chodzi, kiedy zdobędziesz trochę politycznego wyrobienia.

– To chyba lepsze niż rozbierany poker i na pewno sto razy lepsze niż nudzenie się tutaj – zauważył Thursgood.

– A co ty o tym sądzisz, Virginio? – spytała Hope.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Skoro wszyscy są za, to może być.

– Mogłabym z nim wejść do Royale Country Club – powiedziała zmysłowym głosem Cicely. – Umiem kołysać tym i owym tak samo jak Jean Harlow.

– Chciałaś chyba powiedzieć: jak kiedyś Jean Harlow.

– Dajcie spokój, jeśli mamy to zrobić, lepiej się przygotujmy – oświadczył Strachan. – Kawał jest śmieszny tylko wtedy, kiedy jest dopracowany w szczegółach. Inaczej to strata czasu. Eddie… masz jeszcze zapasowy smoking w bagażniku?

– Chyba tak – odparł Kaiser. – Pewnie się wymiął, ale to tym lepiej.

Po dwudziestu minutach sporów i chichotania mieli gotowy plan akcji. Wciąż dyskutując, wsiedli do samochodów. Hope i Cicely Schweizmann zajęły miejsca z tylu kabrioletu Strachana. Zawrócili na wąskiej drodze i dojechali z powrotem do skrzyżowania z szosą Newburgh-Danbury. Było już wpół do jedenastej, chmury znikły i niebo pojaśniało. Następny dzień, dziesiąty czerwca, miał być ciepły i bezchmurny.

Na głównej szosie skierowali się na północ i po pokonaniu kilku mil znaleźli idealne miejsce. Kilkadziesiąt jardów od szosy przy wysypanym żużlem parkingu znajdował się mały bar, a obok niego stacja benzynowa. Z parkingu wyjechała cysterna i po chwili jej czerwone światła pozycyjne zniknęły na szosie prowadzącej w stronę Hudson Valley. Drewniany bar miał popstrzony zielonymi plamami dach z papy i cynkowy komin, z którego buchał zapach smażonego boczku. W środku lokalu jego właściciel, zwalisty mężczyzna w białym podkoszulku, zbierał talerze ze stołów. Przy stoliku nad kawą i pączkiem siedział samotnie wychudzony mężczyzna w starym szarym garniturze.

Trzy samochody zatrzymały się i Philip Strachan wysiadł na chwilę, by porozmawiać z Eddiem Kaiserem. Kiedy wrócił do Hope, oznajmił:

– Jesteśmy gotowi. Zechcesz wejść do środka i zagadnąć tego gościa?

Pomógł jej wyjść z samochodu i przez chwilę trzymał jej dłoń w swojej, patrząc na nią z uśmiechem. Zawsze bardzo mu się podobała.

– Jesteś jedna na milion, Hope. Wiesz o tym?

Nic na to nie odpowiedziała. Nie miała ochoty sterczeć z Philipem na skraju drogi i trzymać go za rękę na oczach wszystkich kumpli i kumpelek. Był okropnie nudny, niemal jak lektura obowiązkowa albo gość weselny, którym kazano ci się zajmować, jednak nie bardzo mogła protestować, więc stała bez słowa.

– Wiem, że twoim zdaniem nasi rodzice są strasznie staroświeccy – powiedział. – Ale musisz pamiętać o tym, że wszyscy szukamy lepszej przyszłości. Bogaci też mają prawo do życia, wiesz.

Hope opuściła wzrok.

– Jak na tak inteligentnego i dobrze wykształconego faceta, masz żałośnie skromną wizję naszej przyszłości – powiedziała z ironią.

Ale Philip się nie obraził. Lubił dziewczyny, które miały ostry język.

– Jesteś wyjątkowa – powtórzył.

– Wiem – odparła.

Wiatr łopotał jej lśniącą jedwabną sukienką, owijając ją wokół szczupłych łydek.

– Chyba już pójdę – odezwała się. – Dajcie mi chwilę, żebym się zorientowała, jak to rozegrać. Gdybym potrzebowała pomocy, pomacham do was przez okno. Eddie, znalazłeś ten smoking?

– Właśnie go szukam – wymamrotał Eddie, zanurzony w bagażniku chryslera.

– Powodzenia, Hope! – zawołał Philip i wsiadł z powrotem do samochodu.

Pomachał jej energicznie i uruchomił silnik. Eddie w końcu znalazł smoking i również wsiadł do swojego auta. Pojazdy wycofały się poza linię drzew, na krawędź parkingu i zaraz potem zgasły silniki i reflektory. Po chwili słychać było tylko szelest liści i lekkie skrzypienie kołysanych wiatrem drzew.

Hope przeszła po trzeszczącym podłożu i pokonała trzy drewniane schodki prowadzące do baru. Jego właściciel pogasił już prawie wszystkie światła i właśnie zdejmował fartuch. Kiedy dziewczyna otworzyła siatkowe drzwi i weszła do środka, podniósł na nią wzrok.

Mężczyzna w szarym garniturze nadal wpatrywał się w letnią kawę i ostatnie okruchy pączka. W środku panowała nieprzyjemna duchota, którą potęgował jeszcze wiszący w powietrzu zapach starego tłuszczu. Na ladzie pod brudnym szklanym kloszem leżało wielkie ciasto. Elektryczny wentylator obracał się nieznużenie pod sufitem, rzucając ruchome cienie na zniszczone ceratowe obicia siedzeń,

dwa automaty do gry i wiszący na ścianie kalendarz z Myrną Loy.

– Zamykamy już, proszę pani – oznajmił właściciel.

Był ubrany w brudną koszulę w kratę, miał słowiańskie rysy i krótkie siwe włosy, a w kieszonce na piersiach trzymał rząd tępych ołówków.

– Chciałam tylko zapytać, czy ktoś mógłby mi pomóc – powiedziała Hope, przybierając najbardziej bezradną minę, jaką potrafiła zrobić.

– Pomóc? W czym? – spytał właściciel.

Za jego plecami wisiało na ścianie wyblakłe zdjęcie zamarzniętej Wisły pod Bydgoszczą i pożółkła rozetka z wypisaną na niej jedynką.

– Chodzi o mój samochód – wyjaśniła Hope. – Właśnie tędy przejeżdżałam i coś się w nim popsuło. Nie mogę go uruchomić.

Właściciel baru pokręcił głową.

– Z samochodów nie znam się.

– Myślałam o tym, żeby zadzwonić do warsztatu – powiedziała Hope. – Wie pan, żeby przyjechali i wzięli go na hol. Ale to potrwa wieki. Muszę być w Newburgh dziś w nocy, to absolutnie niezbędne, bo mój biedny stryj jest bardzo chory i może umrzeć, kiedy ja będę czekać na holowanie.

Właściciel baru miał kłopot z przyswojeniem sobie tych informacji. Znów pokręcił głową i powtórzył:

– Z samochodów nie znam się. Przedni koniec, tylny koniec. Z samochodów nie znam się nic.

– A może ten dżentelmen, który tam siedzi, zna się na samochodach?

Właściciel odwrócił głowę i popatrzył na włóczęgę.

– Jego? – spytał.

– Tak, jego – potwierdziła Hope. – Nie ma tu nikogo innego, prawda?

Właściciel wzruszył ramionami i zawołał:

– Hej, ty!

Włóczęga nie zareagował, prawdopodobnie w ogóle nie przyszło mu do głowy, że ktoś może czegoś od niego chcieć. Co chwila zaglądał do filiżanki, jakby chciał się upewnić, czy nie znajdzie tam jeszcze jednego łyka kawy.

– Hej, ty! – zawołał ponownie właściciel baru.

Mężczyzna odstawił filiżankę i podniósł wzrok. Był przeraźliwie chudy i przedwcześnie posiwiały. Miał ostre rysy i zmęczone oczy, charakterystyczne dla wszystkich nędzarzy ustawiających się w kolejkach po darmową zupę, koczujących na dworcach lub sprzedających sznurówki czy nadmuchiwane zabawki na

rogach miejskich ulic. Jego koszula w paski była wystrzępiona, a zbyt obszerny garnitur pomięty i brudny. Wyglądał na pięćdziesiąt lat, ale prawdopodobnie miał znacznie mniej. Być może kiedyś był przystojny, ale bieda pozbawiła jego twarz wyrazistości.

– Mówi pan do mnie? – spytał cicho.

– Myślisz, że gadam do siebie? – burknął właściciel.

– Przepraszam – odparł mężczyzna.

Popatrzył na Hope. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego na widok młodej dziewczyny w lśniącej wieczorowej sukience z białego jedwabiu, stojącej o wpół do jedenastej w nocy w tanim przydrożnym barze. Poprawił zatłuszczony krawat i powiedział:

– Dobry wieczór.

– Znasz się z samochodów? – spytał niecierpliwie właściciel. – Tej pani się popsuło. Co się znasz z samochodów?

Kiedy włóczęga wstał, Hope zauważyła, że nie nosi skarpetek. Ruszył w jej stronę, starając się iść w linii prostej, i zapytał:

– W czym kłopot, panienko?

Hope była podekscytowana i lekko przestraszona. Myślała o tym od tygodni – od swojej ostatniej kłótni z matką. Początkowo ten

pomysł wydawał jej się głupawy, ale im dłużej obracała go w głowie, tym bardziej jej się podobał. Chciała zrobić coś takiego, co ujawniłoby prawdziwe oblicze pokolenia jej rodziców, obnażyło płytkość i małostkowość tych wszystkich nadętych bogaczy – a także pokazało, że ona i jej koledzy to nie sami zepsuci smarkacze, marnujący czas na żaglówkach, potańcówkach i szusowaniu na nartach. Miało to udowodnić wszystkim biednym i poniżonym, że następne pokolenie bogaczy będzie autentycznie współczujące, skłonne do pomocy i pozbawione groteskowego sztywniactwa.

Po części była to też salwa wymierzona w ojca. Johann Cornelius nie wyobrażał sobie, by Hope mogła być kimś więcej niż jego śliczną malutką córeczką: bystrą, ale posłuszną, żywą, ale kiedy trzeba, umiejącą się podporządkować. Czasem się zastanawiała, czy traktując ją w ten sposób, nie próbuje sobie czegoś udowodnić. Wiedziała, jak wielki wpływ ma na życie ojca jej matka. Mając do czynienia z silnymi, niezależnymi kobietami, często zachowywał się nienaturalnie obcesowo albo zamykał się w sobie. Kiedy Hope była jeszcze małą dziewczynką, buntowała się przeciwko jego tyranii – jak wtedy, gdy nie pozwolił jej zostać

skautką, bo twierdził, że powinna być kobieca i niesamodzielna.

– Oczywiście, że będziesz rozpieszczana! – krzyczał. – Do cholery, nie ma mowy, żeby było inaczej! Jak myślisz, po co zarabiałem te wszystkie pieniądze? Jak myślisz, po co tak ciężko tyrałem? Niektóre dziewczyny dałyby sobie rękę uciąć, żeby zamienić się z tobą miejscami!

Hope dobrze zapamiętała te słowa, bo wyobraziła sobie nieznajomą dziewczynkę siedzącą na jej krześle, w jej fartuszku, ale mającą tylko jedną rękę – taka była cena, którą ta dziewczynka zapłaciła, żeby zamienić się z nią miejscami.

Włóczęga stał przed nią – nieoczekiwany wspólnik jej buntowniczej sprawy. Zakaszlał chrapliwie i zasłonił usta ręką. Zauważyła, że ma bardzo brudne paznokcie. Czarne, tłuste półksiężyce. Pociągnął nosem.

– Samochód mi się zepsuł – wyrzuciła z siebie szybko. – Myślę, że to musi być coś całkiem prostego. To nie koło ani nic takiego. Może zalałam silnik. Czasem mi się to zdarza. Może byłby pan tak uprzejmy i spróbował to sprawdzić…

Włóczęga patrzył na nią wyblakłymi oczami i nagle zauważyła, że jedno z nich jest niebieskie, a drugie piwne.

– Panienko, byłem agentem ubezpieczeniowym – zaczął. – Obawiam się, że samochody to dla mnie czarna magia, podobnie jak dla tego pana.

Właściciel baru pokiwał głową, jakby to była najmądrzejsza uwaga, jaką kiedykolwiek usłyszał, i powiesił ścierkę na gwoździu.

– Samochód to czarna magia – potwierdził.

Hope zaczęła się niepokoić.

– Nie mógłby pan chociaż wyjść i popatrzeć? Jest blisko. Może mógłby pan coś wymyślić, żeby zapalił.

Włóczęga pociągnął się za nos.

– Cóż, nadal mi się wydaje, że najlepiej byłoby ściągnąć lawetę, ale podejdę i rzucę okiem. Ile się należy, panie Leszno?

– Dziesięć centów.

Hope otworzyła swoją białą, wysadzaną klejnocikami torebkę i wyjęła z niej dziesięć dolarów.

– Proszę pozwolić mi zapłacić – powiedziała.

Włóczęga pokręcił głową, po czym wyjął z kieszeni dziesięciocentówkę i ostrożnie położył ją na kasie.

– Jeszcze mnie stać, żeby za siebie zapłacić – odparł.

Hope spłonęła rumieńcem i schowała banknot do torebki.

– Jak pan sobie życzy – mruknęła. – Nie chciałam sugerować, że…

Mężczyzna machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że nie ma o czym mówić.

– Dobranoc, panie Leszno – pożegnał się z właścicielem.

Podszedł razem z Hope do siatkowych drzwi, otworzył je i oboje wyszli w noc.

– Mój samochód stoi przy drzewach – powiedziała Hope. – Miałam szczęście, że udało mi się zjechać z drogi. – Kiedy szli przez parking, dodała: – Nazywam się Hope Cornelius. Zechciałby mi pan powiedzieć, jak się nazywa?

Mężczyzna popatrzył na nią ze zdziwieniem. W niebieskiej nocnej poświacie wyglądał jak duch. W jego oczodołach gnieździła się ciemność, a wychudzona twarz przypominała pysk szczura.

– Czemu pani chce to wiedzieć? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Lubię wiedzieć, jak nazywają się moi rycerze – odparła. – Na wypadek gdybym znów potrzebowała ich pomocy.

Mężczyzna zakaszlał.

– Myśli pani, że jeszcze się kiedyś spotkamy?

– Nigdy nie wiadomo.

– Nie przypuszczam. Nie wiem, kim pani jest, panno Cornelius, ale na pewno jest pani bardzo zamożną młodą damą, a ja tylko włóczęgą, który kiedyś sprzedawał ubezpieczenia. Wie pani, nie bywam zbyt często w Palm Springs. Głównie działam tu, w okolicy, przerzucam towary i pracuję dorywczo w sklepach. Wczoraj zarobiłem dwa dolary. Od świtu do północy ciąłem drewno na opał.

Hope zmarszczyła brwi.

– Nie słyszał pan o CIO?

– Och, pewnie – odparł mężczyzna, wkładając ręce do kieszeni. – Ale nie ma sensu zapisywać się do związku robotników, kiedy od początku nie było się robotnikiem. Poza tym nie zgadzam się z komunizmem.

– To nie komuniści. Ich celem jest pomaganie takim ludziom jak pan.

Mężczyzna się zatrzymał.

– Potrafi pani człowieka zaskoczyć – stwierdził.

– Nie rozumiem…

– Jest pani bogaczką. To pani samochód stoi tam pod drzewami? Bogacze zwykle nie trzymają ze związkami zawodowymi.

– Dobrze wiem, jak to jest być bogatym. Mój ojciec jest bogaty i właśnie dlatego, że jest bogaty, utracił całe swoje człowieczeństwo. Trzymam ze związkowcami, bo chcę zobaczyć, jak wygląda prawdziwe człowieczeństwo.

Mężczyzna znów zakaszlał. Dotarli do chryslera Eddiego Kaisera stojącego pod szeleszczącymi gałęziami. Mężczyzna obszedł go, przyjrzał mu się uważnie, po czym podszedł do niego od przodu.

– Chyba muszę zajrzeć pod maskę – powiedział.

Zdjął marynarkę, starannie złożył ją na pół i położył na ziemi. Potem podwinął połatane rękawy koszuli i zaczął szukać zatrzasków zabezpieczających maskę.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego, panie…

Mężczyzna podniósł wzrok.

– Bausor, jeśli koniecznie musi pani to wiedzieć. Lewis Bausor, urodzony w Yonkers.

– Ładne nazwisko – stwierdziła Hope. – Mogę mówić do pana „Lewis”?

– Może pani mówić i robić, co się pani żywnie podoba. Ma pani tyle pieniędzy, że stać panią na to.

Hope oparła się o bok samochodu.

– Daj spokój – mruknęła. – Wiesz, że to nieprawda.

– Czyżby?

Podniósł maskę i zajrzał do silnika. Cylindry miały chromowane wykończenia i ich blask raził w oczy.

– Nie wiem, gdzie powinienem zacząć szukać – powiedział zmartwiony Lewis.

– Może jest w porządku – zasugerowała Hope.

Lewis otarł ręce o spodnie.

– Jeśli nie zapali… – Nagle wyprostował się i popatrzył na nią z drugiej strony samochodu. – Jak to? Co to znaczy?

Hope bawiła się swoją torebką.

– Cóż, może samochód jest zupełnie w porządku. Może wyciągnęłam tu ciebie z całkiem innego powodu?

– Niby z jakiego? – spytał z niepokojem Lewis.

W cieniach pod drzewami rozległy się chichoty i tupot kroków. Po chwili z mroku wyłonili się Philip Strachan, Eddie Kaiser, Virginia, Cicely, Mel i reszta dzieciaków. Kiedy zebrali się wokół samochodu, Lewis Bausor popatrzył na nich ze zdziwieniem. Philip wysunął się do przodu i wyciągnął do niego rękę na powitanie.

– Cześć – powiedział.

Lewis odwrócił się do Hope.

– Co to za ludzie? – zapytał. – Może zechciałabyś mi wyjaśnić, co tu się dzieje?

– To moi koledzy – odparła z uśmiechem. – Zrobiliśmy ci niespodziankę. Poznajcie Lewisa Bausora z Yonkers!

Philip potrząsnął jego dłonią.

– Jak się masz, Lewis? Jestem Philip, a to Mel i John Deerman. Gdybyś chciał się przejść, przedstawiłbym cię wszystkim pozostałym.

Lewis obronnym gestem uniósł rękę.

– Zaraz, chwila, proszę… – wymamrotał. – Poczekajcie. Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi?

Philip objął go ramieniem. Jego nieskazitelny smoking i biały wykrochmalony mankiet koszuli dotknęły spłowiałych prążków.

– Członkowie naszego tajnego stowarzyszenia lubią od czasu do czasu spotykać się w wiejskich ostępach stanu Nowy Jork – wyjaśnił konspiracyjnym tonem.

Lewis zmarszczył czoło, ale się nie odezwał.

– Kiedy się spotykamy, wybieramy spośród szerokiego ogółu jego godnego przedstawiciela i fundujemy mu jeden wieczór ucztowania i wesołej zabawy – kontynuował Philip. – Wprawdzie nasza filozofia zabrania nam

rozdawania bogactw, możemy jednak wybrać pojedynczego Amerykanina o skromniejszych zasobach i pozwolić mu zaznać rozkoszy bycia bogatym.

Lewis Bausor oblizał wargi – chyba zaschło mu w ustach. Przy dobrze zbudowanym Philipie wydawał się jeszcze drobniejszy i mizerniejszy, niczym wieśniak ze średniowiecznego malowidła, zawsze mniejszy i chudszy od swoich panów.

– Panie Bausor, Philip chce powiedzieć, że zamierzamy zabrać pana na kolację – dodała Virginia.

Bausor schylił się po swoją marynarkę, po czym odwrócił do Philipa i powiedział cicho:

– Doceniam pański gest, ale niedawno jadłem.

– Kawa i pączek to żadne jedzenie – zaprotestowała Hope.

Lewis wzruszył ramionami.

– Może dla pani. Ale to wszystko, na co mnie stać.

– Właśnie o to chodzi – wtrącił Eddie. – To wszystko, na co cię stać, ale nas stać na więcej i chcemy, żebyś miał więcej. Chcemy, żebyś zjadł razem z nami w restauracji prawdziwą sześciodaniową kolację, którą zapamiętasz do końca życia.

– Tak, tak! – zawołała Cicely Schweizmann. – Proszę, panie Bausor, niech pan się pozwoli zaprosić!

– Kolacja z sześciu dań? – powtórzył Bausor.

– Zgadza się – potwierdził z entuzjazmem Kenny Thursgood. – Z zupą z żółwia, stekiem z polędwicy, świeżym pstrągiem i taką porcją gorących biszkoptów, jaką pan zmieści w żołądku.

Lewis opuścił głowę i kaszlnął. Młodzi ludzie czekali, trącali się łokciami i chichotali, gdy się zastanawiał. Po chwili podniósł głowę i spytał:

– Pewnie tak naprawdę chodzi wam o to, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia?

Philip uniósł brwi.

– Wyrzuty sumienia? Tak źle nas oceniasz? Oczywiście nie mam o to do ciebie pretensji. Wszyscy tak oceniają bogaczy. Ale pozwól sobie powiedzieć, że żaden człowiek, który zarabiając pieniądze, rozwija gospodarkę swojego kraju, nie ma wyrzutów sumienia. My też nie mamy wyrzutów sumienia. Chcemy tylko podzielić się naszym bogactwem z innymi.

Lewis znów popatrzył na Hope, tym razem pytająco, jakby chciał się dowiedzieć, czy powinien przyjąć zaproszenie. Dziewczyna kiwnęła głową i uśmiechnęła się do niego

szeroko. Uspokojony, odpowiedział jej uśmiechem.

– W porządku – odparł. – Skoro ma to was uszczęśliwić, pojadę z wami do tego lokalu. Wiecie, że od trzech lat nie jadłem prawdziwej kolacji? Ostatni raz zdarzyło mi się to w trzydziestym czwartym, w Święto Dziękczynienia, kiedy jeden facet zabrał mnie z drogi tuż za Poughkeepsie i zaprosił do siebie do domu. To była moja ostatnia prawdziwa kolacja.

Podszedł do nich Eddie z zapasowym smokingiem.

– Musi pan to włożyć, Bausor. W restauracji, do której pana zabieramy, nie wpuszczają w wyjściowych garniturach.

Jedna z dziewczyn zachichotała, kiedy nazwał znoszone ubranie Bausora wyjściowym garniturem.

– Uspokójcie się, proszę! – zawołał Philip. – To bardzo ważna chwila.

Dziewczyny uciszały jedną drugą i dalej chichotały.

Eddie zabrał Bausora za samochód, gdzie miał włożyć smoking, a pozostali zaczęli szykować się do odjazdu. Hope nie wiadomo czemu czuła się trochę nieswojo. Czekała przy chryslerze, patrząc

na drugą stronę parkingu, na bar. Właśnie zgasła w nim ostatnia lampa i właściciel zamknął drzwi.

– Taram-ta-ram! – zawołał Eddie.

Wszyscy się odwrócili i z cienia wyszedł Lewis Bausor ubrany w smoking Eddiego. Uśmiechał się z zakłopotaniem i poprawiał czarną marynarkę, próbując czuć się w tym nowym stroju swobodnie. Chociaż właściciel smokingu był wysoki i dobrze zbudowany, a Bausor drobny i okropnie chudy, ubranie prezentowało się na nim całkiem nieźle. Marynarka trochę się zakurzyła i wymięła w bagażniku, na gorsie białej koszuli widniała plama po zupie, a spodnie były tak długie, że układały się w harmonijkę na butach, ale ponieważ Bausor nie miał skarpetek, mogły ukryć ten brak przed maître d'hôtel Royale, bardzo drobiazgowym i zasadniczym w sprawach ubioru.

Lewis Bausor podszedł do Hope, przygładzając potargane siwe włosy.

– Jak wyglądam? – spytał ochryple.

Kiwnęła głową i zdobyła się na blady uśmiech. Czuła, że coś ściska ją w gardle i zbiera jej się na płacz. Wiedziała jednak, że musi się opanować. Teraz, kiedy mieli oddać prawdziwą salwę na cześć socjalizmu, łzy były zupełnie nie na miejscu.

– Doskonale – odparła.

Wsiedli do samochodów. Lewis usiadł z tyłu auta Philipa, obok Kenny'ego. Ruszyli z rykiem silników i trąbieniem klaksonów, kierując się do Royale Country Club. Mel znowu zaczął produkować się na klarnecie, wygrywając serenady, gdy pędzili przez noc.

Po dwudziestu minutach dotarli do Royale. Minęli imponującą bramę z kutego żelaza i zwolnili na półkolistym żwirowym podjeździe. Chociaż zrobiło się późno, klub był rzęsiście oświetlony i pełen ludzi. Na parkingu stały błyszczące cadillaki, packardy i chryslery, wyglądające jak ławica wielkich ryb.

– No, stary, jak ci się tu podoba? – spytał Kenny, pomagając Lewisowi Bausorowi wysiąść z auta.

Włóczęga w wymiętym smokingu stanął na idealnie zagrabionym żwirze i powoli uniósł wzrok. Przed sobą zobaczył półokrąg marmurowych schodów, otwarte drzwi i wielki hol, rzędy kolumn i okien ozdobionych kamiennymi liśćmi akantu.

Hope obeszła samochód i ujęła Bausora pod ramię. Nie poruszył się i był taki blady, że jego twarz wyglądała, jakby była obsypana mąką. Dopiero w światłach latarń podjazdu Hope

zauważyła, jak niedorzecznie prezentuje się w zbyt dużym smokingu i jak bardzo jest wyczerpany i osłabiony. Pomyślała, że bardziej nadaje się do szpitala niż do Royale Country Club, ale ścisnęła jego chude ramię i powiedziała:

– Chodź, Lewis. Będzie wspaniale.

Kiedy doszli do drzwi, zrównał się z nimi Philip i uwieszona u jego ramienia Cicely.

– Wejdę pierwszy i zmiękczę Hugona – oświadczył Philip. – Zresztą nie sądzę, aby odważył się nas zatrzymać.

– Kto to jest Hugo? – spytał Bausor.

– Tutejszy maître d'hôtel – odparła Virginia. – To bardzo zasadniczy człowiek, więc postaraj się nie pokazywać, że nie masz skarpetek.

Weszli do wysokiego, jasno oświetlonego holu. Podłogę z czarnego włoskiego marmuru wypolerowano jak lustro i zastawiono ozdobnymi zielono-żółtymi ceramicznymi donicami z miniaturowymi cisami. Dalej znajdowały się wyłożone jasnobrązowym dywanem schody, za którymi rozciągało się prowadzące do głównej sali restauracyjnej foyer. Z głębi dobiegały dźwięki muzyki i gwar rozmów.

– To lepsze niż jadłodajnia pod karaluchem – mruknął Kenny.

Ruszyli w górę po grubym dywanie i przeszli przez foyer. Nad nimi na sklepieniu kopuły unosiły się na chmurkach nimfy, boginie i tłuste cherubinki. Hope coraz mocniej ściskała ramię Lewisa, gdy zbliżali się do wysokich drzwi z mahoniu i szkła prowadzących do restauracji Royale. Hope już widziała niskiego ciemnowłosego szefa sali i jej serce przyspieszyło. Nie miała odwagi spojrzeć na Lewisa, który wlókł po podłodze nogawki spodni, szurając butami.

Ściany restauracji były wyłożone czerwonym aksamitem i pluszem, a z sufitu zwieszały się rokokowe kandelabry. Pozłacane stoliki były nakryte wykrochmalonymi lnianymi obrusami, na których leżały srebrne sztućce. Ze znajdującego się z boku podium dla orkiestry sączyła się kameralna muzyka. Naprzeciwko niego były podwójne drzwi prowadzące do kuchni, z których jak pszczoły z ula wyfruwali kelnerzy w białych marynarkach, niosąc srebrne tace z łososiem, pasztetami, ostrygami, *pigeonneaux royaux* i *sauce paradis*. W powietrzu unosiły się aromatyczne zapachy sosów, owoców, likierów i *filet de boeuf*, przemieszane z gwarem konwersacji, doprawiającej ostrymi samogłoskami, typowymi dla dobrze urodzonych

mieszkańców Nowej Anglii, szerokie, płaskie dźwięki charakterystyczne dla spekulantów z południa i południowego zachodu Stanów.

Royale Country Club jak zwykle pękał w szwach.

Kiedy weszli do sali, Hugo obrócił się w ich stronę.

– Witam, monsieur Strachan – powiedział.

Jego wzrok przemknął nad ramieniem Philipa i sprawdził wszystkich dokładnie.

– Dobry wieczór, Hugo – odparł Philip. – Bardzo tłoczno dzisiaj?

Przez okrągłą twarz Francuza przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

– Jak zawsze, monsieur Strachan.

– Proszę o stół na czternaście osób.

– Wszyscy są członkami klubu, monsieur Strachan?

– Naturalnie.

– A ten dżentelmen z mademoiselle Cornelius?

– Och, zapomniałem o nim. To nasz gość.

W rękach kierownika sali pojawiła się księga gości, jakby ukrywał ją pod koszulą.

– Oczywiście pan poręczy za niego, monsieur Strachan?

Philip się zawahał.

– Prawdę mówiąc, to gość panny Cornelius – odparł.

Hugo pokręcił głową.

– Panie będące członkami klubu nie mogą składać poręczenia za gości – oświadczył.

Nie odrywał spojrzenia od Bausora i oczywiście natychmiast zauważył wymięty gors smokingowej koszuli, niedbale zawiązaną muszkę, obwisłą marynarkę i opadające spodnie. Hope czuła się, jakby odwiedziła Czarnoksiężnika z Krainy Oz ze Strachem na Wróble. Lewisem kilka razy wstrząsnął zduszony kaszel.

Philip Strachan wzruszył ramionami i wyciągnął rękę po pióro, złożył podpis i odwrócił się do Hope, przesyłając jej pozbawiony wesołości uśmiech.

Kiedy Hugo prowadził całą grupę między stolikami, kierując się w stronę długiej loży przy oknie, rozmowy przycichły. Większość gości była znajomymi ich rodziców, więc machali rękami i uśmiechali się, mijając kolejne stoliki.

– Dobry wieczór, pani Vanderhaugh.

– Dobry wieczór, panie Sharp.

– Dobry wieczór, panno Gaylord.

Kiedy Hope mijała panią Vanderhaugh, wdowę po producencie smarów, usłyszała jej

przenikliwy szept:

– Kto to, na Boga? Rozbitek z tratwy?

Hugo posadził ich przy długim stole. Lewis usiadł obok Hope, uśmiechając się do niej nerwowo. Miejsca naprzeciwko nich zajęli Kenny i Virginia, a Philip usiadł po lewej ręce Hope, u szczytu stołu. Orkiestra znowu zaczęła grać i gwar rozmów przy okolicznych stolikach narastał. Tylko ich najbliżsi sąsiedzi kilka razy spojrzeli na Bausora. Hope wcale się tym nie przejęła, a on sam był za bardzo zdenerwowany, aby to w ogóle dostrzec.

Po chwili pojawił się kelner od win i spytał, czy mają ochotę na jakiś aperitif lub koktajl. Oszołomiony Lewis rozglądał się po sali, gdy pozostali zamawiali napoje.

– Na co ma pan ochotę? – zapytał go kelner.

– Wytrawne martini – odparł.

Dobrze sobie radzi, stwierdziła w duchu Hope, starając się nie myśleć o tym, że jej towarzysz nie ma skarpetek.

Wypili aperitif w niezręcznym milczeniu. Po drugim martini Lewis Bausor nabrał rumieńców i pewności siebie, zaczął też brać udział w rozmowie. Słuchali go z mieszaniną pobłażania i niepokoju. Hope wyczuwała wokół siebie napięcie i wciąż zerkała w stronę

aksamitnego sznura, przy którym stał szef sali. Zamierzała go powstrzymać, gdyby próbował zatelefonować do jej ojca.

– Mówię wam, widziałem takie rzeczy na parkowych ławkach, że włosy by wam dęba stanęły – oświadczył Bausor, biorąc nóż do ryby i smarując bułeczkę masłem. – Myślicie, że widzieliście prawdziwe życie? Zaczekajcie, aż zobaczycie bezdomnych na Bowery. Cuchnący, zawszeni pijacy śpiący na drewnianych ławkach. Niektórzy z nich byli kiedyś szanowanymi obywatelami. I kobiety też! Gdy byłem na Środkowym Zachodzie w trzydziestym piątym, spotykałem tam kobiety, które za pół dolara zrobiłyby wszystko, co tylko byś sobie zażyczył, tyle że były takie brudne, że dałbyś im te pół dolara, byle sobie poszły. Kiedyś w Chicago na estakadzie kolejowej widziałem kobietę, przed kryzysem szanowaną gospodynię domową, która podniosła spódnicę i założyła sobie krążek na oczach całego wagonu ludzi!

Siedząca przy następnym stoliku pani Edwinowa Daumier, żona znanego nowojorskiego inwestora, uniosła dłoń do skroni, jakby cierpiała na ból głowy. Była pulchną niską kobietką z sępim nosem. Hope wiedziała, że należy do najbardziej snobistycznych

i męczących bywalczyń Royale. Najwyraźniej dokładnie słyszała, o czym mówił ich gość, i zupełnie odebrało jej to apetyt, bo przestała jeść.

Hope położyła rękę na ramieniu Lewisa i powiedziała:

– Lewis, nie powinieneś tak głośno mówić. Ludzie nie lubią słuchać o takich rzeczach podczas posiłku.

Odwrócił się do niej. Miał zaczerwienione i załzawione oczy i Hope nagle uświadomiła sobie, że jest już mocno wstawiony. Wypił tylko dwa martini, ale pił na pusty żołądek, jeśli nie liczyć kawy i pączka w jadłodajni. Poza tym pewnie nie tknął ginu od lat.

– Nie lubią? – powtórzył. – Pewnie, że nie lubią! Właśnie dlatego mnie tu ściągnęliście. Chcieliście pokazać tym nadętym tępakom, jacy jesteście liberalni i wyzwoleni, prawda? Od razu się pokapowałem. Myślałem, że chcecie zafundować mi wspaniałą kolację, ale wy zaprosiliście mnie tylko po to, żeby zaszokować tych wszystkich cymbałów, zgadza się?

– Proszę… – szepnął z naciskiem Philip. – Ciszej, dobrze?

Lewis zakaszlał i otarł usta złożoną serwetką.

– Nie rozumiem was, dzieciaki – mruknął, kręcąc głową. – Nie wystarczy wam tego, co macie w swoim bogatym, przyjemnym i bezpiecznym życiu?

– Nie wiem, o co ci chodzi – powiedziała Hope. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, jaki to przełom, że cię tutaj przyprowadziliśmy? Nie pojmujesz, że właśnie obaliliśmy barierę między światem bogatych snobów i resztą ludzi?

Lewis zaśmiał się gorzko.

– Niczego nie obaliliście! Wpuścili mnie do tego lokalu tylko dlatego, że jestem z wami. Sam nie dostałbym się tutaj nawet za milion lat.

– Ale jednak tu jesteś – zaprotestował Kenny.

– Och, pewnie, jestem, ale staracie się jak cholera, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Ciszej, Lewis! Nie nakrusz, Lewis! Jaki był sens ciągnąć mnie tutaj, skoro nikt się o tym nie dowie?

– Jutro dowiedzą się gazety, bo im o tym powiemy! – oświadczyła Hope.

Kelnerzy przynieśli zakąski. Za radą Hope Lewis wybrał schłodzone śródziemnomorskie krewetki i jaja siewki. Obsługujący ich kelner z trudem ukrywał dezaprobatę wobec gościa, który mimo eleganckiego stroju wyglądał i pachniał jak włóczęga. Lewis nie poprawił

swojego wizerunku, gdy tak energicznie zaatakował widelcem starannie skomponowaną tacę, że miniaturowe jajeczko uciekło z niej na środek stołu.

Hope wybrała suflet z turbota, a Philip zadowolił się szynką parmeńską. Wszyscy zabrali się do jedzenia, ale nagle się okazało, że nikt poza ich gościem nie ma apetytu. Kelner podał wytrawne mozelskie wino o owocowym bukiecie i Lewis wlewał je w siebie kieliszek za kieliszkiem. Siedzący po drugiej stronie stołu Kenny uśmiechnął się niepewnie do Hope i pokręcił głową, jakby powoli zaczynał żałować, że bierze w tym wszystkim udział.

– Więc co te gazety zamierzają ogłosić? – spytał Lewis, wpychając do ust krewetki, jajka i kawałek bułki. – Że włóczędzy to też ludzie i również bywają głodni? To ma być ten wielki przełom? Pokazanie, że ci, którzy nie mają pieniędzy, muszą jeść tak samo jak ci, którzy śpią na pieniądzach? O to chodzi?

– Oczywiście, że nie – odparł Mel. – Wszyscy wiedzą, że włóczędzy to też ludzie. Nie po to zrobiliśmy ten kawał.

Bausor przestał żuć. Z kącika ust sterczał mu ogonek krewetki.

– Kawał? – powtórzył cicho. – Jaki kawał?

– Chyba przyznasz, że to bardzo zabawny pomysł – powiedział Mel. – No wiesz, żeby cię tu ściągnąć i w ogóle. Sam musisz to przyznać.

– Każdy kawał ma poważny wydźwięk, Lewis – dodał szybko John Deerman. – Za wymalowanym uśmiechem klauna kryją się łzy.

Bausor zwrócił ku niemu swoją chudą, szczurzą twarz. Jego oczy błyszczały od wypitego alkoholu.

– Więc o to w tym wszystkim chodziło? Żeby zrobić kawał? Hope… o to właśnie chodziło?

Dziewczyna była zmieszana.

– Tak naprawdę to wcale nie kawał, Lewis. Nie żartujemy z ciebie. To raczej coś w rodzaju farsy. Nie rozumiesz, o co mi chodzi? Sprowadzając cię tutaj, chcieliśmy ci pokazać, że bogaci ludzie żyją tak przez cały czas… jakby odgrywali jakąś farsę. Ale to nie ty jesteś w tej farsie absurdalną postacią, tylko ci wszyscy ludzie. Siedząc w ich restauracji, jedząc i pijąc to samo co oni, udowadniasz, że są śmieszni, egoistyczni i nieludzcy.

Kelnerzy zabrali talerze z przystawkami i przynieśli rybę, pstrąga w ziołach ugotowanego na parze.

– Spróbuj tej ryby, jest nieziemska – zachęcał Philip Lewisa, ale ich gość był zbyt

zacietrzewiony, aby zająć się jedzeniem.

– Nie macie o niczym pojęcia – oświadczył. – Gówno wiecie, dzieciaki!

Siedząca przy następnym stoliku pani Daumier zasłoniła uszy rękami. Jej towarzysz, señor Perova z ambasady Hiszpanii, dał znak kierownikowi sali i Hugo natychmiast ruszył w ich stronę między okrytymi bielą stolikami niczym przecinający fale morskie ścigacz.

– Jak, do cholery jasnej, miałbym sprawić, że ktoś tu będzie śmiesznie wyglądał? – spytał Bausor. – Spodziewacie się, że dorobię komuś gębę idioty? – Gwałtownym gestem wskazał panią Daumier. – Ona i bez tego wygląda na idiotkę, ale ja zawsze będę wyglądał na większego idiotę, bo jestem biedny, a ona bogata! Nie rozumiecie tego? Nie pojmujecie najprostszych prawd! Możecie być głupcami, jednak nie ma większych głupców niż my, bezdomni i włóczędzy, bo zachwycamy się tym, co wy macie, i podziwiamy was samych. Taka jest prawda!

Señor Perova, barczysty mężczyzna o sumiastych wąsach, podszedł do Lewisa i klepnął go w ramię.

– Żądam, aby pan natychmiast przeprosił moją towarzyszkę! – oświadczył zduszonym

z wściekłości głosem.

Bausor podniósł na niego pływający wzrok i powiedział:

– Odwal się, koleś. I tak zaraz stąd zjeżdżam.

Señor Perova uderzył go pięścią w skroń. Wszyscy osłupieli. Lewis Bausor poleciał w tył i wylądował na oknie, wybijając jedną z szyb. Philip Strachan podskoczył i złapał Hiszpana za ramię.

– Proszę… señor! To nie jego wina! Strasznie mi przykro! Pani Daumier… proszę przyjąć moje osobiste przeprosiny! Ten człowiek jest moim gościem i przyjmuję za niego pełną odpowiedzialność. Obawiam się, że to wina martini, nie przywykł do picia. Kenny, pomóż mi go stąd zabrać!

Hope klęczała przy Lewisie. Miał na policzku czerwoną pręgę i co chwila przykładał rękę do ust, jakby sprawdzał, czy nie wybito mu zębów.

– Nie, Philip! – zaprotestowała Hope. – Ten człowiek jest moim gościem i zostaje tutaj! O to w tym wszystkim chodzi! Kiedy oni zobaczą kogoś takiego jak on, zamieniają się w dzikie zwierzęta!

– Jacy „oni”?! – krzyknął Philip. – Ci ludzi to nie „oni”, ale my! To Bausor jest tu obcy!

Pozbądźmy się go stąd, zanim narobi więcej kłopotów!

Hope zaczęła płakać.

– To nie jego wina, Philipie – wychlipała. – On po prostu nie wiedział, jak powinien się zachować. Po prostu nie wiedział, jakie to ważne!

Tymczasem dotarł do nich Hugo. Bardzo przejęty, przez chwilę kręcił się przy stole, poprawiając srebra i zacierając ręce.

– Musicie opuścić klub – oświadczył w końcu. – Proszę… wszyscy musicie go opuścić. Takie rzeczy są niedopuszczalne.

– Ja nigdzie nie wychodzę – zaprotestował John Deerman. – Jeszcze nie skończyłem jeść kolacji.

– Ale ten osobnik musi opuścić salę – powiedział Hugo, wskazując Bausora, który właśnie próbował podnieść się z podłogi. – I to jak najszybciej.

– Dlaczego? – zaprotestowała Hope, mrugając pełnymi łez oczami. – Doszło do kłótni, ale teraz wszystko jest już w porządku. Dlaczego on musi wyjść? Jest moim gościem i chcę, żeby został.

Hugo odwrócił głowę, jakby jego poczucie godności własnej zostało śmiertelnie zranione.

– Ma niestosowne ubranie – stwierdził.

– Przecież jest w smokingu – sprzeciwił się Kenny Thursgood, który wrócił już do swojego pstrąga. – Nie możesz zaprzeczyć, że ma na sobie smoking.

Hugo wyciągniętym palcem wskazał kończyny Lewisa Bausora, któremu podczas upadku nogawki podjechały do góry, odsłaniając chude łydki.

– Brak wyrobów pończoszniczych – oświadczył. – Jego nogi pozbawione są wyrobów pończoszniczych, a zasada jest jasna. Jeśli brak wyrobów pończoszniczych, kolacji się nie podaje.

W restauracji panowała cisza. Wszyscy patrzyli na włóczęgę z wrogą ciekawością. Bausor wstał z trudem.

– Pomożesz mi wyjść? – zapytał kierownika sali. – Nie czuję się zbyt dobrze.

Hugo odwrócił się od niego.

– Musisz sam sobie dać radę. Nie dotknę cię, nie ma mowy. Higiena to rzecz święta. Muszę mieć wzgląd na moich gości.

– Chodź, Lewis, pomogę ci – powiedziała Hope.

Podparła go i spojrzała na Philipa, ale chłopak stał nieruchomo, przyciskając ręce do boków. Powoli, spazmatycznymi podrygami przeszli przez salę, kierując się do wysokich szklanych

drzwi. Gdy mijali kolejne stoliki, towarzyszył im szmer cichych komentarzy. Zanim dotarli do aksamitnego sznura, przy którym znowu stał Hugo, obserwując ich z wyniosłą miną, restauracja ożyła. Orkiestra zaczęła grać jakiś utwór Rimskiego-Korsakowa, a z kuchni wypłynęła lśniąca srebrna taca z krabami *crêpes louise*.

Gdy Hope pomagała Lewisowi przejść przez wahadłowe drzwi, usłyszała nagle, że ktoś ją woła.

Był to Gordon Eames, sekretarz Royale, wielki mężczyzna o tak błyszczącej twarzy, jakby każdego ranka polerował ją pszczelim woskiem.

– Dobry wieczór, panie Eames – odparła, nie podnosząc głowy. Wiedziała, że cały tusz spłynął jej na policzki.

– Panno Cornelius, właśnie się dowiedziałem, że jest pani odpowiedzialna za wprowadzenie tego osobnika do klubu.

– Tak, panie Eames.

– Wobec tego czuję się zobowiązany powiadomić o tym fakcie pani ojca. Oczywiście moglibyśmy okazać wyrozumiałość, jednak nie jestem pewien, jak pani ojciec oceni pani zachowanie.

Dał znak dwóm ubranym w zielone liberie lokajom, którzy stali przy drzwiach foyer. Natychmiast podeszli do nich i złapali Lewisa za przeguby. Nie stawiał oporu, był bardzo blady, przygarbiony i zupełnie wyzuty z sił.

– Może pani wrócić do swojego towarzystwa, panno Cornelius – powiedział Eeames. – Dopilnuję usunięcia tego osobnika z klubu.

Hope przez chwilę się wahała. Odwróciła się do Lewisa i wyciągnęła do niego rękę, ale nawet nie uniósł głowy.

– Lewis… przepraszam – wymamrotała, jednak chyba nawet jej nie usłyszał.

Zostawiła go w foyer i wróciła do sali restauracyjnej, gdzie wcześniej Hugo kazał umieścić jej pstrąga na podgrzewaczu. Dopiero kilka tygodni później uświadomiła sobie, jak bardzo jest przewidywalna, skoro nawet szefowi sali restauracyjnej wystarczyło lotności, by się domyślić, że wróci do stołu.

Lokaje wywlekli Lewisa Bausora na dwór, a potem szybko poprowadzili go żwirowanym podjazdem w stronę ozdobnej bramy. Kiedy tylko wyszli poza teren klubu i znaleźli się wśród cieni drzew, zaczęli się nad nim pastwić. Okładali go pięściami po twarzy i klatce piersiowej, kopali w krocze i nogi.

Większą część nocy przeleżał na drodze. Miał pogruchotaną szczękę i cztery złamane żebra. Jego twarz była wciśnięta w niestrawione krewetki i jajka siewek.

♦ ♦ ♦

Tydzień później rodzina Corneliusów siedziała pod błękitnym niebem i leniwymi chmurami na opadającej łące porośniętej astrami i wysoką trawą, kilka mil za Charlestonem, w Wirginii Zachodniej. Było popołudnie. Przyjechali do nowej rezydencji Rodericka w stylu królowej Anny, w której starszy syn Johanna Corneliusa zorganizował piknik z okazji urodzin, ale mieli też inny, dyskretny cel. Chcieli dokładnie przyjrzeć się nowej przyjaciółce solenizanta, Celii Lulworth, którą Roderick poznał zaledwie przed dwoma tygodniami na jednym z przyjęć u Daviny Beerenberg i której wdziękiem, urodą i „dowcipem, matko!” zachłystywał się od tamtej pory. Wypad razem z nim do teatru w Nowym Jorku był według Hester jednym wielkim nudziarstwem. Mówił tylko o swojej cudownej Celii i o tym, jak fantastycznie się dogadują.

Z południowego zachodu wiał ciepły, łagodny, senny wietrzyk, „sapnięcie Kentucky”, jak nazywali go miejscowi. Wokół nich kołysały się astry i motyle fruwały nad trawą. Lester, lokaj obsługujący Johanna podczas podróży, rozłożył kremowy adamaszkowy obrus w cieniu starych wirginijskich dębów i Corneliusowie oraz ich gość siedzieli wokół niego w eleganckich letnich strojach, sącząc z wysokich, smukłych kieliszków dom pérignon, próbując bekasów, krabów, pasztecików z nadzieniem na oliwie truflowej, dojrzałych angielskich serów i *soufflés glacés* podawanych w kryształowych kompotierkach.

Johann, którego pomalowany na biało dwusilnikowy wodolot cumował zaledwie pół mili od domu na spokojnych niebieskich wodach jeziora, przyleciał rano wraz z Hester z Lynwood i teraz siedział na leżaku z nogami w słońcu i twarzą zanurzoną w cieniu, nerwowo żując pasztecik, jakby coś nie dawało mu spokoju. Miał na sobie biały lekki garnitur o zbyt sportowym charakterze, aby do niego pasował. Trochę bardziej posiwiał i był opalony, jednak mimo to wyglądał jak człowiek, który większość swojego dorosłego życia spędził w zadymionych gabinetach.

Hester miała na sobie cytrynowożółtą sukienkę w bladoróżowe kwiatki, wykończoną marszczonym kołnierzykiem, a na głowie szeroki żółty kapelusz z delikatną szyfonową woalką, którą podwiązała wysoko, by móc swobodnie jeść. Odzywała się bardzo rzadko, głównie dlatego, że chciała się przekonać, co ma do powiedzenia Celia. Wiedziała, że nowa przyjaciółka syna jest jedyną córką milionera Henry'ego Lulwortha, producenta kalkulatorów, ale słyszała też różne dziwne opowieści o tej rodzinie. Mówiono, że William, drugi syn, potrafił dokonywać w głowie bardzo skomplikowanych obliczeń i nie sprawiało mu to żadnego problemu, jednak musiał mieć przy tym zamknięte oczy. Poświęcał także mnóstwo czasu różnym innym problemom, na przykład dla zabawy obliczał dzień i godzinę następnego zaćmienia Księżyca, które będą mogli zobaczyć mieszkańcy miasteczka Butte w stanie Montana.

Ale Hester musiała przyznać, że Celia Lulworth na pierwszy rzut oka prezentowała się całkiem nieźle. Była śliczną wysoką dziewczyną o jasnoniebieskich oczach i ustach tak pełnych i czerwonych, że nie potrzebowały szminki. Jasne włosy ułożyła w modne fale, jednak ubierała się na tyle konserwatywnie, że zyskało to aprobatę

Hester. Miała na sobie bladoróżową plisowaną spódniczkę, białą, wiązaną pod szyją jedwabną bluzeczkę i perły. Mówiła do rzeczy i dowcipnie, jednak bez zadzierania nosa, poza tym umiała jednocześnie jeść i konwersować, inaczej niż Roderick, któremu połączenie tych dwóch czynności zwykle sprawiało kłopot.

Była żywa i błyskotliwa, ale Hester wyczuwała w niej też ukrytą siłę i mimo że tego typu pewne siebie, inteligentne kobiety budziły w niej niechęć, wiedziała, że Roderick potrzebuje towarzyszki, która oprócz klasy będzie miała stalową wolę. Johann się starzeje, pomyślała, łagodnie gładząc nogawkę jego drelichów, i niebawem Roderick będzie musiał przejąć wszystkie jego interesy i problemy. Widziała zbyt wiele zmagań Johanna z rządem, związkami, cenami surowców i Bookbinderem, aby sądzić, że ich starszy syn potrafi udźwignąć ten ciężar sam, bez pomocy.

Roderick, pucołowaty i spocony, z włosami wysmarowanymi pomadą, siedział po turecku po przeciwnej stronie rozłożonego na trawie obrusa. Zdjął obrażającą poczucie dobrego smaku marynarkę w czerwone i zielone prążki i jadł zimnego łososia z wody. Hope, która w tych dniach nie miała ochoty na towarzystwo, wzięła

sobie kieliszek szampana i siedziała nieco dalej na rozwidlonym konarze drzewa, machając nogami i patrząc na łagodnie opadający do jeziora zielony stok.

Lester przyniósł w wielkim termosie następną porcję gorących kruchych pasztecików. Siedzieli na trawie i rozkoszowali się ciepłym letnim popołudniem, które trwało wokół nich.

– Nie sądzisz, że dom Roddy'ego nabiera urody? – zapytała Hester przyjaciółkę syna, patrząc na zbudowaną na planie kwadratu rezydencję z pomarańczowej cegły. Akurat rozjaśniło ją słońce, ale po chwili znów schowało się za chmurką.

Celia się uśmiechnęła.

– To prawda – odparła. – Nie mogę się doczekać, kiedy będzie skończony. Jednak trudno mi powiedzieć, jak będzie wyglądał hol z tymi niebieskimi zasłonami.

Hester odpowiedziała jej uśmiechem, tak naprawdę wcale się nie uśmiechając.

– Dzięki nim będzie tam chłodniej. W lecie panuje tu nieznośne gorąco.

– To bardzo niezwykły odcień niebieskiego – dodała Celia. – Kojarzy mi się z niezbyt świeżą makrelą.

Usta Hester zacisnęły się w wąską linijkę.

– Sama go wybrałam. Gdybyś choć trochę się na tym znała, wiedziałabyś, że to błękit Skagerrak i szwedzka rodzina królewska ozdobiła nim wiele pokojów w Drottningholm, letnim pałacu królowej.

– Błękit Skagerrak? – powtórzyła Celia.

– Ten kolor ochładza – dodała Hester. – To błękit lodowy, skandynawski, i właśnie dlatego ma takie działanie.

– Jeśli chcecie znać moje zdanie, wolałbym, żeby cały dom był czerwony – oświadczył Roderick z ustami pełnymi łososia. – Czerwień sprawia, że jest weselej.

– Nikogo nie interesuje twoje zdanie, Roddy – osadziła go Hester, smarując masłem lilipuciego kruchego krakersa.

– To przecież mój dom – odparł Roderick.

– Oczywiście, ale będzie wykończony wedle mojego gustu. Gdybym pozwoliła ci decydować, całość wyglądałaby jak połączenie domu schadzek z warsztatem samochodowym.

Celia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Twoja matka ma całkowitą rację, Roddy – stwierdziła. – Popatrz tylko na swoją marynarkę. Czerwony z zielonym! Nie wiadomo, czy chodzę z potomkiem fortuny Corneliusów, czy z sygnalizatorem ulicznym.

Hester uniosła głowę. Miała spokojny, ale przenikliwy i budzący szacunek wzrok.

– Zapewniam cię, że chodzisz z dziedzicem fortuny Corneliusów, więc postaraj się o tym nie zapominać – oświadczyła.

Johann otarł usta serwetką.

– Napchałem się do pęknięcia – mruknął. – To było niezłe nadzionko, Lester. Przypomnij mi, żebym od czasu do czasu upomniał się o te paszteciki.

– Dziękuję, panie C. – odparł Lester.

Posiwiał już i zgarbił się mocno, ale obsługiwał Johanna Corneliusa na pokładach samolotów i statków przez niemal siedemnaście lat i nie zamierzał w najbliższym czasie odchodzić na emeryturę. Był jedyną osobą w otoczeniu Johanna, której ten okazywał względy. Od wszystkich innych oczekiwał, że będą przewidywać wszystkie jego zachcianki i polecenia z co najmniej godzinnym wyprzedzeniem i zrobią wszystko, jak należy.

– No, Rodericku, jak się miewa ta samolotowa sprawa? – spytał, kładąc się na leżaku i splatając palce.

Roderick zerknął na swoją przyjaciółkę i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Właśnie dzięki niej poznaliśmy się z Celią. Wiesz, że Dee Beerenberg nauczyła się pilotować samolot? Urządziła z tej okazji wielkie przyjęcie w domu rodziców i tam po raz pierwszy wpadliśmy na siebie z Celią.

Johann popatrzył na Hester.

– Myślę, że twój ojciec pytał o loty transatlantyckie, którymi się teraz zajmujesz – wyjaśniła.

– Och, o to! Wszystko jest w doskonałym porządku. Ale sądzę, że powinniśmy pójść na jakiś układ z Pan American i nawiązać z nimi współpracę… przynajmniej na początku. Chodzi o ich znajomość technologii i rozwiązań inżynieryjnych. Poza nimi bardzo niewielu ludzi potrafi dokładnie wyliczyć, ile czego potrzeba na transatlantyckich trasach, więc gdybyśmy zaczynali sami, byłby to strzał na ślepo.

Johann leżał ukryty w cieniu pod drzewem i nie podniósł głowy. Siedzący w mocnym słońcu Roderick musiał mrużyć oczy i prawie nie widział jego twarzy.

– Czy kiedykolwiek opowiadałem ci, jak zbudowałem Cornelius Oil? – spytał Johann.

– Pewnie, wiele razy.

Johann kiwnął głową.

– Oczywiście, że ci opowiadałem. A co takiego ci opowiadałem? Jaka była najważniejsza zasada, dzięki której szedłem do przodu, dzięki której wygrzebałem się z biedy i zostałem bogaty? Dlaczego jestem bogaty, Rodericku? Możesz mi to powiedzieć? Dlaczego jestem bogaty, a wielu ludzi nie ma nawet dwóch centów, żeby sobie nimi podzwonić w kieszeni?

Roderick miał niepewną minę, więc przyjaciółka wzięła go za rękę, próbując dodać mu otuchy. Ten gest nie umknął uwadze Hester i zapisała go Celii na plus. Wiedziała, że dziewczyna celowo się z nią drażniła, krytykując wykończenie domu Roddy'ego, ale wiedziała też, że po prostu przechodzą uświęcony tradycją rytuał: dziewczyna rzuca wyzwanie matce swojego chłopca. W matriarchalnej społeczności – a według Hester każda cywilizowana społeczność miała taki charakter – był to niezbędny etap podróży młodego mężczyzny przez życie. Przechodził od matki do żony jak prezent gwiazdkowy, nieświadomy ostrożnego badania, jakiemu jedna kobieta poddawała drugą.

– Jedną z zasad, które ojciec nam przekazał, jest to, żeby zawsze iść śmiało naprzód – odparł Roderick. – Zawsze chwytaj okazję, kiedy tylko

się nadarzy, bo dobra okazja nigdy się nie powtarza.

Zapadła długa cisza. W oddali nad jeziorem zaczął gwizdać trzcinniczek, a powiew wiatru poruszył trawą i kwiatami delikatnie jak matka głaszcząca swoje dziecko.

– I co? – spytał w końcu Johann.

– …no i tyle – wydukał Roderick. – Chodzi o to, że wszystko jest kwestią szans. I wykorzystania tych szans, zanim uciekną.

Johann pociągnął nosem.

– Nie sądzisz, że przewozy transatlantyckie to biznes, którym powinniśmy się niezwłocznie zająć? Może powinniśmy pokonać Pan American, zamiast iść z nimi na współpracę? Jeśli zbudujemy własne samoloty, możemy stać się pierwszą firmą, która zaproponuje regularne cotygodniowe przeloty do Europy. Czy nie warto wykorzystać takiej szansy?

– Jasne, że warto! – zawołał z entuzjazmem Roderick. – Moglibyśmy od razu w to wejść. To znaczy, gdyby ojciec naprawdę chciał.

Johann wstał z leżaka i przez chwilę stał pod drzewem, trzymając ręce w kieszeniach.

– Rodericku, nie chodzi o to, czy ja tego chcę – powiedział. – To twoje przedsięwzięcie, więc to ty powinieneś zadecydować, czy mamy

zainwestować w samoloty do lotów transatlantyckich. Oczywiście będę musiał udzielić ostatecznej zgody na twój budżet, David też, ale dopóki nie nauczysz się stać o własnych siłach, nie będę mógł przekazać ci tego całego kramu, gdy przyjdzie na to czas.

Roderick poczuł zażenowanie, zwłaszcza że świadkiem tej rozmowy była Celia. Popatrzył na Johanna i wydukał:

– Przepraszam, nie to miałem na myśli, proszę ojca… Chodziło mi o to, że jeśli ogólna strategia firmy…

– Nie ma ogólnej strategii, nie w przypadku lotów! Dałem ci carte blanche, abyś stworzył konkretną strategię. A teraz powiedz mi, co chcesz zrobić!

– Johannie – napomniała go Hester. – To urodziny Roddy'ego. Czy musimy rozmawiać o interesach? Jestem pewna, że zanudziliście Celię na śmierć.

Johann odwrócił się i słońce padło na jego twarz. Celia zobaczyła blade, błyszczące oczy, masywny nos i lekko obwisłe policzki. Jego sztywny biały kołnierzyk był zdecydowanie za ciasny, ale wydawało się, iż jest to jedyna rzecz, która go podtrzymuje. Był wielkim, starym,

brzydkim mężczyzną, jednak miał w sobie ogromną energię, która intrygowała Celię.

– Ta młoda dama wcale nie sprawia wrażenia znudzonej – odparł. – Przyglądałem się jej uważnie i wiem, że na pewno nie jest znudzona. Jest młodą damą, która rozumie, czym jest bogactwo, a młode damy, które to rozumieją, zawsze interesują się finansami i wszystkimi związanymi z nimi sprawami. Poza pewnymi wyjątkami… – dodał po chwili i spojrzał na swoją córkę.

Hope leżała na trawie dwadzieścia jardów dalej, plotła wianki z astrów i machała bosymi nogami.

Johann znowu popatrzył na Celię.

– Chciałbym poznać pani opinię, panno Lulworth – powiedział. – Pani zna się na lataniu, prawda? Przyjaźni się pani z Beerenbergami i Earhartami. Jak pani sądzi, co powinniśmy zrobić w kwestii lotów przez Atlantyk?

Celia spuściła oczy i uśmiechnęła się skromnie.

– Obawiam się, że nie jestem takim ekspertem jak Roddy – odparła.

– Nieważne, proszę powiedzieć, co pani o tym myśli – naciskał Johann.

– Hm… Sądzę, że lepiej byłoby rozegrać to bezpiecznie.

– To znaczy?

– Eksploatacja własnej floty powietrznej wydaje mi się bardzo niepewnym przedsięwzięciem. Wystarczy spojrzeć na zeppeliny! Do ubiegłego miesiąca wszyscy myśleli, że będziemy latać nimi tam i z powrotem przez Atlantyk, ale teraz nikogo nie wsadziłby pan do żadnej z tych maszyn, nawet gdyby oferował mu pan darmowy przelot i tysiąc dolarów na przyjemności na pokładzie.

– Pewnie ma pani rację – przyznał Johann. – Ale co wobec tego pani sugeruje? Inwestując w awiację, chciałbym mieć z tego jakieś pieniądze.

– Sądzę, że powinien pan włożyć swoje pieniądze we wszystkie usługi potrzebne ludziom, którzy latają. To, czym będą latać, nie ma znaczenia. Myślę o takich rzeczach jak przewóz towarów czy catering dla pasażerów czekających na polepszenie pogody, żeby polecieć. Ludzie zawsze jedzą i piją, kiedy podróżują. A co z zaopatrywaniem samolotów w paliwo? Żeby przelecieć Atlantyk, potrzebne są setki galonów benzyny. Gdyby zmonopolizował pan usługi naziemne, wszystkie zagrożenia

związane z lotami spadłyby na firmy samolotowe, a pan siedziałby sobie spokojnie i miał zapewniony stały dochód, niczego nie ryzykując.

Johann wysłuchał tego i zaśmiał się.

– Mądrze pani kombinuje, panno Lulworth. Powinienem wykopać Bookbindera i wziąć na jego miejsce panią.

– Może to rzeczywiście dobry pomysł… – mruknęła Hester.

Johann odwrócił się do Rodericka.

– Więc co, Roddy? Słyszałeś, co twoja przyjaciółka powiedziała o lataniu. A co ty nam powiesz?

Roderick wstał i obszedł cień dębu, kręcąc głową.

– Muszę przyznać, że to niegłupia teoria, ale nie jest to kierunek działania, który pozwolił Corneliusom zdobyć fortunę, prawda? Chodzi o to, że raczej nie da się nazwać lotnictwa transportowego złotą żyłą przyszłości, mam rację? Ile frachtu zabierze samolot? W najlepszym wypadku kilkaset funtów. A koszty? Kto zapłaci tysiąc dolarów za wysyłkę pary opon do Europy, kiedy za osiem dolarów można wysłać morzem całą ciężarówkę? Nie, jeśli w lotnictwie są jakieś pieniądze, to w lotach

pasażerskich. Poza tym bardzo chciałbym zobaczyć nazwisko Cornelius na naszych własnych maszynach.

– Na naszych własnych maszynach? – powtórzył ze zdziwieniem Johann. – Chcesz powiedzieć, że powinniśmy… skonstruować własny samolot?

– Właśnie.

– Naprawdę chciałbyś to zrobić?

– Pewnie. Według mnie to jedyny słuszny kierunek. Jeśli masz swój samolot, panujesz nad wszystkimi innymi rzeczami, takimi jak fracht i tak dalej, i możesz żądać za nie takiej ceny, jaka ci się spodoba.

Johann wyjął chusteczkę i powoli otarł czoło. Wiatr ucichł i w słońcu było trzydzieści pięć stopni. Przy jeziorze znów odezwał się trzcinniczek. Lester zaczął zbierać nakrycia z leżącego na trawie obrusa.

– Roddy… – zaczął powoli Johann, tak cicho, że tylko syn go słyszał. – Kiedy ci to wszystko przyszło do głowy? Bo chyba nie w tej chwili? Czy to Celia tak cię natchnęła?

– Oczywiście, że nie! Siedzę nad tym od paru tygodni.

– I naprawdę wierzysz, że wejście Cornelius Oil w lotnictwo to dobry pomysł?

– Na sto procent.

– Najlepiej będzie, jak sporządzisz raport na ten temat. Dołącz do niego kosztorysy i rozliczenia finansowe i postaraj się, żeby znalazł się na moim biurku w naszym domu na wyspie do następnego piątku.

Roderick zamrugał, zaskoczony i uradowany. Uniósł ręce, jakby chciał uściskać ojca, ale Johann mruknął coś pod nosem i odwrócił się od niego.

– Ojcze…

Johann odchrząknął.

– Ani słowa więcej, Roddy, ani słóweczka. To twój egzamin i jeśli jeszcze coś powiesz, mogę zmienić zdanie. Wcześniej czy później cały ten kram przejdzie w twoje ręce i chcę mieć pewność, że kiedy będziesz miał dwa, trzy lub więcej milionów dolarów do zainwestowania, zrobisz to, jak należy. Jeśli chcesz skonstruować samolot, proszę bardzo, dam ci na to pieniądze i możesz zacząć nad nim pracować. Ale, na Boga, niech to będzie najlepszy samolot, jaki kiedykolwiek zbudowano.

Roderick spojrzał na matkę. Kiedy przywołała go do siebie, uściskał ją mocno i powiedział do ojca:

– Nie zawiodę cię, obiecuję.

Johann gestem dał Lesterowi znak, aby podał mu laskę.

– Tak, Roddy, nie zawiedziesz mnie – mruknął.

Szeroko uśmiechnięty Roderick wrócił do Celii. Nie zauważył spojrzenia, jakie jego dziewczyna wymieniła z Hester. Było to spojrzenie wyrażające zrozumienie istoty tego, co się właśnie wydarzyło. Oznaczało też początek negocjacji i dyskusji podczas stopniowego przekazywania syna przez matkę drugiej kobiecie. Jednak przejęty swoim nowym przedsięwzięciem Roderick nie mógł nie tylko zauważyć tego spojrzenia, ale także zrozumieć.

♦ ♦ ♦

Kiedy wieczorem tego samego dnia Hope siedziała w swojej sypialni wychodzącej na otaczający bok domu las, rozległo się stukanie do drzwi.

– Proszę! – zawołała.

Do pokoju weszła Hester. Nadal miała na sobie niebieską wieczorową suknię, w której zasiadła do kolacji, ale już rozczesała włosy przed położeniem się do łóżka. Hope siedziała w dużym zielonym uszaku przy oknie, opierając

nagie stopy na parapecie, pochłonięta lekturą romansu.

– Witaj, matko.

Hester usiadła na krawędzi mahoniowego łóżka i splotła ręce na podołku.

– Pewnie zamierzasz skarcić mnie za to, że siedziałam przez cały dzień na drzewie, zamiast rozmawiać z tobą i ojcem o tych nudnych latających rupieciach – mruknęła Hope.

– Mam nadzieję, że nie jesteśmy aż tak surową rodziną – odparła matka.

– To zależy od twojego nastroju, matko.

– Cóż… nie o tym chcę mówić.

– Myślałam, że o tym. Ale jeśli nie, to o czym? Jaką inną potworną zbrodnię popełniłam?

– Popatrz na mnie – powiedziała Hester.

Hope wstała i spojrzała na nią.

– To musi być coś poważnego – stwierdziła. – Kogo zamordowałam?

– Pewnie cię ucieszy, że nikogo, ale dziś rano twój ojciec otrzymał telefon z gazety – oświadczyła Hester. – Poinformowano go, że tydzień temu ty i twoi przyjaciele zabraliście do auta jakiegoś włóczęgę i zawieźliście go do Royale Country Club, gdzie jego zachowanie obraziło wielu członków klubu. Musiał zostać usunięty, a kiedy próbowano to zrobić, uciekł się

do przemocy, więc lokaje musieli użyć wobec niego siły.

– I co się wydarzyło?

– Wygląda na to, że uciekł – odparła bezbarwnym głosem Hester. – Uciekł i zniknął.

– Nie rozumiem…

– To jeszcze nie wszystko. Dwa dni potem został znaleziony na polu nieopodal klubu. Zmarł z głodu i wychłodzenia.

Hope przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w matkę, a potem jej oczy wezbrały łzami, które zaczęły kapać na książkę.

– Nie Lewis… – jęknęła. – Nie Lewis Bausor… Proszę.

– Wiesz, jak się nazywał?

Dziewczyna zakryła usta rękami.

– O Boże… – załkała. – O Boże, czuję się okropnie.

– Hope, musisz ze mną porozmawiać – powiedziała Hester. – Czy naprawdę znałaś tego człowieka? Zadawałaś się z włóczęgą?

Dziewczyna próbowała odpowiedzieć, ale nie mogła. Matka wręczyła jej małą koronkową chusteczkę. Kiedy otarła oczy i wysiąkała nos, Hester dodała:

– Nie przejmuj się, nie musisz mi jej zwracać.

W końcu Hope uniosła głowę, ocierając ostatnie łzy bokiem dłoni.

– Wiedziałam tylko, jak się nazywa – wyjaśniła. – Chyba pochodził z Yonkers. Nigdy wcześniej go nie spotkałam. O Boże, matko, czuję się taka winna! Czuję się, jakbym sama go zabiła.

– Być może w pewien sposób tak było – stwierdziła chłodno Hester.

Hope siedziała w milczeniu, gryząc wargi i patrząc zaczerwienionymi oczami na matkę. Wiedziała, że Hester zawsze robi to, co powinny robić dobre matki. Mówiła właściwe słowa we właściwych momentach. Nigdy nie zapominała o urodzinach ani specjalnych okazjach. Zawsze przychodziła na szkolne przedstawienia i zachowywała się w taki sposób, jak mogła tego oczekiwać od niej córka. Ale nie wiadomo było, co się pod tym kryje. Była w każdym calu doskonała i właśnie dlatego Hope często się wydawało, że to tylko gra. Prawdziwe matki czasem bywają niedoskonałe, a Hester nigdy się to nie zdarzało.

– Nie zamierzam domagać się od ciebie wyjaśnień, dopóki sama nie będziesz chciała mi ich przestawić – powiedziała po chwili. – Robię to nie dlatego, aby oszczędzić twoje uczucia, ale po to, żebyś zastanowiła się nad tym, co się

wydarzyło, a potem przyszła do ojca i do mnie i powiedziała nam prawdę. Oczekujemy od ciebie, że przyznasz, że postąpiłaś niestosownie, i okażesz skruchę.

– Ale ja wcale nie czuję skruchy! – zawołała Hope. – Miałam powód, żeby to zrobić!

– Jaki to może być powód? Zaciągnęłaś do Royale nieszczęśnika pozbawionego jakiejkolwiek społecznej pozycji i nie tylko go poniżyłaś, ale jeszcze zrobiłaś z siebie idiotkę. Z tego, co powiedział twojemu ojcu pan Eames, rozumiem, że Philip kilka razy próbował odwieść cię od tego absurdalnego pomysłu, ale ty uparcie brnęłaś w to dalej. Nie chciałaś słuchać nawet swoich kolegów!

– To wcale nie było tak! Zabrałam Lewisa Bausora do Royale, bo chciałam mu pokazać, że nawet bogaci ludzie potrafią współczuć innym. Nie rozumiesz, co to znaczy współczuć?

Na policzku jej matki widniał drżący półksiężyc światła odbitego od ściennego lustra w stylu Ludwika XV. Na dworze hałasowali ogrodnicy, pchając taczki i kosiarki. Jeden z nich gwizdał *Stormy Weather*.

– Moja droga, może nie jestem taka „wyzwolona” jak ty – powiedziała z ironią Hester. – Ale dobrze wiem, że ośmieszenie

włóczęgi w jednym z najbardziej ekskluzywnych klubów w kraju nie może być uznane za objaw współczucia.

– Matko…

– Nie przerywaj mi. Lepiej pomyśl o tym, jaka byłaś egoistyczna! Chciałaś dowieść, że nie jesteś zepsuta? To nie był najlepszy sposób. Czy choć raz się zastanowiłaś, co czuje tamten nieszczęsny człowiek, kiedy ciągnęłaś go do Royale? Czy pomyślałaś, że on też może mieć swoją godność i dumę? Jakim prawem potraktowałaś go jak zabawkę? A może byłaś tak bardzo zaślepiona wielkością swojej historycznej misji, że takie myśli w ogóle nie pojawiły się w twojej głowie?

Hope nie była w stanie nic na to odpowiedzieć. Po jej policzkach spłynęło parę kolejnych łez i coś ścisnęło ją w gardle tak mocno, że poczuła ból.

– Śmierć tego człowieka to niejedyna tragedia, do której doprowadziłaś – mówiła dalej Hester. – Gdybyś choć trochę interesowała się sprawami ojca, wiedziałabyś, że jest teraz zaangażowany w bardzo delikatne negocjacje ze związkiem transportowców. Od wyniku tych negocjacji zależy wiele stanowisk pracy… jeśli ojcu nie uda się namówić związkowców do kompromisu, będzie musiał wyrzucić z pracy setki ludzi. –

Ujęła Hope pod brodę i dodała: – Spójrz na mnie. Jak twój ojciec ma negocjować z robotnikami, jeśli jego córka potraktowała jednego z nich z taką pogardą?

Zapadła długa cisza. W końcu Hester wstała i podeszła do drzwi. Przez kilka minut bez słowa patrzyła na córkę, ale Hope nie potrafiła przeniknąć jej myśli.

– Rano każesz Norze spakować swoje rzeczy – oświadczyła. – Twój ojciec wysyła cię samolotem do Connecticut, gdzie pozostaniesz tak długo, jak uznamy to za stosowne. Zatrzymasz się u Landseerów. Zostali już powiadomieni telegraficznie i zgodzili się ciebie przyjąć. Podczas pobytu u nich nie będziesz się spotykać z nikim z twojej paczki. Nie będziesz też palić papierosów ani pić mocnych alkoholi.

– Landseerowie? – jęknęła Hope. – Matko, błagam…

– Mogło być znacznie gorzej. Chciał cię wydziedziczyć, ale udało mi się uzyskać złagodzenie twojej kary. Jest bardzo rozgniewany, Hope, i będzie potrzebował sporo czasu, aby przejść nad tym do porządku dziennego. Powiedział…

Kiedy nagle zamilkła, Hope podniosła głowę i popatrzyła na nią. Nie wiadomo czemu jej

matka sprawiała wrażenie zakłopotanej.

– Powiedział, że wszelkie życie, zwłaszcza niewinne życie, jest święte. I dodał, że nigdy nie wolno ci nadużywać władzy, którą dają pieniądze. Rozumiesz?

– Tak, matko. Chyba tak – szepnęła Hope.

Hester westchnęła.

– Mam nadzieję, że naprawdę to rozumiesz.

1938

COSTER WPÓLNIKIEM SCHULTZA

Prezes McKesson & Robbins wspólnikiem gangstera przemycającego alkohol

Wczoraj ujawniono, że Arthur Flegenheimer (Dutch Schultz) nie tylko wiedział, że F. Donald Coster to były skazaniec, który naprawdę nazywał się Philip Musica, ale od roku 1927 do śmierci gangstera, co miało miejsce osiem lat później, był jego wspólnikiem w nielegalnym handlu alkoholem. Śledczy federalni nadal nie wiedzą, jak Musica zdołał tak długo się ukrywać, i w dalszym ciągu poszukują jego sprzymierzeńca lub

sprzymierzeńców w świecie wielkiego biznesu.

„New York Times”
grudzień 1938 r.

Kiedy Celia przyjechała na lotnisko swoim wiśniowym bentleyem i zaparkowała przy drzwiach biura, właśnie przestało padać. Wyszła z samochodu ubrana w lniany francuski kostium i ściągając rękawiczki, przeszła pokrytą licznymi kałużami betonową płytą do głównego hangaru. Ze wschodu wiał niezbyt silny wiatr, przeganiając chmury i pozostawiając czyste niebo.

Gdy podeszła do otwartych drzwi hangaru, zaskoczyła ją panująca w środku cisza. W ciemnościach stał wielki, na wpół ukończony samolot, który zajmował niemal całe wnętrze budynku. Nie było przy nim monterów, dźwigowych, spawaczy ani elektryków.

– Roderick! – zawołała.

W głębi hangaru rozległo się kaszlnięcie i z ogona samolotu wyłonił się ubrany w zatłuszczony biały kombinezon Roderick. W ręce trzymał kanapkę z serem.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Celia.

Podszedł do niej.

– Przepraszam, kochanie. Jadłem lunch z chłopakami.

– Obiecałeś, że zawieziesz mnie na lunch do restauracji. Zapomniałeś o tym?

– Och… – wymamrotał zaskoczony. – Myślałem, że to jutro.

– Jakim cudem jutro? Przecież wiesz, że jutro mam spotkanie z Denisem Mulliganem w Izbie Handlowej Lotnictwa.

Roderick popatrzył na kanapkę.

– Teraz i tak jest już za późno – stwierdziła Celia. – Skoro zacząłeś jeść, to skończ.

– Zaraz się umyję – powiedział Roderick. – Możemy tam być na drugą.

– Nie chcę tam być na drugą. Nie lubię siadać tak późno do lunchu. Muszę mieć czas na koktajl, poza tym nie mogę spędzić reszty popołudnia przy stoliku.

– Przepraszam. Zupełnie straciłem poczucie czasu, pracując przy C-jeden. Ale rozwiązaliśmy

już wszystkie problemy z montażem silników. Maleństwo będzie fruwać jak anioł.

Pojawili się monterzy, ocierając usta po lunchu. Sięgali po klucze i wkrętaki, zabierając się do pracy. Od trzech miesięcy zajmowali się C-1 i Roderick zaplanował pierwszy próbny lot na środek września.

– Wolałabym, żebyś spędzał mniej czasu przy smarach i kluczach, a trochę więcej na rozmowach o sprzedaży – oznajmiła Celia. – Chyba nie rozumiesz, że robiąc to wszystko sam, tracisz pieniądze. Dużo bardziej przydałbyś się w sali narad zarządu. Musiałam sama spotkać się z Anglikami i przedstawicielami Pan American, a jutro po spotkaniu z Mulliganem będę musiała porozmawiać z ludźmi Hughesa.

Roderick miał pełne usta chleba i sera.

– Przepraszam, skarbie. Ale myślę, że ty lepiej się do tego nadajesz.

– Oczywiście, że lepiej się do tego nadaję, jednak nie powinno tak być. To ty powinieneś spotykać się z tymi wszystkimi ludźmi. Prawie cię nie znają, wiedzą o tobie tylko to, co przeczytają w gazetach. Powinieneś zacząć nawiązywać osobiste kontakty. Wspaniale jest mieć własny samolot na sprzedaż, ale jeśli najpierw nie przygotujesz sobie gruntu,

przekonasz się, że Curtiss, Boeing albo ktoś inny cię wyprzedzi.

– Kochanie, wiem, że masz dobre chęci, ale nie ma sensu wystawiać na sprzedaż czegoś, czego jeszcze nie mam.

– Oczywiście, że jest! Nie myślisz przyszłościowo! Linia lotnicza ma określoną sumę do wydania na samoloty i jeśli dadzą te pieniądze komuś innemu, podczas gdy ty będziesz przykręcał śrubki i polerował śmigła, przepadniemy, nie rozumiesz? Wziąłeś na to przedsięwzięcie z kas Cornelius Holding dwanaście milionów dolarów i jeżeli nie sprzedasz tego samolotu, będziemy dwanaście milionów dolarów do tyłu.

Roderick poklepał aluminiowy nos C-1.

– Wkrótce ten samolot sam pokaże, co umie. Chciałbym, żebyś choć raz pozwoliła mi działać po swojemu.

Celia westchnęła i odwróciła się. Roderick czasem doprowadzał ją do rozpaczy. Miał dobre chęci i był bardzo miły, zawsze pamiętał o kwiatach i biżuterii, ale jego zwoje mózgowe były grube jak kapok. Zanim przebiła się przez nie jakakolwiek sensowna myśl, Celia zwykle dawała za wygraną i sama wprowadzała ją w czyn. Tak było prościej i oszczędzało jej to

wielogodzinnych próżnych sporów. Ale od nieudanej nocy poślubnej, gdy nadmiar dom pérignon odebrał Roderickowi wszelką siłę, obiecała sobie (a także jemu), że to ona będzie mu wskazywać kierunek działania i dodawać odwagi, której bardzo często mu brakowało.

– Naprawdę chciałabym, żebyś jutro przyjechał – powiedziała. – Denis mi mówił, że ma doskonałego pilota.

– Oblatywacza? Do C-jeden?

– A do czego?

Roderick wytarł ręce w szmatę.

– Myślałem, że uda nam się przekonać Corrigana, żeby się tego podjął.

– Och, daj sobie spokój z Corriganem. Jest za bardzo zajęty przygotowaniami do lotu przez Atlantyk.

– Ale to naprawdę świetny pilot – mruknął Roderick.

Przez hangar przeszedł wysoki młody człowiek z małym wąsikiem, ubrany w zbyt obszerny tweedowy garnitur. Niósł plik papierów. Był to Lem Cosnett, główny projektant C-1 i najbliższy doradca Rodericka w sprawach lotnictwa. Roderick wybrał go, bo Cosnett przez sześć lat latał nad Indianą i Ohio i wiedział więcej o lotnictwie cywilnym, niż większość

inżynierów siedzących przy rajzbrecie mogłaby się nauczyć przez całe życie.

– Wciąż nie daje mi spokoju ta prędkość przeciągania – oznajmił, a kiedy zobaczył Celię, dodał: – Witam, pani Cornelius. Jak się pani miewa?

– Nie mam czasu się nad tym zastanawiać – odparła. – A pan?

– No cóż, martwi mnie prędkość przeciągania – powtórzył. – Jeśli ten ptaszek wystartuje z pełnym obciążeniem i jeśli nie uda nam się szybciej osiągnąć większej mocy, to się wyłożymy.

– Myślałem, że już wycisnęli większą moc z silników – powiedział Roderick.

– Owszem, ale to przecież bardzo duży samolot. Znacznie większy, niż zakładaliśmy.

– Tylko taki się opłaca – wtrąciła Celia. – Nie ma sensu budować niczego mniejszego.

Lem popatrzył na Rodericka, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Moglibyśmy spróbować przekonać Rolls-Royce'a, żeby załatwili nam lepsze silniki – zasugerował. – Oppenheimer mówi, że Vickersowi zrobili napęd pierwsza klasa. Nam też mogliby dać trochę więcej koni.

Roderick pokręcił głową.

– Wybacz, Lem, ale nie ma na to czasu. Pani Cornelius chce, żeby dostawa była najpóźniej w lutym. Ma już trzy podpisane zamówienia z Pentagonu, a jutro spotykamy się z szefem Izby Handlowej Lotnictwa.

Lem zapalił papierosa.

– Skoro jesteście gotowi podjąć ryzyko… – mruknął.

– Jakie ryzyko? – zapytała Celia.

Lem rozwinął plany i położył je na nosie C-1.

– Kiedy budujesz nowy samolot, musisz się liczyć z wieloma niespodziankami – wyjaśnił. – Może się na przykład okazać, że maszyna w powietrzu zachowuje się inaczej, niż myślałeś. To kwestia projektu, stosunku mocy do konstrukcji kadłuba i skrzydeł. Tylko do pewnego stopnia można przewidzieć, jak C-jeden będzie się zachowywał. Reszta to zgadywanka. Podejrzewam też, że możemy mieć problem ze startem, bo to maleństwo jest niezwykle ciężkie. Silniki mogą mieć problem z wytworzeniem odpowiednio szybko wystarczającej mocy, żeby samolot mógł się oderwać od ziemi.

– To znaczy, że się rozbije?

– Niekoniecznie. Ale to może wykluczyć niektóre lotniska, które nie mają długich pasów startowych. Na pewno odpadną

krótkodystansowe loty transportowe z lokalnych lotnisk amerykańskich.

Celia z rozdrażnieniem popatrzyła na obu mężczyzn.

– Dlaczego wcześniej tego nie wiedzieliśmy?

– No cóż, pani Cornelius, to zupełnie nowy samolot, więc nie mogliśmy wszystkiego przewidzieć.

– To żadna wymówka – wycedziła Celia. – Czy ma pan pojęcie, ile pieniędzy już w tę maszynę zainwestowaliśmy?

– Tak, ale…

– Tu nie ma żadnych „ale”! Nie budujemy samolotów dla zabawy, ale po to, żeby nam się to opłaciło. Dlatego C-jeden powinien móc wystartować z każdego lotniska kontynentalnych Stanów Zjednoczonych i połowy lotnisk Europy.

Roderick odchrząknął.

– Celio, myślę, że z takimi rozmowami trzeba poczekać, aż C-jeden zostanie skończony – powiedział uspokajająco. – Wtedy będzie można wszystko sprawdzić i sami się przekonamy, na co go stać.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile to będzie kosztować? – spytała Celia. – Wolałabym raczej zrezygnować z tego pomysłu, jeśli się nie zwróci, i ograniczyć straty.

Roderick chciał jej coś odpowiedzieć, ale się rozmyślił.

– Zaraz wracam – rzucił Lemowi, po czym ujął Celię pod ramię.

Wyprowadził ją z hangaru na jasne czerwcowe słońce. Kiedy doszli do pokrytego kropelkami deszczu bentleya, Celia zatrzymała się i popatrzyła na męża.

– Już czuję, że zaraz odegrasz swój ulubiony numer „zraniony słoń”.

Roderick popatrzył na nią ze złością. Przypominał w tym momencie Johanna, kiedy był w takim samym nastroju.

– Jeśli jeszcze raz odezwiesz się tak do mnie w obecności personelu…

– Nie bądź śmieszny – przerwała mu. – Personel ponosi taką samą odpowiedzialność jak ty. A ciebie nawet nie powinno tu być. Wyglądasz w tym stroju jak małpa z cyrku. Skoro zachowujesz się jak robociarz, to jesteś traktowany jak robociarz.

– Przez własną żonę?

– Oczywiście, że nie. Ale musisz uporządkować sobie to, co masz w głowie. Zabawa się skończyła. Twój ojciec dał ci pieniądze, żebyś zainwestował je w ten samolot,

i jeśli to nie wypali, czekają cię prawdziwe kłopoty. Ja tylko próbuję ci pomóc.

Nachmurzony Roderick obszedł samochód i położył rękę na odlanej ze srebra figurce uskrzydlonej Merkurego. W oddali, za trawiastym lotniskiem, z błot Ashand uniósł się klucz kaczek sformowany w kształcie litery V i zakręcił pod wiatr.

– Zmieniłaś się od ślubu – stwierdził Roderick niemal zaczepnym tonem.

Spojrzała na niego.

– Masz rację – przyznała. – Chyba się zmieniłam.

– Musisz zrozumieć, że każdy mężczyzna ma jakieś dążenia… pewne ambicje – powiedział, nie odwracając się do niej. – Moją ambicją jest zbudować samolot, który będzie lepszy od wszystkich maszyn, jakie do tej pory zbudowano. Nie czujesz, jakie to ekscytujące?

– Dążenie do osiągnięcia zysku zawsze jest ekscytujące.

– Zysk to nie wszystko – odparł Roderick. – W życiu są ważniejsze sprawy niż zysk.

Westchnęła.

– Bardzo bym chciała, żebyś wreszcie wyleczył się z tej swojej naiwności. Oczywiście, że w życiu są ważniejsze sprawy niż zysk. Jednak

osiąganie zysku to istota biznesu i o to właśnie chodzi z tym samolotem. To nie zabawa w małego budowniczego, ale inwestycja, która ma przynieść zysk.

Roderick w zamyśleniu patrzył na żonę stojącą po drugiej stronie maski samochodu, w której odbijało się niebo. Pozornie była tą samą dziewczyną, którą trzy miesiące temu poprowadził główną nawą kościoła, ale już nie zachowywała się jak pogodna młoda dziewczyna. Okazała się niecierpliwą i bezwzględną kobietą interesu, dla której najważniejszy był zysk i pozycja ich obojga. Nie rozumiał, że chroniąc go przed nieprzemyślanymi decyzjami i niepotrzebnym ryzykiem, jednocześnie chroniła swoją pozycję w hierarchii rodzinnej Corneliusów, doskonale zdając sobie sprawę z tego, iż jej wpływy i sukcesy są nierozerwalnie splecione z jego wpływami i sukcesami. Nigdy nie szukała miłości u mężczyzn, którzy pojawiali się w jej życiu – chodziło jej przede wszystkim o władzę nad nimi.

Ale Roderick tego nie dostrzegał i nie rozumiał jej zachowania. Nadal widział w niej śliczną młodą dziewczynę we włóczkowym czepeczku, której jasne włosy rozwiewał popołudniowy wiatr, i czuł się urażony, że jest

wobec niego taka niewyrozumiała. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie daje jej za mało prezentów.

– Nigdy nie chciałaś, żebym zbudował ten samolot, prawda? – spytał tonem zranionego małego chłopca. – Tamtego dnia na pikniku dałaś mi to jasno do zrozumienia.

– Nie bądź śmieszny, kochanie. Mówiłam tylko, że zajmowanie się lotnictwem pasażerskim wiąże się ze znacznie większym ryzykiem niż w przypadku lotnictwa transportowego i obsługi naziemnej.

– O Boże… Mówisz jak J.P. Morgan.

– Jak możesz?! – zawołała z oburzeniem. – Przecież ja cały czas starałam się pomóc ci zrealizować ten projekt!

Obszedł samochód i przepraszająco wyciągnął do niej ramiona, ale nadal miał na sobie zabrudzony smarem kombinezon, więc szybko uniosła ręce, chroniąc swój elegancki jasny kostium.

– Celio, proszę… – powiedział. – Ostatnio ciągle się kłócimy.

– Ja się nie kłócę – odparła wyniośle. – To ty się kłócisz.

Westchnął.

– Niech ci będzie. Przepraszam. Może na jakiś czas powinienem zostawić monterów i wrócić za biurko. Może zbyt dużo pracuję.

– Według mnie wcale za dużo nie pracujesz. Wydaje mi się, że większość czasu spędzasz, grzebiąc się w smarze i jedząc kanapki.

Roderick wskazał jeden z silników podwieszonych pod skrzydłem C-1.

– Widzisz to? – spytał. – Sam go zrobiłem. Własnymi rękami.

Celia zerknęła w głąb hangaru, mrużąc krótkowzroczne oczy.

– Czyżby, kochanie?

– Tak.

– To ładnie. A teraz, gdybyś zdjął z siebie to brudne ubranie, mogłabym podwieźć cię do domu. Jeśli naprawdę chcesz razem ze mną spotkać się jutro z Denisem Mulliganem, lepiej odrób zadanie domowe… powinieneś znać trasy planowanych lotów i orientować się w kosztach operacyjnych. I błagam, nie pozwól nikomu mówić, że ten samolot może się nie oderwać od ziemi. To byłaby katastrofa.

Roderick przez chwilę patrzył na nią, a potem uderzył pięścią w rozpostartą dłoń.

– Daj mi pięć minut – poprosił. – Muszę powiedzieć Lemowi, co robiłem do południa.

Powinien to wpisać do dziennika budowy.

Kiedy ruszył w głąb hangaru, zawołała za nim:

– A co takiego robiłeś?!

Zatrzymał się.

– Osadziłem ster – odparł, po czym zniknął w cieniu skrzydła.

♦ ♦ ♦

Johann Cornelius siedział przy basenie w wyłożonym poduszkami wiklinowym fotelu, gdy na Lynwood przybył Bookbinder. Towarzyszył mu ubrany w ciemny garnitur mężczyzna.

Basen miał szklane ściany i dach, który w gorące dni otwierał się jak przezroczysta lilia wodna, wpuszczając do środka świeży powiew. Wokół stały donice z rzadkimi, egzotycznymi roślinami, wiele z nich było obsypanych kwiatami.

Johann miał na sobie pasiasty biało-czerwony strój kąpielowy i czytał gazetę. Obok, na bambusowym stoliku, stał pozłacany aparat telefoniczny, a na srebrnej tacce czekała szklaneczka z brandy z wodą sodową. Ćwierkały ptaki, które wlatywały pod rozsunięty dach i z

powrotem wyfruwały na dwór. Między tropikalnymi roślinami cicho szemrała fontanna.

Latem, gdy nie było tylu naglących spraw do załatwienia, basen stanowił jedną z ulubionych kryjówek Johanna. Nie przepadał za pływaniem, ale lubił mieć świadomość, że w każdej chwili może zanurzyć się w wodzie. Za szklanymi ścianami znajdował się pełen rododendronów ogród, a nieco dalej w stronę lasu ciągnęły się rozległe trawniki. Zraszacze tworzyły nad trawą rozmigotane tęcze. Johann nie znał się na ogrodnictwie, ale widok zieleni i wody koił jego skołatane nerwy i pozwalał mu się odprężyć. Specjaliście od biznesu, nauczycielowi Rodericka, powiedział kiedyś, że „w każdym ogrodzie, nawet najmniejszym, powinien być basen pływacki i kilka akrów lasu".

Bookbinder okrążył róg basenu. Jego towarzysz w ciemnym garniturze szedł tuż za nim. Johann odłożył gazetę i popatrzył na nich. Odbicia obu mężczyzn falowały w wodzie.

– To Merrett Kale – przedstawił swojego towarzysza Bookbinder, kiedy podeszli bliżej.

Johann wyciągnął rękę, nie wstając z fotela.

– Jak się pan miewa, Kale. Wybaczy pan mój swobodny strój.

– To dla mnie przyjemność poznać pana, panie Cornelius. Wiele o panu słyszałem.

– Chyba wszyscy słyszeli – mruknął Johann.

Merrett Kale wyszczerzył zęby w uśmiechu, po czym usiadł na brzeżku wiklinowego fotela naprzeciwko Johanna. Bookbinder rozciągnął się na leżaku i kiedy złożył ręce na wydatnym brzuchu, wyglądał jak Budda na letnich wakacjach.

Johann sięgnął po brandy i w milczeniu przyglądał się Kale'owi. Jego gość był przedstawicielem nowego, młodego pokolenia pracowników Departamentu Marynarki Wojennej. Elegancki, wymuskany i sztywny – można by niemal podejrzewać, że krochmali nawet bieliznę. Szczupła twarz z małym, przypominającym szczoteczkę do zębów wąsikiem, nie bardzo pasującym do reszty. Ostrzyżone krótko włosy i pretensjonalna falująca grzywka, zapewne w mniemaniu Kale'a dodająca mu szyku. Wypolerowane buty i krawat w niebieskie grochy, zawiązany w mały, ciasny węzeł.

– Mam nadzieję, że lot się udał – powiedział po chwili.

– Tak, proszę pana. Ma pan wspaniałą maszynę. Chyba nigdy wcześniej czymś takim nie

latałem.

– To jedyny egzemplarz.

– Obiło mi się o uszy, że John Livingston ma poważne kłopoty – wtrącił Bookbinder. – Dewey próbuje wykazać, że miał powiązania z Hinesem.

– Słyszałem – odparł Johann. – Nasz przyjaciel z wielkiej ławy przysięgłych napomknął mi o tym. A co na to Walter?

Bookbinder zerwał banderolę z dużej hawany.

– Copper powiedział mu, że za kilka dni przystąpią do aresztowań.

– Do aresztowań? Co się dzieje z tymi ludźmi? Za każdym krzakiem widzą wymuszenie.

Bookbinder zaczął przypalać cygaro.

– Musisz przyznać, że ten interes ze sprzedażą prądu trochę wymknął się spod kontroli – mruknął, wypuszczając obłoczki dymu.

Johann wzruszył ramionami. Od jakiegoś czasu wiedział, że Thomas Dewey stara się osaczyć Livingstona. Miał jedną z największych firm w branży energetycznej w kraju i odkąd wielka ława przysięgłych przystąpiła do śledztwa w sprawie zmowy cenowej dostarczycieli energii dla sektora prywatnego i miejskiego w Nowym Jorku – czyli kilka miesięcy temu – mówiło się, że konfrontacja jest nieunikniona. Firma

energetyczna Johanna, Allen Voltage Corporation, siedziała w tym czasie cicho jak mysz pod miotłą, przekazawszy wszystkie księgi rozrachunkowe księgowym.

Odwrócił się do Merretta Kale'a.

– Wygląda pan na ambitnego człowieka – powiedział.

Kale pomachał dłońmi jak białymi pacynkami.

– No cóż, proszę pana, chyba jestem ambitny.

– Pan Cornelius chce wiedzieć, jak bardzo ambitny – wtrącił Bookbinder, nie wyjmując cygara z ust.

Młody mężczyzna odchrząknął.

– Chyba jestem bardzo ambitny – odparł.

– Innymi słowy, chce pan dostać się na sam szczyt?

– Właśnie.

– Szczyt czego? Departamentu Marynarki Wojennej?

Kale pokręcił głową.

– Prawdę mówiąc, bardziej jestem zainteresowany polityką.

– Rozumiem… – mruknął Johann. – Więc chciałby pan zostać prezydentem?

– Ależ nie. Chciałbym jednak zająć gdzieś takie stanowisko, które zapewniłoby mi

prawdziwe oddziaływanie.

– Myśli pan, że teraz ma pan jakiś wpływ na to, co się dzieje?

– Pod pewnymi względami.

– Jakimi?

– Cóż, proszę pana, pracuję w wydziale zamówień. Zajmuję się oceną kontraktów.

– To znaczy, że kiedy ktoś przedstawia ofertę na zbudowanie czegoś dla marynarki, pańskim zadaniem jest ocena opłacalności tej oferty i rzetelności oferującego?

– Właśnie. Oczywiście ostatnie słowo nie należy do mnie, ale moje uwagi są traktowane bardzo serio. Otrzymałem dyplom z odznaczeniem na wydziale budownictwa wodnego. Byłem najlepszym absolwentem w trzydziestym pierwszym roku. Najlepszym z najlepszych, że tak powiem.

Johann pociągał brandy, ani na moment nie spuszczając oczu z twarzy Kale’a, i po chwili młody inżynier wbił wzrok w mozaikową podłogę.

W rozpylonej przez spryskiwacze wielobarwnej chmurze wody paradował lśniący jak broszka z niebieskiej emalii paw. Przez otwarte okna oranżerii wleciał ciepły wietrzyk. Z oddali dobiegało gruchanie gołębi.

– Przyjechał pan, bo ma pan coś do zaoferowania, prawda? – powiedział Johann. – Zakładam, że ta oferta ma związek z pańskimi obowiązkami w Departamencie Marynarki Wojennej.

Kale wyjął chusteczkę i otarł kark. Wykrochmalony kołnierzyk boleśnie wrzynał mu się w szyję.

– Zawsze uważałem, że przemysł i rząd powinny ze sobą ściślej współpracować – odparł. – Wiem, że prawo wymaga, aby oferty dotyczące obronności kraju były realizowane w formie przetargu, ale często od samego początku wiadomo, kto będzie najlepszym zleceniobiorcą. Niestety, nie zawsze wybierany jest ten najlepszy. Może dzieje się tak dlatego, że stawia zbyt wygórowaną cenę, a może sekretarzowi marynarki po prostu nie podoba się jego twarz.

– Sądzę, że może mi pan oszczędzić tego prologu – zauważył Johann. – Proszę mi wreszcie wyjaśnić, co pan ma do sprzedania.

Kale zaczerwienił się lekko.

– To nie takie proste, proszę pana. Ale tak się składa, że podczas ostatniej sesji Kongres uchwalił zbudowanie czterech okrętów wojennych o wyporności trzydziestu pięciu tysięcy ton[10] dla marynarki wojennej. Tego

samego typu co *Washington* i *North Carolina*. Prędkość maksymalna dwadzieścia osiem węzłów, dziewięć szesnastocalowych działek na trzech wieżyczkach, grubość pancerza piętnaście cali.

– I co z tego wynika?

– Cóż, zostanie ogłoszony przetarg.

Johann w zamyśleniu pokiwał głową.

– To może być bardzo dochodowy kontrakt, panie Cornelius – zapewnił go Kale. – Naprawdę bardzo dochodowy.

Johann popatrzył na niego.

– Krążą wieści, że Kongres zgodzi się także na czterdziestopięciotysięczniki – dodał Kale. – Mamy już nawet przygotowane projekty.

– Jak to możliwe? – zapytał Johann. – Przecież prezydent cały czas mówi o rozbrojeniu. Uważa, że kontrakty zbrojeniowe mają tylko krótkoterminową wartość dla naszej gospodarki.

Kale energicznie pokręcił głową.

– To tylko zasłona dymna, proszę pana. W departamencie nikt nie ma co do tego wątpliwości. Kraj musi być przygotowany do wojny.

– Naprawdę pan tak myśli? – spytał Johann.

– Jestem tego pewien, proszę pana. Prezydent nie będzie się ociągał z podpisaniem kontraktów

zbrojeniowych, bo nawet krótkotrwała wartość jest lepsza niż żadna.

Bookbinder strącił popiół z cygara na podłogę.

– Niech pan po prostu przedstawi panu Corneliusowi swoją ofertę, Kale – poradził młodemu inżynierowi. – Szef lubi, kiedy nie owija się niczego w bawełnę.

– Chodzi o to, proszę pana, że kiedy pańscy stoczniowcy przedstawią swoją ofertę na budowę tych okrętów, mój departament ją zawetuje – wyjaśnił Kale.

Johann uśmiechnął się pod nosem.

– Ile pan chce? – spytał.

– Ćwierć miliona dolarów, jeśli pańska oferta zostanie przyjęta.

Johann popatrzył na Bookbindera, ale jego współpracownik tylko wzruszył ramionami. Najwyraźniej nie zamierzał zabierać głosu w tej sprawie.

Ale Johann nie mógł się zdecydować. Znał wielu ludzi pokroju Merretta Kale'a. Całkiem dobrze radzili sobie w wybranym przez siebie zawodzie, jednak bardzo szybko się przekonywali, że wcale nie jest taki atrakcyjny ani dochodowy, jak to sobie wyobrażali, kończąc college. Przychodzili do niego z niemal każdej wielkiej firmy – od Tide'a Watera i Standard do

Chryslera i Du Ponta. Przez miesiące, a czasem nawet przez lata usiłowali sprzedać duszę za wielkie pieniądze, ale kiedy przychodziło co do czego, najczęściej sprzedawali się za kilka centów.

– Nie wiem, czy mogę panu zaufać, Kale – powiedział powoli. – Równie dobrze może pan być wysłannikiem wielkiej ławy przysięgłych.

– Może pan sprawdzić moje referencje, jeśli pan sobie tego życzy – odparł Kale. – Na pewno ma pan ku temu środki.

– Owszem – wtrącił Bookbinder. – I może się pan założyć o swoją głowę, że to zrobimy.

– To za dużo – stwierdził Johann.

– Ma pan na myśli ćwierć miliona dolarów?

– Zgadza się.

Kale przygryzł wargę.

– Przykro mi, ale taka jest cena.

– Dam panu połowę tego.

– Przykro mi, nie mogę zaryzykować dla mniejszej sumy.

– Dam panu połowę tego i dziesięć tysięcy dolarów zaliczki. Bezzwrotnej.

Merrett zmarszczył brwi.

– Bezzwrotnej? Niezależnie od tego, czy otrzyma pan kontrakt, czy nie?

– Właśnie. Może pan je dostać już teraz, gotówką do ręki.

Kale zaczął się wahać. Wiedział, że sto dwadzieścia pięć tysięcy dolarów to marna zapłata za pomoc Cornelius Shipping w wygraniu kontraktów na budowę okrętów wojennych, jednak dziesięć tysięcy było dla niego ogromną sumą, a skoro miała to być bezzwrotna zaliczka, mógłby zatrzymać ją dla siebie, niczego nie ryzykując. Gdyby kontrakt został przyznany Corneliusowi, mógł przypisać sobie całą zasługę i odebrać resztę pieniędzy, a jeśli tak by się nie stało, no cóż, trudno. Ale byłby bogatszy o dziesięć tysięcy dolarów, na nic się nie narażając.

Spojrzał na Bookbindera, a potem na Johanna.

– W porządku – oświadczył. – Umowa stoi.

Johann sięgnął po słuchawkę i powiedział:

– Henry? Tak, to ja. Wyjmij dziesięć tysięcy dolarów z sejfu i przynieś nad basen… Tak, zaraz.

Trzech mężczyzn czekało w milczeniu. Teraz, kiedy umowa została zawarta, nie bardzo mieli o czym rozmawiać. Kale uśmiechał się pod nosem. Był z siebie zadowolony. Wymanewrował samego Johanna Corneliusa, który dał mu

dziesięć tysięcy dolarów za nic. Łatwy zysk. Bez kiwnięcia palcem.

– Czy pan potrafi pływać, Kale? – spytał po chwili Johann.

– Jestem żeglarzem – odparł młody inżynier.

– Miałem na myśli pański instynkt samozachowawczy…

Kale nie bardzo wiedział, jak ma rozumieć tę uwagę, więc zmienił temat:

– Podziwiam pański basen. Jest wspaniały.

– Tak – potwierdził Johann. – Nie ma drugiego takiego.

Z domu wyszedł Henry Keith. Był bez marynarki, a w dłoni trzymał żółtą kopertę. Przerzedziły mu się włosy na czubku głowy i miał sińce pod oczami, ale poza tym całkiem nieźle przetrwał dwanaście lat pracy dla Johanna Corneliusa. Podejrzewał, że zawdzięcza to brakowi ambicji. Wprawdzie Johann zawsze powtarzał, że lubi, kiedy jego pracownicy wysoko mierzą, jednak Keith wiedział, że nie mogą mierzyć wyżej niż Johann i cała jego rodzina. Zbyt wielu młodych, agresywnych menedżerów pojawiało się w Cornelius Industries i znikało, aby mógł mieć jakiekolwiek złudzenia na ten temat.

Skinął głową Bookbinderowi i wręczył kopertę Johannowi, który zajrzał do niej, po czym zapytał:

– Zastosowałeś zwykłą procedurę?

– Tak, proszę pana.

– Oto pańskie dziesięć tysięcy, panie Kale – powiedział Johann, przekazując kopertę swojemu gościowi.

Merrett Kale wziął ją i przeliczył pieniądze.

– Nie ufa mi pan? – zapytał Johann.

Kale poczerwieniał.

– To tylko zawodowy nawyk, proszę pana. Wcale nie chciałem sugerować…

– Bardzo dobry nawyk. Zawsze patrz darowanemu koniowi w zęby. Czasem można się mocno zdziwić.

Młody inżynier wstał.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli już pójdę – stwierdził. – Nie chcę, żeby ktoś zaczął coś podejrzewać.

Johann kiwnął głową.

– Któryś z moich szoferów odwiezie pana na stację. Wydaje mi się, że pociągi do miasta odchodzą co pół godziny.

– Dziękuję panu. Interesy z panem to prawdziwa przyjemność.

– Zawsze do usług, panie Kale. Trzymajmy kciuki za te okręty.

– Będę w kontakcie z panem Bookbinderem, proszę pana, i poinformuję go.

– Nie wątpię.

Henry wyprowadził Kale'a z oranżerii. Kiedy zniknęli, Bookbinder zaciągnął się cygarem i popatrzył na Johanna.

– Wiesz co? – zagadnął.

– Co?

– Myślę, że w końcu cię nawróciłem.

Johann pociągnął łyk brandy.

– Nawróciłeś na co? Na machlojki?

Bookbinder się roześmiał.

– Jest takie stare przysłowie, które doskonale pasuje do tej sytuacji…

– Tego właśnie się obawiałam. Jakie to przysłowie?

– Polskie. Często powtarzali je sadownicy na rynku we Lwowie: „Choćby drwal ostrzył sobie zęby na najładniejsze jabłko na jabłoni, wystarczy złamać gałąź, żeby obszedł się smakiem".

Johann milczał przez chwilę, zastanawiając się nad tymi słowami.

– Chyba rozumiem, co masz na myśli – powiedział w końcu. – Zawsze jesteś krok przede

mną, prawda?

– Dostaję pieniądze za to, żeby być krok przed tobą.

Johann znów sięgnął po telefon.

– Henry, czy ten dżentelmen już wyjechał? – zapytał. – Dobrze. Jaki pociąg chciał złapać? Trzecia trzydzieści dwie… Doskonale. O której ma być na Grand Central? W porządku. Teraz połącz mnie z Eddiem Corcoranem… Zgadza się, w Norfolku.

Odłożył słuchawkę i siedział z zamkniętymi oczami, słuchając cichego chlupotania wody w basenie i świergotu ptaków.

Kiedy zadzwonił telefon, odebrał.

– Eddie? Świetnie, a ty? Słuchaj, mam tu mały problem i czuję się trochę zażenowany. Myślę, że mógłbyś mi pomóc z niego wybrnąć… Tak, zgadza się. Hm, to jeden z twoich ludzi z Departamentu Marynarki Wojennej. Wiem, ale w grę wchodzi sporo pieniędzy, a ja nie lubię cwaniaków, którzy próbują wykorzystać sposobność. Nie, całkiem dobrze. Tak. Jak się nazywa… – Popatrzył na Bookbindera i zapytał: – Jak on się nazywa, Davidzie?

– Merrett Kale.

– Eddie? Ten facet nazywa się Merrett Kale. Chyba pracuje w wydziale zamówień. Młody

facet, bystrzak. Tak. Przyjechał tu dziś po południu i ni stąd, ni zowąd obiecał mi kontrakt na wasze trzydziestopięciotysięczniki. Chodzi o okręty wojenne. Cornelius Shipping, tak. Powiedział, że jeśli zapłacę mu ćwierć miliona dolców, będziemy mieli ten kontrakt w kieszeni… Tak, zgadza się. Wiem, że nie chce ci się w to wierzyć, Eddie, ale tak właśnie było. Grałem na zwłokę i zapłaciłem mu dziesięć tysięcy zaliczki. Mój sekretarz ma numery seryjne. Tak, w gotówce. Ma wyjechać z Lynwood pociągiem o trzeciej trzydzieści dwie, który będzie na Grand Central o piątej siedemnaście.

Bookbinder słuchał Johanna i w zamyśleniu palił cygaro. Poszarpana chmura zakryła słońce i trawniki utraciły blask, a z wody rozpylanej przez zraszacze zniknęły migotliwe iskierki. Bookbinder pomyślał, że może zacząć padać.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział Johann do słuchawki. – Hm, obawiam się, że tak. Opinia społeczna uważa, że rząd ma rację z tymi wymuszeniami, więc może lepiej dmuchać na zimne. Chyba nie chcielibyśmy dopuścić do wymuszeń ze strony Departamentu Marynarki Wojennej, prawda? Ale bardzo zależy mi na tym kontrakcie. Może nie na wszystkich czterech okrętach, jednak na dwóch na pewno. Gdybym je

dostał, nie byłoby mowy o żadnym niemiłym zawodzie. Daj spokój, Eddie, przecież dobrze wiesz, co mam na myśli, mówiąc o „niemiłym zawodzie”. Nie chcę być zawiedziony wykluczeniem z patriotycznego czynu na rzecz obrony kraju, a ty nie chcesz być zawiedziony z powodu tego łachudry Kale’a. Czy to nie dobra definicja „niemiłego zawodu”? W porządku. Wiedziałem, że to zrozumiesz… Dobrze, oddzwoń. I nie zapomnij: piąta siedemnaście na Grand Central. Wystarczy, że zapytasz tego cwaniaczka, od kogo to dostał… Znakomicie. Do widzenia, Eddie.

– Krótko i węzłowato – mruknął Bookbinder.

– Trzymamy Corcorana za jaja i on dobrze o tym wie – stwierdził szorstko Johann.

– Też mi się tak wydaje – przyznał Bookbinder i wyprostował się. Przez chwilę siedział na leżaku, patrząc na basen, a potem wstał i wygładził marynarkę.

– Wracasz do miasta? – spytał Johann.

– Chyba powinienem. Mamy o ósmej spotkanie w Kruyper Coal.

– Miałem nadzieję, że zostaniesz na kolacji. Hester wyjechała na kilka dni do Vermontu i chciałem z tobą pogadać.

Bookbinder uniósł brwi.

– Czy to pilne? O czym chciałeś pogadać?

– Może pilne. Zaczyna mnie martwić twoje zaangażowanie w te wymuszenia.

– Boisz się Deweya?

– A ty nie?

– Czemu miałbym się go bać? – zdziwił się Bookbinder. – Tom to mój dobry przyjaciel. Związki ze zorganizowaną przestępczością służą wyłącznie naszej ochronie. Przecież już to przerabialiśmy. Cornelius Industries potrzebuje pełnej kontroli działalności wytwórczej i dystrybucji. Nie oszukujmy się, policja nas nie ochroni. Dopuszczając Gizziego do udziału w kontrakcie kolejowym, zaoszczędziliśmy prawie siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na ograniczeniu kradzieży i porwań.

– No dobrze, a co będzie, jeśli ktoś zechce nas sprzedać i zacznie zbyt dużo mówić? Ktoś taki jak nasz przyjaciel Merrett Kale?

– Och, daj spokój, Johannie. Tchórz cię oblatuje na starość? Zawsze możemy zaprosić na lunch Waldena Farrowa.

Johann potarł twarz.

– Pewnie tak. Ale wydaje mi się, że bicie pokłonów i tańczenie wokół Departamentu Sprawiedliwości wcale nie oczyści nam rąk.

Bookbinder popatrzył na niego ostro.

– Nie odgrywaj mi tu świętego – wycedził.

Johann odwrócił wzrok. Czasem czuł takie obrzydzenie do Bookbindera, że nie mógł znieść jego widoku. Był denerwujący jak młodszy brat – judził, nie dawał mu spokoju i wplątywał go w niebezpieczne sprawy. Co gorsza, przez cały czas widział w nim siebie. Wszystkie niedobre cechy jego osobowości, które zwykle starannie ukrywał, ujawniały się w tym człowieku jak brzęczący rój wielkich much.

– Popływaj sobie w basenie, zanim wyjedziesz – zaproponował.

Bookbinder zmarszczył czoło.

– Mam pływać?

– To odświeża. I zmywa brud.

Jego najbliższy współpracownik przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, a potem zaśmiał się cicho.

– Czemu nie? – mruknął.

♦ ♦ ♦

Kiedy Landseerowie wydawali garden party u siebie w Connecticut, John dał sobie tydzień wolnego. Opuścił letnią szkołę w Worcester, wsiadł do swojego zielonego kabrioletu marki Buick i pojechał do Landseerów. Nie widział się

z Hope od czasu jej wygnania z Lynwood, rozmawiali tylko kilka razy telefonicznie, więc szykował się na ploty. W normalnych okolicznościach perspektywa garden party u Landseerów nie byłaby na tyle nęcąca, aby zwabić go do Hartford, ale wiedział, że będzie tam Susan Grainger Steadman, a Susan Grainger Steadman miała wiele zalet, które nie pozwalały mu myśleć o niej obojętnie. Była ciemnowłosa, pełna życia i z tego, co mówił Philip Strachan, wiele można by o niej powiedzieć, ale nie to, że jest cnotką.

Landseerowie byli tak bezbarwnymi ludźmi, że organizowane przez nich spotkania zawsze okazywały się katastrofą. Mieszkali w wielkim domu z pruskiego muru naśladującym styl Tudorów, stojącym na półhektarowej posiadłości pod Hartfordta, pokrytej starannie pielęgnowanymi trawnikami i porośniętej lasem. Landseer był wspólnikiem starej kancelarii prawniczej w Connecticut, Higgs Chandler Askew. Ceniono go za dokładność, ale nie należał do ludzi, którzy się spieszą. Pewien proces o odszkodowanie ciągnął przez jedenaście lat, a stan sprawy pozwalał przypuszczać, że na jego zakończenie potrzeba będzie następnych jedenastu. Kiedy obrona w końcu

zaprotestowała, twierdząc, że Landseer usiłuje ją zanudzić, aby poddała sprawę, sędzia ziewnął i zgodził się z tą opinią.

Martin Landseer, jedyny syn państwa Landseerów, był dokładną kopią tatusia. Ukończył już dwadzieścia trzy lata, studiował prawo spółek i miał obiecaną ciepłą posadkę w General Motors. Garbił się, miał jasne, przycięte na jeża włosy i sterczące jabłko Adama. Nosił okularki w stalowych okrągłych oprawkach, jego białe spodnie były zawsze wymięte, a kołnierzyki koszul zwijały się jak stare kanapki. Wszyscy wiedzieli, że jest okropnym palantem.

Gdy John przejechał pod ceglanym łukiem wyznaczającym początek podjazdu do domu Landseerów i popędził dalej, właśnie spadł przelotny deszcz. Kiedy Landseerowie urządzali garden party, zawsze padało i służba przez cały czas biegała tam i z powrotem z dodatkowymi obrusami, zamiast podawać drinki.
Z rozstawionego na trawie płóciennego pawilonu smętnie zwisały chorągiewki, a ceglany grill dymił potężnie. Wszyscy goście zebrali się na werandzie, rozmawiając i śmiejąc się głośno. Kilku z nich pomachało Johnowi, gdy zatrąbił klaksonem.

Po chwili słońce wyszło zza chmur i goście wrócili na trawnik. Kilkuosobowa orkiestra w sportowych marynarkach w biało-czerwone paski i słomkowych kapeluszach pospiesznie wycierała chusteczkami do nosa swoje krzesła.

John wysiadł z samochodu, poprawił krawat i podszedł do werandy, by przywitać się z gospodarzami. Miał też nadzieję, że znajdzie tam Hope.

– Witaj – powiedział pan Landseer, ściskając mu rękę i zapominając ją wypuścić. – Wyglądasz super prima, jeśli mogę się tak wyrazić.

– Jest tu Hope? – spytał John.

– Oczywiście. Urządziliśmy to przyjęcie na jej cześć.

– To miło z państwa strony. Z pewnością jest zachwycona.

– Nie tak jak my, zapewniam cię.

John popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Nie bardzo rozumiem…

Landseer puścił do niego oko.

– To ma być sekret. Ogłosimy go potem.

W końcu Johnowi udało się odzyskać rękę. Usłyszał, że orkiestra za jego plecami zaczyna grać *Tiger Rag*.

– Co państwo ogłoszą? – zapytał.

– Nie powinienem ci tego zdradzać, ale jestem naprawdę dumny i szczęśliwy.

W tym momencie podszedł do nich młody Martin Landseer.

– Ojcze, wydaje mi się, że Harris chciałby wiedzieć, czy może już zacząć serwować homara na zimno – powiedział.

– Cześć, Martin – przywitał się z nim John.

– Cześć, John. Fajnie, że dałeś radę przyjechać. Jak tam twoja letnia szkółka?

– Ciężko. Jest tu gdzieś Hope?

– Jasne. Ojciec przekazał ci nowiny?

– Nie, synu – odparł pan Landseer. – Moje usta są zapieczętowane jak słoik marynowanych ogórków.

– Dostałeś robotę? – zapytał John. – Tę posadę w General Motors?

Martin kiwnął głową i oświadczył:

– Powinieneś dowiedzieć się o tym pierwszy. Hope i ja wkrótce pójdziemy do ołtarza. To nasze przyjęcie zaręczynowe.

John zamrugał z zaskoczenia. Nawet największy palant z północno-wschodniej części USA nie mógł się równać z Martinem Landseerem. Hope doskonale o tym wiedziała i nawet sama powiedziała to bratu. Kiedy na Long Island zobaczyła Martina w kostiumie

kąpielowym, stwierdziła, że przypomina „wędzonego śledzia w worku na ziemniaki”. Jak mogła wpaść na pomysł, żeby za niego wyjść? Był nudny jak wszyscy Landseerowie, ale to można byłoby mu jeszcze wybaczyć, uznać za wadę wrodzoną. Znacznie gorsze dla Johna było jego jojczenie, wazeliniarstwo i nieudolność, no i oczywiście fakt, że kibicował Yale i uważał, że Max Schmeling powinien wygrać rewanż z Joem Lewisem. Zupełnie nie rozumiał, co jego siostra w nim dojrzała. Może miał jakieś ukryte talenty albo niezwykle dużego wacka, ale nie wyobrażał sobie, by Hope nawet dla największego wacka potrafiła odrzucić wszystkie swoje dotychczasowe przyjemności.

Martin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Nie pogratulujesz mi? – zapytał.

Oszołomiony John z ociąganiem wyciągnął do niego rękę. Ściskanie dłoni Martina Landseera przypominało wyżymanie mokrej, zimnej ścierki. Jak Hope mogła wytrzymać dotyk takich dłoni?

– Czy… ustaliliście już datę?

Młody Landseer puścił do niego oko.

– Jasne – odparł. – Zamierzamy pobrać się na wiosnę. Mówię ci, twoja siostra zrobiła ze mnie szczęśliwego człowieka.

– Wszyscy jesteśmy dzięki niej szczęśliwi – wtrącił Landseer senior, gubiąc monokl. – Pani Landseer nazywa ją aniołem i sądzę, że to odpowiednie określenie tak czarującej i dystyngowanej osoby jak twoja siostra.

– Jest pan bardzo uprzejmy… – wymamrotał John.

Martin klepnął go w plecy.

– Będziemy szwagrami! To dopiero coś!

John posłał mu blady uśmieszek.

– A jak tam twoje kiełbaski? – spytał.

– Świetnie! – zawołał Martin, zanim zrozumiał, o Johnowi chodzi. – Słucham?

– Twoje kiełbaski – powtórzył John. – Wydaje mi się, że zaraz spalą się na węgiel.

Kucharka Landseerów, przeraźliwie chuda kobieta w białej kucharskiej czapie, przewracała porcje mięsa i parówki na ceglanym grillu. Nad trawnikiem wisiały kłęby dymu, równie gęste jak podczas pożaru domu towarowego Quackenbush w Paterson w stanie New Jersey, w którym niedawno zginęło pięciu strażaków.

Zamiast pomóc swojemu przyszłemu szwagrowi w opanowaniu zagrożenia, John obszedł dom, szukając Hope. Chciał się dowiedzieć, o co chodzi z tym całym kretyńskim pomysłem poślubienia Martina. Przecież mogła

sobie wybrać, kogo chciała. Philip Strachan miał bzika na jej punkcie, Eddie Kaiser też mówił, że jest warta grzechu. Dlaczego musiała wybrać akurat Martina? Żeby ukarać rodziców za skazanie ją na banicję? A może naprawdę się zabujała?

Znalazł ją w kącie werandy, siedziała nad truskawkami z bitą śmietaną. Jej łyżeczka połyskiwała w zasnutych dymem promieniach słońca. Pochyliła głowę nad kryształową miseczką, więc nie od razu go dostrzegła. Kiwała się na bujanej kanapie i stukała noskiem pantofelka w balustradę werandy, za którą rozciągał się starannie przystrzyżony trawnik i klomby z astrami. W białej koronkowej sukience i takim samym czepeczku wyglądała jak postać ze starej fotografii. Kiedy się odwróciła i zobaczyła brata, uśmiechnęła się do niego.

Wszedł po trzech stopniach na drewnianą werandę i powiedział:

– Cześć.

Wyciągnęła do niego rękę. Na palcu miała pierścionek zaręczynowy z błyszczącym kamieniem, ale John udał, że go nie zauważył.

– Podoba ci się? – spytała.

Kiwnął głową.

– Owszem. Ładny.

– Ładny? Chyba całkiem zrujnował Landseerów. Nie podźwigną się przez następne sto lat. Osiemdziesiąt tysięcy, co do centa.

– Od kiedy to zwracasz uwagę na ceny takich rzeczy?

Hope oblizała łyżeczkę i spojrzała na niego.

– Nie słyszę w twoim głosie zbyt wielkiego entuzjazmu – stwierdziła.

– Prawdę mówiąc, wcale go nie czuję.

– Nie podoba ci się, że zwracam uwagę na cenę takich rzeczy?

– Między innymi. A zwróciłaś uwagę na cenę swojego małżeństwa z Martinem?

Odsunęła miseczkę z truskawkami.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Doskonale rozumiesz. Co się stało ze śledziem w worku po ziemniakach?

Wzruszyła ramionami, ale nic na to nie odpowiedziała.

– Nigdy nie uwierzę, że go kochasz. A co z tobą i Philipem?

Odwróciła wzrok.

– Philip to tylko głupi goguś.

– Och, nie bądź śmieszna! Philip cię uwielbia, poza tym to bystry gość. I przynajmniej nie wygląda jak uchodźca, który zaopatruje się w ubrania na tandecie.

Hope popatrzyła na niego ze złością i wtedy zobaczył na jej twarzy nie tylko zdecydowanie, ale także pragnienie autodestrukcji, którego nigdy wcześniej u niej nie widział. Usiadł na balustradzie werandy i splótł ramiona na piersiach.

– Zupełnie nie rozumiem, co chcesz w ten sposób udowodnić. Martin nie nadaje się na męża dla ciebie… i nie będzie się nadawał nawet za milion lat.

– Jest bardzo wrażliwy.

– Pewnie. Jak cukierki ślazowe.

– Nic nie rozumiesz. Jest dobry, łagodny i zrobi absolutnie wszystko, o co go poproszę.

John zmarszczył czoło.

– I właśnie dlatego chcesz go za męża?

– Po prostu chcę kogoś, kto będzie się o mnie troszczył. W moim życiu nigdy nikogo takiego nie było. Ojca interesuje jedynie jego biznes, matka jest cholernie nietolerancyjna i nieustępliwa, Roddy cały czas czołga się wokół ojca, a ty…

– Co ze mną jest nie tak?

Stuknęła butem w balustradę.

– Ty jesteś za bardzo uczciwy.

– Myślisz, że to źle?

– W naszej rodzinie tak.

John westchnął i sięgnął do kieszeni po blaszane pudełko papierosów Balkan Sobranie. Poczęstował Hope i oboje zapalili. Z boku domu snuły się gęste kłęby dymu z grilla, przez które gdzieniegdzie przebijały promienie słońca. Słychać było orkiestrę, okrzyki i śmiechy gości.

– Pragnę opiekować się ludźmi słabszymi ode mnie – oświadczyła po chwili Hope.

– Nie sądzisz, że ojciec też tego pragnie?

– Być może tak, jednak ukrył to w sobie gdzieś głęboko. Czasem wydaje mi się, że jest bardzo wrażliwy, i chyba odziedziczyłam to po nim. Ale nasza pozycja nie pozwala nam tego okazywać.

– I dlatego wychodzisz za Martina? – spytał John. – Tylko po to, żeby okazać serce komuś, kto miał mniej szczęścia od ciebie?

Hope przyglądała się dwóm chłopczykom w białych pumpach, biegającym po trawie wśród kłębów dymu. Ich opiekunka krzyczała piskliwie:

– Montmorency! Montmorency!

– Czy okazywanie serca jest złe? – spytała Hope.

John strącił popiół na rabatkę.

– Oczywiście, że nie. Jednak powinnaś również okazywać serce samej sobie. Nie próbuję ci mówić, jak masz żyć, ale zastanów się nad tym,

co robisz, zanim to zrobisz. Martin Landseer to nie Clark Gable.

– Ani Johann Cornelius, dzięki Bogu.

Popatrzył na nią.

– Wcale tak bardzo nie nienawidzisz ojca, prawda?

Kopnęła balustradę werandy.

– A właśnie że tak! – burknęła. Po chwili opuściła nogę, zakołysała się w tył i w przód i w końcu przyznała: – Nie, tak naprawdę wcale tak nie jest.

– Bez względu na to, co ojciec mówi… wiem, że czasem bywa bardzo ostry… ale bez względu na to, co mówi, kocha cię – powiedział John.

– Nie wiem, czy on w ogóle kogokolwiek kocha.

– Nie musisz wychodzić za mąż za Martina tylko po to, żeby udowodnić coś ojcu – stwierdził John. – To zupełnie bez sensu.

Zakołysała się po raz ostatni, wstała z kanapy i pocałowała go w policzek.

– Zamierzam wyjść za Martina, bo muszę się przekonać, jak to jest być dobrą. Chcę się dowiedzieć, jak to jest poświęcić całe życie komuś słabszemu i dawać mu siłę. Nie udało mi się to z Lewisem Bausorem… wiesz, z tym biedakiem, który zmarł, ale jestem przekonana,

że potrafię tego dokonać, jeśli naprawdę się przyłożę.

– Jesteś bardziej podobna do ojca, niż ci się wydaje – mruknął John.

Hope uśmiechnęła się z niedowierzaniem, ale nie powiedziała nic więcej, bo pojawił się Martin. Biegł w ich stronę wielkimi susami. Jego białe spodnie na żółtych szelkach były usmolone i miał czarną plamę na czubku nosa.

– John! John! – krzyknął. – Nie możemy nad tym zapanować! Musisz nam pomóc!

Pogrążeni w rozmowie John i Hope nie zauważyli, że bijące z grilla kłęby dymu zrobiły się znacznie ciemniejsze i gęstsze i prawie zakryły drugi koniec ogrodu. Z trawnika obok domu dobiegały krzyki i pokasływania, a grający kolejną melodię muzycy co chwila przerywali swoje rzępolenie, jakby nie potrafili się zdecydować – grać czy uciekać.

John zerwał z siebie marynarkę i przez dym ruszył za Martinem w stronę grilla. Trawnik wyglądał jak pole bitwy pod Gettysburgiem. Stały na nim grupki eleganckich młodych ludzi z kieliszkami martini w rękach, otoczonych gęstymi kłębami dymu. Landseer próbował wydawać z werandy polecenia niezdecydowanym służącym, którzy z wiadrami

wody w rękach kręcili się w bezpiecznej odległości od paleniska.

– Nie zalejcie tego, bo nie będzie lunchu! – krzyczał. – Nie zalejcie mięsa! Na litość boską, uważajcie na mięso!

– John! Co robić? – wysapał Martin. – Zawsze byłeś dobry w podbramkowych sytuacjach! Co robić?

John popatrzył na niego i ogarnęło go coś w rodzaju współczucia. Ale po chwili to współczucie zamieniło się w gniew. Takiemu palantowi jak Martin Landseer należała się nauczka za to, że ośmielił się kręcić wokół jego siostry. Objął go ramieniem i rzekł konfidencjonalnie:

– Powiem ci, co robić… Zaskocz swoich przyjaciół. Zrób to, co się robi na polach naftowych mojego ojca, kiedy zapali się ropa.

– Co się robi? – spytał z niepokojem Martin.

– Zdmuchuje się pożar dynamitem. Po prostu się zdmuchuje. Nie trzeba będzie używać wody i nie zmarnuje się mięsa.

– Ale my nie mamy dynamitu.

– Za to macie naftę, prawda? Widzę, że tam stoi bańka.

Martin pokiwał głową, ale nadal był niespokojny.

– No…

– Musisz wziąć tę bańkę, zakręcić ją mocno i rzucić. Kiedy bańka wybuchnie, ogień zostanie zdmuchnięty i w ten sposób uratujesz przyjęcie.

– Myślisz, że to zadziała?

– Oczywiście! To sprawdzony sposób na polach naftowych.

Martin zdjął okulary i połą koszuli otarł je z sadzy.

– No dobra. Skoro mówisz, że to skuteczna metoda…

– Śmiało – zachęcił go John. – A ja tu zaczekam i przypilnuję, żeby wszystko poszło, jak należy.

Martin kiwnął głową.

– Dobra, idę – mruknął.

Obszedł gęsty słup dymu, kierując się do małego, wyłożonego kamieniami patio, na którym stały worki z węglem drzewnym, rożny i inne kuchenne przyrządy.

– Zaraz to załatwię, ojcze! – zawołał. – Mam sposób! Tylko nie podchodźcie!

Służący odetchnęli z wyraźną ulgą, nie musząc zalewać wodą mięsa. Landseer senior krzyknął:

– Uważaj, Martin! Nie zmarnuj mięsa! Dwieście dolarów piechotą nie chodzi!

Nadeszła Hope, trzymając przy nosie i ustach chusteczkę. Kiedy John ją zobaczył, podszedł do niej szybko.

– Na twoim miejscu trzymałbym się daleko stąd – powiedział. – Martin kombinuje coś z naftą. Nie bardzo wiem, co zamierza zrobić.

Nie wierzono własnym oczom, gdy Martin złapał bańkę nafty, zakręcił ją mocno i skulony podbiegł do paleniska, uniesionym ramieniem osłaniając twarz przed płomieniami. Orkiestra grała *Ah, Sweet Mystery of Live*, ale kiedy kornecista i pozostali muzycy zobaczyli Martina z bańką, melodia urwała się jak uciekający z wanny strumyk wody i wszyscy rozpierzchli się w popłochu.

Martin niezgrabnie cisnął bańkę w płomienie, a potem, stojąc zaledwie kilka jardów od paleniska, odwrócił się, zakrywając uszy dłońmi.

Landseer senior ryknął:

– Martin! Co ty wyrabiasz, do diabła?!

Jednak ani on, ani nikt inny nie rzucił się na ratunek lekkomyślnej latorośli gospodarzy.

Zazgrzytała torturowana blacha i zaraz potem rozległ się basowy huk. Parówki, kotlety z kością i bez kości zasypały gości tłustym gradem, a cegły paleniska wzbiły się pionowo w powietrze jak podrzucona garść wykałaczek. Dziewczęta

piszczały, mężczyźni klęli ochryple, a Landseer senior wrzeszczał:

– Martin! Martin! Nic ci się nie stało?

John biegał wśród ruin paleniska i rozrzuconych kawałków mięsa, próbując zlokalizować Martina. Do głowy by mu nie przyszło, że ten idiota okaże się taki tępy i zostanie przy grillu po wrzuceniu do niego bańki z naftą. Może nie żyje albo jest ciężko ranny? Może z oderwaną głową leży gdzieś między parówkami i kotletami?

W końcu znalazł go trochę dalej. Martin uśmiechał się niepewnie. Włosy stały mu dęba, okulary zwisały na jednym zauszniku. Miał na sobie tylko buty i skarpetki.

Na widok Johna wyciągnął ręce i wymamrotał z rozpaczą:

– John… Nic nie słyszę! Nie słyszę!

– Muszę znaleźć ci jakieś spodnie! – krzyknął John.

– Nie słyszę, co mówisz!

John popędził do domu, mijając kręcących się w kółko przerażonych gości. Musiał przygryzać wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Kiedy dopadł werandy, złapał go za ramię Landseer.

– Gdzie Martin? Żyje? Gdzie on jest?

– Żyje, tylko jest trochę oszołomiony, panie Landseer. Proszę spojrzeć, tam stoi. Mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się jego pokój? Muszę przynieść mu spodnie.

Wydawało się, że Landseer jest równie głuchy jak jego syn. Nie odpowiadając na pytanie Johna, pospiesznie ruszył przez zniszczony, zadymiony trawnik, unosząc rękę jak patriarcha w greckiej tragedii i mrucząc pod nosem:

– Mój Boże, tyle mięsa… Mój syn… Mój Boże.

Kiedy John popatrzył na zacienioną werandę i zobaczył na niej pobladłą Hope, pomyślał, że chyba przesadził ze swoim żartem. Zamiast ładować się w to wszystko, powinien rozejrzeć się za Susan Grainger Steadman.

♦ ♦ ♦

Roderick nie był zadowolony z oblatywacza, którego Denis Mulligan zaproponował do próbnego lotu C-1, ale było zbyt późno, aby go kimkolwiek zastąpić. Był ostatni weekend września 1938 roku, pochmurny i deszczowy. Roderick musiał dzielić swój czas między obowiązki biurowe i przygotowania do dziewiczego rejsu swojego samolotu. Od szarego świtu walczył z zacinającym się podwoziem

i czterema silnikami Pratt & Whitney, które nie chciały równocześnie odpalić. W Nowym Jorku stanowa konwencja republikanów wybrała Thomasa Deweya na kandydata na gubernatora, więc Bookbinder pospiesznie zabrał się do przemeblowywania imperium Corneliusa. Nieustannie dzwonił do Rodericka, zasypując go pytaniami, czy może zmagazynować puszkowaną żywność i wysokoprocentowe alkohole w Charlestonie, przewieźć wyroby tytoniowe do Ashland i zarejestrować spółki Corneliusa w innych stanach.

Pilot nazywał się R.S. Fairbanks i na początku kariery douglasa DC-3, czyli w 1936 roku, latał nocą na transamerykańskiej trasie. Był chudym, upartym mężczyzną o zmęczonych oczach i nosił cienki, wypielęgnowany wąsik. Pochodził z Harrisburga w stanie Pensylwania. Nigdy nie rozstawał się ze swoją matową czarną kurtką kawalerzysty, pilotką z dyndającym luźno paskiem i wysokimi jeździeckimi butami. Jego wypowiedzi zawsze były wieloznaczne i już na samym początku oświadczył Roderickowi, że według niego C-1 „wcale nie jest lepszy ani gorszy niż clipper Sikorsky’ego, co zresztą o niczym nie świadczy”.

Tuż przed świtem w sobotę pierwszego października Roderick przyjechał na lotnisko w Ashland, siedząc za kierownicą zielonego pierce-arrowa, jednego z ostatnich egzemplarzy tej marki, wyprodukowanego tuż przed bankructwem producenta. Zaparkował obok głównego hangaru i wszedł do środka małymi drzwiami w wielkiej rozsuwanej bramie, która chroniła C-1 przed deszczami i wiatrami niosącymi sól z bagien. Paliły się wszystkie światła i cały hangar rozbrzmiewał warkotem wiertarek, okrzykami robotników i zawodzeniem kompresorów. Do Rodericka podszedł spocony Lem Cosnett w prującym się brązowym pulowerze i uścisnął mu rękę.

– Jak forma? – spytał młody Cornelius.

Starał się mówić rzeczowym tonem, jak lekarz pytający o zdrowie małego dziecka. Obaj zdawali sobie sprawę z powagi chwili. Pracowali jak szaleńcy, żeby C-1 był gotów na czas. W poniedziałek w nocy Roderick pojechał samochodem do Cincinnati i przywiózł stamtąd zestaw instrumentów pokładowych, które we wtorek miały być zainstalowane w maszynie. Teraz jednak zamiast spranego niebieskiego kombinezonu miał na sobie elegancki dwurzędowy garnitur z granatowej wełny oraz

jedwabny szkarłatny krawat i chociaż minęło dopiero wpół do szóstej, był już ogolony. Chciał być przygotowany do świętowania triumfu swojego samolotu.

Lem przejrzał dokumenty, które trzymał na podkładce do notowania.

– Myślę, że wszystko jest już gotowe poza kilkoma elementami podwozia.

Roderick położył rękę na gładkim aluminiowym sterze wysokości C-1.

– Jest piękny – powiedział.

Lem sprawdzał listę ostatnich procedur. Kiedy skończył, uniósł głowę i wierzchem dłoni otarł czoło.

– Będzie jeszcze piękniejszy, kiedy poleci – mruknął.

– Poleci? – powtórzył Roderick. – On nie poleci, ale pofrunie, zobaczysz! Pofrunie jak ptak!

Lem pokręcił głową.

– Jack nie jest pewny silników. Robi, co może, ale stuprocentowej pewności nie ma.

Roderick cofnął rękę. Jego palce pozostawiły na sterze plamki wilgoci, które po chwili zniknęły.

– Pas startowy jest zbyt krótki – dodał Lem.

Roderick wzruszył ramionami.

– Wiesz przecież, co powiedziała pani Cornelius… Jeśli nie podniesiemy go na krótkich pasach, nie będzie się sprzedawał.

Lem ponuro kiwnął głową.

– Wiem, proszę pana.

Roderick rzucił mu ostre spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że wiesz o tym, ale nadal nie jesteś pewien silników?

– Ten ptaszek waży czterdzieści jeden ton. Jest wielkości clippera i musi się dobrze rozpędzić.

– To zadanie Fairbanksa, prawda? Ma podnieść tego ptaszka.

– W jaki sposób ma to zrobić bez wystarczającej mocy?

Roderick obszedł ogon samolotu, sprawdzając poszycie i stery.

– Fairbanks jest najlepszym pilotem na świecie. Tak przynajmniej twierdzi pani Cornelius i Mulligan. Jest taki dobry, że pewnie poderwałby tę maszynę nawet bez silników.

– Tak jest, proszę pana – odparł Lem.

Roderick popatrzył na niego z drugiej strony lśniącego ogona samolotu. Wyglądał, jakby stał po pierś w morzu.

– Nie wierzę w to i ty pewnie też nie, ale takie jest oficjalne stanowisko. Mój ojciec również

zapisał się do fanklubu Fairbanksa, więc chyba nie mamy wyboru.

– Rozumiem, proszę pana.

– W porządku, Lem. Zostawmy teraz to maleństwo i dowiedzmy się, co myślą o jego szansach chłopaki.

Zrobili krótki obchód hangaru, rozmawiając z monterami, inżynierami i mechanikami. Roderick zadawał każdemu to samo pytanie:

– Jak myślisz, poleci?

Większość była dobrej myśli. Niektórzy mówili, że chyba poleci. Ale Roderick nie przestawał pytać, dopóki się nie upewnił, że każdy pracownik w hangarze wierzy, iż tego przedpołudnia C-1 wzbije się w deszczowe niebo i jak albatros zatoczy koło nad Wirginią Zachodnią.

Pili kawę z emaliowanych kubków i czekali na Fairbanksa. Oblatywacz pojawił się o ósmej, ubrany jak zwykle w czarną skórzaną kurtkę, ale tym razem przypiął do niej medale. Podszedł do Rodericka.

– Rozumiem, że jesteśmy gotowi.

Roderick odchrząknął i odparł:

– Tak sądzimy. Chcę, żeby start odbył się o dziewiątej.

Fairbanks przymknął powieki, obrócił się na pięcie i zapytał:

– Nie zostało trochę kawy? Suszy mnie jak gacie na wietrze.

Roderick opuścił wzrok na swoje lśniące czarne buty od Alana McAfee, z noskami w szpic i ozdobnymi perforacjami.

– Wiesz, co robić, kiedy skończy ci się pas i nadal nie będziesz miał wystarczającej mocy? – zapytał.

– Tak, proszę pana – odparł Fairbanks, wsypując do kawy cztery łyżeczki cukru.

– Zamkniesz przepustnicę?

– Jeśli będzie trzeba.

– To krótki pas, pamiętaj o tym. Pewnie będzie na styk.

Fairbanks trzema wielkimi łykami opróżnił kubek, odstawił go i otarł usta złożoną chusteczką.

– Będę czekał na pański znak, panie Cosnett.

Kiedy zajął miejsce w kokpicie, po raz ostatni sprawdzono każdą klapę i każdy trymer. Stery i lotki unosiły się i opadały jak wieko skrzyni iluzjonisty. O wpół do dziewiątej pogaszono światła w hangarze i dwaj mechanicy rozsunęli bramę, wpuszczając do środka ponure światło pochmurnego dnia. Zaraz potem do hangaru

wjechał tyłem ford pick-up i wziął samolot na hol przymocowany do obudowy pojedynczego tylnego koła. Gigantyczna maszyna powoli zaczęła wysuwać się na zewnątrz niczym wielki srebrny łosoś ciągnięty za ogon.

Roderick stał z rękami w kieszeniach na lodowatym wietrze, przyglądając się wypełzającemu z hangaru samolotowi. Popatrzył na swojego cartiera. Była za kwadrans dziewiąta. Miał nadzieję, że rodzice przyjadą na czas. Zresztą nawet gdyby nie zdążyli, mógł kazać Fairbanksowi latać w kółko, dopóki nie przyjadą. Chciał koniecznie zabłysnąć przed ojcem i matką, a także przed każdym, kto jeszcze potrzebował dowodu, że Roderick Cornelius nie jest już tylko posłusznym i oddanym, ale pozbawionym polotu najstarszym synem Johanna Corneliusa. Nie był już niezgrabnym astmatykiem, który nie potrafił napisać ciekawego zadania domowego. Był teraz konstruktorem samolotów, człowiekiem, który zamierzał zabrać Amerykę w podniebną podróż, powiernikiem Howarda Hughesa, Charlesa Lindbergha i Bennetta Griffina. Tego roku taką podróż odbędzie prawie dwieście tysięcy ludzi, a następnego sto tysięcy więcej. Widział już w marzeniach, jak dzięki Cornelius Airways tłumy bogatych i biednych Amerykanów

zaczynają okrążać świat. Widział niebo pełne samolotów i roześmiane rodziny wyglądające z każdego okienka – matki i ojcowie, wnuki i ciotki – podróżujące wśród chmur w cudownej przyszłości, którą stworzył dla nich dzięki swojemu technicznemu geniuszowi.

Zaczął padać deszcz i w tym momencie zza rogu hangaru wyłonił się bentley Celii. Kiedy stanął, angielski szofer, Wilkinson, otworzył przed swoją pasażerką drzwi. Trzymał nad nią parasol, gdy szła w stronę męża zimna i sztywna, ale bardzo elegancka w srebrnej pelerynie i takim samym turbanie. Niosła na rękach pudla miniaturkę, Fortescue. Piesek miał zrobioną trwałą i Roderick pomyślał, że wygląda jak peruczka Harpa Marxa na czterech nogach.

Celia podsunęła mu policzek do pocałowania. Nawet nie spojrzała na samolot.

– Jesteś gotowy do startu, kochanie? – zapytała. – Po południu mamy spotkanie z ludźmi z lotnictwa wojskowego, a o trzeciej będzie u nas komandor Armbruster. Nie zapomniałeś o tym?

– Nie, nie zapomniałem. Gdzie ojciec?

– Na pewno niedługo przyjedzie. Twoja matka nie mogła się zdecydować, co wybrać: nurki czy

srebrne sobole. Osobiście uważam, że jedno i drugie to podczas takiej pogody gruba przesada.

– Pewnie znów doszło między wami do kłótni.

– Ależ skąd. Jeśli już, to do drobnego spięcia.

– Kiedy?

– Och, Roddy, to zbyt nudne, żeby do tego wracać. Twój ojciec chciał, żeby przyjechał Bookbinder, ale twoja matka oświadczyła, że go nie cierpi i nie zamierza go oglądać. Wtedy twój ojciec wygłosił całą przemowę, twierdząc, że gdyby nie on, amerykańska gospodarka dawno obróciłaby się w ruinę. Powiedziałam im obojgu, żeby przestali się sprzeczać i skończyli śniadanie, więc oczywiście twoja matka odparła, że nie pozwoli, aby ktokolwiek mówił do niej takim tonem… Ale nie ma powodu do niepokoju, na pewno przyjadą, choć prawdopodobnie trochę się spóźnią. Przecież twój ojciec nie może pozwolić, aby wyrzucono dwanaście milionów na samolot, który nie lata, a nie uwierzy, że potrafi latać, dopóki nie przekona się o tym na własne oczy.

– Oczywiście, że będzie latał – odparł Roderick.

Celia podrapała pudelka pod kudłatą bródką.

– Po to tu jesteśmy, prawda? Żeby się przekonać, czy lata.

Roderick nic na to nie odpowiedział. Patrzył na Cosnetta, który z dokumentacją pod pachą po raz ostatni obchodził C-1, dokładnie oglądając opony i podwozie. Kiedy samolot znalazł się na zewnątrz, wydawał się znacznie mniejszy, choć rozpiętość jego skrzydeł wynosiła sto pięćdziesiąt jeden stóp, a długość od smukłego nosa do wysokiego ogona – sto sześćdziesiąt stóp. Roderick przyłapał się na tym, że rozważa, czy naprawdę zobaczy C-1 w powietrzu, czy może dał się ponieść fantazji. Popatrzył na niebo. Postrzępione ciemne chmury wisiały bardzo nisko, rozjaśnione słabymi, brudnożółtymi promieniami porannego słońca. Wiatr przywlókł skądś mokrą gazetę, która zahaczyła o koło C-1, ale mechanik szybko ją usunął.

– Czyżbyś się czegoś obawiał, Roddy? – spytała Celia.

Odwrócił się w jej stronę. Czasem wolałby, żeby nie była taka piękna. Każdy szczegół jej twarzy był precyzyjnie wyrzeźbiony. Kiedyś sądził, że ma do czynienia z boginią. Może i nią była, jednak teraz już wiedział, że zwykłemu śmiertelnikowi niełatwo żyć u boku takiej bogini, zwłaszcza jeśli najważniejszy jest dla niej sukces.

– Niczego się nie obawiam – odparł. – Czuję tylko lekki niepokój, to wszystko.

– Spodziewałam się, że będziesz szczęśliwy i dumny ze swojego osiągnięcia. Przecież to twoje dzieło, Roddy. Wielki, piękny samolot zbudowany twoimi własnymi rękami.

– Tak – mruknął.

Celia postawiła Fortescue na trawie i pudelek stał posłusznie na smyczy, trzęsąc się i pokasłując. Wyglądał jak puszek do pudrowania, który dostał zapalenia płuc.

– Słyszałeś coś nowego o Hope? – spytała Celia.

Celowo zmieniła temat, ale Roderickowi to nie przeszkadzało. Był zbyt zdenerwowany, aby rozmawiać o C-1 i o tym, czy poleci. Widział, jak stoi na trawie kilka jardów dalej, wielka srebrna torpeda ze skrzydłami. Czuł zapach paliwa lotniczego zmieszany ze słonawymi oparami pobliskich bagien i słyszał głos Fairbanksa dobiegający z okienka kokpitu.

– Ciśnienie oleju w normie, klapy na miejscu, wystarczająca ilość paliwa, podwozie i hydraulika w porządku.

Nad samolotem przeleciało stadko ptaków, kierując się pod wiatr. Roderick wyjął czystą chusteczkę i wysiąkał nos.

– Hope? – powtórzył z roztargnieniem. – O ile wiem, planuje ślub. Ale to drażliwy temat

w naszej rodzinie.

– Co o tym myśli twoja matka?

– Nie wydaje mi się, żeby była szczególnie zadowolona, choć Martin Landseer to poczciwiec.

– Naprawdę?

– Żadne inne określenie do niego nie pasuje. Zupełnie bez polotu, ale za to pełen dobrych chęci. Gdyby gdzieś na świecie leżało jeszcze skoszone siano czekające na zgrabienie, Martin na pewno uznałby, że trzeba je zgrabić.

– Rozumiem… – mruknęła Celia.

– Może ty tak, ale moja matka na pewno nie. Ani ojciec. Oboje są przekonani, że Hope chce to zrobić, żeby im dopiec za to zamieszanie w zeszłym roku.

– Masz na myśli tamtego zmarłego człowieka?

– Zgadza się.

– Nie widzę żadnego związku między tymi dwiema sprawami.

– Szczerze mówiąc, ja też nie, ale John uważa, że Hope postanowiła opiekować się największymi łamagami świata. Nie udało jej się zaopiekować tamtym nowojorskim włóczęgą, więc zajęła się Martinem.

– Rzeczywiście jest takim strasznym łamagą?

Roderick odchrząknął.

– Chcesz, żebym ci podał jakiś przykład? Kiedy był w college'u i chciał zostać przyjęty do bractwa, kazano mu wykraść z pokoju dziewczyn figi. Po godzinie przyniósł śliwki. Powiedział, że nigdzie nie znalazł żadnych fig.

Celia nawet się nie uśmiechnęła.

– Nie możemy nic zrobić, prawda? Ale przecież Hope nie jest głupia. Musi wiedzieć, w co się pakuje.

– Nie jestem pewien, czy rzeczywiście to wie.

– Za to ja wiem. Wydawałoby się, że śmierć tamtego człowieka powinna być dla niej nauczką. Kiedy bogaci mieszają się z biednymi, w końcu ich niszczą, choćby mieli najlepsze intencje. Z Martinem będzie tak samo. Hope go zniszczy, zobaczysz. Zapamiętaj moje słowa.

Zza hangaru wyjechała ciemnoniebieska, wypolerowana do połysku limuzyna Rolls-Royce'a z białymi oponami. Kiedy szofer otworzył drzwi, z samochodu z monarszą powolnością wysiedli Johann i Hester. Przez chwilę stali nieruchomo, aby każdy mógł zauważyć ich przybycie. Roderick poszedł do nich, aby się przywitać, ale Celia pochyliła się nad swoim pudelkiem i zaczęła go pieścić, mimo że piesek wcale nie wydawał się z tego powodu szczęśliwy.

Hester była otulona w długie czarne futro. Podała rękę synowi, który ją ujął i musnął wargami. Johann sprawiał wrażenie zmęczonego i osłaniał twarz kraciastym szalem jak rozbójnik. W klapie długiego palta z lamy miał zatknięty goździk przystrojony liściem paproci.

– Tak się cieszę, że zdążyliście – powiedział Roderick i wziął matkę pod ramię. – To będzie najwspanialszy dzień mojego życia.

– Więc to ten samolot… – mruknął Johann. – Gotów do startu?

– Prawie, proszę ojca. Właśnie sprawdzamy go po raz ostatni.

– Jak go nazwiecie? – spytała Hester. – Mam nadzieję, że nie będzie to po prostu C-jeden?

– Zaczekam do pierwszego lotu – odparł Roderick.

– Powinniście go ochrzcić „Na Wschód!” – zasugerowała Hester. – Nie sądzicie, że to brzmi bardzo romantycznie?

Roderick zmusił się do uśmiechu.

– Tak, pewnie tak.

Podszedł do nich Cosnett, z szacunkiem ukłonił się Johannowi i Hester, a potem powiedział cicho do Rodericka:

– Nic z tego nie będzie.

Roderick zmarszczył czoło.

– Co to znaczy?

Cosnett przeprosił Johanna i Hester i wziąwszy Rodericka pod ramię, odprowadził go na bok.

– Za dużo napadało w nocy – wyjaśnił. – Całe lotnisko nasiąkło wodą. Gdybym był pewien, że wystarczy mocy, nie obawiałbym się tego, ale jeśli samolot nie poderwie się w powietrze, utknie na bagnach i wyciągniemy go dopiero po kilku dniach.

Roderick przygryzł wargę.

– Na pana miejscu poczekałbym, aż ziemia przeschnie – dodał Lem.

– Czyli do kiedy? – spytał z irytacją Roderick. – Jakie są prognozy?

– Będzie burzowo.

– Więc jeszcze gorzej niż dzisiaj, prawda? Chyba nie proponujesz tego serio… Każesz mi przetrzymywać samolot na ziemi przez całą zimę tylko dlatego, że trawa jest mokra? Mamy zamrozić dwanaście milionów dolarów?

Lem Cosnett wzruszył ramionami.

– Musiałem powiedzieć panu, co o tym myślę.

– No dobrze, powiedziałeś – odparł Roderick. – A teraz pogadajmy z Fairbanksem i przekonajmy się, co on na to.

Ruszył po trawie do samolotu. Pochylił się, przeszedł pod kadłubem i zastukał w ściankę kabiny pilota. Jej osłona natychmiast przesunęła się do tyłu i Fairbanks wystawił głowę na zewnątrz.

– Tak, proszę pana?

– Pan Cosnett uważa, że podłoże zbyt rozmiękło, aby startować. Co pan o tym sądzi?

Fairbanks zastanawiał się przez chwilę, a potem powiedział:

– Kiedyś startowałem z Casper, w Wyoming, przy ośmiu w skali Beauforta, wszędzie pioruny i woda na sześć cali. Podrywając samolot, zahaczyłem podwoziem o płot i przeleciałem całą drogę do Scottsbluff w Nebrasce, ciągnąc za sobą pięćdziesiąt jardów drutu kolczastego, trzy paliki i drewniane koryto.

– Więc uważa pan, że można dzisiaj latać?

– Jestem gotowy do startu.

Roderick odwrócił się do Cosnetta.

– Masz odpowiedź – powiedział cicho. – Skoro Fairbanks twierdzi, że da radę, mnie to wystarczy.

Cosnett przycisnął do piersi podkładkę z dokumentami. Był innego zdania, ale wiedział, że musi się poddać. Kiwnął głową i odparł:

– No dobrze… wobec tego wsiadam.

Roderick wrócił do Johanna i Hester, stojących na mokrym, przenikliwym wietrze.

– Wszystko w porządku? – spytał go Johann. – Trochę tu zimno i mocno wieje. Nie chcę, żeby twoja matka dostała zapalenia płuc.

– Oczywiście, wszystko jest w najlepszym porządku. Moi ludzie są gotowi do startu.

Zaraz potem zawarczały silniki i śmigła zaczęły się obracać. Cosnett wspiął się do samolotu i zamknął główne drzwi. Roderick trzymał pod ramię Celię, ale żona więcej uwagi poświęcała swojemu psu niż jemu, więc po chwili ją puścił. Johann i Hester milczeli i wydawało się, że myślą o czymś zupełnie innym. Roderick zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek z rodziny w ogóle interesuje się jego dokonaniem.

Silniki pracowały coraz szybciej, aż w końcu samolot zaczął dygotać. Hester uniosła ręce do uszu i Roderick był niemal zawstydzony, że przyprawia matkę o taki dyskomfort.

Rękaw lotniskowy cały czas był skierowany na północny wschód. Wielki samolot zaczął powoli kołować, a potem odwrócił się nosem na wiatr. Corneliusowie zobaczyli, że Fairbanks opuszcza gogle na oczy. Był pilotem starej szkoły i lubił latać z odsuniętą osłoną.

Huk motorów jeszcze bardziej się nasilił i po chwili samolot ruszył po nierównej łące. Hester klasnęła w dłonie i krzyknęła do męża:

– Startuje! Patrz, kochanie, startuje!

Posuwając się coraz szybciej, C-1 uniósł ogon i zaczął jechać tylko na głównych kołach. Roderick uświadomił sobie, że wbija paznokcie w dłoń, a jego twarz zesztywniała jak plaster gipsu. Fairbanks jeszcze bardziej zwiększył obroty silników, które zawyły przeraźliwie. Jedno z kół na moment oderwało się od ziemi i znów opadło.

Nikt się nie odzywał, gdy samolot pędził po trawiastym lotnisku. Roderick wiedział, że jeśli Fairbanks nie poderwie maszyny w ciągu następnych kilku sekund, będzie musiał zamknąć przepustnicę i zatrzymać maszynę. Silniki wyły coraz głośniej i było oczywiste, że Fairbanks wyciska z nich całą moc, aby zdążyć podnieść maszynę przed końcem pasa.

– O Boże, leć… – szepnął z rozpaczą Roderick.

Celia położyła mu rękę na ramieniu – nie był to jednak gest pocieszenia, ale raczej stwierdzenie, że świat jest bardzo nieczuły i problemy jej męża wcale go nie obchodzą.

Nagle spod kół samolotu wytrysnęły rzęsiste strugi wody i Roderick zrozumiał, że Fairbanks

wjechał w bagno, choć jeszcze nie przestał wierzyć, iż pilotowi jakimś cudownym sposobem uda się poderwać maszynę z ziemi. Leć, draniu, leć! – krzyczał w myślach. Ale po chwili wodę zastąpiły fontanny błota i silniki zwolniły obroty.

– Pilot zawalił start! – krzyknął piskliwym głosem Roderick. – Wjechał w bagno! Na litość boską, widzieliście to? Wjechał prosto w bagno!

Ruszył przez lotnisko w stronę mokradeł. Maszyna nadal się poruszała i biegnący Roderick wyglądał jak spóźniony pasażer, który goni swój samolot.

Johann, Hester i Celia stali bez ruchu, przyglądając mu się w milczeniu.

Po chwili samolot gwałtownie przechylił się w bok, zadzierając ogon i łamiąc skrzydło, a potem jeden z silników eksplodował i zaczął się palić. Huk eksplozji odbił się od ściany hangaru i powrócił echem do biegnącego.

Roderick stanął jak wryty, a potem odwrócił się i zaczął biec w drugą stronę, krzycząc do Celii:

– Do samochodu! Będzie szybciej! Wsiadaj do samochodu!

Minęli go monterzy i mechanicy, pędzący z gaśnicami w stronę samolotu. Roderick szybko wsiadł do pierce-arrowa, uruchomił silnik i zakosami ruszył po błotnistym gruncie. Jeden

z mijanych monterów wskoczył do samochodu i usiadł na fotelu pasażera.

Skrzydło samolotu buchało wysokimi płomieniami i w szare niebo wzbijały się kłęby czarnego dymu. Z mokradeł poderwały się stada ptaków i zaczęły krążyć w powietrzu. Jeśli nie liczyć warkotu silnika samochodu i pisku opon w błocie, wokół panowała nienaturalna cisza.

Kiedy dojechali do granicy bagien, samochód odmówił dalszej jazdy. Roderick i monter wskoczyli do płytkiej wody i pobiegli do płonącego samolotu. Kiedy pokonali sto jardów bagna, koła samolotu wbiły się w grząski grunt i jego podwozie pękło.

Jasnopomarańczowe płomienie odbijały się w marszczonej wiatrem bagiennej wodzie. W powietrzu wisiała ciężka woń lotniczego paliwa.

Roderick okrążył płonące skrzydło i podbiegł do nosa samolotu. Siedzący w kabinie Fairbanks w ogóle się nie poruszał – prawdopodobnie był nieprzytomny. Roderick krzyknął do towarzyszącego mu montera:

– Dasz radę otworzyć drzwi?! Chyba się zablokowały!

Monter, osłaniając twarz przed żarem, ruszył do głównych drzwi.

– Nie mogę ich dotknąć! – zawołał po chwili. – Są za gorące!

Roderick biegiem wrócił do boku samolotu. Już nie można było opanować pożaru. Ogień zdzierał z czerniejących dźwigarów i żeber polerowane aluminium i zamieniał silniki w zwęglone, pokurczone truchła. Monter miał rację. Gdy Roderick spróbował dotknąć głównych drzwi, na jego ręce natychmiast pojawiły się pęcherze.

– Lem! – wrzasnął. – Słyszysz mnie? Lem!

Natężył słuch, ale ze środka nie dobiegła żadna odpowiedź.

Pozostali mechanicy i monterzy biegli w ich stronę, rozbryzgując wodę. Nieśli gaśnice i łomy.

– Główne drzwi rozgrzały się do czerwoności! – zawołał do nich Roderick. – Musicie je jakoś otworzyć! Szybko!

Płomienie coraz gwałtowniej lizały kadłub. Monterzy tłukli łomami w drzwi, próbując je wyłamać, ale po chwili musieli się cofnąć. Ich twarze były czerwone od gorąca, a odświętne koszule zbrązowiały od żaru.

– Nie możemy wejść przez kokpit?! – wrzasnął Roderick.

Ogarnęła go panika. Płomienie z trzaskiem rozbiegły się po całym kadłubie i galony paliwa

lotniczego znajdującego się w drugim skrzydle mogły w każdej chwili wybuchnąć.

Okrążyli zwęglone szczątki złamanego skrzydła i znaleźli się przy kabinie pilota. Ale było już za późno na ratunek. Pożar ogarnął całą maszynę i tylko samobójca mógłby próbować wyciągnąć Cosnetta z płonącego kadłuba. Wejście do samolotu groziło pozostaniem w nim na zawsze.

Osłona kabiny pilota była cała brązowa, zakopcona jak szklane drzwiczki piekarnika.

– Podsadźcie mnie! – krzyknął Roderick do dwóch mechaników. – Może uda mi się go wyciągnąć!

Mężczyźni spletli ręce i podnieśli Rodericka przy rozgrzanym nosie samolotu. Kiedy zajrzał przez otwartą osłonę, zobaczył Fairbanksa. Pilot siedział nieruchomo w fotelu. Krzyknął do niego:

– Fairbanks! Fairbanks! Musisz natychmiast wysiąść!

Wykrzyczał to kilka razy, ale powierzchnia kadłuba rozgrzała się już do tego stopnia, że nie można było jej dotknąć, więc mechanicy musieli z powrotem postawić go na wodnistym gruncie.

– Fairbanks chyba nie żyje – wymamrotał z pobielałą twarzą. – Przynajmniej taką mam

nadzieję. Nie dam rady go wyciągnąć. Nie mam szans.

Jeden z mechaników, barczysty mężczyzna o kędzierzawych siwych włosach i jasnoniebieskich oczach, powiedział:

– Lepiej się cofnijmy, panie Cornelius. Ten cały interes zaraz wyleci w powietrze.

– Chyba nie mamy wyboru – przyznał Roderick.

Z głośnym chlupotem wrócili przez błotniste rozlewisko, czując na plecach żar ognia. Po kilkudziesięciu jardach zatrzymali się i patrzyli z rozpaczą, jak kosztujący dwanaście milionów dolarów samolot i ich dwaj koledzy zamieniają się w popiół. W niebo wzbijał się gęsty czarny dym, a szkielet samolotu trzeszczał głośno, powoli zapadając się w bagno.

Nagle przez trzaski pękającego kadłuba usłyszeli jakiś inny dźwięk, przypominający ptasi gwizd. Po chwili uświadomili sobie, że to krzyczący z bólu człowiek. Roderick poczuł się, jakby był pijany. Miał wrażenie, jakby tkwił w jakimś koszmarnym śnie. Chociaż płomienie ogarnęły już cały kadłub, ktoś w samolocie nadal żył!

– To Fairbanks… – wykrztusił w końcu siwy mechanik. – Przysięgam, że to Fairbanks…

Ale wszyscy doskonale wiedzieli, że nie ma sposobu uratowania pilota. Otwór w osłonie kabiny był za wąski, aby dało się wyciągnąć przez niego płonącego człowieka, a główne drzwi tak się wygięły i zakleszczyły, że były nie do ruszenia. Dwaj monterzy uklękli w wodzie i zaczęli się modlić, a reszta stała z opuszczonymi głowami, mając nadzieję, że Fairbanks nie będzie zbyt długo krzyczał.

– Zaraz wybuchnie paliwo – powiedział siwowłosy mechanik. – Musimy stąd jak najszybciej odejść.

Nagle Roderick dostrzegł jakiś ruch w falującym od gorąca powietrzu. Z początku wydawało mu się, że to kawałek płonącego poszycia, ale po chwili dostrzegł, że poruszający się kształt wije się w górę i w dół, i ze zgrozą uświadomił sobie, co to takiego. A raczej kto. Jakimś sposobem Fairbanks zdołał przesunąć głowę i ramiona przez otwartą osłonę kokpitu i rozpaczliwie próbował uciec przed torturą płomieni. Przeciskając się między ostrymi aluminiowymi brzegami osłony, pozrywał sobie skórę z głowy i twarzy, stracił też niemal całe ucho. Cały czas tak przeraźliwie krzyczał, że Roderick zaczął dygotać ze zgrozy. Ogień musiał spalić mu już nogi, lecz jego instynkt

samozachowawczy był tak silny, że wciąż próbował uciec, zamieniając się w pokrwawione monstrum.

Jeden z monterów ruszył do samolotu, ale Roderick ryknął: „Nie!”. Kiedy tamten się zatrzymał, wybuchło paliwo w drugim skrzydle i w powietrze wzbiły się kawałki płonącego kadłuba. Roderick poczuł, że skórę na policzku rozcina mu fragment gorącego metalu, i szybko zakrył dłonią oczy, aby uniknąć oślepienia.

Wydawało im się, że eksplozji paliwa nie towarzyszył żaden dźwięk, poczuli jedynie gwałtowny ruch powietrza.

Roderick wrócił do porzuconego samochodu, usiadł za kierownicą i zaczął płakać. Objął się ramionami i jak osierocone dziecko kołysał się w przód i w tył. Po jego twarzy spływały strumienie łez. Otworzył usta i zawodził bełkotliwie, wzywając matkę.

Po chwili przyjechała roztrzęsiona, ujęła chłodnymi palcami pokrytą pęcherzami rękę syna i pozwoliła, by przytulił wypomadowaną głowę do jej czarnego futra.

– O matko, o matko, o matko… – szlochał.

Johann stał nieco dalej, przyglądając się płomieniom nad bagnami. Celia zatrzymała się kilka kroków za nim i głaskała psa. Wolała w tej

chwili pozostawić swojego małżonka pod opieką Hester.

– Podejrzewałaś, że tak się stanie, prawda? – powiedział Johann, nie odwracając się do niej. – To okropne.

Celia przestała głaskać psa i uniosła brwi.

– Chyba nie rozumiem, co masz na myśli…

Johann wzruszył ramionami.

– Nie musisz udawać. Już podczas naszego pierwszego spotkania doszedłem do wniosku, że jesteś bardzo silną kobietą. Znałem już takie, a z jedną nawet się ożeniłem. Uważałaś, że bezpieczniej zainwestować we fracht i obsługę naziemną, ale Roderick sądził, że większy zysk przyniosą skonstruowane przez niego samoloty. Miałaś rację, a on się pomylił. I teraz dwaj niewinni ludzie nie żyją.

– Ten samolot mógł polecieć – stwierdziła Celia.

Johann obejrzał się przez ramię i widząc jej kompletnie pozbawioną wyrazu twarz, wymamrotał coś pod nosem.

Celia podeszła do niego.

– To nawet mógł być wielki sukces – dodała cicho.

Pokręcił głową.

– Sukces to efekt sumienności we wszystkim, co się robi. A tu tej sumienności zabrakło. Silniki były złe, decyzja, żeby startować z tego lotniska, też była złą decyzją. Wcześniej czy później to się musiało tak skończyć. Ale wolałbym, żeby ten samolot umarł po cichu, a nie w ten sposób.

– Był ubezpieczony – oświadczyła Celia. – I to znacznie ponad swoją realną wartość. U Lloyda.

Johann kiwnął głową, wbił laskę w miękką ziemię i przez chwilę przyglądał się błotnistej wodzie, wypełniającej zrobioną przez koniec laski dziurę.

– Interesuję się wszystkim, co dzieje się w naszej firmie – powiedział. – Zadałem sobie trud i przejrzałem wszystkie twoje księgi. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie sprzedałaś ani jednego samolotu…

Celia uśmiechnęła się lekko.

– Zastanawiałam się, kiedy na to wpadniesz.

Popatrzył na nią.

– Wpadanie na takie rzeczy to mój obowiązek.

– Jesteś na mnie zły?

– Czemu miałbym być na ciebie zły? Przynajmniej uratowałaś coś z tej katastrofy.

– Myślałam, że możesz uważać, że nie dałam Roderickowi uczciwej szansy.

Johann wyjął chusteczkę i osuszył oczy, załzawione od wiatru i dymu.

– W biznesie nie ma uczciwych szans – odparł ze spokojem. – Ten samolot to był sprawdzian dla Rodericka. Sprawdzian jego orientacji w prawach rządzących biznesem oraz umiejętności przetrwania.

– Nie spisał się zbyt dobrze, prawda?

Johan wzruszył ramionami.

– To zależy, jak na to spojrzeć. Z twoich ksiąg wynika, że Cornelius Airways ma zamówienia na przewóz towarów za milion dolarów. To zwrot jednej dwunastej mojego zaangażowania kapitałowego w ten samolot, nie licząc ubezpieczenia.

– Od początku wydawało mi się, że bardzo ryzykujemy, inwestując wszystko w jeden samolot – odparła Celia. – Dlatego zabrałam się do sprzedawania usług transportowych, nie czekając na powstanie naszej własnej floty powietrznej.

– Jesteś mądrą kobietą.

Celia machinalnie pogładziła pudelka.

– Nie bardzo wiem, jak to przedstawić Roderickowi.

– Powinien być zadowolony – rzekł Johann.

– Nie, nie będzie. A przynajmniej nie na początku. Uzna, że nie wierzyłam w niego. Może nawet spróbuje mnie oskarżyć, że ten samolot nie wystartował z mojej winy.

W stronę spalonego samolotu jechał wóz strażacki, podskakując na nierównościach terenu. Strażacy nie spieszyli się jednak i nawet nie włączyli syreny. Większą część szczątków C-1 można było ugasić, zadeptując żar.

– Czy Roddy wyląduje teraz na lodzie? – zapytała Celia.

– W jakim sensie?

– Pewnie przekażesz kontrolę interesów Johnowi.

– Czemu miałbym to robić? Roderick nie wyszedł zwycięsko z tej próby, ale ty tak. A ponieważ ma ciebie, nie rozumiem, dlaczego nie miałby przejąć moich interesów, gdy przyjdzie na to czas. Chcę tylko, abyś wiedziała, że kiedy do tego dojdzie, Bookbinder i cały zarząd zostaną poinformowani, że każda decyzja Rodericka musi być dyskretnie parafowana przez ciebie. On sam nigdy się o tym nie dowie. W końcu jest moim synem i pozostało mu już niewiele powodów do dumy.

– Czy nie wydaje ci się, że w ten sposób postępujesz wobec niego… nieuczciwie?

– A tobie się wydaje, że postępujesz uczciwie? – zapytał.

Kiedy odwróciła głowę, roześmiał się i powiedział:

– Nie sądzisz, że czasem trzeba zwodzić innych dla ich własnego dobra?

– Chyba tak – przyznała.

Roderick nadal pociągał nosem. Kiedy Johann to usłyszał, skrzywił się. Celia położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała:

– Nie bądź dla niego zbyt surowy. To nie do końca jego wina. Bardzo chciał zrobić na tobie wrażenie.

Johann kiwnął głową.

– Dobra z ciebie dziewczyna, Celio. Żałuję, że mam związane ręce i nie mogę dać ci więcej swobody.

– Co masz na myśli?

Postukał laską w ziemię.

– Któregoś dnia to zrozumiesz.

Chciała go zapytać, kiedy ten dzień nadejdzie, ale odwrócił się i podszedł do siedzącego w samochodzie syna. Roderick wycierał zaczerwienione oczy chusteczką, próbując doprowadzić się do porządku.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli pojedzie teraz do domu – odezwała się Hester. – Przeżył

okropny wstrząs. Nie tylko stracił samolot, ale jeszcze zginęli dwaj ludzie.

Johann przez chwilę patrzył na syna.

– Posłuchaj… – zaczął łagodnie.

Roderick odwrócił głowę.

– Dawno temu płakałem tak samo jak ty teraz – powiedział powoli Johann. – Ale płakałem dlatego, że ktoś poświęcił dla mnie coś najcenniejszego. Nigdy więcej nie wolno ci opłakiwać samego siebie. To luksus, na który nie stać nawet tak bogatych ludzi jak my.

Nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że Roderick nie ma mu nic do powiedzenia – nic, co mogłoby go zainteresować. Wrócił do zabłoconego rolls-royce'a i wsiadł do środka. Hester ucałowała syna w czoło i ruszyła za mężem. Po chwili szofer zamknął drzwi, samochód zawrócił i odjechał.

Dym z płonącego C-1 zasnuł niebo, płonące na błotach ostatnie skupiska pożaru wyglądały jak ogniska prymitywnej osady. Znów się rozpadało, tym razem znacznie mocniej, lodowate igły siekły po twarzy. Celia musiała odprowadzić pierce-arrowa do hangaru. Roderick w milczeniu siedział obok niej, z jego nosa i koniuszków uszu zwisały krople deszczu przypominające brylantowe wisiory.

♦ ♦ ♦

Pierwszego kwietnia 1939 roku, w tym samym tygodniu, w którym prezydent Roosevelt zaakceptował plan budowy dwóch krążowników o pojemności czterdziestu pięciu tysięcy ton, Hope wzięła w Hartford ślub z Martinem Landseerem. Po ceremonii trzydzieści pięć samochodów zabrało dwustu pięćdziesięciu gości do domu Landseerów.

Do tańca przygrywali muzycy z orkiestry Benny'ego Goodmana, ubrani na tę okazję w żółte sportowe marynarki i letnie białe spodnie, które musieli potem zwrócić. Hope sprawiała wrażenie bardzo szczęśliwej, chociaż Philip Strachan stwierdził potem, że była to tylko chwilowa histeryczna euforia, a nie prawdziwa radość. Wirując, sunęła od jednego gościa do drugiego, śmiejąc się, paplając i pijąc zbyt dużo szampana. Martin snuł się za nią z głupkowatym uśmiechem na twarzy, wywołując wśród młodszych gości rozbawienie, i w pewnym momencie jakaś pannica z loczkami na głowie i w sukience bez ramion zapytała go z drwiącym uśmieszkiem:

– Czy ja cię przypadkiem nie widziałam w *Królewnie Śnieżce*?

Hope miała na sobie modną sukienkę przystrojoną falbankami i kokardkami. Kiedy z błyszczącymi oczami krążyła po trawniku, odrzuciwszy do tyłu głowę, wyglądała, jakby grała główną rolę w filmie o swoim własnym życiu.

Johann był rozdrażniony i poirytowany. Nie znosił ślubów, a Landseerów jeszcze bardziej. Przyjechał tu tylko dlatego, że jego córka wychodziła za mąż, a pani Landseer była długoletnią przyjaciółką Hester. Kiedy w kościele przekazywał Hope panu młodemu, miał taki sam wyraz twarzy jak Robert Taylor, gdy Greta Garbo umierała na jego rękach w *Damie kameliowej*, a kiedy pewna dama powiedziała mu, że nie traci córki, ale dostaje syna, odwarknął:

– Wolałbym dostać zapalenia wątroby, szanowna pani.

Był oczywiście pięciopiętrowy tort ze srebrnymi podkówkami i dzwoneczkami, a zaopatrzeni w aparaty Kodaka fotografowie co chwila odpalali lampy błyskowe. Kiedy początkujący reporter z Hartford zapytał Hope, co będzie robić jako pani Martinowa Landseer, łagodnym jak sygnaturka żeńskiego klasztoru głosem odparła:

– Zamierzam opiekować się moim mężem.

Niebo pokrywały gęste chmury, wysokie jak nadbrzeżne urwiska. Johann w szarym cylindrze i żakiecie stał na werandzie domu Landseerów, przeżuwając kawałek weselnego tortu z taką miną, jakby poczęstowano go kawałkiem gliny. Czerwony z podniecenia Landseer senior przekonywał go, że ponieważ są teraz kumami, powinni regularnie grywać w golfa na polu Hurstview, bo on, Landseer, jest członkiem klubu, a poza tym to naprawdę świetne pole. Johann odparł, że doskonale wie, iż to świetne pole, bo należy do niego. Potem zapytał Landseera, czemu nie kupi sobie monokla, który by mu co chwila nie wypadał z oka. Orkiestra grała *In the Mood*.

Pewien młody człowiek otoczony gromadką pięknych dziewcząt opowiadał im, jak walczył w Hiszpanii, a potem pędził na koniu pod gradem bomb i szrapneli, by zdążyć dopaść krążownika *Omaha* i odpłynąć razem z ewakuowanymi amerykańskimi obywatelami.

Hope przesuwała się wśród tłumu gości, poruszając się jak nakręcana laleczka na szkatułce z biżuterią. Słońce to znikało za chmurami, to się pokazywało, więc przyjęcie weselne czasem wyglądało jak biało-czarna gazetowa fotografia, a czasem skrzyło się

kolorami. Wesoło trzepotały chorągiewki, promienie słońca odbijały się od trąbek orkiestry i butelek szampana.

Ale świąteczna atmosfera nie poprawiła humoru Johanna. Wiedział, że Ameryka przygotowuje się do zwodowania dwóch ogromnych krążowników po dziewięćdziesiąt milionów dolarów sztuka i że prawdopodobnie wkrótce wybuchnie wojna.

♦ ♦ ♦

Gdy główny prokurator Stanów Zjednoczonych, Godfrey K. Prescott, siedział w przydomowej oranżerii, w jej drzwiach pojawiła się żona i powiedziała, że jest do niego telefon. Nie lubił, kiedy odrywano go od kwiatów. Był miłośnikiem dalii i hodował najpiękniejsze odmiany, jakie kiedykolwiek widziało New Rochelle. Co roku zdobywał nagrody i ceglana półka nad jego kominkiem była pełna rozetek i honorowych odznaczeń.

– Czy to nie może zaczekać? – spytał z irytacją. – Nie możesz powiedzieć facetowi, żeby zadzwonił potem?

– Ale on mówi, że to bardzo pilne. Chodzi o sprawę McKesson i Robbins.

Prescott westchnął i ściągnął gumowe ogrodnicze rękawice. Nie zdejmując fartucha w paski, wszedł przez oszklone drzwi do salonu. Promienie słońca kładły się jasnymi trapezami na pokrytych aksamitem starych fotelach i kanapach, a ozdobna srebrna papierośnica migotała, mrugając ze stolika do właściciela.

Prokurator sięgnął po słuchawkę.

– Tak?

Przez chwilę słyszał tylko trzaski i ciszę, a potem basowy, chrapliwy głos zapytał:

– Czy to pan Prescott, prokurator Stanów Zjednoczonych?

– Zgadza się.

– Hm… mam dla pana pewną informację. Chciałbym się gdzieś spotkać i pogadać.

Prescott przeczesał palcami ciemne, wijące się włosy.

– Nie może mi pan tego teraz powiedzieć? – spytał. – Dzwoni pan z domu?

– Dzwonię z baru w Nowym Jorku. W tej chwili nie mogę panu zbyt dużo powiedzieć.

– Niech pan powie przynajmniej, o co chodzi.

Mężczyzna po drugiej stronie linii zakaszlał. Z głębi pomieszczenia, w którym się znajdował, dobiegały dźwięki muzyki i śmiechy.

– Chodzi o Phila Musicę. Pytał pan, jakie miał kontakty.

– Tak, pamiętam.

– Mogę panu podać nazwisko jego najważniejszego kontaktu. I mogę to udowodnić.

– Co jeszcze?

– Mogę również udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Musica był powiązany z Dutchem Schultzem, i mogę wskazać powiązania Dutcha z głównym kontaktem Musiki.

Prescott wyjął z papierośnicy lucky strike'a i przypalił go zapalniczką w stylu regencji. Wydmuchnął niebieski dym, który zawirował w ukośnych promieniach słońca.

– Jakim materiałem dowodowym pan dysponuje?

– Chwileczkę… – powiedział mężczyzna po drugiej stronie i po chwili dodał: – Mam listy, dokumenty i kontrakty. Ale to jest coś warte.

– To znaczy ile? – spytał Prescott.

– Pięć patoli.

Prescott zaciągnął się papierosem.

– Sporo jak za jedno nazwisko.

– To duże nazwisko, panie Prescott. Warte każdego centa.

Prokurator przez chwilę się zastanawiał.

– W porządku – odparł. – Gdzie się spotkamy? Może pan wyjechać z miasta, nie zwracając na siebie zbytniej uwagi?

– Chyba tak.

– Wobec tego proszę przyjechać do mnie.

– Ma pan przy sobie takie pieniądze?

– Nie w tej chwili, ale jeśli informacja okaże się wiarygodna, dam panu podpisany przeze mnie czek i pisemną gwarancję.

Informator nic już nie powiedział, natychmiast się rozłączył. Prescott przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, jakby się spodziewał, że usłyszy coś jeszcze, ale w końcu odłożył ją na aparat i wyszedł na dwór. Leżąca na pasiastym leżaku żona spytała:

– Coś ciekawego, kochanie?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Przekonamy się, kiedy ten facet tu przyjedzie.

Popatrzyła na niego z lekkim niepokojem.

– Mam nadzieję, że to nie kolejny gangster. Sąsiedzi jeszcze nie doszli do siebie po tamtych strasznych ludziach od Gizziego.

Prescott przez chwilę w milczeniu palił papierosa.

– Chodzi o Philipa Musicę. To może być przełom.

– Rozumiem, kochanie. Cóż, mam nadzieję, że ten człowiek nie jest zbyt ordynarny, krzykliwie ubrany czy coś w tym rodzaju.

Prescott wrócił do oranżerii. Pracował nad sprawą Musiki, od kiedy wybuchł skandal związany z McKesson & Robbins, i sądził, że gangster musiał mieć powiązania z wielkim biznesem. Podając się za F. Donalda Costera, wykorzystywał znaną firmę farmaceutyczną McKesson & Robbins, aby eksportować samoloty, broń, żywność i koce. Próbował także sprzedać za granicę dwa miliony karabinów.

Mimo rozmiarów popełnianych przestępstw firmie przez lata udawało się oszukiwać bankierów, inwestorów i księgowych. Prescott był przekonany, że Musica korzystał ze wskazówek jakiejś tajemniczej szarej eminencji. Był malwersantem na wielką skalę i na początku lat trzydziestych XX wieku utrzymywał bliskie kontakty z Dutchem Schultzem, jednak do tego, czego dokonał, potrzebna była wyobraźnia i nieograniczone zasoby dostępnej w każdej chwili gotówki. Musica nie miał takich środków – mogły je zapewnić tylko kontakty z Wall Street.

Ale były gangster nigdy nie złożył zeznań. Kiedy policja pojawiła się w jego rezydencji w Fairfield w stanie Connecticut, właśnie

popełnił samobójstwo. Godfrey Prescott często się zastanawiał, co go mogło skłonić do tego kroku, i w końcu doszedł do wniosku, że prawdopodobnie uznał, iż rozsądniej odejść z tego świata samemu, niż pozwolić, by zrobiono to za niego – w znacznie mniej oględny sposób.

Po południu zabrał się do przenoszenia sadzonek do doniczek. Kiedy słońce chowało się już za mansardowe daszki domu, spojrzał na zegarek. Dochodziła piąta, ale nikt się nie zjawił. Jego informator nie pokazał się w New Rochelle do końca dnia i nigdy więcej nie dał znaku życia.

Siedząc za biurkiem przez kolejne dni i tygodnie, Prescott wiele razy próbował wydedukować, co tamten człowiek mógłby mu powiedzieć, ale jak wszyscy pracownicy aparatu sprawiedliwości był cierpliwy i ze spokojem przyjmował porażki.

1940

Prezydent Roosevelt przekonuje nas, że w przypadku kontraktów na dostawy dla armii zawsze mamy do czynienia z kompromisami. Pozwólcie, że zadam mu pytanie: Kto korzysta na tych kompromisach i kto na nich traci?

senator H.K. Hubslager
12 kwietnia 1940 r.

Gdy długi biały cadillac imperial cicho sunął w kierunku domu, ciepły wiosenny wiatr czochrał rosnące przy podjeździe palmy. Samochód okrążył ozdobną fontannę, obserwowany w milczeniu przez zgromadzony przed domem trzydziestoosobowy personel: lokajów, pokojówki, kucharzy i sprzątaczki. Wszyscy byli w białych kurtkach, wykrochmalonych i sztywnych jak muszle mątew. Starannie uczesani i wypucowani, mrużyli oczy w przedpołudniowym słońcu. Gdy limuzyna zatrzymała się przed nimi, stali sztywno jak posągi. Po chwili szofer w brązowym uniformie otworzył drzwi i opuścił schodki.

Kiedy Johann wysiadał z samochodu, wspierając się na lasce, nogawka jego jasnoszarych spodni podjechała do góry, odsłaniając letnie kalesony wsunięte w jedwabne skarpety. Był przygarbiony i sprawiał wrażenie zmęczonego, gdy zakładał na głowę kapelusz.

Hester ujęła go pod ramię i z uśmiechem na ustach odwróciła się do służby. Właśnie skończyła czterdzieści osiem lat, ale nadal była pełna energii i poczucia własnej wartości, które zawsze są udziałem bogatych i pewnych siebie ludzi w średnim wieku. Miała na sobie prosty wiosenny płaszczyk z grubego jasnego jedwabiu i szeroki kapelusz w takim samym kolorze. Ukryła oczy za ciemnymi szkłami, bo nie mogła spać w samolocie i były przekrwione z przemęczenia.

Gdy oboje stali na brązowym żwirze podjazdu, sprawiali wrażenie dumnego i szczęśliwego małżeństwa. Personel przywitał ich spontanicznymi oklaskami.

Kamerdyner Radec, w eleganckim żakiecie i muszce, wystąpił przed resztę służby, z szacunkiem pochylając wielką głowę.

– Miło cię znowu widzieć, Radec – powiedział Johann. – Jak udało się dzisiaj chilli?

– Mam nadzieję, że lepiej niż zwykle – odparł kamerdyner, odsłaniając dwa rzędy białych sztucznych zębów. – Miguel kręci się jak fryga, szatkując mięso, papryczki i warzywa.

– Mam ochotę na brandy z wodą sodową – stwierdził Johann i ujął ramię Hester, by pomogła mu wejść do domu. – Jestem suchy jak dziura na pustyni.

Za jego plecami kręcił się Max Wemmer, wiceprezes Cornelius Oil California. Odziany w biało-czerwoną sportową marynarkę i biały golfowy kaszkiet, dyrygował wydobywaniem z bagażnika wielkich waliz i toreb z foczej skóry. Wizyta Wszechmogącego w domu na Zachodnim Wybrzeżu zawsze była ekscytującym i frustrującym przeżyciem dla całego personelu. Kiedy wybuchła wojna z Hitlerem, Johann miał mnóstwo roboty w Nowym Jorku, bo wojna oznaczała wiele biznesowych komplikacji. Musiał myśleć o zatopionych statkach, embargach handlowych, zarekwirowanych magazynach i surowcach, więc dopiero teraz dał się przekonać Hester i lekarzom, że powinien zrobić sobie krótkie wakacje w Carina Mia, swojej ogromnej rezydencji w hiszpańskim stylu położonej niedaleko Pasadeny.

W środku domu było chłodno i ciemno, a w ogrodzie cicho szeleściły palmy i pluskały wodospady. Sowicie opłacany za zachowanie ciszy i dyskrecji personel biegał po domu w milczącym zaaferowaniu.

– Napiję się na balkonie – powiedział Johann, oddając kapelusz kamerdynerowi. – A ty, moja droga? Pewnie chciałabyś się trochę odświeżyć.

Hester zdjęła ciemne szkła.

– Jeśli nie jestem ci teraz potrzebna, chętnie wzięłabym kąpiel i położyła się na chwilę. Radec, każ Marii przygotować zieloną sypialnię, dobrze? Tam nie będzie tak gorąco.

Johann pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Będę cię we wszystkim słuchał – obiecał. – Trochę przystopuję i będę zażywał wakacji. Chyba sobie na to zasłużyłem.

Hester uśmiechnęła się do niego.

– Nie ty jeden – stwierdziła.

Ostatnie pół roku spędziła bardzo pracowicie, działając na rzecz jednego z komitetów opieki społecznej Eleanor Roosevelt, i wizja odpoczynku w Carina Mia z jej tureckimi łaźniami i basenami była niczym wizja raju.

Stukając obcasami, do domu wszedł Max Wemmer.

– Wszystko w porządku, proszę pana – powiedział. – Gdyby pan mnie potrzebował, będę na dole w gabinecie. Zaraz przygotuję dla pana dzisiejsze sprawozdanie giełdowe, a potem analizę cen ropy, o którą pan pytał.

Hester popatrzyła na Johanna z wyrzutem.

– Pytałeś o ceny ropy?

Johann odchrząknął i zażenowany stuknął laską w podłogę.

– Nawet jeśli sam nic nie robię, muszę wiedzieć, co wyczynia reszta.

– No dobrze, ale uważaj na siebie – odparła Hester i pocałowała go.

Po chwili pojawiła się jej sekretarka Maria, piękna rudowłosa Włoszka. W swoim bladozielonym lnianym kostiumie wyglądała jak jedna z kobiet namalowanych przez Botticellego. Kiedy dygnęła na przywitanie, Hester powiedziała do męża:

– Zobaczymy się później, kiedy już nie będę się czuła jak rozdeptany homar.

Eskortowany przez kamerdynera Johann przeciął szeroki hol i wszedł do windy. Gdy wznosili się na piętro, stał w niej cierpliwie.

– Minął już ponad rok, prawda? – spytał, kiedy Radec z brzękiem odsunął pozłacaną kratę.

Kamerdyner kiwnął głową.

– Rozumiemy to, proszę pana. Cały personel jest bardzo zadowolony z prezentów gwiazdkowych.

– Dałem ci larkwooda, prawda? Spodobał ci się?

Radec się uśmiechnął.

– Jest znakomity, proszę pana. Cieszę się, że pan pamięta, co mi podarował.

Johann pokiwał głową. Wszyscy kamerdynerzy w jego domach dostali złote pióra. Pozyskiwanie przychylności personelu, ludzi, którzy zajmowali się jego ubraniami, pożywieniem i starzejącym się ciałem, nabierało coraz większego znaczenia. Tego roku miał skończyć sześćdziesiąt siedem lat. Często bywał teraz zmęczony i brakowało mu oddechu.

– Mamy tu taśmę z *Ninoczką*, proszę pana, gdyby pan chciał ją obejrzeć – powiedział po chwili kamerdyner.

– Bardzo chętnie ją obejrzę – odparł Johann. – Czy to nie ten film, w którym Greta Garbo się śmieje?

Szli obok siebie długim, wyłożonym marmurem korytarzem, na którego ścianach wisiała największa na świecie prywatna kolekcja szkiców Goi. Za zabarwionymi na żółto szybami Johann widział zniekształcone zarysy gór San

Gabriel. Niebo, niedawno ciemnoniebieskie, przybrało teraz odcień wodnistej zieleni. Zawsze lubił ten dom: był przestronny i położony na uboczu jak klasztor. Zachęcał do tego, żeby spędzić resztę życia w jego chłodnych pokojach, medytując i odpoczywając, a nocą słuchając szumu łagodnych wiatrów spływających z gór.

Kamerdyner otworzył dwuskrzydłowe rzeźbione drzwi wychodzące na balkon. Było to jedno z ulubionych miejsc Johanna, jedno z niewielu, w których mógł rozkoszować się tym, że jest bogaty. Urządzono go w żywych meksykańskich barwach – czerwieniach, zieleniach i złocie – a jego podłogę zdobiła granatowa mozaika, przeniesiona tu kawałeczek po kawałeczku z szesnastowiecznego kościoła San Carlos del Rincón w Oaxaca. Pod ścianą stał zwodniczo prosty stół, tak dokładnie nawoskowany i wypolerowany, że Johannowi zawsze się wydawało, iż mógłby w nim utonąć. Ozdabiały go ceramiczne misy z gujawami, papajami i ananasami. Podobno zbito go z desek pokładowych galeonu Francisa Drake'a i splamiła go krew wielu angielskich marynarzy.

Jednak dopiero widok z balkonu sprawiał, że pokój stawał się oazą niezwykłego spokoju. Wychodził na otaczający posiadłość

subtropikalny ogród, osiemdziesięcioakrowy raj pełen róż, orchidei i magnolii, z polankami, wodospadami i krętymi ścieżkami. W oddali widać było dachy La Cañada i góry, a w powietrzu wisiała mgiełka letniego kalifornijskiego przedpołudnia.

Johann podszedł do krawędzi balkonu i oparł laskę o kamienną balustradę. Wciągnął w płuca górskie powietrze i zamknął oczy.

– Jest pan zmęczony? – spytał z troską Radec. – Zaraz podadzą panu brandy.

Johann otworzył oczy, popatrzył na ogród i uśmiechnął się lekko.

– Zmęczenie liczy się ilością pracy, którą masz do wykonania – odparł.

– Przecież może pan tu odpocząć przez tydzień lub dłużej.

– Hm, pewnie tak. Ale trwa wojna i rząd chce całego azotu, który możemy wyprodukować, całej ropy, którą możemy wydobyć, oraz wszystkich statków i samolotów, które możemy zbudować. Tymczasem Niemcy zajmują nasze firmy w Europie i zatapiają połowę naszych ładunków, a to, czego nam nie mogą ukraść lub zatopić, wysadzają w powietrze. Dziś rano się dowiedziałem, że ubiegłej nocy Luftwaffe zbombardowało w Londynie hotel Savage. Był to

jedyny tamtejszy hotel, w którym warto się zatrzymać, poza tym w sześćdziesięciu sześciu procentach należał do mnie.

Radec przyniósł z głębi balkonu duży rattanowy fotel o tapicerce w żywych barwach. Johann usiadł w nim i zamyślił się, lekko uśmiechnięty, wsłuchany w dźwięki dobiegające z ogrodu. Po paru minutach lokaj przyniósł brandy z wodą sodową oraz miseczkę solonych czarnych oliwek na srebrnej tacce i postawił ją na stoliku obok fotela.

– Jest dokładnie tak, jak pamiętałem – mruknął Johann.

Radec kiwnął głową.

– To miejsce należy do pana i zawsze ożywa, gdy pan tu wraca.

– Czy mówiłem ci, dlaczego nazwałem je Carina Mia? – spytał Johann.

Radec odkaszlnął, zasłaniając usta pięścią. Był kiedyś kelnerem w najlepszym warszawskim hotelu, gdzie pewnego wieczoru polska arystokracja zjadła czterysta przepiórek w sosie z czarnej porzeczki i tańczyła na stołach polkę, więc całkiem dobrze sobie radził podczas wieloznacznych rozmów z bogaczami.

– Tak, proszę pana. Pamiętam, że była to bardzo wzruszająca historia.

– Cóż… to, co ci opowiedziałem, nie było do końca prawdą.

– Nie, proszę pana?

Johann sięgnął po szklaneczkę z brandy i przez chwilę obserwował unoszące się w niej bąbelki gazu.

– Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie – powiedział w końcu. – To, co jest prawdą, a co nie. Nie teraz, po trzydziestu siedmiu latach.

Radec czekał na ciąg dalszy, ale gdy stało się jasne, że Johann już nic nie doda, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Kiedy znalazł się przy drzwiach, nagle zadzwonił telefon, więc podszedł do niego i odebrał.

– Rezydencja pana Corneliusa – rzucił do słuchawki.

Słuchał przez chwilę, po czym zakrył dłonią mikrofon.

– To do pana – powiedział do swojego pracodawcy. – Podobno sprawa osobistej natury.

Johann pokręcił głową.

– Nie odbieram telefonów. Przekaż tę sprawę Maxowi Wemmerowi.

Radec zamienił kilka zdań ze swoim rozmówcą, po czym odsunął słuchawkę od ucha i oznajmił:

– To pan Jack Field, proszę pana. Wydaje mi się, że dzwoni z budki przy bramie wjazdowej.

– Jack Field? Nie do wiary! Daj mi telefon.

Kamerdyner przeniósł aparat na stolik przy fotelu Johanna. Zanim podał słuchawkę swemu chlebodawcy, wyjął z kieszonki na piersiach czystą lnianą chusteczkę i szybko przetarł mikrofon.

– Jack? To naprawdę ty? – spytał Johann.

W słuchawce rozległy się trzaski, a potem znajomy głos powiedział:

– Cześć, Johann. Wpadłem tu dla zabicia czasu. Mogę wejść?

– Przyjechałeś do Pasadeny dla zabicia czasu? Myślałem, że cały czas siedzisz w Waszyngtonie.

– Zgadza się. Ale w twoim biurze powiedziano mi, że tu będziesz, a jestem trochę niespokojny i zależy mi na spotkaniu z tobą.

Johann zaśmiał się cicho.

– Z tego, co słyszę, całkiem nieźle ci idzie, więc chyba nie musisz się o nic martwić.

Jack również się roześmiał.

– Nie narzekam. Ale jeśli to nieodpowiednia chwila, możemy spotkać się kiedy indziej. Nie wiedziałem, że przyjechałeś dopiero dzisiaj.

Johann pokręcił głową.

– Nie, Jack, ładuj się do środka. Zaraz każę ci otworzyć bramę. Objedź dom z lewej strony i zaparkuj przed frontem. To jakieś pół mili od wjazdu. Czego masz ochotę się napić?

– Moje podniebienie mówi mi, że najlepszy byłby collins.

– W porządku – odparł Johann.

Rozłączył się, a potem kazał połączyć się z Hester. Była w wannie, ale każda łazienka w Carina Mia miała telefon.

– Co się stało? – spytała.

– Zgadnij, kto przyjechał.

– Nie mów mi, że Bookbinder. Nie zniosłabym tego.

– Nie, nikt w tym rodzaju. Jack Field.

– Jack Field? Ależ to wspaniale! Muszę zejść do was. Mówił, co go tu sprowadza?

– Przejeżdżał obok nas i postanowił wpaść na chwilę.

– Jest z nim Ellie?

– Nie pytałem.

– Och, Johannie… Nie ma z ciebie żadnego pożytku.

– Może i nie – mruknął. – Ale tylko tobie wolno tak mówić.

Po chwili rozległo się dyskretne pukanie. Radec podszedł do drzwi, by wprowadzić gościa,

a Johann sięgnął po laskę i z wysiłkiem dźwignął się na nogi, ze szklaneczką w ręce.

Jack Field energicznym krokiem wszedł do pokoju, szeroko uśmiechnięty, w eleganckiej białej dwurzędówce i krawacie w biało-czarne paski.

Uściskał mocno dłoń starszego mężczyzny.

– Wspaniale cię widzieć, Johannie. Naprawdę.

Mimo swoich pięćdziesięciu lat Jack Field był w doskonałej formie, chociaż jego falujące kasztanowe włosy zaczynały już siwieć, a na policzkach pojawiły się zmarszczki, świadczące o tym, że musiał ciężko walczyć i wiele poświęcić, by osiągnąć to, czego pragnął. Johann odczytał to z jego twarzy, ale widział też w niej siłę i odporność na ciosy biorącą się z poczucia własnej wartości i osiągniętych sukcesów. Od trudnych początków w 1921 roku, omal nie zakończonych bankructwem w 1929, Jack Field stworzył jedną z najświetniejszych kancelarii prawniczych na Wschodnim Wybrzeżu, Field-Babson-Field. Miał dwóch wspólników: Olivera Babsona, ekscentrycznego geniusza w dziedzinie prawa podatkowego, oraz swojego syna Randy'ego. Jego honoraria były tak niebotyczne, że w „Fortune" napisano kiedyś, iż „bardziej się opłaca samemu bronić własnej sprawy

i przegrać, niż zaangażować Jacka Fielda jako obrońcę i wygrać”.

Lokaj przyniósł gin i orzeszki dla Jacka i dwaj mężczyźni usiedli na balkonie, uśmiechając się do siebie z wstydliwą zażyłością, odradzającą się podczas spotkania starych przyjaciół. Nie widzieli się od ponad trzech lat, chociaż nadal wysyłali sobie życzenia świąteczne, a Hester od czasu do czasu spotykała się z żoną Jacka na zebraniach komitetów dobroczynnych.

– Ellie nie przyjechała z tobą? – spytał Johann.

– Nie. Przebywa teraz w Karolinie Południowej, odwiedza swoich krewnych. Jest piękna i urocza jak zawsze.

– A Randy?

– Wiedzie mu się całkiem dobrze. Myśli o przeniesieniu się tutaj, do Kalifornii. A może do Los Angeles lub San Francisco.

– Wygląda na to, że opuszczenie Cornelius Oil było najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjąłeś.

Jack zakołysał swoją szklaneczką, wprawiając w ruch kostki lodu.

– Nie żałuję tego, Johannie. Ani niczego innego.

Johann odchrząknął.

– Cieszę się. Słyszałem, że jesteś teraz bardzo wpływowym człowiekiem. Co dalej? Sąd Najwyższy?

– To nie dla mnie. Wolę się spierać, niż decydować.

Johann uniósł swoją szklankę.

– Oby ci się wiodło jak najlepiej.

Milczeli przez chwilę, uśmiechając się do siebie. W końcu Johann powiedział:

– Pewnie powinienem korzystać z twoich usług, skoro jesteś takim dobrym adwokatem. Masz zniżki dla przyjaciół?

Jack pokręcił głową.

– A ty?

– Pewnie. Kiedy tylko będziesz potrzebował kilkuset tysięcy ton ropy, dzwoń do mnie.

Jack uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał. Pociągnął mały łyk brandy i spojrzał na Johanna.

Podmuch wiatru sprawił, że palmy w ogrodzie zaszumiały i zaszeleściły, a wśród kwiatów przeszła fala szkarłatnego ożywienia.

– Coś cię gryzie – stwierdził Johann.

Jack był wyraźnie zakłopotany.

– No cóż, rozumiem, że w dzisiejszych czasach trudno o wizytę u przyjaciół dla samej przyjaźni… – mruknął Johann. – Wszyscy jesteśmy zbyt zajęci.

Jack zmrużył oczy i popatrzył na góry, jakby się spodziewał, że z odległych szczytów nadejdzie sygnał dymny lub wiadomość z lustra sygnalizacyjnego.

– Rząd szuka kozła ofiarnego – powiedział po chwili.

– Kozła ofiarnego? – powtórzył zdziwiony Johann. – W związku z czym?

– W związku z wojną. Sprawa dotyczy łapówek i wymuszeń przy kontraktach dla armii. W końcu chodzi o publiczne pieniądze. Pewna bardzo zdeterminowana grupa senatorów chce zdobyć popularność, ujawniając nazwy wielkich korporacji, które dawały pieniądze na łapówki dla sił zbrojnych.

Johann w zamyśleniu pokiwał głową.

– Bookbinder coś o tym wspominał. Między innymi mówił o senatorze Hubslagerze. Nazywa go Pokazowym Mękołą.

– Właśnie o niego chodzi. Chce urządzić przedstawienie, przeprowadzając poglądowe dochodzenie przeciwko Pentagonowi i każdej wielkiej firmie, którą przyłapie na łapówkarstwie. Twierdzi, że nie mamy prawa krytykować Niemców i Japończyków, dopóki sami nie będziemy czyści.

– Za kogo on się uważa? Za świętego Piotra?

Jack wzruszył ramionami.

– To w tej chwili nie ma znaczenia. Może się uważać nawet za Boga. Wybrał doskonały moment, żeby narobić hałasu wokół korupcji. Roosevelt pewnie rzuci mu jakąś płotkę, żeby się uciszył, ale nie może zaprzeczyć, że kontrakty dla wojska były przyznawane po znajomości i za wakacje na Bermudach, a nie na zamówienie publiczne.

Johann zmarszczył brwi. Jack widział, że jest bardzo zmęczony i znacznie się postarzał. Na balkonie było tak cicho, że słyszał tykanie swojego zegarka.

– W zeszłym tygodniu… pod koniec zeszłego tygodnia… zwrócił się do mnie senator Jorkins – powiedział po chwili. – On i Hubslager od lat prowadzą tę swoją krucjatę. Chciał zamówić u mnie próbne wersje oskarżeń prokuratorskich skierowanych przeciwko dwóm firmom, aby móc ocenić, która sprawa najlepiej rokuje. Jedna z tych firm to Rehoboth Engineering.

Johann podniósł głowę. Wymieniona przez Jacka firma budowała właśnie sześć torpedowców dla marynarki wojennej i ponad trzydzieści barek desantowych dla piechoty morskiej. Należała do Cornelius Shipping i Kosket Finance, filarów imperium Johanna.

– A druga? – spytał.

Jack pokręcił głową.

– Przykro mi, ale to tajne.

– Nie uczestniczysz w tych sprawach, prawda?

– Oczywiście, że nie. Musiałem ujawnić posiadanie akcji twoich firm i odrzucić propozycję współpracy. O ile wiem, zajęli się tym Usher-Oppenheim-Clark.

– Czy Jorkins powiedział ci, do czego zamierzają się przyczepić?

Jack kiwnął głową.

– Cóż… właśnie dlatego tu dzisiaj przyleciałem. Myślę, że czeka cię ciężka przeprawa. Wiedzą o twoich rozmowach z Eddiem Corcoranem z Departamentu Marynarki Wojennej i układzie dotyczącym trzydziestopięciotysięczników, wiedzą też o admirale Messengerze.

– O co dokładnie chodzi?

– Chyba obiło ci się o uszy, co admirał powiedział do ludzi z marynarki, którzy przygotowywali umowę? „Wolę wypłynąć przeciwko Szkopom, mając jeden torpedowiec od Rehobotha, niż z pięćdziesięcioma od Norfolka”.

Johann nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Przecież wszyscy wiedzą, że admirał Messenger wysławia się dość specyficznie. Jest

bohaterem narodowym i ma prawo do odrobiny ekscentryczności.

– Do ekscentryczności może tak, ale nie do korupcji.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że Hubslager wie, że dałeś admirałowi dwadzieścia tysięcy dolarów na budowę jego letniego domu w Narragansett.

Johann przez chwilę milczał, po czym rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Co to jest dwadzieścia tysięcy dolarów między przyjaciółmi?”.

– Nie widzę nic złego w tym, że wielka firma zbuduje dom wielkiemu i szanowanemu Amerykaninowi – mruknął.

Jack usiadł i popatrzył mu w oczy.

– Nie chodzi o ten dom, Johannie. Z domem pewnie by ci się upiekło. Mógłbyś wyjść z tego czysty, gdybyś powiedział, że się pomyliłeś, i na znak skruchy przekazał tę chałupę jakiejś biednej starej wdowie.

Johann uśmiechnął się lekko.

– Wciąż jesteś ten sam stary, dobry Jack, co?

– Nie wiem, czy rzeczywiście jestem taki dobry, bo nie mam zielonego pojęcia, jak zamierzasz wytłumaczyć obecność tych chłopców w Narragansett.

Johann przez chwilę milczał, jakby czekał na wyjaśnienia, ale kiedy Jack nic więcej nie dodał, uniósł brwi i spytał sucho:

– Jakich chłopców?

Jack popatrzył na niego, próbując się zorientować, czy jego dawny przyjaciel żartuje, kłamie, czy może rozgrywa jakąś skomplikowaną roszadę.

– Naprawdę nie wiesz? – spytał z niedowierzaniem.

Johann pokręcił głową.

– Gdybym wiedział, nie pytałbym cię o to. Zbyt długo się znamy, żebym migał się od odpowiedzi. Poza tym jesteś chyba jedynym człowiekiem, którego okłamywanie nie sprawia mi żadnej przyjemności.

Z krzaków wyfrunęły dwa małe ptaszki, trzepocząc w słońcu czerwonymi skrzydełkami.

Jack wstał i podszedł do balustrady balkonu. Przysiadł na jej brzegu, wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki dużą kopertę i otworzył ją ostrożnie.

– Jeśli naprawdę o tym nie wiesz, czeka cię przykre zaskoczenie – powiedział cicho.

– Niewiele rzeczy może mnie jeszcze zaskoczyć – stwierdził Johann.

Wyciągnął rękę po kopertę i wyjął z niej kilkanaście biało-czarnych fotografii, najwyraźniej zrobionych w trudnych warunkach oświetleniowych. Przedstawiały mroczną sypialnię z podwójnym łożem, na którym leżał starszy mężczyzna w towarzystwie trzech chłopców, z których żaden nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. Chłopcy byli zupełnie nadzy i przyjmowali różne erotyczne pozy. Na jednym ze zdjęć starszy mężczyzna leżał na plecach, złączony w akcie seksualnej penetracji z siedzącym na nim chłopcem, któremu dwaj pozostali unosili wysoko nogi. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzną na fotografii jest admirał Messenger.

Johann wsunął zdjęcia do koperty i oddał ją Jackowi, po czym powiedział:

– Lepiej, żebyś mi to wytłumaczył.

Jack schował kopertę do kieszeni.

– To proste – odparł. – W zamian za kontrakt na torpedowce dla Rehoboth Engineering admirał Messenger dostał od swoich dobrych przyjaciół w Cornelius Shipping nie tylko dom, zapewniono mu też rozrywkę. Tych chłopców przywiózł do Narragansett podczas pewnego weekendu jeden z twoich menedżerów, żeby twój ekscentryczny bohater narodowy mógł się

dobrze zabawić. Problem w tym, że senator Hubslager kazał prywatnemu detektywowi śledzić twojego menedżera i zrobić zdjęcia. Co gorsza, dwóch z tych chłopców odnaleziono i zamierzają oświadczyć w sądzie, że zostali porwani i zgwałceni, a wszystko zaaranżował pracownik Cornelius Shipping.

Johann z trudem przełknął ślinę.

– Nie wiedziałem o tym, Jack – powiedział. – Nie miałem o tym pojęcia.

– Czy to by coś zmieniało, gdybyś miał?

Johann popatrzył na niego.

– Mam odpowiedzieć uczciwie?

– Wcale nie musisz odpowiadać. Nie mnie cię oceniać, bo pewnie sam mam na sumieniu gorsze sprawki.

Johann ze znużeniem przeczesał włosy ręką.

– Oczywiście mogłem brać coś takiego pod rozwagę. Ale ci gówniarze to młodociane męskie prostytutki. Nie wierzę w żadne porwania ani gwałty. Zgodzili się tam pojechać, bo liczyli na parę dolców i pewnie sprawiało im to taką samą frajdę jak Messengerowi. Jednak to oczywiście nie znaczy, że nie czuję obrzydzenia czy wstrętu… Skóra mi cierpnie na myśl, że któryś z moich ludzi mógł w tym uczestniczyć. Ale jak Hubslager chce napiętnować Cornelius Shipping,

skoro dysponuje jedynie tymi świńskimi zdjęciami i zeznaniami dwóch męskich prostytutek?

Jack pokręcił głową.

– Dobrze wiesz, że przed stawieniem się w sądzie te dwie męskie prostytutki wypucują się do białości i założą śnieżnobiałe ubranka. Potem oznajmią sędziemu, że zanim spotkali na swojej drodze zepsutego pracownika Cornelius Shipping, nigdy nie zetknęli się z brudem tego świata. A kiedy nastąpili na rozwiązane sznurowadła, przewrócili się i uwalali w błocie swoje krótkie spodenki. I sędzia im uwierzy. Tak samo jak każdy zacny, bogobojny rodzic w każdym wiejskim albo małomiasteczkowym zakątku Ameryki. To dochodzenie będzie dotyczyło nie tylko korupcji rządowo-biznesowej, ale także moralności, a minęło już wiele czasu, odkąd opinia publiczna miała jakiś smaczny, soczysty skandal, w który mogłaby wbić swoje cnotliwe kły. Sądzę, że to dla ciebie bardzo złe wiadomości, więc przyjechałem, żeby cię ostrzec.

Johann głęboko wciągnął powietrze.

– No cóż, doceniam to – powiedział.

– Spłacam tylko dawne długi wdzięczności.

– Radec! – zawołał Johann.

– Tak, proszę pana?

– Połącz mnie z panem Bookbinderem. Natychmiast.

– Nie rób niczego zbyt pochopnie, Johannie. Oni się jeszcze nie zdecydowali, czy w ogóle podejmą jakieś działania.

– Co masz na myśli, mówiąc o pochopności?

– Nic takiego. Ale słyszałem, że Bookbinder bywa bardzo zasadniczy i stanowczy.

– To znaczy?

– Och, daj spokój, przecież dobrze wiesz, o co mi chodzi. Po kraju krąży kilka opowieści o tym, co się stało z ludźmi, którzy weszli mu w drogę.

Johann dokończył swojego drinka i zakręcił kostką lodu w szklance.

– Cóż, pewnie krąży, ale nie musisz się niczym martwić. Jeśli w tym konkretnym wypadku ktoś podejmie jakąś stanowczą akcję, będę to ja.

– Czemu nie zadzwonisz do Hubslagera? Może uda się wam jakoś porozumieć.

– Nawet nie zamierzam próbować. Jeśli jest taki pewny swojej własnej prawości…

– Johannie, to poważna sprawa – przerwał mu Jack. – Naprawdę poważna. Możesz znaleźć się poza Waszyngtonem i całą społecznością, poza wszystkimi swoimi komitetami i stoczniami, poza kontraktami rządowymi i w ogóle poza wszystkim. Ten kraj potrafi przymykać oczy na

łapówki i wymuszenia, ale nie zniesie niczego, co jest uznawane za niemoralne i ma związek z niedozwolonym seksem. Nawet gdyby ci chłopcy byli męskimi prostytutkami, którymi zresztą pewnie są, i tak nie wygrasz! Ludzie powiedzą, że doprowadziłeś do zepsucia szlachetnego wilka morskiego, licząc na haniebne zyski, że kupujesz i sprzedajesz dzieci, którym każesz uprawiać seks, że jesteś alfonsem i zboczeńcem. Nie udźwigniesz takiej antyreklamy, twoja biznesowa reputacja też jej nie udźwignie. Możesz masakrować strajkujących, możesz nawet mordować swoich biznesowych rywali, ale jeśli przykleją ci etykietkę seksualnego deprawatora, będziesz potrzebował wielu lat, aby się oczyścić.

Johann nic na to nie odpowiedział. Oparł podbródek na sztywnym białym kołnierzyku i wydął usta, pogrążony w ponurych myślach.

– Pomyśl też o Hester, Johannie – mówił dalej Jack. – Pomyśl o Roddym, Johnie i Hope. Jeśli nie pójdziesz na jakiś kompromis z Hubslagerem, jeśli nie pójdziesz na ustępstwa, ten człowiek cię utopi. Czy Hester będzie mogła pójść na zebranie komitetu dobroczynnego, kiedy gazety będą pełne tego rodzaju rewelacji?

Johann zmarszczył brwi.

– Hester jest silną kobietą – odparł.

– Wiem – przyznał Jack. – Ale nie musi przechodzić przez coś takiego. Ani ona, ani nikt inny z twojej rodziny.

Johann zaczął bawić się oliwką.

– Co według ciebie zadowoliłoby Hubslagera?

– Nie jestem pewien. Być może życzliwiej spojrzałby na Cornelius Shipping, gdybyś obiecał mu jakieś wsparcie w przyszłości.

– Jakie wsparcie?

– Myślę, że mogłaby pomóc dotacja na kampanię – odparł Jack. – A może wystarczyłoby, gdybyś obiecał, że nie będziesz tak zdecydowanie występował przeciwko związkom zawodowym.

Johann wytrzeszczył na niego oczy.

– I on chce oskarżyć mnie o zepsucie?

– Taki jest ten świat, Johannie. Tylko inni tarzają się w rozpuście.

– Rozmawiałeś z Hubslagerem? Chyba nie jesteś w to zamieszany?

Jack pokręcił głową.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, cała ta sprawa cuchnie jak zdechły sum – powiedział. – Ale ty i ja jesteśmy przyjaciółmi. Ułatwiłeś mi start, dobrze płaciłeś i nie utrudniałeś mi życia, kiedy postanowiłem odejść. Szanujesz ludzi, poza tym jesteś lepszy i wrażliwszy niż większość twojego

personelu i znajomych. I chyba właśnie dlatego tu dzisiaj jestem.

Johann uniósł głowę i powoli wyciągnął do niego rękę. Kiedy Jack ujął ją i uścisnął, trwali tak przez długą chwilę, patrząc sobie w oczy. Obaj myśleli o łączącym ich koleżeństwie i przyjaźni oraz o tym, że mają na ten gest tylko chwilę, zanim każdy z nich będzie musiał stawić czoło gorzkim lub radosnym konsekwencjom swojego życia i podejmowanych w nim wyborów.

– W porządku – mruknął w końcu Johann. – Ale i tak wpakuję Hubslagera do politycznego grobu. Głębiej, niż wrasta sosna.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Hester w długiej jedwabnej sukni i czerwono-żółtej opasce na włosach.

– Jack! – zawołała, wyciągając do niego ramiona. – Jak miło cię widzieć!

♦ ♦ ♦

Po kolacji Johann wcześniej udał się do sypialni, a Hester i Jack zostali w salonie. Siedzieli na wielkich chesterfieldach, pijąc kawę i likier i cicho rozmawiając w przygaszonym blasku meksykańskich lamp z brązu. Wokół nich na pokrytych cieniami ścianach wisiały ciemne

portrety brodatych konkwistadorów i kosze z doniczkami kwiatów. Spoza uchylonych drzwi dobiegały delikatne dźwięki trącanych piórkiem gitarowych strun. Muzyk z tria, które zabawiało ich podczas kolacji, grał jakąś łagodną romantyczną melodię.

– Taki tu spokój, że trudno się skoncentrować – stwierdził Jack. – Założę się, że chciałabyś tu zostać na zawsze.

Hester uśmiechnęła się i dolała sobie kawy.

– Czasem tak – odparła. – Ale chyba brakowałoby mi kłótni i afer w kręgach nowojorskiej socjety. Nie masz pojęcia, jak takie towarzyskie utarczki wyostrzają umysł.

– Nigdy nie sprawiałaś wrażenia kobiety, dla której liczy się etykieta, porządek dziobania i wystawianie córek na małżeńskie targowisko – powiedział Jack.

Pomyślała, że jest niezwykle przystojny i wygląda bardzo chłopięco w smokingu i czarnej muszce.

– Przeciwnie, uwielbiam to. Kiedy byłam dzieckiem, moja matka bez przerwy wydawała przyjęcia i zawsze mi mówiła, kto jest dobrze widziany, a kto nie. Johann wcale nie był dobrze widziany, kiedy go zobaczyłam po raz pierwszy, ale podejrzewam, że była to jedna z cech, które

mnie w nim pociągały. Wiesz, byłam ogromnie postępową młodą osóbką i myśl o bogatym małżonku z manierami chłopa bardzo mnie kusiła. – Uśmiechnęła się i dodała: – Wydawał mi się niezwykle męski przy wszystkich tamtych harwardzkich wymoczkach i chyba uznałam, że zabawnie byłoby go ujarzmić. I w pewnym stopniu mi się to udało. Ale nigdy nie chciałam, aby stał się zbyt ucywilizowany. Hope uważa, że mam kompleks Fay Wray, cokolwiek to znaczy. Pewnie chodzi o to, że gdyby kazano mi wybierać między wielką małpą i wielkim królem, wybrałabym małpę[11].

– Lepiej, żeby Johann tego nie usłyszał – stwierdził ze śmiechem Jack.

Hester odgarnęła włosy z czoła.

– Nie miałby do mnie pretensji. Wiesz, on naprawdę ma poczucie humoru, nawet jeśli jest nieco staroświeckie.

– Sprawia wrażenie zmęczonego.

Kiwnęła głową.

– Myślę, że to przez wojnę. Ostatnio bardzo ciężko pracował. Wolałabym, żeby scedował część swoich obowiązków na innych, ale on tego nigdy nie zrobi. Roderick prosił o przekazanie mu branży chemicznej, jednak Johann chyba nie ma do niego zbytniego zaufania. Roderick

zajmuje się teraz samolotami i statkami, ale przypuszczam, że znalazłby czas na coś jeszcze.

– Czy to on zarządza Rehoboth Engineering?

– Tak sądzę. Tak, na pewno.

– Od kiedy?

– Od roku, może dłużej. Czemu o to pytasz?

Jack potarł policzek. Nie bardzo wiedział, jak to ująć w słowa, i nawet nie był pewien, czy powinien tego próbować, ale obawiał się, że jego stary przyjaciel okaże Hubslagerowi zbytnią nieustępliwość.

– Czy Johann liczy się z twoim zdaniem? – spytał po chwili.

Hester spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Słucham?

Brylantowe wisiory w jej uszach, dwa roziskrzone potoki oślepiającego blasku, odbiły światło lampy. Miała na sobie modnie wciętą wieczorową suknię z bladolawendowego jedwabiu, a perfumy, którymi się skropiła, uświadomiły Jackowi, jak bardzo brakuje mu Ellie.

– Nie chciałbym okazać się bezceremonialny – dodał szybko. – Ale czy myślisz, że w przypadku trudnego problemu, wymagającego szczególnie delikatnego podejścia, potrafiłabyś przekonać

Johanna, że powinien nieco poskromić swój temperament?

Hester odstawiła filiżankę na głęboką srebrną tackę. Od początku podejrzewała, że wizyta Jacka ma nie tylko kurtuazyjny charakter. Okazało się, że przeczucie jej nie myliło.

– Lepiej mi powiedz, o co chodzi – odparła.

– Wygląda na to, że senator Hubslager przygotowuje postępowanie sądowe przeciwko Rehoboth Engineering i Cornelius Shipping, zamierzając oskarżyć obie firmy o przekupstwo i niemoralność.

– Przekupstwo i niemoralność? A co takiego zrobiły te firmy?

– Nie mogę ci wszystkiego powiedzieć, bo to paskudnie nieprzyzwoite. W każdym razie w grę wchodzą wielkie łapówki i ustawione przetargi na dostawy dla wojska. Ponieważ może się to dla Johanna źle skończyć, przyjechałem z nim porozmawiać. Chciałbym, żeby uświadomił sobie, że szarża na Hubslagera to najgorsza rzecz, jaką mógłby zrobić.

Ciemne oczy Hester zalśniły lodem, gdy na niego popatrzyła.

– Jak bardzo nieprzyzwoite jest „paskudnie nieprzyzwoite”? – spytała.

– Na tyle nieprzyzwoite, by do nazwiska Cornelius przylgnął smród zbrukanej pościeli.

– O co dokładnie chodzi, Jack? Nie jestem dzieckiem i znam także mniej pachnące strony życia.

Jack zaczerwienił się lekko.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Hester. Ale skoro Roderick zarządza Rehoboth, odpowiada za to, co się wydarzyło, a bardzo trudno jest powiedzieć matce, że jej syn jest odpowiedzialny za coś tak obrzydliwego.

Hester siedziała wyprostowana jak struna. Gitarzysta siedzący w sąsiednim pokoju zaczął grać *Aguascalientes*. Powiew wiatru okręcił kosz z kwiatami i na pobielonej wapnem ścianie zawirował pajęczy cień.

– Jack, nigdy nie powiedziałabym tego nikomu poza tobą – zaczęła powoli Hester – ale sądzę, że Roddy nie jest odpowiedzialny za wiele decyzji, które podejmuje. Sam wiesz, że to przede wszystkim budowniczy i marzyciel. Część jego decyzji w rzeczywistości jest decyzjami Celii. To twarda i bardzo zdolna młoda kobieta i podejrzewam, że kiedy trzeba podjąć naprawdę ważną decyzję i wziąć na siebie ciężar odpowiedzialności, zajmuje miejsce Roddy’ego.

Jack czuł się zakłopotany. Nie chciał, aby Hester czuła się zmuszona wyjawiać mu rodzinne tajemnice. Lubił Rodericka, chociaż wiedział, że jest miękki, poza tym Ellie przyjaźniła się z Celią. Ale nawet gdyby Roderick nie miał nic wspólnego z chłopcami, którzy trafili do Messengera, jego słabość i nieudolność wplątały rodziców w sytuację grożącą skandalem, jakiego świat wielkiego biznesu od dawna nie widział.

– Niezależnie od tego, kto naprawdę jest odpowiedzialny za ten skandal, będzie musiało za to zapłacić imperium Corneliusa, a to oznacza, że wina spadnie na Johanna – oznajmił. – Ktoś przekupił admirała Messengera, aby poparł ofertę Rehoboth Engineering na torpedowce, w zamian oferując mu młodociane męskie prostytutki. Senator Hubslager ma na to niezbite dowody, ma nawet zdjęcia.

– I oczywiście Johann chce urwać Hubslagerowi głowę, tak? – spytała Hester.

– Nie jesteś tym wstrząśnięta?

Hester skromnie trzymała ręce na podołku.

– Nie, Jack. Może byłabym dziesięć lat temu, ale czasy się zmieniły. Kiedyś odkryłam, że Cornelius Oil podsunęło pewnemu francuskiemu klientowi panienkę swobodnych obyczajów, aby

mógł się zabawić. Oburzające, prawda? Ale różni ludzie mają różne ceny i jeśli działasz w biznesie, musisz je znać.

– Szkoda, że prasa i opinia publiczna są innego zdania.

Hester wygładziła suknię.

– Nie mówię, że nie czuję odrazy, jednak nie jestem zaskoczona ani wstrząśnięta. Co Johann powiedział?

– Był oburzony. O niczym nie wiedział. Ale w tym wszystkim najbardziej martwi mnie to, że zamierza postawić się senatorowi i zażądać upublicznienia całej tej sprawy. Tymczasem Hubslager ma tyle dowodów, że załatwi Rehoboth Engineering jednym przytknięciem. Hester, jeśli nie uda ci się zmiękczyć Johanna, czekają was ogromne kłopoty.

Westchnęła i przymknęła oczy.

– No cóż, zrobię, co będę mogła. Ale Johann jest trochę dziwny w sprawach seksu… Nie wiem dlaczego, bo nigdy mi tego nie wyjaśnił, jednak przypuszczam, że mój mąż uważa, że seks służy jedynie do produkcji dzieci i rozładowania napięcia. Chyba tego też nie powinnam ci mówić, ale przecież jesteśmy starymi przyjaciółmi, prawda?

– Hester…

Pokręciła głową.

– Tylko nie mów, że mi współczujesz. Nie powiedziałabym ci o tym, gdybym nie chciała.

Wstała i przeszła kilka kroków po wyfroterowanym parkiecie. W odbijającej się w ciemnym drewnie lawendowej sukience wyglądała jak łyżwiarka na zamarzniętym stawie. Oplotła się ramionami, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

– Bycie żoną Johanna to bardzo dziwne doświadczenie – powiedziała po chwili. – Potrafi być taki szczodry, że niemal doprowadza cię do łez. Jest też uczuciowy, choć zupełnie nie umie tego okazywać. Ale nie sądzę, aby kiedykolwiek naprawdę mnie kochał… mnie albo kogokolwiek innego. Może zresztą kiedyś był ktoś taki… Spotkałam Johanna, gdy miał ponad trzydzieści sześć lat, więc musiał znać jakieś kobiety. Kiedy się przenosiliśmy na Lynwood, w jego rzeczach była bardzo stara fotografia przedstawiająca dziewczynę w piórkowym boa. Ale widziałam ją tylko raz. Myślę, że potem ją gdzieś schował albo wyrzucił.

Jack siedział nieruchomo ze splecionymi kurczowo palcami. Modlił się w duchu, aby Hester oszczędziła mu szczegółów swojego dwudziestodziewięcioletniego pożycia

z Johannem. Nie chciał pomiędzy nimi wybierać, kochał ich oboje.

– Muszę tylko wiedzieć, czy potrafisz go przekonać, że nie wolno mu rzucać się na Hubslagera. Śledztwo dotyczące tej sprawy z admirałem powinno zaczekać do momentu, aż wyjdziemy na prostą.

Popatrzyła na niego smutno.

– Tak – odparła. – Wydaje mi się, że potrafię go przekonać, że powinien nad sobą zapanować.

Gitarzysta grał starą meksykańską piosenkę o miłości.

– Chyba powinnam wyjść za takiego człowieka jak ty – powiedziała po chwili Hester. – Młodszego i mniej skomplikowanego.

Nic na to nie odpowiedział. Wbił wzrok w podłogę, zastanawiając się, czemu życie musi być takie skomplikowane. Hester wróciła do swojego fotela, szeleszcząc suknią. Wahała się przez moment, po czym podeszła do Jacka, położyła chłodne palce na jego karku i zaczęła go masować silnymi, zmysłowymi ruchami.

– Czasem czuję, że odrzuciłam swoją kobiecość. Nie inteligencję ani osobowość, mój mąż zawsze mnie cenił i szanował, ale przy nim nigdy nie czuję się w pełni kobietą. To okropnie frustrujące, bo on sam jest bardzo męski

i atrakcyjny fizycznie. Być może potrafił kochać, kiedy był młodszy, jednak nawet jeśli tak było, z czasem niemal całkowicie utracił tę zdolność.

Uklękła przed Jackiem na dywanie i objęła go za szyję. Patrzył teraz prosto w jej wielkie oczy. Mimo swoich czterdziestu ośmiu lat pozostała piękna, a jej sukienka była tak głęboko wycięta, że odsłaniała rowek między małymi, ale jędrnymi piersiami. Zmarszczki wokół ust, których nie udało się usunąć doktorom Carlssonowi i Michaelowi, jedynie łagodziły zadziorność jej twarzy w kształcie serca.

– Wiesz, o czym mówią słowa tej piosenki? – spytała, gdy gitarowa muzyka wypełniła pokój latynoską namiętnością.

Jack odchrząknął.

– Nie – przyznał.

Zwilżyła językiem wargi.

– O dziewczynie z Cuatro Ciénegas, która dowiaduje się, że jej narzeczony zginął na wojnie. W rzeczywistości był tylko ranny, ale kiedy wraca, okazuje się, że jego ukochana wyszła za mąż za innego, za bogatego kupca, którym potajemnie gardzi. Dziewczyna śpiewa tę piosenkę, stojąc na werandzie swojego domu i patrząc, jak narzeczony spaceruje z jej siostrą. Refren brzmi: „Sprzedałam moją miłość za tysiąc

tysięcy peset i nawet wszystkie łzy Coahuila mi jej nie przywrócą”.

Jack spojrzał na nią.

– Nieprawda. Ta piosenka to *The Flowers of Tulancingo*. Ellie ma ją na płycie.

Hester uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała go w usta.

– Na jej miejscu byłabym dumna z tego, co powiedziałeś – szepnęła.

♦ ♦ ♦

Zanim przejechali rowerami przez wysoką trawę i potem w dół, do brzegu jeziora, byli bez tchu i zaśmiewali się ze swojego braku kondycji. Philip dobrnął na miejsce jako drugi, czerwony na twarzy i cały spocony. Wiózł przytroczony do kierownicy ciężki kosz piknikowy, wypełniony jedzeniem.

– Przynajmniej nie będziesz musiał targać tego z powrotem – rzuciła ze śmiechem Hope. – Na pewno wszystko zjemy.

– To, że będę miał tę furę jedzenia w sobie, a nie przed sobą, wcale nie znaczy, że choć trochę mi ulży – odparł.

Oparli rowery o wielką hikorę. Philip odpiął swój bagaż i postawił go na trawie. Rozłożył

kraciasty koc i podsunął kosz Hope, by wyjęła z niego pieczone kurczęta i owoce.

Podała mu butelkę schłodzonego szampana owiniętą w papier.

– To twoja działka – powiedziała. – Mam ochotę się napić. Ale nie uda ci się więcej namówić mnie na taką eskapadę. „Bez problemu popedałujemy do jeziora”. Mój Boże, to chyba było Tour de France!

– Jednak daliśmy radę, prawda? – zapytał Philip. – Ludzie mniejszego serca poddaliby się w połowie wzgórza.

– Co mi tam serce, boję się o moje nogi – prychnęła Hope. – Będę miała łydy jak rosyjskie baletnice.

Philip rozwinął drut na korku zamykającym butelkę szampana.

– Jedno z was musi mieć mięśnie… a Martin jest taki chudy, że chyba nie ma sił robić tego, co do niego należy – powiedział ze śmiechem.

– Och, Philipie! – zawołała i rzuciła w niego brzoskwinią.

Uchylił się i dodał:

– Kiedy ostatni raz byłem w klubie, zamiast zostawić płaszcz w szatni, powiesiłem go Martinowi na nosie…

Hope zacisnęła usta, jednak tym razem nic nie odpowiedziała. Wyjęła z kosza resztę jedzenia i zajęła się rozkładaniem talerzy. Philip popatrzył na nią zza uniesionej pokrywy kosza.

– Hope?

Nawet na niego nie spojrzała.

– Chyba się na mnie nie gniewasz, co? – spytał. – Daj spokój, żartowałem.

Podniosła wzrok. W jej oczach nie było złości.

– Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że tylko jedna osoba na świecie może krytykować Martina… i tą osobą jestem ja – oświadczyła, odkręcając słoik i wyjmując z niego widelcem marynowanego ogórka. – To mój mąż. Jestem jego żoną i to, co o nim myślę, jest wyłącznie moją prywatną sprawą. Poza tym tak naprawdę wcale nie jest chudy ani głupi.

Philip wyciągnął korek z butelki i napełnił dwie szampanki wytrawnym trunkiem.

– Wiem, że Martin nie jest głupi – przyznał, czekając, aż piana w kieliszkach trochę opadnie. – Sprzedaje chryslery na Wschodnim Wybrzeżu, znalazł sobie piękne mieszkanie nad rzeką i ożenił się z tobą. Milion facetów o niebo mądrzejszych niż on dałoby sobie za to wszystko wybić przednie zęby.

Podał Hope kieliszek.

– Ale chyba trudno się nie zgodzić, że jest chudy jak patyk – dodał po chwili z przekornym uśmiechem.

Zjedli kurczaki i owoce, wypili szampana i usiedli oparci o pień drzewa, rozleniwieni i zadowoleni z życia. Był gorący, parny dzień. Znajdowali się niedaleko Kent w stanie Connecticut, gdzie ojciec Philipa Strachana miał niewielki letni dom. Od miejsca pikniku do baru, z którego trzy lata temu Hope zabrała Lewisa Bausora, było zaledwie pół godziny samochodem, ale wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy, wydawało im się teraz dawno widzianym filmem i większość szczegółów już ulotniła się z ich pamięci.

Trzy lata w niewielkim stopniu wpłynęły na rozwój inteligencji Philipa Strachana, nie stłumiły też jego śmiesznej pompatyczności, ale z pewnością był teraz znacznie przystojniejszy. Już nie wyglądał jak rozpieszczony bobas z bogatej rodziny, nosił krótsze włosy i nie zwijały mu się w loczki jak u amorka. Przed trzydziestką prawdopodobnie zacznie wyglądać równie poważnie i będzie tak samo nieustraszony jak jego ojciec, senator William Strachan, i niewątpliwie zaleje znacznie więcej sadła za skórę swoim wrogom. Kończył właśnie

studia na wydziale bankowości i księgowości – po otrzymaniu dyplomu miał wejść do rodzinnej firmy maklerskiej jako młodszy wspólnik. Potrafił zanudzić swojego rozmówcę na śmierć, kiedy mówił o prawach rządzących rynkiem.

Hope, siedząca nad jeziorem w ażurowej sukience w białe kwiaty i białych pantoflach, nie była zainteresowana rozmową ze swoim towarzyszem. Tęskniła za mężczyzną, który nie zawsze pamiętałby o tym, żeby przynieść jej kwiaty, nie zawsze godziłby się na to, czego chciała, nie chodziłby do wybranych przez nią restauracji lub teatrów i nie kupowałby jej wszystkiego, co tylko by chciała. Tęskniła za facetem, którego twarde ciało, zapach, szorstkość i impulsywność świadczyłyby o tym, że jest mężczyzną. Piła zbyt wiele szampana z sokiem pomarańczowym, flirtowała ze zbyt wieloma żonatymi mężczyznami na różnych wieczorkach i potańcówkach, przejechała swoim coupé de soto przez zbyt wiele czerwonych świateł na skrzyżowaniach i skrytka w jej samochodzie pękała od mandatów, poza tym już dwa razy uprawiała seks na tylnej kanapie samochodu z partnerami poderwanymi na proszonych kolacjach, kiedy Martin musiał wyjechać do Detroit w interesach.

Tego weekendu był w Bostonie, planując sprzedaż nowego chryslera royala, wycenianego na 895 dolarów. Na początku Hope zamierzała jedynie odwiedzić rodziców w Connecticut, ale w piątek wieczorem zadzwonił Philip i spytał, czy następnego dnia nie wybrałaby się z nim na rowerową wycieczkę. Ni stąd, ni zowąd przypomniała sobie, co powiedział, kiedy zabrali ze sobą Lewisa Bausora do klubu. „Jesteś jedna na milion”. Tak więc – być może po to, aby się przekonać, co naprawdę miał wtedy na myśli – zgodziła się z nim pojechać.

Philip oparł się na łokciu, wyjął papierosa i przypalił go. Na rozmigotanej tafli jeziora stado kaczek trzepotało białymi skrzydłami i zanurzało łebki w wodzie.

– Czy naprawdę jesteś taka nieszczęśliwa? – spytał.

Hope oparła podbródek na kolanach i ponuro wpatrywała się w wodę.

– Nie wydaje mi się, żebym w ogóle wiedziała, co to szczęście.

– Cóż, ja chyba też nie. To stan umysłu, prawda? Ale za to wiem, co to nieszczęście.

Westchnęła.

– Masz jeszcze papierosy? – spytała.

Wyjął papierosa z ust i podał go jej. Zaciągnęła się, oddała mu go z powrotem i wydmuchnęła wąski strumyk dymu.

– Hope, nie mam pojęcia, dlaczego wyszłaś za Martina. Wiedziałaś przecież, że nie będziecie się dogadywać.

– Och, dogadujemy się… Jest naprawdę miły. Jak pies.

– Nie wmawiaj mi, że chciałaś wyjść za psa. Chyba o wiele lepiej byłoby, gdybyś wybrała Kinga. Pochodzi z dobrej rodziny, poza tym jest przystojny i założę się, że byłby o niebo ciekawszym mężem niż Martin.

– Philipie, nie obrażaj go. Nie zamierzam tego słuchać. Nie chcę o tym dyskutować.

Wzruszył ramionami.

– Przecież to wariactwo.

– Co?

– Po co trwać w nieudanym małżeństwie, skoro można się bez problemu rozwieść? Weź sobie dobrego prawnika i wkrótce będziesz wolna. Powiedz sędziemu, że mąż był wobec ciebie okrutny, ciągle wyjeżdżał w interesach i zostawiał cię samą w domu. Sądy uwielbiają takie dyrdymały. A jeśli jeszcze kilka razy chlipniesz w chusteczkę, przyznają ci wasz

apartament i piętnaście tysiaków alimentów rocznie.

Hope znów wzięła od niego papierosa.

– Nie potrzebuję pieniędzy, Phil. I nie zależy mi na tym, żeby zatrzymać nasze mieszkanie.

– Jeszcze szampana? – spytał.

Podała mu swój pusty kieliszek.

– Wyszłam za Martina tylko po to, by pokazać ojcu, że jestem niezależna. Jeszcze nigdy mu się tak nie postawiłam… Skoro zsyłasz mnie do Landseerów, to ci pokażę, że potrafię być u nich szczęśliwa. Mój Boże, nawet nie masz pojęcia, jaką cenę przyszło mi za to zapłacić. Kiedy patrzę na Martina i widzę, jak stoi w piżamie i zaciera rączki, ciesząc się, że zaraz wskoczy do łóżka, myślę sobie: Ty paskudna glisto… Chciałabym, żeby jakiś wielki ptak sfrunął z nieba, złapał cię i zabrał ode mnie.

Philip rozluźnił krawat.

– To się da załatwić – mruknął. – Mam paru kumpli w towarzystwie ornitologicznym.

Hope pokręciła głową.

– Mam przeczucie, że nie uwolnię się od Martina Landseera do końca moich dni. Może to kara za Bausora? Nie wyobrażam sobie, co Bóg mógłby zesłać na mnie gorszego…

– Rozchmurz się, to przecież piknik, nie pogrzeb – powiedział Philip.

– Powinieneś przywieźć gramofon. Przynajmniej mielibyśmy jakąś muzykę.

– Gramofon? Rowerem? A płyty jak bym zabrał? Na głowie?

Hope wstała i podeszła do porośniętego trzcinami brzegu jeziora.

– Nie jesteś taki jak Martin – stwierdziła. – Gdybym tylko chciała, Martin przywiózłby tu na plecach pięcioosobowy jazz-band.

Zrzuciła z nóg buty.

– Gorąco tu – mruknęła. – Zupełnie jak w Afryce.

– Moglibyśmy popływać – zaproponował Philip.

– Nie wzięliśmy ręczników.

– Poleżymy potem na trawie i poczekamy, aż słońce nas wysuszy. Pewnie właśnie tak robiono, zanim wynaleziono ręczniki.

– Nikt nie wynajduje ręczników – prychnęła Hope. – Jak można wynaleźć ręcznik?

Philip wstał i zaczął rozpinać koszulę.

– Ktoś kiedyś musiał to zrobić. Nie sądzisz chyba, że neandertalczycy maszerowali do rzeki czy jeziora z grubymi ręcznikami kąpielowymi

przerzuconymi przez ramię i długimi szczotkami do szorowania pleców.

Hope odwróciła się do niego. Odbijające się od falującej wśród sitowia wody słońce malowało na jej twarzy jasne kręgi.

– No to popływajmy – powiedziała.

Pochyliła głowę i Philip rozpiął jej sukienkę. Kiedy doszedł do ostatniego guzika przy pasku, zbliżył twarz do jej karku i pocałował ją w miejsce, w którym kasztanowe włosy zamieniały się w delikatny meszek.

Daleko na jeziorze stado kaczek wzbiło się w powietrze i po chwili z powrotem usiadło na wodzie.

Sukienka osunęła się na trawę, tworząc krąg wokół jej kostek, i Hope została jedynie w krótkiej halce. Philip przytulił się do niej i przywarł ustami do jej włosów, obejmując ją w pasie szczupłym, ale dobrze umięśnionym ramieniem.

– Gdybyś tylko wcześniej bardziej zwracała na mnie uwagę… – szepnął.

Odchyliła głowę, opierając ją o jego pierś.

– Gdybyś tylko ty zwracał na mnie więcej uwagi…

Objął jej pierś przez śliski jedwab halki i zaczął delikatnie pocierać dwoma palcami

brodawkę, aż zesztywniała.

– Mieliśmy popływać – przypomniała mu cicho Hope.

Kiedy nic na to nie odpowiedział i zaczął zdejmować jej halkę przez głowę, uniosła ramiona. Po chwili jej jedwabna koszulka ześlizgnęła się na trawę i natychmiast porwał ją ciepły letni wiatr.

Hope odwróciła się do Philipa, mając na sobie tylko majtki i złote bransoletki na przegubie. Objęła go, a on zaczął ściskać i pieścić jej piersi, aż zadrżała i ugryzła go w tors. Całowali się tak namiętnie, że Hope niemal czuła się połykana żywcem, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła jego opalony policzek, długie rzęsy, kędzierzawe włosy i zielone promienie tańczące między liśćmi hikory.

Philip wsunął dłoń w nogawkę jej majtek. Była wilgotna jak dojrzała rozgryziona brzoskwinia. Rozsunął palcami jej wargi sromowe i zaczął wsuwać się w nią coraz głębiej. W końcu wbił palec wskazujący w najciaśniejsze miejsce i jednocześnie poczuła jego kciuk z przodu. Zadygotała, ale Philip nie przestał łagodnie i zmysłowo gładzić opuszką dużego palca najwrażliwszego miejsca, doprowadzając ją do takiego stanu, że mogła tylko go błagać, by

przestał… by nie przestawał… i zamienił ją w tysiąc drżących kawałeczków. Był tak blisko niej, że jego oddech huczał jej w uchu i czuła twardość jego członka na swoim udzie. Zaraz potem ziemia rozstąpiła się jej pod nogami. Przycisnęła twarz do piersi Philipa, zamykając oczy. Jego palce w niej stały się elektrycznymi ogniwami drażniącymi wszystkie nerwy w jej udach i brzuchu. Obejmowała go coraz mocniej i w końcu jęknęła:

– Aaach…

Nadal ją gładził, szepcząc:

– Hope… Moja kochana Hope…

Stała przy nim dygocąca i słaba, ale kiedy fala rozkoszy opadła, spojrzała mu w oczy.

– Nie… – szepnęła. – Nie jestem twoją kochaną Hope.

Położył jej rękę na czole.

– A czy kiedyś mogłabyś być?

Uśmiechnęła się i popatrzyła na łąkę, na miejsce, w którym leżała jej halka.

– Nawet nie powinnam sobie tego wyobrażać. Ale nigdy nie wiadomo. Życie zawsze nas zaskakuje.

Nic więcej nie mówiąc, rozpięła swoje białe letnie majtki i pomogła mu je zdjąć. Jego cienkie, sięgające do kolan kalesonki przylegały do

sztywnego członka jak płachta do odsłanianego pomnika. Zsunęła je z bioder Philipa i wzięła do ręki podnoszący się członek. Brylanty i topazy jej pierścionków migotały na tle purpurowego, nabrzmiałego ciała. Przesunęła kilka razy dłoń w górę i w dół. Philip ujął ją za ramiona i szepnął coś do ucha – nie usłyszała, co powiedział, ale łatwo się tego domyśliła.

Mimo wiszącego nad wodą oparu gorącego południa byli wyraźnie widoczni z drugiego brzegu jeziora. Naga Hope oparła się o obłażący z kory pień drzewa, a Philip stanął za jej plecami i wszedł w nią. Byli nawet słyszalni, bo głośno dyszeli i śmiali się. Gdy w końcu Philip osiągnął orgazm, wzięli się za ręce, przedarli przez sitowie i wpadli do chłodnego jeziora. Pływali przez dłuższą chwilę, wystawiając głowy nad nieruchomą taflę wody. Philip śpiewał głośno *The Yellow Rose of Texas*, a Hope przyłączyła się do niego w refrenie, trylując przeraźliwie.

Kiedy wyszli z wody, leżeli na trawie tak długo, aż dęby rosnące na brzegu jeziora zaczęły muskać tarczę słońca i powiał chłodniejszy wietrzyk. Ubrali się, złożyli koc, załadowali kosz, wsiedli na rowery i skierowali się w stronę domu.

Pomarańczowe promienie popołudniowego słońca przepływały między wirującymi szprychami kół. Hope niefrasobliwie dała swoje majtki Philipowi na pamiątkę, a on przyczepił je do ramy, więc furkotały podczas jazdy. W powietrzu unosił się ciepły zapach letniego wieczoru. Hope była jednocześnie tak bardzo szczęśliwa i nieszczęśliwa, że łzy migotały jej na rzęsach.

Nie rozmawiali zbyt wiele po drodze. Gdy zatrzymali się przed podjazdem domu Strachanów, Philip łagodnie pogładził ją po włosach.

– Myślisz, że z tego może wyniknąć coś sensownego? – spytał łamiącym się głosem.

– Nie wiem – odparła.

– Możemy się znów spotkać?

– Nie w taki sposób. To się nie może wydać. Martin nigdy by mnie o nic nie podejrzewał, ale jego i moi rodzice tak.

Opuścił wzrok na jej szczupły przegub, ozdobiony ciężką złotą bransoletą.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym do ciebie zadzwonił?

– Nie możesz mnie tak naciskać.

Przełknął ślinę.

– Wiem. Ale cię kocham.

Pogładziła go po policzku.

– Nie, wcale mnie nie kochasz. Tylko sobie tak wyobrażasz.

Wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Ale wiesz, co mówią o wyobraźni. Że może poruszać góry.

– Nie wyobraźnia, tylko wiara.

– Czy wiara nie idzie w parze z nadzieją[12]?

Pocałowała go szybko.

– Miłość bliźniego też – odparła i po chwili była już w połowie podjazdu.

♦ ♦ ♦

Jack spotkał się z Ellie na peronie Union Station przy pociągu z Karoliny i pomógł bagażowemu przenieść paczki i pudła z kapeluszami do zaparkowanego przed dworcem granatowego kabrioletu marki Buick. Był upalny dzień, ale Ellie w sukience barwy soczystej zieleni i białym kapeluszu z zieloną wstążką wyglądała bardzo świeżo. Jack otworzył przed nią drzwi samochodu, dał bagażowemu napiwek i usiadł za kierownicą.

– A gdzie szofer? – spytała Ellie.

Uruchomił silnik.

– Nie odpowiadam ci jako kierowca?

– Ależ skąd. Mam tylko nadzieję, że Lloyd nie zachorował.

– Dałem mu wolne. Chciałem sam cię odebrać.

Ruszył z parkingu przed dworcem, dołączając do gęstego sznura lśniących samochodów. Słońce paliło go w kark, więc założył kapelusz.

– Jak było w Kalifornii? – spytała Ellie, szukając w torebce puderniczki.

– Gorąco. A jak w Karolinie Południowej?

– Też gorąco. Ale tak miło było spotkać się ze wszystkimi, że wcale mi to nie przeszkadzało. Powinieneś zobaczyć dzieci Rose. Jeszcze niedawno były maluchami. Teraz starsze chodzą już do podstawówki, a Billy stracił wszystkie mleczaki.

– Ho, ho…

Ellie otworzyła puderniczkę i przypudrowała nos. Jack skręcił z Louisiana Avenue w Constitution. Za drzewami zamajaczyła kopuła Kapitolu.

– A co u Randy’ego? – spytała po chwili Ellie.

– Świetnie. Właśnie pracuje nad jakąś sprawą dla Departamentu Rolnictwa. Jeśli wygra, a myślę, że wygra, będzie to dla niego milowy krok naprzód.

Zamknęła torebkę i uśmiechnęła się do niego.

– Pamiętasz, jak kiedyś chciał, żebyście obaj zostali inżynierami na kolei?

– Dlaczego ci się to teraz przypomniało?

Spojrzała na niego.

– Sama nie wiem…

– Powiedziałaś to takim tonem, jakbyś tęskniła za Karoliną Południową – stwierdził, nie odwracając głowy.

– Może.

W milczeniu jechali Constitution Avenue, mijając Ellipse i Biały Dom i kierując się w stronę Theodore Roosevelt Bridge. Nad Potomakiem powietrze było bardziej rześkie, więc Ellie zdjęła kapelusz i rozrzuciła włosy. Osiągnąwszy wiek średni, utraciła dużą część swojej urody. Była teraz znacznie okrąglejsza i miała kurze łapki w kącikach oczu. W okularach przeciwsłonecznych wyglądała jak Bette Davis starsza o dwadzieścia lat.

– Jesteś zmęczona? – spytał Jack.

– Tylko trochę. Czemu o to pytasz?

– Chciałbym wpaść do senatora Karlbecka, który ma dla mnie kilka informacji.

Wzruszyła ramionami.

– W porządku, byleby ta wizyta nie trwała zbyt długo. Czy to ważne?

Popatrzył w lusterko wsteczne i wyminął dużą ciężarówkę z brudnymi czerwonymi napisami „Manassas Transport” na obu bokach.

– Chodzi o Cornelius Shipping – wyjaśnił.

– Masz na myśli to dochodzenie w sprawie o łapówkarstwo, o którym mi opowiadałeś?

Kiwnął głową.

– To naprawdę takie ważne? – spytała.

– Tak sobie.

– Jak ważne jest „tak sobie”?

Popatrzył na nią i skrzywił się lekko.

– Jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, to dość poważna sprawa. Była szansa, że senator Hubslager zajmie się Brookline Industries, a nie Cornelius Shipping. Ale ta afera z Messengerem była zbyt smakowita, aby mógł ją zostawić. Wygląda na to, że zrezygnowali z akcji przeciwko Brookline i teraz trzy kancelarie prawne i kilka nowojorskich sądów pracuje dla komisji senackiej, badając kontrakty rządowe.

Ellie położyła mu rękę na kolanie.

– Czy musisz się w to aż tak bardzo angażować? – spytała. – Jeśli wyjdzie na jaw, że wspierałeś Johanna… zwłaszcza gdy okaże się winny przekupstwa… nie przyniesie ci to nic dobrego.

– Johann uratował mi kiedyś życie.

– Wiem, ale nie musisz z tego powodu być na każde jego zawołanie.

Uścisnął jej dłoń.

– Uratował mi życie i dzięki temu mogę je spędzić z tobą. Nie ma takiej rzeczy, której bym dla niego nie zrobił.

Włączył prawy kierunkowskaz i skręcił w Patuxent Drive, szeroką, obsadzoną drzewami ulicę, przy której mieszkał senator.

– Bardzo mi pochlebiłeś tymi słowami.

Uśmiechnął się do niej.

– To nie było pochlebstwo, ale prawda, moja droga. Tak właśnie czuję.

Zatrzymali się obok nieskazitelnie czystego ceglanego domu. Otaczające go doskonale utrzymane trawniki miały nienaturalnie szmaragdowy odcień, a rosnące na nich rozłożyste magnolie stały sztywno jak przerażone dzieci. Przed pomalowaną na biało frontową werandą krzątał się wysoki siwy mężczyzna, ostrzyżony po wojskowemu, w grubych okularach i rozciągniętym brązowym kardiganie. Wyrównywał płożące się rośliny rosnące w równoległych rzędach.

Wysiedli z auta i przeszli ścieżką wyłożoną płaskimi kamieniami.

– Dzień dobry, senatorze! – zawołał Jack. – Jak tam ogród?

Starszy pan zawiesił nożyce na drewnianej kratownicy i zdjął rękawice.

– Miło cię widzieć, Jack! Jak się masz, Ellie?

– Nie możemy zbyt długo zostać – powiedział Jack. – Ellie dopiero co przyjechała z Karoliny i chciałaby trochę odpocząć. Zrobiła wielki objazd wszystkich ciotek, kuzynów i kuzynek w rodzinnych stronach.

Senator podrapał się po karku.

– Fanny od lat grozi, że zabierze mnie na podobny objazd po Montanie. Niemal odetchnąłem z ulgą, kiedy wybuchła wojna, bo mam teraz tyle pracy, że nie mógłbym z nią jechać.

Ellie popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Senatorze…

– Zresztą pewnie i tak się nie wywinę – stwierdził. – Fanny zawsze mnie przegłosuje, choćby nie wiem co. Coś wam powiem… Gdyby moi kumple w senacie zobaczyli, jak się szarogęsi i rozstawia mnie po kątach, pewnie uchwaliliby ustawę o ochronie pantoflarzy.

Jack uśmiechnął się lekko.

– Masz tę informację? – spytał.

Karlbeck niepewnie zerknął na Ellie, ale Jack go uspokoił.

– Nie ma obaw, Ellie o wszystkim wie. Powiedziałem jej o tym, gdy Hubslager przyszedł do mnie po raz pierwszy.

– No to w porządku, ale oboje musicie mieć świadomość, że to ściśle tajna sprawa – odparł Karlbeck. – Gdyby kiedykolwiek się wydało, że przekazuję ci jakiekolwiek informacje na ten temat, będę musiał temu stanowczo zaprzeczyć i wszystkie kłopoty spadną na twoje barki.

– Wiem o tym, senatorze – odparł Jack.

– W takim razie mogę wam zdradzić – zaczął Karlbeck, wkładając ręce do kieszeni – że Hubslager jest zdecydowany wszcząć śledztwo przeciwko Cornelius Shipping i wszystkim menedżerom firmy, którzy mają w niej cokolwiek do powiedzenia. Ale do końca września albo do początku października nie zamierza niczego ujawniać. Chce to zrobić, kiedy ruszy młyn wyborczy. Dopiero wtedy zadmie w trąby i podniesie kurtynę. Spodziewa się, że przyłapie wielu ludzi z gołymi tyłkami.

– Czy prezydent o tym wie? – zapytała Ellie.

Karlbeck wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć. Ale dwa tygodnie temu spotkał się z nim Hubslager i zawracał mu głowę

przez ponad pół godziny, a czym innym mógłby zawracać głowę prezydentowi taki beznadziejny facet?

– I jak zamierza to rozegrać? – spytał Jack, muskając biały kielich kwiatu magnolii.

Senator potarł podbródek.

– Można to zrobić na kilka sposobów. Ale pewnie zaciekawi cię wiadomość, że parę miesięcy temu kilka grup lewicowych wywrotowców rozprowadzało po Waszyngtonie listę nazw wszystkich wielkich korporacji, które po cichu udzielały znaczącego wsparcia republikanom. A kiedy mówię „znaczącego”, mam na myśli milionowego.

– Jedną z nich jest Cornelius Shipping, tak? – spytała Ellie.

– Właśnie – potwierdził Karlbeck. – Prawdopodobnie Hubslager widział tę listę i postanowił wszcząć śledztwo w sprawie o łapówkarstwo i deprawację tylko przeciwko umieszczonym na niej korporacjom. Bardziej niż moralność przemysłowców interesuje go wynik wyborów, ale jeśli potrafiłby dowieść, że kandydat republikanów był finansowany z dochodów uzyskanych dzięki deprawacji nieletnich, facet wyszedłby na alfonsa. Trudno sobie wyobrazić bardziej obciążające

oskarżenie… Wtedy Roosevelt nie mógłby przegrać.

– Jaki jest główny motyw działania Hubslagera? – zapytał Jack. – Oczywiście poza tym, że to senator demokratów?

Senator Karlbeck miał ponurą minę.

– A jaki motyw skłania każdego z nas do robienia tego, co robimy? Ambicja. Hubslager ma czterdzieści sześć lat, ale w administracji rządowej nigdy nie zajmował się niczym ważniejszym od ochrony ryb i ptactwa. Jeśli potrafiłby udowodnić, że republikanie i ludzie z Cornelius Shipping to banda pedałów, FDR z pewnością zrewanżowałaby mu się zaraz po inauguracji. To chyba oczywiste, prawda?

– Myślałam, że Johann jest w dobrych stosunkach z prezydentem – wtrąciła Ellie.

– To prawda. Hester też jest zaprzyjaźniona z Eleanor – odparł Jack. – Ale jest to możliwe tylko dlatego, że Johann nigdy nie ogłasza publicznie swoich politycznych preferencji, a jeśli udziela komuś finansowego wsparcia, robi to po kryjomu. Zresztą większość dotacji Cornelius Shipping jest zatwierdzana przez Bookbindera. A on zawsze bardzo się starał, żeby Dewey miał czym rozporządzać.

– Co za bagno… – westchnęła Ellie.

– Pewnie, że bagno – przyznał senator. – Ale polityka zawsze była bagnem. Jednak być może istnieje… choć tylko być może… pewna szansa wywarcia nacisku.

– Jaka?

– To niełatwa sprawa i sam będziesz musiał dojść po nitce do kłębka. Ale jeśli cokolwiek mogłoby uciszyć Hubslagera, to chyba tylko Program Inwestycyjny Funduszu Opieki Społecznej z trzydziestego ósmego.

– Pamiętam go – odparł Jack. – Dostał za niego wielkie brawa, prawda? Zebrał miliony dolarów na pomoc dla starców i ogłoszono go wielkim dobroczyńcą. Potem nawet przez jakiś miesiąc nazywano go „Panem Dobroczyńcą”.

– Jeden z moich kolegów w senacie ma bardzo solidne dowody wskazujące na to, że Hubslager i Jorkins przekierowali niemal trzysta tysięcy dolarów z tego programu do własnych kieszeni.

– Żartujesz! Kto to taki?

Senator skrzywił się lekko.

– Mogę ci powiedzieć, ale niewiele będziesz z tego miał. To senator Strachan. Gość jest bardzo ambitny i dalekowzroczny, więc już teraz ma na oku wybory w czterdziestym czwartym.

– Co to znaczy?

– To, że przez cały czas szuka świadków i gromadzi zaprzysiężone pisemne oświadczenia. Wie, że Jorkins w czterdziestym czwartym wystartuje do wyborów na prezydenta. Kiedy zaczną się prawybory, chce mieć gotową bombę, którą mógłby wrzucić Jorkinsowi do komina.

– Chcesz powiedzieć, że nie ujawni teraz tej informacji?

– Nawet za całą whisky raju. Zwłaszcza w przypadku takiej marnej płotki jak Hubslager. Z pewnością nie zechce marnować swojego cennego skandalu na taką nędzną kreaturę.

– Pytałeś go o to?

Karlbeck kiwnął głową.

– Oczywiście. W ubiegłym tygodniu jedliśmy razem lunch w klubie. Cały czas trzyma karty przy orderach. Dowiedziałem się o tym tylko dlatego, że potrzebował mojej zgody na wgląd do pewnych transakcji inwestycyjnych.

Jack milczał przez chwilę. Niosący kurz wiatr zaszeleścił magnoliami i zakołysał kwiatami. Po drugiej stronie ulicy szofer polerował czarnego cadillaca sixty special, obserwowany przez małego chłopca w T-shircie w paski. Niebo było posmużone cirrusami.

– Potrzebujesz pieniędzy? – spytał w końcu Jack. – Może musisz komuś zapłacić?

Karlbeck pokręcił głową.

– Potraktuj te informacje jak niezobowiązującą przysługę. Zresztą na niewiele ci się przydadzą, jeśli nie przekonasz Strachana, żeby przekazał ci to, co ma na Hubslagera.

– Czy warto się tym zajmować? – spytała Ellie. – Nie chciałabym, żeby Jack wmieszał się w sprawę, która może zniszczyć jego reputację.

Karlbeck objął ją.

– Coś ci powiem, moja droga… Gdyby kiedyś miał nadejść dzień, w którym nie musiałbym chociaż raz zaryzykować mojej reputacji, spakowałbym bagaże i wróciłbym tam, skąd przyjechałem. Nasza reputacja jest po to, żeby narażać ją na ryzyko.

– Mimo to bardzo mnie ta sprawa martwi – odparła. – Przecież wybuchnie okropny skandal, prawda?

Senator wzruszył ramionami i z powrotem założył gumowe rękawice.

– Pewnie tak. Ale pamiętaj, że różnica między politycznym skandalem a waszyngtońską codziennością jest tylko taka, że waszyngtońska codzienność to skandal, o którym gazety jeszcze się nie dowiedziały.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

– Jesteś starym cynikiem…

Porozmawiali jeszcze przez chwilę o przyszłych wyborach, a potem się pożegnali. Kiedy wracali do samochodu, Ellie spytała Jacka:

– Co teraz zrobisz? Przecież nie znamy osobiście Strachana, prawda? Czy nie mówi się o nim, że jest twardy jak głaz?

Otworzył przed nią drzwiczki samochodu.

– Twardy czy nie, znajdę na niego jakiś sposób – odparł. – Poza tym tylko on mi pozostaje.

– Przecież nie musisz tego robić, Jack. Mógłbyś dać sobie z tym spokój i nikt by nie miał o to do ciebie pretensji. Johann na pewno by cię zrozumiał.

Jack zamknął samochód, wyjął z kieszeni pęk kluczy i znalazł kluczyk do stacyjki.

– Wiem – mruknął. – Ale chyba za bardzo jestem w to zaangażowany. Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś? Że jeśli kiedykolwiek ugnę się przed złodziejami i łachmytami, to cię zawiodę. Nawet nie chcę o tym myśleć.

Ellie chciała coś powiedzieć, ale ją powstrzymał i dodał:

– Senator macha nam na pożegnanie.

Odwrócili się i również mu pomachali, a potem przez Patuxent Drive ruszyli do głównej drogi. Był okropny upał i w powietrzu wisiał kurz.

Ellie rozwiązała cienką jedwabną apaszkę, którą miała na szyi.

– Kocham cię – powiedziała, patrząc na Jacka. – Tak samo mocno jak zawsze. A może nawet mocniej niż zawsze.

Odwrócił się do niej.

– Ja również cię kocham.

Delikatnie pogładziła jego siwiejące włosy.

– Coś cię gryzie, prawda? Coś, o czym mi nie powiedziałeś… Wcale nie robisz tego, żeby odpłacić się Johannowi za uratowanie ci życia. Od wielu lat nawet nie pomyślałeś o zatonięciu tamtego statku.

Wzruszył ramionami i skierował buicka na południe, na betonową drogę prowadzącą prosto w oślepiające słońce.

– Chciałbym wyrównać stare długi – mruknął.

– Nie w ten sposób, Jack. Wiesz, że Johann jest winny, prawda? Nawet jeśli sam nic nie wiedział o tej sprawie z Messengerem, wiedziała o niej jego firma i dlatego jest za to moralnie odpowiedzialny. Poza tym jestem pewna, że wie o każdej najmniejszej łapówce i każdym przekręcie, który przygotowują jego ludzie. Daj spokój, Jack, przecież nawet go tak bardzo nie lubisz.

– Masz rację, nie lubię go.

– Zaledwie kilka miesięcy temu powiedziałeś, że sprawia wrażenie godnego szacunku starszego pana, ale to tylko pozory.

– To prawda.

– W takim razie dlaczego angażujesz się w to wszystko? Nie rozumiem tego. Wiem, że w polityce silniejszy zawsze pożera słabszego i że prawdopodobnie senator Hubslager wcale nie jest uczciwszy od Johanna czy kogokolwiek innego, wiem też, że poczuwasz się do wdzięczności wobec Johanna, ale chyba nie wymaga to od ciebie aż takiego poświęcenia?

– Mam dług wobec Randy'ego. Muszę przekazać mu w ten sposób, że go rozumiem.

– Dług wobec Randy'ego? A co nasz syn ma tu do rzeczy?

Jack przez chwilę prowadził w milczeniu.

– O co chodzi, Jack? – zapytała Ellie.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Niedaleko stąd jest zajazd – powiedział cicho. – Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy o tym przy drinku.

Zjechali z drogi i zatrzymali się na parkingu. Drewniany zajazd udawał tyrolską gospodę, a neonowa reklama zachęcała: SMACZNIE I TANIO. W odkrytym hudsonie siedział gruby mężczyzna, żarłocznie pochłaniając pęto kiełbasy

i słuchając wyników meczu baseballu. Obok zajazdu przejechała ciężarówka, pozostawiając po sobie żałobny dźwięk klaksonu.

Nie było to najlepsze miejsce do omawiania ważnych spraw, ale musieli porozmawiać. Usiedli przy niewielkim brudnym stoliku obok okna atakowanego przez chmarę brzęczących much i po chwili kelnerka w czerwonej welurowej kurtce i jaskrawoczerwonym toczku podała im dwa pozbawione smaku collinsy. Barman nosowym głosem przekonywał wszystkich, którzy uważali, że Amerykanie nie powinni się wplątywać w wojnę, że nie mają racji, ale oczywiście sam nie mógł się bić z Niemcami, bo miał dziadka pochodzącego z Drezna.

– Co się dzieje, Jack? – zapytała Ellie. – Tak dziwnie dziś się zachowujesz… Co się stało?

Jack milczał przez długą chwilę, a potem spojrzał na dno swojej szklanki i powiedział:

– Kilka dni temu, po tym, jak wyjechałaś do Karoliny, Randy zaprosił mnie na lunch…

– Dobrze się czuje, prawda? Nie jest chory? – zapytała z niepokojem.

– Nie, ma się świetnie. Nie o to chodzi.

– Więc o co? Co takiego ci powiedział?

Uniósł głowę i Ellie ze zdumieniem zobaczyła, że w jego oczach błyszczą łzy. Otarła je czułym gestem.

– Nie wiem, co ze mnie za ojciec, że do tej pory tego nie zauważyłem – powiedział Jack. – Nie wiem, jak mogłem pozwolić, żeby tak strasznie cierpiał. Wcześniej kilka razy usiłował mi się zwierzyć, ale chyba miał wrażenie, że go nie słucham, albo strach go obleciał.

– Jack… – jęknęła Ellie.

Po jej twarzy również zaczęły spływać łzy i siedząca obok ruda kobieta odwróciła się i zaczęła się na nich gapić.

– Powiedział, że kiedy był chłopcem, nie miało to takiego znaczenia. Myślał, że to etap, przez który przechodzi każdy chłopiec. Jednak gdy skończył siedemnaście lat, wiedział już na pewno. Był wtedy bardzo nieszczęśliwy, pamiętasz? Bardzo zagubiony i skory do kłótni. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie wiedział, kim jest ani czego chce od życia.

– Tak, wiem – potwierdziła szeptem Ellie.

– W końcu jakoś dał sobie z tym radę – dodał Jack, wyjmując chusteczkę i ocierając łzy. – Grał swoją rolę i nie myślał o tym. Nadal strasznie cierpiał, ukrywając to przede mną i przed tobą, ale jakoś mu się to udawało.

Zapadła cisza. Z radia grubasa siedzącego w samochodzie na parkingu dobiegały dźwięki piosenki Elli Fitzgerald o niespełnionej miłości.

Jack popatrzył na żonę.

– Jednak tym razem nie udało mu się tego ukryć – dodał. – Zakochał się i jego miłość została odwzajemniona. To Maurice Ritchie, pracownik biurowy naszej kancelarii.

Ellie nie odrywała wzroku od jego twarzy. Domyślała się, o co chodzi, niemal od chwili, kiedy zaczął mówić o ich synu, ale próbowała sobie wmówić, że to może być wszystko, byle nie to.

– O mój Boże… – jęknęła, zasłaniając usta.

– Chce wyjechać – powiedział cicho Jack. – Do jakiegoś miejsca, w którym ludzie nie wiedzą, kim jest ani z kim się związał. Chce zamieszkać razem z Maurice'em i założyć własną kancelarię. Może w Los Angeles albo San Francisco. Powiedział, że nas bardzo przeprasza.

– Przeprasza? – załkała Ellie. – Och, mój Boże, nie musi nas za nic przepraszać. To nasza wina! Co z nas za rodzice? Nawet nic nie podejrzewaliśmy. Och, Jack… o mój Boże…

Jack pociągnął łyk letniego ginu.

– Między innymi dlatego zająłem się tą sprawą Messengera. Może to głupie, ale sądziłem,

że jeśli pokażę, że potrafię zrozumieć takich ludzi, i spróbuję ich chronić, Randy zobaczy, że ja…

Oparł głowę na rękach.

– Nie wiem, co Randy zobaczy – dodał po chwili. – Ale jest moim synem i nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym zrobić.

– Wracajmy do domu, Jack – powiedziała Ellie.

Kiwnął głową i wstał.

Barman mówił:

– Gdyby mnie było stać na ubieranie się jak gwiazdor filmowy, to inna sprawa…

Z radia w samochodzie na parkingu dobiegała jakaś sentymentalna piosenka.

♦ ♦ ♦

Sekretarka Williama Strachana, Florence, o której mówiło się, że jej oczy wołają: „Weź mnie!”, choć widok jej nóg sprawiał, że chciało się krzyknąć „Nigdy!”, otworzyła drzwi gabinetu swojego szefa i oznajmiła:

– Panie senatorze, pan Henry Keith.

Strachan nie zdjął z biurka wypolerowanych do połysku eleganckich butów. Spojrzał na swojego gościa, unosząc wzrok ponad

połówkowymi okularami w rogowej oprawie, i burknął:

– Witaj, Henry. Siadaj.

Keith podciągnął nogawki spodni wymiętego niebieskiego garnituru i usiadł na brzeżku krzesła stojącego obok rozrośniętego kauczukowca.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że zgodził się pan mnie przyjąć, panie senatorze – powiedział, uśmiechając się niepewnie. – Na pewno musi pan być teraz bardzo zajęty. Wybory na karku… i w ogóle.

– Owszem – przyznał Strachan.

Był przystojnym, krótko ostrzyżonym mężczyzną o wielkiej głowie. Nosił krawat Uniwersytetu Harvarda i był nieprzejednanym republikaninem o nieco ekstrawaganckich poglądach. Johann zwykle starał się unikać takich ludzi, gdyż ekstrawaganckie poglądy wprawdzie przyciągały wyborców, ale w przemyśle stwarzały niepotrzebne podziały. Poza tym wolał spokojne towarzystwo, toteż otaczał się osobami o umiarkowanych poglądach.

– Nie wiem, ile pani Cornelius powiedziała panu przez telefon – zaczął Henry.

– Tylko tyle, że to bardzo pilne i ważne. Lepiej, żeby tak rzeczywiście było.

– I jest – odparł Henry.

Strachan wstał i sztywnym krokiem obszedł biurko. Jasna dębowa boazeria gabinetu była obwieszona amatorskimi olejnymi obrazami żony senatora, która zawsze wręczała mu je na gwiazdkę. Na biurku stała jego fotografia z dnia ukończenia studiów, obok rodzinny herb z mottem: „Głową i ramieniem”, a nieco dalej model okrętu podwodnego *Squalus*, który miał przypominać senatorowi, że nawet z najstraszliwszej tragedii da się coś uratować[13].

Za oknem gabinetu rozciągał się porośnięty krzewami trawnik, a za nim widać było tył gmachu Departamentu Sprawiedliwości.

Był kolejny dzień upałów i zamglonego słońca.

– Nigdy nie miałem okazji porozmawiać dłużej z panią Cornelius – powiedział senator.

Henry Keith otworzył teczkę.

– To bardzo miła dama. O zdecydowanych poglądach, ale bardzo miła.

– Tak przypuszczałem – mruknął Strachan.

Henry wydobył z teczki plik papierów, upuszczając przy tym kilka dokumentów na podłogę. Sięgnął po chusteczkę do nosa, wysmarkał się głośno i pozbierał papiery.

– Mam katar sienny – wyjaśnił.

Strachan przysiadł na brzegu biurka.

– O, mam – powiedział w końcu Henry. – To raport z agencji detektywistycznej Greenbauma, notatka od Pinkertona i parę informacji od Judda.

Strachan pochylił swoją lwią głowę, zmarszczył brwi i popatrzył na niego.

– Judd? – powtórzył takim tonem, jakby żółć zalała mu usta. – Greenbaum?

– Tak, proszę pana. To bardzo szanowane agencje detektywistyczne, działające na obszarze stanów Nowy Jork i Connecticut. Zresztą nie zostały wynajęte przez nas, ale przez pana Martina Landseera.

– Landseera? To ten gość, za którego wyszła Hope Cornelius, prawda? Jest chyba trochę mięczakowaty, jeśli mnie pamięć nie myli.

– Można by tak rzec – odparł Henry, krzywiąc się lekko.

– No dobrze… Więc pan Landseer wynajął prywatnych detektywów. Ale jaki to ma związek ze mną?

Henry znów wytarł nos.

– Cóż… pan Landseer chciał się po prostu dowiedzieć, czy jego żona, pani Cornelius-Landseer, jest wobec niego całkowicie lojalna.

– A po co innego ktokolwiek najmowałby prywatnego detektywa? – zapytał Strachan.

– Różnie to bywa – odparł Henry. – W każdym razie zdobyliśmy wyraźne dowody zdrady. Przykro mi to mówić, ale wygląda na to, że pani Cornelius-Landseer utrzymuje bardzo bliskie kontakty z pańskim synem Philipem.

Senator skrzyżował ramiona na piersi.

– Jak zdobyliście te dowody? – spytał.

– Pan Landseer nam je dostarczył. Zastanawia się nad rozwodem.

– Czy to znaczy, że zamierza pozwać Philipa?

– Właśnie.

Zapadła cisza. Strachan wrócił za biurko, usiadł na fotelu i spod krzaczastych brwi spoglądał na Henry'ego, który odpowiadał mu nieco nerwowym uśmiechem, wciąż wycierając nos.

– Jaką mamy alternatywę? – zapytał w końcu senator, podpierając wielką pięścią podbródek.

– Hm…

– Zakładam, że jest jakaś alternatywa. Nie leciałbyś tu z Kalifornii tylko po to, żeby mi powiedzieć, że Landseer zamierza pozwać mojego syna.

Henry odłożył papiery na biurko.

– Pani Cornelius nie chce, żeby odniósł pan wrażenie, że pana naciskamy. Jednak ma pewną sugestię…

– Mów dalej.

– Powiedziała, że mogłaby odwieść Martina Landseera od pozwania Philipa, wypłacając Landseerowi odszkodowanie w zamian za rozwód bez orzekania o winie.

– Co miałbym zrobić, żeby do tego doszło?

Henry znowu pogrzebał w swojej teczce i wyjął z niej kolejną kartkę papieru.

– Cóż… pani Cornelius wie, że posiada pan pewne informacje dotyczące afery związanej z Programem Inwestycyjnym Funduszu Opieki Społecznej z tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, afery, w którą są zamieszani senatorowie Jorkins i Hubslager.

Strachan zmarszczył brwi.

– Rozniosło się, co?

Henry się uśmiechnął.

– Owszem, proszę pana. Nawet ściany mają uszy.

– No dobrze, ale nawet jeśli posiadałbym te informacje, to co z tego? – zapytał senator.

– Nic poza tym, że pani Cornelius zależy na tym, żeby mieć kopie wszystkiego, co dotyczy tej

sprawy. Mogłaby je wtedy wykorzystać, kiedy tylko miałaby na to ochotę.

Strachan przez długą chwilę wpatrywał się w niego bez słowa, a potem nagle zawołał:

– Ha!

Zdziwiony Henry zamrugał.

Senator wstał zza biurka.

– Pani Cornelius chce informacji na temat Jorkinsa i Hubslagera? Wobec tego możesz wracać do Kalifornii i powiedzieć jej, że jeśli chce informacji, może je zdobyć w taki sam sposób jak ja.

Henry popatrzył na niego.

– Nie chce pan współpracować?

– Współpracować? To wymuszenie! Typowe wymuszenie w corneliusowskim stylu! Mam uratować syna przed skandalem, przekazując pani Cornelius ważną polityczną informację? Co by było, gdyby cały ten kraj funkcjonował w tej sposób? Nie ma mowy. Jeśli Philip zachował się nieodpowiednio wobec Hope Cornelius-Landseer, musi zostać ukarany, bez względu na to, jak bardzo zrani to jego lub jego rodzinę, bo nikt na świecie, a już na pewno nie Hester Cornelius, nie będzie mnie szantażował, rozumiesz?

Henry skulił się i siedział w milczeniu. Odważył się odezwać dopiero wtedy, gdy senator walnął pięścią w biurko i znowu usiadł.

– Właśnie to mam przekazać? – spytał. – Że nie obchodzi pana, co się stanie z Philipem?

– A czy panią Cornelius obchodzi, co się stanie z Hope? Czy naprawdę mogłaby wykorzystać w interesach erotyczne przygody własnej córki? Co z niej za matka?

Henry zakaszlał z zakłopotaniem i opuścił wzrok na swoje zdarte brązowe buty.

– Cóż… muszę panu powiedzieć, że konsekwencje tego wszystkiego będą bardzo poważne. Jeśli nie rozwiążemy problemu z senatorem Hubslagerem w ten sposób, musimy rozwiązać go inaczej.

– No to rozwiążcie go inaczej, do cholery – warknął Strachan. – Te informacje nie zostaną ujawnione. Nie pomógłbym ani tobie, ani Hester Cornelius nawet wtedy, gdybyście wisieli na koniuszkach palców na zewnętrznym parapecie mojego okna.

Henry wzruszył ramionami.

– W porządku, proszę pana. Tylko niech pan pamięta, że to pan stoi pod tym oknem.

Strachan przycisnął guzik na biurku i w drzwiach pojawiła się Florence jak wyskakująca

ze ściennego zegara kukułka.

– Pan Keith już nas opuszcza – powiedział senator.

Henry zamknął teczkę i wstał.

– Na pewno nie chce pan trochę czasu do namysłu? – spytał.

Kiedy Strachan pokręcił głową, wzruszył ramionami, powiedział: „W porządku” – i wychodząc, puścił oko do Florence.

♦ ♦ ♦

Spotkali się w Morningside Park, w cieniu katedry Świętego Jana Ewangelisty. Było tak gorąco, że Philip musiał zdjąć marynarkę i położyć ją na oparciu ławki. Hope, w lekkiej plisowanej spódniczce i bladozielonej jedwabnej bluzce z poduszeczkami na ramionach, wachlowała się magazynem dla pań. Wiszący w powietrzu żar spalił i okrył kurzem krzaki forsycji.

– Przypuszczam, że matka powiedziała ci, co się stało – rzekł Philip, rozkładając chusteczkę do nosa i wycierając pot z czoła.

Kiwnęła głową.

– Tak – odparła.

– Niezależnie od wszystkiego jestem dumny z ojca – oznajmił Philip. – Przynajmniej nie dał się przekabacić.

– Ale w naszym przypadku to nie ma znaczenia, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Czy kiedykolwiek coś nas łączyło? – zapytał.

– Powiedziałeś, że tak. A może się przesłyszałam?

Pochylił się nad nią.

– Nie. Kiedy mówiłem o nas, miałem na myśli…

Popatrzyła na niego.

– To już naprawdę nie ma znaczenia. Sądzę, że to, co wtedy miałeś na myśli, teraz wcale nie znaczy to samo, więc pewnie nic nie znaczy. Nie jesteś moim mężem.

– Ale… – zaczął Philip.

Przechadzający się po drugiej stronie parku stary człowiek rzucał gołębiom okruszki chleba.

– Nie możemy się więcej spotykać – stwierdziła Hope.

– Nie chcesz wziąć rozwodu?

– Pewnie go dostanę, bez względu na to, czy tego chcę, czy nie.

– Ale przecież twoja matka nie chciałaby…

– Nie chciałaby? Nie znasz mojej matki.

Philip pokręcił głową.

– Nigdy do tej pory nie występowałem jako oskarżony w procesie rozwodowym. Pewnie znajdę się we wszystkich parszywych piśmidłach.

– W tych najbardziej szanowanych też.

Skrzywił się lekko.

– Chyba masz rację – mruknął.

Hope siedziała przez długą chwilę w milczeniu, obracając na placu pierścionek z brylantem.

– Próbowałeś przekonać ojca? – zapytała w końcu.

– Oczywiście, że próbowałem. Ale mój ojciec powiedział, że Ameryka zawsze będzie dla niego najważniejsza, a to oznacza, że zawsze będzie najważniejsza polityczna kariera senatora Williama Strachana. Nie przekaże twojej matce niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko Hubslagerowi… ani jednej plotki… nawet gdyby mu powiedziała, że moja babka spała z połową Kongresu.

– Dlaczego? – spytała Hope.

Znowu się skrzywił.

– Dlatego że jest nieprawdopodobnie uparty, dlatego że jest Irlandczykiem, dlatego że nie pozwoli, by jakakolwiek kobieta mówiła mu, co

ma robić, nawet jeśli to jest Hester Cornelius, a także dlatego, że jeśli ujawniłby teraz twojej matce coś przeciwko Hubslagerowi, pozbyłby się broni przeciwko Jorkinsowi w czterdziestym czwartym.

– W czterdziestym czwartym Program Inwestycyjny Funduszu Opieki Społecznej nie będzie żadną bombą, nawet gdyby Jorkins został nominowany na kandydata… choć gdyby to ode mnie zależało, prędzej nominowałabym dziką świnię.

Philip westchnął i odgarnął włosy z czoła.

– Masz rację. Ale spróbuj przekonać mojego ojca…

Znowu zapadła cisza. Na jasnobłękitnym niebie buczał transatlantycki clipper. W srebrnych skrzydłach samolotu odbijały się promienie słońca. Dochodziła pora lunchu i do parku zaczęli przychodzić urzędnicy z kanapkami i termosami.

– Zastanawiam się, co tak naprawdę wie tamten detektyw – powiedziała Hope.

Philip popatrzył na nią, marszcząc brwi.

– Z tego, co mówi moja matka, wynika, że Martin śledził mnie od miesięcy – dodała Hope. – Kiedy poszliśmy do Manucciego na przyjęcie z okazji Trzech Króli, przyłapał mnie, gdy

całowałam się z Robertem Scheinhornem w oranżerii. To odrażające… Tylko Martin jest do tego zdolny. Wiesz, chodzi mi o to, że jeśli własny mąż nie potrafi ci zaufać…

– Tak… – bąknął Philip.

– Robi to tysiące ludzi – mówiła dalej Hope. – To żaden powód do rozwodu. Żaden powód, żeby angażować detektywów. Martin jest taki cholernie staroświecki…

Philip zamknął oczy.

– Nie mogę przejść do porządku nad tym, jak zachowała się twoja matka. Ale z niej oportunistka! Kiedy Martin przylazł do niej z tymi wieściami o tobie i mnie, pewnie pomyślała, że bogowie się do niej uśmiechnęli. Tego właśnie potrzebowała, żeby przydusić mojego ojca… „Daj mi bat na Hubslagera albo się postaram, żeby twój syn został publicznie napiętnowany jako współwinny rozwodu mojej córki”. Ma wszystkich gdzieś, no nie? Nawet ciebie.

– To prawda – przyznała Hope z goryczą. – Zawsze uważała mnie za swoją rywalkę i próbowała zepchnąć na boczny tor. Nie przejmuj się, przyzwyczaiłam się już do tego.

– Jak w ogóle można przyzwyczaić się do takiej matki?

– Są jeszcze gorsze. Takie, które biją, podrywają chłopaków swoich córek albo piją.

Philip pokręcił głową.

– Co teraz zamierzasz? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Hope. – Myślę, że to zależy od Martina. Na razie wyjechał i zatrzymał się u rodziców. Przypuszczam, że to właśnie oni zadecydują, czy ma się ze mną rozwieść, czy nie.

– Nie obchodzi cię to?

– Oczywiście, że mnie obchodzi. Mój Boże! Moja własna matka próbowała mnie wykorzystać, żeby ocalić dobre imię ojca. Co gorsza, nie udało jej się to. Bóg wie, co teraz będzie.

Philip ujął jej rękę i popatrzył na nią.

– Chcę, abyś wiedziała, że bardzo cię lubię – powiedział.

Uśmiechnęła się do niego.

– Lubisz mnie? To chyba niewarte rozwodu, no nie?

– Nie wiem. Nie chciałem cię skrzywdzić.

Pocałowała go.

– Och, Philipie…

Pogłaskał ją po policzku.

– Chyba spotkamy się w sądzie. Nie wydaje mi się, żeby to było tak bardzo bolesne.

Niespodziewanie zaczęła płakać.

– Bycie bogatym zawsze jest bolesne – stwierdziła.

♦ ♦ ♦

Johann siedział tego wieczoru na balkonie w Carina Mia, popijając brandy z wodą sodową. Było bardzo ciepło, więc czuł się senny i od czasu do czasu przysypiał.

Hester wyszła z sypialni ubrana w czarny jedwabny szlafrok, tak długi, że sunął za nią po mozaikowej podłodze. Pochyliła się, pocałowała męża w czoło i szepnęła:

– Johannie?

Otworzył oczy.

– Nie spałem – odparł lekko schrypniętym głosem.

Przysunęła sobie wiklinowe krzesełko i usiadła obok niego.

– Znów rozmawiałam z senatorem Strachanem – powiedziała cicho.

W mroku jej elegancki profil był tylko rozmytym konturem.

– I co?

– Nie zmieni zdania. Oświadczył, że jeśli Martin zechce wskazać Philipa jako sprawcę rozwodu, to trudno. Uwierzyłbyś? Stwierdził, że

jego ojciec się z nim nie cackał, więc on też nie zamierza cackać się z Philipem.

– Rozmawiałaś z Hope? – spytał Johann.

– Owszem. Wie, co się dzieje.

– I nie przejęła się tym?

– Nie wiem. Ale nie znosi Martina, więc nie przypuszczam, aby się szczególnie przejmowała.

– Nie rozmawiałyście na ten temat?

Pogładziła go po głowie.

– Wiesz, jaka jest nasza córka… nie sądzę, aby z kimkolwiek chciała o tym rozmawiać.

– No cóż, wygląda na to, że będziemy musieli rozprawić się z Hubslagerem w jakiś inny sposób.

– Myślisz, że powinnam porozmawiać z Bookbinderem?

– Ty?

Wzruszyła ramionami.

– Może go nie lubię, ale muszę go znosić. Poza tym nawet najgorsi ludzie mogą być czasem użyteczni.

Johann przetarł załzawione oczy.

– Czasem się zastanawiam, co tak rozpaczliwie chcemy chronić? Naszą reputację? Czy to ważne, co ktoś o nas myśli? Jestem zbyt zmęczony, żeby się tym zamartwiać.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła go. – Jeszcze dzisiaj zadzwonię do Davida. Jest teraz w Jersey, prawda?

– Tak, ale powiedz mu, żeby się dobrze zastanowił, zanim podejmie jakiekolwiek działania. Nie chcę żadnych pochopnych ruchów.

– Oczywiście – odparła, po czym wstała i opuściła balkon.

♦ ♦ ♦

W nocy dziewiątego lipca 1940 roku czarny plymouth wiozący czterech pasażerów zderzył się z cysterną benzyny na skrzyżowaniu Ditmas Avenue i Flatbush Avenue we Flatbush w stanie Nowy Jork. Cysterna wybuchła i wszyscy pasażerowie plymoutha zostali uwięzieni w płonącym samochodzie. Przechodniom i strażakom nie udało się ich wydobyć. Dowódca miejscowego oddziału straży pożarnej poinformował potem dziennikarzy, że „zginęli straszną śmiercią”.

Jak się później okazało, plymouthem jechali: E.N. Scargas, funkcjonariusz policji stanu Nowy Jork, Gordon Tighe, nowojorski prokurator, oraz dwaj chłopcy, czternastoletni Antonio Carlo i trzynastoletni Francisco Delray, obaj

z Brooklynu. Kierowcy cysterny nie odnaleziono. „The New York Times” zasugerował, iż chłopcy mogli być głównymi świadkami w sprawie dotyczącej oskarżenia o łapownictwo i niemoralne prowadzenie się i jechali na przesłuchanie, ponieważ obaj byli zamieszani w „poważny skandal”.

Rzecznik nowojorskiej prokuratury nie potwierdził tej sugestii ani jej nie zaprzeczył, ale przyznał, że chłopcy mieli pojawić się w pewnej sprawie jako „bardzo ważni świadkowie” i że teraz ta sprawa niemal na pewno zostanie zamknięta.

Pięć tygodni później, czternastego sierpnia 1940 roku, admirał Peary Messenger wczesnym rankiem wypłynął wpław w morze niedaleko Narragansett w stanie Rhode Island i zaginął. Intensywne poszukiwania prowadzone przez Straż Przybrzeżną musiały zostać odwołane z powodu pogarszającej się widoczności.

1945

Zdarzają nam się drobne kłopoty, ale to nic poważnego. To normalne po każdym wysiłku wojennym.

Harry S. Truman
Gilbertsville, stan Kentucky, 1945 r.

W pierwszych dniach po drugiej wojnie światowej, w czasach demobilizacji i pokoju, na początku prezydentury Trumana, gdy nasi chłopcy wracali z Europy do domu, a kibice baseballu z niecierpliwością czekali na sezon, w którym na boisku wreszcie nie będzie inwalidów wojennych, a na trybunach szpicli z uzupełnień, w czasach największej popularności takich komiksów jak *Toots and Casper* czy *Thimble Theatre*, gdy Ginger Rogers śpiewała *I'll Be Seeing You*, członkowie rodziny Corneliusów rzadko odwiedzali Gmach. Wyjątkiem był Roderick, który zawsze uważał się za człowieka z Wall Street. Chociaż nie miał tam prawie nic do roboty poza chodzeniem po biurach i doprowadzaniem wszystkich do białej

gorączki, lubił obserwować papierkową krzątaninę i słuchać niekończącego się stukotu dalekopisów.

Był tam również pewnego deszczowego październikowego czwartku 1945 roku. Siedział na trzeszczącym skórzanym fotelu w ponurym gabinecie na trzydziestym czwartym piętrze, w którym za ogromnym biurkiem rozmiarów lotniskowca rezydował David Bookbinder, sterując codziennym przepływem pieniędzy Corneliusów i wszystkimi finansowymi transakcjami.

Przez całe przedpołudnie uwijał się jak w ukropie. Był to jeden z tych dziwnych dni, podczas których rynek wciąż wykazywał oznaki chorobliwej depresji, choć jednocześnie sygnalizował pierwsze, budzące lekkie zawroty głowy symptomy gorączki boomu. Bookbinder dokonywał zmian w holdingach Corneliusa, dostosowując funkcjonowanie jego imperium do warunków powojennych, nie przerzucał jednak zbyt dużej ilości sił i środków do produkcji pokojowej, gdyż bardzo poważnie traktował doniesienia o „sowieckim okrążaniu” Europy.

Gdy prowadził niekończące się rozmowy telefoniczne, Roderick sączył whisky.

W miarę zbliżania się pory lunchu telefon odzywał się coraz rzadziej, ale roboty papierkowej wciąż przybywało. Znudzony Roderick zamieszał palcem płyn w szklance, po czym go oblizał.

– Nie rób tego – zbeształ go Bookbinder, nie podnosząc wzroku znad dokumentów. – To mi przypomina Fostera.

Roderick zamrugał.

– Dulles też tak robi?

Bookbinder kiwnął głową.

– Myślałem, że go lubisz – mruknął Roderick.

Bookbinder odfajkował sprawdzone akcje i obligacje i położył dokumenty na tacce pism wychodzących.

– Owszem, lubię – odparł, zakręcając drogie wieczne pióro. – Ale chyba nie powiesz, że dobre maniery to mocna strona Fostera? Nawet jego żona krzywi się, kiedy widzi, jakie skarpetki założył.

– Jakoś nigdy nie zwróciłem uwagi na jego skarpetki.

Bookbinder wsunął pióro do kieszonki kamizelki i wstał.

– Znałem Fostera w czasach, kiedy Bill Cromwell płacił mu pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, a było to pięćdziesiąt dolarów

więcej, niż dostawał jakikolwiek kancelaryjny gryzipiórek. Foster był takim okropnym wsiokiem, że nazywaliśmy go Wyskrobkiem z Kansas. Gdy założył garnitur od braci Brooks, po niecałych pięciu minutach wyglądał w nim jak bohater filmów Chaplina.

– Nie obchodzi mnie, co ten facet robi ze swoimi garniturami – odparł Roderick. – Ale chciałbym, żeby częściej grał dla naszej drużyny, a rzadziej dla ich – dodał, wskazując głową budynek Standard Oil.

– To sprawa układów i koneksji – stwierdził Bookbinder. – A oni włożyli znacznie więcej pieniędzy w swoje znajomości niż my.

– Dlaczego? Ty tak zadecydowałeś?

– Nie całkiem. Wolałbym mieć Fostera za sprzymierzeńca niż wroga. Któregoś pięknego dnia wyląduje na stołku sekretarza stanu i jeśli do tej pory nie zostaniemy dobrymi kumplami, to… no cóż, chyba nie muszę ci mówić, co to dla nas może oznaczać.

– Ojciec mówi, że ten facet jest sabotażystą strojącym się w piórka wybawcy.

– Skąd taki wniosek?

– Nie wiem. Może po prostu jest do niego uprzedzony. Nigdy mu się nie podobało to, co

Dulles zrobił z American Oil, i chyba od tamtej pory wszyscy jesteśmy wobec niego uprzedzeni.

– To przecież stara historia.

– Wiem, ale ojciec ma całą listę ludzi, których nienawidzi, i Dulles zajmuje na niej poczesne miejsce. Uważa, że ten człowiek przywiązuje zbyt wielką wagę do duchowości, a przecież nie istnieje coś takiego jak duchowa gospodarka. Według ojca jest tylko jedna rzecz gorsza od idealistycznego komunisty: idealistyczny republikanin. A jeśli chodzi o Wall Street, ich relacji nie można nazwać przyjaznymi.

– Wall Street cierpi na śmiertelną chorobę – stwierdził Bookbinder. – Na średniactwo.

Roderick wzruszył ramionami, wyjął ze swojej granatowej dwurzędówki czystą białą chusteczkę i otarł kilka kropli potu ze starannie przystrzyżonych baków.

– Być może panuje tam średniactwo, ale nie sądzę, żeby to było takie złe – odparł. – Może powinniśmy trzymać się średniactwa. Ojciec powiada, że cała tajemnica zarządzania budżetem korporacji opiera się na poczuciu bylejakości.

Bookbinder roześmiał się chrapliwie.

– Nie przejmuj się tym, co mówi twój ojciec. Kiedyś utrzymywał się z wyganiania krów na

pastwisko.

– A teraz goni ciebie?

– Twój ojciec się starzeje – odparł Bookbinder. – Czasem próbuje mnie sprowokować. Kiedyś na studiach boksowałem, wiedziałeś o tym? Byłem bardzo wysportowany. Twój ojciec miał zwyczaj doprowadzać mnie do pasji podczas ważnych spotkań tylko po to, żeby zobaczyć, jak zaciskam dłonie w pięści. Kiedy już udało mu się wyprowadzić mnie z równowagi, mówił: „Davidzie, z niecierpliwością oczekuję dnia, w którym przyłożysz Howardowi Pew[14] prosto w nos!”.

Podszedł do okna i spojrzał na zalewany deszczem Broadway. Chodniki były pełne lśniących czarnych parasoli, a na jezdni tłoczyły się trąbiące taksówki i limuzyny.

– Czasem myślę, Roddy, że twój ojciec zrobił fortunę w akcie zemsty.

Tego rodzaju uwagi przekraczały zdolność pojmowania Rodericka, były zbyt abstrakcyjne. Wyjął złoty kieszonkowy zegarek i sprawdził, która jest godzina.

– Jedziesz na lunch? – zapytał Bookbindera. – Obiecałem Celii, że spotkamy się w Plaza.

– Jadłeś tam wczoraj.

– Tak, ale Victor lubi jeździć dorożką. Poza tym Celia ma bzika na punkcie rosołu z kury u Gourona. Twierdzi, że musi go zjeść każdego roku, kiedy spada temperatura. Gdybym nie wierzył, że piorun może uderzyć w to samo miejsce tylko raz, przysiągłbym, że… no… że się spodziewa.

– Jest w ciąży? – spytał Bookbinder.

Roderick pokręcił głową.

– Nie, chodzi tylko o rosół.

Bookbinder podszedł do wieszaka i zdjął z niego marynarkę z ciemnoszarego tenisu. W butonierce miał goździk, nieco przywiędły w ciepłym gabinecie. Powąchał go, zanim włożył marynarkę.

– Ty też powinieneś nosić goździk – poradził Roderickowi. – W ogrodzie twojego ojca rosną najpiękniejsze okazy w całym stanie. Goździk to symbol dumy.

– Nie znoszę goździków – odparł Roderick, przełykając resztkę szkockiej. – Przypominają mi o pogrzebach.

Bookbinder popatrzył na niego.

– Właśnie dlatego powinieneś je nosić – stwierdził.

Roderick uznał tę uwagę za niesmaczną.

– Strasznie ponuro dziś kraczesz – burknął.

Bookbinder obciągnął kamizelkę na tłustym brzuchu.

– Lepiej być ponurym krukiem niż oskubaną kaczką – zauważył.

– Jeśli ufasz moim umiejętnościom kierowcy, możemy pojechać samochodem – zaproponował Roderick, wkładając ciemny płaszcz z aksamitnym kołnierzem.

Bookbinder przypalił cygaro.

– Sam prowadzisz? Czy to jest ta nowa demokracja? Po to walczyliśmy z żółtkami?

– Lubię prowadzić. Dziś wziąłem lincolna. Auto jak marzenie. Dwanaście cylindrów, silnik dolnozaworowy, automat.

– Gdybyś tak samo dobrze znał się na finansach jak na tych swoich cholernych samochodach, umarłbym jako szczęśliwy człowiek – mruknął Bookbinder.

Roderick zaczerwienił się, co często mu się przydarzało, kiedy był zdenerwowany lub zażenowany. W wieku trzydziestu jeden lat stał się wielkim, grubokościstym mężczyzną. Kiedy Celia była w szpitalu i rodziła Victora, zapuścił wątły jasny wąsik. Bardzo upodobnił się zewnętrznie do swojego ojca. Drogie garnitury nigdy na niego nie pasowały, kapelusze zawsze

wydawały się za małe, w płaszczach tonął, a jego buty przypominały czarne, wypolerowane barki.

Kiedy przeszli przez sekretariat, Bookbinder oznajmił:

– Jadę na lunch, panno Kaminsky.

Weszli do wysokiego, wyłożonego czarnym marmurem holu i budząc echa, skierowali się do garażu. Kilku przechodzących obok nich pracowników pozdrowiło ich, unosząc kapelusze. Roderick odpowiedział im pospiesznym zażenowanym uśmiechem, ale Bookbinder nawet nie odwrócił głowy.

Białe dwudziestosześciokonne coupé było zaparkowane u stóp schodów. Roderick otworzył drzwi i wsiedli. W środku pachniało skórą i perfumami Celii. Z tyłu, obok gryzaka i grzechotek Victora, leżał uśmiechnięty pluszowy miś. Roderick uruchomił silnik i samochód zakołysał się, wyjeżdżając na ulicę.

Był chłodny, mokry październik. Członkowie zarządów okolicznych firm stali na rogach ulic, niecierpliwie machając parasolami na przejeżdżające taksówki, a stenotypistki i zwykli urzędnicy tłoczyli się na chodnikach. Z kiosków z bajglami na Broadwayu unosił się dym, ale w powietrzu nadal wisiało wspomnienie wojny. Był w nim żal, że sen o chwale się skończył,

jednak towarzyszyła mu ulga, bo teraz znowu można było myśleć o domach, nowych samochodach, posadach, odbiornikach telewizyjnych i faworytach na torze Aqueduct. James Thurber za dwa miesiące miał skończyć pięćdziesiąt jeden lat i właśnie wydał swoją najnowszą książkę, *The White Deer*, opowieść o księciu, który w dziewięćdziesiąt dziewięć godzin musi znaleźć tysiąc klejnotów.

Roderick skierował lincolna w stronę dzielnicy rezydencjalnej i powiedział:

– Poddaję się.

– Nie rozumiem… O co ci chodzi? – spytał Bookbinder.

Roderick popatrzył na niego.

– Chyba masz rację z tą oskubaną kaczką.

– Daj spokój z kaczkami. Lepiej pomyśl o goździkach.

Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, do samochodu podszedł młody weteran w mundurze, z jednym pustym rękawem.

– Nasi waleczni wojacy… – mruknął sarkastycznie Bookbinder.

Roderick opuścił szybę.

– Tak?

Żołnierz nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia parę lat. Był chudy, nieogolony i miał

zaczerwienione oczy.

– Czy mogę liczyć na parę centów na miskę zupy? – spytał.

Roderick odwrócił się do Bookbindera.

– Masz jakieś drobne? Nie mam przy sobie ani centa.

Bookbinder poklepał się po kieszeniach i pokręcił głową.

– Nie noszę portfela od sześciu lat.

Roderick przeszukał kieszenie swojego płaszcza, jednak nic w nich nie znalazł.

– Przykro mi – powiedział do żołnierza. – Chcielibyśmy pomóc, ale nie mamy pieniędzy.

Inwalida popatrzył na drogi płaszcz Rodericka i na cygaro Bookbindera.

– Nie macie żadnych pieniędzy? – zapytał ze zdziwieniem. – Siedzicie w takim aucie i mówicie mi, że nie macie żadnych pieniędzy?

– No… – zaczął Roderick.

– Już nic od was nie chcę, ani centa – mruknął żołnierz. – Chcę tylko wiedzieć.

– No… – powtórzył bezradnie Roderick. – Chodzi o to, że… my nie potrzebujemy pieniędzy.

W tym momencie światła się zmieniły, więc ruszył.

– Przypomnij mi, żebym w przyszłości miał przy sobie drobne – powiedział do Bookbindera.

– Nie chcę, żeby taka sytuacja się powtórzyła. Ty też je noś.

Bookbinder sięgnął do kieszeni, wyjął plik banknotów i pomachał nimi.

– Mój drogi Roddy, ja zawsze noszę przy sobie pieniądze.

Roderick gwałtownie wcisnął hamulec i zjechał do krawężnika. Przejeżdżający obok taksówkarz obtrąbił go i wrzasnął:

– Bezmyślny sukinsyn!

Bookbinder udawał zdziwionego.

– O co chodzi? Dlaczego się zatrzymaliśmy?

– Daj mi te pieniądze! – warknął Roderick.

– Wszystkie? W tym pliku jest chyba jakieś czterysta dolarów.

– Daj mi tylko dwadzieścia.

– Popełniasz błąd, Roddy.

– Nie wydaje mi się. No już, daj mi te dwadzieścia dolarów.

Bookbinder westchnął i wyłuskał z pliku dwudziestodolarowy banknot. Roderick złapał go, wysiadł z samochodu i pobiegł w deszczu chodnikiem. Wpadał na spacerowiczów, kobiety z siatkami i mężczyzn z teczkami. Żołnierz nadal stał na światłach, czekając na zielone. Roderick przeciął ulicę i klepnął go w ramię.

Młody mężczyzna odwrócił się do niego. Był taki niski i chudy, że Roderick poczuł się przy nim wielkim, przekarmionym gigantem. Wyciągnął rękę z dwudziestodolarowym banknotem.

Żołnierz wlepił w niego wzrok.

– Za co to? – spytał.

– Mój znajomy znalazł tę dwudziestkę w płaszczu. Chciałem ci ją dać.

Weteran popatrzył na szarpany wiatrem banknot, a potem podniósł wzrok i spojrzał Roderickowi w oczy.

– Proszę, weź – powiedział Roderick.

Inwalida znów popatrzył na pieniądze.

– Weź – naciskał Roderick.

– Nie mam wydać reszty – odparł ostrożnie chłopak.

– Po co masz mi wydawać resztę?

– Miska zupy i chleb kosztują pięć centów. Nie mam wydać z dwudziestki.

– Weź całe dwadzieścia. Będziesz miał na sto misek zupy.

Żołnierz opuścił głowę.

– Straciłem rękę i straciłem pracę, ale jeszcze nie straciłem mojej dumy – powiedział.

– Dumą się nie najesz – odparł Roderick.

Rozpadało się na dobre.

– Wiem – rzekł młody weteran. – Ale dumy nie da się kupić.

Roderick niecierpliwie wepchnął banknot do górnej kieszeni jego mundurowej bluzy.

– Duma czy nie, weź to. Potraktuj to jako przysługę.

Chłopak lewą ręką wyjął z kieszeni dwudziestodolarówkę, wsadził ją sobie do ust i poszarpał zębami. Deszcz przykleił mu kawałeczki banknotu do warg.

Roderick popatrzył na niego.

– Czy wszyscy są tacy jak ty? – spytał cicho. – Wszyscy, którzy wrócili?

Żołnierz otarł z ust dolarowe konfetti i odwrócił się. Roderick wyciągnął rękę, chcąc go znowu klepnąć w ramię, ale się powstrzymał. Potrącali go przechodnie i zupełnie przemókł. Powoli wrócił do samochodu, otworzył drzwi i wsiadł do środka.

Bookbinder popatrzył na niego.

– No i co? – spytał, zaciągając się cygarem. – Wziął czy nie?

Roderick nawet na niego nie spojrzał. Uruchomił silnik i dołączył do sznura aut.

– Dlaczego myślisz, że nie wziął?

Bookbinder zachichotał i popukał się palcem w skroń.

– Znajomość psychologii, Roddy. Psychologii pieniądza.

– Nie wiedziałem, że jest jakaś psychologia pieniądza. Myślałem, że psychologia to tylko sprośne sny.

– I to ma być syn Johanna? No, no!

Roderick wzruszył ramionami.

– Chyba sprawiłem wszystkim zawód – stwierdził. – Wytłumacz mi to tak, jakbym leżał na kanapce u psychologa… może wtedy zrozumiem, o czym śnią świadectwa udziałowe.

– To bardzo proste – odparł Bookbinder, wypluwając strzępek tytoniu. – Psychologia pieniądza została ci zademonstrowana w najprostszej postaci przez tamtego jednorękiego młodego żołnierza.

– No dobrze, ale jak to działa?

– Zaoferowałeś dzieciakowi za dużo. Banknot dwudziestodolarowy to dla niego abstrakcja. Pewnie nigdy nie miał tyle w kieszeni. Dla niego to tylko papier, pieniądze z *Monopoly*. To samo dotyczy większości ludzi wokół nas. Nigdy nie będą bogaci, a wiesz dlaczego? Dlatego że tego nie chcą. Kiedy tylko zaczynasz mówić o naprawdę dużych pieniądzach, o obligacjach i akcjach, większość z nich ma szklany wzrok ze znudzenia.

– Może masz rację – mruknął Roderick, zwalniając przed kolejnymi czerwonymi światłami.

– Pewnie, że mam – odparł Bookbinder. – Ludziom zależy tylko na rzeczach, na wspaniałym domu albo na samochodzie dobrej marki. A także na prestiżu… na przykład na pięknie brzmiącym dyrektorskim tytule i kluczu do wyłożonej marmurem toalety. Nie musisz oferować im pieniędzy. Jeśli dasz facetowi plakietkę z napisem „wiceprezes”, nawet go nie zaboli, że zapłacisz mu rocznie pięć tysięcy dolarów mniej, niż mógłbyś. Jeżeli dasz mu służbowy samochód zamiast podwyżki, będzie cię uwielbiał.

Roderick pokręcił głową.

– Czyli co? Nie oferuj człowiekowi skrzynki szampana, jeśli zależy mu tylko na misce zupy, tak?

– Właśnie – odparł Bookbinder.

Przecięli Zachodnią Ósmą i ruszyli Broadwayem na północ. Wycieraczki miarowo przesuwały się w górę i w dół, pomrukując jak śpiące koty, deszcz zraszał postawiony dach lincolna. Na rogu ulicy dwaj policjanci stali obok mokrego afisza *Urzeczonej* Hitchcocka, woda kapała im z daszków czapek.

– Zaczynam się zastanawiać, o co ci chodzi – powiedział Roderick. – Ni z tego, ni z owego nagle zaczynasz mówić o kaczkach i goździkach, a teraz o psychologii i zarządzaniu ludźmi.

Bookbinder wydmuchnął dym.

– Po prostu chciałem, żebyś był przygotowany na najgorsze. Nie zamierzałem cię zwodzić.

– Nie wydaje mi się, żebyś potrafił się od tego powstrzymać – mruknął Roderick. – Ojciec mówi, że…

Urwał, bo w tym momencie dostrzegł w oczach Bookbindera nagły błysk, z jakim pokerzysta rozkłada wygrywające karty, sygnał, że bokser zamierza wyprowadzić cios.

– Chodzi o ojca, prawda? – zapytał. – Przygotowujesz mnie, żeby powiedzieć mi coś o ojcu… Chyba nie jest chory?

– Chciałem zachować to dla ciebie na później – odparł Bookbinder. – To nie czas ani miejsce na takie wiadomości.

– Davidzie, proszę… Muszę wiedzieć.

– Hm… twój ojciec niedawno przechodził badania.

– Wiem o tym. W zeszłym miesiącu był w sanatorium. Powiedział mi, że wszystko jest w porządku, i doktor Clarke twierdzi, że jest zupełnie zdrowy.

Bookbinder wyjrzał przez okno. Krople deszczu przywierały do szyby i sunęły po niej, chwilami się zatrzymując.

– Twój ojciec chciał ci zaoszczędzić zmartwienia. Chciał też chronić Cornelius Oil. Ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależy, byłaby gwałtowna wyprzedaż akcji, zwłaszcza teraz. Ale Johann jest chory, Roddy.

– Chory? Jak bardzo?

– Ma chore serce. Słabe i chore – odparł Bookbinder. – To diagnoza doktora Clarke'a z ostatniego czwartku, a doktor Scheiner ją potwierdził.

Zamilkł na chwilę, a kiedy znów się odezwał, w jego głosie brzmiała nostalgia, która zawładnęła Nowym Jorkiem, nostalgia za ukończoną wojną lub marzeniem, które się rozwiało.

– Od prawie dwóch lat ma kłopoty z oddechem i dokucza mu ból w klatce piersiowej. Nie chciał was martwić, więc trzymał to w tajemnicy. Twoja matka o tym wiedziała, ale nikt poza nią. Jeśli będzie się oszczędzał, pożyje jeszcze jakiś czas, jednak nie da się go z tego wyleczyć.

Roderick omal nie przejechał czerwonych świateł.

– Może można by jeszcze…

– Nic nie możesz na to poradzić.

– Czy naprawdę nie ma żadnego sposobu? Davidzie, przecież możemy mu zapewnić najlepszą opiekę na świecie! Ktoś musi mu pomóc. A co z tym szwajcarskim lekarzem, u którego była matka? Tym z Bazylei?

Bookbinder wyrzucił cygaro przez okno i pokręcił głową.

– Ale przecież nie możemy…

Bookbinder znów pokręcił głową.

– W tej sprawie pozostało nam tylko jedno do zrobienia: nie puszczać pary z gęby. Nie chciałem ci teraz o tym mówić, ale sam chciałeś to wiedzieć. John o tym nie wie, Hope też nie. Poradziłem twojemu ojcu, żeby im nic nie mówił.

Roderick nic na to nie odpowiedział.

– Zastanawiam się, co będzie dalej – dodał Bookbinder. – Choroba twojego ojca to bardzo smutna sprawa, ale musimy zachować spokój. Jeśli nie będziemy ostrożni, znajdziemy się w bardzo nieprzyjemnej sytuacji…

– Nie sądzisz, że John i Hope mają prawo o tym wiedzieć? – spytał Roderick.

Bookbinder odchrząknął.

– Oczywiście, że mają prawo wiedzieć. Uważaj na tę ciężarówkę, Roddy. Oczywiście. Ale chyba

lepiej, żeby nie dowiadywali się o tym w tej chwili, kiedy mamy problemy ze spadkiem.

– Nie mamy żadnych problemów – odparł Roderick. – Wszyscy troje dysponujemy taką ilością środków na rachunkach powierniczych, że zatopiłyby pancernik.

Bookbinder wyjął chusteczkę i odkaszlnął.

– To prawda, Roddy. Ale musimy się zastanowić, czy rachunki powiernicze to najlepsze rozwiązanie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Bookbinder starał się być delikatny. Mówił powoli, składając małe dłonie, jakby trzymał w nich niewidzialny puchar.

– Każda fortuna, która przechodzi z ojca na syna, jest narażona na pewne ryzyko. Podatek od spadków to pierwsze oczywiste ryzyko. Przekonali się o tym na własnej skórze Fordowie. Dopóki nie ustanowili fundacji, groził im podatek spadkowy w wysokości dziewięćdziesięciu jeden procent od pięćdziesięciu ośmiu i pół procenta wartości holdingu, a dziewięćdziesiąt jeden procent od siedmiuset milionów dolarów to nie w kij dmuchał.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

– Są też inne problemy. Jeśli rozproszysz fortunę ojca, żeby uniknąć podatku spadkowego,

narażasz się na ryzyko, że nigdy więcej jej nie scalisz. Rozproszony pieniądz znika w różnych fundacjach i funduszach powierniczych, podobnie jak to się stało z dziedzictwem Rockefellerów. Nie wydaje mi się, abyś chciał, żeby coś takiego dotknęło Corneliusów…

– Wciąż nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz.

Bookbinder uśmiechnął się lekko.

– Wiem, że na razie tego nie widzisz. Mam na myśli pewną relokację funduszy. Czy nie wolałbyś połączyć ze sobą wszystkich rachunków powierniczych i udziałów w akcjach trustu Corneliusa, aby kierowała nimi jedna silna ręka, zamiast dzielić go na kawałki?

Roderick zmarszczył brwi, ale nic nie odpowiedział.

– Nie wolałbyś przejąć całego zaprzęgu, zamiast oddawać Johnowi i Hope najlepsze konie, na których pogonią za swoimi mirażami? Nie sądzisz, że tak byłoby mądrzej i bezpieczniej dla wszystkich?

Roderick popatrzył na Bookbindera, próbując odgadnąć, co kryje się w jego głowie.

– W zasadzie masz rację – mruknął po chwili. – Ale jak to zrobić? I co na to powiedzą John

i Hope? Przecież te pieniądze należą również do nich. Może są młodsi ode mnie, ale nie głupi.

Bookbinder rozparł się wygodnie na siedzeniu pasażera.

– Nie mówię, że są głupi. Ale jestem przekonany, Roddy, że to właśnie ty powinieneś zarządzać całą fortuną. Spójrz na siebie. Z całej waszej trójki najbardziej przypominasz ojca. Myślisz, że Johann Cornelius stworzył to imperium tylko po to, żeby się rozpłynęło?

Jechali na wschód Pięćdziesiątą Dziewiątą, do hotelu Plaza. Niebo nad Central Parkiem było burzowe, zaciągnięte chmurami. Drzewa kołysały się na wietrze i stroszyły liście. Roderick zatrzymał się przy wyłożonym dywanem chodniku i zaciągnął hamulec.

– Sam nie wiem, Davidzie – powiedział. – Pozwól mi się nad tym zastanowić, dobrze?

Bookbinder zapiął płaszcz.

– W porządku. Masz kilka dni. Ale pamiętaj o tym, w jakim stanie jest twój ojciec, Roddy. Nie możesz odsuwać tej sprawy w nieskończoność. Nie ma tyle czasu.

♦ ♦ ♦

Tego samego deszczowego popołudnia John Cornelius leżał w cichym mieszkanku przy Wschodniej Pięćdziesiątej na niebieskim jedwabnym okryciu podwójnego łóżka i palił tureckiego papierosa. Słyszał stukający o szybę deszcz, przeciągłe trąbienia klaksonów i hałas silników samochodowych, ale gdy obserwował cienką koronkę dymu, unoszącą się ku ozdobnemu gipsowemu sufitowi, wydawał się głęboko pogrążony w myślach.

Był nagi. Miał dwadzieścia osiem lat, niski wzrost, ciężką budowę, cerę ciemniejszą niż Roderick i kanciastą twarz irlandzkiego futbolisty. Jego pokryte znikającą opalenizną ciało porastały czarne włosy, miał też krótkie, grube i owłosione palce, a na podbródku widniał cień zarostu. Biła od niego prymitywna, lecz niepozbawiona atrakcyjności siła, i jednocześnie emanował wyrafinowaniem, rozluźniony jak pływak unoszący się na wodzie w basenie przy drogim ośrodku wypoczynkowym. Każdy jego ruch był precyzyjny i pełen wdzięku.

Apartament, w którym przebywał, był niewielki, ale luksusowo wyposażony. Podłogę pokrywały grube brązowe dywany, ściany obito tapetami z bladego, mieniącego się jedwabiu. Przy drzwiach sypialni wisiał Picasso z okresu

różowego, smutny *Arlekin na koniu*. Zagłówek mahoniowego francuskiego łóżka zdobiły elegancko rzeźbione kwiaty i liście. Pokój przenikała silna woń perfum Guerlaina i egzotycznego tytoniu.

Zza drzwi dobiegł głos dziewczyny:

– John? Gdzie teraz jesteś?

Zgasił papierosa w srebrnej popielniczce w stylu art nouveau.

– U Getty'ego. Właśnie przedstawiam J.K. Carterowi bardzo ciekawą propozycję. Ta propozycja dotyczy rafinerii w Port Arthur. A on gapi się na mnie z tą swoją wiecznie zdziwioną miną i kiwa głową jak osioł.

Rozległo się stukanie drewnianych sandałków i w drzwiach sypialni pojawiła się dziewczyna o słowiańskiej urodzie, brunetka o kręconych włosach, lekko skośnych piwnych oczach i mocno zarysowanym podbródku. Miała na sobie haftowaną różową koszulkę nocną z lśniącego jedwabiu. Dzwoniąc kostkami lodu, niosła dwie zmrożone szklanki z koktajlem. Nazywała się Mara Malinsky i był to jej trzeci tydzień w tej dzielnicy. Drobne piersi dziewczyny kołysały się pod jedwabiem, gdy podchodziła do łóżka.

– Czy J.K. Carter zaakceptuje twoją propozycję? – spytała, siadając obok Johna. – A może powie: „Johnie Cornelius, wracaj do swojego miłosnego gniazdka i zrób Marze Malinsky wszystko, na co zasługuje, i jeszcze kilka rzeczy, na które nie zasługuje”?

John potarł podbródek, udając namysł.

– Nie – powiedział w końcu. – Zaakceptuje moją propozycję.

Mara zemściła się na nim, stawiając zimne szklanki na jego owłosionych piersiach. Zaskowyczał jak szczeniak i przewrócił się na bok, wylewając na siebie część martini z ginem. Mara szybko odstawiła szklanki na marmurowy nocny stoliczek i ze śmiechem rzuciła się na Johna. Turlali się po łóżku, całowali i siłowali ze sobą. John poczuł pod rękami jej nagie pośladki, gdyż koszulka powędrowała na wysokość talii, i spojrzał w jej oczy barwy łupin migdałów. Rozchyliła usta, wilgotne i gotowe do pocałunku. Powoli uniósł głowę i pocałował ją. Przejechała palcami przez jego gęste, ciemne włosy i odpowiedziała na pocałunek, liżąc mu zęby jak dziecko sopel lodu.

Patrzył na nią długo. Przyćmione światło sprawiało, że całe popołudnie wydawało się długim miłosnym filmem. Kochankowie miotają

się w pościeli, a kiedy jest już po wszystkim, naga dziewczyna idzie przez pokój, smukła i delikatna, o przegubach i kostkach u nóg tak szczupłych, że trudno byłoby znaleźć bransolety, które by się z nich nie zsunęły. Potem słychać szum wody w bidecie, gdy nad nim przykuca, by wypłukać nasienie partnera.

– Puścić jakąś muzykę? – spytała Mara. – Masz ochotę czegoś posłuchać?

Uśmiechnął się i dotknął palcem czubka jej nosa.

Wstała z łóżka, obciągając jedwabną koszulkę. Jeszcze nie przywykła do wyuzdania. „Byli ze sobą” dopiero piąty raz i nadal nie czuła się zbyt pewnie. Podeszła do politurowanej szafki z gramofonem i uniosła pokrywę. Przyglądał się jej, machinalnie przesuwając rękę po swoim owłosionym brzuchu.

– Wiesz, kogo mi przypominasz?

Podniosła wzrok. Przyćmione październikowe światło dotknęło jej oczu i nagle stały się przezroczyste jak krwawnik.

– Nie – odparła. – Kogo?

– Pewną kobietę, którą widziałem, kiedy byłem z matką we Francji. Miałem dopiero dziesięć lat. Dziesięć albo jedenaście. Poszliśmy na plażę w Arromanches. Było zimno i szaro.

Widoczny był tylko przybrzeżny pas wody. Na wydmie siedziała kobieta z chustką na głowie, której towarzyszył facet w marynarce w paski i jazgotliwy jamnik. Jadła tort truskawkowy i piła wino ze szklanki. Natychmiast się w niej zakochałem. Dopiero teraz dotarło do mnie, że wyglądasz tak samo jak ona.

Pochyliła głowę, żeby przeczytać naklejkę na płycie, którą puszczała.

– We mnie też się zakochałeś? – spytała.

Zakręciła korbką i uniosła ciężkie ramię, sprawdzając, czy igła jest ostra. Nie popatrzyła na Johna.

Uniósł się na łokciu.

– Uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że tak?

Zastanowiła się nad tym.

– Nie – odparła. – Tak naprawdę to chyba nie.

– A chciałabyś, żebym się w tobie zakochał?

Wzruszyła ramionami.

– To, czego bym chciała, a to, co mogę mieć, to dwie różne sprawy. Zresztą myślę, że nie mógłbyś się we mnie zakochać. Wcale nie przypominasz trylionera, ale jesteś nim, prawda? Potrafisz romantycznie nawijać, jednak zachowujesz się bardzo trylionersko.

– Czyli jak? Co takiego trylionerskiego ostatnio zrobiłem?

W pokoju zabrzęczała muzyka Duke'a Ellingtona, *Ev'ry Hour on the Hour I Fall in Love with You*. Mara zawirowała wokół łóżka, unosząc koszulkę, której rękawy pofrunęły w górę.

– Ulokowałeś mnie w gniazdku jak ze snu – powiedziała. – Kupiłeś mi samochód. Starasz się natychmiast spełnić każdy mój kaprys. Wystarczy, że powiem: „Mam ochotę na małże z patelni", i zaraz są!

Roześmiał się.

– To wcale nie trylionerstwo. Chodź tu, to ci powiem, na czym polega trylionerstwo. Naprawdę chcesz wiedzieć?

Wskoczyła na łóżko obok niego.

– Założę się, że to nudy – powiedziała, mrugając wyzywająco. – Założę się, że bycie trylionerem to takie nudy, że musisz wynajmować specjalnych lokai, żeby zasłaniali ci usta, kiedy ziewasz.

– Jeśli masz na myśli mojego brata Rodericka, trafiłaś w dziesiątkę. Roddy jest najbardziej zagorzałym, najbardziej konserwatywnym trylionerem, jakiego znał świat. Poza tym jest okropnie skąpy. Kradnie papeterie w tanich hotelach i ręczniki na dworcach autobusowych. To jedyny trylioner, który ma papier toaletowy

z nadrukiem „Własność Skarbu USA”. Podczas ostatniej wizyty u mnie też zabrał kilka rolek.

– Znów sobie kpisz – nadąsała się Mara. Sięgnęła po szklankę i pociągnęła długi łyk. Położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. – Założę się, że Roddy to najlepszy i najbardziej szczodrobliwy facet na świecie.

John skrzywił się lekko.

– Prawdę mówiąc, masz rację. Rzeczywiście jest najbardziej szczodrobliwym facetem na świecie. Niedawno dał swojego ostatniego pączka krytykowi kulinarnemu.

– Czuję, że go nie lubisz.

– Nie, to nieprawda – odparł John, pociągając drinka. – Czemu miałbym go nie lubić? To taki starszy brat, za którego młodsi bracia daliby sobie rękę uciąć. *Ma chère* Mara, musisz zrozumieć jedno… Kiedy jesteś dziedzicem i członkiem zarządu w takiej korporacyjnej machinie jak imperium Corneliusa, wspierasz rodzinę bez względu na wszystko, bo nigdy nie wiesz, gdzie kończy się powinowactwo, a zaczynają pieniądze.

Odwróciła się i przyjrzała mu uważnie, jakby był jakąś niezwykłą rzeźbą.

– Nigdy nie czujesz się samotny? – spytała.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To jedna z największych bzdur o ludziach z grubymi portfelami, w które lubią wierzyć ludzie z cienkimi portfelami. Kiedy jesteś bogaty, nie możesz być samotny. Chyba że jesteś odludkiem. Mój ojciec nie jest może zbyt towarzyski, ale kiedy był młodszy, zachowywał się inaczej. Jeśli masz nieograniczone rezerwy pieniędzy, możesz spotykać się, z kim chcesz, możesz urządzać przyjęcia i kolacje, kiedy chcesz, i możesz latać wszędzie, gdzie tylko chcesz. Wiesz, że mam własny samolot?

– Własny? To znaczy jest twój?

– Pewnie. Ale to nic takiego. Roddy ma ich pięć. Trzyma je wszystkie w wielkiej szopie w Wirginii i zawsze kiedy tam jest, gapi się na nie godzinami. To samolotowy bzik.

Usiadła na łóżku.

– Może chciałbyś posłuchać innej płyty?

– Wszystkiego, na co masz ochotę.

Podeszła do gramofonu.

– To naprawdę budzi we mnie strach – mruknęła, grzebiąc w płytach.

– Strach? Co takiego?

– Te wszystkie twoje pieniądze.

– Przecież nie wymachuję ci nimi przed nosem.

– Bo nie możesz.

Nic na to nie odpowiedział. Sięgnął po złotą papierośnicę i wyjął płaskiego tureckiego papierosa. Przypalił go błyszczącą złotą zapalniczką i wydmuchnął w powietrze kłąb niebieskiego dymu.

Mary położyła stalową igłę na płycie z *I Can't Put My Arms Around a Memory*. Gdy znowu odwróciła się do Johna, uśmiechała się z rezygnacją.

– Kiedy mnie poderwałeś, wiedziałam, że nie możesz się ze mną pokazywać. Ale to wszystko wydaje mi się takie dziwne… Musisz być bogaty, bo jesteś Johnem Corneliusem. Ale nie mogę uczestniczyć w twoim życiu i nie wiem, dlaczego jesteś bogaty ani dlaczego sprawia ci to przyjemność. Muszę siedzieć w tej… wieży z kości słoniowej i oglądam cię tylko wtedy, kiedy jesteś całkiem goły.

Ponownie się zaciągnął i wypuścił dym z ust.

– W takim razie oglądasz mnie w najlepszej postaci.

Pokręciła głową.

– Straszny z ciebie zarozumialec. Jestem pewna, że prezentujesz się znacznie lepiej, kiedy jesteś ubrany.

Przez jakiś czas palił w milczeniu.

– Dziwna z ciebie dziewczyna, Maro – powiedział w końcu.

Nie popatrzyła na niego. Nie odrywała wzroku od wirującej płyty. Igła syczała, a tuba śpiewała urywanymi głosami trąbek i puzonów.

John wstał z łóżka, podszedł do niej i pocałował ją w kark. Spowiły ich kłęby papierosowego dymu, jak postacie kochanków na walentynkowych pocztówkach.

– Obiecuję, że kiedy Irene i dziewczynki pojadą na południe, zabiorę cię do miasta – oświadczył. – Najpierw będzie Starlight Roof w Waldorfie. Co ty na to?

Odwróciła się, wydymając usta.

– Żartujesz sobie ze mnie. Nigdy tam nie chodzisz.

– Ależ chodzę. Byłem tam w zeszłym tygodniu i tańczyłem z Hedy Lamarr.

– Kłamca.

Uśmiechnął się szeroko.

– No, może trochę. Ale jest masa lokali, do których mogę pójść i nie będę rozpoznany. Nie jestem gwiazdorem filmowym, więc nikt mnie nie rozpozna.

– Ja też pewnie cię nie rozpoznam – stwierdziła. – Kiedy się spotykamy, zawsze jesteś nagi jak Adam, kiedy go Bóg stworzył.

Musnęła go czule po ramieniu, zataczając kręgi czubkami palców. Rozejrzała się ze smutkiem po pokoju, jakby widziała w nim cienie przyszłości. Westchnęła.

– Chyba za późno się poznaliśmy – mruknęła. – Mogę mieć na chwilę twoje ciało, ale to wszystko. Nigdy nie będę częścią twojego życia.

– Nie musisz być zazdrosna o moją żonę – powiedział, marszcząc brwi.

– Ale jestem. Ona może dzielić z tobą życie, dom, dzieci. Może być przy tobie na przyjęciach i przejażdżkach, a ja?

John zgasił papierosa w popielniczce. Światło popołudnia gasło, było tak blade, jakby przedzierało się przez liczne warstwy białego muślinu.

– Kiedy Irene pojedzie na południe, nie ma powodu, żebyśmy nie wydali kolacji – powiedział John. – Mam mieszkanie przy Wschodniej Osiemdziesiątej Drugiej i letni dom w Hamptons.

– Masz na myśli dyskretną kolację? – spytała Mara. – Dla kilku zaufanych przyjaciół?

– A jak myślisz, dla kogo? Dla redaktora z „New York Post”?

– John, nie traktuj mnie jak dziecko… – jęknęła. – Mam dwadzieścia jeden lat. Jestem dorosłą kobietą i chcę być traktowana jak

dorosła kobieta. Nie możesz mnie tu zamknąć na resztę życia i wykorzystywać, kiedy tylko ci się zachce. Muszę mieć możliwość uczestniczenia w tym, co robisz. Musisz dać mi szansę… a nie mogę tego zrobić, kiedy mnie tu ukrywasz.

– Na pewno coś da się wymyślić – mruknął.

Popatrzyła na niego.

– Czy któryś z twoich znajomych ma kochankę albo utrzymankę? Chyba to by ich tak bardzo nie zszokowało.

– To nie kwestia szokowania ludzi.

– Więc co? Jeśli to nie kwestia szokowania ludzi, dlaczego nie możemy zjeść kolacji z twoimi znajomymi? Poczekaj, aż Irene pojedzie na południe, i wydaj kolację. Zawsze możesz powiedzieć, że jestem twoją kuzynką z Holandii czy kimś takim.

John usiadł na krawędzi łóżka i ze znużeniem przeczesał włosy dłonią.

– Czy masz pojęcie, kim są moi znajomi? – zapytał.

Chciała, żeby na nią popatrzył, ale nie zrobił tego.

– Myślę, że to bogacze – powiedziała bezradnie. – Du Pontowie i tacy jak oni.

Kiwnął głową.

– W ubiegłym tygodniu wydałem niewielką kolację na osiemnaście osób. Byli na niej książę i księżna Windsoru, Clara Bell Walsh, Harvey Firestone junior, sir James i lady Dunn, a także gromadka innych ludzi, których nazwiska może obiły ci się o uszy. Na przykład Howard Hughes… To właśnie moi znajomi.

– Książę i księżna Windsoru? Znasz ich?

Popatrzył na nią.

– Poznałem ich przez Roddy'ego. Książę przepada za szkockim łupaczem, a Roddy zna pilota, który w każdej chwili może go dostarczyć.

– Przepada za łupaczem? – powtórzyła Mara.

– Zgadza się. I za słonkami z wody, jeśli cię to interesuje.

– Znowu kpisz sobie ze mnie. Wymigujesz się.

– To nie jest wymigiwanie się. Bardzo cię lubię, Maro, i chcę, żebyś była ze mną. Ale nie mogę łazić z tobą po mieście, uwieszoną na moim ramieniu, bo mam obowiązki wobec rodziny, właścicieli akcji i wszystkich innych ludzi, z którymi jestem związany.

Zaszurała sandałkami po miękkim dywanie.

– W twoich ustach to brzmi tak jakoś… bezwzględnie.

Widziała, że jest rozdrażniony. Nie chciał powiedzieć tego, co powiedział, ale go do tego

zmusiła. Oboje wiedzieli, że pieniądze i reputacja to nieodłączne elementy jego życia, i że wszystko, co robi – każdy uśmiech, każdy pocałunek czy inny przejaw miłości – jest od nich uzależnione.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Przepraszam – szepnęła.

Uśmiechnął się i ujął ją za rękę.

– To nie twoja wina. Wiem, że mi źle nie życzysz. Jesteś uroczą dziewczyną, Maro, i póki będę mógł, pozostanę przy tobie.

– Tak bardzo różnię się od Irene?

Płyta się skończyła i w pokoju zapadła cisza. Przez okno wpychał się mrok wczesnego popołudnia i John miał ochotę zapalić lampę, ale nie wiadomo czemu się ociągał. Może dlatego, że robiąc to, przyznałby, iż ich wspólny czas z Marą dobiega końca. Stojący na kominku mały szwajcarski zegar zasygnalizował delikatnym gongiem, że jest wpół do trzeciej po południu. Deszcz stukał o szybę, jakby ktoś rzucał w nią rodzynkami.

– Irene jest bardzo ładna – stwierdziła. – Widziałam jej zdjęcia. I tchnie takim niezwykłym spokojem.

Pokiwał głową.

– Owszem, jest spokojna. Ale można być za spokojnym. Jeśli ktoś jest zbyt spokojny, to

niewiele różni się od mumii.

– Czy nigdy nie jest… rozluźniona?

John wstał i podszedł do gramofonu. Przez chwilę przyglądał się wirującej płycie.

– Wierzy w zdrowy tryb życia – odparł. – Pływa, jeździ konno, gra w tenisa. Jest perfekcyjna w każdym calu i ma perfekcyjnych znajomych, z którymi utrzymuje perfekcyjne stosunki. Jest znakomitą panią domu i nie ma gościa, który nie podziwiałby jej wspaniałego gustu, jeśli chodzi o dobór tapet. Jest też dobrą matką. Pięknie ubiera bliźniaczki i gdyby potrafiły już mówić, spytałyby, czy mogą iść się pobawić z dziećmi Vanderbiltów.

Mara spuściła wzrok.

– Więc dlaczego ja? – spytała.

Zapadło niezręczne milczenie.

– Wiem, co o mnie myślisz – powiedział w końcu John.

– Co takiego?

– Myślisz, że jestem sfrustrowanym mężem, chwilowo wypędzonym z łóżka przez bachory i szukającym rozrywki po pracy.

Nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Podszedł do niej i ukląkł. Członek zwisał mu między owłosionymi udami niczym jakiś dziwny owoc.

– Myślisz, że tak naprawdę wcale cię nie kocham i kiedy się tobą znudzę, zostawię cię i poszukam sobie jakiejś innej dziewczyny. Myślisz, że jestem bałamutny, bezczelny, zepsuty i wygłodzony seksualnie.

Pochyliła się, popatrzyła mu z bliska w oczy i pogładziła go po uchu.

– Zgadza się – potwierdziła. – Tak właśnie myślę.

Trwali tak przez chwilę twarzą w twarz, a potem John wstał.

– Zmień płytę, a ja przygotuję drinka i wzniesiemy toast.

– Za co?

– Nie wiem. Chyba za ciebie i za mnie. Za pogodę. Za nowy kapelusz prezydenta Trumana. Za wszystko, co chcesz.

Wyciągnęła ręce, by pomógł jej się podnieść. Uniósł ją i mocno przytulił. Miała szczupłe, niemal dziecięco drobne ciało, ale pełne intensywnego erotyzmu. Właśnie ten kontrast sprawiał, że tak bardzo go podniecała. Była jak dziecko, które właśnie odkryło seks i rozkoszuje się nim bez umiaru, nie oglądając się na moralność. John, wychowany w surowym reżimie, w którym nie było mowy o opuszczeniu niedzielnej mszy, mając matkę krytycznie

nastawioną wobec każdej piosenki czy opowieści choćby sugerujących istnienie świata zmysłów, ożywał przy Marze jak smagnięty prądem.

– Nie potrafię się przy tobie zachowywać spokojnie – powiedział cicho.

Pocałowała go.

– Ja też nie.

Gdy ruszyła zmienić płytę, poklepał ją po drobnych pośladkach.

– Przygotuję wspaniałego drinka – oświadczył, sięgając po zielony jedwabny szlafrok. – Wymyślił go król Hiszpanii Alfons w barze dla panów w paryskim Ritzu.

Zniknął na chwilę w niewielkiej kuchni i wrócił ze srebrną tacką. Stał na niej srebrny kubełek z pokruszonym lodem, z którego wystawała ciemnozielona butelka szampana Moët & Chandon's Dom Pérignon, rocznik 1934. Obok stały dwa srebrne pucharki i butelka koniaku Remy Martin.

– Szampan? – zdziwiła się Mara. – Na Boga, gdzieś go schował?

John postawił tackę na stoliczku w stylu Bauhaus i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zaraz po przyjściu ukryłem go w szafce z garnkami. Przez cały czas, kiedy się pieściliśmy, to cudo się schładzało.

Wyjął butelkę szampana z lodu, odwinął folię i wyciągnął korek. Wytrawna piana spłynęła do pucharków i kiedy się napełniły, dodał do nich trzy duże miarki koniaku.

– Zaczekaj… – powiedział. – Omal nie zapomniałem o truskawkach.

Mara się roześmiała.

– Truskawki i szampan? Musisz przyznać, że to trylionerstwo!

John wyszedł z kuchni, niosąc przewiązaną różową wstążką kobiałkę, pełną świeżych truskawek.

– To nie trylionerstwo, ale coś, co nazywamy taplaniem się w korytku.

Z gramofonu sączył się powolny, przesłodzony jazz. Kiedy usiedli na łóżku, John wręczył Marze pucharek i sięgnął po drugi. Dziewczyna zajrzała w głąb naczynia i na jej twarzy zamigotały refleksy światła.

– Pachnie absolutnie cudownie – powiedziała. – Jak pieniądze w płynie.

– Wiesz, jak ten drink się nazywa? Śmierć Króla – dodał John. – Powinno się go wypić kilkoma łykami, a potem zjeść truskawki.

Zachichotała.

– Spróbujemy?

– Musimy.

– Chcesz coś powiedzieć, zanim go wypijemy?

Pokręcił głową.

– Możesz powiedzieć: „Kocham cię”.

Mara delikatnie zakręciła zawartością pucharka i przez chwilę przyglądała się rozmigotanym bąbelkom.

– Chciałabym wypowiedzieć życzenie.

– W porządku. Mów, czego pragniesz.

– To tajemnica, więc nie powiem go na głos. Ale chyba wiesz, o co mi chodzi.

Opróżnił swój pucharek. Szampan był bardzo zimny i John miał wrażenie, że jego zęby zamieniają się w pianę. Zaraz jednak koniak rozgrzał mu gardło i wytrawny smak zastąpiła słodycz.

– Tak – mruknął. – Wiem.

Zanim Roderick skończył lunch w Plaza i Celia namówiła go, by zabrał małego Victora do parku powozem znajomej, John i Mara upili się i ogarnęło ich takie pożądanie, że kochali się raz po raz, czasem padając bez tchu, mimo iż byli dopiero w połowie, a czasem zatrzymując się na samej krawędzi spełnienia. Całowali się, szeroko otwierając usta, i wyczyniali najbezwstydniejsze rzeczy językiem, orali się nawzajem paznokciami, jakby chcieli się rozszarpać, i kończyli bardzo wolno, w tempie wtaczającej

się na stację lokomotywy. Potem Mara wciskała twarz w błękitną kołdrę i jęczała z rozkoszy, a John ciężko dyszał, opierając się o zimną szybę.

♦ ♦ ♦

Hope jak zwykle była rozdrażniona. Za każdym razem, gdy pojawiała się w salonie – a zrobiła to pięciokrotnie – Edward siedział w wielkim, obitym brązowym brokatem fotelu, trzymając przed sobą „The Wall Street Journal" i powoli przeżuwając wiadomości rynkowe.

W końcu, parskając ze złości, uderzyła pięścią w gazetę.

– Jest tam kto? – warknęła. – A może wszyscy posnęli?

Edward potrząsnął gazetą, żeby ją wyprostować.

– Wcale nie śpimy, tylko czytamy.

Hope cmoknęła z irytacją.

– Podejrzewam, że losy Ohio Oil Company są o wiele ciekawsze niż to, co będziemy dziś jeść na kolację – wycedziła, ale Edward nawet nie drgnął. – Podejrzewam, że ceny akcji Sears-Roebuck interesują cię o wiele bardziej niż własna żona.

Opuścił róg gazety i popatrzył na nią.

– Zapoznaję się z najświeższymi wiadomościami. Czy to taka zbrodnia, że mężczyzna chce przeczytać wiadomości we własnym domu?

Hope pokręciła głową.

– No proszę! – prychnęła. – Teraz przynajmniej wiem, co jest dla ciebie naprawdę ważne.

– Co?

– Muszę zorganizować całą dzisiejszą kolację, dopiąć wszystkie szczegóły, a ciebie stać tylko na to, żeby siedzieć na tyłku i czytać wczorajsze gazety. To jest dla ciebie ważne, Edwardzie Drugi!

Wzruszył ramionami i powrócił do lektury. Ale Hope nadal stała przed nim, stukając butem w parkiet podłogi i patrząc na niego z gniewem.

W końcu znowu opuścił róg gazety.

– Życzysz sobie czegoś? – spytał.

– Och! – zawołała. – Wreszcie zauważyłeś, że tu jestem!

– Owszem, zauważyłem – odparł. – Musiałbym być głuchy, ślepy i sparaliżowany, żeby cię nie zauważyć. Czego chcesz?

– Boże… – jęknęła, teatralnie unosząc ręce. – Jesteś niemożliwy!

Opuścił gazetę na kolana.

– Nie jestem niemożliwy, tylko próbuję znaleźć dla siebie chociaż dziesięć minut na lekturę. Czy to zbyt wiele?

– Edwardzie, jak długo jesteśmy małżeństwem? – spytała.

– Wydaje ci się, że zbyt długo?

– Cztery miesiące – powiedziała. – W ostatni czwartek minęły cztery miesiące.

– I co?

– I ty siedzisz tutaj, czytając gazetę, zamiast mi pomóc! To nie jest dowód miłości, prawda?

Podrapał się po czole.

– Ale może być. To zależy od tego, czy utożsamiasz miłość z pieniędzmi.

– W ogóle nie utożsamiam jednego z drugim!

– Tak, ty może nie. Nie musisz się przejmować pieniędzmi, a ja muszę.

– Co to ma znaczyć? Po prostu nie sądzę, że miłość może być tym samym co pieniądze, a pieniądze tym samym co miłość, to wszystko. Myślę też, że mam wystarczające doświadczenie, aby mówić o jednym i drugim.

– Nie zaprzeczam.

– Więc o co ci chodzi? Jaki według ciebie może być związek między miłością i dolarami? Edwardzie Secker, jesteś człowiekiem czy maszyną do liczenia?

Znów podniósł gazetę.

– Znalazłem tu bardzo ciekawe informacje dotyczące Daylong Oil z Ohio.

Hope popatrzyła na niego z niedowierzaniem, wydęła policzki i złapała się za głowę.

– Wiedziałam! – krzyknęła. – Poślubiłam finansowego maniaka!

Uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu nie było rozbawienia.

– Gdybyś mnie uważniej słuchała, zamiast wyciągać pochopne wnioski, może udałoby ci się zrozumieć, co próbuję ci powiedzieć.

– Nie mam czasu na słuchanie – oświadczyła. – Muszę zająć się żółwiami. Muszę sprawdzić, czy dostarczono kuropatwy, i pokazać tej durnej kucharce, jak się robi nadzienie do gęsi. Ale przecież ciebie to w ogóle nie obchodzi.

Wzruszył ramionami.

– W porządku, jeśli musisz iść, to idź. Żółwie nie mogą być przecież pozbawione towarzystwa w naszym domu. Kiedy przeczytam gazetę, zejdę na dół i wybiorę wina.

W drzwiach pokoju zjawiła się blada dziewczyna w długim białym fartuchu. Nieśmiało zapukała i powiedziała:

– Przepraszam, pani Secker, dzwoni pani matka.

Hope po raz ostatni rzuciła Edwardowi pełne urazy spojrzenie i sztywno wymaszerowała z pokoju. Edward odprowadził ją lekko rozbawionym spojrzeniem i pokręcił głową.

Jego małżeństwo z Hope było jednym z tych dziwnych związków, które miały szansę przetrwania właśnie dzięki odmienności partnerów. Kiedy się poznali, Hope nadal była odizolowana od dobrego towarzystwa i czekała, aż ostatnie paskudne wspomnienie o jej skandalicznym rozwodzie z Martinem Landseerem pójdzie w niepamięć. Większość swojego wygnania spędzała na wyspie Lynwood i w Bostonie. Wychodziła z domu ubrana w surowe czernie i granaty i prawie zawsze w woalce. Jak wiele kobiet potępionych przez socjetę, próbowała odbyć publiczną pokutę, działając w towarzystwach dobroczynnych. Właśnie przewodnicząc spotkaniu Towarzystwa Przyjaciół Weteranów na Lynwood, trafiła na Edwarda Seckera.

Miał trzydzieści sześć lat, był wysoki, grubokościsty i lekko się garbił. W okularach do czytania przypominał F.D. Roosevelta. Miał taką samą dużą twarz, wysokie czoło i takie same małe, przenikliwie patrzące oczy. Kiedy Hope go

poznała, zażartowała, że gdy siada, pewnie musi się składać jak metr stolarski.

Pochodził z ciężko pracującej rodziny Seckerów z Wirginii, uprawiającej wysokogatunkowe tytonie. Jego ojciec, jednonogi plantator o wielkich siwych wąsach, wysłał syna na prawo do Harvardu, dzięki czemu Edward mógł zostać młodszym wspólnikiem w kancelarii Donleavy'ego i Settle'a na Wall Street. Był skrupulatny i rzeczowy, ale miał w sobie mnóstwo energii, która pomogła Hope otrząsnąć się z porozwodowej depresji. Jego entuzjazm do żeglarstwa, pływania i golfa dodał jej życiu nowych barw.

Małżeństwo dało Hope znacznie więcej, niż oczekiwała. W maju skończyła dwadzieścia sześć lat i była klasycznym wybuchowym Bliźniakiem. Drobna i śliczna jak kiedyś jej matka, miała tylko jedną charakterystyczną cechę Corneliusów – gwałtowny temperament. Jej duże piwne oczy często były podkrążone, a trójkątna twarzyczka zdradzała wewnętrzny niepokój, wyraźnie widoczny na fotografiach i w chwilach, kiedy się nie pilnowała.

Poranna toaleta zwykle zajmowała jej kilka godzin. Tego przedpołudnia, przygotowując się do rodzinnej kolacji w Marchings, ogromnej

rezydencji na Long Island, włożyła ciemnozieloną wełnianą suknię z dekoltem w serek, prostymi ramionami i krótkimi rękawami. Kasztanowe włosy zaczesała w górę i zebrała zielonymi grzebieniami, a na szyję włożyła prostą szmaragdową kolię. Do kolacji przebierali się oboje, bo Edward był przywiązany do tradycji i przestrzegał form.

Prowadzili dość niezwykłe życie towarzyskie, na zmianę przeładowane i puste. W niektóre tygodnie mieli gości każdego dnia, wydawali wystawne przyjęcia dla prawników, wspólników biznesowych, ludzi filmu, wydawców, artystów i przybywających z Europy członków rodziny. Zawsze trafiali do kroniki towarzyskiej, nawet gdy Hope zajmowała się czymś tak nieciekawym jak kupowanie kapeluszy na Piątej Alei.

Kiedy indziej prawie całkowicie się izolowali i Hope godzinami przemierzała Marchings w towarzystwie dwóch rudych spanieli, brodząc wśród mokrych liści i przedzierając się przez krzewy. Szare jesienne niebo wisiało nisko nad rezydencją, zapach zimy przenikał powietrze. Podczas tych spacerów Hope często się zastanawiała, jak naprawdę będzie wyglądało jej małżeństwo z Edwardem. Jego poczucie humoru i energia pomogły jej otrząsnąć się po skandalu

z Landseerem i złagodziły uczuciowe lęki, ale co się stanie, kiedy już całkiem dojdzie do siebie? Czy w pewnym momencie nie uświadomi sobie nagle, że wyszła za Edwarda tylko z powodu braku poczucia bezpieczeństwa, że ich związek to jedynie emocjonalne uzależnienie pacjentki od lekarza?

Swojej przyjaciółce, diwie operowej Faith Schickman, powiedziała kiedyś: „Nie zamierzam spędzić reszty życia w szpitalu złamanych serc. Gdy tylko wyzdrowieję, chcę wyjść na świat”.

Ale Edward okazał się miły i serdeczny. Lubił się kochać, chociaż nie zdejmował przy tym piżamy w paski, często też całował żonę przy ludziach. Uwielbiał jazdę konną i cygara i chciał zabrać Hope na wakacje do Wirginii. Nie wyjechali nigdzie podczas miesiąca miodowego, bo miał dużo pracy, ale obiecał, że wkrótce zabierze ją do Europy i będą się kochali w Wiedniu pod księżycem.

Tego mokrego październikowego dnia wydawał się bardziej zajęty niż zwykle. Wolał zostać w domu i nadgonić papierkową robotę, zamiast jechać do biura. Spędził już kilka godzin przy telefonie, a teraz przeglądał gazetę. Hope nie interesowała się jego pracą, nie obchodziło jej, skąd pochodzą pieniądze – po prostu były

i służyły do wydawania na eleganckie ubrania, dom i przyjęcia. Służyły też do zakupów drogiej biżuterii, a czasem chroniły przed większym nieszczęściem.

Kiedy w ogromnej, wysokiej kuchni omawiała z kucharką, panią Polanski, menu kolacji, w końcu pojawił się Edward. Wielki sosnowy stół zalegały warzywa: brokuły, ziemniaki, blada rzepa i piegowate dynie. Wypolerowane miedziane rondle i ozdobne formy już były przygotowane, a podkuchenna, śliczna wesoła Murzynka o imieniu Yolande, obierała ziemniaki i siekała zioła. Seckerowie zastąpili stary zlew i kuchenkę najnowszym piekarnikiem i zmywarką Westinghouse'a, jednak kuchnia nie utraciła swojego staroświeckiego uroku.

– Skończyłeś wreszcie oglądać te swoje komiksy? – spytała Hope Edwarda.

Kiwnął głową i ukradł z emaliowanej misy czerwoną porzeczkę.

– Skończyłem, ale nie były zbyt zabawne.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Pani Polanski, orzechy mogą poczekać. O co ci chodzi, Edwardzie?

Włożył ręce do kieszeni i rozejrzał się po kuchni.

– Moglibyśmy porozmawiać gdzie indziej? Myślę, że jest coś, o czym powinnaś wiedzieć.

– Czy to naprawdę takie pilne?

– Owszem.

Westchnęła.

– W porządku. Da pani sobie z tym radę, pani Polanski? Zaraz wrócę.

Kucharka, pucołowata niewiasta o wielkich czerwonych rękach, popatrzyła na Edwarda i kiwnęła głową.

– Dam sobie radę – odparła schrypniętym głosem. – Jeśli powie mi pani, co i jak, dam sobie radę na sto dwa.

Poszli na górę i Edward skierował się do swojego gabinetu – małego, wyłożonego książkami pomieszczenia przy głównym korytarzu. Na ścianie wisiały proporczyki z Harvardu i wiosło z czasów, kiedy pływał kajakiem. Na zasłanym otwartymi książkami i stosami dokumentów biurku stał srebrny posążek przedstawiający atletę w staromodnych przydługich spodenkach.

– Usiądź – powiedział Edward i wskazał Hope brzydki fotel obity brązową skórą.

Usiadła na nim sztywno wyprostowana.

Edward zaczął grzebać w rozłożonych na biurku dokumentach.

– Czuję, że chcesz mi powiedzieć coś okropnego – odezwała się Hope. – Coś, czego wolałabym nie wiedzieć.

– Zgadza się – mruknął.

Westchnęła niecierpliwie.

– Nie jesteś bigamistą, prawda?

Zignorował to pytanie i wyciągnął ze stosu papierów kartkę pokrytą jakimiś nazwami, strzałkami, rysunkami i liczbami.

– Jest – powiedział.

Hope usiadła wygodniej i założyła nogę na nogę. Zawsze była elegancka, ale promieniowało z niej napięcie i jej znajomi często mieli wrażenie, że jest znudzona, zmęczona albo zdenerwowana wizją spóźnienia się na kolejne spotkanie. Tylko Edward nie zwracał uwagi na jej zachowanie, bo kiedy o czymś rozmyślał, nie interesował się niczym innym, a jeśli wiedział, że nie ma żadnego powodu, aby Hope mogła być znudzona, zmęczona czy zdenerwowana, w ogóle nie reagował na jej nerwowe podrygi.

Uniósł znalezioną listę i pomachał nią.

– Nie dysponuję jeszcze dowodami, ale mam bardzo jasne podejrzenia – oświadczył.

– Masz bardzo jasne podejrzenia wobec czego? Mógłbyś wyrażać się bardziej z sensem.

Złożył ręce w daszek. Mętne światło odbiło się od jednego szkła jego okularów i przez moment wyglądał, jakby był półślepy.

– Trudno to wytłumaczyć i gdybym nie został twoim mężem, chyba nigdy bym tego nie zauważył – powiedział. – Jednak kiedy spojrzy się na to, co się dzieje, z pewnego punktu widzenia, wszystko zaczyna robić nieszczególne wrażenie.

– Edwardzie… – zaczęła z rozdrażnieniem Hope.

– Nie, nie – przerwał jej. – Pozwól mi powiedzieć. To ważne dla nas obojga, ale przede wszystkim dla ciebie. Przecież to twoje pieniądze. Gdyby ktoś próbował cię okraść na ulicy, nie pozwoliłabyś, żeby mu się upiekło, prawda? Więc nie pozwól też, żeby ktoś okradł cię z twojego spadku.

– Słucham? – spytała zdziwiona Hope.

Bawiła się atletą w przydługich spodenkach, ale teraz odwróciła się do męża.

– Chodzi o twój spadek, Hope. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale ktoś próbuje cię wyzuć z twojego spadku.

Pokręciła głową i roześmiała się.

– Cóż za niedorzeczny pomysł!

Nie dał się zbić z tropu.

– Masz rację, jest niedorzeczny. Ale spójrz na te papiery. Niedorzeczne czy nie, dzieje się to pod samym twoim nosem. Szczególnie dobrze widać to na przykładzie Daylong Oil.

– Daylong? To przecież firma, którą kontroluję. Jestem jej największym udziałowcem. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Hm… tak ci się tylko wydaje.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Popatrz tutaj. Jesteś właścicielem dwudziestu trzech i dwóch dziesiątych procent akcji Daylong. Pozostałe siedemdziesiąt sześć i osiem dziesiątych procent jest podzielone między piętnastu innych udziałowców i największy indywidualny udział wynosi dziewięć procent.

– Więc w czym problem?

Zdjął okulary i przetarł je chusteczką. Bez szkieł był niemal zupełnie ślepy. Przypominał wielkiego karpia z okrągłego akwarium stojącego na przyściennym stoliku.

– Problem w tym, że jeden z mniejszościowych udziałowców właśnie sprzedał cztery procent akcji Williamsburg Associated Bank.

Hope pokręciła głową. Nie rozumiała, jakie mogą być konsekwencje tego faktu.

– Co to oznacza? Cztery procent to niewiele.

– Owszem, niewiele. Ale siedem z piętnastu pozostałych firm posiadających akcje Daylong jest kontrolowanych przez banki, zarządy powiernicze lub firmy naftowe, które kontrolowane są przez Cornelius Oil, przez oddział w Cleveland.

Hope zmarszczyła brwi.

– To oddział Roddy'ego, prawda? Roderick zarządza oddziałem w Cleveland, czyż nie?

– Masz rację. Do momentu transferu tamtych czterech procent do banku w Williamsburgu firmy Rodericka miały dziewiętnaście i jedną dziesiątą procent wszystkich akcji Daylong. Jednak tak się składa, że Williamsburg Associated Bank jest w sześćdziesięciu trzech i pięciu dziesiątych procent kontrolowany przez firmę Schuster Mills z siedzibą w Chicago, która posiada również dwa i pięć setnych procent akcji Daylong oraz jest kontrolowana przez Cornelius Oil Cleveland.

Hope popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że Roddy kontroluje moją firmę? Firmę, którą dostałam od naszego ojca?

– Właśnie – odparł. – Ale obawiam się, że nie to jest najgorsze.

– Co może być gorsze od tego? Na Boga, co mój brat próbuje zrobić?

– Pozwól, że ci to wyjaśnię. W ostatnich kilku miesiącach dokonano subtelnych zmian w strukturze własności drobnych pakietów akcji prawie każdej firmy i każdego funduszu, których jesteś częściowym posiadaczem. Za każdym razem wynik tych operacji był identyczny: Roderick przejmował kontrolę.

Hope przez chwilę milczała, a potem powiedziała:

– Daj mi papierosa.

Podsunął jej fornirowaną papierośnicę z uchwytem w kształcie miniaturowej rakiety tenisowej i podał ogień ze srebrnej zapalniczki. Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła kłąb dymu.

– Jeśli to jakiś głupi żart… – zaczęła.

Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział, tylko pokręcił głową. Wiedziała, że mówi prawdę. Lubił się przechwalać, że kiedyś udało mu się złowić u wybrzeży Florydy rekina, ale nigdy nie koloryzował ani nie żartował, kiedy mówił o finansach. Jego kancelaria prawna znana była z oschłej rzeczowości.

– No dobrze – mruknęła Hope. – A co z Bookbinderem? Ma zarządzać pieniędzmi

naszej rodziny i chronić nas przed takimi aferami. Z pewnością wie, co się wyprawia.

– Jestem przekonany, że wie. Powiem więcej, prawdopodobnie to właśnie on zapoczątkował całą tę akcję. Nie chciałbym być niegrzeczny wobec twojego brata, ale czy sądzisz, że Roderick sam mógłby wpaść na taki pomysł? Ja wpadłem na to tylko przypadkiem.

– A co z ojcem?

Edward z powrotem nasunął na nos okulary i mrużąc oczy, popatrzył na nią z powagą.

– Nie sądzę, żeby twój ojciec o tym wiedział, choć jestem święcie przekonany, że w jakiś sposób za tym stoi.

– Nic z tego wszystkiego nie rozumiem – powiedziała.

Papieros tlił się w jej palcach o pomalowanych na szmaragdowo paznokciach. Miała wrażenie – tak samo jak zaraz po rozwodzie z Martinem – że pozbawiono ją poczucia bezpieczeństwa i pewności siebie. Jeszcze rano czuła się bezpiecznie i pewnie, ale teraz wróciło tamto koszmarne wrażenie, iż ziemia usuwa jej się spod nóg. Jakby nagle się dowiedziała, że najlepsza przyjaciółka jej nienawidzi albo że kochanek nie wiadomo dlaczego zamierza z nią zerwać.

– Długo trwało, zanim poukładałem to sobie w głowie – powiedział Edward. – Rozważałem kilka możliwości… kilka przyczyn przejmowania przez Rodericka kontroli nad twoimi firmami… ale tylko jedna pasuje.

Opuścił wzrok na uszyte z krokodylowej skóry szpilki Hope, szukając odpowiednich słów. W końcu podniósł głowę i powiedział:

– Twój ojciec nie jest zdrów. – Papieros Hope zatrzymał się o cal od jej rozchylonych ust. – Był na badaniach w Lynwood Sanatorium. Wygląda na to, że już od dawna nie czuł się zbyt dobrze. Tak się złożyło, że znam jednego z tamtejszych lekarzy. Jego brat chodził ze mną na studia i byłem zaprzyjaźniony z całą rodziną. Byli mi winni przysługę, więc ten lekarz trochę nagiął etykę zawodową i przekazał mi wyniki badań twojego ojca.

– Mów dalej – ponagliła go Hope.

– Wiem, że ogłosił, że ma doskonałe wyniki, ale prawda wygląda inaczej. Ma chore serce. Lekarze uważają, że nie pozostało mu więcej niż pół roku. Może nawet mniej… Przykro mi, że to ja musiałem cię o tym poinformować, ale chyba nikt inny nie zamierza tego zrobić. Bookbinder wiedział o złym stanie zdrowia Johanna, twoja

matka też. Z jakichś powodów nie chcieli, żebyś się o tym dowiedziała.

– A Roddy wie?

– Jestem pewien, że tak. Dlatego prowadzą tę rozgrywkę, wykup przez pośredników. Roddy i Bookbinder najwyraźniej zamierzają położyć rękę na całej fortunie, zanim twój ojciec odejdzie.

– Nie mogę uwierzyć, że to prawda… – jęknęła Hope. – Ojciec zawsze nad wszystkim panował. Co się stanie, kiedy go już nie będzie? Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

Edward również sięgnął po papierosa. Nie palił zbyt często, ale teraz nagle poczuł ochotę na dymka. Już samo ukrywanie tego, co odkrył, było bardzo trudne, ale teraz wiedział, że czeka go zaciekła i nierówna walka z całą rodziną Hope, walka, w której stawką będzie finansowe bezpieczeństwo jego żony. Nie mógł liczyć na to, że będzie to zabawa w koci, koci, łapci. Znał los pierwszego męża Hope, którego Corneliusowie postanowili zniszczyć, znał też opowieści o Johannie Corneliusie i Danielu Forsterze, jedną z najtajniejszych legend Wall Street. Mówiło się tam: „Nigdy nie kąsaj Corneliusa”. Zapalił papierosa, przyglądając się zdenerwowanej żonie i zastanawiając się, czy sam też powinien się denerwować.

– A co z firmami Johna? – spytała Hope. – Dowiedziałeś się o nich czegoś? Próbują wyciąć mu ten sam numer?

– Jeszcze nie wiem – odparł. – Nie zdążyłem skompletować listy pełnomocników właścicieli akcji, ale sądzę, że tak. W niektórych przypadkach jesteście właścicielami akcji tych samych firm, więc Bookbinder i Roderick najwyraźniej chcą was powstrzymać przed połączeniem sił i osiągnięciem przewagi na walnym zgromadzeniu. To bardzo sprytna operacja. Przeprowadzono ją już teraz, aby twój ojciec mógł pobłogosławić cały ten manewr.

– Nigdy tego nie zrobi! Dostałby udaru, gdyby się o tym dowiedział!

– Niekoniecznie. To zależy od tego, w jakiej formie by mu to podsunięto. Posłuchaj, Hope… Twój ojciec ma siedemdziesiąt dwa lata i nie jest tym samym biznesmenem, jakim był kiedyś. Jest stary, trzyma się tradycyjnych metod i pamięć mu już nie służy. Musi polegać na Bookbinderze, bo nie pamięta, co wydarzyło się wczoraj. Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że Roderick i Bookbinder zamierzają przekonać twojego ojca, że powinien przekazać pakiet kontrolny Cornelius Oil Cleveland twojemu najstarszemu bratu, a to oznacza, że Roderick bezpośrednio

albo pośrednio będzie kontrolował osiemdziesiąt procent naftowego, chemicznego i stoczniowego biznesu całej rodziny. Już ma sporo udziałów w samym Cornelius Oil i w Cornelius Oil New Jersey. Nie obejmuje to firm Hester, ale odnoszę wrażenie, że Roderick jest ukochanym dzieckiem waszej matki.

Hope kiwnęła głową. Papieros parzył ją w palce, więc zgasiła go w popielniczce z napisem „Gleneagles Golf 1937”.

– Jest coś jeszcze, ale nie wiem, czy nie nazbyt popuszczam wodze wyobraźni – kontynuował Edward.

– Lepiej mi powiedz, co to takiego, bez względu na wszystko – powiedziała Hope.

– Chodzi o fundusze powiernicze. Utworzono ich kilkanaście, dla ciebie i twoich braci, prawda? Nie znam ich statutów, jednak odnoszę wrażenie, że większość z nich działa na tej zasadzie, że możecie wybierać odsetki, ale nie możecie ruszyć kapitału.

– Tak, to prawda – przyznała.

– Skoro nie możecie ruszyć kapitału, w takim razie przejdzie na twoje dzieci oraz na dzieci Johna i Rodericka.

– Tak – szepnęła.

– Ale co się stanie, jeśli nie będziesz miała dzieci? Oczywiście zawsze jest szansa, jednak co będzie, jeżeli nic z tego nie wyjdzie? Albo jeśli będziesz miała dzieci i umrą przed osiągnięciem dojrzałości?

Zmarszczyła brwi.

– W takim przypadku kapitał zostanie włączony do głównego funduszu Corneliusa.

– Który jest zarządzany przez Bookbindera?

– Tak, ale…

– Nie ma żadnych „ale”, Hope! To są fakty!

– Czy sugerujesz, że…

– Niczego nie sugeruję, jednak myślę, że sytuacja jest potencjalnie niebezpieczna. Jeśli Roderick i Bookbinder zdołaliby przejąć kontrolę nad wszystkimi odziedziczonymi przez was firmami i chcieli zawładnąć całym Cornelius Oil, to czy ci się wydaje, że zrezygnowaliby z funduszy powierniczych? Ile one są warte? Dwieście milionów? Trzysta milionów?

Hope dotknęła szmaragdów na swojej szyi.

– Nie mogą ich przejąć – powiedziała. – Nie mogą… no, nie mogą, chyba że…

Edward uniósł palec.

– Nie mogą, chyba że pozostaniesz bezdzietna, a bliźniaczki Johna nie pożyją na tyle długo, by zyskać prawo do podjęcia kapitału.

Hope przez chwilę milczała, a potem wybuchła:

– To śmieszne! Wiem, że Roddy jest niezbyt tęgi w finansach, ale… nie, to absurd! Nigdy by nikogo nie skrzywdził!

Edward palił papierosa, w ogóle się nie zaciągając, jedynie wydmuchiwał okrągłe chmurki dymu jak lokomotywka z *Dumbo*.

– Nie wydaje mi się, żeby Roderick był jakimkolwiek zagrożeniem. Jest twoim bratem. Jeśli chcesz znać moje zdanie, sądzę, że nie bardzo rozumie, co się dzieje. Ale niepokoi mnie David Bookbinder.

– David to wielki, tłusty, żydowski pluszak. Troszczy się o pieniądze Corneliusów od lat.

Edward pokręcił głową.

– Nie daj się zwieść jego poczciwemu wyglądowi. Lucky Luciano też wygląda jak najzwyczajniejszy facet.

Hope wstała i podeszła do okna. Deszcz powoli ześlizgiwał się po szkle, a drzewa i krzewy otulała mgła.

– Nie wiem, co powiedzieć… – jęknęła. – Zburzyłeś fundament, na którym opierała się cała moja wiara w życie.

Opuścił wzrok na podłogę.

– Jeszcze nie mogę tego udowodnić, jednak musiałem cię ostrzec.

– Tak, wiem. Ale co mogę zrobić? Oni wszyscy przychodzą dziś na kolację. Nawet David Bookbinder.

– Cóż, na razie musisz udawać, że niczego nie podejrzewasz. Musimy jednak odciągnąć na bok twojego ojca i przekazać mu te informacje. Kiedy się zgodzi na przekazanie akcji Cornelius Oil Roderickowi, nie będziemy mieli żadnych szans.

Hope zaczęła kreślić palcem wzory na szybie.

– Myślisz, że ci uwierzy?

Edward potarł kark.

– Nie, nie myślę. Ale tobie na pewno uwierzy.

Odwróciła się.

– Chyba nie oczekujesz, że ja mu to powiem?

– Ktoś musi.

Zapadła długa cisza, którą przerwało nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Wejść! – powiedział Edward.

Była to blada pokojówka.

– Pani Secker, zdarzył się wypadek – oświadczyła.

Hope spojrzała na męża i spytała:

– Jaki wypadek?

Pokojówka zaczerwieniła się lekko.

– Chodzi o panią Polanski… Niechcący wypuściła żółwie i wlazły pod lodówkę.

Hope przez chwilę wytrzeszczała na nią oczy, a potem roześmiała się nerwowo.

– Och, mój Boże! – zawołała. – Będą się parzyć!

♦ ♦ ♦

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że wiele lat potem Irene nie potrafiła sobie przypomnieć, czy to Ally krzyknęła pierwsza, czy Clara. Nie potrafiła też sobie przypomnieć, czy padał deszcz, czy nie, ani gdzie stała jej teściowa, gdy ona sama wybiegła na ulicę.

Spędzili tamten dzień u Johanna, w wielkim domu z brunatnego piaskowca przy Gramercy Park. John był w centrum na spotkaniu z ludźmi z Getty Oil w sprawie budowy rafinerii naftowych, ale po południu wszyscy mieli pojechać na kolację do Hope, na Long Island. Potem Johann i Hester zamierzali udać się do siebie, na Lynwood, a pozostałych szofer Bookbindera miał zawieźć z powrotem do miasta.

Irene nie przykładała wagi do rodzinnych spotkań, ale lubiła Hope i Edwarda. Poza tym

nikt od niej nie oczekiwał, że będzie się udzielać rodzinnie. Nawet John przestał nalegać, by „zaangażowała się” i „myślała po corneliusowemu”, a ponieważ często przebywał poza domem, zajmując się interesami, mogła odnowić dawne znajomości i poświęcić czas na zabawy z bliźniaczkami.

Tego popołudnia – kiedy John „załatwiał interesy z Getty Oil” w mieszkanku Mary – Irene siedziała w bibliotece, wyszywając kwiatki na małym obrusiku na toaletkę. Niebo było ciemne i pochmurne, więc musiała włożyć okulary, by lepiej widzieć. Nie chciała włączać światła, bo w fotelu chrapał Johann, ukryty w cieniach między regałami i w gęstniejącym październikowym mroku. Przy jego stopach leżał czarny labrador jak wierna kałuża atramentu.

Irene była wysoką i bardzo piękną, lecz zimną kobietą. Nosiła się z taką gracją i wrodzonym szykiem, że recepcjoniści nigdy nie kręcili nosami na jej starannie odliczane napiwki, a mijani na ulicy obcy mężczyźni unosili na jej widok kapelusze. Miała doskonały owal twarzy, drobne usta i idealnie zarysowane brwi. Fiorello La Guardia, który często bywał na kolacji przy Gramercy Park, uważał, że ma wizjonerskie oczy. Prawdę mówiąc, jej bladoszare oczy tylko dlatego

wydawały się wizjonerskie, że była krótkowidzem.

Poznała Johna Corneliusa trzy lata wcześniej, kiedy miał dwadzieścia pięć lat, a ona dwadzieścia trzy. Był rok 1942 i Nowy Jork przepełniało poczucie winy, frustracja i wojenne otępienie. John koniecznie chciał płynąć do Europy i w pojedynkę ratować Holandię z rąk nazistów, ale Hester oświadczyła, że obaj jej synowie są kapitanami przemysłu i nie powinni nigdzie się wybierać. Johann w niespodziewanym napadzie kwaśnego humoru stwierdził, że jeśli popłyną na wojnę, jego naftę, statki i zakłady chemiczne przejmie rząd, a jeśli do tego dojdzie, to nie mają po co wracać. Tak więc Roderick i John pozostali w Stanach, aby pompy nadal mogły pompować ropę, a fabryki produkować samoloty, amunicję, puszki z żywnością i pałatki przeciwdeszczowe, nie wspominając o osiąganiu rekordowych dochodów.

Irene, wychowana w dusznej atmosferze Bostonu, gdzie zawsze wymagano od niej, by ubierała się statecznie i chodziła dwa kroki za matką, dopiero zaczynała rozchylać płatki, skończywszy rok wcześniej szkołę w Szwajcarii, ale nadal pozostała najbledszym kwiatkiem

w całym ogródku. John zrobił na niej wielkie wrażenie. Był przebojowy, elegancki, energiczny i przystojny. Zawsze jeździł z odkrytym dachem, nawet gdy padało, pływał, dobrze radził sobie na koniu i doskonale grał w golfa. Poznali się pewnego letniego wieczoru na przyjęciu w Grosse Pointe Shores, w Michigan, i ponieważ John był pijany, a ona nim zauroczona i orkiestra grała *I Found a Million Dollar Baby in a Five and Ten Cent Store*, przysięgli sobie miłość do grobowej deski.

Teraz ich bliźniaczki, Ally i Clara, miały już jedenaście miesięcy i prawie chodziły. W tej chwili, o wpół do czwartej po południu, spały na górze, ale niebawem miały się obudzić i zażądać kolacyjki (jak zawsze, miała to być lekko ścięta jajecznica i mleko).

Johann zaczął się wiercić w bibliotecznym fotelu. Ze swojego miejsca Irene widziała tylko jego tępo zakończone palce pokryte brązowymi wątrobianymi plamami i od czasu do czasu błysk oka w ciemności.

Odchrząknął i pochylił się do przodu.

– Wciąż jeszcze szyjesz, Irene? – zapytał.

Lubił synową. Należała do jego faworyt i zawsze zwracał się do niej bardzo łagodnie. Podniosła wzrok.

– Robi się za ciemno, ojcze – odparła. – Chyba będę musiała przestać.

Wyjął chusteczkę i otarł usta.

– Czy zobaczę moje skarby, zanim pójdą spać?

– Zabieramy je na Long Island, ojcze. Będziesz mógł je zobaczyć w Marchings.

– Nigdy nie mam ich dość. Ostatnio tak podle się czuję, że za każdym razem pytam siebie, czy nie oglądam ich po raz ostatni.

– Proszę tak nie mówić, ojcze!

Johann wyciągnął rękę i włączył lampę na stoliku obok fotela. Krąg elektrycznego światła odsłonił jego starość. Kiedyś był wielkim mężczyzną, ale z wiekiem zapadł się w sobie i skurczył. Wydawało się, że wewnątrz zielonego kardiganu i szarych flanelowych spodni pozostały tylko luźno złączone części starego stelaża. Był łysy, jeśli nie liczyć kilku potarganych białych pasemek nad uszami. Jego skóra nabrała barwy pergaminu, niebieskie holenderskie oczy wyblakły, a policzki pomarszczyły się niczym buraki pozostawione do wyschnięcia na słońcu.

Znów odchrząknął, pociągnął nosem i uśmiechnął się.

– Och, jeszcze trochę się tu pokręcę – odparł. – Nie zbiłem majątku tylko po to, żeby zrobić

przyjemność moim dzieciom. Sam też chcę się nim jeszcze trochę nacieszyć.

– Zawsze wiedziałam, że z ciebie niezły playboy – zażartowała Irene.

Wbiła igłę w robótkę, odłożyła ją, podeszła do niego i pochyliwszy się, pocałowała jego miękki, pomarszczony policzek.

Johann przez chwilę trzymał ją za rękę, przesuwając kciuk po pierścionkach z szafirami i brylantami.

– Z bogactwem jest dziwna rzecz… – mruknął, przyglądając się roziskrzonym brylantom i mieniącym się szafirom.

– Jaka? Nie możesz mieć do siebie pretensji o to, że jesteś bogaty.

– Nie mogę. Jednak bogactwo to naprawdę dziwna rzecz. Nieważne, jak zdobyłeś pieniądze… nawet jeśli kłamałeś, oszukiwałeś i kradłeś… wszystko to staje się zupełnie nieważne, kiedy już zdobyłeś fortunę. Gangster może się zadawać, z kim zechce, jeśli jest wystarczająco bogaty. Każdy będzie go wtedy chwalił i mówił, że to cnotliwy i wstrzemięźliwy człowiek.

– Ale ty nie jesteś gangsterem, prawda? Jak możesz mówić podobne rzeczy!

Johann popatrzył przez okno na sepiowe cienie przesuwających się po niebie chmur.

– Nie – odparł cicho. – Nie jestem gangsterem. Jednak nie jestem też święty. Część pieniędzy, które zarobiłem, nie jest tak czysta, jak powinna być, a część sprawiła innym ludziom wiele bólu.

Irene zmarszczyła brwi, patrząc na piegi i plamy na czaszce teścia.

– Czy stało się coś złego? – zapytała.

Podniósł na nią wzrok.

– A mogło?

– Nie, skądże. Tylko tak dziwnie mówisz… Rzadko bywasz w takim nastroju.

Wzruszył ramionami.

– Po prostu wykorzystuję przywileje starca i gadam, co mi ślina na język przyniesie.

– Nie masz żadnych zmartwień?

– Zmartwień? Kiedy osiągniesz mój wiek, nie będziesz się już niczym martwić. Nie warto, cokolwiek by to było. Ale myślę o rzeczach, które zrobiłem i których nie zrobiłem, i zastanawiam się, czy były dobre, czy złe… i czy mogłem zrobić je lepiej.

Irene pogładziła go po czole.

– Ojcze, nie uznasz tego za impertynencję, jeśli cię o coś zapytam?

Pokręcił głową.

– Ty i ja jesteśmy najlepszymi kumplami, a między najlepszymi kumplami nie ma mowy o impertynencji. Pytaj, o co chcesz, a ja odpowiem ci najlepiej, jak potrafię.

– Hm… chciałam się tylko dowiedzieć, czy nie czułeś się czasem samotny.

Zapadła cisza. Johann nie odpowiedział i nie poruszył się, ale jego wzrok stał się nieobecny, jakby nagle przestał dostrzegać teraźniejszość i zapatrzył się w przeszłość, na dawno minione czasy, kiedy Ameryka wyglądała zupełnie inaczej. Na oświetlonych słońcem ulicach Broughton w Teksasie turkotały wtedy powozy – a teraz wszędzie było pełno samochodów i sklepów. Irene przez chwilę myślała, że posunęła się za daleko i zadała zbyt odważne pytanie, jednak kiedy chwila zadumy nad przeszłością minęła, Johann uśmiechnął się do niej i pogładził ją po ręce.

– Każdy czasem doświadcza samotności – powiedział. – Ale z tobą, Hester i moimi kochanymi wnuczkami nigdy nie czuję się samotny.

Jednak nie wiedziała, że kiedy to mówił, w myślach zamykał drzwi frontowego salonu i na zawsze zostawiał za sobą mahoniowe meble,

ozdobne story i wieczór, o którym myślał wiele razy przez czterdzieści dwa lata.

– To dobrze, ojcze – odparła. – Pójdę teraz do bliźniaczek i przygotuję je do drogi. Hope spodziewa się nas przed ósmą.

Wychodząc, jeszcze na chwilę zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała, żeby sprawdzić, czy teść dobrze się czuje. Wydawało jej się, że Johann ma ochotę się rozpłakać, ale nie zrobił tego – nie wiedziała, że nigdy nie płakał. Cicho zamknęła drzwi biblioteki i schodami wyłożonymi grubym zielonym dywanem poszła do pokoju, który Johann i Hester przeznaczyli dla bliźniaczek.

Ally już się obudziła. Leżała na plecach, majtając nóżkami w powietrzu i rozmawiając ze sobą. Clara nadal mocno spała, ze smoczkiem w ustach, wetknąwszy tłustą rączkę pod policzek. Obie dziewczynki miały jasne cienkie włoski i wielkie niebieskie oczy – na pierwszy rzut oka widać było, że są Corneliusównami. Ściany pokoju wyłożono tapetą w kwiaty, a bliźniaczki spały w identycznych francuskich kołyskach, ręcznie malowanych w różyczki i kupidynki. Były ubrane w nocne koszulki z belgijskich koronek na jedwabnej kawowej podszewce. Ich niania, panna Bendizzi, szykowała ubranka na podróż – tweedowe płaszczyki z aksamitnymi

kołnierzami, zapinane na guziki sztruksowe spodenki i ciemnobrązowe berety.

Miała urodę madonny, ale madonny Modiglianiego o oliwkowej cerze, zielonych oczach i obfitych piersiach. Nosiła wykrochmalony biały uniform z białym czepkiem i mówiła potworną angielszczyzną.

– Za gwilę dozdaną jajga – oznajmiła, kiedy Irene weszła do pokoju.

– Świetnie – odparła Irene. – Wyjeżdżamy około wpół do siódmej. Nie ma pośpiechu. Jak się czują moje śliczne aniołki?

Ally uniosła rączki i uśmiechnęła się radośnie. Clara również otworzyła oczy i zaczęła się poruszać.

– Da robi gupga – powiedziała Bendizzi. – Jagby pani wyjdź, bym borządgu narobiła.

– Dziękuję, panno Bendizzi. Proszę mnie zawiadomić, kiedy dziewczynki zjedzą kolację, i przynieść je do salonu. Dziadek chce zobaczyć wnuczki przed snem.

Nieoczekiwanie Clara się rozpłakała. Zaczerwieniona na buzi, zaciskała i otwierała piąstki. Panna Bendizzi pochyliła się nad kołyską i wyjęła z niej małą.

– Ani bładż! Wesoło! Wrzyzdgo bięgnie!

Irene ucałowała obie dziewczynki i zeszła do swojej sypialni. Było dopiero kilka minut po piątej. Hester brała już kąpiel przed kolacją i w powietrzu unosił się delikatny zapach gardeniowego olejku kąpielowego. Johann poszedł się ogolić, a lokaj Jack prasował jego smoking. Gdy Irene usiadła przy szerokiej toaletce i zaczęła zmywać makijaż, czekając, aż kolorowa pokojówka Suzie skończy przygotowywać dla niej kąpiel, myślała o Johannie i Johnie, mając nadzieję, że mąż zdąży na rodzinną kolację. Obiecał przyjechać najwcześniej, jak się da, lecz wiedziała, jak bardzo potrafią się przedłużać negocjacje w sprawach ropy.

Kiedy wanna była już pełna, weszła do niej i zaczęła namydlać się glicerynową kostką. Na baterii z czternastokaratowego złota, ozdobionej rękami dziewiętnastowiecznych niemieckich złotników, osadzała się para. Zbierające się chłodne krople spadały na jej nagie stopy. Leżąc w ciepłej, miękkiej wodzie i myśląc o swoim wygodnym życiu, śpiewała pod nosem psalmy (wstydziła się śpiewać głośno).

– Przypatrzcie się liliom, jak rosną… – nuciła, namydlając swoje małe piersi.

Pokojówka Letty, ciemnoskóra Andaluzyjka o paznokciach jak zakrwawione sztylety księcia Borgii, przygotowała dla niej wieczorową suknię. Była to nowa kreacja od Gerarda Watkinsa, ulubionego krawca Irene. Uszyta z błyszczącej białej mory, miała głębokie wąskie wycięcie pod szyją i klapy w kształcie litery „V” wyglądające jak zagięte kartki książki. Jej ramiona były modnie podniesione na poduszkach, a całość zachwycała zwodniczą prostotą.

Po kąpieli Irene położyła na powieki srebrny cień, pociągnęła usta czerwoną pomadką i musnęła różem policzki. Z biżuterii wybrała na dzisiejszy wieczór brylantową broszę w kształcie gwiazdy, którą Hester dała jej na pierwszą rocznicę ślubu, oraz pierścionki z brylantami, z których jeden, Newport Stone, był wart ponad pół miliona dolarów.

Do szóstej piętnaście niemal wszyscy byli gotowi. Zebrali się w salonie, a służący przynieśli ich kapelusze, płaszcze i peleryny. Hester nadal siedziała na górze, nie mogąc się zdecydować, jakie buty ma założyć, ale bliźniaczki były już po kolacji i Johann trzymał Ally na jednym kolanie, a Clarę na drugim i śpiewał im starą holenderską piosenkę o kogucie, który rozgniewał się na

głupie kury i przez całą noc piał. Dziewczynki zaśmiewały się przy każdym „kukuryku”.

Przyszedł Vucinzki i oznajmił, że podstawiono już samochody. Miał dla każdego parasol, bo padał deszcz. Po chwili zjawili się Roderick i Celia. Wymieniano pocałunki i pozdrowienia. Roderick był mocno zaczerwieniony po wypiciu zbyt wielu porcji whisky do lunchu, a Celia lodowata i elegancka jak zawsze. Przybył też David Bookbinder, ociekający deszczem jak morświn, który właśnie wyskoczył z oceanarium.

Na dworze, w mroku wczesnego wieczoru, czekał na nich sznur czarnych cadillaców pokrytych kroplami deszczu. Służba trzymała parasole nad głowami państwa. Trzaskały drzwi samochodów, zapalały się reflektory, a dwunastocylindrowe silniki mruczały cicho, budząc się do życia.

♦ ♦ ♦

Wydarzyło się to z absurdalną prędkością i chyba nikt w tym momencie nie patrzył w tamtą stronę. W holu pojawiła się właśnie Hester i wszyscy odwrócili się ku niej, mówiąc „Dobry wieczór” lub „Jak się masz, matko?”. Irene przekazała Ally pokojówce Letty, aby

razem z Bendizzi usiadła z tyłu ostatniej limuzyny. Bendizzi niosła Clarę, a ponieważ nie wystarczyło parasoli, wyszła na ulicę, okrywając Clarę swoim płaszczem. Szofer otwierał właśnie przed Letty drzwi od strony chodnika, więc Bendizzi musiała sama otworzyć drzwi pasażera od strony ulicy.

W chwili gdy Bendizzi ostrożnie wsadzała do samochodu Clarę, ze sznurem parkujących limuzyn z poślizgiem zrównał się matowy czarny buick, rozbryzgując kałużę przy parku i uderzając w drzwi cadillaca. Słysząc głośny zgrzyt zgniatanego metalu i przeraźliwe wycie Bendizzi, wszyscy się odwrócili i obiegli samochód, chcąc zobaczyć, co się stało. Buick się cofnął, oderwał od zniszczonego cadillaca i z piskiem kół zniknął w ciemnościach nocy.

Irene w białej jedwabnej sukni upadła na ulicę. Wszędzie była krew i szkło. Buick uderzył w uchylone drzwi limuzyny i zmiażdżył Clarę, jednocześnie odcinając Bendizzi cztery palce. Mała Clara w brązowym tweedowym płaszczyku i spodenkach na guziki została niemal przecięta na pół.

Irene częściowo zaniesiono, a częściowo zawleczono do domu. Leżała na kanapie w salonie, dygocąc na całym ciele. Zostawiła na

ulicy satynowy pantofel i samochody policji oraz karetki, które się później pojawiły, przejechały go kilka razy. Szukając Johna, Roderick zadzwonił do Getty Oil i dowiedział się, że brata tam nie ma, nie ma też spotkania w sprawie budowy rafinerii w Port Arthur i nigdy nie było.

Ubrany w smoking Johann powoli poszedł na górę. Był wysoki, ale mocno przygarbiony. Przy każdym kroku chwytał się poręczy i wspinał coraz wyżej, nie bardzo wiedząc, co robi ani dokąd idzie. Czuł tylko, że jeśli zdoła dotrzeć na samą górę, przeżyje.

Patrzył na jasny francuski żyrandol na pierwszym półpiętrze, który sypał iskrami i migotał mu przed oczami jak Święty Graal unoszący się nad wierzchołkiem góry. Za sobą słyszał syreny, trzaski drzwi i płacz.

Wiedział, że nie dojdzie na górę, więc postanowił zatrzymać się i odpocząć. Było mu ciężko oddychać i nie potrafił skupić myśli. Nie rozumiał, co się właściwie stało.

– Och, Claro… – jęknął i upadł na bok.

Przed oczami miał miękki dywan – tak blisko, że widział każdy szczegół, każde zarysowanie na mosiężnym pręcie i śrubach, które go przytrzymywały. Wydawało mu się bardzo zabawne, że człowiek tak bogaty, iż stać go było

na obejrzenie całego świata, kończy żywot, mając tak zawężone pole widzenia.

– Och, moja Claruniu… – powtórzył.

Żałował tylko jednego – że nie potrafi płakać.

♦ ♦ ♦

Cztery dni później, gdy Johann nadal był w śpiączce, leżąc w prywatnych apartamentach w Lynwood Sanatorium, Edward Secker spotkał się z Davidem Bookbinderem we frontowym barze restauracji Colony przy Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Musiał czekać pół godziny na przybycie Bookbindera i siedział zdenerwowany nad wytrawnym martini, czytając „The New Yorkera". Było bardzo zimno i goście, którzy przybywali na lunch, nosili grube płaszcze i mieli zaczerwienione policzki.

W końcu Bookbinder się pojawił i zimną pulchną ręką uścisnął dłoń Edwarda. Kiedy barman Marco przyjął od niego zamówienie na szkocką z lodem, usiadł.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział. – Znów rozkopali ulice. Tragedia.

Edward uniósł brwi.

– Czyżby? – mruknął.

Miał żałobną opaskę na rękawie ciemnej prążkowanej marynarki. Bookbinder założył klubowy krawat ze złotym herbem.

– Widziałeś się z Irene? – spytał. – John myśli o wysłaniu jej na jakiś czas z miasta, może do domu Rodericka w Wirginii Zachodniej.

– Widziałem się z nią przelotnie – odparł Edward. – Była spokojna, ale nie wiem, czy doszła do siebie po tym okropnym wstrząsie.

Bookbinder pociągnął łyk szkockiej i kiwnął głową.

– Zwykle potrzeba na to kilku tygodni – stwierdził. Jego przypominające paciorki oczy rozglądały się po barze, szukając znajomych. Wydawał się tak obojętny i znudzony, że Edward zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrobił, prosząc go o rozmowę.

– Hm… przypuszczam, że nie wiesz, jak się ma Johann? – spytał.

Bookbinder nawet na niego nie spojrzał.

– Jego stan się nie pogorszył – odparł.

– Wyjdzie z tego?

– Jeszcze nie wiedzą. Potrzebuje odpoczynku. To był tylko niewielki atak, ale kiedy się jest w jego wieku… cóż…

– Pewnie masz rację. Poza tym od dawna cierpi na serce… – Bookbinder nie okazał

zdziwienia, nadal błądził gdzieś wzrokiem. – Oczywiście wiedziałeś o tym, prawda? O tym, że jest chory? Wiedziałeś, jak mało czasu mu zostało?

Bookbinder poruszył szklaneczką i lód zadzwonił o szkło. Bar był pełen członków nowojorskiej socjety ostrzącej sobie apetyt przed lunchem. Zapach smażonego mięsa mieszał się z aromatem wytrawnego sherry i ginu.

– Daj spokój, Jerry, jedzmy – powiedział ktoś.

Edward pochylił się nad stolikiem.

– Nie zamierzasz mi odpowiedzieć? – zapytał. – A może właśnie wymyślasz sobie alibi?

Bookbinder w końcu spojrzał mu w twarz.

– Nie muszę odpowiadać na żadne twoje pytania – odparł z zadowolonym uśmieszkiem, przy którym na jego twarzy pojawiły się dołeczki. – Odpowiadam tylko przed Johannem Corneliusem.

– Mylisz się. Odpowiadasz też przed Hope i Johnem. Zarządzasz ich pieniędzmi, więc musisz przed nimi odpowiadać.

Z uśmiechu Bookbindera zniknęło zadowolenie.

– Zachowujesz się bardzo niewłaściwie – stwierdził, nadal obserwując śmiejących się

i rozmawiających ludzi, którzy przechodzili do sali jadalnej.

– Nie wydaje mi się, żebyś mógł mnie pouczać, co jest właściwe, a co nie – odparł ostro Edward.

– Czyżby?

– Nie wtedy, gdy przerzucasz akcje jak bydło na szlaku do rzeźni.

Bookbinder mruknął coś pod nosem.

– Nie wtedy, gdy próbujesz przejąć kontrolę nad funduszami i firmami, które prawnie należą do Hope – dodał z naciskiem Edward.

Bookbinder sięgnął do kieszeni po cygarowe etui i wyjął z niego długą hawanę. Chciał poczęstować Edwarda, ale ten powiedział:

– Nie, dzięki.

– Jak sobie życzysz… – odparł Bookbinder.

Obciął i zapalił cygaro. Na chwilę otoczył go obłok niebieskiego dymu – finansowy cezar w szybko rozpływającym się wawrzynowym wieńcu.

– Próbujesz wykorzystać Rodericka jako swojego pachołka. Posługujesz się jego akcjami i firmami, ograniczając prawa Johna i Hope, żeby zostać jedyną osobą decydującą o kształcie fortuny Corneliusa. Ale zostałeś nakryty.

Bookbinder zaciągnął się cygarem.

– Edwardzie… chyba myślisz, że jestem naiwny.

– Bynajmniej. Myślę, że przeprowadziłeś tę operację bardzo sprytnie.

– Oczywiście, ale nie o tym mówię. Chodziło mi o to, że chyba bierzesz mnie za naiwnego, przypuszczając, że twoje odkrycie może cokolwiek zmienić.

Edward popatrzył na niego ostro.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dokładnie to, co usłyszałeś. Wyłożyłeś karty na stół… doskonale. Teraz ja wyłożę moje.

– Jakie karty?

– Jakie? Mój drogi, ja zawsze mam coś w rezerwie. Nie da się przetrwać zbyt długo na Wall Street bez paru asów w rękawie.

Edward uniósł swoją szklankę, dając znak barmanowi, by mu zrobił kolejne martini. Szklaneczka Bookbindera nadal była prawie pełna.

– Dałeś mi jasno do zrozumienia, że nie zgadzasz się z moją polityką finansową – powiedział Bookbinder. – Ustawiłeś mnie w bardzo niewygodnej pozycji, jeśli chodzi o giełdę, bo właśnie negocjuję zakup akcji. Gdyby to się rozniosło, ceny większości z nich

podskoczyłyby znacznie powyżej interesującego mnie poziomu.

– Naprawdę? – mruknął Edward. – Daj mi dziesięć minut, a opowiem całą historię „The Wall Street Journal”.

Bookbinder się roześmiał.

– Och, lepiej nie, bo możesz się bardzo zdziwić. Jeśli ty opowiesz moją historię „The Wall Street Journal”, ja się postaram, żeby prawdziwa historia o Hope dotarła do „New York Post”.

Powiedział to takim żartobliwym tonem, że Edward przez długą chwilę nie zdawał sobie sprawy z kalibru tej groźby. Kiedy to do niego dotarło, popatrzył na Bookbindera z obrzydzeniem.

– Naprawdę byś to zrobił? – spytał. – Jasne, że tak!

– Owszem – odparł tamten. – Zrobiłbym.

Kiedy Bookbinder wchodził do baru, Edward postanowił nie poruszać sprawy funduszy powierniczych. Jednak teraz wpadł w taką furię, że nie potrafił się dłużej powstrzymać. Pochylił się i wysyczał Bookbinderowi w twarz:

– A co z Clarą?

Bookbinder odchylił się w fotelu.

– Z Clarą? – powtórzył niepewnie.

– Tak, co z Clarą? I co z jej funduszem powierniczym? I co z funduszem Ally, gdyby przypadkiem spotkał ją ten sam los?

Bookbinder zmrużył oczy.

– Poważnie oskarżasz mnie o to, o czym myślę? – zapytał z niedowierzaniem.

Edward pokiwał głową.

– Niepięknie to brzmi, ale tak.

Bookbinder zdrapał kawałeczek tytoniowego liścia ze złotego przedniego zęba.

– W takim razie jesteś większym durniem, niż myślałem – stwierdził.

Sięgnął do teczki i wyjął z niej popołudniówkę. Położył ją na barze i wskazał palcem wiadomość na dole pierwszej strony, „Śmierć malutkiej dziedziczki Corneliusa, sprawca wypadku postawiony przed sądem”.

Edward szybko przeczytał notatkę. Aresztowano robotnika budowlanego ze Wschodniej Sto Sześćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, kiedy policjant z drogówki zauważył jego rozbitego czarnego buicka. Właściciela pojazdu oskarżono o jazdę w stanie nietrzeźwym oraz niezgłoszenie wypadku. Nazywał się William Peebles i miał czterdzieści osiem lat.

– Nie kojarzy ci się to z czymś? – spytał Bookbinder. – Czyżbyś naprawdę wierzył, że ktoś

mógłby być do tego stopnia bezwzględny i chciwy? Nawet ja?

Telefon za barem zadzwonił dwa razy. Marco podniósł słuchawkę i przez chwilę rozmawiał, a potem powiedział:

– To do pana, panie Bookbinder. Biuro.

Edward obserwował go podczas rozmowy telefonicznej i po raz pierwszy poczuł, że trafił do ligi, która go przerasta. Ten facet miał zbyt wiele pieniędzy i władzy. Był przekonany, że Bookbindera stać na wymordowanie całego następnego pokolenia Corneliusów, ale wiedział, że jego przekonanie i podejrzenia to za mało. Zresztą nawet oczywiste dowody mogły nie wystarczyć. Należało działać bardzo ostrożnie i przygotowywać się miesiącami.

Bookbinder oddał słuchawkę barmanowi i wytarł chusteczką tłusty kark.

– To był Gmach – powiedział cicho. – Z Johannem jest źle. Nie spodziewają się, by dożył do wieczora.

– Chcą, żebyśmy tam przyjechali? Do Lynwood?

– Mój samochód stoi na zewnątrz. Możemy nim pojechać.

Edward dokończył swojego drinka, wstał i zapiął marynarkę.

– Davidzie…

– Tak?

– Na razie zapomnijmy o naszej rozmowie. Ale muszę cię ostrzec, że nie zamierzam tego tak zostawić. Nie możesz pozbawić Hope spadku.

Bookbinder sięgnął po płaszcz i kapelusz. Z cygarem w ustach przypominał Edwardowi gangstera w starym stylu. Kiedy zapinał płaszcz, rozglądał się po barze, jakby myślał o czymś innym albo wspominał cudowne czasy parytetu złota.

– Cóż, wolno ci – mruknął z roztargnieniem.

Przeszli do holu, zachowując między sobą niewielki dystans. Bookbinder zatrzymał się przy gablocie wystawowej Van Cleefa & Arpelsa i po raz pierwszy spojrzał Edwardowi prosto w twarz. Otaczające go refleksy brylantów sprawiały, że wyglądał jak przybysz z zaświatów.

– Jestem jak jeż morski – powiedział. – Może miękki w środku, ale żeby się o tym przekonać, najpierw trzeba nałykać się kolców.

Edward nic na to nie odpowiedział. Pachnąca Chanel kobieta w popielatym kostiumie uniosła brwi, gdy go mijała. Odwrócił się od niej.

Padające ukośnie światło słoneczne dotknęło ich, gdy weszli na Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę. Z oddali dobiegały pobrzękiwania i trąbienie

orkiestry wojskowej. Grała *Anchors Aweigh*, witając kolejną dywizję piechoty morskiej wracającą z wojny. Dźwięki muzyki odbijały się echem od budynków, gdy orkiestra w paradnym szyku szła Piątą Aleją, mijając dymiące budki z bajglami i tłumy zakupowiczów, którzy z utęsknieniem wypatrywali pierwszych świąt Bożego Narodzenia w czasie pokoju.

1954

BOOKBINDER ODCHODZI Z CORNELIUSA

„Przyczyny zdrowotne”, mówi nafciarz z Wall Street

David Bookbinder, 67-letni głównodowodzący Cornelius Oil, ogłosił swoje „natychmiastowe” przejście na emeryturę. Znany przez trzy dekady w biznesie naftowym jako człowiek o złotym uśmiechu, zaprzeczył sugestiom, że odchodzi pod presją Departamentu Sprawiedliwości, który zarzuca mu udział w nieetycznych działaniach wielkiego biznesu w latach dwudziestych.

„New York Daily News”
wrzesień 1954 r.

Był to rok, w którym wymyślono gotowe dania – indyk, słodkie ziemniaki i groszek na jednej tacce. Bill Haley nagrał *Rock Around the Clock*. Lucille Ball pojawiła się w ciąży w *Kocham Lucy*, dekolty osiągnęły nowe śmiałe głębie. Nash i Hudson połączyli siły, tworząc American Motors Corporation. Comics Code Authority zabroniło wydawania komiksowych horrorów i zażądało „wyeliminowania wszelkich drastycznych, niesmacznych i okrutnych ilustracji". Rock Hudson zagrał główną rolę we *Wspaniałej obsesji*. Dwa miliony Amerykanów pozostawało bez pracy, a na początku wiosny dzieci biegały po ulicach i skrzeczały: „W sprawie formalnej, w sprawie formalnej", parodiując senatora Josepha McCarthy'ego.

Był to rok 1954. Cadillaki zaczęły wypuszczać nieśmiałe płetwy, Dwight D. Eisenhower został prezydentem, a David Bookbinder zrezygnował z funkcji prezesa zarządu Cornelius Industries.

Kiedy pakował do kufra z mosiężnymi okuciami oprawione w ramki listy, dołączając do nich złotą cygarnicę i biurkową podkładkę ze świńskiej skóry, w uchylone drzwi zapukał Roderick i wszedł do środka. Bookbinder nie podniósł na niego wzroku. Pracownicy zarządu Corneliusa wpadali tu przez całe przedpołudnie, rozdziobując pozostałości po jego dwudziestu latach pracy w firmie. Sięgnął po stojącą na biurku figurkę z kości słoniowej i położył ją obok podkładki.

Roderick usiadł na poręczy skórzanego fotela.

– Jak leci? – spytał, siląc się na beztroski ton.

– W porządku – odparł Bookbinder i odłożył kilka kodeksów prawniczych o niebieskich grzbietach.

Roderick skrzyżował ramiona na piersiach. Starał się nie okazywać ulgi, z jaką przyjął wiadomość, że Bookbinder zdecydował się poddać bez oporów, ale nadal się martwił, że może w ostatniej chwili zmienić zdanie. Nie potrafił sobie wyobrazić Cornelius Industries bez Bookbindera i nie pozwalał sobie w to uwierzyć,

dopóki ta łysa głowa nie zniknie po raz ostatni za zakrętem korytarza.

– Masz już jakieś plany? – spytał. – Zrobisz sobie wakacje?

– Może – mruknął Bookbinder.

Roderick pokiwał głową.

– Słyszałem, że Hawaje są przepiękne o tej porze roku. Myślałeś kiedyś o Hawajach?

Bookbinder przestał się pakować i wyprostował plecy. Popatrzył na Rodericka jak na przechodnia, który zwrócił jego uwagę na ulicy.

– Nie – odparł. – Nigdy nie myślałem o Hawajach. W tej chwili jestem za bardzo zajęty myśleniem o Waszyngtonie.

– Może moglibyśmy udać się na przejażdżkę – zaproponował Roderick.

– Przejażdżka? To brzmi jak cytat z gangsterskiego filmu.

Roderick się zarumienił.

– Nie miałem niczego złego na myśli. W Connecticut jest restauracja, którą chciałbym wypróbować. To tylko godzina jazdy. Myślę, że moglibyśmy tam omówić pewne szczegóły.

– Zwykle nie dyskutuję o interesach nad talerzem – powiedział Bookbinder.

– Wiem. Ale jest piękny dzień i myślę, że okoliczności są takie… że…

Bookbinder milczał przez chwilę, a potem rzekł:

– W porządku. Kiedy chcesz jechać?

Zaczął się wrzesień. Niebo było jasnobłękitne, bez jednej chmurki. Jechali zielono-białym oldsmobile'em 98 Rodericka ze spuszczonym dachem. Bookbinder siedział w kapeluszu, skrzyżowawszy ręce na podołku. Roderick miał na sobie tweedowe ubranie w kratę i tyrolski kapelusik ozdobiony wędkarskimi muchami.

– Jest kilka rzeczy, które muszę poznać – powiedział.

– Tak – mruknął Bookbinder. – Chyba lepiej, żebyś je poznał.

– Muszę się też dowiedzieć paru nazwisk. Wiesz, chodzi mi o kontakty.

– Oczywiście. Kontakty też zdają sobie z tego sprawę.

– To znaczy, że są gotowi przedyskutować coś w rodzaju umowy? Zakładam, że nie mieliby nic przeciwko temu.

Bookbinder wyjął cygaro. Silnik oldsmobile'a niósł ich przez puste skrzyżowania, obok łuszczących się wiejskich sklepów, przez zakręty

leśnych dróg. Za drzewami migotały w słońcu tafle jezior.

– Będziesz musiał być bardzo rozważny – stwierdził Bookbinder.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No cóż, nie będziesz miał do czynienia ze szkolnymi komitetami rodzicielskimi – wyjaśnił Bookbinder. – To bogaci, dobrze zorganizowani biznesmeni, którzy pomagali Cornelius Industries przez ponad dwadzieścia lat. Większość tej pomocy była całkowicie zgodna z prawem. Część nie tak bardzo. Ale przez dwa dziesięciolecia interpretacja tego, co jest, a co nie jest zgodne z prawem, bardzo się zmieniła. Mamy już za sobą okres, kiedy trudno było sobie wyobrazić bardziej nieprzyzwoite pojęcie niż „związki zawodowe". Wtedy dawanie w kość CIO było w porządku, jednak dzisiaj musisz być ostrożny. A w każdym razie ostrożniejszy.

Roderick patrzył przez przednią szybę na pocętkowaną cieniami drogę. Wyprzedził ich nowy biały chevrolet corvette i z jego radia dobiegły tony *Shake, Rattle and Roll*.

– Co z zabójstwami? – spytał Roderick.

Bookbinder był zajęty odrywaniem banderoli z cygara.

– Nigdy nie używaliśmy tego słowa – odparł.

– Jednak zabójstwo to zabójstwo, bez względu na to, jak się je nazwie.

Bookbinder się uśmiechnął.

– Chyba tak. Ale twój ojciec zawsze mógł liczyć na to, że załatwię sprawy po swojemu.

– Czyli jak?

– Każda firma takiej wielkości jak Cornelius Industries czasem trafia na przeciwników, których trzeba eliminować.

– Chcesz powiedzieć, że załatwiasz każdego, kto ci wejdzie w drogę?

– Oczywiście, że nie.

– Więc wytłumacz mi to.

Bookbinder przytknął zapalniczkę do cygara i przez chwilę wciągał dym. Kiedy rozpalił cygaro, oświadczył:

– Nie cierpię palić na powietrzu. Dobre cygaro nabiera wtedy smaku papieru pakunkowego.

Roderick nic na to nie odpowiedział. Jeśli Bookbinder nie chciał rozmawiać z nim o swojej niechlubnej przeszłości, jego sprawa. Ale był w rozpaczliwej sytuacji i musiał się dowiedzieć, czego przez lata dopuszczano się w imię Cornelius Industries i jakie są powiązania firmy ze światem przestępczym. Nie mógł udawać, że nie jest przerażony; ale był przekonany, że kiedy Bookbinder zniknie z horyzontu, utnie się

większość powiązań firmy z kryminalistami i Roderick nakieruje ją z powrotem na zgodną z prawem ścieżkę.

– Czy to prawda, co powiedział tamten starzec z Pensylwanii? – spytał.

Bookbinder się uśmiechnął.

– To, co się wydarzyło w Pensylwanii, miało miejsce bardzo dawno temu. Był tysiąc dziewięćset dwudziesty siódmy, jeszcze nie pracowałem dla twojego ojca i spotkałem się z nim tylko raz, w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym. Pomyślałem wtedy, że dziwny z niego człowiek.

– Nie proszę o lekcję historii. Chciałem tylko wiedzieć, czy tamten dziadek mówił prawdę.

Bookbinder wzruszył ramionami.

– Częściowo tak. Twój ojciec zakładał w Robinstown, w dolinie rzeki Asquahanna, kopalnię odkrywkową. Część tamtejszych ludzi była gotowa sprzedać ziemię bez żadnych ceregieli, bo nastały ciężkie czasy dla farmerów. Ale pojawiła się też mała miejscowa opozycja i twój ojciec chciał, żeby ją bezboleśnie usunąć. Widzisz, to była dość ryzykowna operacja. Wszyscy, w tym także tamtejsze władze, myśleli, że zamierzamy budować zakłady farbiarskie. Nie wiedzieli, że twój ojciec przymierza się do

zdarcia każdego cala kwadratowego gleby na obszarze dziesięciu mil kwadratowych.

Roderick odbił z głównej szosy w prawo i olds pomknął zakurzoną wiejską drogą. Gałęzie skrzypiały, stukając o karoserię, a spłoszone ptaki wzbijały się w górę.

– Ale za to miasto się wzbogaciło, prawda? – powiedział Roderick. – Kiedy ostatni raz sprawdzałem dane, prosperowało, aż miło.

– Pewnie – przyznał Bookbinder. – I oczywiście bardzo się zmieniło. W tysiąc dziewięćset dwudziestym siódmym w okolicy były tylko krowy i łąki.

– Więc co z tą miejscową opozycją? Jak „bezboleśnie" ją usunąłeś?

Bookbinder westchnął.

– To dość zagmatwana historia. Zadzwonił do mnie znajomy z Pittsburgha, Joey Divine. Rozprowadzał bimber. Powiedział, że zgłosił się do niego pewien młody człowiek, mający kontrakt zlecony przez niejakiego Johanna Corneliusa, i zapytał, czy wiem, kim jest ten Johann Cornelius. Tak się złożyło, że wiedziałem. Jak już mówiłem, spotkałem się z nim po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym na jakimś przyjęciu. Powiedziałem

Joeyowi, żeby przekazał kontrakt mnie, i zamieniłem dwa zdania z Arthurem.

– Arthurem?

– Arthurem Flegenheimerem, a dla ciebie Dutchem Schultzem. Można powiedzieć, że był moim znajomym. Jest takie stare tureckie powiedzenie: „Kiedy dwa rzeczne kamyki toczą się wyschniętym korytem, po drodze czasem muszą się stuknąć". Tak można by opisać pomoc ze strony kogoś, z kim niezbyt często się widujesz. Arthur i ja właśnie w ten sposób współpracowaliśmy.

Roderick zwolnił. Mieli przed sobą ostry, obsadzony drzewami zakręt. Za nim widać było rzekę i białą restaurację w stylu kolonialnym. Stała między nabierającymi czerwonej jesiennej barwy drzewami a pokrytym czerwonobrązowymi kamieniami korytem rzeki. Parkowało tam już kilka innych samochodów i Roderick zatrzymał się obok nich.

Zanim otworzył drzwi, odwrócił się do Bookbindera i powiedział:

– Dutch Schultz został zamordowany, prawda?

Bookbinder kiwnął głową.

– Zgadza się. Rok po tym, jak dołączyłem do Cornelius Industries. Dopadli go w restauracji

w Newark. Leżał w śpiączce przez wiele godzin, ale tylko bełkotał i nie powiedział glinom, kto go załatwił. Zrobił to zwykły tani rzezimieszek, Charlie Workman.

– Czy… – zaczął Roderick.

Bookbinder podniósł palec do ust i zamknął oczy.

– Nigdy o to nie pytaj – powiedział ostrzegawczo. – To jedna z tych informacji, które tylko mogą ci zaszkodzić.

Wyszli z auta i ruszyli prostymi drewnianymi schodkami do drzwi restauracji. Dziewczyna o końskich zębach, ubrana w czerwoną sukienkę w kratę, zaprowadziła ich do stolika przy oknie, skąd mogli przyglądać się spływającej po kamieniach wodzie. Dalej w górę rzeki na brzegu stała stara chałupa z dymiącym kominem.

Roderick zamówił małże i stek.

Kiedy pili koktajle, zapytał:

– Czy ten starzec mówił prawdę? Czy ktoś z Cornelius Oil naprawdę zabił szeryfa Robinstown?

Bookbinder przymknął oczy.

– Można tak powiedzieć.

Roderick westchnął ciężko.

– Nic dziwnego, że Walter tak naciskał na twoją rezygnację.

– Dobry chłop z tego Waltera. Znalazł się między młotem a kowadłem, więc nie mam do niego pretensji. Przynajmniej udało mu się nie dopuścić do tego prasy ani FBI.

– Kto jeszcze? – spytał Roderick.

– Co „kto jeszcze”?

– Kto jeszcze zginął w podobny sposób? „Usunąłeś bezboleśnie” jeszcze kogoś?

Bookbinder rozejrzał się po restauracji, upewniając się, czy nikt ich nie podsłuchuje. Widząc, że idzie do nich kelnerka z małżami, odczekał, dopóki ich nie podała. Wepchnął serwetkę za kołnierzyk koszuli i ze spokojem wycisnął sok z cytryny na szare mięso.

– Jednego czy dwóch ludzi.

Roderick zmarszczył brwi.

– Jednego czy dwóch? Kiedy? Co to znaczy „jednego czy dwóch”?

Bookbinder popatrzył na niego.

– Zanim zaczniesz się gorączkować, przypomnij sobie o Fairbanksie i Cosnetcie. Gdyby Walter nie pogadał z FBI, znalazłbyś się w znacznie gorszych kłopotach niż ja.

– Nie zamierzam o tym trąbić na prawo i lewo. Chcę tylko poznać fakty. Rzeczywiście zapłaciłeś za kontrakty na ludzi, którzy weszli ci w drogę?

Bookbinder przełknął małża.

– Nie jesteśmy jedyną firmą, która stosowała przymus fizyczny – przypomniał Roderickowi. – Pamiętasz, co zrobili ludzie z agencji Baldwin-Felts w Ludlow, a dla Forda Harry Bennett i jego sześciuset uzbrojonych osiłków? Pamiętasz Franka Costella, Joego Adonisa i Bena Siegela?

Roderick odchylił się na krześle.

– Chryste, Davidzie, wiedziałem, że mieliśmy pewną ochronę… Przecież musieliśmy chronić swój transport i magazyny. Ale ty mówisz o zorganizowanej przestępczości!

Bookbinder pociągnął łyk wody.

– Nie bądź naiwny. Cholernie dobrze wiesz, że każda wielka firma w tym kraju musi utrzymywać znajomości z gangsterami. Miliardowe przedsiębiorstwo pozbawione zbrojnego ramienia jest tak samo bezradne jak wyrzucony na plażę wieloryb. Oczywiście nasze główne kontakty zachowaliśmy w najściślejszej tajemnicy. Większość z nich była utrzymywana przeze mnie. Do tej pory trzymaliśmy cię od tego z daleka, ale teraz musisz to wiedzieć.

Siedzieli w milczeniu, gdy kelnerka zabierała talerze po małżach i przyniosła steki.

– Chcesz powiedzieć, że ojciec o tym wszystkim wiedział? – spytał Roderick. – Ze

szczegółami?

– Nie, ale wiedział. Twój ojciec i Dutch Schultz wybrali się kiedyś razem na *Lady Lou*, wiedziałeś o tym?

– Nie widziałem tego filmu.

Bookbinder otarł usta.

– Arthurowi bardzo się podobał, jednak twojemu ojcu nie. Powiedział, że Mae West zbyt rozkwitła. Użył właśnie takiego słowa. „Rozkwitła”.

Roderick nie miał ochoty na stek.

– Chcę wiedzieć, ilu ludzi zostało zabitych – powiedział cicho.

– Nie tak wielu – odparł Bookbinder, przeżuwając mięso. – Co sądzisz o tym, żebyśmy napili się teraz wina?

♦ ♦ ♦

Kiedy Roderick tego wieczoru wrócił do swojego domu przy Gramercy Park, był zamknięty w sobie i zamyślony. Po lunchu większość popołudnia spędził na przeglądaniu papierów firmy i list kontaktów. Bookbinder siedział nieco dalej w skórzanym fotelu, spokojnie paląc cygaro i uzupełniając wiedzę

Rodericka odpowiednimi komentarzami i wyjaśnieniami.

– Znałeś Philipa Musicę? – spytał Roderick, wskazując plik korespondencji z 1935 roku z firmą McKesson & Robbins.

Bookbinder kiwnął głową.

– Oczywiście. Pod pewnymi względami była to bardzo korzystna znajomość – odparł. – Sęk w tym, że Philip nie był na tyle inteligentny, żeby unikać fleszy. Smutna sprawa. Wiesz, że popełnił samobójstwo?

– Tak – przyznał Roderick, zaciskając usta.

Gdy znalazł się w salonie, wezwał starego Vucinzkiego i kazał mu przynieść whisky. Potem usiadł w obitym wzorzystą tkaniną głębokim fotelu, ulubionym meblu ojca, i otworzył segregator, w którym przywiózł całą korespondencję i dokumenty związane ze współpracą Bookbindera z gangsterami. Były tam sporządzone purpurowym atramentem wyblakłe listy z lat dwudziestych od takich ludzi jak Lucky Luciano i Big Jim Colosimo. Była też dotycząca prawa podatkowego korespondencja z Michaelem Ahernem, którego zatrudniał Al Capone. Przez wszystkie lata, podczas których David Bookbinder kontrolował finanse Cornelius Oil i siostrzanych spółek w przemyśle

stoczniowym, ubezpieczeniach, górnictwie, transporcie samolotowym oraz przemyśle żywnościowym, jego negocjacje z niemal każdym związkiem zawodowym były pełne gróźb użycia siły, ceny ustalano, opłacając urzędników państwowych, monopole handlowe chroniono łapówkami, a zdarzające się czasem pomyłki prawne tuszowali policjanci, sędziowie i prokuratorzy, gotowi do okazania wyrozumiałości w zamian za nowiutki zestaw kijów do golfa. David Bookbinder był bardzo sumienny i zapobiegliwy. Każdy jego krok był podyktowany troską o Cornelius Oil. Roderick z pewnym zażenowaniem uświadomił sobie, że wszystkie działania Bookbindera w 1945 roku, kiedy starał się przejąć pakiet kontrolny akcji Cornelius Oil dla siebie i dla niego, były prawdopodobnie najpraktyczniejszym krokiem. Jednak śmierć Johanna Corneliusa wstrzymała dalsze transfery akcji, a Edward dał im wyraźnie do zrozumienia, że pozostała cześć spadku Hope ma pozostać nietknięta. Również John, chociaż wybrał wygnanie w Waszyngtonie, pilnował swoich udziałów w firmie, więc nie było mowy o tym, aby pozbawić rodzeństwo reszty spadku.

Prawie każdy list i dokument w segregatorze, który Roderick przyniósł do domu, był

z biznesowego punktu widzenia bardzo rozsądny i racjonalny. Jeśli twojej firmie grozi senackie dochodzenie za łamanie ustaw antytrustowych, czy nie powinno się zafundować kilku senatorom wakacji na Bahamach i cadillaców biarritz? Jeśli CIO grozi zamknięciem twojej fabryki chemicznej, czy nie jest dowodem gospodarskiego podejścia wysłanie kilku obdarzonych dużą siłą ciosu dżentelmenów, aby zachęcili robotników do zmiany zdania? A jeśli szykowały się jakieś dochodowe kontrakty, na przykład na budowę samolotów lub magazynów ropy, czy nie należało się postarać, aby ludzie, którzy przyznawali te kontrakty, nie przyznali ich nikomu innemu, tylko tobie? Przecież właśnie na tym polegała istota wolnego rynku. I chociaż Roderick nie pochwalał znajomości Bookbindera z gangsterami, musiał przyznać, że byli wykorzystywani dość rzadko i nigdy nie zdominowali zasadniczych gałęzi działalności Corneliusa, takich jak rafinerie, przemysł stoczniowy i transport towarowy. Widział, że Cornelius Industries nigdy nie przemycało alkoholu ani narkotyków, nie uczestniczyło w żadnych oszustwach ani defraudacjach. David Bookbinder, posługując się rozgałęzioną, ale bardzo dyskretną siecią przekupionych

urzędników i sprzyjających mu gangsterów, zadbał po prostu, aby firmy Corneliusów rozwijały się przez dwadzieścia lat, nie napotykając żadnych ograniczeń ze strony administracji państwowej, sądów, urzędów skarbowych ani wymuszającego haracze gangsterskiego planktonu.

Zastanawiało go jednak, dlaczego ojciec pozwolił Bookbinderowi na taką rozległą kontrolę przez tyle lat. Może utrzymywanie znajomości z podziemiem miało sens, ale z tego, co Roderick wiedział o ojcu, wynikało, że Johann sam potrafił nawiązywać tego rodzaju kontakty i nie potrzebował pośredników. Niebo nad Gramercy Park szarzało i ciemniało, a on nadal siedział w fotelu, jednak w żaden sposób nie zbliżył się do odpowiedzi na pytanie, dlaczego Bookbinder w ogóle zarządzał Cornelius Oil. Nawet teraz, kiedy nad jego głową wisiała groźba ujawnienia morderstwa w Robinstown, zrezygnował z pracy tylko dlatego, że Walter Grossmith, ich najbardziej wpływowy kontakt w administracji państwowej, uparł się przy tym. Departament Sprawiedliwości zbyt na niego naciskał, aby w grę wchodziło jakiekolwiek inne rozwiązanie.

Gdy Celia wróciła z popołudniowego spotkania w Trans World Airlines, Roderick wciąż siedział nad dokumentami. Położyła torebkę na jednym z przyściennych antycznych stolików, zdjęła rękawiczki i zauważyła:

– Masz ponurą minę.

Roderick przeciągnął się i papiery, które trzymał na kolanach, spadły na podłogę.

– Martwię się – powiedział. – I zupełnie nie mogę się w tym połapać.

Celia zadzwoniła na kamerdynera.

– To nic nowego – stwierdziła.

Roderick zignorował tę uwagę, pozbierał papiery z podłogi i poinformował żonę:

– Rozmawiałem dziś z Davidem. Zjedliśmy lunch w restauracji nad rzeką.

– Jak miło.

– Obgadaliśmy sprawę z Robinstown. Wiesz, ujawnienie morderstwa, to wszystko.

– Bookbinder sypnął?

– On nie sypie. To nie w jego stylu. Ale za to wyliczył mi znajomości, jakie utrzymywał przez ostatnie dwadzieścia lat. To wszystko jest tutaj, w tych papierach. Kiedy to przeczytałem, poczułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Czy wiedziałaś, że Cornelius Oil zapłaciło dwadzieścia pięć tysięcy dolarów Enzowi

Torinowi za ochronę fabryk konserw w Chicago? Wiedziałaś o tym?

Celia wyjęła długą cygarniczkę i przypaliła papierosa.

– Kiedy to było? Osiemnaście lat temu. Jakie to ma teraz znaczenie?

– Ma znaczenie, bo Enzo Torino wciąż żyje. Może siedzi za kratkami, ale nie stracił języka w gębie. Zresztą to jeszcze nie wszystko. Mamy umowy i kontrakty na dostawy z takimi ludźmi jak Frank Gizzi, bracia Riccione i inni gangsterzy, których znasz tylko ze słyszenia. Nie trzydzieści lat temu. Nie trzydzieści dni temu. Dzisiaj.

Celia nie sprawiała wrażenia przejętej.

– Przecież wiesz, że George O'Hare ochrania nasz transport lotniczy. Chyba nie nazwałbyś go aniołem w ludzkim ciele, prawda?

– Celio, O'Hare to umięśnione zero. A tamci to wrogowie ładu społecznego. Wielcy mafiosi.

– Gdzie jest Vucinzki? Umrę, jeśli zaraz nie dostanę martini.

– Posłuchaj! – warknął Roderick. – Gizzi, Riccione i Albert Hagermeyer to gangsterzy. Ludzie mafii! Jak moglibyśmy wytłumaczyć związki koncernu Cornelius Industries z ludźmi tego pokroju? Nie tylko związki! Używamy ich magazynów, ich kurierów, ich kanałów

finansowych, ich sił nacisku, wszystkiego. Wykorzystujemy ich do przekupywania urzędników Departamentu Stanu, aby uzyskiwać zagraniczne kontrakty. Grozimy związkom i gazetom, zapłaciliśmy stacji telewizyjnej za to, żeby zrezygnowała z programu o Anastasii. Jesteśmy za pan brat z najgorszymi gangsterami w całych Stanach Zjednoczonych!

Celia ze spokojem strzepnęła popiół z papierosa.

– Nie wiem, po co ta cała panika. Są po naszej stronie, prawda? Panikować można wtedy, kiedy jest na odwrót.

Roderick wlepił w nią wzrok. Chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie wszedł stary Vucinzki i zapytał, czego Celia ma ochotę się napić. Poczekali w milczeniu, aż kamerdyner przy akompaniamencie głębokich westchnień i pomruków rozważy jej prośbę o bardzo wytrawne martini i wyjdzie, wlokąc za sobą nogi. Dopiero wtedy Roderick powiedział:

– Myślę, że wiedziałaś o tym.

– O czym, mój drogi?

– Cholernie dobrze wiesz o czym! Wiedziałaś przez cały czas!

Odwróciła się do niego.

– Nie musisz krzyczeć. Nie jestem głucha.

– Nie jesteś też ślepa ani głupia.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że prowadziłaś większość spraw Cornelius Industries, a ja kiwałem głową, machałem rękami i zachowywałem się jak durny figurant. A skoro prowadziłaś większość spraw, przez cały czas musiałaś wiedzieć o tych ludziach! Chryste, chyba musiałaś ich nawet znać!

Celia siedziała wyprostowana, jej oczy przypominały grudki lodu.

– Czy ty naprawdę jesteś aż taki żałosny? – spytała. – Czy nie widziałeś tego, co się wokół ciebie działo?

– Usiłowałem prowadzić ogromną korporację! – wrzasnął Roderick. – Usiłowałem prowadzić największą krajową wytwórnię nafty, jedną z największych w kraju sieci hurtowni żywności, trzecią pod względem wielkości stocznię i jedną z największych krajowych firm transportu lotniczego, firmy chemiczne, farmaceutyczne, ubezpieczeniowe i, cholera, jeszcze tyle innych firm, że nawet nie mam pojęcia, czym się zajmują! Wczoraj się dowiedziałem, że od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego jesteśmy właścicielami fabryki wiecznych piór, a ja przez całe życie kupowałem te cholerstwa!

Celia wstała. Miała na sobie brązowo-czerwoną suknię od Diora, dopasowaną w biodrach i rozciętą po bokach. Brylantowa broszka, stylizowany jastrząb z szeroko rozpostartymi skrzydłami, mrugnęła do Rodericka w gasnącym świetle dnia.

– Roddy, w tym roku skończysz czterdzieści lat – powiedziała. – Nie sądzisz, że czas już wydorośleć?

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Co to znaczy… wydorośleć?

Celia opuściła wzrok, ale nie była to oznaka skromności. Za chwilę miała wygłosić tyradę, do której od lat się przygotowywała, i usiłowała przypomnieć sobie starannie wyważone słowa.

– W dniu, w którym rozbił się C-jeden, twój ojciec wyjaśnił, co zamierza zrobić – oświadczyła ze spokojem.

– Wyjaśnił? Komu wyjaśnił?

Popatrzyła na męża.

– Mnie.

– Tobie? Jak to?

Westchnęła.

– Och, Roddy, to przecież oczywiste. Twój ojciec dał ci jedną wielką, kosztowną możliwość udowodnienia, na co cię stać. Zainwestował miliony dolarów w próbę twojej wartości, bo

w grę wchodziły miliardy. Nie mogłeś od niego oczekiwać, że przekaże ci kontrolę nad Cornelius Industries, widząc, że jesteś za słaby, aby nim zarządzać.

Roddy poszarzał na twarzy.

– Za słaby? – wychrypiał. – Za słaby?

Odwrócił się na pięcie, a potem znów spojrzał na żonę.

– Za słaby? – powtórzył, jakby nie był pewien znaczenia tych słów.

Celia odwróciła głowę. Nie cierpiała, gdy Roderick nieporadnie okazywał uczucia, ale jeszcze bardziej nie cierpiała, gdy częstował ją teatralnymi gestami.

– Jeśli jestem… słaby… – wystękał Roderick. – Jeśli jestem słaby…

– Och, Roddy, przestań się jąkać, na litość boską.

– Słuchaj! – ryknął. – Jeśli jestem słaby, to dlaczego przekazał mi to wszystko? Dlaczego posadził mnie za sterem? Dlaczego mam na drzwiach tabliczkę „Roderick Cornelius, prezes”? Co to znaczy? Chciałbym to wiedzieć!

Celia wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że jesteś prezesem – odparła. – Ale nawet prezesi mogą być marionetkami.

Znów opuściła wzrok, jednak nadal zachowywała sztywną, wyniosłą postawę, która tak bardzo go przerażała. Czasem odnosił wrażenie, że nie jest żywą kobietą, tylko jakimś robotem. Przyglądał jej się ze zgrozą i fascynacją, gdy tłumaczyła mu to, czego przez szesnaście lat nawet się nie domyślał.

– Każda poważna decyzja, która dotyczyła jakiejkolwiek gałęzi Cornelius Industries, była po śmierci Johanna podejmowana przez Davida Bookbindera i przeze mnie – powiedziała. – Wszystkie twoje notatki służbowe, raporty, sugestie, instrukcje i czeki były weryfikowane przez jedno z nas albo oboje. Takie było życzenie twojego ojca i tego się trzymaliśmy.

Roderick otworzył usta, ale nic nie powiedział i po chwili je zamknął.

Celia wstała.

– Twój ojciec kochał cię na swój sposób i chciał uchronić rodzinne nazwisko przed kompromitacją. Nie wierzył w rządy dynastyczne. Nie wierzył, że syn musi odziedziczyć zdolności ojca. Dlatego poddał cię próbie z C-jeden, a kiedy nie zdałeś tego egzaminu, postarał się, żebyś nigdy nie mógł przejąć żadnych pieniędzy ani żadnej władzy.

Roderick podszedł do okna. Wydawało się, że w ciągu piętnastu minut postarzał się o piętnaście lat. W słabnącym świetle dnia jego twarz wyglądała bardzo mizernie.

– Może uważasz, że źle zrobiłam, godząc się na to za twoimi plecami – mówiła dalej Celia. – Może i tak było. Ale zrobiłam to, bo chciałam dla siebie pieniędzy i władzy i chciałam tego samego dla ciebie, a jeśli był to jedyny sposób, żeby obie te rzeczy zdobyć, nie miałam wyboru.

– Ty i David Bookbinder… – jęknął Roderick. – Co za związek.

Do drzwi zapukał Vucinzki i wszedł do pokoju, niosąc martini Celii. Wzięła kieliszek ze srebrnej tacki i ruchem ręki odprawiła starego kamerdynera.

– Nie cierpiałam Bookbindera – powiedziała. – Ale chociaż to zdeprawowany osobnik, mogłam mu ufać.

Pociągnęła łyk lodowatego drinka, podeszła do męża i położyła mu rękę na ramieniu. Spojrzał na szafiry i brylanty niemal na każdym palcu, a potem znowu się odwrócił i nadal patrzył w noc.

– Znałam nawet plan Bookbindera mający umożliwić nam przejęcie spadku Johna i Hope – dodała ze spokojem. – Nie zrobił tego, aby cię

chronić ani nawet w interesie Cornelius Industries. Zrobił to wyłącznie po to, aby po śmierci Johanna był tylko jeden mistrz marionetek zamiast dwóch. Wykupywał udziały Johna i Hope i przenosił je do spółki matki, pozbawiając mnie w ten sposób możliwości jakiegokolwiek oddziaływania na kontrolowane przez nią firmy.

– Więc biedna mała Clara nie zginęła na próżno…

Celia jeszcze chwilę trzymała dłoń na ramieniu męża, po czym ją opuściła.

– Tak – odparła prawie bezgłośnie.

Odwrócił się.

– Nie sądzę, abyś wiedziała, czy to był wypadek, czy nie – powiedział bezbarwnym głosem. – Choć wiesz o wszystkim poza tym.

Zmarszczyła brwi.

– Nie sugerujesz chyba…

Podszedł do fotela, usiadł w nim i przetarł twarz.

– Sam nie wiem – mruknął.

Zacisnęła usta.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Clara zginęła – oświadczyła zimno. – Wierzę, że to wypadek, autentyczny wypadek. Wydał się podejrzany dopiero wtedy, gdy Bookbinder wykorzystał go

podczas realizacji swojego planu. Oczywiście było to niemoralne. Ale Bookbinder przepadał za dziewczynkami i na pewno by ich nie skrzywdził.

– Jednak gdy Clara zginęła, natychmiast wykorzystał jej śmierć, żeby zarobić jeszcze trochę pieniędzy, i to było w porządku, tak? To chcesz powiedzieć? Mój Boże, może jej nie zabił, ale kiedy odeszła, zachował się jak gangster.

Pociągnęła łyk martini.

– No cóż, o to przecież chodzi w tej całej rozmowie, prawda? – rzekła. – O twoje… wyrzuty sumienia z powodu zatrudniania gangsterów.

– Czy to takie dziwne mieć wyrzuty sumienia z powodu zadawania się z kryminalistami? – spytał. – A może dzisiaj to zachowanie nie do przyjęcia? Chyba powinnaś mi to wyjaśnić. Tak długo byłem marionetką, że pewnie nie potrafię już dłużej sam myśleć.

– Roddy, proszę!

– Nie, Celio, powiedz mi! Powiedz mi coś o tych ludziach! Powiedz mi, kim są, jacy są i jak często się z nimi spotykasz! Czy są zabawni i inteligentni? Czy żartują sobie z tego, że rozłupują ludziom czaszki i miażdżą małe dziewczynki w drzwiach samochodów? Co lubią jeść na kolację? Czy dobrze tańczą? Czy kupują biżuterię, czy ją kradną?

Celia przecięła pokój, robiąc trzy sztywne kroki, zamachnęła się i uderzyła Rodericka w twarz. Uderzenie odrzuciło go w fotelu, ale nie próbował się zrewanżować.

– Rozumiem… – mruknął. – Nauczyłaś się ich metod działania.

Odwróciła się od niego, zaciskając skrzyżowane na piersiach ramiona.

– Boże, Roddy, jaki z ciebie głupiec! Jak myślisz, czym jest Ameryka? Miejscem nieskończonych możliwości? Dzisiaj w tym kraju obowiązuje jedna zasada, która trzyma przy życiu wielki biznes: zasada eliminowania konkurencji. Rynek ropy jest, jaki jest. Jeśli chcemy mieć w nim większy udział, musimy zabrać jego część komuś innemu. A ten ktoś na pewno nie zamierza stać z założonymi rękami i pozwolić nam tego zrobić. Tak, oczywiście, jesteśmy sprzymierzeni z gangsterami. Niektórzy z nich są brutalni i głupi, ale większość jest bardzo kulturalna i wyrafinowana. I wie o biznesie znacznie więcej niż ty. Znają realia życia, Roddy, i potrafią sobie z nimi radzić.

Roderick sięgnął po rozrzucone na podłodze dokumenty. Podniósł jeden z nich, przejrzał go i oświadczył:

– W pięćdziesiątym drugim byliśmy pośrednio odpowiedzialni za spalenie i zamknięcie siedemnastu stacji benzynowych w Luizjanie, Teksasie i Arizonie.

Sięgnął po inny dokument i odwrócił go do góry nagłówkiem.

– W pięćdziesiątym zapłaciliśmy braciom Riccione tysiąc dolarów za włamanie do Departamentu Spraw Wewnętrznych i zdobycie dokumentów, dzięki którym udało się nam wygrać przetarg na tereny pod zabudowę mieszkaniową.

Schylił się po kolejny dokument, ale Celia go powstrzymała.

– Wystarczy.

Podniósł głowę.

– Wystarczy czego? Wystarczy, żebyś poczuła wyrzuty sumienia?

– Po prostu wystarczy – odparła, potrząsając głową. – Powiedziałeś swoje. Myślę, że lepiej będzie, jak spojrzysz prawdzie w oczy.

– Mam spojrzeć prawdzie w oczy? A jak myślisz, co ja teraz robię, do cholery?

Odwróciła się.

– Mam na myśli spojrzenie wprost, twarzą w twarz. Chcę, żebyś poznał osobiście Ricarda Riccionego.

Roderick opuścił kartkę papieru, którą trzymał w ręku, i spojrzał na żonę. Ich oczy spotkały się jak oczy dwojga ludzi, którzy widzą się po raz pierwszy w życiu.

♦ ♦ ♦

Emerytura Davida Bookbindera nie potrwała długo. Nie dotarł na Hawaje, chociaż udało mu się dotrzeć do Key West, gdzie wynajął ocieniony drewniany dom stojący trzy numery od domu, w którym mieszkał Ernest Hemingway, i chodził cichymi ulicami po palczastych cieniach palm, ubrany w szeroki słomkowy kapelusz z niebieską opaską i długie szorty khaki. Na Key West wyrabiano skórzane sandały, więc kupił sobie jedną parę. Kupił też dużą słomkową torbę i ładował do niej homary i kurczaki na zimno, które zjadał na piknikach w różnych częściach wyspy. Niekiedy widywano go na białej plaży przy lotnisku, obserwującego niebieski ocean. Kiedy indziej siadywał na Conch Quay w czarnych przeciwsłonecznych okularach, które do niego nie pasowały, i czytywał stare egzemplarze „Wall Street Journal”. Stawał też na rogu Wadell i Vernon, nieruchomy jak słup, w opadających szortach i koszuli w czerwono-

żółte kwiaty, jakby właśnie otrzymał wiadomość od Pana Boga i zatrzymał się, aby jej wysłuchać.

Kiedy dwa tygodnie po opuszczeniu Nowego Jorku w wietrzne czwartkowe popołudnie wrócił do wynajętego domu, zastał frontowe drzwi otwarte.

Długo stał przy furtce. Ogród był mocno zarośnięty. Chwiały się w nim palmy, a w powietrzu unosił się zapach dzikich orchidei. W górze ćwierkały papużki.

Odwrócił się powoli i popatrzył na spokojną ulicę. Miał czerwony i łuszczący się nos, bo całe przedpołudnie spędził na plaży. Pod pachą trzymał egzemplarz „Metallurgical Review". Zdjął okulary i przygryzł wargę. Po drugiej stronie ulicy, za kierownicą dwutonowego packarda patrician, spał Murzyn.

Bookbinder pomyślał, że powinien jak najszybciej odejść. Ale zamiast to zrobić, minął furtkę i przez chwilę stał na ścieżce, zaglądając do mrocznego wnętrza starego domu. Widział granatowoczarny błysk parkietu i cień brzydkiego chińskiego stoliczka w holu. Zawołał sprzątaczkę:

– Cristobel!

Gdy nikt mu nie odpowiedział, wspiął się po stopniach werandy. Odczekał chwilę przy

drzwiach, po czym wszedł do środka. Położył wymiętą gazetę na stoliku.

Czekali na niego w salonie. Wydawali się absolutnie pewni, że przyjdzie i nie spróbuje ucieczki, kiedy ich zobaczy. Siedzieli na jego giętych fotelach, paląc ręcznie zwijane papierosy w czarnych bibułkach, a gdy pojawił się w drzwiach, jeden z nich powiedział po prostu:

– Wejdź.

Pokój był chłodny i ładnie urządzony, z mosiężnym stoliczkiem z Kaszmiru i dużymi ciemnymi obrazami za odbijającym światło szkłem. Dwaj siedzący w nim mężczyźni zupełnie do niego nie pasowali, jak ubrani w kaski futboliści, którzy trafili na turniej krykieta. Jeden z nich był wysoki, mocno zbudowany, krótko ostrzyżony, po wojskowemu. Nosił okulary w rogowych oprawkach z jednym pękniętym szkłem, wymięte jasnoszare spodnie i żółtą koszulę z krótkimi rękawami. Drugi był młodszy, modniej ubrany, miał czarne kręcone włosy i duży, gruby nos. Nosił luźny T-shirt i połatane dżinsy. Jego wyblakłe tenisówki cały czas się poruszały, wybijając na podłodze rytm rockandrollowego kawałka, który dudnił mu w głowie.

Bookbinder zatrzymał się w progu.

– Coście za jedni? Kto was tu przysłał?

Krótko ostrzyżony nawet nie podniósł wzroku. Zaciągał się papierosem, wlepiając wzrok w podłogę i wypuszczając dym kącikiem ust.

– Czy pan David Bookbinder? – spytał.

Bookbinder stał bez ruchu.

– Lepiej zjeżdżajcie stąd szybko – powiedział.

Młody, modnie ubrany bandyta zerknął na swojego kolesia i dalej szurał tenisówkami po podłodze. Krótko ostrzyżony odparł:

– Nigdzie nie idziem.

Zaciągnął się po raz ostatni, zgasił papierosa, ściskając go w palcach, i schował peta do kieszeni koszuli. Wstał.

Bookbinder poczuł w brzuchu skurcz strachu, ale wiedział, że nie może uciekać. Jeśli uciekałeś, wykańczano cię w try miga. Jeśli się nie ruszyłeś, mogli uznać, że zabawniej będzie okazać litość, niż zabić. Krótko ostrzyżony obszedł go i złapał za przegub z taką siłą, że Bookbinder jęknął cicho.

Rozmowa była bez sensu. Ci ludzie nie mieli pojęcia, dlaczego się tu znaleźli ani dla kogo pracują. Powiedli go korytarzem obok wyblakłych, popstrzonych przez muchy, pokrytych żółtobrązowymi zaciekami

reprodukcji przedstawiających korsarskie okręty stojące na kotwicy, a potem przez tylne drzwi z zielonożółtymi szybkami wyprowadzili do ogrodu.

Po żelaznych schodkach zeszli w szmaragdowe cienie palm i akacji. Jaszczurka przebiegła im drogę. Siedzący na gałęzi ptak śpiewał wciąż ten sam skomplikowany, powtarzający się motyw, który brzmiał jak „Jeszcze raz, wiara, jeszcze, jeszcze raz”. W ogrodzie było parno i Bookbinderowi pot spływał po plecach.

Szli wzdłuż tylnej ściany domu, aż dotarli do rozpadającej się, łuszczącej szopy, w której trzymano narzędzia ogrodnicze. Z jednej strony drewnianego, pokrytego plamami dachu opadała plątanina pnączy.

Młody wyłamał drzwi. W środku panował mrok, a w powietrzu unosiła się woń stęchlizny i tropikalnej pleśni. Krótko ostrzyżony przepuścił Bookbindera do środka, po czym stali przez chwilę pośród połamanych doniczek na sadzonki, zardzewiałych nożyc i starego walca ogrodniczego z rączką z kutego żelaza, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Potem młody zamknął drzwi i zasunął skobel.

– Co zrobicie? – spytał Bookbinder.

Krótko ostrzyżony odkaszlnął.

– Chyba dobrze wiesz co – odparł.

Bookbinder kiwnął głową i zapytał:

– Możecie to zrobić szybko?

Krótko ostrzyżony wzruszył ramionami.

– Musimy to zrobić tak, jak nam kazali.

Zapadła cisza. Młody grzebał wśród brzęczącego żelastwa, ale był poza zasięgiem wzroku Bookbindera.

– Mogę zapalić cygaro? – spytał.

– Nie ma czasu – odparł krótko ostrzyżony.

Bookbinder nic na to nie odpowiedział.

– Zresztą cygara szkodzą na zdrowie – dodał mężczyzna.

Młody usłyszał tę uwagę i roześmiał się, ale krótko ostrzyżony warknął:

– Stul ryj.

Bookbinder powtarzał sobie w myślach, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie, ale jednocześnie zadawał sobie pytanie, czy naprawdę zasługuje na śmierć. Zawsze ostrożnie stosował przemoc i dopiero teraz, sam stając się jej ofiarą, miał się przekonać, jak mogło wyglądać wykonywanie jego poleceń. Modlił się, żeby załatwili go szybko i w miarę bezboleśnie.

Jednak zleceniodawca tej mokrej roboty nie miał na myśli szybkiej śmierci. Młody przywlókł

pod drzwi starą drewnianą skrzynkę na nasiona, a krótko ostrzyżony kazał Bookbinderowi stanąć na niej plecami do drzwi. Kiedy Bookbinder zobaczył, że młody w jednej ręce trzyma garść sześciocalowych gwoździ, a w drugiej ciężki stolarski młotek, z pełną zgrozy fascynacją uświadomił sobie, co go czeka.

Wepchnięto mu w usta szmatę, żeby nie mógł krzyczeć. Krótko ostrzyżony przygniótł go do drzwi, a młody złapał go za lewą rękę, wcisnął w nią gwóźdź i czterema potężnymi uderzeniami młota przybił go do drzwi.

Bookbinder próbował stawiać opór, ale złapali go za drugą rękę i ją również przybili do drzwi. Z bólu i strachu oczy wyszły mu z orbit, jednak nie mógł krzyczeć. Przyklękli, zdjęli jego nowe skórzane sandały, skrzyżowali stopy jedną na drugiej i trzecim gwoździem przebili pulchne podbicia, i w końcu gwóźdź wgryzł się w drzwi. Młody kopnięciem odepchnął skrzynkę i z podziwem popatrzył na swoją robotę.

– Chyba jest za ciężki – stwierdził krótko ostrzyżony. – Gwoździe rozedrą mu graby.

Młody kiwnął głową i zebrał z podłogi jeszcze kilka gwoździ, po czym wbił Bookbinderowi następne dwa – jeden w mięsień przedramienia,

drugi w drgający biceps. Zanim skończył, Bookbinder był prawie nieprzytomny.

– Nie zapomnij zabrać młotka – powiedział krótko ostrzyżony. – Wytrzyj go i wyrzuć na nabrzeżu.

– Okay, Jackie.

Krótko ostrzyżony pociągnął nosem i sięgnął do kieszeni po peta.

– No dobra, chodźmy.

Otworzyli drzwi i na chwilę Bookbinder znów ujrzał światło słońca. Zamknęli szopę, przekręcili klucz w zamku i zostawili go z przebitymi rękami i stopami, wiszącego w zapleśniałym półmroku.

Męczył się jeszcze przez piętnaście godzin. Płakał i czasem się modlił. To nie miało końca. Modlił się o śmierć. Próbował wypluć szmatę, żeby wezwać pomoc, ale nie mógł. Ból był tak wielki, że zasypiał i śnił o bólu, a kiedy się budził, przekonywał się, że to rzeczywistość. Ze strachu, że gwoździe mogą rozerwać mu ścięgna i przyprawić go o jeszcze większy ból, nie śmiał się ruszyć.

Wczesnym świtem w piątek łysa głowa opadła mu na piersi i umarł. Ptaki wciąż śpiewały „Jeszcze raz, wiara, jeszcze, jeszcze raz”. Tak się dziwnie złożyło, że leżący nieopodal walec

ogrodniczy został kupiony tego samego dnia, w którym Bookbinder przyszedł na świat.

Trupa znalazł osiem dni później urodzony na Martynice mężczyzna, sprzątający dom przed przybyciem nowych najemców. Policja już wiedziała, co zaszło, i została dobrze opłacona, aby załatwić całą sprawę po cichu. Koroner stwierdził, że śmierć nastąpiła w wyniku ataku serca, co nie było niczym niezwykłym u człowieka w wieku denata. Zwłoki po cichu skremowano, a prochy wrzucono nocą do ciemnych wód Zatoki Meksykańskiej.

♦ ♦ ♦

W 1954 roku urzędnik kontrolujący zasoby wodne Toledo często się zastanawiał, czemu wieczorami dochodzi do dramatycznych spadków poziomu wody w jego zbiornikach, aż w końcu zrozumiał przyczynę tego zjawiska: po prostu podczas reklam telewizyjnych obywatele Toledo tłumnie biegli do toalety i jednocześnie spuszczali wodę, tworząc trzyminutowe Niagary.

Coś jeszcze wydarzyło się w 1954 roku. John Cornelius, prezes firmy zbrojeniowej Cornelius Armaments, pewnego wieczoru przyjechał wcześniej do swojego domu w Georgetown

i zobaczył na obrzeżonym krzewami podjeździe czerwono-białego chevroleta bel air, a w sypialni na górze zsunięte koronkowe firanki. Reklama tego modelu chevroleta głosiła, że z każdego galonu benzyny wyciska więcej mocy niż inne samochody i trzeba paru setek mil, aby zepchnąć wskaźnik poziomu paliwa z pozycji „pełny” na „pusty”.

W ostatnim artykule „Washington Post” nazwano Johna Corneliusa „oryginalnym i bardzo wojowniczym tuzem przemysłu zbrojeniowego”. Jednak tego wieczoru nie był w wojowniczym nastroju. Kiedy tylko spostrzegł obcy wóz na podjeździe, popatrzył w lusterko wsteczne swojego białego otwartego cadillaca i ponownie włączył się do ruchu. Zachodzące słońce kładło na ulicy splątane cienie linii telefonicznych i drzew. John jeszcze raz spojrzał w lusterko. Jego dom, pokaźny budynek w stylu kolonialnym, z białymi pilastrami na ciemnej cegle, zniknął za przejeżdżającą półciężarówką.

John nie bardzo wiedział, kiedy i dlaczego zaczął podejrzewać, że Irene go zdradza. Oczywiście sam też miał kiedyś kochankę, ale jego związek z Marą Malinsky był tak wyjątkowy i tak wieloznaczny, że nie wyobrażał sobie, by Irene mogła się zaangażować w coś podobnego.

Jednak musiał przyznać, że przysługiwało jej prawo do posiadania innego mężczyzny. Skandal związany z Marą musiał ją wiele kosztować.

Sięgnął do szerokiej kieszeni na piersiach, wyjął z niej chusteczkę i otarł czoło. Wieczór był dość ciepły. John miał na sobie jasnopopielaty dwurzędowy garnitur i białą koszulę z krawatem w grochy. Gdyby nie luksusowy cadillac, można by go wziąć za jednego z konformistycznych, konserwatywnych menedżerów średniego szczebla, którzy każdego wieczoru tłumnie opuszczali Waszyngton, wracając do domu. W 1952 roku zapuścił szczeciniasty wąsik, dzięki któremu w wieku trzydziestu siedmiu lat wyglądał na dobre pięć lat starzej. Bronił się w ten sposób przed skandalem i dezaprobatą ze strony rodziny oraz znajomych. Irene bardzo nie lubiła tego wąsika i mówiła, że wygląda z nim trochę durnowato.

Minęło pół godziny, zanim srebrzysto-szkarłatna płetwa bel aira spłynęła z podjazdu na ulicę. John słuchał radiowego teleturnieju i chevrolet pojawił się w chwili, gdy prowadzący zadał pytanie: „A czy wiesz, Ed, jakie pończochy nosi twoja żona?”. John wyłączył radio i zapalił silnik.

Kiedy auto go mijało, zasłonił ręką twarz, ale zerkał między rozsuniętymi palcami i zobaczył mężczyznę, który może był, a może nie był kochankiem jego żony. Był przygotowany niemal na wszystko – na wspólnika w interesach, znajomego z klubu golfowego lub kogoś, kto odwiedził ich kiedyś na kolacji. Kochankowie współmałżonków z reguły wywodzą się ze wspólnego kręgu znajomych. Nie był jednak przygotowany na kolor skóry mężczyzny. Kierowca bel aira okazał się mocno zbudowanym Murzynem, prawdopodobnie pochodzącym z Karaibów. Nosił ciemne okulary i był ubrany w drogi letni garnitur.

Być może John chciał ruszyć za chevroletem, ale jego ręka pozostała na drążku zmiany biegów i w ogóle się nie poruszył. Coraz mroczniejsza ulica nagle wydała mu się zbyt wietrzna, zbyt zatłoczona i zbyt zimna na jazdę kabrioletem. Ubrana w sukienkę w kwiaty kobieta w średnim wieku, dźwigająca wypchaną torbę z wielkiej sieci spożywczej, zatrzymała się przy nim i spytała:

– Nie przeszkadza panu, żebym postawiła na chwilę torbę na pańskim aucie i odsapnęła?

– Właśnie odjeżdżam – odparł.

Spojrzał w lusterko wsteczne i zobaczył swoje pełne niepokoju oczy. Zwolnił ręczny hamulec i wyjechał na ulicę, zawracając.

Kiedy minął zakręt i wrócił przed dom, zasłony sypialni były rozsunięte. Wjechał na podjazd, zaciągnął hamulec i wysiadł z wozu. Przeszedł wzdłuż zakurzonego przystrzyżonego żywopłotu i wyjął klucze, zamierzając otworzyć drzwi.

Jednak Irene go ubiegła. Miała na sobie luźno zawiązane w pasie kimono z bladozielonego jedwabiu. Sprawiała wrażenie jeszcze wyższej i bardziej świątobliwej niż zwykle. Biorąc pod uwagę jej wygląd, oskarżenie o cudzołóstwo wydawało się równie absurdalne, jak doszukiwanie się brudów w życiu świętej Agnieszki. John zatrzymał się w pół kroku i wypuścił z ręki mosiężny klucz, który zawisł na końcu opadającego z kieszeni złotego łańcuszka.

– Witaj. Wcześnie wróciłeś – powiedziała Irene.

Spojrzał na nią.

– Zgadza się.

Cofnęła się i wszedł do domu. Położył papiery i teczkę na stoliku w holu. W domu panowała głucha cisza, więc każde słowo miało dziwnie

teatralne brzmienie. Gdy Irene szła za nim do salonu, kimono szeleściło jak drzewa na wietrze.

John rozejrzał się po pokoju. Telewizor był włączony, ale bez głosu. Rząd okien wychodził na północ, na wiecznie zacieniony ogród. Salon był urządzony ze smakiem i umeblowany wielkimi, pikowanymi, skórzanymi kanapami koloru orzechów pekanowych i obitymi brązowym aksamitem wiktoriańskimi fotelami. Oczywiście wszystko to było bardzo bostońskie.

– Wydajesz się przygaszony – zauważyła Irene. – Masz ochotę na drinka?

Pokręcił głową.

– Miałam kolejny nudny dzień – mówiła dalej Irene. – Ale nie spodziewam się, żeby cię to interesowało.

John podszedł do marmurowej półki nad kominkiem i otworzył srebrną papierośnicę. Wyjął papierosa i zapalił go.

– Oczywiście, że mnie interesuje – odparł, nie odrywając wzroku od telewizora, w którym prezenterka robiła coś bardzo skomplikowanego, posługując się dwoma pudłami proszku do prania.

– Nie musi.

– Nie? A dlaczego?

Irene skubnęła długimi, wymalowanymi na perłowo paznokciami oparcie skórzanej kanapy.

– Nadal mi nie powiedziałeś, czy chcesz drinka.

– Przepraszam. Nie, dziękuję.

– Ja się napiję.

Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział. Irene podeszła do barku, wyjęła ciężką kryształową szklankę Waterforda i nalała sobie ginu z tonikiem. Zwykle dzwoniła srebrnym dzwonkiem na Lewis, ale dziś pokojówka miała wychodne. Ujęła szklankę obiema dłońmi jak dziecko kubek z mlekiem i powoli podeszła do męża, który nerwowo zaciągał się papierosem.

– Jesteś roze… nieubrana – zauważył.

Irene zamrugała zdziwiona, a potem roześmiała się z rozbawieniem.

– Tak – przyznała.

John czuł się jak w spadającej windzie. Nie cierpiał siebie za to, co myślał i co zamierzał powiedzieć, jednak wiedział, że ich małżeństwo nie przetrwa zbyt długo, jeśli nie dowie się prawdy. Być może jego poczucie winy potrzebowało potwierdzenia, że nie tylko on pragnął bliskości kogoś poza ich związkiem, kogoś, kto by go rozumiał i pocieszył.

– Tak wyglądasz, kiedy masz gości? – powiedział. – Tak się zwykle… ubierasz?

Zapadła długa cisza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała w końcu. – Przecież nie mam gości.

– Teraz nie – odparł. – Ale miałaś.

Zapadła kolejna cisza, jeszcze dłuższa i chłodniejsza. Irene wypuściła drżący oddech.

– Wróciłem pół godziny temu – dodał bezbarwnym głosem. – Na podjeździe stał samochód, a zasłony w sypialni były zaciągnięte. Czekałem na ulicy i widziałem, jak ten samochód odjeżdżał.

– Szpiegowałeś mnie? – spytała.

– Nie wydaje mi się, żeby próba obejrzenia dziwnego gościa płci męskiej, który z jakiegoś powodu sprawił, że o wpół do piątej po południu zaciągnęłaś zasłony w sypialni, była szpiegowaniem. Mąż ma prawo wiedzieć, co robi jego żona.

Irene podeszła do okna i rozsunęła firanki. Kilka jardów dalej stała pokryta patyną, kurzem i ptasimi odchodami bezręka Wenus z Milo.

– Zwykle nie interesuje cię, co robię – odparła, nie ukrywając goryczy.

Opuścił wzrok.

– Nie próbuję cię potępiać, Irene. Po prostu myślę, że mam prawo znać prawdę.

– Jaką prawdę?

– A jak myślisz, jaką? Prawdę o tobie i tamtym mężczyźnie.

Wzruszyła ramionami.

– Czego się ode mnie spodziewasz?

– Mogłabyś zacząć od powiedzenia, jak się nazywa. Chciałbym znać nazwisko człowieka, z którym dzielę twoje łóżko.

Odwróciła się.

– Och, rozumiem. Zakładasz, że to mój kochanek.

– Faktycznie, właśnie tak zakładam. Co innego miałoby mi przyjść do głowy?

– Dlaczego nie przyjdzie ci do głowy coś innego poza twoimi durnymi, brudnymi podejrzeniami?

– Brudnymi?! – warknął. – To Murzyn, a ty mi mówisz, że mam brudne podejrzenia!

Irene wytrzeszczyła na niego oczy. Była wstrząśnięta. Kiedy się odezwała, jej głos drżał i ledwo hamowała odrazę.

– Więc o to chodzi! Masz mi za złe, że jest Murzynem! Mój Boże! John Cornelius, kochający zabawę liberał! Nie przeszkadza ci, że inni uwodzą ci żonę, póki są takiej rasy, jak należy!

Mój Boże! – Jeszcze chwilę na niego patrzyła, po czym stwierdziła: – Budzisz we mnie obrzydzenie. Dreszcz mnie przechodzi, kiedy na ciebie patrzę.

Wrzucił papierosa do pustego kominka.

– Czuję to samo wobec ciebie. Sama zdecydowałaś się zostać ze mną po tym, jak się dowiedziałaś o Marze. Mogłaś się ze mną rozwieść. Mogłaś odejść. Powiedziałem ci, jakie są warunki, a ty zgodziłaś się je przyjąć. Chciałaś być żoną Corneliusa, więc pozostałaś żoną Corneliusa.

Podeszła do niego.

– Nie wiedziałam, że obowiązują mnie jakieś zakazy. Nie wiedziałam, że wolno mi brać kochanków tylko o określonym kolorze skóry. Może lepiej mi powiedz, jakie jeszcze masz zastrzeżenia. Czy mój kochanek może być rudy? A co z zawodem? Nie życzysz sobie dentystów czy akrobatów cyrkowych? Może masz zastrzeżenia religijne? Żadnych żydów? Śmiało, John, powiedz mi, żebym wiedziała! Na pewno jeszcze inni doprowadzają cię do zgrzytania zębami, nie tylko czarnuchy!

Porwał z kanapy skórzaną poduszkę i cisnął ją przez pokój. Strąciła z mahoniowego stolika

figurkę melancholijnego pasterza, która rozbiła się na kawałki.

– Ty dziwko! – wrzasnął. – Ty nadęta portowa dziwko! Zabawiasz się z Murzynem w moim łóżku i jeszcze masz czelność kpić ze mnie w żywe oczy!

Patrzyła na niego z dziwnym uśmiechem. Przypominał uśmiech prostodusznego dziecka lub osoby, która doznała szoku. Ale Irene nie była ani prostoduszna, ani zszokowana; był to uśmiech mówiący, że niezależnie od tego, jak bardzo mąż ją znieważy, jak bardzo będzie wrzeszczał i krzyczał, będzie robił to, czego przez cały czas od niego żądała – a tym czymś było zwrócenie na nią uwagi.

– Nie wzięłam go do łóżka – powiedziała po chwili. – Przyjechał naprawić klimatyzację.

– W garniturze? Z kogo ty chcesz robić głupka?

Nie przestawała się uśmiechać.

– Najpierw przyjechał tu przed południem i wtedy miał na sobie ubranie robocze. Spodobał mi się i poprosiłam, żeby wrócił po południu, kiedy już nie będzie pokojówki. Zjawił się o trzeciej, wykąpany i w czystej koszuli. Uniósł mnie, jakbym była dzieckiem, i wszedł we mnie, stojąc w drzwiach do kuchni.

Rozwiązała pasek kimona.

– Jeśli chcesz, mogę ci pokazać jego nasienie.

John wrócił do kominka i wyjął następnego papierosa. Zapalając go, podniósł wzrok i zobaczył odbicie Irene w złoconym francuskim lustrze, które wisiało nad kominkiem. Kimono się rozchyliło i zobaczył jej drobne piersi i blade ciało. Opuścił wzrok na palenisko i już go nie podniósł.

– Myślę, że lepiej będzie, jak zrewidujemy nasze ustalenia – powiedział cicho. – Skoro mamy zostać razem, spróbujmy zabezpieczyć się przed zamianą w dzikie bestie. Od tej pory nie będę mówił ci o niczym, co robię, i nie chcę słyszeć o twoich seksualnych eskapadach. Ze względu na Ally jestem gotów żyć z tobą tak długo, jak sobie życzysz, ale nie oczekuj ode mnie, że jeszcze kiedykolwiek cię dotknę.

Odwrócił się w jej stronę, ponury i poszarzały na twarzy. Uśmiechnęła się do niego dobrotliwie.

– Och, nie przejmuj się. Postaram się, żebyś chciał mnie dotknąć. Mów sobie, co chcesz, ale się o to postaram.

Nie odpowiedział. Czuł, że ogarnia go frustracja i gniew. Trawiła go zazdrość, jakiej nigdy do tej pory nie odczuwał. Romans z Marą zakończył się dziewięć lat temu, ale nadal

gnębiło go poczucie winy i nigdy nie potrafił zrozumieć dlaczego. Czy było to poczucie winy z powodu zranienia Irene i ich dobrowolnego wygnania do Waszyngtonu, czy z powodu śmierci Clary? A może z powodu Mary i Ally? Jakakolwiek była przyczyna tego stanu, czuł się odrętwiały i odgrodzony od rzeczywistości. Gdyby tylko mógł wrócić do normalnego życia po odbyciu jakiejś kary… Z natury uczciwy i wrażliwy, był niemal zupełnie bezradny wobec kobiet pokroju Irene, których słabość stanowiła ich największą siłę.

Być może jego największą winą było to, że nie opuścił jej wiele lat temu – choć powinien to zrobić ze względu na samego siebie.

– Chyba jednak bym się napił – powiedział.

Irene nawet nie drgnęła.

– W takim razie sam sobie zrób drinka – odparła.

Podszedł do małego baru i nalał sobie niewielką miarkę whisky Jim Beam. Wypił przy barku, jak ludzie piją wodę, stojąc w łazience przy umywalce.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, czy zmyślasz, czy mówisz prawdę – mruknął.

– Miałabym zmyślać? Po co?

– Nie wiem. Może chcesz mnie ukarać.

Popatrzyła na niego z udawanym współczuciem.

– Och, kochanie… jak mogłabym kiedykolwiek chcieć cię ukarać?

– Karzesz mnie za każdym razem, kiedy odrzucasz moją miłość.

Usiadła na skórzanej kanapie i rozłożyła wokół siebie kimono. Wyglądała jak wielka blada pszczoła na błyszczącym kwiecie.

– Myślę, że przestałeś mnie kochać już dawno temu – powiedziała. – Nie kochasz mnie od wybuchu wojny.

– I to jest twoja odpowiedź na to? Kopulowanie z czarnymi monterami w przejściu do kuchni?

– Z czarnym monterem, kochanie. Był tylko jeden.

– Zmyślasz.

– Tak?

– Oczywiście, że zmyślasz, do cholery! To się po prostu nie zdarzyło! Co takiego, do diabła, miałby zobaczyć czarny monter od klimatyzacji w bostońskiej bladej laluni? Taki facet chce kogoś zmysłowego, a nie wyniosłej damulki w luksusowej bieliźnie!

Uniosła brwi. Nie wiedział, czy uraził ją, czy nie. Pociągnęła drinka i spytała:

– A więc jestem wyniosła? – Po chwili ciszy dodała: – Nie wiem, po co wziąłeś mnie za żonę, skoro uważałeś, że jestem wyniosła.

– Ja też nie wiem.

– Naprawdę tego żałujesz?

– Chryste, Irene, nie żałuję tego. Żałuję tylko nieszczęścia, do którego doprowadziłem, żałuję, że Clara zginęła, i żałuję, że od dziewięciu lat kuśtykamy przez życie, nie ufając sobie wzajemnie i ciągle naskakując jedno na drugie.

Opuściła oczy. Na powiekach miała niezbyt ładny bladoniebieski cień.

– No cóż, to nie moja wina – odezwała się.

– Czy teraz to ważne, czyja to wina?

Podniosła na niego wzrok.

– Mówisz tak, bo to twoja wina… twoja i tej Polki, która nie miała tyle przyzwoitości, żeby się trzymać z daleka od męża innej kobiety. To nie była moja wina i dobrze wiesz o tym, ale teraz mówisz, że tak.

– Nic takiego nie mówię. Mówię po prostu, że po dziewięciu latach to już nieważne.

Oczy Irene zaczęły się wypełniać łzami.

– Skoro to nieważne, dlaczego wciąż czuję, że powinnam taka być?

– Jaka?

– Okropna dla ciebie. Nic nie mogę na to poradzić. Kocham cię, John, ale muszę być dla ciebie okropna, żebyś mnie wciąż kochał. Chyba myślę, że jeśli będę cię ranić, ale ty nadal będziesz mnie kochał, to twoja miłość musi być prawdziwa.

Popatrzył na nią. Była świątobliwa jak zawsze, ale minęło trochę lat i teraz jej świątobliwość była mniej niebiańska, bardziej przypominała nabożną sztywność malowanych gipsowych figurek, które Meksykanki trzymają na swoich toaletkach obok szczotek do włosów.

– Nie zrobiłaś tego, prawda? – spytał ochryple. – Tego… wiesz… z Murzynem?

Płakała i łzy kapały jej z oczu na japoński jedwab. Czuł, że powinien ją objąć, ale z jakiegoś powodu wzbraniał się przed tym gestem. Może chodziło o to jej gadanie, że się postara, żeby jej dotknął? Poza tym płacz wcale nie przemienił jej w delikatną, łagodną żonę, która rozpaczliwie potrzebuje pociechy. Nadal była sztywna. Miał wrażenie, że biorąc ją w ramiona, obejmie posąg.

– Wychodzę – oznajmił ze spokojem. – Gdyby ktoś chciał się ze mną spotkać, będę w śródmieściu, w Klubie Republikanów.

Kiwnęła głową i pociągnęła nosem.

– Przepraszam, John – wyszeptała. – Nie chciałam.

Stał przez chwilę przy drzwiach, szukając właściwych słów, czegoś, dzięki czemu Irene zrozumiałaby, że prawdopodobnie mają szczęście, mogąc żyć razem bez zbytnich tarć, i że ostatnią rzeczą, której mógłby się od niej domagać, była namiętna miłość. Byłby szczęśliwy, mając święty spokój. W końcu zrezygnował, odwrócił się i zamknął za sobą drzwi, mając nadzieję, że kiedy go nie będzie, nie zrobi niczego głupiego, nie połknie zbyt dużej ilości pigułek ani nie upiecze mu murzynka.

♦ ♦ ♦

Kiedy dojechali do bramy Niniwy, posiadłości Ricarda Riccionego w Thornwood w stanie Nowy Jork, ostatnie poszarpane chmury przelotnego letniego deszczu przesunęły się nad zbiornik Kensico i nawierzchnia drogi parowała w słońcu. Bledszy niż zwykle Roderick prowadził zielono-białego oldsmobile’a ubrany w ciemnopopielaty garnitur i popielaty kapelusz. Siedząca obok niego Celia była jak zawsze spokojna i chłodna. Miała na sobie bladoniebieską suknię i tego samego koloru kapelusz z woalką.

Wysoką bramę Niniwy wieńczył obrabiany granit, a jej skrzydła były wykonane z pomalowanego na czarno żelaza ozdobionego złoconymi liśćmi. Za nimi widniały stare dęby i nieskazitelnie gładki asfaltowy podjazd. Kiedy się zbliżali, z zielonej budki wyszedł wysoki strażnik w dopasowanym niebieskim uniformie.

– Dzień dobry, pani Cornelius – powiedział, pochylając się do okna. – Miło znów panią widzieć.

Roderick stężał.

– To mój mąż, Roderick Cornelius – przedstawiła go Celia. – Prawdopodobnie niebawem będziesz go częściej widywał.

Strażnik kiwnął głową. Miał czarne włosy, długie baczki i ciemne oczy. Zachowywał się uprzejmie, ale jednym ruchem potrafiłby skręcić człowiekowi kark.

– Miło mi pana poznać, panie Cornelius – powiedział. – Wiele razy widziałem pańskie nazwisko w gazetach. Nazywam się Contini.

Roderick mruknął coś pod nosem i zapytał niecierpliwie:

– Możemy wreszcie wjechać?

Strażnik wcale się tym nie przejął.

– Oczywiście. Pan Riccione oczekuje państwa. Proszę jechać do końca podjazdu, do ogrodu

różanego, i tam ktoś przejmie od pana samochód. Pan Riccione jest teraz w belwederze.

Celia pomachała mu ręką i powiedziała:

– Dziękuję, Contini.

Strażnik zasalutował i włączył urządzenie otwierające bramę.

Jechali między szeleszczącymi liśćmi, rzucającymi cytrynowe i zielone refleksy na drogę. Roderick nadal był naburmuszony i w ogóle się nie odzywał. Podjazd wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Poczuli zapach róż, zanim je zobaczyli – był to gęsty, niemal deliryczny zapach odmian Sutter's Gold i President Herbert Hoover. Kiedy minęli zakręt, cała posiadłość zapłonęła tysiącami kolorów – wszędzie było pełno kwiatów.

Roderick zaparkował samochód i wysiadł. Gdy podszedł do drzwi Celii, aby je otworzyć, spytała:

– Czy tu nie jest bosko? To chyba najbardziej boskie miejsce na świecie.

Pomógł jej wyjść z auta.

– Co to za gość? Jakiś maniak ogrodnictwa?

– Nie wydziwiaj. Belweder jest tam.

– Ach, więc już tu byłaś?

Wzięła go pod ramię i zaczęli iść wśród zamieci płatków. Roderick pocił się obficie

i marzył o hauście powietrza wolnego od ciężkiego zapachu wielokwiatowych róż.

– Belweder jest widoczny z domu – powiedziała Celia, gdy szli w górę krótkiego stoku między rododendronami i krzewami bergamotki. – Nigdy w nim nie byłam, ale widziałam go z daleka.

Obeszli krzewy i zobaczyli białą budowlę zwieńczoną kopułą i otoczoną ozdobnymi kamiennymi balustradami. W pewnym oddaleniu widać było porastający część terenu las. Bliżej, w dole, rozciągały się należące do posiadłości Riccionego ogrody ze strzyżonymi żywopłotami, krętymi ścieżkami i fontannami, z których tryskała migocząca w słońcu popołudnia woda. Sam dom utrzymany był w klasycystycznym stylu i obłożony różowym włoskim tynkiem.

Właściciel posiadłości siedział w belwederze przy małych sztalugach. Był drobnym, eleganckim mężczyzną i nosił okulary w złotych oprawkach. Jego kuzynem mógłby być Al Capone, chociaż kilku znajomych, próbując mu pochlebić, twierdziło, że bardziej przypomina La Guardię. Prawdopodobnie byłby zachwycony, gdyby na chrzcie dano mu imię Fiorello, „Mały Kwiatek”. Miał wyjątkowe poczucie humoru

i lubił rozprawiać o kontrastach między wysoką kulturą a bezwzględnością świata zbrodni.

Oczywiście nie był sam. Dwadzieścia jardów dalej, przy małym marmurowym stoliku, siedział ponury mężczyzna w niebieskim garniturze i kapeluszu, który ani na chwilę nie przestawał omiatać wzrokiem okolicznych drzew i krzewów. Bębnił palcami w kolbę trzymanego na kolanach snajperskiego karabinu. Prawdopodobnie wokół, w otaczających belweder rododendronach, ukrywali się inni strażnicy, ale byli niewidoczni, dopóki nie sięgnęło się zbyt energicznym ruchem po znajdujące się w wewnętrznej kieszeni marynarki papierosy.

Kiedy Roderick i Celia podeszli bliżej, Riccione odłożył pędzle i wstał. Uniósł kapelusz i wyciągnął pulchną rękę, pomagając Celii wejść po schodach.

– Wspaniale cię widzieć, moja droga – powiedział, całując ją na powitanie. Odwrócił się do Rodericka, ukazując w uśmiechu rząd małych białych zębów przypominających dziecięce mleczaki. – Witam też pana, panie Cornelius. Miło mi pana poznać.

Roderick wymienił z nim uścisk dłoni. Był wyjątkowo zdenerwowany. Kiedy gospodarz przyciągnął dwa białe ogrodowe krzesła, aby

mieli na czym usiąść, pisk metalowych nóżek na kamiennej podłodze sprawił, że poczuł się jeszcze bardziej spięty.

– Co malujesz? – spytała Celia. – To chyba róża, prawda?

Ricardo kiwnął głową. Ukrywał oczy za budzącymi niepokój małymi okularami.

Podszedł do swojego błyszczącego wilgocią malunku.

– Myślę, że mam do tego talent. Gdybym tylko dysponował czasem… Jestem wielkim admiratorem Beatrix Potter. Kwiaty na jej obrazach ożywały.

– Mój mąż zajmuje się lotnictwem – oświadczyła Celia. – I też ma do tego wielki talent…

Roderick czuł się coraz bardziej nieswojo i nie potrafił tego ukryć.

– Jestem biznesmenem, panie Riccione – powiedział. – Po prostu zwykłym biznesmenem.

Ricardo uniósł brew nad ciemnym szkłem. Wyglądało to, jakby z czarnego jeziora poderwał się czarny ptak.

– Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że robimy z panem interesy – mówił dalej Roderick. – Do tej pory nie miałem

pojęcia, że pański świat i mój są tak blisko powiązane.

Mafioso kiwnął głową. Sprawiał wrażenie łagodnego i uprzejmego człowieka i Roderick powoli się uspokajał. Riccione należał do ludzi, do których dzieci przybiegały po pociechę i wokół których zbierały się ptaki i wiewiórki, licząc na okruchy. Budził zaufanie i zapominało się o tym, że wraz ze swoim nieżyjącym bratem Giorgiem odpowiadał ponoć za osiemdziesiąt pięć zabójstw.

– I co pan poczuł, kiedy się o tym dowiedział? – zapytał. – Zaniepokoił się pan?

Roderick powoli uniósł głowę.

– Cóż, nie wydaje mi się, żeby określenie „zaniepokoił się” oddawało to, co poczułem. Miałem wrażenie, że właśnie się dowiedziałem, że moja matka ma romans z miejscowym łapaczem szczurów.

Gospodarz uśmiechnął się lekko.

– Tak… – mruknął.

Przyglądali się służącemu, który pokonywał ostatnie jardy stoku, niosąc srebrną tacę. Kiedy dotarł do belwederu, wprawnym ruchem rozłożył wykrochmalony lniany obrus, po czym ustawił na nim srebra i zakąski. Była tam też butelka schłodzonego chablis grand cru

w srebrnym kubełku, a pod świeżymi lnianymi serwetkami niewielkie porcje sałatki, do tego pomidory, anchois, blanszowane papryczki i wędzony pstrąg w sosie śmietanowo-majonezowym.

Roderick popatrzył na zakąski. Służący odkorkował wino, nalał każdemu do kieliszka i z szacunkiem odszedł na bok.

– Co to jest? – spytał Roderick.

Ricardo wydawał się zaskoczony.

– Nie zje pan ze mną?

Celia z niezadowoleniem spojrzała na męża.

– Panie Riccione, przyjechałem tu się wykłócać, nie jeść – odparł cierpko Roderick.

– Czy jedno wyklucza drugie?

Roderick otarł kark chusteczką do nosa.

– Chodzi mi o to, panie Riccione, że trudno mi się łamać chlebem z ludźmi, których nie darzę podziwem.

Zapadła niezręczna cisza. Gospodarz wydął policzki i zaczął postukiwać palcami o poręcz krzesła, jakby się zastanawiał, w jaki sposób przywołać do porządku niesfornego bratanka.

– Hm, panie Cornelius, skoro pan nie chce, nie musi pan jeść – powiedział w końcu. – Nie mogę wziąć pana na kolana i karmić łyżeczką jak małe dziecko.

– Roddy, proszę, sytuacja i tak jest dość trudna, więc nie utrudniaj jej jeszcze bardziej… – jęknęła Celia.

– Owszem, jest trudna – przyznał Roderick. – Ale gościnność pana Riccionego wcale nie uczyni jej łatwiejszą.

Gospodarz wstał, podszedł do balustrady, odwrócił się i rozłożył ręce.

– Nie podobam się panu? – spytał. – O to chodzi?

– Niech pan nie będzie śmieszny – warknął Roderick. – Prawie pana nie znam. Jednak znam pańską reputację i to o niej mamy dziś mówić.

– Chce pan mówić o różach?

– Róże może pan sobie wsadzić w dupę. Ja chcę mówić o mafii.

– Roddy! – zawołała Celia.

Ale Riccione uciszył ją machnięciem dłoni. Pokręcił głową i wrócił do Rodericka z miną, która pewnie wyrażałaby zakłopotanie, gdyby można było zobaczyć jego oczy ukryte za ciemnymi szkłami.

– Ma pan całkowitą rację, powinniśmy od razu przejść do sedna. To oczywiste, że nie ma mowy o uprzejmościach, dopóki nie wiemy, na czym stoimy. – Usiadł i pociągnął łyk wina. – Myślę, że to godne pożałowania, że nie

spotkaliśmy się wcześniej. Wydaje mi się pan człowiekiem, który mógłby zrobić wiele dobrego dla naszych relacji z Cornelius Industries. Ale wiem, jak to było z pańskim ojcem, i wiem też, jakie niefortunne wydarzenia doprowadziły do tego, że Johann Cornelius przekazał zarządzanie firmą pańskiej żonie i panu Bookbinderowi, niech Bóg ma w opiece jego duszę.

Roderick popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– To chyba trochę przedwczesne stwierdzenie. Bookbinder jest w tej chwili na Florydzie, na długich wakacjach. Może przejdzie na emeryturę, panie Riccione, ale nie sądzę, żeby myślał już o śmierci.

Ricardo Riccione wzruszył ramionami.

– Nikt z nas nigdy tego nie robi.

– Mówi to pan jako ekspert?

– Nie. Jako człowiek, który chce cieszyć się życiem i wszystkimi darami Pana Boga tak długo, jak tylko się da.

– Wygląda na to, że cieszył się pan również wymuszaniem.

Gospodarz odstawił kieliszek.

– Hm, jeśli pan chce, może pan nazywać to wymuszaniem – odparł ze spokojem. – Ale dla mnie takie słowa jak „wymuszanie”, „zbrodnia”, „biznes” i „polityka” są synonimami. Nie

dostrzegam między nimi specjalnej różnicy. Wszystkich nas przede wszystkim interesuje jakość życia.

– Jakiego rodzaju jakość ma pańskie życie?

Riccione się uśmiechnął.

– Lubię sobie wyobrażać, że bardzo miłą.

– A jaką jakością życia może się pochwalić firma transportowa, która nie zgodzi się przewieźć produktów Corneliusa w pierwszej kolejności? Albo doker, który odmówi rozprucia kilku worków nawozów Du Ponta czy uszczknięcia pewnej ilości cementu kajzerowi, aby dosypać go Corneliusowi? Jaką jakością życia może się cieszyć agent ubezpieczeniowy, który w ciągu pół roku nie sprzeda więcej ofert Corneliusa niż innych firm? Może mi pan to powiedzieć?

Ricardo się uśmiechnął.

– Panie Cornelius, a jaką jakością życia mogłaby się pochwalić jedna z pańskich sekretarek, gdyby nie robiła tego, za co pan jej płaci?

– Zostałaby wylana.

– Oczywiście. Otóż wszyscy ci ludzie, którymi zajmuję się w pańskim imieniu, wszyscy ci transportowcy, dokerzy, hurtownicy i sprzedawcy, też są opłacani przez pana. Ale

przypuśćmy, że jeden z nich odmówi wykonywania swoich obowiązków. Co wtedy możemy zrobić? Nie możemy go wylać. Nie możemy na niego wpłynąć w żaden legalny sposób, gdyż jego użyteczność dla nas polega właśnie na tym, że pracuje dla kogoś innego. Jedyny sposób to zastosowanie usilnej perswazji.

Roderick rzucił mu krótkie spojrzenie i szybko odwrócił wzrok.

– Chyba się domyślam, co oznacza to określenie – powiedział.

– Być może, ale pewnie wyobraża pan sobie tortury, bicie i wybijanie okien cegłami. Właśnie tak wyobraża to sobie większość ludzi. W ubiegłym tygodniu gościłem na kolacji znaną młodą gwiazdkę, która bardzo nalegała, żebym pokazał jej mój rewolwer. No cóż, panie Cornelius, nie mam rewolweru od dwudziestego drugiego roku.

– Ricardo nie jest bandytą, Roddy – wtrąciła Celia. – Nie jest taki jak Dutch Schultz czy jemu podobni.

Riccione kiwnął głową.

– Oczywiście, że nie – potwierdził. – Kiedy moi ludzie używają usilnej perswazji, po prostu najpierw zapoznają się z profilem psychologicznym osobnika, który złamał taką czy

inną zasadę, znajdują jego najsłabszy punkt i wywierają na niego presję psychiczną. Jeśli na przykład źle się spisuje w pracy, sygnalizujemy, że miałby znacznie większe szanse zachowania posady, gdyby jego szef się o tym nie dowiedział. Jeśli ma chorego krewnego w południowym Bronxie, możemy zasugerować, że życie jego rodziny byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby ten krewny nie został wyeksmitowany z mieszkania. Rzadko jesteśmy zmuszeni poczynić ekstremalne kroki. Przekonaliśmy się, że strach jest znacznie skuteczniejszy niż pałka.

Roderick nerwowo oblizał wargi.

– W raportach, które otrzymaliśmy od pana i pańskiego brata, jest mowa, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku czterech ludzi zostało zabitych, kiedy wstrzymali transport z Haymann Drugs, fabryki należącej do Cornelius Industries. Jest w nich też mowa o Jimmym Hoffie i wymienia się kilka innych znanych nazwisk. Chciałbym wiedzieć, czy tamci ludzie zginęli, bo pan posłużył się zbyt usilną perswazją?

Ricardo Riccione zdjął szkła. Miał załzawione krótkowzroczne oczy i wydawał się spoglądać na coś nad głową swojego rozmówcy, chociaż

Roderick był pewien, że skupia wzrok właśnie na nim.

– Nie rozumiem, co pan mi imputuje – powiedział cicho Riccione.

– Czy to nie oczywiste? – zapytał Roderick. – Staram się to wyrazić możliwie najprościej. Muszę się dowiedzieć, jakie grzechy popełnił pan w moim imieniu, za moje pieniądze, i zamierzam położyć temu kres.

Celia chciała coś wtrącić, ale Ricardo uniósł rękę, dając jej znać, że kontroluje sytuację i nie potrzebuje pomocy.

– Jest pan dziwnym człowiekiem, panie Cornelius. Przynajmniej jak na człowieka interesów.

– Tak się składa, że mam zasady moralne, jeśli właśnie to ma pan na myśli.

– Och, nie chodzi o pańskie zasady moralne. Wszyscy je mamy, takie czy inne. Sęk w tym, że chyba pan nie rozumie, na czym naprawdę polega moralność.

Z powrotem nasadził swoje małe ciemne okularki na nos i rozsiadł się wygodnie, z ciekawością patrząc na Rodericka.

– Jeśli ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę, lepiej niech pan mówi! – wybuchnął Roderick. – Inaczej współpraca Cornelius–

Riccione zostanie natychmiast zerwana. A jeśli mówię, że zostanie zerwana, to na pewno tak będzie.

Ricardo się roześmiał.

– Czemu miałbym się bronić? Tego właśnie pan nie rozumie, jeśli chodzi o moralność. Obaj siedzimy w tym samym interesie, pan i ja. Nasz biznes polega na zarabianiu jak największych pieniędzy jak najmniejszym wysiłkiem. Czasem oznacza to, że musimy wywrzeć na ludzi presję albo nawet ich zabić. Chociaż najwyraźniej nie był pan tego świadomy, w ciągu ostatnich dziewięciu lat zdarzały się przypadki, że żądał pan czegoś, co było możliwe tylko za cenę przemocy lub skrytobójstwa. Tamci czterej ludzie, którzy zginęli w pięćdziesiątym, zginęli dlatego, że pan… tak, właśnie pan… domagał się, by Haymann Drugs zwiększyło dystrybucję na Środkowym Zachodzie. Stanowczo się pan tego domagał i chociaż byliśmy całkiem zadowoleni z dotychczasowej sytuacji, postąpiliśmy zgodnie z pańskim życzeniem.

Roderick odwrócił się do Celii.

– Co on gada? Powiedziałaś mi przecież, że wszystkie moje polecenia były kontrasygnowane przez Davida i przez ciebie!

– Oczywiście, mój drogi. Jednak w tym przypadku całkowicie się z tobą zgadzaliśmy. To był dobry pomysł.

– Chryste, wiedziałaś, że oni muszą…

– Tak.

Roderick patrzył na nią z przerażeniem, ale Celia była opanowana jak zawsze. Madonna dolara. Zamrugał i poczuł krople potu na rzęsach. Sól zapiekła go w oczy. Sięgnął po kieliszek i pociągnął duży łyk białego wina. Było doskonałe i z pewnością bardzo drogie, jednak równie dobrze mógł pić wodę.

– Pytałem Bookbindera, ilu ludzi umarło, ale nie chciał ze mną na ten temat rozmawiać – mruknął.

Ricardo Riccione wzruszył ramionami.

– Lepiej, żeby pan tego nie wiedział.

– Ale co ja mam teraz zrobić, do diabła? Co się stanie, jeśli taka sytuacja się powtórzy?

Riccione wstał z krzesła, podszedł do balustrady, oparł się o nią i położył mu rękę na ramieniu. Roderick spojrzał na bladoróżowe palce gangstera, czując się niezbyt komfortowo i nie po raz pierwszy się zastanawiając, dlaczego wszyscy traktują go tak protekcjonalnie.

– Panie Cornelius, obaj pracujemy w dwóch różnych działach tego samego domu towarowego

– powiedział łagodnie Riccione. – Pan jest szefem z górnego piętra, a ja prowadzę dział wysyłkowy. Nie mogę pracować bez pana, ale pan beze mnie również nic nie zdziała. Jeśli ja popełniam zbrodnię, pan jest moim wspólnikiem, ponieważ nie przetrwa pan bez mojej pomocy.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał Roderick. – Czy próbuje pan zasugerować, że jestem kryminalistą?

– Po prostu pokazuję panu, jak wygląda prawda. Oczywiście może pan prowadzić interesy po kwakiersku, jeśli pan ma ochotę. Niektóre firmy tak robią, chociaż bardzo chciałbym zobaczyć ich kwakierskie zeznania podatkowe… Jeśli chce pan być czysty jak łza i przyzwoity jak święty, musi pan być gotów za to zapłacić. Będzie pan karnie opodatkowywany przez urząd skarbowy, który nigdy nie traktuje uczciwie frajerów. Będzie pan niszczony i oszukiwany nie tylko przez konkurencję, ale i przez własnych dealerów. Opony pańskich ciężarówek będą dziurawione. Pańskie fabryki będą podpalane, a produkcja rozkradana. Pańskie księgi rachunkowe będą fałszowane. Krótko mówiąc – Riccione pochylił się w stronę Rodericka, niemal dotykając nosem jego ucha – zostanie pan zjedzony żywcem.

Wrócił na swoje miejsce, wetknął za kołnierzyk koszuli serwetę i zabrał się do sałatki, przez cały czas przyglądając się siedzącemu w milczeniu Roderickowi. Celia również zaczęła skubać sałatkę i popijać wino, ale widać było, że nie ma zbyt wielkiego apetytu.

W końcu Roderick westchnął i powiedział:

– Przyjechałem tu dzisiaj, wiedząc, że wszystko, co mi pan powie, będzie prawdą. Może po prostu nie chciałem, żeby to była prawda. Może to było tylko takie marzenie.

Riccione przeżuł kęs pstrąga i kiwnął głową.

– Wszyscy mamy marzenia, panie Cornelius. Ale nie wolno nam biernie patrzeć, jak inni obracają je w nicość.

Roderick wbił wzrok w ziemię. Jego rozdrażnienie się rozwiało i czuł jedynie smutek. Może przez cały czas wiedział, że nigdy nie zdoła uwolnić Cornelius Industries od powiązań z ludźmi pokroju Riccionego, jednak bolało go uświadomienie sobie własnej słabości. Dopił wino, a gdy podniósł wzrok, natychmiast pojawił się obok niego służący z butelką. Podsunął mu kieliszek.

– Powiem panu coś jeszcze – podjął Riccione. – Może się to panu wydać przesadzone, ale jest prawdą. Nie ma takiej osoby na tym kontynencie,

której byśmy nie dosięgli. Świadczy to o tym, jak wielką siłę mają pańskie pieniądze, panie Cornelius. Możemy przycisnąć do muru albo usunąć każdego, kogo pan nam wskaże, jeśli okaże się to konieczne.

Roderick długo oceniał go wzrokiem.

– Zakładam, że kiedy mówi pan „każdego”, wyłącza pan prezydenta.

Riccione popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Ależ nie! Któregoś dnia możemy zostać poproszeni o usunięcie prezydenta, choć nie spodziewamy się kontraktu na prezydenta z Partii Demokratycznej. Ale oczywiście może się to zdarzyć, jeśli tacy ludzie jak pan zbiorą się i zadecydują, że prezydent im się nie podoba, i będą gotowi zapłacić tyle, ile zażądam.

– A ile wynosi cena za prezydenta? – zapytał ponuro Roderick.

Ricardo Riccione upił łyk wina i uśmiechnął się.

– Proszę mnie o to zapytać, gdy przyjdzie czas, panie Cornelius. Jestem pewien, że uda nam się dojść do porozumienia.

– Pokażesz Roddy’emu swoje nowe róże? – spytała Celia.

♦ ♦ ♦

Przechadzali się po ogrodzie i domu, dopóki gong nie wezwał ich na lunch. Riccione zaprezentował im swoje odmiany Peace i wyhodowaną przez siebie nową różę, której zamierzał nadać imię swojego nieżyjącego brata. Giorgio zmarł na białaczkę siedem miesięcy temu, w kulminacyjnym momencie śledztwa dotyczącego jego powiązań z Departamentem Sprawiedliwości. Ricardo ze smutkiem powąchał nową różę i odwrócił się na chwilę, by wysiąkać nos. Podczas tej małej manifestacji braterskich uczuć Roderick co chwila ze zniecierpliwieniem spoglądał na swoją żonę, ale Celia zachowała nieprzenikniony wyraz twarzy.

Jadalnia była urządzona na biało i wyłożona czerwoną terakotą z Meksyku. Centralnie umieszczona fontanna tak sugestywnie bulgotała, że Roderick co najmniej dwa razy musiał odejść od stołu. Wystrój reszty domu bardziej kojarzył się z Włochami czy Los Angeles niż ze stanem Nowy Jork.

Ricardo zażartował, że gdyby miał moździerz i ustawił go na frontowych schodach, wystrzelony z niego pocisk trafiłby prosto w „domek” Rockefellerów, letnią rezydencję w Pocantico, której budowa kosztowała dwieście tysięcy dolarów.

– Byłoby to dobre przypomnienie, że u progu niemal każdego bogacza czai się zbrodnia – dodał.

Pięciu służących przyniosło kolejne dania: świeżego kraba z awokado, przepiórki zapiekane w burbonie, nadziewane płastugi, cielęcinę w tymianku, szparagi i truskawki. W złotych czarkach stojących obok talerzy biesiadników pływały płatki róż, a światło odbijające się od wypełnionych bollingerem szampanek tańczyło na wysokim suficie.

Roderick jadł bardzo niewiele. Czuł się, jakby wbrew swojej woli uczestniczył w spotkaniu członków jakiegoś zbrodniczego bractwa. Ale jeśli Cornelius Industries miało przetrwać, co innego mu pozostawało? Pokazano mu, że bogactwo ma swoją cenę, o czym jego ojciec wiedział od samego początku.

– Ricardo, chciałbym, żebyśmy doszli do porozumienia – powiedział powoli, odkładając na talerzyk złotą łyżeczkę do owoców.

Gospodarz się rozpromienił.

– Bardzo mnie to cieszy – odrzekł. – Porozumienie to powód do radości i klucz do sukcesu.

– Chcę, żebyśmy porozumieli się co do mordowania – dodał Roderick. – W mordowaniu

nie ma nic radosnego.

– W mordowaniu? Mój drogi…

Roderick odłożył na stół zmiętą serwetkę.

– To bardzo ważne, Ricardo. Ważne dla mnie, dla mojej przyszłości, mojej rodziny i tysięcy ludzi, którzy dla nas pracują. Niech to będzie dla ciebie jasne: nie ma takiego interesu, który usprawiedliwiałby mordowanie kogokolwiek.

Na twarzy gospodarza pojawiło się zakłopotanie.

– Niech będzie również jasne – mówił dalej Roderick – że jeśli konieczne będzie zastosowanie usilnej perswazji, chcę o niej wiedzieć wcześniej, muszę też dokładnie wiedzieć, jak ta perswazja ma wyglądać.

Celia przeniosła wzrok z Ricarda na Rodericka i z powrotem.

Gangster przygładził swoje siwe, wypomadowane włosy i oświadczył:

– Cóż… nie łączy nas stosunek pracodawca–pracownik. Nie pracuję dla ciebie w charakterze siły najemnej. Twój biznes jest powiązany z moim i działamy jak wspólnicy. Wiele ciężarówek, których używasz, należy do mnie, kontroluję też większość hurtowni na Wschodnim Wybrzeżu, z których korzystasz.

Zapadła cisza. Po chwili Ricardo uśmiechnął się i dodał:

– Jeśli uznam, że dobro naszych wspólnych interesów wymaga eliminacji jakiegoś przeciwnika, zrobię to. Żadne twoje protesty na nic się nie zdadzą.

– Ale…

Gospodarz uniósł rękę.

– Nie ma żadnych „ale”, Rodericku. Ty prowadzisz interes po swojemu, a ja po swojemu.

– Stawiając nas przed faktem dokonanym, robisz ze mnie, Celii i każdego pracownika Cornelius Industries swoich wspólników. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Naturalnie. Ale wcale nie stawiam was przed faktem dokonanym, bo jesteście moimi wspólnikami od samego początku. Wiedziałeś, w co jest zaangażowany David Bookbinder, a jednak chroniłeś go przed aresztowaniem i skandalem. Czy to nie współudział w przestępstwie?

– Nie próbuj mnie szantażować, Ricardo. Nic ci to nie da.

– Ależ oczywiście, że da. Co możesz zrobić? Zamierzasz pozwolić, żeby Cornelius Oil padło jak źle wysmażony suflet tylko po to, by ratować swoje sumienie? Wsadzą cię do więzienia…

wcale nie dlatego, że byłeś zamieszany w morderstwo, ale dlatego, że odrzuciłeś wolny rynek na rzecz jakiegoś rozmamłanego socjalistycznego idealizmu. Zresztą nie sądzę, abyś naprawdę to zrobił. Nie jesteś przecież samobójcą.

Roderick gwałtownie odepchnął talerz.

– Do cholery, Ricardo, nie chcę, żeby zginęło więcej ludzi! Nie chcę mieć nic wspólnego z morderstwami i wymuszeniami!

Ricardo zaczynał tracić cierpliwość. Kiedy ponownie zdjął okulary, w jego oczach błyszczała zimna wściekłość.

– Teraz jesteś po prostu śmieszny – warknął. – Całe Cornelius Oil zostało zbudowane na morderstwach i wymuszeniach, podobnie jak każdy wielki biznes w Stanach Zjednoczonych.

Roderick nic na to nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie ma tu nic do powiedzenia, i wiedział, że jego protesty nie są więcej warte niż protesty lalki z papier mâché. Zabójstwa go przerażały, a bliskość kryminalnego podziemia budziła lęk. Ale wiedział też, że nie starczy mu siły, by odrzucić pomoc przestępczego podziemia. Jak słusznie zauważył Ricardo Riccione, nie był samobójcą.

– Myślę, że muszę się nad tym zastanowić – mruknął w końcu.

– Jak długo to potrwa? – spytał Riccione.

– Dzień lub dwa. Muszę to przetrawić.

– Oczywiście.

– Nie przejmuj się tym, Ricardo – powiedziała Celia. – Roddy wkrótce dojdzie do siebie. Nie jest taki nieustępliwy, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

Roderick wzruszył ramionami.

– Chcę tylko pomyśleć, to wszystko.

– Oczywiście – powtórzył Ricardo łagodnym tonem psychiatry mówiącego swojemu udręczonemu pacjentowi, że nic dziwnego się nie dzieje, bo sępy często przysiadają na brzegu kanapki.

♦ ♦ ♦

Po lunchu pokazał im swój gabinet. Był to ogromny, wyłożony grubym dywanem pokój z głębokimi skórzanymi fotelami, obrazami Stubbsa i Gainsborough na ścianach oraz włoskimi brązami.

Roderick był zamyślony i milczący, a kiedy szofer podprowadził ich samochód pod dom i żegnali się z Ricardem, powiedział tylko:

– Dziękuję za spotkanie.

Gdy wracali do Nowego Jorku, kierując się ku lśniącym wieżyczkom Manhattanu w drobinach kurzu wirujących w świetle późnego popołudnia, Celia spytała:

– Nie uważasz, że jest niezwykły?

Roderick popatrzył na nią.

– Niezwykły? Masz na myśli Ricarda Riccionego?

Wzdłuż East River wiał ciepły wiatr. Jechali powoli FDR Drive między wybrzeżami Kaiser Manhattans i Dodge Firedomes, w sznurze żółtych taksówek z szachownicą na bokach. Opłaty za kurs wynosiły dwadzieścia pięć centów za pierwsze ćwierć mili i pięć za każde następne. Niebo było blade i wysokie.

Roderick nie odezwał się więcej, dopóki nie wrócili do domu, ale tego letniego dnia 1954 roku poczuł, że utracił jakąś cząstkę siebie, a kiedy wszedł na górę i zobaczył dokumenty, które dał mu Bookbinder, nie miał już ochoty do nich zaglądać.

♦ ♦ ♦

Podczas weekendu Hope i Edward urządzili rodzinne barbecue w swoim domu na Long

Island. Roderick nie widział Hope od wielu tygodni i był zaskoczony jej bladością. Miała na sobie popielatą bawełnianą sukienkę, która jeszcze bardziej podkreślała niezdrowy kolor jej cery. Edward trochę się o nią martwił, ale powiedział, że to pewnie zmęczenie. Za tydzień mieli polecieć do Europy na wakacje w Wenecji, Florencji, Szwajcarii i dolinie Renu.

Roderick i Celia przywieźli ze sobą Victora. Właśnie skończył jedenaście lat, ale Roderick nie miał do niego serca. Był tłustym, nad wiek rozwiniętym chłopcem, mającym niezwykle irytujący sposób prowadzenia rozmowy, szyderczy i zbijający z tropu. Roderick czasem przyglądał się synowi, gdy chłopiec rozmawiał z kolegami lub grał w tenisa, i patrząc na jego wielkie płaskie stopy i grube uda, zastanawiał się, czy sam też tak wygląda, czy może Victor odziedziczył te cechy po kimś z rodziny Celii.

Freddie i Tess bawili się nowymi niemieckimi konikami na biegunach, które kupił im Edward. Freddie był siedmiolatkiem, miał przeraźliwie długie kończyny i wypadło mu już sporo mleczaków. Tess skończyła pięć lat i utraciła wdzięk małej dziewczynki. Mimo szerokiej różowej przepaski na włosach bardzo przypominała Edwarda. Koniki były prawie

naturalnych rozmiarów i dzieci cały czas się na nich bujały, a Victor stał z boku i udawał, że go to w ogóle nie obchodzi, bo przecież koniki na biegunach są dla smarkaczy.

John i Irene mieli przywieźć z Waszyngtonu Ally, ale Hope dostała sygnał od bratowej, że o coś się pokłócili, i w ostatniej chwili zadzwonili z wiadomością, iż się nie zjawią. Nikt z rodziny się tym nie przejął, ponieważ w towarzystwie Johna wszyscy czuli się niezręcznie.

Usiedli wokół trawnika na białych ławkach, jedząc zakąski donoszone przez służbę.

Był ciepły letni dzień, jeden z tych, podczas których kładziesz się na leżaku, zamykasz oczy i nawet nie zauważasz, że świat zmienia się wokół ciebie.

Kiedy się trochę ochłodziło, Roderick namówił Hope na spacer.

Zatrzymali się przy małej kępie drzew, gdzie strumyk wpadał do stawu ze złotymi rybkami. Woda miała barwę ciemnej zieleni. Wśród promieni zielonego światła śmigały pomarańczowe rybki, a po powierzchni sunęły cykady.

Hope usiadła na porośniętym mchem kamieniu, paląc papierosa.

– Pobrudzisz sobie sukienkę – odezwał się Roderick.

– Nieważne – mruknęła.

Odkaszlnął.

– Nie chciałbym być natrętny, ale…

Popatrzyła na niego i wydmuchała kłąb dymu.

– Ale co? – zapytała.

– Nie wyglądasz na szczęśliwą.

– To aż tak bardzo widać?

– Celia to zauważyła.

– Nic jej nie umyka… jest bardzo spostrzegawcza.

– Chyba tak.

Zgasiła papierosa w wodzie. Miała podkowy pod oczami, jakby źle spała.

– Nie chodzi o Edwarda, prawda? – spytał Roderick.

– Słucham?

– Nie przysparza ci zmartwień ani nic takiego? Nie chcę być wścibski, ale sama wiesz, jak było z Martinem.

Uśmiechnęła się słabo.

– Tak, wiem.

– Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Jesteś chora?

– To nie wina Edwarda. Wiesz, że go nie kocham. Nigdy go nie kochałam. Kiedy za niego

wychodziłam, pewnie próbowałam znaleźć coś, czego Martin nigdy mi nie dał. Ale wiesz, jak mówią: jeśli pierwsze małżeństwo nie wypali, drugie tym bardziej. Nigdy nie powinno się wychodzić za mąż tylko po to, żeby naprawić wcześniejsze błędy. Gdyby nie Lewis Bausor, nigdy bym się nie zdecydowała na małżeństwo z Martinem.

– Lewis Bausor? Kim, do diabła, jest ten Lewis Bausor?

Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się smutno.

– To robotnik mszczący się na bogatych – odparła.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

Wyjęła następnego papierosa i przypaliła go.

– No cóż, kiedyś wpadł mi do głowy głupi pomysł…

– Ale o co chodzi? Czy ten Lewis Bausor coś ci zrobił? Szantażował cię? Jeśli cię szantażował, mogę…

Urwał w pół zdania, bo nagle przypomniał sobie, co powiedział Ricardo Riccione. „Możemy przycisnąć do muru lub zabić każdego, kogo pan wskaże, jeśli będzie to konieczne”. Popatrzył na oświetloną promieniami słońca Hope, która wyglądała jak wizja pojawiająca się w świętej

grocie. Nagle wydała mu się nierealna, jakby już za życia zamieniła się w ducha i postanowiła rozpłynąć się w powietrzu.

– Lewis Bausor umarł wiele lat temu. Z mojej winy. Właśnie dlatego ojciec wysłał mnie do Landseerów. To wszystko.

– Jesteś chora, prawda? Coś się stało.

– Tak.

– Nie powiesz mi, co to takiego?

Przez chwilę w milczeniu paliła papierosa, przyglądając się owadom latającym nad stawem.

– Wytrzymasz prawdę? – spytała. – No cóż, mam raka i prawdopodobnie za cztery albo pięć miesięcy umrę.

Roderick nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu siostry, ale pod popielatą bawełnianą sukienką wydawała się bezcielesna jak wizja z mgielnych oparów czy chmur.

– Hope… – zaczął łamiącym się głosem.

Wydmuchnęła kolejną chmurkę dymu.

– Jeszcze nie powiedziałam o tym Edwardowi. Myśli, że po prostu jestem przepracowana i zmęczona. Nie zamierzam mu nic mówić, dopóki nie wrócimy z wakacji. Może powinnam zrobić to teraz, ale nie chcę, żeby nasze wakacje zamieniły się w czuwanie przy zwłokach.

– Jesteś pewna? – spytał Roderick. – Jesteś pewna, że to rak? Byłaś u specjalisty? Przecież mogłaś zastosować radioterapię.

– Byłam u jedenastu specjalistów – odparła. – U doktora Raya Parkwina i doktora Kulpepera też, ale odpowiedź wszystkich lekarzy była identyczna. To rak wątroby. Jest w tak zaawansowanym stadium, że nie można go usunąć. Pojawiły się już bóle, jednak operacja byłaby jeszcze bardziej bolesna i nic by nie dała.

Roderick przez długą chwilę stał bez ruchu jak sparaliżowany, a potem się rozpłakał. Trząsł się cały i dygotał, łzy zalewały mu oczy i prawie nic nie widział.

– To nie może być prawda… – jęknął. – Musisz się mylić. Na pewno da się coś jeszcze zrobić!

Hope zapaliła następnego papierosa.

– Nie, Roddy, nic się nie da zrobić. Pogodziłam się już z myślą, że to koniec, i staram się cieszyć tym, co mi zostało.

– Och, Hope, tak mi przykro… Nie masz pojęcia, jak bardzo.

Popatrzyła na niego z siostrzanym uczuciem.

– Nie musi ci być przykro, Roddy. Zawsze miałeś najlepsze serce.

Wyjął chusteczkę i wysiąkał nos.

– Zawsze miałem najmiększy charakter. To chciałaś powiedzieć, prawda?

– Czy to źle? – zapytała cicho.

Otarł łzy i jeszcze raz się wysmarkał. Nadal miał kluchę w gardle, jednak spokój Hope pomógł mu wziąć się w garść.

– Nie wiem – mruknął. – Ale chyba tak, jeśli ludzie umierają, gdy ktoś ma miękki charakter.

– Mówisz o mnie? Nie bądź głuptasem.

– Nie chodziło mi o ciebie, lecz o całe imperium Corneliusów i jego powiązania z gangsterami i mafią.

Hope uniosła brwi.

– A więc się dowiedziałeś. Zastanawiałam się, kiedy do tego dojdzie.

– Ty też o tym wiedziałaś?

– Nie na pewno, ale Edward zawsze to podejrzewał.

– Powiedział mi o tym Bookbinder – dodał Roderick. – Był zamieszany w pewne morderstwo w dwudziestym siódmym i dlatego musiał odejść. Ludzie z Departamentu Sprawiedliwości oświadczyli, że mogą wyciszyć tę sprawę tylko wtedy, gdy David odejdzie z Cornelius Industries. Chyba byłem bardzo naiwny, jednak niczego nie podejrzewałem. Wydawałem tylko polecenia i nie pytałem, w jaki sposób są wykonywane. Ale

Celia o wszystkim wiedziała. Nie wiem, co o tym sądzić, przypuszczam jednak, że próbowała chronić mnie i rodzinę. Im mniej wiedziałem, tym mniej było prawdopodobne, że narażę klan Corneliusów. Ojciec wiedział, co robi, ale mnie nadal trudno przełknąć zabijanie ludzi w imię interesów.

Hope wstała i zaczęła obchodzić staw, a Roderick ruszył za nią. Po chwili wyszli za kępę drzew i znaleźli się na wielkiej łące, z której rozciągał się widok na Moriches Bay, srebrnoszarą zatokę, oraz odległy ciemny Atlantyk. Powietrze było tu świeższe i Hope stanęła twarzą pod wiatr, mrużąc oczy.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała brata.

Kopnął kępkę trawy.

– Zastanawiałem się nad tym. Celia i ja byliśmy kilka dni temu u Ricarda Riccionego w Thornwood.

– U Riccionego? On też jest w to zamieszany?

Roderick kiwnął głową.

– Jest największym macherem na Wschodnim Wybrzeżu. Ale Albert Hagermeyer i Frank Gizzi też maczali w tym palce. Nie wiem, jak ci to powiedzieć… Prowadzili Cornelius Industries przez ostatnie dwadzieścia lat.

– I zabijali ludzi, którzy weszli im w drogę?

Znowu kiwnął głową.

Szli w milczeniu wśród wysokich rozkołysanych traw. W powietrzu unosił się zapach morza i Hope wciągnęła je głęboko w płuca.

– Cóż, bez względu na to, co zdecydujesz, bądź pewien, że ludzie, którzy zginęli, pociągną za sobą niektórych z nas – oznajmiła.

Roderick popatrzył na nią.

– Chyba nie mówisz tego poważnie…

– Ależ tak. Naprawdę myślisz, że nasza rodzina mogła się spodziewać, że nie dosięgnie jej kara za wszystko, co zrobiła? Niektórzy z nas zapłacą za to życiem. Tym razem wypadło na mnie.

– Hope, bredzisz.

Odwróciła się do niego. Wiatr rozrzucał na jej twarzy strużki łez.

– Bardzo bym chciała, żeby to było bredzenie. Nie wierzysz w przeznaczenie? Nie wierzysz, że ludzie pokornego serca posiądą ziemię, a grzeszni będą ukarani w piekle? A może zapomniałeś się tak samo jak ojciec, Bookbinder i Celia? Och, Rodericku, wszyscy zasłużyliśmy na karę i w końcu nas dosięgła!

Roderick znowu się rozpłakał. Stał na łące i obejmował swoją trzydziestopięcioletnią

siostrę. Uświadomił sobie, jak mało ją zna.

– Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? – zapytał, gładząc ją po włosach.

Popatrzyła na niego. Jej rzęsy były zlepione łzami. Pokręciła głową i odparła:

– Nic, mój kochany, nic.

Kiedy stali przytuleni, Roderick usłyszał nagle szelest w trawie i gdy się obejrzał, zobaczył Victora.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

Chłopiec miał minę winowajcy i Roderick pomyślał, że musiał ukrywać się gdzieś w pobliżu. Uścisnął rękę Hope i podszedł do syna. Chłopiec trzymał ręce w kieszeniach i gwizdał, nie patrząc na niego.

– Czemu gwiżdżesz? – spytał Roderick.

– Nie wiem, proszę ojca.

– Nie wiesz?

– Nie, proszę ojca.

– Ukrywałeś się w trawie?

– Ja, proszę ojca?

– A kto inny? Jak myślisz, o kogo mi chodzi?

– Nie wiem, proszę ojca.

– Czy ty nie umiesz odpowiedzieć na żadne pytanie? – warknął Roderick. – I wyjmij ręce z kieszeni, kiedy ze mną rozmawiasz!

Victor zrobił, co mu kazano, i stał bez ruchu, naburmuszony. Niebawem miał wyjechać do szkoły w Anglii i wiedział, że będzie tam mógł robić, co dusza zapragnie. Był Amerykaninem i był bogaty, a jego głupi ojciec wreszcie nie będzie mu zawracał głowy. Myślał o ojcu jak o męczącym szczeniaku, którego się toleruje z konieczności.

– Chcę wiedzieć, co usłyszałeś – powiedział Roderick.

– Co usłyszałem, proszę ojca?

– Tak, do cholery! Ile razy ci mówiłem, żebyś nie podsłuchiwał? Masz uszy jak królik, cholera! Jesteś cholernym królikiem, rozumiesz?

Podeszła do nich Hope i położyła bratu dłoń na ramieniu.

– Już dobrze, Roddy. Victor nic nikomu nie powie.

Chłopiec odwrócił do niej poczerwieniałą buzię i oznajmił:

– A właśnie że powiem.

– Co powiesz? – zapytał Roderick.

Victor milczał.

– Co powiesz?! – ryknął ojciec.

– Powiem wujkowi Edwardowi, że ciocia Hope niedługo umrze! Jeszcze oboje pożałujecie!

Roderick z rozmachem uderzył syna w twarz. Chłopiec upadł na wznak na trawę. Kiedy po chwili usiadł, krwawił z nosa i z trudem łapał powietrze.

– Ty gnido! – wrzasnął Roderick. – Jak śmiesz tak do mnie mówić! Ty szczurze! Ty obrzydliwa gnido!

Złapał syna za kołnierz i poderwał na nogi. Chłopiec bełkotał coś i trzymał rękę pod nosem, łapiąc krew.

– Zaraz przeproś ciocię Hope! – krzyknął Roderick, niemal dławiąc się z wściekłości. – No już, przeproś!

Victor przez chwilę stał nieruchomo, a potem nagle wyrwał się z rąk ojca i pobiegł przez łąkę w stronę domu, znikając w kępie drzew. Roderick odprowadził go wzrokiem i przysiadł na trawie. Hope nadal trzymała dłoń na jego ramieniu.

– Czasem się zastanawiam, jak mogłem spłodzić takie obrzydliwe dziecko – powiedział schrypniętym głosem Roderick. – Bywają chwile, że najchętniej bym go utopił.

– Dziecko jest odbiciem swoich rodziców – mruknęła Hope.

Roderick pokręcił głową.

– Może to odbicie Celii, ale nie pojmuję, jaki błąd popełniłem, że jest taki wredny. Powiem ci coś, Hope… Kiedy Cornelius Oil przejdzie w ręce Victora, będzie jak za rządów Bookbindera. Oszustwa, matactwa i łamanie prawa.

Hope milczała przez chwilę, po czym kiwnęła głową.

– Pewnie masz rację. To smutne, jednak zawsze wolałam mieć do czynienia ze szczerymi oszustami niż z hipokrytami.

Pochyliła się i pocałowała go w czubek głowy, po czym odeszła w tym samym kierunku, w którym pobiegł Victor. Roderick jeszcze przez chwilę pozostał na trawie, ale poderwał się gwałtownie, kiedy uświadomił sobie, że siedzi na mrowisku.

1967

DZIEDZIC FORTUNY CORNELIUSÓW GINIE W WYPADKU HELIKOPTERA

Prywatny helikopter wiozący szefa Cornelius Armaments, magnata przemysłowego Johna Corneliusa, młodszego syna nieżyjącego miliardera naftowego Johanna Corneliusa, rozbił się tej nocy w Casper w stanie Wyoming. Przyczyną wypadku było podobno zahaczenie o linię wysokiego napięcia. Cornelius i jego trzej towarzysze podróży, z których jednego nie udało się zidentyfikować, zginęli na miejscu.

„The New York Times”
marzec 1967 r.

Randy stał na rogu Howard Street w znakomicie wyprasowanym lekkim garniturze z bladoniebieskiego dżerseju. Był wysoki i szczupły jak na swój wiek, jego popielate włosy były idealnie równo przycięte. Palił papierosa w bursztynowej lufce i trzymał rękę na biodrze, nieświadomie demonstrując pewność siebie i zadowolenie.

Czuł się wspaniale. Był to jeden z tych dni w San Francisco, kiedy poranne słońce otacza się złotą aureolą, a całe miasto ulega niezwykłej metamorfozie, zamieniając się w wielki statek pełen wolnych od trosk, uśmiechniętych ludzi wypływający na zamglony Pacyfik.

Cieszył się ze swojego świeżego nabytku, gotyckiej rezydencji przy Mission, którą teraz

odnawiał i urządzał. Cieszył się też z zakończenia ostatniego procesu, najdłuższego w jego dotychczasowej karierze zawodowej, podczas którego bronił Sausalito Artists' Workshop. Chodziło o umieszczenie na wystawie nieprzyzwoitego popiersia. Jednak chyba najbardziej cieszył się z tego, że po wielu długich miesiącach czeka go ponowne spotkanie z córką Irene, Ally. Starsi Corneliusowie zawsze okazywali dziwne zakłopotanie w jego obecności, ale młodsze pokolenie było bardziej wyrozumiałe.

Rozpoznał Ally, gdy jeszcze była daleko, wmieszana w kolorowy tłum wypełniający chodnik. Szła w jego stronę ze skórzaną hinduską torbą na ramieniu, w rozwianym poncho z frędzelkami, mrużąc oczy w jaskrawym słonecznym świetle.

Pewien jego znajomy nazwał ją kiedyś Bławatkową Dziewczyną i Randy zrozumiał teraz dlaczego. Lśniła jak wypolerowany klejnot. Miała proste blond włosy i oczy koloru nieba, które byłyby zimne, gdyby nie jej żywiołowość i radość życia. Jej poncho wyglądało tak świeżo, jakby dopiero co odebrała je z pralni, a dopasowane dżinsy były modnie sprane i posmużone, chociaż całkiem nowe. Na nogach miała sandały

z marokańskiej skóry z rzemykami na krzyż, ozdobionymi srebrnymi dzwoneczkami.

Uniósł rękę i pomachał jej. Odmachała mu i przyspieszyła kroku. Kiedy się przy nim znalazła, chwyciła go za rękę i zawołała:

– Ale ty wyglądasz!

Udał zdziwienie i spojrzał na swoje nieskazitelne spodnie.

– Coś nie tak? Mój ptaszek chce wyfrunąć z klatki?

Roześmiała się i pocałowała go w policzek.

– Teraz już wiem, dlaczego moja matka za tobą nie przepada – powiedziała, biorąc go pod ramię. – W jej słowniku nie ma takich ptaszków.

Uśmiechnął się.

– Zapewniam cię, że mój jest pod ścisłą kontrolą. Ale wiadomo, Irene to Irene. Urocza dama, jednak traktuje wszystko zbyt dosłownie. Widać, że pochodzi z Bostonu.

– Nic się nie zmieniłeś – stwierdziła Ally, gdy szli Howard Street do Czwartej. – Wcale się nie postarzałeś.

– Chciałbym, żeby Douglas myślał tak samo jak ty.

– Wciąż z nim jesteś? Kiedy byłam mała, uwielbiałam go. Wiedziałeś, że umie wycinać papierowe laleczki?

Uniósł brwi.

– To chyba jedyne inteligentne zachowanie, na jakie potrafi się zdobyć.

– Więc nadal jesteś szczęśliwy? – spytała.

Spojrzał na nią i poklepał ją po ręce.

– Tak, jestem – odparł. – Robię, co chcę, wykonuję pracę, którą lubię, przestaję z ludźmi, których lubię. Czego chcieć więcej?

Odgarnęła włosy do tyłu.

– Cieszę się – powiedziała. – Bardzo bym chciała powiedzieć to samo o sobie.

Pokiwał głową.

– Potrzeba trochę czasu, żeby przyzwyczaić się do faktu, że twój ojciec odszedł.

– To wszystko jest takie okropne… Nie mogę znieść myśli, że zginął w taki bezsensowny sposób.

– Żadna śmierć nie jest bezsensowna. A już na pewno nie śmierć twojego ojca. Robił to, co sprawiało mu przyjemność, poza tym umarł z czystym sumieniem. Zawsze mówił i robił to, co uważał za słuszne.

– Nie wydaje mi się, żeby moja matka też tak sądziła.

Zatrzymali się przy krawężniku, czekając na zmianę świateł. Obok nich stała czarnowłosa dziewczyna w purpurowym T-shircie.

Przyciskała do ucha tranzystorowe rado, z którego wydobywały się tony *She Loves You*.

– Musisz potraktować Irene ulgowo. Myślę, że robi, co może, żeby jakoś odnaleźć się w rodzinie Corneliusów, ale nie zawsze jej to wychodzi.

Ally spuściła wzrok.

– Chyba masz rację. Wyjechała razem z kuzynką do Europy, żeby tam opłakiwać tatę. W każdym razie tak powiedziała. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że pojechała szukać jakiegoś przystojnego włoskiego księcia.

– Nie powinnaś być taka cyniczna – upomniał ją. – Jeśli nawet nie kochała Johna, nie było to jej winą, a przynajmniej nie bardziej niż jego. Nie wybieramy sobie ludzi do kochania, miłość robi to za nas.

Wskazał stojący kilkaset stóp dalej siedmiopiętrowiec z odpadającym różowym tynkiem i oknami ozdobionymi przyblakłą sztukaterią z lat trzydziestych.

– Mieszkam na piątym – powiedział. – Chodźmy na górę.

Kiedy weszli do mrocznego, cuchnącego lizolem holu, zobaczyła jego nazwisko i zawód wypisane na liście najemców między Farrerem Yortym (nieruchomości) i Fagartym (olej odpadowy) – Randolph K. Field, adwokat.

♦ ♦ ♦

W gabinecie panował pedantyczny porządek. Na parapecie gęstwina roślin doniczkowych, pod ścianami regały z oprawionymi w skórę księgami prawniczymi, w głębi reprodukcja obrazu Seurata, szary impresjonistyczny widok morza w Gravelines.

Randy usiadł przy biurku z obitym skórą blatem i otworzył srebrną papierośnicę.

– Zapalisz? – zapytał.

Poczęstowała się i pochyliła w jego stronę, kiedy podawał jej ogień. Przysiadła na brzegu biurka, machając nogą i wydmuchując dym. Randy przyglądał się jej, wkładając do lufki nowy filtr.

– Pewnie nikomu innemu by się to nie udało, ale ty na każdym naszym spotkaniu wyglądasz ładniej i bardziej sexy – rzekł.

Odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Dziękuję, drogi panie mecenasie.

– Domyślam się, że nie zadzwoniłaś do mnie tylko po to, żeby usłyszeć komplement – powiedział, sięgając po zapałki.

– Chciałabym, żeby tak było, Randy… Chciałabym móc powiedzieć, że właśnie przypomniałam sobie, jak dawno się nie

widzieliśmy, i zadzwoniłam do ciebie, bo po prostu chciałam się z tobą spotkać.

– Niepotrzebnie się obwiniasz – mruknął, odchylając się w fotelu i składając ręce na płaskim brzuchu.

– Nic na to nie poradzę.

– Jestem adwokatem i byłoby mi przykro, gdybyś ze swoimi problemami poszła do kogoś innego zamiast do mnie.

Spojrzała na niego.

– Zawsze umiesz powiedzieć, co trzeba.

– Właśnie dlatego jestem takim dobrym adwokatem.

Wstała i przeszła kilka kroków po grubej wykładzinie, by popatrzeć na obraz Seurata. Przedstawiał kanał La Manche w zimny dzień, oświetlony bladym słońcem i przeszywany porywistym wiatrem.

– Chodzi o mojego chłopaka – powiedziała. – Znam go dopiero od kilku tygodni, ale przeżyliśmy razem niesamowite chwile. Ma koszmarne kłopoty. Zupełnie nie wiem, co robić.

– Kłopoty z policją? – spytał Randy, po czym sięgnął do niebieskiego szklanego słoja, wyjął z niego ołówek i otworzył notatnik.

Kiwnęła głową.

– Zatrzymali go kilka dni temu na Market i znaleźli przy nim trochę trawki. Od tej pory trzymają go w celi, a obrońca z urzędu, który przyszedł z nim porozmawiać, jest okropny. On już kiedyś siedział i jest przekonany, że tym razem wsadzą go na długo. Tak bardzo się o niego boję…

Kiedy Randy notował, przyglądała mu się uważnie. Przypominał swojego ojca, choć miał miększe i wrażliwsze usta i była w nim łagodność, której Jack Field nigdy nie okazywał. Field senior zmarł w roku 1956, po trzech latach zmagania się z ciężką chorobą nerek, a załamana Ellie odeszła rok po nim. Ally, wtedy jedenastoletnia dziewczynka, po raz pierwszy spotkała Randy'ego na pogrzebie ojca i jego samotność, gdy stał na zrudziałej trawie cmentarza, ignorowany zarówno przez Corneliusów, jak i Fieldów, tak bardzo ją poruszyła, że podeszła do niego. Od tamtego dnia oboje utrzymywali niezbyt regularne, ale bardzo bliskie stosunki. Często do niego pisała, opowiadając, jak jej się wiedzie w college'u Vassar, a on w zamian wysyłał jej kolorowe pocztówki z San Francisco.

Dzieciństwo miała już za sobą i podjęła decyzję, w jakim kierunku potoczy się jej życie,

ale tamta jedenastoletnia dziewczynka w drogim letnim płaszczyku, która zaprzyjaźniła się z mężczyzną w średnim wieku, grzebiącym swojego ojca we wrogiej ciszy, nadal w niej żyła.

Randy podniósł wzrok znad notatnika.

– Możesz mi powiedzieć, jak nazywa się ten chłopiec? – spytał.

– Przedstawił mi się jako Destry. Każdy tak go nazywa, ale nie wiem, czy to jego prawdziwe nazwisko.

– Wie, kim jesteś?

Pokręciła głową.

– Jestem tu incognito.

– Incognito? Dlaczego?

Wzruszyła ramionami.

– Czy muszę ci to wyjaśniać? Nie mógłbyś po prostu załatwić Destry'emu wyjścia za kaucją?

Randy odłożył ołówek.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać, ale po prostu ciekawi mnie wszystko, co ciebie dotyczy. Pamiętaj, że jesteś moją ulubioną panną Cornelius. Nie mów mi tylko, że zamierzasz wyciąć taki sam numer jak Rockefeller i zrzec się swojego majątku.

– Czy to byłoby takie straszne?

– Nie wiem. A co ty o tym myślisz?

Stuknęła nogą o bok biurka i dzwoneczki na jej sandałkach zadzwoniły.

– Też nie wiem – odparła. – Ale zrobiłam to. Dlatego właśnie jestem teraz w San Francisco. Na stałe.

Randy popatrzył na nią.

– Mówisz serio? Naprawdę zrezygnowałaś ze wszystkiego?

– Nie zrezygnowałam, tylko po prostu zostawiłam to za sobą – odparła.

W jej oczach nie było żalu, jednak zauważył w nich smutek. Kiedy sam zrezygnował z pracy w kancelarii ojca, poczuł, ile kosztuje pozostawienie za sobą rodziny, przyjaciół i cząstki samego siebie.

– Chcesz o tym porozmawiać? – spytał.

Pokręciła głową.

– Nie teraz.

– Wobec tego może zjedlibyśmy jutro razem kolację i wtedy byśmy o tym pogadali? Wpadnij do mnie. Mój nowy dom to gotycka kupa gruzów. Zrobię ci tamales. Meksykańska kuchnia to moja specjalność.

– Z przyjemnością wpadnę.

Zapadła cisza.

– Jeśli naprawdę zostawiłaś wszystko za sobą, to najlepiej zrobisz, trzymając się z daleka od

problemów Destry’ego – powiedział po chwili Randy.

– Czy to znaczy, że mu nie pomożesz?

– Oczywiście, że pomogę, ale nie angażując w to ciebie. Jeszcze tego brakowało, żeby jakiś jastrzębiooki reporter z działu kryminalnego przyuważył cię w sądzie. Wtedy całe twoje nowe życie stanie się tajemnicą poliszynela. Poza udrękami, na jakie sama się narazisz, narobisz kłopotów wszystkim Corneliusom, a chyba mimo wszystko musisz brać pod uwagę ich uczucia.

Nawinęła na palce kosmyk włosów.

– Chyba tak – przyznała niechętnie.

Randy wstał, obszedł biurko i usiadł obok niej.

– Czy twoja rodzina wie, gdzie teraz jesteś? – spytał.

– Nie do końca. Zresztą matki to nie obchodzi. Jest zbyt zajęta wydawaniem spadku po ojcu i cieszeniem się z tego, że wykreśliła rodzinę Mary Malinsky z testamentu.

– Daj spokój, Ally… Przecież kochasz swoją matkę, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Pewnie tak, ale nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek uporała się ze świadomością, że tato jej nie kochał. Kiedy się dowiedziała o Marze, nie chciała już nikogo pokochać ani być

przez nikogo kochana. W każdym razie tak powiedziała mi babka.

Randy objął jej szczupłe ramiona.

Czuła napływające do oczu łzy, choć bardzo nie chciała się rozpłakać. Wcześniej nawet sobie nie wyobrażała, jak wspaniała może być anonimowość, rozmawianie z nieznajomymi na progu domu lub na plaży, bez niecierpliwego szofera za plecami albo pokojówki czekającej z czystymi ręcznikami, niespanie przez całą noc, słuchanie płyt, picie taniego wina i wsłuchiwanie się w pełne zachwytu okrzyki kochających się ludzi – bez rodziców, kamerdynera i podsłuchujących za drzwiami ochroniarzy. Pierwszy miesiąc w San Francisco był ciężki, czasem boleśnie samotny, ale codzienne obowiązki, noszenie ubrań do pralni, chodzenie z koszykiem po supermarkecie, szukanie pomidorów i płynu do mycia naczyń, słanie łóżka i prasowanie dżinsów sprawiało Ally magiczną przyjemność, której nigdy wcześniej nie doświadczyła, ponieważ nigdy w życiu nie dotknęła pralki ani nie weszła do supermarketu. Wychodzenie z domu po podstawowe produkty żywnościowe było w jej przypadku bajecznie kolorowym rytuałem, okraszonym ochami i achami zaskoczenia i zachwytu, co wcześniej

oglądała jedynie w telewizyjnych reklamówkach. Była to głównie wina Irene. Głęboko przeświadczona, że Clara została zabita przez robotnika budowlanego, wierzyła niezachwianie w spiskowanie biednych przeciwko bogatym i zadbała o to, by Ally wzrastała w przegrzanych salonach i była wożona w odciętych od świata firankami limuzynach, obsługiwana przez starannie dobrane pokojówki i lokajów oraz uczona przez guwernerów.

To właśnie ta klaustrofobiczna atmosfera, a nie jedna trzecia udziałów w naftowej i samolotowej fortunie Corneliusów spowodowała, że Ally tak bardzo chciała uciec – sprawiły to sztywne kolacje i towarzyskie kadryle, pozbawione powietrza sale posiedzeń zarządów i dźwiękoszczelne apartamenty, wszystkie duszące, ubezwłasnowolniające atrybuty bogactwa. Uciekła, bo rozpaczliwie potrzebowała prawdziwego, zanieczyszczonego smogiem, niefiltrowanego powietrza.

Uciekła też dlatego, że jej ojciec zginął w wypadku, a Corneliusowie przyjęli to z westchnieniem, które powinno sygnalizować smutek, lecz brzmiało jak westchnienie ulgi. Cornelius Armaments, dział Cornelius Industries, z powrotem wchłonęła rodzinna ameba i Irene,

która przez ostatnie dwadzieścia lat żyła z mężem we wrogich, rozgorączkowanych napadach pomówień, histerii i niekończącym się surrealistycznym lęku, osiągnęła w końcu wyzwolenie, za którym tęskniła od bardzo dawna, choć nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Spełniona w roli męczenniczki, udała się do Europy, aby ochłonąć po przynoszącej jej wolność tragedii, jaką było odejście Johna, i zostać sfotografowana w czarnym kapeluszu z woalką na Via Appia przez Normana Parkinsona.

Jednak dla Ally ta śmierć miała zupełnie inny wymiar. Z ojcem łączyły ją szczególne stosunki, które najlepiej określało pewne zdarzenie podczas ostrej zimy 1950 roku, kiedy w sekrecie zabrał ją na łyżwy. Sam ubrał ją w spodenki, zapinając rzędy guzików wielkimi, niezgrabnymi łapami, założył jej płaszczyk i starannie przyczesał włosy, po czym wyślizgnęli się na dwór, przechodząc ostrożnie obok służbówek, i pobiegli do stawu przy drodze, wypuszczając w mroźnym powietrzu obłoczki oddechów. Ślizgali się na łyżwach, wpadając na ludzi w tanich kurtkach i wełnianych rękawiczkach, sami również przez nich potrącani, a potem siedzieli na ławce w parku, jedząc z papierowego

rożka gorące kasztany. Stojący obok nich mężczyzna w wystrzępionym płaszczu gładził po głowie swoją chudą jak patyk córeczkę i mówił, że gdyby miał milion dolarów, założyłby hodowlę świń, bo to dopiero interes, a wart sto pięćdziesiąt milionów dolarów John Cornelius słuchał tego z wyrazem twarzy, którego Ally nigdy nie widziała u innych Corneliusów, a który – jak to sobie uświadomiła wiele lat później – wyrażał szacunek.

Teraz, w 1967 roku w San Francisco, próbowała przypomnieć sobie tamten wyraz twarzy ojca. Jeśli chciała odnaleźć sens życia, musiała odrzucić pieniądze i koneksje.

Randy wyjął z kieszeni czystą białą chusteczkę do nosa i podał jej, by wytarła oczy.

– Masz ochotę na kawę? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Chcesz mi jeszcze opowiedzieć coś o tym chłopcu? O Destrym?

Wysiąkała nos i wzruszyła ramionami.

– Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Poznałam go w pizzerii. Tego dnia próbowałam sobie usmażyć omlet po meksykańsku, ale narobiłam przy tym takiego spustoszenia w kuchni, że postanowiłam poszukać czegoś do zjedzenia na mieście. No i wpadłam na niego,

kiedy stał w kolejce. Jest młody, szczupły i bardzo przystojny, ma twarz jak nordycki bóg i kręcone kasztanowe włosy. Zakochałam się w nim niemal od pierwszego wejrzenia.

Randy uśmiechnął się lekko.

– Wcale mnie to nie dziwi.

Wzięła następnego papierosa i przypaliła go.

– Zaczęliśmy rozmawiać, a potem zjedliśmy na spółkę pizzę pepperoni – dodała.

– Wiele romansów zaczęło się w taki sposób – zauważył Randy.

– Jeszcze nigdy nie przeżyłam niczego takiego – wyznała Ally. – Między nami od razu zaiskrzyło. On bardzo ceni drobiazgi, wiesz? Ma zrobione z muszelek pudełko, które ktoś dał mu w więzieniu, i traktuje je jak świętość. Widzę, jak szanuje takie rzeczy. Przypominam sobie różnych chłopaków, których próbowała mi narzucić matka, ale to zupełnie inny rodzaj człowieka.

Zabrzęczał interkom i Randy poprosił sekretarkę o dwie filiżanki czarnej kawy. Potem pochylił się w stronę Ally i powiedział:

– Muszę cię o to spytać. Nie chodzi o sypanie ani nic takiego, ale muszę wiedzieć, czy wiedziałaś, że Destry posiadał narkotyki.

– Oczywiście, że wiedziałam. Każdego wieczoru wypalaliśmy kilka skrętów. Na prywatkach więcej.

– Czy kupował je i sprzedawał, czy też wszystko, co miał, przeznaczał tylko na swoje potrzeby?

Odgarnęła do tyłu włosy.

– Rozprowadzał, ale głównie między znajomymi. Trawę, haszysz, amfę, takie rzeczy. Jednak nie wydaje mi się, żeby ostatnio to robił. Nie jest kryminalistą, Randy, po prostu żyje jak tysiące innych ludzi.

– Postawiono mu już zarzuty?

– Chyba tak.

– Wiesz na pewno? Jeśli nie, możemy go wyciągnąć w dwie minuty. *Habeas corpus*.

– Nie wiem. Musiałbyś sprawdzić na policji.

Zapisał coś w swoim notatniku.

– Zamierzam to zrobić.

Położyła rękę na biurku i Randy zobaczył pięć krótko obciętych paznokci, niepodobnych do paznokci żadnych innych kobiet z klanu Corneliusów, oraz trzy srebrne indiańskie pierścionki.

– Randy… – zaczęła Ally.

Wiedział, co zaraz usłyszy. Miał nadzieję, że to prawda.

– Kocham tego chłopaka, Randy. Jest największym szczęściem w moim życiu. Pomożesz mi?

Ujął jej rękę i kiwnął głową.

– Zaraz się tym zajmę – powiedział ciepło. – Załatwię to tak, że mucha nie siada. Obiecuję.

♦ ♦ ♦

Pojechała do swojego mieszkania przy Brannan Street, by czekać na wiadomość od Randy'ego. Był wyrozumiały i współczujący, ale stanowczy. Dopóki Destry nie wyjdzie z więzienia, nie wolno jej się z nim widzieć. Gdyby gazety się dowiedziały, że dziedziczka fortuny Corneliusów próbuje wyciągnąć z paki swojego kochanka hipisa, zwykłe wyjście za kaucją zamieniłoby się w koszmar z telewizyjnymi kamerami, reporterami, tłumami ciekawskich i publicznym dochodzeniem. Chociaż Ally zapewniała, że wszystko to zniesie, wyprowadził ją ze swojego biura, pocałował w czoło i kazał iść do domu.

– Pamiętaj, na co się zdecydowałaś – powiedział jej łagodnie. – Jeśli zrezygnowałaś z rodziny, to zrezygnowałaś także z jej wpływów. Nie można mieć jednego i drugiego.

Powoli weszła do starego, zniszczonego dwupiętrowego domu. Jej małe mieszkanko znajdowało się na ostatnim piętrze. Wyjmując klucze, popatrzyła przez brudne okna na okoliczne domy i dachy naprzeciwko oraz na niebo pokryte chmurami napływającymi znad oceanu.

Otworzyła drzwi prowadzące do jedynego pokoju pełniącego zarazem funkcję pokoju dziennego i sypialni, po czym rzuciła torbę na podłogę. W całym pomieszczeniu pachniało wywoskowanym sosnowym drewnem i kawą. Było tu niewiele sprzętów: wysokie mosiężne łóżko ze sprężynami i zapadniętym materacem, przykryte patchworkową kapą, szafka z umywalką osadzoną w marmurowym blacie, poplamione lustro i mała, mocno zniszczona kanapka. Na ścianach wisiały kolorowe psychodeliczne postery Grateful Dead, Boba Dylana i Jefferson Airplane, a między nimi, wśród złota, zieleni i lśniącego różu, niewielkie biało-czarne polaroidowe zdjęcia młodego mężczyzny o zachmurzonej twarzy i kręconych włosach.

Przeszła do kuchni i postawiła na gazie poobijany emaliowany garnek z kawą. Przez cienkie zasłonki w kwiaty wpadały promienie

słońca, wypełniając pokój rozleniwiającym ciepłem. W kuchni stały słoje z drewnianymi łyżkami, cedzaki, słoiki z przyprawami i trzy staroświeckie miedziane rondle, które wypatrzyła na garażowej wyprzedaży w Mill Valley. Na ścianie wisiały łuszczące się warkocze czosnku. Zdjęła poncho, usiadła przy drewnianym stole i wytrząsnęła z paczki ostatniego papierosa.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, ile kosztowała ją prośba o pomoc. Jako Ally Cornelius mogłaby porozmawiać z każdym wziętym adwokatem z Zachodniego Wybrzeża i w pół godziny wyciągnęłaby Destry'ego z więzienia. Wystarczyłoby trochę prawnego nacisku i polityczne koneksje.

Kiedy kawa zaczęła bulgotać, Ally się odwróciła, by wyłączyć gaz. W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi, więc poszła je otworzyć. Przyszła Galina, młoda Czeszka wynajmująca pokój naprzeciwko. Nigdy nie narzekała na denerwującą nieporadność sąsiadki w takich sprawach jak prasowanie, zakupy, przygotowanie najprostszych posiłków czy nawet makijaż. Od dnia, w którym Ally ukończyła siedemnaście lat i matka pozwoliła jej używać kosmetyków, nigdy sama się nie

malowała. Kiedy kilka razy wyszła z mieszkania z krzywo zrobionymi oczami i ustami, Galina cierpliwie pokazała jej, jak używa się ołówka i szminki.

– Jakieś wiadomości na temat Destry’ego? – spytała.

Ally pokręciła głową.

– Jeszcze nic. Przed południem widziałam się z adwokatem i powiedział, że najlepiej zrobię, siedząc w domu i czekając na wiadomości.

– Masz czekać? A Lenin czekał?

– Nie wiem – przyznała Ally. – Czekał?

– Też nie wiem. Czesi nie znają się na Leninie.

Ally uśmiechnęła się do niej.

– Lepiej właź do środka i napij się kawy. Nie cierpię rozmawiać w drzwiach.

Galina weszła do mieszkania.

– Czy ten adwokat myśli, że uda mu się wyciągnąć Destry’ego z kicia? – spytała, przyciągając sobie krzesło i siadając na nim po turecku.

– Jest pewien na dziewięćdziesiąt procent. To tylko drobne wykroczenie i nawet nie wiadomo, czy go zapuszkowali. Pojechał tam teraz i próbuje wyciągnąć go za kaucją.

Galina wyjęła papierosa z paczki i przypaliła go zapałką potartą o podeszwę buta, a potem

rzuciła paczkę Ally.

– Ci gliniarze od narkotyków są okropni. Zgarniają dzieciaki z odrobiną trawki, a kolesie cały czas sprzedają herę na rogach ulic, jakby to były lody.

Ally nalała kawy do kubków. Słońce już zaszło i w pokoju zrobiło się dziwnie ciemno.

– Czułam się taka bezradna – powiedziała.

Galina wzruszyła ramionami.

– Psom właśnie o to chodzi. Cała porządnicka Ameryka chce, żebyś się tak czuła.

– To nie w porządku. Gdybyś wiedziała, co się dzieje, kiedy niektóre wielkie korporacje…

Ugryzła się w język, a Galina popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Kiedy niektóre wielkie korporacje…?

Ally odwróciła wzrok.

– Kto je tam wie, ale myślę, że ludzie z tych korporacji kradną o wiele więcej pieniędzy i wyrządzają większą szkodę, działając pod szyldem uczciwego biznesu, niż zwykli ludzie z ulicy.

– Pewnie masz rację.

Ally również zapaliła papierosa i kilka razy zaciągnęła się mocno dla uspokojenia nerwów, zanim znów się odezwała.

– Wiem, że Destry już siedział – dodała cicho. – Jednak powiedział, że jest czysty i chce pozostać czysty. Co może być złego w paleniu trawki? Nie był dealerem. Chciał tylko dobrze się czuć i być dobrym człowiekiem. Ale zapuszkowali go, bo zapamiętali jego twarz. To chore. Jakby zależało im na poniżaniu ludzi…

Galina upiła łyk kawy i skrzywiła się.

– Jak ty ją parzysz? Z papą?

– Przepraszam. Zaraz dam ci śmietankę.

Galina wlała do kubka połowę opakowania śmietanki i wsypała dwie łyżeczki brązowego cukru.

– Przynajmniej teraz będzie smakowała jak papa ze śmietanką i z cukrem – mruknęła.

– Aresztowanie Destry'ego zupełnie wytrąciło mnie z równowagi – powiedziała Ally. – Było nam tak wspaniale ze sobą. W ostatnią środę pojechaliśmy nad ocean i pływaliśmy przez cały dzień jak para dzieciaków. Mówię ci, on jest taki… naturalny. Niczego od ciebie nie chce i wiesz, że nigdy nie wytnie ci żadnego numeru. Kiedy siedzi przy tobie i uśmiecha się, czujesz się cudownie.

Czeszka pokiwała głową.

– Wiem. Ale jeśli ten adwokat jest coś wart, za kilka godzin będziesz miała go z powrotem.

– O Boże, oby…

Galina przez chwilę przyglądała się Ally, paląc papierosa.

– Miałaś wcześniej jakiegoś chłopca, na którym by ci tak bardzo zależało? – zapytała.

Ally spuściła wzrok i zaczęła skubać skórki przy paznokciach.

– Było paru, ale żaden nie był taki jak Destry.

– Cóż… chyba nie ma takich jak on.

– To byli chłopcy, za których chciała mnie wydać matka. Krótko ostrzyżeni, w idealnie wyprasowanych spodniach. Wyglądali jak zadowoleni z życia durnie, brzydko pachniało im z ust i oczywiście wszyscy grali w golfa.

Galina uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Szóstka bachorów, ford kombi i domek na przedmieściu, co? Moja matka była trochę bardziej zwariowana, ale też można było się wściec. To był prawdziwy koszmar.

Zadzwonił telefon stojący przy drzwiach. Ally poderwała się nerwowo, odstawiła kubek z kawą i pobiegła odebrać.

– No i co? – spytała ją Galina, kiedy wróciła.

– Pomyłka. Jakiś facet chciał się połączyć z restauracją Imperial Dragon.

Czeszka się zaśmiała.

– Nie radzę ci go tutaj zapraszać, póki nie nauczysz się jako tako pichcić.

Ally usiadła, trzymając kubek w obu dłoniach. Po chwili milczenia pokręciła głową i popatrzyła na sąsiadkę.

– Galina?

– O co chodzi?

– Co by się stało, gdybyśmy… no, gdybyśmy…

– Gdybyście co?

– No, gdybyśmy byli razem dłużej, Destry i ja? Co by się wtedy stało?

Galina nie zrozumiała pytania.

– Co by się stało? A jak myślisz?

Ally przygryzła palec.

– Po prostu chodzi mi o to, że… no, co by się stało, gdybyśmy chcieli wziąć ślub?

– Ślub? – powtórzyła zaskoczona Galina. – Znasz faceta dopiero od kilku tygodni, poza tym wciąż jeszcze siedzi w kiciu.

– Wiem. Ale nie mogę przestać o tym myśleć.

Galina zgasiła papierosa.

– Nie rozumiem, co cię napadło. Możecie przecież mieszkać razem tak długo, jak ci się podoba, bez komplikacji. Jesteście wolni. – Przysunęła krzesło bliżej stołu i pochyliła się konfidencjonalnie w stronę Ally. – Słuchaj, wiem, że wciąż to wszystko przeżywasz… To normalne,

kiedy się po raz pierwszy odchodzi z domu. Masz wyrzuty sumienia, bo odrzuciłaś rodziców, bo ich nie posłuchałaś i zraniłaś. Ale za to jesteś teraz wolna i tylko to się naprawdę liczy. I tak powinno pozostać. Bez względu na to, jak wielkie masz wyrzuty sumienia, jesteś to winna sobie, Destry'emu i każdemu w twoim wieku, kto kiedyś czuł się osaczony i załamany. Z czego tak naprawdę rezygnujesz? Z domku w New Jersey, rodzinnego samochodu, chodzenia w niedzielę do kościoła, chłopców, którzy wyglądają jak zadowoleni z życia durnie, i dwudziestu dolarów tygodniowo na drobne wydatki. To chyba nie raj, co?

Ally przez chwilę myślała o tym, z czego naprawdę zrezygnowała. Z domów jak pałace, sznurów lśniących limuzyn, przyjęć i bankietów oraz przystojnych chłopców, absolwentów Harvardu i Yale.

– Tak… – szepnęła.

Spędziły razem cały dzień. Wypaliły skręta i słuchały nowej płyty Beatlesów. Potem wpadło kilkoro znajomych, pytając, co z Destrym. Ale telefon milczał.

Około trzeciej usłyszały na klatce schodowej tupanie i po chwili rozległo się ostre pukanie do drzwi. Ally poszła otworzyć, mając w głowie

lekkie szmery po trawce i nucąc bez słów *Strawberry Fields Forever*. Na podeście, w czarnym letnim płaszczu i czarnym kapeluszu jak postać z innego czasu, innej epoki, stał Victor.

– Co ty tu robisz? – spytała zdumiona Ally.

Postawił na progu lśniący czarny but.

– Wygląda na to, że w końcu wyśledziłem naszą uciekinierkę – stwierdził z szerokim uśmiechem na różowej twarzy.

Ally cofnęła się i jej kuzyn wszedł do pokoju. Pachniał wodą kolońską 4711. Nie widziała go od sześciu miesięcy, ale prawie wcale się nie zmienił. Sprawiał wrażenie raczej nadmuchanego niż mocno zbudowanego, spęczniałego od bogactwa i nadmiaru alkoholu. W klapie miał orchideę. Był taki okrągły i wielki, że wydawało się, iż ktoś dla żartu ozdobił jego płaszcz delikatnym kwiatem. Wszedł nieproszony do kuchni, czerwony na twarzy i spocony, ocierając twarz białą chusteczką.

Galina popatrzyła najpierw na niego, a potem na Ally. Była kompletnie zaskoczona.

– Kto to? – odezwała się. – Pan Magoo[15]?

Zdenerwowana Ally spytała podniesionym głosem:

– Czego chcesz? Jak mnie znalazłeś?

Victor zachował całkowity spokój. Przysunął sobie krzesło i usiadł na nim. Nogawka jego spodni podjechała do góry, odsłaniając bladą tłustą łydkę i czarną jedwabną skarpetkę.

– Nie przedstawisz mnie? – rzucił.

Ally poczuła się, jakby całe jej nowe życie spłynęło niczym woda w umywalce. Gdyby był jakiś sposób zamienienia Victora w obłok pary albo rozpuszczenia go jak kostkę masła w gorący dzień, dałaby za to pół roku życia. Zwaliła się na nią nagle apodyktyczna przeszłość z wielkim, tłustym zadem i przydusiła delikatną przyszłość.

Jej sąsiadka wyciągnęła rękę.

– Jestem Galina – powiedziała. – Czeszka.

– Miło mi poznać – odparł Victor. – W Czechach robią świetne łożyska.

– Och, nie pochodzę z Czech. Przyjechałam z De Kalb w Illinois.

Victor wydawał się nieco zdezorientowany.

– De Kalb? Nie mam pojęcia, gdzie to jest.

– Naprawdę? – zdziwiła się Galina. – To siedziba stanowego uniwerku.

Victor popatrzył na Ally.

– Twoja przyjaciółka chyba się ze mnie nabija – mruknął z pełnym wyższości uśmiechem. – Uniwersytet w De Kalb? No nie, bez przesady.

Galina zamierzała coś powiedzieć, ale tylko się wyprostowała i potrząsnęła głową. Nie mogła uwierzyć, że ta zjawa z Wall Street w staroświeckim płaszczu o absurdalnie wąskich klapach naprawdę żyje i oddycha. Spojrzała na Ally, a potem znów na Victora, jakby próbowała pojąć, co jej sąsiadka może mieć wspólnego z taką mumią.

– Czy to coś ważnego? – spytała Ally. – No cóż, pewnie tak, skoro pakujesz się w moje życie.

Victor sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął wykonane ze złota i skóry aligatora etui na cygaretki.

– Jasne, że ważne. I muszę ci powiedzieć, że odnalezienie ciebie było diabelnie ciężką robotą.

– W takim razie doskonale się do tego nadawałeś – stwierdziła zimno Ally i podeszła do okna, krzyżując ręce na piersiach.

Na jej twarzy malował się gniew. Przez pokrewieństwo z Victorem czuła się niemal odstręczająca, jakby miała przetłuszczone włosy albo coś w tym stylu.

Victor zapalił cygaretkę i wydmuchnął dym w powietrze, po czym mrugnął do Galiny i powiedział:

– Wiesz, matka nie lubi, kiedy palę. Ale między nami hipisami…

Czeszka popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Jasne – mruknęła niepewnie.

Ally nie odwróciła się od okna.

– Zostawiłam wam numer poste restante – oświadczyła. – Czemu nie napisałeś? Nie musiałbyś mnie szukać.

– Lubimy wiedzieć, gdzie są inni członkowie rodziny – odparł Victor. – Chodzi o ubezpieczenie.

– Ubezpieczenie? – powtórzyła zdziwiona Galina.

Kiwnął głową.

– Zgadza się. Agenci ubezpieczeniowi robią się trochę nerwowi, kiedy jedno z nas przepada jak kamień w wodę. Giełda oczywiście też. To zrozumiałe, bo przecież chodzi o sporą forsę.

Galina uśmiechnęła się i znów obejrzała na swoją sąsiadkę, jednak Ally nadal była odwrócona do okna. Chciała tylko, żeby Victor wyjaśnił, z czym przyszedł, i jak najszybciej zniknął.

– Chyba wiem, dlaczego wyjechałaś – powiedział Victor, odwracając się do Ally. – Sądzę, że cię rozumiem, ale ty też powinnaś zrozumieć, że nie możesz z dnia na dzień porzucać wszystkich swoich obowiązków. Twoje nazwisko figuruje na całej masie akcji i nie

możemy ich przetransferować, zamienić ani nic z nimi zrobić, dopóki nie będziemy mieli twojego podpisu.

– Mam przecież pełnomocnika, Ricka Hellera.

– Musieliśmy go zwolnić.

– Wyrzuciłeś Ricka? Jakim prawem?

– Nie mieliśmy wyboru. Ociągał się w sprawie umowy dotyczącej Asquahanna i zupełnie nie dawał sobie rady z handlem zagranicznym.

– Wyrzuciłeś go, bo był moim pełnomocnikiem, dzięki czemu miał tyle samo władzy co ty. Właśnie dlatego go wyrzuciłeś.

Kawałek tytoniu przywarł Victorowi do czubka języka. Wypluł go niecierpliwie.

– Hm, masz prawo do własnej opinii – mruknął. – Ale nie możesz wypiąć się na akcje wartości czterdziestu siedmiu milionów dolarów. Same się sobą nie zajmą.

Galina wytrzeszczyła na nich oczy.

– Czterdzieści siedem milionów dolarów w akcjach? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Mówisz, że Ally jest warta czterdzieści siedem milionów dolarów w akcjach?

Victor wyjął kieszonkowy zegarek i sprawdził czas, a potem popatrzył na Galinę, jakby nie rozumiał, dlaczego pyta o tak oczywiste sprawy.

– Zgadza się – odparł. – Plus minus kilka milionów, bo cena ropy naftowej zmienia się z dnia na dzień.

Czeszka głęboko wciągnęła powietrze.

– Skoro jest warta czterdzieści siedem milionów dolarów, to co tutaj robi? – spytała.

Ally ze znużeniem przetarła oczy.

– Próbuję uciec – powiedziała cicho. – Jestem zmęczona wciąż biegającą za mną służbą, limuzynami i posiedzeniami zarządów. Chcę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza i poznać prawdziwych ludzi.

Victor popatrzył na nią z wyższością, jakby myślał: No cóż, wszystkie dzieciaki przechodzą taki etap, ale to mija. Szybko uświadamiają sobie, że to właśnie pieniądze pozwalają Ameryce żyć i oddychać.

– Zostawiłaś czterdzieści siedem milionów dolarów? Serio? Czyś ty oszalała?

Ally pokręciła głową.

– Byłabym szalona, gdybym tego nie zrobiła. Miałam tyle wolności co szczur w studni.

– Och, daj spokój! – zawołał ze śmiechem Victor. – Nie było aż tak źle. Słuchaj, kazałem odnowić twój dom w Corona del Mar i możesz w nim spędzić kilka tygodni, zanim wrócisz do

Waszyngtonu. Albo możesz zostać w White Point. Freddie wyjechał do Europy.

– White Point? – wymamrotała Galina. – To ten wielki pałac w…

Urwała i spojrzała na Ally, jakby sąsiadka na jej oczach zamieniała się w błyszczący posąg ze złota i platyny. Nad stołem unosił się niebieskimi falami dym papierosowy. Gasnące światło popołudnia odbiło się w smutnych oczach Ally.

W mieszkaniu poniżej ktoś puścił płytę zespołu Country Joe and the Fish.

Ally odgarnęła włosy z twarzy.

– Kiedyś i tak byś się tego domyśliła – powiedziała. – Naprawdę nazywam się Ally Cornelius.

Czeszka powoli pokiwała głową.

– Czułam to – odparła. – Czułam, że tu coś nie gra, i to bardzo. Jezu Chryste… A ty jesteś Victor Cornelius, zgadza się? Jeden z najbogatszych młodych ludzi na świecie. Jezu, nie wierzę… Ally, jesteś milionerką.

– Tak – przyznała Ally i poczuła, że do jej oczu napływają łzy.

Wydawało jej się, że ściany mieszkania znów na nią napierają i chcą ją sprasować. Przepaść między biedą Galiny a jej własnym bogactwem już zacierała i wykrzywiała słowa jednej

w uszach drugiej, jakby rozmawiały rozdzielone setkami mil, posługując się gubiącą sygnał wiekową krótkofalówką.

Kiedy Galina patrzyła teraz na swoją sąsiadkę, widziała tylko wielkie bogactwo. Ally była śliczna, miła i troskliwa, ale wszystkie te zalety przesłaniała ogromna góra pieniędzy.

– Porozmawiamy wreszcie o interesach czy nie? – odezwał się Victor.

– O czym chcesz porozmawiać? – spytała bezdźwięcznym głosem Ally.

– No, o wszystkim. Musimy wiedzieć, co zamierzasz. Chcesz zostać tu na zawsze? Trzeba było aż sześciu detektywów, żeby cię znaleźć. Masz pojęcie? Sześciu! Nie możesz się tak dalej zachowywać. To nieuczciwe wobec mnie, bo muszę się zajmować większością twoich inwestycji. Musimy też wiedzieć, co robisz i gdzie mieszkasz, żebyśmy mogli należycie administrować funduszami powierniczymi. Chodzi również o twoje dywidendy. Musimy mieć pewność, że leżą bezpiecznie w depozycie i czekają, aż znudzi ci się ta szopka i wrócisz do domu.

Ally odwróciła się do niego.

– Nie chcę pieniędzy z depozytu – oświadczyła. – Możesz z nimi zrobić, co zechcesz.

To nie choroba ani żadne fanaberie. Podjęłam decyzję, że właśnie tak chcę żyć. Możesz zrobić z tymi pieniędzmi, co ci się podoba.

Cygaretka Victora zgasła, więc przypalił ją po raz drugi.

– Jesteś egoistką – stwierdził. – Twój spadek ma chronić całą rodzinę przed nadmiernym opodatkowaniem. Jestem przekonany, że w końcu zmądrzejesz i zmienisz swoją postawę, jeśli jednak nadal będziesz się upierała i trwała przy swoim stanowisku, zaczniemy razem z Dickiem Marinim transferować twoje akcje, a to może nas kosztować fortunę. Poza tym – dodał, patrząc znacząco na Galinę – czy nie sądzisz, że powinniśmy omówić to w cztery oczy?

Galina wyzywająco zadarła głowę.

– Nie wyjdę, dopóki Ally mnie o to nie poprosi.

Victor potarł kark.

– To bardzo poufne sprawy.

– Och, do cholery, mam to wszystko gdzieś! – warknęła Ally. – To już historia, zostawiłam to za sobą. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów. Jeśli nie, wynoś się stąd.

Victor rozłożył pulchne dłonie.

– Nie musisz być taka agresywna. Ja tylko proszę cię o parę podpisów.

– No to proś. Nie myślisz chyba, że Galina jest tajnym agentem Dow Chemical?

Wzruszył ramionami.

– W porządku, ale będę musiał zawołać Alexa. Czeka na podeście ze wszystkimi papierami.

– Jakie to uprzejme z jego strony…

Victor wyszedł na zewnątrz i po chwili wrócił z wysokim, starannie ogolonym mężczyzną w ciemnym garniturze i białej koszuli z kołnierzykiem zapinanym na guziki. Znów zasiadł przy kuchennym stole, a wysoki mężczyzna wręczył mu teczkę ze skóry i czekał cierpliwie z boku, gdy Victor wyjmował wszystkie potrzebne dokumenty. Kiedy zakrył cały stół stosami listów i niepodpisanych umów, skinął na Alexa, by zostawił ich samych. Ally uświadomiła sobie, że chyba widziała tego człowieka w biurze Daylong Oil w San Francisco. Było to dziwne i trochę nierzeczywiste wrażenie, przypominające nieoczekiwane spotkanie jakiegoś drugoplanowego aktora ze starego filmu.

– Czego chcesz ode mnie? – spytała Victora.

– Podpisz tylko kilka umów, to wszystko.

Galina patrzyła to na Victora, to na Ally jak samotny widz obserwujący rozgrzewkę zawodników przed meczem tenisowym.

Ally wyjęła papierosa, przypaliła go i zapytała:

– Czego dotyczą te umowy? Napalmu? Pocisków kierowanych? Niczego nie podpiszę.

– Tylko funduszy – odparł Victor i przesunął umowy w jej stronę. – Tu, tu i tu, na odwrocie.

Jasne włosy Ally lśniły w padającym z okna świetle, gdy stała przy nim, trzymając w ręce papierosa. Początkowo nie zareagowała, ale w końcu podeszła do stołu, z rezygnacją sięgnęła po pióro, przysunęła do siebie umowy, przycisnęła je drugą dłonią i szybko podpisała.

– To wszystko? – spytała.

Victor uśmiechnął się do niej i wyrównał stos papierów.

– Oczywiście. Ale chcielibyśmy też wiedzieć, jakie są twoje dalsze plany. Zamierzasz tu pozostać jeszcze przez kilka miesięcy?

Ally przymknęła oczy.

– Nie wiem – odparła cicho. – Nie mam żadnych planów.

– Zawiadomisz mnie, kiedy w końcu zdecydujesz się stąd wynieść? To tylko formalność, zabezpieczenie. Wiesz, jak jest.

– Tak, wiem, jak jest. I właśnie dlatego nigdzie się stąd nie zamierzam wynosić.

Victor wstał i obciągnął płaszcz.

– Jest jeszcze jedna rzecz… – mruknął, oblizując wargi.

– Jaka?

– Chodzi o dyskrecję. Skoro zamierzasz tu mieszkać, chcielibyśmy prosić, żebyś trzymała się z daleka od wszystkiego, co mogłoby okazać się kłopotliwe, gdyby trafiło do publicznej wiadomości.

– Chcesz powiedzieć, że nie powinna paradować po Embarcadero z cyckami na wierzchu? – spytała Galina.

Popatrzył na nią, unosząc brwi.

– Chodzi o narkotyki, alkohol i takie rzeczy.

– Victor… czemu po prostu stąd nie wyjdziesz? – spytała Ally.

Westchnął.

– Nie próbuję ci mówić, jak masz żyć, Ally. Próbuję cię tylko ochronić.

– Daj sobie z tym spokój, dobrze?

– Wiem, czemu się tak zachowujesz. Myślisz, że jestem niesympatyczny, prawda? Myślisz, że skoro zawsze siedzę zakopany po uszy w rachunkach i umowach, to nie widzę, co się naokoło mnie dzieje.

– Niczego podobnego nie powiedziałam. Czy kiedyś usłyszałeś ode mnie coś takiego?

– Może nie usłyszałem, ale wiem, co o mnie myślisz.

– Daj spokój, człowieku – prychnęła Galina, wstając z krzesła. – Czemu nie zostawisz jej w spokoju?

Zignorował ją.

– Wiem, jak to jest, kiedy wszystko się na ciebie wali – powiedział do Ally. – Wszyscy od czasu do czasu coś takiego przeżywamy. To przez ten ciężar odpowiedzialności. Jednak nie pozbędziesz się odpowiedzialności, wychodząc i zamykając za sobą drzwi. Chodzi o to, żeby umieć się zrelaksować. Bierzesz kilka dni wolnego i wracasz świeży jak powietrze po burzy.

– Ale ja wcale nie chcę wracać.

– Popatrz na mnie – dodał, jakby jej w ogóle nie usłyszał. – Od czasu do czasu wpadam do The Coast. Nawet mam tam kilka przyjaciółek. Znasz Sheilę z Westwood Club?

– Westwood Club? – powtórzyła Galina. – Myślałam, że tam chodzą tylko stetryczali staruszkowie. Tetryki i buraki.

– Możesz się ze mnie nabijać, jeśli chcesz – oświadczył Victor. – Ale przynajmniej na chwilę odrywam się od pracy i kiedy wracam, czuję się znacznie lepiej. Może potrzebujesz trochę

oddechu, Ally. Jednak nie możesz spędzić w ten sposób reszty życia.

– Czemu? – spytała.

Victor rozejrzał się po dwóch małych pomieszczeniach, popatrzył na zniszczoną kanapkę i psychodeliczne postery.

– Hm… – mruknął. – Co mogę powiedzieć?

Ally podeszła do Galiny i wzięła ją pod ramię.

– Najlepiej „do widzenia” – poradziła Victorowi.

Stał i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Poza kłopotami, jakie mu sprawiła z powodu umów i akcji, jej zachowanie było tym bardziej irytujące, że była taka cholernie śliczna. Z przyjemnością dałby jej całusa, jak przystało między kuzynami. Opuścił wzrok i przyłapał się na tym, że gapi się na sutki jej dużych, ciężkich piersi, wyraźnie zarysowanych pod cienką bluzką.

– No to do widzenia – powiedział w końcu lekko schrypniętym głosem. – Ale będę musiał mieć na ciebie oko.

Odprowadziła go do drzwi. Mężczyzna z Daylong Oil czekał na podeście. Victor pomachał Ally i rzekł do swojego towarzysza:

– Zjeżdżajmy stąd, Alex, zanim szczury nas dopadną.

Zaraz potem zniknęli na dole za drzwiami frontowymi.

Galina stała w kuchni, trzymając ręce na biodrach.

– No i jak się teraz czujesz? – spytała.

– A jak się mam czuć? – mruknęła cierpko Ally. – Chcesz jeszcze kawy?

– Nie masz wina? Potrzebuję się napić.

– Ja chyba też.

Siedziały przy stole, w milczeniu pijąc słodkiego kalifornijskiego burgunda.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała po chwili Galina. – Wracasz?

Ally pokręciła głową.

– Jak możesz tu żyć, kiedy masz te wszystkie pieniądze? Przecież to kompletnie bez sensu. Czemu masz jeść z puszki, kiedy stać cię na najlepsze restauracje?

– Galino, nie o to chodzi…

– Może nie, skarbie, jednak nie uciekniesz od tego. Zostawiłaś pieniądze, ale się ich nie pozbyłaś. Co zamierzasz? Będziesz kursować między biurem w penthousie i mieszkaniem bez ciepłej wody?

Ally nic na to nie odpowiedziała.

– Nie zamierzam cię podłamywać – powiedziała Galina, ujmując ją za rękę. – Nie

chcę jednak, żebyś się szarpała tak jak teraz.

Ally zaczęła dłubać paznokciem w dziurze po sęku.

– Chyba masz rację – jęknęła z rozpaczą. – Ale nie wiem, co mi pozostaje.

– Nie możesz przepisać swoich udziałów na kogoś z rodziny?

– Zrujnowałoby to wieloletnie ustalenia w sprawie funduszy powierniczych i fundacji dobroczynnych. Poza tym nie byłoby w porządku wobec organizacji dobroczynnych.

– A nie możesz po prostu wydać tych wszystkich pieniędzy? Jeśli będziesz miała z tym jakieś problemy, chętnie ci pomogę!

Ally uśmiechnęła się niewesoło.

– Och, Galino, jesteś urocza, ale nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jestem bogata. Gdybym do końca życia codziennie kupowała sobie po dwadzieścia cadillaców, nie zużyłabym nawet pół procent mojego kapitału. Nie mogę go wydać ani rozdać na tyle szybko, żeby zużyć wszystkie nagromadzone dywidendy i odsetki. Struktura funduszy powierniczych i fundacji jest bardzo skomplikowana i są ze sobą tak powiązane, że uwolnienie wszystkich pieniędzy, jakie na nich mam, zabrałoby mi całe lata, a do tego momentu wielkość mojego majątku jeszcze

by wzrosła. W tej chwili jestem pewnie warta jakieś sto milionów dolarów.

Czeszka odchyliła się do tyłu na krześle.

– To się nie mieści w głowie… po prostu nie mieści w głowie.

– Ale tak właśnie jest. To tak, jakbyś urodziła się z garbem.

Galina zamierzała powiedzieć, że nie sprawia jej to żadnej różnicy, że mimo tych wszystkich pieniędzy wciąż lubi Ally i nigdy jej nie podkusi, żeby poprosić o bezzwrotną pożyczkę czy coś w tym rodzaju, jednak nie chciało jej to przejść przez gardło. Bogacze różnią się od innych tylko jednym – mają wszystko, co chcą – ale ta jedna różnica stwarza przepaść niemal nie do przebycia.

Słońce padło na pożółkłą reprodukcję obrazu Martina J. Heade'a i w tym samym momencie rozdzwonił się telefon na podeście.

♦ ♦ ♦

Kiedy ze sobą rozmawiali, byli nieśmiali jak dzieci.

– Destry? – zapytała.

Przyciskała słuchawkę do ucha, jakby bakelit mógł ogrzać jej umysł.

– Wypuścili mnie – powiedział cicho.

Galina stała w uchylonych drzwiach mieszkania. Gdy Ally rozpłakała się z ulgi, podeszła do niej, objęła ją mocno i otarła łzy apaszką.

– Źle cię traktowali? – spytała Ally.

– Wszystko w porządku. Chyba coś im się pochrzaniło. Wygląda na to, że jeden z wywiadowców na służbie otrzymał od kogoś polecenie, żeby mnie zatrzymać. Mają tam chyba niezły bałagan. W każdym razie wypuszczają mnie.

– Och, Destry, kocham cię. Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

– Ja też cię kocham. Tęskniłem za tobą.

Otarła rękawem łzy i zapytała:

– Wypuścili cię za kaucją? Randy załatwił, co trzeba?

– W ogóle wycofali zarzuty. Gliny znają tego twojego adwokata z dawnych czasów. Słyszałem, jak im powiedział, że jeśli nie mają wystarczających dowodów, pogoni ich do diabła i z powrotem.

– Jestem taka szczęśliwa! Och, Destry, nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa…

– Przyjedź do mnie – poprosił. – Muszę tu jeszcze poczekać pół godziny i będę mógł iść.

Chcą, żebym podpisał jakieś papiery czy coś takiego. Wpadnij koło ósmej, może ósma piętnaście, zrobimy coś do jedzenia, wypalimy trochę trawki i…

– Tak – odparła. – Tak.

W słuchawce zapadła cisza, a potem odezwał się Randy.

– Czujesz się już lepiej, moja droga?

– Randy, jesteś cudowny. Nie wiem, jak ci dziękować.

– Jeśli chcesz, możesz wypłacić mi moje zwykłe honorarium.

– Och, Randy, zasłużyłeś na znacznie więcej.

– W porządku. Możesz w przyszłym tygodniu zjeść ze mną lunch w jachtklubie przy Saint Francis, byleś tylko nie miała na sobie levisów.

Uśmiechnęła się radośnie.

– Zgoda. Dziękuję ci, Randy. Naprawdę.

– Pracowanie dla ciebie to przyjemność, moja droga – odparł.

Odwiesiła słuchawkę i odwróciła się do Galiny, która stała przy oknie.

– Destry wychodzi? – spytała Czeszka.

Kiwnęła głową.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Galina.

Ally ją uściskała.

– Jestem taka podekscytowana! Zobaczę go o ósmej.

– Powiesz mu o tym?

– O czym?

– Że nie jesteś tym, za kogo cię uważa. Że nie jesteś Ally Pocznicz, tylko Ally Cornelius.

Ally popatrzyła na nią.

– Nie wiem – mruknęła. – Myślisz, że to jakaś różnica?

– A jak ty myślisz?

– Nie jestem pewna. Ale wciąż jestem tą samą osobą, bez względu na to, jak się nazywam, prawda?

Czeszka oparła się o okienny parapet.

– Hm… Ty możesz czuć się tak samo jak przedtem, ale czy Destry będzie czuł się tak samo wobec ciebie, kiedy nagle się dowie, że możesz go sprzedać i kupić pięćdziesiąt razy? To zimny prysznic dla każdego męskiego ego. Wiesz, jacy są faceci.

– Destry nie ma takiego wybujałego ego.

Galina wzruszyła ramionami.

– Nie licz na to. Tam, skąd pochodzę, każdy facet ma wybujałe ego.

Ally przygryzła paznokieć.

– W De Kalb w Illinois?

♦ ♦ ♦

Wzięła taksówkę, żeby dotrzeć do mieszkania Destry'ego – była to jej pierwsza jazda taksówką od przybycia do San Francisco. Miała z tego powodu wyrzuty sumienia, jakby się sprzedawała, ale z drugiej strony wiedziała, że jeśli uczciwie sobie powie, kim naprawdę jest, jeśli nie będzie uciekać przed swoimi problemami, może w końcu zdoła odkryć własne ja. Była bogata – niemożliwie bogata – i może należało się do tego przyznać.

Destry wynajmował pokój w pomalowanym na żółto niewielkim drewnianym domu stojącym na stromym stoku Telegraph Hill. W oknach rosło geranium, a na murku spał kot o sierści koloru marmolady. Słabnące słońce nadal grzało, ale jego blade promienie niosły ze sobą dziwny smutek.

Ally zapłaciła taksówkarzowi i weszła po trzech białych stopniach z boku domu. Nacisnęła guzik dzwonka, na którym był napis: „J. Di Maggio".

Destry hałaśliwie zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i po chwili ujrzała jego szczupłą sylwetkę za oknami z młotkowanego szkła. Otworzył drzwi i stanął

w nich, chudy i opalony, z szopą kędzierzawych włosów i ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi. Ally poczuła, że brak jej tchu, a szczęście, w które do tej pory nie mogła uwierzyć, rośnie w niej jak szampan w otwartej butelce.

Rozszlochała się na jego nagiej opalonej piersi, kiedy się witali. Idąca z koszykiem na zakupy Murzynka zatrzymała się przy krawężniku i wybałuszyła na nich oczy.

Destry odsunął Ally, aby się jej przyjrzeć. Uśmiechał się ciepło i czuła, że ją kocha. Mogłaby patrzeć na ten uśmiech cały czas, dzień i noc. Miał na sobie tylko wyblakłe, znoszone dżinsy na grubym pasie z ciężką mosiężną klamrą. Ucałował ją. Pachniał chińskim jedzeniem i marihuaną.

– Jesteś aniołem w ludzkiej postaci – szepnął. – A może nie…

– Jak to: może nie?

– Może po prostu aniołem.

Weszli po skrzypiących, pokrytych chodnikiem schodach na podest, z którego przeszli do pokoju Destry’ego. Przy oknie stała odwrócona do góry dnem drewniana skrzynka. Na podłodze leżały gwoździe i młotek.

– Wieszam dzwonki wietrzne – wyjaśnił chłopak. – Dzięki nim będę się czuł jak tybetański mnich.

Pocałowała go i musnęła jego małe brązowe sutki.

– Czemu chcesz się czuć jak tybetański mnich? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Znalazłem te dzwonki w sklepie koło posterunku policji, kiedy kupowałem jedzenie na kolację. Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Pokój Destry'ego był prosty i ubogo urządzony w porównaniu z mieszkaniem Ally. Miał pobielone ściany, na podłodze leżały sizalowe maty. Destry spał na przykrytym białą kołdrą materacu, a gotował na gazowej kuchence, stojącej na pomalowanym na czarno stole. W glinianych donicach rosły draceny, na ścianie wisiało wykonane na ryżowym papierze malowidło przedstawiające bramę świątyni Konfucjusza, Najwyższego Mistrza. Ally i Destry spędzili tu wiele godzin, rozmawiając, kochając się lub po prostu siedząc w milczeniu, wsłuchani w nocne odgłosy San Francisco: niewyraźne dźwięki rocka, buczenie statków, dzwonienie tramwajów i śmiechy przechodniów.

Ally zatrzymała się na środku pokoju. Miała wyszczotkowane, błyszczące włosy i ubrana była w bladoniebieską szydełkową mini.

– Kocham cię – szepnęła. – Wiesz o tym, prawda?

Uśmiechnął się do niej, ale nic nie odpowiedział.

– Chyba nie do końca zdawałam sobie sprawę, co do ciebie czuję, dopóki to się nie stało – dodała. – Nie potrafię tego ukrywać.

Nadal się uśmiechał i nic nie mówił, a ona nagle uświadomiła sobie, że jest taki zawstydzony i ucieszony, iż zupełnie nie wie, jak się zachować. Uklękła przy nim, pogładziła go po kręconych włosach, a potem pocałowała w gładki opalony policzek.

– Jest jeszcze coś, czego nie mogę ukrywać – powiedziała cicho.

Uniósł oczy.

– To coś ważnego. Coś, co powinnam ci wcześniej powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz. Liczy się dzisiaj, nie wczoraj.

Przygryzła wargę.

– Wiem. Ale ta rzecz ma wpływ na to, co jest dzisiaj.

– Dobry czy zły?

– Nie wiem. To zależy od ciebie.

Wszedł na skrzynkę, trzymając w ustach gwoździe.

– Jest na środku? – spytał, trzymając dzwonki w oknie.

Kiedy kiwnęła głową, przystawił gwóźdź do ramy i zaczął go wbijać.

– Musisz wiedzieć, że jestem bardzo bogata – powiedziała.

Skrzywił gwóźdź, a potem uderzył się w kciuk.

– Chryste! – zawołał, wkładając kciuk do ust.

Ally popatrzyła na niego z niepokojem.

– Destry, jestem bogata – powtórzyła.

Zszedł na podłogę, wkładając kciuk pod pachę.

– Myślisz, że tybetańscy mnisi lepiej sobie z tym radzą?

– Sądzę, że kiedy im się coś takiego przytrafi, po prostu myślą o Buddzie i ból przechodzi.

– W porządku, będę myślał o Buddzie. Budda, Budda, Budda… Nic z tego, wciąż boli. Może powinienem więcej ćwiczyć.

Ujęła go za przegub. Spojrzał na nią i zobaczył jej poważną twarz.

– Mówiłaś coś? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Powiedziałam, że jestem bogata. Myślałeś, że jestem zwyczajna, jednak tak nie jest. Jestem bardzo, bardzo bogata.

Patrzył na nią z lekkim uśmiechem, nie bardzo wiedząc, czy powinien jej wierzyć, czy nie.

– No dobrze, jesteś bogata – mruknął. – W porządku.

– Destry, nic nie rozumiesz…

– Pewnie, że rozumiem. Masz bogatych rodziców, ale rzuciłaś to wszystko. Czasem ludzie tak robią. Mnie to nie przeszkadza. Ally, skarbie, kocham cię ze względu na to, jaka jesteś, a nie dlatego, że twój stary ma zasobne konto w banku.

Odgarnęła do tyłu włosy.

– Tu nie chodzi o mojego starego, lecz o mnie. Tak naprawdę wcale nie jestem Ally Pocznicz. Jestem Ally Cornelius, ta od Cornelius Oil.

Zmarszczył brwi, jednak zaraz się roześmiał.

– Żartujesz sobie ze mnie. Daj spokój, żartujesz sobie ze mnie. Cornelius Oil?

Mocniej ścisnęła jego rękę.

– Destry, jestem multimilionerką. Mam domy, samochody, samoloty, łodzie, konie wyścigowe i futra. Mam trzydzieści procent udziałów w budynku Pacific International na nabrzeżu.

Niewykluczone nawet, że ten dom również do mnie należy.

– Niewykluczone? – rzucił lekkim tonem. – Chcesz powiedzieć, że możesz mieć ten dom i nie wiesz o tym? – Spoważniał i po chwili spytał: – Czy to prawda? Nie żartujesz?

Pokręciła głową.

– Nie mogłabym cię okłamywać. Bardzo cierpiałam przez cały ten czas, kiedy siedziałeś w więzieniu. Jestem Ally Cornelius. Nic na to nie poradzę. Taka się urodziłam.

Zagwizdał cicho i zaczął krążyć po pokoju.

– Naprawdę jesteś Ally Cornelius? Naprawdę?

Kiwnęła głową.

– Chcesz jakiegoś dowodu? Proszę, to moje prawo jazdy.

Wziął je od niej i obejrzał.

– Zgadza się – powiedział takim tonem, jakby właśnie odkrył, że jutro wypada Boże Narodzenie. – Naprawdę jesteś Ally Cornelius.

Obszedł jeszcze raz pokój.

– Cholera. A niech mnie… Faktycznie jesteś Ally Cornelius.

– Czy to… – zaczęła z wahaniem.

Popatrzył na nią.

– Co? Czy to w porządku?

Potwierdziła.

Podszedł do niej, objął i pocałował we włosy.

– Czy jesteś inna, niż byłaś rano? – spytał cicho, tuż przy jej uchu.

– Nie – odparła ledwie słyszalnie, z trudem powstrzymując łzy.

– Ja też nie – powiedział. – A skoro naprawdę jesteś Ally Cornelius, to tylko powinienem być z tego dumny. Ja i multimilionerka! Nie sądzisz, że to coś?

– Jak by ci to powiedzieć… No cóż… jestem bogata, ale zrezygnowałam z moich pieniędzy – wyjaśniła nieporadnie.

– Zrezygnowałaś? Dlaczego?

– Chyba mnie to przerastało. Zabierało zbyt wiele mojego życia, mojej duszy. To znaczy, nadal mam wszystko, co miałam do tej pory. Nadal mam te same dochody. Ale zrezygnowałam z tego, kiedy przyjechałam do San Francisco.

Destry usiadł na skrzynce.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć – przyznał. – Nie wiem, czy mam poprosić cię o sto dolców na nowy zestaw hi-fi, czy po prostu powiedzieć, że cię kocham.

Otarła grzbietem ręki łzę z policzka.

– Myślisz, że wciąż mógłbyś mnie kochać? – spytała.

Roześmiał się.

– Nie bądź śmieszna! Jesteś śliczną multimilionerką, więc dlaczego miałbym cię nie kochać?

Spochmurniała.

– Przepraszam – powiedział szybko. – Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. Zamierzałem powiedzieć, że kocham cię bez względu na to, czy jesteś biedna, czy bogata. Czasem sam chciałbym być bogaty, ale chcenie nic nie zmienia, tak jak ty od samego chcenia nie zbiedniejesz.

– To całkowicie zmieni naszą sytuację – szepnęła.

Wstał i sięgnął po młotek.

– Pewnie. Nie może być inaczej. Ale nie musi zmienić jej na gorsze, prawda?

– Nie wiem.

– Podaj mi te dzwonki, zawieszę je.

Znowu stanął na skrzynce i w końcu udało mu się prosto wbić gwóźdź. Ally podała mu dzwonki i nie mogła się powstrzymać, żeby nie pogładzić go delikatnie po udzie, jakby stojący na skrzynce po pomarańczach chłopak był marmurową rzeźbą Praksytelesa, której nie można nie dotknąć.

– To jeszcze do mnie nie dotarło – powiedział. – Zakochałem się w pewnej dziewczynie, a teraz

okazuje się, że ta dziewczyna jest kimś zupełnie innym. Musisz mi dać trochę czasu, żebym się z tym oswoił. Słuchaj, ile masz domów?

– Osiem. Nie licząc tego w Corona del Mar.

– Osiem domów! Ja cię kręcę!

Zszedł ze skrzynki, objął ją w pasie i pocałował.

– Chyba wciąż jestem w szoku – mruknął. – W tej chwili nie wiem, czy się cieszę, że jesteś Ally Cornelius, czy się tego boję. Ale to nie ma znaczenia, chcę być przy tobie.

Oddała mu pocałunek.

– Ja też – zamruczała.

Kiedy się znowu pocałowali, wsunął jej język do ust.

– Nastawię jakąś płytę – powiedział. – Dostałem dzisiaj nowy album grupy Love i myślę, że wprowadzi mnie w odpowiedni nastrój.

Przeszedł przez pokój, po drodze rozpinając pasek. Opuścił dżinsy i kopnięciem odrzucił je na bok. Miał pozbawione tłuszczu, twarde, umięśnione ciało, opalone jak u Cygana, a jego długi członek z gładką purpurową żołędzią już się dźwigał, twardniejąc.

Ally ściągnęła przez głowę sukienkę i rozpięła sandałki, nie spuszczając wzroku z Destry’ego. Kiedy kucał przy adapterze, przypominał

spalonego słońcem fauna, który przytruchtał z jakiegoś mitycznego greckiego gaju.

Zdjęła majtki i usiadła na podłodze pod dzwonkami. Destry odwrócił się do niej i uśmiechnął.

– Wyglądasz jak Marilyn Monroe w kalendarzu. Masz takie same wielkie miękkie cycki. Prawdę mówiąc, twoje są chyba jeszcze większe.

Ukląkł przy niej i pocałował ją we włosy i w policzki.

Pokręciła głową.

– Czy wielkość ma znaczenie? – spytała.

– Czy wielkość ma znaczenie? To tak, jakby spytać, czy frytki pasują do hamburgera.

Zachichotała i przewróciła się na podłogę. Złapał ją za nogi i zaczął łaskotać i całować w kolana i uda. Po chwili podniósł wzrok. Miał łagodne, ale poważne spojrzenie.

– Czy jakiś facet już cię kiedyś wylizał?

Zarumieniła się. Nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Jak wylizał?

Rozsunął jej nogi.

– Tu.

– Ja nie… – zaczęła.

Uśmiechnął się do niej. Miał równe, białe zęby. Pochylił nisko głowę i po chwili poczuła, jak jego ciepły, wilgotny język przesuwa się od jej odbytu do przodu i dotyka łechtaczki. Zadrżała i mocno złapała go za włosy, jakby zamierzała go powstrzymać, ale bardzo chciała, żeby robił to dalej.

– Destry, nie powinieneś… – szepnęła.

Nie zwrócił na to uwagi i nie przestawał. Czuła rosnące napięcie w udach i coraz większe ciepło w ich spojeniu. Opuściła ręce i rozwarła się szerzej dla niego. Koniec jego elektryzującego języka jeszcze przez sekundę tańczył na czubku jej łechtaczki, a potem wślizgnął się między lśniące fałdy skóry i zanurzył w mokrej ciemności pochwy.

Nad jej głową wirowały, kołysały się i dzwoniły dzwonki, a brązowa głowa Destry'ego unosiła się i opadała między jej udami.

Zbliżający się orgazm przypominał stalowy zacisk obejmujący plecy. Ally ciężko dyszała, wbijając głowę w podłogę, zaciskając mocno powieki i krzywiąc zaczerwienioną twarz. Zaciskała dłonie na swoich piersiach, wbijając paznokcie w delikatną skórę i drażniąc sutki kciukiem. To był jej najwolniejszy orgazm. Destry nie przestawał jej lizać i za każdym razem, gdy

myślała, że za chwilę dojdzie, stalowy zacisk na plecach ponownie się rozluźniał i znów musiała napinać mięśnie. Nagle jednak zacisk zamknął się gwałtownie i Ally krzyknęła przeraźliwie. Wierzgała nogami i usiłowała odepchnąć Destry'ego, jednocześnie wciskając mu twarz w źródło swoich soków.

Kiedy już było po wszystkim, długo leżała bez ruchu, a San Francisco wirowało wokół niej coraz wolniej i wolniej. Z wnęki kuchennej dobiegały odgłosy krzątaniny Destry'ego, dzwonienie garnków i brzęk szkła. Płyta nadal grała, chociaż Ally mogłaby przysiąc, że minęło kilka godzin.

Po chwili wrócił Destry i usiadł na podłodze obok niej. Przyniósł porcję trawki i kiedy szykował skręty, przyglądała mu się czule.

– Jesteś taki opanowany – powiedziała.

Polizał bibułkę.

– Nie zawsze byłem taki.

– Jesteś otwarty, ale powściągliwy. Dokładnie wiesz, czego chcesz.

Pochylił się i pocałował ją.

– Potrzebowałem czterech upiornych lat, żeby odkryć, jak to osiągnąć. Tajemnica polega na tym, żeby dawać, co możesz, i nie prosić o nic nikogo. Nawet o miłość.

– Cieszysz się, że cię kocham?

– Oczywiście. Ja też cię kocham.

– Mówisz poważnie?

– Tak. Nie mówiłbym tego, gdybym cię nie kochał.

Ally tak bardzo się wzruszyła, że omal się nie popłakała. Przetoczyła się po podłodze i pocałowała jego bose stopy.

– Nie powinnaś tego robić – mruknął.

– Dlaczego? Kocham cię.

– Jesteś bogatą młodą damą, a ja tylko zwykłym obibokiem. Bogate młode damy nie powinny całować obiboków po nogach.

Skończył robić pierwszego skręta i sięgnął po zapałki.

– Zawsze byłeś obibokiem? – spytała.

Zaciągnął się głęboko i zamknął oczy.

– Urodziłem się obibokiem. Ojciec był inżynierem na kolei, a matka sprzątała biura. Nie wydaje mi się, żeby w ogóle chcieli mnie mieć. Byli już dość starzy, kiedy się urodziłem, mieli razem chyba ze sto lat.

– Czy kiedyś chciałeś być kimś? To znaczy, czy marzyłeś o byciu kimś?

Podał jej skręta.

– Pewnie. Kiedy miałem pięć lat, chciałem być agentem ubezpieczeniowym. Nie wiem, skąd mi

się to wzięło, ale wiedziałem, że tacy agenci mają fajne samochody, a właśnie na tym mi najbardziej zależało. Kiedy miałem dziesięć lat, zachciało mi się być dziennikarzem, jednak w szkole mi nie szło, potem umarł ojciec i w końcu zacząłem dostarczać ludziom do domów towary ze spożywczego.

– A co z nami? – spytała cicho.

– To znaczy?

– No, co z nami będzie?

Z namysłem potarł podbródek.

– Nie wiem. Wydaje mi się, że będziemy to ustalać na nowo każdego dnia. Nie mogę udawać, że nadal jesteś dla mnie tą samą dziewczyną co przedtem. Twoje pieniądze zrobiły na mnie wrażenie. Nic na to nie poradzę.

– Nie chcę robić na tobie wrażenia. W każdym razie nie za pomocą pieniędzy. Chcę, żebyś mnie kochał.

– A nie może być jedno i drugie? Przecież pieniądze to nic złego.

Usiadła i popatrzyła na niego z bliska.

– Och, wprost przeciwnie. Pieniądze wszystko psują. Psują jak cholera.

Wziął od niej skręta, zaciągnął się głęboko, zatrzymał dym w płucach, wydmuchnął go i wzruszył ramionami.

– Myślę, że takie zepsucie jest do wytrzymania – oznajmił.

Roześmiała się i pocałowała go. Była już trochę na haju.

– Jesteś piękny – szepnęła. – Jesteś piękny i bardzo cię kocham.

Otoczył jej szyję ramionami i przyciągnął do siebie.

– Za chwilę będę robił takie rzeczy, że nigdy byś nie uwierzyła, że są możliwe.

– Jakie rzeczy?

– Zaczekaj trochę, a zaraz się przekonasz.

Wstał, żeby odwrócić płytę, a ona znowu położyła się na podłodze. Słuchała dzwonków i przyglądała się odbiciom tylnych świateł samochodów na szybie, przypominającym czerwone ciałka krwi sunące pociemniałą arterią.

Nagle rozległ się dzwonek przy drzwiach.

– Już otwieram! – zawołał Destry. – Gdzie moje spodnie?

– Na podłodze – odparła Ally.

Słyszała, jak ich szuka, potem rozległ się cichy szelest materiału i ostry zgrzyt zamka błyskawicznego. Miała wrażenie, że jej umysł jest bardzo daleko stąd. Tupot nagich stóp Destry’ego

oddalił się do wejścia i zaraz potem szczęknął otwierany zamek.

Ktoś już wszedł po schodach i stał na podeście. Słyszała szorstkie głosy. Przez chwilę nastawiała uszu, ale nie rozumiała ani słowa. Trwało to tak długo, że w końcu wstała, owinęła się jedną z meksykańskich derek i podeszła do drzwi, by zobaczyć, co Destry robi tak długo na korytarzu.

Naga żarówka w ogóle nie rozpraszała mroku panującego na podeście, na którym stało dwóch mężczyzn. Destry był odwrócony twarzą do dziobatej gipsowej ściany i opierał na niej wysoko uniesione ręce.

– Co się dzieje? – zapytała Ally.

Mężczyźni odwrócili się w jej stronę. Byli potężnie zbudowani, a ich twarze wyglądały, jakby były wyciosane z kamienia. Jeden z nich pokazał Ally odznakę i powiedział:

– Policja San Francisco.

– Co on takiego zrobił?

– Proszę się nie denerwować, panno Cornelius. Najlepiej będzie, jak się pani ubierze.

Szczelniej otuliła się derką.

– Nie rozumiem… Przecież on nie zrobił niczego złego.

– Ally – powiedział głuchym głosem Destry. – Lepiej zrób, co ci mówią.

U podnóża schodów stał mundurowy. Czerwone światło czekającego na ulicy radiowozu otaczało go teatralną poświatą.

– Sprowadza go pan na dół, poruczniku? – zapytał.

– Jasne. Ale muszę jeszcze przeszukać jego mieszkanie.

– Macie nakaz? – spytała Ally.

Wywiadowca wyciągnął do niej zaciśniętą w pięść dłoń i otworzył ją. Leżał na niej mokry, zgnieciony skręt.

– Ten pajac jest zatrzymany za nielegalne posiadanie groźnego narkotyku, więc niech mi pani nie wyjeżdża z nakazem.

– Ally… po prostu zrób to – powtórzył Destry. – Wejdź do środka i ubierz się.

– Zamknij się, Carlsson – warknął jeden z policjantów.

– Carlsson? – zdziwiła się Ally.

– George Carlsson – potwierdził policjant. – Alias Curly, alias Destry. Puszkujemy go od lat, tak jak inne szumowiny. Cholerni hipisi.

– Zaraz zadzwonię do mojego adwokata. Ma kancelarię w centrum, przy Czwartej Ulicy. Destry… dopóki się nie pojawi, nic nie mów.

– Panno Cornelius, radzę się do tego nie mieszać. Musi pani zrozumieć, że robimy to dla pani dobra.

– Oczywiście, że będę się mieszać. Proszę dać mi kilka minut na ubranie się i jadę z wami na posterunek.

– Panno Cornelius…

– Nie zamierzam wdawać się w żadne dyskusje. Proszę nie zapominać, kim jestem.

Odwróciła się, zamierzając wejść do mieszkania, ale w tym samym momencie usłyszała szamotaninę za plecami. W słabym świetle wydawało się, że Destry trzyma nóż. Błysnęło ostrze, gdy policjant wykręcił mu rękę.

– Uważaj! – krzyknął chrapliwie drugi. – Uważaj!

Nóż uderzył w podłogę i zawirował na zniszczonym linoleum. Policjanci cofnęli się i Ally zobaczyła, że wyciągają broń. Może trawka zniekształciła jej poczucie czasu, ale była pewna, że nóż upadł na linoleum, zanim unieśli broń, i nawet nie wiedziała, czy to właśnie Destry go trzymał.

Rozległy się strzały. Hałas był tak ogłuszający, że Ally sparaliżowało. Na klatce piersiowej Destry’ego pojawiły się dwie duże czerwone plamy. Zaraz potem strzelił stojący u stóp

schodów mundurowy i pocisk oderwał chłopakowi połowę głowy. Destry odwrócił się i upadł, a wywiadowcy schowali broń do kabur.

Ally próbowała krzyczeć, ale z jej ust wydobywało się tylko rzężenie. Brakowało jej powietrza w płucach. Złożyła się jak scyzoryk i upadła na kolana, opierając głowę o otwarte drzwi. Była tak wstrząśnięta śmiercią Destry'ego, że czuła się, jakby każdy nerw jej ciała został obnażony i oddzielony od innych niczym części rozwalonego telewizora.

– Widzieliście to? – spytał jeden z policjantów. – Widzieliście, jak ten menel wyciągnął nóż?

– Wszyscy oni są tacy sami – odpowiedział drugi. – Cholerne szumowiny.

Ally miała wrażenie, że ich głosy dobiegają z dna jakiejś głębokiej studni.

Mundurowy policjant wszedł po schodach i przyglądał się zwiniętemu w kłębek trupowi. Do ściany przyczepiły się różowe strzępki i Ally z dziwnym obrzydzeniem uświadomiła sobie, że to kawałki mózgu Destry'ego.

– Widzieliście ten nóż? – zapytał mundurowy. – Wiedzieliście, jak go wyciągnął? Gdyby Phil nie użył broni…

Ally wstała z podłogi, blada i rozdygotana. Podeszła do policjanta o imieniu Phil i pociągnęła

go za rękaw. Odwrócił się i popatrzył na nią ze zdziwieniem, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

– Zastrzeliliście go – szepnęła.

Policjant nic na to nie odpowiedział. Ally minęła go i uklękła obok Destry'ego. Miał przyciśniętą do podłogi twarz i szeroko otwarte oczy. Chciała mu je zamknąć, ale nie potrafiła zdobyć się na to, by go dotknąć.

– Przykro mi, panno Cornelius – powiedział szorstko policjant w cywilu. Miał bardzo blisko osadzone oczy, niemal jedno przy drugim. Nosił szkarłatną, poplamioną kawą wiatrówkę. – Naprawdę mi przykro, ale sama pani widziała, że chłopak wyciągnął nóż.

– Nie powinien go wyciągać – dodał mundurowy. – Kiedy się dzieje coś takiego, musisz zareagować. Rozumie pani?

Ally wstała.

– Nie wyciągał żadnego noża – oświadczyła. – Nawet nie miał noża.

Policjanci popatrzyli na siebie.

– Musiał mieć – odparł Phil. – Na pewno go ukrywał.

Ally przez chwilę stała bez ruchu, a potem odwróciła się od ciała chłopca, który do niedawna był miłością jej życia, i kiwnęła głową.

– Tak – szepnęła. – Może.

– Proszę pani, sugeruję, żeby pani zabrała stąd swoje rzeczy i pozwoliła nam przeszukać to mieszkanie – powiedział gliniarz. – Przeprowadzimy rewizję na okoliczność posiadania narkotyków, więc chyba lepiej, żeby pani tu nie było.

Uniosła głowę.

– A co ze mną? Nie aresztujecie mnie?

– Za co? – spytał drugi policjant.

– Za posiadanie nielegalnej substancji. Za odurzanie się. Ja też paliłam.

Gliniarz się roześmiał.

– Ale to była jego trawka, czyż nie?

– Może tak, jednak w normalnych okolicznościach aresztowalibyście mnie, prawda? – powtórzyła z uporem Ally.

Policjant wzruszył ramionami.

– Nic złego pani nie zrobiła. Radziłbym, żeby pani zabrała swoje rzeczy i opuściła to miejsce.

– Pani kuzyn czeka na dworze – dodał Phil. – Zawiezie panią do domu.

Ally miała mrożące krew w żyłach wrażenie, że cała jej dotychczasowa wiedza na temat życia rozpada się na drobne kawałeczki. Popatrzyła na policjantów.

– Mój kuzyn? To znaczy, że przyjechał z wami?

– No cóż… dał nam cynk, bo martwił się o panią. Carlsson był zwykłym żulem. Z takimi lepiej nie zaczynać.

– Był tylko zwykłym żulem – powtórzył drugi gliniarz.

Ally otworzyła usta, ale zaraz je zamknęła. Nie było nic więcej do powiedzenia. Owinęła się szczelniej kołdrą i weszła do mieszkania, żeby się ubrać. Kiedy wkładała sukienkę, wbijała wzrok w pustą ścianę i starała się nie słyszeć muzyki dzwonków.

Zabrała tylko jedną rzecz: kawałek kartki, na której Destry napisał wiersz tej samej nocy, podczas której po raz pierwszy się ze sobą kochali. Wciąż leżał na niej długopis Destry'ego, więc wysunęła ją ostrożnie spod niego.

Tekst brzmiał:

Ten dzień przybrał maskę;
Twarzy nie rozpoznaję.
Nosi pierścionki na palcach i ma jedwabne szlaki w oczach,
Jego ciało i krew rozmawiają jak starzy znajomi na potajemnym lunchu.

Przeszła przez ulicę. Po drugiej stronie czekała na nią czarna limuzyna. Victor siedział z tyłu za przyciemnianymi szybami, założył nogę na nogę i czytał „Business Week”. Na czubku jego mięsistego nosa tkwiły połówkowe okulary w rogowych oprawkach. Szofer, który stał obok samochodu, paląc papierosa, na widok Ally zgasił go i otworzył przed nią drzwi.

Victor podniósł wzrok. W środku klimatyzowanego wnętrza było chłodno i pachniało płynem po goleniu oraz skórą. Szofer zamknął drzwi.

– Już po wszystkim? – spytał kuzyn. – Aresztowali go?

Ally czuła, że drży jej dolna warga, ale wiedziała, że nie może się rozpłakać. Nie teraz, nie przed Victorem. Z trudem przełknęła ślinę i odparła:

– Dobrze wiesz, co się stało. Sam to wszystko zorganizowałeś i zapłaciłeś tym ludziom.

Zdjął okulary i wlepił w nią wzrok, a potem powoli złożył gazetę i zapytał:

– Myślisz, że mam z tym coś wspólnego?

– Policja mi powiedziała, że to ty dałeś im cynk.

– Tak, dałem. Ale zrobiłem to tylko dlatego, że ten osobnik, z którym się spotykałaś, był…

– Był kim? Był człowiekiem, a teraz jest trupem, który tam leży. Jest trupem, Victorze! Leży tam na podeście, a jego mózg rozprysnął się na ścianie!

– Żartujesz sobie… – mruknął Victor. – Czy to jakiś dowcip? Co próbujesz przez to osiągnąć?

Tym razem nie potrafiła już powstrzymać się od płaczu. Były to łzy gniewu, desperacji i może jeszcze czegoś więcej – żalu za tym, co bezpowrotnie minęło.

– Nie wiem, co zrobiłeś, i nie chcę wiedzieć… – wyszlochała. – Wszystko, czego dotknie rodzina Corneliusów, kończy się tak samo! Kiedy tylko znajdziemy coś pięknego, coś wartego miłości, zaraz zamieniamy to w zgniliznę! Jesteś mordercą, Victorze, tak samo jak ja jestem morderczynią… dlatego że kochałam Destry’ego. I tak samo jak ci głupi policjanci, którzy uwierzyli w to, co im powiedziałeś!

Brutalnie przyparł ją do oparcia siedzenia.

– Czekaj chwilę, do cholery. Czekaj, słyszysz?

Odwróciła się. Jej twarz była mokra od łez.

– Nie chcę słuchać, Victorze. Nie chcę. To niczego nie zmieni.

– Musisz mnie wysłuchać, bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie – syknął. – Wystarczająco długo znosiłem ciebie, Freddiego

i Tess. Mogliście wpadać do mnie, kiedy wam się podobało, i znikać z dywidendami. Ale jak myślisz, do diabła, kto trzyma to wszystko w kupie? Kto, do diabła, nie śpi do czwartej nad ranem, wytyczając politykę finansową firmy, badając strukturę podatków i opracowując plany inwestycyjne?

– Na pewno ciężko pracujesz i wykonujesz znakomitą robotę – mruknęła z przekąsem. – Czy mam ci to dać na piśmie?

– Daj spokój, Ally, nie próbuj być dowcipna. Jeden z moich prywatnych detektywów wyśledził twojego chłopaka i dowiedział się, że to znany dealer. Odsiedział wyrok w Vancouver za rozprowadzanie narkotyków, a potem przyjechał tutaj.

– Mój Boże, Victorze, wiedziałam o tym. Nie był jednak mordercą. Nie musiał płacić życiem za to, co robił.

– Tak, nie musiał. Ale kiedy ktoś występuje przeciwko prawu i porządkowi społecznemu, musi liczyć się z ryzykiem. Poza tym spotykając się z tobą, wyrządzał więcej zła, niż mógł to sobie wyobrazić.

Pojawiła się karetka, błyskając kogutem i zawodząc syreną. Gdy z poślizgiem zatrzymała się w poprzek ulicy, z jej tylnych drzwi

wyskoczyli ubrani na biało sanitariusze z noszami. Na rogu zebrał się tłumek ciekawskich, powstrzymywany przez dwóch policjantów.

– Do dzisiaj nie wiedział, kim naprawdę jestem – powiedziała Ally.

– A kiedy się tego dowiedział, nadal chciał się z tobą spotykać?

– Oczywiście, że chciał się ze mną spotykać.

Victor sięgnął do kieszeni po etui z cygaretkami, wyjął jedną i wsadził ją sobie do ust. Sprawiał wrażenie zamyślonego.

– Skoro wiedział, kim jesteś, powinien dać sobie spokój. Powinien zachować się w odpowiedzialny sposób. To tylko jego wina. Jeśli ktoś jest kryminalistą, nie powinien zawierać znajomości z takimi ludźmi jak my.

Odwróciła się i popatrzyła na niego.

– Z takimi ludźmi jak my?

– Właśnie – odparł. – Czy wyobrażasz sobie, co powiedzieliby ludzie, gdyby gazety napisały, że związałaś się z dealerem po wyroku? Czy wyobrażasz sobie, jak taka wiadomość wpłynęłaby na wizerunek naszego działu farmaceutycznego? Masz jedenaście procent Haymann Drugs. Nie rozumiesz, że ich obroty natychmiast by spadły, gdyby to się rozeszło?

Odgarnęła włosy do tyłu. Kiedy padły na nie światła pierwszych zapalonych już ulicznych latarń, rozjarzyły się bladym złotem.

– To moje życie – oświadczyła. – To, co z nim robię, nie ma żadnego związku z Haymann Drugs, Cornelius Oil ani niczym innym.

– Mylisz się – mruknął Victor, przypalając cygaretkę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że nie mogę iść z kimś do łóżka, bo ludziom z jakiejś fabryczki lekarstw w Indianie nie podoba się ten pomysł? A może dlatego nie mogę tego robić, że tobie się to nie podoba?

Odchylił się na oparcie. Dym otoczył mu głowę i przez parę sekund na kanapie samochodu siedział bezgłowy korpus. Po chwili klimatyzacja wessała dym i głowa Victora znów się ukazała. Na jego różowej, spoconej twarzy malowała się powaga.

– Jesteś bardzo bogatą dziewczyną, Ally. Nie stałaś się bogata dzięki swojej pracy, lecz z urodzenia. Nie musiałaś i nie musisz nic robić. Ale nikt nie dostaje niczego za darmo i w zamian za swoje bogactwo musisz mieć wzgląd na wszystkich, których dobro zależy od twojego prowadzenia się. Kiedy zdecydowałaś się pójść do łóżka z dealerem narkotyków, naraziłaś na

utratę pracy wszystkich zatrudnionych w Haymann Drugs ludzi. Miliony dolarów mogły pójść w błoto, a nasze nazwisko zostałoby zbrukane.

Ally przesunęła się w głąb wygodnej samochodowej kanapy.

– Wcale cię nie obchodzi, że Destry nie żyje – stwierdziła.

– Oczywiście, że mnie obchodzi. Nie chcę, żebyś cierpiała.

Popatrzyła na niego.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy, dopóki nie nauczysz się tak dobrze kłamać, że twoje słowa będą brzmiały szczerze.

– Naprawdę mówię szczerze.

– Ale wiedziałeś, że policja go szuka. Dałeś gliniarzom cynk.

– Powiedziałem ci, dlaczego to zrobiłem. Musiałem działać w najlepszym interesie każdej ze stron.

– Nie zadziałałeś w najlepszym interesie Destry'ego.

– Cóż… był zgniłym jabłkiem.

– Tak o nim myślisz?

– Owszem. Wiem, że ty tego tak nie widzisz, ale…

– Cholera, masz rację, nie mogę! Bez względu na to, kim był, bez względu na to, za kogo go uważałeś, nie miałeś prawa go osądzać! Zastanawiam się, jak możesz decydować o tym, czy ktoś ma żyć, czy umrzeć, nie czując obrzydzenia do siebie samego. – Głos się jej załamał i znów się rozpłakała. – Och, Victorze, jesteś głupią świnią. Jesteś ślepą, głupią świnią.

Był zażenowany jej łzami i nic na to nie odpowiedział.

– Mogę cię gdzieś podwieźć? – zapytał po chwili.

Spojrzała na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami.

– Kiedy patrzę teraz na ciebie, rozumiem, czemu tylu młodych ludzi przyjeżdża do San Francisco. Szukają tu nadziei i nowego życia. A ty, Victorze? Masz dwadzieścia cztery lata, ale jesteś już starcem. Przeżyłeś całe życie w ciągu dwudziestu czterech lat i teraz nie pozostało ci już nic do zrobienia.

Wyjął chusteczkę i otarł czoło, po czym wcisnął guzik interkomu i polecił szoferowi:

– Do hotelu Mark Hopkins, George. Mam tam spotkanie z Goldbergiem.

Szofer uruchomił silnik.

– Możesz mnie zawieźć na Brannan Street, a potem na lotnisko? – zapytała Ally.

Spojrzał na swój platynowy zegarek i pokręcił głową.

– Jest już po dziewiątej. Spotkanie z Goldbergiem mam o wpół do dziesiątej.

– Victorze, dzisiaj zabiłeś mojego kochanka – powiedziała. – Nie uważasz, że powinieneś zdobyć się przynajmniej na odrobinę współczucia i podwieźć mnie do domu?

– Nie rozumiem…

– Czego nie rozumiesz?

– Powiedziałaś, że zabiłem twojego kochanka. Dałem znać glinom, ale jak możesz twierdzić, że…

– Wcale nie twierdzę, że zabiłeś Destry'ego własnymi rękami – odparła. – Ale straciłam go i chciałabym teraz zostać sama, więc może zawiózłbyś mnie łaskawie do mojego mieszkania?

Zacisnął wargi, z trudem panując nad rozdrażnieniem, i znowu popatrzył na zegarek. Jednak po chwili wcisnął guzik interkomu i powiedział:

– George, jedź na Brannan Street, a potem na lotnisko.

Limuzyna natychmiast zawróciła. Chociaż Ally bardzo nie chciała na to patrzeć, nie uniknęła widoku sanitariuszy wynoszących Destry’ego przez drzwi z młotkowanego szkła i przechodzących obok murku, z którego zniknął śpiący na nim wcześniej kot. Zwłoki okrywało niebieskie płótno koloru łez na kartach tarota.

– Masz pieniądze? – spytał Victor.

♦ ♦ ♦

Zszokowana Galina stała obok Ally, gdy dzwoniła do Randy’ego. Sekretarz adwokata kazał jej czekać niemal pięć minut, ale w końcu została połączona.

– Ally? – odezwał się dziwnym, napiętym głosem, który ją zaniepokoił.

– Chodzi o Destry’ego – wykrztusiła z trudem.

Po drugiej stronie linii zapadła pełna zakłopotania cisza.

– Wiem – odparł po chwili Randy. – Kapitan wydziału śledczego zadzwonił do mnie dziesięć minut temu.

– Randy, to było morderstwo! Destry nic nie zrobił! Kiedy otworzył drzwi, zaczęli go obszukiwać, a potem zastrzelili na miejscu!

Nic na to nie odpowiedział.

– Przysięgam, Randy – mówiła dalej. – Nawet im nie groził! Tak to ukartowali, że niby wyciągnął nóż, ale ten nóż nie należał do niego, mogę to zeznać pod przysięgą w sądzie!

W słuchawce znów zapadła cisza.

– Randy? – spytała Ally.

– Jestem, jestem.

– Czy coś się stało? Nic nie mówisz.

Westchnął ciężko.

– Nie, nic się nie stało.

– Czy nie możemy czegoś zrobić? Nie możemy postawić tych gliniarzy przed sądem?

– Myślę, że w normalnych okolicznościach moglibyśmy – powiedział z wahaniem. – Ale chyba powinnaś zrobić to sama. Obawiam się, że mnie musisz skreślić.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Skreślić cię? Nie rozumiem…

– To bardzo proste – odparł. – Miałem telefon od kogoś, ale nie z policji. Od niejakiego Lupina. Lepiej będzie, jeśli od razu zapomnisz o tym nazwisku. Groził Douglasowi.

– Randy…

Kiedy znów się odezwał, jego głos był schrypnięty ze strachu i poniżenia.

– Przykro mi, moja droga. Nie wiem, co innego mógłbym zrobić. Tobie mogę powiedzieć prawdę:

potwornie się boję.

Opuściła głowę i przeczesała włosy dłonią.

– Och, Randy… – jęknęła z rozpaczą.

– Wybacz mi, Ally – powiedział. – Kocham cię, ale chyba rozumiesz, ile dla mnie znaczy Douglas. Jesteśmy razem od bardzo dawna i gdyby mu się coś stało, naprawdę nie miałbym po co dłużej żyć.

– Randy… – załkała. – Wiesz, że ja także cię kocham. Nie musisz mnie prosić o wybaczenie. Zawsze ci wybaczę. Zawsze.

– Jeśli chcesz, możesz zaangażować innego adwokata – dodał po chwili milczenia. – Możesz dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Ale proszę cię, postaraj się mnie w to nie wciągać.

– Nie wiem, czy to zrobię – odparła, cały czas płacząc. – Nie jestem pewna.

– Spróbuj – powiedział.

Pokręciła głową, choć Randy nie mógł tego widzieć. Była zbyt poruszona, aby wykrztusić nawet jedno słowo. Cały czas miała przed oczami tamtą chwilę, gdy Destry jak na filmie puszczonym w zwolnionym tempie odwraca się i osuwa po ścianie, wciąż i wciąż, jakby miał się odwracać i osuwać przez resztę jej życia.

– Uważaj na siebie, Randy – wykrztusiła w końcu. – Proszę, uważaj na siebie. Do widzenia.

Była to ostatnia rozmowa, jaką przeprowadzili ze sobą potomkowie Johanna Corneliusa i Jacka Fielda, pięćdziesiąt osiem lat po tym, jak Jack wszedł na pokład parowca *Galveston Bay*.

Galina objęła Ally i szepnęła:

– Nie płacz. Bogate dziewczyny nie płaczą.

♦ ♦ ♦

Był wczesny ranek, gdy następnego dnia Ally przybyła do Waszyngtonu nocnym rejsem dla biznesmenów. Kiedy cień kierującego się na lotnisko Dullesa boeinga 707 przesunął się nad lśniącym Potomakiem, siedziała przy oknie, próbując poprawić makijaż w lusterku puderniczki. Widząc swoją pustą, pozbawioną wyrazu twarz, zapytała samą siebie: „Kim teraz jestem i co tutaj robię?”.

Miała ze sobą tylko podręczny bagaż, więc po kwadransie wyszła z terminalu. Zapowiadał się gorący dzień. Niebieskoszara mgła stopniowo rozpuszczała się w słońcu, a radio w taksówce podawało, że należy spodziewać się upału.

Zmęczona podróżą Ally siedziała na tylnej kanapie taksówki, która wiozła ją przez rzekę, a potem obok białego, odbijającego światło obelisku Waszyngtona. Prowadzący taksówkę Murzyn w rogowych okularach powiedział:

– Po lewej ma pani Biały Dom.

– Tak, wiem – odparła.

Była na lunchu w Białym Domu, gdy Lyndon Johnson umizgiwał się do najbogatszych i najbardziej wpływowych republikanów. Nazwał ją wtedy „najładniejszą Corneliusówną wszech czasów", a ona odparła: „Skoro tak, może mnie pan postawić u siebie na szafce nocnej".

– Dojechaliśmy, proszę pani – oznajmił taksówkarz, zatrzymując się przy hotelu Madison na rogu Piętnastej Ulicy i M Street.

Ally zapłaciła i wysiadła z auta. Mimo wczesnej pory chodnik był już zatłoczony.

Portier uchylił czapki i przywitał ją:

– Dzień dobry, panno Cornelius. Mam nadzieję, że dobrze się pani miewa.

Skinęła mu lekko głową i weszła do holu, w którym stała grupka japońskich biznesmenów w niebieskich przeciwdeszczowych płaszczach. Podeszła do recepcji i wpisała się do księgi gości.

– Bardzo mi przykro z powodu śmierci pani ojca, panno Cornelius – powiedział recepcjonista.

– Naprawdę bardzo przykro.

Eskortowana przez hotelowego boya udała się do swojego apartamentu. Czuła, że długo już nie wytrzyma i wkrótce straci nad sobą panowanie, i kiedy chłopak zaczął demonstrować działanie telewizora i lampek przy łóżku oraz pokazywać zawartość barku, dała mu dwadzieścia dolarów i oświadczyła:

– Proszę wyjść. Jestem bardzo zmęczona.

Kiwnął głową, ukłonił się i zniknął niczym magik.

Upadła twarzą na łóżko i niemal przez kwadrans gorzko płakała. Wstrząs i rozpacz powoli mijały, ale jeszcze długo leżała bez ruchu w kładących się na łóżku migotliwych promieniach słońca, próbując się uspokoić. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na zbyt długie opłakiwanie Destry’ego, jednak nie miała pojęcia, jak odtąd będzie wyglądało jej życie. Wczoraj w San Francisco straciła nie tylko kochanka.

Spała trzy godziny. O wpół do szóstej po południu, gdy światło słońca zaczęło się wspinać po przeciwległej ścianie pokoju, wzięła długą kąpiel i umyła włosy. Siedząc na krawędzi łóżka z jednym ręcznikiem na głowie, a drugim

owiniętym wokół ciała, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Clyde'a.

– Halo?

– Clyde… czy to ty?

– Pewnie. A kto mówi?

– Ally. Jestem w Waszyngtonie.

– Nie poznałem cię po głosie. Co tu robisz? Słyszałem od Freddiego i Tess, że byłaś w San Francisco.

– Byłam tam do dzisiejszej nocy.

– Co się stało? Masz jakiś dziwny głos.

Przygryzła wargę. Nie chciała płakać do telefonu.

– Wydarzyło się coś złego – odparła. – Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić. Moglibyśmy spotkać się na kolacji?

– W Madisonie?

– Tak. Zamówię stolik.

– Doskonale. O wpół do ósmej, dobrze? Na pewno wszystko w porządku?

– Teraz mi lepiej – powiedziała. – Odpoczęłam i czuję się trochę lepiej.

– Okay. Zobaczymy się później. Uważaj na siebie.

Odłożyła słuchawkę. Widziała siebie w dużym lustrze wiszącym po przeciwnej stronie pokoju, okręconą żółtymi ręcznikami, bladą jak

malowidło na ścianie mieszkania kobiety, której nikt nie kocha.

Clyde był jedyną osobą, która mogła jej pomóc. Zakrawało to na ironię losu, bo gdyby rodzina Corneliusów mogła postawić na swoim, Ally nigdy nie dowiedziałaby się o jego istnieniu. Kiedy już nie dało się pominąć jego istnienia milczeniem, mówiono o nim jak o wyjątkowo niemiłej odmianie grypy albo kundlu, którego w żaden sposób nie można się pozbyć. W dodatku odziedziczył najlepsze cechy ojca, jeśli chodzi o umiejętność zarabiania pieniędzy. Chociaż daleko mu było do ligi multimilionerów, okazało się, że jest bardzo zdolnym młodym menedżerem, i mając dwadzieścia jeden lat, został wspólnikiem w firmie Sorensen's Fast Food, połączywszy siły z młodym kombinatorem Ulrikiem Schroederem.

Ally dopiero w wieku szesnastu lat dowiedziała się, że ma przyrodniego brata, kiedy przypadkiem wpadła na ojca w bostońskim Ritzu. Towarzyszył mu młody brunet o kręconych włosach i słowiańskich rysach. Siedzieli nad lunchem, rozmawiając o czymś z ożywieniem. Ally wcześniej chodziła po sklepach ze swoją koleżanką z Cambridge, a kiedy obie zgłodniały, postanowiły zjeść

w Ritzu ostrygi, sałatę i młodego dorsza na parze. Po wejściu do hotelowej restauracji zobaczyła w niej Johna Corneliusa, z rumieńcami na twarzy rozmawiającego z jakimś chłopcem.

Pamiętała wyraz twarzy ojca, gdy podeszła do stolika.

– Cześć, tato – powiedziała. – Czy to ktoś, kogo powinnam poznać?

John Cornelius wstał, położył chłopcu dłoń na ramieniu i oznajmił z powagą:

– To twój brat, Ally.

Początkowo czuła się nieco zraniona, ale po dwóch dniach ojciec spędził z nią popołudnie w Nowym Jorku, gdzie zaprosił ją na podwieczorek, opowiedział jej wszystko o Clydzie i wyjaśnił, dlaczego do tej pory ukrywał jego istnienie. Odtąd, gdy myślała o swoim przyrodnim bracie, zawsze przypominał jej się smak lapsang souchong, cytryny i gorących babeczek oraz wykrochmalone białe mankiety koszuli ojca z rubinowymi spinkami.

– Kiedyś poznałem pewną dziewczynę o imieniu Mara – wyznał jej. – Była bardzo piękna i zakochałem się w niej. Nie znaczyło to wcale, że nie kochałem twojej matki ani że nie kocham jej teraz, ale gdy dorośniesz, sama się przekonasz, że miłość przybiera różne formy.

Można kochać więcej niż jedną osobę, chociaż nie zawsze tak samo. Zakończyłem ten romans, kiedy Clara zginęła. Nie mogłem tego dłużej ciągnąć, bo twoja matka zaczęła coś podejrzewać, poza tym miałem wyrzuty sumienia, ponieważ znajdowałem się w ramionach Mary, gdy mała Clara została zabita. Potrzebowałem wielu lat, aby dojść do siebie po tym wszystkim. Ale Mara zaszła w ciążę i to ja byłem ojcem jej dziecka. Kiedy się urodziło, napisała mi o tym. Posyłałem jej pieniądze, łożyłem na utrzymanie syna, a teraz jest już młodzieńcem. Spotykam się z nim od czasu do czasu i jestem z niego bardzo dumny. Pod wieloma względami przypomina ciebie.

– Ale dlaczego robiłeś z tego taką tajemnicę? – spytała.

Na jego twarzy pojawił się smutek.

– Twoja matka życzyła sobie, abyś nigdy się o tym nie dowiedziała. Musiałem się zgodzić. Teraz jednak, skoro sama to odkryłaś, chciałbym, żebyś lepiej poznała swojego brata. On wie o tobie prawie wszystko.

Jej pierwsze spotkanie z Clyde'em zaaranżował ojciec. To był lunch w Nowym Jorku. Padało i wszystko miało posmak nierealności. Ally prawie nie mogła uwierzyć, że od szesnastu lat ma brata, o którym nic nie

wiedziała. Podczas rozmowy z Clyde'em przekonała się, że jest mądrym, spokojnym i zrównoważonym chłopcem. Zrozumiała też, że o to, iż do tej pory nie wiedziała o jego istnieniu, może obwiniać jedynie własną matkę. Kiedy go bliżej poznała, zadurzyła się w nim i nigdy całkowicie nie otrząsnęła z tego uczucia.

Nie widziała Clyde'a od pół roku i kiedy wszedł do baru w Madisonie ubrany w elegancki szary garnitur, z białym kwiatem w butonierce, z przyjemnością zauważyła, że prawie wcale się nie zmienił. Trochę się opalił i nieco przytył, ale poza tym był tym samym Clyde'em Malinskym, który siedział naprzeciw niej w Nowym Jorku i mówił, że chce być tak samo bogaty jak ich ojciec, ale zamierza zdobyć majątek w inny sposób.

– Witaj, Clyde – powiedziała, a on pochylił się i pocałował ją. – Jak dobrze znowu cię widzieć.

Usiadł i obrzucił ją pełnym podziwu wzrokiem. Upięła wysoko włosy, tak jak lubił, i włożyła niebiesko-różową szyfonową wieczorową suknię z głębokim dekoltem. Na szyi miała potrójny złoty naszyjnik, a na przegubie osiem złotych bransoletek od Cartiera.

– Piękniejesz z każdym dniem – stwierdził z uśmiechem. – Masz ochotę na następnego

drinka?

– Na razie jeden mi wystarczy. Nie chcę więcej pić.

– Boisz się, że nie przestaniesz?

– Boję się, że zacznę płakać.

Sięgnął do kieszeni i wyjął papierośnicę.

– Powiedziałaś, że wydarzyło się coś okropnego. Wyjaśnisz mi, o co chodzi?

– Najpierw chcę zapalić.

Kiedy podsunął jej płonącą zapalniczkę Hermèsa z okładzinami z czerwonej chińskiej laki, zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła dym i zaczęła mówić. Przyglądał jej się z powagą ciemnymi, lekko skośnymi oczami, gdy opowiadała o swoich doświadczeniach z hipisami w San Francisco i o romansie z Destrym, który zakończył się, kiedy go zastrzelono. Nie płakała, ale gdy skończyła mówić, uniosła ręce do twarzy, jakby próbowała się upewnić, że to Destry zginął na Telegraph Hill, a nie ona.

– Bardzo go kochałaś? – spytał.

– Nie chodzi o to, czy go kochałam, ale o to, dlaczego go zabito. Zrobiono to, ponieważ drażnił Victora i innych członków mojej rodziny. Nawet gdyby go nie zastrzelono, poszedłby za narkotyki do więzienia i nie zobaczyłabym go nigdy więcej.

Clyde pociągnął długi łyk Krwawej Mary.

– Przypomina mi to słowa naszego ojca…

– Co masz na myśli? – spytała.

– Okoliczności śmierci twojego chłopaka. Tato zawsze powtarzał, że niebezpiecznie jest narazić się rodzinie Corneliusów.

– Ale przecież nasz ojciec także był Corneliusem.

– Na początku tak. Jednak po ujawnieniu romansu z moją mamą znalazł się poza nawiasem. Wciąż powtarzał, że nigdy nie udało mu się dotrzeć do wewnętrznego kręgu władzy. Pozwolili mu kierować Cornelius Armaments, lecz wszystkie ważniejsze decyzje podejmowali Roddy, dziadek i Bookbinder. Tatę zawsze pomijano.

– No dobrze, wiem, że mieli ogromną władzę, ale chyba nikogo by nie zabili – powiedziała Ally.

Sięgnął po swojego drinka.

– Nie wiem… nie na sto procent. Tato zawsze mówił, że dziwnym trafem każdy, kto przysporzył rodzinie wstydu, zawsze kończył na cmentarzu albo w rynsztoku. Czasem się zastanawiam, jak to było z nim samym.

– Och, Clyde, chyba nie podejrzewasz, że…

– Cóż… nie mam na to żadnych dowodów, jednak sądzę, że jeśli ktoś ma pieniądze

i odpowiednie kontakty, bardzo łatwo może zaaranżować wypadek helikoptera.

Ally przygryzła palec.

– Nie mogę w to uwierzyć. To brzmi jak powieść kryminalna.

– Wiem, że to wygląda absurdalnie, ale tato zawsze powtarzał, że dziadek i Bookbinder to ludzie takiego pokroju, że bezpieczniej im potakiwać.

– Nasz tato miał powód, by ich nie lubić. Nie traktowali go zbyt dobrze po śmierci Clary, nawet jego własna matka się od niego odsunęła…

– Zdaję sobie sprawę, że część tego, co mówił, musiała wynikać z jego niechęci do nich wszystkich, jednak nie wszystko. Zawsze się zastanawiał, co tak naprawdę sprawiło, że Bookbinder musiał zrezygnować z zarządzania imperium Corneliusów, i powtarzał, że gdyby tylko mógł dogrzebać się prawdy, odpłaciłby mu pięknym za nadobne.

Otworzyły się drzwi restauracji, pojawił się szef sali i poinformował ich, że stolik już na nich czeka. Weszli do środka, zajęli miejsca i zamówili pół butelki szampana. Sala Montpellier jak zwykle była zatłoczona i na każdym stoliku paliły się świece.

Po złożeniu zamówienia Clyde wrócił do poprzedniego tematu.

– Nie mam na to żadnego dowodu i mogę się mylić. Jednak kiedy Bookbinder w pięćdziesiątym czwartym zrezygnował z dalszej pracy dla Cornelius Industries, wcale nie zrobił tego z powodu podeszłego wieku, jak wszyscy sądzili.

– Czemu nie? Musiał mieć wtedy prawie siedemdziesiąt lat.

– Owszem, miał tyle, ale wciąż był aktywny i w doskonałej formie. Co więcej, odszedł tuż przed sfinalizowaniem ważnej umowy naftowej dotyczącej strefy neutralnej w Kuwejcie i złote jajo, zamiast trafić do nas, spadło na podołek Getty'ego. Ojciec mówił, że tak naprawdę chodziło o to, że ktoś przypadkiem powiązał Bookbindera z morderstwem popełnionym trzydzieści lat wcześniej w jakiejś miejscowości w Pensylwanii. Jeden z tych pismaków, co to kręcą się wśród ludzi i robią wywiady ze starcami, pojechał tam i rozmawiał z jakimś dziadygą, który oświadczył, że wie, kto się dopuścił tamtego zabójstwa.

Ally opróżniła swój kieliszek.

– To wszystko wydaje mi się strasznie naciągane – powiedziała.

– Tato mówił to samo – przyznał Clyde. – Dodał jednak, że jeśli coś wydaje się tak bardzo naciągane i nieprawdopodobne, pewnie jest prawdą.

– I tym mordercą miałby być Bookbinder?

Clyde pokręcił głową.

– Och, to nie takie oczywiste. W każdym razie temu pismakowi jakimś sposobem udało się dotrzeć do siostry mordercy, która mieszkała w Pittsburghu, i chociaż jej brat już dawno nie żył, pamiętała, kto zjawił się u niego w latach dwudziestych i nadał mu mokrą robotę. Udało mu się też odnaleźć zleceniodawcę tej roboty i kiedy z nim rozmawiał, facet w końcu puścił farbę.

Ally popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co ty sugerujesz? Że David Bookbinder był zabójcą do wynajęcia?

Clyde znów zaprzeczył.

– Nic podobnego. Jednak tato uważał, że Bookbinder był powiązany z ludźmi, którzy wykonywali takie zlecenia. Nie wiem, kim byli, jak się nazywali i dlaczego to robili. Ale ojciec często powtarzał, że gdyby się dokładniej przyjrzało wszystkim, którzy kiedykolwiek weszli w drogę dziadkowi, można byłoby się

zdziwić, widząc, ilu z nich zmarło gwałtowną śmiercią.

– Ale przecież Bookbinder już nie żyje – powiedziała. – Jaki tamte sprawy mogłyby mieć związek z Destrym?

– Cóż… sądzę, że to, co dotyczy zwykłych morderców, dotyczy też ludzi zarządzających wielkimi korporacjami – odparł Clyde. – Kiedy tylko dojdą do wniosku, że bogactwo i władza są więcej warte niż ludzkie życie, będą likwidować każdego, kto im zagrozi albo choćby tylko ich sprowokuje.

– Czy ty przypadkiem nie wpadasz w jakąś paranoję na tym tle? – spytała łagodnie Ally.

Uniósł do ust widelec z kawałkiem homara.

– Myśl sobie, co chcesz. Ale pozwól, że opowiem ci o pewnych ludziach, którzy narazili się Cornelius Oil lub podległym jej firmom. Andrew Bailey z Incorporated Electrics zginął w strzelaninie w trzydziestym szóstym. Dutch Schultz, znany gangster, zginął w strzelaninie w Newark w trzydziestym piątym. Ostatni, którego udało mi się znaleźć, to Henry F. Preston. W sześćdziesiątym pierwszym usiłował oskarżyć Cornelius Oil o zanieczyszczenie linii brzegowej i umarł „przypadkowo zastrzelony” w swoim domu w Jacksonville.

– Czemu komuś o tym nie powiesz? – zapytała.

– Komu? Władzom? Policji? Może jestem na fałszywym tropie, może tylko uganiam się za mirażami. Ale przypuśćmy, że mam rację… Jak sądzisz, ile czasu minie, zanim dopadnie mnie pluton egzekucyjny?

Ally skończyła jagnięcinę i odłożyła widelec.

– Clyde, nie chcę, żeby to zabrzmiało protekcjonalnie, ale czy jesteś pewien, że nie wyobraziłeś sobie tego wszystkiego, bo nie cierpisz Corneliusów? Przecież to wszystko może być tylko ciągiem zbiegów okoliczności.

Przez chwilę jadł w milczeniu, a potem powiedział:

– Naprawdę jesteś przekonana, że Victor nie ma nic wspólnego ze śmiercią twojego chłopaka? Jesteś absolutne pewna, że nie zapłacił tym gliniarzom kilkuset dolców za to, żeby go wykończyli?

Popatrzyła na niego i opuściła oczy.

– No? – spytał.

– Nie – odparła lekko schrypniętym głosem. – Nie jestem pewna.

Ujął jej dłoń.

– Ja czuję dokładnie to samo. Nie mam żadnych dowodów, tylko domysły i pogłoski, jednak z tego, co wiem o dziadku, Rodericku

i Victorze… no cóż, nie wydaje mi się, że nie byłoby ich na to stać. To wszystko.

– Myślisz, że powinniśmy powiedzieć o tym Freddiemu i Tess?

– Nie wiem, ale chyba nie. Freddie gra na dwa fronty, a Tess jest niepoważna. Nie wydaje mi się, żeby traktowała życie zbyt serio.

– Więc co zrobimy? – spytała Ally. – Jak możemy dowiedzieć się czegoś więcej?

– Nie mam pojęcia, co powinniśmy zrobić – odparł Clyde. – Czasem myślę, że to kompletna bzdura, ale im dłużej nad tym siedzę, tym bardziej jestem przekonany, że mam rację.

– Próbowałeś porozmawiać z Emmą?

Pokręcił głową.

– Nie widuję się już z Emmą. Rozstaliśmy się jakiś miesiąc temu.

– Przykro mi to słyszeć.

– Och, to musiało się stać. Każde z nas miało w nosie drugie.

Zjawił się kelner i podał mu mrożony suflet orzechowy, a przed Ally postawił jedynie czarną kawę.

– Nic dziwnego, że tyjesz – wytknęła bratu.

– To nie wina jedzenia, ale po prostu braku ruchu. Jestem przykuty do biurka przez czternaście godzin na dobę. Sorensen cały czas

się rozwija. Wiedziałaś, że jesteśmy drugim pod względem wysokości obrotów dystrybutorem mięsa na hamburgery w regionie?

Uśmiechnęła się.

– Nie, nie wiedziałam o tym. Ale jestem pod wrażeniem.

– Wiesz, zawsze myślałem, że to wielka szkoda, że jesteśmy spokrewnieni – oświadczył po chwili.

Nie skomentowała tego. Czekała, co jeszcze powie.

– Chodzi mi o to, że zawsze świetnie się dogadywaliśmy. Jesteś jedyną osobą, której mogłem opowiedzieć o tej aferze z Bookbinderem. Dusiłem to w sobie, a kiedy nie możesz podzielić się tym, co cię gryzie, w końcu zaczynasz się zastanawiać, czy przypadkiem nie zwariowałeś.

– Nie jesteś wariatem. Możesz się mylić, ale na pewno nie jesteś wariatem.

– Tak właśnie myślę.

Zjadł ostatni kawałek sufletu i rozsiadł się wygodnie.

– Zamierzasz wrócić do domu? – spytał.

– Do domu?

– No, z powrotem do Nowego Jorku.

– To nie ma sensu. Moja matka wciąż jest w Europie.

– Chcesz się na dobre pożegnać z San Francisco?

– Nie jestem pewna, ale chyba tak. Jechałam tam, wyobrażając sobie, jakie wspaniałe rzeczy mogę tam znaleźć i kim mogę się stać. Ale to były tylko marzenia. Potem zjawił się Victor i pozbawił mnie ich.

– To zwykła glista – mruknął Clyde. – Pełza, odkąd nauczył się mówić, ale nigdy nie miał dość odwagi, żeby stanąć na nogach.

Wzruszyła ramionami.

– Może nie powinniśmy być dla niego tacy okrutni. Przecież tylko on pilnuje interesów firmy.

– To nieprawda, interesów firmy pilnuje Celia. Czy nasz ojciec opowiadał ci o Rodericku i jego samolocie?

– Nie wydaje mi się.

– Przypomnij mi, żebym ci kiedyś o tym opowiedział. To bolesna historia. Masz może ochotę na koniak?

Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego opalonym przegubie.

– Wolałabym pójść na górę. Czuję się trochę zmęczona.

Popatrzył na nią uważnie, mrużąc oczy.

– Na górę?

Kiwnęła głową. Miała zamglone oczy. W świetle migocącej białej świeczki stojącej na środku stołu wyglądały jak kamienie księżycowe pod wodą.

– Ally… – zaczął.

Ścisnęła jego przegub.

– Jeśli nie chcesz iść, wystarczy, że powiesz „nie”.

– Na pewno tego chcesz? – spytał.

Znów kiwnęła głową.

Cofnął rękę i sięgnął po papierosy. Poczęstował siostrę, podał jej ogień i sam zapalił. Ally przez chwilę zaciągała się nerwowo, a potem powiedziała:

– Pewnie nie powinnam teraz myśleć o takich rzeczach. Pewnie myślisz, że wciąż jeszcze jestem w szoku.

Pokręcił głową.

– Wcale tak nie myślę.

– Masz taką minę, jakbyś mnie potępiał.

– Nie potępiam cię, ale jestem bardzo poruszony.

– Poruszony?

Pochylił się nad stołem.

– Zakochałem się w tobie tego samego dnia, w którym cię poznałem. Nigdy jednak nie myślałem, że możesz czuć to samo.

– Nie odgadłeś tego?

Wyjął z ust papierosa.

– Jak? Prawie cię nie widuję.

– Cóż, wygląda na to, że jesteśmy parą wyrzutków – stwierdziła lekko drżącym głosem. – Dwa ptaki spoza stada, które na siebie trafiły.

– Nie jesteś wyrzutkiem.

– Miałam siostrę bliźniaczkę, która zginęła wiele lat temu. Nie masz pojęcia, jakim okropnym wyrzutkiem się czuję.

Podpisała czek, wyszli z sali restauracyjnej i przecięli hotelowy hol. Przy ulicy stał autobus, z którego wysypywali się kolejni Japończycy. Kobieta w etoli z norek trzymała na ręce psa miniaturkę i skarżyła się swojemu łysemu mężowi w okularach na upał. W końcu warknął ze zniecierpliwieniem:

– Do cholery, Mildred, nie jestem Bogiem! Poproś Jego, jeśli tak bardzo chcesz, żeby się ochłodziło.

Ally i Clyde weszli do windy. Razem z nimi jechał jakiś mężczyzna w kraciastej marynarce, bez przerwy pociągający nosem, więc nie trzymali się za ręce i nawet na siebie nie patrzyli.

Kiedy wysiedli z kabiny, Ally otworzyła drzwi i weszli do apartamentu. Zasłony były zaciągnięte, a łóżko zasłane. Ally zrzuciła buty, podeszła do telewizora i włączyła go.

– Masz ochotę na drinka? – spytała. – Jeśli tak, wybierz coś dla nas. Klucze do barku są w szufladzie.

Gdy Clyde nalewał koniaku do dwóch kieliszków, podeszła do okna i spojrzała w noc. Niewyraźne trąbienie klaksonów mieszało się z szumem klimatyzacji.

Telewizja nadawała wieczorne wiadomości. W szkołach w Marylandzie odbywały się protesty przeciwko dyskryminacji rasowej i urzędnik okręgu próbował wytłumaczyć swoje decyzje grupce niezadowolonych rodziców. Jeden z nich mówił:

– To niezgodne z naturą. To zupełnie niezgodne z naturą.

Ally odwróciła się od okna i zdjęła sukienkę przez głowę. Opadła na podłogę jak różowo-niebieska chmurka. Clyde siedział na krawędzi łóżka. Podeszła do niego w biustonoszu i figach i odwróciła się plecami.

Przez chwilę patrzył na łagodną krzywiznę jej pośladków i szczupłe biodra.

– Rozepnij mi stanik – poprosiła.

Kiedy to zrobił i odsłonił piersi, objął je i zważył w dłoniach ich miękki ciężar. Czubkami kciuków dotknął sutek, które zmarszczyły się i zesztywniały.

Odwróciła się i położyła mu ręce na ramionach. Całował jej piersi, na początku bardzo delikatnie, ale po chwili zaczął ssać sutki, wciągając je głęboko do ust i szczypiąc zębami. Zamknęła oczy i westchnęła z rozkoszy, a potem zaczęła ściągać z niego marynarkę, krawat i koszulę. Rozerwała przy tym jej rękaw, ale żadne z nich nie zwróciło na to uwagi. Zdjęła mu buty i rozpięła pasek. Kiedy jego spodnie opadły poniżej kolan, zacisnęła palce na wybrzuszeniu białych bokserek.

Oboje jęczeli z podniecenia, gdy siadła na nim okrakiem i wprowadziła jego członek między swoje uda. Wygięła się w tył, niemal odrywając kolana od pościeli, po czym opadła na niego całym ciężarem. Wszedł w nią tak głęboko, że krzyknęła z bólu, ale chciała, żeby właśnie tak się to odbyło. Chciała przeżyć orgazm tak piękny, że aż bolesny.

– Ally… Ally… – wychrypiał Clyde.

Całowali się i gorączkowo zderzali ciałami – dwoje ludzi, którzy namiętnością chcą zatrzeć znaczenie tego, co robią.

W chwili orgazmu Ally tak mocno ugryzła się w rękę, że omal się nie rozpłakała z bólu.

Kiedy już było po wszystkim, przez długą chwilę leżeli obok siebie spoceni i ciężko dyszący, pełni uniesienia i poczucia winy. Potem Ally przetoczyła się na bok i wślizgnęła pod przykrycie, a Clyde pozostał tam, gdzie był wcześniej.

– Pewnie wiesz, że skazaliśmy się na piekło? – spytała.

Odchrząknął.

– Naprawdę w nie wierzysz?

– Dlaczego nie? Lubię sobie wyobrażać, że w niebie czeka nas nagroda za dobre uczynki. A skoro jest nagroda, musi być też kara za grzechy.

– Nauczyli cię tego w San Francisco?

– W San Francisco można się nauczyć tylko miłości i przebaczenia. I może jeszcze tego, jak się robi skręty z trawki i kradnie książki.

– Nie powiedzieli ci, co robić, kiedy popełnisz kazirodztwo?

Usiadła i popatrzyła na niego.

– Nie mów tak. To słowo nie odnosi się do tego, co jest między nami.

– Ale tak się to nazywa, prawda?

– Nie. To miłość, a nie kazirodztwo.

Wstał z łóżka i sięgnął po leżącą na podłodze marynarkę.

– Zapalisz? – spytał.

Przyglądała mu się, gdy przypalał dwa papierosy.

– Wolałabym, żebyś więcej tak nie mówił – powtórzyła. – Jesteśmy tylko przyrodnim rodzeństwem i nawet nie jesteśmy do siebie podobni.

– Celia sądzi inaczej.

– Nie obchodzi mnie Celia. To wstrętna, gardząca wszystkimi suka.

Usiadł na łóżku i podał jej papierosa.

– Nieważne, co sądzi Celia – powiedział łagodnie. – Ale to, co na ten temat mówi prawo. Możemy zostać za to aresztowani.

Położyła się na plecach i patrzyła, jak dym z papierosa powoli unosi się spiralą w stronę sufitu.

– Mam wrażenie, że starasz się obudzić we mnie wyrzuty sumienia – rzekła.

– Chcę tylko, żebyś zrozumiała, na czym polega problem.

– Jeśli się kochamy, to gdzie tu problem?

– Nie sam w sobie.

– Ale będzie problemem, kiedy ktoś się o tym dowie?

Kiwnął głową.

– Może powinniśmy trzymać się od siebie z daleka.

– A mógłbyś? – zapytała.

– Co mógłbym?

– Trzymać się z daleka ode mnie. Po tym.

Wzruszył ramionami.

– To nie ma przyszłości, prawda?

– Nie o to pytałam.

Znów wstał i podszedł do okna. Patrzyła na jego szerokie plecy i zgrabne pośladki. Miał ciało mężczyzny, który jeszcze nie osiągnął dojrzałości – nadal szczupłe i proporcjonalne, ale powoli nabierające masy i coraz szersze w barkach.

– Kocham cię tak bardzo, że gdyby to było możliwe, nigdy nie pozwoliłbym ci odejść – wyznał. – Powiedziałem ci, że zakochałem się w tobie tego samego dnia, w którym cię poznałem, i kocham cię od tamtej chwili. Zawsze mi się wydawało, że mamy ze sobą wiele wspólnego i jesteśmy bardzo podobni. Od tamtego dnia wiele razy fantazjowałem na twój temat, czasem w bardzo erotycznym kontekście. Teraz jednak, kiedy moje marzenia się spełniły, okazało się, że rzeczywistość jest sto razy lepsza od jakichkolwiek fantazji. Ale to zbyt piękne, aby mogło przetrwać… Oboje o tym wiemy.

Zapadła długa cisza. Clyde podszedł do łóżka i usiadł obok Ally. Sięgnęła między jego uda i wzięła do ręki miękki członek, łagodnie ściskając go i pieszcząc.

– Tak – powiedziała cicho, nie wypuszczając z dłoni jego członka. – Tak. Masz rację.

♦ ♦ ♦

Pojechali na cmentarz, na którym leżał ich ojciec. W testamencie poprosił o pochowanie go w Waszyngtonie, mieście, w którym zamieszkał po śmierci Clary w 1945 roku. Cmentarz położony był na ocienionym drzewami stoku, nieopodal obsadzonej drzewami alei. Gdy pojawili się na nim, mimo wczesnej pory zastali bramę z kutego żelaza otwartą. Powietrze nadal było rześkie i trawniki jeszcze pokrywała rosa, ale zapowiadał się kolejny gorący, parny dzień.

Ally miała na sobie prostą czarną sukienkę i czarny kapelusz z woalką, Clyde – czarny garnitur i czarny krawat. Nie odzywali się do siebie, gdy szli starannie zagrabioną żwirową ścieżką na szczyt wzgórza, na którym pochowano ich ojca.

Leżał pod prostym nagrobkiem z białego marmuru, na którym widniał napis: „John F.

Cornelius, 1917–1967. Ukochany mąż Irene”.

Zatrzymali się w cieniu szeleszczących drzew. Ally uklękła i położyła wśród przywiędłych już kwiatów wiązankę świeżych chryzantem.

– Chyba wciąż nie potrafię się z tym pogodzić – powiedział Clyde. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że go to spotkało.

Ally nic na to nie odpowiedziała. Jej oczy były pełne łez. Przez jedną ulotną chwilę wspomniała dzień na ślizgawce, jeżdżenie w kółko po lodzie, śmiejącego się ojca i zimowe słońce przypominające przyćmioną pomarańczową żarówkę.

Clyde odwrócił się i popatrzył na kamienne nagrobki zasnute sinym oparem znad Potomacu. Od śmierci ojca czuł się rozpaczliwie samotny i przyjazd na cmentarz wcale nie poprawił mu nastroju. Matkę trzy lata temu sparaliżował udar i przebywała teraz w domu opieki. Odwiedzał ją raz w miesiącu, ale często przyłapywał się na tym, że wynajduje wymówki, aby tam nie jeździć. Kiedy zjawiał się z kwiatami i książkami, zastawał matkę leżącą nieruchomo pod kocem w bursztynowym blasku słońca, zalewającym wypełniony wonią środków dezynfekcyjnych pokój. Nigdy z nim nie rozmawiała ani nawet nie uśmiechała się na jego widok. To było zbyt

depresyjne. Obecność ojca zawsze dodawała mu sił i odwagi i nie potrafił znieść myśli, że ten ciepły i pełen energii człowiek leży teraz na cmentarzu.

– Nie sądzisz, że byłby wstrząśnięty, gdyby o nas wiedział? – spytała Ally.

Wzruszył ramionami.

– Nie. Ojciec rozumiał, czym jest miłość. Mam na myśli taką miłość, która nie dla wszystkich jest zrozumiała. Być może leży tu właśnie dlatego, że kochał kogoś innego zamiast osoby, którą według Corneliusów powinien kochać.

– Bardzo żałuję, że nie mogę z nim porozmawiać o Destrym.

– Pewnie powiedziałby ci to samo co ja.

– Czyli co?

– Że niebezpiecznie jest wejść w drogę Corneliusom, a potem poradziłby ci, żebyś zostawiła tę sprawę w spokoju.

– Myślałam, żeby pójść z tym do gazet. Może do „Time'a".

– I co byś im powiedziała? „Policja podczas najścia zastrzeliła mojego kochanka narkomana i podejrzewam, że stoi za tym mój kuzyn"? Nie masz na to żadnych dowodów.

– Przecież wiemy o Bookbinderze.

– Wiemy tylko, co tato powiedział mi o Bookbinderze. Ale tato nie żyje. Zresztą nawet gdybyśmy mogli udowodnić jego słowa, nie ma przekonującego związku między tym, co Bookbinder zrobił czterdzieści lat temu, a tym, co Victor robi teraz.

– Nie ma żadnej sprawiedliwości?

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Wobec bogaczy nie. Zwłaszcza wobec Victora.

Popatrzyła na grób ojca. Chciała tutaj przyjechać, bo teraz był to jedyny dowód jego istnienia poza listami i zdjęciami. Ale tak naprawdę nadal nie wierzyła, że tu jest, że leży pod ziemią w dębowej trumnie ze złotymi uchwytami. To miejsce zupełnie do niego nie pasowało.

– Chyba muszę już jechać – odezwał się Clyde. – Ulrik spodziewa się mnie o dziesiątej.

Nie odwróciła się do niego.

– Ja jeszcze trochę tu zostanę – odparła. – Nie wiem, kiedy będę mogła przyjechać następnym razem.

– Znów wyjeżdżasz?

– Chyba tak. Myślę, że tak będzie lepiej. Zatrzymam się u Freddiego i Tess w Los Angeles.

Przez chwilę stał przy niej w milczeniu.

– Naprawdę cię kocham – powiedział w końcu.

– Wiem. Ja też cię kocham.

Zaczął schodzić ze stoku, ale się jeszcze odwrócił. Ally patrzyła na niego z takim smutkiem, że wrócił, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jej blada twarz za woalką wyglądała jak cień w lustrze. Kiedy zobaczył łzy na jej policzkach, zupełnie wytrąciło go to z równowagi.

– Ally, kocham cię, ale nie możemy.

Kiwnęła głową i przełknęła ślinę.

– Proszę, Ally, powiedz mi, że to rozumiesz. To nie dlatego, że cię nie kocham.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego.

– Znajdę sobie kogoś innego – odparła z bladym uśmiechem, sięgając do torebki po chusteczkę. – Na pewno sobie kogoś znajdę.

Ujął ją za ramię.

– Nie każ mi myśleć, że to moja wina – poprosił cicho. – Powiedz, że to rozumiesz.

Wbiła wzrok w ziemię. Na jej rzęsach błyszczały łzy.

– Rozumiem, Clyde – szepnęła. – Wiem, że nie możemy tego ciągnąć.

– I znajdziesz sobie kogoś innego?

Uśmiechnęła się smutno.

– Chyba tak. Nikogo takiego jak ty, ale kogoś, kogo również będę mogła kochać.

– Cóż… ja też spróbuję to zrobić.

– Lepiej już idź – ponagliła go. – Lepiej, żebyś się nie spóźnił. Ulrik czeka na ciebie. Nie możesz się spóźnić, skoro tak dobrze ci idzie.

Uniósł woalkę i delikatnie pocałował ją w usta. Jej wargi były ciepłe, miękkie i słone od łez. Opuścił woalkę i nie mówiąc już nic więcej, odwrócił się i powoli odszedł cmentarną ścieżką.

Stojąc nieruchomo, odprowadzała go wzrokiem. Stopniowo malał i znikał za rzędami drzew, aż w końcu pozostał tylko czubek głowy, który po chwili również zniknął. Jak strasznie szybko odchodzą z mojego życia wszyscy bliscy mi ludzie, pomyślała. Rozpływają się w powietrzu, a ja zostaję sama.

W oddali dostrzegła zgiętą wpół staruszkę w czerni, z bukiecikiem cieplarnianych fiołków w ręce, podążającą z bolesnym trudem do grobowca, na którym stał biały marmurowy anioł uniesionym palcem wskazujący zamglone niebo.

1976

Opowiadam się za czymś, czego ten kraj potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek w całej swojej historii. Opowiadam się za uczciwymi rządami...

John T. Russell
Los Angeles, 1976 r.

W połowie kolacji Victor odepchnął od siebie talerz z pokiereszowaną rybą, sięgnął po kieliszek szampana i chwiejnie wstał od stołu. Ariadne, która nerwowo paliła papierosa po drugiej stronie stołu, zapytała:

– Skończyłeś?

Kiwnął głową.

– Zwykle nie jadam kolacji – oznajmił bełkotliwie. – To wszystko było na twoją cześć. Gdybym jadał kolację, zaraz bym utył.

– Victorze…

– Weź mój kieliszek – powiedział jej. – Chcę usiąść w bibliotece.

Troje służących w milczeniu stało w bladozielonej jadalni. Czekali, aby sprzątnąć po posiłku, który minął w napiętej atmosferze.

Ariadne rzuciła im szybkie spojrzenie, zgasiła papierosa i ruszyła za Victorem. Minęli podwójne rzeźbione drzwi i znaleźli się w bibliotece. Osłonięte abażurami lampy rzucały słabe światło.

Ariadne z wysiłkiem zdobyła się na uśmiech.

– Victorze, przyjechałam, bo cię kocham! Chciałam zrobić ci niespodziankę.

– Niespodziankę jak cholera – burknął nieuprzejmie, ale tak cicho, że go nie usłyszała.

Poszukał wzrokiem swojego opróżnionego do połowy kieliszka szampana.

Pił przez cały dzień. Jego wielka, czerwona, spocona twarz stercząca nad wykrochmalonym białym kołnierzykiem wyglądała jak ugotowana szynka z Nowej Anglii na białym półmisku i brakowało tylko garnirunku z marchewek i ziemniaków wokół uszu. Na śniadanie wypił do jajecznicy kieliszek calvadosu. Potem miał lunch z ludźmi z pensylwańskiej kopalni węgla, przyjęcie ślubne córki żydowskiego importera tekstyliów, za którym nie przepadał, oraz wodowanie nowego jachtu kolegi w Sandy Bars. Posiadanie samolotu miało jeden duży plus: bardzo skracało przerwy między jednym alkoholowym wydarzeniem i drugim.

Na kolację wrócił do Spiermont, swojej ozdobionej pilastrami kolonialnej rezydencji na Cape Cod, kolejnym pijaństwem tłumiąc dudniącego w głowie kaca i marząc tylko o tym, aby się pozbyć Ariadne. Następnego dnia przed południem spodziewał się wizyty matki i miał przegląd sprawozdań finansowych kilkunastu inwestycji.

Kiedy był pijany, a zdarzało się to dość często, stawał się kłótliwy, chamski i zaczynał machać rękami. Miał szeroką twarz ojca i mięsisty nos z rowkiem na czubku, dzielącym go na dwie wyraźne bulwy.

Ciężko usiadł na wielkim fotelu obitym pikowaną czerwoną skórą. W smokingu i białej koszuli wyglądał jak hodowca szpinaku z Wisconsin na pogrzebie stryja. Tylko jedno przemawiało na jego korzyść – siedemnaste miejsce na liście najbogatszych Amerykanów, zamieszczonej w ostatnim wydaniu „Fortune”.

Ariadne nie zamierzała siadać. Krążyła wokół Victora jak kwoka wokół pisklęcia. Nie była bogata ani nawet średnio zamożna. Przyleciała tego dnia z Los Angeles, wydając na bilet swoje ostatnie pieniądze. Kolacja, która wprawiła Victora w tak wielką irytację, była dla niej magiczną granicą pomiędzy życiem jak

z marzenia sennego a nędzną egzystencją w ponurej rzeczywistości.

Próbowała być troskliwa.

– Czasem jesteś jak dziecko – zagdakała. – Jak mały chłopczyk, który nie potrafi się zdecydować. Potrzebujesz kogoś, kto by podjął decyzję za ciebie. Nie rozumiesz, że właśnie po to przyleciałam?

Wzruszył ramionami.

Ariadne miała zawroty głowy i mdłości od wypitego alkoholu, ale zachowywała czujność. Była wysoką, zadbaną dziewczyną w wieku dwudziestu jeden lat. Migotliwe klipsy podkreślały jej lśniące białe zęby i ciemne, zachłanne oczy. Widząc ją po raz pierwszy, można było ją uznać za zamożną, ponieważ każdego zarobionego centa inwestowała w wygląd – ubranie, fryzurę, kosmetyki. Zdradzało ją jednak napięcie. O bogaczach można powiedzieć wiele rzeczy, ale rzadko bywają spięci. Dotyczyło to tylko tych, którzy muszą walczyć o przetrwanie.

Mahoniowe drzwi biblioteki były lekko uchylone i służący, zbierając ze stołu talerze z porozgrzebywanym turbotem na parze, dyskretnie słuchali bełkotu Victora i niespokojnej paplaniny Ariadne jak odcinka serialu

radiowego, którego za nic nie chcieliby opuścić. Wlepiali wzrok w sewrską porcelanę i srebro, pozwalając sobie najwyżej na cień uśmiechu nawet wtedy, gdy Victor walnął ręką w poręcz fotela i wrzasnął:

– Ale tu jest Los Angeles! A to zupełnie inna kara paloszy!

Ariadne stała odwrócona do niego plecami. Długim czerwonym paznokciem usiłowała wyłuskać z regału oprawioną w skórę książkę.

– Chodzi o twoją rodzinę?

– To nie ma żadnego związku z moją rodziną. Ona nie ma tu nic do rzeczy. Zostaw w spokoju tę książkę. To pierwsze wydanie.

Odwróciła się. Trawił ją lęk, ale starała się go nie okazywać. Ta nowa, nieznana wersja Victora, tak bardzo różniąca się od mężczyzny, którego znała do tej pory, wymagała ostrożnego postępowania.

– Myślałam, że może o nią chodzi. To znaczy o twoją rodzinę. Może o twoją matkę. Mówiłeś mi, że jest trochę nadopiekuńcza…

Nie odpowiedział i nawet nie podniósł na nią wzroku. W milczeniu przesuwał palcem po krawędzi kieliszka.

– Victorze… – zaczęła znowu. – Jesteś taki silny i zdecydowany, jeśli chodzi o biznes i wszystko

inne. Ludzie podziwiają cię i szanują. Robią, co im każesz, i podziwiają cię. Widziałam to.

Pociągnął szampana.

– I co z tego?

– Czemu w takim razie pozwalasz rodzinie rządzić swoim sercem? Nie możesz sam zadecydować, w kim chcesz się zakochać? Nie możesz robić tego, co sam chcesz?

– Robię, co chcę – burknął. – Upijam się.

Sięgnął za siebie, przewracając przy tym ozdobną stołową zapalniczkę ze szkła, i podniósł opróżnioną do połowy butelkę szampana Moët. Czuł się jak nieporadny olbrzym z bajki o Jasiu i magicznej fasoli. Modlił się, żeby Ariadne jak najszybciej wyniosła się z jego domu, ale nie miał pojęcia, jak jej to powiedzieć. Prezentowała się wystrzałowo, była podniecająca i sexy jak diabli, jednak jej powalająca bezpośredniość i maniery rodem z Zachodniego Wybrzeża wprawiały w ruch jego wszystkie dzwonki alarmowe. Wiedział, że przedstawienie tej dziewczyny matce byłoby takim samym faux pas jak pojawienie się na oscarowej gali w gumiakach. Zawsze starał się przestrzegać dobrych manier i kiedy tylko było to możliwe, unikał bezpośrednich konfrontacji. Kiedy miał osiem lat, ukrył się w domku na drzewie i wysłał

swojego młodszego kuzyna Freddiego do domu, by to on omówił z guwernantką delikatny problem pewnego ciasta owocowego, które zniknęło z kuchni. Bardzo żałował, że nie ma go teraz przy sobie. Daleko stąd, na Zachodnim Wybrzeżu, Ariadne była atrakcyjną towarzyszką, ale tu, w dobrze wychowanych i zamożnych kręgach mieszkańców Wschodniego Wybrzeża widział ją dokładnie taką, jaka była. Ambitna, przebojowa hostessa z baru topless.

Drżącą ręką nalał sobie kolejną porcję szampana. Czuł się tak sfrustrowany i zakłopotany, że miał ochotę zmiażdżyć kieliszek w dłoni, zniszczyć go jak ckliwe romansowe bujanie w obłokach Ariadne. Udało mu się jednak opanować i z głośnym stuknięciem odstawił butelkę na stolik.

– Victorze – odezwała się znowu Ariadne. – Jak myślisz, czemu tu przyjechałam? Myślałam, że mnie pragniesz. Powiedziałeś, że mnie pragniesz, więc kiedy przestałeś telefonować, przyleciałam.

– Nie powinnaś była przyjeżdżać – oświadczył. – Powiedziałem ci, że zadzwonię, pamiętasz? Powiedziałem, że do ciebie zadzwonię, i wtedy się zastanowimy nad ściągnięciem cię na Wschód.

– To było trzy tygodnie temu. Nie zadzwoniłeś.

– Ale zamierzałem zadzwonić.

Na jej twarzy pojawił się wyraz determinacji.

– Kochanie, powiedziałeś, że chcesz się ze mną ożenić. Pomyślałam, że skoro chcesz się ze mną ożenić, nie będziesz miał nic przeciwko mojemu przyjazdowi. Praktycznie biorąc, zaręczyliśmy się.

Siorbał szampana i patrzył na nią. Miał ochotę roześmiać się i wzruszyć ramionami, ale nawet on nie był na tyle bezczelny, by to zrobić.

– Powiedzmy, że omawialiśmy to jako możliwość – mruknął.

Przygryzła wargę.

– Możliwość? To wszystko? Tylko możliwość?

– No dobrze – powiedział w końcu, próbując być dla niej milszy. – Powiedzmy, że było to coś więcej niż możliwość. Ale przecież tylko to omawialiśmy, prawda?

– Nie wiem, czemu się tak zachowujesz – rzekła. – Pewnie na Zachodnim Wybrzeżu nic mi nie brakuje, ale tu nie bardzo pasuję do takiej rodziny jak twoja. O to chodzi?

Nie podniósł na nią wzroku. Obserwował unoszące się w kieliszku bąbelki i zastanawiał się, w jaki sposób i gdzie powstają. Zajrzał pod

kieliszek, ale niczego tam nie znalazł. Najwyraźniej tworzyły się z niczego.

Ariadne pokręciła głową.

– Chryste… – westchnęła. – Jesteś dwanaście lat ode mnie starszy i pięćset razy bogatszy, ale zachowujesz się jak małe dziecko.

Chciało jej się płakać, choć czuła, że to tylko jeszcze bardziej pogorszy sytuację. Kiedy leciała nad całym krajem, w głębi duszy wiedziała, że tak naprawdę Victor wcale jej nie chce. Niełatwo jednak pożegnać się z marzeniem, zwłaszcza gdy miało się przedsmak tego, co mogło cię czekać. Powiedziała już nawet swoim rodzicom, że jedzie na Cape Cod, aby wziąć ślub, i kiedy wróci, czeka ich cudowna niespodzianka. Gdy w samolocie otworzyła torebkę, szukając szczotki do włosów, znalazła w niej wyblakłą jedwabną podwiązkę, którą matka nosiła na swoim weselu, oraz pięćdziesiąt dolarów w wymiętych banknotach. Wiedziała, że to dar od ojca, który był Grekiem i nigdy nie wysłałby córki do narzeczonego bez posagu. Stojąc teraz w bogatej wiktoriańskiej bibliotece, otoczona cennymi książkami w skórzanych oprawach, uświadomiła sobie absurdalność swojej sytuacji. Za cały ten posag nie kupiłaby nawet jednego z tych woluminów.

Victor odchrząknął.

– Zrozum, Ariadne… – powiedział bełkotliwie. – Muszę myśleć o innych ludziach, nie tylko o sobie. Jestem człowiekiem… odpowiedzialnym. Widzisz, jestem spadkobiercą ogromnej fortuny, a spadkobiercy takich fortun muszą się bardzo głęboko zastanowić, zanim zdecydują, z kim pójdą do ołtarza.

Zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Uważasz, że nie jestem wystarczająco dobra?

Przetarł oczy.

– Na litość boską, Ariadne. Czy ty zawsze musisz wszystko upraszczać? Nie rozumiesz, że po prostu…

– Rozumiem tylko tyle, że wcześniej mnie chciałeś, a teraz chyba nie.

Uniósł kieliszek do ust i pociągnął łyk szampana, oblewając się przy tym. Nieporadnie otarł chusteczką podbródek i spocone różowe czoło.

– Ariadne, mówisz bez ogródek, to ja też powiem bez ogródek.

– W porządku, mów bez ogródek – odparła i podeszła bliżej.

Usiadła na kanapie, napierając piersią na jego ramię i kolanem na kolano. Wyjęła mu

z kieszonki na piersiach zmiętą chusteczkę i otarła jedwabną klapę smokingu.

– Nasza rodzina, rodzina Corneliusów, jest częścią Ameryki od siedemdziesięciu lat… – zaczął. Starał się mówić spokojnie i rzeczowo, jakby tłumaczył sąsiadowi zasadę działania nowej kosiarki do trawy.

– Rozumiem – mruknęła.

Zaczęła głaskać go po kolanie, które zadrżało pod wpływem tej pieszczoty.

– Mamy udziały w nafcie, przemyśle maszynowym, lotnictwie… zależy od nas los wielu tysięcy ludzi…

– Victorze – szepnęła, pochylając się jednocześnie w jego stronę. Ich twarze były tak blisko siebie, że niemal dotykała wargami jego policzka.

Popatrzył na nią bokiem, nie odwracając twarzy. Gdyby to zrobił, ich usta połączyłby się, a chciał tego uniknąć.

– Co? Właśnie ci tłumaczę, o co chodzi.

Nadal gładziła go po nodze.

– Wytłumaczyłeś mi to już tysiąc razy. Ale to ty nic nie rozumiesz. Nie chcę twojej nafty ani zakładów maszynowych. Chcę cię tylko dlatego, że ty to ty.

Zmarszczył czoło.

– Wcale nie uważam, że zamierzasz wyjść za mnie dla majątku.

Odsunęła się trochę i spojrzała na jego różową twarz o topornych rysach. Było w nim coś nieporadnego i nieokrzesanego, co przyprawiało ją o frustrację i jednocześnie do głębi poruszało. Jak to możliwe, żeby ten niesamowicie bogaty mężczyzna mógł być jednocześnie taki kompetentny w sprawach finansowych i taki niezdarny w miłości?

Przesunęła palcami wokół grubych złotych pierścieni na placach Victora. Pytanie brzmiało: czy można oddzielić mężczyznę od jego pieniędzy? Pieniądze odzwierciedlały jego osobowość, pokazywały, z czego był stworzony, jego pochodzenie i charakter. A skoro bogactwo stanowiło o charakterze Victora, czy grzechem było pragnąć zarówno bogactwa, jak i jego samego?

– Pamiętasz tamte noce w Kalifornii? – spytała miękko.

– Pewnie – odparł, czując się okropnie niezręcznie.

Był cały czerwony i spływał potem.

– Pamiętasz, jak poszliśmy popływać w świetle księżyca? To było naprawdę piękne,

czyż nie? Pamiętasz, jak wróciliśmy do pokoju i wytarłam cię, a potem się kochaliśmy?

– Tak. Pamiętam.

– Nie chciałbyś, żebym zawsze ci tak robiła? – spytała, nawijając na palec jego cienkie jasne włosy. – Nie chciałbyś, żebym zrobiła ci to teraz?

Sięgnął po szampana, a ona natychmiast przywarła do niego i zaczęła muskać go wargami po całej twarzy. Skrzywił się.

Koniecznie chce mnie podniecić, pomyślał. Ale ja wcale nie chcę być podniecony. Jest bezczelna i wulgarna i lepiej, żeby nie posuwała się dalej. Co będzie, jak przyjedzie mama? Co powie, kiedy zobaczy mnie siedzącego w bibliotece z tancerką topless z Los Angeles? Czy ta dziewczyna nie zdaje sobie sprawy z tego, że mam zobowiązania wobec rodziny i innych ludzi? I jeszcze te jej cholernie wielkie cycki… Jak mógłbym przedstawić dziewczynę z takimi cyckami brytyjskiemu ambasadorowi albo Parke Stanfields czy komukolwiek innemu?

Czuł się jak dorastający chłopiec przyłapany na masturbowaniu się nad „Playboyem”.

– Ariadne… – wymamrotał, starając się uciec przed jej pocałunkami.

– Wiem, że masz problemy – powiedziała. – Wiem, kochanie. Wiem. Masz problemy

z rodziną, z życiem, ze wszystkim. Ale musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie… Czy nie sądzisz, że byłabym fantastyczną żoną?

Poczuł się zapędzony w kozi róg.

– Trudno powiedzieć – mruknął.

Przycisnęła się do niego jeszcze mocnej.

– Victorze, o czym ty gadasz? Powiedziałeś, że mnie kochasz. Czy nie przeżyliśmy dwóch najfantastyczniejszych tygodni w życiu? Powiedziałeś przecież, że mnie kochasz, Victorze. I obiecałeś mi, że się ze mną ożenisz.

Poderwał się z fotela. Koszula wystawała mu z tyłu ze spodni.

– Co chcesz zrobić? – spytała ze zdziwieniem.

Nie odpowiedział, tylko szarpnął za długą brokatową szarfę, wzywając służbę. Po chwili pojawił się jego malutki włoski kamerdyner Eustace. Wyglądał jak fryzjer i rzeczywiście kiedyś był fryzjerem. Ukłonił się, starannie unikając patrzenia na Ariadne.

– Eustace, chcę jeszcze moët – wychrypiał Victor.

– Tak, proszę pana.

– Chciałbym też, żeby Rosen wyprowadził samochód. Panna Skouros zatrzyma się dziś w Hyannis. Zarezerwuj jej pokój w hotelu Dunfey.

– Oczywiście, proszę pana – odparł Eustace.

Kiedy odwrócił się i wyszedł z biblioteki, żadne z nich nie zauważyło, że pozostawił uchylone drzwi. Victor był zbyt zajęty użalaniem się nad sobą, a Ariadne szukała czegoś w swojej torebce.

– Masz – powiedziała po chwili, podając mu garść zmiętych dolarów.

Victor ze zdumieniem popatrzył na banknoty.

– Co to jest? – spytał.

– Pieniądze. Możesz je sobie wziąć. To mój posag, dostałam je od ojca. Niestety, to wszystko, na co było go stać.

Victor zachwiał się lekko. Bojąc się, że nie uda mu się utrzymać równowagi, ponownie usiadł w fotelu.

– Pieniądze? Co to znaczy?

Ariadne poczuła, że łzy napływają jej do oczu i zaraz się rozpłacze, choć wcale tego nie chciała.

– Myślałam, że się ze mną ożenisz. Powiedziałeś, że to zrobisz, a ja ci uwierzyłam. Przepraszam. Ale możesz wziąć sobie ten posag. Chyba ci się przyda. Przecież masz tyle zobowiązań. Każdy cent ci się przyda, prawda?

Wytrzeszczył na nią oczy.

– Co mam z tym zrobić, do diabła? Ile tego jest?

– Pięćdziesiąt dolarów.

Gapił się na nią, jakby nie mógł uwierzyć, że istnieją takie śmieszne sumy pieniędzy.

– Pięćdziesiąt dolarów? Co, do diabła, można zrobić z pięćdziesięcioma dolarami?

Ariadne się rozpłakała. Nie potrafiła już powstrzymać łez. Makijaż spłynął ciemnymi smugami po policzkach, oczy się rozmazały.

– To wszystko… na co było stać… mojego ojca – wyszlochała.

Victor dźwignął się z wysiłkiem. Był niemal zadowolony, że Ariadne płacze, bo zrobiła się brzydka, a kiedy była brzydka, stawała się bezbronna. Mógł teraz naskoczyć na nią tak samo jak na swoich doradców podatkowych i mylących się księgowych.

– Na litość boską! – wrzasnął.

Opuściła głowę. Jej ramiona dygotały od tłumionego szlochu. Nie miała chusteczki do nosa i musiała ocierać oczy grzbietem ręki.

– Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz – powiedział z irytacją. – Spójrz na ten naszyjnik. Ile znasz dziewcząt, które mają taki naszyjnik?

Uniosła ręce i próbowała rozpiąć naszyjnik, ale zapięcie się zacięło.

– Nie zależy mi na nim… – załkała. – Jeśli chcesz go zabrać, to go sobie weź. Wiem, że

kosztował mnóstwo pieniędzy.

– Nie chcę go zabierać! – ryknął Victor. – Co się z tobą dzieje? Mieliśmy romansik. Czy to znaczy, że mamy ze sobą zostać do końca życia? Znienawidziłabyś takie życie! Znienawidziłabyś!

– A ty? – zapytała, pociągając nosem i podnosząc ku niemu zalaną łzami twarz. – Ty też byś mnie znienawidził?

– Nasze małżeństwo nie jest możliwe – oświadczył.

– Dlaczego? – zapytała drżącym głosem. – Nawet mi nie powiedziałeś, dlaczego nie jest możliwe.

Z rozdrażnieniem rozłożył ramiona.

– Zupełnie nie chwytasz tego, co mówię – stwierdził. – To nie zależy ode mnie. Muszę myśleć o losie całej rodziny.

– O losie rodziny? Nie myślisz nigdy o miłości? – Nie odpowiedział. – Nie pomyślałeś nigdy, Victorze, że cię kocham i że może ty też mógłbyś mnie pokochać? Podczas naszego krótkiego romansu widziałam w tobie uczucia, których dziś po południu nie zobaczyłam ani razu. Victorze, jesteś silnym, wrażliwym mężczyzną, ale pozwalasz, aby twoja rodzina, twoje pieniądze i lęki stawały ci na drodze.

Popatrzył na nią.

– Nic o mnie nie wiesz – mruknął.

Padające z osłoniętych abażurami lamp światło lśniło na srebrzystej sukni Ariadne jak spływający po jej ciele pomarańczowy płyn.

– Wiem o tobie bardzo dużo – powiedziała zmysłowym głosem. – Wiem, że jesteś wrażliwy, kiedy sobie na to pozwalasz. Wiem, że jesteś pełen uczucia, kiedy dajesz mu dojść do głosu. Wiem, że jesteś bogaty. Wiem też, że nie masz pojęcia o prawdziwym życiu, o prawdziwych uczuciach i jesteś przerażony myślą, że ktoś mógłby ci je okazać. Bardzo łatwo jest być odważnym, kiedy się jest bogatym, Victorze. Ale odwaga ma znaczenie dopiero wtedy, kiedy jesteś biedny. Boisz się mnie, prawda? A jeszcze bardziej boisz się swojej rodziny.

Poczerwieniał.

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli stąd wyjdziesz – warknął. – Powiedziałaś już dość jak na jeden wieczór.

Pokręciła głową.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham, prawda?

– Słuchaj, Ariadne…

Podeszła do niego po lśniącym parkiecie, otoczyła ramionami jego szyję i próbowała przyciągnąć go do siebie. Stał przygarbiony,

kiwając się na boki jak stos poduszek, który lada chwila ma się przewrócić.

– Nie chciałbyś jeszcze raz spróbować? – szepnęła. – Wystarczy tylko pójść na górę. Nawet jeśli się nie pobierzemy, będziemy pamiętać tę ostatnią noc. Nie masz ochoty? Nie masz ochoty znów mnie poczuć, tak jak kiedyś czułeś mnie tam, w Kalifornii?

Victor znowu się zachwiał. Pokój pływał mu przed oczami i miał mdłości. Pożądał Ariadne. Pożądał jej miękkiego ciała i chciał znowu usłyszeć, jak jęczy. Ale gdyby to zrobił, pozostałaby w jego domu do jutra albo nawet na dłużej, a jutro miała się tu zjechać rodzina. Co by powiedziała matka na tancerkę topless w wymiętej wieczorowej sukni?

Uniósł ramiona i odsunął jej ręce.

– Ariadne, musisz zrozumieć…

– Victorze, proszę – powiedziała cicho.

– To nie może się udać, Ariadne.

– Nie powiedziałeś dlaczego. Wydałam wszystkie oszczędności, żeby tu przylecieć, Victorze, bo myślałam, że mnie chcesz. A ty nawet nie powiedziałeś mi dlaczego.

Popatrzył na nią, na jej rozmazany makijaż i obfite piersi, ale nie było mu jej żal.

– To kwestia niedopasowania – oświadczył.

Nie zrozumiała.

– Jak to: niedopasowania? Jakiego niedopasowania?

Przełknął ślinę.

– Towarzyskiego. To kwestia niedopasowania towarzyskiego.

Głęboko wciągnęła powietrze. Jego słowa bardzo ją zraniły, ale jednocześnie napełniły irracjonalną nadzieją. Spodziewał się ją zmiażdżyć, a nie wzbudzić w niej optymizm. Jeśli mnie obraża, musi coś do mnie czuć, pomyślała. Przynajmniej nie jestem mu obojętna. Zresztą nawet jeśli mnie nie cierpi… no cóż, nienawiść jest najbliższa miłości i może mogłabym coś z tym zrobić.

Błąd tego myślenia polegał na tym, że Victor nic nie wiedział o psychologii ze szklanego ekranu, a jeszcze mniej o sentymentalnej miłości. Ale Ariadne oglądała serial *The Waltons* i święcie wierzyła we wszystkie objawione tam prawdy.

– Victorze, ty nawet nie znasz swoich uczuć, prawda? Victorze, kochanie…

Wzruszył ramionami.

– Małżeństwo to polityczna, rodzinna i finansowa decyzja – odparł. – Nie mogę jej podjąć na łapu-capu. Musi być dobrze przemyślana.

Pokręciła głową.

– Och, Boże, Victorze, ależ z ciebie dziecko.

– Słuchaj, jeśli potrzebujesz czegoś, żeby dać sobie radę… – zaczął, czując się okropnie niezręcznie.

Wlepiła w niego wzrok.

– Co masz na myśli?

Wsadził dłonie do kieszeni. Sprawiał wrażenie zażenowanego.

– Chodzi mi o to, że może potrzebujesz forsy…

Równie dobrze mógłby powiedzieć jej prosto w oczy, że jest tanią dziwką z Zachodniego Wybrzeża. Wpatrywała się w niego tak długo, że uciekł od niej spojrzeniem i wbił wzrok w rzędy książek.

– Chcesz się mnie pozbyć, dając mi pieniądze – stwierdziła.

– Nic podobnego. Wiesz przecież, z czym muszę sobie radzić. Jak moglibyśmy planować wspólną przyszłość, nie biorąc pod uwagę szerszego kontekstu? Relacje osobiste są tu najmniej ważne.

– Nie przyjmę twoich pieniędzy, Victorze.

Odwrócił się do niej zniecierpliwiony.

– To nie jest sprawa przyjęcia lub nieprzyjęcia moich pieniędzy, ale powiedziałaś, że wydałaś wszystkie swoje oszczędności, żeby tu przylecieć.

Doceniam to, co zrobiłaś. Chciałbym tylko mieć pewność, że nie zostałaś bez centa przy duszy, to wszystko.

– Bez centa? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Victorze, ja cię kocham.

– Wiem, Ariadne. Ale w tej chwili zupełnie nie wiem, co mógłbym ci powiedzieć.

– A będziesz kiedyś wiedział?

– Ariadne…

– Dopiero co mówiłeś o planowaniu wspólnej przyszłości.

– Było jedno „ale”.

– Co to ma znaczyć? Czy naprawdę o tym myślisz? Musisz mi powiedzieć, Victorze. Nie możesz mnie pozostawiać w nieświadomości.

Zamknął oczy. Docierający do niego przez opary alkoholu głos Ariadne był zniekształcony, jakby dziewczyna znajdowała się w blaszanym tunelu przewiewanym wiatrem.

– Myślę, że lepiej będzie, jak wyjedziesz – rzekł. – Rosen zaraz zawiezie cię do hotelu.

– Victorze, nie mogę pojechać, dopóki mi nie powiesz.

Otworzył oczy. Nadal przed nim stała.

– Victorze, proszę…

– Ariadne, to będzie bardzo trudne – powiedział powoli, starannie dobierając słowa. –

Słuchaj… jeśli chcesz…

– Co?

– Możesz zatrzymać ten naszyjnik.

Stali naprzeciwko siebie, grubokościsty milioner w smokingu i wyłażącej ze spodni koszuli oraz wysoka tancerka topless w zbyt obcisłej srebrnej sukience. Stali naprzeciwko siebie i wydawało się, że żadne z nich nie rozumie, dlaczego znalazło się w tym miejscu i co w nim robi. Patrzyli na siebie jak dwoje nieznajomych, którzy spotkali się podczas przeprawy promowej.

Oszołomiona Ariadne dotknęła szmaragdowego naszyjnika, jakby był czymś, co nosiła na sobie przez cały czas, ale co dopiero teraz okazało się prawdziwą przyczyną wszystkich jej niepowodzeń.

Czuła ogarniającą ją panikę, podchodzącą żółcią do gardła. Jeśli Victor mówił prawdę, jeśli rzeczywiście chciał ją wyprawić ze swojego domu, nie miała dokąd pójść. Będąc razem z nim, po raz pierwszy w życiu chodziła po ręcznie tkanych perskich dywanach, jadła ze starej francuskiej porcelany, używając ciężkich srebrnych sztućców, piła wina butelkowane w winnicach i prawdziwego szampana, ubierała się w jedwabie i siedziała na aksamitach. Był to

świat, który wcześniej wydawał jej się fantazją, ale odkryła, że istnieje naprawdę. Powrót do domu oznaczałby otępiającą pracę w Starlight Lounge i niemiłe zaskoczenie rodziców. Szmaragdowy naszyjnik wystarczyłby zaledwie na opłacenie podróży. Kiedy pojawiłaby się w ojcowskim sklepie z narzędziami samotna i załamana, rodzice zaczęliby wokół niej skakać, nakarmiliby ją zupą czosnkową i gorącymi bułeczkami, a wieczorem ukryłaby się w matczynych ramionach i płakała tak długo, jak długo starczyłoby jej łez.

Niepewnie ruszyła w stronę Victora, wyciągając przed siebie ręce jak człowiek, który nagle stracił wzrok i po omacku szuka niewidocznej balustrady.

Złapał ją za przeguby i zatrzymał daleko od siebie, żeby nie mogła go dotknąć.

– Ariadne… – powiedział. – Nie zrozum mnie źle.

W głowie miał mętlik. Nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Irytacja i zaniepokojenie wzmocnione alkoholem sprawiały, że zachowywał się jak marionetka rozmiarów człowieka, wykonana z nieobrobionych drewnianych klocków. Wiedział tylko, że musi pozbyć się tej dziewczyny. Podniecała go, wolał

jednak pogrążyć się w żalu nad samym sobą i mówić o „straszliwej samotności wielkiego bogactwa”, niż być narażonym na prostackie wybuchy jej namiętności. Tymczasem ona w ogóle nie rozumiała, co się z nim dzieje – a on sam rozumiał to tylko częściowo. To nie ona była ofiarą, ale on. Zaraz po urodzeniu pogrzebała go góra pieniędzy.

– Victorze… – jęknęła Ariadne. – Pozwól mi zostać.

– Nie – odpowiedział bezdźwięcznie.

– Nie wiesz, jak bardzo cię potrzebuję. Co ja bez ciebie zrobię?

Puścił jej przeguby i odepchnął ją od siebie, jak odpycha się na wodę łódź.

– Wyśpij się dobrze – poradził jej. – Obojgu nam się przyda teraz długi, dobry sen. Zadzwonię do ciebie rano do hotelu i wtedy się zobaczy.

– Nie mogę czekać, Victorze. Nie będę mogła zasnąć, dopóki mi nie powiesz.

Znów się rozpłakała. Spuściła głowę i szlochała głośno.

– Ariadne… Nie mogę ci teraz nic powiedzieć. Zresztą co mam ci powiedzieć? Na litość boską, dajmy sobie spokój na dzisiaj!

Stała przed nim, obejmując się rękami i szlochając rozpaczliwie. Victor wiedział, jak należy się zachować w obliczu histerii, więc podskoczył do niej i wymierzył jej policzek.

Nie oczekiwał, że mu odda. Była to ostatnia rzecz, jakiej mógł się spodziewać. Ale też nigdy wcześniej nie uderzył kobiety; podobne sceny oglądał tylko w filmach i czytał o nich w czasopismach. I nigdy wcześniej nie sprowokował dziewczyny, która przepracowała trzy lata w barze topless.

Być może to, że mu oddała, najlepiej dowodziło, że nie powinien się z nią żenić.

Kiedy ją spoliczkował, natychmiast się odwrócił i nie widział, co go czeka. Poczuł mocne uderzenie w ucho i gwałtowne pchnięcie w biodro. Poleciał na wielki biblioteczny fotel i upadł, czując bolesną błyskawicę w prawym kolanie. Ariadne rzuciła się na niego jak szalona, dając upust całemu swojemu strachowi, bezradności i poczuciu odrzucenia. Drapała go, okładała pięściami i biła otwartymi dłońmi z takim zapamiętaniem, że musiał schować twarz za osłoniętym ramieniem.

– Boże! – wrzeszczała. – Ty draniu! Ty obrzydliwy draniu!

– Zjeżdżaj stąd! – ryknął, ale upadła na niego, kołysząc na boki piersiami.

Rozłożyli się jak dłudzy na podłodze, szarpiąc się ze sobą. W końcu Victorowi udało się złapać Ariadne za rękę, ale drugą ścisnęła go tak mocno między nogami, że zawył z bólu. Rozwścieczony przewrócił ją na plecy i przygniótł do parkietu.

– Ariadne! – wysapał. – Na litość boską… Ariadne!

Odwróciła twarz. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała słyszeć niczego poza słowami, po które przeleciała trzy tysiące mil.

– Ariadne… – wysapał, przyciskając ją jeszcze mocniej do podłogi. – Słuchaj, Ariadne… Chcę, żebyś wysłuchała tego, co mam ci do powiedzenia. Świetnie bawiliśmy się razem nad morzem, nie zaprzeczam. Naprawdę mieliśmy świetną zabawę. Ale musisz wziąć pod uwagę mój punkt widzenia. Nie widzisz mojego punktu widzenia, Ariadne?

Nie odpowiedziała mu i nadal na niego nie patrzyła.

– Ariadne! – warknął. – Słyszysz mnie, Ariadne?

Poruszyła się pod nim lekko.

Jeśli chodziło o seks, Victor reagował jak nastolatek. Kiedy zbliżała się do niego jakaś

kobieta i czuł ciepło jej ciała, odpowiadał z bezpośredniością, która była jednocześnie podniecająca i żenująca. Gdy Ariadne poruszyła się teraz między jego udami, efekt był natychmiastowy. Zaczął dygotać i poczuł, że jego członek gwałtownie pęcznieje. Jak ta dziewczyna mogła być jednocześnie taka pociągająca i taka głupia? Jak mogła być taka denerwująca i śmieszna? Nie mógł się z nią ożenić. Nie widziała tego? Nie rozumiała? Czemu, do diabła, wciąż go dręczyła? Nie rozumiała, jak się do niej mówiło po ludzku?

Nienawidził jej i jednocześnie czuł takie pożądanie, że z trudem się hamował. Chciał sprawić jej ból, zgwałcić ją i widzieć, jak prosi o litość i błaga o więcej. Paląca żądza, która ogarnęła całe jego ciało, niemal odebrała mu jasność myślenia.

– Ariadne! – krzyknął znowu.

Nadal odwracała od niego twarz. Uniósł rękę i uderzył ją z taką siłą, że jej głowa podskoczyła, na policzku wyrósł wielki szkarłatny siniak, a z oczu poleciały łzy, rozpuszczając czarny tusz.

– Zaraz ci dołożę! – zawył. – Jeszcze zobaczysz, na co mnie stać!

Przed oczami Ariadne pojawiły się czerwone plamy i krzyknęła z bólu. Wykręciła się spod

niego i usiłowała odczołgać jak najdalej. Ale gdy sunęła na czworakach po lśniącym parkiecie, złapał ją za kostkę u nogi, poderwał na kolana i przyciągnął do siebie, ciężko dysząc z wściekłości.

Zaraz potem wrzasnął dziko i pięścią uderzył ją w twarz. Poczuła, że jej nos eksploduje do środka, i upadła na plecy jak przewrócone krzesło. Krew trysnęła jej na wargi i rozlała się po piersiach. Mimo bólu i oszołomienia szybko przekręciła się na brzuch i ponownie próbowała uciec, jednak Victor rzucił się na nią i wielkimi czerwonymi łapami przycisnął ją do podłogi. Jęczała, płakała i kopała go, ale podciągnął wysoko jej sukienkę, odsłaniając pośladki i krągłe biodra, po czym wlazł na nią, przytrzymując ją jedną ręką, a drugą rozpinając spodnie.

Krew kapała na podłogę przed jej twarzą. Znów się przekręciła i usiłowała wyrwać, jednak nie udało jej się uwolnić z jego bolesnego, nieustępliwego uścisku.

– Victorze… – wybełkotała. – Błagam cię…

Tarł o nią podbrzuszem, sapiąc z wysiłku, i Ariadne uświadomiła sobie, że próbuje ją zgwałcić, ale nie może. Nie kochał jej nawet na tyle, żeby móc to zrobić. Po chwili dał za wygraną i hałaśliwie stoczył się z niej na podłogę.

Przeczołgała się do stołu, zdjęła serwetkę z butelki szampana i przyłożyła ją sobie do nosa, próbując zatamować wciąż płynącą krew.

Victor czuł się zupełnie wyzuty z sił. Leżał z rozpiętym rozporkiem, w oszołomieniu gapiąc się w sufit jak człowiek, który sam ściągnął na siebie katastrofę. Żyrandol mienił mu się w oczach i przypominał o urodzinach. Wiedział, co zrobił Ariadne, ale nie miał pojęcia, co zrobił samemu sobie. Nie chciał jednak teraz o tym myśleć.

Po chwili Ariadne udało się podnieść na nogi. Serwetka była ciemnoczerwona, ale czuła zastygający w nosie skrzep. Po chwili krwawienie prawie całkowicie ustało. W głowie jej huczało i ból sprawiał, że widziała wszystko jak przez mgłę. Była w szoku, dygotała i wypłakała już wszystkie łzy. Wstrząsnęła nią brutalność, z jaką została potraktowana, jednak najgorsze było ostateczne, całkowite odrzucenie. Victor leżał na podłodze swojej biblioteki jak tobołek brudnej pościeli, ale nic już dla niej nie znaczył. Usiadła na skórzanej kanapie, czując zawroty głowy i mdłości, i nagle zwymiotowała całą kolację.

♦ ♦ ♦

Teraz nie było wyjścia – Ariadne musiała zostać na noc. Victor wezwał z Hyannis doktora Weywooda, grymaśnego starucha o lodowatych rękach. Lekarz obejrzał twarz dziewczyny, zrobił jej zimny kompres i powiedział, że miała szczęście, iż nie złamała sobie nosa. Zanim Victor wpuścił go do pokoju pacjentki, wyjaśnił, że spadła z konia.

Ariadne leżała w białej nylonowej koszuli nocnej na wielkim francuskim łożu z orzecha włoskiego. Nadal była w szoku i w ogóle się nie odzywała.

Po wizycie lekarza Victor zostawił ją i wziął długi prysznic, wielokrotnie namydlając tłuste ciało pianą z orzecha kokosowego. Potem w jedwabnym ciemnoniebieskim szlafroku w smoki poszedł do gabinetu i zadzwonił do swojego adwokata od prywatnych spraw, Dicka Mariniego. Kiedy Eustace przyniósł mu czarną kawę, zaczął ją popijać, parząc sobie usta. Sprawdził czas. Była druga trzydzieści nad ranem.

Rozłożył się na fotelu, odwracając w stronę okna, i czekał na połączenie z Marinim. W końcu podniesiono słuchawkę i zaspany głos spytał:

– Kto dzwoni?

– Dick? Tu Victor.

– Och, cześć, Victor. Wiesz, która godzina? Czy wy, cudowne dzieci, w ogóle kiedykolwiek śpicie?

– Mam tu mały problem.

– Czy to nie może poczekać do rana?

Victor nerwowo zabębnił palcami w skórzany blat biurka.

– Gdyby mogło, nie dzwoniłbym teraz do ciebie.

Dick westchnął.

– W porządku. Co się stało?

– No wiesz… – zaczął Victor i nagle poczuł zażenowanie. Bardzo trudno było mu mówić o tym, co się wydarzyło, ale wiedział, że dla własnego dobra musi to zrobić. – Chodzi o dziewczynę – dodał.

– Dziewczynę? – powtórzył ze zdziwieniem adwokat. – Jaką dziewczynę?

Victor zaczął wyrzucać z siebie potoki słów.

– To dziewczyna, którą… hm, poznałem w Los Angeles. Pamiętasz, trzy czy cztery tygodnie temu, w kwietniu, byłem na Zachodnim Wybrzeżu w interesach. Wtedy właśnie ją poznałem. Po prostu wpadłem na nią w klubie. Nic nadzwyczajnego, ale przypadła mi do gustu. Była ze mną przez całe dwa tygodnie i świetnie się bawiliśmy.

– Rozumiem – mruknął Dick. Najwyraźniej robił notatki, bo słychać było szelest papieru. – Spałeś z nią?

– Kilka razy. Ale nie w tym problem.

– A w czym?

Victor nalał sobie następną filiżankę kawy. Ręka mu tak mocno drżała, że srebrny dziobek dzbanka zadzwonił o brzeg filiżanki.

– Ona… hm… przyjechała tu dzisiaj. Była na miejscu, kiedy wróciłem do domu, i chyba wbiła sobie do głowy, że obiecałem jej małżeństwo. Nie pytaj mnie, dlaczego to sobie ubrdała, bo wiesz, jaki jestem ostrożny w tych sprawach. Ale powiedziała, że mnie kocha i chce za mnie wyjść. I wciąż powtarzała, że jej obiecałem, że wezmę z nią ślub.

Dick Marini pociągnął nosem.

– Co to za osoba?

– No, jak by tu powiedzieć… nie najwyższego sortu.

– Dziwka?

– Nie, nic z tych rzeczy. Pracuje w barze topless jako hostessa.

– Czyli jednak dziwka.

– Chyba nie do końca…

Dick znowu coś zanotował.

– Groziła ci? – spytał.

– Nie dosłownie.

– Jak to „nie dosłownie”?

– No cóż, w tym właśnie problem. Gadała i gadała, więc w końcu poprosiłem ją, żeby została na kolację… oczywiście zrobiłem to tylko z uprzejmości. Przyleciała aż z Los Angeles, bo ubrdała sobie, że się w niej zakochałem… masz pojęcie? Ledwo ją pamiętałem, ale przynajmniej mogłem dać jej jeść. W każdym razie upiliśmy się bardziej, niż należało, i potem mieliśmy kłótnię.

– Jaką kłótnię? – spytał podejrzliwie Dick.

– Zaczęła histeryzować, więc jej przyłożyłem – odparł Victor.

Zapadła długa cisza.

– Mów dalej – powiedział po chwili Dick. – Przyłożyłeś jej i co?

– Kiedy mi oddała, nie wytrzymałem i dałem jej z piąchy w twarz. To wszystko.

– Dałeś jej z piąchy w twarz?

Victor odchrząknął.

– Właśnie.

– Gdzie ona teraz jest?

– Tutaj. Chyba zasnęła. Wezwałem doktora Weywooda, a jej kazałem powiedzieć, że spadła z konia.

– Że co zrobiła?

Victor zmarszczył brwi.

– Spadła z konia. Kazałem jej powiedzieć, że spadła z konia.

Dick Marini próbował ukryć rozdrażnienie, ale wyraźnie było słychać, że mówi przez zaciśnięte zęby.

– Zrobiłeś najgorszą rzecz, jaką mogłeś zrobić w tych okolicznościach.

– Jak to? Co ty gadasz?

– Goszcząc tę dziewczynę w swoim domu, byłeś za nią odpowiedzialny. Zamierzasz powiedzieć sądowi, że pozwoliłeś jej dosiąść po ciemku twojego konia, w dodatku po zakrapianej kolacji?

Victor odwrócił się z fotelem od okna i ciężko oparł o biurko.

– Jakiemu sądowi? O czym ty mówisz?

– O sądzie, do którego idzie każdy myślący obywatel, kiedy ktoś bardzo bogaty wyrządzi mu krzywdę. Jak to będzie wyglądać? Spadła z konia, co świadczy o twoim zaniedbaniu, więc na pewno zażąda zadośćuczynienia, a jeśli jeszcze powie, że przyłożyłeś jej w twarz, nie wywiniesz się od oskarżenia o napaść. Tak czy siak, będziesz musiał wydać kupę forsy, a prasa nie zostawi na tobie suchej nitki.

Victor żuł swoje grube malinowe wargi i milczał. Nie winił siebie za to, co się stało. To był

po prostu nieprzyjemny wypadek, zaaranżowany przez zły los tylko po to, aby postawić go pod ścianą i namieszać mu w głowie. Nie winił jednak także Ariadne. Został wychowany w przekonaniu, że rodzina Corneliusów stanowi najistotniejszy element amerykańskiej historii, a wszyscy inni ludzie to nędzne płotki. W ogóle nie myślał o Ariadne – poza tym oczywiście, że perfidny los posłużył się nią, aby wzbudzić w nim pożądanie, które doprowadziło do katastrofy. Własne słabości i niepowodzenia były dla niego o wiele ważniejsze niż to, co przydarzyło się Ariadne.

– Dick, pamiętaj o tym, że w listopadzie mamy wybory – powiedział, starannie dobierając słowa.

Odpowiedziała mu cisza.

– Słyszałeś mnie, Dick? – spytał.

– Słyszałem. Muszę pomyśleć.

– Nie możemy dopuścić do tego, żeby jakakolwiek wzmianka o tej sprawie ukazała się w prasie. Moja matka też nie może się o niej dowiedzieć.

Dick przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Nie sądzisz, że powinieneś jej to powiedzieć? – zapytał w końcu. – Nie będzie ci wdzięczna, kiedy wszystko wyjdzie na jaw.

– Nie wiem. Zupełnie nie mam pojęcia, co robić. Chryste, właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Masz jakąś zbawczą sugestię?

– Hm… myślisz, że ta dziewczyna jest łasa na pieniądze? – zapytał Dick.

Victor odchrząknął.

– Nie jestem pewien. Zaproponowałem jej wcześniej coś w rodzaju zwrotu kosztów, ale nie wydawała się zainteresowana, chociaż pochodzi z bardzo biednej rodziny. Jej ojciec prowadzi jakiś warsztat samochodowy czy sklep narzędziowy. Pewnie mógłbym spróbować pomachać jej na pocieszenie kilkoma dolarami przed nosem…

– Zaczekaj, aż przyjadę do ciebie – powiedział Dick. – Myślę, że już dosyć narozrabiałeś. Na razie nie przyznawaj się do niczego. Byli tam jacyś świadkowie? Czy ktoś widział, jak ją uderzyłeś?

– W domu nie było nikogo poza nami.

– A służący?

– Nie rozumiem…

– Victorze, w sądzie zeznania służących są równie ważne jak zeznania innych ludzi. Czy któryś ze służących widział, jak to zrobiłeś?

Victor się zastanowił.

– Był Eustace i jeszcze jeden – odparł. – Trzeba było posprzątać, bo dziewczyna miała krwotok z nosa. Ale nie widzieli, żebym ją uderzył. Nie, na pewno nikt tego nie widział.

Dick odetchnął z ulgą.

– Dzięki Ci, Panie, za Twe drobne łaski. Słuchaj, teraz trochę się prześpij, ale dopilnuj, żeby dziewczyna nie opuszczała domu. Przyjadę wcześnie rano i porozmawiam z wami obojgiem. Nie chcę, żeby doszła do wniosku, że powinna złożyć na ciebie skargę. Muszę jej uświadomić, że jeśli spróbuje jakichś gierek, tylko na tym straci.

Victor upił łyk kawy, która już dawno wystygła.

– Sam mogę jej to powiedzieć.

– To nie twoja działka – odrzekł Dick. – Zostaw to mnie. Płacisz mi wystarczająco dużo, żebym to zrobił, poza tym na pewno zrobię to lepiej od ciebie. Na razie w ogóle się do niej nie odzywaj poza prostymi zwrotami w rodzaju: „To twoje śniadanie” albo „O, jaki piękny ranek”. Jasne?

– Jasne. Ale słuchaj, jutro przyjeżdża tu moja rodzina.

– W porządku. Będę przed nimi.

– Dziękuję – odparł Victor i odłożył słuchawkę.

Długo siedział bez ruchu, zgarbiony nad biurkiem. Wszystko go bolało, miał mdłości i był straszliwie zmęczony. Dochodziła za kwadrans trzecia, a miał jeszcze sporo dokumentów do przejrzenia. Odbywające się co drugi czwartek rodzinne spotkanie wyznaczono na wpół do dziesiątej i powinien przyjść na nie przygotowany. Przyciągnął do siebie grubą teczkę i otworzył ją. Była opatrzona etykietką: „Fabryki smarów, środki własne (Panama)”. Odkręcił wieczne pióro.

♦ ♦ ♦

Godzinę później, gdy wszyscy służący poszli już do łóżek i korytarze Spiermont zrobiły się ciche i ciemne, Victorowi wydało się, że słyszy silnik samochodu. Podniósł wzrok znad kręgu światła na biurku, przy którym pracował. Na bulwiastym nosie miał okulary w rogowej oprawce. Przez chwilę nasłuchiwał. Z dworu dobiegały jakieś szmery, ale mógł to być wiatr poruszający gałęziami drzew. Spojrzał na zegarek, wzruszył ramionami i wrócił do pracy.

♦ ♦ ♦

Skończył o wpół do szóstej. Szare, ponure światło świtu zaczęło napierać na okna gabinetu. Na dworze widać już było ciemne sylwetki drzew i stok trawnika. Przeciągnął się, przetarł oczy, po czym zgasił biurkową lampę. Był zmęczony, ale lubił pracować w nocy. Sprawiała mu przyjemność myśl, że trudzi się do późna nad rzędami cyfr, podczas gdy reszta Ameryki śpi. Dzięki niemu tysiące śpiących teraz twardym snem pracowników Cornelius Industries miały zapewnione zajęcie. Kiedy wstanie słońce, nie będą nawet wiedzieć, co robił w nocy, zabezpieczając ich miejsca pracy.

Wstał i podszedł do okna. W blasku słońca wczorajsze wydarzenia jakimś sposobem już nie wydawały mu się takie straszne. Kiedy Dick Marini upora się z problemem Ariadne, cała sprawa trafi na półkę, zamknięta w osobnej teczce, i na tym zakończy swój żywot. Przypomniał sobie gorące noce spędzone z Ariadne w Kalifornii i poczuł lekki żal, ale po chwili pomyślał, że tak musiało być. Dziewczyny z barów topless nie wychodzą za mąż za prezesów wielkich amerykańskich korporacji.

Wyjął z górnej szuflady biurka cygaretkę i przypalił ją. Nie palił zbyt często, ale tego ranka uznał, że zasłużył na tę przyjemność. Stojąca na

blacie zapalniczka w kształcie szybu naftowego była prezentem od matki.

Otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na duże, wyłożone włoskim marmurem patio. W wielkich donicach rosły przystrzyżone krzaki rozmarynu, obok których stały krzesła i stolik z kutego żelaza. W powietrzu wisiał chłód wczesnego poranka, na trawiastych zboczach leżała jeszcze rosa, ale Victor chciał zaczerpnąć świeżego powietrza. Zrzucił z nóg skórzane kapcie i w szlafroku zszedł boso po trzech stopniach patio, przeciął je i po chwili znalazł się na trawniku.

Na drzewach ćwierkało kilka ptaków, ale poza tym cała posiadłość była cicha, a dom zupełnie ciemny.

Przeszedł na tyły rezydencji, gdzie wysokie doryckie kolumny podtrzymywały elegancki łuk. Znajdowało się tam większe patio, a pośrodku niego długi, obsadzony żywopłotem basen. Schodziły do niego szerokie półokrągłe stopnie, których szczytu strzegła biała marmurowa rzeźba przedstawiająca nagą nimfę, dosiadającą wielkiego konika morskiego. Victor lubił ten posąg, ponieważ był bardzo seksowny i wykonany z wielką dbałością o szczegóły, ale jego matka uważała go za „niekonieczny”.

O tej porze basen przypominał pokryte mgłą oddechu zwierciadło, a otaczający go żywopłot skrzył się od rosy. Victor podchodził do niego powoli, podziwiając odbicie domu w nieruchomym lustrze wody.

Dopiero gdy znalazł się przy samej krawędzi basenu, zobaczył, że wodę pokrywają nieregularne, mieniące się tęczowo kałuże oleju. Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, co się stało, i rozejrzał wokół, szukając śladów chuligaństwa i puszek po oleju. Niczego takiego jednak nie dostrzegł. Siedząca po drugiej stronie basenu na wielkim koniku morskim naga nimfa zdawała się mówić, że to jej sprawka.

– Eustace! – zawołał, chociaż wiedział, że służący nie może go usłyszeć. – Eustace!

Przeszedł na prawą stronę basenu, obejrzał plamy oleju i nagle zrozumiał, co się wydarzyło. Nie było wątpliwości: przed sobą miał ciemne, płaskie, zniekształcone przez wodę kontury zatopionego po głębszej stronie basenu cadillaca. Z limuzyny cały czas wypływały rozmyte smugi oleju i paliwa.

Serce Victora gwałtownie przyspieszyło i nagle poczuł, że rozpaczliwie brakuje mu powietrza. Nie wiedział, co o tym myśleć. Opadł na kolana i osłaniając oczy, by nie przeszkadzało

mu odbicie domu na powierzchni basenu, dokładnie przyjrzał się zatopionemu samochodowi. Był to jeden z jego cadillaców brougham, które trzymał w Spiermont. Ktoś najwyraźniej przejechał nim po trawniku, przez patio i po schodach, po czym wpadł do wody. Widział nawet ślady kół na krawędziach stopni.

Gdy pochylił się nad wodą, zrozumiał, kto to zrobił. Przy szybie kierowcy, poruszane słabymi wodnymi prądami, kołysało się blade ramię, które lśniło srebrzyście jak brzuch śledzia.

Ciężko dysząc, dźwignął się na nogi. Teraz już naprawdę nie wiedział, co robić.

♦ ♦ ♦

Celia Cornelius z niezwykłym wyczuciem sytuacji przybyła w dużym czarnym kapeluszu z czarnymi piórami. Była wysoką, bardzo elegancką sześćdziesięcioletnią kobietą. Jej twarz wciąż była piękna. Miała cienki, arystokratyczny nos, błękitne oczy i pełne czerwone usta, których w ogóle nie musiała szminkować. Jej ufarbowane na różowo włosy lśniły w porannym słońcu, a w uszach połyskiwały kolczyki z szafirów i brylantów. W znakomicie uszytej czarnej jedwabnej sukni, z wykończoną złotem laską

w dłoni wyglądała jak właścicielka modnego domu pogrzebowego. Kiedy mówiła, zawsze unosiła rękę ku tym, do których się zwracała, jakby oczekiwała, że złożą na niej pocałunek.

– Czemu ta nieszczęsna dziewczyna to zrobiła? – zapytała.

Dick Marini skrzywił się lekko. Przeglądał notatnik, próbując odczytać swoje poranne bazgroły.

– To tylko jedno wielu z pytań – odparł. – Cała ta sprawa to kłąb zagadek. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli ustalimy, co może się Victorowi upiec, a co nie.

Celia zmarszczyła czoło.

– Nie sądzę, aby Corneliusowie kiedykolwiek musieli liczyć na to, że coś im się upiecze, panie Marini. A Victor nie jest kryminalistą. Biedny chłopiec ma astmę.

– Al Capone też miał astmę – mruknął Dick. – Nie przypominam sobie jednak, żeby mu to w jakiś sposób pomogło.

Kiedy zebrała się cała rodzina, wszyscy przeszli do południowego salonu, przestronnego, pomalowanego na beżowo i biało pomieszczenia urządzonego w stylu francuskiego rokoka. W trzech wysokich oknach wisiały ręcznie robione zasłony z brukselskiej koronki, przez

które skosem wpadało przedpołudniowe słońce, rzucając skomplikowane wzory na wyfroterowaną podłogę z klonowego drewna. Między oknami stały złocone stoliczki, na których umieszczono drezdeńskie wazy. Nad nimi wisiały kolorowe holenderskie oleje ukazujące Amersfoort w różnych porach roku.

Rodzina rozsiadła się wokół rzeźbionego złoconego kominka, przed którym leżał stary hinduski dywan w stonowanych barwach czerwieni i błękitu. Stojący na okapie piękny zegar Fabergé cicho wydzwaniał godziny. W wiszącym za nim dużym lustrze we wspaniałej oprawie, jak na obrazie, widać było wszystkich zgromadzonych: Celię Cornelius, sztywną i wyprostowaną w fotelu z wysokim zapleckiem, tapicerowanym złotym pluszem; Dicka Mariniego, pulchnego i wyraźnie zmartwionego, siedzącego obok niej na krześle; kuzyna Victora, Freddiego, wyciągniętego swobodnie na rdzawej kanapie; jego siostrę Tess i kuzynkę Ally oraz samego Victora w groszkowej marynarce, w której wydawał się jeszcze bardziej wyblakły niż zwykle, przycupniętego na niewygodnym rokokowym foteliku i pojadającego miętowe czekoladki.

– Wygląda na to, że Victor znów się nie popisał – mruknął Freddie.

Był szczupłym, małomównym mężczyzną w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Miał długie jasnokasztanowe włosy zaczesane do tyłu i trochę przypominał Dustina Hoffmana. Nosił marynarkę w czerwono-niebieskie prążki i białe spodnie z wysokim stanem.

Celia popatrzyła na niego z potępieniem. Zawsze była krytycznie nastawiona wobec dzieci Hope, które często bratały się przeciwko jej synowi. Powinny pamiętać o tym, że Victor poświęcił całe swoje życie budowaniu rodzinnej fortuny i nigdy nie zaniedbywał swoich obowiązków ani nie uchylał się od odpowiedzialności. Poczucie odpowiedzialności może nie było najbardziej ekscytującą cechą charakteru, ale właśnie od niego zależało całe ich bogactwo oraz dobrobyt ludzi, których zatrudniali. Dzieci Hope nigdy nie dorównywały pod tym względem jej synowi.

– Victor zawsze przyjmował na siebie cały ciężar odpowiedzialności za wszystkie nasze zobowiązania, więc był bardziej narażony na presję z zewnątrz – odparła sucho. – To znacznie więcej, niż można by powiedzieć o niektórych z was.

– Powinniśmy jak najszybciej zawiadomić policję – stwierdził Dick Marini. – Minęły cztery godziny, odkąd Victor znalazł auto, ale możemy powiedzieć, iż znalazł je znacznie później. Nie ma żadnych dowodów świadczących o tym, że mogło być inaczej. Poza tym to już bez znaczenia, jeśli chodzi o pannę…

– Skouros – podpowiedział mu Victor.

– Pannę Skouros. Jeśli nawet jeszcze żyła, kiedy znalazła się w basenie, z pewnością umarła, gdy tylko samochód napełnił się wodą.

– Czy musimy wzywać policję? – spytała Celia. – Czy nie da się załatwić tej sprawy inaczej? Nie mówię o niczym nielegalnym, ale uważam, że rodzina liczy się przede wszystkim. Przecież mamy możność podjęcia odpowiedzialnych działań.

– Co nazywasz odpowiedzialnymi działaniami? – prychnął Freddie. – Chcesz zapłacić rodzicom tej dziewczyny, żeby przysięgli, że utonęła na *Lusitanii*?

Dick Marini uniósł pulchną rękę.

– Nasz problem ma pewnego rodzaju precedens. Ale my nie potrzebujemy tu drugiego Chappaquiddick, zwłaszcza biorąc pod uwagę zaangażowanie Victora w wybory. Zanim zaczniecie na mnie krzyczeć, powiem, że

owszem, mamy tu do czynienia z nieco innym zdarzeniem, jednak w oczach opinii publicznej ta sprawa będzie wyglądać bardzo podobnie. Może sam Victor nie jest kandydatem, ale jego nazwisko jest kojarzone z Russellem i w razie jakiegokolwiek skandalu czy zaniedbania pogrążymy się po szyję w politycznym bagnie. Dlatego uważam, że należy wezwać gliny. Tego właśnie nie zrobił Ted Kennedy i to najczęściej mu zarzucano.

Victor chciał coś powiedzieć, jednak się rozmyślił. Jego matka monarszym gestem uniosła rękę i oświadczyła:

– Sądzę, że powinniśmy to przedyskutować, bo wzywając policję, pozbawimy się jakiegokolwiek wpływu na dalszy tok tej sprawy. A ta dziewczyna i tak jest już martwa i nic nie zwróci jej życia.

– Mam nadzieję – mruknął Freddie. – Tancerka topless wyciągnięta z głębokości dwóch sążni…

– Freddie! – warknął Victor. – Jeśli sobie wyobrażasz, że to jest śmieszne, proponuję, żebyś stąd wyszedł i zaśmiewał się gdzie indziej. Ta dziewczyna straciła życie i cała nasza rodzina jest w to zamieszana.

Ally w ogóle się nie odzywała. Rzadko zabierała głos na rodzinnych zebraniach. Była ubrana w skromną granatową sukienkę i miała cienie pod oczami. Złożyła ręce na podołku, słuchając chaotycznej dyskusji kuzynów.

Dick Marini zrobił kilka notatek, po czym odwrócił się do niej i zapytał:

– A co ty o tym myślisz? Masz jakieś spostrzeżenia?

Ally nie podniosła wzroku. Gładziła zapięcie swojej złotej bransolety w taki sam sposób, w jaki Ariadne dotykała grzbietów oprawionych w skórę książek Victora.

– Myślę, że przede wszystkim powinniśmy pomyśleć o rodzicach tej nieszczęsnej dziewczyny – powiedziała cicho. – Zgadzam się też, że powinniśmy wezwać policję. Bardzo dużo mówi się o ratowaniu politycznej reputacji Victora, ale powinniśmy trzymać się zasady, że naszym pierwszym obowiązkiem jest pomaganie innym ludziom.

Celia uniosła brwi.

– Moja droga, nie przypominam sobie, aby ktokolwiek sugerował coś innego.

Ally pokręciła głową.

– Mam wrażenie, że mówiąc o odpowiedzialnym działaniu, sugerowałaś, że

powinniśmy znaleźć jakiś sposób wykpienia się od odpowiedzialności – odparła.

Celia zacisnęła wargi i zastukała w podłogę laską o złotej skuwce.

– Panie Marini, myślę, że należałoby wytłumaczyć Ally, co się stanie, jeśli prasa się o tym dowie – powiedziała ostro.

Marini wzruszył ramionami.

– Nie ulega wątpliwości, że ludzie nazwą to drugim Chappaquiddick. To mają być naprawdę czyste wybory, więc musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, żeby nasz kandydat i jego ekipa wyborcza byli czyści jak śnieg. Ten wypadek może przesądzić o zwycięstwie lub klęsce.

Ally podniosła wzrok. Jej niebieskie, nieco krótkowzroczne oczy zawsze patrzyły niepokojąco przenikliwie.

– Więc taka jest cena ujawnienia prawdy? – zapytała. – Miejsce w Białym Domu?

Freddie wydmuchnął dym.

– Daj spokój, moja droga. Nie dramatyzuj. Tak naprawdę chodzi o to, by uratować skórę Victorowi.

Ally pokręciła głową.

– Myślałam, że jesteś po mojej stronie – odparła. – Myślałam, że wierzysz w ideały rodziny.

– Oczywiście, że wierzę. Ale jaki sens mieć ideały, skoro to, czy się je ma, czy się ich nie ma, nie robi żadnej różnicy? Mówimy tu o martwej dziewczynie i jak stwierdziła Celia, nic nie przywróci jej życia. Victor zachował się jak kompletny szajbus, jednak co się stało, to się już nie odstanie, więc teraz przede wszystkim musimy spróbować zminimalizować ten problem.

Victor poczerwieniał i otworzył usta, najwyraźniej zamierzając zaprotestować, ale Celia uniosła rękę, uciszając go. Nie chciała, aby Victor jeszcze bardziej zraził do siebie Freddiego w takiej chwili.

– Ja jednak myślę, że powinniśmy wezwać policję – wtrąciła Tess. – Im dłużej to odwlekamy, tym gorzej dla nas.

– Nie obchodzi mnie, co zrobicie, ale musicie powiedzieć prawdę – oświadczyła Ally, kręcąc głową. – Nie rozumiem, jak możemy popierać czyjąś polityczną karierę, jeśli będziemy ukrywać takie sprawy. Może nikomu innemu nie robi różnicy, czy mamy ideały, czy nie, ale dla nas będzie to wielka różnica.

Celia posłała jej lodowaty uśmieszek.

– Uważam, że wyciągasz zbyt pochopne wnioski, moja droga. Kiedy mówiłam

o odpowiedzialnym działaniu, kładłam nacisk na słowo „odpowiedzialne”. A brakiem odpowiedzialności byłoby wzywanie policji, jeśli nie ustalimy, co zamierzamy jej powiedzieć. Nie mówię o kłamstwach ani o przeinaczaniu prawdy. W tej rodzinie nie będzie zamiatania pod dywan. Ciąży na nas zbyt wielka odpowiedzialność wobec amerykańskiego narodu, a informowanie policji, prasy i opinii publicznej o tym incydencie bez uwzględnienia jego historycznych implikacji to nieodpowiedzialność.

Victor pokiwał głową. On również wierzył, że rodzina Corneliusów dzierży w swoich dłoniach losy Ameryki i że jeśli któryś z Corneliusów kichnie, cała Wall Street ma grypę. Poza tym o wiele łatwiej było mu zaakceptować tę sprawę jako okruch historii niż jako nieprzyjemny i żenujący osobisty błąd.

– Victor nie jest złym człowiekiem – dodała po chwili Celia. – Jest uczciwy, bardzo ciężko pracuje i poświęcił rodzinie więcej niż ktokolwiek inny od czasów Johanna. Wiemy, że jedynie nieco sobie ulżył, będąc pod wpływem gniewu, jednak historia oceni go inaczej. Dlatego trudno uznać za nieuczciwe i nieodpowiedzialne nasze działania zmierzające do tego, aby inni

zobaczyli go naszymi oczami… takim, jaki naprawdę jest.

Freddie sięgnął po małą porcelanową popielniczkę i zgasił w niej papierosa. Nigdy wcześniej nie lubił Victora i nie zamierzał go polubić teraz. Nie cierpiał jego wielkiej, tłustej czerwonej gęby i niezręcznych zachowań oraz jego uległości wobec matki. Widząc, jak płaszczy się przed nią niczym kilkuletni chłopczyk, dostawał dreszczy. Wiele ich dawnych nieporozumień zostało zapomnianych, ale Freddie nadal czuł do starszego kuzyna obrzydzenie. Nie przepadał za niewdzięczną, masochistyczną robotą, której poświęcał się Victor. Nie uważał się za Carla Sandburga finansów, sumującego o brzasku niezliczone pozycje w rubryce „Winien” i w rubryce „Ma”. Wydawał i tracił pieniądze znacznie szybciej niż Victor, grając na rynku obligacji śmieciowych i w pokera, ale też zarabiał je o wiele szybciej i w bardziej pomysłowy sposób.

Mimo obustronnej niechęci postanowił, że udzieli wsparcia kuzynowi. Była to sprawa rodzinnej lojalności i zdrowego rozsądku. Jeśli nie chcieli doprowadzić do gospodarczej zawieruchy, Victor musiał pozostać w oczach opinii publicznej człowiekiem bez skazy. Brał

także pod uwagę względy natury politycznej. Gdyby człowiek Corneliusów – John Russell – znalazł się w Białym Domu, byłoby to największe osiągnięcie rodziny. Oznaczałoby też nowe możliwości ryzykownych inwestycji i zapewniałoby wystarczającą liczbę rządowych kontraktów, które mogłyby wesprzeć mniej stabilne przedsięwzięcia Corneliusów, takie jak Woodward Tires. Tak więc, choć nadal uważał, że Victor jest kompletnym osłem, uznał, że musi mu pomóc.

– Celio, dajmy już sobie spokój z historią i zajmijmy się sprawami praktycznymi – powiedział.

– Znakomicie – odparła Celia, choć nie była zachwycona, że jej zachwyty nad sumiennością i cnotami jedynego syna przerywa latorośl Hope. – Proszę, mów. Jakie sprawy praktyczne masz na myśli?

– Chciałbym wiedzieć, co z policją – wtrącił Marini. – To też bardzo praktyczna sprawa. Wzywamy ją czy nie? Uważam, że musimy to zrobić.

– Oczywiście, że wzywamy – odparł Freddie. – Ale musimy się zastanowić, do czego.

Tess wytrzeszczyła na niego oczy.

– Jak to: do czego? – zapytała.

Victor patrzył na kuzyna lodowatym wzrokiem, nie odzywał się jednak.

– Posłuchajcie… Tak jak się rzeczy mają, Victor zostanie uznany za winnego – wyjaśnił Freddie. – Może nie w sensie prawnym, ale moralnym, w oczach wyborców. Musimy zmienić obraz tego, co się wydarzyło, w taki sposób, żeby opinia publiczna zareagowała wobec niego pozytywnie, ze zrozumieniem, a nie negatywnie i wrogo.

Ally westchnęła i opadła na oparcie fotela.

– Mów dalej – mruknęła. – Poznajmy ten cholerny spisek.

– To nie żaden spisek, tylko zwykła zmiana kąta widzenia. W tej chwili wygląda to tak, jakby dziewczyna utopiła się w basenie, ponieważ Victor nie chciał się z nią ożenić. Opinia publiczna będzie jej współczuć, bo została odrzucona przez plutokratycznego wała…

– Freddie! – skarciła go Celia.

– Twoje oburzenie nic tu nie zmieni – odparł Freddie. – Musimy spojrzeć na to tak, jak spojrzy ogół. A w jego oczach Victor odmówił tej dziewczynie przysługującego jej prawa, według którego każda amerykańska dziewczyna z każdej amerykańskiej pipidówy ma prawo wyjść za milionera. Sęk w tym, że nie ma znaczenia, co się

naprawdę wydarzyło – mówił dalej, wyciągając następnego papierosa i przypalając go. – Zresztą żadne z nas tego nie wie. Może odkrycie prawdy jest ważne, a może nie, ale w tej chwili nie mamy możliwości się tego dowiedzieć. Wiemy tylko, że ta dziewczyna nie żyje.

Marini popatrzył na zegarek. Przez cały czas tego przerzucania się słowami woda w basenie nasiąkała tkanki Ariadne, dostarczając medykom sądowym coraz dokładniejszych informacji na temat godziny śmierci dziewczyny. Jeśli szybko nie podejmą jakiejś decyzji, podejmie ją za nich trup Ariadne.

– Proponuję, żebyśmy wreszcie przestali zachowywać się jak spanikowani sprawcy wypadku drogowego, a zaczęli działać jak wpływowa i mająca ogromne możliwości rodzina – powiedział Freddie. – Jeśli wszyscy się zgodzimy, że powinniśmy jedynie zgłosić śmierć tej dziewczyny i zaopiekować się jej rodzicami, to sądzę, że będziemy mogli wypracować jakąś nieprzemakalną wersję wydarzeń.

Celia uniosła głowę.

– „Nieprzemakalna” to raczej niefortunne określenie w tych okolicznościach – stwierdziła. – Ale myślę, że masz rację. Nasza rodzina ma o wiele większe zobowiązania wobec narodu niż

wobec jednej osoby i nie sądzę, żeby ta nieszczęsna dziewczyna chciała udaremnić naszą misję.

Nie zauważyła, jak szybko udało jej się doprowadzić do wchłonięcia osobistego problemu swojego syna przez kolektywną świadomość rodziny. Śmierć Ariadne nie była już kłopotem samego Victora; stała się winą, której ciężar musieli przyjąć wszyscy Corneliusowie i którą musieli rozgrzeszyć – przez wzgląd na dobro rodziny. Finanse spajają rodzinę znacznie silniejszymi więzami niż miłość, niemal nierozerwalnymi. Miłość łączy ludzi, a bogactwo skuwa.

– Chciałbym wiedzieć, co rozumiesz przez „zmianę kąta widzenia" tego problemu, Freddie – powiedział Marini. – Chciałbym również wam uświadomić, że nie mamy zbyt wiele czasu. Sekcja zawęzi czas zgonu do kilku godzin.

– A ja chciałabym wiedzieć, jak nasza rodzina może mieć większe zobowiązania wobec Ameryki niż wobec Amerykanów – wtrąciła Ally. – Może ta dziewczyna była tancerką topless i niezbyt rozgarniętą osobą, ale przecież była człowiekiem, prawda? No i wyborcą.

Celia uśmiechnęła się blado.

– Moja droga, odłóżmy na bok problemy etyczne, dopóki nie znajdziemy rozwiązania, o którym mówi Freddie.

– Jak możemy odłożyć na bok problemy etyczne? – spytała Ally. – Cała ta sprawa jest problemem etycznym! Mówimy o etyce, o przyjmowaniu odpowiedzialności za nasze czyny… Czy tylko dlatego, że jesteśmy bogaci, mamy prawo uważać się za bogów?

Zapadła cisza. Po chwili Victor odkaszlnął, a Freddie pochylił się na kanapie i powiedział:

– Pieniądze nie uwalniają nas od odpowiedzialności, ale ułatwiają obejście pewnych restrykcji, Ally. Wiesz o tym. Dowiedziałaś się o tym w ten sam sposób, w jaki ja się tego dowiedziałem.

– Tak – potwierdziła. – Ale czasem żałuję, że nie mogło być inaczej.

– Zgadzam się z Ally, jeśli chodzi o etykę – oświadczyła Tess. – Jednak myślę, że wszyscy powinniśmy wysłuchać Freddiego. Nie ma sensu dyskutować o tym, jacy jesteśmy. Liczy się to, co zrobimy.

– Podtrzymuję tę opinię – powiedział Marini. – I sugeruję, żebyście szybko podjęli decyzję. Jeśli nie zrobimy tego w ciągu najbliższej półgodziny, i tak będziemy musieli wezwać gliny.

– W porządku – mruknął Freddie. – Jak już powiedziałem, nie chodzi o nic więcej niż o zmianę okoliczności towarzyszących temu wydarzeniu. Chcemy tylko, żeby ludzie ujrzeli to we właściwym świetle. A ty, Victorze, masz protestować podczas składania zeznań, jeśli coś zabrzmi nieprawdziwie albo gołosłownie.

Kiedy mówił, Marini od czasu do czasu zerkał na zegarek, jednak po chwili się rozluźnił i tylko słuchał, a gdy do salonu wszedł Eustace z kawą i ptifurkami, w ogóle przestał sprawdzać czas.

♦ ♦ ♦

W porze lunchu dwóch ogrodników zajęło się opróżnianiem basenu. Oleista woda powoli opadała, pozostawiając na kafelkach opaskę szarego tłustego brudu. Mężczyźni palili w milczeniu i nie spuszczali wzroku z zatopionego cadillaca leżącego pod powierzchnią wody razem z martwym kierowcą.

– Zabiłbyś się tak? – spytał po chwili jeden z nich.

Drugi ogrodnik wzruszył ramionami. Nie sprawiał wrażenia kogoś, kto w ogóle próbowałby pozbawić się życia.

♦ ♦ ♦

Marini i Freddie siedzieli w gabinecie Victora, przeprowadzając rozmowy telefoniczne. Victora odstawiono na bok, gdyż uznano, że im mniej wie o zacieraniu śladów, tym lepiej dla niego. Nie był orłem w dziedzinie public relations, a prasa biznesowa traktowała większość jego wypowiedzi ze zdrowym sceptycyzmem. Udało mu się jedynie utrwalić wizerunek milionera urządzającego wystawne przyjęcia i spotkania dla reporterów oraz (co było znacznie sprytniejsze) redaktorów naczelnych. Przekonał się też, że wysłana pod właściwy adres skrzynka szampana jest więcej warta niż wszystkie obietnice i zapewnienia.

Celia schroniła się w oranżerii i siedziała pośród rozłożystych palm i paproci, prowadząc rozmowę międzynarodową z ojcem Victora, Roderickiem. Zdjęła kapelusz i położyła go na białym stoliku. Południowe słońce przenikało przez zielone szybki, połyskując na niebiesko-żółtych tureckich płytkach podłogi. Celia siedziała w tej tropikalnej scenerii sztywno wyprostowana, z kieliszkiem wytrawnego sherry pod ręką, niczym księżna w wiktoriańskiej Anglii.

Roderick sprawiał wrażenie zniecierpliwionego i zmęczonego. Spędził w Strasburgu prawie tydzień, dopinając z Flugwerk GmbH skomplikowaną umowę dotyczącą samolotów. Negocjacje szły jak po grudzie, a miał jeszcze tylko sześć czy siedem godzin, by doprowadzić je do trudnego finału. Poza tym w Strasburgu była teraz siódma wieczorem, a on pracował od piątej rano. To właśnie po nim Victor odziedziczył upór i zawziętość.

– Wcale mi się to nie podoba – mówił. – Nie możesz pogadać z Santaną z FBI? Znam go od lat i jest nam winien przysługę.

– Nie sądzę – odparła Celia. – Victor zasugerował to samo, ale Freddie powiedział, że FBI jest ostatnio uczulone na skandale.

– No cóż… nadal mi się to nie podoba.

– Kochanie, to naprawdę najlepsze rozwiązanie. Omówiliśmy ten pomysł bardzo dokładnie i nawet Marini się zgadza, że jest bezbłędny.

– Co on tam wie. Kiedy ostatnim razem poszliśmy za jego sugestią, skończyło się ugodą, która kosztowała nas dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Naprawdę nie ma innego sposobu? To szaleństwo.

– Na pewno jest mnóstwo różnych sposobów – odparła Celia, poprawiając swoje różowe włosy. – Ale nie mamy czasu na zbyt długie analizy. Możemy albo zrobić to tak, jak mówiłam, albo pójść na policję i powiedzieć, co się naprawdę stało. Roddy, bardziej niż reputacja rodziny martwią mnie wybory. Jeśli ludzie się dowiedzą, że Victor miał kłopoty ze striptizerkami, nie będą głosować na Russella…

– Zaczekaj, aż wrócę – warknął Roderick. – Tak mu spiorę tyłek, że nie siądzie na nim przez miesiąc.

– Mój drogi, on już nie jest małym chłopcem.

– Więc dlaczego, do diabła, zachowuje się, jakby nim był? Tancerki topless! Co się z nim dzieje, do diabła?

Celia pociągnęła łyk sherry.

– Hester opowiedziała mi kiedyś, że w trzydziestym drugim umawiałeś się z dziewczyną, która grała w burlesce w Denver w Kolorado…

– To stare dzieje. Ważne jest to, co dzieje się teraz. Jak długo to potrwa?

Celia spojrzała na zegarek od Piageta.

– Freddie powiada, że do szóstej powinno być po wszystkim.

– Freddie to zarozumiały mądrala.

– A ty jesteś zmęczony, kochanie. Czemu nie zrobisz sobie drinka i nie położysz się na pół godziny z nogami w górze? Poczujesz się znacznie lepiej.

– Lepiej? Jak, do diabła, mam się poczuć lepiej? Właśnie się dowiedziałem, że mój syn jest beztroskim kobieciarzem, a jego kuzyn patentowanym wariatem! A moja żona pomaga im obu. Czy po czymś takim można poczuć się lepiej?

Celia westchnęła.

– Roddy, kochanie, musisz po prostu trochę odpocząć. Zadzwonię do ciebie później, kiedy będę coś więcej wiedziała.

– Zupełnie mi się to nie podoba i gdybym tam był, zrobiłbym z tym porządek. Jesteście bandą durniów.

– Nie musisz być chamski.

Nic na to nie odpowiedział.

– Zadzwonię później – powtórzyła Celia. – A teraz nie myśl o tym. Nie mogę powiedzieć, żebym lubiła Freddiego, jednak sądzę, że wie, co robi.

– W porządku – mruknął Roderick. – Poddaję się. Ale nie zapomnij mi powiedzieć, co się tam u was dzieje. Bez względu na porę. Kiedy tylko

będziesz miała jakieś wiadomości, dzwoń do mnie.

– Dobrze, mój drogi. I pamiętaj o tym, że cię kocham. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i upiła łyk sherry. Było bardzo wytrawne i szczypało w język, lecz rozgrzewało. Zadzwoniła do Roddy'ego, bo tego wymagała uprzejmość, ale tak naprawdę jego zastrzeżenia wpadały jej do głowy jednym uchem, a wylatywały drugim. Był zbyt pochłonięty transportem lotniczym i wdrażaniem konteneryzacji. Drugi Victor, pomyślała. Byli ulepieni z tej samej gliny: błądzący po omacku mężczyźni potrzebujący silnej kobiety, która by wskazała im drogę i dodała sił. Czasem dochodziła do wniosku, że prawdziwa siła rodziny Corneliusów brała się ze związków jej męskich przedstawicieli z kobietami, które potrafiły zachęcić ich do ambitnego i twórczego zarabiania pieniędzy.

Otworzyła czarną torebkę ze skóry krokodyla i wyjęła notatnik. Złoto-srebrnym ołóweczkiem ozdobionym rubinem zapisała, że ma zatelefonować do Roddy'ego, kiedy będzie miała dla niego jakieś nowe wiadomości.

Victor chodził po trawniku jak człowiek czekający na urodziny swojego pierwszego

dziecka. Miał ochotę zapalić, ale postanowił się z tym wstrzymać, bo mogłaby go zobaczyć matka, której na pewno by się to nie spodobało. A tego dnia bardzo potrzebował aprobaty i gotów był zrobić niemal wszystko, byle ją zdobyć.

Nieco dalej ubrani w brązowe robocze ubrania ogrodnicy spuszczali wodę w basenie, ale nie podszedł do nich, ograniczając swój spacer do aksamitnej powierzchni porośniętego trawą boiska krykietowego i pogwizdując pod nosem z tak nonszalancką miną, jakby był na wakacjach.

Obserwujący go z okna gabinetu Freddie mruknął:

– Ciekawe, co mu chodzi po głowie… Wygląda jak starter na wyścigach konnych, który się zastanawia, czy tor nie jest zbyt grząski.

Marini rozmawiał właśnie przez telefon.

– Nie pytaj mnie o to – odparł. – Ale facet będzie miał kłopoty.

Minęła godzina, zanim lustro wody opadło na tyle, że wyłonił się z niej kufer cadillaca. Freddie i Dick wyszli obejrzeć wrak. Celia, Tess i Ally zostały w domu, od czasu do czasu wyglądając przez okna salonu i sprawdzając postępy pracy, ale omijały wzrokiem martwą tancerkę.

Jeden z ogrodników zapalił papierosa i poczęstował Freddiego. Kiedy młody człowiek wziął papierosa, robotnik podał mu ogień, osłaniając dłońmi płomień zapalniczki.

– Wiesz pan co? – zagaił. – Kiedy się jest trupem, to nieważne, ile się miało pieniędzy.

Freddie się uśmiechnął.

– Tak, pewnie dla trupa to nieważne – odparł. – Ale dla tych, których się zostawiło, bardzo ważne.

Oleista woda cal po calu powoli spływała z samochodu. Po chwili wyłonił się cały tył auta i z bagażnika trysnęła woda. Freddie widział skuloną Ariadne na przednim siedzeniu, jej mokre włosy i przyciśnięty do szyby biały policzek, i poczuł, że śniadanie obraca mu się w żołądku.

– Pomoc drogowa już jest? – spytał Dicka.

Adwokat kiwnął głową.

– Przyjechała dziesięć minut temu. Stoi teraz za domem i czeka, aż posprzątamy. Nieprzyjemny widok, co?

Freddie zaciągnął się papierosem i nic nie odpowiedział.

Wkrótce basen został opróżniony. Pozostały w nim tylko smugi oleju i woda, która wypłynęła z samochodu. Jeden z ogrodników włożył

gumiaki i ostrożnie przeszedł po śliskim dnie do boku samochodu.

– Nie żyje na amen! – zawołał.

Zabrzmiało to absurdalnie, ale był zdenerwowany, zbierało mu się na wymioty i nic innego nie przyszło mu do głowy. Zresztą i tak nikt tego nie skomentował.

Dołączył do niego drugi ogrodnik, otworzyli drzwi i wyciągnęli Ariadne z samochodu. Srebrzysta wieczorowa sukienka wyglądała jak zmięta folia aluminiowa. Zanieśli trupa po schodach w górę stoku, położyli na noszach i przykryli szczelnie złożonym na pół prześcieradłem.

Freddie podszedł do noszy, popatrzył na wykrochmalony całun, po czym pochylił się i uniósł go dwoma palcami. Dziewczyna miała zamknięte oczy. Ciało nabrało już sinoniebieskiej barwy jak ser stilton, a policzki nabrzmiały. Na nosie trupa widniał wielki ciemnobrązowy siniak.

– Więc to ty jesteś Ariadne… – mruknął Freddie.

Niemal oczekiwał, że dziewczyna otworzy oczy i coś mu odpowie, ale pozostała nieruchoma. Zakrył ją prześcieradłem i wyprostował się.

– No dobrze – powiedział. – Do roboty.

Stojący za nim Dick dał znak ręką i po chwili rozległ się warkot ciężkiego diesla. Wielki pomarańczowy samochód pomocy drogowej wynurzył się tyłem z boku domu i wjechał na trawnik. Prowadził go Walther, szofer Victora. Obok niego siedział niski, mocno zbudowany Polak w czerwonym kombinezonie i czerwonej bejsbolówce, właściciel warsztatu samochodowego w Hyannis. Wysiadł z kabiny, odpiął dwa haki zawieszone z tyłu ciężarówki i wsunął się pod cadillaca, by przymocować je do podwozia. Zapłacono mu sporo pieniędzy, więc robił dokładnie to, co mu kazano, i w ogóle się nie rozglądał. Skoro chcieli wyciągnąć auto z basenu, będą je mieli wyciągnięte. Kiedy ci wpada do kieszeni pięć tysiaków, nie pytasz, skąd ci wpadły ani dlaczego.

W końcu haki zostały zamocowane. Polak krzyknął do Walthera i kierowca uruchomił silnik. Wyciągarka powoli napięła łańcuchy i cadillac drgnął. Po kilku minutach długa limuzyna przesunęła się po wyłożonym płytkami dnie basenu, piszcząc mokrymi gumami, podskoczyła na stopniach i znalazła się za ciężarówką pomocy drogowej. Diesel zawarczał i Walther powoli odjechał, ciągnąc cadillaca za

sobą. Po chwili oba pojazdy okrążyły róg domu i zniknęły na długim, obsadzonym drzewami podjeździe.

Freddie przeciągnął ręką po włosach i odwrócił się do Mariniego.

– No to samochód mamy już z głowy. Teraz zobaczmy, co da się zrobić ze świętej pamięci Ariadne.

Podszedł do nich Victor. W jasnozielonej marynarce wydawał się szczuplejszy i wyglądał, jakby dokuczały mu mdłości.

– Jak się czujesz? – spytał go Freddie. – To już nie potrwa długo. Zaraz skończymy.

Victor kiwnął głową.

– To ona? – spytał, wskazując prześcieradło na noszach.

– Tak, ona – potwierdził Freddie. – Jeśli coś dla ciebie znaczyła, lepiej na nią nie patrz.

Victor opuścił głowę i kopnął trawę spiczastym butem od Gucciego.

– Nie zamierzałem – wymamrotał. – Ale nie sądzę, żeby wiele dla mnie znaczyła.

Dick i Freddie wymienili spojrzenia, a Victor odwrócił się i ruszył w stronę domu. Freddie wzruszył ramionami i powiedział:

– No dobra, zrobimy tak…

♦ ♦ ♦

O wpół do szóstej po południu zerwał się wiatr i rękaw lotniczy na lotnisku Hyannis zesztywniał i zaczął podskakiwać. Jeśli nie liczyć niskich bladokremowych chmur na południowym zachodzie, niebo było niemal zupełnie czyste. W powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy.

Na betonowym pasie startowym czekał learjet, niewielki odrzutowiec. Oba silniki maszyny już pracowały. Nieopodal stała czarna limuzyna marki Cadillac. Grupka mężczyzn w jasnych letnich marynarkach rozmawiała, a szofer w płowym uniformie polerował lśniącą karoserię, usuwając z niej nieistniejące smugi.

– Tu masz zaznaczoną trasę – powiedział Freddie, wskazując północno-wschodnią część wybrzeża na szarpanej wiatrem mapie. Miał na nosie ciemne odblaskowe okulary, kryjące oczy. – Kiedy dolecisz do tego miejsca, zgłosisz rutynowy komunikat pogodowy. Jeśli odpowiemy, że przyjęliśmy, lecisz dalej, aż znajdziesz się w tym miejscu. Wtedy wyślesz sygnał SOS. Jasne?

Pilot, szczupły Belg o smutnych oczach i jasnych krótkich wąsach, kiwnął głową. Garbił się, wbijając ręce w kieszenie wiatrówki

i przestępując z nogi na nogę w jakimś skomplikowanym tańcu własnej aranżacji.

– Piętnaście sekund po pierwszym SOS zaczynasz lot nurkowy – mówił dalej Freddie. – Wyślesz jeszcze dwa lub trzy sygnały, a potem wyskoczysz. Nie zapomnij aktywować czujnika różnicy ciśnień, bo inaczej samolot się nie rozleci. Zawiadomimy Straż Przybrzeżną, która powinna cię wyłowić w ciągu pięciu czy dziesięciu minut. Zrozumiałeś wszystko?

– Pewnie – odparł pilot. – Robiło się wcześniej takie rzeczy.

Freddie popatrzył na zegarek, a potem na Victora i Mariniego.

– Jest piąta trzydzieści dwie. Ktoś ma jakieś wątpliwości, jakieś zastrzeżenia? Jeśli tak, to słucham… to ostatni moment, żeby je zgłosić.

Victor pokręcił głową. Był czerwony na twarzy i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Popołudniowa bryza rozwiewała jego rzadkie włosy.

Freddie położył rękę na ramieniu pilota.

– W takim razie do roboty. Nie zapomnij wysłać odpowiednich sygnałów w odpowiednich miejscach, inaczej wszystko pójdzie w diabły.

Pilot uśmiechnął się krzywo.

– W diabły? – powtórzył. – Przecież chcecie, żeby poszła sobie w diabły, no nie?

Marini wysiąkał nos.

– Daruj sobie takie dowcipy – warknął. – Po prostu zrób, co do ciebie należy. Zobaczymy się, kiedy będzie po wszystkim.

Pilot zasalutował i ruszył do samolotu.

– Jak myślisz, można mu zaufać? – zapytał z niepokojem Victor. – Co będzie, jeśli poleci prosto do Bostonu i zawiadomi policję?

– Niczego takiego nie zrobi – odparł Freddie. – Wie dobrze, kim jesteśmy, i wie, że jeśli coś pójdzie nie tak, nigdy więcej nie siądzie za sterami samolotu żadnej linii lotniczej, nigdzie. Poza tym ma rekomendację Boaza.

– To całkiem niezła rekomendacja – stwierdził Dick. – Mam tylko nadzieję, że oprócz dobrych referencji ma także szczęście. – Znowu wysiąkał nos i mruknął: – Ta alergia kiedyś mnie zabije.

– Co robić, przed pyłkami nie uciekniesz – powiedział Victor.

Pilot wspiął się do learjeta i zamknął drzwi. Nawet im nie pomachał. Po chwili jęk silników przybrał na sile i samolot ruszył, podskakując na nierównościach pasa. Victor, Freddie i Marini, zasłaniając rękami uszy, odprowadzali go

wzrokiem, gdy oddalał się pod wiatr, przypominając białego rekina.

– Mam nadzieję, że to wypali! – zawołał Marini. – Ten odrzutowiec kosztował prawie pół miliona dolarów.

Freddie pochylił się w jego stronę i krzyknął:

– Jeśli wypali, zaoszczędzimy na tym dwa razy tyle!

Victor milczał – jak zresztą przez cały dzień. Czuł się okropnie upokorzony, musząc wzywać na pomoc kuzyna, żeby pomógł mu posprzątać po tym, z czym sam nie potrafił się uporać. Uważał Freddiego za faceta niegodnego zaufania, zmiennego i nieudolnego, a myśl, że będzie miał wobec niego dług wdzięczności, ciążyła mu niczym ból brzucha wywołany niestrawnością.

Kiedy o piątej czterdzieści pięć lear dostał pozwolenie na start, przemknął po pasie i wzbił się w niebo. Zasłonili oczy przed słońcem, przyglądając mu się, gdy zataczał szeroki krąg, a potem skierował się na południowy zachód.

– No dobrze – powiedział Freddie, gdy huk silników rozpłynął się w oddali. – Myślę, że czas wracać do domu. Za godzinę rozdzwonią się telefony.

Walther otworzył przed nimi drzwi limuzyny. Gdy wsiedli do niej w ponurym milczeniu jak

żałobnicy na pogrzebie, Victor odchrząknął i powiedział:

– Do domu, Waltherze.

♦ ♦ ♦

Kiedy wrócili, czekał na nich Douglas Schuman, osobisty sekretarz Victora, młody absolwent Yale o okrągłej twarzy, z lokiem Supermana nad czołem i w ciemnym garniturze z wąskimi klapami i rurkowatymi spodniami. Siedział właśnie nad zeznaniami podatkowymi Victora dla urzędu podatkowego w Chicago, ale na wezwanie Freddiego natychmiast przyleciał do Bostonu. Gdy limuzyna zatrzymała się przed imponującym pilastrowym portykiem w Spiermont, zgrzytając na żwirze, podszedł do niej uśmiechnięty od ucha do ucha, z wyciągniętą ręką.

– Witaj, Victorze! – zawołał.

Nieco oszołomiony Victor ujął jego dłoń i powiedział:

– Cześć, Douglasie.

Sekretarz uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Fantastyczna wiadomość – oświadczył. – Naprawdę byłem zaskoczony. Nie potrafię

powiedzieć, jak bardzo wszyscy są zachwyceni. Cudowna wiadomość.

Victor spojrzał na niego ze zdziwieniem. W jego odczuciu nic, co wydarzyło się tego dnia, nie było fantastyczne, zachwycające ani cudowne. Potrzebował całych trzydziestu sekund, żeby zrozumieć, o co chodzi. Najwyraźniej Freddie, wzywając Douglasa, przedstawił mu jakąś bajeczkę, przykrywkę prawdziwych wydarzeń, i Douglas miał teraz zmieniony kąt widzenia.

– Owszem – mruknął. – Fantastyczna wiadomość, no nie? Jestem bardzo szczęśliwy.

– Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo wszyscy są zachwyceni. Pani Kabotnik chciała przysłać ci kwiaty, ale nie zdążyła. Wspaniałe wieści.

Kiedy weszli do domu, Victor odwrócił się do Freddiego i pytająco uniósł brwi. Kuzyn dał mu dyskretny znak palcami.

– Czy mama w domu? – spytał Victor.

– Przebiera się do kolacji – odparł Douglas. – Sądzę, że będzie na dole za godzinę. Panna Tess i panna Ally też są tutaj. W salonie muzycznym.

– Chyba ja również się odświeżę – stwierdził Marini. – Czy mam zostać na kolacji?

Victor nic na to nie odpowiedział, ale Freddie kiwnął głową i powiedział:

– Zostań. Będziemy cię jeszcze potrzebowali.

Victor przeszedł przez wysoki hol. Echo jego kroków odbijało się od czerwonawych marmurów podłogi. Minął biegnące łukiem białe schody i wszedł do salonu muzycznego. Było to jasnobłękitne pomieszczenie z wypolerowaną drewnianą podłogą i zwisającym z sufitu przepysznym francuskim żyrandolem. W pobliżu okien stał czarny steinway, a pod ścianami znajdowały się dwa bliźniacze szezlongi obite granatowym aksamitem. Tess siedziała przy fortepianie, grając Debussy'ego i trzymając w zębach papierosa w lufce. Ally zdjęła buty, położyła się na szezlongu i zamknęła oczy.

– Wszystko jest pod kontrolą – oznajmił Victor.

Ally otworzyła jedno oko, ale nic na to nie odpowiedziała. Nie wiedziała, czy powinna czuć wobec Victora współczucie, czy obrzydzenie, więc wolała się w ogóle nie odzywać. Rodzina zdecydowała się zewrzeć szyki i razem rozwiązać problem Victora, i na razie to przede wszystkim się liczyło. Plan Freddiego jej się nie spodobał, jednak zgodziła się na niego ze względu na biznesowe i polityczne interesy

rodziny. Niechętnie musiała przyznać, że interesy rodziny są także jej interesami, niezależnie od etyki i niezależnie od wybryków Victora. Zbyt wiele wycierpiała, by w końcu nie uświadomić sobie, że moralność to jedna sprawa, a możliwość przetrwania – druga.

Tess przestała grać i strąciła popiół na porcelanowy spodeczek.

– Boisz się? – spytała Victora, odwracając się na taborecie.

Zmarszczył brwi.

– Bać się? Dlaczego miałbym się bać? – zapytał.

Podszedł ciężkim krokiem do okna, rozsunął białe koronkowe firanki i wyjrzał na dwór.

– Hm, zawsze mogą cię przyłapać.

Wzruszył ramionami.

– Poza tym są jeszcze upiory – dodała Tess. – Wiesz, takie niewidzialne duchy, które przychodzą w nocy i dzwonią łańcuchami.

Odwrócił się.

– Ty i Freddie jesteście ulepieni z jednej gliny, prawda? Wasze komentarze są obrzydliwe. Tak mówisz, jakbyś myślała, że zrobiłem to celowo.

Tess wydęła wargi.

– Nie ma już znaczenia, czy zrobiłeś to celowo, czy nie. Przecież zostałeś wyciągnięty z błota

przez kochaną rodzinkę.

Victor odkaszlnął. Sięgnął do kieszeni po chusteczkę, ale jej nie znalazł. Zadzwonił po kamerdynera.

– Największy kłopot z tobą i Freddiem polega na tym, że nie macie żadnego wyczucia proporcji – stwierdził. – Jak myślicie, skąd się biorą pieniądze? Sądzicie, że każdego ranka wychodzę na dwór i zrywam dolary z drzewa? Straciliście wszelki kontakt z prawdziwym życiem.

Tess popatrzyła na niego i roześmiała się głośno.

– Kontakt z prawdziwym życiem? Daj spokój… – prychnęła. – Jeśli sobie wyobrażałeś, że przez te wszystkie lata żyłeś prawdziwym życiem, to jest z tobą znacznie gorzej, niż myślałam. Jeśli chcesz zobaczyć prawdziwe życie, Victorze, powinieneś spróbować tego, co my zrobiliśmy, Ally, Freddie i ja. Wyjść na ulicę, tam, gdzie to życie się toczy, i poznać ludzi takimi, jacy są.

Nawet na nią nie spojrzał.

– Wróciłaś, no nie? – powiedział. – Poznałaś ludzi takimi, jacy są, ale wróciłaś.

Ally uniosła głowę.

– Lepiej od nich wrócić, niż nigdy ich nie poznać – stwierdziła.

– Pieprzenie – burknął Victor. – Kolumna liczb to w gruncie rzeczy taka sama rzeczywistość jak tłum ludzi. Ludzie i liczby to jedno i to samo. Wszystko jest oparte na robieniu pieniędzy. Żądza posiadania pieniędzy to największa motywująca siła, bez niej nie ma żadnej sztuki, żadnej literatury ani innych dzieł. Dobroć to też pieniądze. Szczodrobliwość to pieniądze.

– A miłość? – spytała Tess. – To także pieniądze?

Nie odpowiedział na to pytanie.

– Dzisiaj cała nasza rodzina zebrała się razem i pomogła mi wyjść z ciężkiej sytuacji – powiedział. – Ta sytuacja nie powstała z mojej winy, jednak stać mnie było na tyle odwagi, żeby powiedzieć prawdę i wziąć na siebie odpowiedzialność za to, co się stało. Chcę, żebyś to zrozumiała, Tess. I ty, Ally. Jeśli z tego powodu macie mi robić wyrzuty przez resztę życia, to lepiej mówcie teraz. Popełniłem błąd, ale działałem w dobrej wierze. Związałem się z dziewczyną, z którą nie powinienem był się wiązać, i stosunki między nami się pogorszyły. A teraz przestańcie cieszyć się z mojego nieszczęścia i niech sytuacja się wreszcie unormuje.

Do pokoju weszli Freddie, Marini i Schuman, a za nimi dwaj służący w białych kurtkach, niosący cztery butelki szampana Möet w srebrnych kubełkach z wodą z lodem. Kiedy strzeliły korki i pieniące się wino wypełniło smukłe kryształowe kieliszki, z góry zeszła Celia w powłóczystej sukni barwy fioletu i brudnego różu, kupionej u Diora.

– Z jakiej to okazji? – spytała z niepokojem. – Victorze, kochanie, co się stało?

– To mój pomysł, pani Cornelius – powiedział Schuman. – Pomyślałem, że powinniśmy otworzyć szampana, żeby uczcić szczęśliwą wiadomość. Czy wszyscy mają kieliszki? Nie uważa pani, że to najbardziej fantastyczna rzecz, jaka mogła się zdarzyć w tym roku?

– Douglasie… – zaczął Victor, przygryzając wargę.

– To przecież wspaniałe – przerwał mu Douglas. – Cały personel w Chicago już o tym wie i wszyscy jesteśmy bardzo zadowoleni. To wielki dzień.

Freddie przygładził włosy, popatrzył na Celię i lekko wzruszył ramionami, jakby mówił: „Co mogę na to poradzić?”. Celia odpowiedziała mu podobnym gestem i odwróciła się od niego. To, że

Freddie pomógł wyciągnąć Victora z kłopotów, wcale nie znaczyło, że miała za nim przepadać.

– Wobec tego wypijmy – zaproponował Douglas. – Pozwolą państwo, że zabiorę głos. Proszę, weźcie kieliszki, śmiało. Chcę zaproponować toast za Victora i tę uroczą dziewczynę, z którą zamierza się ożenić. Jak ona się nazywa, Victorze?

Ale jego pryncypał nie mógł wydobyć głosu z gardła i nic nie odpowiedział.

– Ariadne… – wymamrotał Marini.

– Jakie piękne imię! – zachwycił się Douglas. – A zatem za Victora i Ariadne. Oby żyli długo i szczęśliwie!

Zapadła długa cisza. W końcu Freddie podniósł swój kieliszek i powiedział głośno:

– Za Victora i Ariadne.

– Za Victora i Ariadne! – zawtórowali mu pozostali i wypili.

♦ ♦ ♦

Kilka minut po godzinie szóstej wieczorem kapitan płynącego wzdłuż wybrzeża Long Island tankowca *Esterbrook* usłyszał zgrzyt rozrywanego metalu. Podniósł głowę znad czytanej książki i zobaczył niewielki biały

samolot spadający z niebieskiego letniego nieba. Zaraz potem z maszyny wydobył się czarny obłoczek dymu i rozległ się niezbyt głośny huk – nie głośniejszy niż trzask zamykanych drzwi.

Kapitan natychmiast kazał zawrócić. Silniki zwolniły i *Esterbrook* zatoczył szeroki łuk. Potrzebował zaledwie jedenastu minut, aby dotrzeć do szczątków białego odrzutowca. Kawałki skrzydeł i kadłuba unosiły się i opadały w spokojnej wodzie, ale nigdzie nikogo nie było widać.

Statek przez kwadrans pływał wokół szczątków, zanim załoga dojrzała dym flary sygnałowej, unoszący się jakieś pół mili dalej. Płynąc między odłamkami, dotarli do mężczyzny w kamizelce ratunkowej. Obok niego na wodzie unosił się przemoczony spadochron, wyglądający jak pomarańczowa ośmiornica.

– Dziewczyna! – krzyknął mężczyzna. – Widzieliście dziewczynę?

Gdy spuszczano za burtę siatkę ratowniczą i dwaj marynarze schodzili po niej, by wyciągnąć pilota z morza, kapitan pochylił się nad relingiem i odkrzyknął:

– Nie ma tu żadnej dziewczyny! Ani śladu dziewczyny!

♦ ♦ ♦

Victor włożył czarny garnitur i czarny krawat. Siedzący obok niego Marini miał na sobie szary garnitur z żałobną opaską na rękawie. Blada twarz Victora w blasku reflektorów ekip telewizyjnych wydawała się jeszcze bledsza.

Konferencja prasowa była wyciszona i przygnębiająca. Odbywała się w pokoju bilardowym w Spiermont i technicy CBS pomogli służbie rozłożyć ciemnopurpurowe draperie, tworzące surowe tło stosowne do okoliczności. Victor i Dick Marini zasiedli przy długim stole z mikrofonami, a kilkunastu dziennikarzy zajęło miejsca naprzeciwko nich, na krzesłach przyniesionych z jadalni.

– Panie Cornelius, czy była już ustalona data ślubu? – spytała reporterka o matowym głosie, z okularami na czubku głowy.

Victor zaprzeczył.

– Nie, jeszcze nie.

– Czy to największa osobista tragedia, jaka pana spotkała? – zapytał inny dziennikarz.

Victor przełknął ślinę.

– Nie pamiętam niczego równie strasznego. Mogę tylko powiedzieć, że taka musiała być wola Boga, ale serce mi pęka.

– Rozumiem, że przeznaczył pan dziesięć tysięcy dolarów dla rodziców zmarłej.

– Tak. Nigdy ich nie poznałem, czuję jednak, że dzielą mój ból.

– Panie Cornelius, czy wie pan, co się naprawdę wydarzyło? – spytała reporterka.

Pokręcił głową.

– Opuściła lotnisko w Hyannis tuż przed szóstą wieczorem. Sam ją pożegnałem. Wracała do Los Angeles, aby przekazać dobre wieści rodzicom. Jakąś godzinę później, kiedy świętowałem moje zaręczyny z rodziną… usłyszałem wiadomość o katastrofie.

Jeden z dziennikarzy wstał.

– Panie Cornelius, w imieniu „Massachusetts Post-Dispatch” i wszystkich tu obecnych pragnę panu przekazać szczere wyrazy współczucia.

Victor opuścił głowę.

– Dziękuję – powiedział cicho. – To bardzo uprzejme z państwa strony.

Marini miał przed sobą notatnik i ozdobnymi zawijasami napisał w rogu strony: „Zmienić kąt widzenia”.

♦ ♦ ♦

Następnego dnia Victor otrzymał pierwsze pisemne kondolencje od pogrążonej w smutku opinii publicznej oraz rojący się od błędów ortograficznych telegram od pana Theodorosa Skourosa, dziękującego mu „z głembi serca” za dowód współczucia w postaci dziesięciu tysięcy dolarów. Tego samego dnia ostatnie kawałki jego cadillaca zostały pocięte w warsztacie samochodowym w Hyannis i razem z zardzewiałymi fragmentami innych aut wysłane na złomowisko w Bostonie. Zdziwiony, ale posłuszny Douglas Schuman wypisał kilka czeków na pokaźne sumy i wysłał je z rachunku West Virginia Investments Inc. do właściciela warsztatu, pilota learjeta oraz kilku pracowników Victora w Spiermont, w tym również do Eustace’a i Walthera, a także Dicka Mariniego. Na polecenie Celii wysłał też telegram do przebywającego w Strasburgu Rodericka Corneliusa: „Wszystko załatwione. Kocham cię, C.”.

Tego wieczoru Victor jadł kolację sam. Żując jagnięcinę, zastanawiał się, co mógłby powiedzieć na pogrzebie, gdyby ciało Ariadne kiedykolwiek zostało wyrzucone na brzeg.

1976

RUSSELL WYCOFUJE SWOJĄ
KANDYDATURĘ,
TŁUMACZĄC SIĘ CHOROBĄ SERCA

Gerry Simmons

Zeszłego wieczoru kandydat republikanów, John. T. Russell, wzbudził sensację, oznajmiając, że z powodu choroby serca wycofuje się z walki o prezydenturę. Powiedział, że jest „głęboko zasmucony”, ale nie może kontynuować kampanii, gdyż „lepiej być żywym nikim niż martwym prezydentem”.

„Washington Post”
1976 r.

Gdy Victor ślęczał na miesięczną analizą papierów wartościowych, zadzwonił telefon. Była druga, może trzecia w nocy. Siedział samotnie w wyłożonym dębową boazerią gabinecie, przy zasłanym papierami i wydrukami komputerowymi biurku.

– Tak? – zapytał.

– Victor? Tu Dick Marini.

– Cześć. Wcześnie dziś wstałeś. A może jeszcze się nie położyłeś?

– Cóż… chyba masz kłopot.

Victor przycisnął słuchawkę podbródkiem i w dalszym ciągu sumował dane.

– Strzelaj.

– Znaleziono Ariadne Skouros. Jej ciało zostało wyrzucone na brzeg Fire Island gdzieś koło

Pines. Dwaj geje, którzy kąpali się tam wtedy nago, pobiegli zawiadomić Straż Przybrzeżną.

– Kiedy to było?

– Wczoraj przed południem.

– Dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

– Chyba policja z początku nie wiedziała, że to Ariadne. Ale w końcu rozpoznali ją po naszyjniku. Wiesz, tym szmaragdowym naszyjniku, który jej dałeś. Kiedy odkryli, że jest od Cartiera, jubiler powiedział im, że to ty go kupiłeś.

Victor pociągnął nosem i odchylił się na oparcie skórzanego obrotowego fotela. Za oknami była nieprzenikniona noc.

– No dobra, więc ją znaleźli. Ale w czym problem?

– W tym, że dochodzenie przekazano wydziałowi zabójstw.

Victor zdjął jakąś zabłąkaną nitkę ze swoich moherowych spodni.

– Rozmawiałeś z Henrym? – spytał.

– Nie mogę go dopaść. Sam dopiero się o tym wszystkim dowiedziałem.

– Czy Henry to załatwi?

– Nie wiem.

Victor znów pociągnął nosem. Czuł nadchodzące przeziębienie.

– Co to znaczy, że nie wiesz? – spytał podniesionym głosem. – Do tej pory zawsze można było na niego liczyć.

– Jasne, ale jest okres wyborczy. Poza tym Henry nie przepada za Russellem.

– Co przez to rozumiesz?

Dick starał się brzmieć optymistycznie, ale jednocześnie bardzo zależało mu na tym, by Victor zrozumiał, że znalezienie ciała Ariadne to nie kolejna kryzysowa sytuacja, z której może się wykpić. Spod drzwi w Waszyngtonie wiał lodowaty przeciąg i Dick martwił się, że finansowe i moralne wsparcie, jakiego Victor udzielał republikańskiej klice z Zachodniego Wybrzeża, doprowadzi do jego politycznej izolacji w nadchodzących wyborach. Od czasu nastania Nowego Ładu rodzina Corneliusów prowadziła przedziwny, ale skuteczny polityczny kontredans, który polegał na wspieraniu republikanów i jednoczesnym uwodzeniu demokratów, jednak Victor albo nie chciał zrozumieć subtelności politycznej postawy rodziny, albo po prostu nie przyjmował do wiadomości istnienia Jimmy’ego Cartera i lewicy z Południa.

– Jeśli Henry jakoś tego nie załatwi, możesz zostać zamieszany w śledztwo w sprawie morderstwa, a to oznacza Chappaquiddick do sześcianu, i Russell nie będzie miał żadnych szans – powiedział.

Victor sztywno usiadł na fotelu.

– Chcesz powiedzieć, że Chapman zrobiłby to celowo?

– Jestem tego pewien.

– No a co z miejscową policją? Co ma do powiedzenia?

– Jest tam pewien kapitan, który nazywa się Styles. Dziwny typ. Sprawdzałem go w komputerze FBI. Zawzięty demokrata. Co więcej, pochodzi z De Soto w Georgii, które leży w okręgu Sumter… tak jak Plains, z którego pochodzi Carter.

– Czy nie możemy ich przekupić? Ile by chcieli?

– Nie da się ich przekupić – odparł Dick.

– Daj spokój, nie wstawiaj mi takiej gadki – warknął Victor. Przeziębienie zaczynało dawać mu się we znaki. – Dowiedz się tylko, ile chcą, i natychmiast wypiszę czek.

– To się nie uda.

– Do diabła, co to znaczy, że się nie uda? Zawsze się udawało! Od niepamiętnych czasów

zawsze się udawało! Co takiego jest z tymi gliniarzami, że nie można ich przekupić?

Coraz bardziej się pocił i miał ochotę się napić. Zadzwonił po Eustace'a.

– Być może będziesz musiał wyjawić prawdę – powiedział Dick.

Victor przez chwilę się nie odzywał.

– Zapłaciłem siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby załatwić tę sprawę – oświadczył w końcu. – Nie wyobrażam sobie, żeby mogła zostać schrzaniona. Siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów, Dick.

– Tak, wiem. Ale nie chodzi o to, że przykrywka była nieskuteczna. Przynajmniej nie sądzę, żeby tak było. Cała operacja z odrzutowcem poszła jak z płatka.

Eustace wciąż się nie pojawiał i Victor ponownie niecierpliwie nacisnął dzwonek.

– Jak z płatka? – warknął. – To dlaczego oddano tę sprawę do wydziału zabójstw?

Dick westchnął.

– Wygląda na to, że dostali od kogoś cynk.

Victor zmarszczył czoło.

– Kto dostał cynk?

– Wydział zabójstw. Ktoś im powiedział, że to mogło być morderstwo.

– Ale kto, do diabła?

– Tego nie wiemy. Rozmawiałem z jednym z dziennikarzy z Massachusetts, Jackiem Mannersem, i dowiedziałem się, że zamierzają opublikować artykuł o tajnym informatorze wydziału zabójstw.

Victor walnął pięścią w biurko.

– Przecież ja jej nie zabiłem, na litość boską!

– Wiem, Victorze – odparł Dick. – Ale nie o to chodzi, prawda? Dobrze wiesz, że jeśli pojawi się choćby cień skandalu, Russell będzie załatwiony. Przykro mi, lecz nie mogę nic zrobić.

Victor przetarł twarz. Był zmęczony i niespokojny, jednak się zawziął. Niech spróbują mu dołożyć. Dziadek nigdy by się nie poddał, więc on też tego nie zrobi. Spuści tym draniom łomot. Jeszcze się okaże, kto wygra. Żaden Cornelius nie schodzi z ringu przed czasem.

– Dick, chcę, żebyś dobrze przemyślał tę sprawę – powiedział cicho. – Chcę, żebyś zadzwonił do Ricarda Riccionego w Thornwood i poprosił go o pomoc.

Marini nic na to nie odpowiedział.

– Dick? – spytał Victor. – Słyszałeś?

– Tak – potwierdził adwokat. – Słyszałem.

– Więc o co chodzi?

– Och, daj spokój, Victorze, przecież to nic nie da – odparł Dick. – Równie dobrze mógłbyś

powiedzieć policji całą prawdę. To nie czasy młodości twojego ojca. Jeśli zlecisz mokrą robotę, dziennikarze oblezą cię jak muchy. Każdy reporter w Stanach chce być Woodwardem i Bernsteinem. Nie masz żadnych szans. Zresztą kogo chcesz wykończyć? Stylesa?

– Nie. Chapmana.

– Chcesz zamordować zastępcę prokuratora generalnego? Chyba zwariowałeś!

– Do cholery, pozbędę się każdego, kto mi stanie na drodze! – ryknął Victor.

– Victorze…

– Mogę kupić i sprzedać Chapmana siedem razy! Mogę też kupić sobie znacznie lepszego adwokata niż ty, więc lepiej będzie, jak odłożysz słuchawkę. Jesteś zwolniony z roboty!

– Na miłość boską, przestań!

Victor wpadł w taką furię, że jego wściekłe wrzaski zlewały się w niezrozumiały bełkot, i jedna ze śpiących na drugim piętrze pokojówek pomyślała, że ktoś krzyczy z bólu. Ale była dobrze wyszkolona, więc odwróciła się na drugi bok i ponownie zasnęła. Bogacze mogą robić, co chcą, służbie nic do tego.

– Dick! – krzyknął. – Nie możesz mi się sprzeciwiać! Jeśli muszę stuknąć Chapmana,

żeby wykaraskać się z tego bagna, to pomóż mi go stuknąć! I prezydenta też, co za różnica!

Zapadła długa cisza. Victor ściskał słuchawkę, jakby próbował ją zmiażdżyć. Opuścił głowę i ciężko dyszał.

– Jeśli naprawdę zamierzasz to zrobić, odchodzę – oświadczył w końcu Dick.

– Co to znaczy: „odchodzę”? Masz podpisaną umowę! Nie możesz odejść!

– Możesz wsadzić sobie gdzieś moją umowę.

Victor chciał coś jeszcze powiedzieć, jednak się rozmyślił. Z hukiem odłożył słuchawkę na widełki i stał przez chwilę nieruchomo, wydymając zaczerwienione z wściekłości policzki. Po raz kolejny nacisnął guzik, wzywając Eustace’a, po czym ponownie sięgnął po telefon, by zadzwonić do matki. Po trzydziestu sygnałach poddał się i odłożył słuchawkę. Przypomniał sobie o Eustasie, ale kiedy znowu chciał go wezwać, nagle zrozumiał, dlaczego kamerdyner się nie zjawia.

♦ ♦ ♦

Przy Golden Gardens Park w Seattle zatrzymał się złoty cadillac seville i szofer wyłączył wycieraczki. Dzień był pochmurny

i znad zatoki Puget nadciągały nad miasto szare płachty deszczu. W samochodzie siedziała Ally Cornelius, ukryta za przyciemnianymi, pokrytymi kroplami wody szybami, odgrodzona od świata grubą wykładziną i odtwarzaną przez kwadrofoniczny system audio muzyką Czajkowskiego. Miała na sobie popielaty kostium, który ją nieco postarzał, włosy zaczesała do tyłu. Jej jedyną biżuterią były kolczyki z brylantami – dwie wysepki wspaniałych kamieni od De Beersa, rozświetlające ciemny, deszczowy dzień.

Szofer siedział nieruchomo, w ogóle się nie odzywając. Ally poprosiła go, aby zachował dyskrecję i milczenie. Był dokładnie ogolony, miał wypolerowane do połysku czarne buty i starannie wyczyszczoną czapkę.

Po chwili za cadillakiem zatrzymał się czarny buick riviera. Z fotela kierowcy wyskoczył młody mężczyzna, przebiegł szybko w deszczu do złotego samochodu i zastukał w drzwi. Szofer natychmiast wysiadł i otworzył je przed nim.

Mężczyzna usiadł i strząsnął wodę z włosów. Gdy podniósł głowę i po raz pierwszy od dziewięciu lat popatrzyli na siebie, Ally zaszlochała cicho, wyciągnęła ręce i płacząc, okryła jego twarz pocałunkami.

– Ally… – szepnął. – Och, mój Boże, Ally…

Przez chwilę nie mogła się odezwać, bo dławiło ją wzruszenie. W końcu odsunęła się i trzymając go za ręce, chłonęła wzrokiem jego opaloną twarz i całą postać, śmiejąc się i płacząc.

– Och, Clyde… tyle czasu minęło.

Wyjął chusteczkę i wysiąkał nos.

– Nie zmieniłaś się – stwierdził. – Ani na jotę.

Pokręciła głową. Trudno jej było uwierzyć, że to naprawdę on i że naprawdę siedzą obok siebie.

– Nawet jeśli się trochę zmieniłam, nie ma to żadnego znaczenia. Wciąż kocham cię tak samo jak przedtem.

Opuścił wzrok.

– A ty? Nadal mnie kochasz? – spytała po chwili.

Kiwnął głową.

– Nie mogę mówić… – wykrztusił.

Po policzkach pociekły mu łzy i musiał odwrócić głowę. Delikatnie pogładziła go po twarzy i po włosach. Jego ramiona drgały konwulsyjnie, ale starał się opanować emocje.

– To śmieszne – powiedział w końcu przez nos, jakby miał katar, i znów wysiąkał nos. – Od lat nie płakałem.

Pocałowała go w usta.

– Nie ma się czego wstydzić.

– Jak długo zatrzymasz się w Seattle? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Tak samo długo jak ty.

– To znaczy, że nie masz żadnego harmonogramu?

Przeciągnęła palcem po szybie, podążając za kroplą deszczu.

– Zrezygnowałam z harmonogramów – odparła. – Zdecydowałam, że chcę być po prostu szczęśliwa.

– Zostajesz? – spytał.

Kiwnęła głową.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Usiadł wygodniej i wyjął papierosy.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział. – Wiem, że tu jesteś, ale nie mogę w to uwierzyć.

Od Shilshole Bay nadciągała kolejna fala deszczu, strugi wody zalewały drzewa Golden Gardens i spływały po samochodzie.

– Chyba przez cały czas wiedziałam, że muszę tu wrócić, żeby cię odnaleźć – oznajmiła Ally. – Pewnych rzeczy nie da się zapomnieć.

Popatrzył na nią.

– Minęło sporo czasu. Dziewięć lat to bardzo dużo.

– Tak się złożyło, że to Victor za mnie zadecydował – powiedziała.

– Jak to?

Uśmiechnęła się.

– Przez lata godziłam się na wszystko, ale nagle zobaczyłam, jacy oni naprawdę są i jakimi kłamstwami mnie przez cały czas karmiono. Jakby łuski spadły mi z oczu.

– Dzięki Victorowi?

– Och, nie zrobił tego celowo. Chyba słyszałeś o aferze z tą dziewczyną, która zginęła? Dziewczyną z katastrofy samolotowej?

– Pewnie. Mówili o tym w telewizji.

– Byłam w Spiermont, kiedy rodzina zdecydowała, co z tym zrobić.

Clyde wydmuchnął dym.

– Jak to „zdecydowała, co z tym zrobić”? Co mogli zrobić?

– Ona wcale nie zginęła w katastrofie samolotowej – odparła Ally. – Umarła w Spiermont, w nocy poprzedzającej ten wypadek.

Popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Żartujesz! Chcesz powiedzieć, że to Victor ją zabił? Daj spokój, Ally, Victor nie zabiłby nawet muchy!

– Może nie potrafiłby nikogo zabić, ale z pewnością potrafiłby pobić. Ta dziewczyna była tancerką topless i Victor poznał ją w Los Angeles. Przyleciała na Cape Cod i próbowała go namówić, żeby się z nią ożenił. Doszło między nimi do kłótni, pobili się i rano znalazł ją w jednej ze swoich limuzyn na dnie basenu.

Pokręcił głową.

– Chcesz powiedzieć, że wyłowili ją z basenu, a potem przenieśli i… Jezu Chryste! Myślisz, że celowo zniszczyli samolot?

Kiwnęła głową.

– Okropna rozrzutność, prawda? Freddie myślał, że nikt nie będzie podejrzewał, że ktoś zniszczyłby samolot za pół miliona dolarów tylko po to, żeby pozbyć się nikomu nieznanej Greczynki.

– No cóż, chyba miał rację.

– Owszem, miał rację, ale zapomniał o tym, że trzeba jeszcze wyłożyć forsę, aby zamknąć usta ludziom. Wszystko poszło na marne, bo ktoś się jednak wygadał.

– Wiedzą, kto to był? Głębokie Gardło[16] w Spiermont…

Wzruszyła ramionami.

– To mógł być każdy. Poczęstujesz mnie papierosem?

– Oczywiście, proszę.

Kiedy włożyła papierosa do ust, wyjął złotą zapalniczkę Dunhilla i podał jej ogień. Zaciągnęła się głęboko, wydmuchnęła dym i rozluźniła się.

– To właśnie dzięki Victorowi zdałam sobie sprawę z tego, co nasz tato uświadomił sobie prawie dziesięć lat temu – powiedziała.

– Czyli z czego? – spytał.

– Z tego, że bez względu na to, co zrobiłam, i bez względu na to, jak bardzo rodzina Corneliusów by się na mnie krzywiła, nigdy nie zdobyłabym się na takie postępowanie.

Clyde przyglądał jej się bez słowa.

– Miłość, którą ty i ja do siebie czujemy, jest czysta jak śnieg w porównaniu z ich zachowaniem – dodała.

– Dowiedziałaś się czegoś więcej o Bookbinderze i tamtych morderstwach? – spytał. – O to chodzi?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek mógł się o tym czegoś dowiedzieć. Zbyt wielu ważnych ludzi jest w to zamieszanych. Jeśli jednak popełniono te morderstwa w takim samym stylu, w jakim prowadzony jest cały ten interes, mogę tylko powiedzieć, że rodzina Corneliusów jest zgniła do szpiku kości i zawsze taka była.

– Myślisz, że tato właśnie to zrozumiał?

– Och, wydaje mi się, że zawsze o tym wiedział. Ale był taki sam jak reszta… taki sam jak Victor, Freddie, Tess i ja. Znacznie łatwiej znieść zgniliznę niż biedę.

Przez chwilę przyglądała się dymowi papierosowemu.

– Powinnam to zrozumieć już dawno temu, w San Francisco, kiedy Victor wmieszał się w sprawę Destry'ego, jednak całkowicie odsłonił się wobec wszystkich dopiero w Spiermont. Na swój sposób zabił tych dwoje. Zabił Destry'ego i Ariadne Skouros. Zrobił to dlatego, że zarówno dla niego, jak i dla reszty rodziny pieniądze zawsze były ważniejsze niż ludzkie życie.

– Ty też należysz do Corneliusów, Ally. I nie jesteś biedna – mruknął.

Uśmiechnęła się gorzko.

– Wiem. Kiedyś próbowałam się od tego uwolnić, ale okazało się, że nie potrafię. To przekleństwo, z którym muszę żyć. Nie będę udawała, że nie daje korzyści. Czasem dziękuję Bogu, że jestem bogata, chociaż nie śmiem myśleć o ludziach, którzy stracili życie, żebym mogła taka być. Mogę tylko próbować być szczęśliwa, trzymać się z dala od Victora i Celii i wykorzystywać swoje pieniądze najlepiej, jak

potrafię. – Pogładziła go po twarzy. – Zmarnowałam dziewięć lat, Clyde, wierząc, że mam zobowiązania wobec innych. Nie chcę marnować więcej czasu. Cholera, niech ludzie sobie myślą i mówią, co chcą.

Zgasił papierosa.

– Skąd wiedziałaś, że jestem w Seattle? – spytał.

– Mam swoje sposoby.

– Czy te sposoby powiedziały ci również, jak żyję?

Pokręciła głową.

– Pozwoliły mi tylko zdobyć twój numer telefonu, to wszystko. I kosztowało mnie to pięćset dolarów.

Wyjął następnego papierosa i zapalił go. Ally czuła, że teraz może im się udać. Po dziewięciu latach tęsknoty za Clyde'em, po dziewięciu latach niedopuszczania do siebie tego, co wobec niego czuła, podjęła decyzję i teraz był tutaj, równie przystojny i pociągający jak tamtego dnia, w którym go poznała.

– Clyde… Dobrze ci idzie, prawda?

Spojrzał na nią.

– Owszem. Mam teraz własną firmę, Malinsky Fast Food. Półtora miliona dolarów obrotu.

Zaopatrujemy okręgi King, Pierce i Snohomish, w tym również to miasto.

Pogładziła jego dłoń.

– Tak się cieszę, że cię widzę – powiedziała.

Deszcze bębnił w dach cadillaca zaparkowanego przy krawężniku obok Golden Gardens Park, trzy tysiące mil od Cape Cod w stanie Massachusetts, i Ally się wydawało, że dziewięć lat skurczyło się do dziewięciu godzin. Ale nawet dziewięć godzin może wydawać się zbyt długim czasem.

Zauważyła, że na rzęsach Clyde'a znowu błyszczą łzy. Czuła, że coś jest nie tak, chociaż nie potrafiła odgadnąć, co to takiego. Musnęła czubkami palców jego mokre oczy i spytała:

– Clyde… o co chodzi?

Zwiesił głowę na piersi.

– Miałem nadzieję, że może ci powiedzą – rzekł.

– Kto?

– Twoi prywatni detektywi. Ci, których wynajęłaś, żeby znaleźli mój numer telefonu.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Czemu mieliby mi coś mówić?

Zaciągnął się papierosem.

– Może powinni ci powiedzieć, że jestem żonaty i mam dwie córeczki.

Ally podniosła głowę i przez długą chwilę wpatrywała się w sufit cadillaca. W końcu opuściła głowę, ale nie płakała.

– Nie wiedziałam o tym – odparła.

– Skąd mogłabyś wiedzieć? Nie jestem nikim sławnym. Poza tym nie kontaktowaliśmy się ze sobą.

Odwróciła się do niego.

– Twoje córki muszą być śliczne – powiedziała lekko drżącym głosem.

– Tak.

– I jesteś szczęśliwy? Proszę, powiedz, że jesteś szczęśliwy.

Próbował uśmiechnąć się przez łzy.

– Jakie mają imiona? – spytała. – Jestem ich ciotką, a nawet ich nie znam.

– Janie ma sześć lat, a Elizabeth dwa – odparł. – Są gorsze niż chłopcy. Mieszkamy na wschód od miasta, w pobliżu Clyde Hill.

– To dobrze, że masz rodzinę – powiedziała łagodnie. – Pamiętasz dzień, w którym się poznaliśmy w Nowym Jorku?

– Pewnie. Padał wtedy śnieg.

– A wieczór w Waszyngtonie, w Madisonie?

– Tak. Kochany stary Madison.

Przez chwilę milczała, a potem zaczęła cicho płakać, mocno zaciskając usta. Próbował ją objąć,

ale odpędziła go machnięciem ręki.

– Idź już.

– Ally…

– Idź – załkała. – Proszę, mój ukochany, idź. Tak bardzo cię kocham. Proszę cię, idź. Proszę!

Chwilę odczekał, ale kiedy nie przestawała płakać, pochylił się i delikatnie pocałował ją w czoło. Potem otworzył drzwi, wyszedł na zacinający deszcz i pobiegł z powrotem do swojego buicka.

Zanim do niego wsiadł i odjechał, obejrzał się jeszcze i zobaczył bladą twarz Ally Cornelius w ramie tylnej szyby cadillaca, pokrytej strugami deszczu znad zatoki Puget, które zalewały Golden Gardens.

♦ ♦ ♦

Roderick Cornelius stał przez chwilę i wciągał powietrze jak stary wyżeł łapiący wiatr. Bursztynowe światło popołudnia na polu golfowym w Kenwood dotknęło już dalekich drzew, a na trawie kładły się długie cienie graczy. Obok Rodericka stał zastępca prokuratora generalnego, Henry Chapman. Poprawił czerwoną czapeczkę z daszkiem

i pomachał kijem, szykując się do niełatwego uderzenia przy kępie wysokiej trawy.

– To pole robi się coraz trudniejsze – zauważył. Był niskim, przysadzistym mężczyzną z krótkim szczeciniastym wąsikiem i gąbczastą, porowatą twarzą, która wyglądała, jakby ją przetarto grubym papierem ściernym. – Albo jestem zupełnie bez formy.

– Nie grałem tu od roku – powiedział Roderick.

Chapman zrobił kilka próbnych zamachów.

– Wszystko dobrze idzie, dopóki się koncentrujesz i główkujesz. To jedno z tych pól, na których niewiele zwojujesz bez główkowania.

– Pewnie masz rację – mruknął z roztargnieniem Roderick.

Zapadła chwila ciszy, a potem prawnik krzyknął: „Uwaga!” i wybił piłeczkę. Spadła w wysoką trawę. Jego czarny caddie zdjął czapkę i zrobił taką minę, jakby żałował, że zamiast męczyć się dla takiego fajtłapy, nie podbija serc publiki komediowymi skeczami na łopatkowcu pływającym po Missisipi.

– Chyba wiesz, że jestem tu nie tylko z powodu golfa – powiedział Roderick.

– Domyślam się, że chciałeś ze mną pogadać.

– I chyba wiesz o czym, prawda?

Chapman nic na to nie odpowiedział. Należał do prawników, którzy woleli, żeby ich klienci wykładali kawę na ławę. Kiedy jeszcze brał udział w procesach, rzadko przesłuchiwał swoich świadków i jego przeciwnicy twierdzili, że odnosi sukcesy nie dzięki temu, co mówi, ale dzięki temu, co przemilcza. Jeden z nich nazwał go Wściekłym Niemową.

– Rozmawiałem z Victorem o tym, co się wydarzyło – dodał Roderick.

– Tak?

– Zapewnił mnie, że nie ma mowy o zabójstwie.

Prawnik pokręcił głową.

– Ktoś jednak musiał pomyśleć, że doszło do zabójstwa… Inaczej nie zawiadamiałby policji.

– Pewnie to jakiś stary służący, który czuł do Victora urazę – stwierdził Roderick. – Przecież wiesz, jacy oni są.

Chapman zatrzymał się i wbił w niego spojrzenie załzawionych oczu.

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jacy są służący – odparł. – Ale chciałbym wiedzieć, co sobie wyobrażają ich państwo.

– No cóż… – mruknął Roderick. – To wszystko było pomyłką.

– Pomyłką? „Massachusetts Post-Dispatch” sugeruje, że panna Skouros była martwa, zanim samolot wpadł do wody. A nawet zanim wystartował.

– Przecież to jakiś absurd. Myślisz, że zniszczylibyśmy samolot za pół miliona dolarów tylko po to, żeby pozbyć się ciała?

Chapman pogładził wąsy.

– Tak – odparł.

Roderick uciekł wzrokiem w bok. Niebo powoli gasło, przybierając bladofioletową barwę. W oddali widać było chmury, które przypominały bitą śmietanę.

– Masz rację – przyznał w końcu Roderick.

Prokurator pokiwał głową.

– Tak mi się wydawało. Znam was, Corneliusów, lepiej, niż przypuszczacie. Jesteście bogaczami przez duże „B”. Jeden samolot więcej czy mniej to dla was pestka.

– Ale to nie było zabójstwo – powtórzył Roderick.

Chapman uniósł brwi.

– A co w takim razie? Śmiertelny przypadek niestrawności?

– Henry, to wcale nie jest śmieszne.

– Wyrzucenie pół miliona dolarów na pewno nie jest śmieszne.

– Ta dziewczyna zabiła się sama – powiedział Roderick. – Utopiła się w basenie w Spiermont. Pokłóciła się poprzedniego wieczoru z Victorem i była na niego zła. A Victor… przyznał się, że jej wtedy przyłożył. Prawie złamał jej nos.

Prawnik westchnął.

– Czemu od razu tego nie powiedział? Czemu nie powiedział prawdy? Wiesz przecież, że to byłoby najlepsze. Pozwoliłem kilku mordercom wywinąć się od krzesła elektrycznego, bo powiedzieli prawdę.

– Daj spokój, Henry, pomyśl zdroworozsądkowo… Victor jest zwolennikiem Russella. Jeśli choć część tej historii ujrzy światło dzienne, Russell będzie załatwiony.

Chapman skrzywił się lekko.

– Ani mnie to ziębi, ani grzeje.

– Może masz rację. Może obu nas nie powinno to ani ziębić, ani grzać. Sądząc po tym, jak układają się sprawy, pewnie powinniśmy się cieszyć, jeśli nam się uda choć trochę osłabić pozycję jego przeciwnika.

– Chcesz powiedzieć, że Carter może dostać aż takie duże poparcie?

– Nie wiem. Ale zdarzały się już dużo dziwniejsze rzeczy.

– W takim razie co cię gryzie?

Roderick westchnął i przeciągnął ręką po łysiejącej głowie. Nie wyglądał na mężczyznę po sześćdziesiątce, ale też nie sprawiał wrażenia młodzieniaszka. W jego ruchach była pewna sztywność i nie zawsze potrafił się skoncentrować. Często rozmyślał o odległych, dawno zapomnianych czasach, zastanawiając się nad tym, czego dokonał i czy ma jeszcze coś ważnego do zrobienia – jeśli w ogóle coś takiego było.

– Ty i ja zawsze byliśmy przyjaciółmi, prawda? – zapytał.

– Owszem – przyznał prawnik.

– Wiesz, ile Victor dla mnie znaczy.

Chapman podszedł do dużej kępy trawy, w którą wpadła jego piłka. Pochylił się i przez chwilę oceniał ukształtowanie terenu.

– Tak naprawdę to nie wiem – odparł. – Zawsze miałem wrażenie, że Victor niezbyt cię obchodzi.

– Henry, proszę cię o przysługę.

Prawnik wyprostował się powoli i popatrzył mu w oczy.

– Roddy, możesz mnie prosić o wiele rzeczy, o wiele przysług… i wiesz, że zrobię wszystko, co mogę, żeby pójść ci na rękę – powiedział. – Ale

nie proś mnie, żebym zatuszował udział twojego syna w tej aferze, bo na pewno tego nie zrobię.

– Henry, to sprawa życia i śmierci. Jeśli pojawi się choćby cień skandalu, kandydatura Russella przepadnie. „Post-Dispatch” już narobił dość złego, rozsiewając plotki. Trzeba to jakoś powstrzymać.

– Nie tak dawno ktoś inny też doszedł do takiego wniosku, ale nic mu z tego nie przyszło – mruknął z uśmiechem prawnik.

– Henry, to nie Watergate.

– Wiem, ale próbujesz utrudniać działanie organów sprawiedliwości – odparł Chapman. – Popełniono przestępstwo, a ty prosisz pracownika administracji rządowej, żeby użył swoich wpływów i powstrzymał wdrożenie odpowiednich procedur prawnych.

Roderick przez chwilę wpatrywał się w niego, przygryzając wargę.

– Musisz mi pomóc – powiedział.

– Dlaczego?

– Dlatego że cię o to proszę, Henry. I dlatego że robiłeś to w przeszłości.

Chapman uśmiechnął się lekko.

– Czy to szantaż?

– Och, daj spokój, Henry. Oczywiście, że nie. Ale dawniej pomagałeś nam bez oporów i zawsze

otrzymywałeś za to hojne wynagrodzenie, więc musisz przyznać, że daje nam to pewną możliwość nacisku.

– Czyżby? Nie jestem o tym przekonany. Myślę, że jesteś w gorszej sytuacji niż ja. Prawdę mówiąc, jesteś w bardzo paskudnej sytuacji. Jeśli ci nie pomogę, Victora czekają kłopoty, i co wtedy zrobisz? Powiesz prasie, że mnie opłacałeś? Nigdy w życiu. Jeśli Russell w ogóle ma jakieś szanse, po twoim wystąpieniu natychmiast je straci.

Roderick westchnął. Wiedział, że caddie czekają na nich i wkrótce zapadnie mrok. Za pół godziny będzie zbyt ciemno, aby dalej grać. Z odległych drzew zerwało się stado czarnych ptaków, wyglądających jak drobinki pyłu węglowego strzepnięte z leżącego przed piecem dywanika.

– Henry, proszę cię o pomoc – powtórzył. – Nie naciskam cię ani nie szantażuję. Proszę o to jako twój przyjaciel.

Henry Chapman dał znak swojemu caddie.

– Niblick[17].

Roderick cierpliwie czekał na odpowiedź. Światło przygasło jeszcze bardziej i w trawie zaszeleścił chłodny powiew ciągnący znad Wood Acres. W takie wieczory Roderick najwyraźniej

uświadamiał sobie, jaki ogromny jest kontynent, na którym stoi. Czuł się maleńką drobiną na wielkiej mapie Ameryki.

Chapman uniósł kij, jednak po chwili opuścił go i spojrzał na Rodericka.

– Dobrze wiem, że sam też nie jestem bez winy – odezwał się. – Brałem od ciebie pieniądze i w swoim czasie dopuściłem się wielu nieetycznych rzeczy. Myślę jednak, że pora się opamiętać. Dotyczy to nie tylko mnie, ale także nas wszystkich, dlatego mówię „nie”.

Roderick milczał przez długą chwilę.

– Rozumiem – mruknął w końcu.

– Jeśli chcesz odwołać grę, nie będę ci miał tego za złe – dodał prawnik.

Roderick uśmiechnął się słabo.

– Nie, Henry. Grajmy dalej. Przynajmniej będę miał okazję dać ci w kość.

Chapman kiwnął głową.

– Jeśli tego chcesz, proszę bardzo. Cóż, w domu pewnie sam dostaniesz w kość od Celii, prawda?

♦ ♦ ♦

Tego dnia była zmienna pogoda i co chwila kropiło. Wieże World Trade Center raz po raz

znikały w chmurach, a po drugiej stronie, w Jersey, porwanymi, szarymi płachtami jeden za drugim przeciągały przelotne deszcze.

Zabrzęczał interkom i Freddie spytał:

– Słucham?

– Panie Secker, ma pan gościa.

– Jakiego gościa?

– Przyszła pani Marini, proszę pana. Mówi, że to ważne.

– Pani Marini?

Sekretarka miała przepraszający głos.

– Próbowałam jej wytłumaczyć, że jest pan zajęty, ale się uparła.

Freddie zaczął obgryzać paznokieć.

– No dobrze, Jeannie. Ale niech chwilkę zaczeka.

Wyłączył interkom. Naprzeciwko niego, na sześciu milczących ekranach telewizyjnych, Jimmy Carter na przemian marszczył się i uśmiechał, Olive Oyl, chłopiec z kreskówki, lunatykował na dachu drapacza chmur, czarna gospodyni domowa w stroju tancerki hula próbowała odgadnąć cenę żółtego pinto, a banda kowbojów pędziła w stronę Ulicy Sezamkowej i reklamy gumy do żucia.

Przetarł oczy. Od rana siedział nad nowym systemem magazynowania ropy. Supertankowce

rodzinnej firmy dostarczały surową i rafinowaną ropę w tak ogromnych ilościach, że wielu klientów nie nadążało z odbiorem. Nie mógł się jednak skupić. Był niespokojny i rozdrażniony, jakby czuł nadciągające nieszczęście. Wyjął papierosa i podszedł do wychodzącego na Wall Street okna.

Znajdował się na tym samym piętrze, z którego podczas swojego panowania w Cornelius Oil spoglądał David Bookbinder, ale wystrój biura był teraz znacznie bardziej wyszukany. Na ścianach pojawiły się flamandzkie arrasy, a pod jedną z nich stała komoda w stylu Ludwika XV, której cena pokryłaby rachunki telefoniczne przeciętnej amerykańskiej mieściny. Jednak atmosfera pozostała ta sama. Nadal czuło się tu ciężki napór bogactwa i wpływów. Było to centrum zarządzania ogromnego imperium naftowego, przemysłu stoczniowego i transportu lotniczego, kierowania całą armią sekretarek, wicedyrektorów, pilotów i robotników na platformach wiertniczych, miejsce obracania milionami dolarów i akcji oraz sporządzania zestawień finansowych. Bookbinder twierdził, że prezesów firm do gabinetów na najwyższych piętrach wcale nie przyciąga widok rzeki Hudson

ani nawet myśl, że zasiadając tak wysoko, znajdują się bliżej Boga – ale to, że łatwiej było im sobie tutaj wyobrazić, iż cały świat jest kolorową wielowarstwową mapą, po której pracowicie biegają ich klienci i personel.

Freddie stał przy oknie, mrużąc oczy przed dymem unoszącym się z papierosa, którego trzymał w ustach. Choć nie mógł tego wiedzieć, wyglądał dokładnie tak samo jak jego matka tego wietrznego dnia, kiedy stała na Long Island, patrząc na Moriches Bay i mówiąc bratu, że umiera. Był zbyt chudy jak na swój wzrost, a w białej jedwabnej koszuli i starannie wyprasowanych szerokich spodniach sprawiał wrażenie dziwnie kruchego. Jedna z jego przyjaciółek, romantyczka o wielkich ciemnych oczach jak z portretów prerafaelitów, córka przedsiębiorcy siedzącego w odpadach zawierających rtęć, powiedziała mu kiedyś, że przypominałby Byrona, gdyby angielski poeta był bratem Michaela Douglasa.

Sprawdził czas na cienkim jak wafel złotym zegarku. Nie mógł kazać Helen za długo czekać. Miał nadzieję, że nie będzie miała zbyt wiele do powiedzenia, nie będzie rozdrapywać świeżo zabliźnionych ran. Poza tym i tak zamierzał za dwie godziny opuścić biuro i polecieć

helikopterem na Lynwood. Miała się tam o trzeciej zebrać cała rodzina, żeby uczcić nagrodę, którą Hester otrzymała od Ligi Kobiet Amerykańskich za działalność na rzecz płci pięknej. Nie mógł pozwolić, aby go tam zabrakło.

W końcu nacisnął guzik interkomu.

– Jeannie?

– Tak, panie Secker?

– Proszę wpuścić panią Marini.

Przeszedł w głąb gabinetu po tłumiącym kroki dywanie. Było tu nieco ciemniej. Za jego plecami migotały ekrany. Patrzył na drzwi i czekał na Helen, starając się utrzymać równy puls. Jednak mimo to jej ciche pukanie go zaskoczyło i kiedy weszła, nie przyszły mu do głowy żadne słowa poza zdawkowym powitaniem:

– Jak się miewasz, moja droga?

Zatrzymała się w półotwartych drzwiach. Wydawała się tą samą Helen i jednocześnie kimś innym – często wydaje się tak kochankom po kilkutygodniowym rozstaniu. Pamiętał jej włosy sprzed dwóch miesięcy, równo przycięte i zakrywające do połowy uszy. Teraz były kręte i luźne, a cienie na powiekach ciemniejsze. Pamiętał granatowy kostium, który nosiła, gdy widział ją po raz ostatni. Dziś miała na sobie różowy letni płaszczyk i pachniała nieznanymi

mu perfumami. Jej twarz o wysokich kościach policzkowych i szeroko rozstawionych smutnych oczach była nadal tak samo śliczna, ale bez względu na to, jak często całował te policzki, bez względu na to, jak często zamykała oczy, gdy się kochali, nigdy nie należała do niego.

– Wejdź – powiedział. – I zamknij drzwi.

Uśmiechnęła się do niego.

– Boisz się kompromitacji?

– Nie bardziej niż zawsze.

Zostawiła nieco uchylone drzwi, podeszła do francuskiego szezlongu i usiadła ostrożnie na samym brzegu. Światło z monitorów telewizyjnych przesuwało się po jej twarzy jak obrazy w teatrze cieni. Freddie otworzył francuską papierośnicę z barwionego szkła i podsunął ją swojemu gościowi.

– Dziękuję – odparła i wzięła papierosa.

Zapadła niezręczna cisza. Freddie podszedł do biurka po zapalniczkę i podał Helen ogień.

– Nie spodziewałem się, że znów się spotkamy – powiedział cicho. – Przynajmniej nie prywatnie.

Wydmuchnęła dym i popatrzyła na niego wielkimi ciemnymi oczami.

– Ja chyba też nie.

Usiadł naprzeciwko niej na obrotowym fotelu z hikorowego drewna i przyglądał się jej przez chwilę.

– Aż trudno uwierzyć, jak bardzo bliscy sobie ludzie mogą się od siebie odsunąć.

– Myślisz, że się od siebie odsunęliśmy?

Kiwnął głową.

– Dzieliłem z tobą łoże, Helen, a teraz nawet nie mogę ciebie dotknąć… Nie potrafiłbym dotknąć żadnej kobiety, która mnie nie kocha.

Zmarszczyła brwi.

– Nigdy nie powiedziałam, że cię nie kocham.

– Powiedziałaś, że nie chcesz mnie więcej widzieć. Nie uważasz, że to wystarczy?

Spoglądała na niego smutno przez unoszący się z papierosa dym.

– Chyba masz rację – przyznała.

– No cóż, nie wydaje mi się, żebym miał wielki wybór – mruknął.

Wstała i podeszła do ekranów telewizyjnych. Brutus właśnie deptał Popeye'a i zaczynała się Wyspa *Gilligan'a*.

– Nigdy ich nie wyłączasz?

Wyjął następnego papierosa.

– Dzięki nim wiem, co ludziom się podoba. Są wskaźnikiem popularnego gustu, który rodzina Corneliusów już dawno straciła z oczu.

– A co z rodziną Marinich?

– Skąd mam wiedzieć? Nie jestem panem Marinim i zostałem odtrącony przez panią Marini.

Odwróciła się i popatrzyła na niego. Na jej twarzy malował się taki żal, że musiał uciec wzrokiem.

– To się nie mogło udać, prawda, Freddie?

– Nie wiem. Nigdy nie miałem okazji tego sprawdzić. Może mogło, może nie mogło. Ale o czym my w ogóle rozmawiamy? Jest już po wszystkim, czyż nie? Zamknęliśmy to. Co było, to było, i lepiej do tego nie wracajmy.

– Freddie…

Otworzył zapaliczkę, jednak knot nie chciał się zapalić.

– Helen, zrozum, do cholery, że to na nic – powiedział. – Jeśli mnie nie kochasz, nie mogę cię do tego zmusić.

– Ale…

Westchnął z rozdrażnieniem.

– Co „ale”? Ale chcę zacząć jeszcze raz? Ale sądzę, że było cudownie? Daj spokój, Helen, powiedziałaś mi, że to koniec, bo nie mogłaś dłużej oszukiwać Dicka. Nie mogłaś dłużej okłamywać dzieci. Nie potrafiłaś dłużej patrzeć w twarz znajomym, ponieważ któryś z nich mógł

o nas wiedzieć. Po prostu nie nadawałaś się do sekretnego romansu. Ja zresztą też nie. Więc zostawmy to tak, jak jest.

Przycisnęła do czoła grzbiet ręki.

– Przyszłam cię przeprosić, Freddie – powiedziała cicho.

Położył na krawędzi biurka niezapalonego papierosa, podszedł do niej, ujął ją za ramiona i patrzył na nią przez długą chwilę. Jego szczupła twarz była szara ze zmęczenia.

– Przeprosić? Za co? – spytał.

– Za wszystko. Nigdy nie powinnam była dopuścić, żeby w ogóle do tego doszło.

– Och, daj spokój. Do niczego nie dopuściłaś. To się po prostu zdarzyło. Takie rzeczy zawsze się zdarzają. Dopiero nasze późniejsze decyzje skazują nas na cierpienie.

– Mimo to źle zrobiłam. Nie chciałam cię zranić. Przepraszam.

– I właśnie z tym do mnie przyszłaś?

– Przyszłam powiedzieć, że wciąż cię kocham – odparła, wyzywająco unosząc podbródek.

Odwrócił się od niej.

– A także to, że jeśli chcesz to ciągnąć, jeśli myślisz, że potrafisz wytrzymać napięcie, które się z tym wiąże, chcę z tobą być – dodała. – To się

nie może udać, ale nie szkodzi. Teraz już to wiem.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i wciągnęła dym papierosa tak łapczywie, jakby to był tlen. Lewą rękę z cienką obrączką ślubną na palcu zaciskała nerwowo na rękawie płaszcza.

– Nie mogłabym zostawić Dicka – oznajmiła. – Nie zniosłabym rozwodu. Miałam jednak okazję przyjrzeć się mojemu małżeństwu z dystansu. Ale strasznie za tobą tęsknię, Freddie. Bardzo mi ciebie brak.

Zapadła cisza. W oczach Helen pojawiły się łzy, udało jej się jednak powstrzymać płacz. Już wcześniej postanowiła, że nie będzie próbowała zdobyć go łzami. Jeśli nadal ją kochał, jeśli nadal jej pożądał, była gotowa kochać się z nim, gdzie tylko chciał i jak chciał. Ale nie oczekiwała, że litość lub poczucie winy pomogą mu podjąć decyzję.

Przypomniała sobie tamtą chwilę – tamtą wyjątkową chwilę – gdy po raz pierwszy wziął ją za rękę na pomoście podczas letniego przyjęcia na Lynwood, a potem tańczyli na parkiecie. Orkiestra grała nieznośnie sentymentalną wersję *I've Been Loving You Too Long to Stop Now*, odbijające się w ciemnej wodzie rzeki lampiony wyglądały jak zatopione bożonarodzeniowe

choinki. Dick był na przedłużającym się spotkaniu z Victorem, więc Freddie i Helen tańczyli, dopóki orkiestra nie zrobiła sobie przerwy na piwo i papierosa. Freddie zaprowadził ją wtedy na brzeg rzeki, pod wiszące konary drzew, które szeleściły i szeptały w mroku. Usiedli na ściętym drzewie, sącząc szampana i słuchając rozbawionych głosów dobiegających z pomostu i spośród rozjaśnionych kolorowymi światełkami drzew i krzewów.

Wcześniej nigdy nie rozmawiała dłużej z Freddiem. Zawsze uważała go za człowieka chłodnego i trochę aroganckiego. Ale kiedy mówił o swojej matce i o tym, jak dorastał wśród Corneliusów, próbując nie dać się zmiażdżyć wybujałym ambicjom Victora i wyniosłemu matriarchatowi Celii, zaczęła rozumieć, że jego zdystansowanie jest tylko sposobem ochrony przed wszystkim, co chciała mu narzucić rodzina. Był inteligentny i chłonny, a w sprawach finansowych gotów na ryzyko, od którego włosy stawały dęba. Ale okazał się też opiekuńczy i troszczył się o ludzi, którzy dla niego pracowali. Była to najlepsza cecha, jaką odziedziczył po ojcu. Helen od razu wyczuła tę stronę jego osobowości i nie mogła się jej oprzeć.

Poszli do łóżka pewnej nocy, kiedy Dick był w podróży służbowej razem z Victorem. Pamiętała, że tuż przed świtem Freddie spytał:

– Czy tak właśnie się zakochujesz?

– Nie wolno nam – odparła, gładząc go po włosach.

Teraz jednak stała w mroku jego gabinetu i bardzo chciała, żeby powiedział, że im wolno.

Zabrzęczał interkom. Freddie pochylił się nad biurkiem i wcisnął guzik.

– Tak?

– Pański helikopter już czeka, panie Secker. Kiedy tylko będzie pan gotów…

– Dziękuję, Jeannie.

– Wylatujesz? – spytała Helen.

Kiwnął głową.

– Muszę się dostać na wyspę. Babka została odznaczona.

– Czym? Świeczkami?

Uśmiechnął się.

– Nigdy się nie zmienisz, prawda? Zawsze będziesz taka twarda?

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

– Muszę się jakoś bronić.

Usiadł na krawędzi biurka.

– Może ty też powinnaś się tam pojawić i dołączyć do tej uroczystości. Liga Kobiet

Amerykańskich ma wręczyć babce jakiś medal za to, co zrobiła dla naszych pań.

Helen nic na to nie odpowiedziała. Stała, obejmując się ramionami, jakby było jej zimno.

– Oczywiście większość tego, co dla nich zrobiła, ma wymiar materialny dla naszej rodziny – mówił dalej Freddie, siląc się na beztroski ton. – To część długoterminowego planu redukcji podatków, opracowanego przez Victora. Instytut Umiejętności Domowych imienia Hester Cornelius, szkoły dzienne imienia Hester Cornelius, Biblioteka imienia Hester Cornelius…

W końcu udało mu się uruchomić zapalniczkę i przypalić papierosa.

– Ale to także coś więcej niż pieniądze. Hester ma osiemdziesiąt cztery lata i stała się niemal symbolem. Wielka dama, która odrzuca wyzwolenie kobiet jako wywrotową komunistyczną ideę i broni prawa mieszkanek bogatych dzielnic do bielenia prania, robienia domowych wypieków, wychowywania dzieci o czystych buziach i krótko obciętych włosach i całowania na pożegnanie wychodzącego do pracy męża.

– Czy to takie złe? – spytała z uśmiechem.

– Wcale tego nie twierdzę. John Wayne powiedział, że Hester Cornelius jest ostatnią heroiną Ameryki. A Frank Zappa nazwał ją Cesarzową Panierki do Kurczaka.

Podeszła do niego i położyła rękę na jego dłoni.

– Co teraz zrobimy? – spytała.

W jej głosie nie było urazy, po prostu chciała wiedzieć, na czym stoi.

Popatrzył na nią. Wyglądała bardzo pięknie w łagodnym szarym świetle przedpołudnia. Wiedział, że ją kocha. Pokochał ją od samego początku i ta miłość nie opuszczała go w dzień ani w nocy, jak muzyka, która nigdy nie cichnie, jak zapach, który się nie rozwiewa. Nie wiedział jednak, czy zdoła po raz kolejny znieść niepewność i cierpienie rozstania.

– Gdybym cię poprosił, żebyś zostawiła Dicka, zrobiłabyś to? – spytał łagodnie.

W zamyśleniu pogładziła grzbiet jego dłoni.

– Wiesz, co by się stało, gdybym to zrobiła. Dick przestałby ci ufać, ale Victor odmówiłby jego zwolnienia, a nawet gdyby to zrobił, wyglądałoby to tak, jakby rodzina Corneliusów wyrzuciła go na bruk, bo Freddie Secker miał ochotę na jego żonę.

– Do diabła z nimi wszystkimi. Niech sobie myślą, co chcą.

– Wiesz, że nie możesz do tego dopuścić, Freddie. Pomyśl, jak wielkie szkody by to przyniosło.

Przez chwilę przyglądał się jej palcom przesuwającym się po żyłach na jego ręce.

– Jesteśmy dorośli, Helen. Dick kiedyś będzie musiał się z tym uporać. Jeśli nie ja, znajdzie się ktoś inny.

Pokręciła głową.

– To nie mógłby być nikt inny. Nie w moim przypadku.

– Więc go zostaw.

Zapadła cisza, ale po chwili Helen szepnęła „Nie” i wiedział, że mówi serio.

– Będę twoją kochanką tak długo, jak długo będziesz mnie chciał, i tak długo, jak tylko będziemy mogli. Ale nie mogę zostawić Dicka. Nie teraz.

Przypomniał sobie, jak cudownie pachniała po każdej spędzonej z nim nocy, gdy wczesnym rankiem leżeli nago na szerokim łożu z baldachimem w jego domu w Charlestonie. Było to połączenie zapachu perfum Gucciego, wysychających miłosnych soków, trawy niesionej zachodnim wiatrem i kwiatów z ogrodu.

Przypomniał sobie piersi Helen, jej duże sutki pobudzone chłodem z jeziora i włosy na swoim policzku. Pamiętał pewien poranek, gdy obudziwszy się, stwierdził, że wstała już z łóżka, i znalazł ją w salonie muzycznym. Siedziała przy białym steinwayu, miała twarz oświetloną promieniami wschodzącego słońca i grała Mozarta.

Zgasił wypalonego do połowy papierosa i wstał.

– No cóż – mruknął. – Skoro nie możesz zostawić Dicka, to trudno.

Popatrzyła na niego z niepokojem.

– Więc nie…

Pogładził jej policzek, a potem wplótł palce w jej włosy.

– Nie potrafię ci się oprzeć – powiedział. – Bez względu na to, czy to dobrze, czy źle, bez względu na to, czy możesz go zostawić, czy nie.

Niemal nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– To znaczy, że mi wybaczysz? – spytała.

Uściskał jej ręce i pokręcił głową.

– Nie mam ci nic do wybaczania. Nie trzeba nikomu wybaczać tego, że cię kocha.

W jej oczach znowu pojawiły się łzy i spłynęły po policzkach.

– Freddie… – wyszeptała.

Objął ją mocno i chociaż jej perfumy pachniały obco, nadal była tą samą Helen Marini, którą wcześniej obejmował w Nowym Jorku, Waszyngtonie i Charlestonie. Ich wspólne noce zawsze kończyły się porankami i popołudniami zbyt szybko przechodzącymi w zmierzch. Pocałował ją. Smakowała łzami i po chwili poczuł także wilgoć na swoich rzęsach.

– Czemu nie chcesz polecieć na Lynwood? – spytał. – Helikopter może cię odwieźć do domu na drugą.

– Nie mogę. Powiedziałam Dickowi, że będę na zakupach.

– I co z tego? Powiesz, że zjadłaś lunch u Pierre'a. Czekanie na kelnera trwa tam równie długo jak lot na Lynwood i z powrotem.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

– Nigdy się nie zmienisz. Zawsze jesteś tak samo impulsywny.

– Lepiej być impulsywnym niż konającym.

Pocałowała go w policzek.

– W takim razie lecę z tobą. Kiedy startujemy?

Spojrzał na zegarek.

– Za dwie i pół minuty. Nie lubię się spóźniać na uroczystości Corneliusów. Zwłaszcza od czasu, gdy Victor tuż przed przyjęciem w Carina Mia

spławił Isaaca Hayesa. Powiedział, że nie lubi rock and rolla. Uwierzyłabyś?

– Jeśli chodzi o Victora, uwierzę niemal we wszystko.

Znów się pocałowali – bardzo powoli, jak dwoje ludzi, którzy długo tego nie robili.

– Tak się cieszę, że przyszłaś – powiedział. – Nie wiem, co teraz z nami będzie, ale cieszę się, że do mnie przyszłaś.

– Ja też się cieszę. Byle tylko nie przyniosło nam to zbyt wiele bólu.

Wzruszył ramionami.

– Może przynieść. I pewnie przyniesie. Jednak to, co przychodzi łatwo i bez bólu, jest niewiele warte.

Interkom znów ożył i Jeannie oznajmiła:

– Nie chcę pana popędzać, panie Secker, ale helikopter czeka i jeśli chce się pan dostać na wyspę przed wpół do drugiej, powinien pan już wychodzić.

– W porządku, Jeannie – odparł Freddie, uśmiechając się do Helen. – Zechciej powiadomić kapitana Krosceka, że będziemy mieli dodatkową pasażerkę.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Panią Marini? – spytała po chwili Jeannie.

– Zgadza się – odparł Freddie.

Wyłączył interkom i popatrzył na Helen.

– Jeannie jest bardzo opiekuńcza – powiedział. – Jest dla mnie prawie jak matka.

– A potrzebujesz jeszcze matki? – spytała.

Sięgnął po swoją wiszącą na oparciu fotela sportową marynarkę od Yves'a Saint-Laurenta.

– Kiedyś miałem matkę… – mruknął. – Chyba nigdy nie poznałem jej zbyt dobrze, ale na pewno miałem matkę.

Przygładził włosy, poprawił krawat i otworzył szufladę, wyjmując płyn po goleniu od Balenciagi.

– Pamiętam dokładnie jej pogrzeb – mówił dalej. – Był bardzo zwyczajny, chyba nie przypominał żadnego innego pogrzebu w tej rodzinie. Stałem na cmentarzu i był wtedy taki piękny dzień, że niemal mogłem sobie wyobrazić jej duszę wyfruwającą z grobu i unoszącą się w powietrze jak gołębica. Czułem nawet coś w rodzaju zadowolenia. Wreszcie stała się wolna. Zawsze była taka sfrustrowana i smutna… jak człowiek, który wsiadł nie do tego pociągu, co powinien, trafił na nieznany dworzec i chodzi po ulicach nieznanego miasta, nie mając pojęcia, gdzie naprawdę powinien się znaleźć.

Helen odwróciła głowę.

– Życie nie jest nic warte, jeśli brak w nim choćby odrobiny bałaganu. Próbowałam wyprzeć się ciebie, Freddie. Chyba nawet chciałam, żebyś mnie znienawidził. Ale pewnie nie wytrzymałabym, gdybyś to zrobił. Tylko pomyśl… Jestem żoną doskonale prosperującego, ciężko pracującego adwokata, który jest na najlepszej drodze do osiągnięcia wielkiego sukcesu. A potem spotykam takiego mężczyznę jak ty: młodego, przystojnego, sympatycznego i mającego więcej pieniędzy, niż Dick kiedykolwiek ujrzy na oczy, nawet jeśliby żył dziesięć razy dłużej. Gdybym powiedziała, że wolę stabilne, bezpieczne małżeństwo niż romans z tobą, nadawałabym się do domu bez klamek.

Freddie sięgnął po kolejnego papierosa, przypalił go i wydmuchnął dym.

– Twoja matka zmarła na raka – przypomniała mu Helen.

Kiwnął głową, ale dalej palił.

Wyjęła mu papierosa z ust i zgasiła go w popielniczce.

– Kocham cię – powiedziała, obejmując go.

W tym momencie drzwi się otworzyły i weszła Jeannie z teczką Freddiego, wypełnioną papierami przygotowanymi na następny dzień.

Była niską dziewczyną z Pittsburgha. Miała kędzierzawe kasztanowe włosy, które sterczały na wszystkie strony, jakby wsadziła palec do kontaktu, i nosiła okropne różowe i czerwone golfy. Zawsze traktowała Freddiego jak cenną kruchą filiżankę. Zerknęła na Helen i powiedziała:

– Wszystko jest tutaj, panie Secker. Nie zapomni pan o umowie ubezpieczeniowej dla Daylong, prawda?

– Nie zapomnę – odparł Freddie, a gdy sekretarka odwracała się już do wyjścia, zawołał: – Jeannie!

Zatrzymała się.

– Tak, panie Secker?

Uśmiechnął się do niej ciepło.

– Dziękuję, Jeannie. Dbasz o mnie jak rodzona matka.

Zaczerwieniła się.

– Miłego lotu – powiedziała i tak szybko wymaszerowała z gabinetu, jakby szła na jakieś spotkanie i była mocno spóźniona.

– Ona jest w tobie zakochana – stwierdziła Helen. – Nie widzisz tego?

Wzruszył ramionami.

– Wiem tylko tyle, że to wspaniała sekretarka.

Wyszli z gabinetu i pojechali ozdobioną rokokowymi lustrami prywatną windą Freddiego. Na najwyższym poziomie czekała ich jeszcze krótka wspinaczka po wyłożonych pluszem schodach. Za nimi było wyjście na dach i lądowisko helikopterów. Zaledwie wyszli z windy i ruszyli schodami, usłyszeli huk silników i świst mielonego łopatami wirnika powietrza.

– Uważaj na fryzurę – ostrzegł swoją towarzyszkę Fredie, otwierając drzwi.

Na lądowisku czekał na nich wielki, pomalowany na biało sikorsky, smok albinos w szarej chmurze wilgotnego popołudnia na Wall Street. W latach trzydziestych dach Cornelius Oil Building był platformą wieży radiowej, ale w pięćdziesiątym piątym Roderick kazał ją usunąć, by zrobić miejsce dla helikopterów, chociaż nie obyło się bez trzech lat zmagań w sądach, zanim otworzono to lądowisko.

Pracownik w pomarańczowym fluorescencyjnym hełmie i zielonym dresie przeprowadził ich szybko do helikoptera i otworzył drzwi. Kiedy je za nimi zamknął, dał znak pilotowi. Dwuwirnikowy potwór

natychmiast uniósł się z dachu i pochyliwszy na bok, ruszył na północny zachód.

W kabinie głównej panowało miłe ciepło, na podłodze leżał kosmaty dywan koloru burgunda, a ściany obite były grubą wyściółką i białą morą. W środku stały pikowane skórzane fotele, biurko z obciągniętym skórą blatem i nakryta futrem o długim włosiu kanapa.

Z ogona helikoptera wyszedł nawigator Eric Peterson, mocno zbudowany weteran z Wietnamu o krótko ostrzyżonych siwych włosach i twarzy jak wyciosanej z granitu. Mimo rzucających maszyną turbulencji bez kłopotu utrzymywał równowagę. Miał na sobie elegancki popielaty garnitur, ale jego mina mówiła, że o wiele chętniej włożyłby mundur polowy. Za plecami Freddiego nazywał sikorsky'ego „latającym kurwidołkiem".

Uścisnęli sobie dłonie.

– Pani Marini nie będzie wysiadać – powiedział Freddie. – Jak tylko podrzucicie mnie na wyspę, proszę ją odwieźć na Manhattan.

– Nie zostaje na uroczystości?

– Musi wrócić do domu, do pana Mariniego. Prawda, Helen?

Czuła się niezręcznie, ale kiwnęła głową. Helikopter mocniej przechylił się na bok

i zatoczył łuk, przeleciał obok Englewood Cliffs i ruszył w górę zamglonego Hudsonu.

Peterson podrapał się w ucho srebrnym ołówkiem.

– Pan Marini też jest na wyspie – powiedział. – Przyleciał przed południem razem z panem Victorem Corneliusem.

– Co takiego? – zdziwiła się Helen.

– Pan Marini chyba nie zamierzał zostawać, ale ponieważ miał do omówienia z panem Corneliusem wiele spraw, zdecydowali po drodze, że jednak zostanie.

Helen popatrzyła na Freddiego, ale on uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu i rzekł:

– To doskonale. Zapowiada się miłe rodzinne spotkanie. Zorganizuj nam koktajle, dobrze? Mamy z panią Marini do obgadania kilka prywatnych problemów.

Peterson spojrzał na nich i kiwnął głową.

– Oczywiście. Proszę powiedzieć, na co państwo mają ochotę, i zaraz wezmę Zima do galopu.

Zamówili wódkę z sokiem pomarańczowym i whisky z lodem, po czym usiedli na fotelach przy oknie, patrząc na poszarpane chmury i zamgloną rzekę w dole. Freddie wziął Helen za

rękę, ale była tak zdenerwowana, że natychmiast ją cofnęła.

– Masz papierosy? – spytała.

Poszedł do biurka i wrócił z wysadzaną złotem i emalią papierośnicą.

– Dick wcale nie musi się dowiedzieć, że przyleciałaś razem ze mną – powiedział. – Wystarczy, jeśli po wylądowaniu będziesz się trzymać daleko od okna. Helikopter odleci, kiedy tylko wysiądę.

Wydmuchnęła dym.

– To zaczyna mi przypominać stare czasy, tamte wszystkie kłamstwa i małe, wstrętne oszustwa.

– Jeśli nie chcesz, nie musisz lecieć na Lynwood. Mogę zaraz kazać zawrócić i zawieziemy cię prosto do domu.

– To byłoby niepoważne. Poza tym spóźniłbyś się na tę rodzinną uroczystość. Nie chcę, żebyś przyleciał za późno.

– Helen…

Pokręciła głową.

– Już dobrze. Schowam się. W końcu przyzwyczaiłam się już do tego.

– Naprawdę tego chcesz?

– Nie wiem, czego chcę. Ale teraz nie ma to żadnego znaczenia, prawda?

Zmarszczył brwi.

– Przecież Dick niczego nie podejrzewa. Przypuśćmy, że wpadłaś do mnie do biura, a ja zaproponowałem ci przejażdżkę.

Wstała i podeszła do okna po drugiej stronie kabiny.

– Właśnie mijamy most Tappan Zee – powiedziała.

– Helen… – zaczął Freddie.

Odwróciła się do niego.

– Helen… czy Dick wie o nas? – spytał cicho.

Wróciła i usiadła obok niego. Miała smutny wyraz twarzy. Dym z jej papierosa wił się spiralą w powietrzu.

– Tak, wie – odparła. – Wybacz. Któregoś dnia zapytał mnie o to wprost. Byłam tak zaskoczona, że powiedziałam mu prawdę.

– To było wtedy, kiedy zerwałaś ze mną?

Kiwnęła głową.

– Powiedział, że jeśli mu nie obiecam, że przestanę się z tobą widywać, postara się, żebyśmy mieli najbardziej skandaliczny rozwód od czasu…

Popatrzył na nią.

– Od czasu rozwodu mojej matki, tak?

– Tak – odparła.

Westchnął. Przez chwilę zupełnie nie wiedział, co powiedzieć. Z rezygnacją popatrzył na niewyraźne brzegi Hudsonu.

Pogładziła go po włosach.

– Wiem, że nie powinnam mu o tym mówić. Ale nie miałam pojęcia, co robić. Oświadczył, że jeżeli będę się trzymała z daleka od ciebie, nie piśnie ani słowa i będzie z tobą pracował, jakby nic się nie stało.

– Musi być bardzo twardym facetem, jeśli potrafił ci coś takiego obiecać.

– Jest nie tylko twardy, Freddie. Umie też wybaczać i dotrzymuje słowa. Zachowywał się całkiem normalnie, kiedy z tobą rozmawiał, prawda?

– Owszem – przyznał Freddie. W jego głosie słychać było gorycz. – To bardzo wielkodusznie z jego strony.

– Freddie, proszę…

– Och, na litość boską! – syknął, jednak zaraz się odwrócił, spuścił głowę i powiedział: – Sam nie wiem, Helen… Jaki z tego pożytek, do cholery?

Popatrzyła na niego ze smutkiem.

– Pożytek jest taki, że się kochamy, prawda?

Podniósł głowę.

– Chyba tak. Ale masz rację. Nawet nie spędziliśmy razem dwóch godzin i wszystko zaczęło się od nowa. Oszukiwanie, kłamstwa i zabawa w chowanego. Jeśli będziemy musieli się ukrywać, nie wiem, czy dam radę to ciągnąć. To musi być jawne.

– Freddie, nie mogę zostawić Dicka. Nie teraz.

Odwrócił się i przez chwilę patrzył na nią nieruchomym, ciężkim wzrokiem.

– Helen, musisz się zdecydować. To zbyt wielki wysiłek dla nas obojga. Dla nas wszystkich. Może nie byłoby to takie trudne, gdybym cię tak bardzo nie kochał. Moglibyśmy spotykać się od czasu do czasu, spędzić ze sobą parę godzin w łóżku i na tym koniec. Ale ja naprawdę cię kocham i nie zamierzam udawać, że jest inaczej. Wcześniej czy później będziesz musiała zdecydować, ja czy Dick.

– Myślałam, że będziemy mogli ciągnąć to trochę dużej – szepnęła. – Niełatwo jest powiedzieć komuś takiemu jak Dick, że się od niego odchodzi.

– To musi się stać, Helen – odparł. – Po prostu musi.

– Nawet gdyby wywołało straszny skandal?

– Jakoś przeżyjemy ten skandal. Może Hester to się nie spodoba, Roderickowi na pewno też

nie, jednak każde z nich zaliczyło publiczne pranie brudów i żadne nie cierpiało zbyt długo z tego powodu.

Helen uśmiechnęła się niepewnie.

– Nie proszę cię, żebyś go opuściła, jeśli naprawdę nie możesz – dodał Freddie. – Wiesz o tym, prawda? Mogę podrzucić cię teraz do domu i zapomnimy, że w ogóle się dzisiaj widzieliśmy. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że naprawdę cię kocham. Chcę mieć cię całą, Helen. Nie tylko cząstkę.

Odwróciła się i spojrzała w głąb kabiny.

– Czy te drzwi zamykają się na klucz? – spytała.

– Oczywiście – odparł, nie rozumiejąc, czemu o to pyta.

– I nikt nie mógłby tu wejść i przeszkodzić nam, gdybyśmy się kochali?

Zaskoczony Freddie milczał przez chwilę, a potem kiwnął głową.

– Nigdy wcześniej nie kochałam się w helikopterze – powiedziała.

– Helen…

Wyciągnęła do niego rękę i szepnęła:

– Proszę, Freddie. Nie kochaliśmy się od dwóch miesięcy.

Wstał i przyciągnął ją do siebie. Patrzyła na niego ze łzami w oczach. Ściągnął z niej płaszcz, który bezszelestnie opadł na podłogę. Pod płaszczem miała prostą szarą sukienkę z batystu, zbluzowaną powyżej eleganckiego wąskiego paska. Przesączające się przez chmury światło popołudnia, wpadające przez okna helikoptera, wydobyło kształt piersi ukrytych pod cienkim materiałem.

Całował ją długo, w zupełnej ciszy. Pieścił jej pierś, aż w końcu gwałtownie wciągnęła powietrze, pocałowała go namiętnie i ugryzła w ucho. Jego luźne spodnie nie mogły ukryć erekcji. Szybko wyswobodził się z objęć Helen i poszedł zamknąć drzwi, po drodze zdzierając z siebie koszulę.

Po chwili wrócił i rozpiął zamek błyskawiczny jej sukienki. Oboje dyszeli jak biegacze docierający do mety. Sukienka ześlizgnęła się z ciała Helen. Pod spodem miała tylko rajstopy. Sutki jej małych spiczastych piersi były już twarde, a szew białych rajstop wrzynał się w nabrzmiałe wargi sromowe. Helen zawsze starannie je goliła, więc były gładkie jak u małej dziewczynki.

Upadli na okrytą futrem kanapę, która podskoczyła pod ich ciężarem jak żywe

stworzenie, i Freddie poczuł dotyk miękkiej niedźwiedziej skóry na swoim nagim karku. Po chwili Helen znalazła się na nim, jej ciepłe ciało było zupełnie nagie, jeśli nie liczyć złotego krzyżyka dyndającego między piersiami. Całowała go i lizała, ale przewrócił ją na plecy i wszedł w nią niecierpliwie. Jęknęła cicho i wbiła mu paznokcie w bark. Pchał coraz mocniej, pochylając głowę – chciał widzieć miejsce, w którym się połączyli, swój twardy purpurowy członek zanurzający się w jej błyszczącym różowym ciele. Poruszał się coraz szybciej, a ona uniosła pośladki i uderzała w niego biodrami. Czuł, że jest tak głęboko, że niemal dotyka jej żołądka, a może nawet gardła. Leżąca pod nim kobieta, otulona futrem i przyciśnięta jego ciałem, była całkowicie wypełniona, ale chciała być wypełniona jeszcze bardziej, nie przez jednego mężczyznę, tylko przez dwóch albo trzech. Potrafiła fantazjować o sześciu jednocześnie wdzierających się w nią nabrzmiałych członkach, związanych w pęczek jak grube czerwone szparagi.

Helikopter kołysał się na boki, unosił i opadał, gdy lecieli nad Highland Falls i West Point.

Freddie doszedł zbyt szybko. Cofnął się za daleko i wysunął z niej zupełnie. Na uda Helen

spadły ciepłe, białe, półprzezroczyste krople.

– Nie! Nie, Freddie, nie! Och, nie! – krzyknęła, próbując zebrać jego nasienie i wcisnąć je w siebie. Była tak rozgorączkowana, że cała drżała.

Zaskoczony Freddie wytrzeszczył na nią oczy.

– Helen? – spytał prawie niesłyszalnym głosem, stłumionym basową wibracją kabiny.

Nadal trzymała stuloną dłoń między udami. Podniosła na niego rozszerzone niepokojem oczy.

– Helen? – powtórzył, tym razem głośniej.

Na chwilę znieruchomiała. Miała ściągniętą bólem twarz. Zaraz potem zacisnęła rękę na ustach i odwróciła się, ukrywając twarz w futrze. Freddie widział jej drgające konwulsyjnie plecy i słyszał szloch. Pochylił się i powiedział cicho:

– Helen…

Wciąż leżała nieruchomo. Spływające z kącika oka łzy utworzyły na jej nosie przezroczystą kałużę.

– Chodzi o coś jeszcze, prawda? Nie tylko o Dicka i o mnie?

Pokiwała żałośnie głową.

Przez parę sekund siedział przy niej, a potem wstał z kanapy i poszedł włożyć spodnie. Kapitan Kroscek ogłosił przez mikrofon:

– Sześć minut do Lynwood, panie Secker.

Freddie wrócił do kanapy. Zapalił dwa papierosy i podał jeden Helen. Usiadła, przeczesała dłonią włosy i wzięła od niego papierosa.

– Za chwilę będziesz musiała się ubrać – powiedział łagodnie. – Lądujemy za kilka minut.

Zamknęła oczy i kiwnęła głową.

– Wiem. Przepraszam.

– Nie musisz za nic przepraszać.

– Nie? Przyszłam przeprosić, ale chyba tylko wszystko pogorszyłam.

Za oknem ukazały się ciemnozielone lasy, srebrna rzeka i strzępy chmur. Helikopter zaczął zataczać koło i Freddie wiedział, że zaraz ukaże się Lynwood.

– Ubieraj się – ponaglił Helen. – Każę Ericowi zawieźć cię do domu.

Kiwnęła głową i wstała z kanapy, szukając sukienki i rajstop. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, Freddie zawołał:

– Chwileczkę, Ericu!

Zapinając sukienkę, Helen powiedziała:

– Pewnie się domyśliłeś, o co mi chodziło.

– Chyba nie – mruknął Freddie. – Może lepiej mi powiedz.

– No cóż, kiedyś ten dzień musiał nadejść. Desperacja ma swoje plusy.

Popatrzył na nią pytająco.

– Wracali wtedy do domu jedną taksówką, Dick i ktoś z twojego biura, ktoś, kto nie potrafi utrzymać języka za zębami – powiedziała. – Tak właśnie Dick dowiedział się o tobie i o mnie. Mogę tylko dziękować Bogu, że byłam dopiero w drugim miesiącu ciąży i jeszcze nie było nic widać.

– W ciąży? – powtórzył Freddie.

Poczuł się, jakby wpadł na niego autobus.

Helen nałożyła sandałek.

– Oczywiście pozbyłam się jej – mówiła dalej. – Poszło jak z płatka i nawet nie bolało. Płakałam potem przez tydzień, ale to były łzy radości po powrocie z krainy szaleństwa i nieodpowiedzialności. Nie wiem, czy Dick uwierzył w moje wyjaśnienia, ale pewnie musiał. Poza tym nie spotykałam się z tobą i to mu wystarczyło.

Freddie oblizał wargi. Miał ochotę napić się czegoś mocniejszego.

– Byłaś w ciąży? – wychrypiał. – Nosiłaś moje dziecko i pozbyłaś się go?

Zaciągnęła się papierosem i odłożyła go do popielniczki.

– Nie wolno ci myśleć, że cię nie kocham – powiedziała. Była tak bardzo nieszczęśliwa, że

ledwo mogła powstrzymać się od płaczu. – Kocham cię znacznie mocniej, niż możesz to sobie wyobrazić.

– Ale dlaczego? – zapytał. – Jeśli zamierzałaś zostać z Dickiem, dlaczego chciałaś zajść w ciążę ze mną?

Uniosła dumnie głowę.

– Dick jest moim mężem – odparła. – Kocham cię i mówię to szczerze. Ale z Dickiem łączy mnie głęboki i wyjątkowy stosunek i wiem, że nigdy go nie opuszczę. Jedyny problem w tym, że…

Zapadła długa cisza. Helikopter schodził w dół i oboje poczuli ucisk w uszach. Kiedy Helen znów się odezwała, jej głos był płaski i stłumiony, jakby mówiła, wciskając twarz w materac.

– Dwa lata temu przeszliśmy badania. Oboje. Ze mną jest wszystko w porządku, jednak Dick ma niską wartość nasienia. Może zapłodnić kobietę, ale to raczej mało prawdopodobne. Tak mu powiedzieli.

Freddie poczuł taki ból, jakby zanurzył się w tłuczonym szkle. Ledwie mógł oddychać, myśleć i mówić.

– Więc dlatego zaczęłaś się rozglądać za odpowiednim ojcem? – wykrztusił w końcu.

Wydawało mu się, że jego głos należy do kogoś innego.

Pokręciła głową.

– Nie musiałam się rozglądać, bo zakochałam się w tobie po uszy. Jeśli nie liczyć Dicka, ojcem mojego dziecka mogłeś być tylko ty.

Głęboko wciągnął powietrze.

– Nie wiem, czy mam czuć zadowolenie, czy obrzydzenie – powiedział chrapliwie.

Zakryła twarz dłonią i zaczęła cicho płakać.

– To miała być druga próba, tak? – spytał. – Kiedy Dick dowiedział się o nas i musiałaś usunąć nasz wspólny płód, zdecydowałaś się na jeszcze jedno podejście. Miałaś zamiar powiedzieć, że przepraszasz, i zwodzić mnie przez kilka miesięcy, żebym mógł zrobić ci dziecko?

Nie odpowiedziała.

– Lądowanie za minutę, proszę pana – oznajmił przez głośniki kapitan Kroscek. – Proszę zająć miejsca siedzące.

Freddie widział już za oknem wyspę Lynwood i ogromny dom Corneliusów. Usiadł w fotelu i gwałtownie zgasił papierosa.

– Doszłaś do wniosku, że w ten sposób zapewnisz dobrą krew swojej rodzinie, tak?! – wrzasnął, przekrzykując huk turbin helikoptera. – Dobrą krew milionerów?!

Podniosła głowę i popatrzyła na niego. Łzy zlepiły jej rzęsy.

– Och, Freddie… – załkała. – Och, Freddie.

Helikopter obrócił się powoli wokół własnej osi i usiadł na trawie. Kapitan wyłączył turbiny i po chwili słychać już było tylko gwizd zwalniających wirników. Z tylnej kabiny wyszedł Peterson, otworzył drzwi prowadzące na zewnątrz i opuścił schodki. Stał przy nich w milczeniu, a Freddie siedział obok płaczącej Helen. Do środka wlatywał lekki ciepły powiew.

– Chcę, żebyś teraz wróciła na Manhattan, wzięła taksówkę do domu i zapomniała o wszystkim, co nas kiedykolwiek łączyło… poza tym, że jestem jednym z ludzi, którzy zatrudniają twojego męża – powiedział cicho Freddie.

Siedział przy niej jeszcze przez chwilę, a potem wziął swoją teczkę i bez słowa wyszedł z helikoptera. Helen zawołała go, ale się nie odwrócił.

– A jeśli jestem w ciąży? – spytała z goryczą. – Co będzie, jeśli jestem w ciąży?

Freddie się zatrzymał. Letni wiatr rozwiewał mu włosy i pomyślała, że jest bardzo przystojny. Nie powinna pozwolić mu odejść.

– Jeśli tak, powiedz o tym swojemu mężowi – odparł. – Będzie szczęśliwy.

Idąc w stronę domu, zobaczył Dicka stojącego przy Victorze na tarasie. Obok nich siedziała reszta – Celia i Roderick oraz Ally i Tess. Za jego plecami biały helikopter uniósł się w letnie niebo, zabierając ze sobą Helen, brzemienną lub nie. Odgłos wirników przez długą chwilę odbijał się echem od doliny Hudsonu, aż w końcu wszystko ucichło.

♦ ♦ ♦

Celia była w wyjątkowo podłym nastroju i punktualne przybycie Freddiego bynajmniej go nie złagodziło. Od lat uważała się za pierwszą damę rodziny Corneliusów i kiedy Hester ściągała na siebie choćby odrobinę uwagi, robiła się nieprzyjemna i kłótliwa, obciążała służbę dziwacznymi zleceniami (dzisiaj na przykład zażądała szwajcarskich kropli do oczu, których zdobycie na Lynwood było prawie niemożliwe) i blokowała centralkę telefoniczną niekończącymi się rozmowami z Niemcami i Ameryką Południową. Miała na sobie powiewną szkarłatną sukienkę, która nie tylko nie dodawała jej urody, ale jeszcze podkreślała wiek, i kiedy Freddie pojawił się na tarasie, siedziała na złoconym krześle jak egzotyczny, lecz

podstarzały ptak, mając obok siebie na ogrodowym stoliczku wytrawne sherry i niecierpliwie postukując laseczką w kamienne płyty. Za nią stał Victor, ponury jak chmura gradowa.

Freddie od wielu miesięcy nie widział Dicka Mariniego i pomyślał, że pulchny adwokat o świdrującym spojrzeniu bardzo przypomina młodszego, choć dużo pospoliciej wyglądającego Maria Lanzę[18]. Starał się nie myśleć o „wartości” nasienia Mariniego, jednak mimo woli zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, że taka piękna kobieta jak Helen obdarzyła podobnego człowieka miłością. Zaraz jednak skarcił się w myślach. Był wobec Dicka niesprawiedliwy.

Podeszła do niego Tess, ujęła go za rękę i pocałowała w policzek. Miała na sobie luźną, półprzezroczystą sukienkę z wzorzystej bawełny, a na ręku kilka złotych bransoletek.

Ally, blada i w ciemnych szkłach, trzymała się na uboczu.

– Dobry miałeś lot? – spytał obojętnie Victor.

– Miewałem gorsze – odparł Freddie.

Jeden ze służących zapytał go, czego ma ochotę się napić. Freddie zamówił czystego jacka daniel’sa. Zdziwiona Tess uniosła brwi.

– Jestem zmęczony, to wszystko – mruknął Freddie. – Starsza pani jeszcze nie zeszła?

– Przyjmuje lekarstwa – odparła wyniośle Celia, jakby sama nie rozpoczynała dnia od dwóch garści witamin, środków uspokajających i tabletek polecanych przez medycynę naturalną.

– O której zjawią się goście?

– Większość przyleci learjetem o wpół do trzeciej – powiedział Victor. – Kilkoro przyjedzie pociągiem albo samochodem. Pewnie będzie to tłumek rozhisteryzowanych bab, tych samych co wtedy, kiedy mama dostała odznaczenie.

Przyniesiono Freddiemu drinka. Uniósł szklankę, jakby zamierzał wznieść toast, ale powiedział tylko:

– Celio, nie wiedziałem, że ty też dostałaś odznaczenie od Ligi Kobiet Amerykańskich. Za co ci je przyznano?

Niecierpliwie odwróciła swój ostry profil w jego stronę.

– Za zasługi dla kobiet naszego kraju – odparła chłodno.

Freddiego nagle ogarnęła dziwna brawura. Spojrzał prosto w oczy Mariniemu i oświadczył:

– To wspaniale. Wobec tego wznoszę toast za służbę dla kobiet naszego kraju.

– Jesteś zupełnie taki sam jak twój ojciec – stwierdziła z obrzydzeniem Celia. – I twoja matka.

Freddie roześmiał się i nadal nie spuszczał wzroku z adwokata.

– Odbieram to jako komplement – powiedział, jednak natychmiast pożałował swojego agresywnego zachowania.

Przecież to nie wina Mariniego. Facet starał się zachować jednocześnie pracę i żonę i nie można było go za to winić. Ale wydawał się bezbronny jak żółw przewrócony na plaży i miało się ochotę mu przywalić.

– Na twoim miejscu poszłabym na górę i porozmawiała z Hester – poradziła mu Ally, która sączyła wytrawne martini. – Wie wszystko na temat tej afery ze Skouros. I nie wydaje mi się, żeby była tym szczególnie rozbawiona.

– Ma już osiemdziesiąt cztery lata – przypomniała im Tess, wyjmując papierosa. – Jakie to ma znaczenie, czy jest rozbawiona, czy nie?

Victor, ubrany w aksamitny garnitur koloru butelkowej zieleni, w którym przypominał bladego, tłustego krupiera z Las Vegas, przeszedł wzdłuż kamiennej balustrady tarasu, spoglądając na otaczające go trawniki.

– Może i ma osiemdziesiąt cztery lata – powiedział. – Może nawet nie być *compos mentis*[19], ale prawnie i finansowo trzyma ciebie, mnie i wszystkich w tej rodzinie za gardło. Dopóki Bóg w swojej nieskończonej mądrości nie zadecyduje, że chce ją do siebie wezwać, jesteśmy na nią skazani.

– Nie brak ci wrodzonego taktu – stwierdził z przekąsem Freddie.

– Och, na litość boską, przestańcie – przerwała tę wymianę zdań Celia.

Freddie jednym haustem wychylił swojego drinka i odstawił szklankę na balustradę, po czym przez balkonowe drzwi wszedł do salonu, a stamtąd do owalnego holu. Po schodach właśnie schodził niski, pękaty człowieczek z czarną bródką, ubrany w drogi letni garnitur z tenisu.

– Doktor Nathan? – spytał Freddie.

Lekarz zszedł na dół i lekko skłonił głowę.

– Witam, panie Secker. Miło mi pana widzieć.

– Jak się miewa babka? Mogę wejść na górę, by się z nią przywitać?

– Jak najbardziej – odparł Nathan. – Nie jest tak sprawna umysłowo jak kiedyś. Wie pan, kłopoty z zapamiętywaniem drobiazgów. Ale jak

na osobę w jej wieku, cieszy się doskonałym zdrowiem. Naprawdę doskonałym.

– Czy ta ceremonia nie będzie dla niej zbyt wielkim obciążeniem?

Doktor Nathan pokręcił głową.

– Kiedy się osiąga taki wiek, trzeba jedynie unikać powtórek telewizyjnych i rzodkiewek. Zwykle doradzam moim pacjentom, aby żyli pełnią życia. Doktorzy Pellen i Weiss są tego samego zdania.

– Wejdzie pan do niej ze mną? – spytał Freddie.

– Oczywiście – odparł Nathan. – Jest na galerii.

Wspięli się zakręcającymi schodami wyścielonymi miękką turkusową wykładziną. Przeszli mrocznymi korytarzami, w których wisiały ciemne i lśniące jak wypolerowane blaty stołów obrazy olejne. Mijali stojące zegary, które tykały i dzwoniły, oraz okna, za którymi widać było zielone, starannie utrzymane ogrody.

Pokonali kolejne schody i weszli do wyłożonej marmurem galerii, biegnącej wzdłuż całego skrzydła domu. Wszystkie okna miały barwione na żółto szyby, za którymi rozciągał się trawnik z bramkami do krykieta. W dzieciństwie Freddie, Tess i Ally często grali na tym trawniku. Freddie dawno nie odwiedzał wyspy i zaskoczyła go

atmosfera opuszczenia, jaką wyczuwało się w tym wielkim domu. Wszystko było czyste, wypolerowane i w stanie nadającym się do użytku, ale nietknięte i nieużywane, a jedynymi dźwiękami, jakie słyszały te korytarze, były kroki pielęgniarek i lekarzy, którzy cicho i dyskretnie strzegli kruchej egzystencji najbogatszej kobiety Ameryki. Żółte szyby przepuszczały bursztynowe światło i Freddie miał wrażenie, że znalazł się na jakiejś starej sepiowej fotografii.

W głębi galerii na kunsztownie wykończonym bujanym fotelu siedziała siwowłosa kobieta w białej sukni, okryta do pasa białym kocem. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli, że ma bladą twarz i rzadkie włosy, zaplecione w warkocz otaczający czubek głowy. Jej suknię zdobiły hafty z białego jedwabiu i koronki z Nottingham, a na wysuszonych palcach tkwiły pierścionki z brylantami warte miliony dolarów. Przy fotelu stał niewielki intarsjowany stolik, na którym leżały „The New York Times” i „The Wall Street Journal” oraz oprawiony w białą giemzę *Król Henryk V* Szekspira.

Lekarz podszedł do staruszki pierwszy. Nie od razu podniosła wzrok. Jej oczy miały barwę jasnych rzecznych kamyków i wydawała się niemal zupełnie ślepa.

– Jest tu Freddie – powiedział Nathan. – Przyszedł z wizytą.

Staruszka kiwnęła głową.

– Podejdź bliżej, Freddie – powiedziała szeleszczącym głosem.

Odkaszlnął i zbliżył się do babki, po czym pochylił się i musnął wargami jej czoło.

– Witaj, babciu.

Wyciągnęła rękę i chwyciła go za rękaw.

– Niedobry z ciebie chłopak, Freddie. Powinieneś częściej odwiedzać swoją babkę.

– Postaram się – obiecał Freddie. – Byłem okropnie uwiązany.

– To się odwiąż – odparła z lekkim uśmiechem. – Nikt nie jest tu tak chętnie widziany jak ty.

Uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową.

– Dobrze, babciu. Obiecuję.

– Moglibyśmy zagrać w tryktraka – dodała Hester. – Jestem bardzo dobra w tryktraka, prawda, panie doktorze?

Lekarz się uśmiechnął.

– Pani Cornelius bez trudu ogrywa mnie w każdy czwartek.

– Świetnie wyglądasz, babciu. Dobrze cię traktują?

Hester wzruszyła ramionami.

– Nie mają wyboru – odparła.

– W tym miesiącu pani Cornelius przeszła trzy transfuzje – powiedział doktor Nathan. – Staram się przywrócić równowagę ilościową krwinek.

Staruszka pokręciła głową.

– Czasem się zastanawiam, czy to wszystko jest warte zachodu. Gdyby nie moi pracowici lekarze i pielęgniarki, już od wielu lat leżałabym w grobie.

Freddie przykucnął obok fotela.

– Ale jesteś szczęśliwa, prawda? Masz przecież tę swoją pracę w Lidze Kobiet.

– Mam powód, aby żyć, jeśli o to ci chodzi.

Sięgnął po obciągniętego delikatną skórą Szekspira.

– Widzę, że czytasz *Henryka Piątego*.

Kiwnęła głową.

– Od Szekspira można się wiele nauczyć. Powinieneś namówić Victora, żeby czytał go w ramach codziennych obowiązków.

– Nie potrafię namówić Victora, żeby cokolwiek czytał. Cztery lata temu pożyczyłem mu *Wielkiego Gatsby'ego* i nawet nie przebrnął przez stronę tytułową.

– Wcale mnie to nie dziwi. Ale w *Henryku Piątym* jest kwestia, która całkiem nieźle podsumowuje jego charakter…

– Babciu, nie powinnaś się denerwować – powiedział Freddie, jednak nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

– Nie jestem zdenerwowana. Chodzi ci o to, że nie powinnam doprowadzać do zamieszania w rodzinie, mówiąc, co myślę o niektórych z nich, tak?

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że jeśli masz coś do powiedzenia Victorowi, powinnaś powiedzieć mu to prosto w oczy.

Hester zignorowała tę radę.

– To kwestia Fluellena – wyjaśniła z figlarnym błyskiem w oku. – W pewnym momencie mówi o kapitanie Macmorrisie: „Na Chrysztusza, nie ma fiększego ośla pod slońcem; pofiem mu to w oczy, nie ofijając rzeczy w pafelnę; po fidzisz, nie ćwiczeńszy on w prafdziwej tyscyplinie fojennej od małego szczenięcia”[20].

– Victor nic na to nie może poradzić, że jest, jaki jest – stwierdził Freddie.

Babka spoważniała.

– Ale ty tak.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Freddie nerwowo oblizał wargi. Po chwili Hester położyła mu dłoń na ramieniu i oświadczyła:

– Tak rozporządziłam moim majątkiem, że kiedy umrę, ty będziesz głównym beneficjentem.

Będziesz miał większą kontrolę nad Cornelius Industries niż ktokolwiek inny. Ale muszę przyznać, że omal nie zmieniłam testamentu, kiedy się dowiedziałam, jak załatwiłeś tę sprawę z Ariadne Skouros. To był głupi skandal, o którym wszyscy zapomnieliby w jeden dzień, a ty go rozdmuchałeś i to właśnie przez ciebie John Russell stracił szanse w wyborach.

– Nadal jeszcze może wygrać – odparł Freddie.

– Już nie – zaprzeczyła Hester. – Victor zachował się okropnie głupio, jednak to ty pozwoliłeś sobie na panikę. To jedyny luksus, na który w biznesie i polityce nigdy nie można sobie pozwalać. Jest zbyt wiele do stracenia.

– Gdyby kamerdyner Victora nie poszedł na policję, nigdy by się o niczym nie dowiedziano.

– Właśnie o tym mówię – rzuciła ostro Hester. – Gdyby Victor był pracodawcą, który traktuje swoich pracowników, jak należy, gdyby był człowiekiem, który potrafi wzbudzać zaufanie, wtedy ten kamerdyner nigdy nie rozpuściłby języka za jego plecami. A gdybyś ty był mądrzejszy, wiedziałbyś, że prędzej czy później któryś ze służących Victora musi zacząć gadać. To była pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy, choć mam już osiemdziesiąt cztery lata.

– Wciąż czekamy na wyniki sekcji tej dziewczyny – powiedział Freddie. – Jeśli nic nie będzie świadczyło o tym, że zginęła w basenie, nadal jeszcze możemy się z tego wywinąć.

Babka wykrzywiła cienkie wargi.

– Rozmawiałam z doktorem Weissem. Uważa, że jeśli policyjni anatomopatolodzy są coś warci, niewątpliwie znajdą ślady chlorowanej wody w płucach.

Freddie przygryzł usta i popatrzył na doktora Nathana, który cierpliwie stał z boku.

– To wcale nie takie pewne – mruknął. – Nadal mamy pięćdziesiąt procent szans.

Hester zamknęła oczy, ale po chwili znów je otworzyła.

– Już czas, abyś sobie uświadomił, że twoje pieniądze nie czynią cię Bogiem – oświadczyła. – Twój dziadek zaczął to rozumieć może trochę zbyt późno, jednak w końcu to zrozumiał. Trzeba wielkiego bogactwa i wielkiej pokory, żeby bogacz stał się wielkim człowiekiem.

Freddie nic na to nie odpowiedział. Na gałęzi za szybą przysiadła lasówka kasztanowata i zaczęła śpiewać.

– Wiem, co sobie o mnie myślisz – dodała Hester. – Myślisz, że jestem zgrzybiałą staruszką i siedzę tu sobie, wymyślając różne bzdury, żeby

utrudnić ci życie. Ale ja widzę, co się dzieje, Freddie. Wiem, że śledzisz opinię publiczną, jednak ja też czytam wszystko i obserwuję, poza tym rozmawiam z większą liczbą ludzi podczas jednego dnia niż ty w półtora miesiąca. W dzisiejszych czasach tuszowanie faktów nikomu nie uchodzi na sucho. John Russell nie może zgłosić swojej kandydatury do wyborów, dopóki ta sprawa nie zostanie definitywnie wyjaśniona, bo inaczej Ariadne Skouros wynurzy się ze swojego wodnego grobu i któregoś dnia ściągnie go na dno. To pewne jak gniew Pana w dniu Sądu Ostatecznego.

– Babciu, jeśli tacy ludzie jak John Russell nie poprowadzą tego kraju, to kto? – spytał Freddie. – Wierzę w jego uczciwość i bystrość. Mamy go odrzucić z powodu jednego durnego wyskoku Victora?

Popatrzyła na niego chłodno.

– Prezydent jest wybierany właśnie po to, aby się troszczył o najmarniejszych obywateli Ameryki – oświadczyła. – Jeśli John Russell dostanie się do Białego Domu dzięki pieniądzom Cornelius Industries i jeśli mianuje Victora na jakieś rządowe stanowisko, co na pewno zrobi, to czy najmarniejsi obywatele Ameryki będą mogli być pewni nienaruszalności swoich praw?

– Najmarniejsi? – powtórzył pytająco Freddie. – A co z najznaczniejszymi?

– Sądzisz, że do nich należysz? – spytała starsza pani.

– Nie – odparł cicho Freddie.

– Cieszę się, że tak nie myślisz. Niezależnie od tego, co uważają Victor i Celia, twój dziadek miał odmienne zdanie. Pokażę ci, dlaczego tak sądzę.

Freddie popatrzył na nią.

– Nie rozumiem…

Sięgnęła po leżący na stoliku dzwonek.

– Zobaczysz. Może tego nie zrozumiesz, ale przynajmniej zobaczysz.

– Nie powinna pani ulegać ekscytacji, pani Cornelius – powiedział lekarz. – Przed panią wyczerpujące popołudnie.

– Doktorze, po raz ostatni uległam ekscytacji w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym, kiedy odwiedził nas Victor Mature – odparła.

Z boku galerii otworzyły się drzwi i pojawiły się dwie pielęgniarki w białych kitlach i wykrochmalonych czepkach. Jedna z nich nie grzeszyła urodą i miała tyle wdzięku co deska do prasowania, ale druga, ładna biuściasta blondyna, rzuciła Freddiemu zalotne spojrzenie.

– Chcę zabrać pana Seckera do wyjątkowego pokoju pana Corneliusa – oznajmiła Hester. – Mój

wnuk będzie mi służył ramieniem, ale wy będziecie towarzyszyć mi na korytarzu, na wypadek gdybym zemdlała.

– Czy jeszcze jestem pani potrzebny? – spytał doktor Nathan. – Muszę sprawdzić wirówkę do oddzielania plazmy.

– Nie, proszę wracać do swoich obowiązków – odparła Hester. – Pan Secker się mną zaopiekuje.

Freddie pomógł jej wstać z fotela. Była bardzo lekka, jakby jej kości zupełnie wyschły, a skóra uległa mumifikacji. Ale szła wyprostowana i chociaż stawiała ostrożne, starannie odmierzone kroczki, była równie kobieca jak wtedy, gdy siedziała w Plaza i przekazywała Johannowi Corneliusowi wiadomość: „Teksas okay”.

Ruszyli galerią i skręcili przy północnym rogu domu. Za oknem Freddie widział oszklony basen pływacki, przy którym Johann rozmawiał kiedyś z Merrettem Kale’em. Minęli ciemniejszy fragment korytarza oświetlony kryształowym żyrandolem i obwieszony amerykańskimi obrazami z XVIII i początków XIX wieku. Wisiały tam też oryginalne secesyjne plakaty Louisa Rheade’a, których Freddie nigdy wcześniej nie widział.

– To ten pokój – powiedziała Hester, zatrzymując się przed jakimiś drzwiami. – Zaczekaj, znajdę klucz.

Drzwi były identyczne z tymi na wyższych kondygnacjach. Polerowany mahoń z mosiężnymi nakładkami i złoconym numerem, dyskretnie umieszczonym w rogu. Ale pielęgniarki zatrzymały się spory kawałek dalej, jakby ich podopieczna zamierzała otworzyć sekretną kaplicę. Najwyraźniej pokój numer 347 miał niemal religijne znaczenie, przynajmniej dla najstarszej przedstawicielki rodu Corneliusów.

Hester wyjęła klucz i podała go Freddiemu, po czym położyła rękę na jego dłoni i oświadczyła:

– Jesteś jedynym członkiem rodziny poza mną, który zobaczy ten pokój. To wielki przywilej. A teraz otwórz drzwi.

Freddie wsunął klucz do zamka i przekręcił go. Potem uchylił drzwi i cofnął się, by przepuścić babkę pierwszą. W powietrzu rozszedł się zapach naftaliny i stęchlizny.

– Nie, nie – zaprotestowała Hester. – Wejdź tam sam i rozejrzyj się. Zaczekam tu na ciebie. Pielęgniarki będą miały mnie na oku.

Freddie uśmiechnął się niepewnie, szerzej otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Pokój był ciemny, gdyż na oknach wisiały grube zasłony, za którymi unosiła się mgła. Kiedy Freddie do niego wszedł, zwrócił uwagę nie tylko na panujący w nim mrok, ale także na wyraźnie wyczuwalną obecność wielu wspomnień. Rozejrzał się, jednak niczego niezwykłego nie zauważył. Babka powiedziała, że to „wyjątkowy" pokój, ale na czym ta wyjątkowość miała polegać, poza tym, że był zatęchły i niezamieszkany?

Wszystko było przesiąknięte zapachem starego potpourri. Wisiał w ciemnych zasłonach, przylegał do koronkowych firanek, na które naszyto wzory w postaci koszyków róż, i przenikał neogotyckie meble.

Pokój był zapełniony najróżniejszymi klamotami z przełomu wieków: stoliczkami o okrągłych blatach, wielkimi donicami, paterami i stojącymi lampami. Półkę nad kominkiem pokryto welurem koloru butelkowej zieleni i zastawiono bibelotami: tanimi porcelanowymi figurkami, zegarami, sepiowymi fotografiami i pamiątkami z mosiądzu. Na pokrytych brązową tapetą ścianach wisiały akwarele, szkice i powycinane z papieru sylwetki.

Jedna z fotografii zwróciła uwagę Freddiego. Stała samotnie na stoliku, w owalnej oprawce

z czarnej emalii. Był to portret smutnej kobiety w boa z piór. Nawet według współczesnych standardów była niezwykle piękna. Freddie sięgnął po zdjęcie, a kiedy mu się przyglądał, uświadomił sobie, że babka stoi w drzwiach.

– To ty? – spytał, podnosząc fotografię, aby mogła ją zobaczyć.

Pokręciła głową.

– Nie. To nie ja.

Freddie odstawił zdjęcie.

– Nie bardzo rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Ten pokój wygląda, jakby był z jakiegoś starego westernu.

Hester usadowiła się ostrożnie na brzydkim rzeźbionym fotelu.

– Owszem, pochodzi z tamtych czasów i miejsc.

– Ale co to znaczy?

Twarz Hester była blada jak jeden z akwarelowych portretów wiszących na ścianie. Nie była pewna, czy potrafi wytłumaczyć Freddiemu, jak bardzo ten pokój ją prześladował i jak długo usiłowała zrozumieć, czym jest i dlaczego tu jest.

– Przez całe małżeństwo wiedziałam, że ten pokój istnieje – powiedziała słabym, drżącym głosem. – Ale Johann powiedział, że to miejsce,

w którym trzyma wyjątkowe antyki, i nigdy mnie nie zachęcił, żebym do niego zajrzała. Czasem znikał w nim na niekończące się godziny i podejrzewam, że znowu przeżywał tu wtedy wszystko, co wiązało się z tym miejscem i zgromadzonymi tu rzeczami.

– Nigdy ci nie powiedział, o co chodzi?

Wzruszyła ramionami.

– Dopiero po jego śmierci zaczęłam pojmować, że to coś w rodzaju świątyni. W testamencie poprosił o zniszczenie wszystkiego, co tu zebrał, jednak nie zrobiłam tego. Chciałam najpierw zrozumieć, dlaczego chciał to zniszczyć, i doszłam do wniosku, że prawdopodobnie sądził, że to miejsce mogłoby sprawić mi przykrość. Jedyny ślad to ta fotografia. Z tyłu ma napis: „J. od B.”, ale nie mam zielonego pojęcia, kim mogła być ta kobieta.

Freddie obszedł pokój i zatrzymał się przy oknie.

– Czy to ważne? – zapytał. – Kochał cię, prawda? Czy to naprawdę ważne, że zachował w pamięci inną kobietę?

Hester się uśmiechnęła.

– Nie, oczywiście, że nieważne. Nie sądzę, by Johann kochał mnie całym sercem, jednak byliśmy wystarczająco szczęśliwi. Twój dziadek

był silnym człowiekiem, ale jak wielu bogatych ludzi, łatwo ulegał wpływom.

– Czemu pokazałaś mi ten pokój? – spytał Freddie.

Zaczynał czuć się trochę klaustrofobicznie, jakby wspomnienia zmarłego dziadka napierały na niego ze wszystkich stron.

Babka popatrzyła na niego.

– To miejsce świadczy o tym, że Johann zrozumiał coś ważnego… coś, czego Victor nigdy nie pojmie. Bogactwo daje nam władzę nad innymi, ale jeśli wykorzystamy ją niewłaściwie, zaznamy sto razy silniejszego bólu niż ten, który sami zadaliśmy. – Zamknęła oczy i westchnęła. – Zawsze mnie bawi, że komuniści i lewicowcy chcą karać bogatych. Oni już są ukarani. Przykro mi to mówić, ale Roderick został ukarany już we wczesnej młodości, kiedy skonstruowany przez niego samolot uległ zniszczeniu, zabijając przy tym jego dwóch pracowników. Twoja matka, Hope, została ukarana wyrzutami sumienia. Biedny John umarł śmiercią bogacza. Irene też spotkała kara. Ally i Tess również. Nie wiem, czy ktoś już ukarał ciebie, Freddie, jednak na pewno cię to nie minie. Victor szykuje sobie największą karę. Ale kto wie, może wyjdzie z tego bardziej ludzki.

– A ten pokój? – spytał Freddie. – Czy to była kara dziadka?

Kiwnęła głową.

– Tak sądzę. Ten pokój stał się dla niego ważny na długo przed tym, zanim go poznałam. Musiało się w nim wydarzyć coś takiego, czego żałował przez resztę życia. Może ma to jakiś związek z tą kobietą ze zdjęcia. Nigdy się już tego nie dowiem. Ale powiem ci jedno: bez względu na to, jak wysoko zawędrujesz i jak bardzo się wzbogacisz, musisz nauczyć się dostrzegać innych ludzi, bo inaczej zostawisz po sobie taki sam pokój albo coś bardzo podobnego.

Freddie jeszcze raz się rozejrzał. Nie było nic więcej do powiedzenia. Pokój milczał, martwy i niewytłumaczalny.

– W porządku, babciu – powiedział cicho. – Chodźmy do pozostałych. Pewnie wkrótce zacznie się uroczystość.

Hester uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Masz rację, Freddie. Powinnam cieszyć się tym, co mam. To samo powiedział mi James Charles[21], kiedy jedliśmy kolację na *Aquitanii*. Był nienasyconym żarłokiem i bon vivantem. Powiedział, że jeśli nie można jeść, pić i śmiać się, równie dobrze można zacząć ssać pastylki na kaszel i zamieszkać w Cleveland. Nie jestem

pewna, co dokładnie miał na myśli, ale wydaje mi się, że uchwyciłam sens jego słów.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Przyszła dama do towarzystwa zajmująca się Hester i jej strojami, pani Dubuque, praktyczna, energiczna niewiasta o upiętych w schludny kok siwych włosach.

– Pani suknia jest już gotowa, pani Cornelius – oznajmiła. – Pan Roderick powiada, że uroczystość powinna się rozpocząć za trzy kwadranse.

– Freddie, muszę się pospieszyć – powiedziała babka. – A ty bądź dobrym chłopcem i zamień słówko z Roderickiem i Celią, zanim zjawią się goście. Zwłaszcza zanim zjawi się John Russell. Chcę, żeby tego wieczoru ogłosił swoje wycofanie się z wyścigu do prezydentury.

– Babciu…

Popatrzyła na niego.

– Masz kłopoty, prawda, chłopcze?

Opuścił wzrok.

– To nic poważnego.

Uścisnęła jego ramię.

– Wszystkie kłopoty są poważne, ale niebawem będziesz miał ich więcej, zwłaszcza gdy medycy sądowi odkryją, że panna Skouros

utonęła w basenie. Na razie idź do Rodericka i Celii. Zobaczymy się później.

Freddie odprowadził ją wzrokiem, kiedy powoli szła do garderoby. Towarzyszyły jej pani Dubuque i pielęgniarki. Blondynka odwróciła się nieśmiało, gdy mała procesja mijała róg korytarza, i Freddie posłał jej uśmiech. Pomyślał, że może czeka go pocieszenie po utracie Helen.

Kiedy zszedł na dół, zastał resztę rodziny w małej sali balowej. Była utrzymana w złocie i gołębich szarościach, a podłoga została wykonana z klonowego drewna. Wysokie okna wychodziły na południowy ogród różany. Mgła zaczynała się już rozwiewać i promienie słońca kładły się na podłodze świetlistymi trójkątami, w których migotały drobiny kurzu. Całą ścianę w głębi wyłożono lustrami, w których zgromadziła się lustrzana rodzina Coreliusów, od czasu do czasu podejrzliwie popatrująca na prawdziwą. Dla gości przygotowano już zimny lunch w formie bufetu: szynka z Kentucky, indyk na zimno, karczochy, szparagi, owoce i sery. Srebrne sztućce lśniły jak ławice sardynek.

– No i co? Jak się ma Hester? – spytał Roderick.

– Bardzo dziarsko – odparł Freddie.

Celia z irytacją zacisnęła wargi.

– Jest dziarska od ostatnich czterdziestu lat.

– Jest też bardzo zdeterminowana – dodał Freddie.

Victor usłyszał jego głos i odwrócił się od bufetu, przy którym nakładał piramidę kawioru z bieługi na malutkiego krakersa. Miał już pełne usta.

– Zdeterminowana? Chce walczyć? Z kim?

– Przede wszystkim z tobą – odparł Freddie. – Ale pozostałych też to dotyczy.

– Chyba nie trzymasz z nią sztamy? – spytała Celia.

– Celio… – zaprotestował Roderick.

Freddie włożył ręce do kieszeni i przybrał swobodną pozę.

– Nie martw się, stryju. Nie ma niczego wstydliwego w trzymaniu sztamy z własną babką, która w dodatku jest największym akcjonariuszem naszego imperium.

– Jednak musisz przyznać, że jest już bardzo zgrzybiała – wtrąciła Tess.

Freddie pokręcił głową.

– Jest tylko stara, to wszystko. I dzięki temu pod wieloma względami mądrzejsza, a nie głupsza.

Victor strzepnął okruchy krakersa z marynarki.

– Z jakim klejnotem mądrości wyskoczyła tym razem?

Freddie popatrzył na Ally, która stała przy jednym z okien. Miała na sobie szary kostium z plisowaną spódniczką i paliła papierosa, spoglądając na ogród.

– Zdecydowała, że John Russell powinien się wycofać. Chce, żeby ogłosił to dzisiaj wieczorem.

Celia pobladła ze złości.

– Ona zdecydowała? – prychnęła. – Ona?

– Nie ma mowy – oświadczył Marini. – Jeśli Russell się teraz wycofa, będzie to równoznaczne z przyznaniem, że Victor popełnił morderstwo. Równie dobrze można by go od razu powiesić na żyrandolu. Prawdopodobnie wszyscy się zgadzamy, że być może będzie musiał się przyznać, ale…

– To niemożliwe – przerwał mu Roderick. – Nie zgodzę się na to. Nie pozwolę zrobić z mojego syna kozła ofiarnego. Ani dla niej, ani dla nikogo innego. Do diabła, za kogo ona się uważa?

– Jest twoją matką – mruknęła Ally, nie odwracając się od okna.

Roderick zignorował ją.

– Wydaje mi się to nieco przedwczesne – stwierdziła Tess. – Przecież sekcja zwłok jeszcze nie została ukończona.

Freddie pokiwał głową.

– Hester uważa, że jej wynik jest przesądzony.

Celia posłała mu lodowate spojrzenie.

– A ty oczywiście się z nią zgadzasz w nadziei zgarnięcia wszystkich profitów. Może to cię zaskoczy, moje dziecko, ale biznes i polityka nie zawsze idą w parze. Od czasu do czasu zdarzają się chwile, kiedy musimy odłożyć na bok pragnienie zysku.

– To będzie bardzo źle wyglądało w sądzie – zauważył Marini.

– W sądzie? – warknął Victor. – To nawet nie dotrze do sądu. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy załatwili to z policją, i nic nie stoi na przeszkodzie wprowadzeniu Russella do Białego Domu. Wyłożyłem już na to sześć milionów dolarów i nie zamierzam z niczego rezygnować.

– Nie pieniądze są tu najważniejsze – wtrącił ostrożnie Roderick. Pamiętał swoją bezowocną rozmowę z Chapmanem i jego wymijające odpowiedzi. – Bardziej martwi mnie to, że Victor będzie musiał nadstawiać głowę.

– Może dobrze mu to zrobi – uznała Ally.

Celia potrząsnęła fałdami swojej szkarłatnej sukni i uniosła głowę.

– Jeśli nie masz nic do powiedzenia poza takimi uwagami, Ally, to sugeruję, żebyś stąd

wyszła. Dyskutujemy tu nad poważnym problemem, w poważny sposób.

– Dyskutujecie, jak uratować skórę twojego zepsutego bachora – odparła ostro Ally, odwracając się od okna. Jej oczy nadal były zakryte ciemnymi szkłami.

– Daj spokój, Ally – mitygowała ją Tess.

– Nie, nie dam spokoju, bo to prawda. To już nie jest sprawa przetrwania rodziny czy wypełnienia naszej tak zwanej historycznej misji. Próbowaliśmy tego wcześniej, próbowaliśmy przekonać samych siebie, że możemy zmienić obraz tego, co się wydarzyło, w taki sposób, żeby uznano nas za ofiary, a nie sprawców. Brzydzę się sobą, że przyłożyłam rękę do tamtej afery z wypadkiem samolotowym. Brzydzę się sobą za to, że kiedykolwiek mogłam pomyśleć, że moja pozycja i pieniądze stawiają mnie ponad prawem.

– Zastanówmy się nad tym spokojnie – przerwał jej Marini. – Nie stało się nic sprzecznego z prawem. Przynajmniej *prima facie*… Przecież Victor mógł wysłać ciało panny Skouros do jej rodziców, więc jego jedyna wina polega na tym, że nie zgłosił zgonu władzom. Nie ma dowodów przestępstwa.

– Nie ma dowodów przestępstwa? – powtórzyła zaczepnym tonem Ally. – Oszukujecie nie tylko policję i opinię publiczną, ale przede wszystkim samych siebie.

Freddie przypalił papierosa i odłożył zapalniczkę.

– Obawiam się, że Ally ma rację. Wiem, że wypadek samolotowy to był mój pomysł. Wiem, że jestem tak samo winny jak każde z was. Ale możemy to jeszcze zatrzymać, zanim całkowicie wymknie się nam z rąk. Według mnie Russell powinien wycofać się pod byle pretekstem, a potem musimy usiąść z policją i prokuratorem okręgowym i zobaczyć, co możemy zrobić, żeby wyciągnąć Victora z tej pułapki.

Jego kuzyn tak mocno walnął pięścią w stół, aż zadzwoniło srebro.

– Freddie, do cholery, to moje pieniądze i, do cholery, Russell jest moim kandydatem! Gdyby go wybrano, natychmiast zgłosiłbyś się po udział w zyskach. Nie wygłaszałabyś kazań na temat prawa i praworządności, ale pierwszy przyleciałbyś po rządowy kontrakt. Więc niech nikt, ani ty, ani Ally, nie wali we mnie jak w bęben. Russell się nie wycofuje, i koniec!

Celia ze złośliwą satysfakcją patrzyła to na Freddiego, to na Ally.

W pokoju zapadła niezręczna cisza.

Freddie ze spokojem palił papierosa.

– Myślę, że zapomniałeś o czymś, Victorze – powiedział cicho.

– Nie wydaje mi się – odparł z irytacją kuzyn.

Freddie się uśmiechnął.

– Zapomniałeś o tym, że chociaż jesteś większościowym akcjonariuszem w kilku swoich firmach, ponad sześćdziesiąt procent ich majątku należy do Cornelius Oil lub Cornelius Shipping.

Roderick nerwowo potarł policzek. Wiedział, co się święci.

– Każda dotacja z tych firm przeznaczona na kampanię polityka może być zawetowana przez udziałowców spółki macierzystej – mówił dalej Freddie. – Jeśli chcesz to sprawdzić, zajrzyj do artykułu siedemdziesiątego szóstego w prawach spółek.

Celia zastukała laską w podłogę.

– Więc co proponujesz? – spytała lodowato. – Głosowanie?

– Myślę, że to dobry pomysł – przyznał Freddie. – Wszyscy, którzy są za wycofaniem kandydatury Johna Russella, niech powiedzą „tak”.

– Tak – oświadczyła Ally, a Freddie jej zawtórował.

Victor się roześmiał.

– To niedorzeczne. Nawet mając babkę po swojej stronie, zostaniecie przez nas przegłosowani.

– Tak – powiedziała Tess.

Roderick odchrząknął.

– Mam nadzieję, że nie mówisz poważnie, Freddie. Wiesz, co to może oznaczać.

– Jestem całkowicie poważny – odparł Freddie. – Chcę, żebyśmy sobie uświadomili, kim jesteśmy. Żebyśmy uświadomili sobie, że wszyscy jesteśmy Corneliusami. Nawet gdyby miało to nas podzielić.

– Zwariowałeś – mruknął Victor. – To najbardziej niedowarzone gadanie, jakie kiedykolwiek słyszałem. Jak myślisz, kto, do diabła, prowadzi cały ten interes? Na co, do cholery, przydam się w Attice?

– Nie poślą cię do więzienia – uspokoił go Freddie. – Wprawdzie pozwoliłeś tamtej biednej idiotce utopić się w basenie, ale za to nie grozi odsiadka.

Z dworu doleciał wysoki gwizd, zapowiadający lądowanie learjeta. Roderick spojrzał na zegarek i powiedział:

– To z pewnością pierwsi goście. Myślę, że lepiej będzie odłożyć tę rodzinną naradę na

potem.

– Nie – zaprotestowała Celia, unosząc rękę. – Chcę wiedzieć, na czym stoimy. Chcę wiedzieć, czy wy troje naprawdę zamierzacie głosować przeciwko nam. Chcę wiedzieć, czy jesteśmy przyjaciółmi, czy wrogami.

– Stoję po stronie Victora – oświadczył Marini, patrząc na Freddiego z gorzkim uśmiechem.

– A my przeciwko – odparła Ally. – Mówimy całkiem poważnie, Celio. Zbyt wiele zawdzięczamy Ameryce, zależy od nas los zbyt wielu ludzi. Poza tym ryzykujemy zbyt duże pieniądze. Jeśli tuszowanie śladów wyjdzie na jaw za trzy lub cztery lata, kto nam znowu zaufa?

Zdjęła ciemne szkła. Pod oczami miała ciemne podkowy po nocach przepłakanych z tęsknoty za Clyde'em, a może także za Destrym i Clarą.

– Myślę, że nadszedł czas, aby nasza rodzina się oczyściła – dodała.

Na zewnątrz rozległy się kroki i śmiechy. Do sali wszedł służący, prowadząc podekscytowaną grupkę pań z Ligi Kobiet Amerykańskich, ubranych w swoje najlepsze letnie sukienki. Rodzina Corneliusów natychmiast odwróciła się w ich stronę i grymasy gniewu, sprzeciwu i urazy zostały zastąpione zapraszającymi uśmiechami.

♦ ♦ ♦

Wieczorem, gdy delikatny letni mrok zagnieździł się w konarach drzew, a na trawnikach zaczęły nawoływać się lasówki, Freddie poszedł na górę, do Hester. Wiekowa dama siedziała przy toaletce, a pani Dubuque rozczesywała jej włosy.

Freddie popatrzył na niewyraźne odbicie babki w lustrze.

– Byłaś wspaniała – oświadczył. – Wszystkie panie były tobą zachwycone.

– Och, nie zrobiłam nic wielkiego – odparła Hester. – Po prostu dałam im trochę pieniędzy.

Freddie podniósł wzrok i spojrzał na rzekę, ale zobaczył jedynie srebrną plamę światła. Wrócił spojrzeniem do toaletki zastawionej słoiczkami z nocnymi kremami, odżywkami do ciała i drogimi perfumami.

– Wiesz, że Russell nie zgodził się wycofać? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– Tak, wiem. Jednak wkrótce się wycofa.

– Zmusimy go?

Wzruszyła ramionami.

– To oznaczałoby wywarcie presji na Victora, prawda?

– Pewnie tak.

– Chcesz go poddać aż takiej presji?

Freddie przetarł powieki.

– Nie chcę, ale uważam, że nie mamy wyboru.

– To podzieli rodzinę – ostrzegła go.

– Czy i tak nie jest podzielona? Wiesz, czasem wydaje mi się, że dziadek Johann miał dwie różne osobowości i spłodził dwa rodzaje ludzi.

Babka uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała, co o tym myśli.

– Do którego rodzaju ty należysz? – spytała.

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

– Nie wiem – odparł.

Otworzyła boczną szufladę toaletki i wyjęła z niej zmiętą kartkę liniowanego papieru. Rozwinęła ją i przeczytała, choć niewątpliwie robiła to już wcześniej setki razy. Podała ją wnukowi.

– To praca domowa twojego wuja Johna z angielskiego, napisana wiele lat temu – wyjaśniła. – Chcę ci ją dać.

Kiedy wziął kartkę, zobaczył na niej kilka linijek dziecinnego pisma.

Mój ojciec jest bardzo bogaty i jest miliarderem z Cornelius Oil. Jest bardzo stary i nie ma dużo włosów. Lubię, jak wyjeżdża, bo wtedy mama

pozwala nam jeść w oranżerii i czasem jemy gołembie. Mój ojciec jest sórowy i musimy robić wszystko, co nam każe. Chciałbym mu kupić na urodziny ładną perukę, bo chociaż jest sórowy, to go kocham, bo to mój ojciec. Ma samolot. Nazywa się Ford Tri-Motor.

Freddie przeczytał ten tekst dwa razy i delikatnie złożył kartkę.

– Johann bardzo sobie cenił to wypracowanie – dodała Hester. Miała łzy w oczach. – Zwykł mówić, że to najmilsza rzecz, jaką o nim napisano. Wiesz, był bardzo wrażliwym człowiekiem.

Freddie kiwnął głową, po czym pochylił się i pocałował ją w policzek.

– Śpij dobrze – powiedział i opuścił pokój.

Szedł galerią w słabym, zabarwionym na żółto świetle, czując przy sobie obecność Johanna i Johna, a także wszystkich ludzi, których rodzina Corneliusów kiedykolwiek znała, kochała lub nienawidziła.

Usłyszał huk odrzutowca startującego z pasa na wyspie. To Victor odlatywał do Spiermont. Roderick i Celia już odjechali, odgrodzeni od świata w swoim długim czarnym fleetwoodzie, nawet nie pomachawszy nikomu ręką. Tess

miała rano lecieć do Kalifornii, a Ally zamierzała spędzić na Lynwood kilka dni ze znajomymi i wrócić do domu w Waszyngtonie.

Freddie zszedł po schodach i wyszedł na taras. Przez jakiś czas stał w półmroku, palił papierosa i słuchał pohukiwania puszczyków, a potem wrócił do środka na zimną kolację składającą się z szynki i sałatki ziemniaczanej.

♦ ♦ ♦

Ślady tych wszystkich wydarzeń rozproszyły się po całej Ameryce, zakurzone i zapomniane, ale na pewno są gdzieś do dzisiaj.

Szkolne wypracowanie, które Hester dała Freddiemu, było tylko jedną z tysięcy pamiątek, których wiele zaginęło dawno temu.

W Milwaukee w stanie Wisconsin, w sklepie z pamiątkami kolejowymi, leży prawdziwy kolejarski gwizdek, który naczelnik stacji Broughton dał kiedyś Danielowi Forsterowi.

Przed pewnym podmiejskim domem w Cleburne w stanie Teksas wisi jedna z lamp new orleansa, automobilu należącego do Johanna Corneliusa, i gospodarze zapalają ją, gdy grillują w ogrodzie.

Fragmenty aluminiowego poszycia samolotu C-1 również przetrwały i chronią teraz przed deszczem szopę narzędziową w Wirginii Zachodniej, a hodowca kurczaków z Muskogee przy uroczystych okazjach jeździ wiśniowym bentleyem Celii.

Niektóre z tych pamiątek są w dobrym stanie, innych już nie da się rozpoznać. Szmaragdowy naszyjnik Ariadne w końcu został wysłany jej rodzicom, którzy sprzedali go po czterech miesiącach, żeby móc wpłacić zaliczkę na nowy dom. Teraz należy do żony kierownika supermarketu w Pasadenie.

Kurki z wanny, w której Beatrice Mulliner popełniła samobójstwo, zainstalowano w ścianie stacji benzynowej w Galveston i są używane do napełniania chłodnic.

Pierce-arrow, którym Hazel Seymour została zawieziona na stację kolejową w Lynwood, należy teraz do kolekcjonera starych pojazdów i stoi w jego prywatnym muzeum aut w Waco w stanie Teksas.

Kiedy się dobrze rozejrzeć, wszędzie można znaleźć biżuterię, samochody, samoloty i zjedzone przez mole futra, które dawniej były własnością rodziny Corneliusów. Na straganie w Greenwich Village można prawdopodobnie

znaleźć należące kiedyś do Johna popękane i zakurzone płyty Duke'a Ellingtona albo obrazek przedstawiający Loch Lomond, który wisiał w pokoiku Cariny w Edgar. Można też na pewno znaleźć gdzieś popielniczkę z Gleneagles, własność Edwarda Seckera, lub oprawione w skórę prawnicze księgi Davida Bookbindera.

Każda rodzina, każda historia ma swoje pamiątki.

Jednak bezsensowne byłoby pytanie kogokolwiek o bohaterów tej książki. O Rodericka, Celię, Victora, Freddiego, Tess i Ally, a nawet o Hester i jej dawno nieżyjącego małżonka. Tak naprawdę nie wiadomo, czy byli szczęśliwi lub nieszczęśliwi, dumni czy zawstydzeni. Nie wiadomo, czy byli zadowoleni, smutni lub pełni poczucia winy. Można tylko powiedzieć, że byli bardzo bogaci.

[1] *Don Juan*, pieśń I, w. 194, tłum. E. Porębowicz.

[2] Dosł. „staromodny”. Kostka cukru rozpuszczona w małej ilości wody, dwie miarki angostury, alkohol (gin, wódka, brandy) i plasterek cytryny.

[3] Stolica piekieł w *Raju utraconym* Miltona.

[4] W 1920 roku niezidentyfikowany sprawca zdetonował przed Budynkiem Morgana bombę zawierającą dynamit i obciążniki okienne. Zginęło wtedy 38 osób, 143 zostały ranne, a wnętrze gmachu uległo zniszczeniu.

[5] W 1914 Gwardia Narodowa stanu Kolorado dopuściła się masakry strajkujących górników i ich rodzin.

[6] Dosł. „przyczepa motocyklowa”. Koktajl, w którego skład wchodzi koniak, likier pomarańczowy i sok cytrynowy.

[7] Gubernator Luizjany (1928–1932) i senator USA (1932–1935).

[8] Pierwszy senator USA pochodzenia żydowskiego.

[9] Organ amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości decydujący o zasadności oskarżenia.

[10] Tona amerykańska to 907 kg.

[11] Fay Wray była aktorką grającą dziewczynę porwaną przez King Konga.

[12] Gra słów, „nadzieja” – ang. *hope*.

[13] *Squalus* zatonął podczas próbnego rejsu w maju 1939 r. Zginęła wtedy prawie połowa załogi, ale reszta zdołała się uratować.

[14] Współwłaściciel Sun Oil Company (Sunoco).

[15] Postać z kreskówki, gruby, krótkowzroczny milioner.

[16] Pseudonim Marka Felta, byłego wicedyrektora FBI i tajnego informatora Woodwarda i Bernsteina, reporterów, którzy przeprowadzili dziennikarskie śledztwo w sprawie afery Watergate.

[17] Historyczna nazwa metalowego kija golfowego o maksymalnym nachyleniu główki (obecna nazwa to „ron 9”).

[18] Amerykański tenor i aktor włoskiego pochodzenia (1921–1959).

[19] Łac. „zdrowa na umyśle”.

[20] Tłum. L. Ulrich, *Kroniki*, PIW, Warszawa 1981.

[21] Kapitan brytyjskiej transatlantyckiej linii żeglugowej Cunard.